ROK VIII. STYCZEŃ — 1932. Nr. 1.

PRO CHRISTO

WIARA I CZYN

ORGAN MŁODYCH KATOLIKÓW

MIESIĘCZNIK

TREŚĆ.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Moniuszki 3a

DO CZYTELNIKÓW!

Wszystkich naszych Czytelników gorąco prosimy o poparcie naszego pisma przez poczynienie odpowiednich kroków, aby „Pro Christo" zaprenumerowały bibljoteki szkolne, miejskie, publiczne i prywatne, parafjalne, przy urzędach, biurach i innych instytucjach, a w szczególności organizacje i związki katolickie.

Jest to jeden ze sposobów propagandy prasy katolickiej.

WARUNKI PRENUMERATY „*PRO CHRISTO*":

Kwartalnie	3.—	Rocznie	12—
Półrocznie	6.—	Cena pojed. numeru .	1.—

Zmiana adresu 50 gr.

WARUNKI PRENUMERATY ZAGRANICĄ.

Kwartalnie	4.50	Rocznie	18.—
Półrocznie	9.—	Cena pojed. numeru .	1.70

CENY OGŁOSZEŃ W „PRO CHRISTO".

Stronica okładki	60 zł.
1/2 stronicy	30 zł.
1/4 stronicy	15 zł.
Stronica poza tekstem	50 zł.
1/2 stronicy	25 zł.
1/4 stronicy	12 zł.

1932 X 6

Spis artykułów „Pro Christo" w r. 1932.

WIARA I MORALNOŚĆ.

SPOŁECZEŃSTWO I WYCHOWANIE.

AKCJA SPOŁECZNA.

SYLWETKI.

DZIAŁ LITERACKO-OPISOWY.

RECENZJE.

W r. 1932 następujący autorzy zamieszczali w „Pro Christo" recenzje:

Ks. A. F. Kowalkowski, Zygmunt Prószyński, Kazimiera Berkanówna, Anna Zahorska, J. M Chudek, ks. dr. St. Abt, Ks. Al. Bołtuć, Ks. J. S., Marjan Jan, X. E. K., Jan Łukaszewski.

Druk. Diec. w Łomży.

PRO CHRISTO

WIARA I CZYN

ORGAN MŁODYCH KATOLIKÓW — MIESIĘCZNIK

Redaktor odpowiedzialny STANISŁAW BEREZOWSKI

Wydawca: Stowarzyszenie Społecznego Panowania Najświętszego Serca Jezusa w Rodzinach Chrześcijańskich.

Redakcja i Administracja: Warszawa, ul. Moniuszki 3a.

P. K. O. 10.115 Telefon 763-44

Biuro i telefon czynne w dni powszednie od godz 10—12 i od 15—17
Naczelny Redaktor przyjmuje interesantów w środy i piątki od g. 18.30 m do 19
Rękopisów redakcja nie zwraca

Pro Christo.

Wobec projektu ustawy małżeńskiej.

Od dłuższego już czasu krążyły niepokojące wieści na temat opracowywanego od lat kilku w komisji kodyfikacyjnej jednolitego dla całej Polski projektu prawa małżeńskiego. Zaniepokojenie wzbudzał sam skład podkomisji, opracowującej ustawę, złożona bowiem była z prawników i uczonych, znanych ze swoich poglądów materjalistyczno - liberalnych, fakt zaś, że zaproszeni do współpracy uczeni katoliccy po zapoznaniu się z panującym i ustalonym w podkomisji poglądem — woleli się wycofać i nie brać w jej pracach żadnego udziału — przedostał się z czasem do prasy i wywarł zrozumiałe wrażenie. I chociaż czynniki kierujące pracami Komisji Kodyfikacyjnej uczyniły wszystko, co było w ich mocy, aby opracowany i ustalony już projekt pozostał w tajnych archiwach Komisji, a potem został starannie złożony w cieniach gabinetów ministerjalnych — to jednak nastał wreszcie moment, w którym już dłużej prawdy nie można było ukrywać — nieliczne odpisy projektu znalazły się w posiadaniu osób prywatnych, dotarły do rąk działaczy i prasy katolickiej, zostały częściowo ogłoszone, tak, że trzeba było przystąpić do urzędowego wydania projektu.

Projekt kodeksu wyszedł na światło dzienne...

Wprawdzie według zapewnień ajencji urzędowej nie należy się liczyć z natychmiastowym przekazaniem go pod obrady parlamentu, czynnik decydujący nie powziął jeszcze decyzji, czy i kiedy projekt Komisji Kodyfikacyjnej stanie się projektem rządowym. Można snuć na ten temat rozmaite przypuszczenia optymistyczne, lub pesymistyczne. Jedno jest pewne, Projekt jest już gotów, leży w Ministerstwie Sprawiedliwości i oczekuje na moment odpowiedni. Innemi słowy mówiąc, nieprzyjaciel już otoczył jedną z najważniejszych twierdz katolicyzmu w Polsce, przygotował się do prawidłowego oblężenia, wystawił działa, na razie jeszcze tylko strzelać nie kazano...

W innym miejscu zajmujemy się samym projektem (patrz artykuł ks. prof. A. Borowskiego). Tutaj ograniczymy się tylko do stwierdzenia, że treść jego przeszła wszelkie najbardziej pesymistyczne przewidywania. Z trzech najważniejszych zagadnień ustawodawstwa małżeńskiego, z których pierwsze dotyczy formy zawarcia małżeństwa, drugie — juryzdykcji, a trzecie — nierozerwalności, względnie trwałości związku małżeńskiego — wszystkie są rozstrzygnięte w sposób przekreślający sakramentalny charakter związku. Jeśli chodzi o formę — dozwolono łaskawie zawierać katolikom małżeństwo także i w kościele, zdobywszy się jednak na tak wielki akt tolerancji w stosunku do Kościoła, który zajmuje podobno według naszej biednej konstytucji — naczelne stanowisko pośród równouprawnionych wyznań w państwie, kodyfikatorzy ograniczyli tę wspaniałą koncesję licznymi formalnościami, które mają być dokonane przed świeckim urzędnikiem stanu cywilnego. W drugiej dziedzinie rozstrzygnięcie jest jeszcze wyraźniej antykatolickie, cała juryzdykcja oddana w ręce sądów świeckich, trzecie zaś zagadnienie ustawodastwa małżeńskiego potraktowane zostało w sposób wprost skandaliczny, obrażający poglądy i uczucia, nietylko katolików, lecz każdego człowieka rasy białej bez względu na jego przekonania religijne. Zaiste, projekt wprowadzenia małżeństw terminowych jest zupełnie nowy i oryginalny na naszej szerokości i długości gieograficznej i bodaj poraz pierwszy zagadnienie to w tak egzotycznej, a równocześnie ponurej formie zostało postawione przed społeczeństwem polskim przez kilku teoretyków-liberałów, tkwiących po uszy w zbankrutowanych doktrynach z połowy przeszłego wieku. Fakt, że kilku poważnych skądinąd prawni-

ków zdecydowało się przedstawić tego rodzaju koncepcję 30 miljonowemu narodowi, zamieszkałemu w środkowej Europie, posiadającemu 1000-letnią kulturę i cywilizację — jest nawet w dzisiejszych czasach kryzysu gospodarczego i moralnego pożałowania godnym widowiskiem!

Wobec takiego stanu rzeczy musiała zareagować wprost i bezpośrednio hierarchja Kościoła katolickiego i trzeba przyznać, że reakcja ta była mocna i zdecydowana. W ogłoszonym w listopadzie „Orędziu Episkopatu Polski“—podpisani pod nim wszyscy Księża Kardynałowie, Arcybiskupi i Biskupi polscy w ten sposób kwalifikują wymieniony projekt:

„Komisja Kodyfikacyjna, Komisja w kraju, w którym większość obywateli jest członkami Kościoła Katolickiego, na Encyklikę Papieską, na odezwę Episkopatu Polski i na żądania katolików odpowiedziała projektem prawa małżeńskiego, który zbliża się do przepisów o małżeństwie w Rosji bolszewickiej. W projekcie tym została podeptana zasada nierozerwalności małżeństwa, wprowadzone zostały związki czasowe, pozwolono na zmianę mężów i żon. I w ten sposób człowiek wyniósł się ponad Boga, bo oto Jezus Chrystus powiada: „Co tedy Bóg złączył, człowiek niechaj nie rozłącza" (Mat. XIX. 6), a Komisja Kodyfikacyjna staje na stanowisku, że sędzia państwowy jest wyższy ponad Boga, że nie potrzebuje Go słuchać, i mocen jest rozwiązać, co Bóg złączył.

Twardemi słowy mówimy, bo niebezpieczeństwo wielkie i nader bliskie. Należy zedrzeć wszystkie osłony, aby smutną prawdę w całej grozie przedstawić.

Zamierzone prawo jest sprzeczne z prawem Bożem. Zamierzone prawo jest posiewem bolszewizmu u nas w rodzinie. Zamierzone prawo grozi Ojczyźnie śmiertelną zarazą duchową i ostateczną klęską. Obcy zaleją ziemię naszel—Co nie daj Boże!"

Ks. kardynał Prymas Hlond wydał zarządzenie, w którym napiętnował „niesłychany projekt ustawy o małżeństwie, jako zamach kół wolnomyślnych na ducha narodu i jako zuchwałą próbę odcięcia Polski od kultury chrześcijańskiej, a wydania rodziny polskiej na bezeceństwa bolszewickie", stwierdził, że „komisja kodyfikacyjna ośmieliła się... zlekceważyć nasze uczucia religijne... Do tej chwili trafiały się wprawdzie próby osłabiania ducha Chrystusowego w narodzie, ale były to naogół ukry-

te, nieraz starannie maskowane podkopy. Tylko tu i owdzie trafiały się śmielsze, otwarte występy zwolenników nowoczesnego pogaństwa... Tym razem atoli spotykamy się poraz pierwszy z występem instancji urzędowej, która proponuje uregulowanie małżeństwa w sposób równający się jego sponiewieraniu i upadkowi. Rozległ się ten fakt złowrogim echem po kraju niby odgłos sąsiednich sowietów i jakby zapowiedź walki z wiarą narodu i z kościołem". W końcu ks. Prymas wzywa społeczeństwo, aby podjęło środki zmierzające do odparcia: „tych haniebnych zakusów".

W końcu zabrał głos także i Namiestnik Chrystusowy, bo oto w liście wystosowanym przez Kardynała Sekretarza Stanu Pacelli do ks. kardynała Kakowskiego czytamy w formie subtelnej i delikatnej, lecz zupełnie wyraźnej podkreślenie konieczności obrony godności i świętości małżeństwa i uznanie dla ks.ks. Biskupów polskich za Ich dotychczasowe wysiłki w tej dziedzinie.

Kościół więc robi swoje, chodzi o to, aby i społeczeństwo polskie spełniło swój obowiązek.

W narodzie naszym jest głębokie przywiązanie do zasad i obyczajów katolickich. Naogół trzeba powiedzieć, że w większych ośrodkach miejskich społeczeństwo katolickie zareagowało w sposób zdrowy i normalny na prowokacyjne projekty prawodawcze. W ostatnich tygodniach odbyło się kilkaset zebrań, na których kilkaset tysięcy ludzi protestowało przeciwko projektowi. Lecz wszystko to jeszcze jest za mało.

Chodzi o to, aby akcja protestacyjna nie stała się przysłowionym słomianym ogniem, który po kilku tygodniach zgaśnie, lecz przeobraziła się w żywiołowy ruch, którego rezultatem będzie zorganizowanie wszystkich katolików pod jednym sztandarem obrony małżeństwa katolickiego, aby ruch ten objął także ludność wiejską i proletarjat, zwłaszcza, że wśród tego ostatniego ogromne spustoszenie czyni komunizm, pasożytujący na nędzy i bezrobociu, zatruwając ducha religijnego i narodowego.

Nie wystarczy więc urządzać w większych ośrodkach zebrania dla inteligencji i sfer bardziej uświadomionych, trzeba sięgnąć wgłąb, akcję potraktować nie jako sporadyczne wydarzenie, jako protest jednorazowy — lecz jako odskocznię do sy-

stematycznej i planowej działalności, jako ogniwo całego łańcucha walk i zmagań, które nas czekają w przyszłości.

Gdy walczymy o utrzymanie „Casti Connubii" przyjść nam może z pomocą: „Quadragesimo Anno". Obydwie te encykliki wymienione są w cytowanym przez nas liście Stolicy Apostolskiej, obydwie one zawierają zasady, na podstawie których mogą być zaspokojone najaktualniejsze i najbardziej żywotne potrzeby szerokich mas naszego narodu. Ks. ks. Biskupi mają je rozszerzać i propagować we wszystkich diecezjach, lecz z pomocą musi im przyjść inteligencja katolicka. Oby obudziła się ona do planowego i zbiorowego czynu! Oby zuchwała prowokacja naszych przekonań religijnych, której jesteśmy świadkami, wstrząsnęła sumieniami tych, którzy dotychczas są biernemi widzami rozgrywającej się walki o rząd dusz w narodzie, o Oblicze Polski Jutrzejszej. *St. K-ski.*

„Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli".

Święta Kościoła katolickiego mają w sobie zawsze coś wielkiego i imponującego. Myśl, że oto w jednym dniu, wierni całego świata łączą się we wspólnej modlitwie i przed tron Pana nad Pany ślą korne lecz pełne ufności modły, napełnia serca otuchą. Jakże radosną rzeczą dla człowieka współczesnego, wtłoczonego w szarą rzeczywistość powszedniego dnia, jest poczuć się członkiem Owczarni Chrystusowej i zapomnieć o tem, że się jest na szachownicy życia tylko marnym pionkiem.

Jeśli każde święto nasuwa pewne refleksje to już ze specjalną siłą muszą one nasunąć się każdemu katolikowi w dniu Bożego Narodzenia.

Boże Narodzenie — sądząc małym rozumkiem ludzkim, Bóg-Człowiek winien przyjść na ten świat z mocą i majestatem wsród poruszenia mocy niebieskich i ziemskich, wśród dźwięków trąb archanielskich, huku piorunów, trzęsień ziemi, nawałnic morskich i t. p. przerażających zjawisk, któreby w proch rzuciły mrowie ludzkie.

Tymczasem w Betleem, w nędznem miasteczku zjawia się nie mocarz siejący trwogę, lecz Boża Dziecina. Ówcześni

wielmoże nie przybiegli złożyć mu hołdu. Któż się zjawił wówczas u żłobka? Przybyli mędrcy i przybyli pastuszkowie. Stawiła się na zew gwiazdy betleemskiej wiedza i stawiła się gorąca, prosta wiara wieśniaków. To nie był przypadek, to był symbol. Tak jak 1931 lat temu tak i dziś niedouczone półmędrki nie garną się do Chrystusowej krynicy. Dawniej przybierali na siebie płaszcz filozofji sofistów, czy uczoności faryzejskiej—dziś stroją się w błyskotliwe komunały t. zw. wolnomyślicieli. Tak jak wówczas tak i dziś prawdziwa nauka hołd oddaje Chrystusowi.

Gdy rozważamy i uprzytomniamy sobie wielką tajemnicę przyjścia na świat Chrystusa Pana, przychodzą nam na myśl mnogie zastępy męczenników którzy zapatrzeni w mistyczne światło promieniujące na cały świat z owego zapadłego kąta żydowskiej ziemi, ochotnie złożyli życie swe na ołtarzu Boskiej Prawdy. Każda kropla krwi bohatersko wylana za wiarę, stała się nasieniem, „semen martyrum" z którego wyrosły setki, tysiące i miljony wiernych. Dziś już nie trzej magowie nie kilku wieśniaków, ale trzysta miljonów katolików składa hołd dziękczynno-błagalny Odkupicielowi.

Kiedy porównywujemy ubogą stajenkę z Kościołem Chrystusowym, którv ogarnął cały świat i w każdym zakątku ziemi ma swych wiernych—to w sercach budzi się podziw i miłość dla Stwórcy, a zarazem głęboka ufność w prawdziwość, wielkość nauki, która tak przeorała ludzką umysłowość, że ją odrodziła i wyrwała ze strupieszałego marazmu, ogarniającego społeczność antyczną. Współczesna cywilizacja, pomimo licznych wypaczeń i naleciałości korzeniami swymi tkwi w Chrystjanizmie. Idea ofiarności, miłości bliźniego, która pomimo wszystko, wbrew głosicielom egoistycznego materjalizmu nie wygasła w sercach współczesnej ludzkości ma swe źródła w nauce Chrystusowej i jej zawdzięczamy że żyją w nas jakieś lepsze, wyższe porywy. Gdy uprzytomnimy sobie ten zdrój łask, jaki zesłał nam Bóg w ową Noc Zbawienia na usta cisną się słowa kornej podzięki: „Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli".

Zygmunt Prószyński.

SPOŁECZEŃSTWO I WYCHOWANIE.

U źródła poglądów liberalnych na małżeństwo.

I.

Duchowe oblicze liberalizmu nie jest jasne ani wewnętrznie jednolite.

Powstały na gruzach wielkiej rewolucji francuskiej, która miała być radykalną przeciwwagą dawnego despotyzmu królewskiego, liberalizm nie zerwał ani z radykalizmem ani z absolutyzmem; owszem, podjął próbę ratowania wszechwładnego państwa przez wprowadzenie zasad rewolucyjnych, głównie zaś olśniewającej idei wolności.

Tem chyba możnaby wytłumaczyć znamienne przeciwieństwa, tkwiące w liberalizmie.

Zdawałoby się, że przedewszystkiem ten system, który ustawicznie głosi hasło tolerancji i wolności, sam będzie umiarkowany. W rzeczywistości jednak, zrodzony z absolutyzmu, liberalizm z szczególnem upodobaniem uprawia przymus despotyczny w każdej dziedzinie życia: politycznej, społecznej i gospodarczej; nawet przejawy wewnętrznego życia: myśl, wiara, sumienie nie są wolne od tego przymusu.

Despotyzm w stosunku do Kościoła zaznacza się w przejściu od dawnej zasady współrzędności tych dwu postaci społeczności doskonałej do zasady przewagi państwa nad Kościołem, a raczej do wszechwładzy państwowej z zupełnem bądź podporządkowaniem, bądź ignorowaniem Kościoła i jego instytucyj.

Tylko w przeprowadzaniu podobnej tyranji liberalizm najchętniej posiłkuje się środkami i drogami tajemnemi, a w chwili stosownej ujawni swe oblicze w formie t. zw. większości, głosującej i uchwalającej z podeptaniem poczucia sprawiedliwości

Wierny też pozostał radykalizmowi. Wielkiej rewolucji francuskiej nie powiodło się całkowicie oderwać ducha ludzkiego od starych, tradycyjnych poglądów, choć w części zabarwionych na modłę chrześcijańską. I właśnie liberalizm podjął zadanie, by rozpowszechnić idee radykalne, by za pośrednictwem

racjonalizmu, naturalizmu wyzwolić umysł ludzki od Bożych prawd objawionych, a wolę rozpętać z wszelkich obowiązków moralnych prawa Chrystusowego.

To też synonimem liberalizmu, może najbliższym, jest indywidualizm wybujały.

Ideałem liberalizmu nie jest człowiek, żyjący w społeczności, związany z innymi wzajemnemi prawami i powinnościami,— człowiek, podległy autorytetowi władzy zwierzchniczej, lecz człowiek — rzekłbyś — jako numer odrębny, jako wolny od wszelkich zobowiązań ludzkich, zwłaszcza Bożych.

Zrozumiała przeto staje się walka, prowadzona z szczególnym uporem z Kościołem katolickim, jedynym strażnikiem konsekwentnym niezmiernej Prawdy objawionej, niewzruszonego Bożego prawa naturalnego, czy pozytywnego.

Na to jedno godzą się wszyscy bez różnicy przedstawiciele liberalizmu, że należy z całą mocą przeciwstawić się nauce Kościoła, iż czynnik nadprzyrodzony ma uprawnienie na tej ziemi. Jakby instynktownie odczuwali w nadprzyrodzoności wroga tak silnego, że on zdoła przeżyć liberalizm nowoczesny wraz z jego absolutyzmem i radykalizmem oraz pomocniczemi systemami racjonalizmu i naturalizmu.

* * *

Jakie były stopnie w rozwoju liberalnego poglądu na małżeństwo!

Pierwszy Luter przeciwstawił się nadprzyrodzonemu charakterowi tej instytucji, którą nazwał „sprawą zewnętrzną i cielesną". Protestant K. Hagen wymownie ujmuje pogląd Lutra i współczesnych mu zwolenników: „Zapatrywano się na małżeństwo zgoła inaczej, niż dotąd. Widziano w niem podłoże do zaspakajania żądz naturalnych; uważano je za wyłącznie zewnętrzny, cielesny związek, który nie ma zgoła żadnej styczności z religją i Kościołem.

Stąd nawet dopuszczano małżeństwa między chrześcijanami a poganami: Żydami i Turkami. Ponieważ w zaspokojeniu żądz naturalnych dopatrywano się właściwego celu instytucji małżeńskiej, stąd ono stawało się również najprzedniejszym motywem przy udzielaniu rozwodu". *)

*) Der Geist der Reformation n. seine Gegensätze, 2 Bd. Erlangen 1844, 233.

Wprawdzie protestantyzm doby późniejszej powstrzymał rozpędy Lutra, liberalizm przecież nie omieszkał wykorzystać luki, uczynionej w dotychczasowym poglądzie na istotę małżeństwa oraz kompetencję władzy kościelnej.

Legiści, hołdując w polityce zasadom cezaryzmu rzymskiego, podejmą od początku XVII stulecia ofenzywę przeciw Kościołowi w kierunku rozłączenia w małżeństwie kontraktu od sakramentu.

Wyzyskają w tym względzie subjektywne wywody apostaty M. A. de Dominis, zawarte w jego dziele „De republica ecclesiastica, jakoby nawet w idei Chrystusowej małżeństwo było kontraktem naturalnym i cywilnym, a nie sakramentem. Regaliści gallikańscy, od dłuższego już czasu trzymając się zasady, iż władza, udzielona Kościołowi przez Jezusa Chrystusa, jest wyłącznie duchowa i nie rozciąga się ani wprost ani ubocznie na sprawy doczesne, odrazu wyprowadzą wniosek: umowa małżeńska należy do kompetencji władzy państwowej.

Jan Lannoy pogłębi prąd, zmierzający do rozłączenia w małżeństwie kontraktu od sakramentu, skoro przyzna zwierzchniczej władzy królewskiej możność ustanawiania przeszkód, rozrywających małżeństwo.

Krytyka filozofów XVIII w., co przygotowali grunt pod wielką rewolucję francuską, była bardziej jeszcze swobodna i niebezpieczna: ona godziła w podstawowe przymioty małżeństwa chrześcijańskiego.

Oni jeszcze śmielej, niż regaliści, oddzielą w małżeństwie kontrakt od sakramentu: „Małżeństwo — pisze Voltaire — jest kontraktem, z którego rzymscy katolicy uczynili sakrament. Sakrament jednak i kontrakt — to dwie rzeczy całkowicie różne: do jednego są dołączone skutki cywilne, do drugiego — łaski Kościoła... Małżeństwo zatem może istnieć ze wszystkiemi skutkami naturalnemi i cywilnemi, niezależnie od obrzędu religijnego".

Tenże Voltaire, powołując się na przykład rzekomo wszystkich ludów, „z wyjątkiem rzymsko-katolickiego", już wypowie się za reformą prawa o nierozerwalności małżeństwa.

Tę reformę rewolucja przeprowadzi w praktyce. Teza gallikańska o rozdziale w małżeństwie umowy od sakramentu będzie punktem wyjścia, zostanie jednak rozwinięta w celu pogłębienia indywidualizmu, „praw człowieka". To też dawna teza

przybierze formę: „małżeństwo jest z swej istoty kontraktem cywilnym"; co więcej, otrzyma postać krańcową: „małżeństwo jest jedynie umową cywilną". Jest to już formuła ślubu cywilnego.

Rewolucja więc zostawiła samą umowę, gdyż dla rozluźnienia stosunku jednostki do społeczeństwa, wyzwolenia jej z więzów społecznych, potrzebny był jedynie stosunek prawa cywilnego, z swej istoty odwołalny i rozwiązalny.

Nic tedy dziwnego, że, na skutek coraz szerszej ingerencji państwowej zeświecczenie małżeństwa stopniowo rozwijało się w przeróżnych krajach, głównie we Francji.

Już za Ludwika XVI edykt 1787 r. o małżeństwie protestantów był praktyczną przesłanką instytucji ślubu cywilnego. Konstytucja znowu z d. d. 3—14 września 1791 r. ulegalizowała tezę: „Prawo uznaje małżeństwo tylko za umowę cywilną"; ustawodawstwo zorganizowało urząd i śluby cywilne oraz ustaliło „możność rozwodu, wynikającą z wolności indywidualnej". Kodeks Napoleona ostatecznie zalegalizował tezę filozofów oraz rewolucji i wprowadził panowanie indywidualizmu.

W dobie obecnej w większości państw Europy jest uznany ślub cywilny, bądź jako przymusowy, bądź jako dowolny obok religijnego, przyczem znamienny jest zwrot we Włoszech w przejściu od formy obowiązkowej do fakultatywnej.

* * *

W Polsce przedrozbiorowej ustawodawstwo cywilne nie zajmowało się małżeństwem, zostawiając ten przedmiot sakramentalny Kościołowi. Istniały wprawdzie pewne statuty, głównie z XV, XVI stuleci, lecz dotyczyły tylko skutków cywilnych małżeństwa, nie zaś jego istoty i formy.

Kościół też wyłącznie rozstrzygał w sprawach unieważnienia, jako i rozłączenia małżonków od wspólnego pożycia.

Po rozbiorach, w utworzonem Księstwie Warszawskiem kodeks Napoleona został wprowadzony 1 maja 1808 r., w którym jak wiadomo, małżeństwo jest uznane za umowę cywilną. Odtąd też datuje się u nas początek t. zw. ślubów cywilnych.

Od roku przecież 1818 podjęto rewizję przepisów kodeksu Napoleona, zakończoną ogłoszeniem przez Mikołaja I w r. 1836 „Prawa o małżeństwie", dotąd obowiązującego w b. zaborze rosyjskim, zarówno na kresach, jak i w województwach centralnych. Katolików co do formy zawierania małżeństwa, prze-

szkód, unieważnienia i separacji obowiązują przepisy prawa kanonicznego, tak że t. zw. śluby cywilne i rozwody nie są dopuszczalne, a w sprawach małżeńskich jedynie sądy kościelne są kompetentne.

Na ziemiach b. zaboru pruskiego dopiero w okresie t. zw. walki kulturalnej wprowadzono obowiązkowe śluby cywilne. Pruskie prawo państwowe nie zabrania religijnych obrzędów w świątyni, które jednak mogą odbyć się dopiero po akcie cywilnym. Dotąd przeto w województwach: poznańskiem, pomorskiem i na Górnym Śląsku istnieje instytucja t. zw. ślubów cywilnych.

W b. zaborze Austrjackim prawo cywilne z reguły uznaje religijną formę małżeństwa; dopuszcza ono wprawdzie śluby cywilne, lecz tylko w przypadkach wyjątkowych, tak że są to t. zw. śluby cywilne z konieczności. Sądownictwo małżeńskie jest wprawdzie zastrzeżone państwu, dla katolików jednak niema rozwodów.

Wreszcie w 27 wsiach Spiżu i Orawy, przyłączonych do Polski, do r. 1922, na podstawie ustawodawstwa węgierskiego, małżeństwo było uważane za wyłączną instytucję prawa cywilnego; od 25 lipca jednak 1922 r. rozporządzenie Rady ministrów rozciągnęło na te wioski ustawodawstwo austrjackie o kościelnej formie ślubu, tak że strony mają dowolny wybór małżeństwa religijnego, lub cywilnego. Istnieją więc tam śluby cywilne dowolne; rozwody zaś są dopuszczalne lub wzbronione, zależnie od rodzaju ślubu: religijnego, czy cywilnego.

* * *

Wobec takiej różnorodności systemów prawnych, istniejących w odrodzonej Ojczyźnie, potrzeba jednolitości w ustawodawstwie małżeńskiem niejako siłą rzeczy się wyłania. I pod względem zrozumienia tej konieczności niema różnic w poglądach wszystkich bez wyjątku sfer społecznych.

Różnica zdań powstaje dopiero wtedy, gdy chodzi o rozwiązanie zagadnienia, w jaki sposób trzebaby ustalić prawo małżeńskie w Polsce.

Komisja Kodyfikacyjna R. P., powołana do życia ustawą z d. 3 czerwca 1919 r., zajęła się perwszy raz prawem małżeńskiem przez ówczesną sekcję prawa cywilnego na posiedzeniu 29 marca 1920 r. Przewodniczący sekcji, któremu powierzono

opracowanie projektu, nie wywiązał się z tego zadania, czy wprost nie mógł dokonać go według zasad, przedyskutowanych na temże posiedzeniu. Jak właśnie prof. Jaworski sam nadmienia w liście do jednego z dostojników kościelnych 29 stycznia 1926 r.:

„Komisja Kodyfikacyjna wybrała mnie rzeczywiście referentem, ale referat ten przed dwoma laty złożyłem, a obecnie nie należę nawet do podkomisji.. Referat złożyłem z tego powodu, że zorjentowałem się w zapatrywaniach członków Komisji, a z rozmowy z ks. kard. Dalborem poznałem stanowisko episkopatu. Przekonałem się, że bez walki się nie obejdzie, walkę zaś religijną uważam w naszym skołatanym kraju za nieszczęście, w którem nie chciałem żadnej odgrywać roli”.[1])

W maju 1924 r. Komisja Kodyfikacyjna wybiera nowego referenta, prof. Karola Lutostańskiego, i specjalną podkomisję z prof. Ignacym Koszembahr-Łyskowskim, jako przewodniczącym oraz członkami: pp. Stanisławem Bukowieckim, Henrykiem Konicem i Zygmuntem Nagórskim.

Do podkomisji, mimo że miała za zadanie unormować prawo małżeńskie dla przeważającej ludności katolickiej w Polsce, obejmującej $^3/_4$ ogółu mieszkańców, nie zaproszono żadnego kapłana-kanonisty, ani wogóle specjalisty w prawie kościelnem. Zaledwie do drugiego czytania projektu prawa małżeńskiego, już w całości opracowanego przez referenta, zaproszono, prócz innych, prof. Władysława Abrahama, jednego z najwybitniejszych znawców prawa kościelnego, który zresztą uznał za wskazane drukiem ogłosić całkiem odmienny pogląd w pracy p. t. Zagadnienie Kodyfikacji prawa małżeńskiego.

Podkomisja po trzech czytaniach ostatecznie przyjęła projekt prof. Karola Lutostańskiego 9 marca 1929 r., a pełna Komisja[2]) — 28 maja tegoż roku. 4 grudnia 1929 r. projekt przesłano Ministerstwu Sprawiedliwości.

Podkomisja, zgodnie z metodą liberalną, zachowywała nadzwyczaj dyskretne milczenie o treści projektu, choć przecież

---

[1]) Zob. Kur. Warsz. z d. 21 list. 1931 r,

[2]) NB. Niektórzy członkowie, jak p. Domański, zastrzegają się przed samą procedurą niezwykłą; zob. Kur. War. z d. 15 list. 1931 r. № 313.

referent sformułował go już w r. 1924. Prof. Jaworski dobitnie zaznacza w przytoczonym liście z d. 29 stycznia 1926 r.:

„Projekt jest dotychczas tajny i nawet ja, choć jestem członkiem Komisji Kodyfikacyjnej, nie znam go".

Prawdopodobnie, pod wpływem mnożących się objawów zaniepokojenia, Komisja Kodyfikacyjna ogłosiła z końcem 1925 r. komunikat o podstawowych zasadach projektu prawa małżeńskiego w tem brzmieniu: „Projekt prawa małżeńskiego, opracowanego przez prof. K. Lutostańskiego i przyjętego przez podkomisję przygotowawczą w sekcji prawa cywilnego Komisji Kodyfikacyjnej, oparty jest na następujących zasadach:

1) jednolitości nowego prawa małżeńskiego dla wszystkich ziem Rzeczypospolitej;

2) przystosowania prawa do zasad Konstytucji w przedmiocie równości i wolności obywateli, jurysdykcji sądów powszechnych oraz samorządu kościelnego;

3) uznania małżeństwa za podstawę organizacji społecznej i państwowej, wobec czego prawo współdziała w podniesieniu moralnej powagi małżeństwa, w wysunięciu na czoło interesu dzieci, oraz w zapewnieniu poszanowania indywidualnych równych praw obu małżonków, a zwłaszcza ich równych obowiązków wobec rodziny, którą przez swój związek założyli. Postulaty higjeny rasy w miarę możności znajdują uwzględnienie;

4) uznania trwałości pożycia małżeńskiego za warunek naczelny rozwoju prawidłowego rodziny. Małżeństwo ustaje więc normalnie ze śmiercią jednego z małżonków, poza tem tylko w wypadkach wyjątkowych, przez prawo określonych".

Wobec nader ogólnikowego charakteru, komunikat powyższy już mógł budzić ze stanowiska ideologji katolickiej poważne obawy.

Jeśli pierwszy i drugi jego punkt są bardzo niewyraźne, a w trzecim i czwartym mieszczą się takie ogólne zasady, na które podpisze się każdy rząd, uznający śluby cywilne wraz z rozwodami, to tenże czwarty punkt dość jasno zapowiada zamach na nierozerwalność małżeństwa chrześcijańskiego.

Wobec treści komunikatu tylko zdziwienie mogło wywołać sprawozdanie, które prezes Komisji Kodyfikacyjnej, prof. Ksawery Fierich, złożył na posiedzeniu Komisji prawniczych sejmu i senatu· „Prace podkomisji, aczkolwiek są na ukończeniu, są

jednak jeszcze w toku. W podkomisji zasiadają przedstawiciele różnych poglądów na prawny charakter małżeństwa, zarówno ci, co widzą w małżeństwie umowę cywilną, jak i ci, co stoją na stanowisku sakramentu. Wobec tego istnieje gwarancja, że prace są prowadzone z należytem wszechstronnem pogłębieniem zagadnienia".

Za prezesem i generalny sekretarz Komisji, prof. Emil Rappaport w podobnym tonie przemówił dwukrotnie: raz 11 grudnia 1928 r. na wspólnem posiedzeniu komisji prawniczych sejmu i senatu, ponownie zaś 21 grudnia 1928 r. wobec przedstawicieli prasy i scharakteryzował projekt podkomisji jako kompromisowy: „Projekt nie zajmuje żadnego z krańcowych stanowisk: nie jest oparty ani wyłącznie na pierwiastkach prawa kanonicznego ani na ściśle świeckich, lecz stara się połączyć wszystkie dojrzałe w tym względzie wymogi bieżącego życia społecznego i państwowego".

Takie były zapowiedzi, a *jakie oblicze w rzecy samej ma projekt podkomisji*, już złożony w Ministerstwie sprawiedliwości?

(c. d. n.)

Ks. Dr. Antoni Borowski
prof. Wydziału Teologicznego U. W.

Na marginesie „Quadragesimo Anno".

II.

W pierwszej części omawialiśmy stosunek Encykliki do obecnego ustroju gospodarczego. Obecnie przechodzimy do prawa własności i kierunków, które to prawo zwalczają, jak socjalizm, komunizm, kolektywizm...

Nawiązując do nauki Leona XIII o prawie własności, Q. A. konkretyzuje i wyjaśnia szereg zagadnień związanych z tą nauką. Przedewszystkiem podkreśla *„podwójny charaktnr własności, t. zn. indywidualny i społeczny, zależnie od tego, czy służy jednostkom, czy dobru ogólnemu"*, ostrzegając przed dwoma krańcowościami, w które wpaść można, przez podkreślanie bowiem zbytnie jednej lub drugiej cechy prawa własności możemy się zbliżyć do „indywidualizmu" lub „kolektywizmu". Władza świecka może, kierując się prawdziwą potrzebą dobra ogólnego w granicach prawa przyrodzonego i Bożego wydawać zarządzenia, co posia-

dającym w używaniu dóbr dozwolono, a czego nie dozwolono, wynika stąd, że może ograniczyć w pewnej mierze charakter indywidualny własności jej charakterem społecznym, dążenie do swobodnego rozrządzania, dążeniem do zrealizowania dobra ogółu, gdyż, dobra materjalne „Stwórca dla całej rodziny ludzkiej przeznaczył", z drugiej jednak strony własność prywatna nie może być usunięta, gdyż jest prawem nadanym przez naturę, czyli przez Samego Stwórcę ludziom „Władza państwa.... nie może niszczyć prawa własności prywatnej... może tylko jego używanie ograniczać i do dobra ogółu dostosowywać".

Mamy tu więc potępienie zasadniczej idei Marxa i Engelsa oraz innych pokrewnych im teoryj, czy to wchodzących w ramy szkoły komunistycznej (własność wspólna w dziedzinie wytwarzania i spożycia), czy kolektywistycznej (upaństwowienie środków produkcji).

W dalszym ciągu znajdujemy w wielu punktach druzgocącą krytykę teoryj i założeń socjalistycznych. Wychodząc z założenia Leona XIII, że nie może istnieć, ani kapitał bez pracy, ani praca bez kapitału, Q. A. ustala wzajemny stosunek tych dwóch czynników w procesie produkcji. Z jednej strony wypowiada się przeciwko poglądom szkoły liberalnej, według której cały owoc należy do kapitału, z drugiej zaś —obala założenia socjalistyczne, jakoby cały rezultat produkcji, cały dochód należał się robotnikom „po potrąceniu jedynie kosztów potrzebnych na podtrzymanie i odnowienie kapitału". Za jednym zamachem załatwia się tutaj encyklika z teorją „nadwartości", głoszoną przez twórców socjalizmu naukowego. Najem pracy (salarjat) nie zawiera w zasadzie nic zdrożnego, ani sprzecznego ze sprawiedliwością. Jeżeli więc jeden daje swój kapitał, a drugi pracę, żadna strona nie powinna być pozbawiona owoców, będących rezultatem koniecznego współdziałania pracy z kapitałem. *„Przyrost majątkowy przez produkcję gospodarczo-społeczną tak powinien być podzielony między jednostki i warstwy społeczne, aby się ostał ów przez Leona XIII ceniony dobrobyt ogółu... nie wolno jednej warstwy wykluczać od udziału w zyskach drugiej"...*

Oto najważniejsze zagadnienia społeczno - ekonomiczne, w których encyklika, wyciągając wnioski wypływające z zasad katolickich, przeciwstawiła się pośrednio założeniom socjalizmu i poszczególnych jego kierunków. Jest jednak oprócz tego w Q. A.

miejsce dość obszerne, poświęcone bezpośrednio tym prądom radykalnym, które są tam nazwane po imieniu i odpowiednio skwalifikowane.

Encyklika rozróżnia kierunek ostrzejszy, który nazywa komunizmem, oraz kierunek umiarkowany, który zachował nazwę socjalizmu. O komunizmie (pod którym, jak sądzimy, należy rozumieć w pierwszym rzędzie bolszewizm rosyjski) mówi Q. A. z oburzeniem, nazywając go *„bezbożnym i niegodziwym"* przyczem specjalną uwagę zwraca na takie jego cechy, jak „najostrzejsza walka klas", „zupełne zniesienie prywatnej własności" oraz, że kierunek ten jest *„wrogiem otwartym Kościoła świętego i Samego Boga"*. Potępienie komunizmu jest tak jasne i niezbicie wypływające z zasad Kościoła, że Ojciec św. nie uważa za potrzebne specjalnie przed nim katolików przestrzegać, natomiast zwraca uwagę na obojętność tych, którzy *przez swą gnuśną bezczynność, pozwalają by na cały świat szerzyła się propaganda gwałtownego i krwawego przewrotu"* i karygodne niedbalstwo tych, *„którzy nie usuwają, albo nie zmieniają w państwie tych objawów, które umysły doprowadzają do rozpaczy i tym samem przewrotowi i ruinie społecznej torują drogę"*.

Drugi kierunek—to socjalizm umiarkowany. Są to kierunki niekomunistyczne, które nie weszły na drogę konsekwentnego realizowania swoich zasad, lecz raczej usuwają się nieco od walki klas i zniesienia prywatnej własności. Omawiając ten umiarkowany socjalizm, zbliżający się niekiedy w swoich postulatach praktycznych do prawd uświęconych tradycją chrześcijańską, Ojciec św. stawia wyraźnie pytanie, czy nie możnaby z nim pójść na kompromis, innemi słowami, czy nie możnaby takiego socjalizmu pogodzić z katolicyzmem, osłabiając przytem nieco twardość i ostrość naszych zasad.

I na pytanie to odpowiada kategorycznie — *nie*: *„socjalizm, rozważany, czy to jako system naukowy, czy to jako zjawisko historyczne, czy też ruch, nawet, jeżeliby w wyżej wymienionych sprawach (walki klasowej i własności prywatnej—przyp. autora) poddał prawdzie i sprawiedliwości, pozostanie w niezgodzie z dogmatami Kościoła katolickiego, dopóki prawdziwym jest socjalizmem, ponieważ poglądy jego na społeczeństwo odbiegają całkowicie od prawdy chrześcijańskiej"*. Socjalizm bowiem widzi w społeczeństwie tylko cele utylitarne, a zupełnie lekceważy i nie uwzględnia wiecznego przeznaczenia człowieka. Dlatego też ka-

tolik i socjalista—to dwa sprzeczne pojęcia. Papież przestrzega przed wpływem socjalizmu na obyczaje i kulturę i wzywa katolików, którzy przez brak uświadomienia, lub słabość charakteru znaleźli się w związkach socjalistycznych do powrotu.

Potępienie walki klas i uspołecznienia dóbr prywatnych mieliśmy już w Rerum Novarum. Quadragesimo Anno posuwa jeszcze zagadnienie o krok naprzód. Oto ogólny pogląd doktryny socjalistycznej na społeczeństwo, jego cele i zadania zarażony jadem materjalizmu niezgodny jest z zasadami religji objawionej. Gdyby socjalizm wyzbył się i tego poglądu—cóżby z niego pozostało, przestałby być socjalizmem i przeszedłby na teren chrześcijańskich poglądów społecznych.

Daj Boże, aby tak się stało. Na razie jednak, póki istnieją w rozmaitych krajach i działają silne obozy socjalistyczne, wywierające mimo swego umiarkowania—zgubny wpływ na oświatę, wychowanie młodzieży i cywilizację danego kraju, a z reguły dążące do osłabienia wpływów Kościoła i poderwania podstaw, na których wspiera się rodzina chrześcijańska—ustosunkowanie się katolików do socjalizmu może być tylko obce i bojowe.

Quadragesimo Anno nie zajmuje się specjalnie kolektywizmem, jako jedną ze szkół ekonomicznych socjalizmu. Przypuszczać należy, iż mówiąc ogólnie o socjaliźmie nie ma na myśli tylko pewnych jego kierunków, lecz traktuje zagadnienie w całokształcie i dlatego może nie wyodrębnia specjalnie kolektywizmu. Natomiast dwukrotnie o nim wspomina, ostrzegając przed nim, jako przed tendencją, zmierzającą do całkowitego osłabienia charakteru indywidualnego prawa własności. Nie ulega wątpliwości, że upaństwowienie środków produkcji, jako istotne naruszenie prawa własności byłoby sprzeczne z zasadami katolickimi Zagadnienie jednak nie jest tak proste, jak się wydaje. *„Istnieją bowiem—mówi Encyklika—pewne kategorje dóbr, ktore słusznie chcianoby zachować dla państwa, ponieważ dają taką potęgę ekonomiczną, że bez narażenia na szwank dobra publicznego w rękach osób prywatnych pozostawić ich nie można".*

Nie zaprzecza więc Kościół państwu prawa do monopolu własności w pewnych dziedzinach, do wywłaszczenia własności prywatnej na rzecz państwa, oczywiście za słusznem odszkodowaniem. Ze względów zupełnie zrozumiałych nie wylicza Ency-

klika konkretnych wypadków, kiedy to prawo może zostać zrealizowane, pozostawiając skonkretyzowanie tej zasady ekonomistom i politykom katolickim. *St. K-ski.*

Maszyna i człowiek.

W szary, słotny dzień jesienny, wąską uliczką na peryferjach miasta szło dwoje ludzi. Głuchy stuk czterech grubych butów, obijających się o popękane, gołą ziemią łatane płyty chodnika zrzadka zagłuszał warkot zabłąkanej taksówki, która skacząc wściekle na kocich łbach opryskiwała czarnym błotem niskie, obdrapane domki warszawskiego zatybrza. Z góry — z ciemnej chmur opony sypał się deszcz drobniutki wytrwale, nieustannie, przenikał ubrania i płaszcze nieprzemakalne, wciskał się za podniesione kołnierze. Co chwila zrywał się silny, wyjący wśród kominów wicher, siekł prosto w twarz mokremi igiełkami wody i podnosił z ziemi żółtawe liście jakichś umierających tu między kamieniami drzew.

— No i co... Zredukowali cię, bracie, w sam raz na zimę, psiakrew. Ale jak to się stało, nie mówiła mi tego wczoraj Janka, bo była tak spłakana, żem słowa od niej wydobyć nie mógł. — Przecież u Sandlera dobrze się sprawowałeś ostatnio, nie opuszczałeś, grandy żadnej nie zrobiłeś... Co?

— Jak to się stało? Bardzo prosto. Razem ze mną wymówili trzydziestu sześciu. Maszynę nową postawili.

— Maszynę?

— A tak, maszynę. Widzisz, przedtem rozlewaliśmy pastę do pudełek własnemi rękoma, a teraz robią to automatyczne lejki... Wszystko samo leci po żelaznem łożysku... Jak prędko, jak zgrabnie, psia mać, aż przyjemność patrzeć. Tylko, jak człowiek pomyśli, że ta sprytna machina zabrała nam kilkudziesięciu chleb, to aż zębami na nią zgrzyta.

— To wszystkim wymówili?

— Nie, zostawili pięciu, bo tylu do obsługi potrzeba. Ale ja w tej liczbie nie zostałem.

— I skąd u licha Sandler wytrzasnął tego smoka?

— A to ten Kocent, inżynier, drań skończony, on mu ją naraił. Przyłaził do starego co tydzień, nudził go, namawiał,

pokazywał papiery, obliczał. Już dawno czułem, że z tego nic dobrego nie będzie. Stary często go z kwitkiem odprawiał, nawet i zbeształ. A ten się kręcił, kręcił, aż wykręcił, choroba. Sandler dał się namówić, maszynę zmontowali, próba się—udała. I kontrakt podpisali... A tego Kocenta to już znam oddawna, jeszcze jak na Krochmalnej mieszkał i do uniwersytetu chodził. Żebym to ja wtedy wiedział, cosię z tego rudego łba wykluje, tobym mu zawczasu czerep sztamajzą rozłupał.

— No i co zrobicie teraz z Janką?

— Nie tylko z Janką, ale i ze sobą. Przecież nie mogę dłużej starym na karku siedzieć, sami teraz ledwie zipią... Na jesieni właśnie miał być nasz ślub. Jankę już wyprawiali, wszystko było ułożone, zresztą dłużej zwlekać nie było sensu... A tu masz... Założyli maszynę, aby jeden na niej zbił grubą forsę i stu z głodu zdechło... I co teraz robić? Pod kościół pójść, czy magazyny rozpakowywać? Djabelskie te maszyny!...

— — — — — — — — — — — — — — —

* * *

W małym zacisznym pokoiku na czwartym piętrze dwudziestopięcio świecowa lampa zaledwie szczupłym kręgiem światła oblewa stolik, przykryty papierami, nad któremi siedzi schylona młoda dziewczyna. Spartańskie umeblowanie pokoju, prócz łóżka, krzesła i kilku obrazków zdobi szeroki stół, zastawiony retortami, narzędziami metalowemi i dziwnemi, drobnemi maszynkami. Ciszę wieczornej godziny przerywa jednostajny skrzyp pióra i odległy huk ostatnich, pędzących po mieście tramwajów.

Wtem dudnią czyjeś kroki po schodach, zgrzyta klucz w zamku i do pokoju wchodzi, a raczej wpada otulony paltem mężczyzna. Szczupłą, zarośniętą twarz rozświecają oczy gorejące wesołym blaskiem.

— Dobry wieczór Zosieńko! — Jeszcze ślęczysz nad temi papierzyskami, co?

— Dobry wieczór... Ach, nie ściskaj mię tak szalenie... Co ci się stało, czegoś taki wesoły? No, mów, bo widzę, że ci się nagle na przekór powiodło, co? Mówże raz!

— Ach Zosiu, jestem tak uradowany, że mię zatyka! Wyobraź sobie, po długich i ciężkich cierpieniach zatwierdzili

mój model nowych dezynfektorów. Będą zainstalowane odrazu w trzech szpitalach. Przyznano mi nagrodę, a co ważniejsza, sprzedałem wynalazek Majerskiemu, który zakłada fabrykę. W piątek już spółka wypłaca mi pięć tysięcy á conto. Co?!

— Boże wielki, co za szczęście! Jak się cieszę!

— Widzisz, siostrzyczko, opłaciło się ośmioletnie charowanie o głodzie i chłodzie, we dnie i w nocy. Skończyła się nasza nędza.

— I mamusię będzie za co wysłać do Zakopanego i Stefuś skończy szkołę i ty wreszcie... i ty...

— I ty się ożenisz. — Ha, ha... Kochana ty moja, zawsze myślisz najprzód o innych, o sobie zapominasz. A moja Zosieńka, zamiast przepisywać sądowe akta po 40 groszy sztuka pójdzie do akademji... Wszystko będzie dobrze... I nie tylko nam, ale i innym. Bo nowoutworzona fabryka da zatrudnienia blisko stu robotnikom.

— Tak... ach, tak...

— — — — — — — — — — — — — — —

* * *

W ostatnich kilku latach latach, bezrobocia, nadprodukcji i kryzysu finansowego, tych wszystkich bolączek, które wprowadzają trudny do opanowania zamęt w życie ówczesnych społeczeństw, coraz częściej oczy ludzi myślących zwracają się na kwestję maszyn, szukając w niej źródeł trapiącej nas klęski. I coraz szerzej rozpowszechnia się obecnie przekonanie, nie tylko wśród ludzi prostych, ale i w sferach wykształconych, że maszyny są przyczyną bezrobocia, walk klasowych, upadku kultury duchowej narodów. Pojawiają się na ten temat artykuły w prasie, a z za oceanu dochodzą nas słuchy, że Ameryka dąży do złagodzenia bezrobocia przez zredukowanie zbyt zracjonalizowanej produkcji maszynowej. Inni znowu przeciwstawiają się temu poglądowi, opierając swoje wywody na podstawowych wymogach życia i fachowej wiedzy ekonomicznej. Tak, jak przy każdem trudnem zagadnieniu panuje rozbieżność poglądów, zarysowują się całkiem przeciwne i wrogie sobie sposoby ujmowania jednej sprawy, co w rezultacie wytwarza zamęt w opinji.

Marja Czeska-Mączyńska naprzykład, w pięknie literacko napisanym artykule, drukowanym niedawno w katowickiej Po-

lonji zapytuje się kategorycznie: maszyna, czy człowiek? Co ma zapanować nad naszą kulturą, czy człowiek rozumny, w pełni swego rozwoju duchowego prowadzący pług cywilizacji do świetlanych celów przyszłości, czy bezduszny moloch-maszyna, pochłaniający setki ofiar, odbierający ludziom chleb i zaszczytną pracę, moloch, na którego usługach umiera biedny, zautomatyzowany człowieczek...

Zaraz potem Iza Moszczeńska drukuje w Kurjerze Warszawskim pod tym samym tytułem artykuł wprowadzający pewne poprawki do pogladów Pani Mączyńskiej, a w zasadzie broniący maszyn argumentami bardzo ważkiemi, zaczerpniętemi z realnego życia i postulatów materjalnej struktury państw. Roman Dmowski, przepowiadając smutny upadek państw uprzemysłowionych rzuca wiele mówiący frazes: „Im maszyna mądrzejsza, tym człowiek głupszy”...

I nie tylko u nas, ale i zagranicą sprawa ta jest wysoce aktualną. Prasa, słowne i pisane enuncjacje znanych, poważnych publicystów nią się zajmują.

Pojawiają się projekty stworzenia przy Lidze Narodów specjalnej komisji, badającej fachowo, przy uwzględnieniu życiowych potrzeb i wymagań zdrowej kultury użyteczność lub nawet szkodliwość nowych wynalazków i pozwalającej czy też zabraniającej ich eksploatowania. Pomijając nierealność owych projektów, przesadzanych i na grunt polski widzimy do jak wielkiej wagi wzrasta dręcząca nas sprawa maszyn.

Kwestja ta jest bardziej trudna i skomplikowana niżby to się na pierwszy rzut oka wydawało. Dla jej rozwiązania potrzebna jest zbiorowa praca nietylko wielkich ekonomistów ale i filozofów, historycznych kierowników naw państwowych, ludzi, mających coś do powiedzenia w sprawach religji i sztuki, gdyż dotyka ona całokształtu życia. Nie można jej stawiać na ostrzu noża i jednym cięciem rozplątywać, twierdząc apodyktycznie, że tak i tak być musi. Całe pokolenia już się nad nią głowiły i całe pokolenia jeszcze głowić się będą.

Dlatego też w niniejszym krótkim feljetonie nie będę mógł jej tak wszechstronnie, jak na to zasługuje rozpatrzeć. Nie przedstawię całkowitego i wyrażnego rozstrzygnięcia, któreby naturalnie nasyciło słusznie podrażnioną ciekawość czytelnika. Ograniczę się tylko do pewnego oświetlenia sprawy,

postawienia jej na właściwym poziomie i zarysuję jedynie sposób jej rozwiązania, oparty na życiowej filozofji i zdrowym rozsądku. Człowiek, z natury złożony ze sprzecznych pierwiastków, ma skłoność do krańcowego ujmowania rzeczy. Zbacza w rozumowaniu na prawo lub na lewo, trudno mu utrzymać się pośredniego między krańcowościami gościńca prawdy. Jak zwykle, tak i tutaj, w sprawie potępienia lub aprobaty maszyn, prawda leży w pośrodku. Nie gram więc w kości, rzucając pytanie: Maszyna, czy człowiek, aby wkońcu chwycić się jednej z dwóch ostateczności, ale już samym tytułem: „Maszyna i człowiek" uznaję możliwość pogodzenia tych dwóch rzeczy; szukając tylko norm prawidłowych między nimi stosunków.

Postawmy więc sobie zasadnicze pytanie. Czy maszyna jest powodem klęsk społecznych, trapiących nas dzisiaj, jak bezrobocie, walka klas, upadek kultury duchowej, czy jest złem, które należy usunąć, a jeśli tak, to czy można je usunąć, lub czy jest odwrotnie?

Wrogowie maszyn widzą w nich źródło bezrobocia, rozumując bardzo prosto. Maszyna zastępuje człowieka w pracy. Wytwarza szybciej, więcej, wymaga mniejszej obsługi. To, co zrobiłoby rękoma dwudziestu robotników, zrobi jeden maszyną. Stąd dziewiętnastu zostaje bez pracy. Stąd walka klas posiadającej i nie posiadającej. Nadprodukcja i nędza. Dalej, możność otrzymywania dużych zysków przez właścicieli maszyn wytwarza wśród nich psychozę materjalizmu, a racjonalizacja pracy, czyli ekonomiczne rozdzielenie jej na bezduszne ułamki, które robotnicy wykonywują, jak automaty, nie jak myślący ludzie, obniża ich poziom duchowy, czyli też prowadzi do materjalizmu.

Wogóle rozwój kultury materjalnej, którego wyrazem są wszystkie nowoczesne wynalazki i maszyny, pomnażające wygody życiowe, psuje człowieka, odbiera mu tężyznę i moc duchową. Tak rozumują przeciwnicy maszyn, a oczy ich zwracają się do słonecznego średniowiecza z całym swoim spokojnym ustrojem cechowym, z cichemi grodami, nie zduszonemi czarnym dymem kominów fabrycznych. Średniowiecza, które nie znało międzynarodowycn strajków robotniczzch i komunizmu.

Trzeba jednak na rzeczy spojrzeć bardziej subtelnie, opierając się jednocześnie na twardej rzeczywistości nowego życia.

Prawdą jest, ze wiek XIX, wiek pary i elektryczności, nagłego, niebywałego dotąd w dziejach rozwoju techniki, otworzył jednocześnie erę trudności socjalnych, ciężkich walk klasowych, chronicznego bezrobocia i nędzy pracowników fizycznych. Lecz czy przyczyną tych klęsk były wynalazki? Czy raczej powszechne obniżenie poziomu życia religijnego. zanik zasad etycznych, z którym szedł w parze wyzysk i nieuczciwość warstw, stwarzających nowe warunki pracy? Już dwadzieścia lat temu Karol Gide, słynny ekonomista francuski, alarmował Europę o grożącem jej niebezpieczeństwie ze strony idących wielkich przemian w przemyśle. Sceptycznie on się zapatrywał na fakt wprowadzenia maszyn, uważając, że wywował on tylko złudzenie ludzkości, wierzącej w poprawę bytu na tej drodze. I nietylko z punktu widzenia moralnego, lecz i ekonomicznego, mając na uwadze dobro robotników produkcję maszynową zaliczał do niekorzystnych. Naprzeciw jego jednak niezbyt zresztą sprecyzowanych poglądów staje legjon innych popartych argumentami równych mu sław. Nie mogę tu się rozwodzić nad różnemi zapatrywaniami specjalistów, ani też zagłębiać się w skomplikowaną strukturę ekonomiczną świata, nie chcąc, aby odczyt mój był jednym rozdziałem ekanomji społecznej. Muszę tylko pobieżnie zaznaczyć, że fakty sprzeciwiają się temu dość naiwnemu mniemaniu, jakoby maszyny in recto były przyczyną bezrobocia. Tak naprzykład w angielskich przędzalniach w r. 1835 zatrudnionych było 120.000 robotników. Po wprowadzeniu maszyn do tej dziedziny przemysłu liczba ich znacznie wzrosła, tak, że w r. 1914 dochodziła do 740.000. Łatwość bowiem i taniość produkcji wzmogła konsumpcję materjałów, a co za tem idzie wzrosło zapotrzebowanie na pracowników. Nie można zapominać o tem, że maszyny też trzeba produkować i gdy nawet w zmechanizowanej fabryce zmniejszy się ilość rąk roboczych, to równa, lub większa im liczba znajduje pracę w wytworni tych właśnie maszyn i ich części, ciągle się zużywających. Tak samo różne nowoczesne wynalazki odbierając ludziom pracę w jednej dziedzinie, dają im w innej.

A więc różnice, pocztyljoni i stangreci zamienili się w szoferów, konduktorów, maszynistów, przytem kolej żelazna nierównie więcej zatrudnia pracowników, niż dawne konne poczty. Stróże poznańscy, którzy niedawno lamentowali z powodu utraty chwalebnej swej pracy dali swem ustąpieniem zarobek licznej rzeszy mechaników produkujących automatyczne zamiataczki i szoferów je obsługujących.

Pewno, nie jest to rzeczą łatwą i przyjemną, często nawet i możliwą tak przerzucić się na inne pola pracy, ale życie jest twarde i trzeba się na nie zgodzić.

Pozatem jeszcze wiele wynazków otwiera poprostu nieistniejące przedtem warsztaty pracy. Weźmy maszynę drukarską, która stworzyła olbrzymią gałęź przemysłu, zatrudniającego setki tysięcy robotników. A jak wielkie znaczenie kulturalne ma właśnie ten wynalazek! Czy bez książki taniej, drukowanej moglibyśmy sobie wyobrazić obecne życie z jego zapotrzebowaniem oświatowem, z jego rozwojem umysłowym? I tu dotykamy najważniejszej kwestji w naszych rozważaniach, kwestji konieczności postępu technicznego, istnienia obecnych i powstawania nowych wynalazków. Musimy bowiem z całą stanowczością podkreślić fakt niezaprzeczony, że ludzkość, w nowych warunkach życia wymaga bezwzględnie do samego istnienia tak w dziedzinie materji, jak i ducha przeważnej liczby ulepszeń mechanicznych. Nie mówi się o rzeczach zbędnych, luksusowych lub szkodliwych, gdyż te samo życie zmiecie, nie dając im ogólnego zapotrzebowania.

Przedewszystkiem ciągły przyrost ludności, rozrost organizacyj państwowych, wzmożone ilościowo i jakościowo zapotrzebowanie przy tym samym obszarze źródeł życiodajnych, wymaga koniecznie ciągłego ulepszania narzędzi eksploatujących. Muszą więc chemicy wynajdować nowe środki wzmagające płodność ziemi, aby ta mogła wyżywić przeludnione kraje. Muszą istnieć koleje, elektrowozy i samochody, aby z dostateczną szybkością i łatwością przerzucać z krańca świata na drugi te płody i surowce, których brak tam, gdzie są niezbędne do życia. Co więcej, inżynierowie i fizycy muszą je ciągle ulepszać, aby były tańsze i odpowiadały kieszeni obecnych obywateli ziemi.

Coby się stało, gdyby przy teraźniejszem ścisłem współżyciu politycznem i ekonomicznem państw zabrakło nowoczesnych środków lokomocji? Przecież, żeby podróżować własną kolasą, lub piechotą, trzebaby było być miljonerem i rozporządzać nieograniczonym czasem A jak wieleby to spowodowało zubożenia kulturalnego życia! Dalej przy obecnym, koniecznym również rozroście miast, musi istnieć zdrowe i tanie oświetlenie elektryczne, gdyż na kaganki oliwne niktby pieniędzy nie miał, ani przy nich mógł intensywnie pracować. Muszą istnieć tramwaje, samochody, aby ludzi na czas do pracy przywozić. Muszą też istnieć maszyny, wytwarzające tanio i w dostatecznej ilości artykuły pierwszej potrzeby, jak ubrania, buty, różne narzędzia dla miljonowych rzesz. Cały szereg błogosławionych urządzeń z dziedziny higjeny społecznej, medycyny pomyśleć się nie da bez obecnego rozwoju techniki. A jak wielkie, nieocenione wprost znaczenie dla dobra ludzkości, nietylko materjalnego, lecz i duchowego mają takie wynalazki, jak Roentgen, telefon, telegraf, radjo, teleskop?

Maszyny więc nie wcisnęły się brutalnie ni z tego ni z owego do życia, aby w nie wprowadzić niepotrzebny zamęt. Trzeba raczej twierdzić, że elementarne potrzeby życiowe, wobec przyrostu ludności i jej rozwoju historycznego wyrwały je z nicości i wytworzyły. Zrodziły się zupełnie naturalnie, jak naturalnie wykluwają się zęby mądrości dorastającemu człowiekowi. I nie możemy ich już teraz wyrzucić z życia, choćby one to życie obdzierały z jego dawnego piękna, ciszy i prostoty. Zresztą, na jakiej podstawie opiera się niechęć do maszyn, lub ich potępienie? Już w Genezis Bóg zwraca się do młodej ludzkości, nauczając ją: „napełniajcie ziemię i czyńcie ją poddaną". A więc, ujarzmiajcie siły przyrody, wyciągajcie je z ukrycia i rozumem swoim, odblaskiem mojej wiecznej mądrości zaprzęgajcie do godnej was pracy. To też Kościoły wszelkie chętnie się posługują do swych prac apostolskich najnowocześniejszemi wynalazkami i ustanawiają ceremonjały ich poświęcania.

Tęsknota do wynalazków maszynowych znajduje wyraz w dawnych bardzo cywilizacjach Europy.

Mitologja grecka opowiada, że bóg podziemi — Hefajstos sprytnie skonstruował ze złota dwie osoby chodzące i mówią-

ce, na których się wspierał idąc, gdyż był kulawy. Legenda ta urzeczywistnia się w naszych czasach, jeśli przypomnimy próby inżynierów niemieckich nad utworzeniem „robotów", ludzi mechanicznych. Człowiek nigdy nie uniknie fizycznej pracy, chociażby nie wiem, jak się maszynami obstawił. Ale naturalne i zupełnie usprawiedliwione jest jego dążenie, aby tę pracę uczynić racjonalną, szybką, łatwą, dającą mu więcej czasu na zajęcia umysłowe. Któż może zganić moje postępowanie, jeśli ja, udając się do Krakowa... nie wybiorę się w dwutygodniową, pieszą podróż, lecz przebędę ją w kilka godzin samochodem, aby jedenaście dni poświęcić na studjowanie zabytków tego miasta? Któż może potępić wynalazców, ułatwiających ciężką pracę górników w kopalniach, chroniących ich nowemi urządzeniami od chorób i kalectwa, wyrywających z ciemności na światło? Któż może wogóle potępić wyzyskiwanie martwych sił przyrody, tworzenie dzieł, noszących na sobie piętno rozumnego ducha ludzkiego? Czyż nie jest to najbardziej zgodne z naturą człowieka, nie odpowiada jego godziwym, celowym dążeniom?

Tak, bardzo pięknie. Maszyny nie są przyczyną klęsk społecznych, które się zwaliły na obecną ludzkość. Czemu więc należy przypisać, że pojawiły się one właśnie wraz z rozwojem przemysłowym i technicznym?

Odpowiedzi na to pytanie trzeba szukać gdzieindziej. Maszyna sama w sobie, jako martwe dzieło mózgu człowieka nie może być przyczyną jego niedoli, gdyż człowiek zawsze nad nią panuje. Może ją każdej chwili zniszczyć, jeśli mu do istnienia przeszkadza. Tak samo wszelki wynalazek, jak druk, czy radjo — nie może być rzeczą złą, najwyżej obojętną dla kwalifikacji wartościowej. Służyć może dobru i złu, zależnie od tego czy działalność ludzka jest dodatnia, lub ujemna. Jeśli więc maszyna tak zaciążyła nad naszem życiem, że zewsząd podnoszą się głosy, narzekające na jej szkodliwość to dlatego, że *rozwój kultury duchowej ludzkości nie idzie niestety w parze z doskonaleniem się materjalnym.* A nawet więcej, kultura duchowa, wyrażająca się w religijności, chrześcijańskiej doskonałości życia, w sztuce czystej i wiedzy — zmniejsza się wraz z postępem technicznym. Dlatego człowiek, mając tak potężną broń w ręku, źle jej używa. Zamałe ma bo-

wiem urobienie wewnętrzne, aby mógł się umiejętnie, bez szkody dla subtelnego organizmu duszy posługiwać wielką skalą ułatwień życiowych w dotykalnym świecie. Zachowuje się jak prostak w luksusowym sleepingu, który upija się mydłem przeznaczonym do mycia rąk. Zewnętrzne, bogate w swej różnorodności dzieła techniczne oszałamiają go swym ogromem, psują jego i tak słabą harmonję wewnętrzną, mącą mu w głowie. Z ręką na przekładni wielkich machin, zapatrzony w lśniący krąg rozpędowych kół, poddaje się ich sile suggestywnej, zapominając o duchu i jego prawach. W celach zysku materjalnego, nie licząc się z zasadami etyki i rozumu społecznego wprowadzą maszyny wszędzie, nawet tam, gdzie są niepotrzebne, powoduje nędze, kryzysy, nadprodukcje, bezrobocie i straszne nowoczesne wojny. A sam, na wzór machin, których staje się z konieczności niewolnikiem — automatyzuje się i tępieje, jakgdyby do przemyślnych motorów ulewał część swego intellektu boskiego. Życie też płynie jednostajnym, ubogim w różnorodności szlakiem, po którym chodzą ludzie podobni do siebie, noszący na sobie stempel masowej produkcji fabrycznej, niby bele świeże wyprasowanego papieru, jak się wyraził Rabindranath Tagore, pachnące jeszcze maszyną. Nawet utwory umysłu ludzkiego, jak powieści, dramaty, symfonje wyglądają, niby wypuszczone z automatycznego kotła, w który się wrzuca kilka czarnych i białych typów, tragicznych i komicznych sytuacji na tle modnych zagadnień, zakręca się korbą i otrzymuje się gotowe dzieło.

Bezduszna, stereotypowa moda ogarnia wszystko; modne są już dzisiaj, oczy, usta, głowy ludzi, ulegających dziwnej, samobójczej pokusie upodobania się do nieżywych figur geometrycznych. Dzięki niej chłopcy wychodzą ze szkół, nie rozmawiają o mysterjach eleuzyńskich, lecz o cylindrach w Fordzie i Chryslerze.

Zburzenie jednak maszyn nie będzie lekarstwem dla obecnego, zastraszającego kryzysu moralnego i ekonomicznego, jaki powszechnie przeżywamy. Należy zburzyć ciemnotę religijną i umysłową, oddawna osnuwającą nowoczesne społeczeństwa. Należy wybić w ciasnym pokoju naszej cywilizacji okno na świat wieczny, boży, duchowy, przez ogólne zwrócenie się do ożywczych źródeł wiary i religijności. Należy też oświatą

publiczną tak pokierować, aby nie wychowywała nadmiaru zamiłowań technicznych w młodzieży. I wtedy dopiero przez naprawienie zachwianej równowagi między kulturą duchową i materjalną ludzkości, człowiek i maszyna w zgodnej harmonji będą pracować dla osiągnięcia godnych nas celów w kuźni wszechświata. *Dr. Tadeusz Kordyasz.*

Z działalności „Pax Romana".

Odbyty latem r.b. we Fryburgu Szwajcarskim Kongres „Pax Romana", międzynarodowej organizacji katolickich studentów, stał się wielką manifestacją żywotności i rozwoju idei porozumienia katolików różnych krajów na zasadzie wspólności wiary. Był pozatem dowodem, że święcąca rozpoczęcie drugiego dziesięciolecia pracy organizacja uczyniła kolosalny krok naprzód w porównaniu z tem, co reprezentowała na swym pierwszym zjeździe, w 1921 r., również do Fryburga zwołanym.

Ze wszystkich kongresów, odbytych kolejno we Fryburgu (II-gi), Salzburgu, Budapeszcie, Bolonji, Amsterdamie, Warszawie, Cambridge, Sewilli i Monachjum, ostatni stał niewątpliwie na najwyższym poziomie. Pod względem życia religijnego uczestników, które znajdowało swój wyraz w codziennej mszy św. i wspólnej Komunji na intencję poległych, pokoju, misyj, pod względem intelektualnym dzięki zaproszeniu pierwszorzędnych profesorów, pod względem organizacyjnym dzięki przygotowaniu spraw przez Sekretarjat i Komitet Organizacyjny—Kongres wypadł jak najlepiej, godnie upamiętniając zakończenie pierwszego okresu istnienia „Pax Romana". Z niedość wyraźnego hasła „współpracy", której dróg początkowo nie znano, wyłoniło się z czasem pewne bardziej sprecyzowane oblicze tej organizacji. Jest ona jedynie Sekretarjatem Generalnym, ułatwiającym poznanie się i zbliżenie katolickim akademikom należących do niej krajów, a jest około dwudziestu. Służy temu celowi wymiana studentów i czasopism, wydawanie biuletynu, przedewszystkiem zaś doroczny Kongres.

W tym roku głównym tematem obrad było zagadnienie braków, jakie z punktu widzenia katolickiego cechują nauczanie w dzisiejszych uniwersytetach. Zajęli się przedstawieniem tego problemu trzej uczeni światowej sławy: O. de Munnynck z Fryburga, p. Prof. O. Halecki z Warszawy i Prof. Hildebrand z Monachjum, omawiając kolejno kwestję specjalizacji naukowej i kultury ogólnej, stosunku uniwersytetów do narodu i państwa oraz przejawów życia międzynarodowego, wreszcie uzasadniając potrzebę uniwersytetów katolickich w dobie dzisiejszej. Po referatach tych, wygłoszonych na plenum Zjazdu, odbywała się żywa dyskusja, która przyczyniła się do uwydatnienia wielu momentów i uzupełnienia myśli, podanych w odczytach. Oprócz obrad plenarnych urządzono też zebrania komisyj, których było sześć: finansowa, współpracy umysłowej, wymiany studentów, komisja studentek, Unji Kościołów i Misyjna, niewątpliwie najciekawsza i najlepiej udana z pośród wszystkich.

Nie była ona pozbawiona pewnej egzotyki: jeden z referatów miał kolega Chińczyk, w dyskusji przemawiał kolega murzyn z Fr. Afryki Zachodniej, a przysłuchiwał się uważnie oliwkowy Hindus i biały Australijczyk. Takie to rozmaite rasy i nacje reprezentowane były wśród trzystu blisko uczestników Kongresu. Z Polski przybyło ich dwunastu, w imieniu Stowarzyszenia Katolickiej Młodzieży Akademickiej „Odrodzenie“, które od początku niemal istnienia „Pax Romana” bierze w jej pracach żywy udział i umiało zyskać sobie znaczną popularność. Trzy lata v-prezesury i rok prezesury p. St. Orlikowskiego w r. 1926-27 są tego najlepszym dowodem. W roku bieżącym Polska znów wybrana została do Zarządu organizacji wraz z Francją, Niemcami, Czechosłowacją, Szwajcarją, Luksemburgiem i Holandją. Prezesurę oddano Anglji, gdzie też odbędzie się przyszły Kongres w lecie 1932 roku. Ponadto ratyfikowano ostatecznie uchwałę z lat poprzednich, przyznającą Polsce kierownictwo nowoutworzonej Komisji dla Unji Kościołów, która w szerokich rzeszach akademickich ma propagować ideę Unji. Kierownik tej Komisji, mianowany przez J. E. Ks. Prymasa Hlonda wejdzie, jako członek stały do Zarządu „Pax Romana”. Przez utworzenie Komisji młodzież polska będzie mogła w jeszcze większym, jak dotąd stop-

niu dawać swój pozytywny wysiłek współpracy w międzynarodowej społeczności akademickiej.

Kongres powziął cały szereg uchwał, z których w tem miejscu wymienimy wezwanie do modłów na intencję ograniczenia zbrojeń w myśl enuncjacji Ojca św. Benedykta XV z 1917 roku, a to w związku z wyznaczoną na m. luty 1932 konferencję rozbrojeniową. Cały przebieg zjazdu cechowała atmosfera prawdziwie katolickiej współpracy i życzliwości wzajemnej. Jeżeli były wielkie nawet różnice zdań w wielu kwestjach, to nie doprowadzały one do jakichś incydentów, nielicujących z katolickim charakterem „Pax Romana" i w każdej sprawie spornej umiano znaleźć możliwe dla wszystkich rozwiązanie. Grały tu niewątpliwie rolę te czyniki najgłębszej natury, o których mówił na inauguracji delegat Ligi Narodów, że są podstawą wszelkiego międzynarodowego współdziałania, a których pełnię znajdujemy jedynie w nauce i życiu Kościoła Katolickiego.

Miejscowi obywatele twierdzili stanowczo, że nie bez wpływu na szczęśliwie zgodny przebieg obrad był urok ich pięknego i „bajbardziej pokojowego na świecie" kraju, malowniczego Fryburga, w którym nad brzegiem wijącej się Sariny, pod skrzydłami Nôtre Dame Bourgui'llon, wznosi się stara katedra św. Mikołaja, zdobna w przecudne witraże Mehoffera. Do owego cudownego Bourguillon szliśmy któregoś wieczoru po bujającym się wiszącym moście, z świecami w dłoni, prowadzeni przez Ks. Biskupa Besson, który łączy w sobie potrójny urząd pasterza Genewy, Lozanny i Fryburga.

Delegacja polska, pozostająca pod kierownictwem Ks. Prof. W. Maeysztowicza, P. M. Sobańskiego i K. Pieńkowskiego, kierownika spraw zagranicznych „Odrodzenia" — opuszczała Szwajcarję w pełni zadowolona z osiągniętych wyników i przeświadczona o dalszym pięknym rozwoju akcji międzynarodowego poznania i zbliżenia, którą realizuje „Pax Romana" w myśl hasła „Pax Christi in Regno Christi".

J. Karp.

Przez moje okno

Ledwie się zbudzę o świcie, biegnę przed okno moje by wyjrzeć na Boży świat.

Naokół ciemności zalegają ziemię, kłębiaste śnieżne chmury toczą się zwolna po niebie, na zachodzie z za mgieł wychyla sie blada twarz księżyca, na wschodzie horyzont zlekka różowieć poczyna, z minuty na minutę okrywa się coraz mocniejszą czerwienią—zapowiadając zjawienie się, życiodajnej siłv—słońca.

Ogniu złoty! Nadziejo wszystkiego co żyje, ty niestrudzony pracowniku, który nie znasz ani chwili spoczynku, tocząc swą złotą kulę przez niebieskie przestworza — by wszystko i wszystkich po całej ziemi łaskawie światłem obdzielić, z jakąż radością i upragnieniem, nieodłączny towarzyszu doli ludzkiej, wyglądam twego zjawienia co rano!

Wspinasz się wysoko ku górze, ogarniasz ziemię ciepłem swych promieni, pieściwie i czule na twój widok rozchyla kwiat swe kielichy, pod tchnieniem twem drżące na liściach rosy unoszą się w przestwórz, jak dymy dziękczynnych kadzideł, rzucone w ziemię ziarno rozpiera swą znikomą powłokę by wydać na świat kiełek, zaczątek nowego istnienia; szumiące cicho strumienie, zadumane wody na łąkach, swawolne górskie potoki i niezgłębione przestworza mórz lśnią brylantami twych blasków.

Wszystko się ku tobie porywa, we wszystkiem budzisz jakiś pęd czynu, twórczości i siły.

Bogu chwała niech będzie, że słowem twem „stań się” rozpalił twą złotą pochodnię, że wszechmocną swą dłonią pchnął cię w bezkreśne przestworza, że Jego świętej woli posłuszne rozjaśniasz szlaki ludzkiego istnienia.

Gdy wydzwaniają już wieczorne godziny, gdy zsuwać się poczniesz po niebieskiem sklepieniu, gdy pochłoną cię niezadługo ciemne na horyzoncie bory, gdy przysłaniać cię poczną lekkie, zwiewne mgły, gdy noc samo wspomnienie o tobie spowije kirem żałoby—jakżesz mi smutno wówczas robi się na sercu.

Wędrówka twa niezmierzone stulecia ogarnia, ile ich jeszcze przed tobą?

Życie moje ułamkiem małej kruszyny czasu, chwili lub mgnienia.

Płyniemy ku przeznaczeń godzinie, żegnam cię co wieczór, a może na wieki?

Jeśli jutro jeszcze do mnie należeć będzie, wiedź, że wyglądać cię będę, ze szczęściem i radością, wiedź, że jak zwykle, wyciągną do Ciebie stęsknione ramiona, zmęczone me życiem źrenice rozjaśnisz twym promiennym blaskiem, a Stwórcy hołd złożę, że żyję jeszcze i piękno twe oglądać mogę.

Czy długo jeszcze o słońce?

Marja Leszczyńska.

Na froncie walki o kulturę i prawa narodu.

Nowy projekt prawa karnego o „przerywaniu ciąży". — Wpływy liberalne w Komisji Kodyfikacyjnej.—Propaganda grupy Boya.— Paskudztwa, same paskudztwa!—Woj. Kostek-Biernacki, jako literat.—Kurz na sali...—Powód i przyczyna ostatnich zajść antysemickich na wyższych uczelniach.

Ogłoszenie projektu Komisji Kodyfikacyjnej o jednolitej dla całego państwa ustawie małżeńskiej wywołało silne wrażenie w społeczeństwie i wzbudziło zdrowy i normalny odruch protestu, o czem piszemy obszerniej w innem miejscu. Rozpatrując to kapitalne zagadnienie, od którego rozwiązania będzie zależał w dużej mierze rozwój katolicyzmu w Polsce, musimy wziąć także pod uwagę sprawy poboczne, łączące się z nim pośrednio, lub bezpośrednio.

Do takich należy w pierwszym rzędzie sprawa „przerywania ciąży" w projekcie nowego kodeksu karnego, który również już został opracowany przez Komisję Kodyfikacyjną. K.A.P. zebrała w tej sprawie informacje następujące:

Niesłychane jest stanowisko projektu kodeksu wobec przestępstw przerywania ciąży. Mowa o tem w rozdziale 35 zatytułowanym „Przestępstwa przeciwko życiu i zdrowiu" w art. 229—232:

Art. 229. Kobieta, która płód swój spędza lub pozwala na spędzenie go przez inną osobę, ulega karze aresztu do lat 3. Art. 230. Kto za zgodą kobiety ciężarnej płód jej spędza lub jej przy tem udziela pomocy, ulega karze więzienia do lat 5. Art. 231. Niema przestępstwa z art. 229 i 230, jeżeli zabieg był dokonany przez lekarza i przytem był konieczny

ze względu na zdrowie kobiety ciężarnej, jej ciężkie położenie materjalne, dobro rodziny lub ważny interes społeczny. — Art. 232. Kto bez zgody kobiety ciężarnej płód jej spędza, ulega karze więzienia do lat 10.

Jak widzimy z powyższego zestawienia artykułów 229, 230, 231, artykuł 231 właściwie przekreśla w praktyce wszelką odpowiedzialność za spędzanie płodu, a więc za zabójstwo dziecka w łonie matki. Jeżeli pozwala się na spędzanie płodu ze względu „na ciężkie położenie materjalne", „dobro rodziny", lub na „interes społeczny", to naprawdę nie znajdzie się żadnej kobiety, którаby wyznała, że dopuściła się zbrodni zabójstwa płodu dla swojej własnej przyjemności, narażając przytem swoje życie i zdrowie. Wobec przepisu art. 231 są całkowicie zbyteczne wszelkie przepisy o występkach spędzania płodu i karalności za nie, Cała ta część rozdziału o „Przestępstwach przeciwko życiu i zdrowiu" wygląda niesamowicie, niepoważnie i kompromituje w wysokim stopniu komisję kodyfikacyjną.

Jeżeli ze stanowiska czysto prawnego zejdziemy na grunt etyki naturalnej i chrześcijańskiej, to widzimy, że projekt kodeksu karnego w tym punkcie mija się całkowicie z nakazami tej etyki i rozgrzesza od przykazania „nie zabijaj". W żadnym, nietylko z dawnych, ale i z nowoczesnych kodeksów karnych (za wyjątkiem sowieckiego) nie znajdzie się przepisów, analogicznych do art. 231 projektu kodeksu polskiego. W nowym kodeksie włoskim spędzanie płodu kobiecie bez jej wiedzy pociąga za sobą karę więzienia od 8 do 12 lat (art. 596). Za spędzanie płodu tak kobieta, jak i osoba, płód spędzająca, karane są więzieniem od 2 do 5 lat (art. 597). Kto namawia ciężarną kobietę do spędzania płodu lub dostarcza jej do tego środków choćby spędzenia nie dokonano, ulega karze więzienia od 6 miesięcy do 2 lat (art. 598). Kto proponuje lub publicznie wzywa do stosowania środków przeciwko płodzeniu ulegnie karze więzienia do 1 roku i grzywnie do 20 tysięcy lir (art. 532). Ta sama kara grozi temu, kto z chęci zysku dostarcza tych środków.

Widzimy więc, że kodeks włoski stoi na stanowisku mniej wprawdzie liberalnym, ale za to bardziej katolickim i patrjotycznym. Dotychczas obowiązujące u nas prawodawstwo karne ujmuje tę sprawę w sposób zadawalniający, dopiero w nowym kodeksie nasi domorośli sekciarze liberalno-masońscy postanowili popisać się przed całym światem szczytną tolerancją państwa wobec matek, mordujących swoje dzieci zanim jeszcze wyjdą z ich łona! Zaiste, braknie już cierpliwości. Co wyjdzie jaki projekt z Komisji Kodyfikacyjnej—to poroniony z powodu zbytniej prawomyślności liberalnej tych sui generis „postępowców". Czy byłoby rzeczą zbyt trudną rozwiązać Komisję Kodyfikacyjną i wyznaczyć pewną ilość nowych ludzi? Jesteśmy optymistami i sądzimy, że znaleźliby się w Polsce ludzie

współcześni i nowożytni prawnicy, z odpowiednim wykształceniem.

Może wreszcie dojść do tego, że w Polsce stanowić będą prawa ludzie tak oddaleni od poglądów i uczuć olbrzymiej większości narodu, jak starożytni Egipcjanie od pokolenia dzisiejszego. Doczekaliśmy się ładnych rzeczy. Jeszcze obowiązuje dotychczasowy kodeks karny, a już Komisarjat Rządu zezwolił na otworzenie w Warszawie poradni zapobiegania ciąży. „Jasną jest rzeczą—czytamy w interpelacji Klubu Ch. D. w Senacie—że zapobieganie ciąży jest eufeminizmem dla przerwania ciąży... Nie potrzeba udowadniać, jak otwarcie tego rodzaju poradni szkodliwie wpłynie na moralność publiczną. Zresztą zabiegi zapobiegania ciąży odbiją się szkodliwie na organiźmie kobiety według zdań najpoważniejszych lekarzy jakoteż wedle statystyki sowieckiej, która wykazuje, że skutkiem takich zabiegów 30% kobiet w Rosji sowieckiej jest bezpłodnych. Wobec tego podpisani zapytują p. ministra, czy jest skłonny cofnąć udzielone przez komisarza rządu zezwolenie..." Pan minister dotychczas nie odpowiedział, ani zezwolenia nie cofnął.

Jest rzeczą notorycznie znaną, że grasująca od kilku lat w Polsce szajka nieukaranych dotąd przestępców prasowych, hołdująca t. zw., boizmowi"*), zohydza w sposób nieprzebierający w środkach religję i moralność, propagując zuchwale przestępstwa na tle seksualnym i wszelkie paskudztwa moralne. Ten nieznośny stan rzeczy — sprzykrzył się już nawet niektórym uczciwszym pismom radykalnym. Oto co pisze w „Robotniku" Karol Irzykowski o działalności Boya i jego zwolennika Słonimskiego:

„Otóż w żadnym innym kraju tylko w Polsce śmieszne rewelacje literackie Boya (o jeszcze jednej kochance Mickiewicza) nie stałyby się „rewolucją" zostałyby tem, czem są: przyczynkiem do życiorysu. I w żadnym innym kraju zasług Boya około rozpowszechnienia zasady świadomego macierzyństwa nie taksowanoby, jako zaslug literackich. Trudno zaś czołowym pisarzem demokracji robić człowieka, który występuje przeciw sądom przysięgłych lub usprawiedliwia paskudztwa—dwie zasługi, które p. Słonimski wstydliwie w tem miejscu przemilczał... Pan Słonimski nie czuje—chociaż jako generał od walk ze bzdurą, czuć by powinien—że nieustanna gadanina o walce z obłudą, czysto formalna, arbitralna, bez odpowiedniego aparatu socjologicznego, psychologicznego, filozoficznego, jest również swoistem żerowanięm na ludzkiej głupocie. (Proszę stwierdzić, ile razy w artykułach pp. Boya, Słonimskiego, Krzywickiej powtarzają się wyrazy „dema-

---

*) A. Nowaczyński nazwał to „boyszewizmem".

skować", „zakłamanie" itp. Np. wziąć artykuł p. Krzywickiej „Kontrola współczesności" w n-rze 45). Wytworzył się pod tym względem snobizm i nowy rodzaj—nie powiem: zakłamania, lecz zacietrzewienia, bardzo niebezpieczny, który trudno będzie odwikłać. Czy p. Słonimski nie widzi, że Boy stał się Świętoszkiem, a rebours, on sam, Słonimski, czy Skiwski, jego Orgonem, a ciocią Pernelle—pani Krzywicka?

To zlegendyzowanie Boya zaczynają już przykro odczuwać różni młodzi literaci i już sporo artykułów na ten temat się pojawiło (w „Prądach", w „Linji", w „Nowej Kronice", w „Gazecie Literackiej"). a jeszcze przedtem pisali o tem J. E. Płomieński i St. Kołaczkowski w swojej literaturze. Tylko p. Słonimski nic nie widzi, choć p. Krzywicka mówi o nim, że to jedyny (?) z młodych, który poczuwa się „do obowiązku kontrolowania współczesności". Ja go zresztą nie judzę—snać p. Słonimski, psioczący zresztą na wszystkich, potrzebuje w Boyu przedmiotu uwielbienia dla równowagi. Niech go Boy ma w swojej opiece! I niech Boy jak najprędzej dostanie już państwową nagrodę literacką, do której go „Wiadomości Literackie" na gwałt windują—może wtedy już przestanie ogłupiać literaturę polską swojemi śmiesznemi problemami".

Może wreszcie dojść do tego, że istotnie Boy dostanie państwową nagrodę literacką za swoje „paskudztwa". W czasach, kiedy Kostek-Biernacki jest wojewodą, Boy-Żeleński może śmiało pretendować do nazwy najwybitniejszego pisarza „państwowego".

Nie zamierzamy zresztą bynajmniej obrażać jednego, ani drugiego tym porównaniem. Trzeba im przyznać, obydwaj są „uniques en son genre", każdy z nich reprezentuje indywidualność pełną i skończoną w całym tego słowa znaczeniu. Kostek-Biernacki stał się historycznym, a ostatnio przeszedł także do literatury, wydając zbiór nowelek pod bardzo trafnym tytułem: „Djabeł-Zwycięzca", gdzie na str. 168 czytamy taki ustęp:

„Pokochał tę pracę jak kocha myśliwy szlachetny sport mordowania ptaków i zajęcy. Normalny człowiek zawsze tęskni za mordem, choćby w najgorszym razie tylko za mordem owadów. Jest to najstarsza i najszacowniejsza tęsknota ludzka. Objawia się ona najwyraźniej w tłumach, zarówno ludzi półdzikich, jak i o najwyższej kulturze ducha. Ciemne masy chłopskie dusiły panów w czasie przeróżnych ruchów społecznych, ale sejmy i senaty uchwalają kary śmierci i prawa wyjątkowe. Człowiek pojedyńczy jest o wiele więcej litościwy, bo boi się. W tłumie nabiera szczerej odwagi. Wicek był odważnym człowiekiem i konsekwentnym złodziejem. Po ucieczce z Lublina napadał na chłopów i żydów, bijąc ich dla przyjemności i dla wydobycia ukrytych pieniędzy, według starej metody śledczej, stosowanej do dziś przez państwowe organy nawet w Anglji i jej kolonjach. Krew swoją nazywają ludzie eliksirem, który ma jakoby niepojęte własności: z krwi rodzą się mściciele, krew obmywa z win, krew

woła o pomstę i t. d. W gruncie rzeczy krew działa dość umiarkowanie: widok jej jest niemiły dla niezainteresowanych, okropny dla tracącego ten eliksir, a bardzo przyjemny dla sprawcy mordu i zranienia".

W każdej narracji—pisze Nowaczyński o książce p. woj. Kostka-Biernackiego—stale dźwięczą i na pierwszy plan dobywają się dwa motywy zasadnicze: obsesjonalne—pierwsze: nienawiść do katolicyzmu i do duchowieństwa („popi nie lubią Piłsudskiego") rozszerzana gdzieniegdzie do całego chrystjanizmu i do religjanctwa, do etyki aryjskiej wogóle. A drugie: lubowanie się w deskrypcji znęcań się, pastwienia, bicia, mordobicia i wprost mordu. Bohater centralnej noweli Celestyn Okpimurek: „służył w brygadzie Piłsudskiego i oczywiście był poganinem". Ten poganizm i nienawiść obłędna do ideologji chrystjanicznej przebija z każdego wiersza. Anima naturaliter pogana. Odrzucanie bezwzględne charitas jak u teoretyków Hitleryzmu. Nienawiść do duchowieństwa wprost dławiąca od czasu, kiedy autor nowelowego pamiętnika „rozczarował się do adwokatów, prezesów, szlachciców, proboszczów i katolickich Polek". Wyszydza więc „posłankę panią Różańcową", „księdza katechetę Matołka".

„Nie jest rzeczą przypadkową, że zbiór nosi tytuł: „Djabeł zwycięzca". Mesjanizmowi polskiemu przeciwstawiony jest kult przemocy, gwałtu, siły fizycznej, pięści, buta kopiącego w brzuch powalonych i bata świszczącego nad bezbronnymi, Nietschego „Uebermensch", „blonde Bestie". To nie jest tylko przypadkowy zbiorek luźnie dobranych opowiastek, to jest sui generis confiteor".

Zarówno nazwisko autora, jak i treść książki musiały wywrzeć zrozumiałe wrażenie. Wobec jej rozgłosu uważał za stosowne zareagować organ Watykanu „Osservatore Romano", który podkreśla, że książka ta dyszy nienawiścią do Kościoła katolickiego i religji wogóle, a nawet nie brak w niej aluzji obraźliwych pod adresem Stolicy Apostolskiej, prawa moralne depce się, bohaterami nowelek są łotrzy, prostytutki i degeneraci, opinja katolicka protestuje przeciwko tej bezwstydnej książce, w wysokim stopniu kompromitującej urząd, który autor sprawuje.

Do tej przykrej wiązanki faktów dodajemy jeszcze taką wiadomość rozesłaną przez K.A.P.:

Jesteśmy w posiadaniu ankiety, rozesłanej przez Min, W. R. i O. P. (wydział programowy) do szkół średnich żeńskich z zapytaniami, dotyczącemi twórczości Stefana Żeromskiego. Ankieta skierowana jest do uczennic klas VI, VII i VIII. Wśród pytań zasługują na uwagę m. in. następujące:

O ile znasz „Dzieje grzechu", to co myślisz o postępowaniu Ewy (potępiasz ją, czy usprawiedliwiasz?). Uzasadnij.

Która scena z „Dziejów grzechu" utkwiła ci najbardziej w pamięci?

Czy wolisz Żeromskiego jako pisarza patrjotycznego, społecznego, czy też pociągają cię bardziej jego opisy przeżyć miłosnych, lub piękna natury?

Podobne tematy do dyskusji można czasami spotkać w brukowych pisemkach, obliczonych na niezdrową sensancję. Ale żeby najwyższa instancja państwowa, kierująca wychowaniem młodzieży, wciągała dzieci z klasy szóstej do dyskusji w sprawie „przeżyć miłosnych" lub żądała od nich wyroku na Ewę Pobratymską, a tem samem kazała im wgłębiać się wyobraźnią w brudach wielkomiejskiego życia,—to naprawdę trudne do wiary.

To też z wielu odpowiedzi uczennic p. wizytatorka Michałowska (podpisana na ankiecie) zapewne nie będzie zadowolona. Brzmią one: „Nie czytałam „Dziejów grzechu" i nie interesuje mnie ta książka".

Co na to ks. wiceminister Żongołłowicz?

Tak jest! Co na to X viceminister Żongołłowicz? Co na to inni ministrowie i dygnitarze? I nietylko na to... ale także i na tamto i na owo!

Nazbierało się w Polsce już dosyć brudów, atmosfera przesycona miazmatami. Kiedyż wreszcie będziemy mogli otworzyć okna i przewietrzyć...

Czy kogo może dziwić, że w takiej atmosferze mogły powstać projekty kodeksu małżeńskiego, karnego i t. d. Pewne czynniki powiedziały sobie wyraźnie, że obecny moment jest odpowiedni do przemycania rozmaitych rzeczy, bo w powietrzu aż ciemno od kurzu...

* * *

Pisaliśmy powyżej o grożącym nam niebezpieczeństwie umieszczecia w naszych kodeksach niesprawiedliwych i niemoralnych przepisów prawnych, sprzecznych z duchem i dążeniami narodu. Musimy jednak pamiętać, że nie mniejsze znaczenie od prawodastwa ma wykonywanie prawa. Instrumentem do tego przeznaczonym jest sądownictwo, jest to instytucja bazdzo ważna, niezbędna tkanka w organizmie społecznym, równocześnie i instrument bardzo delikatny, łatwo psujący się wskutek lada jakiej nieopatrzności ludzkiej lub błędu, a cał-kowicie zahamowany w swych dobroczynnych skutkach, gdy ktoś wkłada żelazny drąg między szprychy, lub miota piasek między tryby

i koła tej skomplikowanej i kosztownej maszyny. Można ją łatwo spaczyć i zepsuć, tak jak kompas na okręcie, zapomocą ladajakiego narzędzia, ale naprawa później drogo kosztować będzie...

Niedawno czytaliśmy w socjalistycznym „Robotniku" takie zestawienie faktów:

Przed niewielu miesiącami Sąd Okręgowy w Częstochowie rozpatrywał sprawę o pobicie aresztowanych przez policję. We Wrzosowej powiatu Częstochowskiego 2 posterunkowi wymuszali zeznania biciem. Podejrzanego o kradzież gołębi niejakiego Ujma bili posterunkowi batem oplecionym w sznur zakończony ołowianą kulą. Na posterunku P. P. znaleziono kilka lin drucianych, okutych żelazem i batów i złożono je Sądowi jako dowody rzeczowe. Oskarżał wtedy prok. dr. Karniol. Wziąwszy do ręki bat, którym katowano poszkodowanych mówił prokurator:

„To jest ten oto bat, którym w 1930 chłostano obywateli Rzeczypospolitej, tej samej Rzeczypospolitej, która już tyle wieków temu gwarantowała: neminem captivabimus nisi jure victum... Ten bat, leżący dziś na stole sędziowskim nie świstał tylko nad Ujmem i Zwolskim we Wrzosowej lecz świstał nad całą Polską. Wszyscy ludzie uczciwi wstydzili się, gdy słyszeli poświst tego bata z ołowianą kulą. I o ten wstyd i ból wszystkich uczciwych ludzi w Polsce, o krzywdę wyrządzoną całej Rzeczypospolitej"— tak zakończył swe przemówienie prokurator — oskarżam was panowie posterunkowi".

Z końcem sierpnia b.r. doręczono prok. drowi Karniolowi postanowienie ministra sprawiedliwości Michałowskiego, iż na mocy art. 242 § 1 prawa o ustroju sądów powszechnych przenosi się go z urzędu z Częstochowy do prokuratury Sądu Okręgowega w Kołomyji. Dr. Karniol zrzekł się urzędu i podał sie do dymisji'..

Oskarżeni byli: naczelnik sądą w Kętach Dymek i dwaj sędziowie tegoż sądu Dziomba i Rospond. Wytoczono im dyscyplinarkę o to, że podpisali swojego czasu protest przeciw Brześciowi.

W Bydgoszczy sprawuje urząd sędziowski sędzia Tomaszewski. Gdy na wokandzie znalazła się sprawa z oskarżenia przeciw redaktorowi „Gazety Bydgoskiej" za nazwanie Brześcia kaźnią i gdy oskarżony redaktor ofiarował dowód prawdy z więźniów brzeskich, jako świadków, sędzia Tomaszewski dopuścił ten dowód. Odebrano mu prowadzenie tej sprawy, przeniesiono proces do Torunia a sędziemu Tomaszewskiemu wytoczono kilka dyscyplinarek, między innymi o to, że w obecnym okresie oszczędności budżetowych wzywa... zbyt wielu świadków....

Fakty bardzo znamienne. Toczący się w oczach całego społeczeństwa „proces brzeski" rzucił na nasz ekran narodowy nową garść smutnych wydarzeń i refleksów. Zsumujmy to wszystko i zastanówmy się, do czego Polska dojdzie, gdy w dalszym ciągu w tym samym kierunku toczyć się będzie nasze życie wewnętrzne? Czy zdołamy w ten sposób rozbudować i udoskonalić instytucje nasze społeczne, czy też przeciwnie demoralizować będziemy je ciągle, aż doprowadzimy

do całkowitego upadku. Mimo woli przychodzi na pamięć pesymistyczne oświadczenie jednego ze świadków toczącego się procesu o ludziach, którzy wstępują w mrok i ciągną za sobą Polskę. Ciągną!...

*
* *

Przed dwoma miesiącami byliśmy świadkami żywiołowego odruchu młodzieży akademickiej skierowanego przeciwko inwazji żydowskiej na wyższych uczelniach. Spotkał się on z aplauzem i poparciem u jednych, a z bezwzględnym potępieniem u drugich. Spróbujmy zanalizować kilka charakterystycznych objawów.

Zaczęło się jak zwykle od prosektorjum. Żydzi nie dostarczają swoich trupów, chcą uczyć się na trupach chrześcijańskich. Gdy przyprzeć ich do muru w tej sprawie, powołują się na przepisy ich religji, które zakazują krajać trupy. Lecz jeżeli nie wolno im krajać trupów, to dlaczego krają zwłoki chrześcijań? Jeżeli zaś Talmud zwłoki chrześcijan krajać pozwala, to widocznie dlatego, że uważa chrześcijan za coś gorszego od żydów, za ulepionych z gorszej gliny, na co znowu żadną miarą przystać nie możemy, sprzeciwiałoby się to bowiem naszej godności! Sprawiedliwość więc objektywna jest po naszej stronie. Możemy żydom powiedzieć z zupełną słusznością: „Jeżeli wam nie wolno krajać zwłok waszych współwyznawców, to uczcie się na zwierzętach, albo wcale nie krajcie". Dziwna rzecz, że ta sprawa—tak prosta i jasna nie została dotychczas należycie unormowana przez władze. Wydanie odpowiednich przepisów w myśl wyżej wyłożonej zasady—pozwoliłoby uniknąć szeregu konfliktów i zaburzeń. Stan zaś dotychczasowy, że żydzi uczą się medycyny i chirurgji na ciałach zmarłych chrześcijan na podstawie niesłychanego wprost uroszczenia, że ciała autochtonów tego kraju są czemś gorszym i niższym od ciał ich współwyznawców—jest niemożliwy do zniesienia dla normalnego i szanującego się społeczeństwa! Bezczelnością w danym wypadku byłoby powoływanie się na zasadę równości wobec prawa przez tych, którzy tworzą w danej sprawie specyficzną grupę, mającą za zadanie niedopuścić do prosektorjów zwłok swoich współwyznawców i uzyskać w ten sposób szczgólny przywilej wobec studentów innych narodowości. To jest stała metoda

żydostwa, z jednej strony korzysta z wszystkich praw, przysługującym wszystkim, z drugiej zaś strony pragnie uzyskać przewagę nad resztą ludności zapomocą faktycznych przywilejów i monopoli.

Oczywiście prosektorjum—to jeden tylko fragment zagadnienia, które jest znacznie rozleglejsze i na głębszych opiera się przyczynach. Przyczyną zasadniczą są dwie różne kultury, między którymi leży nieprzebyta przepaść obcości. Zarówno religja jak i właściwości rasowe i narodowe, obyczaje, poglądy i aspiracje są u nas i u żydów zupełnie różne i sobie obce. Żydzi tworzą w Polsce samodzielną jednostkę narodowościową i kulturalną, która chociaż terytorjalnie rozrzucona jest po całym kraju, to wszakże odcina się i wyodrębnia zasadniczo od reszty obywateli. Niezdawanie sobie sprawy z tego faktu i z wypływających stąd konsekwencji może być tylko udziałem ludzi zupełnie płytkich i głupich, jakiemi są przeważnie fanatycy t. zw. liberalizmu.

W ostatnich czasach obserwujemy proces tworzenia się i narastania inteligencji żydowskiej w Polsce. Wprawdzie i przed wojną istniała inteligencja żydowska. Można było wówczas zaobserwować dwa jej typy: typ wykształconego w naukach talmudycznych bogatego i religijnego żyda z ghetta i typ asymilatora, który z całą energją dążył do połączenia się ze społeczeństwem polskiem. Obecnie jest już inna sytuacja. W społeczeństwie żydowskiem wzięły górę prądy nacjonalistyczne, pod których wpływem typ asymilatorów, rzadki zresztą i dawniej, zniknął zupełnie, a na ich miejsce mamy całe masy młodej inteligencji żydowskiej, przyjmującej zewnętrzny tylko blichtr otoczenia zgodnie z prawem mimikry (język, ubranie, rozrywka), natomiast kultywującej bardzo starannie i z całą energją wewnętrzne i istotne przejawy kultury semickiej i czy to w formie syonizmu i prądów nacjonalistycznych żydowskich, czy pod postacią komunizmu i prądów radykalnych przeciwstawiającej się bezwzględnie cywilizacji i kulturze autochtonów i gospodarzy tego kraju. Ułatwia im akcję i daje przewagę bogactwo i zamożność sfery handlowo-przemysłowej, z której wyszli. Jest to więc faktycznie zasilona przez finanse inwazja kulturalna.

Rezultatem zjawiska jest masowe tworzenie się inteligen-

cji żydowskiej, obejmującej coraz to nowe i szersze placówki życia, za tem idzie konkurencja zawodowa w urzędach i zawodach wyzwolonych, a więc do konfliktu na tle różnic kulturalnych dołącza się konflikt gospodarczy.

Oczywiście młodzież polska musiała na to zareagować, gdyby nie reagowała dałaby dowód braku szerszych aspiracji, braku sił żywotnych, niższości i słabości katolickiej. Chodzi o sposób reakcji o jej skuteczności...

Do tematu tego jeszcze powrócimy. Tak się bowiem złożyło, że świat znowu po przerwie kilkuletniej zaczyna się interesować kwestją żydowską... Na razie chcemy stwierdzić, że odruch katolickiej i polskiej młodzieży akademickiej był odruchem w zasadzie zupełnie zdrcwym i moralnym odruchem obrony zdrowego organizmu przed inwazją silniejszego finansowo przeciwnika o kulturze obcej naszej religji i naszemu narodowi, który zaczął już ciążyć swoją przewagą. Celowość i moralność poszczególnych fragmentów można oczywiście krytykować, jak zawsze podczas objawów zbiorowych. W r. 1923-4 hasło numurus clausus zostało wysunięte na uniwersytetach bez bicia. Przez te kilka lat jednak zmieniły się w Polsce zwyczaje. Obecnie doszło już do krwawych zajść i wybuchów namiętności, w których żydzi brali aktywny udział, jako społeczeństwo odznaczająbe się wschodnim temperamentem, a pozatem w ostatnich czasach bardzo w sobie zaufane, przeżywające renesans nacjonalizmu, przekonanie, że posiadane przez nie bogactwa z jednej strony, a uzyskane wpływy w komuniźmie i innych zjawiskach społeczno-gospodarczych z drugiej strony—zapewnią im przewagę nad narodem polskim. A no, zobaczymy...

S. J. K.

DZIAŁ LITERACKO - OPISOWY.

Nieco o Mozarcie.

Rok temu „Hosanna” podawała garść czczegółów o Beethowenie z racji 160-cio lecia jego urodzin, dziś wypada nieco pomówić o Mozarcie, gdyż 5 grudnia upływa lat 140 od śmierci jego. Ten wielki mistrz tonów zmarł w Wiedniu w 1791 roku, w wieku lat 35, nieledwie w nędzy, i pochowany został we wspól-

nym grobie (Armengruft) tak, że nikt dzisiaj nie wie dokładnie, gdzie spoczywają zwłoki tego największego po Beethowenie muzyka. Co za tragika w takim końcu świetnej karjery artysty, który zaczął w 5-tym roku życia, jako „cudowne dziecko", podziwianemi występami na dworach europejskich...

Wolfgang Amadeusz Mozart urodził się w Salzburgu 27-go stycznia 1756 roku. Ojciec jego, Leopold Mozart, był kapelmistrzem księcia-arcybiskupa tego miasta; z siedmiorga dzieci zostało mu tylko dwoje: córka Marja-Anna, zwana w rodzinie „Nannerl", muzykalnie wysoce uzdolniona, i młodszy o lat 5 synek „Wolferl". Ten ostatni mając zaledwie 4 lata już grał na fortepianie i na skrzypcach, i zaczął komponować choć ledwo umiał nuty stawiać na papierze i rozmazywał je paluszkami. Gdy dzieci miały 11 i 6 lat, ojciec wybrał się z niemi w podróż po Europie, aby, jak mówił, „pokazać światu te cuda Boże". Fenomenalne rodzeństwo występowało na koncertach z wielkiem powodzeniem, najpierw na dworze Monachijskim a potem Wiedeńskim, gdzie cesarzowa Marja-Teresa i jej dzieci serdecznie się zajęli małymi wirtuozami. „Wolferl", ubrany we fraczek bladolila złotem haftowany *), rzucił się na szyję cesarzowej, która mu ten uścisk dziecinny macierzyńskim pocałunkiem oddała. Trochę starszej od siebie arcyksiężniczce Marji-Antoninie, późniejszej nieszczęsnej królowej francuskiej, która mu uprzejmie pomogła powstać ze śliskiej posadzki, na której się był przewrócił, rzekł chłopczyna z całą powagą: „Jesteś dobra; jak dorosnę, to się z tobą ożenię!"

Następnego roku przyszła kolej na Paryż i Londyn. Wszędzie występy „cudownych dzieci" wywoływały podziw; sypały się drogocenne upominki, a Leopold Mozart pisał do żony w Salzburgu: „Możemy założyć sklep ze szpadami, koronkami, tabakierkami, zegarkami i spinkami; ale pieniędzy niema, i jestem prawdziwie w kłopocie, skąd ich wziąść!"

W Paryżu pani de Pompadour nie uważała za stosowne oddać dziecku pocałunkiem za serdeczne przywitanie, na co „Wolferl" zauważył: „Ta malowana dama nie raczyła mnie uści-

---

*) Zrobiony na miarę jego rowieśnika, małego arcyksięcia Maksymiljana, późniejszego arcybiskupa-elektora kolońskiego i dobroczyńcy Beethowena.

skać, a przecież cesarzowa austrjacka pocałowała mnie jak mamusia!" Za to córki Ludwika XV i królowa Marja Leszczyńska obsypywały „cudowne dzieci" pieszczotami i słodyczami, a papa Mozart pisał: „Byliśmy zaproszeni na obiad dworski do Wersalu; królowa posadziła mego syna tuż przy sobie, i sama mu nakładała na talerz. Mówi ona po niemiecku równie dobrze jak i my; a że król ani słowa nie rozumie, tłomaczyła mu dowcipy naszego Wolfganga".

W Londynie kapelmistrz nadworny króla Jerzego III-go, Job. Christian Bach, najmłodszy syn Sebastjana, stawiał dziecku rozmaite trudne zadania,—jak różnorodne improwizacje, transpozycje na trudne tonacje, akompanjament do śpiewu bez przygotowania itp.—a z wszystkich tych prób 7-mio letni artysta wychodził zwycięsko, tak, że Bach zachwycony zawołał: „Nie jeden kapelmistrz umiera nie umiejąc tego, co to dziecko już dziś potrafi!"

Jeszcze świetniejsza była druga podróż do Londynu w 1764 r. Królewska para i cały dwór angielski nie wychodzili ze zdumienia, patrząc na 8-mio letniego jasnowłosego chłopczynę, grającego na organach „a prima vista" najtrudniejsze utwory Bacha lub Händla i przebierajacego rączkami po klawiszach a nóżkami po pedałach z zadziwiającą zręcznością. Tu w Londynie napisał Mozart pierwszą swą symfonję i 6 sonat fortepjanowych, które dedykował królowej Karolinie.

Gdy mały wirtuoz skończył 10 lat, rodzina powróciła do Salzburga i ojciec zaczął z nim poważne studja. W 12-tym roku życia napisał Mozart pierwszą operę w stylu włoskim, „*La finta semplice*" (udana prostota) i pierwszą Mszę, którą sam dyrygował w Wiedniu, przy poświęceniu kościoła zakładu sierot (Waisenhauskirche). W r. 1769 ojciec zawiózł go do Włoch; podróż ta była prawdziwym pochodem triumfalnym. Kościoły w których Mozart grał na organach i teatra w których koncertował, bywały przepełnione. „Evviva il maestro! Evviva il maestrino!" wołano z zapałem. Operę jego „*Mitridate*" grano 20 razy z rzędu w medjolańskiej la Scala, a w Bolonji został przyjęty, po trudnym klauzurowym egzaminie, na członka Akademji „dei Filarmonici". W Rzymie Ojciec św. Klemens XIV odznaczył go orderem „Złotej ostrogi", co mu dawało prawo do tytułu „cavalliere". Tu miała miejsce sławna anekdota o wielkotygodniowem *Miserere*

Allegriego, które mały artysta spisał ukradkiem na dnie swego kapelusza, podczas jego wykonania w kaplicy Sykstyńskiej. *) Nabożeństwa wielkotygodniowe wywołały ogromne wrażenie na 13-sto letnim podówczas młodzieniaszku; w późniejszych latach lubił jeszcze opowiadać o tym swoim pobycie w Rzymie i o swych tamże przeżyciach: „*Wie mir de war! Wie mir de war!*"... (Jak mi tam było!) powtarzał wtedy z przejęciem.

W Neapolu wszystko się cisnęło do teatru San Carlo, aby usłyszeć „łabędzia salzburgskiego". Te wszystkie hołdy i powodzenia nie przewróciły jednak w głowie młodocianemu artyście, który zachował beztroski i naiwny umysł dziecinny. Do siostry już dorastającej, która pozostała przy matce w domu, pisze na przykład: „Czekam z upragnieniem chwili samotności, aby móc przewrócić parę koziołków..."

* * *

Nie będziemy tu opowiadać szczegółowo całego życia Mozarta: jego przykrych przepraw z nowym arcybiskupem salzburgskim, zarozumiałym, ograniczonym i małostkowym Hieroninem, który traktował Mozarta jak swego lokaja; ani jego zerwania z tym tyrańskim chlebodawcą, ani bolesnych zawodów na innych niemieckich dworach, w Monachium, Manecheim i Wiedniu, wreszcie osiedlenia się w naddunajskiej stolicy, ożenienia się z Konstancją Weber, ukochaną „Stanzi", — ani świetnej oferty króla pruskiego Fryderyka Wilhelma II, który mu ofiarowywał ogromną jak na owe czasy pensję 3000 talarów rocznie, jako nadwornemu kapelmistrzowi; z miłości dla swej austrjackiej ojczyzny, Mozart odmówił i po krótkim pobycie w Berlinie powrócił do swego ciasnego kółka, utrzymując się z lekcyj, koncertów i szczupłego dochodu swoich kompozycyj. A komponował niezmordowanie: sonaty, symfonje, ronda, kwartety, opery. Ale nas tu obchodzi głównie muzyka religijna Mozarta. Możnaby o niej powtórzyć, co Witte powiedział o utworach religijnych Beethovena: „Jest to muzyka religijna, ale nie kościelna". Mozart napisał niejedną Mszę, którą mieliśmy sposobność słyszeć w znakomitem wykonaniu, z pierwszorzędną orkiestrą i wybor-

---

*) Członkom kapeli papieskiej zabronionem było pod karą ekskomuniki udzielać komukolwiek partytury wykonywanych przez nich arcydzieł muzycznych.

nymi śpiewami w Drezdeńskiej Hofkirche, przed wojną, gdy jeszcze królestwo sascy z całą rodziną zasiadali w swej loży po prawej stronie wielkiego ołtarza, a z przodu zwisał kobierzec zdobny po rogach Orłami naszemi i Pogoniami. Słuchaliśmy z podziwem tego... koncertu w kościele, a liczni w Dreznie cudzoziemcy, zwłaszcza Anglicy i Amerykanie, przychodzili tłumnie na tę „catholic opera", jak słusznie nazywali tę audycję. Mimo wzorowego porządku, utrzymywanego przez szamerowanych srebrem zielonych szwajcarów (kolory saskie), mimo rozdziału niewiast od mężczyzn, zajmujących (jak zwykle w Niemczech) jedne prawą, drudzy lewą stronę barokowej nawy, miało się wrażenie raczej sali koncertowej niż katedry. Amerykanie, mimo upomnień szwajcarów, odwracali się co chwila plecami do ołtarza, na którym w sześciu kolosalnych szczerosrebrnych świecznikach płonęło sześć nieprawdopodobnej grubości czysto woskowych świec, aby szukać lornetką na chórze soprana lub alta śpiewającego cudowne *solo* przy wtórze anielskich smyczków.... A tymczasem na ołtarzu sprawowała się Najświętsza Ofiara, prawie niepostrzeżenie dla tłumu zasłuchanego w czarowne Mozartowskie tony, i tylko od czasu do czasu srebrny dzwoneczek, oraz cichy, ginący w oddali głos kapłana śpiewającego prefację przypominał, że się jest w kościele, na Mszy świętej.... A przecież ten sam Mozart wyrzekł kiedyś te znamienne słowa: „Oddałbym całą moją twórczość za jedną gregorjańską prefację!"

Ostatniem dziełem Mozarta było słynne „*Requiem*", pisane w tak niezwykłych okolicznościach, że stało się wprost legendarnem.

Mozart miał głęboko religijną duszę; uczucie to przejął po wierzących i praktykujących rodzicach;*) mówię „uczucie", bo wykształcenie jego religijne było dość powierzchowne, wiara dziwnie nieoświecona, jeśli mógł pod koniec życia zapisać się do wolnomularzy, co mu nie przeszkadzało chodzić nadal do kościoła i komponować Mszę; uważał je — jak wielu współczesnych — za stowarzyszenie ideowe, humanitarne, filantropijne i nie domyślał się wcale jego ukrytych wywrotowych celów. Potrafił nawet namówić swego zacnego ojca do przystąpienia do

*) „Nach Gott kommt gleich der Papa" — pisze gdzieś.

sekty; a jakim był ten ojciec, to widzimy z następującego urywku listu do syna, który jako młody chłopiec wybierał się z matką w powtórną podróż do Paryża: „Życzę ci, synu, łaski Bożej, któraby ci wszędzie towarzyszyła, i nigdy cię nie opuszczała. Tak, ona cię nigdy nie opuści, póki będziesz pilnie spełniał obowiązki chrześcijanina-katolika".

Wśród gorączkowej pracy nad „*Fletem żaczarowanym*"— który jest, jak wiadomo wyidealizowanym obrazem wolnomularstwa, — w maju 1791 r. zjawił się pewnego księżycowego wieczora w mieszkaniu artysty na Rauhensteingasse jakiś wysoki, chudy mężczyzna w popielatem ubraniu, i przyniósł w zapieczętowanej kopercie zamówienie na uroczystą Mszę żałobną; list był napisany wytworną ręką i w bardzo pochlebnych dla Mozarta wyrazach, ale bez podpisu. Poradziwszy się żony, bez której wiedzy nic nie przedsiębrał ważniejszego, Mozart przyjął zamówienie, i zażądał za wykonanie.... całych 50 dukatów. Nieznajomy odszedł i powrócił nazajutrz o tej samej porze z żądaną sumą, obiecując dopłatę po skończeniu dzieła. Gdy Mozart chciał się dowiedzieć, kto właściwie zamawia owo *Requiem* usłyszał odpowiedź: „Niech mistrz się o to nie dopytuje, bo i tak wszelkie jego usiłowania spełzną na niczem". *)

Mozart od niejakiego czasu czuł się chorym: zawroty głowy, ogólna niemoc, nagłe puchnięcie rąk lub nóg, zimne poty, plamy na całem ciele, które zjawiały się bez widocznej przyczyny i taksamo znikały bez śladu, — wszystko to dziwnie go niepokoiło i wprawiało w zabobonny nastrój; miał on wielu wrogów, którzy mu zazdrościli geniuszu, zwłaszcza całą wiedeńską klikę muzyków włoskich z Salierim na czele, którzy byliby go chętnie utopili w łyżce wody. To też, gdy te niepokojące objawy zaczęły się coraz częściej powtarzać, powstało w jego umyśle podejrzenie, iż jest otrutym. Z początku nie mówił o tem nikomu, lecz wreszcie zwierzył się swojej „Stanzi", która z przerażeniem skonstatowała, iż z jej mężem coś dziwnego się dzieje, — mianowicie od podróży obojga małżonków do Pragi gdzie z wielkiem powodzeniem wystawiono jego operę „*La cle-*

---

*) Dzisiaj wiadomo, że zamawiającym był hr. Walsegg, wiedeński meloman, który chciał mieć to „Requiem" na rocznicę śmierci swej niedawno zmarłej żony, aby się niem popisywać jako swoim własnym utworem.

menza di Tito", do libretta Metastasia na koronację Leopolda II napisaną. Gdy wsiadał z żoną do powozu, aby się udać na premierę do stolicy Czech, pewnego pięknego sierpniowego wieczora 1791 r. wyrósł nagle jak z pod ziemi tajemniczy szary jegomość, — „der lange Graue" — i zapytał go z zagadkowym uśmiechem, kiedy *„Requiem"* będzie gotowe? — Mozart odpowiedział mu, że skoro tylko z Pragi powróci, zabierze się natychmiast do pracy. Spotkanie to wywarło na artyście niepokojące wrażenie, od którego i pani Konstancja nie mogła się obronić; a w Mozarcie rosło przekonanie, że to *„Requiem"* będzie ostatniem jego arcydziełem. Myślał o niem dzień i noc, a po powrocie z Pragi pracował nad niem jednocześnie z *„Fletem zaczarowanym"*, który wreszcie wystawiono w Wiedniu 30 Września. Powodzenie było ogromne, a wielki kompozytor, który miał już tylko 2 miesiące życia przed sobą, mógł sobie powiedzieć, że teraz nareszcie zabłysło mu w jego własnej ojczyźnie słońce sławy, które tak jasnemi promieniami złociło jego dziecinne i młodzieńcze lata zagranicą.

Teraz mógł całą swą siłę obrócić na pisanie *„Requiem"*; pracował nieraz do 2-giej w nocy z gorączkowym pośpiechem; *„Introit"* i *„Kyrie"* były już gotowe,—więc zabrał się do sekwencji. Potężny średniowieczny poemat Tomasza z Celano owładnął jego duszę, a fantazja, pobudzona groźnym dźwiękiem łacińskich tercyn, pracowała nad muzyczną szatą dla tego niezrównanego tekstu. Wstrząsające akordy strofy: *„Gere curam mei finis"*, błagalna modlitwa: *„Lacrimosa dies illa"* — snuły mu się w gorączkowych widzeniach; nieraz budził się z krzykiem wśród okropnego koszmaru, zrywał się, zapalał świecę i stawał w bieliźnie przy pulpicie kompozytorskim, aby rzucić na papier genialny pomysł muzyczny, który mu się we śnie zrodził. Potem rzucał się wyczerpany na łoże,—a Stanzi, wchodząc rano do pokoju męża, zastawała go ciężko dyszącego lub jęczącego przez sen, świecę wypaloną do cna, a na biurku rozrzucone liczne arkusze, zapisane drobniutkiemi nutami.

Zbliżamy się do końca.

Pewnego pięknego dnia listopadowego pp. Mozartowie udali się na spacer do Prateru; złote i purpurowe liście padały cicho z drzew, strącane niewidzialną ręką; ostatnie promienie popołudniowego słońca słały się na zielone jeszcze trawniki; ciepłe

powietrze jesienne przesiąknięte było tą znaną wonią cmentarną, budzącą smętne myśli w sercu człowieka. Mozart ujął rękę żony i zaczął poraz pierwszy mówić jej o swojej bliskiej śmierci, o wiecznem rozstaniu. „Wiem—kończył ze łzami w głosie, — że to moje *„Requiem”* piszę dla siebie. Czuję się bliskim końca... Otruto mnie... nie mogę się pozbyć tej myśli”.

Pani Konstancja spojrzała z lękiem na męża: był szaroblady, a błękitne jego oczy przygasły. Powróciwszy do domu położył się, aby więcej nie wstać; symptomaty tajemniczej choroby występowały coraz silniej, lecz chory nie tracił ani przytomności, ani swej wrodzonej miłej uprzejmości Ciągle mówił o swem *„Requiem”* i naszkicował je w głównych zarysach aż do końca *) lecz nie było mu danem wykończyć je samemu.

W przeddzień śmierci popołudniu przyszło do niego kilku przyjaciół: sopran, bas i tenor z jego *„„Louberflote”*. Mozart zapragnął usłyszeć choć raz swoje *„Dies irae”*: sam wziął alt, i dyrygując z łóżka, zaczęli we czterech śpiewać słynną sekwencję. Doszli do przepięknege *„Lacrimosa”*,— gdy wtem Mozart odłożył na bok partyturę, zasłonił twarz rękoma i zaczął rzewnie płakać. Przyjaciele zamilkli, owładnięci złowrogiem przeczuciem.

Pod wieczór stan chorego nagle się pogorszył; wezwano księdza, ale długo trzeba było szukać: odmawiali jeden po drugim niesienia ostatniej pociechy... wolnomularzowi...

Około 1-szej w nocy zmarł genjalny artysta w objęciach żony i bratowej, osierocając czworo drobnych dziatek.

W spuściźnie jego znaleziouo tylko 69 florenów. Przeto sprawiono mu jaknajskromniejszy pogrzeb; żaden z przyjaciół nie dotrwał do końca smutnego obrzędu: zawrócili od bramy cmentarnej, dla błota, deszczu i niepogody. Stanzi nie mogła oddać mężowi ostatniej posługi, przed bliskiem przyjściem na świat córeczki; a gdy w jakiś czas potem udała się na cmentarz, aby pomodlić się na mogile, nie mogła jej odszukać. Pokazało się bowiem, że właśnie zmieniono grabarzy, a nowi nie wiedzieli dokładnie, gdzie złożono przed miesiącem zwłoki niejakiego Mozarta...

---

*) „S a n c t u s” i „A g n u s” zorkiestrowal Süssmayr, uczeń i przyjaciel mistrza, wedle ostatnich wskazówek jego.

W 100-letnią rocznicę jego śmierci, miasto Wiedeń wzniosło mu wspaniały pomnik marmnrowy na cmentarzu St. Marx, na tej „kwaterze”, na której przypuszczalnie został pogrzebany, Lecz dopiero na odgłos trąby archanielskiej dowiemy się dokładnie, gdzie leżały prochy wielkiego czarodzieja tonów, gdy

Tuba mirum spargens sonum
Per sepulchra regionum.
Coget omnes ante thronum. *S. M. R.*

Lisieux a piśmiennictwo.

Wśród licznych dobrodziejstw, jakiemi św. Tereska obdarza nieustannie ludzkość, wśród deszczu róż, spływającego na nas wonną falą z wysoka, pobłyskują też kartki wielu ślicznych dzieł, powstałych pod Jej wpływem i ku Jej czci. Bogaty plon na niwie piśmiennictwa wyrósł dzięki wizytom w Lisieux i to nietylko pod piórem katolików, żeby tylko przytoczyć książkę pani Delarne-Mardrus, niewierzącej powieściopisarki francuskiej o św. Teresce. Na niektóre z jej poglądów zgodzić się nie można z punktu widzenia katolickiego, nie rozumie bowiem umartwienia, głębszej pracy nad sobą ani życia zakonnego, niemniej jednak dzieło jej jest hołdem oddanym cnotom św. Tereski i trafiło z pewnością do domów i rąk zamkniętych dla sztandarowo katolickiej literatury.

Św. Tereska tak wyrozumiała i czująca po ludzku nie pogardziłaby tym darem.

Z poruszenia najgłębszych umartwień duszy powstała książka pastora angielskiego Vernon Johnson'a p. t. „One dord — one faith. (Jeden Bóg — jedna wiara). Johnson był bardzo gorliwym anglikaninem, prawdziwym apostołem wśród swoich. Najmniejsze powątpiewanie o prawdzie wyznawanej przezeń religji nie przychodziło mu do głowy. Pojechał do Lisieux, wiedziony ciekawością na skutek przeczytanej autobiografji świętej p. t. „Dzieje duszy". Źródłem jego nawrócenia była jednak „mała święta” tylko pośrednio, przekonała go o prawdzie katolicyzmu jedyność i powszechność kościoła rzymskiego, których wspaniałe i niespodziewane unaocznienie

miał w Lisieux. Wszystkie bo narody, języki, rasy i stany spotkał u stóp świętej Tereski, wszyscy słuchali w ten sam sposób tej samej Mszy św., przystępowali do tych samych Sakramentów św., znaczyli skronie wodą święconą, czcili Matkę Najświętszą i Świętych. Ta jednomyślność i łączność różnorodnego tłumu zachwiały jego dotychczasową spokojną pewnością wyznaniową a że był z gruntu prawym i w myśli i w czynie, zaczął dociekać i badać pisma Ojców i Doktorów Kościoła. Doszedł do tego samego wniosku do jakiego doprowadziły studja religijne ojca konwertytów anglikańskich kardynała Hewmana, pozostawała mu tylko jedna droga: przejście na łono katolickiego kościoła. Johnson pojechał do Rzymu, by tam otrzymać z rąk prawowitej władzy święcenia kapłańskie. Dzieje swej duszy opisał w autobiograficznem dziele; widzimy drogi, jakiemi umysł Vernon'a przechodził od pierwszych powiątpiewań w prawdę własnego wyznania do niezachwianej pewności i wiary w boskie posłannictwo Kościoła rzymskiego, współczujemy boleści konwertyty, gdy porzucać musiał to wszystko, co stanowiło treść jego dotychczasowego życia.

Złotą nicią przewija się przez opowiadanie imię Świętej z Lisieux, ciche mury Karmelu, pogodna siedziba Jej dziecięcych lat „Ses Bnissonnets". Nie brak i odwiedzin u siostry świętej, obecnie przełożonej Karmelu.

Inny charakter ma książka o uprzywilejowanym słudze św. Tereski, lotniku wojskowym w czasie wojny światowej a potem misjonarzu u Paupasów, księdzu Bonrjade. Czyta się ją z niesłabnącem zainteresowaniem do końca. Napisana świetnie, z artystycznem wirtuozowstwem ma miejscami czar właściwy utworom muzycznym o powtarzającej się, przepięknej zasadniczej melodji. Czasami znów rzuca z kinematograficzną szybkością na ekran naszej uwagi świetne obrazy walk powietrznych lub mroczne i dzikie wnętrza pieczar, które Papuasom służą jako mieszkanie. I na kartach tej książki króluje wszakże św. Tereska.

W nowicjacie w Fryburgu przeczytał Bonrjade „Dzieje duszy". Odtąd książka ta towarzyszyła mu stale. W kasarni, w okopach, dokąd go zawiodła wojna światowa z ciszy nowicjatu, w służbie lotniczej i na niegościnnych wybrzeżach Papuazji zawsze ją będzie miał pod ręka. „Bez św. Tereski

zrozumieć Bonrjade'a nie można" pisze jeden z jego towarzyszy ze Zgromadzenia Ojców Misjonarzy z Issondun Bonrjade nazywał się sam „pilotem św. Tereski" jej obraz przyozdabiał Spad'y i Nieuport'y, na których wzlatywał a tak zwany „czarny zeszyt" był powiernikiem otrzymywanych od Niej łask i modlitewnikiem zarazem. Bonrjade był bardzo dzielnym, bohaterskim lotnikiem.

Odniósł 28 zwycięstw powietrznych nad Niemcem, był 16 razy cytowany za waleczność i otrzymał krzyż oficerski Legji honorowej. W prostocie swej bał się pychy i miłości własnej: „Nie pozwól" zwierza się w zeszycie świętej „bym z tej chwały ludzkiej, którą zyskuję, zatrzymywał cokolwiek dla siebie jako własną zasługę". W chwilach najgorętszej walki i naprężenia wszystkich nerwów, w obliczu zewsząd czyhającej śmierci żyje Bonrjade w promieniu Jej opieki. „Ryk armat całej Europy" — powiada Peyriller — „nie zagłuszył cichego głosu św. Tereski". „Dzieje duszy" żywiej stoją mu przed oczyma, niż karty historji, które piszą się przed jego okiem „we krwi i łzach, wśród szczęku broni i bolesnych jęków konających".

Zaraz po zawieszeniu broni spieszy Bourjade do Lisieux oddać św. Teresce odznaki uzyskane. U stóp Jej pamięta o tych, którzy nie doczekali powrotu. Wie z doświadczenia, że ku Niej, królującej w wiecznych przybytkach, wznosiły się przedśmiertne modlitwy ludzi, których chwila każda stawiała u progu wieczności. Peyriller opisuje ślicznie rozmyślania Bourjade'a na widok ciemnych krat chóru karmelitańskiego w jasnej świątyni, którą porównuje do statku. Po jednej stronie—powiada—są podróżni, beztroscy; obojętni na ciężką pracę tych, którzy okrętem kierują. Załoga mozoli się po drugiej stronie kraty, na spodzie statku wśród sprężyn, śrub i motorów... Na pokładzie bawią się i śpiewają, lecz na dole bije serce okrętu. I dzięki załodze na posterunku za surową kratą posuwa się na bystrych wodach dziejów niezwyciężona flota Chrystjanizmu".

Nastrojowo opisuje Peyriller pobyt misjonarza Bourjade u Papuasów. Widzimy ciągły, nieustanny trud kapłana, niewdzięczną pracę bez pozytywnych rezultatów, jakoby pogrzebanie żywcem bohaterskiego i znanego lotnika. Osłodą w cięż-

kich „terminach" wewnętrznych i z zewnątrz przychodzących jest mu św. Tereska. Zaraz po przyjeździe notuje w czarnym zeszycie: „Zachowałaś mnie wśród zgiełku bitew od zasadzek wrogów, uratowałaś później od sideł zakładanych przez dobrze mi życzących... zachowaj mi twoja opiekę u progu tej wyspy niegościnnej, błagam Cię, niechaj sobie w imię Twoje utoruję drogę do dusz. Spraw też, bym na niej był, jak ten proch nieużyteczny, zdeptany przez niewiernych w ich pochodzie ku Bogu".

Modlitwa jego została wysłuchaną. W 3 lata niespełna apostolskiego życia w Papuasji konał w szpitalu na wyspie Vort-Le'on jeden z najświetniejszych lotników Francji. Na zasłonie od komarów zawieszonej nad jego łóżóiem przyszpiliły Siostry obrazek świętej z Lisieux. Jak niegdyś walczył w powietrzu pod Jej znakiem i zwyciężał, tak i w tej ostatniej walce na ziemi tarczą mu była i obroną...

Wiele jeszcze ślicznych myśli, podanych w wyborowej szacie językowej zawiera książka Peyriller'a a unosi się nad nią promienna wizja św. Tereski, która wybranym swoim nie same deszczyki róż zsyła na ziemię lecz zato najostrzejsze ciernie zamienić im potrafi na złote strzały miłości.

Celina Stoińska.

U progu wielkich rocznic literackich.

Tak się składa, że Polska, przeżywająca obecnie tragiczny kryzys ducha i kultury narodowej, równocześnie znajduje się w okresie wielkich rocznic narodowych. Uroczystości Pieśniarza czarnoleskiego, stulecie wielkiego Czynu Nocy listopadowej, pamiątka płowiecka—oto trzy największe filary rocznic ostatniego trzechlecia.

Ta wiązanka, przeplatana szeregiem drobniejszych ale nie mniej ważnych uroczystości z dziedziny naszej polskiej kultury narodowej, jeszcze się nie skończyła. Przeciwnie, zapowiada się wcale bujnie.

W roku bieżącym, tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim

wysuwają się na plan pierwszy niezawodnie trzy wielkie rocznice literackie, przypominające nam i Serce kochające za miljony i Krzemień gorący, co wypala ogniem sarkazmu winy narodowe.

Rok 1932 to dla Polaków rok Mickiewicza i Wyspiańskiego. Sto lat upływa od chwili narodzin „Dziadów części III" i „Ksiąg narodu i pielgrzymstwa polskiego". Ćwierćwiecze zaś mija, gdy zastygło snem wiecznym płomienne pióro autora „Wesela" i „Wyzwolenia".

Każda rocznica narodowa krzepi nasze serca, pobudza myśl naszą ku lepszej i intensywniejszej służby ojczystej. Kto nie zaprzedał się martwemu egoizmowi, kto ma choćby iskierkę poczucia dla wielkiej i świętej sprawy ojczystej, nie przejdzie obojętnym krokiem koło tych słupów granicznych i tablic orjentacyjnych, mówiących nam o POLSCE, ale stanie i przyjrzy się im dokładnie, posłucha, co one mówią i w dalszej drodze ich radą kierować się będzie.

Rocznice tegoroczne, Mickiewicza i Wyspiańskiego, uczcijmy godnie, jak przystoi na synów wielkiego Narodu. Niech nie przejdą głucho dni wzniosłych wspomnień. Wszak tak bardzo nam potrzeba wzmożenia sił w narodzie, tak bardzo nam potrzeba silnego fundamentu wiary w naród i w naszą kulturę narodową. Uczcijmy ten rok choćby prostem przypomnieniem tylko potężnych idei i płomiennych serc. Sięgnijmy do krynicy ich dzieł. Czerpajmy stąd tę świętą naukę, jak należy kochać i służyć Ojczyźnie. Od Mickiewicza i Wyspiańskiego dowiemy się, że Polska to nie „dom publiczny" ani „naród idjotów", ale „Polska—to jest wielka rzecz", którą kochać należy całą głębią duszy. Oni to, Mickiewicz i Wyspiański, powiedzą nam, że naprawę Rzeczyposspolitej należy rozpocząć nie od armat, bata i kaźni, ale od odrodzenia samego siebie. „O ile polepszycie i powiększycie dusze wasze—o tyle powiększycie prawa wasze i powiększycie granice wasze".

Niechże ten rok obecny dla nas, przyszłości narodu, będzie rokiem rekolekcyjnym w przededniu objęcia duchowego nad narodem władztwa. Rozczytajmy się w „narodowej ewangelji", która kiedyś serca naszych ojców krzepiła. Zgłębimy

kopalnię ideowych ziarn zawartych w dziele drezdeńskiem. Wydobądźmy zeń, co i dzisiaj nie jest pozbawione aktualności i wartości. A będzie tego niemało! Wsłuchajmy się w potężny głos krakowskiego Mistrza, byśmy nareszcie zrozumieli tego największego z pośród poetów Młodej Polski. Nie tylko zrozumieli — ale byśmy także wyzbyli się wreszcie tych wad i grzechów, za które przecież tak ciężko pokutowaliśmy i jeszcze pokutujemy, a które tak bezlitośnie i stanowczo chłoszcze podwawelski Stańczyk.

Nauka nasza w roku bieżącym, którą odbywać mamy pod duchowem kierownictwem tych dwóch wielkich nauczycieli narodu tem lepsze i wartościowsze przynieść powinna owoce, że obaj oni względem sprawy ojczystej z dwóch wręcz przeciwnych wychodzą założeń. Ale obu ich łączy jedno wielkie ukochanie Narodu—Polski. Patrząc z perspektywą lat na dwa te bieguny, mamy możność zestawiania ich zapatrywań i rad oraz możność doboru tego, co doświadczenie osądziło jako dobre i pożyteczne.

Z tego punktu widzenia przedewszystkiem zabierzmy się do uczczenia wielkich rocznic. A potem pamiętajmy i o walorach artystycznych i tych wszystkich momentach, które wychodzą poza element narodowy. Przytem nie zapomnijmy także o setnej rocznicy śmierci księcia poezji niemieckiej, o Goethem, który przecież niemały wywierał wpływ na literaturę polską, m. in. i na Mickiewicza.

A. F. Kowalkowski.

SPRAWOZDANIA I RECENZJE.

Dzień milczenia Gandhiego — upomnieniem dla chrześcijańskiego zachodu. Pod takim tytułem zamieszcza wiedeńska „Schoenere Zukunft" w № 4 z 25 paźdz. b. r. w dziale kultury następujące uwagi:

— Gandhi, przywódca ruchu o niepodległość Indyj, nie wyrzekł się swego ascetycznego, prostego sposobu życia nawet w Londynie, gdzie bierze udział w pertraktacjach wielkiej konferencji celem ułożenia nowej konstytucji dla Indyj. Przychodzi na wszystkie posiedzenia w stroju rodzimym, hinduskim, a raz nawet zachowywał milczenie przez cały czas konferencji,

gdyż to był jego tygodniowy dzień milczenia. Wychodzące w Bazylei czasopismo „Schildwache” łącznie z tem pisze: „Jakież głębokie wrażenie musiał ten hinduski poganin wywołać na „wypolerowanych” mężach stanu! Głębiej myślący wśród nich popadli może w zakłopotanie, pobudzające ich do gruntownego rachunku sumienia! Człowiek, który dzisiaj jest potęgą, przed którą drży dumna Anglja, ani w najdrobniejszej części nie zapiera się swego pochodzenia, swego rodzinnego stroju, swych religijnych zwyczajów. A chociaż toczą się ważne sprawy o jego indyjską ojczyznę, on przestrzega swój tygodniowy dzień milczenia. Będzie miał jeszcze dosyć czasu do mówienia! Dla niejednego katolika ten poganin może być przykładem. Jednakże powinno być raczej odwrotnie, w myśl woli i nakazu Jezusa: Tak niechaj świeci światłość wasza przed ludźmi, aby widząc dobrze uczynki wasze, chwalili Ojca waszego, który jest w niebiesiech. Jakżeż bardzo przydałby się podobny dzień milczenia w tygodniu nowoczesnym ludziom kultury zachodniej! Jakiem wybawieniem byłby taki tygodniowy dzień milczenia, nałożony naszej dzisiejszej gadatliwej prasie codziennej i jeszcze bardziej paplającemu radjo! Przyjdzie może czas, że powrócimy do średniowiecznego ideału klasztornego milczenia. Bardzo a bardzo nam potrzeba mniej mówić i pisać, natomiast więcej modlić się i działać”.

Przełożył *A. F. K.*

Janina Chojecka „Opętańcy“. Do literatury pamiętnikarskiej o przewrocie bolszewickim na Ukrainie przybyła książka p. Chojeckiej. Dziwna rzecz, że ten bolesny temat specjalnie sobie upodobany kobiety, na dowód wystarczy choćby przypomnieć o „Pożodze” Kossak-Szczuckiej i „Burzy od wschodu” Dunin-Kozickiej. Opowieść p. Chojeckiej jest rozmiarami szczuplejsza od wyżej przytoczonych prac; ustępuje także p d względem momentów artystycznym „Pożodze”. Niemniej jednak zawiera w sobie cały szereg momentów, dzięki którym zasługuje na uważn przeczytanie. Na 126 stronach rozsypane są perełki — wysokiej miary partjotyzmu i głębokiej wiary.

Rodzina p. Chojeckiej straciła w odmęcie rewolucyjnym majątek rodzinny i bogate zbiory muzealne, będące wyn kiem pracy całych pokoleń. Przez parę lat żyli pod grozą śmierci, cudem wyrwani z krwawych opresji, a mimo to ani śladu rozpaczy, zwątpienia w miłosierdzie Boże, przeciwnie ufne poddanie się wyrokom Opatrzności. Nie mogę sobie odmówić, aby nie zacytować choć kilku wierszy z tych kart naprawdę podziwu godnych: „Byłam przeświadczona, iż odzyskanie Wolnej i Niepodległej Ojczyzny musimy okupić zupełną ofiarą i wyrzeczeniem się wszystkiego' W tym też duchu wlokłam ochoczo, coprawda ciężką taczkę ówczesnej naszej egzystencji”. „Każde pokolenie musi „Macierzy* swą daninę spłacić. Pradziad mój, Jan Nepomucen Chojecki, pro publico bono prawie cały majątek stracił w czasie Targowicy. Dziad mój, Piotr, był na zesłaniu w Woronężu przez lat siedem. Ojciec mój rok 1863 przeżywał, teraz na nas kolej*. „Mniej więcej każdy w swem życiu przetrwać musi okres kiedy to życie zdaje się być nie miłosiernem dla niego. Kiedy to cios za ciosem wali, grom za gromem ściga. I zda-

je się, że już wszystko opuszcza człowieka. Lecz jeśli ten człowiek ma silną wiarę, wie dobrze, że choć wszystko go opuści, jest ktoś, kto nad nim czuwa i właśnie w tych ciosach, w tych gromach niesie mu skarby nieocenione. Bóg przez te chwile cierpienia wypala w duszach naszych złoto czystej miłości i poświęcenia oczyszcza je z zarozumiałości i samolubstwa. I jeśli ten człowiek podda się ochotnie pod to dobrotliwe działanie pomału, nim się spostrzeże, niebo jego rozjaśnia się, gromy przestają się walić i widzi, że podniesiony na duchu, płynie spokojnie oceanem życia, sterowany niewidzialną ręką. Tak było z nami".

I taką niczem niezachwianą ufność w Sprawiedliwość Bożą mają ludzie którzy widzieli iście dantejskie sceny. Ilustracją niech będzie opis lokalu czerezwyczajki w Kijowie: „Pod szopą leżał jakby król tych męczenników cały zczerniały. Na skroniach, w pasie na rękach i nogach jego były zaciśnięte żelazne obręcze, które widocznie były nakładane nieszczęśliwej ofierze rozpalane do czerwoności. Liczne ślady poparzeń o tem świadczyły. Obok niego stał oparty o słup kadłub człowieka z odpiłowanemi nogami powyżej kolan. Odjęte członki rzucone były tuż. Dalej jakaś nieszczęsna ofiara, rozpłatana na dwoje przez całą długość ciała; wyrzucone wnętrzności poniewierały się opodal. Niedaleko młoda jakaś kobieta z odciętemi piersiami, przy niej niemowlę, z odciętą piersią matki na urągowisko wtłoczone w zsiniałe usteczka.

Tuż zwłoki jakiegoś męczennika, z całym ustępem winy na piersiach wypisanym ogniem. Dalej znowu głowa przeszyta kilku olbrzymiemi gwoździami. Tam cała bratnia mogiła rozwarta, z której przeraźliwy fetor wydobywa się. Mimo tego krewni starają się rozpoznać swych nieszczęśliwców. Lecz jak tu rozpoznać? Ten bez głowy, ten bez rąk i nóg! Ów ma głowę, lecz oczy wyłupione, uszy obcięte, język wyrwany. Tamten z całego ciała skórę ma zdartą! Inny jeszcze na węgiel spalony! Jednem słowem ogrom męczeństwa i niedoli. Piekło najbardziej wyrafinowanej zbrodni Tło obrazu stanowiła stajnia, w której dnia poprzedniego rozstrzelano tych, których dręczyć już nie zdążono, bo Denikin miasto zajmował. Skrzepłej posoki ludzkiej i mózgów rozbryzganych na cementowej posadce stajni było od pięciu do ośmiu centymetrów grubości".

Na zakończenie przytoczę po mistrzowsku skreślony obraz entuzjazmu, jaki ogarnął autorkę na widok wojska Polskiego wchodzącego do Kijowa: „Serce łomotało mi jak młot w piersiach. łzy rozrzewnienia cisnęły się do oczu, wzruszenie ściskało mię za gardło, z duszy wyrywał się potężny hymn wdzięczności w niebo: Boże Wielki, Boże Dobry, Boże Sprawiedliwy. Więc zaiste słowo ciałem się stało. Polska jak feniks z popiołów powstaje! Dzięki! Dzięki Ci Panie! Nietylko z martwych powstaje, lecz powstaje odrazu potężna i imponująca! Więc wejrzałeś, Panie, na krew, łzy, wysiłki i wzdychania pokoleń tylu. Więc przyjąłeś ofiarę całopalenia synów i cór udręczonego narodu! Więc tak! to polska, polska zaiste, polska armja"!

Z. Pr

Schwaller. Kanisius, unser Glaubensretter. Kanisius-Werk. Fribourg. Szwajcarja. 176 str.

Wyobrażamy sobie czasem, że nigdy nie było tak „ciężkich" czasów, jak obecne. Tymczasem powyższa biografja każe nam wierzyć, że najgorsze chwile mijają, są oczyszczeniem atmosfery społecznej i uczą gwałtem tego, czemu inne sposoby nie podołały. Ks. Kanizjusz, wsławiony swym katechizmem na czasie, żył przed 400 laty. Był pisarzem, mówcą dla obrony wiary i obyczajów. Był doradcą władnych w ważnych sprawach społeczeństwa.

Żeńskie Stowarzyszenie Drukarek Katolickich w Fryburgu Szwajcarskim — Kanisius-Werk — wzięło sobie św. Kanizjusza za Patrona i Kierownika swego Dzieła. Z środowiska tego wychodzi mnóstwo broszur na czasie dla utrzymania i pogłębienia wiary w kraju.

K. Berk.

Revue d'Histoire des Missions. Paris V rue Soufflot 17. Editions Spes. — Zeszyt IX. 1931.

W komitecie redakcyjnym tego najpoważniejszego pisma misyjnego francuskiego zasiada na pierwszem miejscu Jerzy Goyau, znany chyba wszystkim misjologom świata jako wybitny historyk misyj.

W zeszycie IX 1931 Revue napotykamy m. in. na bardzo dla nas cenny artykuł ks Rzewuskiego sekretarza ks. abp. Szeptyckiego we Lwowie, pt. La Comtesse Marie-Thérèse Ledochowska. Szkic psychologiczny. Bardzo ciekawy. Autor nie mówi o świętej (przyszłej Świętej!), lecz o poważnym człowieku, jakim była śp. M. T. Ledóchowska. Nie tai jej osobliwości, które ją różnią od drugich. Dokuczają jej za nie, jakoby one stanowiły istotę rzeczy. Sie sehen vor lauter Bäume den Wald nicht mehr. Nie widzą od drzew lasu!.. Czy nadeszła pora, byśmy dziś zrozumieli i oceniali należycie dostojne dla Kościoła i dla Ojczyzny powołanie, umysłowość, działanie p. Ledóchowskiej? Zdaje się, że jednostki, jak rodzina Ledóchowskich, Zamoyskich, jak ks. Wawrzyniak, Cecylja Plater itp. mają starczyć za miljony i reprezentują nas na forum świata tak samo poważnie i znakomicie, jak najwybitniejsi ludzie innych krajów.

M. T. Ledóchowska, zakładając Sodalicję Klawerjańską dla Afryki, zrobiła niesłychanie ważny krok naprzód w misjonizacji czarnego kontynentu i wogóle w akcji misyjnej Kościoła. Wskazała na nowe, a zarazem bardzo cenne sposoby nowoczesnej akcji misyjnej. Zwykle takie jednostki przerastają nas o tyle, że niepodobna ich doganiać. Biegną przed nami—a nie idą! Wreszcie jednak musi nadejść chwila, kiedy się równamy!.. Panu Bogu wiadomo samemu, dla ilu dusz w Polsce była śp. M. T. Ledóchowska gwiazdą przewodnią w pracy misyjnej, a może i w życiu osobistem, ascetycznem? Ile nam przyczyniła powołań, książek, społeczników misyjnych. Dziś, kto wie, możeby ta sama mądra pracowniczka wołała o zawodowców-misjonarzy świeckich dla misyj?.

Kaźmira Berkanówna.

Dubois. Aux Jeunes. Ce que vous devez savoir des missions. Editions Rex. Paris. Louvain. Wydawnictwo Association Catholique Jeunesse Française (ACJF) 14 rue d'Assas. Paris II.

Rozdziały książki: Macie obowiązki wobec misyj. Zyskujecie dużo, zajmując się misjami. Macie możność uczynienia dużo dla misyj.

Autor jest wybitnym znawcą misjologji, mieszka w Rzymie (Borgo S. Spirito 5) jako prezes katolickiej grupy Instytutu Studjów dla Afryki. (Londyn Craven Str. 22).

Żałuję, że w swym planie nowoczesnej akcji dla misyj ze strony naszej inteligencji dla sfery oświeconej pogan nie wspomina o pracach kobiet świeckich, zawodowców, dla misyj, szczególnie lekarek, których szeregi ciągle rosną. Chodzi bowiem o przygotowanie Zrzeszenia Zawodowców świeckich, którzyby przez kilka bodaj lat zechcieli popracować na stacjach misyjnych jako lekarze, nauczyciele, architekci itd. Autor kocha misje. Kocha Polskę i liczy na naszą pomoc. Informacyj udzieli: (Poznań, Matejki 53). *K. Berkanówna.*

Gnitton S. J. La vie ardente et féconde de Leon Harmel. Editions Spec. Paris, 17 rue Soufflot — 305 str. Gnitton S. J. Leon Harmel et iniative ouvriere—95 str. (druga książka jest wypisem z pierwszej).

Leon Harmel, wielki przemysłowiec i organizator robotników, w Val des Bois pod Reims, zmarł w pierwszych latach wojny światowej.

Był to typ człowieka pracy i człowieka uczciwego. Nie wymagał od drugich większej dobroci, pracowitości, skromności, niż sam posiadał.

Możnaby go „świętym w fabryce". Życiorysy ludzi świeckich z taką duszą gorejącą, jak Leon Harmel, napewno pobudzą do czynu. Także w naszej Akcji Katolickiej potrzeba takich życiorysów.

Francja ma ich całą serję: Olle-Laprune, Ozanam, Le Mim, Lio ry itd

A my?

Harmel widział w robotniku podobieństwo P. B oga. „Miał niesłychane poszanowanie dla godności człowieka" (str. 8 II). „Wyrabiał u robotników zmysł do inicjatyw i poczucie odpowiedzialności (str. 9). „Nie wyrzekał się autorytetu" (13) „Pracować dla dobra robotnika przez robotnika, nigdy nie bez niego. Jeśli opiekun chce rządzić sam sprawami robotników, to się pomyli i nie zyska uznania" (27). Wystarczy dogląd. Niechaj czasem robotnicy sami się pomylą. Szczególnie ufał Leon Harmel wskazówkom zainteresowanych. Mniej ulegał mrzonkom teoryj. Sam szedł do domów robotników. Z urządzeniem im życia wyprzedził Forda, tem bardziej, że cała jego robota wypływała z jego duszy religijnej. Nie uznawał pracy społecznej bez życia religijnego. Ni na odwrót.

„Nie schlebiał robotnikom, mówił im szczerze prawdę" (56), przekonywał, żył z nimi.

Nie wdawał się w dyskusje, lecz kazał próbować. „Realiser c'etait son affaire".

Zwiedzając zakłady Łódzkie Scheiblera, orzekł, że to świątynia bez P. Boga. Urządzenia techniczne, higjeniczne, ale bez duszy.

Sadzał robotników do swego stołu, obok swych licznych dzieci i kazał tymże być „grzecznemi" i usłużnemi dla robotników. Wielu członków rodziny Harmela było czynnych w jego fabryce.

Zapamiętał na cało życie powiedzenie pewnego robotnika: „zniesiemy głód, ale nie pogardę".

Raz w jego obecności panna Venillot, siostra Ludwika, wyraziła się lekceważąco o ręku robotnika, a na to Ludwik: „Czyżbyś zapomniała, że nasz Ojciec był bednarzem"? Takiego pokroju był też Harmel.

Robotnicy jego szli do stołu Pańskiego razem z nim. Dom jego stał między ich mieszkaniami.

Gdy liczni jego goście nie znajdowali miejsca w jego pokojach, to umieszczał ich u swych robotników, szczególnie księży i kleryków, którzy zjeżdżali się do Val des Bois na „rekolekcje społeczne".

To była najlepsza „akcja społeczna".

Gdy „rekolekcje" te wzbudziły zazdrość i musiały być przerwane, to zaczęto urządzać „Tygodnie społeczne"; Val był ich zaczątkiem.

Harmel był inicjatorem pielgrzymek francuskich robotników do Rzymu, do Ojca Św. oraz pośrednikiem powodem do napisania Encykliki Leona XIII Rerum Novarum.

Odwiedzali go dostojnicy duchowni i świeccy.

Życie i praca tego świeckiego apostola, i ludzi jego typu, ratowały i ratują dziś Francję.

A my?...

Czy zaczęto już u nas poważną *pracę świeckich* w naszej akcji społecznej.

„Za wiele profesorów, za mało ludzi doświadczonych i ludzi pracy", (str. 182 I) orzekał Harmel na różnych zebraniach „społecznych". Nie chciał ruchu reprezentacyjnego, lecz istotnej, rzetelnej, choćby drobiazgowej pracy.

K. Berkanówna.

Kalendarz Ligi Katolickiej rok 1932, rocznik VII. Kalendarz Ligi Katolickiej wydany nakładem Śląskiej Ligi Katolickiej odbija się treścią od reszty kalendarzy, i jest ze wszech miar polecenia godny Poza calendarium liturgicznie poprawnem znaleść można w nim wiele artykułów i notatek, ciekawych i pouczających w dobrym tego słowa znaczeniu. Dla interesujących się zagadnieniami z zakresu Akcji Katolickiej, kalendarz tegoroczny i poprzednie jego roczniki, zawiera wiele materjału mogącego służyć zarówno do rozpatrzenia, jak i do odczytów. Choćby tylko wymienić: „Apostolstwo dobrej prasy i dobrej książki", „Ciekawe rzeczy z duszpasterstwa Anglji i Holandji", „Kongregacje i Sodalicje jako przedszkole akcji katolickiej", „Jak to jest w Anglji", „Filmy religijne", „Apostołowie Akcji Katolickiej", „Akcja katolicka służących" i t. d. Kalendarz poświęcony jest J. E. ks. bisk. Adamskiemu, jako ojcu ruchu społecznego w Polsce i b. dyrektorowi Akcji Katolickiej na Polskę. Cena kalendarza wynosi zł. 1. Do nabycia w Księgarni i Drukarni Katolickiej w Katowicach, ul. M. Piłsudskiego 58.

Ks. profesor dr. Kruszyński. Studja nad porównawczą historją religji. Księgarnia św. Wojciecha.—430 str.

Dawno już chciałam wskazać interesowanym na książkę, nie nową zresztą, by nią zastąpić podobne dzieła zagraniczne.

Napewno porównawcza nauka religji stanie się przyszłą metodą misjonizacji Kościoła, w tem znaczeniu, że studjum to wykaże punkty dzielne i łączne religij, dla uwypuklenia jedynej prawdy: katolickiej. Innowiercy nie znają Katolicyzmu i dlatego doń się nie zbliżają. Katolicy znają go za mało, i dlatego tacy słabi.

Polska literatura religjoznawcza nie jest bogata w dzieła, jak powyższe. Ks. Kr. podaje sam dużo źródeł angielskich, niekatolickich, z uzupełnieniami ze strony katolickiej.

Z pisarzy Katolickich na tem polu znami są szczególnie Pinard de la Boullaye SJ. (najbogatsze źródło etnologic ne do tej pory) i Schmidl SVD;

U nas Ks. Kaźmierowicz, Stolin na Polesiu, i O. Kosibowicz TJ. Kraków idą po tej drodze.

Ks. Kr. omawia szczególnie punkty: Religja pierwotna człowieka. Świat starożytny wobec zagadnień religji, St. Testament a religje pogańskie itp.

K. Berkanówna.

Catholic Truth Society. London SW1—58-40 Eccleston Square.

Towarzystwo „Misyj Wewnętrznych" w Anglji—jakie powyżej wymieniamy, ma tak znakomite i wypróbowane metody pracy, że warto im się przyjrzeć dla koniecznego i u nas apostolstwa wśród innowierców.

1) Wydawnictwa tanie, broszurkowe, ulotki, książki, mają działy m.in.: I) Biografji, II) apologja; III) Nabożeństwa, IV) Historja, V) Kwestje społeczne.

2) Katalog przezroczy wymienia zbiory, dotyczące całkowitego życia Katolickiego.

3) Ulotka o szafkach kościelnych podaje fakt, iż w jednym roku rozchodzi się drogą kolportażu przeszło miljon broszur i pism.

Właśnie dowolność wyboru, którego nie kontrolują, działa tak pobudzająco na rozejście się lektury szafkowej.

Ulotka poucza szczegółowo o urządzaniu kolportażu. Nawiasem mówiąc, Ks. L. Ż. czyni to samo w swej nowej książce: Apostolstwo Książki, (Wilno, Księgarnia św. Wojciecha).

4) Kalendarz pracy z wykazem broszur odpowiednich na sprzedaż w każdym miesiącu. *K. Berkanówna.*

Amvander. Einführung in die Religionsgeschichte Kösel-Pustet. München. Kaiser Ludwig Pl. — 151 str.

Nowy, wartościowy przyczynek dla pracy naukowej naszych Misyjnych Kół Kleryckich i Akademickich, z wypisem zajmującym literatury religjoznawczej; takiż materjał w prostszej przystępniejszej formie przydałby się dla bibljotek parafjalnych, które wartoby otworzyć także dla naszych innowierców... *K. B.*

Langdale. The Bollandists. Bruxeles. Boulevard St. Michel 24.

Broszurka 16 stronna daje pogląd na historję i metodę pracy sławnych Jezuitów, historyków świętych, zwanych od swego założyciela, Bollandystami.

Rzadko dobrze napisana rzecz. Zdaje mi się, że nasi nieliczni „Bollandyści" polscy (hagjografowie) skorzystają napewno z tak jasno przedstawionych sposobów w pisarstwie o Świętych.

Przypuszczam, że istnieje współpraca Polski z Brukselą w tym kierunku, aby poza św. St. Kostką znano w świecie katolickim jeszcze i św. Kazimierzów i tych mnogich biskupów, księży, zakonników i świeckich świętobliwych naszej Ojczyzny? *K. B.*

Bessonet-Favre. Jeanne d'Arc. Paris. Bloud. Nie jest to rzecz nowa, lecz na nasze czasy niezwykle użyteczna. Autorka opisuje sprawy św. Joanny ze strony jej przeszkód w akcji najbardziej społecznej. Współcześni—ci, co poprzeć ją mieli,—skazali ją na stos, a następcy za te same czyny wynieśli ją na ołtarze. I bądź tu mądrym w swych poczynaniach publicznych! Ironizuję, ale społecznicy zrozumieją, o co chodzi...

Nie szkodzą sprawie przeciwności ze strony ludzi złych, których w gruncie rzeczy jest mało, lecz od tych, którzy każdą dobrą inicjatywę poprzeć winni i przyjąć do całokształtu pracy. Lecz nie przyjmują. Nie wiedzą, co z inicjatywami robić, więc je zwalczają i dlatego nie możemy ruszyć z miejsca, dla własnej winy!

Św. Joanna jako tercjarka św. Franciszka oparła swą działalność o III zakon, który dostarczał jej pieniędzy i ludzi do wojska. Zachwycająca jest prostota, silny charakter wobec władz. Czuje swą moc i jest jej wierną i—zwycięża, chociaż dopiero po walkach lat!

K Berk.

Hennigs-Ball. Hugo Balls Weg zu Gott. — Kösel-Pustet. München. Kais. Ludwigs Pl. 6. Żona, także literatka, opisuje historję swego męża, pisarza nawskroś nowoczesnego, zmarłego 1927 w swym 41 r. życia. Z rozdziałów książki: Młodość—Rebeljant—Wyznawca, poznajemy, iż Ball jest nawróceńcem, mimo swego wyznania katolickiego. Nazwijmy to „nawrócenie" powrotem od siebie i ludzi do P. Boga.

Opis tych dziejów jest piękny: skromny, poważny, rzeczowy. Ball był widocznie z natury dobrym człowiekiem. Widać to też z portretu. Katolicyzm jego (nominalny) wzmógł się, gdy zamieszkał w włoskiej Szwajcarji i we Włoszech. Umarł z powolnego głodu, wędrując z miejsca na miejsce, z północy na południe Europy. Wojna wyganiała go z Niemiec, których błędy szczerze wypowiadał. Sam opowiedział swe przejścia w książce: Die Flucht aus der Zeit. Ucieczka przed czasem. Najbardziej znana jest jego książka: Byzantinisches Christentum. Chrześcijaństwo bizantyjskie. Historja Balla powtarza się i u nas, tylko my nie wiemy o tych jednostkach,—wartościowszych, niż sądzimy!

K. Berk.

Herwig. Sankt Sebastian vom Wedding. Eine Legende.— Kösel-Pustet. München Kaiser Ludwigs Platz 6. — 97 str. Redakcja Pro Christo doprasza się stale materjałów społecznych. Nie wiem, czy mogłabym podać coś bardziej społecznego, niż powyższą „Le-

gendę“ Niema w niej coprawda „komitetów”, „statutów”, „organizacji” i podobnego balastu w dzisiejszej nędzy ludzkiej, lecz natychmiastowa, bezpośrednia pomoc, na podstawie której, z czasem, gdy pierwsze łzy otarte, wytworzy się jaknajżywotniejszy system pracy, dostosowany do najpilniejszej chwili. Pracę tę rozumie autor w ten sposób, że każe przechodniowi bodaj muchy odpędzać z wózika bezbronnego niemowlęcia na ulicy, obok którego przechodzi... Na treść książki pięknie wydanej składa się historja zakonnika, który porzuca klasztor dla bezpośredniej pracy wśród najsmutniejszych ludzi przedmieścia Berlina (Wedding), którego parafja ma za patrona św. Sebastjana. Dzieje kapłana - męczennika są wstrząsające. Ale równie straszliwe jest położenie nędzarzy, którymi dotąd nikt nie chciał zająć się, po ludzku i po ojcowsku. Zakonnik ginie śmiercią męczeńską, ale zostawia następców.

Całe nastawienie dzieła jest nawskroś społeczne. Katolicyzm w czynie. Daje dużo do myślenia. Czyta się książkę z rozkoszą. Ujęcie miłe, estetyczne, mimo grozy wypadków. Coś, co powinno rozejść się po dzisiejszym świecie. Przypuszczam, że ta „Legenda” jest — prawdą...

K. Berkanówna.

Lhande. La Croix sur les Fortifs. Plon. Paris 8 rue Garancière. — Krzyż na fortach. Najnowsza rzecz O. Lhande. autora serji książek: Chrystus na przedmieściach. Dalszy ciąg poprzednich dla ciągłego przypominania ważnych spraw społecznych. Podobną rzecz do „St. Sebastjana z Weddingu”; dlatego je zestawiam. Lhande jest raczej dziennikarzem, publicystą, a Herwig raczej literatem, a obaj mężowie opatrznościowi dla czasów obecnych. Jeden pisze o Berlinie, drugi o Paryżu. Obaj ukochali ludzi smutnych i nieszczęśliwych i chcą im pomóc.

K. Berk.

„Roczniki Katolickie” wydam w początkach lutego 1932 r. jako tom X. na r. 1932. Uwzględni się tu szereg narodów, także niektóre przedtem pominięte, a osobliwie Meksyk, Stany Zjednoczone, Holandję, Litwę, do tego zagadnienia masonerji, liturgiczne, unijne, misyjne, wychodźcze, oraz całokształt ruchu religijnego w Polsce, nie wyłączając sekciarstwa.

„ROCZNIKI KATOLICKIE” są u nas potrzebne ze względu na potrzebę łączności z zagranicą.

„ROCZNIKI KATOLICKIE” są u nas konieczne ze względu na pierwszorzędne stanowisko, jakie Polska zajmuje czy zająć powinna w pochodzie katolicyzmu; książki takiej żaden inny naród nie posiada.

„ROCZNIKI KATOLICKIE” są wprost niezbędne ze względu na budzący się katolicki ruch społeczny, zwierający się w Akcję katolicką.

„ROCZNIKI KATOLICKIE” są pewnym — bo opartym o literaturę opisanego narodu i o znajomość 20 języków — przewodnikiem w współczesnym ruchu katolickim nietylko w kraju, ale i zagranicą. Stąd znakomite usługi oddać mogą nietylko księżom przy kazaniach i wykładach, lecz i dziennikarzom, posłom, nauczycielstwu, rozmaitym urzędom, związkom oświatowym i społecznym, bibljotekom itd. itd. Przy końcu mają Skorowidz imion.

„ROCZNIKI KATOLICKIE” są i przyjemnym towarzyszem, gdyż „chętnie się otwiera ten gruby tom i chętnie się słucha bogatej w treść i epizody barwnej opowieści autora” (Dr. Leon Białkowski w „Kurj. Pozn.” z 3. IV. 26). Pisze się je bowiem językiem powojennym, nowoczesnym.

Cena rocznika nie przekroczy 12.—zł. (wyjąwszy jakieś okoliczności nieprzewidziane). Objętość około 500 stron. Ciągle jeszcze można się zgłaszać na listę abonentów; im więcej ich będzie, tem tańsze będą „Roczniki” i tem pewniejsze ukazywanie się w przyszłych latach. Abonenci płacą $^2/_3$, klerycy i studenci $^1/_2$ ceny, jednak tylko do 1 kwietnia 1932 r. Abonentów którzy zmienili swoje miejsce pobytu, uprasza się o podanie adresu, by zapobiec kosztom i nieporozumieniom. Pieniędzy nie potrzeba wpłacać, ściągnie się je przy odesłaniu książki przez zaliczkę.

Adres redakcji i administracji „Roczników Katolickich” X. NIKODEM CIESZYŃSKI — POZNAŃ, przy kościółku P. Jezusa.

W. Szan. — PP. Autorów i Nakładców uprasza się o łaskawe przysyłanie dzieł z zakresu zagadnień religijnych, umieści się o nich wzmiankę czy recenzję w „Rocznikach Katolickich”.

Poleca się jeszcze „Roczniki Katolickie” z lat ubiegłych po cenach zniżonych, niektórych zapas się już kurczy.

Żywy Różaniec w nowej szacie. Ukazała się bardzo pożyteczna, praktyczna i ciekawa książeczka p. t. „Żywy różaniec” ks. Fr. Nowakowskiego.

W książeczce tej znajdują się na wstępie krótkie uwagi o Różańcu wogóle, o Stow. Żyw. Róż., regulamin Ż. R. i wreszcie wszystkie 15 tajemnic Różańca św. z bardzo ładnemi obrazkami. W końcu książeczki znajdują się piękne pieśni do Matki Boskiej. Cena książeczki 30 gr. Stronic 64.

Książeczka ta jest na czasie, bardzo praktyczna i będzie wielkiem ułatwieniem dla wszystkich w organizacji Żyw. Róż. a zwłaszcza dla Zelatorów.

Odtąd przy miesięcznej zmianie Tajemnic — nie będzie potrzeba używać oddzielnych kartek, gdyż każdy będzie miał w tej swojej własnej książeczce wszystkie 15 Tajemnic Różańcowych, z których co miesiąc inną będzie zmieniał.

Zmianę Tajemnic można będzie odbywać najpraktyczniej w porządku kolejnym, to jest, kto nprz. miał w tym miesiącu 1-szą, to w następnym—2-gą, dalej 3-cią i t. d. kto miał ostatnią — 15-tą, ten w następnym miesiącu 1-szą.

Można także, mając tę samą książeczkę, odbywać zmianę Tajemnic i przez losowanie na zrobionych umyślnie w tym celu 15 kartkach ponumerowanych. Na kogo w losowaniu wypadnie jaki numer, taką Tajemnicę będzie w ciągu miesiąca rozważał z tejże samej książeczki.

W ten sposób uniknie się tylu trudności dla Zelatorów i nieprzyjemności dla wszystkich, jakie były dotychczas, przy każdorazowej miesięcznej zmianie Tajemnic, kiedy to trzeba było czekać i trudzić się aż wszyscy przyniosą swoje „tajemniczki” do zmiany, a przytem najczęściej—

zniszczone, wybrudzone, a nawet z rąk człowieka chorego na jaką zaraźliwą chorobę.

Oprócz togo, w tej książeczce, każdy ma przed oczami cały Różaniec, i odmawiając swoją Tajemnicę w ciągu miesiąca, widzi jej łączność z poprzednią i następującą, a w ten sposób—choćby mimowoli — uczy się i coraz dokładniej i głębiej poznaje piękno całego Różańca św."

. . . .

Słowem—podkreślić jeszcze raz niezawiele — książeczka ta pożyteczna, praktyczna i bardzo aktualna,—gdyż organizacja Żywego Różańca — coraz więcej się szerzy, coraz liczniejsze obejmuje rzesze.

Ks. Leon Machczyński
proboszcz Skępowski.

Do nabycia u Autora: Ks. Fr. Nowakowski, Karnkowo poczta Lipno-Warszawskie.

* * *

Szanownym naszym Czytelnikom i Prenumeratorom łączymy serdeczne życzenia z okazji Nowego 1932 Roku.

REDAKCJA.

PRO CHRISTO

WIARA I CZYN

ORGAN MŁODYCH KATOLIKÓW — MIESIĘCZNIK

Redaktor odpowiedzialny STANISŁAW BEREZOWSKI

Wydawca: Stowarzyszenie Społecznego Panowania Najświętszego Serca Jezusa w Rodzinach Chrześcijańskich.

Redakcja i Administracja: Warszawa, ul. Moniuszki 3a.

P. K. O. 10.115 Telefon 763-44

Biuro i telefon czynne w dni powszednie od godz 10—12 i od 15—17
Naczelny Redaktor przyjmuje interesantów w środy i piątki od g. 18.30 m do 19
Rękopisów redakcja nie zwraca

U źródła poglądów liberalnych na małżeństwo.

II.

Papież Leon XIII w głośnej encyklice „Humanum genus" (z d. 20 kwietnia 1884 r.) krótko i dobitnie ocenia „ramy" projektów prawnych w dziedzinie małżeńskiej, które wychodzą od obozu liberalnego: „Odnośnie do rodzinnego współżycia nauka naturalistów w tych mniej więcej zamyka się ramach. Małżeństwo należy do rodzaju spraw, będących przedmiotem kontraktu; prawnie może być rozerwane według woli tych, którzy je zawarli; władza nad węzłem małżeńskim należy do rządów świeckich".

Projekt podkomisji, jak w tem szybko zorjentował się prof. Jaworski, a zwłaszcza prof. Abraham, wybitny specjalista prawa kościelnego, może jest kompromisem na rzecz wyznań akatolickich, w stosunku zaś do zasad Kościoła Katolickiego o małżeństwie jest krańcową ich antytezą, jest to zupełne po myśli liberalizmu zeświecczenia małżeństwa chrześcijańskiego.

W porównaniu z niejednolitemi prawami małżeńskiemi, dotąd obowiązującemi w naszem państwie, projekt podkomisji jest gorszy od najgorszej kodyfikacji pruskiej o ślubach cywilnych. Jest on obmyślany z niesłychaną złośliwością względem Kościoła katolickiego i jego postulatów.

Twórcy projektu zlekceważywszy przekonania wyznawców wiary katolickiej, chcieli—jak prof. E. Rappaport wyraził się na akademji dziesięciolecia Komisji kodyfikacyjnej—„stworzyć ramy dla zadośćuczynienia *uczuciom religijnym* obywateli" w rzeczywistości zaś zwrócili się z ostrzem przeciwko Kościołowi w sposób łudzący pozorami religijności. Według bowiem rego projektu proboszcz katolicki będzie musiał najpierw otrzymać pisemne zaświadczenie czyli zezwolenie na pobłogosławienie związku małżeńskiego od urzędnika stanu cywilnego, którym będzie osoba świecka, następnie duszpasterz będzie zobowiązany zameldować temuż urzędnikowi, iż dokonał ślubu, dla sporządzenia aktu małżeństwa w urzędzie stanu cywilnego.

Dziś pod dawnym zaborem pruskim, gdzie system najgorszy panuje, świadomość katolicka, wobec jasnego dualizmu czyli podwójnego prawa co do formy zawierania małżeństwe, daleko łatwiej się utrzymuje, ile że katolicy uważają t. zw. ślub cywilny za prostą formalność bez żadnego znaczenia etycznego a zawsze zawierają małżeństwo w obliczu Kościoła, następnie rejestrowane w księgach parafjalnych.

Projekt podkomisji, wprowadziwszy również na modłę pruskiego ustawodawstwa obowiązkowe śluby cywilne, jeszcze w sposób złośliwy interesuje się zawieraniem przez katolików istotnego małżeństwa w obliczu Kościoła. Despotyzm więc liberalizmu polskiego przekroczył granice wszelkich kodeksów istniejących, które ustanowily przymusowe śluby cywilne.

Tą złośliwość jeszcze potęguje sankcja karna, zawarta w art. 38 za brak dostarczenia protokółu o zawartym ślubie kościelnym: „Jeżeliby ani nowożeńcy, ani duszpasterz w ciągu 10 dni nie przedstawili urzędnikowi stanu protokółów, to nowożeńcy ulegną karze—każdy w wysokości 25 do 500 zł.; duszpasterz podwójnej karze pieniężnej, jaka przypada na obu nowożeńców, nadto karze dyscyplinarnej".

Niech nikogo nie łudzi redakcja art. 28, która według prof. E. Reppaporta ma czynić zadość „uczuciom religijnym": „Po dopełnieniu czynności przedwstępnych przed urzędnikiem stanu, narzeczeni mogą zawrzeć ślub *albo* przed którymkolwiek urzędnikiem stanu R. P., *albo* przed duszpasterzem uznanego w państwie wyznania, do którego należy jeden z narzeczonych".

Na pierwszy rzut oka ten dylemat kazałby wnioskować, że projekt podkomisji ma na względzie śluby cywilne dowolne, t. zw. fakultatywne, tem bardziej, że swego czasu w sprawozdaniu Komisji kodyfikacyjnej umieszczono uwagę: „tę drogę (kompromisu) wybrał referent w swym projekcie, skłaniając się ku fakultatywnym ślubom cywilnym, zastrzegając jednakże rozwód dla sądów cywilnych". Tymczasem jest to wielkie złudzenie. Dowolne bowiem śluby cywilne istnieją wtedy, gdy narzeczeni mają zupełną swobodę w wyborze praw, rządzących małżeństwem; a więc jeżeli wybiorą prawo kościelne, wówczas całe ich małżeństwo co do przeszkód, czynności przedwstępnych, ślubu, unieważnienia, separacji i jurysdykcji podlega prawu kanonicznemu, jeżeli zaś wybiorą prawo świeckie, to—ustawom cywilnym.

Takie stosunki dowolności w ścisłem znaczeniu panują we Włoszech od chwili wejścia w życie konkordatu Lateraneńskiego i ustawy wykonawczej z dn. 27 maja 1929 r.

Projekt podkomisji natomiast zezwala na jeden tylko akt religijny: na wyrażenie zgody małżeńskiej przed duszpasterzem. Wszystkie inne czynności są zastrzeżone wyłącznie państwu i jego urzędom cywilnym. Projekt przeto, przenosząc główny ciężar zagadnienia, samą niejako naturę małżeństwa, na czynności przedwstępne (Rozdz. IV, art. 18—27), sprowadzając niemal do zera znaczenie wyrażenia wzajemnej zgody małżeńskiej przez narzeczonych, wprowadza zręcznie i obłudnie ukryte w art. 28 przymusowe śluby cywilne.

Laicyzacja małżeństwa przez przedstawicieli liberalizmu polskiego została usankcjonowana całkowicie i bardziej tragicznie dla sumień katolickich, niż nawet w ustawodawstwie pruskiem, dotąd obowiązującem we wschodnich województwach Polski. Despotyzm liberalizmu, wywierany na sumienia katolickie, doszedł do zenitu.

Bo dla sumienia katolickiego świętość, sakramentalny charakter małżeństwa chrześcijańskiego nie jest żadnym problematem, lecz dogmatem.

Projekt podkomisji o przymusowych ślubach cywilnych bynajmniej nie stwierdza prostego braku zainteresowania dla czynnika religijnego, lecz jest napaścią na sakrament małżeństwa, tem złośliwszą, że zamierza — na rzecz propagandy liberalizmu podważyć przekonania wiary na naszych kresach zachodnich,

gdzie ludność jest najbardziej kulturalna i najgłębiej przywiązana do Kościoła.

Koncepcja ślubu cywilnego, zawarta w tym projekcie, jest nie tylko w zasadzie ateistyczna, lecz nadto w niesłychanie subtelny, wprost niepostrzegalny, a nie mniej skuteczny sposób stara się poderwać każde wyznanie religijne, tak, że naprawdę ten pomysł jest wyrazem ateizmu bojowego. Przecież narzeczeni np. katolicy, jeśli im kapłan katolicki z przyczyn kanonicznych odmówi ślubu a oni, po załatwieniu formalności państwowych, nie będą jednak chcieli zawsze ślubu cywilnego, to mogą według projektu podkomisji, na złość swemu dusz pasterzowi, pójść choćby do rabina żydowskiego i przed nim zawrzeć ślub, jeśli rzecz jasna, on nie będzie miał żadnych w tym względzie zastrzeżeń, lub naodwrót, jak kto woli. Czyż można bardziej zlekceważyć uczucia i przekonania religijne?!

Należy z całym naciskiem podkreślić, że forma ślubu, stworzona w projekcie podkomisji, prowadzi do religijno-moralnego zobojętnienia i spustoszenia w szeregach wiernych.

A już-że użyję wyrażenia naczelnego Dostojnika Kościoła w Polsce—„sponiewieraniem małżeństwa i urągowiskiem z przekonań religijnych jest próba narzucenia ogółowi katolickiemu nieograniczonej możności rozwodowej na modłę kodyfikacji z najbliższego Wschodu.

Już stały się rozgłośne głównie dwa artykuły 65 i 88 polskiego projektu liberalnego tej treści:

„Art. 65. Małżonkowie w wieku powyżej lat 25, nie mający wspólnego małoletniego potomstwa i zdolni do działań prawnych, mogą za obopólną zgodą, po trzyletniem trwaniu małżeństwa, wystąpić do rządu o rozłączenie *bez podania powodów.*

„Art. 88. Po upływie trzech lat od uznania małżeństwa za rozłączone, sąd *na żadanie jednego z małżonków* orzeknie *zamianę rozłączenia na rozwód*, przez co małżeństwo ustaje. Sąd może na żądanie drugiego małżonka odmówić zamiany na rozwód, jeśli uzna, że dobro małoletnich dzieci stoi temu na przeszkodzie. Sąd może na żądanie strony rozłączonej wyrokiem prawomocnym *skrócić powyższy termin trzech lat według swego uznania**.

Twórcy liberalni, wychodząc widocznie z skrajnie materjalistycznego światopoglądu, że małżeństwo jest wyłącznie związkiem cielesnym, naturalnie zgoła nie zatroszczyli się o duchowe dobra współmałżonki oraz—co jest jeszcze ważniejsze dla moralnej kultury społeczeństwa—o duszę dzieci. Ich troska w tym względzie dotyczy jedynie materjalnego zabezpieczenia tych osób.

Zważmy, że krańcowy indywidualizm,— podłoże wspomnianego art. 88,—nie ochrania zasady równości, ile że położenie kobiety w wykorzystywaniu uprawnień, zawartych w tym artykule, bezspornie jest gorsze, niż mężczyzny: on może łatwiej uprawiać wielożeństwo a przynajmniej stałą bigamję, niż rozwiedziona kobieta—wielomęstwo.

Na bliskim Wschodzie małżeństwo ustaje, prócz zgonu, na skutek uznania współmałżonka sądownie za zmarłego, wzajemnego zezwolenia, wreszcie przez jednostronną wolę małżonka.

Poza różnicami procedury sądowej analogja między projektem podkomisji (Rozdz. VIII. Rozłączenie i rozwód, art. 65—91) a tamtem zarządzeniem jest wymowna. Ta analogja jest tem więcej wyrazista, skoro, w myśl art. 88 „Sąd może ... skrócić powyższy termin trzech lat *według swego uznania*". Tak więc przy dobrej woli sędziów, o ile małżeństwo jest bezdzietne, to bez podania powodów strona może wielokrotnie w nader krótkich terminach rozwodzić się i nanowo wstępować w związki małżeńskie. Przy małżeństwie, z którego są dzieci, rozchodzenie się będzie wymagało nieco dłuższego terminu, ale zawsze jest możliwe.

O tej to możliwości prof. Abraham trafnie zaznacza: „Najgroźniejszą jest dla zdrowia moralnego rodziny, a za nią i społeczeństwa sama możliwość rozwodu, w ustawodawstwie przewidziana, zatruwająca pożycie małżeńskie. Przyjmując raz rozwód za zgodą małżonków, przyjmuje się właściwie małżeństwo prowizoryczne, zawisłe od woli stron". [1])

Chrystusowa zasada o nierozerwalności małżeństwa chrześcijańskiego: „Co tedy Bóg złączył, człowiek niech nie rozłącza"[2]) została przez liberalnych twórców projektu naprawdę sponiewierana.

---

[1]) Zagadnienie kodyfikacji prawa małżeńskiego, str. 41—42.

[2]) Św. Mat. 19,6.

Ponadto wojujący ateizm w podważaniu autorytetu Kościoła katolickiego w oczach jego członków znalazł wyraz w możności mieszania się państwa do wewnętrznej karności kościelnej: zupełnem zignorowaniem tych przeszkód kanonicznych, które wiążą kler świecki i zakonny [2]) zamierzył i na tym odcinku rozerwać spoistość organizmu instytucji Chrystusowej.

Podkomisji—jak sama wyznaje—taki cel przyświecał: „Normowanie przez państwo stosunków małżeńskich ma na celu stworzenie takiej organizacji ustroju małżeństwa, któraby była *wykładnikiem wewnętrznej treści społecznej*, w ten ustrój ujętej". Ma to oznaczać, że liberalni twórcy projektu opierali się na nowoczesnej, rzekomo, jedynie naukowej metodzie pozytywistycznej i właściwie mają być tylko odtwórcami pojęć i poglądów, panujących w polskiem społeczeństwie. Doprawdy, zdumiewać się chyba trzeba nad podobnie naukową pretensją, iżby projektowana organizacja małżeńska była dla olbrzymiej większości naszego społeczeństwa „wykładnikiem wewnętrznej treści społecznej". Aprioryzm liberalnych twórców projektu rażąco musi uderzać w oczy każdego obserwatora naszego życia społecznego.

Warto także nadmienić, że radykalna reforma nie zdoła wprowadzić jednolitości prawa małżeńskiego w Polsce (nb. z zasady jednolitości bynajmniej nie wypływa, aby jednolite prawo było zarazem równe i jednakowe dla wszystkich obywateli). W obozie katolickim, któremu ateizm wypowiedział walkę, musi, w razie narzucenia liberalnej ustawy zrodzić się dualizm, wobec przeciwu Kościoła, iż „te tylko małżeństwa są ważne, które zawierają się wobec proboszcza albo ordynarjusza miejscowego lub też wobec upoważnionego przez nich kapłana... i dwóch przynajmniej świadków" (kan. 1094). Ten dualizm nie tylko pogłębi rozterkę sumienia w duszy każdego obywatela, lecz nadto osłabi poczucie cnoty praworządności w całem spełeczeństwie katolickiem. Bo wierni członkowie kościoła będą musieli, być uświa-

---

[2]) Przeszkody rozrywające: wyższe święcenia (kan. 1072), uroczyste śluby zakonne (kan. 1073).

Przeszkody wzbraniające: ślub zwyczajny, dziewictwa, doskonałej czystości, bezżeństwa, przyjęcia wyższych święceń i wstąpienia do zakonu (kan. 1058, § 1).

domieni, że ustawa państwowa o t. zw. ślubach cywilnych wraz z nieograniczoną możnością rozwodów, — ustawa, pozbawiająca wszelkiego skutku cywilnego jedyne istotne i prawowite małżeństwo religijne, —jest jako uwłaczająca prawom wyższym, Bożym, niesprawiedliwa, jest właściwie bezprawiem, a przeto w sumieniu nie obowiązuje.

To też słusznie prof Abraham przestrzega: „wprowadzenie powszechnego małżeńskiego prawa państwowego i formy cywilnej nie przyczyni się do wzmożenia wśród ludności poczucia państwowego, bo zerwanie z kościołem, jeśli nie wywoła otwartej walki wyznaniowej, to w każdym razie wzbudzi przeciw państwu niechęć i opozycję, co chyba poczucie państwowe znacznie osłabi".[1])

Referent projektu powoływał się na zasadę wszechwładzy suwerennego państwa, które jego zdaniem nie może bez uchybienia tej idei wyrzekać się na rzecz innego prawodawstwa własnego, swobodnego normowania stosunków małżeńskich.

W dobie obecnej jesteśmy już świadkami bankructwa liberalizmu na polu ekonomicznem, gdyż straszny kryzys gospodarczy, przeżywany przez niemal wszystkie kraje, jest właśnie wynikiem liberalnego nastawienia ekonomicznego w kierunku zysku, dojście za wszelką cenę do kapitału z pominięciem podstawowych cnót społecznych: sprawiedliwości i miłości. I wobec takiego wyniku katastrofalnego ekonomicznej doktryny liberalnej umysły poważne i zatroskane znowu zwracają się do starej a ciągle nowej nauki chrześcijańskiej o własności i charytatywnym obowiązku, na niej ciążącym.

Referent projektu, odwoławszy się do liberalnego aksjomatu o bezwzględnej wszechwładzy państwa, chyba przeoczył, że po okropnym kataklizmie wojny eurepejskiej ten aksjomat, wobec formalnego zwycięstwa idei Ligi Narodów (nb. choć lichej kopji dawnego chrześcijańskiego solidaryzmu narodów), — aksjomat, będący założeniem całego projektu, już w pewnej mierze stał się problematyczny.

Rozdział Kościoła od państwa, mimo istnienia konkordatu, który twórcy radykalnego projektu wprowadzają w dziedzinie prawa małżeńskiego, nie jest przeto tak oczywistą koniecznością.

---

[1]) Dz. cyt., str. 29.

Warto na zakończenie rzucić pytanie syntetyczne: jakie więc było źródło, z którego czerpali swe pomysły liberalni projektodawcy nowego prawa małżeńskiego dla Polski odrodzonej, której szczególnie potrzeba spoistości, nie zaś rozdarcia wewnętrznego? To zródło ma jedną nazwę, zapożyczoną zresztą od niepodejrzanego w obozie liberalnym Guyan: jest nią — już nietylko antykatolicki, lecz wogóle *antyreligijny fanatyzm.* [1])

Ks. Dr. Antoni Borowski.

Djagnoza Europy w Encyklikach Leona XIII.

II.

In plurimis z 5 maja 1888 do biskupów Brazylji.

Z pośród licznych dowodów przywiązania, okazanych z powodu pięćdziesięciolecia kapłaństwa naszego, szczególnie ucieszyła nas manifestacja Brazylji, gdzie z tego tytułu uwolniono wielką ilość niewolników.

Ofiarowano to dzieło miłosierdzia, jako akt wdzięczności Boga, za to, że nam pozwolił dożyć przy zdrowiu rok jubileuszu naszego.

Przytem otrzymaliśmy zapewnienie, że w Brazylji pracuje się nad ustawą, znoszącą niewolnictwo.

Wśród ludzkości zajmujemy miejsce tego, który wszystkich ludzi przyszedł wyzwolić z niewolnictwa grzechu.

Słuszne przeto, byśmy popierali i uznawali wszystkie usiłowania, dążące do ulżenia losów jednostki czy społeczeństw, boć one posuwają naprzód dzieło cywilizacji, a także zbliżają do Chrystusa, Odnowiciela wszechrzeczy. Wśród nieszczęść, ciążących człowiekowi szczególnie, opłakiwać należy stan niewolnictwa.

Stwórca pozwolił człowiekowi panować nad zwierzętami, nie zaś nad równymi sobie ludźmi.

Grzech pierworodny sprawił, że ludzie dali się uwieść namiętnościom swoim i poczęli uważać ludzi pokonanych czy to w walce orężnej czy politycznej czy gospodarczej za niewolników.

---

[1]) Guyan, L'irréligion de l'avenir, p. XXVI. Introduction.

Za czasów Chrystusa Pana niewolnictwo tak było rozpowszechnione, że Łukasz wypowiedział te słowa: „rodzaj ludzki żyje dla niewielu". Obchodzenie się z niewolnikami było zgoła nieludzkie.

Co gorsza, filozofowie przyjmowali istnienie niewolnictwa za zgodne z rozumem i z prawem natury.

Była to doktryna tak niegodna i podła, że poniekąd usprawiedliwiała wszystkie nadużycia, popełnione w stosunku do ludzi.

Tłumy niewolników oburzone niesprawiedliwością były zarzewiem buntów i niepokoju w państwach starożytnych.

Niedola społeczna zbratała się z niedolą moralną właśnie wtedy w najwyższym stopniu, gdy od wieków przepowiedziany zjawił się światu Zbawiciel.

Wierni wskazaniom Chrystusa, Apostołowie głosili zawsze równość człowieka w oczach Bożych.

Niezwykła dotąd nauka poczęła zwolna skupiać w jedności wiary wszystkich wyznawców Chrystusa, a z biegiem czasu nawet różne narody poczęły tworzyć jedną wielką rodzinę.

Tak bowiem jak w porządku przyrodzonym wszyscy pochodzimy z jednego ojca, Adama, tak w porządku nadprzyrodzonym wszyscy zawdzięczamy życie w łasce Chrystusowi.

Na tej podstawie Kościół starał się ulżyć osobom służebnym i ściśle określić obowiązki i prawa tak pracodawców, jak pracowników.

W listach swoich śś. Piotr i Paweł nie pomijali tej kwestji. Dowodem Piotr 2, 18; Efez 6,5 — 8; I. Tym. 6,1—2; Tyt. 2,9—10.

Świadomość braterstwa u pierwszych chrześcijan nie umniejszała uszanowania, czci, wierności i innych obowiązków osób podwładnych.

Działały przytem łagodząco na postępowanie pracodawcy.

Inna już teraz działała na nich pobudka: nie bojaźń przed karą, interes albo obliczenie, lecz świadomość obowiązku i gorąca miłość bliźniego.

Niemniej przypominał Apostoł obowiązki pracodawcy: Efez 6,9; I. Kor. 7,22.

Nietrudno zauważyć różnicę między poglądem chrześcijańskim a pogańskim na pogaństwo oraz zasługi Kościoła wobec zniesienia niewolnictwa.

Nie można oczywiście było postępować pospiesznie, aby nie powodować przewrotów, które władza kościelna zawsze ganiła. Niewolnicy chrześcijańscy znali swoją wyższość nad pracodawcą pogańskim, a jednak nie uciekali się do gwałtów, by chwaląc Boga z jednej strony, z drugiej go nie obrażać. Potrafili zresztą przetrwać przykrość, która jest drobiazgiem wobec nagrody wiecznej.

Czułość wrażliwa wobec ludzkiej niedoli a jednak roztropnością miarkowana cechowała postępowanie Kościoła w tej materji. Skutek był ten, że niewolnicy pod względem społecznym, stawali się mistrzami swych panów pod względem religijno-moralnym. Przykłady podaje Euzebjusz. Nie zna zaś historja ani jednego niewolnika - chrześcijanina, któryby dał się wciągnąć w potajemne knowania.

W epoce konstancjańskiej Ojcowie z mistrzostwem rozwijali punkt widzenia katolicki, uzasadniając go głębokiemi wywodami.

Ś. Chryzostom twierdzi, że Chrystus gładząc grzech pierworodny, a z nim wszystkie skutki, tem samem uniemożliwia też praktykę niewolnictwa społecznego, które jest skutkiem grzechu pierworodnego.

Jedno po odkupieniu tylko istnieje niewolnictwo, które powoduje grzech.

Z łacińskich Ojców św. Ambroży dociekał w tym przedmiocie wszystkich racyj związków społecznych.

Znamienne jest powiedzenie Laktancjusza na tym punkcie.

Zabiegi nieustanne Kościoła sprawiły, że niewolnicy zostali wreszcie obdarzeni wolnością.

Myślą Kościoła przejęły się znakomicie niewiasty, jak donoszą Hieronim, Salwjan, Klemens.

Wśród najprzedniejszych dobrych uczynków praktykowano więc zwolnienie niewolników z tego upokarzającego położenia; na łożu śmierci, na odkupienie grzechów, podobnie jak jałmużnę, ofiarowano wolność niewolnikowi. Wybitni biskupi oddawali skarby Kościoła za wolność niewolników, jak Ambroży, Augustyn, Hilary, Eligjusz, Patrycjusz i wielu innych.

Wśród papieży najwięcej zdziałali dla wyzwolenia niewolników: Grzegorz Wielki (Synod Rzymski z r. 597), Adrjan I, Aleksander III, Inocenty III (Zakon od wykupu niewolników Ja-

na z Matty i Filipa Walezjusza), Honorjusz III i Grzegorz X (Zakon sw. Piotra z Nolaski).

Władza kościelna wyznaczała ciężkie kary za znęcanie się nad niewolnikami, otwierała świątynie jako miejsce ucieczki dla zbiegłych wskutek doznawanych od panów dokuczliwości niewolników. Niewolnicy, którzy w jakikolwiek sposób przechodzili na służbę Kościoła, otrzymywali wolność w darze.

Pod wpływem Kościoła łagodzono ustawodawstwo cywilne w stosunku do niewolników. Grzegorz Wielki np. wpłynął w tym sensie na kodeks Karola Wielkiego, który w tych właśnie punktach przeszedł do kapitularzy, a później do dekretu Gracjana.

Wdzięczność od ludzkości za te starania należy się Kościołowi.

Na schyłku wieku XV czuwał nad tem, by nadużycie niewolnictwa nie przeniesiono na nowe ziemie Afryki, Azji i Ameryki. Poczęto bowiem uprawiać handel niewolnikami z Etjopji, a także z Indyj.

Wówczas Pius II. Leon X, Paweł III pod interdyktem dla spzeciwiających się wydali dekrety w obronie niewolników.

Niemniej upominali się o zapoznane prawa niewolników późniejsi papieże, jak Urban VIII, Benedykt XIV, Pius VII, Grzegorz XVI.

Niepokoi nas jeszcze to, że w krajach muzułmańskich Afryki półn. wskutek pogardliwego sądu o niewolnikach to nadużycie grasuje niczem nie ukrócone.

Z Egiptu, Zanzibaru i Sudanu wyruszają ekspedycje, napadające spokojnych ludzi, wiodąc ich w niewolę. Nie baczy się na więzy rodzinne, które się rozrywa, na religję, którą się zamienia na islam.

Czterysta tysięcy rocznie pada ofiarą tych dzikich napadów.

Współczucie z nieszczęściem nieszczęśliwców. Apel do głów panujących o ulżenie losu drogą wystąpienia dyplomatycznego.

Jednym ze środków zaradczych, to krzewienie wiary katolickiej we wspomnianych okolicach.

Oby dziś wszyscy rozważyli czyny Piotra Klawera, niedawno wyniesionego na ołtarze. Misjonarze niech staną się jego naśladowcami.

Brazylja zamierza znieść doszczętnie niewolnictwo u siebie. Cześć jej za to! Warto poświęcić zabiegi, by to dzieło doprowadzić do szczęśliwego końca.

Na modłę apostołów wzywamy wyzwoleńców, by wdzięczność okazali dozgonną za odzyskaną wolność i stali się jej mądrymi gospodarzami, na uzyskane dobrodziejstwo patrzyli okiem nadprzyrodzonem.

Libertas praestantissimum z 20 czerwca 1888 o wolności ludzkiej.

Wolna wola ludzka jest wyłącznym przywilejem człowieka. Nas interesuje przedewszystkiem sposób używania tego przymiotu, bo stąd może zarówno płynąć największe zło, jako też największe dobro. Łaska Jezusa Chrystusa, nieoceniony owoc jego odkupienia, szczególnie wspiera wolę. Łaskę zaś rozdziela Kościół. On więc jest dobrodziejem i wychowawcą ludzkiej woli. Choć są tacy, którzy uważają Kościół za nieprzyjaciela wolnej woli. Należy więc uzgodnić pojęcie wolności.

To, co w modnej wolności jest uczciwe i zdrowe, to też Kościół zawsze uznawał. Jest w nich niestety dużo więcej swobód wolności niezdrowych, choć niektórzy uważają je za chlubę naszych czasów.

Mamy na oku wolność, moralność, rozważaną w jednostce, jako też w społeczeństwie. Na wstępie warto sobie jednak zdać sprawę z wolności naturalnej. Jest to przywilej istot obdarzonych rozumem, gdyż zwierzęta idą tylko za zmysłami oraz instynktem naturalnym. Podczas gdy rozum mówi nam o wszystkiem, że ono może być i może nie być, daje więc wolności możność wyboru, co jej się podoba.

Jeżeli człowiek może sądzić o tem, co może być, lub może nie być, to dlatego, że ma duszę niezłożoną, duchową i zdolną do myślenia. Rozumiejąc myślą racje niezmienne i konieczne prawdy i dobra, widzi, że te dobra cząstkowe nie są w żaden sposób konieczne. Mówić więc o duszy nieśmiertelnej i zdolnej do myślenia, znaczy ustalić wolność przyrodzoną na niezawodnej podstawie.

Pojęcie niezłożoności, duchowości, nieśmiertelności duszy, a w następstwie jej wolności Kościół głosił z niezrównaną wy-

trwałością. Bronił jej przeciw manichejczykom, na Soborze Trydenckim, potępiając i odrzucając fatalizm.

Własność istot rozumnych, wolność woli polega na możliwości wyboru środków, wiodących do celu, innemi słowy:

Wolna wola jest tą właściwością woli, dzięki której w czynności swojej ma możność wyboru. Rozum jednak toruje woli drogę, przyświeca jej jak pochodnia. Sąd wydaje rozum, dając pierwszeństwo temu dobru, które mu odpowiada.

Zdarza się, że rozum nasuwa woli objekt, który jest tylko pozornem dobrem. To jest ujemne oblicze rozumu, ale także woli, że może pragnąć dobra pozornego.

Pan Bóg nie myląc się w sądzie, nie może też pragnąć rzeczy złej. Mimo to jednak jest to wolność woli doskonała. Przeciwnie twierdzili Pelagjanie. Możność zgrzeszenia nie jest wolnością, lecz niewolą, bo grzesząc, człowiek ulega cudzemu wpływowi, a nie własnemu. Tak już starożytni utrzymywali, że tylko mędrzec ma wolną wolę, bo nie ulega podszeptom złego.

Wobec takiego stanu rzeczy prawo stało się pomocą wolnej woli, strzegąc ją od fałszywego wyboru, jest ono uregulowanym sądem.

Jeżeli więc prawo jest potrzebne człowiekowi, to źródło prawa tkwi w tej potrzebie właściwego postępowania, którą odczuwa człowiek. Niema więc nic tak naiwnego, jak twierdzenie, że człowiek będąc wolny z natury, powinien być wolny od wszelkiego prawa. Bo wtedy trzebaby powiedzieć, że wola wymaga niezgody z rozumem.

Na czele wszelkiego prawa trzeba umieścić prawo naturalne, które jest wypisane w sercu człowieka, nie spaczonego złym wpływem. Przemawia przez nie Najwyższy Prawodawca jest ono odwiecznem prawem, własnością istot rozumnych, skłaniając je do czynu i celu właściwego.

Do tych najwyższych wskazań raczył Pan Bóg dołączyć posiłki, które ułatwiają ich spełnienie. Jest to nasamprzód łaska Boża, która wnika w samą istotę człowieka i zgadza się z jego dobremi skłonnościami osobistemi, ponieważ pochodzi od Tego, który jest sprawcą duszy i łaski.

Po prawie przyrodzonem dalszym wskaźnikiem ludzkiego postępowania jest prawo ludzkie. Niekiedy wyznacza ono sankcję za przekroczenie prawa naturalnego, które tem samem nie prze-

staje być dziełem Boga samego. Inne przepisy prawa ludzkiego są rozwinięciem dalszem i pośredniem, niekiedy dokładniejszem i szczegółowszem prawa naturalnego. W życiu społecznem wolność polega na postępowaniu według prawa przyrodzonego, które otrzymało bardziej do danych warunków zastosowane sformułowanie.

Wolność woli ludzkiej istnieje po poprzedniem przyznaniu konieczności posłuszeństwa prawu najwyższemu i odwiecznemu.

Wedlug tego prawa postępował zawsze Kościół i z niem zapoznawał narody chrześcijańskie.

Tym sposobem Kościół stał zawsze na straży prawdziwej wolności osobistej, występując przeciw niewolnictwu, głosząc równowagę praw i obowiązków. Stąd wszędzie, gdzie się zakłada placówki kościelne, znikają obyczaje barbarzyńskie.

Okazując posłuszeństwo dla najwyższego prawa Bożego, ćwiczy się ludzkość w posłuszeństwie dla niższych praw ludzkich i staje się podporą władzy.

Tylko wtedy obywatel oprze się prawu ludzkiemu, gdy ono będzie w sprzeczności z prawem Bożem.

Obóz liberalny, idąc za słowem szatana: nie „będę służył" nie rozumiejąc, co to prawdziwa wolność legalna i uczciwa, wymawia Kościołowi, że jest przeciwnikiem wolności.

Czem są zwolennicy naturalizmu i racjonalizmu we filozofji, tem są poplecznicy liberalizmu na polu obyczajów i życia praktycznego, głosząc moralność niezależną.

Dla społeczeństw ludzkich wypływa stąd ten wniosek, że przyczyna sprawcza w gromadzie nie jest prawidłem poza nią istniejącem, lecz wolną wolą jednostki i, że władza jest sumą poszczególnvch aktów woli obywatelstwa.

Innemi słowy, jest podeptaniem hierarchji między Bogiem a człowiekiem.

Dalsza konsekwencja liberalizmu jest ta, że znosi różnicę między złem a dobrem, skoro bowiem normą moralności jest sąd jednostki, to jedna rzecz może być w oczach jednego dobra, w oczach drugiego zła, czyli ocena moralności przestaje istnieć i będzie iskrą, którą namiętności ludzkie rozdmuchać mogą do poważnego pożaru.

Przerażeni skutkami swej doktryny, niektórzy liberałowie tylko połowicznie głoszą swe zasady, bojaźliwie oglądając się

w stronę Boga, jako tej instancji, która może ratować walący się gmach ustroju społecznego.

Godząc się z konieczności na prawo przyrodzone, odrzucają jednakże prawo Boże, pozytywne czyli nadane. Niemądrzy, bo przyjmując istnienie Boga i jego prawa odwiecznego, mając dowody i dokumenty na udzielenie innego jeszcze prawa, zatrzymują się w połowie drogi, zamiast bez zastrzeżeń dokończyć rozumowania.

Reguła życia naszego, to nietylko prawo przyrodzone, ale zespół wszelkich praw Bożych; zostawmy więc ze czcią złączone to, czego nie można i nie wolno rozłączać. Niech Bóg nas znajduje zawsze uległymi i posłusznymi Jego prawom.

Inni znowu utrzymują, że cały zespół praw Bożych może rządzić życiem jednostki, ale nie społeczeństw. Popełniają jednak rażącą sprzeczność, bo jak potrafi jednostka rządzić się prawem Bożem, przeciw któremu występuje państwo?

Państwo powinno popierać wspólne dobro i szczęście, a więc i dobro duchowe. Otóż nic tak nie popiera dobra duchowego, jak prawa Boże, powinny więc one spotykać się ze zrozumieniem przychylnem państwa.

Kościół i państwo spotykają się często na punktach wspólnych. Rozdźwięk w tych wypadkach byłby zgubny. Wobec tego powinna zapanować zgoda między obu organizacjami na podstawie właśnie wszystkich praw Bożych.

Zbadajmy po kolei wszystkie wolności, które się uważa za zdobycze obecnego wieku.

Wolność kultu, pozwalająca wyznawać jakąkolwiek religję, albo nie uznawać żadnej, zapoznaje najważniejszy obowiązek człowieka, sławienia Boga.

Religja jest podstawą wszystkich cnót. Wyznawać zaś wolno tylko tę religję, którą Bóg wyznaczył i która może się Bożem posłannictwem wylegitymować. Nie człowiek tu rozstrzyga, ale Bóg.

Zdaniem liberałów, państwo samo w sobie nie powinno wyznawać żadnego kultu, lecz czyżby to nie przemawiało za za tem, że społeczeństwo nie czuje żadnych zobowiązań wobec Boga. Otóż pierwszym ze wszystkich jest cześć, składana Bogu. Jeśli samo społeczeństwo jest tworem Boga, a nikt tego nie zaprzeczy, to i ono ma obowiązek przyznawania się do zależ-

ności od Boga; stawiać narówni wszystkie religje, to ateizm jeżeli nie z formy, to z treści.

Dozwalać wybór praktykowania jakiejkolwiek religji, lub nie praktykowania wogóle, znaczy podważać podwaliny społeczeństwa. Uznawać jednego Boga prywatnie i społecznie, to najlepsza obrona wszelkiej władzy.

Ścisła religijność nadaje całemu życiu obywatela zwartości, oddania się dla sprawy, prostolinijności i swojskości.

Wolność słowa — dozwala wyrażać słowem czy drukiem wszystko, co się zechce. Prawo jednakże odnosi się tylko do tego, co dobre i prawdziwe. Wszystko co się kłóci z pojęciem dobra i prawdy, musi jednostka tłumić, tembardziej państwo, do którego istoty należy walka z rozkładem oraz twórcza praca nad rozszerzaniem dobra i postępu wszelakiego. Stąd wszelkie odchylenia z drogi prawości, powinny spotkać się ze sprzeciwem państwa, tem donośniejszem, im większe wyrządzałoby spustoszenie w królestwie dobra i prawdy.

Wolność nauczania — oczywiście także nie może być bezgraniczna, bo czyż można uczyć wiadomości, sprzecznych z dobrem i prawdą? Władza państwowa nie może tolerować takich, którzy pod pozorem nauczania zatruwali umysły i paczyli charaktery, gdy jej dobro ogółu na sercu leżeć powinno. Tembardziej, że uczniowi samemu trudno oponować wobec błędnych nauk nauczyciela.

Prawda jest przyrodzona i nadprzyrodzona. Oba jej działy są równie cenne, wzajemnie od siebie zależne.

Do prawd nadprzyrodzonych należy: fakt objawienia pierwotnego i starozakonnego, objawienia przez Chrystusa prawd Bożych, wreszcie ujęcie ich w posiadanie przez organizację, której na imię Kościół.

Kościołowi wyłącznie powierzył Zbawiciel prawo i zdolność administrowania funduszem prawd i łask. Wszystkich zaś zobowiązał do posłuszeństwa wobec jego wyrazów woli, które tłumaczą rolę samego Chrystusa.

Zapewniwszy Kościołowi dar nieomylności, uczynił go najpewniejszym, niechybnym nauczycielem. Ludzkość, zachwaszczona kąkolem błędów i przesądów, dopiero pod wskazówką Kościoła odrodziła się do jasności i trzeźwości umysłowej. Niema bowiem sprzeczności między prawdami przyrodzonemi i nad-

przyrodzonemi, przeciwnie, kto biegły jest w tych, ten postąpi lepiej i w tamtych i naodwrót. Potwierdzają to liczne przykłady.

Uznając postęp naukowy za nakaz Boży i potrzebę ludzkości, Kościół zawsze był szczerym zwolennikiem zdobyczy naukowych.

Wolność sumienia — wtedy jest błędna, gdy pozwala Bogu oddawać cześć lub nie; wtedy jest prawdziwa, gdy zakazuje przeszkadzać w spełnieniu obowiązków wobec Boga i w pójściu za głosem Boga. Tę tą prawdziwą wolność sumienia głosił Kościół do chwili założenia.

Nie wykonywa się tej zasady buntując się przeciw władzy państwowej, bo wola Boża nigdy nie może sprzeciwiać się zwyczajom państwowym, jeżeli są właściwe.

W teorjach liberalnych wyznaje się bezprawie powszechne jedyny teror wykonywa się wobec Boga i jego interesów, podczas gdy przeciwnie Bóg jest źródłem prawdziwej wolności.

Największą radość odczuwałby Kościół, gdyby zasady jego przyjmowały się w życiu politycznem i społecznem. Byłaby to rękojmia poprawy stosunków, dziś tak zagmatwanych w następstwie tych zachwalanych wolności.

Doceniając w pełni niektóre konieczności państwowe, Kościół skłania się ku pewnym tolerancjom, aby uniknąć większego zła.

Pan Bóg sam podobnie pozwala na istnienie pewnych objawów zła, aby nie przeszkadzać większemu dobru, albo zapobiec większemu złu. Nie trzeba chcieć, by zło nastąpiło, ani też by nie nastąpiło, ale można pozwolić by nastąpiło.

Zwrócić przytem uwagę należy na dwie refleksje: im gorsze są stosunki w państwie, tem konieczniej trzeba tolerować zło, zło przewidziane powinno być ograniczone do pewnego maximum, poza którem zagrażałoby dobru publicznemu. Jeżeli ze złego żadna korzyść nie wyniknęła, wtedy nie wolno wogóle uciekać się do zła w praktyce. Jeżeli więc Kościół zgadza się na pewne ustępstwa, to czyni to przejściowo, a cofa je skoro stosunki na to pozwolą.

Liberałowie, przyznając wolność bez granic, przekraczają miarę i nie okazują więcej względów dla cnoty i prawdy, jak dla błędu i nałogu, a gdy Kościół protestuje przeciwko temu nieporozumieniu i zapomnieniu się, oskarżają go o brak cier-

pliwości i łagodności. Z tego, co jest chlubą i zasługą Kościoła robią zarzut i wymówki. Rozrzutni w wolnościach bez zastanowienia się, dla Kościoła chowają najsroższe dokuczliwości.

Streszczając się, powtarzamy, że człowiek nie jest niezależny. Zaprzeczyć Bogu wyższość nad człowiekiem, to nie wolność, lecz nadużycie wolności i wyraźny bunt przeciw Bogu. To jest właśnie ideologja liberalizmu.

Nie wiele mniejsze są następstwa tych, którzy uznając zależność od Boga i od prawa przyrodzonego, odmawiają posłuszeństwa prawu pozytywnemu, wyrażonemu w piśmie świętym i prawie kościelnym, podkreślając zwłaszcza obojętność państwa wobec tego prawa. Są oni sprawcami rozdziału państwa od Kościoła, chociaż życie domaga się gwałtownie zgodnego pożycia obu władz.

Dzielą się oni na dwa odłamy. Jedni uznają Kościół w całej rozciągłości, uważając, że dla spraw państwowych jest on instytucją obojętną, nie zdając sobie sprawy ze sprzeczności, by Kościół był szanowany przez obywatela, a wzgardzony przez państwo. Inni nie przyznają Kościołowi nawet cech społeczności doskonałej i suwerennej, ograniczają jego rolę do napominania i przekonywania i wtłaczają w zakres administracji państwowej. Charakter niezawisłości został przecież Kościołow nadany przez Założyciela.

Inni znowuż nie dążą do separacji obu organizmów, lecz żądają od Kościoła ustawicznych ustępstw, niepomni, że od zasad Kościół ustąpić nie może w rzeczach wielkich i trwałych.

Nie można więc pisać się bez zastrzeżeń na wolność myśli, druku, nauczania i wyznawania religji. W odosobnionych wypadkach, ze słusznej racji i na krótki czas można mniej ściśle trzymać się zwyczajów Kościoła, nie można od nich odstąpić zasadniczo.

W kraju, w którym Kościół jest gnębiony, można stworzyć inne organizacje, które cele Kościoła spełniać będą pod formą, którą uzna niesprawiedliwe ustawodawstwo danego kraju.

Kościół nie sprzeciwia się ustrojowi demokratycznemu, o ile on potrafi spełnić swoje zadanie, nie gwałcąc praw Bożych ani ich nie lekceważąc.

Pochwala się branie udziału w toku spraw publicznych, chyba że szczególne jakieś okoliczności się temu sprzeciwiają.

Wolno także pracować nad wyzwoleniem swego kraju z despotyzmu, byleby się to działo bez naruszenia sprawiedliwości; wolno także starać się o zdobycie więcej praw w ramach państwowych, o ile to nie sprzeciwia się dobru publicznemu.

Modlitwa. Błogosławieństwo.

Paterna caritas z 25 czerwca 1888 do Armeńczyków (Ormian).

Jak z prawdziwą boleścią śledziliśmy apostazję pewnej liczby Armeńczyków miasta Konstantynopola, tak z żywą radością stwierdzamy powrót do rodziny katolickiej. Trzeba tem ściślejszem zespoleniem nadrobić to co nadwyrężył ów rok nieszczęśliwy.

Wobec spraw publicznych zaleca się lojalność, w stosunkach między obywatelami państwa miłość braterska. Ta budująca miłość bratnia przyciągnąć może swoim przykładem tych, którzy zdala są od Owczarni Chrystusowej.

Zbłąkanych braci trzeba odszukać, ująć ujmującą czułością i serdecznością niezwykłą. Dobry wynik tych zabiegów zaręcza nam miłosierdzie Boże oraz przeszłość narodu armeńskiego, który zawsze dał się pozyskać prawdzie i przywiązanie do Stolicy Apostolskiej, której wyrazicielem był św. Grzegorz i wielu jego następców.

Synod, odbyty w Sis w r. 1707, orzekł: Jak ciało jest posłuszne głowie, tak Kościół powszechny musi nagiąć się do rozkazów tego, którego Chrystus naznaczył swoim następcą. Zdanie to potwierdził i rozwinął jaśniej Synod w Adana dziewięć lat później (1716).

Wiadomo także, co się wydarzyło we Florencji. Wysłannicy patryjarchy Konstantyna V złożyli hołd Eugenjuszowi IV jako namiestnikowi Chrystusowemu. Ten zaś w konstytucji Exscultate Deo wyraził całość wiary katolickiej, którą przyjęli delegaci Kościoła wschodniego. W osobnem piśmie wyraził swoją uległość Grzegorzowi XIII patryjarcha Cylicji, Azarjasz w kwietniu 1585 r.

Te wspomnienia wznowią dawne związki ze Stolicą Apostolską, bo przyjaźń jej do narodu ormiańskiego zawsze jest żywa. Grzegorz XIII np. stworzył zakład wychowawczy dla młodzieży armeńskiej w Rzymie. Urban VIII dokończył przez po-

przednika wszczęte dzieło Za naszych dni wyznaczono dla młodych Armeńczyków gmach przy św. Mikołaju z Tolentynu. Wszystko to uczyniono dla zachowania języka i liturgji armeńskiej.

Przy Kolegjum Propagandy ufundowano szkołę nauki języka armeńskiego.

Benedykt XIV dużo uczynił dla zachowania liturgji armeńskiej oraz wskrzesił patryjarchat katolicki Armenji z siedzibą w Sis. Leon XII i Pius VII starali się o prefekta dle Armeńczyków, mieszkających w Konstantynopolu. Grzegorz XIV i Pius pomnożyli liczbę stolic biskupich i podnieśli znaczenie stolicy arcybiskupiej ormiańskiej w Konstantynopolu. Delegat apostolski osiadł tamże, aby czuwać nad utrzymaniem bliskich stosunków między Armenją a Rzymem.

Chyba dość tych dowodów, iżby kto mógł jeszcze wątpić o macierzyńskiej troskliwości Stolicy Apostolskiej dla wiernych Ormian i o szczerej chęci macierzy do zgodnego z nimi pożycia.

Historja Armenji wtedy była najświetniejsza, gdy łączność z Rzymem była najbliższa.

Modlitwa o połączenie za pośrednictwem Najśw. Marji Panny i Grzegorza Oświeciciela.

Błogosławieństwo Apostolskie.

Exeunte iam anno z 25 grudnia 1888 o jubileuszu kapłańskim.

Osobiste wydarzenie jakim jest jubileusz kapłański, tyle spowodował dowodów serdeczności, że nikt nie śmiałby więcej sobie życzyć. Tem bardziej są radosne te objawy przywiązania, że trzeba je tłumaczyć, jako wyraz czci dla Namiestnika Chrystusowego, a nietylko dla prywatnej osoby.

Modlitwa dziękczynna do Boga i życzenie, by zapał okazany objawił się w gorętszem życiu nadprzyrodzonem.

Jak ojciec do dzieci wśród ogólnego zgorszenia pragnie papież pomówić o pobożności chrześcijańskiej.

Pragnienie dobrobytu i przyjemności pobudza materjalizm, zdobywanie grosza bez względu na sposób, uczciwy, czy nie uczciwy. Mając słowa „Braterstwo" na ustach, w duszy ma się pogardę dla ludzi ubogich. Dodajmy frywolne przedstawienia teatralne, prasę i literaturę swawolną, bez sumienia, a jest czem się przerazić, myśląc o przyszłości. A szkoły? Usuwając

religję na jak najdalszy plan, napychają młodzież wiadomościami, które nadymają, a nie kształcą.

Ilu profesorów głosi filozofię, której nie starali się uzgodnić z teologją.

Stąd błędy materjalizmu, wspólnego pochodzenia ludzi i zwierząt, powątpiewania o istnieniu Boga, pojęcia cnoty, prawa, obowiązku. Głosząc chwałę ludzkiego rozumu, najhaniebniej ten rozum upadlają nieprzebaczalnemi błędami.

Imię tych różnych zboczeń umysłowych jest racjonalizm, materjalizm, ateizm, socjalizm, komunizm, nihilizm. Odrzuciwszy boskie pochodzenie religji i nieśmiertelność duszy, z konieczności dochodzi się do tych strasznych w skutkach wniosków.

Nie trzeba jednak rozpaczać, bo tak jak Pan Bóg nie pozwala zginąć światu nierozumnemu, tak samo ludzie mają się wyleczyć z tych chorób duchowych. Bo chociaż Jezus Chrystus tylko raz odkupił ludzkość, to jednak owoc tego dzieła jest stały i niewyczerpany; trzeba jednak chcieć dostąpić skutków dzieła Odkupiciela.

Oprzeć się więc zgubnemu prądowi rozkładu, rozpocząć walkę, nie bacząc, ile nas będzie kosztowała. Pogoń za uciechami nie da się pogodzić z imieniem chrześcijanina. Umartwienie ciała staje się dziś konieczniejsze niż kiedykolwiek. Mamy zapowiedź wiecznej szczęśliwości, ale po drodze cierniowej do niej się dochodzi.

Jak może prawo naturalne istnieć bez walki? Łaska chrztu św. niszczy grzech pierworodny, lecz nie znosi jego następstw, dopomaga tylko tym, którzy ze swej strony mężnie się potykają.

W stopniu wyższym praktykują umartwienie osoby zakonne, ale od umartwienia wogóle uwolnić się nikt nie może, bo każdy musi pokonywać namiętności a zwłaszcza ten, który łatwiej mógłby im puścić wodze, chyba, żeby ktoś sądził, że mniej potrzeba czujności, gdzie większe jest niebezpieczeństwo. Wolnym o pełnem znaczeniu jest, kto umie rozkazywać swoim żądzom.

Chrystus sam mógł nas odkupić bez umartwienia, poddał się jednak najstraszliwszym mękom, aby nam wskazać drogę, którą iść winniśmy.

Opłakiwać trzeba fakt, że imię chrześcijanina stało się przedmiotem hańby, zwłaszcza dla wyznań nie chrześcijańskich.

Brak charakterów, wskrześmy więc zwyczaje chrześcijańskie, a będzie ich obfitość.

Modlitwa będzie kluczem do cnoty.

Chrystus sam dał nam przykład i nauczył nas modlić się.

Chrześcijanin, modlący się, staje się wszechmocny.

Z cnót wszystkich najbardziej podstawową jest wiara.

Przewodzić wiernym w cnocie powinno duchowieństwo.

Tem większego oderwania potrzeba kapłanom od rzeczy ziemskich.

Pomyślność doczesna towarzyszy z reguły życiu cnotliwemu.

Żal tylko tych, którzy zupełnie się od Kościoła odwracają.

Odrodzenie duchowe, którego mnożą się objawy, niech będzie kompletne.

Modlitwa do Boskiego Sternika Kościoła.

Błogosławieństwo apostolskie.

Quamquam pluries z 5 sierpnia 1889 o opiece N. M. P. i św. Józefa.

Choć częściej przypominamy obowiązek modlitwy, to nikt się jednak nie zdziwi, że dziś znowu wracamy do tego samego tematu.

Kościół ma zwyczaj szukania w modlitwie ulgi w różnych doświadczeniach, szczególnie prosi o wstawiennictwo N. M. P.

Dzisiejsze czasy Kościoła nie są szczęśliwsze od najnieszczęśliwszych. Wiara zanika, miłość oziębia się, młodzież dorasta w obyczajach i sądach spaczonych. Stolicę Apostolską i Namiestnika Chrystusowego zaczepia się zawzięcie.

Nie pomogą tu ludzkie środki.

Miesiąc październik szczególnie proszę poświęcić na modlitwę do NMP.

Chcemy również prosić św. Józefa, przeczystego oblubieńca Marji. Nabożeństwo do św. Józefa przyjmuje się wśród ludu chrześcijańskiego, zwłaszcza odkąd Pius IX ogłosił go Patronem Kościoła.

Godność św. Józefa polega w tem, że był narzeczonym N. Panny i domniemanym ojcem Pana Jezusa. Jak nikt z ludzi, tak zbliżył się św. Józef do N. Panny.

Sam Pan Jezus był oddany św. Józefowi jako opiekunowi od Boga Ojca naznaczonemu.

Był więc św. Józef głową św. Rodziny, strażnikiem, administratorem, obrońcą naturalnym. Zarabiał codzienną pracą na jej utrzymanie.

Dom św. Rodziny był jakoby pierwszym przybytkiem Kościoła katolickiego, w którym przebywał Założyciel i dwaj najwybitniejsi członkowie jego.

Dziś, gdy liczba wyznawców Kościoła się zwiększyła, wszystkich obejmuje św. Józef swą opieką.

Opinja ta jest potwierdzona przez wielką liczbę Ojców Kościoła i liturgję św.

Wskazują oni na podobieństwo między Józefem, patryjarchą, a Józefem oblubieńcem, zwłaszcza na ten szczegół, że Józef starozakonny zyskał sobie zaufanie Faraona i dzięki temu zarządzał całym krajem.

Podobnie św. Józef wywiązawszy się dobrze z obowiązków głowy św. Rodziny, otrzymuje od Boga opiekę nad całym Kościołem.

Członkowie wszystkich stanów powinni się uciekać do opieki św. Józefa.

Ojcowie rodzin, małżonkowie, dziewice, potomkowie dostojnych rodów, bogacze znajdują w nim wzór godny naśladowania.

Ludzie skromnej kondycji, robotnicy mają osobliwe prawo spodziewania się opieki św. Józefa.

Być ubogim, to nie hańba, jak się okazuje na przykładzie św. Józefa.

Niech więc ubodzy wzniosą w górę serca, niech pracują, nie dążąc do przewrotu, dla swych rodzin, zapewniając im dobry byt.

Rozporządzenie o dodaniu modlitwy do św. Józefa podczas nabożeństwa różańcowego.

Miesiąc marzec poświęcamy św. Józefowi, a conajmniej odprawiać wypada triduum modlitw przed świętem św. Józefa.

Gdzie 19 marca nie jest świętem publicznem, tam zachęcamy wiernych do nabożeństwa prywatnego.

Błogosławieństwo Apostolskie.

Poniżej tekst modlitwy do św. Józefa.

Sapientiae christianae z 10 stycznia 1890 o głównych obowiązkach obywatelskich chrześcijan.

Hasłem naszem być musi powrót do zasad chrześcijańskich w obyczajach czy instytucjach narodów.

Postęp dokonał się znaczny, lecz niemal wyłącznie w dziedzinie uprzyjemnienia życia. To jednak nie zadawala duszy. Ku Bogu spoglądać i doń dążyć, to najwyższe prawo obowiązujące człowieka.

Co się odnosi do jednostki, to da się także zastosować do społeczeństw. Nie jest ono celem jednostki, lecz środkiem, który ułatwia wspólne dojście do celu. Jeżeli społeczeństwo samo w sobie oddala się od Boga, wtedy przestaje być tem, czem być powinno, a staje się stadem, ironją społeczeństwa.

Dobra duchowe, zauważamy to, coraz mniej zajmują miejsca w całokształcie zainteresowań publicznych. Im większy jest postęp fizyczny, możnaby niemal powiedzieć, tem większy upadek dóbr duchowych.

Nie tylko jednostki, ale i społeczeństwa załamują się. Jest to zjawisko zrozumiałe: gdzie niema ani fundamentu, ani kolumn, tam żaden gmach się nie utrzyma na powierzchni ziemi. Uciekają się dziś do siły. Ale nic nie jest takie słabe jak siła, która nie opiera się na religji. Jedyna przeciwdawka wobec szerzącego się zła jest religja chrześcijańska.

Stąd układ i treść niniejszego orędzia. Nie ulega wątpliwości, że katolik ma więcej obowiązków do spełnienia niż ktokolwiek inny. Pierwszy obowiązek nakłada konieczność słuchania słowa Bożego, czyli stania się chrześcijaninem. Kto jest chrześcijaninem bez zastrzeżeń, ten jest katolikiem, a jako katolik całą duszę oddać musi Kościołowi.

Tak jak prawo naturalne każe nam kochać ojczyznę, tak też uczuciem szczerem przylgnąć trzeba do Kościoła.

Miłość przyrodzona ojczyzny i miłość nadprzyrodzona Kościoła z jednego płyną źródła, mianowicie Boga. Nie może więc być między obiema jakiejkolwiek sprzeczności.

Nie zawsze jednak zachowuje się właściwą hierarchję obu obowiązków. Zachodzą wypadki, że państwo stawia wymagania wręcz przeciwne żądaniom Kościoła. Nie można dwom panom służyć. Raczej więc służyć Bogu, aniżeli ludziom.

Prawo jest to nakaz zdrowego rozsądku, wydany przez władzę legalną dla dobra publicznego. Władza prawowita jest ta, która pochodzi od Boga. Nie możnaby nazwać prawem to, co sprzeciwia się zdrowemu rozsądkowi i odwodzi od Boga.

Chrześcijanie okazują uszanowanie religijne wszelkiej władzy, chociażby chwilowo spoczywała w niegodnych rękach. Prawa spełniają z pobudek wyższych, nie tylko z bojaźni. Opierają się jedynie ustawom niesprawiedliwym.

Św. Paweł w liście do Tytusa III, 1, 7. Dzieje Ap. IV. 19,20.

Chrystus przyszedł na ziemię przynieść prawdę i miłość. Znać tę prawdę, to najwyższa mądrość; w tej miłości Bożej, która udoskonala wolę, mieści się całe życie i wolność chrześcijańska. Kościół strzeże tego podwójnego skarbu, powierzonego mu przez Chrystusa.

Z jaką zaciekłością prowadzi się wojnę z Kościołem! Za to, że Pan Bóg dał ludziom tak przenikliwy rozum, uważają, że wolno im wykluczyć Go z życia społecznego.

Zaślepieni błędami powierzają człowiekowi panowanie, należne Bogu.

W obliczu takiej niegodziwiści, każdy niech nad sobą czuwa, aby nie stracić wiary. Trzeba pogłębić znajomość wiary swojej.

Świeccy muszą narówni z duchowieństwem stanąć na straży, funduszu wiary.

Milczeć wobec zgiełku atakujących, to rzecz niegodna.

Nieraz bardzo łatwo odeprzeć zarzuty przeciwników. Zresztą chrześcijanin to zapaśnik w interesie wiary. Walcząc, trzeba nadzieję w Bogu pokładać.

Wiarę trzeba otwarcie wyznawać i rozkrzewiać, ile to da się zrobić.

Nic więcej prawdzie katolickiej nie szkodzi, jak to, że jest nie znana. Należycie przedstawiona, ma sama ze siebie dość siły, by zatryumfować nad błędem. Skoro tylko umysł nie zeszedł na bezdroża przesądów i uprzedzeń, a pozostał szczery i prosty, wtedy natychmiast zdobywa sobie zdrowy rozsądek. Zapewne, i łaski potrzeba do wiary, jednakże bez przyczynienia się do poznania wiary, łaska sama nic nie zdziała.

Właściwymi głosicielami słowa Bożego są papieże i biskupi, którym pomagają kapłani. Jednakże i świeccy, którzy

mają odpowiednie wiadomości i ochotę są chętnie widziani w szeregach nauczycieli Ewangelji.

Świeccy mogą być echem tego, co od doktorów kościelnych nabyli z zagadnień religijnych i kościelnych. Już Sobór Trydencki polecał świeckim współpracę przy boku kapłanów.

Praca w pojedynkę nie wiele przyniesie pożytku, trzeba się oprzeć o organizację taką, jak Kościół, albo mniejszą, istniejącą w ramach Kościoła.

Organizacji Kościelnej nie da się zmieniać według uznania. Kto nie umie się w pracy podporządkować systemowi kościelnemu, więcej szkody przyniesie niż pożytku.

Jednomyślność w obozie katolickim zawsze odnosi zwycięstwo, niezgoda złamie najlepszą ideę. Św. Paweł I. list do Koryntjan 1, 10.

Po ludzku mówiąc, trudno o zgodę przy wrodzonej słabości ludzkiego umysłu, przy potężnej grze namiętności ludzkich, przy różnorodnych wrażeniach.

Inaczej wśród chrześcijan. Z rąk Kościoła otrzymują zawartość ideową o niezawodnej pewności.

Wiara chrześcijańska nie opiera się bowiem na autorytecie rozumu ludzkiego, lecz boskiego. Nie wierzymy więc, ponieważ rozumiemy, lecz ponieważ Bóg nam podał prawdę do wierzenia. Przyzwolenie nasze duchowe dajemy na cały fundusz objawienia, ktoby jedną z prawd wykluczył, jużby nie miał wiary w znaczeniu katolickiem.

Tłumaczem wiary jest Kościół.

Posłuszeństwo, należne Kościołowi, musi być bez zastrzeżeń.

Św. Tomasz II, II, 9, 5, art. 2.

Posłuszeństwo należy się punktom wiary, ale także zarządzeniom obyczajowym, wydanym czy przez Stolicę Apostolską, czy przez biskupów, czy duszpasterzy.

Mechanizm Kościoła jest godzien podziwu. Kierownictwo tym mechanizmem, który kółkami swemi obejmuje cały świat, nie jest rzeczą łatwą. Władza świecka jest od duchownej ściśle odgraniczona, co umożliwia, acz nie bez nieporozumień, wykonywanie prawidłowe obu władz.

Do dyskusji politycznych nie wolno wciągać Kościoła; żadna partja, choć katolicka, niema do tego prawa, wszystkie partje powinny skupić się, gdy chodzi o sprawy religijne, otaczać Ko-

ściół wspólną opieką. Skoro się okazuje, że interesy katolickie są narażone na szwank, wszelkie spory wśród katolików powinny ucichnąć.

Obie organizacje, Kościół i państwo, mają odrębny zakres działania, jednakże spełniają go na jednym człowieku, dlatego nie powinny wprowadzać rosterki do dusz jednostek, ale wzajemnie się uzupełniać.

Ustawodawcy i redaktorzy konstytucyj powinni zawsze mieć na oku dobro obu organizmów, świeckiego i kościelnego. Nieraz ustawodawstwo cywilne spotka się z protestem sfer kościelnych, gdy ono wkracza niewłaściwie w dziedzinę praw kościelnych. Co więcej, Kościół także wyraża swe niezadowolenie z wyboru osób, których przeszłość świadczy o wrogiem doń usposobieniu, popiera natomiast jednostki o wypróbowanej wierności dla Kościoła.

Tam, gdzie Kościół nie zakazuje brania udziału w sprawy wach, publicznych trzeba wysuwać ludzi o uznanej uczciwości, nie wolno dawać pierwszeństwa wrogom religji.

Widać stąd, ile na tem zależy, aby utrzymać łączność wśród katolików, szczególnie w czasach zaciętych walk o spra- zasadnicze. Bezczynność i niezgoda katolików, słaba wiara i zeświecczone obyczaje ułatwiły przeciwnikom zdobycie tyle terenu na niekorzyść Kościoło. Oby przeszłość była dobrą lekcją dla przyszłości.

Biorąc udział w sprawach publicznych trzeba unikać dwu skrajności: niewłaściwej ostrożności i zbytniej lekkomyślności.

Są ludzie ostrożni aż do przesady, bojaźliwi, niezdolni do walki frontowej. Nie jest to prawdziwy duch chrześcijański. Takiem postępowaniem ośmiela się przeciwników do najgorszych posunięć, gdyż nie będą się spodziewali przeszkody.

Są także inni, którzy, głosząc: Kościół to ja, miotają się na wszystkie strony, popełniają dużo niezręczności, zniechęcają się wkrótce.

Chwała tym wzorowym zapaśnikom o prawa Kościoła, którzy występują na arenę, gdy potrzeba, przekonani o słuszności swej sprawy i ufni w powodzenie przy pomocy Bożej. Są oni ulegli wskazaniom Stolicy Świętej i uważają się za żołnierzy nie za głównodowodzącego.

Wierni zawsze odniosą korzyść, ufając w mądrość polityczną Stolicy Rzymskiej, która sentyment swój wyraża biskupom, od nich znowu otrzymuje informacje o stanie rzeczy w państwie.

Sędziów nie potrzeba w Kościele, jest nim Namiestnik Chrystusowy, dla tego krytyką nie potrzeba się zajmować, a zato poświęcić twórczej pracy.

Zaczynać trzeba zawsze od upodobnienia swoich obyczajów do czasów dawnej cnoty chrześcijańskiej. Żydzi zwyciężali, gdy postępowali według przykazań Bożych, ulegali, gdy się od nich oddalali.

Kościół nie potrzebuje się bać o swoją przyszłość, niech się o nią boją narody, które porzuciły cnotę chrześcijańską.

Nieszczęście ludzi, którzy zatracili wiarę, jest wielkie. Wypada więc podwoić miłość chrześcijańską i objąć nią tych, którzy jej potrzebują duchowo i moralnie.

Wiadomo, jakie skutki wywołał wśród chrześcijan „nowy" nakaz miłości, przez Chrystusa ogłoszony. Czy nie moglibyśmy wrócić do tych samych skutków, gdy przyczyna jest zawsze ta sama?

Ojcowie rodzin niech po chrześcijańsku uregulują prowadzenie swych domów i pierwsze nauczanie dzieci. Rodzina jest kolebką społeczeństwa i w wielkiej mierze w domowych zagrodach przygotowują się losy państw. Stąd takie najazdy na chrześcijańskie rodziny, które szkodzą młodzieży, a obrażają rodziców. Gdy chodzi o wychowanie młodzieży, żaden wysiłek nie jest za drogi ani za trudny.

Podziwu godni są katolicy, utrzymujący własne szkoły.

Wskazówka wykonawcza dla biskupów.

Błogosławieństwo apostolskie.

Catholicae Ecclesiae z 20 listopada 1890 o dziele przeciw niewolnictwu.

Nic może tak nie interesowało Kościoła jak niedola niewolników. Starania jego były skuteczne.

Dwunastu papieży występowało w obronie niewolników, licząc tylko pobieżnie.

Za czasów naszego panowania była o tem mowa w liście do biskupów brazylijskich z 5 maja 1888 r.

List ten był wypływem wzruszenia i bólu wobec przykrego losu tysięcy ludzi.

Rozdziera serce wspomnienie czterechset tysięcy ludzi, rocznie w niewolę sprzedawanych.

Powierzyliśmy kardynałowi Lavigerie obudzenie opinji i sumienia Europy w konferencjach, odbytych w najwybitniejszych miastach.

Kierownicy naw państwowych zaczęli rzecz studjować po naszej myśli. Kongresy zwołane do Brukseli i do Paryża zapowiadają szczęśliwe załatwienie tej plagi. Dziękujemy wszystkim tym, którzy do dzieła przyłożyli dłoń.

Staramy się także o ewangelizację Afryki.

Religja Chrystusowa najskuteczniej usunie wszelkie nadużycia.

Kilku apostołów już działa, łożąc życie, wśród najbardziej narażonych szczepów. Potrzeba dalszych.

Koszty tych wypraw pokojowych są wielkie, dlatego niech wspaniałomyślność chrześcijańska nie poskąpi środków na ten szlachetny cel.

Pragniemy, by zbierano jaknajmniejsze ofiary, iżby każdy mógł uczestniczyć w całości zadania.

Składkę będzie się zbierać w święto Trzech Króli, którzy byli pierwszą zdobyczą Ewangelji w dalekich krajach.

Kongregacja Propagandy rozdzielać będzie sumy zwłaszcza tam, gdzie trzeba zwalczać niewolnictwo. Resztę rozdzieli wśród najuboższych placówek według własnego uznania.

Ofiarność na te nowe cele nie zmniejszy ofiarności na liońskie Dzieło Rozkrzewiania Wiary.

Błogosławieństwo Apostolskie.

Ks. Dr. Stefan Abt.

SPOŁECZEŃSTWO I WYCHOWANIE.

Kościół a zagadnienia gospodarczo-społeczne.

I.

Kościół katolicki od zarania swych dziejów, jako miłosierna, troskliwa matka, troszczył się i zapobiegał niedoli materjalnej swych dzieci duchowych. „Dzieje Apostolskie" świadczą, iż w pierwszej gminie chrześcijańskiej w Jerozolimie nie było nędzarzy, gdyż bogaci składali wielkie ofiary na ręce djakonów, którzy je rozdzielali wśród uboższej braci.

Od samego początku podjął Kościół walkę z niewolnictwem, które w ówczesnem życiu gospodarczem grało tak wielką rolę jak w obecnem maszyny. Tej akcji zawdzięczamy, że owa hańba całej ludzkości znikła z życia oświeconych narodów Gdy runęło państwo rzymskie, a cała Europa pogrążyła się w straszliwy kryzys kulturalny i gospodarczy, Kościół staje się niezastąpionym nauczycielem i budowniczym.

Niestety tą wielką pracę cywilizacyjną przemilczają, zazwyczaj tendencyjnie pisane, podręczniki historji. Aby dać o niej pojęcie postaram się pokrótce naszkicować, na podstawie ówczesnych kronikarzy, obraz ówczesnego rozkładu ekonomicznego. Setki miast legło w gruzach, pozostałe podupadły i z trudem wegetowały. Rzym mający niegdyś miljonową ludność, w piątym wieku, po trzykrotnem zniszczeniu, liczył zaledwie pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców. Mosty i drogi nienaprawiane uległy zepsuciu. Ruina miast i dróg przyczyniła się do upadku przemysłu i handlu. Ludność znalazła się w skrajnej nędzy. Jeden z pisarzy piątego wieku pisze, że „Ten jest bogaty, kto ma kawałek chleba..." Upadkowi gospodarczemu towarzyszył upadek moralności i prawa. Rozpoczęły się rządy przemocy i bezprawia. Duchowieństwo katolickie usilnie pracuje nad poprawą położenia materjalnego ludności. Główną przeszkodą do podniesienia miast był brak dróg. Rozbójnicy czatują na kupców i dokonywują częstych rabunków. Kościół utrzymanie dróg i mostów ogłasza za rzecz pobożną i tworzy w górach hospilje, utrzymywane przez zakonników. Rozpoczyna się na wielką ska-

lę kolonizacja Europy. Jedynie rolnictwo mogło dać trwały dobrobyt ogółowi ludności i stworzyć podstawę dla kultury chrześcijańskiej. Dotychczas głównem źródłem dochodu była hodowla bydła. Lasy pokrywały olbrzymie przestrzenie.

Jeszcze w dziewiątym wieku puszcze zajmowały około $^{9}/_{11}$ okolic Paryża. Wielkie zasługi przy kolonizacji położyli zakonnicy. Reguła św. Benedykta, założyciela klasztoru w Monte Cassino (529 r.) poleca obok modlitw także pracę ręczną i umysłową, uszlachetniającą człowieka. Benedyktyni posuwając się wciąż naprzód, pracą swą ożywili najdziksze okolice. Uczyli narody nietylko jak wierzyć w Boga, lecz i jak należy pracować na kawałek chleba. Ogromne zasługi zwłaszcza położyli dla podniesienia kultury rolnej. Pierwotnie dla uniknięcia zbytniego wyjałowienia ziemi uprawiano poszczególne kawałki roli raz na 8—20 lat. Po upływie tego okresu powracano do dawnego pola zarośniętego tak, że nanowo prawie musiano je karczować. Bededyktyni stosują w swych majątkach trójpolówkę. Szczyty górskie, pokryte nieprzebytemi lasami, zostały ukoronowane klasztorami, a u podnóży wyrastały wsie i miasteczka, które korzystając z owoców cywilizacji, szerzonej przez Benedyktynów wzrastały w dobrobyt. Przy klasztorach powstawały warsztaty, w których ludność miejscowa zaznajamiała się z rzemiosłami Klasztor stawał się dla całej okolicy nietylko twierdzą chrześcijańskiego ducha i żywym przykładem dobroczynności, lecz ośrodkiem gospodarczego postępu i oświaty. Praca ta wśród nawpół koczowniczych ludów, kładła podwalinę pod późniejszą cywilizację zachodnio-europejską, ze względu na jej wybitnie dodatnie walory społeczne była usilnie popierana przez ówczesnych monarchów, a zwłaszcza przez Karola Wielkiego.

W miarę ugruntowania się wpływów katolicyzmu wśród nowonawróconych narodów, jego akcja społeczna przenikała w głąb ówczesnego życia. Najpiękniejszy jej rozkwit widzimy począwszy od wieku XIII do XV. Myśl chrześcijańska zostaje skrystalizowana w pismach św. Tomasza. Idee sprawiedliwości społecznej ujęto w naczelnem haśle: Iustum pretium — iustum salarjum (sprawiedliwa cena — sprawiedliwa zapłata). Iustum pretium jest to cena, która istotnie się należy za dany towar, mieści się w niej równowartość danego przedmiotu, plus uczciwy zarobek sprzedającego. Lichwie zostaje wypowiedziana nie-

ubłagana walka. Iustum salarjum—to zapłata za pracę pracownika, która ma zapewnić mu i jego rodzinie dostatnie, odpowiadające jego stanowi utrzymanie. Ideałem średniowiecza była nie produkcja szczupłej garstki miljonerów, lecz zapewnienie całemu ogółowi środków do życia, krótko mówiąc stworzenie jaknajliczniejszej warstwy średnio zamożnej. To co kto ma ponad rzeczy niezbędne, winien obracać na czyny miłosierdzia i chwałę Bożą.

Społeczne bolączki: nędza robotnicza, bezrobocie, powszechny jad nienawiści i zazdrości były nieznane. Zawdzięcza to średniowiecze przedewszystkiem cechom, instytucji wyrosłej z zasad społeczno-chrześcijańskich. Cechy miały nadzór nad jakością wyrobów rzemieślniczych, regulowały cenę i roztaczały opiekę nad majstrami i ich pracownikami. Stosunek majstrów do czeladników był rodzinny. Każdy czeladnik wiedział, że w przyszłości zostanie majstrem, nie czuł się niższym społecznie od swego pracodawcy. Kto zna obecne wzajemne stosunki spółczesnych fabrykantów i robotników dla tego cechy średniowieczne są naprawdę instytucją wielką i godną podziwu.

Przyszła reformacja, przyszedł humanizm. Z życia ludzkiego poczęto eleminować ideały chrześcijańskie. Przed człowiekiem zaczęto roztaczać powaby zysku, szybkiego wzbogacenia się, łudzić go mirażami rozkoszy doczesnych. Obok majstrów dawnego typu, poczęli się pojawiać sprytni aferzyści, którzy kierowali się nie tyle solidnością, co sprytem. Rezultat był łatwy do przewidzenia. Cechy w walce z nieuczciwą konkurencją poczęły upadać. Skutki nie dały na siebie długo czekać. Przedewszystkiem zmieniło się nastawienie społeczeństw, dążono już nie do zapewnienia sobie spokojnego życia, lecz do największego użycia. A że na to ostatnie mogą pozwolić sobie przedewszystkiem bogaci, więc hasłem sztandarowem w życiu ludzkości i jednostek stało się zdobycie jaknajszybciej i w jaknajwiększej ilości złota. W polityce państwowej zapanował wówczas merkantylizm, którego zasadą było, iż o potędze państwa decyduje ilość posiadanego kruszcu (walory osobiste obywateli były rzeczą całkowicie drugorzędną, i nie troszczono się niemi zbytnio). Państwo popiera wszelkiemi godziwemi i niegodziwemi sposobami handel i przemysł.

Poświęca się najżywotniejsze interesy ludności, byleby tylko zapewnić fabrykantom jaknajtańszego robotnika. Jakich metod używano, to może być najlepszym przykładem flota francuska. Królowi przyszła do głowy idea jaknajwiększego rozrostu floty morskiej. Brakło jednak chętnych do pracy na okrętach, które były poruszane przy pomocy siły rąk ludzkich.

Sprawa została rozwiązana bardzo swoiście i szybko Dano sędziom do zrozumienia, że powinni jaknajwięcej skazywać na t. zw. galery. Były to czasy ancien regime'u, zastosowano takie środki, które zagłuszyły sumienie sędziowskie. W to, że tysiące zgniło pod pokładami statków, nie wchodzono zupełnie. Wola Najjaśniejszego Pana została spełniona.

Za przykładem państwa poszły jednostki. Rozpoczęła się epoka najstraszniejszego ucisku, bo ekonomicznego. Wprawdzie nie mordowano odrazu, ale zamieniono człowieka w bydlę robocze co orało od lat dziecięcych do śmierci. Wzrastał dobrobyt jednych, lecz nieskończeniej szybciej mnożyła się nędza drugich. Z nizin społecznych zaczął się podnosić głuchy pomruk nienawiści i żądzy porachunku. Cywilizacja stanęła przed niebezpieczeństwem groźniejszem od dziczy azjatyckiej, która obaliła przed wiekami strupieszałe państwo rzymskie. W takiej chwili musiała przemówić Stolica Apostolska, wezwać do opamiętania, przypomnieć wiecznie żywe i aktualne przykazania miłości; jednych zmusić swoim autorytetem do bardziej ludzkiego traktowania podległych im bliźnich, drugim wskazać sposoby ratunku, wyzwolenia się i zdobycia naprawdę ludzkiej egzystencji, a przez to wyrwać ze szponów obłędnej nienawiści i rozpaczy.

Zygmunt Prószyński.

Na marginesie Sprawy Żydowskiej.

I.

Sprawa państwa Żydowskiego.

W całej Europie, ba nawet w całym świecie, sprawa żydowska staje się coraz bardziej zaognioną, — rzecz naturalna staje się ona szczególniej zaognioną w Polsce ze względu na olbrzymi nadmiar żywiołu żydowskiego nagromadzony u nas. —

Świat chrześcijański w swojej przeszłości dziejowej przechodził rozmaite próby odruchowe lub świadome rozwiązania sprawy żydowskiej, ale żadna z dotychczasowych prób nie wydała należytego rezultatu, opierały się one bowiem na dwu biegunowo sprzecznych, ale zarówno błędnych podstawach. Po pierwsze na podstawie nienawiści, ślepej nienawiści do żywiołu żydowskiego, nienawiści ideowej, jako do narodu bogobójców i nienawiści rasowej ze względu na sprzeczności psychyczne, socjalne i ekonomiczne. Ta podstawa z gruntu niechrześcijańska, będąca częściowo odruchem reakcji, na akcję żydowską, rzecz naturalnie nie mogła dać trwałego pozytywnego rezultatu. Dla tego też „pogromy", czy średniowieczne czy nowoczesne do niczego nie prowadziły.—przeciwnie zaostrzając sytuację pchały żydów do tem podstępniejszej akcji. Powtóre na podstawie nieopatrznej miłości, czy też bezgranicznej życzliwości która kazała wierzyć w asymilację żydów. Od połowy XVIII wszystkie narody czyniły i częściowo dotąd czynią w tym kierunku próby. Próby te wydały jeszcze gorsze rezultaty,—bowiem pozwoliły wsiąknąć psychice i duchowi etyki żydowskiej wgłąb społeczeństw chrześcijańskich, zakażając je duchem materjalizmu, obojętności religijnej, a wreszcie wprost niewiary. W istocie cały ogromny okres, częściowo od t. zw. Reformacji, a zupełnie od czasów racjonalizmu francuskiego należy uznać za próbę ukształtowania naszego życia pod wpływem ducha żydowskiego. — Dziś świat przeżywa kryzys i pod wpływem tej próby znajduje się na skraju przepaści.

Szukać więc należy trzeciej drogi. Droga ta wynika z ducha etyki chrześcijańskiej, która nakazując bezwzlgędną walkę ze złem, zakazuje nienawiści, a nakazuje miłość, do ludzi do bliźnich nawet błądzących i wrogich,—nakazuje pragnąć dobra przeciwnika, dążyć do niego nawet w walce. Musimy więc walczyć z duchem żydostwa i z samymi żydami, broniąc się przed ich naporem, ale w taki sposób, któryby i nam i im przysporzył dobra, któryby wyszedł na naszą i na ich korzyść, przedewszystkiem moralną, a następnie i każdą inną.

Czy to możliwe?

Niezawodnie tak! – Należy żydom ułatwić masowe nawrócenie się, przejście na łono Kościoła Katolickiego. Stworzyć takie warunki, któreby skłoniły ich do szybszego, a zarazem

szczerego przechodzenia do chrześcijańswa. Żydzi jako naród pasożytniczy muszą być systematycznie pozbawiani podstawy swego pasożytowania i „zmuszeni" do wyszukiwania sobie podstaw pełnego normalnego bytowania narodowego. Rozproszeni muszą się skupiać na własnym gruncie, na bezpornie własnem terytorjum na któreby mogli, a nawet musieli wytworzyć pełne o normalnej strukturze społeczeństwo. Tylko we własnem państwie i na własnym gruncie znikną u żydów warunki podtrzymujące ich fanatyczną, zwyrodniałą religję, przejętą duchem pychy i negacji, która jest istotą nieszczęścia żydów i gniotącym ciężarem dla chrześcijan wśród których żydzi osiedlają się. Tylko w skupieniu na własnem gruncie i we własnem państwie stworzone będą warunki trzebiące ujemne strony żydostwa, a dające podstawy do masowego i szczerego nawrócenia się żydów.

W wyniku tego zasadą musi być wytrwałe i systematyczne rugowanie żydów z pośród społeczeństw chrześcijańskich, tego wymaga dobro tych społeczeństw jak i dobro samych żydów. Polska w pierwszym rzędzie powołana jest do tej akcji, zresztą dla nas ta sprawa jest *periculum in mora.*

Wielu może to zdziwić, ale faktycznie musimy wystąpić z ideą państwa żydowskiego.

Wobec zaognienia sprawy palestyńskiej i sprawy żydowskiej, zagadnienie państwa żydowskiego nie tylko jest aktualne, ale wprost piekące.

Jak wynika z wywodów poprzednich ma dwie strony. Jedną żydowską reprezentującą interes samych żydów. Drugą wszechświatową, reprezentującą interes tych narodów wśród których żydzi mieszkają, przedewszystkiem narodów chrześcijańskich, nadewszystko zaś interes Polski, w której żydzi się osiedlili w największej w gniotąco nadmiernej ilości.

Z punktu widzenia interesu żydowskiego, nie może ulegać wątpliwości, że posiadanie własnego niepodległego terytorjum z własną ludnością i własnem zorganizowanem na niem państwem jest sprawą pierwszorzędnej wagi, pod wielu względami rozstrzygającą największe niedomagania i trudności narodowego życia żydowskiego. Dążenie do własnego państwa jest naturalnem dążeniem, każdego rozwijającego się narodu, pozwolę tu sobie użyć terminologji ewolucyjno-biologicznej, każdego rozwijającego się organizmu narodowego.

Nie ulega wątpliwości, że własne terytorjum i własne państwo jest koniecznym warunkiem normalnego rozwoju każdego narodu.

Żydzi nie posiadają własnego terytorjum — a w ciągu wieków od czasu rozproszenia się w djasporę posiadali, względnie posiadają i dziś surogat rządu,—rząd tajny, ukryty, z tajną egzekutywą, z konieczności warunkową, bo opartą wyłącznie na więzi formalno-religijnej i solidarności fanatycznej. Życie tego narodu w tych warunkach jest anormalne.

Żydzi są nie tylko narodem chorym moralnie i socjalnie ale i okaleczałym, przystosowanym do życia na obcych terytorjach, w ramach obcych państwowości, na obcych organizmach narodowych, przystosowanym, jednem słowem do życia pasożytniczego. Stąd też struktura socjalna żydowskiego narodu z konieczności nie jest pełną, całkowitą, pozbawianą mianowicie jest podstawowej produkcyjnej warstwy społecznej, związanej bezpośrednio z gruntem, z glebą,—warstwy rolniczej. Warstwę tę może dać tylko posiadanie własnego terytorjum, własnej ziemi i konieczność samowystarczalności ekonomicznej. Bez tej zaś warstwy żaden naród nie jest w możności rozwijać się normalnie.

Żydzi tak dalece przystosowali się do korzystania z warstw rolnych innych narodów, wśród których zamieszkują, tak dalece zatracili zdolności do naturalnego tworzenia tej warstwy podstawowej, że z największym tylko trudem naginają się do roli. Zaczynają to odczuwać i rozumieć sami żydzi, czyniąc usiłowania kolonizacji rolnej. Idą jednak stale po błędnej drodze, bo te swoje próby kolonizacyjne rozpraszają wśród obcych społeczeństw, na obcych terytorjach, utrwalając tylko tem nałóg djaspory. Jedyna tu rada pozyskanie własnego terytorjum. Pozyskanie własnego terytorjum, skupienie się na niem i wytworzenie własnej warstwy rolnej jest nieodmiennie koniecznym warunkiem uzdrowienia i pełnego rozwoju narodu żydowskiego.

Dla tego to ruch sjonistyczny, o ile szczerze będzie dążył do pozyskania bezpornie własnego terytorjum i zlikwidowania djaspory, przez ściągnięcie na to niepodzielnie własne terytorjum wszystkich żydów, oraz wytworzenia zdrowego wszechwarstwowego społeczeństwa, nie tylko posiądzie wszelkie uprawnienie, ale i powinien spotkać się z żywą sympatją i poparciem energicznem u wszystkich narodów.

Szczególniej my Polacy, jako naród najbardziej obciążony żydowskiem nawarstwieniem, jak pleśnią, szczególniej my, którzy zmuszeni będąc przez wieki dźwigać okaleczałe społeczeństwo żydowskie, sami częściowo popadliśmy w kalectwo (niedorozwój warstwy miejskiej), możemy i powinniśmy z sympatją, z uznaniem, a nawet z wydatnem współdziałaniem spotkać tego rodzaju ruch sjonistyczny. Pod warunkiem, rzecz naturalna całkowitego wyemigrowania żydów z Polski.

Przesunięcia jednak narodowościowe, przekształcenia społeczne, jak dowodzą dzieje, odbywają się z trudem i nader powoli, o ile nacisk pewnych warunków nie przyśpiesza ich.

Żydzi nawet wobec ponętnej i tak naturalnej myśli pozyskania własnego państwa nie chętnie się godzą na zmianę dotychczasowych swoich warunków pasożytniczego życia, przeciwnie uparcie się trzymają idei władztwa wśród innych narodów, stąd też nie uśmiecha się im wcale sprawa zwinięcia djaspory, porzucenia krajów i społeczeństw na których się zagnieździli, których pracą i sokami żywią się. Nawet wielka myśl uniezależnienia, znormalizowania i uzdrowienia swego życia narodowego na podobieństwo innych narodów na własnem terytorjum i we własnem państwie, wywołuje opór i skłania do szukania innych dróg, specyficznie żydowskich zgodnie z ideą „wybranego narodu".

Zdrowa myśl sjonistyczna narodowo-państwowa (szczery nacjonalizm) jest skażona sjonizmem fanatycznym (szowinizmem) który zamiast uleczać organizm narodowy żydowski, dąży do utrwalenia i spotężnienia jego chorobliwych i ułomnych właściwości.

Własne państwo.—Dobrze! Tak własne państwo, ale w łonie innego państwa i na organiźmie innego narodu.

Stąd myśl władania Rosją, przeradzająca się w straszny eksperyment bolszewicki, myśl zawodna, która wcześniej czy późniei musi się skończyć zupełnem fiaskiem. A już są symptomaty wskazujący na to, że fiasko to nie jest tak odległe jakby się niektórym zaślepionym przewódcom żydowskim zdawało.

Stąd myśl, na skutek doświadczeń bolszewickich, skryciej, podstępniej i przebieglej realizowana myśl opanowanie Polski.

Myśl tem bardziej zawodna, że młode i prężące się siły organizmu narodowego polskiego pomimo półtorawiekowei niewoli i paruwiekowych chorób i licznych dziś jeszcze niedoma-

gań, zdążają wyraźnie wprawdzie w mozole i trudzie wewnętrznym, ale krok za krokiem wytrwale do odrodzenia. Tu już nie są ślepe odruchy, ale praca coraz bardziej świadoma, planowa i celowa.

Żydom więc potrzeba wsparcia z zewnątrz. Powiedzmy wyraźnie, potrzeba przymusu i to przymusu coraz mocniejszego.

Palestyna.—Owszem! Ale mała Palestyna to ośrodek, to państwo, które będzie kierować kilkunastomiljonową rzeszą narodu żydowskiego poza jej szczupłemi granicami, będzie łączyć, zespalać odłamki raz na zawsze tkwiące w organizmach innych społeczeństw. Djasporę żydowską nie należy zwijać, ale przeciwnie umocnić i pogłębić, oplątać nią cały świat.

„Protokuły Mędrców Sjonu",—przemawiają ze swej strasznej, mrocznej i tajemniczej głębi.

Trzy więc są koncepcje państwa żydowskiego:

1⁰ Państwa powstałego z opanowania któregoś z państw istniejących a żerującego na organizmie narodu obcego. Próbowali tego parokrotnie żydzi przed wiekami w Hiszpanji, — a skończyło się to ich wygnaniem. Kto wie czy dziś tam nie spróbują znowu, choć są tak małoliczni. Najłatwiej tam gdzie jest największe skupienie żydowskie. Eksperyment Bolszewicki i stale ponawiane próby akcji w kierunku Judeo-Polski. Tak działają demokratyczno-radykalne rewolucyjno-wywrotowe czynniki narodu żydowskiego.

2⁰ Palestyna, jako duchowy, religijny i polityczny ośrodek z siecią narodowo-żydowską ogarniającą cały świat. Jestto nadpaństwo żydowskie, prawdziwy panjudeizm „narodu wybranego". Giełda, sfery bankierskie, międzynarodowy kapitał pozostający w rękach plutokratycznych potentatów żydowskich, oto potężne czynniki tego dążenia. One dały mandat palestyński w ręce Wielkiej Brytanji, a choć doznały zawodu, broni nie składają.

Obydwa te prądy jeden z jednej strony, drugi z drugiej zdążają właściwie do jednego celu, do wszechświatowej hegemonji żydów, obydwa utrzymując pasożytniczy charakter narodu żydowskiego, starają się z niego wytworzyć czynnik nadrzędny w stosunku do pozostałych narodów świata.

Często też widzimy, a w ostatnim okresie dziejów szczególnie wyraziście, że właściwie te dwa prądy porozumiewają się

ze sobą i współdziałają, na zasadzie swego rodzaju „chazuki" t.j. rozgraniczenia i zmonopolizowania pewnych terenów działania dla swych prób. Wszelkie poważniejsze próby zgniecenia lub izolowania Bolszewizmu były udaremnione na zachodzie przez sfery giełdziarsko-kapitalistyczne. Wszelkie zaś próby poważniejsze bolszewicko-rewolucyjne przedewszystkiem były wykonywane w krajach mniej uprzemysłowionych (wbrew założeniom teoretycznym) Rosja, Węgry, Hiszpanja, nieudana próba we Włoszech (przedfaszystowska).

Tym planom żydowsko-państwowym cały świat a przedewszystkiem świat chrześcijański musi się przeciwstawiać z całą siłą i całą energją, tem bardziej że żydostwo w swych dążeniach posługuje się tak skrytą i podstępną potęgą jak masonerja. Przeciwstawiać tu należy trzecią koncepcję.

3° Państwo żydowskie, na własnem terytorjum stopniowo skupiające cały rozproszony naród żydowski. Państwo narodowe o społeczeństwie wszechstanowem, o zdrowej pełnej strukturze socjalnej, prosperujące dla własnych celów wewnętrznego rozwoju. Jedyny zdrowy pogląd dla ludzkości pożyteczny, dla samego narodu żydowskiego zbawienny. Choć w przeprowadzeniu trudny, niezawodnie wykonalny, pod warunkiem, że wszystkie narody do wykonania jego dopomogą.

Pomoc ta musi się wyrazić i wcześniej, lub później, wyrazi się napewno w postaci wytworzenia nacisku, przymusu pewnych warunków. Żydzi w jedynie zdrowym i zbawiennym dla siebie kierunku dobrowolnie nie pójdą. Tu się łudzić nie można. Kierunek ten wymaga zerwania z wielowiekowemi tradycjami, nawyknieniami i nałogami, wymaga przekształcenia się socjalnego, a nawet i duchowego zatwardziałej rasy żydowskiej, wymaga zasadniczego zerwania z dotychczasową pychą narodową z pojęciem i fanatycznem przywiązaniem do „wybrańswa narodowego". Takie przemiany odbywają się tylko pod żelaznym przymusem warunków życiowych, pod potężnym naciskiem.

Narody też świata muszą wytworzyć warunki przymusowego nacisku dla żydów. Żydzi muszą być pozbawieni podstaw pasożytniczego życia, wykarmianie ich musi się skończyć dla naszego i ich dobra. W pierwszym rzędzie powołaną jest do tego Polska, jako i naród i państwo najbardziej zagrożone dwoma pierwszemi koncepcjami żydowskiemi.

Te przymusowe warunki w wytycznej swojej określają się krótko:

Rugować żydów.

Rugować na polu kulturalnem, ekonomicznem i politycznem.

Może to brzmieć w niejednem uchu, okrutnie, a nawet dziko, ale jest to w istocie rzecz zbawcza i błogosławiona, nie tylko dla nas, ale i dla żydów.

Będzie to niezawodnie akt męskiej i czynnej miłości bliźniego; jedyna droga przyśpieszenia wytworzenia normalnego państwa żydowskiego i uzdrowienia narodu żydowskiego.

Rzecz naturalna obok tego narody i państwa powinny uczynić wszystko, ażeby dać żydom terytorjalny i narodowy ośrodek koncentracyjny, grunt pod własne państwo.

Warunki: przymusowe rugowanie żydów z pośród społeczeństw chrześcijańskich, przymusowe likwidowanie djaspory, oraz ośrodek koncentracyjny narodowo-żydowski, na własnem żydowskiem terytorjum,—oto czynniki wiodące do rozwiązania sprawy żydowskiej—do stworzenia państwa żydowskiego. Czy tym ośrodkiem koncentracyjnym ma być Palestyna? Zobaczymy.

L. Czerniewski.

Kult monarchy.

Mało znamy, naogół przodków naszych z przed lat tysięcy, a pełni zarozumiałości z powodu naszych postępów w technice i znajomości przyrody, pomawiamy ich zwykle o ciemnotę i nieokrzesanie. Człowiek pierwotny — utrzymuje się przeciętnie — wyszedł że stanu zwierzęcego, jego wiarą była ze strachu cześć dla wielkich zjawisk przyrody; pierwotne jego pomniki były zabytkami zabobonu; faraonowe piramidy—to tylko wytwory pychy; starożytny kult władcy—to wyraz dziwnej arogancji i tyranji.

Naszczęście, prócz opanowywania sił przyrody, osiągamy dziś nadto wyższego rzędu zdobycze: odkrywamy dzieje pierwotne własnego naszego rodu i w nich znajdujemy lekarstwo na naszą zarozumiałość. Haecklowska legienda o małpoludzie rozwiewa się coraz doszczętniej. Ciemnota i nieokrzesanie dawnych wieków okazują się znamieniem ludów upadłych, zbłąkanych w dzikie ziemi zakątki raczej nie pierwotnych. Najstar-

sze wierzenia wykazują czystą wiarę w jednego Boga, sędziego, korzącego i wynagradzającego ludzi po śmierci.

Słupy i budowle z głazów są dla nas dziś niezaprzeczonym wyrazem wiary w nieśmiertelność duszy i łączność żyjących ze światem pozagrobowym. Pierwsze piramidy egipskie, jak wykazali najbystrzejsi uczeni, zawierają w sobie przedziwne rewelacje numeryczne, zdumieniem przejmujące dzisiejszy świat naukowy. W oburzającym zaś kulcie monarchy jaka się głębsza myśl mieściła, zobaczymy z treści artykułu niniejszego.

Oddawna Wschód słynie z wygórowanej czci podwładnych dla monarchy. Zjawisko to wygasło w ostatnich lat dziesiątkach, naskutek nowych, jak utrzymują, prądów w życiu społecznem. Na samym jednak krańcu Dalekiego Wschodu, w Japonji mianowicie, monarcha dziś jeszcze odbiera cześć najwyższą boską. Nie było tak, coprawda, zawsze w kraju Wschodzącego Słońca. Pierwszy mikado, Dżimmu Tenno—jak głosi legienda był potomkiem bogini słońca, Amaterasu. Niezbyt to zamierzchłe czyny, gdy żył, bo ledwie lat jakie 650 przed Narodzeniem Pańskiem. We mgle niewiadomości toną pierwsze wieki istnienia Japonji, lecz odtąd jej dzieje ustalać się zaczynają, widzimy, od wieku VIII-go ery naszej, że mikadowie figurują tylko jako władcy, krajem zaś rządzą regenci. Dopiero w ostatnim wieku, pod wpływem nauki konfucjonistów i szyntoistów, ożyło przekonanie, że mikado boskiego jest pochodzenia; w roku 1867-ym ostatni regent, szjogun, zrzekł się władzy naczelnej, i cesarz Mutsuchito zajaśniał pełnią majestatu władcy.

Dziś na prochach jego stoi w Tokjo piękna świątynia szyntojska, otoczona wspaniałym parkiem, jak z pod ziemi wyrosłym nagle, dzięki pietyzmowi poddanych. Ktokolwiek z synów Japonji wchodzi do tej świątyni, pokłony bije i kadzidło pali na cześć cienia monarchy, wielkiego Mejdżi Tenno. W dni uroczystych pamiątek narodowych młodzież szkolna obowiązkowo udawać się musi do świątyń dla uczczenia ducha cesarza. Tak bowiem rozporządziło dzisiejsze japońskie Ministerjum Oświaty. A w szkołach, w miejscu najpocześniejszem wystawia się tak zwane „przykazania cesarskie” — przedmiot reprezentujący, niejako, osobę monarchy. Tak to dzisiejsza postępowa Japonja, biegnąca na wyprzody z Zachodem drogami wiedzy i techniki, postawiła kult monarchy na tak wysokiej stopie, na jakiej nigdy

jeszcze tam nie stał. A to stanowi to poważne utrudnienie dla ewangelizacji.

Japonja kulturę swą czerpała przedewszystkiem z sąsiedniego państwa Chińskiego. Jak Chiny traktowały monarchę, dopóki monarchją były, do roku 1912-go, wiemy dobrze ze wspomnień, opisów podróży, dzieł geograficznych i historycznych, aż do przesytu i przesady. Cesarz chiński zwał się „synem Nieba", czyli Boga, pełnomocnikiem niebieskim, arcykapłanem narodu, osią powszechną, gwiazdą polarną, panem i podporą Genjuszów (duchów), ojcem ludu, otrzymującym z nieba wskazówki za pomocą gwiazd i meteorów.

Boskiej czci jednak chińczycy władcom swym za życia nie oddawali, chyba po śmierci dopiero, o ile zmarły został ubóstwiany. Na wspaniałych grobach cesarskich, pod Pekinem i Mukdenem, wystawiono świątynie, ale to raczej świątynie nagrobne niż dla ubóstwienia, i palą w nich na cześć władców kadzidło, lecz wszakże każdy chińczyk w podobny sposób czci swych zmarłych rodziców.

Że takie wyniesienie monarchy miało również na celu praktyczne zyskanie na powadze, tego łatwo domyślić się można. Miałże władca, gdy nie był dość uczciwym, nie skorzystać z takiego atutu? Naprzykład. Pobity przez koczownicze ludy północy, cesarz Dżen stał się niepopularnym. W roku 1008 ery naszej, niejaki Uan-kin-żao doradził mu postarać się o odzyskanie powagi za pomocą zmyślonych objawień. Cesarz nie wyzuty jeszcze z uczciwości, wzdrygnął się na taką propozycję. „Ależ, rzekł Hang, wielcy przodkowie bez wahania uciekali się do tego środka, ilekroć zachodziła potrzeba... Mądrzy doradcy ściągali na świadectwo Niebo i Genjusze, ażeby nadać znamię wiarogodności swej polityce. Na tem właśnie polegała ich mądrość". Cesarz zapytał innych jeszcze mędrców, jak to bywało w przeszłości, i... zaczął miewać widzenia z nieba. W końcu Niebo nadesłało mu list otwarty. Cesarz promieniał radością. „Jakież dzięki winienem Niebu, że mnie tak łaskawie traktuje!", zawołał wobec zebranych dostojników. Minister Uan-tan i wszyscy ministrowie upadli na twarz, winszując monarsze. Kronikarz Czen głośno odczytał orędzie: „Służysz mi, jako dobry syn — pisało Niebo—dbasz o pomyślność narodu, za to posyłam ci ten wyraz mego zadowolenia. Niech wszyscy o tem wiedzą! Bło-

gosławieństwo dla twoich krajów, długie lata dla twej osoby!"... A natychmiast dostojnicy obecni wydali okrzyk radości i przyznali monarsze tytuły: najdostojniejszy, najuczeńszy, najwaleczniejszy, czciciel Nieba, wielbiciel Drogi, prawdy, ubogacony w nadzwyczajne dary, mędrzec, oświecony, najlepszy, najpobożniejszy i t. p.

Jeszcze skwapliwiej i bezczelniej ubiegali się o cześć najwyższą dla siebie wielcy władcy Grecji i Rzymu. Tym już poprostu chodziło o własne ubóstwienie, gromady pochlebców-pieczeniarzy i wszelkich pragnących coś od nich uzyskać, gorliwie przyczyniały się do tego.

Od Aleksandra Wielkiego szczególnie mocno rozwinął się kult władcy. Ateńczycy nie chcieli uznać Aleksandra za boga—pisze Timaeus—co znaczy, że inni uznali go. Przypisywano mu pochodzenie od Herkulesa i Dejaniry. W okresie wyprawy na Indje przedstawiono go, jako Dyoniza (Batecha) tryumfalnie udającego się na podbój Azji.

Szczególnie podatny grunt znaleźli greccy władcy, spadkobiercy Aleksandra, w Egipcie. Tam Filadelf I z łatwością uznany został za bóstwo, jako Cheros—bóg-syn par excellence, ten którego na króla wyższego i niższego Egiptu poświęciły bogini - sęp z Elbek i bogini - aspis (wąż) z Buto, a sam ojciec intronizował go. Imię jego—Wielka Chwała. Ewerget I zwany był: Ptolomeusz żyjący, wielce umiłowany przez bóstwo Ptak.

Imię Filadelf u egipcjan przełożono na: potężny Ka z Ra (boga), umiłowany przez Ammona. W tekstach papyrusów i na tablicach w ścianach czytać można te szumne tytuły i całe epizody o urodzinach królewskich. Dla uczczenia urodzin ich stawiano na cześć ich kapliczki obok wielkich świątyń bóstw, a w nich króla utożsamiano, zlewano w jedno z bóstwem.

Lagidom szło łatwo, ponieważ mieli do czynienia z ludem, którego duszaześrodkowywała się w osobie króla-boga. Seleucydzi zaś w Azji, mając pod sobą liczne ludy i miasta o własnych tradycjach, musieli o kult króla zabiegać. Nie byli oni tam bogami, jak władcy egipscy, ale tylko przez bogów osadzani na tronie, ich przedstawicielami w Persji — ich wybrańcami. Głowy ich otaczano na wizerunkach, monetach, nimbem, co oznaczało szczęśliwość i zwycięstwo. W tytułach imiona ich

i przydomki łączono z imieniem boga: Zeus Seleucus Nikator, Apollon Antischus.

Jeżeli nie bóstwem, to w każdym razie monarcha był tam osobą świętą. Kult za życia odbierali Selaucydzi, mieli dla siebie kapłanów, za życia jednak zwano ich tylko: bazileus — król, zato po śmierci ogłaszano za boga—theos. Ptolomeusz czwarty ustalił w końcu organizację kultu króla w Egipcie, Antyoch Theos zwany dokonał tegoż, zdaje się, w dziedzictwie Seleucydów, dla Attalidów zaś, w Azji Mniejszej,—Eumenes II.

W Iljonie tak zwany gimnazjarcha postanawiał, że co miesiąc królowi lud będzie składał ofiary, a co lat cztery na cześć jego odbywać się będą gry, popisy gimnastyczne, muzyczne i konne. Było to za życia Seleuka I-go. Miasta greckie zorganizowały municypalny kult monarchy. Dokonał tego swą wolą Antyoch I-y. Ufundował specjalne kapłaństwo, a w głównych miastach każdej satrapji przebywali wyżsi kapłani i kapłanki kultu ubóstwionych królów i królowych.

Gdy władcy Rzymu zdobyli się na pomysł ubóstwienia siebie, znaleźli gotowe wzory na Wschodzie. Już Marjusz, potem Pompejusz uważani byli za „naśladowców boskiego zwycięstwa". „W Herkulesie czcić trzeba Cezara" (Juljusza) opiewał Marcjał. Trajana narówni z Jupiterem tytułowano: Optimus Maximus, Antonjusz i Kleopatra żądali dla siebie czci boskiej. Horacy głosił, że monarcha — to bóg na czas jakiś z nieba zesłany. August, pisano, to może Merkury, posłany na ziemię, jako wysłaniec Jowisza dla spełnienia dzieła swego ojca. Neronowi dawano imię Zeus Eleutherios, kiedyindziej czyniono go Merkurym. W tytułach i określeniach tych nie było nic stałego i ściśle oznaczonego.

Myliłby się, ktoby sądził, że dopiero wieki późniejsze, cywilizacja bardzo rozwinięta, wymyśliły kult monarchy. Sęgnijmy myślą wstecz do tysiącolecia czwartego przed erę Zbawienia. W Egipcie wierzono, już wtedv, że król po śmierci staje się gwiazdą na niebie, niegasnącą nigdy, a dusza jego przechodzi do amentit — zachodniego nieba, królestwa zmarłych, a nawet poprostu staje się bóstwem, Ozyrysem. Te same siły, co wskrzesiły Ozyrysa, zastosowano do króla, przez co wyraźnie utożsamiono go z bogiem, uczyniono Ozyrysem, usprawiedliwionym i tryumfującym. Później kult ten rozciągnięto na rodzinę

królewską. Według tradycji, pierwsi królowie z dynastji tynickiej (Cheops znakomity), trzej bracia, byli synami bóstwa Ra i żony jego arcykapłana w mieście On (Heljopolis). A Ra — to Byt Najwyższy, sam z siebie istnienie mający.

W czasach przedgreckich król Minos uważany był za uosobienie męskiego bóstwą, jak król Babilonu i faraon. Równano go z bogami najwyższej atmosfery, z Zeusem, dzierżącym pioruny i deszcze; dlatego to w rękę wizerunkom jego dawano symbol tej władzy, znamienną na owe zamierzchłe czasy dwusieczną siekierę.

U starożytnych chaldejów władcę uznawano za zastępcę Bóstwa na ziemi. U kreteńczyków — synem bogów żyjących jak faraon.

Co lat dziewięć Minos — pisano — musi miewać tajne widzenia się z ojcem swym, Zeusem, w świątyni na górze Juktos, na południe od miasta Krossos. Odnawia wtedy charakter swej królewskości. Podobnież faraoni w „komorze adoracyjnej" odnawiali tajemnicę swej inwestycji. Minos wychodził z takiej nowenny oczyszczony, odmłodzony, z władzą na nowe dziewięć lat utwierdzoną. Korzystał z tego, dla dania ludności pouczeń, z góry zaczerpniętych, boskich. Ale obrzędy tajemne wystawiały go na niebezpieczeństwo, mógł bowiem z góry nie wrócić, gdyż tylko Zeus, lub jego ajenci, wiedzieli, co się z nim wtedy działo.

Minos był więcej niż namiestnikiem bóstwa, był jego wcieleniem, jak faraon, a nad ludem swym—panem bezwzględnym. Królewska jego władza była zarazem kapłaństwem, i to z prawa boskiego, twierdzono. On sam tylko posiadał tajemnicę obrzędów, rytów i formuł świętych, które sprowadzały z nieba łaskawość. Nikt inny nie śmiał sięgnąć po godność pośrednika między ludźmi a bóstwem. On posiadał insygnja — symbole boskie: berło — moc władczą, djadem — życiową moc zwycięską, purpurę — krew, pierwiastek życia, tron — trwałość majestatu. Obowiązywał go statut niepisany, przysięgał na stosowanie się do rytów i zwyczajów — źródła natchnienia bożego. Lud zaś wymagał od niego mądrości i sił zdrowotnych.

W dwa tysiące lat po Minosie, w tysiąc po Ptolomeuszach, ta sama idea kultu monarchy powtórzyła się pod panowaniem kultury indyjskiej, w indochińskiem państwie chmerów, w dzi-

siejszej Kambodży. Król Dżajawarman III (802—869) postanowił ogłosić się „Panem niższej powierzchni”, czyli ziemi, to jest najwyższym, samowładnym monarchą ziemi chmerów, niezależnym już od wpływów jawańskich. Ażeby powagę swą podnieść odrazu, ażeby pokazać wszystkim swym podwładnym i sąsiadom, że jest władcą „z łaski Bożej”, zaprowadził kult nowy, kult Króla-Boga. Sprowadził w tym celu z Indji słynnego z wielkiej nauki bramana Hiranjadama, i w nowej swej stolicy, w mieście Mahendraparwata, wystawił świątynię i symbol boga Sziwy — kolumnę „linga”, a dokonał tego z wielką wystawnością. Jeden z późniejszych królów przeniósł tę świętość, wśród wielkich uroczystości, do innego miasta, bo tam chciał umieścić cały majestat swego urzędu. „Linga” figurowała na wspaniałej piramidalnej podstawie ze stopniami, naprzeciwko pałacu królewskiego, w centrum znakomitej stolicy chmeryjskiej, Ankor-Tom. Ktokolwiek w to serce kraju wstąpił, chylił się przed kolumną, czcząc zarazem boga i króla. Nie taki to błachy szczegół, jak mógłby kto pomyśleć. Fakt ten jaśniej niż inne, tłómaczv nam myśl tego kultu. Według pojęć starożytnych hambodżarów, wypływających z ich religji, władcy, kapłani i niektóre wielkie osobistości utożsamiano nieraz z bóstwem. Ich subtelne „ja”, istota ich, mogło tkwić wcielone w bałwanie, gdzie do pewnego stopnia splatało się z istotą bóstwa. Król-bóg jednakże był wyrazem jeszcze bardziej oderwanego pojęcia. „Linga” kryła pod uświęconą swą postacią już nie istotę tego lub owego króla w szczególności, ale królewską istotę nie osobową, w swej naturze nadludzkiej, odwieczny pierwowzór królów ziemskich. Była to sama „królewskość”, ubóstwiona w ten sposób, zlewająca subtelną swą istność z istnością Bóstwa, Najwyższego Władcy świata. Panujący na tronie przychodzili i odchodzili, panowali czasowo, lecz oderwana istota królewskości trwała niewzruszenie, niezależnie od tego, kto jej symbol, „lingę”, zabierał ze sobą i gdzie ustawiał.

Próbowano na Zachodzie racjonalizować ideę kultu monarchy, zwłaszcza jego ubóstwienie. Pisał któryś z filozofów greckich: „Jeżeli w nim poznajesz pewną zasadniczą cechę bożą, możesz go nazywać bogiem, w porównaniu z tobą”. Pompejusza w Atenach przyjęto napisem: „O ile znasz się być człowiekiem, o tyle bogiem jesteś”. Wyrażano się także: „Po-

tężny jak bogowie, od nich pochodzący, rzeczywista siła obecna".

Nikt wszakże nie wyraził tak jasno zasadniczej myśli tego kultu, jak chmerowie, co widać z ich pomników i napisów królewskich. Tylko że u nich wielką myśl przesłoniła forma: materjalne i to grubo materjalne symbole, które tak silnie rażą umysły nasze, iż nam się istota rzeczy subtelna wymyka.

W sposób najczystszy, bez całego balastu materjalizmu, pychy i interesowności istotę powagi monarszej, wyrazili starożytni chińczycy. Konfucjusz, ów ścisły zachowawca tradycji pierwotnych, wyraża to w I-ej Księdze Kronik, Szu-Dzin, w rozmowach cesarza Szun z ministrami Jn i Gao-jao, w roku 2073 przed Chr. „Panie — mówił Jn — zważaj na siebie, gdy wykonywasz władzę. Niech twe postępowanie przekona wszystkich, że jesteś wypełnicielem zleceń Władzy z Wysoka. Wtedy Niebo przydłuży ci dni swego mandatu, obsypie cię dobrami". To samo przypomina minister Gao-Jao: „Cesarz, będący człowiekiem, obowiązany jest dzieło Nieba za Niebo wypełnić na ziemi.. Niebo popiera tego, kto zasłużył, Ono poniża tego, kto zawinił.., Czyń zadość potrzebom ludu, strzeż się źle go dla siebie uspasabiać Albowiem Niebo słyszy głos jego i patrzy na rzeczy swemi oczyma. Niebo nagradza lub karze władcę, zależnie od tego, czy lud go chwali, czy gani. Jest łączność między tem, co w górze, a tem co na dole."

Jakże podobne są te pojęcia do tego, co głosił święty Paweł w liście do Rzymian (roz. 18): „Niemasz zwierzchności jedno od Boga, a te które są, od Boga są ustanowione" (to samo u św. Piotra I., 2, 13 i w Ks. Mądrości, 6, 4).

Zaiste, po odrzuceniu grubej skorupy ziemskich, ludzkich naleciałości, tego wszystkiego, co się z biegiem wieków przyplątało, jako skutek zaciemnienia umysłu i skażenia woli człowieka, przyznać wypadnie, że zasadnicza myśl czci monarchy jest słuszna i z zasadami religji całkiem zgodna.

Im dalej wstecz ją śledzimy, tem czystszą się okazuje. Skądże ideę taką mógł wziąć pierwotny człowiek? Wykoncypowałby ją z własnego umysłu, gdyby pierwotnie był jakiemś półzwierzęciem? Nie, idea taka chyba dana mu była z góry,

musi to być jeden z dalszych szczegółów Objawienia Pierwotnego, w które Bóg wyposażył człowieka, wysyłając go na ziemski padół płaczu.

Ks. R. Wierzejski.

O konieczności i doniosłości Akcji katolickiej.

Akcja katolicka, czyli Apostolstwo ludzi świeckich, jest tak dawne, jak dawna jest nauka Kościoła katolickiego. Święty Paweł, Apostoł Narodów, szerząc Akcję katolicką, zawsze otaczał się ludźmi świeckimi, nazywając ich pomocnikami swemi w Chrystusie.

Czytamy w dziejach nauki Kościoła katolickiego, że przez szeregi wieków zawsze w szerzeniu wiedzy i nauki katolickiej brali udział ludzie świeccy różnych stanów, będąc rzeczywistymi pomocnikami swoich pasterzy i kierowników duchownych w szerzeniu Akcji katolickiej w różnych środowiskach i komórkach życia ludzkiego.

A teraz zastanówmy się chwilkę nad ważnością i koniecznością zagadnienia Akcji katolickiej w dzisiejszych czasach, gdy upadek wiary i zdziczenie obyczajów i moralności jest tak wielkie, że można się słusznie obawiać, w Polsce tego, co jest obecnie w Rosji. Jeżeli katolicy nie usłuchają wezwania Ojca Świętego, które jest głosem samego Boga, i nie zorganizują się czynnie w Akcji katolickiej, według wskazówek przewodników duchownych, organizując i tworząc Cztery Koła Parafjalne, Mężów, Niewiast, Panien i Młodzieńców, to tym samym przyczynią się do wprowadzenia ustroju bolszewickiego w Polsce.

Doczekaliśmy takich czasów, że ludzkość cała rozdzieli się tylko na dwa obozy, jedni organizować się będą pod sztandarem nauki Kościoła Rzymsko-Katolickiego i Krzyża Chrystusowego, w Akcji katolickiej, drudzy organizują się w szybkiem tempie pod sztandarem materjalistycznym komunizmu, bolszewizmu i socjalizmu, czyli pod sztandarem Antychrysta. Są to dwa wielkie królestwa, przeciwne sobie, które walczyć

będą o dusze ludzkie aż do skończenia świata. Królestwo Chrystusa, którego stolicą jest Rzym i królestwo szatana, którego stolicą jest Moskwa, z tych dwuch stolic — rozchodzi się głos na cały świat wzywający do organizacji.

Obecnie, miłościwie nam panujący Ojciec Święty Pius XI zabiera głos na cały świat i wzywa wszystkich chrześcijan katolików świeckich, bez różnicy stanu i płci, do wzięcia czynnego udziału w Akcji katolickiej. Rzucając to hasło światu, wyraźnie mówi, że „nie od siebie to ma, ale dane jest mu to z nieba". Bóg zsyłający to hasło, ma także na oku i Polskę. Czy Polska przyjmie to hasło? Niebezpieczną jest rzeczą odrzucanie łask Bożych. Losy państwa żydowskiego rozstrzygnęły się w chwili „gdy odrzuciło Chrystusa". Za zaniedbanie łaski i niekorzystanie z „czasu nawiedzenia" przepowiada Chrystus Jerozolimie upadek „przeto pozostanie dom twój pusty, iżeś niepoznało czasu nawiedzenia twego".

„Kiedy usłyszycie głos Boży, nie zatwardzajcie serc waszych"—mówi Pismo boże. Aby nas nie spotkał ten sam los co niewiernych żydów, bądźmy posłuszni wezwaniu Ojca Świętego; bądźmy posłuszni wezwaniu naszych biskupów i kapłanów, pomni na słowa Chrystusa, Który mówi: „Kto was słucha — mnie słucha, kto wami gardzi — mną gardzi". A więc do czynu i pracy wzywają nas nasi pasterze i kierownicy duchowni. Organizujmy się czynnie w Akcji katolickiej, tworząc cztery potężne filary „na których, jako na fundamencie ma się opierać Wiara nasza święta i nauka Kościoła katolickiego".

Nie wolno nam się świadomie uchylać i wymawiać, pod żadnym pozorem, od wzięcia czynnego udziału w Akcji katolickiej. Ktoby świadomie wymawiał się od wzięcia czynnego udziału w Akcji katolickiej, tem samem odmawia posłuszeństwa Bogu, naśladując upadłych aniołów, którzy przez grzech nieposłuszeństwa stali się szatanami i tym samym należy do obozu Antychrysta, chociażby przedtem należał do różnych bractw i stowarzyszeń chrześcijańskich. A więc nie należy lekceważyć woli Bożej i hasła, które Bóg nam daje, jako ostateczną broń do zwyciężenia wroga niewiary i bezbożnego bolszewizmu, idącego z Rosji, zagrażającego Polsce i całemu światu katolickiemu. Polska przedewszystkiem ma być murem obronnym i tamą przed zalewem wszelkiej bezbożności i nie-

wiary, która jak zaraza morowa już ogarnia społeczeństwo katolickie w Polsce.

Widzimy jednak, że w Polsce wychowuje się swoich rodzonych komunistów, bezbożników, wolnomyślicieli, bezwyznaniowców i bolszewików takich samych, jak w Rosji. Groźny to jest objaw, który może w niedalekiej przyszłości otworzyć od wschodu granice Polski, a wtenczas usłyszymy głos potężnego hasła wychodzący ze stolicy szatana, Moskwy i nie ulega wątpliwości, że wtenczas zacznie się straszne prześladowanie Kościoła w Polsce, a może i na całym świecie, tak jak było w Meksyku lub obecnie jest w Rosji i wtenczas zapóźno już będzie organizować się w Akcji katolickiej.

A więc teraz dopóki jeszcze mamy czas, organizujmy się, abyśmy nie byli odpowiedzialni przed Bogiem za grzech nieposłuszeństwa w spełnianiu woli Bożej. Nie łudźmy się tym, że nas to usprawiedliwi, iż należymy do różnych bractw które według naszego pojęcia mają być Akcją katolicką; takie pojęcie jest mylne. Bóg zsyłając światu hasło Akcji katolickiej, mówi do nas, przez Ojca Świętego Piusa XI te pamiętne słowa: „Odnowić wszystko w Chrystusie". Trzeba iść naprzód. Samo bractwo już w dzisiejszych czasach nie wystarcza.

Nie zrażajmy się trudnościami w organizowaniu Kół parafjalnych, ale w Imię Boże bierzmy się ochoczo do pracy apostolskiej nad zbawieniem naszych braci i naszej duszy. Naprzód musimy zacząć od samych siebie, zwyciężyć siebie, to jest swoje złe nałogi i wady, z których musimy koniecznie się poprawić i urobić według hasła Akcji katolickiej, „odnowić wszystko w Chrystusie".

Nie budujmy Akcji katolickiej tylko na organizacji, na prasie i na czczem słowie, ale budujmy na fundamencie czynu, korzystając z Łask Bożych, które w Skarbcu Kościoła są zawarte, Chrystus nie zadawala się tem, abyśmy Go znali i naśladowali, ale chce, abyśmy się z Nim łączyli jaknajczęściej w Komunji świętej. Troszczymy się o codzienny chleb ziemski, który posila nasze ciało, na który trzeba ciężko pracować, ale nie troszczymy się o Chleb Niebieski, który codziennie bywa rozdawany darmo na Ołtarzach naszych.

Przychodzimy i odwiedzamy Jezusa, ukrytego w naszych Tabernakulach, ale głusi jesteśmy na Jego wołanie, Który

mówi „Rozkoszą moją jest przebywanie z synami ludzkimi" i woła Pan Jezus za nami, kiedy już wychodzimy od Niego: „Weź mnie z sobą w codziennej Komunji św. do domu twego, weź mnie z sobą do codziennych zajęć twoich, a Ja cię wspierać i błogosławić będę w pracach i trudach twoich, i poznasz, że „Brzemię moje jest lekkie, a Jarzmo moje jest słodkie". O tak! gdybyśmy Jezusa zabierali z sobą w codziennej Komunji św. i z Nim współpracowali w Akcji katolickiej, wprowadzili Go do naszych rodzin, do naszych szkół, do naszych warsztatów pracy, a wtenczas z pewnością byśmy wychowali takie społeczeństwo, które-by dało dobrych i sprawiedliwych obywateli, którzyby wprowadzili ustrój gospodarczy oparty na prawie Boskiem, nie byłoby tyle biedy, ucisku, nędzy i łez, ale zapanowałby już ten pożądany „Pokój Chrystusowy, w Królestwie Chrystusowem", który jest drugiem hasłem, a zarazem i nagrodą za pracę w Akcji katolickiej.

Ale niestety, my tak jesteśmy zajęci i przywiązani do rzeczy materjalnych, że już nie odczuwamy tego głodu częstej Komunji św., a po Jej przyjęciu, nie czujemy tego tentna Miłości Najświętszego Serca Jezusowego, nie mamy tego pragnienia i uczucia miłości połączenia się z Nim, i oglądania Go bez zasłony twarzą w twarz, w Królestwie Niebieskiem, i nic dziwnego, że my wolelibyśmy zawsze pozostać na ziemi, wśród bogactw tego świata, dlatego, że nie jesteśmy odnowieni w Chrystusie przez codzienną Komunję św.

Gdybyśmy znaleźli się w okresie prześladowania Antychrysta, (który przyjść musi) i dano nam do wyboru, albo zaprzeć się Chrystusa, i używać obficie bogactw i rozkoszy doczesnych do końca życia, albo ponieść śmierć męczeńską za Wiarę, z miłości Jezusa Ukrzyżowanego i cieszyć się z Nim w Chwale Zmartwychwstania wiecznej szczęśliwości, co byśmy wybrali? jest to wielki znak zapytania, na który może nam odpowiedzieć tylko Akcja katolicka pod hasłem „Odnowić wszystko w Chrystusie". Jeżeli my zorganizowani w Akcji katolickiej i odnowieni w Chrystusie przez (codzienną) częstą Komunję św. znajdziemy się wobec zagadnienia wyżej wymienianego wyboru, niewątpliwie wybierzemy śmierć z miłości dla Jezusa, Który jest naszą Drogą, Prawdą i Życiem, innej drogi niema do odnowienia wszystkiego w Chrystusie, tylko

droga codziennej Komunji św., innej prawdy niema na ziemi, tylko prawda codziennej Komunji św., innego życia niema na ziemi, tylko życie Eucharystyczne z Jezusem w codziennej Komunji św., innego środka niema do powstania z nałogów grzechowych i uleczenia ran, zadanych przez grzech duszy naszej, tylko jedyny i radykalny środek — codzienna i godna Komunja św.

Na zakończenie wspomnę o dwóch głównych cechach Akcji katolickiej. Pierwszą charakterystyczną cechą Akcji katolickiej, jest Charytas, czyli miłosierdzie chrześcijańskie, jest to jedno z Ośmiu Błogosławieństw, wyrzeczonych przez Pana Jezusa w piewszym kazaniu na Górze „Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią”.

Drugą charakterystyczną cechą Akcji katolickiej jest miłość nieprzyjaciół, miłość grzeszników. Jest to cnota nakazana przez samego Pana Jezusa, Który mówi: „Miłujcie nieprzyjacioły wasze, dobrze czyńcie tym, którzy was mają w nienawiści, módlcie się za tych, którzy wam złość wyrządzają i prześladują was”. Ta zasada ewangeliczna, która ma być główną cechą Akcji katolickiej, jest bardzo przykra, gorzka i niezrozumiała dla ludzkiej natury, prawie że nie dająca się zastosować w życiu praktycznem człowieka, jak-to powie niejeden, ja mam kochać tego, który mię tak skrzywdził na majątku, na zdrowiu, i na sławie, przecież to jest niemożliwe, to jest śmiertelny wróg mój, na którego patrzeć nie mogę.

Chrystus Pan będąc Bogiem, był i prawdziwym człowiekiem i zna dobrze ułomności natury ludzkiej, chociaż w życiu swojem ziemskiem żadnej najmniejszej ułomności nie popełnił, będąc najdoskonalszym nad wszystkie syny ludzkie. A więc widzimy doskonale, jak tę zasadę o miłości nieprzyjaciół, którą głosił w życiu praktycznem wiernie, aż do śmierci spełniał, modląc się na Krzyżu za swoich nieprzyjaciół.

Ponieważ wiemy zasadniczo, że kto się modli za nieprzyjacioły swoje, to ich z pewnością miłuje. Otóż widzimy, że ta zasada miłości nieprzyjaciół, nietylko że jest możliwą, ale jest bardzo pożyteczną z różnych względów, pierwsze, że spełnimy rozkaz P. Jezusa i będziemy naśladowcami Jego, drugie, że otrzymamy zapłatę zbytnio wielką, jaką jest korona męczeńska, nie mówię tu tylko o męczeństwie, jakie miało

miejsce w pierwszych wiekach chrześcijaństwa i jakie jest obecnie w Rosji, lub jakie będzie na całym świecie za czasów Antychrysta, ale jest drugie męczeństwo, które nazwiemy męczeństwem ducha. Otóż rozważmy to dobrze, ile to człowiek musi się namęczyć przy wprowadzeniu w życie praktyczne zasady Ewangelicznej miłości nieprzyjaciół, a więc naprzód musi zwyciężyć samego siebie, to jest przełamać siebie, następnie musi ukrzyżować wolę swoją, oddając ją pod wolę Chrystusa, który nakazuje miłować nieprzyjaciół, dalej musi zadać gwałt swojej miłości własnej, a dla miłości Boga kochać nieprzyjaciół swoich, następnie musi ukrzyżować pychę rozumu swego, modląc się w pokorze serca przed Bogiem za nieprzyjacioły swoje.

Dalej musimy kochać grzeszników i wrogów naszych ze względu, że są dziećmi Boga Ojca, a więc i dziedzicami Królestwa Niebieskiego, o czem sam Pan Jezus mówi, że „Nie przyszedłem dla sprawiedliwych, ale dla grzeszników", mówi również, że „Większa jest radość w Niebie z nawrócenia jednego grzesznika, jak z 99 sprawiedliwych". Otóż my nie wiemy, który grzesznik lub wróg nasz nawróci się i uweseli Niebo, więc wszystkich musimy kochać i dobrze im czynić i modlić się za nich.

Abyśmy dobrze zrozumieli jak wielce pożyteczną jest rzeczą modlić się za grzeszników, za tych, którzy nam złość wyrządzają i prześladują nas, niech nam posłuży następujący obrazek. Działo się to na początku głoszenia nauki Chrystusowej. Patrzmy, jak oto z miasta Jeruzalem wychodzi gromadka ludzi, złożona przeważnie z mężczyzn, którzy są pełni gniewu i pałają chęcią zemsty przeciw Człowiekowi Sprawiedliwemu, którego wywlekli za miasto, widzimy jak oto prędko zdejmują swoje ubrania i składają je u stóp pewnego młodzieńca, który ma pilnować, a sami chwytają kamienie i podnoszą ręce, aby ukamienować niewinnego. Tym sprawiedliwym człowiekiem, pełnym Ducha Bożego, jest święty Szczepan, który jest nam dany jako przykład i symbol prześladowanego Kościoła Chrystusowego. Tą gromadką ludzi, pełnych gniewu i pałających żądzą zemsty, to są nasi nieprzyjaciele i wrogowie Kościoła katolickiego. Tym młodzieńcem, który pilnował ubrania tych, co kamienowali, to był Szaweł z Tarsu, który

prześladował Kościół Boży i zezwalał na kamienowanie świętego Szczepana. A teraz wyobraźmy sobie, coby się stało, gdyby święty Szczepan nie modlił się za swoich oprawców i z nienawiścią w sercu skonał pod gradem kamieni, wszystko by było stracone, nie mielibyśmy w Kościele katolickim tak wielkiego i świętego męczennika, nie mielibyśmy tak wielkiego i świętego apostoła i męczennika, jakim jest święty Paweł, któremu łaskę nawrócenia uprosił święty Szczepan, modląc się za tych, co Go kamienowali.

Tak pracujmy w Akcji katolickiej, a napewno nastąpi „Pokój Chrystusowy, w Królestwie Chrystusowem".

Akcja katolicka jest podobna do straży ogniowej, która musi prędko i sprawnie działać, żeby ugasić ten pożar, który w niedalekiej przyszłości może objąć świat cały.

S. Martynowicz.

DZIAŁ LITERACKO - OPISOWY.

Łacina czy język ludowy?

Poważnie myślące umysły stawiają sobie w ostatnich czasach coraz częściej pytanie — nie nowe wprawdzie, lecz bardzo aktualne: czy udział wiernych w liturgji, czy życie i duch liturgiczny nie zyskałyby na tem, gdyby można było używać, zamiast łaciny, języka ludowego, zwłaszcza w częściach niezmiennych Mszy św.

Bez wątpienia—godzimy się wszyscy na to—ostateczne rozstrzygnięcie tej kwestji (o ile wyjdzie ona kiedykolwiek z dziedziny czysto spekulatywnej) należy jedynie do autorytetu Kościoła. Lecz ponieważ zapytują nas o zdanie, wypowiemu tutaj szczerze to, co o tej sprawie sądzimy. Uwagi niżej podane nie mają na celu podsycenia kontrowersji ani omówienia wyczerpującego tej sprawy,—co już gdzieindziej uczyniono — lecz tylko zastanowienie się nad tem, czy byłoby praktycznem i na czasie wzniecać ruch, dążący do wprowadzenia języka ludowego do liturgji.

Przypuśćmy, że u nas we Francji wolnoby było śpiewać po francusku to, co dotąd nazywało się *Kyrie*, *Gloria*, *Credo*. — Coby się stało?

Najpierw to, że Flamandczycy, Bretończycy, Prowansalczycy i Baskowie, czyli mieszkańcy każdej zosobna prowincji francuskiej, chcieliby (całkiem zresztą słusznie) śpiewać każdy w swoim języku. Skutkiem tego wierny, zmuszony jako urzędnik, żołnierz, kupiec, turysta, do przenoszenia się z jednej prowincji do drugiej,—ujrzałby się w niemożności brania udziału we wspólnej modlitwie.

Cudzoziemcy katolicy, zamiast czuć się u siebie w naszych kościołach, czuliby się obco. Zamiast uczucia „katolickości", doznaliby uczucia partykularyzmu. Francuz, któryby poza granicami swego kraju wszedł do świątyni katolickiej, nie miałby pociechy, radości, zbudowania z tego, że słyszy śpiewy i sam śpiewać może zupełnie tak samo jak w swojej ojczyźnie.

Widzimy zatem, że duch katolicki, duch powszechności, byłby dotknięty w jednem ze swych głównych źródeł. Wiemy dobrze, że jedność nie jest jednostajnością. Ta zasada ma całą swą wartość, gdy chodzi o zdobyte już stanowiska obrządków wschodnich w Kościele, lecz nie ma żadnej wartości, gdyby chodziło o wysadzenie z wiekowych jego stanowisk naszego obrządku łacińskiego na Zachodzie. Dziś, gdy się tyle i tak prędko podróżuje, tyle emigruje i przesiedla, jestto rzeczą wielce cenną i cenioną, jestto koniecznością praktyczną, aby części „popularne" liturji, t. j. śpiewane przez lud, zwłaszcza części niezmienne Mszy św., były—o ile możności—wszędzie te same.

Wprowadzenie języka ludowego przyniosłoby tu więcej szkody niż pożytku. Czemuż się to dzieje że Polacy*) czują się nieswojo w naszych kościołach, podczas gdy Melgosze są w nich jak u siebie? — Bo ci, nauczeni przez misjonarzy, znają nasz śpiew liturgiczny, podczas gdy dla tamtych jest on zupełnie nieznany.

Możnaby tu przytoczyć wiele przykładów, pociesznych, a raczej smutnych, że wspomnę tylko o t. zw. „modlitwach po cichej Mszy św.," które pewien kapłan zmuszony był odmówić w Londynie po agielsku, choć nie znał tego języka, — podczas gdy inny kapłan, Niemiec, zaczął je mówić po niemiecku w Lourdes. (Czy nie byłoby prościej odmówić je tu i tam po łacinie?)

*) Autor artykułu pochodzi z Lille, w zagłębiu tej okolicy Flandrji francuskiej pracuje wielu robotników Polaków, smutno, że ich zestawia z Malgoszami, cz. murzynami zamieszkującymi wyspę Madagaskar, kolonję francuską!

Teraz przypuśćmy, że dokonano poprawnego tłómaczenia mszalnych tekstów liturgicznych na jeden z tak zwanych „żyjących" języków: otóż za 100, a może nawet za 50 lat, tłumaczenie to już będzie „niemodne", przestarzałe, niezrozumiałe, ledwie że nie śmieszne. Trzeba je będzie od czasu do czasu przeglądać i poprawiać. Któż wreszcie będzie nam dawał te wzorowe tłumaczenia?*) Dosłowne — byłoby nieznośne, parafrazy zaś łatwo zubożą, wypaczą sens oryginału. Weźmy najprostszy przykład: „*Christe eleison*". Czy zaśpiewamy: „Christe ulituj się", czy też: „Jezu Christe, zmiłuj się nad nami?" Tradycja liturgiczna nie używa bez różnicy greckiej formy *eleison*", a łacińskiej „*miserore nobís*". Ile się znajdzie podobnych wypadków, gdzie—wedle włoskiego przysłowia „*traduttore-traditore*" — tłumacz stanie się zdrajcą!... Należy się obawiać, aby te ewentualne przekłady tekstów liturgicznych na język ludowy nie stały się często tem, co nazywamy dziś „sabotaże", — czyli umyślnem psuciem.

A w jakim to stylu każą nam chwalić Boga? Czy nasze tłumaczenia nadadzą się do śpiewu? Co się stanie, w nowej szacie francuskiej, ze wspaniałą dźwięcznością łacińskiego „*Gloria*"?

Czy owi tłumacze potrafią zachować w tej pracy chociażby konieczne minimum artyzmu?

Oto szereg pytań wprost nierozwiązalnych. Dajmy na to, że udało się dokonać przyzwoitego tłumaczenia. Teraz trzeba je będzie przyoblec w szatę muzyczną. Wtedy... nie! wolę o tem nie myśleć!

Mowy niema, aby można było te tłómaczenia podłożyć pod melodję gregorjańską; tyle niefortunnych prób — dowiodło nam w ostatnich czasach tej niemożliwości! Rytmy, akcenty języków nowożytnych, zwłaszcza francuskiego, są tak różne od muzyki latyńskiej mowy, że albo tłumaczenie nie będzie dosłowne, albo kontur melodyczny frazy gregorjańskiej będzie zniekształcony. Trzeba będzie zatem stwarzać nową muzykę i zaprzepaścić skarby, które nam przekazały wieki. Ciekawa rzecz, jaka muzyka zastąpi nam cudne melodje watykańskiego „*Kyrie-le*".—Napiszemy wam muzykę „w stylu gregorjańskim", „w du-

*) Aby się przekonać, jak trudno to uskutecznić, wystarczy odczytać artykuł W. O. Audrasse S. J. umieszczony w № 3 „*Mysterium Christi*" 1930 r. p. t. „*Recta sapere*".

chu liturgicznym".—Naprawdę?.. Od 30-tu lat patrzymy na te nieudane próby! Skończy się na tem, że powrócimy do t. zw. „starych pieśni ludowych" coto mają po 50, po 80 lat i znów zapanuje to „starofrancuskie, katolickie *Credo*"*), — tak bardzo „francuskie", że zaczyna się mistrzowskim akcentem na drugiej, nieakcentowanej sylabie „*Fatrem*". I pomyśleć, że trzeba będzie stworzyć u nas tyle śpiewów, ile jest prowincyj!.. Słusznie ktoś powiedział: „*Multiplıcasti gentem et non magnificasti laetitiom*".

Nie puszczajmy zdobyczy dla marnego cienia (jak pies w bajce La Fontaine'a). Zastąpienie łaciny językiem ludowym,— to żadne rozwiązanie kwestji. Zachowajmy raczej łacinę, — a nauczymy wiernych posługiwać się nią.

Teksty liturgiczne łacińskie, przeznaczone do śpiewu wiernych, są łatwe do zrozumienia, kto nie jest w stanie zrozumieć „*Kyrie eleison*", ten nie zrozumie również, Panie zmiłuj się".

Zapytałem raz na katechizacji chłopaków ze szkoły świeckiej, którzy nie otrzymywali innego wykształcenia liturgicznego, prócz tego, że ich prowadzono hurmem co niedziela na scenę, której słuchali z bocznej nawy, skąd nie widać ni księdza ni ołtarza: „Kiedy adorujemy Boga?" — Przy „Mszy św., proszę Księdza, gdy się śpiewa: *Adoramus te*".—A wszyscy chłopacy ciągną dalej chórem: „*Glorificamus te, gratias agimus...*" Musiałem ich zatrzymać w rozpędzie!

Łacina zawarta w *Kiriele***) da się prędko wytłómaczyć, nawet dzieciom. Zostawmy im tę łacinę, która ich zachwyca, która je uszlachetnia, która je pociąga, która je kształci, która bywa nieraz pierwszem ziarnem powołania. Dorósłszy, nie zapomną tej łaciny, nawet gdyby przestali uczęszczać do Kościoła. Widziałem ludzi o bardzo miernem wykształceniu i oddawna nie praktykujących, którzy potrafili sklecić zdanie łacińskie zupełnie możliwe, tylko za pomocą tej łaciny liturgicznej, której się byli dziećmi nauczyli. Zresztą są książki, gdzie tłumaczenie francuskie figuruje obok czy też pod tekstem łacińskim.

---

*) Mowa tu o pseudo-gregorjańskiej, Mszy Henryka Dumont, kapelmistrza Ludwika XIII († 1684), zwanej „Messe Royale", niezmiernie popularnej we Francji, pełnej najfałszywszych, czysto francuskich akcentów na łacińskich słowach tekstu liturgicznego.

**) T. j. *Kyrie, Gloria, Credo, Sanctus i Agnus Dei.*

Innym środkiem bardzo prostym a skutecznym byłby ten, którego zalecają najdawniejsze sobory, a ostatnio Sobór Trydencki: „aby kapłani tłómaczyli ludowi co niedziela coś z tego, co się czyta we Mszy św." Takie tłómaczenie byłoby zresztą zawsze potrzebne, nawet gdyby wierni śpiewali w języku ludowym; nicby nie pomogło samo czytanie im Lekcji i Ewangelji w ich mowie, bo jeżeli im się ich znaczenia nie wytłómaczy, to tekst pozostanie niezrozumianym; wszak artykuły „*Credo*" śpiewane po łacinie czy po francusku, jednakowo potrzebują wytłómaczenia.

Zatem — aby ułatwić ludowi czynny udział we Mszy św., nie potrzeba wcale i nie należy poświęcać naszych łacińskich śpiewów liturgicznych. Jedynym środkiem praktycznym i nieodzownym, jedynym skutecznym,—to wychowanie liturgiczne, stopniowe i konsekwentne.

Wyznam jednak, że gdyby chodziło o pewne zmiany i reformy, to powinnyby się one tyczyć nie języka, lecz śpiewu. Chcą przez to powiedzieć, że należałoby brać z „Kyriele" melodje najprostsze, najdawniejsze, najlepiej zbudowane, najbardziej kształcące. Wielu liturgistów a nawet wiele wiernych pragnęłoby też uproszczenia kalendarza liturgicznego. Gdyby przynajmniej Msza niedzielna mogła być nienaruszalną! Pius X wiele uczynił w tym względzie, ale czy się zawsze trzymamy jego wskazań?... Oto n.p. w niedzielę Pięćdziesiętnicy macie nadzieję usłyszeć mszę „*Esta mihi*", jedną z najpiękniejszych w rzymskim Mszale: bynajmniej! Zaśpiewają wam „*Cibavit*", mszę z Bożego Ciała (boto 40 godzinne nabożeństwo). Przygotowałeś sobie tę lub ową niedzielę po Wielkanocy lub po Zielonych Świątkach,— a tu słyszysz jakąś wotywę, albo Mszę ze święta przeniesionego, albo nawet nabożeństwo żałobne! Jakże pobożny wierny może się w tem wszystkiem połapać? Encykliki i inne pisma papieskie przynaglają nas do zainresowania się liturgją, a tu pełno komplikacji niepotrzebnych, które pod pozorem pobożności są prawdziwą dla niej przeszkodą...

Streścimy się zatem: w naszem przekonaniu, opartem na długoletniem doświadczeniu, język łaciński nie jest żadną przeszkodą dla ludu, w braniu udziału w nabożeństwie liturgicznem. Przeciwnie, ułatwia on ten współudział w jedności, w niezmienności i w szlachetnem pięknie. Jest on praktycznie nie do zastąpienia. Gdzieindziej niż w łacinie szukać należy powodów

usuwania się wiernych od tego upragnionego współudziału, gdzieindziej też niż we wprowadzeniu języka ludowego do liturgji należy szukać lekarstwa. Proszę odczytać Konstytucję Apostolską Piusa XI *„Divini cultus"*, § 10 gdzie jest powiedziane, co czynić trzeba: nauczać śpiewu gregorjańskiego w seminarjach w szkołach, bractwach, stowarzyszeniach, zakładach zakonnych *Sióstr i tym podobnych* instytutach.

Czem się to dzieje, że wobec tak wyraźnych rozkazów Ojca św., nie ruszamy się z miejsca i szukamy rady gdzieindziej?

*X. Bayart z Lille**)

Walka o język polski w wiekach średnich.

Rzucając okiem na początki dziejów naszej literatury, stwierdzamy, że najdawniejsze jej zabytki są napisane w języku łacińskim, mimo, że najszersze warstwy ludu polskiego posługiwały się polszczyzną. A jak świadczą dokumenty historyczne i zapiski kronikarskie mieliśmy nawet jeszcze w czasach przedchrześcijańskich wcale bogatą „literaturę" polską, ale nie spisaną, lecz przekazywaną ustnie z pokolenia na pokolenie. Składały się na nią pieśni ludowe, religijne (naturalnie pogańskie), wierzenia, podania, opowieści i t. p. Z chwilą jednakże zaprowadzenia u nas chrześcijaństwa, oficjalnym językiem stała się łacina. Pochodzi to stąd, że Polska przyjmując religję rzymską, odrazu poddała się całej wogóle kulturze łacińskiej. Język kościelny zajął miejsce naczelne. Do tego dochodzi i to, że pierwszymi duchownymi w Polsce byli cudzoziemcy. A ponieważ duchowieństwo podówczas było jedyną warstwą wykształconą, przeto ono dało początek naszej literaturze pisanej. Księża, zakonnicy oraz t. zw. żacy czyli studenci-klerycy byli pierwszymi twórcami naszego piśmiennictwa. Język łaciński w pierwszych wiekach naszej epoki chrześcijańskiej był językiem wykładowym w szkołach, nim podawano wiernym nauki chrześcijańskie w kościele (składały się na nie początkowo właściwie tylko same modlitwy); łaciną przemawiano publicznie, spisywano

*) Artykuł przełożony z francuskiego, „Bulletin paroissial liturgique" Nr. 8, 1931, z pozwoleniem Redakcji.

dokumenty, nią ułożono pierwsze pomniki naszego piśmiennictwa, roczniki i kroniki.

Jednakże ta oświata łacińska jako obca, nie potrafiła zapuścić głębszych korzeni wśród szerszego społeczeństwa. Nie pomagały nawet wręcz wrogie wystąpienia duchowieństwa przeciwko polszczyźnie w obawie, by przez nią nie wkradały się do oświaty i religji elementy pogańskie. Już rychło okazała się konieczność usunięcia głębokiej przepaści, wytworzonej właśnie na tle językowem pomiędzy kulturą nową, importowaną, a swojską, pomiędzy szkołą a życiem. Masy ludu bowiem zawsze posługiwały się mową polską.

I tak potrzeba życia codziennego wymagała uwzględnienia także języka polskiego w kościele i w szkole. Ograniczona oficjalnie do minimum polszczyzna domagała się swoich praw życia. Okazało się bowiem niedługo, że lud, nie znający jęz. łacińskiego, nie rozumie zgoła ani zasad wiary, ani modlitw kościelnych oraz, że nauka w szkołach nie dużo przynosiła pożytku. Trzeba także zaznaczyć, że był czas, (w w. XIII i XIV), kiedy w szkołach wielką rolę odgrywał język niemiecki, którym objaśniano utwory łacińskie. Wówczas bowiem sporo osiedlało się w Polsce kolonistów niemieckich, którzy silny wywierali wpływ na młodą kulturę polską. Niemczyzna w pewnym okresie tak się panoszyła, że zebrani pod przewodnictwem arcybiskupa gnieźnieńskiego Pełki biskupi polscy na synodzie w Łęczycy w roku 1257 zabronili plebanom i zarządcom kościelnym ustanowić jako kierowników szkół parafjalnych niemców, nieznających języka polskiego.

Doniosłą rolę w średniowiecznym okresie walki o język polski odgrywały kobiety. Nie umiały one zgoła po łacinie tak, że dla zaspokojenia ich potrzeb religijnych trzeba było przekładać księgi nabożne na język polski. I tak pierwsze utwory w języku polskim zawdzięczają swe powstanie Polkom. Mianowicie jeszcze w XIII w św. Kinga modliła się i śpiewała psalmy w jęz. polskim. Podobno także królowa Jadwiga miała w swej bibljotece polski przekład Starego i Nowego Testamentu oraz zbiory homilij (kazań) czterech doktorów Kościoła, modlitw i rozmyślań, wszystko w języku polskim.

Zanim język nasz przekroczył progi piśmiennictwa, musiał on jeszcze pokonać także trudności inne, wewnętrzne. Miano-

nowicie były trudności z wyrażaniem mowy polskiej na piśmie. Alfabet łaciński bowiem, składający się z 21 znaków, okazał się daleko niewystarczający dla polszczyzny, mającej przeszło 40 brzmień. Dźwięki słowiańskie takie, jak: cz, rz, dz, ź, ż, ś it.p., dalej samogłoski nosowe i pochylone a wreszcie starosłowiańskie jery nie miały odpowiedników w łacinie. Ta walka o ortografję tak ciężka w epoce niemowlęctwa naszej literatury, trwa zresztą w pewnej mierze nawet jeszcze do naszych czasów. Najdawniejszym dokumentem, posługującym się literami łacińskiemi dla oznaczenia dźwięków polskich jest bulla pap. Innocentego II z r. 1136 zatwierdzająca posiadłości arcybiskupstwa gnieźnieńskiego. Wyliczano w niej około 410 polskich nazw osobowych i miejscowych. Dokument ten nazwano za prof. Brücknerem „złotą bullą języka polskiego„.

Chwilą przełomową w dziejach naszego języka narodowego jest rok 1285, kiedy to na synodzie łęczyckim ówczesny arcybiskup gnieźnieński Jakób Świnka wydał rozporządzenie, ażeby kapłani w niedzielę i święta w czasie nabożeństwa zamiast kazania wygłaszali w języku narodowym „Wyznanie wiary", „Ojcze nasz", „Zdrowaś Marja" oraz by odmawiali wespół z ludem spowiedź powszechną „Kaję się Bogu". Księża zaś wykształceni mieli wyłożyć (w jęz. polskim) ewangelję. Od tego czasu język narodowy zdobył sobie pełne prawa w kościele. Jest jednakże rzeczą bardzo prawdopodobną, że nawet już w wieku XII odmawiano niektóre modlitwy po polsku, torując w ten sposób drogę polskiemu kaznodziejstwu. Na niespełna czterdzieści lat przed konstytucją synodalną arcybiskupa Świnki zaś, podobny nakaz wydał był księżom na synodzie wrocławskim w r. 1248 legat papieski w Polsce, Prusiech i na Pomorzu, archidiakon leodyjski Jakób, późniejszy papież Urban IV. W roku zaś 1320 biskup krakowski Nanker również poszedł śladami archidiakona Jakóba z Leodjum i arcybiskupa Świnki, podkreślając w statutach synodalnych konieczność modlitw kościelnych w języku narodowym.

Mimo takich i podobnych zarządzeń władz biskupich, wstęp języka polskiego do piśmiennictwa zawsze jeszcze spotykał na przeróżne trudności. Kaznodzieje, przeważnie ze względów technicznych, ortograficznych, spisują kazania po łacinie a wygłaszają je po polsku. Dorywczo tylko wtrącają do tekstu

łacińskiego jakieś słowo polskie jako objaśnienie. Są to t. zw. glossy, tworzący, że tak powiem, pierwszy etap polskiego piśmiennictwa.

Najdawniejszym znanym nam dzisiaj zabytkiem języka polskiego są t. zw. „Kazania świętokrzyskie" z połowy XIII wieku. Obok nich w dziedzinie poezji idzie pieśń „Bogurodzica", pochodząca prawdopodobnie także z połowy w. XIII, ale przechowana do naszych czasów jedynie w odpisie z początków XV stulecia. Po „Bogurodzicy" najstarszą znaną pieśnią polską religijno-kościelną jest pierwsza zwrotka „Chrystus zmartwychwstał jest", z w. XIV. Z niwy kaznodziejskiej i biblijnej, jako bądź co bądź najlepszem odbiciem walki o język polski w literaturze naszej, dalszym pomnikiem językowem są t. zw. „Kazania gnieźnieńskie", pochodzące z końca XIV w.

Do najcenniejszych zabytków polszczyzny należy t. zw. „Psałterz florjański", najwcześniejsze tłumaczenie psalmów, również z w. XIV. Rękopis ten znajdował się do niedawna w bibljotece klasztornej w St. Florjan (stąd nazwa „florjański") niedaleko Linzu w Austrji. W roku bieżącym sprowadzono go do Polski.

Po tych najcięższych zmaganiach się języka polskiego z dostępem do piśmiennictwa i do stanowiska oficjalnego w stuleciach XIII i XIV, nastąpił wiek, już bardziej podatny dla polszczyzny, obfitujący w większą ilość jej zabytków. Obok „Psałterza puławskiego" i „Biblji Królowej Zofji" przechowało się z wieku XV sporo pieśni kościelnych polskich, legend religijnych, szereg utworów świeckich, dydaktycznych, i obyczajów, kilka listów miłosnych a wreszcie niektóre roty przysiąg sądowych, zapisane do ksiąg łacińskich tak, jak je strony mówiły.

Tak się przedstawia w ogólnych zarysach pierwszy etap walki o język polski, epoka średniowiecza. Dalszemi etapami były: w w. XVI okres reformacji, wywierający decydujący wpływ na zwycięstwo polszczyzny w literaturze i życiu publicznem, następnie okres francuszczyzny z końca XVIII i początku XIX wieku a wreszcie ostatni dotąd odcinek historyczny, który w części przynajmniej dużo z nas samych przeżyło, okres zaborów.

A. F. Kowalkowski.

„Maria, misericordiae mater“.

Najświętsza Panna o zmierzchu szaro-lila
na ziemię spływa, gwiezdne rzucając szlaki...
Nad polną lilją omdlałą się pochyla
w litosne dłonnie zranione bierze pąki...

* * *

Chore dzieciny śnią ciche i różowe.
Kiedy im nuci Najświętsza kołysanki...
W objęciach swoich grzesznika tuli głowę,
by wieść go później w błękitnej prawdy szranki.

* * *

Gdziekolwiek padnie złocistość Jej spójrzenia,
przestają nagle serdeczne krwawić rany,
wykwita uśmiech i niema już cierpienia.
a ten kto kochał, goręcej jest kochany!

SPRAWOZDANIA I RECENZJE.

O „rozwodach” i „ślubach cywilnych”. Pod tym tytułem O. Marjan Pirożyński, redemptorysta wydał broszurę, wykazującą jak bardzo wrogo względem Kościoła występuje nowy projekt prawa małżeńskiego. Wyłożywszy przystępnie, ale gruntownie naukę Kościoła o małżeństwie, autor zbija zarzuty przeciwko nierozerwalności węzła małżeńskiego, a następnie udowadnia punkt po punkcie, że zasady, na których projekt się opiera, godzą wprost w dogmaty katolickie. Wreszcie kończy słowamj, które powinny stać się hasłem wszystkich w walce o nowe prawo: „My, katolicy, żądamy dla katolików w Polsce katolickiego prawa małżeńskiego”. Ze względu na potrzebę uświadomienia szerokich mas o grożącem niebezpieczeństwie, broszura posiada wyjątkowe znaczenie.

Cena egzemplarza—20 gr. Do nabycia w klasztorze OO. Redemptorystów na Bielanach w Toruniu. Konto P.K.O. 170.251.

Nabywający 10 egz. kosztów przesyłki nie ponoszą. Począwszy od 50 egz. 25 proc. rabatu. — („Słowo Pomorskie” z dnia 6 grudnia 1931 roku № 283).

Der Heidenlehrer nr. 1 rok 1. 1930. Innsbruck. Karl Kapferer str. 9 ks. Drexler. Treść nr. m. in. Misjoznawstwo. Tubylec i jego język. Jak prawiłem poganom. Nazwy bożków negrów Wanyangwezi Afryki Środkowei Kursy medyczne dla misjonarzy. Językoznawstwo i misje pogan i W.

Pisują: Drexel, rektor Szkoły Misjologicznej w Innobrucku, Winthuis, były misjonarz, Drexel S. J. W. Wanper, R. Rainalter.

Pismo różni się najzupełniej od wydawnictw, otrzymywanych dotąd. Jest jakby nieśmiałym początkiem nowych metod misjonarstwa. Szczere, proste, praktyczne, mimo swej naukowości. Mówią w nim ludzie apostolscy, a zarazem doświadczeni, pragnący koniecznie zmiany na lepsze.

Warto nietylko czytać pismo, ale ponadto zapoznać się z programem Szkoły Misyjnej. Sprowadzić go sobie. Żałują tam czasu na nauki spekulatywne. Idą w głąb, po grudach prawdy, chociaż to tak ciężko! *K. Berk.*

Ruch wydawniczy. Nakładem Katolickiego Towarzystwa Wydawniczego „Kronika Rodzinna" ukazała się wartościowa opowieść ks. St. Pasławskiego p. f. „Ofiara Krzysi", na tle życia młodzieży szkolnej.

Autor życie to zna dobrze, widzi bystrym wzrokiem jego jasne i ciemne strony i przedstawił je plastycznie w szeregu barwnych obrazów. Przy sposobności poruszył kilka ważnych zagadnień życiowych, jak wychowanie domowe młodzieży, stosunek rodziców do szkoły, kwestja dyscypliny szkolnej. oświetlając te zagadnienia w sposób właściwy w toku akcji powieściowej.

„Ofiara Krzysi" obudzi niewątpliwie szersze zainteresowanie.

Kosibowicz. Problem ludów Pigmejskich. Księża Jezuici. Kraków — 237 str. — 1927.

Nie wymieniam książki nowej, a jednak chciałbym na nią zwrócić na nowo uwagę naszych Misyjnych Kół w szkołach średnich i wyższych, gdyż należy do rzadkich rzędów polskich dzieł misjologicznych. Ciekawa byłaby dla nas wiadomość, czy Czcigodny, młody jeszcze autor został na obranej drodze i idzie nią dalej, po nowe przyczynki naukowe o ziemiach tak mało znanych ogółowi. Jak z dzieła wynika, to pierwszy tom prac polskiego etnologa, oparty jest szczególnie na materjałach O. Schmidta SVD i O. Pinard de la Boullaye S. J. Czerpał też z najnowszych prac O. Szebesty SVD. Wspominam tu o najbardziej znanych katolickich przedstawicielach etnologji.—Odkryto dotąd pigmejczyków w Środkowej Afryce, i w wschodniej Azji i na przyległych wyspach. Szczepy te tworzą trzy oddzielne grupy, mają jednak pewne wspólne znamiona, jak: niski wzrost, kędzierzawe włosy, krótkie głowy, skórę zazwyczaj czarną. Są monoteistami, ze swemi wierzeniami, sięgającemi do religji pierwotnej ludzkości. Im bliżej nas, tem odchylenia od jedynej wiary są większe i coraz dziwaczniejsze. Etnologowie podnoszą wysoką moralność rodzinną pigmejczyków. Są oni monogamistami. Książka O. Kosibowicza mówi o ich historji, geografji, wierzeniach i obyczajach. Z dopisków widać, że Sz. Autor przestudjował spory zasób literatury ze swego przedmiotu, zanim począł dzielić się ze swą wiedzą z polskimi czytelnikami. Ufamy, że nie odmówi nam dalszego ciągu swych etnologicznych dociekań z pożytkiem dla naszego młodego, nieśmiałego ruchu misjoznawczego. *K. Berk.*

PRO CHRISTO
WIARA I CZYN
ORGAN MŁODYCH KATOLIKÓW — MIESIĘCZNIK
Redaktor odpowiedzialny STANISŁAW BEREZOWSKI
Wydawca: Stowarzyszenie Społecznego Panowania Najświętszego Serca Jezusa w Rodzinach Chrześcijańskich.
Redakcja i Administracja: Warszawa, ul. Moniuszki 3a.
P. K. O. 10.115 Telefon 763-44

Biuro i telefon czynne w dni powszednie od godz 10—12 i od 15—17
Naczelny Redaktor przyjmuje interesantów w środy i piątki od g. 18.30 m do 19
Rękopisów redakcja nie zwraca

Pro Christo.

Idee przewodnie pontyfikatu Piusa XI.

Okres, w którym Pius XI wstępował na tron św. Piotra, nie należał do najszczęśliwszych.

Po wojnie światowej zabliźniały się dopiero rany Europy. *Z trudem sklecony gmach pokoju międzynarodowego jeszcze się chwiał w swych posadach, wojenne hałasy odzywały się jeszcze w Europie*[1]).

„W Europie—wprawdzie—niedawno złożono broń, ale na bliskim Wschodzie gromadzą się niebezpieczeństwa nowych wojen; a tam na niezmierzonych przestrzeniach, jak już wspomnieliśmy,—pisze Pius XI—wszystko jest okropnością i nędzą: głód, zaraza, spusztoszenie zabijają codziennie wielką liczbę nieszczęśliwych, przedewszystkiem starców, kobiet i dzieci; we wszystkich krajach, gdzie toczyła się wojna, dawne nienawiści bynajmniej się nie uspokoiły; przejawiają się one skrycie w intrygach politycznych, w sposób zamaskowany w działaniach, zmieniających wartość pieniądza, otwarcie w pismach codziennych i perjodycznych; przedostają się do dziedzin, które, same przez się, winny stać poza walkami nienawiści, jak sztuka i literatura. W ten sposób wzajemne nieprzyjaźni, nieporozumienia między

[1]) Patrz Karol Pieńkowski—Ojciec św. Pius XI, jego pontyfikat — Lublin 1929.

państwami uniemożliwiają ludom oddychać spokojnie. „Państwa, nietylko zwyciężone, ale i zwycięskie, odczuwają skutki świeżo zakończonej wojny, a ponieważ „nadejście środków zaradczych opóźnia się, położenie z dnia na dzień staje się coraz bardziej nieznośne, szczególnie, gdy się widzi, że powtarzające się obrady i przedsięwzięcia polityków, aby zapobiec temu stanowi rzeczy, nie doprowadzają do żadnego wyniku". (Ubi arcano Dei).

Ale nie dosyć na tem. Niepokój międzynarodowy przenosi się do życia poszczególnych państw. W życiu społecznem wywołuje on zamęt, powoduje walkę klas, roznamiętnienie polityczne, szukanie własnych interesów w polityce, miast pracy dla dobra ogółu.

Skutki rozprzężenia i niepokoju społecznego przenoszą się do najważniejszej komórki społeczeństwa—do rodziny. Spowodowały one ruinę ogniska domowego, poderwały autorytet rodziny, wierność małżeńską i t.p.

W dziedzinie myśli ludzkiej nie mniejszy panował zamęt i chaos.

I w takich warunkach rzuca Pius XI w świat hasło pokoju— „PAX CHRISTI IN REGNO CHRISTI"—Pokój Chrystusów w Królestwie Chrystusowem,—hasło pokoju w życiu międzynarodowem, pokoju w społeczeństwach, pokoju w duszach ludzkich. Nie będzie bowiem pokoju w społeczeństwach i narodach, jeśli go nie będzie w duszach jednostek.

„Pierwsze zadanie, jakie się narzuca,—pisze Ojciec św.— to uspokojenie dusz. Niewiele bowiem pomoże ten pokój zewnętrzny i powierzchowny który ustanawia i normuje stosunki między ludźmi na podstawie pewnej uprzejmości; potrzeba pokoju, który przenika i uspakaja umysły, który je nagina do życzliwości braterskiej i w tej życzliwości je przechowuje. Takim pokojem może być tylko pokój Chrysowy".

Dalszym etapem realizowania tego hasła pokoju w pontyfikacie Piusowym to encyklika „Quas primas", ustanawiająca święto Chrystusa Króla.

W życiu państw, społeczeństw, jednostek ma panować Chrystus i Jego nauka. Panowanie to obejmować ma wszystkie przejawy życia ludzkiego, całego człowieka—dziedzinę duchową, nadprzyrodzoną, a nawet i materjalną.

Panowanie Chrystusa daje dopiero gwarancję zupełnego pokoju—„Pokój mój daję wam, pokój mój zostawiam wam".

Do realizowania Królestwa Bożego na ziemi powołany jest Kościół Katolicki. On to bowiem przez cały ciąg wieków pracował nad tem, aby Chrystusa wprowadzić do serc ludzkich, do życia narodów i społeczeństw.

Czasy dzisiejsze wymagają jednak pracy wzmożonej, której już nie podoła samo duchowieństwo. Dziś, gdy we wszystkie dziedziny życia wkradł się duch laicyzmu—do ciał ustawodawczych, wykonawczych, sądowych, do szkół, do oświaty pozaszkolnej, do samorządów, trudno kapłanom dotrzeć do tych ośrodków.

I oto Pius XI wraca do pierwszych wieków chrześcijaństwa, i do pracy apostolskiei w budowaniu Królestwa Chrystusowego na ziemi powołuje rzesze katolików świeckich. Ten udział katolików w hierarchicznem apostolswie Kościoła nazywa Ojciec św. Akcją Katolicką. I przed nią stawia konkretny program—odrodzić życie katolickie w całej pełni, wprowadzić Chrystusa do rodzin i społeczeństw, do sejmów, ministerstw, szkół, samorządów, do urządzeń społecznych, ekonomicznych, i t. p.

Akcja Katolicka to jedna z przewodnich myśli pontyfikatu Piusa XI. Sprawie Akcji Katolickiej poświęca cały szereg listów, na każdym niemal kroku daje wyraz jak bardzo miłuję tę sprawę, jak gorąco troszczy się o nią, nie waha się nawet nazwać ją „źrenicą swych oczu", a nawet cierpieć.

„Wiedzą wszyscy i cieszymy się, że to wszyscy wiedzą, iż dbamy o Akcję Katolicką, jak o źrenicę oka". Niema żadnej allokucji, niema bodaj pisma, w któremby Ojciec święty nie wspomniał o Akcji Katolickiej—owszem sam na każdem miejscu podkreśla jej konieczność i doniosłość.

„Akcję Katolicką—pisze Pius XI—kapłani uważać muszą jako konieczny czynnik swego urzędu pasterskiego, *wierni zaś za swój obowiązek życiowy"*.

Akcja Katolicka jest apostolstwem hierarchicznem i zorganizowanem. Ma tworzyć ona zwartą i sprawną armię katolicką—„aciem bene ordinatam", pozostającą pod kierownictwem hierarchji kościelnej.

Aby wyrobić ducha apostolskiego w świeckich katolikach zaleca Ojciec św. rekolekcje zamknięte, którym poświęca osobną encyklikę (Mens nostra).

Papież Pius XI to nietylko „Papież Akcji Katolickiej", jak Go współcześni nazywają, ale „Papież misji i zjednoczenia Kościołów".

Misje—to jedna z serdecznych trosk Piusowych. I słusznie. Dwadzieścia prawie wieków dobiega, gdy nad pogrążonym w mrokach poganizmu światem zajaśniała postać Boga-Człowieka, który pojednał Stwórcę ze stworzeniem. Dwadzieścia wieków ustawicznej pracy Kościoła, okupionej potokami krwi męczeńskiej misjonarzy katolickich, a dziś, kiedy kultura i cywilizacja święci swe triumfy, dziś, gdy do minimum ograniczono czas i przestrzeń, dziś w wieku radja i elektryczności, w dziewiczych puszczach Afryki, Ameryki, Australji, w dżunglach Azji i Ameryki żyją tysiące dusz pozbawionych światła wiary i cywilizacji.

Czyż na wspomnienie tego nie zadrży serce każdego katolika, a cóż dopiero Ojca Chrześcijaństwa?

Już na wstępie swego chwalebnego pontyfikatu w pierwszej swej encyklice „Ubi arcano Dei" cały ustęp poświęca misjom:

„Patrząc z wysokości Stolicy Apostolskiej—pisze Papież—jakby z wysokiej strażnicy, widzimy... liczne jeszcze zastępy tych, którzy albo Chrystuse Pana wcale nie znają, albo nie posiadają prawdziwej nauki Chrystusowej lub żyją odłączeni od Kościoła i nie są w tej owczarni, dla której przecież od Boga są przeznaczeni. Stąd więc ten, który jest zastępcą nieśmiertelnego Pasterza, ożywiony tem samem pragnieniem, tych samych, co Chrystus używa słów—krótkich, ale pełnych miłości, wielkiej a pobłażliwej dobroci i te (owieczki) „muszę przyprowadzić". Pomny na słowa prorocze Jezusa, z niezmierną radością je powtarza: „One także słuchać będą głosu mego i stanie się jedna owczarnia i jeden pasterz". Dałby Bóg—pisze dalej Ojciec św.—aby się stało to, o co wspólnie z Wami i wszystkimi wiernymi gorąco prosimy Boga, abyśmy jak najrychlej doczekali się spełnienia owego tak pocieszającego i z taką pewnością wypowiedzianego proroctwa Boskiego Serca".

W r 1926 myśli katolików zwraca Papież ku misjom. Ukazuje się wtedy encyklika „Rerum Ecclesiae gestarum", w której nawołuje katolików Ojciec św. do pomagania misjom, tak materjalnie jak i moralnie przez modlitwę o nawrócenie pogan.

Chcąc zapewnić tem więcej modlitw misjom, poleca na-

wet generałom zakonów kontemplacyjnych zakładać klasztory w krajach misyjnych.

Mało tego.—Gdy w roku jubileuszowym liczne rzesze wiernych przybywały do „Wiecznego Miasta", poleca Pius XI urządzić w ogrodach watykańskich wystawę misyjną, by w ten sposób żywiej zainteresować wiernych misjami wśród pogan.

Wielką troską otoczył papież wychowanie kleru tubylczego. Zgromadzeniom zakonnym i misjonarzom poleca usilnie starać się o wychowanie przyszłych pracowników „winnicy pańskiej" z krajów misyjnych. Oni odczuwając najlepiej te potrzeby współrodaków, mogą najowocniej wśród nich pracować. Sam nawet wyświęca biskupów chińskich.

Chcąc zapewnić warunki przygotowania przyszłych misjonarzy dla pogan rozbudowywuje gmachy Kongregacji Rozkrzewiania Wiary, poleca urządzić muzea misyjne i t. p.

Pragnienie Piusa XI, by „nastała jedna owczarnia i jeden pasterz", nie ograniczało się li tylko do tych , którzy pagrążeni w ciemnościach poganizmu. Pomyślał również Pius XI o tych, którzy w błędach herezji i odczepieństwa żyją, o pozyskaniu schizmatyków i heretyków.

Już w liście do biskupów świata w r. 1922 w sprawie Rosjan dotkniętych głodem wyraził pragnienie, by Rosja powróciła na łono Kościoła.

Z okazji 300-tnej rocznicy męczeństwa św. Józefata, arcybiskupa połockiego obrządku grecko-katolickiego, poświęca encyklikę „Ecclesiam Dei" o stosunku do schizmatyków Wschodu. Dysydentów wzywa w niej do powrotu do Kościoła, katolików zaś, by im ułatwiali powrót do Kościoła Bożego.

„Nawołując — pisze Pius XI—do tej jedności dyssydentów, pragniemy gorąco, aby wszyscy wierni, idąc w ślady św. Józefata i jego nauk, starali się według sił współpracować z Nami. Niech najprzód zrozumieją, że tę jedność osiągnąć można nie tyle rozprawami lub argumentami, ile raczej przykładami i czynami życia świątobliwego, zwłaszcza miłosierdziem względem braci Słowian i innych ludów wschodnich... By zaś to osiągnąć, potrzeba, aby dysydenci, pozbywszy się przesądów starali się poznać prawdziwe życie Kościoła, nie obciążając go takiemi winami ludzi poszczególnych, które Kościół sam potępia i stara się je naprawić; trzeba też również, aby ludy łacińskie

starały się lepiej poznać dzieje i zwyczaje narodów wschodnich... To też jest powodem, dla którego staraliśmy się ożywić i natchnąć nowym zapałem Papieski Instytut Wschodni, ufundowany przez naszego poprzednika Benedykta XV, w przekonaniu, iż ze znajomości wzajemnej powstaje sprawiedliwa ocena ludzi i zarazem szczera życzliwość, która wsparta miłosierdziem Chrystusowem, z pomocą Bożą najlepiej posłuży sprawie jedności religijnej. W ten dopiero sposób — pisze dalej Ojciec Chrześcijaństwa — wraz z pojednaniem się jednostek i ludów osiągnąć się da również jedność Kościoła, prze powrót na jego łono tych wszystkich, którzy z jakichkolwiek powodów odeń się odłączyli".

W ciągu tych dziesięciu lat swych rządów często powraca Pius XI do tego zagadnienia. Wystarczy wspomnieć, że każdy niemal zjazd słowiański nastręcza Mu sposobności do mówienia o pozyskaniu schyzmatyków dla Kościoła.

Wielką pieczołowitością otoczył Pius XI Instytut Orjentalny; w encyklice „Rerum orientalium" poleca duchowieństwu zainteresować się zagadnieniami odszczepieńczego Wschodu i t. p. „Cóż pozostaje... jak tylko ponownie Was zachęcać i błagać jak najusilniej, abyście wespół z Nami nietylko umysłem i sercem się zjednoczyli, lecz także przyłożyli starania i pracy, by prędzej zajaśniał dzień najgoręcej upragniony, w którym pozdrowimy nie kilko Greków, Słowian, Rumunów i przedstawicieli innych narodów, ale wszystkich synów, dotąd odłączonych dla jedności z Kościołem Rzymskim pozyskamy. Kiedy zastanawiamy się nad tem, od czego zacząć i co czynić, aby z pomocą Bożą przyśpieszyć tę radość, wydaje się nam, że możemy się przyrównać do owego gospodarza, którego Chrystus Pan przedstawia jako wzywającego zaproszonych na wieczerzę, by przyszli, boć już wszystko jest gotowe".

Troszcząc się o nawrócenie schizmatyków nie zapomina Pius XI o heretykach. W liście do X. Simona, Prezesa Stow. św. Winfryda dla nawracania heretyków, podaje nawet metody pracy nad nimi. Zaleca łagodność względem protestantów, pozyskiwanie ich przykładem wiary, modlitwą, poleca wspierać materjalnie nawróconych i t. p.

Dzięki poparciu Papieża ruch zjednoczenia Kościołów rozwija się bardzo pomyślnie.

Ale i inne dziedziny życia katolickiego nie były obce Piusowi XI. Św. Tomaszowi z Akwinu, Doktorowi Anielskiemu poświę-

ca encyklikę „Studiorum Ducem", w której poleca nauczanie teologji według Jego nauki, konstytucją „Deus scientiarum Dominus" z dn. 12 czerwca 1931 r. przeprowadza reformę studjów w zakładach teologicznych, chrześcijańskiej myśli społecznej wskazuje nowe horyzonty w sławnej encyklice „Quadragesimo anno".

Trudnoby tu wyliczyć wszystkich zagadnień, jakie poruszył Pius XI w ciągu dziesięciu lat swego chwalebnego pontyfikatu. Ograniczę się do najważniejszych.

Rok 1929 przyniósł światu katolickiemu sławną encyklikę „o chrześcijańskiem wychowaniu młodzieży", która w dziejach pedagogiki katolickiej stała się „Magna Charta". W niej to jasno określa Ojciec św. cel wychowania — wyrobienie człowieka charakteru, człowieka pełnego, o dużej kulturze nadprzyrodzonej, intelektualnej, społecznej i t. p.

Określa dalej do kogo należy wychowanie: w pierwszym rzędzie do Kościoła na mocy jego posłannictwa i władzy nauczycielskiej, danej Mu przez Chrystusa oraz przez nadprzyrodzonego Jego macierzyństwa, gdyż rodzi nas dla życia łaski, następnie do rodziny, jako komórki twórczej młodych pokoleń i ich wychowawcy, wreszcie do Państwa, które jednak nie ma prawa monopolizować wychowania w swych rękach, lecz popierać i uzupełniać inicjatywę i wysiłki Kościoła i rodziny. W dalszym ciągu tej encykliki omawia Papież rolę szkoły wyznaniowej, metody wychowania w niej młodzieży, wreszcie zadania Akcji Katolickiej w tej dziedzinie.

W ślad za encykliką o wychowaniu ukazuje się sławna encyklika „Casti connubii" poświęcona małżeństwu chrześcijańskiemu. Porusza w niej Ojciec św. wszystkie bolączki dzisiejszego życia rodzinnego, wykłada odwieczną naukę katolicką o małżeństwie.

Przejdę teraz do określenia kilku rysów działalności Piusa XI w dziedzinie ugruntowania stanowiska Kościoła w Europie.

Jednym z wiekopomnych czynów Piusowych to „Ugoda Lateraneńska", która położyła kres t. zw. „kwestji rzymskiej". Od czasu, gdy wojska Wiktora Emanuela I-go wkroczyły do Rzymu r. 1870 i zajęły go w imię hasła zjednoczenia Włoch, stosunki między Stolicą Apostolską a Kwirynałem zostały zerwane. Wprawdzie Wiktor Emanuel dla uspokojenia sumień katolickich ogłosił t. zw. „ustawy gwarancyjne" (13/V-1871) które przyznawały Pa-

pieżowi przywileje osób panujących, używalność niektórych pałaców oraz pewne odszkodowanie, ale nie uznawały Jego suwerenności i niezależności, która dla Głowy Kościoła była konieczną.

Pius IX nie zgodził się na takie załatwienie sprawy, ustawy gwarancyjne odrzucił, nie gwarantowały one Mu niezależności i były aktem jednostronnym. Na znak protestu zamknął się jako „więzień Watykanu", zabronił Kurji Rzymskiej utrzymywać jakichkolwiek stosunków urzędowych z Kwirynałem, zawiadomił rządy państw katolickich, że nie będzie przyjmował ich przedstawicieli, dopóki będzie istniał zabór państwa kościelnego, katolikom zaś zabronił głosować do ciał prawodawczych.

Następcy Piusa IX podzielali to stanowisko, złagodzili tylko niektóre rozporządzenia Piusa IX w sprawach przyjmowania wizyt panujących, katolikom pozwolili nawet utworzyć własne stronnictwo polityczne. I dopiero za pontyfikatu Piusa XI dochodzi do rokowań oficjalnych między Stolicą Apostolską a rządem włoskim. Wynikiem tych rokowań to „Pakta Laterańskie", podpisane przez Kard. Gasparriego ze strony Stolicy św. i Mussoliniego ze strony Kwirynału. Na mocy tych paktów Stolica Apostolska otrzymuje własne suwerenne terytorjum i zupełną niezależność.

Dnia 11 lutego 1929 r. Papież przestał być „więźniem Watykanu".

Radość wielka zapanowała w całym świecie, kościoły rozbrzmiewały dziękczynnem „Ta Deum Laudamus".

Ale nie na tem ograniczyła się działalność obecnego Papieża.

Jemu to zawdzięcza Kościół swe stanowisko w wielu państwach europejskich.

Za pontyfikatu Piusowego Stolica św. zawarła cały szereg konkordatów: z Łotwą, Bawarją, Polską, Litwą, Portugalją, Rumunją, Prusami i Włochami, modus vivendi z Czechosłowacją i rządem francuskim. Konkordaty te normują życie Kościoła w tych państwach. Wspomnieć tu należy, że w wielu konkordatach zastrzega Papież rozwój Akcji Katolickiej

Dużo jeszcze możnaby mówić i pisać o pontyfikacie Piusowym, który bezsprzecznie należeć będzie do jednego z najwybitniejszych w dziejach Kościoła. Ograniczyłem się tylko do kilku rysów tego pontyfikatu i jego myśli przewodnich. Rozwa-

żając chwalebne rządy Ojca św. Piusa XI. — należy wyciągnąć jeden wniosek — umiłować Kościół i Jego widzialną głowę.

Hasło — „vivere cum Ecclesia, sentire cum Ecclesia" — tak mało jest znane w Polsce. Tak mało żyjemy ideami pontyfikatów. Mamy się wżyć w życie Kościoła, czuć w sobie Jego krążenie, mamy stać się integralną częścią ciała mistycznego Chrystusa i zdawać sobie z tego sprawę, jednem słowem — żyć życiem Kościoła.

Osoba Ojca św. powinna być dla nas wszystkiem — źródłem prawdy, dalszym ciągiem Chrystusa w Kościele. Ślicznie myśl tę wypowiedział Ojciec św. Pius XI przed swym wyborem na Papieża:

„Namiestnik Chrystusowy na ziemi jest uzupełnieniem Eucharystji. W Eucharystji Jezus Chrystus jest cały, ale niewidoczny, w Namiestniku jest On obecny widocznie. Jezus, Boski Sternik Kościoła, prawdziwy biskup dusz naszych, jak mówi Pismo św., obecny jest w Namiestniku swym z własną władzą i rządem, przez który kieruje łodzią mistyczną.

Niech to umiłowanie osoby Ojca Chrześcijaństwa i Kościoła wzrasta wśród nas, niech świat wie, że „Polonia semper fidelis". *Władysław Deptuła*

Quadragesimo Anno o korporacyjnej przebudowie społeczeństw.

Zagadnienie korporacyjnej przebudowy oddawna już jest rozpatrywane i omawiane przez socjologów i ekonomistów. Nawet niektórzy socjaliści, odrzucając kollektywizm i opowiadając się w zasadzie za utrzymaniem prywatnej własności, uważali, iż należy oprzeć życie gospodarcze na przymusowych zrzeszeniach przemysłowców i finansistów, przyczem robotnicy winni być zorganizowani osobno w związki zawodowe.

Znacznie dalej poszła szkoła syndykalistyczna, według której organizacja i kierownictwo życia ekonomicznego winny należeć do t. zw. „wytwórców" t. j. robotników i pracowników, tworzących specjalne organizacje, pozostające w zależności od związków zawodowych. W ten sposób społeczeństwo stanie się assocjacją związków zawodowych, zmiana struktury gospodarczej tak przeobrazi na lepsze naturę ludzką, iż istnienie przymusowej organizacji państwowej stanie się zbędne.

Obydwie te koncepcje grzeszą jednostronnością. Pierwsza z nich nie wprowadza właściwie żadnych zmian zasadniczych do obecnego ustroju, pozostawiając nadal przewagę kapitału i walkę klas, druga zaś nie docenia znaczenia inicjatywy indywidualnej i w sposób ustopijny zapatruje się na rolę państwa w życiu zbiorowym. Dlatego też socjologowie chrześcijańsko-społeczni, odrzucając błędy, tkwiące w bydwu teorjach zbudowali oryginalną doktrynę przebudowy korporacyjnej.

„Faktycznie istniejący podział na zawody — pisze ks. Dr. A. Szymański („Zagadnienie społeczne" str. 34 i 35) — powinien być ujęty w formę prawną. Będzie to uporządkowanie stosunków a nadto oparcie organizacji zbiorowego życia nie na jednostkach, traktowanych, jako równowartościowe i odosobnione liczby, nie na kapitale, lub na posiadaniu go, lecz na pracy, zgodnie z tem, że twórcą życia gospodarczego jest człowiek pracujący". Każdy ma wolny dostęp do danego zawodu, oczywiście, jeżeli zadość uczyni odpowiednim warunkom, przymusowo jednak musi być wciągnięty na listę zawodową i podlegać w sprawach zawodowych władzy korporacyjnej, wyposażonej w odpowiednie kompetencje w dziedzinie prawno-gospodarczej. W ten sposób między jednostką a państwem powstanie swoista władza gospodarcza o charakterze samorządowym, która przy pozostawieniu nadal własności prywatnej i z pewnym ograniczeniem prywatnej inicjatywy — regulować będzie stosunki gospodarcze, zmniejszając pole tarć interesów prywatnych i klasowych i uwalniając centralną władzę państwową od szeregu dotychczasowych funkcyj gospodarczych.

Oto w najogólniejszym zarysie zasada chrześcijańskiej myśli korporacyjnej Ze względów zupełnie zrozumiałych encyklika Rerum Novarum o tem nie wspominała, przed 40 bowiem laty zagadnienie to nie było jeszcze należycie dojrzałe i opracowane.

Natomiast Ojciec św. Pius XI w „Encyklice Quadragesimo Anno" uznał za konieczne włączyć ideję korporacyjną do oficjalnej nauki Kościoła. Fakt ten ma znaczenie bardzo wielkie, przedewszystkiem dlatego, że doktryna ta wzbogacająca i rozszerzająca horyzonty myśli chrześcijańsko-społecznej, została w ten sposób zatwierdzona przez Stolicę Apostolską, a następnie, — że w dzisiejszych czasach trwałego kryzysu ustroju indywidualistyczno-kapitalistycznego — nie wystarczą już dwa do-

tychczasowe zasadnicze warunki akcji chrześcijańsko-społecznej: ustawodastwo robotnicze i rozbudowa związków zawodowych, lecz musi utrwalić się koncepcja, stanowiąca jakby ukoronowanie dotychczasowej działalności, koncepcja będąca muzyką przyszłości, stawiająca przed oczy wizję przyszłego ustroju gospodarczego, przytem nie oparta na żadnej utopji, lecz na realnej ocenie współczesnych zjawisk życia gospodarczo-społecznego.

Encyklika Quadragesimo Anno podkreśla współczesny kryzys ustrojowy i krytykuje ustrój gospodarczy współczesny, który nazywa indywidualistycznym, między innemi dlatego, że tak bujnie rozwinięte niegdyś w średniowieczu assocjacje społeczno-gospodarcze, upadły prawie całkowicie, a pozostały tylko: jednostka i państwo *„Życie społeczne... „pisze encyklika — stało się bezkształtne, a państwo, przejąwszy na siebie wszystkie te zadania, które poprzednio ponosiły zniszczone związki, załamuje się niemal pod ciężarem nieskończonych zadań i zobowiązań"... ...„Sprawy zatem mniejszej wagi i zabiegi skądinąd zbyt drobiazgowe powinna władza państwa pozostawić niższym zespołom"*, pozostawiając przy sobie ogólne kierownictwo i nadzór nad życiem gospodarczym.

Istnieje jeszcze druga zasadnicza przyczyna przemawiająca za wytworzeniem takich assocjacji pośrednich między jednostką a państwem. Oto, jak stwierdza Encyklika, społeczeństwo jest rozdrażnione ustawicznymi konfliktami o podłożu gospodarczym i klasowym, uzdrowienie zaś tego stanu ustawicznej walki może nastąpić przez wytworzenie „stanów", *„do których należałoby się nie ze względu na zajęcie na rynku pracy, lecz ze względu na funkcję społeczną, którą się pełni"*. Rolę dawnych stanów średniowiecznych pełniłyby właśnie korporacje, których siłą łączącą byłby wspólny wysiłek zarówno pracodawców, jak i pracobiorców nad wytwarzaniem danego rodzaju dóbr i unormowaniem wzajemnej współpracy. *„W owych związkach ośrodek ciężkości leży w sprawach, całemu „stanowi" wspólnych ...Takie sprawy natomiast, w których odrębne interesy pracodawców, lub pracobiorców szczegółowego wymagają rozpatrywania, mogą w danym razie odrębnie przez każdą stronę być rozpatrywane i kiedy zachodzi potrzeba, odrębnie rozstrzygnięte"*.

Encyklika nie podaje, jaka ma być struktura korporacyj i formy ich działalności, nie jest to bowiem jej zadaniem i sprawy tego rodzaju pozostawia zawsze Stolica Apostolska do ro

strzygnięcia ekonomistom i działaczom katolickim zależnie od potrzeb i warunków konkretnych miejsca i czasu. Natomiast podkreśla Encyklika Q. A. za Rerum Novarum prawo człowieka do zakładania związków i organizacyj i regulowania ich form oraz statutów. Stwierdza również Q. A. w związku z powyższem, że *„współzawodnictwo wolne, aczkolwiek w słusznych utrzymane granicach uzasadnionem i bezwątpienia jest pożytecznem, życia gospodarczego zupełnie uregulować nie zdoła"*. Jeszcze mniejszą pod tym względem daje gwarancję *„supremacja gospodarcza"*, którą Ojciec św. w innym miejscu kwalifikuje, jako despotyczną władzę ekonomiczną w ręku nielicznych jednostek, potęgę ślepą i brutalną. Do regulowania i normowania życia gospodarczego potrzeba wyższych i szlachetniejszych sił, a są nimi *sprawiedliwość i miłość społeczna.* Należy przypuszczać, że przebudowa korporacyjna społeczeństwa, oparta na zasadach katolickich ułatwi wydobycie się na wierzch i zapanowanie w życiu gospodarczym szlachetniejszym siłom i popędom natury ludzkiej, państwo zaś, sprawując ogólne kierownictwo i nadzór nad zjednoczonym w korporacjach organizmem gospodarczym społeczeństwa, łatwiej będzie mogło usuwać w zarodku wszelkie przejawy gwałtu i wyzysku. *St. Kaczorowski.*

Chrystus Król.

„Albowiem Bóg tak umiłował świat, że Syna swego jednorodzonego dał, aby wszelki kto wierzy Weń, nie zginął, ale miał żywot wieczny".

Lecz może kto zapytać: dlaczego Bóg nie zesłał Zbawiciela zaraz po upadku człowieka. — Zwłoka ta jest dowodem nie tylko mądrości, ale i miłości Boskiej ku nam. Zbawienie człowieka od początku świata było przedmiotem myśli Boga, było celem Jego wyroków. Myślą Boga od pierwszego upadku człowieka, była naprawa tego upadku. Dać światu Odkupiciela, było jedynym celem wszystkich zamiarów Stwórcy, aż do przyjścia Mesjasza, a po Jego przyjściu utrzymanie dzieła Odkupienia dla wszystkich ludzi tej ziemi — słowem zbawić świat przez Chrystusa — oto wyjaśnienie wszystkiego, co Bóg zdziałał od początku i co czynić będzie aż do skończenia wieków.

Przyjąć do Chwały swojej wszystkich ludzi, którzy korzystali z Odkupienia, to będzie celem wieczności. Bóg jest miłością— jest to odwieczna Prawda. Ale trzeba było, aby człowiek doświadczył nędzy, aby przez długie wieki głęboko był upokorzony, a przez to uleczonym został z pychy, aby pojął przyczyny swego upadku, aby gorąco zapragnął Mesjasza, aby lepiej uczuł potrzebę Odkupienia, trzeba było aby człowiek poznał dobrze, że sam Bóg tylko zbawić go może, że wszelkie usiłowania największych mędrców tego świata, nie są w stanie wydźwignąć człowieka z przepaści ciemnoty, występku i poniżenia. Jezus Chrystus jest słońcem świata duchowego. Słońce zaś nie odrazu ukazuje się na niebie w całym blasku swoim poprzedza je łagodna i słaba jasność świtu. Tak figury Starego Testamentu, przepowiednie i proroctwa jak jasność jutrzenki, poprzedzić musiały samo słońce — Chrystusa. Już dwa tysiące lat blizko jak Chrystus przyszedł nas zbawić, przyszedł odrodzić świat cały w duchu Swej Boskiej nauki, a jakże świat przyjął Swego Zbawcę. „Przyszedł do własności, a swoi Go nie przyjęli". Gdy ludzkość zrozumie, że jedynie Boska nauka doprowadzić ją może do celu jej przeznaczenia to jest — do Boga wtedy świat odrodzonym zostanie. „Królestwo moje nie jest z tego świata" mówi Chrystus. Uwierzmy słowom Jego, uczyńmy Go Królem naszym, pójdźmy za Jego nauką. Ona jest prawdą jedyną, wszystko co przykazuje jest dobre, wszystko czego zakazuje jest złe. Niema ani jednej cnoty do którejby Boska nauka naszego Mistrza, nie zachęcała nas, ani jednego występku, któregoby nie potępiała, ani jednej niesprawiedliwości, którejby nie usuwała. Czy jest co sprawiedliwszego nad tę naukę, czy jest co zdolniejszego do uczynienia człowieka lepszym, a tym samym zapewnienia szczęścia światu całemu. Nauka Chrystusa jest ustawą najwznioślejszą ze wszystkich ustaw — zawiera w sobie prawidła postępowania, dane społeczności przez Tego, kto ma prawo rządzenia światem, kto jest świata tego Królem. Przyznajemy ludziom moc stanowienia praw, a narodom powinność ulegania prawom tym. Czy tej władzy prawodawczej odmówimy Bogu. Czy człowiek ma prawo być nieposłusznym Bogu. Czy rozkazy Chrystusa Króla, czyż prawa Jego nie są święte. A co czyni człowiek, jak odnosi się do Króla swego? jak poniewiera Jego Boskim prawem. I cóż widzimy. Wszelkie zło ogarnia świat cały. A z chwilą kiedy ludzie przestaną iść za

głosem Boga, kiedy wiara w Boskie prawa z serca człowieka zupełnie wyrugowaną zostanie--ani jedna powaga nie ostoi się na ziemi — prawo stanie się bezprawiem, moralność ludzka zmieni się w moralność zwierzęcą. Ci co pogardzają prawem Boskim są najnierozumniejsi, najszkodliwsi, najwystępniejsi z ludzi. Nauka i prawo Chrystusa Króla są największe ze wszystkich ustaw, są źródłem wszelkiej sprawiedliwości, mądrości i potęgi. Jeżeli ważne są obowiązki nakładane przez ustawy ludzkie od wykonywania których zależy dobrobyt materjalny — cóż powiedzieć o ważności obowiązków nakazanych przez Boga. Wszystko upada, wszystko ginie, jeżeli one nie są zachowane. Podłość wszelkiego rodzaju, zdrady, zbrodnie niesłychane, plugawiące oblicze ziemi, są dowodem niezbitym tego wyłamywania się z pod praw Chrystusa Króla.

Ci co nie chcą ulegać prawu Bożemu gwałcą wszelkie prawa ludzkie, rozrywają wszystkie węzły społeczne. Słusznie powiedziano: „Gdzie Bóg niema ołtarza, tam królowie nie mają tronu" — pod imieniem zaś króla, prezydenta, ojca rodziny, nauczyciela, zwierzchnika — rozumieć należy.

Gdzie niema poszanowania władzy, tam wszelkie prawo ustaje, powszechny duch nieposłuszeństwa panować zaczyna, tam najniższe instynkty, spaczonej natury ludzkiej, muszą wziąć górę—inaczej być nie może, tam egoizm zimny, okrutny, barbarzyński staje się pod tą, lub ową formą, prawem powszechnych, ludzkość zaczyna powątpiewać o wszystkiem nawet o samej sobie, jest nie zdolną do rzeczy wielkich, wzniosłych i prędzej czy później musi ulec krwawej wściekłości bezrządu. Bez praw Boskich— niema społeczności. Kto obala to prawo, obala podstawę wszelkiej społeczności ludzkiej. Ludzie zaślepieni utrzymują że poddanie się prawom Chrystusa Króla jest jarzmem uciążliwem, o nieszczęśliwi, bezrozumni czyż nie możecie tego pojąć, że to jarzmo jedynie wyzwolić nas może z haniebnego jarzma namiętności i występków, ono jest podstawą wszystkiego co dobre, co piękne, wielkie i wzniosłe. „Jarzmo moje jest lekkie" mówi Pan. Bez tego jarzma byliśmy jako zwierzęta. — Chrystus jest nieśmiertelnym Królem wieków. On to wznosi państwa, okrywa je chwałą i zachowuje dopóki prawom Jego są uległe, albo obala i kruszy jako naczynia gliniane, kiedy odważą się powiedzieć Mu: „Nie chcemy, aby On królował nad na-

mi". Biada człowiekowi, biada narodowi który powstaje przeciw Chrystusowi Królowi, opiera się Jego władzy nie chce służyć Jego chwale, hańba i niedola jest udziałem narodu tego. Historja wykazuje nam jak wyrok ten pełni się ciągle z najściślejszą dokładnością. Od narodu żydowskiego, przechodząc do wszystkich innych ludów, widzimy je szczęśliwe dopóki nad sobą uznają panowanie Boga, a nieszczęśliwe od chwili, jak Mu się opierać zaczną. Przykładów mamy wiele, słuchajcie, oto Napoleon ten niegdyś mocarz świata, z wysokości samotnej wśród oceanu, skały na której umiera, woła do królów i ludów: „Niema potężniejszego tylko Bóg". Bądźcież powolnem narzędziem w ręku Boga, albo potęga Jego skruszy was. „W każdym wieku okazuje Chrystus swą Królewską władzę i kto powstaje przeciw Niemu prędzej, czy później upaść musi, pogwałcenie Bożego prawa jest powodem tych niesłychanych wstrząśnień, których ziemia jest ofiarą. O gdybyśmy chcieli posłusznymi być Boskiej nauce tak jak prawdziwi poddani Chrystusa Króla posłusznemi być powinni — miłość, zgoda, jedność zapanowałyby między nami, nastałby ten pokój, o którym mówi Pan. „Pokój mój daje wam, nie jako świat go dawa." Narody rządzące się prawem Chrystusowem, na opoce stać będą, jak dom Męża mądrego, o którym mówi pismo Święte: „i padł deszcz i przyszły rzeki i wiały wiatry, i uderzyły na on dom, a nie upadł, bo był na opoce ugruntowany". Narody, które w bezmiernej pysze swojej sądzą, że własnym tylko rozumem, bez pomocy Boga rządzić się potrafią—podobne są mężowi głupiemu który zbudował dom swój na piasku „i spadł deszcz, i przyszły rzeki, i wiały wiatry i uderzyły na on dom i upadł i był upadek jego wielki".

A teraz popatrzmy co dzieje się na świecie.

Trudno przedstawić całkowity, ten tak bezgranicznie smutny stan duchowy w jaki popadła ludzkość, szczególnie teraz po tej strasznej wojnie, ten upadek moralny, to podeptanie wszelkich wznioślejszych obowiązków. Dla dzisiejszych ludzi, którzy w niepojętem zaślepieniu żyją pod hasłem „Żyć aby użyć", przykazania Boskie zdaje się nie istnieją, zrywają oni wszelkie więzy krępujące ich, ponad wszelkie prawa stawiają siebie, zadosyćuczynienie swoim namiętnościom, na czele których stoi pycha, chciwość i zmysłowość i są ich niewolnikami.

Tak opanowany człowiek zatraca sumienie, on dąży jedynie do zaspokojenia swych żądz. Czyż przy takim dążeniu możliwem jest życie według przykazań Boskich. Wszelkie podwaliny życia chrześcijańskiego podważone być muszą, a pierwsze tarany uderzają w podstawę społeczeństwa — w rodzinę. Rodzina według planu tego musi być zdeprawowana. A dla odrodzenia ludzkości trzeba właśnie w pierwszym rzędzie, uzdrowić rodzinę, zdrowem musi być drzewo, by zdrowy owoc wydało. Rodzina składa się z poszczególnych jednostek, z rodzin tworzy się społeczeństwo, a społeczeństwo tylko wtedy zdrowe być może moralnie, jeżeli każda jednostka uzna nad sobą panowanie Chrystusa Króla i Jego najpierwsze przykazanie, przykazanie miłości. A cóż teraz z nami się dzieje. Stanęliśmy nad przepaścią, zatraciliśmy pojęcia dobra i zła, już zda się nie rozróżniamy jednego od drugiego. Wszyscy powstają przeciw sobie, dzieci przeciw rodzicom, rodzice przeciw synom i córkom, mężowie i żony przeciw sobie wzajemnie młodzi przeciw starym, podwładni przeciw przełożonym — słowem wszyscy. Zamiast miłości i jedności widzimy niezgodę, nienawiść, zdziczenie, zastraszający wzrost zbrodni, walkę klasową z uciskiem po jednej, a buntem z drugiej strony. Zamiast wspólnej pracy dla dobra ludzkości — lenistwo, nieuczciwość, nieobowiązkowość, sprzedajność, rozruchy społeczne, niepokój i nad tem wszystkiem górująca zmysłowość. To wszystko, jakże oddala nas, oszalałych w pogoni za dogadzaniem swojemu ja, o jakże oddala od Chrystusa. A dla przybliżenia Królestwa Chrystusowego, ileż pracy potrzeba i to pracy wspólnej, gorliwej, pracy nieustannej, na całym obszarze świata. Obejrzmy się w okół siebie. — Jaka moc przeogromna pracy duchowej i fizycznej leży odłogiem, ileż rąk do niej potrzeba, a my! my jej podjąć nie chcemy, o jakże leniwi jesteśmy. I kiedyż otrząśniemy się z tej martwoty moralnej, z tego bezwładu. Chrystus Król zakazuje wszelkiego lenistwa, tak duchowego, jak fizycznego pod grzechem śmiertelnym. Lenistwo to wróg człowieka.

Spieszmy corychlej zacząć pracę nad odrodzeniem się naszym i zacznijmy ją w Imię Boże. Poświęćmy tej zbożnej pracy choćby ten czas, który tak zmarnujemy na niepotrzebne rozmowy, na waśnie i spory, na wodzenie się po sądach, na pijaństwo, na siedzenie z założonemi rękami, na leżenie godzinami całe-

mi, poświęćmy czas ten na pracę w rodzinach, w wioskach, miasteczkach i miastach naszych tak dziś strasznie zaniedbanych, tak wstrętnie brudnych, słowem na pracę we wszystkich dziedzinach naszej pracy osobistej i społecznej, a przekonamy się w jak krótkim czasie nastąpi przeobrażenie zupełne tego, dziś tak okropnego obrazu, tego skutku lenistwa naszego, obrazu który coraz wstrętniejszym się staje. Wprost wierzyć się nie chce jaką przeogromną liczbę godzin marnujemy, już nie przez rok nawet, ale przez jeden tydzień chociażby, a czasu straconego nie powrócimy—przepada on na wieki. Zastanówmy się wszyscy, bo wszyscy zawiniliśmy, ile korzyści osiągnąć możemy, poświęciwszy te wszystkie tak dziś marnowane przez nas godziny, na prace dla naszego osobistego i wspólnego dobra. A dobro czynić może każdy człowiek: matka, ojciec, wychowując dzieci swe w bojaźni Bożej, nauczyciele, nauczycielki, kształcące nietylko umysł, ale serce i charakter uczniów swoich, pracujący pracodawcy, urzędnicy, kupcy, rzemieślnicy, słowem wszyscy ludzie wypełniający uczciwie obowiązki swoje ku chwale Bożej i pożytkowi bliźnich. Pamiętajmy, że wszelkie dobro przybliża panowanie Chrystusa Króla na ziemi. Hasłem bowiem w Królestwie Jego jest: „Modlitwa i praca". Wszyscy pracujący pod tym hasłem spełniają wielkie przykazania miłości. Bo po czem poznają żeście uczniami mojemi? jeżeli miłość mieć będziecie jedni dla drugich", mówi nasz Boski Nauczyciel. Na miłości opiera się prawo, rządzące w Królestwie Jego". Będziesz miłował Boga nadewszystko, a bliźniego swego t. j. wszystkich ludzi, nawet nieprzyjaciół, jak siebie samego dla miłości Boga. Bo jeżeli, mówi Zbawiciel, miłować będziecie tych co was miłują, jakaż stąd zasługa dla was? poganie czynią to samo. Miłujcie więc tych, którzy wam źle czynią, módlcie się za prześladujących i potwarzających was, abyście byli synami Ojca waszego, który jest w Niebiesiech, który czyni, że słońce Jego wschodzi i dla dobrych i złych". Z miłości Boga i bliźniego powstanie odrodzenie świata w Chrystusie. Czyż może być większa prawda nad tę. Miłość to Chrystus, nauka Jego to miłość Boga ku ludziom. Wiek nasz nieszczęsny wkrótce by się uleczył, gdyby te dwa słowa „Chrystus i Miłość" stać się mogły wiecznem godłem serc i umysłów naszych. Nie możemy miłować Boga, nie miłując bliźniego; kłamcą jest ten kto mówi, że

pierwszą miłość można uniezależnić od drugiej. A kiedy ta tak nierozerwalna miłość Boga i bliźniego będzie podstawą wszelkiej myśli, mowy i uczynków naszych, Chrystus Król zawładnie Królestwem Swojem. Zło zniknie z ziemi, ucichnie płacz sierot, jak starców, umilkną skargi pokrzywdzonych, opustoszeją więzienia, bo nie będzie przestępców zapełniających je, zbrojne zastępy wojsk zbytecznemi się staną — miłość bliźniego zastąpi je, ona starczy za wszelkie warownie, ona będzie najpotężniejszą obroną. Pomyślmy tylko, jakie to nieobliczalne wprost sumy zmuszone są wydawać wszystkie państwa, bo inaczej w oczach obecnych być nie może, na obronę przed wrogiem wewnętrznym—jakim jest przestępca, i wrogiem zewnętrznym, jakim jest wojna. A czegoż niemożna byłoby zdziałać dla dobra ludzkości za te przeogromne sumy, gdyby miłość zapanowała nad światem. Żeby się odrodzić, świat musi poddać się panowaniu Chrystusa Króla, a chcąc być prawdziwymi poddanymi Jego, musimy pójść na służbę do Niego—na służbę Bożą. A jakże dziś wyobraża świat sobie tę służbę Bożą? w jego pojęciu to coś bardzo ciężkiego, przygniatającego, pogrążającego w smutek, utrudniającego życie—słowem coś co odbiera ludziom całą radość życia. I dlatego nie starając się ani na chwilę nawet wniknąć w to, czem jest ta służba na czem ona polega, odrzucają ją, nie chcą jej, „to nie dla nas, wołają. Żeby służyć Bogu trzeba mieć specjalne powołanie, trzeba mieć czas poświęcany na modlitwę, na różne praktyki religijne, trzeba przestać żyć życiem tego świata. O jakże mylnem, jak fałszywem jest takie pojęcie służby Bożej. Toż ona rozwesela nas w smutkach i zmartwieniach, daje moc w chorobie i cierpieniach, ona jedynie czyni najtrudniejsze obowiązki nasze lekkimi, daje siłę przetrwania we wszystkich przeciwnościach, jakich pełno jest w życiu każdego człowieka, bez względu na to czem jest i kim jest. Jeżeli chcemy być dobrymi sługami Chrystusa Króla musimy wprowadzić Go w życie nasze, być myślą i sercem przy Nim nietylko przy modlitwie, żyć w Jego ciągłej obecności, pytając siebie: czy mówiłbym to, co mówię, czy czyniłbym to co czynię, gdyby w tej chwili Chrystus stanął przedemną, tak jak stawał wśród uczniów swoich. I zawsze biorąc do ręki chleb, ten symbol ciała Chrystusowego, zwracać się myślą do ostatniej wieczerzy Pańskiej i żeby ta myśl łączności naszej z Nim — była stałym

duszy naszej pokrzepieniem i żebyśmy bez niej obejść się ani dnia nie mogli, jak nie możemy obejść się bez chleba. Jak tylko upadniemy a upadki niestety są nieodłącznemi od życia naszego, starajmy się jak najprędzej podźwignąć z nich, nie zwlekając, nie odkładając poprawy, zaraz dziś, bo jutro—już może być nie nasze. Postanówmy sobie codzień rano pytać Pana Naszego słowami Św. Pawła „Panie, co chcesz abym czynił", a wieczorem znów pytać Go będziemy: „Panie, czym dobrze czynił. Panie czyś zadowolony ze sługi swego? i żałować za wszystko zło Mu wyrządzone, przepraszać za wszystkie myśli, słowa i uczynki nasze, niezgodne z wolą jego świętą, postanawiając szczerze poprawę. Niech serce nasze zawsze będzie czyste, pełne miłości Chrystusa, abyśmy na pytanie Jego: „miłujesz mnie"? odpowiedzieć mogli wraz z Piotrem Świętym: „Panie Ty wiesz, że Cię miłuję".

Ludzie muszą uznać Chrystusa swym Królem. On zapanuje nad całym światem — przykazanie miłości spełnionem będzie. „Ufajcie Jam zwyciężył świat", to są słowa Jego, a niebo i ziemia przeminą, lecz słowa Jego nie przeminą. „Odrodzenie i odkupienie ludzkości tylko przez Chrystusa Króla spełnionem być może.

Królestwo Boże przyjdzie, Ono przyjść musi. — Chrystus nauczył nas modlić się o Nie. „Przyjdź Królestwo Twoje", to słowa naszego Boskiego Nauczyciela. Próżne więc są wysiłki ludzi złej woli, dążącej do sprowadzenia ludzkości z drogi jej przeznaczenia, do oderwania jej od Boga, niech się zaślepieni chwilowem, jakoby zwycięstwem swoim nie cieszą, ludzkość powróci na drogę zbawienia, bo na drodze stoi Ten, który powołuje nas słowami: „Pójdźcie do mnie wszyscy. Jam jest droga, prawda i żywot. Żaden nie przychodzi do Ojca, jeno przezemnie".

Wszyscy ludzie dobrej woli, miłujący prawdziwie Chrystusa, pragną aby On był Królem serc naszych, pragną działać dla przybliżenia Królestwa Chrystusowego na ziemi. Ale wielkich sił potrzeba dla osiągnięcia tego celu. To praca nie dla pojedyńczych osób, tu trzeba działać wspólnemi siłami. Liga Katolicka podejmuje się tej pracy. Zadaniem Ligi jest jednoczyć te siły, jakie są potrzebne do utworzenia całych zastępów Chrystusowi Królowi. Liga jest pomocą i pośrednikiem dla tych

wszystkich właśnie, którzy chcą się podjąć tej zbożnej pracy. A więc, młodzieży, starcy, matki, ojcowie, synowie, córki, pracujący, pracodawcy, słowem wszyscy spieszcie do Ligi. Ona udzielać wam będzie rad, wskazówek i wszelkiej pomocy, jakiej potrzebować będziecie. Dla ułatwienia tej pracy, Liga tworzyć będzie kółeczka, kółka i koła przy wszystkich parafjach, we wsiach i miastach, dla skuteczniejszego prowadzenia tego wielkiego dzieła. A te kółeczka, kółka rozsiane po całej Ojczyźnie naszej, będą jakoby te płomyki i płomienie miłości, które obejmować i zataczać będą coraz szersze kręgi, aby stać się jednym wielkim ogniskiem, które płonąć będzie dla Chrystusa Króla i przy tym ognisku ogrzeją się oziębłe serca nasze. A pod wpływem miłości ustać musi niezgoda, nienawiść, zazdrość.

Niech zanikną te pierwiastki rozkładowe, toczące ród nasz jakimi są pycha, chciwość, lenistwo i rozpusta. Niech nas nie przeraża ogrom pracy, nie załamujmy rąk, nie biadajmy, tylko bierzmy się do niej ochotniej i jaknajprędzej, układajmy cegiełkę, przy cegiełce, by odrodzenie nasze w duchu Chrystusowym dokonanem być mogło.

Niech Liga stanie się awangardą Chrystusa Króla.

Janina Łabęcka.

Rozważania na tle historji i socjologji.

Rozmaite mogą być formy rządu: od najbardziej autokratycznych do najdemokratyczniejszych i najliberalniejszych. Wszakże od każdego rządu domagają się obywatele, aby posiadał przynajmnie minimum rozumu politycznego, przynajmniej szczyptę zdrowego rozsądku w swoich posunięciach i zarządzeniach...

Historja notuje najrozmaitsze wydarzenia. Zdarza się, że na czele państwa stanie rząd złożony z ludzi uczciwych, posiadających najlepszą wolę, ale słabych i nieudolnych. Są wypadki, że władza, względnie rządząca oligarchja składa się z ludzi pozbawionych uczciwości, którzy z całym cynizmem popełniają zbrodnie i występki dla dogodzenia swoim namiętnościom, posiadają jednak przytem pewną dozę rozumu politycznego, znajomość ludzi i zdolność przewidywania wypadków—tak, że chociaż rządy ich w sumie przynoszą rezultaty ujemne, to jednak

w dziedzinach, w których ich interesy osobiste zespoliły się z interesem państwa—poczynili zupełnie rozsądne posunięcia, które przyniosły krajowi duży pożytek. Tak np. Ludwik XI francuski, człowiek okrutny i nędzny, był jako król zapobiegliwym i dzielnym władcą, zwiększył on terytorjum narodowe Francji i podniósł prerogatywy władzy królewskiej, choć równocześnie swojemi zbrodniami poczynił wielkie spustoszenia w dziedzinie życia moralnego, tak, że w sumie rządy jego były wydarzeniem ujemnym.

Najgorszy jednak wypadek zachodzi wówczas, gdy zła wola, egoizm, wyuzdanie i fanatyzm połączą się z brakiem jakichkolwiek zdolności do rządzenia i tępotą w dziedzinie politycznej. Władcy, którzy byli zbrodniarzami i matołkami w jednej osobie poczynili największe spustoszenia znane w historji i byli prawdziwym dopustem bożym dla nieszczęśliwego narodu, karą za grzechy poprzednich pokoleń, odstraszającym przykładem dla potomnych, wspominanym ze zgrozą i pogardą przez długie wieki.

Istnieje wiele sposobów na to, aby sfałszować i przedstawić w kłamliwym świetle wypadki współczesne. W perspektywie jednak historycznej praktyki tego rodzaju stają się coraz bardziej trudniejsze w miarę upływającego czasu, a nawet wręcz niemożliwe, skrzętni bowiem historycy potrafią na podstawie nagich faktów (chociażby nawet dokumenty zostały w swoim czasie złożone na stos i podpalone, a świadkowie niewygodnych wypadków wymordowani) odtworzyć prawdziwą sylwetkę danej postaci historycznej i okazać światu nagą jej postać bez wspaniałych szat i szarf orderowych,

Opinja dziejów okazuje się bardzo często surową i nielitościwą dla ulubieńców losu, wielbionych i sławionych za życia. Celigula i Neron odbierali za życia najwyższą cześć, należną bogom od spodlonej i zdemoralizowanej części społeczeństwa rzymskiego. Caligula wielbiony był, jako wódz ukochany przez legjony rzymskie. Neron zaś jako wielki artysta, śpiewak i poeta. Obydwaj jednak zginęli śmiercią gwałtowną i wówczas potomność osądziła ich bez litości. Pierwszego osądziła historja, jako zdolnego generała, który wskutek wrodzonej megalomanji i innych nadużyć popadł w szaleństwo i stał się zakałą całego Rzymu, drugiemu zaś nie przyznała ani charakteru, ani honoru, ani uczciwości, ani żadnych zdolności politycznych. Zaiste, krótką była ich sława, skończyła się równocześnie ze śmiercią.

Rzecz charakterystyczna... Potomność potrafi czasami wybaczyć wielkiemu mężowi stanu jego błędy, a nawet czasami zbrodnie. Karolowi Wielkiemu wybaczyła historja zamordowanie w chwili gniewu 3000 jeńców saskich, Napoleonowi Wielkiemu wybaczyli Francuzi egoistyczne i nie liczące się z żadnymi ofiarami dążenie do uzyskania laurów zwycięskich, Kołłątajowi wybaczyli historycy polscy słabość i zachwianie się w r. 1792.... Ale nigdy nie wybaczy potomność nędznym matołkom, którzy dzięki tylko sprzyjającemu, a dla narodu nieszczęśliwemu zbiegowi okoliczności dorwali się do władzy i małe swoje czoło ozdobili skradzionym djademem, którzy niczego nie ukochali okrom siebie, a wszystko poza sobą znienawidzili, którzy straszliwą manją prześladowczą powodowani burzyli w szaleństwie i niszczyli pozytywne instytucje życia zbiorowego, a w zamian niczego nie zbudowali...

Miarą wartości męża stanu jest nie to, co on mówił, nie ilość pomników zbudowanych mu za życia, nie ilość płatnych pochlebców opiewających jego czyny, a nawet nie długość i trwałość jego rządów, lecz to, co zbudował, te instytucje i urządzenia życia zbiorowego, które powołał do życia dla dobra narodu, a z których korzystać będą przyszłe pokolenia. Byli w historji wielcy ludzie, którzy przez całe życie tylko budowali jedni potężne monumenty gotyckie, strzelające wieżami ku niebiosom, inni przyziemne i wygodne domy mieszkalne, z których korzystały całe pokolenia; byli i tacy, którzy najpierw burzyli, aby potem zbudować, burzyli to, co uważali za przeszkodę do nowej budowy, lecz potem w zamian za to zbudowali coś nowego, niepozbawionego swoich zalet i znaczenia. Taki Richelieu poskromił szlachtę francuską, pozbawił ją politycznego znaczenia, budując na gruzach dotychczasowych wpływów absolutyzm Ludwika XIV... Ale biada narodom, których rządcy pozbawieni poczucia racji stanu i zrozumienia sytuacji i psychologji własnego społeczeństwa, dziwnym jakimś szaleństwem niszczenia zdjęci- burzą te instytucje, które właśnie są potrzebne do egzystencji narodu, a w zamian za to nic nie budują, bo do budowania są niezdolni!

Genjalny umysł poety daje nam we wspaniałej pod względem artystycznym wizji dwa przedziwne obrazy z bajecznej prahistorji narodu. Oto zbrodnicza Balladyna wstępuje po ciałach

pomordowanych przez siebie ofiar na stopnie tronu i skrwawione czoło ozdabia złotą koroną Popielów. Odtąd chce już rządzić sprawiedliwie i wyrzec się dawnych występków, ale taka już jest konsekwencja czynów ludzkich, zemsta dziejowej Ananke, powrotna fala,—że w tej wygodnej przystani nie może znaleść spokoju i jako najwyższy sędzia musi rozpocząć sprawowanie władzy od osądzenia wszystkich popełnionych przez siebie zbrodni, aż wreszcie pada zdruzgotana sprawiedliwym gromem Boga. Co za obraz pełen tragizmu i symboliki.

Dziwną jakąś intuicją, czy anamnezą wiedziony odmalował Słowacki drugi przedziwny obraz w „Królu-Duchu"... Na tron Polaków wstępuje władca, będący żywym wcieleniem Hera-Armeńczyka, który w dzikim szaleństwie z całą samowiedzą, konsekwencją i uporem maltretuje społeczeństwo. Łagodność, zamiłowanie do pokoju i inne właściwości Polaków — to co zwykliśmy nazywać „dulcis sanguinis Polonorum" napawają tego władcę niezwykłym wstrętem i pogardą. Dziką drużyną zbrodniarzy i okrutników otoczony przebiega krańce swego państwa, krzywdząc, mordując i łupiąc.

W szaleńczej namiętności do popełniania coraz to nowych nadużyć zda się pragnie dojść do krańca wszelkich możliwości i wypróbować granice cierpliwości uciemiężonego społeczeństwa.

Aż wreszcie w spokojnym i łagodnym dotychczas społeczeństwie budzi się duch protestu przeciwko popełnianym zbrodniom, przeciwko deptaniu godności narodu, przeciwko cynicznemu deptaniu zasad sprawiedliwości, przeciwko władzy opartej nie na prawie, lecz jedynie i wyłącznie na zbrojnej okupacji terytorjum narodowego przez bandę przestępców. Wolni kmiecie powstają, jak jeden mąż przeciwko władzy znienawidzonego księcia. Następuje potężny przewrót zakończony ugruntowaniem nowej dynastji.

W bardzo charakterystyczny sposób maluje Poeta moment powstania buntu w duszy ciemiężonego szczepu. Oto książę torturuje jedną ze swoich ofiar i nagle w oczach jej nie dostrzega już strachu, lecz zimny, kamienny spokój, zdecydowaną wolę pozbycia się jarzma.

Ten moment decyduje o dalszych losach. Nastąpił bowiem przełom w psychice społeczeństwa. Naród-olbrzym obudził się z letargu, wyzbył się z dotychczasowej słabości, zde-

cydował się na walkę i jednym potężnym odruchem otrząsnął z siebie garść pasożytującego na nim robactwa, aby, wolny od dotychczasowych przeszkód wewnętrznych, powodujących słabość jego organizmu zbiorowego, mógł podążyć ku wielkim, oczekującym go zadaniom dziejowym.

St. K-ski.

SYLWETKI.

Zakonodawca polski z wieku XVII: świętobliwy ojciec Stanisław Papczyński.

Chociaż wrogowie Boga radzi zaprzeczają wszelkim objawom mocy Jego, i wstecz je odsuwają, w czasy zamierzchłe, jako znamiona przebrzmiałej, ciemnej przeszłości, które w dzisiejszem współczesnem życiu społeczeństw miejsca dla siebie nie mają, pomimo to Duch Boży na ziemi, w Kościele, żyje, działa, zapładnia, wzrost daje, i coraz nowe kwiaty w tym Bożym ogrodzie rodzi. Kwiatami są święci pańscy; nie brak ich w żadnym wieku i w żadnym kraju. „Nie ukróciła się, zaiste, i dziś ręka Boża" na dary niebiańskie. Każdy rok dzisiejszego życia Kościoła uświetnia się szeregiem uroczystych aktów kanonizacyjnych w stolicy świata chrześcijańskiego.

Najmniej do przystrojenia Oblubienicy Chrystusowej w te żywe klejnoty przyczyniamy się my, Polacy. Nie iżby brakło nam materjału, bo świętych mieliśmy i mamy, ale że brak nam śmiałości, czy energji, czy dobrej a wytrwałej woli do zabiegów o ogłoszenie świętości naszych rodaków. Niejeden ze świętych polskich ciąży nam wobec tego na sumieniu.

Lecz oto obecnie nastręcza się znakomita sposobność powetowania, choć w części, tej naszej opieszałości.

Jedna z gwiazd, lśniących na niebie naszem, szczególnie mocno dziś ściąga ku sobie oczy. Przypomniano za dni naszych ojca Stanisława Papczyńskiego. W roku ubiegłym trzysta lat upłynęło od jego świątobliwej śmierci. Mało kto dotąd o Nim

wiedział, bo mąż tu i za życia bardziej od innych w cień się zawsze usuwał, i po śmierci Bóg jemu i jego dziełu przywilej cichości zapewnił. Tem bardziej godnem staje się to podziwu, że mąż boży wiele pracował dla narodu i Ojczyzny, wiele dobrego uczynił, i dzieło żyjące i czynne po sobie zostawił. Żywot jego, od 18-go maja, roku 1631 do 17-go września, r. 1701, wypadł na okresy trzech panowań: Jana Kazimierza, Michała Korybuta Wiśniowieckiego i, zwłaszcza Jana Trzeciego Sobieskiego. W okresie tym groźne burze wstrząsały Ojczyzną naszą: Trylogja Sienkiewicza żywo to srożenie się ognia i miecza, ten potop krwi i klęsk opiewa. A gorzej niż wrogowie zewnętrzni trawiły Ojczyznę, wewnątrz rozprzężenie, samowola, niesprawiedliwość. Słudze swemu dał Bóg wzrok jasny a głęboki, i serce gorące; widział on choroby czasu i nie mógł na nie patrzeć bezczynnie. Czem leczyć je należało, pokazał najpierw na sobie: wyrzekając się świata, złożył śluby czystości, ubóstwa i posłuszeństwa w nowicjacie księży Pijarów, w Podolińcu na Spiszu, dokąd mu było najbliżej z rodzinnego Podogrodzia pod Nowym Sączem. Jak jasną jest rzeczą, że nie dla wygód ani dla wyższego w społeczeństwie stanowiska zmierzał w zakonie i kapłaństwie, tak też nie dla wyłamania się z pod posłuszeństwa opuścił pijarów. Bóg natchnął go myślą założenia nowego zgromadzenia zakonnego, z zastosowaniem do potrzeb czasu, a papież ówczesny, Klemens V pozwolił wystąpić ze zgromadzenia Księży Pijarów tym wszystkim, którzy nie złożyli tam jeszcze ślubów uroczystych. Że nie był to osobisty jego kaprys, lecz zamiar z nieba tchnięty, dowodzi błogosławieństwo, jakiem Bóg dzieło jego udarował; zgromadzenie bowiem nowe rozwinęło się, działało, i po chwilowem przymarciu powstało dziś do nowego a bujniejszego życia.

Nie o własne mu wygody chodziło, jak tylu, niestety, innym, gdyż w nowem życiu zakonnem wiódł tryb wielce surowy, i lud, który zawsze szuka najpierw zewnętrznych oznak świętości, lgnął bardzo do niego i do jego synów. Wszystkie przez niego i jego następców założone kościoły i klasztory jedną szczególnie celują właściwością — są nadzwyczaj ubogie. Czy to pierwsza siedziba, klasztor w Puszczy Korabiewskiej, w pobliżu Radziwiłowa, czy kościół i dom zakonny w Skórcu, pod Siedlcami, czy kościołek i klasztorek w Raśnie, pod Wysokiem Litewskiem, czy drogi synom jego Wieczernik z grobem ojca pod Górą Kalwarją,

wszystkie uderzają ubóstwem i skromnością nawet te, które dla potrzeb koniecznych nieco się szerzej rozpostarły, jak Marjampol i Skórzec. Miałożby mu chodzić o wyniesienie własne o stosunki z wysokiemi kołami? On Matkę Bożą miłował od lat chłopięcych: modlić się do Niej, Jej obrazy w kwiaty stroić, do Mszy świętej służyć, wolał nad zwykłe rozrywki lat młodych. Czego z serca pragnął, to miłość swoją czynnie okazać Marji, cześć Jej szerzyć i pogłębiać, dlatego zgromadzenie swe Jej poświęcił i od Jej imienia Marjanami nazwał.. Nie ku możnym piął się, lecz ubogich miłością ogarnąć usiłował; dzieckiem jeszcze będąc, z radością niósł pomoc kalekom i cierpiącym, z weselem wspomagał ubogich, nieraz kosztem własnego posiłku. Założywszy zgromadzenie za jedno z pierwszych zadań działalności zewnętrznej postawił mu nauczanie ubogich. To przecież pragnienie zawiodło go do Pijarów, ono też u Marjanów zyskało jeszcze na rozciągłości i pokorze. A przecież na bystrości umysłu i wykształceniu nie zbywało ojcu Stanisławowi. Przebywszy nauki w Nowym Sączu, Jarosławiu i Lwowie, zasłynął u Pijarów z głębokiej nauki, a to tak dalece, że kardynał Pignatelli, późniejszy papież Inocenty XII, będąc nuncjuszem w Polsce, wziął sobie ojca Stanisława za spowiednika. Jego też potem król Jan III upatrzył z pośród innych na „teologa dworskiego"—kaznodzieję i spowiednika. Z nim „ostatni rycerz chrześcijański" w Europie szedł na zwycięstwo pod Wiedniem; i nietylko z nim, ale na skutek jego namowy i zapewnień o zwycięstwie, więcej jeszcze, niż pod wpływem nuncjusza apostolskiego, ojca Marka d'Aviano. Bo choć świętobliwy kapelan nie narzucał rad swych królewskiemu penitentowi, gdy jednak chodziło o dobro jego duszy, o dobro chrześcijaństwa lub ojczyzny, zawsze wymógł na królu, czego chciał. A król był pewny, że żądanie duchem proroczym napełnionego ojca Papczyńskiego, nie wyjdzie na złe koronie polskiej. A gdy umierał, to nie inne na ustach miał słowa, jedno te, które mu świątobliwy kierownik duchowny zawsze w duszę wpajał.

I trzecią jeszcze sprawę postawił sobie i swoim mąż boży za zadanie: wspierać modłami tych, co cierpią w czyścu. Tylu umierających na polu bitew odprowadzał do lepszego żywota, tylu poległych oczy jego oglądały, że nie mógł pozostać obojęt-

nym na los ich po śmierci, i synom swym troskę o zmarłych w spuściźnie zostawił.

Na takich to podstawach zrodziło się i stanęło dzieło świątobliwego Ojca Stanisława. Dobranych „dziesięć cnót Najświętszej Marji Panny" położono za podwalinę i regułę życia marjańskiego. Papież Inocenty XII regułę tę zakonowi nadał i zatwierdził. „Nie habit czyni mnichem", i nie biała suknia pierwotna znamionuje Marjanów. Suknię, dla względów praktycznych, z zezwolenia papieskiego, zamieniono dziś na zwykłą sutannę czarną. Chodzi o ducha, i ten pozostał; potrzeba było uznania przez namiestnika Chrystusowego, i to jaknajchętniej udzielone zostało.

Każde dzieło swoje Bóg krzyżem pieczętuje. Nie brakło tej pieczęci z nieba życiu i poczynaniom ojca Papczyńskiego, a jak zwykle, ludzie byli narzędziami cierpień z nieba zesłanych. Lud wprawdzie, wewnętrznem poczuciem wiedziony, garnął się pod kierownictwo świątobliwego ojca i jego Marjanów. Do Puszczy Korabiewskiej liczni przybywali pielgrzymi dla pojednania się z Bogiem i uzyskania światła i zdrowia dla duszy. W Górze Kalwarji, podobnie urządzonej, jak Kalwarja Krakowska i Wileńska, Marjanie z Wieczernika mieli ciągle tłumy wiernych w gościnie.

Wśród możnych biskup Stefan Wierzbowski, późniejszy prymas-nominat poznański, sam świątobliwy, idąc za pociągiem duchowej łączności, zrozumiał, poznał i polubił ojca Stanisława i jego zgromadzenie, i całe życie gorliwie ich popierał. On to osadził Marjanów w Górze Kalwarji, on był opiekunem i obrońcą młodego zgromadzenia.

Wielu jednak wielmożów, gniewnych na króla Jana, że im prawdę mówił, wrogimi byli dla jego kaznodziei i wiele mu zgotowali trudności.

Za krzyże poniesione w ojczystej ziemi, pocieszył Bóg sługi swe dobrem przyjęciem na obczyźnie, bo aż na skraju Europy, w dalekiej Portugalji stanął, w roku 1754 ym wspaniały nowicjat marjański, a błogosławiony ojciec Kazimierz Wyszyński zamieszkał w kolegjum w Balsamo, przez króla ufundowanem.

I kasata zakonu przez rząd rosyjski, w roku 1864, nie zwaliła zgromadzenia, w ukryciu bowiem przeżyło ono i doczekało się pięknego wskrzeszenia w ostatnich latach przed wielką wojną.

Późno, bo dopiero na kilka miesięcy przed śmiercią, w czerwcu roku 1701-go, mógł ojciec Papczyński złożyć pierwsze śluby na przysłaną z Rzymu, w ręce nuncjusza, zatwierdzoną przez Stolicę Apostolską regułę. Całe życie wątły na zdrowiu, a w ostatnim roku prawie ciągle chory, ledwie się zdobył na podpisanie swego duchowego testamentu.

Niezmiernie liczny napływ wiernych, duchowieństwa świeckiego i zakonników dla oddania ostatniej posługi drogiemu ojcu, świadczył, jak wielce ceniono go i miłowano.

Jak dla innych, miłych sobie sług wiernych, tak dla naszego świątobliwego ojca Stanisława Bóg niejednej już łaski wiernym swoim udzielił, na skutek modlitwy przez jego pośrednictwo zanoszonej. I te ostatnie lata przyniosły nowe świętości jego dowody.

Zbierają je starannie dzisiejsi Marjanie, pragnąc z największym zapasem tych świętych dowodów corychlej móc się zwrócić do Stolicy Świętej z prośbą o wyniesienie Sługi bożego na ołtarze.

X. R. W.

SPOŁECZEŃSTWO I WYCHOWANIE.

Kobieta katolicka wobec idei misyjnej poprzez wieki.

Jest pole, na którem kobieta poza obowiązkami matki i żony największe ma możliwości wykazania swych zalet, mam na myśli pracę misyjną. Jeżeli kobieta, zostająca żoną i matką, wstępuje w ślady Ewy, która dała życie synom w boleści i powierzyła ich ziemi z jej walkami duchowemi, moralnemi i gospodarczemi, to kobieta, idąc na misje staje się portretem Marji, która umożliwiła narodzenie się Słowa Bożego i w dzień Zielonych Świąt, jak Kościół-pisklę, stał się Kościołem-orłem i poraz pierwszy rozpostarł skrzydła do lotu w krąg kuli ziemskiej. Jak Marja stała się towarzyszką zbawczych wysiłków Swego Syna, tak siostra zakonna toruje drogę, pełni straż przednią i jest

tą dobrą opatrznością tego, który idzie w nieznane lądy w imię Syna Marji.

Sw. Łukasz wymienia w rozdziale VIII Marję Magdalenę, Joannę i Zuzannę, które mieniem swojem podtrzymywały czynności grona apostolskiego i samego Zbawiciela. Inne niewiasty znowu były świadkami dokonania aktu odkupienia pod krzyżem. Kanon Mszy św. wspomina imiona męczennic, które narówni z mężczyznami posuwały naprzód kamienie graniczne Królestwa Chrystusowego. Św. Hieronim zaprawia całe grono pań z towarzystwa w myślach katolickich i w zrozumieniu prawdziwem powszechności Kościoła. Oto ich imiona: Marcella, Paula, Blesilla Eustochjum, Fabiola. W czasach, gdy arjanizm począł toczyć ciało Kościoła, siostra Teodozjusza II, Pulcherja, przyjęła obowiązki legata papieskiego wobec swego brata, a później, jako żona suwerena Marcjana, z ust zebranych w Chalcedonie ojców Soboru otrzymuje publiczną pochwałę jako „stróż wiary, pośredniczka pokoju, bicz na heretyków, nowa św. Helena, pobożna i prawowierna w najwybitniejszem znaczeniu". Św. Cyryl z Aleksandrji jej poświęcił swoje dzieło o wierze, św. Leon Papież winszował jej zwycięstwa nad Nestorjuszem i Eutychesem. Dzięki św. Klotyldzie Frankowie stanowią punkt oparcia dla rozwoju wiary na północnym zachodzie Europy. Św. Radegonda pozwala Merowingom przeżyć okres humanizmu chrześcijańskiego. Św. Batylda umożliwia pierwsze kroki monachizmu zachodniego. Dąbrówka zyskała męża dla chrześcijaństwa, a z nim Polskę. Jadwiga, oddając rękę Jagielle, czyni to pod warunkiem nawrócenia Litwy. Hr. Matylda zapewnia zwycięstwo reformie Grzegorza VII, stawiając na kartę swoje ziemie i swoją powagę. W XV w. Dziewica Sieneńska i wdowa szwedzka, Brygita nakłaniają papieża do powrotu na miejsce grobów św. św. Piotra i Pawła. Heroina francuska, Joanna d'Arc nie tylko przysłużyła się idei narodowej, ale także idei katolickiej. W pewnej mierze kobietom zawdzięczają niektórzy święci Kościoła katolickiego wysoki swój stopień chwały, świętości i zasługi; oto ich przykłady: św. Benedykt i św. Scholastyka, św. Bernard i księżna bretońska, św. Franciszek z Assyżu i św. Klara, św. Franciszek Salezy i św. Jeanna de Chantal, św. Jan Eudes i Marja des Valées i least not least św. Augustyna oraz św. Monika albo św. Grzegorz i św. Makryna.

Toteż św. Cyprjan nazywa dziewice chrześcijańskie kwiatem rodziny kościelnej i wyborową cząstkę gromadki Chrystusowej. Kto chce przejąć się wielką rolą, jaką odgrywały dziewice, lub wdowy w starożytności chrześcijańskiej, niech czyta niezliczone na ten temat traktaty św. Ambrożego, listy św. Hieronima, czy pisma św. Jana Chryzostoma. Zasiadając na katedrze, uczyły wiary chrześcijańskiej jako pomocnice biskupa. Co więcej, wpływały nieraz zapładniająco na rozwój dogmatyki i liturgiki katolickiej, np. św. Juljanna z Liège na kult eucharystyczny, św. Gertruda (XII w.) i św. Małgorzata XVII) na cześć Najśw. Serca Pana Jezusa, Beatrix Silva (XV w.) na prawdę o Niepokalanem Poczęciu, nie pomijając takiej Mechtyldy z Magdeburga, Hildegardy z Bingen, Juljanny z Norwich, Katarzyny genueńskiej, Katarzyny Ricci, Marji Magdaleny de Pazzi, Teresy z Awili, Mechtyldy od Najśw. Sakramentu.

Z wiekiem XVI zgromadzenia żeńskie już ściślej zbliżają się do potrzeb społeczeństwa. Aniela zakłada zgromadzenie Urszulanek dla celów wychowawczych. Św. Wincenty à Paulo woła swoje córy do spraw przeważnie materjalnych. W r. 1651 powstaje zespół sióstr św. Karola dla opieki nad chorymi i dla nauczania młodzieży. Wiek XIX spogląda na dwie piękne inicjatywy kobiece: Paulina Jaricot zakłada Dzieło Rozkrzewienia Wiary, p. Tamisier zaś dała pobudkę do międzynarodowych kongresów eucharystycznych. W XVII, nieśmiałe jeszcze, wybierają się pierwsze odważniejsze zakonnice na tereny misyjne, mianowicie do Kanady. Damy z najlepszego towarzystwa paryskiego: de Guercheville i księżna d'Aiguillon, Mance, Urszulanka Marja od Wcielenia, Małgorzata Bourgeois z Szampanji, Katarzyna od św. Augustyna, pielęgniarka chorych z Normandji. W Kanadzie rozpoczęły kobiety apostolstwo zamorskie i tam też doprowadziły do mistrzostwa służbę dla Boga i ludzkości, do czego za chwilę powrócimy.

W XVIII w. wyjeżdzają siostry św. Pawła z Chartres na Gujanę, siostry św. Józefa z Cluny (matki Javouhey) na Wyspę Burbońską i do Senegalu, Martiniki, Guadelupy i Cayenne. Siostry Opatrzności Bożej z Portieux, założone w 1762 przez czcigodnego Jana Marcina Moye, udają się szlakiem, wskazanym przez samego założyciela do Azji wschodniej. Córy św. Franciszka Salezego, jak poprzednie, na ziemi lotaryńskiej zwabione

szczytnem hasłem katechizacji niewiernych, odbiły 1889 r. od wybrzeża francuskiego w kierunku Hindostanu. W r. 1877 powzięła matka Marja od Męki Pańskiej plan zgromadzenia żeńskiego, które odtąd nosi miano Franciszkanek misjonarek Marji. Wszędzie ich pełno: w pustyniach afrykańskich, Indjach i Chinach, Azji centralnej i w Birmanji, w Kongo i na Madagaskarze.

Ogółem pracowały na misjach w roku jubileuszowym 1925 nie mniej jak 193 kongregacje żeńskie, które zatrudniały ewangelizacją pogan 13 tysięcy sióstr pochodzenia europejskiego. Wśród tubylców zanotowano dotąd 11 tysięcy powołań zakonnych żeńskich.

Zbliska można się przyjrzeć serdecznym mozołom kobiet na misjach i przekonać się do czego są zdolne, dzięki kilku opisom, które posiadamy w języku polskim. Ostatni z nich ujrzał wczoraj światło dzienne p.t. „Bohaterki". Autorem jest Oblat Marji Niep., Piotr Duchaussois, który od r. 1903 przebywał na misjach w Kanadzie. Kilka lat temu przeznaczyli go przełożeni, poznawszy się na jego talencie naratorskim, wyłącznie dla propagandy misyjnej pismem i żywem słowem, głoszonem w radjo paryskiem. Błyskawicznie misjonarz przedzierzgnął się w literata, opisał z autopsji pracę misjonarzy i kobiet apostolskich, przejechał się nawet w celach reporterskich do Cejlonu, podbił serca swoich czytelników i rozrzucił 150 tysięcy egzemplarzy swych książek po Francji i daleko poza jej granicami. Polscy jego koledzy zakonni w Poznaniu (ul. Ostatnia 14) zajęli się tłumaczeniem głośnych książek konfratra francuskiego. Ostatnia z nich, to właśnie wspomniane „Bohaterki". W przygotowaniu jest tłumaczenie IV tomu p. t. „Nieznani Apostołowie", z którego dokonała obfitych zapożyczeń Walewska do książki swej p. t. „W krainie grozy, strachu i cudów przyrody". W związku z powyższemi danemi bibljograficznemi trzeba koniecznie wspomnieć świeżą publikację Zofji Nałęcz-Gostomskiej p. t. „Z Kanadyjskich szlaków", napisaną pouczająco i budująco, a tak powabnym stylem, że nie powstydziłby go się sam mistrz. Sienkiewicz.

Ks. Dr. Stefan Abt.

Napaść na „Zjazd Pisarzy Katolickich".

Jak było do przewidzenia, sfery antykościelne, niezmiernie czułe na wszystkie poczynania katolików, nie mogły spokojnie znieść „Zjazdu Pisarzy Katolickich". Gdyby przynajmniej pozostająca organizacja ograniczyła się wyłącznie do szyldu katolickiego, ale nie, niema się czego łudzić obrady zjazdu w obecności najwyższych dostojników kościelnych, a przedewszystkiem uchwały przesiąknięte do głębi ideologją Chrystusową, wszystko to aż nazbyt wyraźnie świadczy o jej duchowym obliczu. Irytacji swej nie potrafili ukryć. Oto mamy przed sobą numer „Kultury" pisma, pozostającego pod redakcją Kazimierza Wierzyńskiego i „poświęconego twórczości i krytyce". Dnia 31 stycznia 1932 r. pojawił się groźny artykuł p. t. „Mistyfikacja". Artykułowi temu warto się bliżej przyjrzeć, nie dlatego bynajmniej, że zawiera jakieś interesujące i pozytywne myśli czy zarzuty, tylko dla tego, że jest klasycznym przykładem demagogji, obłudy i t. p. „cnót". W imię sprawiedliwości trzeba przyznać, że autor p. Syruczek miał b. trudne zadanie, nie chciał widocznie wprost wystąpić przeciwko idei Zjazdu, ostatecznie bowiem i katolicy mogą się organizować, a za wszelką cenę chciał wrzucić choć kilka kamyków do cudzego ogródka.

Artykuł zaczyna się w tonie niezmiernie słodkim i miodowym. P. Syruczek stara się być 300% katolikiem, „plus catolique que le Pape". Jakżeż niezmiernie na sercu mu leży idea zorganizowania pisarzy katolickich. Nie mogę sobie odmówić tej przyjemności, aby nie zacytować kilku wierszy, które mogły by z pewnością być wydrukowane złotemi literami i rozesłane wiernym całego świata: „Hasło zjednoczenia pisarzy katolickich w Polsce nie powinno było być dla nikogo niespodzianką. Zdziwienie mógł raczej wywoływać fakt, że dochodzi do tego tak późno. Jeśli Polska jest istotnie krajem o dużem nasileniu katolicyzmu, to żywy nurt religijny musi wcześniej czy później wydać pisarzy o wybitnym profilu katolickim i skłonić ich do koncentracji na tle idei katolickiej, koncentracji o znacznym ciężarze gatunkowym myśli i dalekosiężnym promieniu wpływu. Protestancka Anglja ma twórcę tak bojowo katolickiego jak Chesterton, w wolnomyślnej Francji formuje się istny front Claudelów, Bernanosów, Mauriaców i Massisse'ów. Czy nie byłoby

więc zjawiskiem najzupełniej logicznem, gdyby i u nas doszło do manifestacji katolicyzmu za pośrednictwem pisarzy o równym stopniu artyzmu co i temperatury wiary?"

Po przeczytaniu tego urywka, jeśli się jest obdarzonym bujną wyobraźnią, można już ujrzeć „okiem duszy" p. Syruczka na czele husarji polskich Claudelów. Niestety, po wyrażeniu tych kilku gładkich, ciepłych frazesów, „temperatura wiary" musiała mocno spaść, bo pozwala sobie zaraz w następnych wierszach na ironiczne uwagi pod adresem Kościoła: „już sama gleba stwarza doskonałe warunki dla rozwoju myśli katolickiej, cóż powiedzieć dopiero, gdy zjawia się nadto hodowca o wielkiej troskliwości i niemałych środkach materjalnych! Wszak Kościół katolicki, świadomy prądów epoki, szuka oddawna sprzymierzeńców wśród pisarzy i czujnie pielęgnuje siew intellektu na epoce Piotrowej". Snać udział duchowieństwa w „Zjeździe" bardzo musiał boleć autora „Mistyfikacji", bo wiele uwagi mu poświęca. Przedewszystkiem poddaje analizie skład „komitetu organizacyjnego. Liczy na palcach jednej ręki wybitniejszych dramaturgów i powieściopisarzy, na drugiej profesorów i polityków. Bardzo mu się ten skład osobowy nie podoba, a nadomiar wszystkiego spostrzega, że w chodzą do niego „trzej prałaci: ks. Kaczyński, ks. Choromański i ks. Kłos, oraz jeden zakonnik O. Sopuch". W prawdzie ks. Kaczyński jest dyrektorem Katolickiej Agencji Prasowej, ks. Choromański znanym publicystą, ks. Kłos redaktorem największego tygodnika katolickiego w Polsce, „Przewodnika katolickiego", liczącego 100.000 nakładu, jednak p. Syruczek widocznie przechodzi nad tem do porządku dziennego, gdyż kończy swe spostrzeżenia nad „komitetem" taką konkluzją: „Trudno, aby zespół powyższy usprawiedliwiał dostatecznie szyld zjazdu pisarzy katolickich". „De gustibus non est disputandum".

Także razi p. Syruczka zbyt wielka aktywność duchowieństma podczas obrad zjazdu. „W pierwszym rzędzie zjazdu zasiadło czterech biskupów. Kolejkę mówców otwierał ks. Kaczyński, zamykał ks. Zamykał. To są rzeczywiste ramy, w które zawarto zjazd. Ramy sutann kapłańskich, fioletu biskupiego i purpury kardynalskiej..." Jeśli dobrze rozumiem intencje naszego srogiego krytyka, to właściwie na dobrą sprawę wstep du-

chowieństwu na obrady powinien być wzbroniony. Tylko niestety, to nie byłby już zjazd pisarzy *katolickich*.

P. Syruczek grzmi nieubłaganie: „To nie pisarze uznali za konieczne zjednoczyć się na platformie katolicyzmu, lecz wprost przeciwnie — czynniki kościelne zarzuciły sieć na pisarzy, w nadziei, że uda im się wzmocnić bojowy front Akcji Katolickiej". „W pięciu tezach, które wygłosił ks. kardynał Kakowski, powiedziano m. in. wyraźnie: „Byłoby bardzo wskazanem, aby zrzeszenie pisarzy katolickich weszło do zespołu organizacyjnego diecezjalnej i krajowej akcji katolickiej w celu utrzymania ścisłej łączności z herarchją kościelną". Tu rozdarł szaty: „Pisarze w diecezjalnym zespole organizacyjnym? Poddani hierarchji kościelnej? W roli ogniwa między stowarzyszeniami św. Zyty a bractwem różańcowem? W karnym ordynku pod jurysdykcją ordynarjusza? Bardzo charakterystyczne".

Ze swej strony „obrońcy honoru pisarzy katolickich" możemy poradzić aby tak boleśnie nie rozpaczał. Przedewszystkiem jako dla demokraty sąsiedztwo stowarzyszeń św. Zyty i bractw nie powinno być tak znowu straszne, powtóre, jeśliby w ostatnich czasach stał się arystokratą, o czem nie było słychać, to możemy go zapewnić, iż obie organizacji, skądinąd zresztą bardzo zasłużone w skład Akcji Katolickiej nie wchodzą. A co do podporządkowania się herarchji kościelnej, to każdy wierzący katolik zawsze jej się z radością podporządkuje, czasy „złotej wolności" oddawna przestały być modne.

Srodze także się nie podobały p. Syruczkowi rezolucje „Zjazdu" dotyczące projektu reformy prawa małżeńskiego. Na pierwszy ogień bierze uchwałę potępiającą artykuł o prowadzeniu aktów stanu cywilnego. Zjazd uznał, że wyłączenie duchowieństwa od ich prowadzenia i zniesienie wymieniania wyznania w aktach urodzenia, ślubu i zejścia, znosi ujawnienie przynależności religijnej, a przez co pomija zapewnione konstytucyjnie uznanie religji i toruje drogę bezwyznaniowości. Ujawnianie wyznania napozór rzecz błaha, ma doniosłe znaczenie pod względem prawnym np. jeśli idzie o jurysdykcję sądów kościelnych, o przysięgę w sądzie i t. d. P. Syruczek widzi w powyższej rezolucji troskę „o zagrożenie dochodów kancelaryj parafjalnych", ba „lament kruchty kościelnej, w której żalą się ministranci i organiści".

Jak wiadomo „Zjazd" postanowił „zwalczać projekt ustawy małżeńskiej, przygotowany przez komisję kodyfikacyjną, który chciałby narzucić obowiązkowe małżeństwa cywilne, rozwody i sądownictwo świeckie dla Sakramentu małżeństwa".

P. Syruczek zarzuca tej uchwale zniekształcenie prawdy i zapytuje: „Czy z brzmienia projektu nie wynika bezpośrednio, że Sakrament pozostanie nadal pod jurysdykcją duchowną i sąd cywilny nie będzie sobie arogował żadnego prawa rozwiązania węzła sakralnego zawieranego przez kościół?"

Podobne pytanie jest delikatnie mówiąc wykrętne i sofistyczne. Katolik mówiąc o „Sakramencie małżeństwa" rozumie prócz niego kontrakt t. j. umowę małżonków, podniesioną przez Kościół do godności Sakramentu. Kontrakt i sakrament stanowią tu integralną całość. Rozdzielenie tych czynników w ten sposób, że decydowałby o Sakramencie Kościół, a państwo, któremuby przysługiwała juryzdykcja małżeńska, rostrzygało o kontrakcie — byłoby szczytem perfidji i pogwałceniem Sakramentu.

Pan Syruczek udając obłudnie, że nie zwalcza Sakramentu Małżeństwa powiada wierzącym katolikom z cynicznym uśmiechem: „My Wam zostawimy Wasz Sakrament, pozwólcie tylko, że będziemy rozwiązywać kontrakt. Zaiste w ten sposób ujmując sprawę, b. nisko musi oceniać mentalność i poziom religijny swych czytelników. A przecież pismo, w którym pisze nosi tytuł „Kultura".

W zakończeniu swego artykułu, zastanawia się autor nad tem co połączyło ludzi o odmiennych przekonaniach społecznych i politycznych: pp. Roztworowskiego, Romera (konserwatyści), Seydę, Rembielińskiego (Narodowa Demokracja), Bitnera i ks. Kaczyńskiego (Chrześcijańska Demokracja); nie wierzy, żeby nią była idea katolicka. A jednak, p. Syruczek, tak jest. Są jeszcze ludzie, którzy dla niej są gotowi poświęcić wszystko. Można się różnić w zapatrywaniach na te czy inne kwestje polityczne, ale tam gdzie idzie o rzeczy najistotniejsze dla duszy ludzkiej — o religię, tam nas zawsze znajdziecie zjednoczonych, ufnych w ostateczne zwycięstwo dobra i prawdy.

W końcu pragnę zaznaczyć, że powyższym artykułem pozwoliliśmy zająć sobie uwagę czytelników „Pro Christo" nie dlatego, żebyśmy uważali, że wyszedł z pod pióra wybitnego publicysty. Wierzymy, że w t. zw. „obozie liberalnym" są pi-

sarze zarówno bardziej utalentowani, jak i bardziej szczerzy, którzy potrafią walczyć z otwartą przyłbicą. My metodę p. Syruczka, uważamy za taktykę „sypania piaskiem w oczy" i chodziło nam przedewszystkiem o jej zdemaskowanie i wykazanie do jakich „sposobików" się ucieka w swych wywodach.

Józef Lubicz.

Na froncie walki o religję i honor narodu.

Min. Jędrzejewicz zeniepokojony protestami w sprawie ustawy małżeńskiej — Czy stanowisko Rządu jest jasne? — Wystąpienie ks. Radziwiłła i odpowiedź K. A. P.-a — „Naprzód" i „Robotnik" wobec ustawy małżeńskiej — Reforma szkolnictwa — „Obrzydłówek" ma głos — Sanacyjna pedagogja — Ideologja bata.

Pierwsza fala protestów przeciwko nowemu projektowi ustawy małżeńskiej przeszła narazie. Była ona mocna i zdecydowana, co dowodzi w pierwszym rzędzie, że Episkopat polski zdaje sobie sprawę z grozy niebezpieczeństwa i że słowa Jego znajdują odpowiedni oddźwięk w masach wiernych.

Jest rzeczą oryginalną, że niektóre sfery oficjalne poczuły się zaniepokojone i rozdrażnione energją i siłą tego protestu. Może nie doceniały znaczenia czynnika religijnego w naszem życiu publicznem i przypuszczały iż taka rzecz, jak ustawa małżeńska przejdzie sobie spokojnie wśród ogólnego milczenia. Ignoranci...

Podczas dyskusji budżetowej w Sejmie p. minister Wyznań Religijnych i Oświaty Jędrzejewicz powiedział między innemi:

Nasz stosunek do Kościoła katolickiego, jest uregulowany postanowieniami konkordatu, który rząd wykonuje lojalnie i z dobrą wolą. Szereg postanowień wymaga szczegółowszego opracowania, względnie późniejszego porozumienia. W tej mierze wydano już 18 aktów i rozprządzeń, a przedstawiciele rządu odbyli w u. r. z komisją papieską 14 konferencyj nad sprawami, czekającemi jeszcze załatwienia. Wyłoniona komisja mieszana, rozpoczyna z końcem b.m. studjum nad sprawą budynków, których Kościół został pozbawiony przez państwa zaborcze, a które dziś znajdują się w posiadaniu państwa.

Dążenia rządu nie zawsze jednak i nie przez wszystkich są należycie doceniane. Zbyt często są nadużywane momenty i hasła religijne ku

szkodzie państwa i jego zgodnego współżycia z Kościołem. Charakterystycznym tego przykładem jest niesłychana w swej gwałtowności krytyka projektu prawa małżeńskiego, opracowanego przez komisję kodyfikacyjną, a zwrócona nie przeciw autorowi projektu, lecz bezpośrednio przeciw rządowi. Miarodajne czynniki kościelne były poinformowane o tem że rząd nie uważa projektu komisji za swój i że go wcale nie rozpatrywał. Łatwo jest rozdmuchiwać namiętności na tle religijnem, lecz nigdy nikomu to na dobre nie wyszło. Rozdmuchiwanie ich dla osiągnięcia pewnych celów politycznych, jest bronią niezwykle obosieczną, często niebezpieczniejszą dla napadającego, niż dla atakowanego.

Bardzo nas to cieszy, że konkordat jest wykonywany, chociaż naszem zdaniem w zbyt wolnym tempie. Jednakże ustawa małżeńska — to co innego. Sfery rządowe nie powinny się dziwić, że projekt ustawy, której treść jest zniewagą uczuć katolickich 24 miljonów obywateli, wywołał żywy odruch w społeczeństwie tembardziej, że stanowisko Rządu nie jest w tej sprawie bez zarzutu. Słusznie pisze w tej sprawie ks. Dr. Choromański na łamach „Kurjera Warszawskiego":

„Treść tych wyjaśnień (rządu) o projekcie prawa małżeńskiego jest niewystarczająca; przecież to, że rząd projektu jeszcze nie rozpatrywał, że nie uważa go za swój—nie może wystarczyć i nie może opinji uspokoić; przecież chyba w tak doniosłej sprawie dla państwa, jaką jest małżeństwo i rodzina, nie trudno byłoby rządowi określić swoje stanowisko. A takie określone stanowisko nietylko uspokoiłoby opinję, lecz także uniemożliwiłoby jakimś jednostkom skierowywanie krytyki projektu prawa małżeńskiego pod niewłaściwym adresem.

Że p. minister Jędrzejewicz uważa krytykę projektu za „niesłychaną w swojej gwałtowności", to można jeszcze jakoś zrozumieć—ale, że panowie z „Dnia Polskiego" są z akcji antyrozwodowej niezadowoleni, to stanowi zagadkę".

Jeszcze przed wystąpieniem min. Jędrzejewicza ujawnił właśnie organ konserwatystów sanacyjnych „Dzień Polski" swoje niezadowolenie. Mianowicie ks. J. Radziwiłł, pisząc o stosunkach między kościołem a państwem w Polsce zaryzykował twierdzenie, że istnieją u nas „elementy niepozbawione znaczenia i wpływu nawet wśród wyższego duchowieństwa, których zachowanie zdaje się dowodzić chęci zaostrzenia i przyśpieszenia konfliktu, któryby ich zdaniem musiał doprowadzić do upadku rządu czy regime'u i poprzez walkę z Kościołem jako środka, do tryumfu partji jako celu".

Ks. Radziwiłł nie zaprzecza, iż istnieją także wśród sanacji czynniki wolnomyślne, dążące do walki z kościołem, jednakże według jego zdania Rząd sam konfliktu nie pragnie, czego do-

wodem ma być nominacja ks. Żongołłowicza na podsekretarza stanu

Nie poruszamy tej sprawy dlatego, by poglądy ks. J. Radziwiłła specjalnie nas interesowały; magnat ten znany jest ze swojego oportunizmu i polityka, którą prowadzi może kiedyś bardzo drogo kosztować klasę ziemiańską... Chodzi nam o poruszoną przez ks. Radziwiłła sprawę ks. Żongołłowicza. W sprawie tej zabiera głos K. A. P., obchodzi się znią jednak bardzo delikatnie, pisząc tylko po zacytowaniu przykładów zagranicznych, że do utrzymania dobrych stosunków między kościołem, a państwem „nie jest wcale konieczną nominacja kapłanów na stanowiska kierownicze w państwie". Następnie K. A. P. polemizuje z ks. Radziwiłłem:

„Ks. Radziwił pisze, że dobra wola utrzymania harmonijnych stosunków istnieje ze strony Rządu, jak również ze strony Ojca Św. Wszystko zatem byłoby dobrze gdyby w grę nie wchodziły „czynniki inne „hierarchicznie niższe, nie pozbawione jednak ani wpływu, ani praktycznego znaczenia". A więc w obozie rządowym istnieją elementy wolnomyślne, dla których zatarg z Kościołem jest rzeczą upragnioną. „O nich pisać nie warto, bo przekonać się nie dadzą, ani wyleczyć ze swoich tradycyjnych przekonań czy uprzedzeń".

Cóż więc z tego, że Rząd pragnie unikać konfliktów z Kościołem, kiedy elementy antykatolickie, tkwiące w obozie rządowym, coraz dają znać o sobie, prowokując swemi wystąpieniami uczucia katolickie? Czyż mało tego mamy? Czyż ludzie ci nie zajmują wysokich i wpływowych stanowisk, występując gwałtownie przeciwko religji wogóle i dopuszczając się obrazy Stolicy Apostolskiej, czego nie ma w żadnem państwie kulturalnem?

Książę Radziwiłł dziwnie lekko nad tęm przechodzi do porządku, a jednocześnie całe ostrze swych strzał kieruje w inną stronę, na którą chce zrzucić całą winę i odpowiedzialność. „Godniejszą zastanowienia rzeczą jest — pisze ks. Radziwiłł — jednak to, że i po stronie katolickiej są elementy nie pozbawione znaczenia i wpływu nawet wśród wyższego duchowieństwa, których zachowanie zdaje się dowodzić chęci zaostrzenia i przyśpieszenia konfliktu... W tem tkwi niebezpieczeństwo. Wiemy bowiem i wierzymy, że Kościół jest niezwyciężony, bynajmniej jednak nie katolicy jako tacy, i że to, co może poprzez okres prześladowań stać się tryumfem całości, może bardzo dobrze równocześnie być klęską jednej jego części. Tej prawdy zdają się nie widzieć ci mali i ci więksi, którzy, miast łagodzić i pośredniczyć, widzą swe powołanie w tem, by na każdym kroku, tam także, gdzie interes Kościoła tego bynajmniej nie wymaga, zadrażniać, zohydzać, rozsiewać fałszywe pogłoski i agitować".

W ten sposób, jak powyżej, ujmując sprawę, ks. Radziwiłł zwraca ostrze swego ataku nie przeciwko poszczególnym osobom, ale przeciwko całemu Kościołowi w Polsce, dając nową broń do ręki jego wrogom i bałamucąc opinję katolicką. I tem gorzej, że autor uchila się od cytowania „przykrych faktów i znanych nazwisk".

Przeciwko tej metodzie walki musimy kategorycznie zaprotestować. Niema kapłana - Polaka, któryby chciał walczyć z Państwem polskiem, albo dążył do konfliktu pomiędzy Kościołem i Państwem. Duchowieństwo polskie może z dumą o sobie powiedzieć, że w historji naszej Ojczyzny magna pars fuit jej całego dorobku państwowego, cywilizacyjnego, jej dorobku w dziedzinie nauczania, a nawet gospodarczej. Walczyć przeciwko państwu zabrania kapłanowi prawo Boże i prawo kanoniczne. Dla każdego kapłana „nadprzyrodzona miłość do Kościoła i przyrodzona miłość do Ojczyzny w gruncie są siostrami bliźnięcemi i obie mają jednego i tego samego Ojca, t. j. Boga" (Encykl. Leona XIII Sapientiae christianae).

Boskiem posłannictwem Kościoła jest stać na straży nietylko wiary, do czego wielu chce ograniczyć pracę duchowieństwa, ale również i moralności katolickiej. Walczy się z Kościołem nietylko wtedy, gdy zamyka się świątynie, lub więzi się kapłanów, lecz również gdy toleruje się lub wspomaga działalność sprzeczną z nauką Chrystusową, gdy patrzy się obojętnie na zalewającą kraj nasz pornografją, na zohydzenie religji i Kościoła, na niebezpieczeństwa, grożące świętości ogniska rodzinnego i zdrowiu duchowemu Narodu.

W tym wypadku kapłani nie mogą być bezczynni i milcząco aprobować niegodziwości. Zabierając głos w tych sprawach, duchowieństwo nie występuje przzciwko państwu, ale broni jego podstaw i spełnia swój obowiązek duszpasterski a zarazem i patrjotyczny".

Wiemy wszyscy dobrze, że fala niegodziwości zalewa nas po brzegi i tym niegodziwościom ci, którzy powinni—nie przeciwstawiają się i przeciw nim nie występują... Czy w tych warunkach udział ks. Zongołłowicza w rządzie może być pożyteczny dla katolicyzmu?—Pozostawiamy to czytelnikom do osądzenia.

* * *

Charakterystyczne jest stanowisko naszych socjalistów (tych prawdziwych, a nie z B. B. S.) w sprawie „akcji rozwodowej", wszczętej przez komisję kodyfikacyjną i p. Boya-Żeleńskiego. Oto p. Boy-Żeleński wystąpił w „Wiadomościach literackich" z zarzutem pod adresem socjalistów, że oni mu nie pomagają dostatecznie gorliwie w obronie projektu ustawy małżeńskiej, że, jako sojusznicy polityczni innych ugrupowań opozycyjnych nie chcą zmartwić ks. Panasia. Odpowiadając mu, pisze w „Naprzodzie" znany publicysta socjalistyczny p. Haecker:

„P. Boya-Zeleńskiego martwią wyłącznie małe niedole pożycia małżeńskiego. Bezsprzecznie dość ważny powód do zmartwienia. Ale innych ludzi jeszcze bardziej martwią wielkie niedole życia obywatelskiego. W odczuwaniu tych ludzi postępowych ważniejsze i bardziej piekące są niedole szkoły i sądu, niedole praworządności i bezpieczeństwa prawnego, niedole wolności obywatelskiej i bytu państwowego.

Wątpliwą dla postępowca pociechą będzie świadomość, że jutro się będzie mógł rozwieść, jeżeli dręczyć go będzie niepewność, czy „nieznani

sprawcy" pozwolą mu dożyć do jutra,—jeżeli noc, dzieląca go od rozwodu, zależna jest od tego, czy „im" ktoś zechce „odradzić" (jak to było z p. Trąmpczyńskim), czy nie (jak to było z generałem Zagórskim, Koryzmą, Kołówką itd.).—Są tacy, którym idzie o rozwód, — nam idzie o życie.

Niechajże zrozumie p. Boy, że do żadnej sprawy nie da się rozpłomienić pół-duszy. A jakże do tej sprawy zapalić całą duszę, skoro z za puklerza orędownika reformy małżeńskiej wychyla się ohydne oblicze zmory brzeskiej?! Niechajże p. Boy zrozumie, co jego sprawę kompromituje w oczach uczciwych ludzi".

„Entuzjazmuje p. Boya wielkość i upadek Ks. Urbana, który wobec reformy małżeńskiej zajął stanowisko bardziej ugodowe niż reszta kleru. Ks. Urban jest to jeden z tych nielicznych, lecz wpływowych Jezuitów, którzy zajęli też wobec sanacji stanowisko bardziej ugodowe, niż reszta kleru i szczepili w duszach orjentację sanacyjną. To też, jeśli widzimy po jednej stronie barjery Ks. Urbana, a po drugiej wielkoduszne wobec Brześcia stanowisko Ks. Prymasa Hlonda i Ks. Arcybiskupa Teodorowicza,— to trudno wymagać od prasy postępowej, ażeby rozczulała się nad Ks Urbanem.

Tak jest! Gdy się gruntowniej obejrzy blaski i nędze sanacyjnej Polski, trudno się dziwić, że ludziom postępowym bardziej zależy na tem, by nie martwić tak czcigodnych postaci, jak Ks. prał. Świeykowski i Ks. Panaś, aniżeli dogodzić sanacyjnym rozwodnikom, dla których zmiana żon jest niemniej ważnym dogmatem, jak Brześć.

Niechaj p. Boy raczy zatem zrozumieć ludzi postępowych: Primum vivere, deinde divortiari.—Emil Haecker".

P. Haecker odsłania niedyskretnie pobudki „ideowych" zwolenników zmiany ustawy małżeńskiej. Oczywiście i pobudki wystąpienia p. Haeckera nie opierają się na zasadach katolickich. Zawsze jednak zajął dość życzliwe stanowisko wobec katolików, czego nie można powiedzieć o bratnim jego organie warszawskim „Robotniku". „Robotnik" od czasu do czasu ogłasza w sprawie ustawy małżeńskiej jakiś artykulik, w którym demagogja walczy o lepsze z ignorancją i złą wolą, ot taka sobie zwykła bujda obliczona na całkowitą głupotę czytających pismo nieuświadomionych robotników. Widocznie wśród działaczy warszawskich P. P. S. przeważa kierunek radykalny, zbliżony do międzynarodówki i dostosowujący swoją taktykę do komendy międzynarodowych przywódców żydowskich. Charakterystyczne jest, że żydzi i z tego nie są zadowoleni, lecz od czasu do czasu popędzają redaktorów „Robotnika" batem. Oto, co pisze z całą bezczelnością i nie krępując się zupełnie syjonistyczny „Nasz Przegląd":

„Wspólnicy — pisze — PPS., a mianowicie Endecja i Chadecja (a ostatnio i Stronnictwo Ludowe) obrały sobie ustawę małżeńską właśnie za broń do walki z sanacją, imputując rządowi „masoństwo" i „deptanie

świętych tradycyj". Milczenie więc PPS. (lub kiwnięcie od czasu do czasu, tylko na odczepkę dla oburzonej opinji postępowej, palcem w bucie) oznacza popieranie tej reakcyjnej nagonki na rząd. Jednocześnie jest to ze strony PPS. wielka reklama właśnie dla sanacji, z którą niby to pragnie się walczyć, bo nieświadomy przeciętny ogół naprawdę gotów jest uwierzyć, że reakcyjna klika opozycyjna atakuje rząd za jego postępowość, za jego gotowość do reform w sprawie dla każdego „człowieka z ulicy" zrozumiałej. Liczni czytelnicy Boya-Żeleńskiego, którym w sposób przystępny wytłumaczono całą doniosłość reformy seksualnej, którym zobrazowano tę okrutną niewolę, w jakiej obywatele znajdują się w najważniejszej dla człowieka sferze życia powszedniego, widząc dziwną taktykę PPS. są przekonani, że sanacja jest po stronie Boya, a opozycja przeciw niemu.

Wolno żywić nadzieję, że pod wpływem admonicji ze strony intelektualistów polskich (admonicji, która jeszcze przedtem wyszła od socjalistów mniejszościowych i niezależnych) przywódcy PPS. się zreflektują i wyciągną partję z błota, w którem łatwo może utonąć jej powaga i popularność".

Biedny ten socjalizm polski. Znalazł się jakby między Scyllą a Harybdą. Z jednej strony sanacja, z drugiej Izrael — rozgniewany i niezadowolony z dotychczasowych swych protegowanych...

* * *

Szkolnictwo jest obecnie na ustach wszystkich ludzi cywilizowanych w Polsce. Wiadomo bowiem powszechnie, że dzisiaj przyszła kolej na szkolnictwo... Regime „reformował" po kolei rozmaite działy naszego życia narodowego. Rozpoczął od armji i sposobu powoływania rządu..., potem zajął się partjami politycznemi, które w cudowny sposób rozmnożył, budżetem, którego w „luzy" zaopatrzył, Sejmem, do którego wybory tak przedziwnie zorganizował..., sądownictwem, które już w znacznej mierze jest „zreformowane", samorządem, który domaga się „reformy" już w kilku tylko miastach... a w końcu przyszła kolej na szkolnictwo.

P. minister Oświaty zapowiedział surową i bezwzględną reformę. Wypowiedział się przeciwko „zielonym wstążkom" i za zmianą autonomji uniwersyteckiej, surowo skarcił profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, że ośmielili się zabrać głos w sprawie ustawy o reformie szkolnictwa—wszak do zreferowania tej ustawy wystarczą najzupełniej kwalifikacje profesora gimnazjum p. Szyszko—a w końcu przedstawił istotę i treść całej reformy w sposób następujący (streszczenie „Gazety Warszawskiej" z dn. 21.I.1932):

Wszystkie zakłady naukowe musi obowiązywać kierunek wychowawczy, który minister nazywa wychywaniem państwowem. Jednym z celów jego jest przygotowanie młodzieży do pracy państwowo - obywatelskiej na każdym odcinku życia. Młodzież winna być wychowana w kulcie państwowości, w kulcie wielkich ludzi. Zła byłaby szkoła, która nie umiałaby wyzyskać tego czynnika. W grę wchodzić winny nietylko odległe epoki naszych dziejów. Nie mniejszej wagi jest historja lat ostatnich. Wśród postaci wyjątkowych główne miejsce zajmuje postać Józefa Piłsudskiego. Jest rzeczą niemożliwą i niedopuszczalną, ażeby jego osobę i pracę ukrywać przed młodzieżą. Niech się nikt nie dziwi, że, idąc wzorem Francuzów, czczących Clemenceau i Focha, Belgów czczących króla Alberta, Amerykan, czczących Wilsona, Włochów, czczących Mussoliniego, — będziemy wśród wszystkich obywateli, przedewszystkiem zaś wśród młodzieży szerzyli szacunek, uznanie i miłość dla J. Piłsudskiego. Niech się więc nie dziwią, jeżeli takie zakłady wychowawcze, które nie potrafią wcielać w życie programu wychowania państwowego, nie będą mogły się spotkać z opieką ze strony ministerstwa, na którego czele stoję. I niech wiedzą, że znajdę środki, aby tym, co tych rzeczy nie rozumieją, wyjaśnić je należycie, a już tembardziej złą wolę ukrócić.

Widzimy więc, że młodzież ma być wychowywana w duchu znajomości historji lat ostatnich t. j. współczesnych zagadnień i posunięć politycznych, bo to przecież na jedno wychodzi. Pan minister wzoruje się widocznie na innych krajach. Wiemy, iż w Rosji Sowieckiej młodzież jest wychowywana w kierunku znajomości i propagandy aktualnych przeobrażeń gospodarczo-społecznych, dokonanych przez system tam rządzący, że w faszystowskiej Italji dominuje w szkolnictwie gloryfikacja Mussoliniego i jego systemu politycznego i w tej dziedzinie nawet nastąpił niedawno zatarg polityczny ze Stolicą Apostolską, która domagała się, aby czynnikiem decydującym w wychowaniu młodzieży była idea katolicka, a z aktualnych zagadnień politycznych nie robiono bożka pogańskiego, któremu ma się kłaniać całe dorastające pokolenie, bardzo często wbrew woli swoich rodziców. Te dwa przykłady widocznie zasugestjonowały Pana Ministra. Zapomniał, że we wszystkich innych krajach cywilizowanych: we Francji, Anglji, Niemczech, Belgji, Ameryce... wychowanie opiera się na nieco innych podstawach... oto młodzież uczy się historji, geografji, matematyki, religji... ale nie uczy się gloryfikacji aktualnego systemu politycznego, bo i po co, chyba w tym celu, żeby rozpolitykować młodzież (!) i zamienić szkoły na akademje polityczne (!).

Nic dziwnego, że pod takim hasłem podjęta reforma nauczania wywołała żywy odruch w opinji publicznej, przyczem

głos zabrali nie jacyś wybitni mężowie stanu czasów dzisiejszych, ani Bek, ani Sanojca, ani Polakiewicz, ani Kostek-Biernacki—ot poprostu minorum gentium: profesorowie Uniwersytetów, publicyści... Gdzieżby jednak takich ludzi miano słuchać i na ich opinje zwracać uwagę...

Napróżno profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego w zbiorowym memorjale krytykują projekt nowej ustawy i przestrzegają rząd przed jego uchwaleniem.

Napróżno prof. W. Komarnicki przestrzega przed znoszeniem autonomji wyższych uczelni.

Napróżno wybitny publicysta znany ze swego spokoju i umiaru p. B. K. pisze w „Kurjerze Warszawskim“:

„Gdy p. Szyszko, poseł sejmowy z B. B., nauczyciel gimnazjalny z Krakowa, zabiera głos (w instytucji politycznej) na temat projektu szkolnego, to nie jest to polityka. Gdy natomiast Senat akademicki najstarszej w Polsce, 600 lat liczącej uczelni wyższej, przemawia w tejże sprawie, to wówczas mamy do czynienia z polityką.

Takie to są odkrycia obozu sanacyjnego.

Komisja sejmowa, uchwalając (głosami B.B.) propozycję p. Szyszki, aby nie odczytywać memorjału Senatu krakowskiego, złożyła dowód, iż godzi się na to, aby Obrzydłówek nadawał ton Polsce współczesnej. Uchwała ta naraża Polskę na śmieszność w oczach tych, którzy nasze życie bliżej obserwują. Kraj, w którym w rzeczach fachowych nie ceni się najwyższych kompetencji fachowych, może być słusznie pomawiany o kult nie-kompetencji. Brniemy też w tym kulcie coraz głębiej.

Kogo nie obchodzą w sprawach szkolnych, opinje ciał szkolnych ten nie zainteresuje się także opinją lekarską w kwestjach lekarskich, opinją prawniczą w kwestjach prawniczych, opinją techniczną w kwestjach technicznych. Jakie będzie miał wtedy kryterjum? W Obrzydłówku ostatni głos należy do znachorów, pokątnych doradców i cieśli...

...Nie słuchajcie również rodziców!

Właśnie otrzymaliśmy w tej chwili pismo „Zjednoczenia zrzeszeń rodzicielskich w Polsce", wystosowane wczoraj do p. marszałka sejmu Podejmuje ono ze swej strony zwięzłą krytykę projektu szkolnego. Przedewszystkiem zaś tłumaczy swe pochodzenie tym faktem, iż „przy opracowywaniu projektu do rodziców nikt się o opinję nie zwracał".

P. marszałek przekaże zapewne pismo powyższe komisji sejmowej. Ale czy p. Jaworska dopuści do odczytywania go na posiedzeniu urzędowem? Czy znowu kto nie wystąpi ze swem memento: ostrożnie! polityka!

W ten sposób komisja, pozbywszy się wszelkich elementów polityki, będzie mogła ze spokojem ducha i z własną samorodną kompetencją przystąpić do uchwalenia projektu.

A Obrzydłówkom powinny wystarczyć gwarancje fachowe p. Szyszki,

p. Jaworskiej i im podobnych rzeczoznawców, wyższych ponad senaty akademickie, zrzeszenia rodzicielskie i specjalne instytucje pedagogiczne".

Napróżno cała niezależna prasa polska wtóruje tym poglądom. Obrzydłówek jest teraz górą, on triumfuje i decyduje o wszystkiem!

Szkolnictwo zostanie usanowane...

Biedna szkoła polska! Przez sto kilkadziesiąt lat niewoli nie było jej wcale, lub też istniała epizodycznie i fragmentarycznie. Dopiero od 10 lat można było swobodnie ją zakładać i kultywować. To też otworzyła szeroko swoje podwoje, jak ramiona, pragnąc objąć nimi całe młode pokolenie współczesnej Polski, wychować je nie w kulcie dla bata i w gloryfikacji zbrodni i występków—lecz w miłości Boga i Ojczyzny...

Biedna szkoło polska! Żegnamy cię, lecz nie na długo. Wrócisz znowu w glorji i chwale zwycięskiej, skoro w Polsce zapanuje sprawiedliwość, skoro Naród Polski dojdzie znowu do władzy!

Biedna młodzież polska! Zdawało się, że z chwilą odzyskania niepodległości skończyły się te dawne tragedje i zmagania, którym na imię Nowosilcow, Apuchtin et tutti quanti...

* * *

Jeszcze ustawa o reorganizacji szkolnictwa nie weszła w życie, a już prasa notuje fakty, które dają przedsmak, jak będzie wyglądała w praktyce ta wielka reforma. Oto co donosiła prasa („Głos Narodu", „Polonja", „Gazeta Warszawska" i t. d.) kilka tygodni temu:

„W ub. tygodniu miał miejsce charakterystyczny incydent w Gimn. I. w Stryju. — Oto uczniowie VIII kl. gimn. otrzymali z języka polskiego na zadanie szkolne do opracowania temat: „Najpopularniejsza postać w Współczesnej Polsce". Pod dyktandem profesora wszyscy uczniowie opisali nakazanego—opatrznościowego męża. Jeden tylko, celujący uczeń 8 kl. niejaki Gross nie podzielił zdania swego profesora. Umotywował bowiem w zadaniu pogląd, że obecnie najpopularniejszą postacią w Polsce, jest Dr. Liebermann—zaś najwięcej niepopularnym mężem w Polsce jest Józef Piłsudski..

Zajście to wywołało zrozumiałe poruszenie na sali szkolnej. Zawiadomiony o zajściu dyr. T. Wilk zwołał w tej sprawie doraźną konferencję grona prof., które uchwalił wydalenie Grossa ze wszystkich szkół Państwa. Ucznia natychmiast ze szkoły wydalono, zaś rezolucję grona prof. przedłożono Kuratorjum lwowskiemu do abropaty".

Nie zachwycamy się wcale poglądem młodego Grossa, że najpopularniejszym człowiekiem w Polsce jest dr. Lieberman.

Aczkolwiek nic nie ujmujemy dr. Liebermanowi, sądzimy, że znaleźliby się w Polsce ludzie bardziej od niego popularni.

Ale tu chodzi o co innego. Takiego tematu w szkole nie należało dawać; z chwilą jednak, gdy go się już wyznaczyło, to trzeba pozostawić młodzieży swobodę wyboru; niech każdy opisze postać przez siebie wybraną. Zmuszać jednak młodego 18-letniego człowieka do pisania madrygału na cześć polityka, którego młodzieniec uważa za przeciwnika politycznego wyznawanych przez siebie poglądów—to doprawdy szczyt pedagogiki sanacyjnej. Brawo, panie Ministrze! Wychowa pan młode pokolenie, tylko nieco inaczej, niż pan przypuszcza...

A oto drugi fakt, który podajemy za „Gazetą Warszawską":

„Korespondent „Głosu Lubelskiego" donosi, że w Białej Podlaskiej, uczniowie i uczennice miejscowych gimnazjów postanowili bojkotować swych „kolegów"—żydów. Ten fakt, nie połączony bynajmniej z żadnemi demonstracjami, zdenerwował ogół miejscowego żydostwa, które potraktowało go jako zapowiedź pogromu i t. p.

Do podniecenia nastrojów pomogły też władze administracji ogólnej i bezpieczeństwa. W szczególności szef pow. policji państwowej p. komisarz M. Martini. Chcąc widocznie okazać wobec władz wojewódzkich swą nadzwyczajną energję w „stłumieniu antyżydowskich ekscesów", obstawił całe miasto policją i rozpoczął wielkie „łowy". Chwytano Bogu ducha winnych, pojedyńczo nawet ukazujących się uczniów gimnazjalnych, legitymowano ich bez podania powodów, a nawet szukano pod płaszczami „rzeczowych dowodów" przestępstwa w postaci... „zielonych wstążeczek".

Najbardziej „znojną pracę" miały organy bezpieczeństwa w dniu 18 b. m. kiedy to rozpraszały spacerujące w parku zamkowym grupki uczennic i uczniów. Ponieważ jednak „sprawców zaburzeń nie znaleziono, władze wzięły się do miejscowych studentów Polaków.

Charakterystyczny był wypadek, gdy policja trzech, spokojnie idących chodnikiem studentów: pp. Sucharzewskiego, Przeorskiego i Łochtina, zabrała na posterunek pod pozorem, że „pan komendant chciałby się z panami widzieć". Oczywiście, że „pana komendanta" nie zobaczyli, ale przesiedzieli pod przymusem przez trzy godziny (od 6 do 9 wieczorem) w komisarjacie, a wkońcu zanotowano ich nazwiska i wspaniałomyślnie zwolniono Jednego z nich, mianowicie p. Łochtina, tego samego dnia mniej więcej 10 minut przed zatrzymaniem całej trójki „proszono" do tego samego posterunku i po zanotowaniu jego nazwiska, nie podając powodów zatrzymania, uwolniono. Wystarczy widocznie być studentem-Polakiem, aby być podejrzanym o urojone przestępstwa".

Starsi ludzie zapewniają, że takie wypadki zdarzały się i dawniej, ale było to pod panowaniem rosyjskiem, lub za okupacji niemieckiej. O tem, aby policja polska uważała studentów

i uczniów polskich za żywioł podejrzany i ścigała ich prewencyjnie, tak, jak się czyni z sutenerami lub doliniarzami—dotychczas jeszcze nie słyszeliśmy. Zastanówmy się, co się dzieje w duszach tej młodzieży? Do jakich rezultatów doprowadzą takie metody?

* * *

W swoim czasie, wkrótce po ukazaniu się znanej książki wojewody i kawalera krzyża niepodległości Kostka-Biernackiego pewien konserwatysta krakowski nazwiskiem Hupka zachwalał publicznie w „Czasie" system rządzenia społeczeństwem za pomocą bata. Otóż niedawno „Kurjer Lwowski" zamieścił artykuł ks. Jana Tarnowskiego, który przeciwstawiając się „ideologji" p. Hupki — pisał:

„P. Hupka wyobraża sobie pomyślność polityczną prymitywnie i trochę po chłopsku jako życie psa u dobrego pana, który może dowolnie, ale „sprawiedliwie" udzielić mu batem nagany. Takie psie szczęście może dla niego wystarczy, ale nie dla wszystkich... Zdanie, że „narodem polskim można rządzić tylko batem" ubliża naszej godności obywatelskiej i powinno być zwalczane z całą energją przez inteligentną elitę polską, do której się zwracam. Tylko naród nikczemny może być zgnębiony i ujarzmiony batem, naród szlachetny, jak nasz naród, który pierwszy w Europie postawił zasadę odpowiedzialności władzy i wolności obywatelskiej, tego nie zniesie.

Istnieją zasadnicze podstawy moralne, o których nie wolno mówić lekko. Do nich należą: religja, ojczyzna, praworządność, własność, małżeństwo i naród. Na nich stoją od wieków państwa i społeczeństwa. Są to podstawy o wiele trwalsze, aniżeli kult bohaterów, konsekracje i adoracje wielkich ludzi, którzy przechodzą jak cienie, pozostawiając tylko po sobie jakiś ślad w historji".

Dobrze, że znalazł się wreszcie arystokrata inaczaj myślący od ks. J. Radziwiłła. Niech Polska wie, że i arystokracja posiada swoje białe kruki...

Zaciekawia nas jednak co innego. Oto w jaki sposób elita polska ma walczyć z ideologją bata?

Słowem i piórem... Lecz, czyż to wystarczy! Wszak ślady bata są naznaczone na naszych twarzach...

S. J. K.

DZIAŁ LITERACKO - OPISOWY.

Produkcja literacka katolickiej Francji w ubiegłym roku.

Książka francuska może interesować kogoś z różnych względów. Jeden będzie ją czytał, bo to należy do dobrego tonu, drugi będzie chciał utrwalić lub pogłębić swoje znajomości językowe, trzeci sięgnie po nią, by się utrzymać na poziomie umysłowości zachodniej, czwarty znowu będzie z niej korzystał dla własnej twórczości duchowej czy literackiej. Wszystkim tym przydać się mogą poniższe notatki o kilku najwybitniejszych książkach minionego roku.

Catéchisme des Incroyants par A. D. Sertillanges. Paris. Flammarion 1930.

Uczony Dominikanin, filozof tomistyczny, przeznaczył ostatni produkt swej płodności literackiej tym, którzy, ochrzczeni pod naciskiem różnych okoliczności wyrzekli się swego Credo i tym, którzy wzrośli zdala od wszystkiego, co ma jakąkolwiek styczność z chrześcijaństwem, czują jednakże w sobie ferment niepokoju religijnego.

Jest to rzecz zarówno rozumowa, jak i życiowa, w przenikliwej argumentacji, opierając się także na doświadczeniu, wykazuje związki Boga z ludzkością.

Wezwaniem do szczerości zdejmuje autor czytelnika z koturnów negacji, stawia zaś w ognisku spraw bosko-ludzkich. Tak Boga jak i katolicyzm cechuje niewątpliwie nieprzezwyciężony pęd dośrodkowy, unifikacyjny. Chodzi więc o to, aby wybrać stanowisko należyte i nie zamykać oczu na to, co się nam stamtąd ukaże.

Na syntezę tak świetlistą może sobie pozwolić człowiek, który jak Ojciec Sertillanges, przeorał filozofję, historję, teologję, socjologję i w każdej z tych dziedzin jest mistrzem. Rzadka to więc okazja dać umysłowi tak zaokrąglony, przekonywujący na sprawy najwyższej wartości widok jak książka: Catéchisme des Incroyants.

Mon curé à sa place par A. Cavalier et R. de Cheyssac. Paris. Bossard. 1930 r.

Po całym szeregu pism, poświęconych proboszczowi katolickiemu, pisanych w różnych tendencjach często ujemnych, zwykle jednostronnych, ukazuje się książka, która chciałaby przedstawić proboszcza katolickiego przy właściwym mu warsztacie pracy. Nie dzieląc zdania autorów „Proboszcza wśród biedaków" czy „Proboszcza wśród ubogich" czy „Proboszcza u siebie", zamierza poddać dyskusji różne pola działalności duszpasterza parafji.

Tak trudno w życiu ustrzec się jednostronności, że cień jej pada także na tę książkę Omawiając działalność społeczną proboszcza, jej strony ujemne się nieco wyolbrzymia, aby zachęcić przedewszystkiem do głoszenia słowa Bożego opportune et importune. Jedno wspomaga bowiem drugie, oba pola się wzajem dopełniają. Napisane przez świeckich dla świeckich zainteresuje niniejsze studjum wszystkich różnorodnemi stronami pracy kapłańskiej oraz ukaże czytelnikowi tę właśnie placówkę, na której przyda się w hierarchji katolickiej.

Un siècle de colonisation par E. F. Gautier. Paris. Alcan 1930.

Na stulecie czynności kolonizacyjnych Francji w Algierze daje major Gautier rzecz, której nikt nie przeczyta bez wielkiego pożytku. Nie daje w niej żadnej statystyki, uważając ją za trzeci stopień kłamstwa, uzbraja natomiast swój wzrok obserwatora w mikroskop, którym fakty konkretne analizuje, porządkuje, sądzi, ocenia, za wszystkie wyciąga wnioski roztropne, ostrożne. Jest to synteza stulecia wysiłku, synteza żywa, obrazawa, przedmiotowa, podana z finezją i humorem.

W pierwszej cześci przedstawia autor czyny kolonizacyjne polityczno-społeczne; w drugiej części przewijają się przed wyobraźnią czytelnika najwybitniejsi tej kolonizacji budowniczowie, jak pisarz Maupas, mnich-pustelnik Ojciec Karol de Foucauld, generał Lapperine d'Hautpoul, i kardynał Lavigerie, w końcu typy kolonistów i tubylców; trzeci dział poświęcony jest obecnemu stanowi poszczególnych dziedzin życia skolonizowanego

kraju, czwarty zaś pustyni, jej przyszłości i roli, którą odegrać może w następnych stuleciach równie tęgiej pracy.

Dzieło jest kopalnią mądrości politycznej, społecznej i psychologicznej.

Au prix même du bonheur par René Béhaine. Paris. Grasset 1930.

Powieści p. R. Béhaine polecają się bezwzględną uczciwością, a nigdy nie uniżają się do pochlebstw i niegodnych ustępstw wobec czytelnika. Powieść pod powyższym tytułem jest ósma z szeregu, któryby nazwać można wspólnym nagłówkiem: Historja jednego pokolenia. Autor spełnia rolę powieściowego kronikarza społeczeństwa francuskiego czterech dziesiątek lat przed wojną światową.

Żadnej tezy społecznej autor nie głosi, nie chwyta jej błysków świetnych, ujmujących, lecz rzuca na papier gesty, zdania, rozmowy w ich całodziennej miernocie, za którą nieraz jednak tkwi czująca dusza. Psychologja autora jest drobnostkowa, wypracowana, nie zatraca przecież nigdy ciągłości i całości w opisie osób tematu. Michał, małżonek Katarzyny, zwolennik wyższego kursu ideowego, podciąga ku swemu poziomowi małżonkę wahającą, przyziemną, a czyni to kosztem swego szczęścia.

Lekki pesymizm, uszlachetniony polotem idealizmu, unosi się nad tą powieścią. Spełeczeństwo ukazuje się czytelnikowi jako zespół sił, przeciwnych duchowi, przyroda podobnie obojętnem okiem patrzy na wysiłek ludzki, tak że szczęście wszelkiego rodzaju jest skażone i niezupełne.

Ce qui était perdu par François Mauriac. Paris. Grasset 1930.

Zgubiła się owieczka pasterzowi, a pasterz zgubiony jest dla owieczki, oto fabuła ostatniej powieści Mauriac'a. Młody Alain, podobnie jak Irena, odnajdują we własnem wnętrzu każdy swego pasterza.

Trudniejsza była droga powrotna Ireny poprzez manowce filozofji Nietschego. Razem z pierwszym wraca do Boga Tota, żona Marcela i siostra Alaina; z drugą nawraca się Hervy, mąż Ireny i Marcel wspomniany, przyjaciel Hérvego. Wszystkie z po-

wyższych osób należały do tak zwanego świata nowoczesnego, w którym pieniądz zajął miejsce Chrystusa. Nie jest to nawrócenie gromadne lecz każdy własne przechodzi koleje, aczkolwiek wszystkie są powiązane jedną nicią przewodnią.

Autor, człowiek o głębokiem życiu chrześcijańskiem i katolickiem, jest w pełnem zrozumieniu artystą-realistą, pozostawia opisowi grzechu całą zwodniczą siłę, w jakiej on się człowiekowi ukazuje. Dlatego lektura tej mocnej, przejmującej powieści wymaga dobrego przygotowania religijnego, aby przynieść rozrywkę i pożytek, nie zaś niechęć i zgorszenie.

La vrai visage de l'école unique par J. Mora. Paris 1930.

Monopol nauczania przedstawia się we Francji pod inną postacią, aniżeli u nas. Tam pojęcie szkoły jednolitej oznacza doszczętne zniesienie szkolnictwa prywatnego, które jest przeważnie wyznaniowe, zwłaszcza katolickie. Dlatego też katolicy zwalczają ten projekt, ile sił starczy.

Przedmowę do tego dzieła napisał szef katolików francuskich, generał de Castelnau, której końcowym akordem są te słowa: „Jestem przeciwny szkole jednolitej, bo dzieci należą do rodziców, a państwo powinno im służyć, a nie powinno ich gnębić".

Autor zostawia na uboczu refleksje natury religijno-społecznej, zadowala się raczej objektywnem przedstawieniem zagadnienia, opartem na tekstach licznych, mądrze wybranych. Dał nam syntezę ważką, przenikliwą, zasadniczą. Projekty, zrodzone w różnych kancelarjach i przy różnych biurkach, sprowadzają się według autora do sześciu kategoryj, wszystkie sprowadzają się do wspólnego mianownika: socjalizmu szkolnego. Oto ich różne drogi czy metody, wiodące do tegoż samego celu, przez egalitaryzm, przez selekcję i centralizację, przez socjalizację, przez służbę publiczną, przez proletaryzację.

Nie chcąc jednakże urazić społeczeństwa zbyt dotkliwem nataroiem, kowale projektu o szkole jednolitej zamierzają przeprowadzić narazie trzy postulaty: 1) bezpłatne korzystanie ze wszystkich szkół, 2) konieczność dyplomów państwowych do nauczania w szkołach prywatnych, 3) kontrola programów w szko-

łach prywatnych i zniesienie nauki religji, udzielanej tamże. W ten sposób faktycznie, choć nie ustawowo i formalnie, uśmiercenoby szkolnictwo katolickie, a zachowałyby się szkoły według pojęć socjalistycznych. Projektodawcom przyświeca zasada prawa własności państwa nad dziećmi.

W tej chwili społeczeństwo francuskie opiera się „zbawczym" zamierzeniom kuźni socjalistycznych. Czy je wogóle przyjmie, zależeć będzie od wyzyskania chwili obecnej przez katolików i przez socjalistów.

Dziedzictwo, jakie szkoła jednolita przyniesie w darze ludzkości, już dziś jest znane: wykluczenie wpływu Kościoła i rodziców na wychowanie młodzieży i niezliczony legjon zdeklasowanych i wyrwanych z właściwego środowiska kandydatów na anarchistów.

Z pewnemi odmianami pokutują francuskie pomysły także w polskiej magistraturze szkolnej, dlatego książka może odegrać u nas rolę anioła stróża. C. d. n.

Ks. Dr. Stefan Abt, Poznań.

W krakusowym grodzie.

Pociąg na linji Cieszyn-Kraków, pędził jak szalony. Oddychał ciężko niby spracowany olbrzym, wyrzucając z siebie raz po raz kłęby dymu.

Pasażerowie, jakto zwykle bywa, skracali sobie czas przyjemną pogawędką, spoglądając ukradkiem na osobliwego pasażera, który siedział samotny, wciśnięty w odległy kąt wagonu.

Miał lat siedemnaście, choć wyglądał znacznie młodziej— prawie dziecinnie. Ciemno-blond włosy nie chciały ułożyć się w elegancką fryzurę, pomimo rozpaczliwych a nieustannych usiłowań w tym kierunku ich właściciela. Co chwila starał się on rozczesać je palcami, które mu w tej operacji zastępowały zgubiony grzebień.

Raz po raz, ku wielkiemu zmartwieniu, wyciągał z głowy źdźbła słomy lub siana. Były to skutki przespanych kilku nocy w stodole. Nareszcie wymyślił coś. Splunął dyskretnie na palce rąk i ze ślin zaimprowizował pomadę. Fryzura była w porządku.

Duże niebieskie oczy patrzały niespokojnie. Malowały się

w nich na przemian — to radość, to smutek, niepewność i zuchwalstwo, a ciekawość z obojętnością walczyły zapamiętale.

Twarz zmizerowana, pokryta kurzem, spalona od słońca, harmonizowała z oczami.

Miał na sobie letni mundur skautowski, o którym można rzec krótko, że podzielał losy swego właściciela.

Pantofle i sportowe pończochy stanowiły wyjątek, co dowodziło, że właściciel ich, czy to przez poszanowanie ich, czy też z konieczności chodził boso. Tak! Kilkadziesiąt wiorst szedł, trzymając je w rękach.

Dopiero w Krzeszowicach udało się mu wsiąść w pociąg.

Pociąg pędził, mijając stacyjki, a on myślał:

„Za chwilę będzie w Krakowie, w tym polskim Rzymie. Zobaczy kościoły, a w rzędzie ich przedewszystkiem sanktuarjum narodowe z Katedrą i ten polski Notre-Dame,—kościół Marjacki. Ujrzy bramę florjańską z barbakanem, Sukiennice, planty i tyle innych osobliwości, które tak dobrze znał z czytania, a które tak gorąco pragnął zobaczyć".

Pociąg zatrzymał się na chwilę. Pasażer nasz drgnął. Serce zaczęło mu bić mocno. Czy już—zapytał w duchu?

W tej chwili konduktor wymienił jakąś stację. A! dobrze—pomyślał—mam czas. Czy mi się gdzie spieszy?

Z ruszeniem pociągu znów pogrążył się w swych myślach.

Zaczął filozofować, sentyment go opuścił.

„Pocóż ja tam jadę? myślał. Co będę jadł? Żebrać niepojęte, kraść również. Robić —dobrze—ale co? Kto mi tę pracę da? Gdzie będę spał?

„Och! chciałbym umrzeć!"

Ten młody człowiek, prawie dziecko, marzył już o śmierci, zamiast, tak jak inni w jego wieku, cieszyć się wiosną życia. Pot kroplisty wystąpił mu na czoło. Pasażerowie spojrzeli na niego z zaciekawieniem i politowaniem.

Wyjrzał przez okno wagonu.

Słońce rzucało promyczek, chowając się coraz więcej za widnokrąg. Zżęte łany, pożółkłe liście drzew zachowały jeszcze tu i owdzie, resztki zieloności, czyniły piękną oną, tak ukochaną przez poetów i malarzy, a naprawdę cudną jesień polską.

Patrząc na to wszystko, mimo woli uczuł w swem zbolałem sercu jakąś nieznaną otuchę.

Kraków, ten kochany Kraków, myślał dalej, — czyż będzie tak dla mnie gościnny, jak był przedtem dla innych.

I przed oczyma przesunęły mu się te rzesze żaków, tak często swawolnych, że nawet król Jegomość musiał się z niemi liczyć; chodzących z garnuszkami od domu do domu, a którzy po ukończeniu studjów stawali się filarami społeczeństwa.

Pociąg zaczął syczeć i podskakiwać, jakby i on podzielał jakąś radość.

Stanął. Kraków! rozległo się wołanie konduktora. Pasażerowie na ten głos zerwali się, cisnąc się hurmem ku wyjściu. Wagony prawie opustoszały.

Wraz z pasażerami ruszył i nasz znajomy. Szedł machinalnie, nie pytając się o nic nikogo, tam gdzie wszyscy.

Był już późny wieczór.

W głowie mu szumiało, czuł mocne i prędkie bicie serca.

Poprostu był odurzony.

A to komiczne — pomyślał — spuszczając się w dół do halle'u dworcowego. Było tam rajnó i gwarno. Instynktem prawie wiedziony wbiegł na górę po szerokich schodach, które zaprowadziły go ku wyjściu.

Stanąwszy na ulicy, rozejrzał się naokoło.

Jestem w Krakowie — pomyślał—dokąd pójść. Ha! wprzód—przed siebie. Skręcił w pierwszą lepszą ulicę.

Przecież jest Bóg — idąc myślał — a On nie dozwoli mi, abym zginął. Czyż nie opiekował się mną dotychczas?

Czyż nie zrobiłem taki świat drogi bez grosza, nie żebrząc, nie kradnąc i bez dokumentów?

Ba! nawet mogłem od Krzeszowic przyjechać, choć o pieniądze nie prosiłem. A ten ostatni sen! Widział w nim uśmiechniętego anioła, który mu podawał rajskie jabłko, mówiącego doń: „Idź dziecino tam... gdzie dążysz"!

Musi być taka wola Pana, — zakończył — który przecież nie chce zguby człowieka. Zaczął odmawiać „Kto się w opiekę".

Kraków, obok swej nieskończonej powagi, wydał mu się śmiesznym.

I rzeczywiście był takim.

Poważne ulice, zamarłe w bezruchu przeszłości, ciche, prawie wyludniałe.

Po chodnikach można było przejść z trudnością. To charakterystyczne cechy dla miast starożytnych.

Na jezdni, od czasu do czasu, przemknęła dorożka z „sałaciarzem” w meloniku na głowie. Czasami przemknęło auto.

Całe „monde de vie” skupiło się na plantach, które bodaj śmiało można zaliczyć i porównać z innymi osobliwościami miast Europy.

Na kilkanaście lat przed wojną rozwalono pofortеczne mury, które pierścieniem otaczały stary Kraków i założono aleje spacerowe. Tym sposobem stary Kraków, otoczony zielenią drzew, ponad któremi wystawały strzeliste wieżyczki kościołów i pałaców, znajdował się niby zabawka, umieszczona w koszyku kwiatów rączką grzecznego dziecka.

Na zewnątrz plant rozsiadł się nowy Kraków. Pomysł był to naprawdę oryginalny i ładny, (niektórzy zarzucają mu zniszczenie archaicznych murów) a nadewszystko wygodny.

Kto znalazł się na plantach, ten już nie zbłądził, chociażby dopiero pierwszy raz znala' się w Krakowie. Nie pytając się nikogo, mógł dojść tam, gdzi- chciał.

Idąc ta'; ulicami starego grodu, rozglądał się ciekawie i cieszył się jak dziecko. Jakże tu pięknie—szeptał do siebie. Czyż podobna? Już nie na obrazku, ale w rzeczywistości mogę oglądać te drogie, a tak piękne pamiątki.

Dokąd to idziesz mój kawalerze?

Drgnął i obejrzał się poza siebie. Stojący na rogu policjant kiwał nań, bynajmniej nie uprzejmie.

Podszedł ze zdziwieniem, które usiłował pokryć. Zarazem ogarnęła nim złość.

„Dlaczego mnie pan pyta? powiedział zuchwale. Spaceruję!”

„Gdzie pan mieszka? spytał go już nieco stropiony policjant”.

„Ulica św. Marka 25 — wyrecytował bez zająknienia”.

„Przepraszam! odpowiedział grzecznie policjant“.

Bohater nasz zrobił minę obrażonego, gotowego przebaczyć łaskawie uchybienia maluczkich i wolnym krokiem, założywszy ręce w tył, oddalił się.

Ha!—rzekł do siebie — czasami jest dobrze czytać bodaj

„Echo z Afryki", bo skądbym wiedział, że w Krakowie jest ulica św. Marka? Co odpowiedziałbym wtedy temu „salcesonowi"?

Tak rozmyślając przechodził krótsze i dłuższe, szersze i węższe ulice prastarej stolicy Polski. Znalazł się na Rynku. Byłby może poszedł dalej, bo miał zamiar włóczyć się całą noc, a dopiero w dzień coś postanowić, gdy usłyszał hejnał z wieży Marjackiej. Pali się gdzieś — pomyślał. Wpatrzył się uważnie przed siebie. Tu i owdzie pomieszczone lampy elektryczne oświecały dość niewyraźnie miejsca, z których wyłaniały się gotyckie masywne budowle.

Ach! — prawie krzyknął — toć to Rynek... Tu, Zygmunt Stary przyjmował hołd! Kościuszko składał przysięgę... Kazimierz Wielki zbudował... Myśli cisnęły się jedna przez drugą. Przed oczami jego przesuwały się obrazy pięknej historji naszej, za którą brał tak piękne stopnie...

Oczy mu zaiskrzyły się. Szedł teraz niczem pielgrzym z dalekiego kraju w Ziemię świętą.

Obszedł Rynek dookoła raz i drugi. Obejrzał Sukiennice, roziskrzonem wzrokiem patrzał na polski Notre-Dame.

Tak mijały godziny. Co jakiś czas poważny głos trąby rozlegał się w niszy. Robiło to na nim duże wrażenie.

Głodu nie czuł wcale, o zmęczeniu nie myślał. Dla spędzenia czasu kupił za ostatnie grosze owoców.

Ulice pustoszały, było już blisko do północy. Nie ruszę się stąd — myślał. Oparł się o wnękę kościoła. Zaczął drzemać.

Wtem, o zgrozo! Przed nim stał policjant, z którym rozmawiał tak zuchowato przed kilku godzinami.

Hi, hi! — śmiał się — to tu ulica św. Marka? Chodź! słyszysz?

Zew św. Marka cię woła! Wrzucę cię do „grande canaletto"!

No! ruszże się! Otworzył oczy. Dreszcz przebiegł mu po ciele. Obejrzał się — nie było nikogo. Zdawało mi się — pomyślał — musiałem się zdrzemnąć.

Dobrze byłoby znaleźć jakiś nocleg, ale gdzie? Bo naprawdę sen może się sprawdzić!

Nie zdążył jeszcze dokończyć tych myśli, gdy jakby z pod ziemi stanęło przed nim dwóch młodocianych obdartusów.

Nie masz gdzie spać?—zapytał jeden. To chodź z nami!

Nie zaraz dał odpowiedź—namyślał się.

Hm, niemam przy sobie nic, — rozważał — cóż mi zrobią; i śmierci się nie lękam, a nawet chciałbym umrzeć, życie mi zbrzydło. Dobrze! rzekł głośno. Chodźmy! powiedzieli tamci, Szli w milczeniu, staczając się zaułkami.

W oddali coś zamajaczyło. Patrole! — powiedział stłumionym głosem — jeden z nich.

Na to słowo poczęli biedz. Ryszard za nimi. Tamci, znając miasto, zbiegli prędko, wybierając jak najciemniejsze zaułki. Starał się im dotrzymać kroku. Nieznającemu ulic i zmęczonemu, przychodziło to trudno. Wkrótce zniknęli mu z oczu. Biegł już sam na oślep, potykając się co chwila, skręcał we wszystkie uliczki, które napotykał.

Pot kroplisty wystąpił mu na czoło. Obejrzał się poza siebie. Nie było nikogo! Przystanął dla nabrania tchu. Zimne, a zarazem świeże powietrze go owionęło. Ciemność panowała, że choć oko wykol. Muszę być gdzieś za miastem lub w bliskości Wisły. Dobrze, iż udało mi się wymknąć tym...

Gdzież są moi przygodni znajomi,—myślał. A może i lepiej. Bóg wie, co robi! Zaczął odmawiać wieczorny pacierz. Nie dokończył go. Jakaś postać zbliżyła się.

Co tu pan robi? Gdzie pan mieszka? Usłyszał zapytania.

Drgnął. Przed nim stał policjant. Wracam z pracy, — usiłował skłamać z zimną krwią. Zawsze w takich razach łgał jak najęty, co dotychczas mu się udawało.

Policjant zaświecił mu latarką w oczy. Proszę ze mną!

Próbował protestować, ale zamiast wyrazów, jakiś bełkot wydobył mu się z gardła. On zawsze taki wymowny, tym razem stracił zimną krew. Szli niedaleko, nie zamieniwszy ze sobą słowa.

Przy jakimś dużym budynku policjant zatrzymał się i zadzwonił. Brama się otworzyła. Weszli do długiej sieni, stąd na prawo do pokoju, czy kancelarji. Rozejrzał się z zaciekawieniem i trwożliwie. Była to dość duża sala.

Wokoło na ścianach były porozwieszane fotografje z twarzami tak wstrętnemi, iż patrząc na nie czuł zarazem strach i obrzydzenie. Osobliwe te „portrety" były porozwieszane

w pewnym porządku z napisami u spodu, a więc: złodzieje kieszonkowi, kasiarze, fałszerze, nożownicy i t. d.

Pod każdą fotografją była odpowiednia odnotacja.

Na środkowej ścianie było godło państwowe a pod niem mapa.

W dwóch rzędach stały ławki szkolne. Niektóre z nich miały wyskrobane napisy nieszczęśliwych.

Pod ścianą, gdzie wisiała mapa, stał na podwyższeniu stół, zasłany zielonem suknem. Pokój ten wyglądał na salę szkolną, która też „szkołą" przez zatrzymanych tutaj była zwana. Brakowało tylko globu i poczciwego „belfra", a nazwa byłaby całkiem usprawiedliwiona

Ileż tam łez się polało.

Mogłyby powiedzieć o tem te ściany i ławki, gdyby mówić mogły. Badania odbywały się zwykle w nocy. Powracający z nich byli milczący...

Za stołem siedziało kilku urzędników, pochylonych nad papierami.

Do jednego z nich zbliżył się policjant, który aresztował naszego bohatera. Zamienił kilka słów.

Tamten, podniósłszy głowę, sporzał przenikliwie na zatrzymanych.

„Nazwisko"? Próbował kłamać, lecz na nic mu się to przydało, co więcej, pogorszyło jego położenie.

Przyciśnięty „śpiewał" wszystko. Żmudne badanie ciągnęło się długo. Policjant stał i uśmiechał się złośliwie, wpatrując się z dumą na swego klijenta.

Może rozmyślał o awansie, jaki go czeka za złapanie młodocianego bandyty.

Nareszcie indagacja się skończyła.

Do „kordegardy" — zakończył badający,

Drzwi „Telegrafu" zamknęły się za nim na długo...

Pauper.

SPRAWOZDANIA I RECENZJE.

Rezolucje Zjazdu Pisarzy Katolickich. 1) Naczelnym obowiązkiem tego pokolenia polskiego, którego udziałem, dzięki zrządzeniu Opatrzności oraz wysiłkom pokoleń poprzednich i własnym, stało się wskrzeszenie niepodległej Ojczyzny, jest pochód w dalsze dzieje Narodu z wiarą i przekonaniem, że jak Państwo Polskie powstaje jako chrześcijańskie i było ostoją chrześcijaństwa, tak też w przyszłość swą iść musi jako państwo chrześcijańskie.

2) Zjazd, świadom obecnego przesilenia gospodarczego, klęski bezrobocia, brzemienia biedy wśród szerokich rzesz ludności kraju naszego, oraz posłuszny wezwaniom ostatniego listu Ojca Świętego, tej sprawie poświęconego, postanawia przyczynić się szczerym wysiłkiem polskiego piśmiennictwa i dziennikarstwa katolickiego, do wszelkich działań doraźnych i szerzej zakreślonych w celu złagodzenia tego zła.

3) Zjazd zakłada stanowczy protest przeciwko wszelkim zakusom podważenia podwalin rodziny chrześcijańskiej i postanawia zwalczać projekt ustawy małżeńskiej przygotowany przez Komisję Kodyfikacyjną, który chciałby narzucić obowiązkowe małżeństwa cywilne, rozwody i sądownictwo świeckie dla sakramentu małżeństwa. Sakramentalność małżeństwa i jego nierozerwalność jest bezcennym skarbem społeczeństwa, bo podstawą jego moralnego zdrowia. Nieskalana polska rodzina chrześcijańska, jest też rękojmią siły Narodu i potęgi Państwa.

4) Zjazd stwierdza, że zamierzone postanowienia projektu kodeksu karnego (art. 231), uchylające w rzeczywistosci odpowiedzialność za przestępstwa przeciw powstającemu życiu ludzkiemu, godzą w prawo życia i w przykazania Boże.

5) Zjazd stwierdza, że przygotowany przez Komisję Kodyfikacyjną projekt ustawy o aktach stanu cywilnego, nie tylko wyłączający duchowieństwo od ich sporządzenia (art. 5), ale przedewszystkiem znoszący w aktach urodzenia, ślubu i zejścia, wymienianie wyznania i stwierdzenie dokonania obrzędów religijnych (art. 126, 172, 918 i inne), pomija zapewnione konstytucyjnie uznanie religji i toruje drogę bezwyznaniowości.

6) Zjazd zwraca uwagę na groźny zalew rozwięzłości w pismach i książkach, w teatrach i kinach Niebezpieczne to zjawisko, wiodące ku rozprzężeniu obyczajów, jest zaczynem rozkładu na ziemiach naszych. Pisarze katoliccy, dbali o to, by literatura zachowała całą swą twórczą swobodę, uważając jednak za swój szczególny obowiązek walkę z tym posiewem zepsucia. Lecz do walki tej stanąć musi także całe społeczeństwo, przez bezwzględny bojkot niemoralnych pism, książek i widowisk, a popieranie zdrowej i silnej literatury pięknej, odpowiadającej godności odrodzonej Palski.

7) Zjazd wzywa wszystkie pisma katolickie, aby i nadal ściśle przestrzegały kierunku katolickiego zarówno w doborze artykułów, jak i w zamieszczaniu ogłoszeń, a w szczególności, aby unikały niezdrowej sensacji w opisach przestępstw i brudów życiowych, wszystkich pisarzy, stojących na gruncie etyki chrześcijańskiej, do niezamieszczania swych artykułów w pismach zajmujących stanowisko z tą etyką niezgodnej: całe społeczeństwo — do czynnego popierania prasy katolickiej, przez jej stałe czytanie i rozszerzanie.

Kazimierz Wybranowski. Dziedzictwo. Powieść. Nakł. Księg. św. Wojciecha.

Powieść Wybranowskiego jest pisana żywo, dobrze oddaje momenty psychologiczne, kreśli plastycznie postaci osób działających. Budowa jej jest konsekwentna i trzyma w napięciu zaciekawienie czytelnika. Sensacja, zresztą dyskretna i nie krzykliwa, jest jak na nasze czasy pożądaną okrasą.

Niech chociaż z tą okrasą publiczność spożyje trochę zdrowego pokarmu od którego literatura współczesna odzwyczaiła ją prawie zupełnie.

Słowem, powieść ta — to porządna robota literacka. Treść zaś jest rewelacją co do kreciej roboty masońskiej. Rewelacją bardzo potrzebną. Większość Polaków nie bardzo w nią wierzy i nie bardzo nią się przejmuje. Ot, strachy na Lachy, jeszcze jeden argument antysemicki Nawet W. Perzyński, orjentujący się narodowo, w jednej ze swych powieści przedstawia humorystyczną postać narodowca, który wszelkie niedomagania narodowe tłómaczy, uderzając interlokutora po kolanie: — Masonerja, łaskawy panie!

Tymczasem sprzysiężenie międzynarodowe w Polsce, popierające akcje polityczne, nieraz szkodliwe dla kraju, działające na niekorzyść Polski na terenie międzynarodowym i na niekorzyść większości Polski wewnątrz kraju istnieje i na każdym kroku da się odczuwać jego praca, wnosząca do społeczeństwa rozkład moralny i narodowy.

Niektórzy masoni uważają się za dobrych patrjotów i nawet bili się za Polskę. Są grupki wśród nich, przesiąknięte idealizmem polskim i myślące o moralnem odrodzeniu narodu. Ale są to tylko narzędzia, stojące daleko od zakonspirowanego rządu, od najgłówniejszej loży, działającej dla opanowania świata przez międzynarodową finansjerę żydowską i dla rozkładu moralnego, a przez to ubezwładnienia społeczeństw chrześcijańskich.

O rozluźnieniu etycznem masonerji świadczy chociażby fakt, że wielki mistrz na Polskę osobie nie dość jeszcze orjentującej się, że ma z masonami do czynienia — proponował krzywoprzysięgać w sądzie. A to była jedna z lepszych jednostek wśród nich.

Powieść Wybranowskiego nie tylko odsłania tę potworną robotę, nie tylko poucza nas, jakiemi środkami działa masonerja, lecz i wskazuje na sposoby zwalczania jej. Jest ona organizacją wyjątkowo dyscyplinowaną i solidarną. Członkowi, który się z niej wyłamuje, grozi prześladowaniem. W środkach się nie przebiera: są nimi potwarz, nieuczciwe machinacje pieniężne — aż do skrytobójstwa włącznie.

Przeciwstawić tym ukrytym sprężynom, tej sile sfornej i działającej, jak doskonały a bezlitosny mechanizm należy organizację sił dobrych, szczerze narodowych i religijnych. Ale organizacja ta powinna mieć odwagę i przedsiębiorczość, nie wolno jej dać się zastraszać wpływom masonerji, jak to czyni u Wybranowskiego małoduszny redaktor dziennika.

Podkreślić należy zasługę autora, że uwydatnia te wpływy rozkładowe także na polu kultury i obyczajowości (na pannie Czarnkowskiej). Wsącza się ten jad różnemi porami. Czyta się różne „Kultury“ i „Wiadomości” (ach, takie europejskie, ach, takie kulturalne!) i mimowoli coś lgnie do umysłów bezkrytycznych. Nie każdy orjentuje się odrazu, że to, co lgnie — to właśnie błoto.

Obok zalet ideowych i literackich książki, podziwiać w niej należy odwagę cywilną autora. Niechże go za to i dalej wynagradza poczytność książki i uznanie rodaków. *Anna Zahorska.*

Strażnica Harcerska. Ukazał się nowy numer „Strażnicy”. Warto się z nim choć pokrótce zapoznać, aby wiedzieć co się dzieje obecnie w „Harcerstwie”. Niestety, „Strażnica” przynosi bardzo niepokojące wieści. Jak wiadomo Harcerstwo opanowała sanacja, skutki nie dały na siebie czekać: „HARCERSTWO ŻYDZIEJE!!!! Słyszycie? Harcerstwo polskie, Związek Harcerstwa Polskiego, owe piękne i zasłużone „Z. H. P.” ma już w sobie drużyny harcerskie — żydowskie! Czyż to nie straszne, że ten sam krzyż, symbol wiary, który ja noszę na lewej piersi, a który dotąd był mi rzeczą świętą, był moim życiem i szczęściem mej młodości, ten sam krzyż, który lśni, połyska na czystych i niewinnych sercach harcerek naszych, najsympatyczniejszych i najwartościowszych dziewczynek polskich ten krzyż będzie połyskał na piersiach żydówek i żydów”.

Niewątpliwie tego rodzaju wieści odezwą się smutnem echem w społeczeństwie, które zawsze darzyło Harcerzy sympatją i poparciem. Zdawało się, iż sanacyjni przywódcy tyle będą mieli taktu, że nie przeniosą do organizacji młodzieży metod stosowanych w polityce. Niestety — to było tylko złudzenie. Na dowód przytaczamy za „Strażnicą" parę przykładów ilustrujących metody dzisiejszych „gławnawierchów" Harcerstwa: „Żadnych zmian w terenie" — pisał w marcowym „Harcmistrzu" druh A. Olbromski w swej pierwszej „Gawędzie Naczelnika". Dziś, gdy przeszło pół roku od tej chwili minęło, „teren" przedstawia się następująco:

Główna Kwatera	Zwolnienia	Mianowania
Naczelnik G. K.	dh. St. Sedlaczek	dh. A. Olbromski
Sekretarz G. K.	dh. B. Podhorski	„ E. Sikorski
Wydział Organ.	p.o. dh. J.W. Kowalski	„ W. Ludwig
Wydział osobowy	dh. A. Wronowski	„ W. Pędkowski
Kształcenie starszyzny	dh. A. Wronowski	„ W. Sosnowski
Wydz. Starsz. Harc.	p.o. dh. W. Martini	„ T. Piskorski
Wydział Zagraniczny	dh. O. Grzymałowski	„ I. Wołkowicz
Szef Kancelarji NZHP.	„ E. Ryszkowski	Dyrektor Biura NZHP. dh. I. Wołkowicz
Ref. Skarbowy GKM.	„ płk. Zagłoba-Zygler	dh. M. Koczyk
Dział Skarbowy NZHP.	dhna E. Strzyżewska	dh. Cz. Gryglewicz
Ref. Chor. Białost.	„ J. Ryszkowska	„ E. Sikorski
Wydział Propagandy	dh. K. Czereyski	„ M. Węgrzecki
Przew. Kom. Dyscypl.	„ E. Ryszkowski	„ K. Gorzkowski
Ref. Obozów K.O.P.	„ J. Zawadzki	„ E. Sikorski

Gdy poza tem uwzględnimy zmiany w Komisji Dyscyplinarnej, utworzenie referatu pracy społecznej z dhem E. Olbromskim, zamianowania szeregu nowych wizytatorów G. K. M., oraz zmiany w Z. O. na całym prawie obszarze Rzeczypospolitej, z szeregiem ludzi nowych, harcerstwu mało znanych, a pominięciem nazwisk dla Związku zasłużonych—będziemy mieli plastyczny obraz „terenu" w chwili dzisiejszej.

Więc, czy naprawdę „żadnych zmian w terenie" dhu Naczelniku?

Smutne konsekwencje. W poprzednim zeszycie „Strażnicy" zamieściliśmy notatkę, o złożeniu hołdu organizatorowi powstania Śląskiego, senatorowi W. Korfantemu, przez drużynę harcerską z gimnazjum księży Marjanów na Bielanach, pod Warszawą. Obecnie dowiadujemy się, iż drużyna ta, na skutek polecenia władz, została rozwiązana.

Degradacja hetmana. Doniesiono nam ze Skarżyska, iż tamtejsza drużyna imienia Stefana Czarnieckiego, zwróciła się do Głównej Kwatery Z. H. P. z prośbą o zezwolenie na zmianę dotychczasowego patrona drużyny, na marszałka Józefa Piłsudskiego, gdyż zmiana ta umożliwi jej otrzymywanie zasiłków pieniężnych od władz i instytucyj państwowych.

Doprawdy, Panowie „Sanatorzy" czy to już nie zawiele tego „tępienia partyjnictwa"? Czyż nawet młodzieży nie można zostawić w spokoju? Ostatecznie wszystko ma swoje granice. Dla was to igraszka - nam idzie o życie narodu i dusze młodzieży. *Z. Pr.*

Lavallée. Żywy wzór Akcji Katolickiej: obywatela, ziemianina, żołnierza—Maurice de Gatellier. Przekł. z francusk.—1931.—Kraków. Jezuici.

Cenię to dzieło i tylko zazdroszczę, że nie mamy takich historyj o społecznikach polskich! Gatellier zginął na wojnie r. 1916. Kochał ziemię i wieśniaków. Unikał marnotrawnego życia w miastach. Wieśniakom swym założył dziennik. Zachęcał ich do rekolekcyj. Wogóle brał udział w całkowitej akcji społecznej swego odcinka. Rozumiał Akcję Katolicką jako czyn społeczny wśród potrzebujących pomocy od drugich. Historja niniejsza, to właściwie nietylko koleje życia jednostki, ile opis akcji społecznej w pewnej dzielnicy Francji. Gatelier starał się, by ona była katolicką. Z rekolekcyj robił kurs akcji społecznej. „Poza zwyczajnemi medycjami odbywały się konferencje o dziełach apostolskich i społecznych" (str. 152).

Zdaje mi się, że dzisiejsze czasy koniecznie domagają się właśnie takiego nastawienia ćwiczeń duchownych: wdrożenia duszy do apostolstwa dla Akc. Katol. Nie dość tego: zdaje mi się, że potrzeba tego nastawienia staje również przed kapłanem w konfesjonale dla kierownictwa dusz. G. uczył, by chrześcijanin był przedewszystkiem człowiekiem (str. 155). „G. żądał od mysli jedynie rozjaśnienia i podtrzymania czynu" (str. 156). „Działalność jego, przez to, że była czynem, zakłócała spokój ...prowadzona była przez 25 lat, mimo ciągłych przeszkód, krytyk i niepowodzeń" (str. 158).

„Umiał widzieć błędy G. mógł (?) cierpieć z tego powodu, że mówił prawdę otwarcie nawet swoim przełożonym" (str. 161). „Robił wrażenie człowieka nie lubiącego tracić czasu i nie znoszącego, by tracił go ktokolwiek z podwładnych" (str. 178).

Wyłowiłam kilka charakterystycznych rysów w życiu G. w tej myśli, że są to rzeczy dla społeczników naszych pożądane. Różne podobne linje znachodzą się i w naszym kraju: Najciekawsze są zawsze dzieje trudności w życiu człowieka. One wydobywają z nas nieznane dotąd siły, o których nam się może ani śniło, i ukazują to, czem jesteśmy, nie mniej i nie więcej!..

K. Berkanówna.

Plaguevent. Pour l'Esser du catholicisme en France, par cette gènèration.—Paris. Enault. 77 rue de Rennes.—200 str. plus przypisy.

Rzecz młodych do młodych, a może nietylko do nich. Mówią francuscy studenci. Współpracuje z nimi ks. Plaguevent, entuzjasta-ideowiec. mieszkający w Pau (niedaleko Lourdes) 24 rue de Monaix. Niedokładnie wypisałam tytuł: Moda zachodu skreśla bowiem wszelkie litery wielkie, nawet w tytułach, nawet w nazwiskach. Widzę to po pewnym liście nawet z Niemiec.

Książka dzieli się na rozdziały: Nasze pokolenie. Pogląd na nasze zamiany. Przypisy.

Autor prosi o zaznajomienie Go z „Odrodzeniem" w Polsce. Uważa bowiem, że głosi ten sam program działania.

Nietylko wygląd książki, ale nawet jej styl jest zupełnie nowoczesny, układ zdań i wyrażenia.

Z dziełka przebija najlepsza wola i cała nadzieja w lepszą przyszłość!

K. Berkanówna,

Kosibowicz. Problem ludów Pigmejskich. Księża Jezuici. Kraków. — 237 st. — 1927.

Nie wymieniam książki nowej, a jednak chciałabym na nią zwrócić na nowo uwagę naszych Misyjnych Kół w szkołach średnich i wyższych, gdyż należy do rzadkich rzędów polskich dzieł misjologicznych. Ciekawa byłaby dla nas wiadomość, czy Czcigodny, młody jeszcze autor został na obranej drodze i idzie nią dalej. po nowe przyczynki naukowe o ziemiach tak mało znanych ogółowi.

Jak z dzieła wynika, to pierwszy tom prac polskiego etnologa, oparty jest szczególnie na materjałach O. Schmidta SVD. i O. Pinarde la Boullaye SJ. Czerpał też z najnowszych prac O. Szebesty SVD. Wspominam tu o najbardziej znanych katolickich przedstawicielach etnologji.—Odkryto dotąd pigmejczyków w Środkowej Afryce, i w Wschodniej Azji

i na przyległych wyspach. Szczepy te tworzą trzy oddzielne grupy, mają jednak pewne wspólne znamiona, jak: niski wzrost, kędzierzawe włosy krótkie głowy, skórę zazwyczaj czarną. Są monoteistami, ze swemi wierzeniami, sięgającemi do religij pierwotnej ludzkości. Im bliżej nas, tem odchylenia od jedynej wiary są większe i coraz dziwaczniejsze. Etnologowie podnoszą wysoką moralność rodzinną pigmejczyków. Są oni monogamistami. Książka O. Kosibowicza mówi o ich historji, geografji, wierzeniach i obyczajach. Z dopisków widać, że Sz. Autor przestudjował spory zasób literatury ze swego przedmiotu, zanim począł dzielić się ze swą wiedzą z polskimi czytelnikami. Ufamy, że nie odmówi nam dalszego ciągu swych etnologicznych dociekań z pożytkiem dla naszego młodego, nieśmiałego ruchu misjoznawczego. *K. Berk.*

„Zamiast recenzji". (List do Józefa Stefana Czarneckiego).

Drogi Panie Kolego!

Gdybyś mnie teraz zobaczył zdaleka, pomyślałbyś może, że stawiam sobie pasjansa, niby jakiś... dziadek. To jednak byłoby pierwsze tylko wrażenie. Patrząc dłużej, zastanowiłbyś się odrazu, że rozłożone przede mną karty są zbyt duże jak na karty do pasjansa i zbyt jednobarwne. Bo w rzeczy samej, Panie Kolego, nic to wspólnego nie ma z pasjansem. Ja i pasjans? Cóż to za dziwaczne zestawienie! Niema chyba dwuch radykalniejszych przeciwieństw. Jestem przecież zdecydowanym przeciwnikiem wróżb i przenikania zawzięcie rzeczy przyszłych! Jakżeż to dobrze, że nie wiemy nic o swej przyszłości! I jakże urocze jest wyczekiwanie tego, co nam przyniesie dzień dzisiejszy!

A co znaczą te leżące karty, które wypełniły każdą wolną przestrzeń mego biurka i wspięły się nawet na wierzch papierowej piramidy, pomiędzy najświeższe „Les Nouvelles Littéraires", „Je Suis Partout", „L'Illustration", „La Petite Illustration", „Le Cahiers Illustres", „Gringoire", „Candide" i wiele wiele innych pism polskich oraz zagranicznych? To, Panie Kolego, karty Twej nowej książki, na które podzieliłem otrzymane wczoraj arkusze, pierwsze arkusze z maszyny, co, nieprzewędrowawszy przez półki księgarskie, nie zdążyły stracić jeszcze ostrego zapachu farby drukarskiej i drukarni wogóle.

Nie stawiam żadnego pasjansa, a jednak zamyśliłem się nad temi kartami poważnie. I to ma być książka! Rozlatujące się karty, okładki ani śladu, końca brak... Toć to nawet nie imitacja tego, co od zarania życia uczono mnie nazywać książką. To raczej stos ulotek. Tyle widzę, gdy spoglądam przed siebie Lecz nie oburzaj się, Panie Kolego, wiem dobrze, że za dni kilkanaście owe niezdarne arkusze papieru, przewędrowawszy przez kilka natrętnie szczękających maszyn, pochwycone przez falcówkę, przekłute drutem, zmienią się w zgrabną książkę, by niebawem z pośród dziesiątka innych przykuwać do siebie z poza szyby księgarskiej rozpędzonego przechodnia, przykuwać swym fascynującym zagadkowym tytułem: „ZMYSŁY NA LICYTACJI".

Wybacz mi, Panie Kolego, za tę długą paplaninę. Właściwie chciałem Ci zakomunikować coś ważniejszego. Prosiłeś mnie, ażeby o „Zmysłach na licytacji" napisać recenzję. Będę szczery i wyznam otwarcie, że brak mi do takiego przedsięwzięcia—powiedzmy prosto—ochoty. Jesteśmy przyjaciółmi, znamy się od tylu lat, lecz panegiryku pisać nie chcę. Zresztą moje pochwały są dla Ciebie zbędne. Dziś, kiedy najpoważniejsze pisma drukują i przedrukowują Twoje artykuły w sprawach bieżących, ceniąc Twój pogląd na nie; kiedy Twe szkice polityczne mają ukazać się w przekładach po angielsku, po francusku i po węgiersku, cóż znaczyć będzie kilka moich pochlebnych słów o Tobie? Tyle, co nic. Przybierać zaś pozę recenzenta i z koturnowym patosem mówić o Twojej nowej książce—wiesz, Panie Kolego, tego nie potrafię. Coś takiego wydaje mi się rzeczą

doprawdy sztuczną i—mam wrażenie — wypadłbym „z roli" zaraz po paru słowach wstępu.

Jeśli coś mam powiedzieć na temat „Zmysłów na licytacji", to mogę to uczynić jedynie w formie zwykłych przyjacielskich wynurzeń. Nie będą to żadne sądy apodaktyczne. Takie znajdziesz niezawodnie w ocenach innych recenzentów. Ja zato pozwolę sobie na parę uwag, które mi się nasunęły przy czytaniu.

Co przedewszystkiem zasługuje na pochwałę, to tytuły. Tytuły są naprawdę bardzo pociągające i ich wykaz wystarczy sam przez się za recenzję, a może będzie nawet bardziej skuteczny od pseudomądrych wynalazków. Czyż może nie zainteresować sam tytuł całości „Zmysły na licytacji" lub dalszych poza tytułową częścią książki: „Pułapki ustawodawcy", „*Medycyna* pod pręgierz", „Literaci na cenzurowanem", „Bojowa pogawędka z Boyem"? Albo podtytuliki: „Kosmetyczna kodyfikacja", „Filozofja naskórna", „Kompleks stenotypistki i nos Kleopatry", „Heca rozwodowa", „Coś o Kancie i skarpetkach", „Bezdzietni narzeczeni", „47 przykazań małżeńskich", „Zacofany postęp", „Ustawodawca i syrena", „Docta ignorantia", „Stajnie rozpłodowe", „Reforma bez reformy", „Dozgonne małżeństwo w poszukiwaniu rozwodu", „Komiczna kosmika", „Nowa forma prostytucji", „Samobójstwo rasy", „Protestanci protestują", „Rasa biała w upadku", „Człowiek do przepony brzusznej", „Fałszywa poetyczność", „Karuzela wyuzdania". Wiesz co, Panie Kolego? Ten cały wykaz tytułów należałoby nazwać też karuzelą, lecz pomysłowości. Toć Twoje tytuły są częstokroć bardziej nawet frapujące, niż u Boy'a, który przecie uchodzi w Polsce za niedoścignionego pod tym względem mistrza i którego pomysły tytułowe pozująca na literacką Warszawka roztrząsa długo i z przesadnem namaszczeniem w jałowych dyskusyjkach.

Jeżeli na drugiem miejscu stawiam treść książki, to nie dlatego bynajmniej, bym ją lekceważył. Nie, Zacny „Licytancie zmysłów". Nawet mi coś podobnego przez myśl nie przeszło. Jestem zdumiony obfitością zgromadzonego materjału, który stanowi jakgdyby małą encyklopedję o sprawach małżeństwa, rozwodów, neomaltuzjanizmu, losu potomstwa itp. Od Rosji sowieckiej do Ameryki, od starożytności do czasów ostatnich, istotnie rozpiętość to ogromna. Pedant znajdzie, rzecz oczywista, luki, pragnąłby jeszcze znaleźć to lub owo, któż jednak takiego zadowolni? Anegdota, statystyka, fakt — zgromadziłeś tego, Panie Kolego, poddostatkiem. Człowiek uparty, napisałby ogromny tom ogromnie uczony, ale poto chyba tylko, ażeby obciążył na lata półki księgarskie. Słusznieś postąpił nie idąc tą drogą, bo nieudolne propagowanie najszlachetniejszej idei — to mimowolne kompromitowanie jej, a nierzadko i zabijanie. Takie teraz nastały czasy, że nie mają ludzie (wyjąwszy emerytów) czasu, a często ochoty, na czytanie sążnistych traktatów, gorliwy zaś propagator nie może przecie wstrzymać się przed przeszkodą tego rodzaju. Najprymitywniejszy rozsądek nakazuje w takim wypadku popełnić pewne ustępstwo i przystosować wykład do poziomu środowiska, o przekonanie którego chodzi w danej chwili. Najwznioślejsza myśl czy pogląd, przedstawione sucho, bezbarwnie, ciężko, nie porwą większego zespołu. Działanie ich ograniczy się do jednostek zaledwie.

O ile chodzi o „Zmysły na licytacji, to przez umiejętne przyprawienie tytułami i oświetlenie dowcipnemi uwagami suche cyfry nabrały przekonywującej wymowy. Stały się one wskutek tego tak natrętne, że nie można ich pominąć obojętnie, jak się to czyni zwykle przy lekturze innych prac.

Nie mogę pominąć jeszcze jednej sprawy. Ktoś, Panie Kolego, nazwał Cię „katolickim Bojem". Tu muszę zaprotestować. Podobne zdanie mógł wygłosić ten jedynie, kto nie zna istoty twórczości feljetonistycznej Boy'a i oczywiście Twojej. Bo, wedle mnie, zachodzi między wami duża różnica. Boy—to feljetonista, dokładający starań, by feljetonowi swemu

nadać architektoniczną stukturę—trzeba mu przyznać, pierwszorzędną; Twoje zaś „Zmysły na licytacji" zaliczyłbym raczej do kategorji dziennikarstwa. U Boy'a pewna konkluzja czy synteza wywodów zjawia się na końcu, części zaś Twej książki nie stanowią zwartej, spoistej całości. Każda cząstka wyodrębnia się silnie, jest jaskrawą plamą, obraz natychmiast pełny otrzymuje się dopiero po pewnem przemyśleniu treści, kiedy wyrazistość szczegółów osłabnie. Jeżeli już tak koniecznie chodzi o skoligacenia Cię z kimś, łączyłbym Cię z Widzem-Wasowskim z jego „Wielkiemi czasami", bądź „Herezjami", które pod względem formy są mistrzowskim wzorem dla dziennikarza i jako takie zawsze odczytuję je z satysfakcją. Może to będzie brzmieć zlekka paradoksalnie, jednak powiem Ci, że Twe „Zmysły na licytacji" są katolickiemi „Herezjami", ale o skali treściowej mniejszej, zredukowanej do zagadnień, wiążących się z projektowaną kodyfikacją prawa małżeńskiego. Takich „Herezyj" życzyć sobie należy jaknajwięcej.

Nie wiem, Panie Kolego, jak się odniesiesz do tych mych spostrzeżeń. Osobiście powiem Ci otwarcie: nie przywiązuj do nich zbyt wielkiej wagi. O ile pisarz pisze w tej, a nie w innej postaci, ale pisze tak dlatego, że tak pisać nakazuje mu jego przedświadczenie wewnętrzne, tworzyć będzie rzeczy o pierwszorzędnej wartości; gdy zaś stanie się chorągiewką, wrażliwą na czcze podmuchiwania swych recenzentów, nierzadko bajdurzących sprzeczne między sobą trzy po trzy, to dowód, że pisze nie z imperatywu wewnętrznego, lecz z pobudek snobistycznych czy wręcz dla zaspokojenia przeczulonej ambicyjki, jeśli się pominie względy natury materjalnej.

Na następne Twe prace czekam z zainteresowaniem. Najbardziej intryguje mnie projektowana książka o zagadnieniach szkolnych, która ma otrzymać wiele mówiący tytuł: „Wylęgarnia matołów". I ja również interesuję się kwestją reformy szkoły, więc może tym razem napiszę nawet... recenzję. Tylko, Panie Kolego, pośpiesz się, by ta książka ukazała się jaknajprędzej. *Józef Marjan Chudek.*

Faulhaber. Rufende Stimmen in der Wüste der Gegenwart. Herder. Freiburg i Br. 1931. — 480 str. — „Głosy wołające na puszczy współczesności" kardynała monachijskiego Faulhabera, to przemowy, kazania i Listy Pasterskie tegoż znakomitego w naszych czasach społecznika i troskliwego Pasterza-Przodownika swego społeczeństwa. Uderza w pisaniach ks. kard. F. wybitna nuta pokojowa, domagająca się sprawiedliwości dla wszystkich narodów. Sprawiedliwość ta oczywista dlatego nie nastąpi, że nie życzymy jej sobie *wzajemnie*, lecz tylko dla... siebie. Dostojny autor podkreśla potrzebę religji i współpracy z Kościołem w naszych czasach, by znów nastał istotny porządek rzeczy w społeczeństwach. Całość książki podzielił ks. kard. F. na sprawy: Kwestje religijne; Kwestje obyczajowe; Kościelne; Społeczne. Dla międzynarodowej współpracy w Akcji Katolickiej trzeba takie dzieła znać.

K. Berk.

PRO CHRISTO
WIARA I CZYN

ORGAN MŁODYCH KATOLIKÓW — MIESIĘCZNIK

Wydawca: Stowarzyszenie Społecznego Panowania Najświętszego Serca Jezusa w Rodzinach Chrześcijańskich.

Redakcja i Administracja: Warszawa, ul. Moniuszki 3a.

P. K. O. 10.115 Telefon 763-44

NACZELNY REDAKTOR

przyjmuje interesantów w środy i piątki między 18.30 a 19.

Biuro i telefon czynne w dni powszednie od g. 11 do 12 i od 15.30 do 17.

Redakcja rękopisów nie zwraca

Pro Christo.

* *

*

Święta Zmartwychwstania Pańskiego obchodziliśmy w r. b. w warunkach nader ciężkich i trudnych, tak, że uroczystość ta radosna, symbolizująca zwycięstwo nad śmiercią i odrodzenie jednostek i społeczeństw chrześcijańskich w Chrystusie, tym razem nie zdołała wywołać długotrwałego radosnego nastroju w naszym znękanym społeczeństwie i oderwania się jego od trosk i zawodów dnia powszedniego.

Przeżywamy niewątpliwie czasy kryzysu. W pierwszym rzędzie jest to kryzys gospodarczy powodujący nędzę szerokich sfer społecznych i prowadzący do pauperyzacji całego narodu. Liczne rzesze przymierają wprost głodem, większość zaś społeczeństwa żyje w warunkach nienormalnych, biedując z dnia na dzień i łatając swój budżet, jak się da, aby tylko wyżyć. Wszyscy pytają, jakie są przyczyny tego stanu rzeczy. Wiemy, że oprócz przyczyn ogólnoświatowych, które dotyczą wszystkich krajów, oprócz tej znanej ogólnie klęski nadprodukcji i za nią idącego bezrobocia — mamy w Polsce do czynienia z przyczynami naszymi wewnętrznymi, krajowymi, które zwiększyły w kolosalnych rozmiarach stagnację gospodarczą. Myliłby się jednak ten, ktoby sądził, że zjawisko

to zostało wywołane wyłącznie błędami naszej polityki gospodarczej i finansowej...

Polska przeżywa kryzys wewnętrzny, moralny, psychiczny. Jeżeli porównamy samopoczucie, energję i zapał społeczeństwa w roku 1918 — 25 i obecnie, różnica stanie przed nami z całą straszliwą jaskrawością. Niewątpliwie i przed rokiem 1926 społeczeństwo rozwijało się nie po linji idealnej, były i wówczas załamania i błędy, jednakże nie dadzą się one w żadnym razie porównać z obecnym marazmem i upadkiem ducha, z pesymizmem, który ogarnął olbrzymią większość narodu, oprócz tylko tych, którzy uważają się za władców i opiekunów narodu. I nie można tego osłabienia energji narodowej kłaść wyłącznie na karb kryzysu gospodarczego, bowiem i w r. 1923—24 przeżyło społeczeństwo ciężki kryzys najpierw finansowy, a potem gospodarczy, a jednak potrafiło wyjść z niego o własnych siłach; zdrowy organizm oparł się sam chorobie bez żadnych narkotyków i ryzykownych operacji.

Jesteśmy świadkami niebywałego w dziejach Polski eksperymentu zastąpienia autorytetu moralnego—jedynie i wyłącznie autorytetem siły fizycznej, wartości moralnych — wartościami czysto materjalnymi. Chwila odzyskania niepodległości była dla obecnego pokolenia niezapomnianą wiosną ludów: przed oczyma naszemi padały w gruzy mocarstwa rozbójnicze, te, które trzymały tak długo naród polski pod zbrojną okupacją, których rządy w Polsce legitymowały się jedynie armatami, więzieniem i knutem, a naród nasz wraz z innymi narodami słowiańskimi odzyskiwał swobodę ruchów i przystępował do wielkiej i twórczej pracy nad rozbudową swoich instytucji życia publicznego. Nie ulega wątpliwości, że przy tej gorączkowej rozbudowie popełnialiśmy błędy, czem one jednak były wobec faktu, że naród wolny i niepodległy pracował swobodnie nad swoją własną przyszłością z zapałem i energją. To był właściwie okres twórczości radosnej — nie w cudzysłowie...

Obecnie nadszedł okres twórczości ponurej. Jeżeli przypatrujemy się naszemu życiu politycznemu w chwili obecnej, to uderzy nas przedewszystkiem ogromny wzrost zbrodni i występków na tle politycznym, a następnie zupełna prawie ich bezkarność. Oczywiście rezultatem tego musi być wzrost

animozji społecznych, politycznych, partyjnych i całkowite zachwianie zaufania we wszystkich dziedzinach życia zbiorowego. Społeczeństwo jest terenem zaciętej walki, w której po jednej stronie jest siła fizyczna, po drugiej zaś poczucie obrażonej godności narodowej i podeptanych praw społeczeństwa. Zaciętość doszła już do tego stopnia, że minister oświaty nie waha się oświadczyć w parlamencie, że walka ta, która jest „klątwą naszej rzeczywistości" i „jej refleksy muszą docierać nawet do szkoły". Wiemy kto do szkoły wprowadza refleksy tej walki...

Wiemy dobrze kto tę walkę narzucił społeczeństwu polskiemu i jakimi walczy środkami. Nie możemy tylko dotychczas dostrzec racjonalnego jej celu. Naszem zdaniem walka ta absolutnie nie jest wywołana żadną racjonalną potrzebą, żadną koniecznością naszego życia zbiorowego, żadną istotną i rzetelną racją stanu, jednym słowem żadną pozytywną przyczyną moralną, polityczną, czy gospodarczą. Dlatego też skutki jej mogą być tylko fatalne i są już fatalne w postaci zwiększenia się animozji i nienawiści wewnętrznych, ogólnego upadku zaufania i poczucia dobrej woli w stosunkach wewnętrzno-społecznych oraz ogólnego zmniejszenia energji twórczej społeczeństwa i zapału do pracy zbiorowej. Objawy te odbijają się na całokształcie naszych stosunków, a stąd i na życiu gospodarczym, pogłębiając wydatnie istniejący już kryzys.

Fala występków, krzywd i nienawiści rośnie i wzbiera, jak potężny wylew rzeki, zalewający pola uprawne i warsztaty pracy. Oczywiście w tych warunkach umoralniająca i uspakająca wzburzone namiętności praca Kościoła i Akcji katolickiej musi też natrafiać na przeszkody, tembardziej, że wielu działaczy i przywódców panującego systemu wypowiada się za wprowadzeniem ustaw i zarządzeń sprzecznych z zasadami katolickimi, lub też, jak to miało miejsce niedawno w parlamencie, stawia Kościołowi i duchowieństwu dziwne i wprost naiwne żądania, bądź to zupełnego odsunięcia się duchowieństwa od życia zbiorowego, tak, jakby duchowieństwo pozbawione być miało praw obywatelskich, bądź też — poparcia obecnego systemu, tak jakby Kościół mógł wziąć na siebie odpowiedzialność za wszystkie popełnione błędy i przestępstwa!

W tych ciężkich i trudnych warunkach jedno tylko nam pozostaje: zaapelować do tych wielkich, twórczych sił moralnych, które drzemią w organiźmie zbiorowym naszego narodu. Każdy system ludzki prędzej, czy później musi się skończyć, czasami zakończenie następuje wśród tragicznych okoliczności, przejście bowiem od jednego systemu do drugiego jest bardzo trudne. Chodzi o to, aby społeczeństwo było przygotowane na te drudności i umiało w odpowiednim momencie im skutecznie przeciwdziałać. Dlatego ogromny nacisk musi być położony na zorganizowanie społeczeństwa katolickiego, aby było gotowe wówczas, gdy na zegarze dziejowym wybije decydująca godzina, iżby żywioły radykalne i komunistyczne nie zrobiły w Polsce tego, co stało się niedawno w Hiszpanji.

Rozpamiętując więc radosną rocznicę Zmartwychwstania Pańskiego — módlmy się do Boga, aby wyzwolił nas z mocy obecnego... kryzysu... i wzbudźmy w sobie szlachetną ambicję niedopuszczenia naszą własną siłą i energją oraz systematyczną pracą organizacyjną do upadku w Polsce tych wartości moralnych, na których opiera się byt każdego społeczeństwa. Musimy pokonać istniejący wśród nas marazm i zanik poczucia obowiązków społecznych. Obowiązkiem inteligencji katolickiej jest nietylko zorganizować się samej, lecz także zorganizować masy pod sztandarem Chrystusa i Narodu, sprawiedliwości społecznej i praworządności. Zbyt wielka stawka wchodzi w grę, abyśmy mieli dłużej się namyślać i trwać w bezczynności, lub w apatji...

St. K-ski.

Na marginesie listu pasterskiego ks. Prymasa Hlonda.

W środę popielcową r. b. J. Em. ks. Kardynał Prymas Hlond wydał list pasterski, którego zasadnicza myśl oraz poszczególne ujęcia i wyrażane w nim poglądy są bardzo charakterystyczne dla dzisiejszych stosunków. Listem tym zajmiemy się bliżej, tembardziej, że naszem zdaniem za mało został on spopularyzowany i omówiony w prasie katolickiej.

Jako wielkopostne, pokutne rozważania stawia Ksiądz Prymas przed oczyma wiernych fakt, że Kościół Chrystusowy jest w czasach dzisiejszych nienawistnie i zacięcie zwalczany przez bezbożników wszystkich krajów, którzy „chcieliby na szczytach pychy człowieczej urządzić nową Golgotę, wystawić tam na szyderstwa Chrystusa żyjącego w tym Kościele, a potem skończyć na zawsze z Nim, z Jego Imieniem, z Jego Ewangelją, z Jego wpływem na życie ludów i na ducha dziejów".

List analizuje w sposób głęboki i wnikliwy zjawisko, które możnaby nazwać kryzysem współczesnej cywilizacji, przypominając, że „hasła, odmawiające Bogu prawa do ludzkości", które stały na progu czasów nowożytnych—z lekkomyślnym optymizmem zapowiadały ludzkości wspaniałą przyszłość. Tymczasem w zamian za to doszliśmy do ogólnej niemocy, przesilenia i kryzysu, do pogmatwania się stosunków, rysowania i kruszenia się ustrojów. Jest to więc faktyczne bankructwo zgubnych haseł bezbożnictwa, zarówno w dziedzinie etycznej, jak i w socjologji, filozofji państwowej, w życiu prywatnym, publicznym i międzynarodowym. Wrogowie Chrystusa nie dali jednak wcale za wygranę, lecz przeciwnie pragną wykorzystać ogólny kryzys i grozę katastrofy, brzask nowej epoki „witają, jako godzinę swoją, jako godzinę zamieszania i wzburzenia ludów, godzinę walk i mordów, głodu, rozpaczy. W tę godzinę chcą rozwinąć nad światem czarną chorągiew szatana".

W słowach bardzo mocnych charakteryzuje Ksiądz Prymas nasze polskie, rodzime bezbożnictwo:

„Nie przebrzmiało jeszcze w świecie zmartwychwzbudzające tchnienie: Polsko, „wynijdź z grobu"[1]), *a już odbywa się w łonie wskrzeszonej ojczyzny śmierciorodne zatruwanie pierwiastków życia i walka z jego stwórczym początkiem: Chrystusem. Ledwie nas Opatrznosć postawiła z powrotem na straży kultury i wiary, niby bramę warowną na rozgraniczeniu światów, a już klucze tej bramy wydajemy w ręce Kremlu i zachodniej loży. Dopiero zaczęliśmy rozumieć swoje nowe posłannictwo narodowe, a już stajemy się widowiskiem walki z własną przyszłości i z prawdą duszy polskiej, z twórczemi pierwiastkami postępu i z podstawami własnego rozwoju.*

---

[1]) Jan 11, 43.

Mówią, że to powiew Europy a w rzeczywistości wieje tu woń przykra moralnego rozkładu tej Europy, która „już cuchnie"[2]*), wieje trupi zaduch bolszewickiego wschodu.*

Jakżeż Polsce nie do twarzy ta wolterjańska mina bezbożnicza! Z wszystkich brzydactw, któremi fałszowano naszą psychologję, to jest najwstrętniejsze. Dusza polska, z gruntu religijna, łagodna „z samego przyrodzenia chrześcijańska"[3]*), nie jest zdolna do bluźnierstwa, a kto ją do bluźnierstwa wykrzywia, dopuszcza się potwornej perwersji. Bezbożnictwo to nietylko nieznany w tradycjach polskich grzech przeciw Bogu, ale obraza Polski, jej duszy, jej imienia chrześcijańskiego i całej jej przeszłości.*

Na szczęście nie masowy to ruch. Ale chociaż nie „wielu ich chodzi"[4]*), znaczą się jednak w kraju ich wpływy. Jeszcze się w pewnej mierze ukrywają i ukrywają swe istotne zamiary, ale poczynają sobie coraz śmielej i coraz mniej się krępują. Już i w samo południe kąkol w pszenicę sieją. Coraz mniej pseudonimów w ich pismach. Już się przyłączyli do międzynarodowych organizacyj bezbożniczych i weszli w ich zarządy Na kongresach światowych uchwalają z wolnomyślicielami całego świata bezwzględną walkę z wiarą, wzmożenie propagandy antyreligijnej i organizowanie masowych wystąpień z Kościoła. W kraju przeprowadzają te uchwały. Ustawicznemi zamachami na sumienie stępiają zmysł etyczny narodu. Pogłębiają kryzys moralny i deprawują duszę polską przez oswajanie opinji publicznej z wszelką nieobyczajnością. Laicyzują całe życie. Uderzają w katolicyzm a popierają sekty. Niema się co łudzić: celem ich dążeń jest polski bolszewizm".*

Najciekawsza niewątpliwie jest ta część listu, która zajmuje się zadaniami katolicyzmu w dobie bieżącej.

Dostojny Autor uważał za stosowne zająć się najpierw negatywnym ujęciem przedmiotu i podkreślił to, co do zadań Kościoła właśnie nie należy. I tu znajdujemy ciekawe omówienie stosunku Kościoła do t. zw. postępu:

„Mylne jest zapatrywanie—czytamy—jakoby zadaniem Kościoła było cofać dzisiejszą chwilę do minionych form, do wczo-

---

[2]) Jan 11, 39.
[3]) Tert Apologeticus, c. 17.
[4]) Fil. 3, 18.

rajszych nastrojów, do rozmarzonego romantyzmu, do baroku, do bujnego średniowiecza. Nie jest bowiem rzeczą Kościoła powstrzymywać pochodu ludzkości. Nie o to dbać powinien, aby epoki świata były do siebie podobne pod względem układu stosunków społecznych i państwowych, lecz o to, aby każda epoka żyła duchem Chrystusowym. Nie poręcza Kościół ustrojów publicznych, nie przywraca przeszłych form życiowych, nie tworzy nowych. Powołaniem jego jest podawać wszystkim czasom zasady przyrodzonego i objawionego prawa bożego, na którem wspierać się powinna struktura społeczeństw".

Gdy czytamy te słowa, przychodzi nam na myśl, że choćby nawet w niektórych wypadkach Kościół bronił pewnych form życia świeckiego—to w każdym razie obrona ta nie może dotyczyć form dzisiejszych, przesiąkniętych duchem materjalizmu i bezbożnego liberalizmu. Stajemy więc na gruncie postępu pod tym jednak warunkiem, że będzie on zgodny z zasadami katolickiemi i przybierać będzie formy rozsądne i pożyteczne.

Dalej czytamy w liście, „że Kościół „jest stróżem narodów, ale w dziedzinie sumienia. Jest wodzem, ale wodzem duchowym, kształtującym stosunek między postępem doczesnym, a nadprzyrodzoną kulturą duszy..." „Nie bierze Kościół udziału w technicznej przebudowie społeczeństw, w przeobrażeniach politycznych, w walkach o władzę... Jedyny spór i to spór wielki odwieczny, jaki prowadzi, to spór o Boga". Lecz z drugiej strony, wychowując ludzkość w zasadach Chrystusowych, wywiera tym samym zasadniczy wpływ na jej rozwój i przeobrażenia dokonywujące się w jej łonie. Zmiany bowiem techniczne, zewnętrzne, są zawsze wyrazem pewnych przeobrażeń głębszych, wewnętrznych.

Autor przechodzi następnie do zagadnienia metod pracy i potępia pogląd, jakoby Kościół powinien w czasach dzisiejszych jaknajmniej się narażać i w tym celu ograniczać swoją działalność do spraw najistotniejszych, lub do obrony tylko posiadanych w ręku pozycji, „a zresztą jaknajdalej uciekać od złości obecnych czasów..." zamienić się w obóz warowny „ogrodzony zasiekami od świata, a tem jedynie zajęty, by napady odpierać i tak poprzez burzliwe czasy ocaleć". Jednym słowem spotykamy się z potępieniem niezmiernie rozpowszechnionej i popu-

larnej wśród katolików w Polsce metody — ograniczania się do defenzywy wyłącznie.

List pasterski propaguje metody inne, ujęte, w pięknych słowach, które podajemy w całości:

„Kościół nie jest cieplarnianą roślinką, lecz drzewem, które Bóg „zasiał na roli swojej", by się rozrosło na świat cały. „Na jego gałązkach mieszkają ptaki niebieskie", ale i wichry szarpią jego konary. Katolicyzm był zamknięty na modlitwie w wieczerniku tylko do zesłania Ducha Świętego a potem wyszedł zeń na zawsze i stał się wiekuistem apostolstwem, które dla pozyskania „ludu niewiernego i sprzeciwiającego się") wychodzi z Chrystusem „poza obóz, niosąc urąganie Jego").

Za wiele jest w pewnych kołach katolickich nastawienia na obronę a za mało zrozumienia zdobywczych zadań Kościoła. Skoro wywrót i bezbożnictwo coraz śmielej uderzają w chrześcijaństwo, musi być i obrona, i to obrona zwarta, dostojna, mocna w dowodach, któremi walczy, potężna pierwotnym duchem ewangelicznym. Ale obrona to nie wszystko. Nie wystarcza zasłaniać się i ciosy odbijać. Kościół ma odnieść „zwycięstwo, które zwycięża świat", a to zwycięstwo osiągnie tylko walną ofensywą na całym froncie katolickim.

Naczelnym nakazem dzisiejszej chwili jest uruchomienie powszechnej ofensywy katolickiej...

Budzi się w katolicyźmie zapał ofensywy, ale go jeszcze mało. Zesztywnieliśmy w twardej defensywie ostatniego półtorawiecza. Przyzwyczailiśmy się do nietwórczej służby w okopach, przyczem i duch nieco przygasł, osłabła inicjatywa, ścieśniły się widnokręgi. Trzeba nam przeszkolenia własnych sił. Trzeba pod niejednym względem zmienić pogląd na cele i na sposoby pracy, a przedewszystkiem duch stężeć powinien. W łonie katolicyzmu przeprowadzić należy krucjatę życia wewnętrznego. Tu czeka nas najważniejsza praca, którą przeprowadzić trzeba bez zwłoki i miękkości, ale i bez drażliwości i niepokoju".

W dalszych Swoich wywodach, pełnych zapału i wiary w zwycięstwo odwiecznej prawdy, podkreśla Ksiądz Prymas, „że pod tchnieniem Ducha św. katolicyzm wkroczył w okres wewnętrznego odrodzenia". W całym działaniu Kościoła „znać

walkę ze stagnacją, rutyną, z półświadomością religijną, z wszystkiem tem co było powodem przygłuszenia, zastoju i nieczynu". „W porę powierzyła Opatrzność rządy Kościoła Papieżowi, który od lat 10 mobilizuje katolicyzm i wydobywa we wszystkich dziedzinach życia kościelnego nowe energje i wartości". Płomiennym zapałem porwany woła Ksiądz Prymas, że w obecnych czasach zniknąć winna wszelka słabość, płytkość i jałowość, gdyż zbliża się okres bohaterów i męczenników.

Wspaniałe to orędzie kończy się wezwaniem do duchowieństwa i katolików świeckich. — Do księży, aby wznosili się „na coraz wyższe szczeble wewnętrznego wyrobienia kapłańskiego" i doskonalili ustawicznie swoje metody pracy, pamiętając o realizowaniu zasad w życiu praktycznem. Do świeckich, aby nie ustawali w dążeniu do „zupełności Chrystusowej" i rozpoczynając oczywiście od wyrobienia wewnętrznego, rozszerzali następnie swoją akcję na coraz szersze dziedziny. W pracy winni wziąć udział wszyscy: i bractwa i sodalicje i Akcja katolicka, jako hufiec linjowy, oraz pomocnicze organizacje katolickie, „politycy, senatorowie posłowie, profesorowie, nauczyciele, pisarze, literaci, rolnicy, robotnicy, wszystkie zawody".

Oto są najważniejsze myśli zawarte w liście pasterskim Ks. Kardynała Hlonda. List ten jest jednym z najbardziej ciekawych i charakterystycznych enuncjacji Episkopatu polskiego w czasach dzisiejszych ze względu na wiele ważnych myśli i poglądów, dotyczących metody akcji katolickiej i zadań Kościoła wobec przeobrażeń i zmian doby obecnej. *s. k.*

Szczęście rodzinne a dzisiejsze projekty reformy prawa małżeńskiego.

Polskie społeczeństwo katolickie od kilku lat alarmowane jest wieściami, że Komisja kodyfikacyjna R. P. zamierza przeprowadzić na wzór stosunków w niektórych państwach zachodnio i wschodnio-europejskich reformę prawa małżeńskiego w Polsce. Cała ta sprawa, otoczona do ostatnich czasów mgłą tajemnicy, ujrzała wreszcie światło dzienne i wywołała — co jest rzeczą zrozumiałą — wzburzenie polskiej opinji katolickiej. Dnia 25 października, w dzień święta Chrystusa-Króla, gdy modliliśmy się o pomyślność i zdrowie moralne narodu, prof. Ka-

rol Lutostański, referent podkomisji prawa małżeńskiego, przedstawił w gmachu Sądu Najwyższego projekt reformy małżeństwa, a w tymże dniu w drugim krańcu Warszawy w dzielnicy robotniczej otwarto poradnię zapobiegania przyrostowi ludności. — Samo zestawienie tych faktów już wykazuje, że chodziło o urągowisko Temu, który rzekł: „Co Bóg złączył, niechaj człowiek nie rozłącza" i „Rośnijcie i mnóżcie się!" — Tym razem taran zeświecczenia uderzyć ma w ostoję społeczeństwa, w najmniejszą, naturalną jego komórkę — rodzinę, i podważyć jej dotychczasową spoistość. Projektodawcy w imię szczęścia jednostek i rzekomego uzdrowienia stosunków rodzinnych opracowali nowe podstawy zawierania i rozwiązywania małżeństw, wierząc, że tą drogą usuną jedną z największych bolączek, jakiemi jest dla wielu ludzi nietrafnie dobrane małżeństwo. Twierdzą, że małżeństwo, jako instytucja, utworzona za zgodą dwojga ludzi, za ich też wolą może być rozwiązywana, a wskutek jej przyrodzonego świeckiego charakteru powinna podlegać tylko sankcjom państwowym. Przeciwne stanowisko zajmuje od początku Kościół Katolicki, który twierdzi, że małżeństwo zostało ustanowione przez Boga; nie przecząc jednak, że wybitną rolę w tworzeniu małżeństwa ma udział akt zgody obu stron, zawierających małżeństwo, Kościół wyraźnie podkreśla, że „małżeństwo nie zostało ustanowione ani odrodzone przez ludzi, lecz przez Boga, Twórcę samego stworzenia; i tegoż stworzenia Odnowiciela, Jezusa Chrystusa prawami zostało obwarowane". Zdaniem tedy Kościoła całkowite zagarnięcie przez państwo dziedziny zawieraniai rozwiązywania małżeństw jest przywłaszczeniem praw należnych Kościołowi.

Kościół staje tutaj na straży szczęścia rodziny, moralności i zapewnienia dzieciom wychowania; głosi, że małżeństwo tylko na podstawach katolickich oparte, daje pewne gwarancje szczęścia

Rodzina jest to ojciec, opiekun, siła, rozum i praca; jest to matka — serce, gospodarność, hart ducha i ofiarność; jest to wreszcie dziecko — nadzieja, przyszły obywatel i podpora rodziców w starości. Rodzina jest pierwszą szkołą, w której przyszły człowiek uczy się pierwszych słów, w której rodzice dają dziecku wiadomości o Bogu i zaprawiają do przyszłego życia. Jest to skarbnica, z której czerpie się przez całe życie bezcenne klejnoty i oddycha swobodnie po trudach walki o byt.

Ogniskiem, koło którego skupia się życie rodziny, jest matka, anioł pokoju i dobroci, który spieszy tam, gdzie trzeba jej pośrednictwa i pomocy; koi cierpienie, choćby się sama na nie narazić miała; dźwiga często nadludzkie ciężary, by ulżyć barkom męża i dzieci. Ojciec — zaś to filar, na którym opiera się rodzina; on daje jej środki utrzymania, toruje jej drogę w życiu i wespół z matką pracuje nad pogłębieniem charakteru dzieci. Słusznie święty Bonawentura powiada: „Pobożna matka — to jedna dusza zbawiona, ale pobożny ojciec — to cała rodzina zbawiona".

Ile szczęścia daje rodzina, oparta na rozumnie pojętych zasadach chrześcijańskich, ten tylko pojmie, kto ją posiadał. — Patrzmy: Oto dwoje młodych ludzi, poznawszy się i pokochawszy ślubuje sobie wierność i wytrwanie na dobrą i złą dolę. — Jakież wzruszenie głębokie i uroczyste zdejmuje młodzieńca, gdy wziąwszy drżącą rękę narzeczonej, ślubuje jej wobec kapłana wierność i miłość dozgonną, tej jednej, wybranej z tylu miljonów innych, ona zaś czyni mu ślubowanie, że strzec będzie tego domowego zniczu, który w dniu ślubu wspólnie zapalili, i że stanie się jasnym promieniem, umilającym wspólną pielgrzymkę.

Cnota małżonków, oparcie pożycia na głębokich zasadach chrześcijańskich, to najpoważniejszy, warunek ich szczęścia. Gdy cnotliwi ludzie się dobrali, gdy w pożyciu wspólnem kierują się nietylko miłością przyrodzoną, ale na czele swych wszelkich poczynań stawiają prawo Boże, szczęście ich jest pewne. Jedność celów i poglądów, wspolna służba Bogu, który jest jakby pierwszym gospodarzem w domu, to niezawodna podstawa trwałości ich szczęścia.

Ileż głębokich, a przedtem nieznanych wzruszeń niesie wspólne pożycie, ileż drgnień serca tajemnych, gdy małżonka, skłaniając ze wzruszeniem głowę na ramię męża, szepce, że stała się matką jego dziecięcia. Opatrzność w jej łonie zbudowała dziecku kołyskę, w której poczyna się jego żywot, by dojść do rozkwitu. Matka, czując jego drgnienia, wita je najsłodszemi słowy i snuje radosne obrazy jego rozwoju na ziemi. — Oto ku schylonej nad kolebką wyciąga dziecię wątłe rączyny, a jej rozpromienione oblicze tchnie wdzięcznością ku Stwórcy, że dał jej zaznać tak tkliwych wzruszeń matczynego serca. Jej uś-

miech, wywołuje uśmiech dzieciny. — Dzień chrztu dziecka! — toć to dzień radości, że nowy obywatel przybył do Królestwa Bożego, że ta więź łączyć ich będzie tem silniej, a przez czystość swej niewinnej duszyczki wyjedna swym rodzicom zdroje Łask i pomoc skuteczną do wypełnienia uciążliwych nieraz obowiązków rodzicielskich.

Spoistość chrześcijańskiej rodziny zacieśnia się coraz bardziej z biegiem lat, gdy troski przeorzą brózdami czoła małżonków, gdy dzieci — wspólne ich ukochanie i źródło nieustannych obaw o zdrowie duszy i ciała, dojdą do lat młodzieńczych i przypominają młode orlęta, gotowe do odlotu. — Wspólne zaufanie, wzajemna wymiana myśli łączy starsze i młodsze pokolenie nierozerwalnem ogniwem. — Wieczorem, po całodziennych zajęciach zbiera się rodzina przy stole, lampa przyćmiona skupia ich w swoim kręgu; snują złote marzenia przyszłości; smutne i radosne wspomnienia poruszają ich serca i skuwają nierozerwalnym łańcuchem, przeżycia zaś dnia odczuwają wszyscy; i tak dusza do duszy zagląda coraz bliżej, coraz serdeczniej, coraz głębiej. Zdala od gwaru i uciech szczęśliwi się czują w swem kółku. — Radosne i zdrowe kółko rodzinne, wzajemna wymiana uczuć i myśli — to kamienie węgielne wierności małżeńskiej i miłości dzieci do rodziców. — Uśmiech i radość — jak słusznie podkreśla pedagogja — to pierwszorzędny czynnik wychowawczy. — Szczęście w domu, to nietylko ludzie, ale nawet i sprzęty domowe, ustawione gustownie, to czystość izby, pamiątki rodzinne, schludny strój domowników, kwiaty na stole— i śpiew żony lub córki słowem to wszystko, co sprzyja miłemu wyglądowi mieszkania i potęguje dodatnie wrażenia domowników. — Człowiek jest stworzony dla szczęścia, dla wesela, całą swą duszą rwie się do niego, jak kwiat ku promieniom słonecznym; jeśli je znajdzie w rodzinnym domu, rozkosze świata stracą dlań wszelkie powaby.

Niezawsze jednak zdajemy sobie należycie sprawę z wszystkich wartości, jakie posiada nasze życie rodzinne. — „Przebywając w niem od lat najmłodszych i nie mając możności porównania z innemi ogniskami — powiada C P. Z. w dziełku „Na progu małżeństwa” — nie oceniamy tego, co nam bez wysiłku przychodzi, podobnie, jak nie oceniamy świetlistych i ciepłych promieni słońca, powietrza, którem się oddycha, zdrowia,

które się posiada. Wartość rodziny odczuwa tylko ten, kto długo w niej nie przebywał lub ją utracił, zwłaszcza niespodziewanie. Jakże droga jest wówczas rodzina, której już nie posiadamy, a której wszystko mamy do zawdzięczenia"!

Twierdzicie, wy, sceptycy, że małżeństwo, to grób miłości; wątpicie, czy może być szczęście w rodzinie! Jeśli chcecie poznać prawdę, idźcie do tych małżeństw, gdzie prawo Boże jest w poszanowaniu. Jeśli chcecie dać szczęście skłóconym małżonkom, nie wprowadzajcie do rodzin zatęchłych wyziewów pogańskiego ustawodawstwa, lecz raczej dołóżcie starań, by pożycie w rodzinach oparło się na prawie Bożem. Wtedy zrozumiecie, co to jest szczęście małżonków.

Małżeństwo jednak, o ile nie jest oparte na głębokich podstawach chrześcijańskich i czynnem praktykowaniu cnót, ulega często katastrofie rozbicia. Ludzie niekiedy zapominają o tem, że szczęście nie jest zdobyczą jednorazową, jak brylant, kupiony u jubilera i stanowiący trwałą własność, ale że jest raczej krainą, przez którą się podróżuje, w której można napotkać urocze widoki, lecz i ostre kamienie na drodze, zwycięzcą jest ten, kto potrafi ominąć je bez szkody.—Zanik życia religijnego, zamiłowania do pracy, łapczywość na rozkosze i ponęty świata, a co za tem idzie zanik ducha rodzinnego—to najogólniej biorąc główne źródła, zabierające szczęście rodzinne. Czyż może być ono tam, gdzie mąż np. używając w nadmiarze alkoholu, mąci bezustannie spokój domowego ogniska, lub przez brak panowania nad sobą czy niechlujność osobistą zraża do siebie coraz bardziej małżonkę? Na szczęście mamy dziś wiele takich małżeństw, które mimo trudności pożycia trwają na stanowisku, jak żołnierz na wyznaczonym posterunku, pamiętając o tem, że szczęście nie jest wyłącznym celem małżeństwa, ale jest nim wypełnienienie powziętego dobrowolnie obowiązku; szczęście może być albo nie być, ale obowiązki spełnione być muszą.

Są jednak dwa poglądy na małżeństwo: przed chwilą przedstawiony — chrześcijański, który obowiązek wyżej stawia ponad egoistyczne szczęście jednostki — i materjalistyczny, który cel zakłada wyłącznie w tem życiu i szuka nie wypełnienia obowiązku, lecz wyłącznie szczęścia i rozkoszy; a jeśli jej nie znajduje, ucieka się do wszelkich środków, byle je znaleść. Kto

twierdzi, że małżeństwo, to tylko miłość erotyczna, ten niech nie wstępuje w związki małżeńskie, bo ta miłość nie zależy od naszej woli, ale od zjawisk przejściowych: rysów twarzy, głosu, itd. Miłość zaś małżeńska — to skupienie wszystkich czynników współżycia.

Tym właśnie poglądem pogańskim kierowali się autorzy nowego prawa małżeńskiego, projektując swoją reformę. Twierdzą oni, że z chwilą, kiedy zanika miłość erotyczna, zanika i stadło małżeńskie, a przeto należy wówczas pozwolić stronom na rozejście się, by szukały świeżego zaspokojenia swych cielesnych porywów. — Głoszą więc dalej, że małżeństwa z jakichkolwiek powodów niezadowolone z siebie, mogą wziąć rozwód, choćby w kościele były zawarte, i wstąpić w nowe związki.

Wstępować w związki małżeńskie, rozwodzić się można dowolną ilość razy. — O ile małżonkowie skończyli 25 lat, a nie mają dzieci, mogą zawierać małżeństwa koleżeńskie na 3 lata, a potem z kim innym na nowe 3 lata itd. — Różnica w tym wypadku między ustawą bolszewicką i polską jest taka, że polska ustala termin 3 letni, bolszewicka zaś nie oznacza terminu, duch wszakże jest jeden i ten sam. Wiadomo więc, że nie chodzi tu o obronę tych „jęczących w kajdanach małżeństwa", ale o coś zupełnie innego. Ślub w kościele nie posiada ochrony państwa, zawierać małżeństwo można w gminie wobec urzędnika i t. d.

Zwolennicy kontraktów małżeńskich, niesłusznie zwanych ślubami cywilnemi, bo ślub może być tylko kościelny, twierdzą, że rozwody podnoszą moralność w rodzinie i zapewnią ludziom szczęście bo małżonkowie nie będą zmuszeni do zmiany wyznania, lub cudzołóstwa. Podobnie rozumując, powinnibyśmy powiedzieć: ponieważ są ludzie niezadowoleni z tego, że istnieje własność prywatna i pożądając cudzej własności, kradną, przeto chcąc, by uniknęli tej przykrości braku posiadania pewnych przedmiotów, i chcąc prócz tego usunąć kradzież, trzeba znieść te prawa, które chronią cudzą własność, tak, jak się znosi prawa, chroniące nierozerwalność małżeństwa. Każdy jednak powie, że istnieją złodzieje nie dlatego, że stworzono takie prawa, lecz dlatego, że istnieje zła wola ludzka. — Nieporozumienia małżeńskie nie dlatego też powstają, że małżeństwa są nierozerwalne, lecz dlatego, że nie potrafią panować nad sobą

i ulegają swym zmysłom. Zmysły, karmione coraz nowemi podnietami, nietylko nie zdołaią się nasycić, ale przeciwnie żądają coraz nowszych podniet.

Starsze pokolenie, jako wychowujące młodzież, ma na nią wpływ; rodzicom zaś zawsze, normalnie biorąc, zależy na karnem wychowaniu młodzieży, choćby dlatego, że inaczej bicz kręcą na siebie samych, wyjątkowo zaś zdarzają się tacy rodzice, którym wszystko jedno, jakie będą ich dzieci. Otóż jakże w młodzież wpoi się przekonanie, iż trzeba dochowywać powziętych zobowiązań, jeśli od dzieciństwa raz w raz będzie spostrzegać, że starsi w sprawie najważniejszej, bo decydującej o losie dzieci, zrywać mogą związki małżeńskie w najuroczystszych okolicznościach zawarte, jedynie dla zadowolenia osobistego? Drugi małżonek lub małżonka nie zastąpi rodzonej matki lub ojca, dlatego dziecko tu zawsze najdotkliwiej ucierpi. Chyba dla ironji przy rozwodach będzie można mówić o szczęściu rodzinnem.

Nie zapominajmy i o tem, że we wszystkich państwach, w których wprowadzono rozwody, liczba urodzin, i naturalny przyrost ludności coraz szybciej z roku na rok się zmniejszał, niewątpliwie to samo zjawisko nastąpiłoby i w Polsce, zresztą projektodawcy i zwolennicy rozwodów, jak np. literat Boy Żeleński, wyraźnie zaznacza, że chodzi tu o zmniejszenie „króliczej plenności Polek”, przy jego też współudziale założono poradnię zapobiegania rozrostowi ludności.

Co stanie się z Polską za lat kilkanaście, o ile rozwody zostaną wprowadzone, a tego rodzaju instytucje będą działać, gdy Niemcy które posiadają przeszło 2 razy tyle ludności, co my, napadną na nasze granice, by odebrać nam Śląsk i Pomorze, na które otwarcie czyhają? Przecież gazety niemieckie piszą, że za lat kilkanaście, o ile Polska nie wprowadzi rozwodów, liczba ludności obu sąsiednich narodów zrówna się, a wtedy ustać musi parcie niemczyzny na wschód. Kto tedy popiera rozwody, ten sprzyja tem samem dążnościom zaborczym Niemiec.—Od wschodu znów mamy bolszewików, którzy mają 5 razy tyle ludności, co my. Czy Polska wyludniona wstrzymałaby taką nawałę? Zrobiliśmy to raz, bo Bóg błogosławił, ale wątpić można, czy pobłogosławi narodowi, który gwałci Jego prawa. Czyż chcemy, by bolszewik postrącał nam krzyże z kościołów, a ze świą-

tyń naszych poczynił domy rozpusty, jak to zrobił u siebie? Odepchnęliśmy dzicz bolszewicką w 1920 r., a dziś, jakby tego żałując, jej dzikie zasady zaszczepiamy u siebie. Widocznie walczyliśmy z ludźmi, ale uznajemy ich przewrotne zasady.

Na wprowadzeniu rozwodów najwięcej ucierpiałaby kobieta, która w małżeństwie ponosi skutki miłości. Wiadomo, że przez rodzenie dzieci i funkcje macierzyńskie kobieta prędzej się zużywa, niż mężczyzna, który dłużej zachowuje tężyznę życiową. — Kobieta, wychodząc za mąż, musi mieć ufność i pewność, że małżonek nie zerwie węzła małżeńskiego. Jeśli teraz ten węzeł się zrywa, to cóż będzie, jeśli rozrywający małżeństwo jeszcze będzie miał prawo za sobą. — Po 3, 5 czy 10 latach zawsze znajdzie się jakiś powód, by rzucić małżonkę, jeśli się sprzykrzy; usłużni a nieuczciwi prawnicy zawsze na to znajdą sposoby. Taka nieufność będzie mikrobem, który o śmierć przyprawi szczęście pożycia małżeńskiego.

Czy moglibyśmy bez obawy oddać swą ukochaną, może jedyną córkę w ręce obcego człowieka, jakim jest zięć, wiedząc, że wtedy, gdy straci posag naszej córki, gdy obarczy ją dziećmi, będzie miał prawo ją rzucić, kiedy pozna inną, która na jego zmysły oddziała? I gdyby nawet zabezpieczył przyszłość swej dawnej rodzinie, to jednak nie będzie to normalna i szczęśliwa rodzina bez ojca, męża i opiekuna. Wychowanie bowiem dzieci wymaga ciągłości i systematyczności; nie wystarczy powiedzieć dziecku, jak ma postępować, ale trzeba czuwać i wdrażać je do dobrego; mogą to uczynić tylko rodzice, a nie osoby postronne, chyba tylko w wyjątkowych wypadkach. I nie jest wykluczone, że córka nasza wraz z naszemi wnukami pójdzie na poniewierkę między ludzi, a nowa „żona", idąc ulicą może jej z szyderczym uśmiechem jałmużnę włoży do ręki. Wy zaś może zejdziecie wtedy ze świata i nie będziecie mogli ująć się za swem dzieckiem. Czyż niemożliwe są takie wypadki w kulturalnym narodzie?

W interesie więc naszym leży niedopuszczenie do rozwodów, czyli zachowanie nierozerwalności małżeństwa. Rozwody nietylko nie obdarzą szczęściem, ale spowodują morze łez i przekleństw. Zwolennicy rozwodów wybierają większe zło, by uniknąć mniejszego. Wprowadzenie rozwodów byłoby zarzewiem nieustannych niepokojów i podejrzeń, źródłem najokrop-

niejszych cierpień, źródłem nadużyć dla tych, którzy chcą rozwodu.

Twierdzą niektórzy, że trzeba wprowadzić rozwody, by ludzie nie wyrzekali się wiary. Cóż jednak wart katolik, który podeptał prawo Boże, by wiarę zachować; zachowanie wiary przez podeptanie jej zasad jest obrazą Boga; osoba, uważająca się za katolika, którąby zerwała małżeństwo, by pójść za inną osobą, jest martwym członkiem Kościoła i gniew Boży nad nią ciąży.

O ile więc ktoś nie czuje się szczęśliwym w małżeństwie ważnie zawartem, a upoważniają go słuszne powody do rozejścia się, jedno ma tylko wyjście może zwrócić się do władz kościelnych z prośbą o udzielenie katolickiej separacji, nie ma zaś prawa wchodzić w nowe związki małżeńskie, dopóki druga strona żyje.

Kościół nie może się zgodzić na wprowadzenie t. zw. ślubów cywilnych i rozwodów, bo zaprzeczyłby swej misji, jaką ma do spełnienia i tem samem musiałby wyrazić swą zgodę na rozbicie rodzin podczas gdy rodzinę otacza najczulszą opieką, na narażenie dzieci na brak odpowiedniego wychowania, które dać może tylko rodzina; musiałby zobojętnieć na losy społeczeństw, dla których jest ustanowiony i zaprzeczyć Słowom Chrystusa. „Co Bóg złączył, niechaj człowiek nie rozłącza".

Zastanawia nas nieraz, co jest źródłem tak uporczywych usiłowań niektórych kół wprowadzenia kontraktów cywilnych małżeńskich i rozwodów? Źródeł takich jest kilka. Omawianie jednak tych przyczyn za daleko odwiodłoby nas od niniejszych rozważań, wskażę więc tylko na jedno najistotniejsze źródło, z którego wszystkie następstwa pochodzą.

Wkrótce po zajęciu byłego zaboru rosyjskiego przez okupantów niemieckich ukazała się w języku niemieckim broszura, napisana przez pewnego żyda, nazwiskiem Kaplun Kagan, syna rabina ze Lwowa, broszura omawiająca stosunki polsko-żydowskie w tej części Polski. Autor dowodzi tam, że teren Królestwa z Warszawą włącznie powinien być ze względów etnograficznych i gospodarczych oddany żydom, by tu utworzyli swoje państwo. Dowodzi dalej, podając wykazy statystyczne, że w r. 1906 na 1000 Polaków rodziło się 38,6 dzieci, a na 1000 żydów tylko 26. W dwa lata zaś później na 1000 Polaków 39,3 dzieci, a na taką samą ilość Żydów 27,9 dzieci, czyli ilość dzieci pol-

skich była większa o 11 niż żydowskich. Taki stan rzeczy — oczywiście zatrwożył Kagana i jego współwyznawców, którzy widzieli że ta bujność rozrostu Polaków rychło wpłynie na podważenie interesów żydowskich, trzeba więc było, by kahały obmyśliły środki na zmianę tego niebezpiecznego dla żydów objawu. Żydzi zaś, mający na swe usługi prasę i złoto, potrafili nadać taki obrót sprawom, że dziś wielu gojów domaga się ograniczenia urodzeń.

Podziwiać należy bezczelność i tupet tego narodu. Zydzi przybyli do nas z zachodu, gdzie byli prześladowani i torturowani po barbarzyńsku. Dobrotliwi królowie polscy okazali im wiele współczucia i nadając różne przywileje, pozwolili im osiedlać się ze szkodą dla żywiołu tubylczego w Polsce. Pierwsza fala żydów przyszła do nas już w XI w.

Wiadomo, że już są za Mieczysława Starego fałszują monety, wypuszczając blaszki z napisem hebrajskim, t. zw. brakteaty. Najmniej zaś stosunkowo przybywa ich w XIV w. za Kazimierza Wielkiego, tak że niesłusznie króla tego uważa się za opiekuna żydów; największa zaś ich fala objęła Polskę na przełomie XIV i XV w., za Kazimierza Jagiellończyka, który pozwalał Żydom osiedlać się na ziemiach polskich. Z czasem opanowali szlachtę. Józef Frank, słynny działacz żydowski, zresztą później nawrócony na katolicyzm, mawiał: „Szlachta polska jest głupia, ale dobra, a takiej właśnie nam potrzeba”. Dziś to samo możemy powiedzieć o wielu Polakach.

Chociaż żydów, jak wykazał ostatni spis ludności, jest około 12%, to jednak stosunki w Polsce kształtują się według ich woli. W bezczelności swojej Żydzi uważają, że oni winni dyktować nam prawa, co też i czynią przy pomocy wielu Polaków, nas zaś, tubylców od wielu lat mieszkających na tej pięknej ziemi, uważają za swych parobków. — Obowiązkiem naszym jest przeciwstawić się tym zakusom, bo g. 12-ta już wybiła.

Na najbliższe więc miesiące programem nas katolików jest niedopuszczenie do rozwodów i uświadomienie opinji polskiej, że największą pewność szczęścia może nam dać małżeństwo, oparte tylko na zasadach katolickich.

Na dalszą zaś metę, by złu, w przyszłości grożącemu zapobiec, trzeba od podstaw rozpocząć, t. j. od pogłębienia życia religijnego w rodzinach i od wychowania dzieci w dobrze zro-

zumianych zasadach katolickich. Wytworzyć należy odpowiedni pogląd na cel życia, którym jest nie egoistyczne szczęście, ale dobro społeczne i spełnienie powinności, jakie Bóg na nas nakłada.

Wytworzenie zmysłu katolickiego w większości narodu będzie najlepszym środkiem udaremnienia w przyszłości podobnych reform. W społeczeństwie, w któremby istniała zdrowa i silna opinja katolicka, podobne ataki na rodzinę nie mogłyby mieć miejsca, bo nie znalazłyby zwolenników. Wszelkie zaś inne środki naszej obrony nie będą miały trwałej wartości, o ile nie oprzemy ich na głębokiem zrozumieniu istotnych zasad katolicyzmu. *Feliks Jan Szafjański.*

Akcja apostolska Kościoła w piątym wieku.

Wystawne budowy kościołów, podjęte w Lionie, w Tours, w Clermont przez biskupów Paienta, Perpeta, Namacjusza przypadły na chwilę zbliżenia się barbarzyńców. Kościół gallijski, zawsze pogodny, okazał się wobec tego cyklonu bardziej przedsiębiorczy niż kiedykolwiek. Bolesne tylko, że z tego pięknego wysiłku architektonicznego nic nie pozostało. Rzym, Rawenna, Katalonja zachowały budowle religijne z V wieku; na piaskach afrykańskich ocalały ruiny bazylik, Francja natomiast posiada jedyny ślad tej epoki w postaci napisu, dotyczącego wzniesienia pewnej bazyliki w okolicy miasta Narbonne. Jeśli jednak chrześcijaństwo gallorzymskie V wieku nie zdołało się uwiecznić w kamieniu, to przecież piętnem swojem naznaczyło trzy dni roku. Około roku 470 święty Mamert, biskup miasta Vienne, zorganizował trzy dni publicznych modłów i postów, odprawianych raz w roku. Rzym około roku 800 uświęcił ten zwyczaj, a świat katolicki naszej doby odprawia procesje według myśli świętego Mamerta.

Mnożące się wiejskie kościoły nie zrażały się wandalizmem barbarzyńców, taki święty Ruryk w Limoges, a święty German w Auxerres, to wielcy budowniczowie. Dzieło świętego Marcina rozszerzało się na ziemiach Turenu, a w ziemi andegaweńskiej w roku 453, istniała już spora liczba kościołów wiejskich. Na

krzyżowaniu wielkich gościńców tworzyły się osady chrześcijańskie, w dobrach, należących do kościołów miejskich i przy dworach wielkich właścicieli ziemskich. Inicjatywa takiego pustelnika wznosiła nie jedną kaplicę, zwaną oratorium, z której powstawały kościoły, a potem parafje; takie nazwy miejscowości, jak Oradour, Onzoner, Ozoir, Louroner, uwieczniły pamięć istniejącej w nich ongiś kaplicy. Kiedyindziej tłumaczy się fakt budowy kościołów pragnieniem uwielbienia Chrystusa na miejscu dawnej świątyni pogańskiej. Święty Mauryl, pustelnik andegaweński, święty Orjemjusz z Auch, święty Wigor z Eureux lubowali się w tego rodzaju zwycięstwach, wywłaszczając złego ducha, za którego uważali bóstwo pogańskie, budowali dom boży Chrystusowi. Inna znowu pobudka, także o zabarwieniu pobożnem, kazała tworzyć około grobu męczennika lub świętego czy też na miejscach, któremi chodził jaki święty, lub gdzie działał cuda, ośrodki życia chrześcijańskiego, tak żywo tętniącego, że stanowiły podstawę wiejskich parafij. Nabożeństwa te przeciwdziałały propagandzie manichejskiej, która zarzucała Zachód apokryfami o powstaniu chrześcijaństwa. Legendy o męczennikach, żywoty świętych szczęśliwie przeciwważyły wyobraźni ludu działalność kolpolterów manicheizmu, a jednocześnie uprzystępniały duszom pewne pojęcie ideału chrześcijańskjego, popularne zaś obrazki tłumaczyły w wizjach heroicznych rady ewangeliczne.

Groza nawały barbarzyńskiej nie odbierała Kościołowi gallorzymskiemu ochoty twórczej w czasie burzy. Zaznawszy od czasów Konstantyna światła słonecznego i słodkiego rozpędu w oświecaniu dusz nie mógł się zgodzić na zawieszenie czynności. Od roku 323 Kościół uzyskał prawo własności, dobra kościelne wzrastały, biskupi jak Hilary z Arles, jak Entrop z Orange, osobiście na nich gospodarzyli. Nie mogło się wszakże jeszcze mienie Kościoła gallijskiego mierzyć z rozległemi włościami Kościołów w Rzymie, Antiochji i Aleksandrji, niemniej otrzymywał te fundacje właścicieli, wyzbywających się majątków wobec niebezpieczeństwa najazdów. Tak nieszczęście polityczne obróciło się na korzyść Kościoła.

W tych nieszczęśliwych warunkach okazał Kościół dość żywą gotowość do rozkrzewienia się poza Galją. Pomyślnie przekroczył kanał, by zwalczać herezję, pleniącą się po tamtej stronie. Między rokiem 410 a 450 kształcił się w klasztorze leryń-

skim, a później pod kierunkiem dwu biskupów miasta Auxerre, świętego Amatora i świętego Germana, młody wieśniak brytański, nazwiskiem Patryk, w zamiarze poświęcenia się służbie bożej. Uszedłszy z Irlandji, dokąd w chłopięcym wieku piraci uwieźli go w niewolę, wzamian za odzyskaną wolność poświęcił się życiu klasztornemu i kościelnemu, wrócił w 423 r. do Irlandji jako gotowy apostoł, nie jak poprzednio jako niewolnik, ale jako oswobodziciel dusz. Święty Patryk miał to szczęście, że w niespełna 30 latach nawrócił ziemię Irlandzką, a Kościół gallo-romański chlubić się może zasługą, że przygotował w jego osobie pierwszego misjonarza dla misyj zagranicznych.

Ks. Dr. St. Abt.

SPOŁECZENSTWO I WYCHOWANIE.

Kościół a zagadnienia gospodarczo-społeczne.

W drugiej połowie XIX wieku kryzys gospodarczo-społeczny począł przybierać coraz groźniejszą postać. We wszystkich państwach europejskich szerzył się socjalizm, który na swoich krwawych sztandarach wypisał hasło zniszczenia nietylko kapitalistów, lecz i cywilizacji chrześcijańskiej. Marx i jego epigoni otwarcie głosili, że im prędzej nędza wśród robotników osiągnie swoje maximum, to tem rychlej runie dotychczasowy porządek społeczny. Nie trzeba dodawać, że podobne rachuby na ludzką niedolę były objawem perfidji i całkowitego zaniku uczuć moralnych. Czyż można sobie wyobrazić coś bardziej nędznego moralnie jak judzenie robotników przy jednoczesnem biernem przyglądaniu się ich biedzie i oczekiwaniu czy rychło nadejdzie moment kiedy masy doprowadzone głodem runą i w bratobójczej walce utopią zdobycze kultury europejskiej. Podobna myśl mogła się zrodzić jedynie w przepojonej nienawiścią mózgownicy żyda, Marxa; aryjczyk na coś podobnego by się nie zdobył. Niestety, socjalizm, natrafiwszy na podatny grunt, ciężkich warunków socjalnych począł się szerzyć z zatrważającą szybkością. Niepodobna było się spokojnie przyglądać, jak rośnie czerwone nie-

bezpieczeństwo, a zwłaszcza Kościół katolicki, który cywilzację europejską ochronił przed najazdem wschodnich barbarzyńców, który w epoce średniowiecza dał jej podstawy rozwoju, nie mógł zostać beztroskim widzem.

W roku 1878 na Stolicę Piotrową wstąpił Ojciec Święty Leon XIII, postać opatrznościowa, opromieniona zarówno nimbem miłości, jak i niepospolitej mądrości. Autorytet jego był uznawany, zarówno przez wiernych, jak i inowierców. Tak np. Niemcy wzięły go za superarbitra w sporze z Hiszpanją. Największym jednak tytułem do wiecznej czci i pamięci wiernych była jego słynna „Encyklika Rerum Novarum", ogłoszona w Rzymie w dniu 15 maja 1891 r. Jest to data historyczna, przełomowa w światowej polityce społecznej. Socjalistycznej nienawiści — został przeciwstawiony program realnej pracy dla dobra i podniesienia ludu roboczego. Encyklika stała się sztandarem, koło którego skupili się myśliciele, ekonomiści i działacze katoliccy; wywarła ona pośredni wpływ i na doktrynę socjalistyczną, którą zmusiła do porzucenia ortodoxyjnego stanowiska; socjaliści wprawdzie nie wyrzekli się nienawiści, lecz aby nie stracić wpływu na masy przystąpili za przykładem katolików do zakładania związków zawodowych.

Encyklikę „Rerum Novarum", każdy katolik powinien znać. „Pro Christo" pisało o niej niejednokrotnie, nie będę się więc nad nią dłużej zatrzymywał, przypomnę jedynie ważniejsze punkty. Ojciec św. przedewszystkiem zaznaczył dla czego głos zabiera, przyczyną to, że wielka część ludzkości jest w biedzie i nędzy niegodnej człowieka; bierze sprawę robotników, których w rozbiciu i bezbronności duch czasu oddał na łup nieludzkości panów i nieokiełznanej chciwości współzawodników w swoje ręce". Głos zabrał „w poczuciu swego prawa i w przeświadczeniu, że jemu na pierwszem miejscu jest powierzona piecza o religję i nadzór nad sprawami ściśle z nią związanemi". Sprawy społecznej zaś, „się skutecznie nie rozwiąże, o ile się nie przyzwie religji i Kościoła na pomoc". „Kościół dobywa z Ewangelji nauki, które taką mają moc, że walkę społeczną mogą doprowadzić do porozumienia, albo przynajmniej odjąć jej ostrość, uczynić łagodniejszą; Kościół nietylko umysł oświeca, ale stara się jeszcze pokierować życiem i obyczajami jednostek za pomocą przykazań swoich". Najbardziej brzemienną w skutkach ideą Encykliki

była myśl organizowania związków robotniczych, które mają dostarczyć robotnikom najskuteczniejszych środków do rozwoju dóbr duchowych, cielesnych i materjalnych. Podkreślił Leon XIII z całą stanowczością, że podstawą tej pracy musi być jednak udoskonalenie religijno-moralne. „Gdy się bowiem religję uczyni podstawą wszystkich praw w stowarzyszeniu, łatwo będzie uzgodnić stosunki członków do siebie, żeby panował pokój a stowarzyszenie pomyślną rozwijało działalność".

Dalej wykazał Ojciec św. błędy doktryny liberalnej i socjalistycznej. Wystąpił zwłaszcza gorąco w obronie własności, której zniesienie nie tylko nie wyszłoby na korzyść warstwy robotniczej, lecz stałoby się jej zagładą. Żąda, aby robotnik miał płacę, którąby starczyła nie tylko na wyżywienie jego i rodziny, lecz pozwoliła mu drogą oszczędności dojść do skromnego majątku. W miarę tego jak liczniejsza część ludności zdobędzie majątek, będzie następować, słuszniejszy rozdział dóbr doczesnych, a przepaść różnic klasowych będzie malała.

Encyklika sprawiła wiele dobrego, cały szereg jej tez stało się dorobkiem nietylko katolickiej, ale i ogólno-ludzkiej nauki. Dzięki niej powstał wielki ruch chrześcljańsko-społeczny. Idea związków robotniczych została zrealizowana w olbrzymich rozmiarach, dzięki nim zostały wywalczone prawa klasy robotniczej. Powstał dalej cały szereg kas oszczędnościowych, które za zadanie mają ułatwić zdobycie bytu niezależnego robotnikom; dzięki groszowym wkładkom powstały duże nieraz kapitały.

Od wydania Encykliki „Rerum Nowarum" upłynęło czterdzieści lat, przeszła wojna europejska, ale jest kryzys wszechświatowy, ekonomiczny, dokuczliwszy, od wielu poprzednich. szerzy się bezrobocie i inne straszliwe klęski społeczne i oto z wyżyn Stolicy Apostolskiej rozlega się głos Ojca świętego Piusa XI, wielkiego następcy Leona XIII. Encyklika „Quadragesimo anno jest wymownym dowodem troski Kościoła o los wiernych. Czterdzieści lat to szmat czasu, wiele się na świecie zmieniło i jakkolwiek nauka Leona XIII w życiu społeczeństw odegrała wybitną rolę, i wyszły na jaw wszystkie jej niespożyte walory, jednakże nowe warunki żądają pewnych korektur działania i uzupełnień. Temu celowi jest poświęcona Encyklika „Quadragesimo Anno"—wymowny dowód ustawicznej troski Kościoła o los wiernych. Nawiązuje ona przedewszystkiem do tradycji „Rerum No-

varum", wyliczywszy wszystkie jej dobrodziejstwa, przypomina jak to początkowo „szlachetna i szczytna nauka Leona XIII, dla uszu świata zupełnie nowa, wprawiła nawet niektórych katolików w podejrzenie, dla innych stała się nawet kamieniem obrazy. Zburzyła ona bowiem śmiało bożyszcza liberalizmu, starła z ziemi stare przesądy i uprzedziła nieoczekiwanie rozwój wypadków, tak, że ociężali sercem odrzucili wzgardliwie tę nową filozofję społeczną, a tchórzliwi i bojaźliwi bali się wstąpić na nowe szczyty. Byli tacy, którzy światło to podziwiali, lecz uważali je raczej za wytwór fantazji, której urzeczywistnienia można pragnąć, spełnienia jednak nigdy spodziewać się nie należy". Życie wykazało całą bezpodstawność tych obaw. Rozprawia się natomiast Ojciec święty Pius XI z oszczerczym zarzutem, że Leon XIII popierał warstwy posiadające, ze szkodą proletarjatu. W rzeczywistości zaś, Wielkiemu Papieżowi najbardziej leżało na sercu wyzwolenie ludu roboczego z nędzy, chciał to osiągnąć przez sprawiedliwszy podział dóbr doczesnych i sprawiedliwą zapłatę za pracę robotnika. Potężnym środkiem prowadzącym do tego celu miały się stać organizacje pracowników i pracodawców. Pius XI uznając całkowicie poglądy i metody swego poprzednika idzie o krok dalej, żąda reformy urządzeń państwowych w duchu korporacyjnym. Winna przedewszystkiem ustać „walka klas", jej miejsce niech zastąpi „współpraca stanów", do których należałoby się nie ze względu na zajęcie na rynku pracy, lecz ze względu na funkcję społeczną, którą się pełni". Członkowie jednego zawodu czy rzemiosła tworzyć będą autonomiczne korporacje. Wszystkie zaś te korporacje, czy stany mają przedewszystkiem troszczyć się o dobro publiczne. Ponieważ liberalizm gospodarczy okazał się zgubny, należy życie ekonomiczne poddać zasadzie organizacyjnej, a przedewszystkiem sprawiedliwości i miłości społecznej. Odnowienie, przebudowanie ustroju społecznego w myśl powyższych zasad może nastąpić jedynie po uprzedniem odrodzeniu moralnem. Głównem bowiem źródłem zła jest: „spustoszenie dusz", nadmierna żądza doczesnych dóbr, do których się dąży bez względu na środki i sumienie. Za cel należy sobie postawić przekształcenie życia gospodarczego w duchu chrześcijańskim. Społeczeństwo musi zrozumieć, że dobra doczesne to tylko środki, z których korzystać wolno o tyle, o ile do najwyższego celu prowadzą. Można

zdobywać majątek, ale z tym zastrzeżeniem, aby nie gwałcić przykazań Bożych, praw bliźniego i używać tych bogactw stosownie do zasad wiary i rozumu.

Przestrzegając zasad sprawiedliwości społecznej, nie wolno zapominać o jednem, że sama ona niewystarcza, musi być oparta na fundamencie miłości, ta dopiero trwale złączy serca i umysły. „Prawdziwa zatem współpraca wszystkich dla dobra ogólnego powstanie dopiero wówczas, kiedy poszczególne warstwy społeczeństwa mieć będą wewnętrzne przekonanie, że są członkami jednej wielkiej rodziny i dziećmi tego samego Ojca Niebieskiego". „Wtedy bowiem bogaci i wpływowi ludzie, zbyt długo obojętni na los mniej szczęśliwych braci, czynem okażą im troskliwą miłość, życzliwie przyjmą ich żądania, wybaczą im chętnie w razie potrzeby winy i uchybienia. Robotnicy ze swej strony jeszcze wyrzekną się uczuć nienawiści i zawiści, na których, tak umiejętnie żerują agitatorzy walki klasowej, chętnie zajmą miejsce wyznaczone im w społeczeństwie przez Opatrzność Bożą, wiedząc, że każdy, który wypełnia swój obowiązek, pożytecznie i zaszczytnie współpracuje dla dobra ogólnego i że zbliska idzie w ślady tego, który będąc Bogiem, cieślą chciał być wśród ludzi i za syna cieśli uchodzić". Powyższe słowa Ojca świętego, Piusa XI tchną wielką miłością ewangieliczną do wszystkich ludzi i stanowią może najpełniejsze skrystalizowanie troski Kościoła o los powierzonych mu owieczek, niemi pragnę zakończyć ten historyczny szkic o stosunku katolicyzmu do zagadnień gospodarczo-społecznych.

Skonstatowaliśmy jednc: począwszy od czasów apostolskich, a skończywszy na świetlanej postaci miłościwie nam panującego obecnie Ojca świętego, snuje się poprzez wszystkie poczynania Kościoła myśl o wiernych, którym spieszy zawsze i wszędzie z ojcowską radą i samarytańską pomocą. Ta wielka miłość i wszechogarniające miłosierdzie sprawia, że wszyscy wierni czują, że jest jeden prawdziwy pasterz i jedna owczarnia.

Zygmunt Prószyński.

Na marginesie sprawy żydowskiej Czy Palestyna?*)

Potrzeba znalezienia ośrodka koncentracyjnego dla żydów, stworzenia państwa żydowskiego, jest niewątpliwą w interesie zarówno samych żydów, jak i reszty świata, a w szczególności chrześcijaństwa. Taka koncentracja i takie państwo niazawodnie przyśpieszy uzdrowienie, społeczne, narodowe i moralne żydów, a nadewszystko ich nawrócenie, a więc ostateczne rozwiązanie tej bolesnej sprawy narodu odtrąconego i zbłąkanego, będącego zaczynem najgorszej, najniebezpieczniejszej fermentacji w świecie, -utrudniającej moralne odrodzenie i podniesienie ludzkości, i religijne zjednoczenie,— w jednej prawdziwej religji Chrystusowej Kościoła Rzymsko-Katolickiego.

Trzeba wziąć pod uwagę, że w przeciwieństwie do innych narodów, które się łatwiej asymilują w rozproszeniu, żydzi zatwardzieli w swej nienawiści do reszty świata, a do chrześcijaństwa w szczególności, właśnie w djasporze zbrojni tą nienawiścią, —jak najbardziej się oddalają od możliwości masowego, a szczerego nawrócenia.

Tak koncentracja i państwo żydowskie na własnym gruncie, — to rzecz konieczna.

Czy to ma się stać na gruncie Palestyny?

Spójrzmy jak na tę rzecz patrzy Sjonizm,—jedyny oficjalny ruch żydowsko-palestyński:

„Sjonizm dąży do stworzenia w Palestynie dla narodu żydowskiego ojczyzny zagwarantowanej przez prawo publiczne (międzynarodowe)“.

Tak sformułował oficjalne swoje dążenia Sjonizm na pierwszym swoim kongresie w Bazylei w r. 1897, (na którym zresztą tajnie były przyjęte „Protokuły Mędrców Sjonu”, odkrywające o wiele głębsze i bardziej pyszne dążenia). Formuła ta ujawnia nam właściwe, publicznie ogłoszone zadania Sjonizmu,—stworzenia państwa żydowskiego w Palestynie,—z czego wynika dalsze hasło:

Palestyna dla żydów.

Jak zaznaczyliśmy dążenie do stworzenia własnego państwa przez żydów jest rzeczą istotnie uprawnioną, dla całego świata korzystną, dla samych żydów zbawienną. Koncentracja

*) Artykuł dyskusyjny.

żywiołu żydowskiego i to całkowita koncentracja na własnem terytorjum państwowem — oto właściwe zadanie. Postawienie żydów na równej stopie z innemi narodami i postawienie państwa żydowskiego na równej stopie z innemi państwami,—jedyna droga, radykalnego uzdrowienia narodu żydowskiego i uwolnienia innych narodów od ich zakażającego i gniotącego ciężaru.

Lecz czy istotnie tym ośrodkiem koncentracyjnym — tym terenem żydowskim,—tem państwem żydowskiem ma być Palestyna? — Czy nawet może być?

Zarówno ci nieliczni żydzi, którzy reprezentują szczery i zdrowy nacjonalizm żydowski, jak i ci fanatyczni szowiniści, którzy dążą do ośrodka państwowego jako do podstawy dla swego władztwa wszechświatowego, a którzy reprezentują ogrom siły i finansowej i organizacyjnej,—za bezspornie własny teren uważali i uważają Palestynę.

Działalność tych ostatnich Sjonistów plutokratycznych i politycznych mocarzy judaistycznych osiągnęła swoje cele.—Konferencja w San Remo 24 kwietnia 1920 r. narzuciła Turcji w traktacie pokojowym klauzulę, na mocy której stworzone zostało ognisko narodowe żydowskie w Palestynie poddane pod opiekę mandatową Wielkiej Brytanji. Tak został stworzony zawiązek państwa żydowskiego w Palestynie.

Zawiązek ten jednak nie ziścił dalszych nadziei jego twórców,—i po dziesięciu latach doszło wreszcie do tego, że opiekunka Palestyny Anglja tamuje imigrację żydowską do Palestyny, — czyli jednem słowem zdecydowanie kładzie tamę kształtowaniu się państwa żydowskiego i ośrodka koncentracyjnego w Palestynie.

Obraz tego państwa blednie, niknie i rozwiewa się jak miraż. Idea była złudzeniem. Palestyna nie jest terenem obojętnym, — ani ziemią bezpańską, którąby można było jednym podpisem dokumentów dyplomatycznych wyznaczyć na miejsce osiedlenia jakiemubądź narodowi. Właściwi, dzisiejsi posiadacze Ziemi Obiecanej, jej ogromnie przeważający mieszkańcy, muzułmańscy arabowie, założyli zdecydowane weto,— i zorganizowali konsekwentny, a wytrwały opór przeciwko próbie wydziedziczenia,—oraz narzucenia im obcego, a nieznośnego żywiołu.

Kłopoty rządu Wielkiej Brytanji wzrosły, kiedy projekt palestyński okazywał się coraz bardziej nierealnym, chimerycznym,

— kiedy muzułmanie przyjąwszy nieprzejednaną postawę, musieli iść coraz bardziej w cenie dla polityki angielskiej, — aż wreszcie cena ta na szali wag Brytyjskich musiała przechylić się na korzyść Arabów.

Palestyna nie jest terenem obojętnym. Przeciwnie politycznie posiada ogromną wagę dla całego świata wogóle, a dla Wielkiej Brytanji w szczególności. Palestynę pod pewnym względem można nazwać ośrodkiem świata. — Maleńki ten kraik, to płaskowzgórze, jest poniekąd węzłem wiążącym trzy kontynenty starego świata, oraz strażnicą krzyżujących dróg i to dróg zarówno lądowych jak i morskich. Jest to jedyne połączenie lądowe Eurazyj z Afryką, a zarazem wrota kanału Sueskiego. Na tym skrawku ziemi zawisła potęga Imperjum Wielkiej Brytanji. Całe powołanie, cała misja dziejowa Anglo-Brytów, którą tak sobie wyolbrzymili i z której tak są dumni zbiega się w tym koncentracyjnym punkcie. Wszystkie dominja, kolonje i wpływy afrykańskie tu mają swój jedyny łącznik lądowy z takiemiż kolonjami i wpływami azjatyckiemi. Pod bokiem tego kraju wody dwu mórz i dwu oceanów drogą najkrótszą prują stalowe olbrzymy handlowej i wojennej floty Wielko-Brytyjskiej.

Kto dzierży Palestynę, - ten dzierży węzeł łącznikowy światów, ten posiada klucze najważniejszych spraw geograficzno-politycznych.—-To też Anglja nie mało wytężonych uczyniła wysiłków i w ogniu walk wojny wszechświatowej i w krzyżowych zabiegach sztuki dyplomatycznej powojennych kongresowych narad, ażeby Palestynę uchwycić w swoje ręce

Nie może więc być obojętnem, ani dla Anglji, ani dla jej sojuszników, lub przeciwników, kto będzie zasiedlał tę ziemię obiecaną, kto będzie jej władaczem; — jednem słowem kto będzie odźwiernym i klucznikiem.

Że judaita chętnieby, nietylko ze względu na tradycje narodowe i religijne, ze względu na „Ścianę płaczu” szczątki murów Świątyni Salomona, ale i ze względu na przyszłe wielkie korzyści mniej idealne, ale za to więcej namacalne posiadł tę ziemię — to niewątpliwe; ale czy Anglja, a także i świat cały mieliby z tego korzyści, — to więcej niż wątpliwe.

Anglicy zrazu dali się złudzić potentatom finansowym i swoim lordom żydowskiego pochodzenia. Zresztą mogło to być nawet doraźnie poręczne i wygodne w grze dyplomatycznej

o uzyskanie Palestyny prowadzonej z innemi narodami. — Uzyskali mandat i zrobili próbę. — Ale jak próba wypadła, dziś po dziesięciu zgórą latach możemy to naocznie sprawdzić. Nawet socjalistyczny rząd Mac Donalda ze swemi humanitarnemi frazesami obrazu tego nie przekształcił.

Poparcie żydowskiego żywiołu wątpliwej dla Anglji wartości, — odtrąca i uzbraja przeciwko niej niewątpliwie cenny ogromny żywioł muzułmański. Wyboru nie ma, Brytanja wcześniej lub później musiała pójść na rękę muzułmanom. I będzie musiała iść dalej.

Mogą być jeszcze rozmaite wahania, tłómaczenia, zabiegi, jak te, które w roku ubiegłym wydobywał dr. Weizman, ale to pewna, że zarówno dzisiejsi jak i jutrzejsi kierownicy polityki wielkobrytyjskiej nie będą mogli dla chimerycznych marzeń żydowskich narażać swoich wpływów i swojego autorytetu w świecie muzułmańskim. I tutaj nic nie pomogą nietylko lord Rotszyld, czy lord Reading, czy sam dr. Weizman, lub mały skryty galicyjski żydek Namser z Foreigne Office, ale nawet największe alarmy i zabiegi podobne do zaprzeszłorocznych amerykańskich. — Zresztą zdaje się, że sami żydzi zrozumieli to bo pomimo burzy na ostatnim zeszłorocznym zjeździe Sjonistycznym, pomimo wyraźnego wotum nieufności dla kierunku pro-angielskiego odgrażanie się prasy na temat odebrania mandatu anglikom ostatecznie zamilkli i schowali dudy w miech.

Nic dziwnego. Sprawa mocą konieczności politycznych i logiki dziejowej idzie swoją drogą. — Palestyna stopniowo zamyka się przed żydami i niedługo zamknie się na głucho, bo restrykcje „Białej Księgi",—i uchwały kongresów muzułmańskich, to tylko pierwsze kroki. A zresztą i sami żydzi nie są skwapliwi w przesiedlaniu się do ziemi „ojców swoich", — statystyka wykazuje że w ciągu ostatnich pięciu lat w Palestynie osiedlała się, pozostawała śmiesznie mała cyfra 2.000 żydów rocznie.

Pomimo dużego hałasu widocznie jest ociąganie się i wahanie.

Tak: — z punktu widzenia bieżącej polityki międzynarodowej Palestyna jest nie dla żydów.

Ale jest jeszcze inna stokroć ważniejsza strona nie tylko na miarę lat lub stuleci brana, — ale na miarę wieczności, — naznaczona wolą wyższą, — wszechmocną i nieskończoną.

Od chwili kiedy na górze Kalwaryjskiej dokonała się Męka Boga,—żydzi stracili Palestynę,—stracili bezpowrotnie. To już nie czasowe zegnanie nad „rzeki Babilonu", to już odtrącenie na zawsze. Zbrodnia dokonana przez naród żydowski pociągnęła za sobą wykonanie wyroku sprawiedliwości Boskiej.

Palestyna przestała już być Ziemią Obiecaną dla żydów—stała się Ziemią Utraconą,—ale za to dla nas Chrześcijan stała się Ziemią Świętą. I niemało wysiłków i trudu i pracy, — męczarni i krwi rozlewu, ofiar pokoleń i narodów ponieśliśmy my chrześcijanie, ażeby ją zdobyć, zdobyć tę Ziemię Świętą.— Odzyskać Grób Zbawiciela. — Jeden wiek tych ofiar i trudów był większym, aniżeli wszystkie marzenia i wysiłki wiecznie buntującego się narodu żydowskiego.

O Ziemię Świętą walczymy my i dziś i dziś ją zdobywamy, zdobywamy co dnia u stóp Ołtarzy Kościołów naszych i w duszach naszych, w płomieniu modlitw i w walce wewnętrznej, w mozolnym trudzie opanowania etyki chrześcijańskiej, — przykazań Boga Zbawiciela. I wtedy kiedy przed wiekami lądem i morzem biegły krzyżowe zastępy ażeby glebę Palestyny skropić krwią swoją,—i dziś kiedy chcemy wszystko odnowić w Chrystusie, walcząc z sił ciemnych zalewem i własną niemocą, — walczymy o Ziemię Świętą.

Żaden prawdziwy chrześcijanin nie zgodzi się, ażeby oddać żydom Palestynę—Ziemię Świętą, Ziemię kolebki żywota i grobu Pańskiego.

Żydzi tej Ziemi nie odzyskają nigdy, — odzyskać mogą wtedy kiedy się staną chrześcijanami, — a więc przestaną być żydami.

Stolica Apostolska protestowała przeciwko eksperymentowi palestyńskiemu, przeciwko oddaniu Ziemi Świętej żydom: — i słusznie, albowiem bezspornie władać w tej Ziemi, mieć ją pod swoją opieką, mógłby tylko Namiestnik Chrystusowy. — Nie tak dawno rozchodziła się pogłoska o możliwości oddania mandatu palestyńskiego Ojcu Świętemu. — Czy to już teraz może nastąpić, — i czy to nawet byłoby wskazanem w obecnej chwili i w dzisiejszej formie,—wątpię. Cały układ mandatowy i sprzęgnięcie go z żydowsko-sjonistycznemi zamierzeniami jest zasadniczo sprzeczne z duchem dążeń świata chrześcijańskiego, ka-

tolicyzmu i Stolicy Apostolskiej — Pewnem jednak jest, że przyjdzie dzień, w którym Ziemia Święta znajdzie się pod opieką Głowy Kościoła.

Tymczasem z mocy wyroku Boskiego same ludzkie i zwykłe siły konieczności politycznych pracują przeciwko żydowskim zakusom, coraz bardziej rozwiewają palestyńskie złudzenia sjonizmu.

Są pewne prawa moralne w dziejach, których ominąć nie można. W ciągu wieków nagromadza się kapitał z czynów ujemnych lub dodatnich, który oddziaływa na dalsze wieki. Żydzi, naród bogobójczy, z całą swoją etyką nienawiści i zaciekłości dość nabroili, dość nagromadzili kapitału moralnie ujemnego, ażeby on na nich zaciążył przekleństwem, — chrześcijańskie narody dość nagromadziły kapitału dodatniego w wysiłkach ofiary, poświęcenia i czynu dla ideału Chrystusowego, w dążeniu do dróg Boga Zbawcy, ażeby mieć ułatwioną dalszą drogę swej wędrówki dziejowej.

Wprawdzie dziś chrześcijańskie narody przeżywają okres kryzysu moralnego i religijnego, grubego zmaterjalizowania a razem z tem i duchowego zażydzenia, — ale niemniej nadejdzie dzień, kiedy kryzys ten zostanie pokonany, kiedy otrząśniemy się z tej zmory,—świat chrześcijański odetchnie i razem z tem odzyska Ziemię Świętą.

Cóż zatem pozostaje żydom?

Byłaby droga najprostsza i bezpośrednio jedyna,—szczere głęboko odczute i zrozumiane nawrócenie, przejście do chrześcijaństwa,—na łono Kościoła Katolickiego. Tą drogą odzyskaliby Ziemię Obiecaną, tę doczesną Palestynę i tę wieczną u stóp Tronu Bożego. Wołałbym głosem wielkim do nieszczęsnych zbłąkanych braci, gdyby nie to, iż wiem, że wołanie to zagłuchnie bez echa, pozostanie próżnem.

Zostaje droga pośrednia, żydzi judaici, żydzi talmudyści, nazwani starozakonnymi, naród żydowski z rasy i religij, nałogów moralnych i konstrukcji duchowej, winien wszystkiemi siłami dążyć do zgromadzenia się na jednem bezpośrednio własnem terytorjum, — własne na równi z innymi założyć państwo. Może się ono nazywać Nową-Palestyną, choć to nie będzie dawna Palestyna, —Ziemia Święta. Może to być „Uganda“, czy jakiś

inny skrawek kontynentu czarnego, czy czerwonego. Jeszcze tych skrawków nieco znaleść można. Ale czas leci, glob ziemski coraz bardziej parceluje się i zaludnia. Trzeba śpieszyć.

Żydzi, jeżeli nie chcecie być narodem parjasów, narodem zewsząd wypędzanym, pogardzanym, pomiatanym i znienawidzonym, — narodem żydem wiecznym tułaczem porzućcie marzenia o władztwie wszechświatowem, porzućcie marzenia o Palestynie Nadjordańskiej, dążcie do własnej, bezspornie własnej „Ugandy".

Niech was to nie zaślepia, że jesteście w chwili swego tryumfu,—tryumfu zresztą wyraźnie już załamującego się, tryumf mija, chwila mija, czas nagli, ziemi coraz mniej, a nienawiści do was z każdym lat dziesiątkiem będzie coraz więcej. Tej nienawiści którąście sami zasieli i której odstraszający przykład daliście w Rosji Sowieckiej.

Żydzi, dążcie do własnego skrawka ziemi bez arabów do własnego państwa bez Anglji, do własnej „Ugandy" — narody chrześcijańskie pomogą wam.

Tak, narody chrześcijańskie pomóc muszą, — bo to leży w ich interesie i w zakresie ich obowiązku. — Dla ich własnej przyszłości muszą to uczynić. — W szczególności obowiązkiem każdego polityka chrześcijanina, polityka katolika jest planowa i gorliwa praca nad wynalezieniem odpowiedniego terenu dla żydów, ustalenia go na drodze międzynarodowych umów i skierowania tam dobrowolnej czy przymusowej emigracji żydowskiej. Ruch samoobrony wobec żydów wśród społeczeństw chrześcijańskich budzi się i wzrasta, nabierając intensywności i siły, czy żydzi zechcą, czy nie zechcą rugowanie ich nastąpi i rozwinie się na wielką skalę. Żeby jednak nie przerzucać tej piłki na oślep jeden do drugiego,—żeby nie obdarować tym groźnym ciężarem kogoś słabszego, obowiązkiem jest pomyśleć o miejscu lokowania żydów.

Obowiązek ten w szczególny sposób spada na Polskę gdyż my mając taki ogrom nadmiaru żydowskiego będziemy musieli, — szczególnie intensywnie zająć się ich wysiedlaniem.

L. Czerniewski.

Powieść i jej wydawcy.

Powieścią i jej czytelnikami zajął się niedawno na łamach „Kurjera" p. St. K-ski, do czego dała mu asumpt broszura d-ra M. J. Ziomka: *„Czytelnictwo powieści. Najulubieńsi pisarze i najpoczytniejsze książki"*. Dr. Ziomek studjum swoje oparł na zanalizowaniu zainteresowań tysiąca klientów jednej z czytelni krakowskich i wykazał, że na stu pisarzy, cieszących się największem wzięciem wśród czytelników, znalazło się tylko 23 żyjących autorów polskich, a z tych zaledwie 5 znajduje się między pierwszymi 25-ma.

Na zasadzie tych cyfr p. St. K-ski dochodzi do następujących pesymistycznych wniosków: 1) że Niemcy i Anglosasi wypierają z niwy powieściowej zarówno autorów polskich jak i wszechwładnie do niedawna panującą powieść i romans francuski; 2) nasza literatura powieściowa chyli się do upadku.

Czy te wnioski są słuszne? Czy faktycznie nasze życie duchowe przechodzi niepokojące przesilenie, a nasza kultura narodowa cofa się na ważnym odcinku zainteresowań literackich?

Pozwolę sobie mieć mniej pesymistyczny pogląd na te sprawy—zwłaszcza co do drugiego punktu, a dlaczego—to zaraz wyjaśnię.

Ani na chwilę nie myślę kwestjonować danych, któremi posługiwał się dr. M. J. Ziomek, tylko on, a za nim i p. St. K-ski nie wzięli pod uwagę jednej okoliczności, iż niekoniecznie produkt, najbardziej rozpowszechniony na pewnym terenie, najlepiej przypada do gustu lub smaku publiczności, lecz fakt ten jest bardzo często wynikiem sprytnej reklamy, przystępnej ceny i energicznej propagandy, albo umiejętnego kolportażu.

Jeżeli teraz przyjrzymy się rynkowi wydawniczemu w Polsce powojennej, to widzimy, iż obok wydawców, we właściwem tego słowa znaczeniu, znalazła się u nas gromadka nieznanego dawniej typu fabrykantów książek, którzy nie wydają dzieła, ale wyrabiają książki, jak świece stearynowe, czy mydła toaletowe.

Wynikiem tego zjawiska jest masowe ukazywanie się na rynku wydawniczym tłumaczonej tandety na tak zwanym „mundsztukowym" papierze (by miały grubszy wygląd) i w jaskrawych okładkach (by zwracały na siebie uwagę ludzi o niewyrobionym smaku).

Fabrykant książek nie lubi płacić honorarjum autorskiego, taniej przecież wypada tłumaczenie pierwszej lepszej panienki, nie znającej dobrze ani polskiego języka ani obcego, z którego tłumaczy — więc niby to występuje taki przedsiębiorca od wydawania książek w roli orędownika zagranicznych sław literackich, gdy w gruncie rzeczy bardzo daleki jest od pobudek idealnych.

Wydawszy kilka powieści tłumaczonych, fabrykant książek usilnie zabiega koło możliwie najszybszego ich zbycia i wycofania z zarobkiem włożonego kapitału; — dla osiągnięcia tego celu nie poprzestaje na sprzedaży swej książki przez księgarnie, lecz z pomocą całej sieci agentów dociera do wszystkich czytelni i bibljotek, które zaopatruje w swe wydawnictwa natychmiast po ich ukazaniu się, często nawet wcześniej tego rodzaju nowości dostarczone bywają czytelniom, niż księgarniom. Tak dzieje się nietylko w Warszawie, ale i w całym szeregu większych miast Polski.

Wielu właścicieli i kierowników wypożyczalni książek poprzestaje na tem, co im dostarczają agenci, a inne nowości sprowadzają niechętnie na specjalne dopiero żądanie wybredniejszych czytelników czy abonentów, którym nie wystarcza tandeta wydawnicza. Nic też dziwnego,—gdy weźmiemy pod uwagę, że tłumaczeń ukazuje się znacznie więcej niż powieści oryginalnych, — iż czytelnie i wypożyczalnie książek są ze szczególną zabiegliwością celowo aprowidowane we wszystkie przekłady wyrobu fabrycznego, bo na nich kolporterzy mają wyższe procenty, a więc i wyższe rabaty dają wypożyczalniom.

Wśród klijentów czytelni ilość osób ze smakiem wyrobionym jest mniejsza, a większość bierze do czytania to, co im podsunie panienka, wydająca książki; — w tych warunkach zebrana statystyka nie może służyć za podstawę do tak daleko idących wniosków, jak to uczynił dr. Ziomek, a za nim i p. St. K-ski z „Kurjera Warszawskiego".

Szczególniej zaoponować muszę przeciwko twierdzeniu, iż nasza literatura powieściowa chyli się do upadku. Prawda, że odeszli Prus, Sienkiewicz, Reymont, Żeromski — iż wśród obecnych powieściopisarzy brak tak mocnych talentów, jakiemi się wymieniona czwórka wyróżniła, ale wobec tego faktu można mó-

wić jedynie o chwilowem osłabieniu twórczości w dobie powojennej, nigdy zaś o chyleniu się do upadku naszej literatury powieściowej wogóle.

Trzeba też podkreślić wpływ warunków materjalnych doby powojennej. Solidni, zawodowi wydawcy mają dziś przeważnie zmniejszone możliwości wydawnicze i obecnie nie tylko ze strony firm wydawniczych nie płynie podnieta w stronę lepszych autorów, jak to bywało lat temu dwadzieścia czy trzydzieści, ale dziesiątki jeżeli nie setki wartościowych rękopisów nie może się doczekać druku, co oczywiście zniechęca do tworzenia dzieł nowych.

A prawda, panowie fabrykanci książek od czasu do czasu też wydają autorów polskich, o ile dostaną rękopis utworu oryginalnego za cenę kosztów przekładu początkującej tłumaczki. Cóż robić i literat polski jest człowiekiem, potrzebującym dopływu mamony, więc—przyciśnięty koniecznością,—godzi się na ten wyzysk kombinatorów wydawniczych, którzy się nadmiernie w Polsce rozmnożyli w latach ostatnich i są prawdziwą plagą normalnego, uczciwego ruchu wydawniczego. Do podniesienia twórczości literackiej podobny wyzysk impulsu nie daje.

Plagą są też wspomniani kombinatorzy wydawniczy z punktu widzenia społecznego. Fabrykant książek patrzy na wydawnictwo dzieł z punktu dochodowości. Szanująca się firma wydawnicza liczy się z etyką, liczy się z opinją publiczną i nie pozwoli sobie na wydawanie bezeceństw, zasługujących na napiętnowanie, — tymczasem fabrykant książek żadnych skrupułów nie zna, z niczem i z nikim się nie liczy, występuje coraz to pod inną anonimową firmą i właśnie, spekulując na niezdrowej sensacji, skwapliwie wyszukuje przeróżne paskudztwa włoskie czy niemieckie, by je w lichych przekładach kolportować wśród niewybrednych odbiorców.

Mylą się więc ci, co sądząc z pewnych faktów przypadkowych, wysnuwają wnioski, jakoby powieść polska chyliła się do upadku. Z powodu przejściowych konjunktur powieść polska jest tylko przytłoczona i przygłuszona powodzią tłumaczonej tandety, produkowanej masowo przez mało solidnych fabrykantów książek, głęboko jednak jestem przeświadczony, że już niedaleki jest

czas, gdy znów powieść polska okrzepnie i zabłyśnie, a dużo tu zależy od opinji publicznej, by tandetę sobie narzucaną, potraktowała tak, jak na to tandeta zasługuje...

A. L. Szymański.

Dawniej a dziś...

Od pewnego starszego przedstawiciela naszej inteligencji otrzymujemy garść uwag b. charakterystycznych dla oceny czasów dzisiejszych:

Kiedy odnawiam sobie w pamięci przeżycia i wydarzenia z długoletniego mego doświadczenia i losów naszej Ojczyzny w okresie niewoli, zestawiając je z dzisiejszemi, to, mimo zasadniczej różnicy między niemi, — różnicy, polegającej na wyzwoleniu naszej Ojczyzny z więzów zewnętrznych, a więc przedewszystkiem z radosnem poczuciem godności narodowej, podniesionej na poziom kulturalnych państw Europy, — odnajduję też pewne analogiczne zjawiska „między dawnemi a nowemi laty". — Aby dokładniej zanalizować podobieństwo i różnice, wynikające z przeżyć tych dwóch epok naszego bytu narodowego, uważam za konieczne rozpatrzyć te dzieje pod dwoma kątami widzenia: jednem, ze stanowiska życia rodzinnego, t. j. niejako wewnętrznego, a więc i duchowo-religijnego, a drugiem — z punktu widzenia życia społecznego, politycznego, t. j. — zewnętrznego.

Otóż, słuszność wyznać nakazuje, że ówczesne, t. j. za czasów zaborczych, życie rodzinne pulsowało na ogół, więcej spokojnie i harmonijnie, aniżeli obecne, gdyż nie było zakłócane szerzeniem waśni partyjnej, a głównie — różniczkowaniem uczuć patrjotycznych, w zależności od zmiennych prądów w dzisiejszej „wolnej" Polsce, propagującej zbyt szybko interesy stronnicze i kult jednostki. Doprawdy, musimy obecnie skonstatować dziwną anomalję życia. Podczas kiedy, za czasów zaborczych członkowie każdej niemal oświeconej rodziny, czuli się polakami i polkami, nie tylko pod względem jedności religijnej ale i narodowej, karmiąc się przykładami chwalebnych czynów swych przodków a następnie i bezinteresownemi porywami i ofiarami życia, podczas zbrojnych powstań, bez żadnych tarć osobistych i stronniczych, to, obecnie, koła rodzinne podminowane i podzielone zostały na pojedyńcze, indywidualne poglądy

na tle społecznem i państwowem, nierzadko wrogo ku sobie nastawione.

To też nic dziwnego, że radość i błogie nadzieje, zrodzone w narodzie polskim w pierwszych latach odzyskania niepodległości państwowej i wolności obywatelskiej, po kilku latach rządów egotycznych, zamieniły się nie tylko w starcia sejmowe, ale i uliczne, zilustrowane jaskrawo w stolicy w bratobójczej walce. Stanęliśmy więc już nie w obliczu nieprzyjaciela zewnętrznego, lecz — wewnętrznego, i to niestety reprezentowanego przez błędy i zbrodnie popełnione przez niektórych obywateli naszej Ojczyzny, którzy nie pomni na swe wysokie posłannictwo i odpowiedzialność dziejową, gwoli dogodzenia wyolbrzymionej ambicji i niepohamowanej żądzy władzy, rozniecają ku sobie niechęć a nawet nienawiść większości swych rodaków.

Aby jednak słowa powyższe nie wyglądały na gołosłowne, pozwolę tu sobie przytoczyć pewne wyciągi z „cenzuralnych" przemówień jednego z naszych ministerjalnych „wodzów", jako świadczące o idących wciąż „crescendo" zamierzeniach a jak w danym razie o zaprojektowanem wychowaniu „państwowem": „...Młodzież powinna być wychowywana dla państwowości — w szacunku dla jej ideowej tradycji. To też winien być w szkole szerzony kult wielkich ludzi, których praca i genjusz tworzyły na przestrzeni stuleci naszej historji niezapomniane wartości". „Nietylko winny tu wchodzić w grę odległe epoki naszych dziejów. Nie mniejszej wagi jest historja lat ostatnich". „Jest rzeczą niemożliwą i niedopuszczalną — mówi p. minister — aby osobę marszałka Piłsudskiego, jego pracę ukrywać przed młodzieżą".

Należy tu zauważyć, że jeśli p. minister słusznie twierdzi, że nie godzi się przemilczeć o pracy marsz. P., to prawda i sumienie nakazuje także wychowawcy pouczać młodzież o błędach. Wszak nauka szkolna musi być prowadzona objektywnie; młodzież winna być uczona zgodnie z prawdą.

A jakie „wzory wychowania" stawia się tak rodzinie, jak i młodzieży przez dokonane już w Warszawie otworzenie „poradni zapobiegania ciąży?" Jestto ulegalizowanie szerzenia demoralizacji! Ładny też przyczynek do tej akcji „wychowawczej" stanowi, choćby ankieta, rozesłana przez Min. W. R. i O. P. — do

szkół średnich żeńskich, z zapytaniami, dotyczącemi „Dziejów grzechu" Stefana Żeromskiego. — Godnym podręcznikiem takiego wychowania „państwowego" jest także niedawno wydana książka znanego „działacza brzeskiego", a obecnie wojewody p. Kostka Biernackiego, p. t. „Djabeł-Zwycięsca", w której osławiony autor chlubi się swą nienawiścią do katolicyzmu i duchowieństwa.

Kończąc rozważania na temat powyższy, należy podkreślić, że obecne czasy wolnej Ojczyzny grożą nam utratą podwalin nie tylko niepodległego bytu państwa, lecz i ducha narodu, a to, wedle natchnionych słów wieszcza, jest prawdziwy „bólów ból"!

Lumiński.

Na froncie walki o religję i moralność publiczną.

Różnica poglądów między Episkopatem a klubem B. B. — Co to jest lojalność — Los szkolnictwa — Bezceremonjalny stosunek do duchowieństwa — „Gazeta Polska" i „Don Karlos" — „Robotnik" i p. Boy'e zabawiają się w denuncjacje polityczne— Zasady i ich wykonanie — W barakach warszawskich — Nasza inteligencja wobec zagadnień społecznych.

W numerze poprzednim pisaliśmy o „reformie szkolnictwa" podjętej przez rząd i o możliwych konsekwencjach tych posunięć. Oddając numer do druku, nie mieliśmy jeszcze w ręku listu Episkopatu w powyższej sprawie Oto list wzmiankowany:

„P. Minister wyznań religilnych i oświecenia publicznego wniósł na podstawie uchwały Rady Ministrów do Sejmu projekt ustawy o ustroju szkolnym oraz projekt ustawy o niepaństwowych szkołach oraz zakładach naukowych i wychowawczych.

Episkopat Polski otrzymał, niestety, rzeczone projekty w ostatniej dopiero chwili i nie miał możności przedstawienia postulatów, wynikających ze stanowiska Kościoła.

Skutkiem tego Episkopat zebrany na konferencji, nie mogąc projektu poddać szerszemu omówieniu, ogranicza się do wypowiedzenia następujących uwag:

We wstępie do projektu ustawy o ustroju szkół powiedziano, że szkoła ma dawać wyrobienie religijne, moralne, umysłowe i fizyczne. Episkopat zastrzega się, że o ile chodzi o katolików, wyrazy: „wyrobienie religijne i moralne" powinny być rozumiane w znaczeniu wychowania religijnego i religijno-moralnego w myśl zasad Kościoła.

Projekt zaś ustawy o szkołach niepaństwowych wprowadza do szkolnictwa niepaństwowego, a zatem także do szkolnictwa przez Kościół i osoby prawne kościelne prowadzonego, tak wielkie pogorszenie stanu rzeczy, że Episkopat widzi się zniewolonym zwrócić się w tej kwestji do rządu. Projekt tej ustawy, nadający Ministrowi wyznań religijnych i oświecenia publicznego nieograniczone pełnomocnictwa nietylko w dziedzinie zakładania nowych szkół prywatnych, zarówno podcina prawa i byt szkół dotychczasowych, jak i uzależnia zakładanie i prowadzenie szkół prywatnych od uznania państwowej władzy szkolnej.

Kościół katolicki jest szczególnie zainteresowany w sprawie powyższej, ponieważ w ramach jego istnieje cały szereg typów szkół prywatnych, służących potrzebom Kościoła, oraz jego wiernych, a koniecznych do prawidłowego życia Kościoła katolickiego w Polsce.

Episkopat zwraca się do Panów Posłów katolickich o uczynienie wszystkiego, ażeby postulaty jego, wyżej wyrażone, zostały przez ciała ustawodawcze uwzględnione".

Podpis: **A. kard. Kakowski.**
A. kard. Hlond.

Widzimy więc, że Księża Biskupi, rozpatrując ustawy szkolne wyłącznie z punktu widzenia religijno-moralnego, znaleźli szereg przepisów, które napełniły Ich troską o przyszłość szkolnictwa i stosunek jego do Kościoła. Innego natomiast zdania był wybitny znawca zagadnień religijno-moralnych, konstytucyjnych i pedagogicznych, prezes klubu B. B. W. R. p. Walery Sławek, który w liście swym wystosowanym w odpowiedzi do Episkopatu pisze z właściwą mu prostotą i skromnością, cechującą wszystkich działaczy B. B. W. R., że zastrzeżenia i obawy XX. Biskupów rozważył „dokładnie i z całym poczuciem współodpowiedzialności za należyte zorganizowanie wychowania przyszłych pokoleń" i umocnił się w przekonaniu „że B. B. W. R. z całym spokojem może nadal popierać wspomniane projekty rządu" są one bowiem według zdania prezydjum sanacyjnego „tylko dalszym rozwinięciem zasad wyrażanych w art. 117 konstytucji, jeśli chodzi o szkolnictwo prywatne i art. 120, jeśli chodzi o kierownictwo i nadzór nauki religji w szkołach".

Ano, każdy może mieć swój pogląd. Niech się jednak nie dziwi p. Sławek, że zdanie Episkopatu będzie dla katolików w tych sprawach bardziej miarodajne, niż „interpretacje" ustawy konstytucyjnej dokonywane przez znanych mistrzów z klubu B.B. Zwłaszcza, że dyskusja toczona na temat tych ustaw w parlamencie obfitowała w liczne zwroty b. charakterystyczne w na-

szych stosunkach. Oto podane za „Gazetą Warszawską” urywki z tej dyskusji:

„We wtorek dokończono debaty szczegółowej nad projektem rządowym o szkolnictwie prywatnem. Na początku posiedzenia doszło do znamiennej kontrowerji między wiceministrem Pierackim a posłami Korneckim i Strońskim w sprawie znanego wystąpienia Episkopatu.

Wicemin. Pieracki w polemice z pos. Korneckim zaznaczył, że domaganie się jego, by związki religijne nie miały obowiązku, przedstawiając władzy kandydatury na dyrektorów i nauczycieli szkół, starać się dla nich o zaświadczenia władz administracyjnych w sprawie ich moralności i lojalności — oświadczył, że przepis ten jest słuszny i władze mają prawo tego się domagać; gdyż wynika to z prawa nadzoru, zastrzeżonego władzy państwowej w konstytucji. Biskupi — mówił wiceminister — rozumieją to inaczej, a memorjał ich był następstwem wpływu, jaki na nich wywarły komentarze prasy opozycyjnej.

Pos. Kornecki (KNar.) oświadczył, iż twierdzenie ministra i wiceministra nie jest słuszne, memorjał biskupów pojawił się przed dyskusją szczegółową nad tą ustawą, a treść jego jest uzasadniona postanowieniami projektu, który nie czyni żadnej różnicy pomiędzy szkołami, zakładanemi przez związki religijne a osoby prywatne.

P. St. Stroński (KN): W sprawach kościoła, zagwarantowane w konstytucji i konkordacie, jest prawo zakładania i prowadzenia szkół. Kościół pracę tę prowadzi w ciągu wielu wieków, ma wielkie zasługi na tem polu. Tymczasem w ustawie wytwarza się taka sytuacja prawna, że np. oo. Jezuici, zakładając szkoły, mogą się spotkać z takiem traktowaniem, że władza nie zatwierdzi im przedstawionego dyrektora, jeżeli minister będzie dla nich nieżyczliwy. Tak samo dziwne jest żądanie od księdza zaświadczenia o moralności i lojalności. Ustawa daje władzy prawo usunięcia w każdej chwili niemiłego dyrektora lub nauczyciela. Art. 114 konstytucji gwarantuje kościołowi wewnętrzne jego prawa, do których należy i prowadzenie szkół, a ustawa nie może tego prawa ograniczać.

Wicemin. Pieracki uważa, że pos. Kornecki źle go zrozumiał. Nie mówi, że biskupi ulegli wpływowi opozycji, ale urabianie opinji przez opozycję o zagrożeniu losu szkół religijnych mogła obudzić obawy Episkopatu. Słusznie, że w komisji ujawnia się obrona interesów kościoła, ale trzeba także uwzględnić interesy państwa.

Pos. Kornecki. Interesy te nie są przez kościół zagrożone!

Wicemin. Pieracki: Gdzie jest zabezpieczone prawo państwa, gdzie jest kościół zagrożony? Jest tu nieporozumienie. Pos. Bitner (Ch. D.) mówił, że trwa walka państwa z kościołem, kościół nie jest zagrożony w tem, że chcemy mieć w szkołach lojalnych obywateli. Biskupi składają również przysięgę, że będą lojalni dla państwa, księża także. Prezydent daje swą opinję przed mianowaniem księdza na biskupa, nikt nie neguje zasług kościoła. Występuję dziś dlatego, by nie mieszać dostojników kościoła do walki, nie robić z nich piłki — nie używać kościoła za narzędzie.

Punkt ciężkości zagadnienia leży w tem, że panowie z sanacji w swoisty sposób wyinterpretowali sobie pojęcie lojalności. Dla nich lojalnym obywatelem jest tylko czynny i gorliwy zwolennik obecnego systemu — wszyscy inni zaś są conajmniej podejrzani. Dotychczas system tego rodzaju był stosowany w armji, urzędach, samorządach, do pewnego stopnia w sądownictwie, obecnie przyszła kolej na usuwanie „nielojalnych" kierowników szkół prywatnych. Punktem wyjścia do badania stopnia „lojalności' będzie prawdopodobnie sprawozdanie z obchodu tegorocznych imienin min. Piłsudskiego. Oto np. kurator okr. warszawskiego Pytlakowski rozesłał niedawno okólnik, który świetnie charakteryzuje istotę t. zw. wychowania „państwowego". Przytaczamy go in extenso:

„Zbliża się dzień, w którym Wychowawcy znów powiedzą młodzieży, iż wielkim Budowniczym Państwa naszego jest Józef Piłsudski, Pierwszy Marszałek Polski!

Powiedzą też jej, iż budował Państwo Polskie wytężoną pracą całego życia, gorącą wiarą w zwycięstwo i głębokiem poczuciem odpowiedzialności za swe czyny!

Powiedzą wreszcie, iż jest On dla młodzieży szkolnej pięknym wzorem mocnego charakteru i wielkiego serca!

Oto myśl przewodnia uroczystych obchodów, które wszystkie szkoły organizują w dniu Imienin Marszałka. Rozpoczęte nabożeństwami szkolnemi, obchody w programach swych uwzględnią: hymn państwowy (chór, orkiestra), zwięźle i treściwie ujmujące charakterystykę Twórcy Legjonów i nacechowane kultem dla niego przemówienia, chóralne odśpiewanie pieśni legjonowych, deklamacje i t. p., na zakończenie zaś Pierwszą Brygadę (chór, orkiestra).

Programy obchodów winny być ułożone, o ile możności, z udziałem młodzieży, wszystkie zaś części programowe muszą być jaknajstaranniej przygotowane, aby całość uroczystości nosiła wybitnie wychowawczy charakter.

Niezależnie od obchodów szkolnych jest wysoce wskazane, aby dla młodzieży (delegacyj) szkół warszawskich został zorganizowany wspólny uroczysty obchód Imienin Marszałka (bądź akademja, bądź przedstawienie teatralne i t. p.), oraz aby delegacje tej młodzieży z wychowawcami udały się ze sztandarami do Pałacu Belwederskiego, celem złożenia podpisów w Księdze Pamiątkowej (po porozumieniu z Adjutanturą).

W miejscowościach prowincjonalnych Panowie Inspektorowie Szkolni i Dyrekcje (kierownictwa) szkół nawiążą ścisły kontakt z lokalnemi Komitetami, które tworzą się celem uczczenia dnia 19 marca r. b. Jeśli w danej miejscowości organizuje się jeden ogólny obchód, szkoły winny w nim wziąć udział. Jeśli w innej miejscowości jest kilka szkół, pożąda-

nem jest urządzenie wspólnego międzyszkolnego obchodu, o ile warunki lokalne na to pozwolą.

W sprawie odprawienia w dniu 19 marca r. b. uroczystych nabożeństw w kościołach rzymsko-katolickich, zwracam się o wydanie stosownych zarządzeń do Władz Duchownych.

Dyrekcje (kierownictwa) szkół zatroszczą się we własnym zakresie działania, by dla uczniów innych wyznań były odprawione nabożeństwa w odpowiednich świątyniach.

Dzień 19 marca r. b. jest wolny od wszelkich zajęć szkolnych".

Mamy do czynienia z systemem konsekwentnego niszczenia podstaw moralnych życia wewnętrznego Polski. Szkolnictwo „reformy" nie uniknie, zatem trzeba się do niej przygotować i przedsięwziąć odpowiednie posunięcia, aby złagodzić przynajmniej to zło, które ona wyrządzi. Oczywiście przypuszczenia pp. sanatorów, że uda im się nagiąć dusze i sumienia młodego pokolenia do ich zmurszałych i zbankrutowanych poglądów koteryjno-partyjnych są igraszką bujnej wyobraźni i prędzej, czy później prysną w okolicznościach nader smutnych dla nich samych i dla szkolnictwa, jako instytucyj ogólno-państwowej. Doświadczenie dziejowe wskazuje, że młodzież nigdy nie da sobie narzucić a priori poglądów politycznych, czy fetyszyzmu w stosunku do jednostki...

Ale idźmy dalej. Nietylko stanowisko p. Sławka wobec postulatów Episkopatu, ale i inne fakty wskazują, że powiedzenie posła Bitnera o toczącej się faktycznie walce z religją i Kościołem nie jest wcale pozbawione cech prawdopodobieństwa. Wiadomo powszechnie, że podczas komisyjnych obrad parlamentu (ostatnia sesja) duchowieństwo zostało brutalnie zaatakowane przez kilku posłów z B. B., którzy nie działali napewno bez porozumienia z Prezydjum klubu. Klub B. B. jest niezadowolony z Episkopatu i z duchowieństwa z powodu energicznej obrony katolickiego prawa małżeńskiego i wogóle praw Kościoła. Ponieważ zaś ci panowie przywykli łamać per fas et nefas wszystko cokolwiek stanie im na drodze, więc nie brak wśród nich nastrojów i poglądów, aby Kościół potraktować tak, jak potraktowali już administrację, samorządy, sądownictwo, szkolnictwo i t. d.

Od czasu do czasu pojawiają się bardzo znamienne fakty, świadczące o dziwnym wprost stosunku pewnych czynników sanacyjnych do duchowieństwa. Oto np. w grodzieńskim „Nowem

Życiu" ukazał się następujący list otwarty ks. M. Małynicza-Malickiego do starosty białostockiego:

„Drugi już rok kazania moje są pod stałą inwigilacją policji, co w ostatnich miesiącach wreszcie się stało zjawiskiem powszechnem w stosunku do kazań okolicznych proboszczów. Ale widzę postęp w tej inwigilacji. Przez kilka niedziel przyjeżdża do Jasionówki taksówka z Białegostoku, z której, minąwszy miasto, wysiada dwóch panów, aby niepostrzeżenie się dostać do kościoła na kazanie.

Zwykle korzystam z obecności osób urzędowych na kazaniu, aby poruszyć bolączki życia naszego, na przyjazd np. p. starosty 17. 1. br., poruszyłem kwestję inwigilacji kazań, faworyzowania 19 strzelców, a maltretowania 300 (trzystu) druhów S. M. P., i chociaż p. starosta łaskawie się wyrażał „o lojalności i uprzejmości mojej tego dnia", skutek był wręcz niespodziewany: obostrzona inwigilacja.

Dnia 21. 2. br., nie spodziewając się gości, mówiłem na sumie kazanie katechizmowe, nie poruszając kwestyj społeczno-historycznych, pozostawiając je do drugiego kazania podczas „Gorzkich żalów". Wizyta więc delegatów białostockich była chybiona.

Ażeby skarbu państwa nie narażać na koszt: ponad 50 klm. samochodem, djety delegatów z Białegostoku, — zawiadamiam uprzejmie pana starostę, że w czasie postu zagadnienia społeczno-historyczne poruszać będę w kazaniach o Męce Pańskiej, zastrzegam jednak, że gdy mówię o szpiegowskich zabiegach faryzeuszów, o zdradzie Judasza, sądzie Piłata, nie mam i nie chcę mieć na myśli nikogo z czasów dzisiejszych, aby nie zaszło nieporozumienie.

Zawsze i wszędzie lojalny

Ks. M. Małynicz-Malicki."

Niech zastanowią się nad tymi faktami te nieliczne, na szczęście, a nieoględne i pozbawione zmysłu społecznego sfery społeczeństwa katolickiego, które po dziś dzień uważają sanację za czynnik dodatni dla katolicyzmu, za pewnego rodzaju gwarantkę praw katolickich! Czyż może być błąd większy i bardziej jaskrawy? Oczywiście sanacja chciałaby wciągnąć katolików do swojego rydwanu, aby wspaniała i szlachetna ideja służyła jej za parawan popełnionych błędów. Jak by na tem wyszła ideja katolicka w Polsce, nie potrzeba długo się zastanawiać. Wystarczy wspomnieć na przykład Hiszpanji, gdzie pewne pozory dostarczyły wrogom Kościoła argumentu, jakoby Kościół popierał dyktaturę. Każdy kto wytwarza podobne pozory w Polsce, złą oddaje przysługę idei katolickiej i Kościołowi.

* * *

W numerze sanacyjnej „Gazety Polskiej" z dnia 21.II.1932 r. znajdujemy w odcinku scenę 10 aktu III Don Karlosa. Markiz

Poza rozmawia z Filipem II i rzuca między innemi myśli następujące (przekład K. Iłłakowiczówny):

„Sire, wracam z podróży
po Flandrji i Brabancie... Kraj podobny róży
rozkwitłej, lud potężny i z siły ramienia
i z mocy ducha, dobry lud, rzetelnej poczciwości.
Tedym pomyślał: panem być tych wszystkich włości
— Co to za boska rzecz, co za szczęśliwy
los być takiego ludu ojcem!... Wtem na dziwy
potknąłem się o — szczątki stosu i o kości
ludzkie zwęglone... (zamilkł — patrzy w oczy królowi)....
(szybko) Cmentarny pokój to! O królu, zali masz nadzieję
skończyć to, coś rozpoczął?...
Europa z naszj bezradności szydzi, ciesząc się, że Hiszpanji
zwalczać nie trzeba, bo ona sama siebie najboleśniej rani...
...O zerwij z tem nienaturalnem samoubóstwieniem,
które jest zgubą, a stań się nam wzorem i natchnieniem,
wiecznej prawdy wcieleniem.
Nigdy śmiertelnik żaden nie był tak bogato obdarzony,
królowie wszyscy tobie zazdroszczą korony;
stań na ich przedzie nieustraszenie.
Za jednem twego pióra pociągnięciem,
jakby za twórczem zaklęciem
ziemia zmieni swoje przeznaczenie!
Daj nam wolność myślenia... (pada królowi do nóg).

Zaiste, podziwiamy „Gazetę Polską", że zdobyła się na tego rodzaju samobiczowanie. W dzisiejszych naszych stosunkach słowa Schillera brzmią, jak pamflet i nic dziwnego, że scena podana wyżej była najmocniej oklaskiwana podczas wystawienia Don Karlosa w Teatrze Narodowym.... Zdaje się, że absolutyzm stał już u nas bardzo znienawidzony, a tembardziej absolutyzm... „nieoświecony"....

* * *

Dr. Edward Boyé, wygłaszając na terenie Uniwersytetu odczyt o Cervantesie i Don Kichocie, dopuścił się poważnego nietaktu, mn. pozwolił sobie krytykować i przedstawił w b. ciemnych barwach z punktu widzenia pojęć liberalnych z połowy XIX w. urządzenia i zwyczaje hiszpańskie z w. XVII-go i to w obecności posła hiszpańskiego i jego przyjaciół. I tu zaszło, używając własnych słów dr. Edwarda Boyé („Robotnik" № 77) „tragikomiczne nieporozumienie": obecny na odczycie lektor języka hiszpańskiego ks. Amadeus Ponz y Martinez obraził się

tak bezceremonjalnym potraktowaniem historji jego ojczyzny przez cudzoziemca i tłumacząc odczyt posłowi Gil-Delgado y Olazabel, dał wyraz swemu oburzeniu.

Nieporozumienie jest istotnie tragikomiczne, ale tylko ze strony p. Boyé, który pozwolił sobie ot tak bezceremonjalnie, jak to czynią w „Grajdołkach" (własne określenie p. Boyé) — w kaloszach wkroczyć w wewnętrzne sprawy hiszpańskie i z odczytu literackiego zrobić hecę polityczną. Nie dziwimy się wcale, że Hiszpanie się obrazili. Wszak i my nie bylibyśmy zadowoleni, gdyby jakiś Hiszpan, wygłaszając w Madrycie w obecności naszego posła odczyt np. o Kochanowskim, poddał ostrej krytyce ustrój Rzeczypospolitej szlacheckiej w czasach Jagiellońskich, robiąc przytem aluzję do dzisiejszych wyczynów sanacyjnych.

Ale tu zaszła rzecz znacznie gorsza. P. Boyé nietylko nie przyznał się do nietaktu i nie wyraził ubolewania, nietylko w sposób nieprzyzwoity zaczął polemizować z ks. Ponz y Martinezem i poniekąd posłem hiszpańskim na łamach „Robotnika", ale prócz tego, jak chwali się w swoim artykule, wysłał donos do Madrytu na ręce min. spr. zagranicznych i prezesa Najwyższej Rady Oświaty.

Mamy do czynienia z czynem naprawdę wyjątkowym... Dziwić się należy, że „Robotnik", który rzuca hasła demokratyczne i pomstuje na donosicielstwo w stosunkach wewnętrznych zamieścił artykuł tego pana, który stosuje analogiczne metody na terenie szerszym, międzynarodowym. Czyżby „Robotnik" uważał, że obowiązek stosowania tych zasad ustaje wówczas, gdy chodzi o księży!

P. Boyé, pisząc o ks. Martinezie, nadmienia, że „jedząc obecnie chleb republikanów, powinien mieć stanowczo więcej taktu i umiaru w wyrażaniu swoich rojalistycznych przekonań". Tymczasem okazuje się, że zarzut p. Boyé jest zupełnie nieuzasadniony. Bo oto list otwarty słuchaczy ks. Ponza:

„Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z artykułem p. dr. E. Boye'go pod tytułem „Tragiczne nieporozumienie", zamieszczonym w numerze 77 „Robotnika" z dnia 7-go bież. miesiąca, zawierającym między innemi wzmiankę, jakoby ks. Amadeusza Ponz y Martinez, lektora języka hiszpańskiego na uniwersytecie warszawskim cechował brak „taktu i umiaru w wyrażaniu swoich rojalistycznych przekonań" — niżej podpisani słuchacze lektoratu języka hisz-

pańskiego na Uniwersytecie warszawskim proszą o zamieszczenie następującego wyjaśnienia:

Ks. A. Ponz y Martinez w wielokrotnych rozmowach z nami nigdy nie ujawniał swoich przekonań politycznych i nigdy nie poddawał krytyce obecnego ustroju państwowego swojej ojczyzny, toteż artykuł p. dr. E. Boye'go, zawierający najzupełniej nieuzasadnione zarzuty wyrządza krzywdę zasłużonemu działaczowi na polu zbliżenia dwóch narodów.

Stanisław Terechowicz, Janina Ricińska, Cecylja Wardęska, T. Deregel, Tadeusz Westfal, Konstanty Magiewicz, Jerzy Toeplitz, Zofja Handelsman-Targowska, Marja J. Boglewska, Hel. Bychowska, Marja Trojanowska, Karol Rzogaty".

Artykuł p. Boye'go odznacza się iście żydowską perfidją: rozpoczyna od zagadnień literackich, wchodzi w konflikt na terenie zagadnień religijnych, a w końcu, aby zaszkodzić swojemu przeciwnikowi w oczach rządu hiszpańskiego, stawia sprawę na płaszczyźnie: republika-monarchja. Jakim czołem panowie z „Robotnika" mogą głosić swoje zasady demokracji i poszanowania godności przekonań człowieka i obywatela, jeżeli tak ładnie stosują je w praktyce!

Ten przykry wypadek jest dowodem upadku moralnego naszego społeczeństwa, jeżeli takie typy ludzkie mogą bezkarnie się panoszyć. Słusznie Adolf Nowaczyński, czyniąc porównanie między poziomem kultury umysłowej u nas i na zachodzie, dochodzi do pesymistycznych wniosków. Przytaczamy jego uwagi, umieszczone w „Gazecie Warszawskiej":

W Wielkiej Brytanji konfessja rzymska w ostatnich latach czyni olbrzymie postępy. W Londynie założono wolny uniwersytet katolicki (Catolic Truth Society), przy Eccleston-Street, niedaleko Westminsteru. Tygodnik katolicki „The Uniwers", biją w przeszło stu tysiącach egzemplarzy. Foreign-Office nie waha się na tak ważne placówki, jak Sekretarjat Ligi Narodów, lub ambasada w Paryżu, wysyłać katolików (sir Drumond Tyrrel). W parlamencie Labour-Party stale i demonstracyjnie popiera wszystkie postulaty katolickiej ludności. W jesieni, uroczystość sprowadzenia z Francji szczątków Johna Soutwortha, męczennika, prześladowanego przez dyktatora Cromwella i Purytanów, zmieniła się w Londynie w olbrzymią, masową demonstrację angielskiego katolicyzmu.

Bardzo ważny atoli jest zwrot ku katolicyzmowi w literaturze angielskiej i w piśmiennictwie wogóle. Jakże dalekie są te czasy, kiedy Walter-Scott zionął w każdym tomie nienawiścią do katolicyzmu. Wysokie duchowieństwo katolickie miało już takich dwóch świetnych pisarzy, jak kardynał Wisemann (autor „Fabioli"), a później J. H. Newman, głęboki myśliciel, którego dzieła przywróciły katolicyzmowi Stan. Brzozowskiego. Obecnie, ze starszej generacji, żarliwie służą idei katolickiej Hilary Bellor i G. K.

Chesterton. Obaj walczą niezmordowanie w obronie „rzeczy niepopularnych”, przeciw Shylokracji, giełdom, Sassonom, złajdaczonemu dziennikarstwu brukowemu, a w obronie drobnego handlu, małomieszczaństwa, starych tradycyj, merry old England i obaj namiętnie występują za radykalną reformą rolną, która jedynie może uratować imperjum od krachu (latifundia Romam perdiderunt).

Do nich ostatnio dołączyły się dwie indywidualności z generacji najmłodszych, obie cieszące się już wielkim mirem i sławą, jako talenty powieściopisarskie. Pani Sheil Kaye Smith (żona pastora z Sussex), nawróciła się na katolicyzm niedawno i dała literaturze kilka tomów pierwszo rzędnych („Brzask Wszechrzeczy”, „Czarownica”, „Światło niewidzialne”), z których oczywiście ani jedna nie jest tłumaczona na polskie. Konwertytem jest też Compton-Mackenzie, którego dwa pryncypalne utwory („Jak Marek Lidderdal doszedł do katolicyzmu?”, „Stopnie Ołtarza”), oczywiście także nie są dotychczas tłumaczone na polski. Ponieważ przyswaja się polszczyźnie tyle dzieł Wellsa, Lockea, Curwooda, Galsworthyego, ostatnio Russela, przeto możnaby już zaryzykować także tłumaczenie tych katolickich powieściopisarzy. Jest rzeczą bardzo charakterystyczną, że Hilarego Belloca (również i powieściopisarza), tłumaczonego na niemiecki, francuski i włoski język, dotychczas ani jeden tom nie wyszedł po polsku.

Jeszcze zaś z dawnego pokolenia jest jeden pisarz ciekawy, zmarły w r. 1908 autor „Paradoksów Katolickich”, którego powieść, tłumaczona na polski już dość dawno, dopiero teraz jednak nabiera rzeczywistej aktualności. Jest to „Pan Świata” Hugh Bensona. Powieść fantastyczna o przewrocie europejskim koło roku 1947 i rewolucji wszechświatowej. Jeszcze wtedy, kiedy Benson powieść pisał, nie była moda na dyktatorów, a Benson daje postać dyktatora Europy, Juljana Felsenbinga... Kontynent się laicyzuje, we wszystkich szkołach nauka religji jest zakazaną... Indje odpadają od Anglji... masoni wszędzie obejmują władzę... na Wschodzie Azjatyckim wybucha wojna... Cywilizację ratuje Katolicyzm i Rzym.

Tę powieść („Pan Świata”) pisał syn anglikańskiego biskupa, Hugh Benson.

Z dziwnem uczuciem wraca się od lektury takiej dosłownej arystokracji intellektualnej zachodnio-europejskiej, od takich autorów jak Benson, Chesterton, Belloc, do tej hołotnej, wulgarnej, śmierdzącej mierzwy agnostycznej, jaką teraz wygarniają masowo przed inteligencję stołeczną nadwiślańskie guanofagi i producenty stęchłej wolnej myśli i apaszowskiego „jakobinizmu”. Gdy się czyta takie staroświeckie, w stylu pana Hornais z przed lat 50-ciu ataki i napaści na Chrystjanizm jakichś Ułaszynów, którzy są pono profesorami uniwersytetu (poznańskiego!), a potem bierze pierwszy lepszy tom Chestertona, widzi się jasno, w jakiem eurazjatyckiem barbarzyństwie tkwią ci, co niby niosą światło narodowi, wyzwalając go z pęt „religjanctwa” i jaka przepaść całych warstw i formacyj kultury leży między takim profesorem uniwersytetu ze Sarmacji-Sanacji a starym dorożkarzem, który obwozi Chestertonowskiego księdza Browna po... Whitechapel.”

Rozmaite Ułaszyny, Boyowie-Żeleńscy i Boyé zanadto się u nas rozpanoszyły. Kiedyż to pojawi się w Polsce, tak, jak w Anglji — zwarta plejada pisarzy katolickich, którzy w odpowiedni sposób potraktują ten najazd czarnosecinnych i czerwonosecinnych pogrobowców liberalizmu...

* * *

Żyjemy w okresie wzrastającej nędzy szerokich mas proletarjatu. Inteligencja katolicka za mało zdaje sobie z tego sprawę, za mało wczuwa się psychicznie w cierpienia i potrzeby innych warstw społecznych. To też dla wielu ludzi prawdziwą rewelacją będzie artykuł Z. Zaleskiej ogłoszony przed kilku tygodniami w „Kurjerze Warszawskim" p. t. „Misje nowoczesne":

„— Proszę pani, chciałym dostać kartkę do chrztu.

— Proszę pani, mój chłopiec taki chętny do nauki, a już pół roku do szkoły nie chodzi.

— Proszę pani, żeby to moje mogło do przedszkola się dostać; pani katechetka obiecała.

— Proszę pani, ja tylko dwa słowa chciałabym na osobności... według ślubu.

Moja przewodniczka znika gdzieś w ciemnem przejściu. Na mnie — tę obcą — patrzą dziesiątki oczu; z za przepierzeń z gałganów, papieru, desek wychylają się głowy ludzi, stłoczonych na gromadę w tych barakach, na Okopowej 59, tylko ci, co pod ścianami zdołali miejsce „złapać", mają nieco światła, zaś pośrodku żyją ludzie w ciemności; chorzy miesiącami leżą w mroku, a obok pełzają po brudnej ceglanej z wyrwami ziemnemi podłodze małe dzieci blade i zamorusane, błękitne ślepki wznosząc w górę i — w tym tłoku ucząc się znajdować sobie miejsce bez naprzykrzania się starszym, przegryzionym troską do głębi duszy.

Idziemy jakby kurytarzem, stworzonym, przez te na sznurkach pozawieszane z gałganów i papieru zasłony, za któremi rodziny bezdomnych tworzą sobie złudę odosobnienia. Iluż tu ludzi! I jakie mrowie dzieci!

Na Annopolu około 8.000, na Żoliborzu — około 6.000, w Polusie — 2.200, na Okopowej—1375, na Powązkach—658, na Lesznie—620 ludzi.

Wszyscy razem stłoczeni, zmuszeni do najcięższej doli: wspólnego dachu, pod którym kłębią się ich nędze, bóle, rozgoryczenia w coraz gorszą plątaninę. Zwierz ma jamę własną, osobną, człowiek XX wieku ma — barak wspólny, gdzie podpatrują go obce oczy każdej chwili".

Publicystka opisuje ciężkie warunki życia i nędzy tych ludzi, a także ich upadek moralny, bo wszak według słynnego powiedzenia św. Tomasza z Aquinu, do praktykowania cnoty też jest potrzebne pewne minimum egzystencji. Tego minimum ci ludzie nie mają i dlatego społeczeństwo katolickie musi im przyjść z pomocą, jeżeli nie chce od nich usłyszeć zupełnie zasłużonego

przekleństwa. Na szczęście znaleźli się ludzie dobrej woli o sumieniu i sercu chrześcijańskim, którzy ocalili honor stolicy. Gdyby ich bowiem nie było, cóż można byłoby powiedzieć o cywilizacji i kulturze chrześcijańskiej w Stolicy Polski, która pozwala, aby takie rzeczy działy się na jej terytorjum. Czytamy dalej w artykule:

„I oto w tych barakach kazania misyjne ojca Leona Redemptorysty skłaniają na Annopolu 1500 ludzi do spowiedzi, nakłaniają żyjących „na wiarę” do zawierania ślubów, a matki (są takie, które same jeszcze nie chrzczone) do przyprowadzania dzieci do chrztu. Nowoczesne misjonarstwo w nowoczesnym pogańskim świecie! W stołecznem mieście chrześcijańskiego państwa, a nie — w puszczach Afryki.

Do pomocy misjonarzowi staje Stow. Św. Wincentego á Paulo. W ciągu dwóch lat doprowadzono 153 związki „dzikie” do ślubu; ochrzczono 70 dzieci, przeprowadził z niemi o. Leon katechizację, ubrał — bo to półnagie było, wyspowiadał, doprowadził do bierzmowania, którego udzielił ks. biskup Szlagowski. Stworzył całe biuro porad, które wydobywa metryki, akty, przeprowadza w konsystorzu sprawy tych, którzy w związkach dzikich żyją, nie mając dowodu zgonu pierwszego męża czy żony, zaginionych bez wieści w okresie wojny.

Rozrasta się ta praca coraz więcej. Przed 2 laty zaczęło się od 1 kobiety z sekty Hodura, nawróconej przez o. Leona, mieszkanki baraków, której misjonarz zlecił, aby mu przyprowadzała owe dzikie małżeństwa i dzieci niechrzczone. Pomagać jęły w tej akcji pojedyńczo różne osoby. Wreszcie przed kilku miesiącami zawiązała się specjalna „sekcja barakowa” zw. czcicielek Serca Jezusowego. Celem jej zasadniczym jest opieka moralna, w której współpracują z opiekunkami baraków katechetki ze Związku katolickiego Polek, prowadzące katechizację dzieci, ale niepodobna obejść się bez opieki i materjalnej. Oto naprzykład jakaś para nakłania się do zawarcia ślubu i chce dzieci ochrzcić, — trzeba wydobyć ich metryki, dać obrączki, jakieś ubranie przyzwoite, potem odpis aktu ślubu, koszt ogółem wynosi 45 zł. A trzebaż jeszcze ubrać do chrztu i Komunji. Trzeba umożliwić im uczęszczanie na katechizację. Trzeba dorosłym i młodzieży dać książkę dobrą do ręki, nietylko pogadankę i rekolekcje”.

Akcja charytatywna bardzo słabe ma poparcie wśród nowej inteligencji katolickiej. Jest, nie można temu zaprzeczyć i rozwija się na szczęście, zwłaszcza w młodym pokoleniu czyni pewne, choć nie wielkie postępy. Rozwój jej jednak jest zbyt powolny, z jednej strony zahamowany ciężkim kryzysem gospodarczym, który przecież i inteligencji daje się we znaki, z drugiej zaś strony—brakiem uświadomienia i zrozumienia zasad katolicyzmu społecznego.

Ale nietylko akcja charytatywna... Także i rozwój chrześcijańskiego ruchu zawodowego jest za powolny i zbyt słaby jedynie i wyłącznie z powodu braku dopływu i współpracy inteligencji katolickiej. Trzeba to sobie powiedzieć wyraźnie: inteligencja katolicka pod względem społecznym nie zdała egzaminu dziejowego. Umie ona krytykować bardzo surowo istniejące u nas i pracujące w ciężkich warunkach organizacje robotnicze chrześcijańskie, ale pójść do nich, podać im rękę i współpracować z nimi—nie potrafi. Zauważyli ten objaw niektórzy przedstawiciele duchowieństwa. I oto cytujemy ciekawy artykuł ks. Stanisława Buchały, zamieszczony na łamach „Głosu Narodu":

„Tą aktualną, żywotną wciąż kwestją to potrzeba silnych, zawodowych organizacyj robotniczych, opartych o wiekopomne Piusowe i Leonowe zasady z encyklik o kwestji społecznej. Tyle się dziś mówi o akcji katolickiej i nie mniej pisze. Rozumie się ogólnie przez nią udział świeckich katolików w pracy nad szerzeniem i pogłębianiem katolicyzmu w świecie w teorji i praktyce. Do tej akcji tak szeroko pojętej, trzeba wciągnąć i świat robotniczy, ze względu, że to świat szeroki, wpływowy przez swoje masowe organizacje, a jakże zaniedbany i na zatratę dla Kościoła narażony. Mówi się, że zyskać inteligencję dla Kościoła to problem królewski duszpasterstwa współczesnego. Nie myślę temu przeczyć. Ale utrzymać przy Kościele masy robotnicze, zacieśnić węzły, łączące je z wiarą, albo gdzie one są obce, lub obojętne dla Kościoła z powrotem je do niego zbliżyć, to problem zaiste cesarski. A drogą, którą te masy robotnicze oddalają się od Kościoła to bezsprzecznie związki zawodowe, oczywiście te niechrześcijańskie. — Przez klasowe, czy inne niechrześcijańskie zawodówki, dostają się robotnicy katoliccy p d wpływy ludzi niewierzących lub obojętnych religiinie, dostają się następnie pod kulturalne wpływy laickiego światopoglądu, kończą w politycznych stronnictwach, programowo nastawianych na walkę z Kościołem. Ale może być odwrotnie. Dobrze postawione i mądrze kierowane chrześcijańskie zawodówki kierują robotnika do oświatowych, kulturalnych organizacyj, gdzie się wyrabia jego chrześcijański światopogląd, a tam wyrobiony stanowi taki robotnik pierwszorzędny materjał do pracy czy to w akcji katolickiej, czy w trudnej, odpowiedzialnej, politycznej działalności katolickiej. Oddalanie robotnika od Kościoła zaczyna się od przystąpienia do niechrześcijańskiego związku zawodowego. Powoli, krok za krokiem, nić za nicią zrywa się węzły łączące go z Kościołem. Trudno mieć potem żal do takiego człowieka, który dla chleba wstąpił do klasowego związku zawodowego, skoro nie było chrześcijańskiego. Stąd wniosek, że w zakres nowocześnie pojętego duszpasterstwa powinien być wciągnięty zawodowy, a potem oświatowy związek chrześcijańskich robotników.

Pewnie, że to rzecz daleko trudniejsza, niż założenie i prowadzenie kościelnego bractwa, zwłaszcza niewieściego. Ale też nikt nie wymaga, by duszpasterz stawał na czele walczących o swe prawa kadr robotniczych;

winien natomiast przyczynić się do powstania takiej organizacji, ułatwić centrali jej założenie, otoczyć ją potem życzliwą opieką, czasem sprostować mylne o niej wyobrażenia w sferach pracodawczych. To się już dawno stało w Niemczech, potem w Belgji. Zatem teraz kolej na Polskę, by księża nietylko rozumieli potrzebę takiej pracy w ośrodkach przemysłowych, gdyż takich jest wielu, ale by i czynnie do tej pracy przyłożyli rękę, bo dziś jest tak w niektórych diecezjach, że duchowieństwo, pracujące w organizacjach zawodowych, czy oświatowych robotniczych, to naprawdę wielka rzadkość. Rola ludzi stojących na uboczu jest bezsprzecznie wygodniejsza. Na zebraniach katolickich robotników słyszy się ustawicznie nawoływania, skierowane w stronę duchowieństwa i inteligencji katololickiej o współpracę. Sposobność doskonała do zrealizowania akcji katolickiej. Pomóż im, by sobie pomogli sami. To wołanie głośnem echem powinno odbić się zwłaszcza w dzisiejszych czasach, kiedy wszystko zdaje się wskazywać, że wśród ogólnego „tohu wabohu"—novus ab integro saeculorum nascitur ordo (nowy z gruntu rodzi się porządek wieków). Mówić, że Kościół ma na to czas, bo jest wieczny, przyprawiło już nieraz katolicyzm o pokaźne straty. — Oczy Rzymu patrzą daleko, a jak to widać z orzeczenia Kongregacji Soboru, o której donosi KAP, uważają tam Ch. Z. Z. za conditio sine qua non (warunek nieodzowny) wpływu jakiegokolwiek na robotnicze masy".

Nie można stawiać w tej dziedzinie specjalnie zarzutów duchowieństwu. Niewątpliwie pod względem akcji społecznej nie stoi ono absolutnie na wysokości zadania. Musimy jednak pamiętać, że duchowieństwo jest częścią społeczeństwa i trudno wymagać, aby odbiegało swoim poziomem zbyt dużo od poziomu ogólnego całego społeczeństwa...

Trzeba stwierdzić, niestety, że społeczeństwo nasze (jego inteligencja) jest zbyt konserwatywne w swoich poglądach społeczno-gospodarczych, pod tym względem stoi na poziomie połowy XIX w. Inne prądy, jak socjalizm i liberalizm też nie wychodzą u nas poziomem swojego rozwoju poza wiek XIX w porównaniu do społeczeństw zachodniej Europy. Gdyby katolicy byli bardziej postępowi w swoich poglądach społecznych, bardziej ruchliwi i przedsiębiorczy w tej dziedzinie, wówczas także radykalizm liberałów i socjalistów musiałby uledz pewnemu stępieniu w zetknięciu z większą energją kinetyczną katolików.

Na nieszczęście tak nie jest. Cóż więc nam pozostaje. Trzeba położyć większy nacisk na wychowanie przynajmniej młodego pokolenia w zasadach Rerum Novarum i Quadragesimo Anno i to w ten sposób, aby zasady te nietylko głosili, ale także i wykonywali, aby z tego pokolenia wyszedł zastęp dzielnych

pracowników i kierowników inteligentnych ruchu robotniczego. Jeżeli tego nie uczynimy, fatalne skutki zaciążą nad rozwojem katolicyzmu w Polsce... *S. J. K.*

Antyklerykalnemu p. Syruczkowi w odpowiedzi.

Mój artykuł p. t. „Napaść na zjazd pisarzy katolickich", umieszczony w № 3 „Pro Christo" nie przebrzmiał bez echa. W № 11 „Kultury" pojawiła się replika p. Syruczka p. t. „Głos z puszczy dziewiczej", w którym napada na mnie za ustosunkowanie się do jego ataków na zjazd pisarzy katolickich. Pod względem rzeczowej argumentacji nowy elaborat p. Syruczka nie przynosi niestety nic nowego, jej braki usiłuje przysłonić złośliwemi uwagami personalnemi i płytkiemi dowcipami. Trudno każdy daje to na co go stać. Jedno należy wszakże podkreślić, wbrew dotychczasowej praktyce t. zw. „Obozu postępowego" niema aluzji do „średniowiecznej ciemnoty". Społeczeństwo katolickie występuje tu jako „puszcza dziewicza". Termin ten to zapewne reminiscencja z lektury Boy'a, który jak wiadomo z lubością operuje pojęciem „dziewictwa". Nawiasem mówiąc lepiej być „puszczą dziewiczą" niż rachitycznym laskiem podmiejskim; przeciwko temu porównaniu nie mamy powodu protestować. Według nas w społeczeństwie katolickiem tkwi wiele sił potencjalnych, twórczych, czyli używając terminologji mego polemisty „dziewiczych". Okoliczność, że ogół narodu polskiego, w przeciwstawieniu do jednostek, jest zdrowy moralnie i fizycznie, niezdeprawowany i niezblazowany jest źródłem naszej wiary w przyszłość Polski.

Przypominamy p. Syruczkowi, że ironja jest niebezpieczną tylko w rękach tych, którzy umią się nią posługiwać. Jeśli się nie ma danych na jubilera, to już lepiej być nadal kowalem i kuć stare, oklepane „kawały". Radzimy przypomnieć sobie o tradycyjnem „średniowieczu". Pocóż silić się na nowe metafory, niegrzeszące ani dowcipem ani trafnością sądu, kiedy ma się pod ręką wypróbowane „powiedzonka".

Pragnę mu także na tem miejscu podziękować za troskliwe

rady w stosunku do mojej osoby. Z jedną tylko się nie zgodzę mianowicie z przestrogą o niewywoływaniu wilka z lasu. Zawsze twierdziłem, że drapieżników i szkodników trzeba tępić, a nie czekać, aż się rozzuchwalą bezkarnością. Zresztą te „groźne wilki" zbliska stają się zazwyczaj zwykłemi „farbowanemi lisami".

Nie podoba się p. Syruczkowi określenie jego poglądów słowami: obłuda, perfidja, demagogja. Trudno demagogję uznać za objektywizm. W poprzednim artykule zaznaczyłem, że wierzę, iż w obozie liberalnym są przeciwnicy, którzy walczą otwarcie i po rycersku, żałuję bardzo, że poczucie sprawiedliwości nie pozwala mi do nich zaliczyć p. Syruczka.

Zarzuca mi, że nie odpowiedziałem na wszystkie jego wątpliwości. Artykułowi p. Syruczka poświęciłem przeszło cztery strony; tematu całkowicie wyczerpać nie mogłem, gdyż im dalej w głąb tem więcej delikatnie mówiąc nieścisłości. Wybrałem z konieczności tylko „wonniejsze" i jaskrawsze kwiatki. Trudno pisać o niewielkim artykuliku całą monografję; sądzę, że to jest całkowicie zbyteczne, choćby ze względu na jego niezbyt wysoki ciężar gatunkowy.

Co do uczestników zjazdu, to mogę p. Syruczka zapewnić, że każdy z nich może się wylegitymować pracą publicystyczną. Nie może odemnie jednakże wymagać, abym opracowywał poszczególne bibljografje. W każdym razie jest to rzecz możliwa i jako taką gorąco mu ją polecam. Wyjdzie mu to z pewnością na dobre, bo poznawszy prace swych przeciwników straci mocno na megalomanji i tupecie.

Aby usunąć różne „wątpliwości" p. Syruczka co do celowości udziału duchowieństwa w jeździe, stwierdzam, iż w danym wypadku obojętnem jest, czy kto jest duchownym czy też świeckim. Istota rzeczy polega na tem, aby był **pisarzem** i to **pisarzem katolickim.** My dla sukni kapłańskiej odczuwamy szacunek, a nie nienawiść, tak jak p. Syruczek, który ze swemi poglądami spóźnił się o kilkadziesiąt lat. Więcej współczesności!!! Trudno bezustanku tkwić w XIX wieku. Do przeszłości należą te czasy, gdy popłacało krzyczenie na księży przy jednoczesnym oblekaniu się w maskę „prawowiernego katolika". Nadeszła pora, aby otwarcie się opowiedzieć, czy się jest z tej, czy z tamtej strony barykady. My w pańskie „katolickie" intencje i tak nie uwierzymy. Pocóż więc troszczyć się o orga-

nizacje katolickie, pocóż wzdychać „do manifestacji katolicyzmu za pośrednictwem pisarzy o równym stopniu artyzmu co i temperatury wiary?” Tembardziej, że samemu ma się kłopoty zarówno z tym talentem, jak z ową temperaturą. Medice cura te ipsum.

Replika p. Syruczka utwierdziła nas jeszcze w tem mniemaniu, jakie mieliśmy o nim i jego metodach. Czas wreszcie, aby zmodernizowany typ molierowskiego „Tartuff'a, przestał być aktualnym i przeszedł do lamusa jako zabytek minionej epoki. Szanujemy wszystkie poglądy, ale żądamy jednego: nie gnić w strupieszałych metodach ateizmu XIX wieku.

Miejsca dla ludzi żywych! *Józef Lubicz.*

DZIAŁ LITERACKO - OPISOWY.

Wśród ludzi, zdarzeń, pism i książek.

Ewolucjonizm na spacerze. Jest piękne południe niedzielne. Słońce przygrzewa i świeci olśniewająco. Pora w sam raz do spaceru. Warszawa nie daje się długo prosić. Trotuary wypełniły się ruchomą, zwartą masą przechodniów, która sunie, zlekka kołysząc się i wlewając w szeroko rozwarte bramy parków. Depcze się po piętach swym poprzednikom, ale równocześnie spotyka cię ta sama przyjemność z tyłu. Choć się bynajmniej nie nasłuchuje, raz po raz wpadają w uszy fragmenty rozmów.

Idzie jakaś para. Ona młoda, zgrabna, przystojna. Rozmawia i śmieje się dźwięcznym głosem. On ma na ramionach trzy gwiazdki. Kapitan, a więc już człowiek starszy. O fizjognomji najlepiej nie wspominać.

— Ale ja pani mówię, że tak jest naprawdę—perswaduje głuchym basem towarzyszce.

— Akurat, bo pan to powiedział, więc mam zaraz uwierzyć? Czy tak?

— Przedewszystkiem nie ja, tylko uczeni. Niech pani weźmie poważniejsze dzieło, a przekona się pani, że Darwin

mówił o pochodzeniu człowieka od małpy, potem jego uczniowie... Człowiek—to właściwie wyższy gatunek małpy.

— I pan w to wierzy?

— Najzupełniej.

— To pan pochodzi od małpy?

— A oczywiście.

— Wie pan, co panu powiem: może mężczyźni pochodzą od małp, ale, co do kobiet, to jestem pewna, że nie mają z małpami nic wspólnego.

Chwila ciszy. Oboje milczą.

— Ale słońce dziś mocno grzeje — zauważa dla podtrzymania rozmowy zmieszany potomek małpy.

— Tak grzeje...

Dalsza rozmowa o pogodzie była już całkiem konwencjonalna.

Jeszcze o małpach. Zdarzyło mi się być w pewnem towarzystwie literackiem na pewnej dyskusji. Miała ona być na temat literacki, lecz dyskusje w owem towarzystwie dziwną mają skłonność do odbiegania od tematu. Dyskutowano kiedyś o etyce Żeromskiego, zjechano na kwestję, czy prostytucja jest potrzebna i czy wobec tego powinna być zwalczana. Tym razem stało się podobnie. Głośna książka pisarza amerykańskiego stała się właściwie odskocznią, bo cała dyskusja poszła w kierunku rozważań na temat reformy seksualnnej, oczywiście pojętej jak najliberalniej. Tykano się wszystkiego. Znalazł się amator nudyzmu, inny nie zborgował o. Pirożyńskiemu, inny wreszcie wygłosił pochwałę nowego projektu prawa małżeńskiego.

— Chcemy rozwiązania tej palącej kwestji na platformie materjalistycznej, bez całej tej bzdurnej metafizyki różnych czcigodnych panów, bez ich szanownych głupstw — zapalał się któryś z dyskutantów.—Dość nam tego!

Dyskusja stawała się namiętniejsza z każdą minutą. Ciekawa historja! Że też najbardziej kwestjami rozwodowemi interesują się ludzie młodzi, którzy nie mieli jeszcze czasu poznać małżeństwa z... autopsji! Nic dziwnego, że ludzie starsi czuli się sprowokowanymi takim obrotem rzeczy. Głos zabrała pewna lekarka. Mówiła całkiem interesująco z dużą dozą słuszności; przekonywała młodych materjalistów, że bez nadbudowy metafizycznej małżeństwo nigdy nie będzie związkiem trwałym;

aż nagle w uszy słuchaczy wpadł wśród największej ciszy, passus niespodziewany:

— Wszystkie zwierzęta wytworzyły gatunki, doskonalsze od siebie, tylko człowiek i małpa nie wytworzyły. A właściwie małpa wytworzyła człowieka, tylko człowiek nie wytworzył nic. I właśnie coś doskonalszego powinniście wytworzyć wy, młodzi, bo wstyd dać się zdystansować małpie.

Jakaś młoda osóbka, która rok temu zapewno siedziała jeszcze na ławce gimnazjalnej, zauważa z westchnieniem:

— Jak ci ludzie gwałtem chcą pochodzić od małpy! Czy Twórca do stworzenia człowieka potrzebował aż małpiego pośrednictwa?

Masz rację, panienko.

Uczeni mówią... Miałem ostatnio okres odczytomanji. Przez kilkanaście dni prawie codzień byłem na jakimś odczycie. Z różnych bywały zakresów: i literackie, i społeczne, i przyrodnicze, i polityczne. Nasłuchałem się najrozmaitszych rzeczy. Dowiedziałem się dużo nowych.

Pewien podróżnik, co powrócił niedawno z Jawy, opowiadał, że, według Jawańczyków, małpa — to nic innego, jak zdziczały człowiek. Legenda jawańska opowiada, że dwoje dzieci, chłopiec i dziewczynka, poszło z matką na skraj dżungli bodaj po orzechy kokosowe czy coś podobnego. W czasie zbioru zabłądziły w dżungli, z biegiem czasu stały się dziksze, porosły włosem, ale, gdy się przyjrzeć ich potomstwu można wyraźnie nawet dziś jeszcze rozpoznać rysy ludzkie. Po ludzkich przodkach małpom tym, z europejska zwanym gibonami, a przez tubylców o-a, pozostała jeszcze jedna zdolność:—potrafią wyśpiewać całą gamę. Nawet orang-utan w dosłownym przekładzie znaczy „leśny człowiek". Tak twierdzi niecywilizowany Jawańczyk, który małpę uważa za zdegenerowanego w kazirodczym związku człowieka. Człowiek cywilizowany dla odmiany poczytuje sobie pochodzenie od małpy za zaszczyt. Cóż robić z upartymi! De gustibus non...

— A na innym odczycie dowiedziałem się, że małpy nie potrafią właściwie budować odpowiednich dla siebie legowisk. Są pod tym względem ogromnie niedbałe. Ptaki, jak np. tkacze afrykańskie, owady, jak tamtejsze również termity, ryby, wszystkie te zwierzęta, pomijając inne ssaki, budują sobie schronienia,

wprowadzające w zdumienie pomysłowością i techniką wykonania (bez pomocy narzędzi!), jedynie małpy, „krewniaczki” człowieka, który stwarza cuda architektoniczne, są niedorajdami. Ze względu na takie wysokie pokrewieństwo powinny chyba mieć chociaż kapkę więcej.

Kartka z dziennika zesłańca. Nazbierało się mi w ciągu lat papierów różnych coniemiara. Mam rozmaite dokumenty urzędowe z czasów przedrozbiorowych, autografy znakomitości, a czasami plątają się jakieś kartki czy świstki z przed dziesiątków lat, z których treścią sam jeszcze nie zdążyłem się zapoznać. Tak było do ostatniej chwili z fragmentem dziennika Wojciecha Grochowskiego, na który nie zwróciłem jakoś uwagi. Właściwie cały fragment — to jedna tylko kartka, uszkodzona przez wilgoć, z żółtemi plamami, u góry wyskubana ze szkodą dla tekstu, który wypisany jest drobnem pismem, częściowo atramentem czarnym, częściowo niebieskim. Koniec jednej zapiski trudny do zrozumienia z powodu swej fragmentaryczności, druga natomiast przynosi refleksje po zwiedzeniu dwuch soborów w Petersburgu.

Grochowski był czas jakiś zesłańcem. Dostał się na zesłanie jeszcze w połowie ubiegłego wieku, mniej więcej wtedy, co i Narcyza Żmichowska. Łączenie tych dwuch nazwisk nie jest bezpodstawne, łączyła bowiem tę parę przyjaźń. Już potem w dobie przygotowań powstania, Grochowski, przyjmujący wysłanników Towarzystwa Demokratycznego z Paryża, przybyłych do Warszawy via Poznań, wprowadzał ich na Miodogórze do Królestwa Narcyzki, lecz teraz, gdy musiał przebywać zdaleka od kraju, Żmichowska pamiętała o nim. Czy pisała listy, nie wiem, ale wiem, że posłała Grochowskiemu w głąb Rosji obrazek francuski z Matką Boską Niepokalanie Poczętą, a wiem dlatego, że ta pamiątka po wielkiej pisarce jest dziś w mojej kolekcji autografów. Obrazek koronkowy, miedzioryt, na stronie spodniej modlitwa po francusku pod tem zaś ręką Żmichowskiej lapidarny podpis: „od Narcyssy". Podpis zżółkły, przybladły! Więcej nie mogła napisać, bo sama też zakosztowała „słodyczy” moskiewskiego więzienia i musiała się mieć na baczności.

Jednak ten obrazek ma swoją wymowę. Dlaczego Matka Boska, nie Kościuszko czy Mickiewicz np.? Musi Narcyzka nie

była taką znowu antykatoliczką, jak ją wymalował w swych artykułach i wydawnictwach rewindykacyjnych dr. Boy-Żeleński. Pozwalała sobie kobiecina na wypady antyklerykalne czy antyjezuickie, nawet Grochowski nie zaszczyca przyjaznem słowem Jezuitów, gdyż nie było to w modzie wśród entuzjastek, w gruncie rzeczy wszakże, pomimo pozornie chłodnego racjonalizmu, ludzie to religijni, podchodzący do wiary od strony uczucia raczej niż rozumu. Ciekawym dokumentem na potwierdzenie tego jest właśnie fragment z dziennika Grochowskiego. Czas więc wrócić do niego.

Ustęp. który nas będzie obchodził datowany jest „dn. 1.13 paźdz. 1860 w hot.". Grochowski wracał wtedy do kraju, by niebawem rozpocząć działalność pedagogiczną i potroszę konspiracyjną, ostrożną jednak, by nie wpaść w łapki żandarmów.

„Obejrzeliśmy—pisze—sobory Iz. i K. Znów też wykrzykniki: Boże! co też to kosztuje. Czemuż innego nie doznawaliśmy jeszcze uczucia—oprócz podziwu i prawie przestrachu. Nie mógłbym się modlić w takiej świątyni; bo jak tu przysłonić się do tych przepysznych niezmiernych głazów. Więcej niż o Bogu—dobrym Ojcu, miłującym ukorzonych w prostocie serca — myśli się o tym, co stawił tę świątynię. Tu jakby dumne Tytany chcieli zarozumiale pochełpić się z potęgą swoją, wiedzą i skarbami. Myśl, zdziwiona i wylękła, ich raczej szuka niż Boga i niedaleko potrzebuje szukać—bo... ich wódz na olbrzymim biegnie *) i sam olbrzymiej postaci, dumny i groźny, w gwałtownym galopie pędzi ku świątnicy. Patrząc na ten pomnik **) i tę świątynię, przyszły mi naiwnie do głowy wiersze Pola z Przyp (owieści) Winnickiego o synu, gdy, koniem śmiało tocząc, minął figurę, nie uchyliwszy czapki, i zuchwale najeżdżał na ojca. Do myśli polskiej, bardziej wiejskiej i piastowskiej, nie przystają takie przybytki. Ona korniej uchyla się przed Panem wśród skromnych ścian drewn (ianego) kościoła. Wokół szumią wyniosłe topole i rozłożyste kasztany; między nią a niebem nie staje nikt z ziemskich potentatów — czuje się pokorną lecz nie pognębioną, bo

*) Wierzchowcu.

**) Pomnik Piotra Wielkiego w Petersburgu, znany tak dobrze z poezji Mickiewicza, Puszkina i wogóle z literatury rosyjskiej, gdzie stał się niejako symbolem, dodać nie zawadzi, że jest to pierwszorzędne dzieło sztuki, jeden z najpiękniejszych pomników w Europie.

tylko Bóg nad nią wielki i potężny lecz łaskawy, a zresztą podobnież maluczczy, słabi, równi ludzie. Takie porównanie przychodziło mi na myśl osobliwie po wyjściu z naszego wiejskiego paraf(jalnego) kościoła. Obszerny lecz nie wysoki, a ocieniony drzewami... Przez drobne szybki... słońce—to czystym, rzęsistym po nawie rozleje się (deszczem), to znów drżące, palczaste przesłonią je liście (i przaz ten witraż) siatkowy tajemniczo faluje po obszernej podłodze kościelnej niby lekki dym z kadzielnicy lub chmurki aniołów-stróżów, co przebiegają od ziemi ku niebu, przenosząc modlitwy ukorzonych przed Panem i Jego dla nich łaski. Niezmiernie lekko, błogo robi się w duszy—serce mięknie i łzy występują na oczy, kornie lecz z mocną ufnością wznosząc się ku niebu".

Ciekawy fragment! I treściowo i formalnie. Forma znakomita. Nic to dziwnego. Kiedy się było nauczycielem Sienkiewicza...

Szkoda, że Grochowski nie pisał dziennika przez dłuższy okres. Miał i myśli ciekawych, i obserwacyj, i wspomnień, godnych utrwalenia, zupełnie dość. Szkoda!

Niepodjęty spadek. Spotkałem dzisiaj przyjaciela z czasów szkolnych. Jest poetą i teoretykiem kinowym. Przyniósł mi zaproszenie. Znowu na odczyt. O palących zagadnieniach filmowych.

Ponieważ w „budzie" robiliśmy dużo wrzasku wokoło pisma literackiego, pytam o jego utwory najnowsze.

— Mam już dwa tomy. Jeden nawet wyjdzie niedługo. Mam wydawcę. A drugi będzie par excellence społeczny.

— Wolno spytać o tytuł?

— Może „Kroki", może „Sygnały". Boję się tylko, żeby mi książki nie skonfiskowali.

— Czyżby aż tak? I za cóż mieliby konfiskować?

— Radykalne teorje społeczne nie podobają się naszej cenzurze.

„Radykalne"? To powiedziane zręcznie, ale nie znaczy nic innego, jak „komunistyczne". Daleko zaszedł ten mój znajomek. A w szkole takim był nieugiętym. Opowiadał, że ma bezdzietnego wuja, lorda angielskiego, a może... islandzkiego, który chce mu zapisać cały olbrzymi majątek pod warunkiem, by przeszedł na protestantyzm. Ale on oczywiście jest wiernym katolikiem.

Kto słyszał wyrzekać się wiary dla majątku! Tak było przed laty. Dziś posunął się dalej, niż wymagał wuj, a spadku po nim nie znać. Tak, tak, tempora mutantur...

Stolica i dżungla. Jestem dla moich pań w domu „ramieniem męskiem”, to też nolens volens muszę czasami asystować na różne wizyty, bo, gdy przyjdzie późno wracać... Właśnie chodzi najwięcej o to wracanie nocą. Ostatnim razem wracaliśmy grubo po północy jedną z bardziej ruchliwych ulic śródmieścia, gdzie pełno światła i pełno ludzi, aż tu do moich pań przyłącza się jakaś dziewczyna. Jest mocno zdyszana.

— Panie pozwolą —tłumaczy się, oddychając szybko—wracam od pracy. Nie mam pieniędzy na taksówki, więc chodzę pieszo. A tu nie można przejść samej kobiecie spokojnie. Raz po raz ktoś zaczepia. Jacy ci mężczyźni dzisiejsi ordynarni. Przed chwilą dwuch mnie goniło. Musiałam uciekać.

Działo się to w śródmieściu stolicy!

Moje panie zaczęły głośno współczuć. Mnie opanowała obcesja skojarzeń. Przypomniały mi się słowa pułk. Hamiltona, twórcy i dyrektora słynnego rezerwatu południowoafrykańskiego, parku Kruegera, wypowiedziane do gości z Polski.

O zachodzie słońca znaleźli się w sercu puszczy na ścieżce zwierzęcej, wiodącej do wodopoju nad rzeką Crocodilo. Polacy mieli jedynie aparaty fotograficzne, pułk Hamilton laskę. Któryś z naszych pyta, czy nie grozi niebezpieczeństwo ze strony dzikich zwierząt wobec nie posiadania żadnej broni, a gospodarz odrzekł na to bez cienia chełpliwości:

— W mojej puszczy bezpieczniej jest, aniżeli na ulicy wielkiego miasta.

Czy rzeczywistość nie potwierdziła tego?

Aż do tego stopnia! O sprawach katolicyzmu w Polsce mówią teraz w rozmaitych mowach potocznych nawet ci, którzy kiedyś wstydzili się o nich wspomnieć przypadkiem. Cały sęk w tem, że mówią źle. Wiadoma rzecz! Wszyscy publicyści, nadający ton i tor myśli t. zw. inteligentów, przypuścili szturm na katolicyzm, jakżeż więc można mówić o nim dobrze! Oto rozumowanie inteligenckie.

Kiedym jednego z takich gagatków przekonywał, że trzeba rozpatrzyć argumenty także strony przeciwnej, wyrecytował jednym tchem:

— Wolałbym, żeby tę t. zw. matkę ojczyznę wprzód djabli wzięli, niż żeby miała być katolicką.

Szanuję cudze przekonania, ale nie cudzy głupi upór. Z uparciuchami sprawa najgorsza.

Za plecami. Na pewnej prelekcji z zakresu historji sztuki miałem za plecami jakąś modną pannę w asyście dwuch niemniej modnych kawalerów.

— Tylko wrażenia estetyczne mogą nam dać pełne szczęście — zalata mnie frazes z ukarminowanych ust sąsiadki z poza pleców.

Rozmowa przechodzi za chwilę na inny temat. Towarzystwo deklinuje sztukę we wszystkich liczbach i przypadkach. Jacyś fanatyczni czciciele sztuki, którzy przypadkiem znaleźli się na tym świecie? Może. W każdym bądź razie elita umysłowa.

— Czy mogę pani służyć papierosem? — i elegancki gest ręki z wyciągniętą papierośnicą.

— Nie — wydymają się kapryśnie ukarminowane usta — taki zwyczajny papieros!... Wie pan, chciałabym skosztować papierosa opjumowanego. To musi być prawdziwe szczęście zaciągać się dymem z opjum.

Jakoś modna głowa prędko wyrzekła się rozkoszy estetycznych.

— To świństwo — oponuje drugi z asystestów — lepsza już kokaina.

— Ale gdzie jej dostać? — kłopocze się amatorka opjum.

— Są w Warszawie takie kawiarnie. Dostanie się, ile się chce.

— Trzeba będzie spróbować.

Jaki raptowny skok: od sztuki do najbanalniejszej narkomanji. Jak to tłumaczyć? Najzwyklejszem przerafinowaniem. To natomiast da się wyjaśnić brakiem u tych ludzi podstaw głębszych. Sztuka, ogołocona z wartości transcendentnych, to zawracanie głowy. Dosłownie. Porwie zrazu ludzi, oszołomi, ale, nie dając treści, odepchnie od siebie i zepchnie znacznie niżej, niż było się przedtem.

Józef Marjan Chudek.

SPRAWOZDANIA I RECENZJE.

Adam Galiński: Poezja Polski Odrodzonej. (Łódź Neumiller) 1931, str. 416.

Książka składa się z dwu części. W pierwszej podaje autor wyjątki pism poezji współczesnej, w drugiej zaś daje kilka rozważań na tematy najmłodszej polskiej i zagranicznej oraz omawia zrzeszenia (grupy) poetyckie, daje charakterystyki literackie poetów niezrzeszonych. W dodatku podaje aparat naukowy i bibljograficzny.

Dla pracowników oświatowych, publicystów, bibljotekarzy, polonistów rzecz niewątpliwie ciekawa, dla szerszych kół a zwłaszcza dla młodzieży nieużyteczna wobec niewyjaśnionej, często wątpliwej wartości poszczególnych prób literackich.

Polecona dla czytelników o wyższym poziomie intelig.

Buckingham: Praca badawcza na terenie szkoły (Bibljoteka Przekładów Dzieł Pedagogicznych t. 16) Książnica-Atlas, Lwów 1931, str. 379.

Pewne wiadomości umieszczone w książce Buckinghama mogą zainteresować szersze koła pedagogiczne, większość natomiast rozważań jest tak specjalna, że tylko osoby, oddające się naukowym badaniom dydaktyki znajdą interesujące je szczegóły. Książka odraża ponadto cudzoziemskiemi sposobami myślenia i mechanizacją życia umysłowego, która nie przekona Europejczyka, wykarmionego na starych pomnikach kulturalnych.

Mieczysław Guranowski: Kobiety biblijne. Gebethner i Wolf. Warszawa.

Na korowód kobiet biblijnych, który przewija Guranowski przed wzrokiem czytelnika składają się takie postacie jak Ewa, Agar, Rebekka, Rachela, Debora, Dalila, Ester, Ruth, Sulamith, Judyth. Wartość literacka tych portretów jest wybitna. Sztuka naturalistycznie pojęta, kłóci się tu niestety z pietyzmem, którego domagają się czołowe niewiasty Starego Testamentu i święte księgi biblji.

Dlatego dla bibljotek może książka tylko być dozwolona przy zachowaniu zastrzeżeń co do wieku, inteligencji i obyczajowości czytelników.

Zygmunt Nowakowski: Przylądek Dobrej Nadziei. Gebethner i Wolff. Warszawa.

Wspomnienia z dziecięcych lat napisane piórem Nowakowskiego, są dziełem mistrza. Uczyć się na nich można stylu, humoru, znajomości duszy dziecięcej. Tylko ktoś, co przy wielkim talencie strawił dziesiątki lat na studjach literacko-historycznych może obdarzyć takim nabytkiem społeczeństwo.

Rzecz przeczyta każdy z pożytkiem, starszy czy młodszy, wychowawca i wychowanek, uczony i prosty robotnik rolny.

Zofja Kossak - Szczucka: Topsy i Lupus. Wydawnictwo Polskie Wegnera. Poznań.

Dobrze się dzieje, że dla młodzieży piszą książki najlepsi autorzy. Kossak-Szczucka, która obdarzyła literaturę polską wybitnemi powieściami historycznemi, obecnie daje młodszej młodzieży do lat czternastu znakomite opowiadanie o dwu harcerzach, o zwierzętach, o cyrku, czyli o przedmiotach, które muszą zainteresować każdego chłopca.

Polecona dla młodzieży

Marja Dunin Kozicka: Ania z lehickich pól. Młodość. Dom Książki Polskiej, Warszawa 1932.

Oto książka, która pozwala wniknąć w duszę młodych dziewcząt, kształcących się, dążących do piękna i dobra, borykających się z chorobą i niedostatkiem, a zawsze znajdujących drogę wyjścia, podyktowaną szlachetnemi wskazaniami sumienia i cnoty.

Książka polecona dla młodzieży żeńskiej, dla jej wychowawczyń i wychowawców.

Mieczysław Jarosławski: Między Eufratem a Tygrysem, 2 tomy, Bibljoteka Iskier. Książnica - Atlas Lwów — Warszawa 1931, str. 216 + 202.

Lwowska Bibljoteka Iskier wydaje cztery cykle książek dla młodzieży. Z drugiego cyklu p. t. Wspomnienia z podróży tom 38 i 39 zawiera Jarosławskiego: Między Eufratem a Tygrysem. Opowiedziane żywo na podstawie autopsji zapoznawają młodych czytelników ze stosunkami społecznemi, Azji Mniejszej, wprowadzają w sposób myślenia tubylców i uczą zrozumienia odrębnych zwyczajów i poglądów.

Polecona dla młodzieży od lat 14.

Kleiner-Balicki-Maykowski: Literatura Polska. Lwów. Zakład Nar. im. Ossolińskich.

Książka zamyka w czterech rozdziałach literaturę Polski przedrozbiorowej. Oto są tytuły: 1. Od początków piśmiennictwa do pierwszej książki Reja. 2. Od Reja do „sielanek" Szymonowicza. 3. Od „Goffreda" do walki Konarskiego z ciemnotą. 4. Od Konarskiego do końca rządów Stanisława Augusta.

Znawstwo przedmiotu, uosobione w prof. Kleinerze, oraz dydaktyczne mistrzostwo w ujmowaniu podręczników do nauki języka polskiego, uosobione w pedagogach tej miary co Balicki i Maykowski, stworzyło rzecz doskonałą, którą dziś każdy przeczytać musi, kto kocha kulturę polską.

Dookoła ziemi. Księżnica-Atlas Lwów, ul. Czarnieckiego 12.

St. Pawłowski: Francja.

B. Błażak: Przez kraj słonecznych dolin i górskich głuszy. Bułgarja

T. Nittmann: Pod ręką Fatmy. Algier.

S. Baszczewski: Na ciemnych wodach Paragwaju.

Czwarty cykl Bibljoteki Iskier p. t. Dookoła ziemi, pod redakcją wi zytatora poznańskiego Dr. Włada daje przystępne monografje krajów europejskich i zamorskich tak jak Francja, Bułgarja, Algier, Paragwaj.

Jest to geografja obszerniejsza niż w podręcznikach, a zwłaszcza żywa, przyjemna i nadaje się nietylko dla młodzieży, ale dla szerokich mas ludowych.

G. Ferero: Przemowy do głuchych. Przekł. autor. dr. J. Kuryłowicza. Poznań. Wydawnictwo Polskie Wegnera, str. 116.

Uczony profesor historji daje w niniejszej broszurze owoc przenikliwych swych docieków nad duchem naszych czasów. Wyzwolony zupełnie z przesądów, dominujących w mózgach współczesnych, jasno widzi zło we wszechwładnem panowaniu maszyny, w nadmiernej pożądliwości, w zbytniej niestałości obyczajów, w niesprawiedliwości kapitalizmu, a zbawienie widzi w dążeniu do doskonałości (jakościowej), w jasnem uświadomieniu sobie celu życia i granic między złem a dobrem, w obniżeniu stopy życiowej, w powrocie do czasów Chrystusowych.

Książka zasługuje na jak najszczersze rozpowszechnienie.

Jan Kleszczyński: Idea i forma. Rzecz o dążeniach sztuki polskiej. Warszawa 1931. Łazarski, str. 388.

Gruntowna rozprawa na temat sztuki w ogólności, zajmująca należytą ze stanowiska narodowego postawę wobec zagadnień teoretycznych i praktycznych z tego zakresu. Jeżeli punkt widzenia katolicki nie otrzy-

mał w tem ujęciu satysfakcji w całej pełni, to z drugiej strony otrzymali należytą odprawę pisarze materjalistyczni tego pokroju co Ribot, Lévy-Brühi.

Stanisław Mackiewicz: Myśl w obcęgach. Studja nad psychologją społeczeństwa Sowietów. Warszawa 1931. F. Hoesick, str. 209.

Autor wyjechał do Rosji, aby sobie odpowiedzieć na pięć pytań: 1) Czy w razie wojny załamie się obecny porządek, czy utrzymując się skutecznie walczyć będzie z wrogiem? 2) Czy w Rosji zwyciężyły siły odśrodkowe czy dośrodkowe? 3) Jak się przedstawiają siły Azji na bolszewicką Azję? 4) Jak wyglada młodzież wychowana w zastępach bolszewickich? 5) Jak zapatrują się w Rosji na przyszłość kraju?

Sąd autora w stosunkach sowieckich wypada stanowczo negatywnie, wykazując spaczenie niektórych rozumnych założeń ustroju bolszewickiego. Zdrowy duch bijący z książki, może pomódz w tych kołach, które zbytnio zapatrują się w politykę Kremlu.

Polecona dla wszystkich.

Stanisław Fałat: Sztuka i życie. Refleksje. F. Hoesick Warszawa 1931. Str. 168.

Wielki malarz, fanatyk piękna, ujął we formę nawskroś literacką luźne uwagi o sztuce i pięknie. Rozumowania chromają niekiedy formalnie i co do treści z uszczerbkiem dla etyki i religji. Usterki filozoficzne są jednak nieznaczne w porównaniu do szczerego a wielkiego ukochania piękna, i pięknego języka, który zdobi ten tomik, któremu życzyć należy rzetelnego powodzenia wśród szerokich mas.

Sergjusz Hessen: Podstawy pedagogiki. (Bibl. Dzieł Pedag. № 25—27). Nasza Księgarnia. Warszawa 1931, str. 430.

Jest to systematyczna encyklopedja zagadnienia wychowawczego. Przebiega wszystkie stopnie szkolnictwa od przedszkola do uniwersytetu, potrąca o wszystkie aktualne problemy, napotkane w drodze. Idea chrześcijańska jest słabo przedstawiona, chociaż nie jest autorowi obca ani też dziełu. Pracowników oświatowych zainteresuje rozdział o oświacie pozaszkolnej, zaopatrzony w najnowszą literaturę przedmiotu. Całe dzieło spełni misję pożyteczną dzięki swej wszechstronności, miarkowanemu doskonałem wyrobieniem filozoficznem autora.

Książka polecona dla wykształconych.

Kaźm. Wójcicki: Asnyk wśród prądów epoki. (Materjały i opracowania). Próba bibljografji pism Asnyka. Warszawa 1931. Pałac Staszica. Kasa Mianowskiego.

Spis rzeczy:
Asnyk i pozytywiści Warszawscy.
Asnyk i stańczycy.
Asnyk i specjalizm galicyjski.
Asnyk i Młoda Polska.
Rys dziejów sławy poetyckiej Asnyka od str. 215—342.

Nie jest to monografja Asnyka, lecz relacja w powodzeniu i niepowodzeniu poezji za życia poety i po jego zgonie. Zainteresuje nietylko historyków literatury, ale także socjologów, oświatowców, historyków kultury, pedagogów.

Polecona dla inteligenji. *Ks. Dr. St. Abt.*

Redaktor odpowiedzialny: HIERONIM SAMULSKI.

PRO CHRISTO

WIARA I CZYN

ORGAN MŁODYCH KATOLIKÓW — MIESIĘCZNIK

Wydawca: Stowarzyszenie Społecznego Panowania Najświętszego Serca Jezusa w Rodzinach Chrześcijańskich.

Redakcja i Administracja: Warszawa, ul. Moniuszki 3a.

P. K. O. 10.115 Telefon 763-44

NACZELNY **REDAKTOR**

przyjmuje interesantów w środy i piątki między 18.30 a 19.

Biuro i telefon czynne w dni powszednie od g. 11 do 12 i od 15.30 do 17

Redakcja rękopisów nie zwraca

Pro Christo.

Rocznica encyklik społecznych.

W maju cały świat katolicki obchodzi uroczystość wydanych przez Stolicę Apostolską encyklik społecznych.

Do ostatniego roku obchodziliśmy w ten sposób wiekopomną encyklikę Rerum Novarum (15. V. 1891), obecnie przybyła nam jeszcze encyklika Quadragesimo Anno (15. V. 1931), która ukazała się dokładnie w 40 lat po pierwszej.

Rerum Novarum uważana jest przez powszechną opinję za chrześcijańską *magna charta* praw warstw pracujących. Była ona pierwszą w wielkim stylu enuncjacją Kościoła, omawiającą zagadnienia związane ze współczesnym ustrojem gospodarczym. Wydana została w tym czasie, gdy ludzie nauki i akcji, zarówno materjaliści, jak i katolicy rozważali zakończoną właśnie pierwszą fazę rozwojową (czy kryzysową) ustroju kapitalistyczno-indywidualistycznego. Dlatego też nie zna i nie rozstrzyga szeregu zagadnień, które wyszły na jaw dopiero w drugiej, dziejowej fazie tego ustroju, tak bardzo anarchicznego i nieharmonijnego. Koniec w. XIX był to moment ostrego zmagania się poglądów liberalnych i socjalistycznych, szkoła zaś chrześcijańsko-społeczna dopiero powstawała właśnie, aczkolwiek zasadnicze zręby myślenia tej szkoły kształtowały się prawie równocześnie z so-

cjalizmem, to wszakże rozwój jej—nie w filozofji, lecz w akcji—był dosyć powolny. Dlatego może Rerum Novarum poświęca tak dużo miejsca zwalczaniu poglądów socjalistycznych, w myśl zaś tradycyjnej i zupełnie uzasadnionej ostrożności Stolicy Apostolskiej w wystąpieniach zewnętrznych — potwierdza tylko najważniejsze i najogólniejsze założenia myśli chrześcijańsko-społecznej, dając ogólne wprawdzie w wielu dziedzinach, lecz tem nie mniej zupełnie wyraźne wskazówki dla katolików, w jakim kierunku zmierzać winna ich akcja społeczna.

Quadragesimo Anno potwierdza całkowicie, a nawet systematycznie streszcza tezy Rerum Novarum; jest więc w pierwszym rzędzie jeszcze jednym z niezliczonych dowodów doskonałej ciągłości, harmonji i konsekwencji Stolicy Apostolskiej, jedynej na świecie instytucji, która nigdy nie potrzebowała cofać tego co raz powiedziała. Znaczenie jednak Q. A. nie ogranicza się do tego. Wydana w momencie bodaj że kulminacyjnym drugiej fazy kryzysu współczesnego ustroju gospodarczego, zawiera wiele ujęć nowych i zupełnie nowoczesnych, że wymienimy tylko pogląd na istotę dzisiejszego kryzysu i na przebudowę korporacyjną ustroju. W ciągu 40 lat wiele zagadnień zostało opracowanych, albo przez wypadki rozwiązanych, to co było dawniej niepewne i mgliste—obecnie stało się faktem i Kościół mógł wydać wyraźne orzeczenie, udzielić swego placet podjętym pracom, potępić co należy i wskazać drogi rozwojowe na przyszłość.

Niestety, musimy stwierdzić, iż u nas w Polsce encykliki społeczne są bardzo mało znane wśród inteligencji katolickiej. Zna je, entuzjazmuje się nimi i pracuje w myśl ich założeń drobna tylko garstka, pozatem istnieje grupa socjologów, i ekonomistów katolickich, teoretyków, którzy rozpatrują te zagadnienia z punktu widzenia czysto naukowego. Szerszy natomiast ogół inteligencji ma mgliste tylko i bardzo dalekie wyobrażenie o nauce społecznej Kościoła i bardzo często zadawalnia się tylko ogólną wiedzą, że istnieją encykliki Rerum Novarum i Quadragesimo Anno... To jest znacznie mniej, niż trzeba...

Stąd też widzimy pewne zacofanie w poglądach panujących w sferach inteligencji katolickiej, często tam można spotkać się ze zdaniem, jakoby Kościół był — horribile dictu — obrońcą ustroju kapitalistycznego, jakoby ten ustrój był wyrazem zasad katolickich w ekonomji społecznej! Nie potrzeba uzasad-

niać, że tego rodzaju konserwatyzm myślowy, takie kurczowe trzymanie się poglądów aktualnych akurat w połowie XIX w. wyrządza ogromne szkody katolicyzmowi, gdyż hamuje rozwój myśli katolickiej w Polsce, z drugiej zaś strony wytwarza nieufność i niechęć między inteligencją katolicką a ludem.

Naszem zdaniem należy wykorzystać zbliżającą się rocznicę wydania obydwu encyklik, aby urządzić szereg odczytów, a nawet może kursów uświadamiających i zaznamiających z temi zagadnieniami. Nie chodzi nam tylko o t. zw. uroczyste akademje urządzane dla mas ludowych. I takie akademje się przydadzą, robotnik zresztą, a nawet i chłop bardzo chętnie słucha i dowiaduje się o tych rzeczach.

Chodzi o inteligencję, która naogół nie zna zasad gospodarczo-społecznych Kościoła, albo zna bardzo powierzchownie, i dlatego może wykazuje daleko idącą obojętność wobec pierwszorzędnych zagadnień doby bieżącej, od których rozwiązania będzie zależała przyszła struktura świata. Rzucamy myśl, aby wykorzystać rocznice Rerum Nov. i Quadr. Anno w celu uświadomienia i zainteresowania tymi problemami naszej inteligencji. Niech wszędzie tam, gdzie to jest możliwe odbędzie się nie jeden wykład, ale cały tydzień społeczny, omawiający te zagadnienia. Zdajemy sobie sprawę, iż nie da to odrazu wyników decydujących, jeżeli jednak akcja tego rodzaju prowadzona będzie systematycznie przez kilka lat, ani się spostrzeżemy, jak wspaniałe wyniki okażą się w całej pełni.

Inteligencja nasza w gruncie rzeczy nie jest ulepiona z gorszej gliny, niż inteligencja innych narodów. Zapoznajmy ją z katolicyzmem społecznym i to nie w sposób czysto abstrakcyjny, lecz życiowy i praktyczny, a wówczas niewątpliwie zdobędzie się na odpowiedni zapał i energię i wydobędzie z siebie te wartości, które po dziś dzień są, niestety, w ukryciu.

Niech więc rozwinie się u nas i spopularyzuje właśnie w kołach inteligencji Święto 15 maja, uroczystość pracy, a równocześnie myśli i akcji katolicko-społecznej!

Wychowanie religijne na tle ruchu pedagogicznego.

Pierwsze wrażenie, które wynosi bezstronny obserwator obecnego szkolnictwa na ziemiach Polski, jest wrażenie niestałości, braku powagi i pewności siebie oraz ciągłego eksperymentowania. Wychowanie jest rzeczą tak dawną, jak człowiek, natura ludzka także nie ulega znaczniejszym zmianom. Stąd pierwszym przymiotem wychowania powinna być tradycyjność. Tylko drobne odchylenia od wiecznych linij wychowania sprowadzić mogą zmienione okoliczności, które raz tę raz ową ideę każą wysunąć na plan pierwszy. Mniej stałe od wychowania może już być nauczanie, gdyż fundusz naukowy rozwija się powoli ale stale i domaga się uwzględnienia pod względem materjalnym czyli zawartościowym i pod względem formalnym czyli jakościowym, ale i tutaj wielką należy zachować ostrożność, bo najpierw metoda nauczania doznać może tylko drobnych ulepszeń wbrew temu, co różni zapaleńcy głoszą w zbyt licznych publikacjach. Widząc zastępy bojowników, kruszących kopje o nowe metody nauczania, ma się wrażenie bojów Kiszotowych z wiatrakami. Powtóre, niekoniecznie trzeba podawać ostatnie zdobycze wiedzy, tak często niewypróbowane i chwiejne. Młodzież szkół powszechnych, a nawet szkół średnich nie może mieć pretensji do wykształcenia zupełnego w różnych dziedzinach. To daje uniwersytet, albo szkoła specjalna. Rzeczą szkolnictwa na stopniu niższym i średnim jest dostarczenie rzetelnych podstaw, na których będzie można z łatwością skonstruować najnowsze wyniki wiedzy.

Płochość naszego szkolnictwa idzie w parze ze zbytniem przejmowaniem się obcemi, zagranicznemi wzorami. Uzasadnione jest dążenie do zaznajomienia się z wytworami pedagogicznej myśli Europy i Ameryki, ale znać nie znaczy jeszcze naśladować. Znać należy poto, aby przy sposobności skorzystać, a nie żywcem przenosić na zgoła inny teren i odrębny materjał ludzki. Tymczasem na 10 książek, tłumaczonych z obcych języków, przypada jedna książka polska, bardzo w dodatku zależna od literatury pedagogicznej, pisanej w języku niemieckim, angielskim, francuskim lub włoskim. Niestałość zasad i metod wy-

chowawczych oraz cudzoziemszczyzna razem sprowadzają powierzchowność, jakgdyby szkoła polska postawiła sobie prawidło multa non multum, inaczej niż dotąd postępował cały świat. Jeżeli są to objawy raczej niekorzystne, to pocieszmy się tem, że były one poniekąd koniecznością nowopowstałego organizmu państwowego oraz, że i zagranica na nie niedomaga, że są one znakiem naszej epoki.

Najnowszym prądem, który zawładnął szkolnictwem polskiem, jest t. zw. wychowanie państwowe. Może nie zgadza się ono niekiedy z żądaniem szkoly narodowej, niejednokrotnie też bywa przesadnie głoszone i nieumiejętnie przedstawione, samo w sobie jednak — rozsądnie pojęte — jest dążeniem uzasadnionem nie tylko ze względu względu na czasowe stosunki, ale wogóle, gdyż nie naród jest wykonawcą władzy lecz państwo. Pojęcie wychowania państwowego, jest tak dawne jak samo pojęcie wychowania. Wystarczy wspomnieć imiona Sparty, Rzymu, Karola Wielkiego. W okresie humanizmu i reformacji szczególnie podkreślano związki wychowania wogóle z wychowaniem państwowem. Humanista Wimpheling (um. 1528) głosił zdanie: „Wpierw Bóg i religja, potem państwo, a na końcu własne ja", cały szereg nazwisk jak Radkę, Milton, Locke, Fénélon, Bossuet, Komenjusz, Basedow, Pestalozzi, Fichte, Jahn, przytoczyć można dla uzasadnienia obecnego prądu wychowania państwowego, który jest naczelnem hasłem w szkolnictwie polskiem. Z nowszych powag pedagogicznych wystarczy wymienić Deweya, Kerschensteinera, Förstera, Mathiesa.

Łącznie z dążeniem do wychowania uświadomionych społecznie i politycznie obywateli dąży szkoła obecna do wyrobienia charakteru. Stawia ona tę robotę wyżej od uczenia czysto intelektualnego. Głowa ucznia przestała być jedynym celem. do którego mierzy wysiłek nauczyciela. Ostatniemi czasy wysunięto znowu serce i wolę ucznia do tej samej rangi co umysł, wychodząc z uwagi, że obecny ustrój demokratyczny, dając obywatelowi większą swobodę działania, wymaga także większej dyscypliny własnego ja. Wskazując na powszechną dziś żądzę wygód i posiadania, żąda Kerschensteiner wzbogacenia wewnętrznego ludzi w energię i zasoby woli, inaczej, zdaniem jego, pokolenie obecne pozostawi zgliszcza zdobyczy ojcowskich. Wychowanie polega na tem, aby to co jest nakazane stało się wy-

nikiem własnej woli, aby świadoma cnota przeszła w zwyczaj niewymagający tak wielkiego napięcia jak w początkach postępowania moralnego. Trzy cnoty zwłaszcza nasuwają się w tej dziedzinie: prawdomówność, która życie umożliwia, sprawiedliwość, która je utrwala, i miłość, która je zapładnia i umila. Natorp wysuwa trzy inne cnoty wychowania charakteru: czystość czyli umiar jako cnotę instynktów, męstwo czyli moralną dzielność, jako cnotę woli, oraz ukochanie prawdy, jako cnotę umysłu.

Trzecią cechą dzisiejszej szkoły jest jej pociąg ku sztuce. Sztuka jest u podłoża najnowszych reform szkolnych, choć one nieraz zapierają się tak szlachetnego urodzenia. Dbałość o rzeczy piękne, a raczej o piękno rzeczy stworzyła także szkołę twórczą, czyli metodę pracy. Wychowanie przez sztukę ma bowiem wyostrzyć wzrok na piękno w dziele Bożem, a więc na przyrodę, ale także na piękno, wykonane ręką ludzką. Sztuka uszlachetnia człowieka, temsamem należy do zespołu nauk wychowawczych, które korzystają ze wszystkiego, co człowieka może stawić na wyższym poziomie. Sztuka w pracy pedagogicznej powinna prowadzić do myślenia, a nawet do tworzenia, a nie powinna się zadawalać niepłodnem używaniem. Korzyści uchwytne, z zajmowania się sztuką wynikające, wylicza apostoł tej gałęzi pedagogicznej w Niemczech, E. v. Sallwirk, w doniosłem dziele „Erziehung durch die Kunst" (Wychowanie przez sztukę). Wyrobienie umysłowe powinno oczywiście równomiernie z wyrobieniem estetycznem być uwzględniane. Sztuka nauczy nas kochać to co przedstawia, wprowadzi w symfonję życia nutę podniosłą, a zarazem serdeczną. Zamiłowanie do sztuki uprawia się zwłaszcza tam, gdzie ją uśmierca bezduszna maszyna, czyli w ośrodkach przemysłu fabrycznego.

Wychowanie fizyczne, nowe oblicze dzisiejszej szkoły, cieszy się ono osobliwą pieczą i słusznie. Chodzi tylko o to, iżby sprawy nie przeholować i nie przypisywać jej większego znaczenia, niż ma, lub mieć powinna. Niekiedy w umysłach osób starszych rola obecna wychowania fizycznego nie wydaje się przesadną, umysły zaś młode zaprząta nadmiarę wskutek zewnętrznych imprez, poświęconych wychowaniu fizycznemu, jak zawody, święta wychowania fizycznego itp. Człowiek młody, widząc co się robi dla kultu ciała, nie dostrzegając tego, co się robi dla

kultury duchowej, tamtą poczyna stawiać nad tę i stąd nieporozumienie niekiedy bardzo szkodliwe w rozwoju młodej struktury osobistej. Jeżeli więc dużo urządzeń, rzucających się w oczy, poświęca się wychowaniu fizycznemu, to i pracę ducha powinno się otoczyć pewnemi obrzędami, jak rozdawaniem nagród, konkursami, medalami, wieńcami, publicznemi popisami, aby ona nawet pozornie nie zeszła do roli drugorzędnej.

Trudno zdobyć się na ogólny sąd, jak wygląda wychowanie, które młodzież wynosi z domu. Wydaje się jednak, że w licznych wypadkach popełnia dom błędy wychowawcze, które często na całe życie paczą charakter. Niewątpliwie żyjemy w czasach niekorzystnych dla wychowania: chaos w dziedzinie idei, stan podgorączkowy w sferze gospodarczej. Wychowaniu sprzyjają czasy o prawidłowym trybie życia, wtedy też wydają prawidłowe, zamierzone owoce, mimo to przypomnieć należy, że jednostki dobrze wychowane wyjdą z rodzin, w których panuje zdrowie, zgoda, pracowitość, skromność, z rodzin, w których najmniej lekkomyślności, rozpasania namiętności, w których najwięcej stałości, powagi i hartu.

Wymieniliśmy więc różne kierunki dzisiejszej myśli pedagogicznej: kierunek psychologiczno - doświadczalny, społeczny, estetyzujący, fizyczny. Siłą rzeczy przechodzimy do kierunku religijnego, tembardziej, że żaden z wyliczonych prądów nie jest zupełny bez religji, owszem w parze z religją staje się wartościowy i piękny. Niestałość pedagogiki doświadczalnej uzdrowi wiecznotrwała pedagogika religijna, pierwiastek społeczny w wychowaniu udoskonali i uświęci religja swą zasadą miłości, poświęcenia i ofiarności, modlitwą i łaską, prądowi artystycznemu wskaże, że sztuka wtedy najszlachetniej działała na człowieka, gdy służyła religji, przesadne zapędy wielbicieli mięśni u młodzieży złagodzi religja kultem ideału, ducha, wartości wiecznych, i nada wszystkiemu hartu, odporności wobec niewygód życia, wskazując na życie pozagrobowe, które dopiero będzie rajem.

„Bardzo wielu ludzi czerpiało dotąd wszystkie duchowe przesłanki swych uczynków z Boga i Chrystusa, nie wiedząc o tem, i dlatego sądząc, że można żyć bez Boga i Chrystusa, obecnie jednak wstępujemy w okres nowy, w którym ludzie na własnem ciele i duszy doświadczą: co znaczy naprawdę żyć,

myśleć i działać, gdy wyschną w nas wszystkie nadnaturalne źródła światła i mocy i gdy nawet w najgłębszych pokładach naszej duszy przestaną oddziaływać na naszą wolę złożone w niej wyższe wartości". Dlatego podniósł najgłośniejszy z dzisiejszych pisarzy - wychowawców zagadnienie wartości religji w dziele formowania świeżej warstwy ludzkości.

Fr. Förster, bo o nim mowa, przebył tę ewolucję w sensie dodatnim a szerokim kołom przekazał jej obraz w książce p. t. „Religja a kształcenie charakteru". Podczas gdy przeważny odłam pedagogów odwrócił się od religji i poprzez pedagogikę moralizującą, estetyzującą, wylądował na jałowym terenie formułek psychologiczno-metodycznych, on wzniósł się z pośród rozważań pedagogiki moralizującej ku wiecznym krynicom wychowawstwa, do wyżyn religji nadprzyrodzonej w sensie katolickim. Dzięki właśnie tej duchowej przemianie przynosi wartościowe uwagi nad wszczepianiem religijności w młodociane dusze, które zerwały były w sobie swych przodków żywą więź życiodajnych praktyk religijnych.

Pedagogika areligijna uczyniła magnos passus extra viam. Wielkie dzieła naukowe (Encyklopedje, podręczniki historyczne, psychologiczne, metodyczne) i wychowawcze z dziedziny praktyki nauczycielskiej (internaty, szkoły wzorowe, doświadczalne, gabinety psychologiczne, wychowania fizycznego itd.) zbudowano z nakładem tak wielkim, na jaki pozwolić sobie może zetatyzowane szkolnictwo. Wiodą one extra viam, mijają się z drogą właściwą, czasem prowadzą do celu po długich błąkaniach, czasem sobie wręcz drogę do celu zagradzają. To też niekiedy potrafią mglistą osłoną zatulić swe niedostatki, kiedyindziej brak odwagi przyznać się do fiaska, gdy się całą ambicję włożyło w budowanie gmachu źle obliczonego i dźwigniętego na kruchych podstawach. Mamy tu jedną rację, skuwającą pogląd pedagogiki laicystycznej w pewien pozór spoistości.

Przenikliwszym, uczciwszym, odważniejszym jednostkom z tego obozu trzeba zatem często i serdecznie tłumaczyć wadliwość struktury szkoły laicystycznej i pozyskiwać je dla żyznej boskiej a zarazem tak ludzkiej doktryny pedagogicznej Kościoła. Nie można przytem nie pobudzić do zajęcia jak najkrytyczniejszego stanowiska do wyczynów nowoczesnych obliczeń i doświadczeń, które są wszystkiem tylko nie sztuką nauczania

i wychowania. Katolicki pedagog kształcić się będzie na klasycznych pisarzach pedagogiae perennis, będzie dużo medytował nad celowością swego postępowania, a tę odrobinę wartościowych zdobyczy pedagogiki nowoczesnej wchłonie z atmosferą środowiska uczelnianego.

Otchłań abstrakcji, gadatliwości i nudy pochłonęła dzisiejszą szkołę, bo usunięto zeń to, co jedynie jest realne czyli wiarę w Chrystusa i tworzenie ludzi na Jego modłę. Tragiczne złudzenie optyczne! Kierunek doświadczalno-przyrodniczy okazał się przykrą abstrakcją.

Najfatalniej przedstawia się dzisiejsza szkoła powszechna. W historycznym rozwoju jest ona najświeższa, gdyż najprzód były uniwersytety, potem szkoły średnie ogólno-kształcące, od stu lat dopiero istnieje szkoła powszechna. Beztradycyjny to twór, a nauczycielstwo jego ma wykształcenie niezbyt głębokie, to też najłatwiej poddaje się prądom radykalnym i polityce, przyczem naraża zdrowie moralno-religijne olbrzymiej większości młodzieży przy obecnym przymusie szkolnym. Spokojniej można śledzić rozwój szkół wyższych i średnich, które zawsze ratować będzie czerpanie pełną dłonią ze spuścizny przeszłości. Najczulej przeto trzeba się odnosić do szkoły powszechnej, miarkować jej rzekomą postępowość, a przeciwnie wskazywać jej na pomniki pedagogiki chrześcijańskiej minionych wieków.

„Radykalizm, nie troszczący się zgoła o doświadczenie wieków dawniejszych, niema też żadnego wyobrażenia o zagadnieniu: jak wytwarzać energję psychiczną t. j. o całej bezmiernej trudności, jaką nastręcza bodziec działania moralnego; nie pojmuje i pojąć nie umie, że jeśli dusza ma wydobyć ze siebie najgłębsze moce, przemawiać do niej trzeba koniecznie w języku konieczności społecznych. Zadanie kształcenia charakteru, wydaje się dziś wielu ludziom czemś bardzo prostem, ponieważ mają oni o naturze ludzkiej tylko bardzo blade wyobrażenie i wcale już nie wiedzą, ile to potrzeba mocy, by wolę ludzką wyzwolić z pod jarzma czynnika widzialnego i pochwytnego, a poddać ją niepisanemu prawu sumienia" (Förster str. 30).

W dobie dzisiejszej podawać trzeba młodzieży, poczynającej myśleć samodzielnie, zwłaszcza to, co dawniej nazywano praeambula fidei, co już Ojcowie ze szczególną lubością przerabiali w swych pismach, jak Augustyn, Klemens Aleksandryjski,

Bazyli, Tertuljan, Minucjusz Feliks i inni. Zanim się przystąpi do właściwych dogmatów trzeba wprzód usunąć rumowiska z drogi w postaci różnych przesądów, fałszywych komplikacyj myślowych, nawiązać do nauk przyrodniczych, historycznych, literackich, filozoficznych, zaprawić do refleksyjnego wniknięcia we własne przeżycia psychiczne, do należytego powiązania zjawisk politycznych z uwzględnieniem tła religijnego, wykazać realizm religji, odpowiedniość religji do potrzeb człowieka, ten piękny „pozytywizm" religji, polegający na stanowisku łączącem wszystkie dziedziny życia, i ten zgubny „negatywizm" areligijny, który waśni różne oblicza życia i wprowadza nieszczęsne separacje między etyką a religją, państwem a religją, szkołą a religją itd. Trzeba wykazać zarozumiałość intelektualizmu, hipotetyczną wartość wielkiej ilości twierdzeń, zgubne skutki ekonomji liberalnej, słuszność chrześcijańskiego zapatrywania na pieniądz i pracę.

Stąd dzisiejszy pedagog katolicki śledzić będzie na autobiografjach konwertytów bieg myśli neopoganina, który przyjął chrześcijaństwo i katolicyzm. Będzie wykazywał to, co w ruchu areligijnem lub antyreligijnem jest z myśli Chrystusowych, a co z ruchu chrześcijańskiego jest deklamacją i obłudą, bo „Dobry Pasterz nietylko wyławia dusze zbłąkane, ale także idee zbłąkane do obozu niewłaściwego, z tą jednak różnicą, że dusze zbłąkane sprowadza się do stada" (repatrjacja), podczas gdy do idei zbłąkanej przenosi się rodzinę myślową (idee pokrewne), rodzaj immigracji. „Zanim z człowiekiem nowożytnym rozpoczniemy dyskusję o religji i kształceniu charakteru, należałoby właściwie wywieźć go ze szkoły przeuczenia, a wprowadzić do szkoły samopoznania i obserwowania ludzi, żeby w całej wyrazistości uświadomił sobie w niej ciemne i ułomne strony natury ludzkiej i zapamiętał drastyczne ich obrazy. Ale to właśnie wewnętrzne poczucie wewnętrznej natury, stało się w człowieku nowoczesnym w dobie zainteresowań, naturą zewnętrzną czemś niezmiernie a nawet wprost zatrważająco rzadkiem" (Förster str. 100).

Na rozstaju dróg, skąd wychodzi pedagogika katolicka i liberalna stoi grzech pierworodny. Pierwsza wchłania go w swój system, druga z pogardliwem wejrzeniem zostawia go na uboczu. Pedagogiem katolickim wartościowym jest ten, który

we własnej duszy po długóletnich wzmaganiach się, w klęskach i tryumfach, wahaniach i porywach, spowodowanych grzechem pierworodnym, przeżył całą gemonję wzlotów i upadków, stał się wprzód wychowawcą własnej duszy. „Nie czyści teoretycy, lecz wielcy bojownicy i zwycięscy w walce ze swemi namiętnościami, którzy myśl swą na tem żywem oparli doświadczeniu, znają najdokładniej materjał, z którym wychowawca ma doczynienia", (Förster str. 101). Świadomość nędzy ludzkiej uzależniona znowu jest od wiary w Boga; wzniosłość, dobroć i wielkość idei Boga umożliwia nam przyznanie swej ułomności, kto zatem nie wierzy w Boga, zakrywać będzie przed samym sobą słabości gromadzące się w jego duszy. Idea Boga jest także transformatorem miłości do ludzi, jest filtrem, za którym zatrzyma się wszystko, co tę miłość kazi, zaraża bakcylem ziemskości. „Religja chrześcijańska czyni nas prawdziwymi jasnowidzami wobec wszystkiego, co pochodzi ze świata zewnętrznego i owładnąć chce wewnętrznym w nas człowiekiem" (Förster str. 164).

Ostateczna przyczyna nowoczesnej niedoli seksualnej tkwi niewątpliwie w tem, że człowiek dzisiejszy oddał się całkowicie światu materjalnemu i świeckiemu, zniknie zaś, przynajmniej w tej formie sama przez się wówczas, gdy życie duchowe odzyska z powrotem, albo co więcej pogłębi jeszcze w nowym duchu i utwierdzi dawne prawa i metafizyczne pewności. Tylko utopista może spodziewać się, że zapomocą samego moralnego apelu, lub powołania się na same względy społeczne i hygieniczne będzie można duszę tak wielu ludzi nowoczesnych, pogrążoną w zmysłowości i zorjentowaną wyłącznie fizjologicznie, doprowadzić do duchowego zapanowania nad sferą płciową" (Förster str. 169).

Wszystkie te uwagi w formie wyczerpującej a jasnej wypowiada Pius XI w Encyklice o wychowaniu „Divini illius magistri" z dnia 31. XII. 29. Oto tok rozumowania.

Szczególną uwagą obdarzał Zbawiciel na ziemi dzieci. Jego namiestnik ziemski nie może inaczej postąpić. Wśród rozgłośnych dyskusyj pedagogicznych, jego obowiązkiem jest wyświetlenie stanowiska katolickiego. Niebywałe dotąd ożywienie w dyskusjach pedagogicznych podniosło dość pretensjonalne a zuchwałe twierdzenia o nowem wychowaniu. Nie w dobrach

doczesnych jest nasz cel, ani też wyłacznie środki przyrodzone do celu przeznaczonego doprowadzą. Czynności wychowawcze muszą jednak nieomylnie prowadzić do celu, a celu wytkniętego przez Boga, a że w dodatku środki doń wiodące, sam Chrystus nam podaje, to też tylko chrześcijańską pedagogikę nam stosować wolno. Rozważymy przeto, czem jest wychowanie chrześcijańskie i na jakich opiera się zasadach, kto, kogo, w jakich warunkach i w jakim celu wychowywać może.

Kto może wychowywać? Nie jednostki, lecz ciała społeczne: dwa przyrodzone -- rodzina i państwo, jedno nadprzyrodzone — Kościół. Pierwsza jest rodzina, ale sama w sobie niewystarczająca, dlatego wspomaga ją państwo. Trzecia społeczność jest kościelna nadprzyrodzona, w swoim zakresie doskonała i najwyższa.

Jaka jest rola Kościoła w dziele wychowania? Wyraża ją sam Założyciel w słowach: „Dana mi jest wszelka władza na niebie i na ziemi. Idąc tedy nauczajcie wszystkie narody, chrzcząc je w Imię Ojca i Syna i Ducha Św. a oto ja jestem z wami po wszystkie dni aż do skończenia świata". Powiernicy swej t. zn. Kościołowi zapewnia Chrystus tem samem nieomylność. Dalsza racja zawiera się w macierzyństwie duchownem Kościoła, które polega na obdarzaniu Sakramentami św. W swojem posłannictwie duchownem Kościół nie może żadnej władzy podlegać. Pius X pisał w Encyklice Singulari quadam z 24.IX.1912., że chrześcijanowi wśród zajęć doczesnych nie wolno zaniedbać starań o życie nadprzyrodzone, że wszystko powinien skierować ku celowi nadprzyrodzonemu, a sędzią tych czynności wyłącznym jest Kościół. Manzoni pisał w swych „Uwagach o etyce katolickiej" (rozdział III), że Kościół nie jest wyłącznym właścicielem wszelkiej prawdy, ale to co w sobie mieści jest prawdziwe. Wszystkie zatem zakłady, które prawdę krzewią, Kościół popiera, niekiedy je sam utrzymuje. W jej zakres też pod pewnym względem wchodzi wychowanie cielesne. Jak to zainteresowanie kulturą posuwa i wspomaga dążenia społeczeństwa, tak mu też w niczem nie szkodzi, w niczem go nie krępuje co zbawienne. Z tego prawa i obowiązku czuwania nad sprawą wychowania Kościół zrezygnować nie może, jeśli nie chce niesprzeniewierzyć się swemu posłannictwu i nie kopać sobie grobu własnoręcznie. Prawo to i obowiązek nie zna granic czasu

ani przestrzeni ani okoliczności. Najświetniej w tym względzie wywiązywał się Kościół w średniowieczu. Dziś również poprzez wszystkie połacie globu ziemskiego, Kościół dba o wykształcenie podstawowe, średnie i wyższe.

Prawo rodziny do wychowania nie sprzeciwia się powyżej wyłuszczonemu posłannictwu Kościoła, gdyż obie organizacje pochodzą od jednego Boga. Prawo rodziny do wychowania jest dalszym ciągiem aktu płodzenia i rodzenia. Zgodnie samo głoszą zdania wszystkich narodów. W najnowszej dobie mądrze to prawo wyrzekł i przypomniał Najw. Trybunał St. Zjednoczonych Półn. Ameryki. Zdarzały się wypadki gwałcenia tych praw przez państwo, ale także obrony ich przez Kościół, to też rodziny z całą ufnością szukały obrony swych praw przeciw zachłanności państwa. Państwo może współdziałać w dziale wychowania nie tytułem ojcostwa czy macierzyństwa, ale tytułem swej potęgi w przeprowadzaniu celów doczesnych, ściślej mówiąc w możliwości dania warunków korzystnych dla wychowania, mianowicie pokoju, pewności, wystarczających pomocy szkolnych. Państwo ma bronić i popierać pracę rodziny i Kościoła, a nie wchłaniać w siebie czy zabierać ich miejsce. Wtedy zwłaszcza wolno mu działać, gdy rodzina jest albo nieudolna, albo niedoświadczona, albo niegodna, gdyż uprawnienia rodziców podlegają prawu naturalnemu, którego stróżem obok Kościoła jest także państwo. Wolno państwu uczyć tych przedmiotów i na tym poziomie, jak wymaga tego dobro jego, nie wolno jednak przywłaszczać sobie praw Kościoła, czy rodziny, albo co gorsza przeciw nim występować. Szczególną domeną państwa są szkoły przygotowawczo-fachowe dla pewnych zawodów, jak wojskowego, lub urzędniczego. Niemniej jednak strzec się powinno wszelkiej przesady czy w wychowaniu narodowem, czy cielesnem, czy technicznem ze szkodą dla wychowania całego człowieka. Podobnie dziedziną państwa jest wychowanie obywatelskie, przysposabiające do różnych czynności obywatelskich byleby także nie było w sprzeczności z zadaniami Kościoła i rodziny. Chrześcijański ustrój państwa, wyrażony w Encyklikach Immortale Dei i Sapienti Consilio, wyznacza właściwy zakres w wychowaniu młodzieży każdej z władz. Kto nie przestrzega wyznaczonych tu granic, ten przeczy boskiemu posłannictwu Kościoła i uległości państwa wobec Boga, przewraca

ład, mający panować wśród ludzkości. Kto je zachowuje, ten współdziała z Bogiem, pierwiastkiem i celem wszelkiego porządku, daje społeczeństwu wzorowych obrońców Ojczyzny, mężów, ojców, podwładnych, rodziców, synów, przełożonych, sędziów, kupców i robotników.

Środki wychowacze. Chrześcijański wychowawca pamiętać będzie zawsze, że wychowuje całego człowieka, złożonego z duszy i ciała, obarczonego skutkami grzechu pierworodnego, mającego jednak dostęp do łask Chrystusowych, które wszakże niezupełnie naprawiają konstytucję człowieka. Stąd zdrowa karność jest na miejscu, żeby prostować, co się skłania ku złemu. Umysł młody trzeba zasilać prawdami wiary, a wolę podpierać łaską Bożą i przykładami jednostek co chwalebnie walczyły ze złem otoczeniem i złemi skłonnościami we własnem wnętrzu. Nie wystarczy korzystać z środków przyrodzonych, zapominając o smutnem dziedzictwie, które każdy z nas w sobie chowa od kolebki do grobu. Nie można też młodzieży zostawić swobody niczem nieograniczonej, chociaż wolno stosować środki wychowawcze łagodne i takie, które pozostawiają jej jaknajwięcej samodzielności. Są to bowiem metody samego Boga. Mylą się pedagogowie, którzy swej gałęzi wiedzy wytaczają granice tak rozległe, że usuwają religję, a wszystkie wskazania chcieliby objąć kodeksem postępowania, we własnej głowie wymyślonym. A mylą się dlatego, że młodzież poddają jarzmu nieokiełznanych namiętności i niepokonanej pychy. Niezręcznością swoją, jeżeli nie złośliwością, tłumią tchnienia łaski Bożej i powołanie do wyższych rzeczy. Smutniejsze jeszcze są skutki działalności tych, którzy, usuwając wstydliwość, uważają, że młodzież może się stykać ze zgnilizną moralną i tak rzekomo zbroić się przeciw powabom zła. Nie uwzględniają nieszczęśni tej słabości natury ludzkiej, która najczęściej ulega nadarzającej się okazji do grzechu, zapominając, że niemal cała sztuka wychowania polega na omijaniu okazji do grzechu. Dla tej samej racji żadną miarą nie można popierać koedukacji. Jedyne miejsce współżycia obu płci jest rodzina, pozatem unikać trzeba okazji niepotrzebnego stykania się obu rodzajów. Różnic płci zacierać wbrew naturze nie warto i nie trzeba, obie się uzupełniają w legalnem małżeństwie.

Wskazania praktyczne. Najlepszem otoczeniem młodzieży

i miejscem wychowania jest rodzina. Nieproporcjonalnie mało czasu poświęca się pedagogice rodzinnej w porównaniu do wykształcenia literackiego lub fachowego. Pierwszą i najnaturalniejszą widownią działania pedagogicznego jest i powinna być rodzina. Jedną z pilnych potrzeb chwili jest właśnie to uprzytomnienie rodzicom sposobów wychowania, celów, obowiązków i środków. Wychowawcy wszyscy niech nie szukają własnej wygody, a raczej skierują swe wysiłki ku dobru dorastającego pokolenia. Szerszą płaszczyzną wychowania jest Kościół — wspólna matka wszystkich wiernych. Daje on w celach wychowawczych posiłki Sakramentalne, piękno i obrazowość swego kultu, świątyni i praktyk religijnych. Szkoła powinna dawać dalszy ciąg pouczeń rodzicielskich i kościelnych. „Jeżeli szkoła nie jest świątynią, staje się norą zbójców" (Tommaseo). Stąd niemożliwe są szkoły neutralne ani w teorji ani w praktyce. To też odrzucamy ten rodzaj szkół, jako szkodliwy. Nie wystarczy nawet uczyć religji, wymaga się, aby całą naukę szkolną przenikała myśl religijna. Postulat ten odnosi się zarówno do szkół powszechnych, jak średnich, a nawet wyższych. Trudności, które przedstawiają pozornie szkoły wyznaniowe, dadzą się pokonać. Świadczy o tem przykład pewnych krajów. Niech tylko rząd z całą sprawiedliwością sprawę weźmie w rękę. Większych ofiar potrzeba tam, gdzie rząd odmówił współpracy, a katolicy z własnych funduszów utrzymywać muszą prywatne szkoły katolickie. Tem większa należy im się za to cześć. Gdzie ani jeden ani drugi rodzaj szkół nie istnieje, katolicy niech nie godzą się z położeniem, lecz wytrwale walczą o swoje prawa. Sprawa szkolna jest sprawą religijną, sprawą akcji katolickiej. Starając się o szkołę katolicką, nie uprawia się polityki, lecz działa się w interesie religji i prawdziwej korzyści państwa. W dobrej szkole nie będzie się burzyć tego, co zbudowała religja. Kultura klasyczna będzie w niej miała miejsce poczesne. Konserwatyzm pedagogiczny trzeba pogodzić z postępami dydaktycznemi, a zawsze pamiętać o doniosłości kultury łacińskiej i filozoficznej. Kolumnami zdrowej pedagogiki są nie metody ale dzielni wychowawcy. Oni zarazem kładą fundamenty akcji katolickiej, uprawiając „sztukę nad sztukami i wiedzę na wiedzami" (św. Grzegorz z Nazianzu), Im większe niebezpieczeństwa otaczają naszą młodzież w postaci złych księ-

żek, widowisk kinowych i teatralnych, audycyj radjowych, tem większa czujność nad młodzieżą jest wskazana. Stąd pochwały godne są owe dzieła wychowawcze, które młodzieży dostarczają dobrych książek, widowisk, dobrych czasopism. Nie znaczy to, iżby młodzież wypadało usuwać od pożycia. Nie, tylko pilnować ją trzeba i strzec złego. Ideałem wychowania dla chrześcijanina jest Chrystus sam. Całego człowieka chcemy urobić na modłę Mistrza. Dlatego chrześcijanin jest człowiekiem nadprzyrodzonym. Takie stanowisko zasadnicze wydaje się niejednemu utopijne, albo niezgodne z przyrodą i szkodliwe dla powodzenia ekonomicznego państwa. „Nie jesteśmy obcy życiu", odpowiadamy za Tertuljanem. Ze wszystkiego korzystamy co dobre, ale zawsze z miarą, nawiązując starania doczesne do zainteresowań nadprzyrodzonych. Święci Kościoła, elita z pośród wychowanków i wychowawców, pokazali jak jedno z drugiem połączyć można, bo znajdziesz wśród nich przedstawicieli wszystkich zawodów. Chrystus jest jednakże wzorem najwyższym wszelkich cnót, cudnego umiaru i obrazem doskonałego człowieka, naginającego się do żądań Boga, państwa, rodziny i otoczenia, w tem co słuszne. Wszystkie te niezrównane wzory i środki znajdują się w pięknych ramach Kościoła i w tej oprawie po nie sięgać należy.

Ks. dr. Stefan Abt.

Kult Najświętszej Marji Panny w gotyku.

(Katedra w Chartres).

Wśród wspaniałych świątyń pod wezwaniem Matki Bożej wzniesionych, jedną z najpiękniejszych we Francji jest Katedra w Chartres.

Średniowieczny kult Matki Dziewicy wyraził się w niej w sposób wybitny. Jest to zarazem pierwszy kościół poświęcony czci Marji na ziemi galijskiej, a wznosi się na krypcie, w której druidowie w przedchrześcijańskich czasach jako kapłani-ofiarnicy swego ludu i poeci zarazem hołdy oddawali „Dziewicy, która miała począć": „Virgini pariturae". Napis ten widnieje po dziś dzień w ołtarzu pieczary, gdzie zastąpił pogański stół ofiarny. W niszy nad ołtarzem króluje posąg Bogarodzicy z Dzieciątkiem na kolanach. Kopja to już tylko pierwotnej sta-

tuy, którą w r. 1793 sans - kuloci spalili na placu przed katedrą wśród dzikiego tańca wyuzdańców. Rzadkiem w dziejach maryjnego kultu zjawiskiem iest fakt, że aż dwie cudowne posągi Madonn czczone bywają w tej samej świątyni. Obie są koloru ciemnego i bardzo starożytnego pochodzenia. Jedną jest wyżej wspomniana Matka Boska podziemna, słynąca szeroko w całej Beocji łaskami. Istne morze światła rzuca złoto-pomarańczowy blask właściwy świecom woskowym na postać siedzącej królowej niebios okolonej aureolą przyćmionego odblasku wspaniałych lamp. Przybytek Najświętszej Panny w podziemiach ma coś z Katakumb w atmosferze skupienia i nabożeństwa, który tworzy jego cechę charakterystyczną. Zdawałoby się, że mniej do tej Madonny zanoszą próśb, niż wielbią Ją i kochają a ona z przeobfitej skarbnicy darów, samowładnie zlewa na swych czcicieli zdroje uzdrowień i łask.

Wybitnie proszalne cechy ma otoczenie drugiej cudownej Madonny w Katedrze. „Madonna na Kolumnie", (du pilier) jak sławna na świat cały Madonna del Pilar w Hiszpanji to przedewszystkiem: uzdrowienie chorych, wspomożenie wiernych. Zdarza się nieraz, że wchodzącemu turyście, lub przejezdnemu olbrzymia świątynia wydaje się pusta. Niechże się zbliży do tronu rozdawnictwa łask. Wiecznie tam płoną świece, palą się lampki, bezustannie goreją serca w oczekiwaniu zmiłowania. Potrójny wieniec srebrnych serc, ofiarowanych jako ex-vota tworzy upominek wdzięczności wokoło postaci Najśw. Panny. Ubrana w bogatą szatę z koroną na głowie przemawia Marja Dziewica do tłumów bogactwem stroju symbolizującym wszechwładztwo w dziedzinie łask. Olbrzymie złote serce spoczywa na Jej piersiach, drugie, mniejsze żarzy się na sukience Bożej dzieciny. Roi się od serc w tym przybytku. Całe wgłębienie za posągiem wypełnione jest ex-votami, na kształt tapety, której wzorem jedynym są serca różnej wielkości i roboty. Na ścianach i bocznych pilastrach rozpościera się dalej królestwo wdzięcznych serc; innych ex-votów n.p. rąk, nóg uleczonych, jak to zwykle bywa przy miejscach cudami słynących, niema zupełnie.

W szczegółach zdobniczych Katedry kult Marji zajmuje też pierwszorzędne miejsce. Dziedzictwem czasów rzymskich był zwyczaj ozdabiania kapiteli płaskorzeźbami. Obrazom figuralnym jest jednak nieco ciasno na niewielkiej przestrzeni, zato na por-

talach kościelnych mogła się rzeźba rozwinąć swobodniej. Wszystkie mniej więcej rzeźby portalowe XII wieku zdradzają wielkie powinowactwo, istniały też prawdopodobnie przepisy dla układu obrazów. Poza płaskorzeźbą na polach szczytowych znajdują się też posągi we wgłębieniach ukośnie ściętych boków portali, zdobią też galerje biegnące powyżej. Architektura nie posługuje się rzeźbą nigdzie tak bardzo, jak na frontach hudowli. Rzeźbiarze nie zapomnieli też o Marji Pannie. Jeden z portali, tak zwany królewski, jest wyłączniej poświęcony kultowi Chrystusa Pana, nauczyciela narodów, którego postać widnieje nad środkowem wejściem. Lecz już na prawo nad wrotami bocznemi zasiadła słodka postać Bogarodzicy a w portalu południowym zajmuje w otoczeniu świętych honorowe miejsce. Wyłączne odtwarzanie Najświętszej Panny jako Dziewicy lub młodej matki jest właściwością artystów rzeźbiarzy tej katedry i wielu innych powstałych w tej samej epoce. Rycerskie wieki średnie nie chciały dawać swej „Pani" (Notre Dame) szarpiących duszą i sercem scen boleści, tak jak pierwotne freski w katakumbach unikały obrazów Męki Chrystusowej a cieszyły oko wizją Dobrego Pasterza, Dzieciątka w żłobie lub Zbawiciela Zmartwychwstałego w chwale. Z tego rycerskiego poczucia wypływa i to jeszcze, że wśród przeróżnych czołganek, kwiatonów i innych nieodłącznych od gotyku ozdób niema zupełnie groteskowych straszydeł i fantastycznych wykrzywieńców, których tak wiele grymasuje ze szczytów Kościoła Notre Dame w Paryżu. Atmosfera grubszego żartu i błazeńskiego szyderstwa nie odpowiadała dostojności świątyni oddanej wyłącznie jako wyraz hołdu Marji Dziewicy. Co więcej nawet zwykle licznych pod staremi o ile na zewnątrz Katedry panuje w ozdobach okazała rzeżba, o tyle urok wnętrza podnosi malarstwo. Okna malowane, witraże wywołują właściwy gotyckim katedrom tajemniczy nastrój, łagodzą kontrasty i podnoszą wyrazistość części poszczególnych n. p. żeber, kapiteli.

Do najwyższego rozwoju doszła technika witraży w XI i XII wieku. Niektóre z okien Katedry w Chartres datują się z tej epoki. Chciałoby się widzieć prześliczny hołd złożony Bogarodzicy w cudownym kolorze niebieskim, lejącym się lawą szafirów z wyniosłych, prześwietlonych słońcem okien. Sposób wyrabiania tego koloru uprzywilejowanego Matki Najświętszej zatracono po wieku XII i tylko nieliczne okna mogą się nim poszczycić. Istnieje

wśród nich w południowej nawie poprzecznej jeden witraż znany pod nazwą: „Nasza Pani, piękna szklarka". Na ciemno-rubinowem tle widnieje królowa dziewic, spowita w niebieską, fałdziastą szatę o szlachetnych linjach. Mieszkańcy miasta mieli w wiekach średnich wielkie do tej Madonny nabożeństwo i dziś jeszcze spotkać można niekiedy postać niewieścią wpatrzoną w pełni zamodlenia w witrażową zjawę. Jedną z właściwości katedry jest brak zwykle licznych pod staremi, historycznemi kościołami grobowców biskupów i dobrodziejów-założycieli nie znajdzie się w Chartres. Pięknie tłumaczy tę właściwość stary historyk Rouillard. Powiada on, że Katedra w Chartres ma zaszczyt być łożem Dziewicy, dlatego prochy żadnego śmiertelnika nie śmieją spocząć w jej podziemiach.

Artystycznie rażąca wśród szlachetnego gotyku wnętrza jest grupa przedstawiająca Wniebowzięcie Matki Bożej dłuta Bridana ponad Wielkim Ołtarzem. W ten świat piękna, ulatującego w górne sfery rzucił artysta przyciężką, bryłowatą kompozycję. Matka Najświętsza nie ma powiewności i uduchownienia średniowiecznych Madonn, Aniołom podtrzymującym w koło niej obłoki brak seraficznego ognia miłości a dolne obłoczki i pucołowate twarze anielskich dzieciaków, wyglądających z za ich pianki, przenoszą nas w czasy zwycięskiego baroku. Jest to jedyny dysonans w harmonijnej całości tej przepięknej katedry!

Mimo że miasto Chartres dawno zapomniało o swej wysoce religijnej tradycji i nie odznacza się dzisiaj wcale pobożnością w miesiącu maju zbierają się w przybytku Matki Bożej tłumy, ołtarze, Madonna na słupie, podnoże witrażu „Pięknej Pani-Szklarki" toną w gaju kwiatów i zieleni. Kadzidła unoszą w powietrzu ostre a nęcące wonie, z wysokiego chóru grzmią organy, wtórując litanji śpiewanej w kościele a złoto majowego słońca prześwieca przez szafiry i rubiny witraży, grając rozbłyskiem barw i świateł niebiańskie francuskiego gotyku „Magnificat".

Celina Stoińska.

SPOŁECZENSTWO I WYCHOWANIE.

Zmierzch ustroju kapitalistycznego.

(Na marginesie współczesnego przesilenia).

I.

Coraz częściej słyszymy o zmierzchu ustroju kapitalistycznego. Nietylko publicyści, których moglibyśmy posądzić o skłonność do przesady, lub stronniczność, lecz także i poważni ekonomiści coraz częściej mówią i piszą zupełnie wyraźnie, że choroba gospodarcza, którą przeżywa w ostatnich latach ludzkość, będzie śmiertelną dla współczesnego ustroju gospodarczego, że wśród wzrastającej fali przesilenia zczezną i zatracą się dotychczasowe formy życia ekonomicznego, a z mroków wydobywać się powoli zaczną wsród cierpień i niepokojów współczesnych—kontury i kształty nowego porządku.

Myśl ekonomiczna przechodzi szybką ewolucję, zwłaszcza w takich okresach, jak obecny, kiedy samo życie narzuca szereg palących problemów, które domagają się natychmiastowej i trafnej odpowiedzi, grożąc w przeciwnym razie widmem katastrofy. Można zaobserwować, że w drugiej połowie XIX-go i na początku XX w. zyskują sobie prawo obywatelstwa pewne poglądy ekonomiczne, znane już i sprecyzowane w średniowieczu. Dlatego nie od rzeczy będzie, jeżeli, rozpatrując zasady i cechy charakterystyczne dzisiejszego ustroju (zwanego przez jednych: indywidualistycznym, a przez drugich: kapitalistycznym) — porównamy go w kilku najważniejszych fragmentach z ustrojem średniowiecznym, przyczem za przedmiot rozważań weźmiemy ustrój kapitalistyczny pierwotny taki, jaki ukształtował się na przełomie XVIII-go i XIX-go stulecia.

1. W ustroju średniowiecznym mamy do czynienia z warsztatem małym, rzemieślniczym, najczęściej rodzinnym, w którym pracuje mistrz cechowy, pan i właściciel warsztatu ze swoimi czeladnikami i uczniami. Wszyscy oni należą do jednego i tego samego stanu miejskiego, rzemieślniczego. Z reguły każdy uczeń zostaje z czasem czeladnikiem, a czeladnik—mistrzem, czują się oni więc, jako ludzie jednego stanu, różni tylko wiekiem i doświadczeniem.

Natomiast warsztat kapitalistyczny — to wielka fabryka. Kapitał i praca sprzęgły się tutaj również do wspólnego wysiłku, ale znajdują się one w rękach innych zupełnie warstw społecznych. Robotnik z reguły nigdy nie zostanie właścicielem fabryki. Dlatego wytwarza się między tymi co reprezentują kapitał, a tymi, którzy reprezentują pracę przepaść obcości klasowej, której nie było w warsztacie średniowiecznym — tam bowiem kapitał i praca współpracowały wspólnie w ramach jednej warstwy społecznej, tutaj zaś są rozdzielone, jak dwie obce sobie i często wrogie siły.

2. Swobodna inicjatywa w dziedzinie wytwarzania i pośrednictwa jest w średniowieczu ograniczona istnieniem specjalnych organizacyj samorządowych o charakterze publiczno-prawnym, do których należy regulowanie życia gospodarczego i kontrola nad nim. Mamy więc do czynienia z systemem nie indywidualistycznym, lecz społecznym, prywatna inicjatywa skierowana jest na tory interesu zbiorowego, prawo własności istnieje, jest jednak ograniczone w zakresie iuris utendi, aby nie przeobraziło się w ius abutendi, jest ono funkcją społeczną, a nie fetyszem.

Natomiast ustrój kapitalistyczny zbudowany został od początku na zasadach wolności pojętej w sposób anarchiczny. Ton nadaje mu filozofja liberalistyczna, która zupełną wolność w dziedzinie przemysłu i handlu, niczem niekrępowaną ze strony włady publicznej, stawia na pierwszym planie, jako swój najwyższy dogmat.

W okresie powstawania kapitalizmu pod koniec XVIII w. wszystkie organizacje samorządu gospodarczego były zlikwidowane i między państwem a jednostką produkującą i pośredniczącą (homo economicus) istniała próżnia. Koncepcja liberalistyczna wykluczała istnienie jakichkolwiek organizmów zbiorowych o charakterze gospodarczym między państwem a jednostką, państwu zaś nakazywała nie wtrącać się do tego, w jaki sposób jednostka będzie produkować, czy pośredniczyć, w jaki sposób będzie dochodzić do majątku, czy będzie tworzyć nowe, czy likwidować stare warsztaty pracy, czy będzie przynosić pomoc i błogosławieństwo innym, czy też będzie ich pochłaniać w brutalnej, bezlitosnej konkurencji.

3. W średniowieczu inny był stosunek człowieka do pro-

dukcji. Celem produkcji było dążenie do utrzymania się według potrzeb swojego stanu. Równocześnie chodziło o solidne zaspokojenie potrzeb — nie byle czem. Ambicją i dążeniem majstra było wypracować wytwór najtrwalszy i najdoskonalszy. Indywidualne zdolności majstra odzwierciedlały się w jego dziele, które z reguły nie było pozbawione pewnego artyzmu, pewnej cechy indywidualnej, tymbardziej, że było wytworem rąk jego własnych przy użyciu zwykłych narzędzi.

Kapitalistyczna wytwórczość maszynowa zmechanizowała pracę. Wprawdzie następuje olbrzymi rozwój nauk matematycznych i przyrodniczych, o całe niebo wyższy w porównaniu ze średniowieczem wzrost techniki i najrozmaitszych udogodnień cywilizacji materjalnej, tem nie mniej jednak upada równocześnie jakość wytworu.

Najważniejszym jednak zjawiskiem, które chcemy specjalnie podkreślić, jest inny zupełnie, niż w średniowieczu stosunek człowieka do produkcji. Celem produkcji staje się nie tyle wytworzenie dobrego wytworu, zaspokojenie zapomocą niego potrzeb i spełnienie przez to pewnej funkcji społecznej — lecz sam zysk, a nawet ściśle biorąc — dążenie do jaknajszybszego, niczem nieograniczonego zysku. I widzimy, jak w miarę ewolucji ustroju indywidualistycznego coraz większą rolę zaczyna odgrywać w życiu gospodarczym moment spekulacji. Początkowo kierują jeszcze życiem gospodarczym przedsiębiorcy, którzy tworzą wielkie warsztaty pracy i sami je prowadzą, później zaś typ ten coraz bardziej jest wypierany przez indywiduum handlarza, pośrednika. Pośrednictwo coraz bardziej zyskuje przewagę nad samą produkcją, dyktuje jej warunki, obniża jej wartość i jakość dla względów czysto spekulacyjnych, aż wreszcie doprowadzi do jej upadku.

4. Dochodzimy wreszcie do różnicy najważniejszej. Fundamentem ustroju średniowiecznego była nauka Kościoła katolickiego. Sredniowiecze to ten okres w dziejach świata, w którym Nauka Chrystusa wywierała przemożny i skuteczny wpływ nietylko w sferze życia indywidualnego, lecz obejmowała całe społeczeństwo ludzkie i jego potrzeby, działając również na terenie życia gospodarczego, społecznego, politycznego.

Według poglądów Ojców kościoła (które w zmienionej tylko formie, przystosowanej do czasów dzisiejszych, ujęte zostały w encyklikach społecznych ostatnich papieży) — praca ludzka nie jest towarem, lecz czynnikiem związanym z człowiekiem, który ją wykonywa, a przeto robotnikowi należy się sprawiedliwa zapłata, aby mógł wyżyć według potrzeb swego stanu, zaspakajając nietylko swoje potrzeby czysto materjalne lecz również i duchowe. Zasady sprawiedliwości winny obowiązywać również w przemyśle i w handlu, nawet przy ustaleniu ceny towaru (iustum proetium). Celem człowieka produkującego nie może być dążenie do bezwzględnego wzbogacenia się, choćby kosztem innych. Jednostce ludzkiej musi zawsze przyświecać cel wyższy, moralny, górując nad materją. Z tego założenia wychodząc, zakazywał kościół lichwy, rozumiejąc pod pojęciem lichwy w tych czasach — wszelki nawet procent od kapitału pieniężnego (z małemi wyjątkami). Z tych założeń również wypływała kontrola nad ówczesnym przemysłem i handlem, sprawowana przez organy społeczne, utrudniająca nadużycia prawa własności, uciskanie jednostek słabszych przez silniejsze ekonomicznie i łagodząca ostrze konkurencji i wszelkich konfliktów w dziedzinie społeczno-gospodarczej.

Niestety, po pewnym czasie dobroczynny ten wpływ zasad katolickich zaczyna słabnąć. W w. XVI obserwujemy w całej Europie wielką rewolucję religijną, która z czasem sprowadza za sobą potężny wzrost prądów materjalistycznych i zmianę dotychczasowych poglądów. W miarę, jak wzrastają i potężnieją prądy materjalistyczne zmniejsza się wpływ Kościoła i nauki katolickiej na zagadnienia gospodarczo-społeczne. I można śmiało powiedzieć, iż momentem największego osłabienia katolicyzmu, okresem, w którym rola jego ograniczała się do kościoła i zakrystji—była II połową wieku XVIII i I połową XIX, to jest właśnie okres powstawania i kształtowania się ustroju kapitalistycznego. W tym czasie, kiedy wynaleziono maszyny parową i przędzalniczą i stawiano pierwsze fabryki w Anglji (około 1750) wrogowie katolicyzmu panowali i nadawali ton życiu zbiorowemu całego świata „kulturalnego". W Anglji panował deizm, grube poglądy materjalistyczne i upadek obyczajów, we Francji panoszył się racjonalizm i szy-

kowała się wielka rewolucja, sfery katolickie pogrążone były w znacznej mierze w kwietyzmie, rozpoczynał się wśród nich szerzyć indyferentyzm.

Nie można się dziwić, iż w tych warunkach tezy opracowywane przez ekonomistów, oparte były na założeniach materjalistycznych i że przedsiębiorcy oraz kierownicy warsztatów powstającego pierwotnego ustroju kapitalistycznego hołdowali w życiu praktycznym pojęciom materjalistycznym, uważając pracę za towar, a ludzi za narzędzia do osiągania ich kosztem wszelkiego, choćby najbardziej nieprawego zysku. Ponieważ zaś tego towaru było dużo, gdyż w tym właśnie czasie nastąpiła masowa emigracja ludności wiejskiej do miast, a z drugiej strony państwo w myśl założeń teorji liberalistycznej nie wtrącało się w stosunki gospodarcze (laissez faire, laissez, passer), zakazując równocześnie tworzenia jakichkolwiek związków między robotnikami — przeto bezbronne masy ludowe oddane zostały na łup przedsiębiorcom kapitalistycznym.

Oto w jaki sposób scharakteryzował ten moment dziejowy wielki Papież Leon XIII, pisząc w r. 1891 w słynnej Swej encyklice Rerum Novarum:

„W ubiegłym stuleciu usunięto dawne cechy rzemieślnicze, a nie zastąpiono ich niczem nowem; w miarę zaś jak ustawy i urządzenia publiczne wyzbywały się ducha chrześçijańskiego, rękodzielnicy szli na pastwę nieludzkich kapitalistów i współzawodników niepohamowanych w chciwości. Stosunki pogorszyła nienasycona lichwa; potępiona niejednokrotnie wyrokiem Kościoła, zawsze ta sama, lubo coraz pod inną występująca postacią, przynosi nieprawe dochody ludziom żądnym zysku. Produkcja i handel stały się niemal monopolem niewielu, a w ten sposób garstka bogaczów nałożyła jarzmo prawie niewolnicze stanowi pracującemu".

A jakie to było jarzmo, o tem pouczają nas fakty i dane statystyczne wzięte z czasów ówczesnych. Robotnicy pracowali po 16 godzin na dobę, źle płatni, bez żadnej ochrony zdrowia i życia, pracowały kobiety wspólnie z mężczyznami bez ochrony macierzyństwa, dzieci od 8 lat były zatrudnione ponad siły, bat był jednym z narzędzi używanych przy warsztacie przędzalniczym w Anglji. Obojętnie przyglądało się

temu wszystkiemu państwo, nie mieszając się do „wolnej i swobodnej umowy", o najem pracy. Według teorji liberalnej, żelazne prawa natury kierują życiem gospodarczym i muszą prędzej, czy później doprowadzić do czegoś w rodzaju raju na ziemi. Interwencja więc państwa była zbyteczna. Jeżeli nawet pewna ilość słabych zostanie pochłonięta przez silniejszych, tem lepiej dla społeczeństwa, składać się bowiem będzie z samych jednostek silnych i zaprawionych w sztuce życia. A więc — laissez faire... Pod jednym tylko względem państwo wykorzystało swoją władzę — oto zakazało tworzenia jakichkolwiek związków zawodowych, jakiejkolwiek samopomocy warstw pracujących i upośledzonych. Prawo koalicji było wówczas uważane za coś w rodzaju buntu, co, rzecz oczywista, przyczyniło się wydatnie do zwiększenia istniejącego wyzysku i nędzy mas pracujących.

* * *

Wówczas nastąpił **pierwszy kryzys ustroju** kapitalistycznego.

Oprócz kryzysów sporadycznych, konjunkturalnych, które powtarzały się raz po raz w w. XIX—pierwszy wielki kryzys zasadniczy, który doprowadził do poważnych zmian i przeobrażeń strukturalnych, przechodził ustrój kapitalistyczno-indywidualistyczny w pierwszej połowie XIX stulecia. Drugi kryzys o podobnym charakterze przechodzimy obecnie.

Sądzimy, że do zadań, wypływających z naszej pracy, należy rozpatrzeć je po kolei w porządku chronologicznym. Zrobimy to w następnym artykule.

Stefan Kaczorowski.

Ze wspomnień Rzymskich.

Rzym nowoczesny bawi się tak, jak i inne, niegorsze od niego miasta europejskie: ile może, jak może, vel, według najściślejszego słownika czasów ostatnich: ile policja pozwala.

Ale i ten drugi Rzym o poważnem obliczu, który się wpatruje w prześliczne głębie swej Città Eterna i Capo del mondo — nie tylko pielgrzymuje z różańcem w ręku po siedmiu bazylikach.

Praca i cierpienie—to jego chleb powszedni. Ale nie cel. Dlatego, aby przypomnieć sobie ów cel, który jest radością najszczęśliwszą i odpoczynkiem, wyzwolonym z granic — jedynym godnym człowieka — siada sobie na ziemi i śmieje się chwilę beztrosko.

Uświęcił on oddawna zabawę i w odpowiednim momencie sam się bawi.

W pewnych czasach, szczególnie na wiosnę, po całym Rzymie rozrzucone grupy katolickich artystów, teatry, służące nietylko do ułatwiania trawienia i innych funkcyj fizjologicznych, szkoły, wreszcie stowarzyszenia parafjalne urządzają przedstawienia, koncerty, kina, „trattenimenta", gdzie się częstuje ludzi czystą nawet sztuką.

Wychodzą z cel księża, najrozmaitsi zakonnicy i napełniają gwarne sale pod słońcem elektrycznych świeczników.

Oto idę właśnie na jeden z tych wspaniałych, sądząc po afiszu dramatów, „Pro Patria", który jest wystawiony w teatrze gimnazjum św. Józefa. Są inne poważniejsze, lepiej urządzone technicznie, ale wybrałem właśnie ten, aby go porównać z amatorskiemi przedstawieniami naszych szkół katolickich.

Idę więc wesoło, odświętnie, (że się tak wyrażę) ubrany—jak na odpust. W powietrzu, nabrzmiałem już wilgocią świeżej oskoły roślinnej czuć wiosnę, lub conajmniej koniec zimy. Na malowniczych ułamkach przedpotopowych murów kwitną jakieś krzewy biało i różowo. Pod kamienicami, lub na schodach kościołów śpią w skupieniu rozmaici robociarze, napełnieni makaronem i napojami szlachetnemi. Prawdopodobnie ci, którzy nie posiadają własnych kamienic, a którym interesa w odległej części miasta nie pozwalają na drzemkę poobiednią w ewentualnie własnych zabudowaniach. Podziwiam ten prostoduszny niezwykle sposób familijnego traktowania ulicy i kamieni ulicznych.

Do snu kołysać ich musi równomierne piszczenie i zgrzyty tramwajów, trąby dzikich samochodów, huk wozów, wrzask wielu synów słonecznej Italji — niby jednostajny szum morskich fal. To ostatnie przypuszczenie napełnia mię zabobonną trwogą i zarazem uwielbieniem dla tych ludzi.

Wchodzimy do gmachu gimnazjum, które się wznosi na pięknym placu, obok powodzi kwiatów świeżych i wyniosłych palm. Sala teatralna już jest pełna. Czerni się mrowie sutann,

a białe kresy sznurów przecinają bronzowe habity zakonników. Dużo dzieci i robotników. Mam piąty rząd krzeseł. Zacząłem się pocieszać, że będę wszystko dobrze widział, ale zaraz zatruł mi ktoś całą radość zapewnieniem, że tu się za to lepiej słyszy suflera, niż aktorów. Trudno. Zresztą: Bis repetita placent—jak powiedział Horacy w szacownej „Ars Poetica", a za nim wszyscy mądrzy ludzie, aż do dziś.

Sala jest dość duża o ładnej architekturze. Całe to olbrzymie kolegium, które miałem sposobność przedtem zwiedzić, jest zbudowane bardzo racjonalnie, nic więc dziwnego, że miejsce na teatr jest godne swego przeznaczenia.

Szczęśliwym trafem w pierwszych rzędach siedzi mnóstwo polaków. Wszędzie świecą polskie gęby i słychać polską mowę. Zapoznaję się z sąsiadami i rozpoczynam rozmowę. Ale już lampy gasną i rzecz się rozpoczyna. Rozpoczyna się wielce tragicznie, pięknie, z hukiem, blaskiem mieczów i puklerzy średniowiecznych na Bałkanach, gdzie wre walka z Turkami. Po zapadnięciu kurtyny chwila przerwy i wyczekiwane przezemnie szczególnie intermezzo musicale. Nie będę streszczał osnowy dramatu, bo po pierwsze: byłoby to nudne i zajęło wiele miejsca. Po drugie: Dramat zapowiadał się nie wesoło i po trzecie: nic nie zrozumiałem. Nie tak łatwo zrozumieć Włochów, gdy mówią „con fuoco", a tembardziej, gdy to fuoco jest robione na scenie. Oprócz tego warunki nie sprzyjały temu. Zgodnie z zapowiedzią, budkę suflera zamieszkiwał duch wielce niespokojny, który w gestykulacji wyciągał ręce tak wysoko, że można było policzyć, ile ma palców, a podpowiadał szeptem tak przeraźliwie głośnym, że najpierw trzeba było wysłuchać jego denerwującego głosu, a potem powtórzenia tego z wściekłym zapałem. Chciałem zaradzić złemu przez wprowadzenie systemu otwierania i zamykania kolejnego uszu, ale ręce miałem zajęte, gdyż krzesło (wyściełane), na którem siedziałem było wadliwie skonstruowane i z pośrodka sterczały sprężyny okropnie twardę. Ograniczę się do zaznaczenia, że cała sztuka była grana dobrze, lepiej niż w jakimś bydgoskim, lub kieleckim teatrze. Należy przypisać to temu, że artyści rekrutowali się nietylko z wychowanków, ale i z byłych wychowanków, ludzi dorosłych i aktorów może zawodowych. Jedna z ról była nawet w obsadzie zakonnika, wychowawcy tego kolegjum. (By-

ła to rola niepochlebna. Już drugi rok grał on największego łotra dramatu. Należy przypuszczać, że czynił to raczej z miłości bliźniego, jak z ukrytych uzdolnień w tym kierunku). Dekoracje i stroje doskonałe.

Czasem tylko zdarzały się drobne wypadki. Gdy np. słyszano głos suflera, a aktora po nim nie — gdy publiczność zaczęła się śmiać w najtragiczniejszem miejscu (żadną miarą nie był to śmiech histeryczny), lub gdy wreszcie w przetragicznej scenie finału, kiedy na tle pięknych dekoracji, przedstawiających śnieżną noc w górach, rozgrywała się akcja decydująca i bohater miał zginąć, naraz spadła z góry, niby biały meteor— dwufuntowa wiązka mżącego dotąd prawidłowo śniegu i upadłszy na ognisko nie roztopiła się, ani zapaliła według praw fizyki starożytnej i nowoczesnej. Speszyli się wtedy biedni artyści, a publiczność nie omieszkała porozumieć się ze sobą, co było z papieru: ogień, czy śnieg? Warto było przecierpieć wszystkie krew mrożące w żyłach okropności, wziąwszy pod uwagę, że zawsze akt tragedji kończył się, a po nim następowała przerwa, sowicie wynagradzająca wszelkie udręki. Dla tych antraktów i ja tu głównie przyszedłem i o nich chcę pisać. Zaraz po pierwszej części wszyscy zdołali ocenić przewagę antraktów nad tem, co wypełniało ciemne przestrzenie międzyantraktowe. Wytworzył się nastrój bardzo wesoły, który czyhał na sposobną chwilę, aby wybuchać śmiechem.

Z paszcz greckich marmurowych masek płynęło cicho czerwone światło, spełniając rolę lampek orjentacyjnych i stylowo dekorując salę.

— Ksiądz prawdopodobnie będzie biskupem!—Mówi jeden młody ksiądz do drugiego młodego księdza.

— Skąd ta niebiańska myśl?

— Bo z okrągłej gęby tej maski, co wisi nad waszym rzędem, leje się światło i pada szkarłatną plamą wprost na czubek głowy księdza i wszyscy, co z tyłu siedzą, mają kapitalne złudzenie, że to biskupia piuska... Może to prorocze?

— Dałby Bóg... Dałby Bóg...

— Cooo... To ksiądz ukrywa w sercu pragnienie godności kościelnych?! Przecież to przeszkadza w kanonizacji. Ratujcie się póki czas...

— Eeee — To już mię najmniej martwi, aby to pierwsze... się sprawdziło!

Gwar odmierzonego wprawnie zdumienia ze wszystkich stron, potem znów głos tego z purpurą na głowie:

— Szczerość, szczerość przedewszystkiem!

— Ach prawda! Toż ksiądz jest szczery heroicznie, czego właśnie potrzeba do kanonizacji! — Wszystko w porządku!

Z innej strony inna wesoła rozmowa.

— Widzę, że jesteś w siódmem niebie?

— Tak, w antraktach!

Chcę przyklasnąć temu powiedzeniu, ale już się zaczyna intermezzo, z którego nie mogę uronić żadnego szczegółu. Przed cudną kurtyną, przedstawiającą kampanję włoską—z szeregami pinji i cyprysów i oceanem blasków zachodzącego słońca, na której tle terasa marmurowego pałacu i posągi — wychodzi szereg chłopców.

Włosi są bardzo piękni, jak wiadomo. Szczególnie zaś mali chłopcy. Ale ten, kto nie widział nigdy południowców, nie może mieć pojęcia o tem, jak oni są rzeczywiście piękni. Nie dziwiłem się wtedy sztuce włoskiej, tym olbrzymim galerjom obrazów, do których wchodząc truchlałem, niby w obliczu czegoś strasznego.

Ustawili się kołem na tle swojej ziemi słonecznej—światłem oblani zewsząd, sami światło siejący, choć skóra ich opalona, na brunatne złoto, przez które rumieni się krew. Patrzyłem na te rysy „purissime", tak regularne, że się nie chce wierzyć. Gdy się je widzi odczuwa się ich harmonijną doskonałość, gdy się ich straci z oczu wymykają się z wyobraźni zupełnie, stają się — „nieprzypomnialni". A przytem każdy z nich nowym typem był, odrębnym niejako rodzajem. Stali przedemną, jak kwiaty wiosenne, jak posągi, wyrzeźbione siłą nadludzkiego genjusza w nieskażonym ciele—piękne—pełne młodzieńczości, życia i zdrowia. Zdawało mi się, że okruch niebieskiego światła padł mi na oczy, że widzę rozśpiewanych drużyn niebieskich przedstraże...

Płynęły piosenki narodowe włoskie. Dźwięczne, żywe, o wypieszczonej melodji, płonące dziwnym południowym sentymentem—z tych twarzy, z których każda była pieśnią. Ubrani w narodowe stroje z rozmaitych stron Włoch, po każdej strofce

rozpoczynali przy dźwięku kastanietów i innych metalowych instrumentów jednodźwiękowych tańce swoiste, bardzo proste. Akompanjował im jeden z profesorów, Braci Szkolnych*) na fortepianie.

Kilkakrotnie jeden mały chłopaczek, prawie dziecko śpiewał dowcipne ad hoc piosenki, których melodja była splotem motywów z najsłynniejszych aryj operowych. Co za świetnie postawiony głos miał ten chłopak i co za szkołę! Ciągnął po kilkanaście sekund wysokie końcowe „a" tak czysto i głośno, że publiczność huczała, jak może, bijąc brawo i wołając bis!

W czasie drugiego i innych antraktów znów śpiewy solowe, duety chłopaków, poprzebieranych za chińczyków, lub deklamacje wdzięczne, wesołe bez cienia tremy. Widać było w każdym geście tych dziecinnych rączek dwutysiącletnią kulturę, co „do kołyski już dżdży przez podania". Nie mogę wyczerpać bogactwa kombinacji nadprogramowych, boby mi miejsca nie starczyło i czytanoby mię dłużej, niż ja siedziałem w teatrze. A siedziałem od obiadu do wieczora późnego.

Powoli prysła ta zimna i pełna oczekiwania na odległość powaga, jaką zwykle audytorjum darzy scenę — estrada weszła na widownię. Na balkony wychodzili mali aktorzy w wspaniałych strojach albańskich i tureckich, nie mogąc się doczekać swego wystąpienia w mrokach kulis. Najpocieszniejsze było to, że byli oni, co jest zbytnio zrozumiałe, weseli, a tymczasem twarze ich, ucharakteryzowane na smutno i tragicznie czarnemi zmarszczkami wyrażały przy śmiechu coś zdumiewającego.

W czasie ostatniej przerwy wystąpiło znów na podjum z dziesięciu chłopców starszych, w szkolnych już ubraniach i rozpoczęło unisono poważnie śpiewać jakąś piosenkę, której refren kończył się zawsze sylabami „pi-pi-ru-li". Po prześpiewaniu tej piosenki o dość zwykłym, choć ciekawym takcie, wydłużonym niezmiernie, zabierali się do wyjścia... Nagle przeciska się przez krzesła starszy jegomość, giestykulując żywo

---

*) Wielka organizacja zakonna, mająca za cel prowadzenie szkół chrześcijańskich. Przez ślub wstrzymują się od kapłaństwa. Chodzą w sutannach czarnych. Są wszyscy bardzo wykształceni i wychowują przeważnie inteligencję. Rozgałęzieni szeroko we Francji, Włoszech i krajach południowych Europy.

i krzycząc pod adresem śpiewaków. Gdy się zbliżył do światła, poznałem w nim świetnego aktora monologu, wypowiedzianego na ubiegłej przerwie, tylko ubranego w elegancki frak. Wywindowawszy się na wzniesienie, kładł coś w uszy chłopców, już go znających. Zrozumiałem, że wymawia im marny śpiew i oburza się na profanację muzyki. On ich zaraz nauczy śpiewać. Otwiera szapoklak, kładzie go na głowę, podnosi batutę i rozpoczyna się znów ta sama piosenka. Ale już stokroć sprawniej to idzie. Fortepian więcej ma życia, chłopaki drą się znakomicie, a sam dyrygent wyprawia rzeczy dziwne. Wymachuje rękomo, nogami, sobą samym, śpiewa razem z chórem, wpada w ćwierciach taktu, łamie go, a misternie jednoczy się przy finałach, sypie dowcipami. A ciągle przy końcu powtarza się główny motyw: „Pipiruli - pipirula", do którego rymuje się rozmaicie wesoły śpiew.

Dyrygent ów jest, jak się dowiaduję, profesorem śpiewów w gimnazjum, a zarazem autorem tych imprez i reżyserem teatru. Poznaję go, bo w tamtym roku aktorzy po przedstawieniu składali mu bukiet kwiatów. Morowy chłop, wesoły, pełen życia, a choć bawi wszystkich własnym kosztem, po sprawności i doskonałym porządku widać, że ma autorytet i cieszy się sympatją wśród uczniów.

Gdy oni tak śpiewają, rozlega się w mrocznej części teatru jakiś wrzask. Zrazu podobny do nieartykułowych wykrzykników nadzwyczajnie uradowanego człowieka, potem do odgłosów, jakieby wydawał osioł, gdyby chciał udawać beczenie kozy, w końcu do pierwszego i drugiego razem. Wrzask rośnie i między krzesłami idzie śpiesznie do estrady wysoki chłopak.

Na głowie ma słomkowy, sztywny kapelusz, króciutkie spodnie, czerwone pończochy, w ręku ze trzydzieści książek, spiętych rzemieniem. Idzie w podskokach, kłania się zdaleka w stronę kapelmistrza, jakby dobry znajomy. Ten, zdumiony, wstrzymuje śpiew, który i tak został zagłuszony okrzykami nieoczekiwanego gościa. Twarz dyrygenta zwraca się na niego, z niemym pytaniem: A co to takiego?

Rozpoczyna się prezentacja (jednostronna i przymusowa).

Chłopak, jak widać uczeń, dążący do szkoły potrząsa mocno dłoń profesora i zachłystuje się śmiechem, który połyka grubemi kawałami z rykiem zgoła baranim. Twierdzi, że zna go dobrze

jako sławę muzyczną i pragnie od niego się nauczyć cudownego śpiewu „pipiruli”. Ten, patrząc na jego twarz, tryskającą czerstwą, rozkoszną głupotą—na obleśną twarz zadowolonego z siebie bałwana, rozjaśnia powoli marsowe oblicze. Ta gęba ciągle rozwarta, przekreślająca czerwoną linją całą twarz od ucha do do ucha, piosenka dla dzieci, trzymane z książkami, zmuszają go do pobłażliwego uśmiechu. A rozkoszna małpa nagli go, wyciągając ogromny budzik z zapazuchy, którego wskazówki zbliżają się do szkolnej godziny. Profesor więc godzi się z losem. Z zapałem nałogowym zaczyna lekcję. Ale uczeń okazuje się pojętym w sposób nieprzewidziany. Miesza wszystko, drze się, jak stado bawołów, osłów i szympansów, co chwila przerywa śpiew, aby opowiadać swoje szkolne przygody, wierci się, przestępuje z nogi na nogę. Proponuje, mimo energicznego protestu, rozwiązywanie zadań arytmetycznych.

— Panie — prroofesorze— ale ja mam doskonałe zadanie... Bazylika św. Piotra ma 138 m. wysokości, 186 m. i 36 cm. długości. Ile lat ma zakrystjan?

— Ma — come si pno — Skąd ja mogę!..

— A ja wiem!

— Heee...-No ile?—67!!!

— Jakim sposobem otrzymałeś tę wiadomość?

— Ja się pytałem samego zakrystjana i on mi powiedział... Ha, dobre zadanko, co?—

Zakrystjan od św. Piotra, który był też na sali, musiał się czuć nieco skonfundowany... Po tympodobnych hecach dyrygent zwraca się do publiczności. Nikt się temu nie dziwi, bo wszystkie lody już dawno złamane. Znamy się, jakbyśmy razem grali.

— Teraz, — rzecze — zaśpiewa sama publiczność!

O dziwo! Pod ruchami batuty, jak czarodziejskiej laseczki, — gdy chór milczy cała widownia rozbrzmiewa tą samą piosenką... Pipina, pipiruli — un motivo fa cosi... Przypuszczam, że pomagali w śpiewie dość trudnej, choć osłuchanej piosenki chłopcy, porozrzucani między widzów... W każdym razie sukces wspaniały! Kursuje radosna nowina (prawdziwa, lub nie), że kardynał,*) obecny na przedstawieniu na balkonie też wykrzykiwał: Pi pi ru li!

---

*) kard. Vanutelli, sędziwy staruszek, niedawno zmarły.

Dyrygent żegna nas zapewniemiem, że jutro już śpiewać będzie tylko sama publiczność, bez chóru. Zagłuszamy go oklaskami bez końca.

Wychodzę trochę oszołomiony, pełen wrażeń najrozmaitszych. Wieczór już zapadł, mleczne gwiazdy latarń rozświecają nam drogę. Naprzeciwko krzykliwie przyciąga oczy drgająca, tysiącem lampek upstrzona, zielono-czerwona reklama. Niechcący zaczepiam o nią oczyma. To kabaret. Ten sam, co na całym świecie, zawsze jednaki, chełpiący się swoją erotyczną parafjańszczyzną, trzygroszowym dowcipem i nudą, rozpędzaną bezskutecznie paradą przystojnego mięsa. Właśnie wylewał się z niego ogromny tłum ludzi. Trudno mi było to w tej chwili zrozumieć, ale przyszedł mi w pomoc werset Pisma. „Infinitus est numerus stultorum...”

Dr. Tadeusz Kordyasz.

Na froncie walki

Ostry ton antykatolicki socjalistycznego „Robotnika” — Ciekawa metoda: łączenia katolicyzmu z sanacją — Bezczelność — Metody inteligencji żydowskiej — Odruchy społeczeństwa przeciwko sanacji — Związek paziów w Polsce i jego przewodniczący — Nasz sojusz z Francją — Zagadnienie kryzysu ustroju kapitalistycznego.

Zwracaliśmy już w swoim czasie uwagę na pewnego rodzaju zmianę tonu socjalistycznego „Robotnika” w stosunku do religji. Dawniej redakcja tego pisma trzymała się jeszcze jakich takich norm przyzwoitości i albo nie omawiała wcale zagadnień religijnych, albo też starała się przynajmniej pisać o nich krótko, zwięźle i rzeczowo. Zwykle w Dzień Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy pojawiał się artykuł wstępny, dość mętny i wodnisty ideowo, zawierający jednak pewne ukłony w kierunku tej uroczystości: wspominający coś o porównaniu dnia z nocą, o wiośnie, o dawnych świętach pogańskich, zastąpionych potem przez chrześcijańskie i t. d. Widocznie redakcja pisma liczyła się z faktem, że czytają je rzesze robotnicze, chociaż socjalistyczne, lecz tem nie mniej przywiązane tradycyjnie do świąt obchodzonych od wieków przez nasze społeczeństwo.

Ostatnio jednak w redakcji „Robotnika” musiał wziąć górę kierunek bardziej nieprzejednany w stosunku do religji, może zwiększył się w jej gronie procent mniejszości narodowej z 90 na 99 i to tej mniejszości, kt ra, domagając się stale od wszystkich innych narodów świata ogromnej w stosunku do siebie tolerancji, odznacza się sama zoologiczną wprost nienawiścią do Chrystjanizmu... Może panowie z „Robotnika”, obserwując swoich czytelników, doszli do przekonania, że jest to element tak niemrawy i zdeklasowany kulturalnie, że można wobec niego nie krępować się i spokojnie deptać po tradycyjnych chociażby obyczajach, które w nim panują. Dość, że w numerze Wielkanocnym „Robotnika” na pierwszej kolumnie mamy brutalny, antyreligijny artykuł wstępny i bezczelny bluźnierczy wiersz. W artykule wstępnym między innymi głupstwami, zaczerpniętymi z poglądów socjalistycznych w ujęciu znanym na Zachodzie około r. 1850, 60, czytamy następujące twierdzenia:

„Wprawdzie Kościół poucza, że Chrystus przez sam fakt zmartwychwstania już dokonał był zbawienia ludzkości i że od samej ludzkości zależy, by przejęła się nauką Chrystusa i dostąpiła zbawienia. Ale 2000 lat dziejów ludzkich wskazuje aż nadto jasno i dobitnie, że rozwój idzie w kierunku wręcz odwrotnym, że im bardziej oddalamy się od ery Chrystusa, tem mniejszy staje się wpływ Jego nauki na życie jednostek i zbiorowości ludzkich.

Nic może jaskrawiej nie oświetla tej ucieczki od Chrystusa jak właśnie święto zmartwychwstania Chrystusa. Gdzież podziała się idea, treść duchowa tego święta? Burżuazja bawi się i obżera aż do rozpuku, dla świata pracy Wielkanoc jest w najlepszym razie odpoczynkiem od pracy, a dla bezrobotnych dalszym ciągiem bezrobocia Z pięknej, wzniosłej treści pozostała czcza forma obrzędów kościelnych. Duch Chrystusowy odleciał, idea Chrystusowa znikła.

My socjaliści dobrze wiemy dlaczego tak się stało i tak stać musiało. Wiemy, że rozwój ekonomiczny świata, ślepy i głuchy na nauki moralne, szedł własną drogą, grzebiąc w swym pochodzie najszczytniejsze hasła, najpiękniejsze wzloty ducha, najcudniejsze marzenia.

Wiemy, że zbawienie ludzkości nie przyjdzie od żadnego z kościołów, od żadnego zbawcy. Wiemy, że ludzkość, rozbita i skłócona, jak nigdy, pożarłaby się nawzajem przy akompanjamencie modłów religijnych, gdyby nie fakt epokowego znaczenia, gdyby nie powstanie nowoczesnego proletarjatu, który ideę zbawienia ludzkości wykuwa codzienną swą pracą, walką i ofiarą, wspartą o świadomość swego posłannictwa, które brzmi: wyzwolenie klasy pracującej musi być dziełem samej klasy pracującej.

A wyzwolenie klasy pracującej — to — zbawienie ludzkości”.

Zdawało nam się dotychczas, że powstanie proletarjatu, to jest ludzi pozbawionych całkowicie własności, a nawet ostatnio pracy z powodu bezrobocia, że jednym z najfatalniejszych skutków błędów tkwiących w ustroju kapitalistycznym, wywołanych odrzuceniem nauki ekonomicznej Kościoła. Tymczasem „Robotnik” poucza nas, że fakt ten sprowadzi zbawienie ludzkości. Jak to autor rozumie? Może w ten sposób, że zbawienie świata nastąpi wówczas, gdy zamiast kierujących gospodarstwem i finansami dotychczasowych kapitalistów, przeważnie żydów—rządy te obejmą—komunistyczni komisarze, również w olbrzymiej większości żydzi... Jednym słowem—powrót do przestarzałej teorji Marxa: im gorzej, tem lepiej. Im gorzej będzie robotnikowi, tem prędzej nastąpi rewolucja, Lecz co ta rewolucja przyniesie, co z niej wyniknie, nad tem nie zastanawia się już mądry publicysta...

Drugim wyczynem jest wiersz, będący bluźnierczą apostrofą do Chrystusa, któremu zarzuca autor, że nie powstał z martwych, aby rozprawić się z kapitalizmem. Niesłychany, bezczelny wybryk jakiegoś młodocianego izraelity.

Bardzo znowu charakterystycznym przyczynkiem jest artykuł wydrukowany w № 126 tego organu socjalizujących żydów. „Robotnik” podaje w nim rękę oslawionemu publicyście i oszczercy religji Boyowi-Żeleńskiemu. Boy napisał w „Wiadomościach literackich” o „okupacji naszego kraju przez siłę i czynniki klerykalne”. „Robotnik” zarzuca mu, że:

„Są to, naturalnie, rzeczy ubolewania i potępienia godne, chociaż bynajmniej nie... rewelacyjne. Ale obrazki klerykalnej „okupacji”, malowane wyraźnie przez Boy'a, nasuwają z konieczności refleksje o... innej „okupacji”, w której ramach „okupacja” zachłannej ciemnoty doskonale się czuje i pomyślnie rozwija. Pomijając pewne szczegóły, obiedwie „okupacje”, szerząc się nad Polską, żyją ze sobą bardzo zgodnie i uzupełniają się wzajemnie... Przecież właśnie z taką gorliwością kultywowana przez czynniki klerykalne ciemnota i tępota mas stanowią idealny grunt dla ogłupiającej już do cna demagogji agentów tej „innej” „okupacji”, która z analfabetyzmu i nieuświadomienia najobfitszy zbiera żer... Zresztą, ustępują już nawet rozbieżności w szczegółach, ciałem się staje „uzgodnienie” zupełne, tam gdzie dotychczas nie było. O tem właśnie mówi... ustawa o podatku wyznaniowym, charakterystyczne poprawki „sanacyjnego” ks. Czuja do ustawy szkolnej itd. W razie dalszych potrzeb — rolę pośredników skutecznie odegrać mogą Radziwiłłowie i Steccy, tudzież inni hrabiowie i szambelanowie papiescy. Nil desperandum!... (nie traćcie nadziei!).”

Nie zajmowalibyśmy uwagi czytelników tymi bzdurami, pisanymi zresztą z całą świadomością i złą wolą, gdyby nie były one tak bardzo charakterystyczne i nie odsłaniały zupełnie wyraźnie taktyki naszych socjalistów. Oto chcą oni w opinji mas sprzęgnąć niejako Kościół z sanacją i uczynić go odpowiedzialnym za skutki rządów sanacyjnych, aby w odpowiednim momencie, gdy zmieni się konjunktura polityczna, oskarżyć Kościół i katolików przed społeczeństwem. I pomyślmy tylko, taktykę tę uprawiają ci sami panowie, którzy w r. 1926 wspólnie z obecnymi sanatorami urządzili zamach stanu! Gdyby nie P. P. S. „przełom" majowy nie udałby się według wszelkiego prawdopodobieństwa. Ta sama P. P. S. zmieniła obecnie orjentację i... poszukuje winowajców. Iście żydowska bezczelność!

Trzeba jednak przyznać, że istnieją istotnie nieliczni wprawdzie katolicy, którzy ułatwiają robotę radykałom i wrogom Kościoła przez wytwarzanie pozorów współdziałania pewnych organizacji katolików z „sanacją". Opinja katolicka winna zdać sobie sprawę, że jest to robota b. niebezpieczna i odpowiednio na to reagować.

Mówiliśmy o metodach żydowskich. Bardzo trafną ich charakterystykę daje nawrócony dawny wolnomyśliciel, znakomity pisarz włoski Papini w książce p. t. „Gog" (Gog i Magog—apokaliptyczna nazwa antychrysta. (Apocal. XXVII), wkładając w usta inteligentnego żyda słowa następujące:

„Ludzie niszczą się żelazem, albo kupują się złotem. Nie mogąc użyć żelaza, żydzi szukali ratunku w złocie, a posiadłszy złoto, stali się panami ziemi. Ale poczuwszy się na siłach, żydzi zapragnęli zemsty nad „gojami", złoto więc nagromadzone w skarbcach żydowskich bankierów stało się narzędziem zemsty. Zemstę zaś wywierają żydzi przedewszystkiem przez poniżanie, sponiewieranie i rozkład ideałów „gojowskich", przez niszczenie tych wartości, które stanowią istotę i rdzeń chrześcijaństwa. Od stu z górą lat inteligencja żydowska nic innego nie robi, jak tylko podcina systematycznie i opluwa najdroższe wierzenia chrześcijan, filary i podstawy cywilizacji chrześcijańskiej.

Z chwilą, gdy żydzi uzyskali możność swobodnego pisania, wszystkie wiązadła gmachu cywilizacji chrześcijańskiej pękają i cały gmach grozi zawaleniem. Wszyscy uczeni i pisarze żydowscy, udający Polaków, Niemców, Francuzów itp., piszący swe dzieła w rozmaitych językach, mają wspólny cel, mianowicie: poddawać w wątpliwość prawdy uznane, poniżać to, co się wydaje czystem, zachwiać tem, co stoi mocno, ukamienować to, co doznaje szacunku."

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że u nas wpływ destrukcyjny żydowstwa na naszą kulturę ustawicznie wzrasta w miarę, jak osłabiamy się ciągłymi walkami wewnętrznymi i bezcelowym burzeniem pozytywnych instytucji naszego życia zbiorowego.

Możnaby przytoczyć tysiące przykładów tego bezcelowego niszczenia i osłabiania społeczeństwa, poczynając od rozmaitych metod „wychowania państwowego" poprzez wprowadzanie do zbioru harcerskich piosenek obozowych wojewody Kostka-Biernackiego, jako ideału dla polskiego harcerza (!), a kończąc na osobliwej opiece nad wychodźtwem polskim we Francji przez narzucanie jego starym organizacjom naslanych przewodniczących za pomocą subwencjonowanych organów prasowych.

Już nawet w obozie sanacyjnym odzywają się głosy jednostek bardziej krytycznych i odważniejszych, że tak dalej być nie może. Tak np. w sanacyjnej „Gazecie Podlaskiej" p. St. Wąsowski, mianujący się stuprocentowym piłsudczykiem, zamieszcza list otwarty, w którym między innemi czytamy:

„Do głosu dochodzi dzisiaj—szesnasta brygada—Panie Dyrektorze—szesnasta, nie pierwsza już i nie czwarta nawet. Ludzie, co wczoraj jeszcze wyznawali jednych bogów, dzisiaj, jako piłsudczycy rozkazują, ich słuchają, przed nimi się płaszczą, bo oni zaczynają stanowić siłę. Zmiotą każdego, choćby z najpierwszej brygady — o ile im się narazi. A żąda się od nich bynajmniej nie zrozumienia, zespolenia z ideologją marszałka; żąda się od nich tylko spalenia za sobą mostów, publicznego oplwania tego, co wczoraj adorowali. Ideologja? Na co im ona! Chyba, aby była argumentem w sporze, coś w rodzaju epitheton ornans".

— — — — — — — — — — — —

„Już zaczyna się wytwarzać sfera ludzi na indeksie, ludzi zapowietrzonych. Są to ci, którzy nie idą za tą szesnastą brygadą. Powoli zaczną ich unikać znajomi: jedni—bojąc się o siebie, drudzy — o swoich. Już się wytworzyła grupa partji na indeksie, partji zupełnie legalnych."

— — — — — — — — — — — —

„Sprawiedliwość? Fair play? Nie może być mowy o nich tam, gdzie przymyka się oczy na własnych ludzi, ale bacznie obserwuje się to, co robią przeciwnicy."

— — — — — — — — — — — —

...„Bo my chcemy, aby przy stuprocentowej lojalności do państwa i stuprocentowem oddaniu się wskazówkom marszałka — abyśmy mieli wolność krytyki, wyznawania głośnego swoich przekonań, abyśmy przytem mogli nie widzieć, jak strach przyziemny i korzyści materjalne zaczynają odgrywać dominującą rolę w naszych stosunkach."

I rozpoczyna się już gdzieniegdzie nawet czynna reakcja przeciwko narzucaniu organizacjom społecznym, nawet tworzonym i organizowanym pod hasłami sanacyjnymi, pewnych ludzi i pewnych decyzji. Dnia 9-go kwietnia odbył się w Warszawie ogólnopolski zjazd podoficerów rezerwy, o którego przebiegu pisała „Gazeta Warszawska":

„Zjazd był bardzo silnie obesłany, gdyż przybyło nań około 600 delegatów ze wszystkich okręgów. Panowała atmosfera bardzo naprężona. Po oficjalnej części rozpoczęły się obrady komisji: mandatowej i komisji-matki, do której mieli wstęp tylko prezesi okręgów. Delegowany celem przeprowadzenia zjazdu po myśli „sfer miarodajnych" jen. Górecki, nie został do komisji zaproszony. Dopiero na osobistą jego interwencję został wpuszczony do sali obrad komisji po kilkunastominutowem wyczekiwaniu pod drzwiami na decyzję przewodniczącego. Decyzja była przychylna. Wiadomo: względy grzecznościowe.

Komisja-matka wysunęła dwie kandydatury na prezesa Związku: p. Jakubowskiego, dotychczasowego prezesa i adw. Perzyńskiego, senatora BB. Jen. Górecki starał się forsować pogląd, że kandydatura Jakubowskiego jest „szkodliwa".

W zarządzonem przez przewodniczącego glosowaniu zwyciężył dotychczasowy prezes, p. Jakubowski, za którym opowiedziała się większość delegatów.

Zjazd zakończono wyborem członków zarządu i komisji rawizyjnej, dokonanym w burzliwej atmosferze. Przeciwnicy nie szczędzili sobie zgryźliwych uwag, przedstawiających we właściwem świetle stosunki, panujące w Federacji.

Według krążących pogłosek, w czasie obrad komisji-matki, p. Jakubowski, oburzony do głębi metodami i taktyką, stosowaną przez jen. Góreckiego i jego adherentów, zrezygnował z orderu „Polonia Restituta", otrzymanego za pracę niepodległościową, składając go na ręce jen. Góreckiego.

Jak widzimy, w przysłowiowej zgodzie w obozie sanacyjnym coś psuć się zaczyna".

A jak karykaturalnie wyglądają niektórzy przedstawiciele sanacji, przykładem może służyć fakt, opisany przez socjalistyczny „Robotnik":

„Książe Albrecht Któryśtam Radziwiłł, Pan na Nieświeżu i Bógwiegdzie, który wsławił się niedawno nadaniem tytułu nadwornego blacharza pewnemu starozakonnemu, zamieszkałemu we włościach książęcych dał znać nanowo o sobie, tym razem jako prezes Związku Paziów w Polsce.

Z okazji wyświęcenia prawosławnego księdza Sawwy Sowietowa na Biskupa lubelskiego, Związek Paziów w Polsce przesłał za podpisem swego prezesa, księcia Albrechta Radziwiłła, serdeczny list gratulacyjny no-

wemu biskupowi, jako że obecny dygnitarz kościelny, syn dygnitarza świeckiego w Rosji carskiej, za młodu był paziem, absolwentem korpusu paziów.

Donosi o tym wzruszającym objawie solidarności paziowskiej jedno z pism rosyjskich, ukazujących się na terenie Polski. Wdzięczność należy się temu pismu za przypomnienie światu, że w Polsce Niepodległej, 15 lat po upadku caratu, pod przewodnictwem arystokraty polskiego istnieje wszechrosyjski związek paziów carskich, i że przewodniczącym jest sam książę Albrecht Radziwiłł, gospodarz słynnej uczty z przed 5 laty, w którego zamku poczęła się polityka Nieświeża i Brześcia".

Wdzięczność należy się żydkom z „Robotnika", że wydobyli ten fakt usłużnie z pyłu zapomnienia. Pomyślmy tylko Co za wzruszający objaw poszanowania tradycji. Ileż to lat upłynęło od upadku caratu, a ks. Albrecht po dziś dzień uważa się nadal za pazia... ba! — za przewodniczącego wszystkich paziów w Polsce. I mówią, że arystokracja nasza jest lekkomyślna, zmienna i niewierna swoim ideałom... Dobrze jeszcze, że tego kapitalnego księcia nie kreuje „Robotnik" na wybitnego przedstawiciela idei katolickiej w Polsce...

* * *

„Robotnik" zamieszcza czasami kawałki wspaniałe... i to samo „Gazeta Polska". Niedawno czytaliśmy tam wspomnienie, zacytowane z „Niepodległości", „czasopisma poświęconego badaniom najnowszych dziejów Polski". Wspomnienie to mówi o pobycie marszałka Piłsudskiego („Ziuka") w Japonji w r. 1905 i o pewnym obiedzie, podczas którego podano clou de la reception—ryby na surowo. Oddajemy głos autorowi:

„Zdziwił mię trochę pośpiech, z jakim po dłuższej przerwie tę rybę podano każdemu z nas z osobna, na małych tackach lakowych, na których ustawione były trzy małe spodeczki z trzema gatunkami sosu — ostrego, słodkawego, kwaskowatego i słonawo-gorzkawego. Ryba, wielkości dużej sielawy lub średniego śledzia, o złotawej łusce, miała skórę odwiniętą pod siebie, a mięso pocięte w cienkie płatki, ładnie obok siebie ułożone na kośćcu, z głową i ogonem nietkniętemi. Zaczęliśmy temi pałeczkami brać kawałki jeden po drugim i, umoczywszy w coraz to innym sosie, próbować który lepszy. Ale smak surowizny nie mógł być zagłuszony przez żaden. Gdy się zabierałem do przełknięcia trzeciego kawałka, patrzę, a moja rybka rusza pyszczkiem... Przeniosłem wzrok na sąsiednią rybkę Ziuka — to samo, dwie dalsze także. Smakołyk stanął mi w przełyku. Patrzę dalej na swą rybkę, a ta otwiera i zamyka pyszczek cztery czy pięć razy, a potem zaczyna bić ogonem—raz, raz, raz... Spojrzałem w bok na Ziuka — oczy mu wpiły się w ruszający się ogon jego ryby i widzę niesamowity

grymas ust. Ale trudno—wypluć nie można, bo zanadto celebracji, twarz gospodarza i naszych kelnerek wyraża niebiański zachwyt, a połknąć ani rusz. Wtem Ziuk syczy przez wąsy—macie wódkę? Skoczyłem do szafki w ścianie, wyrwałem butelkę koniaku i nalałem pół szklanki. Pierwszy raz widziałem, że Ziuk potrafi wypić duszkiem pół dobrej szklanki koniaku. Napiliśmy się wszyscy trzej i — połknęliśmy rybę. Oczywiście p. Hirota zjadł wszystkie cztery ryby".

Najdzielniejszym okazał się p. Hirota. Ale to Japończyk, człowiek Wschodu, potomek dzikich samurajów, inna kultura i cywilizacja... Lecz trzeba przyznać, że wytrzymałym okazał się również marszałek Piłsudski i jego otoczenie. Tu żywy organizm rusza się i drga, a oni tylko wódką popili, biorą pałeczki i konsumują!

Cieszymy się, że możemy raz pochwalić przeciwnika. Kapitalna jest „Gazeta Polska" ze swoimi wspomnieniami... Co za wyczucie... Co za smak... Prawdziwie—francuski dowcip i subtelność.

* * *

Gorzej jest z naszymi stosunkami z Francją i z Francuzami. Lewica francuska od dłuższego już czasu niechętnie patrzy na sojusz swojej Ojczyzny z Polską, nie zamykamy oczu na fakt, że istnieje we Francji poważny odłam opinji, która chciałaby pogodzić się z Niemcami kosztem Polski. Tem nie mniej jednak przeciwnicy sojuszu z Polską we Francji nie mieliby za sobą poważnych argumentów, przekonywujących opinję publiczną, gdyby stosunki wewnętrzne w Polsce były normalne i uporządkowane.

Przeciętny obywatel francuski (a we Francji obywatele wywierają faktycznie wpływ na rządy, jako wyborcy) jest z przekonań demokratą i niechętnie patrzy na dyktaturę. Sądzimy, że zniósł by jeszcze dyktaturę rozsądną, konsekwentną, oświeconą...

Widzimy więc, dlaczego w opinji francuskiej zaszły w ostatnich latach niekorzystne dla nas zmiany. Do tego dochodzą jeszcze pewne drażliwości osobiste poszczególnych polityków, wspomnienia z czasu wojny światowej... Tak się złożyło przypadkiem, że akurat większość obecnych naszych mężów stanu podczas wojny hołdowała innej orjentacji politycznej. Dość, że obecnie lewica francuska, która dawniej cichaczem i półgęb-

kiem zwalczała sojusz, obecnie czyni to ostro i manifestacyjnie. Przytaczamy ciekawą opinję „Głosu Narodu" w tej sprawie:

Jest prawdą, że przewrót majowy z roku 1926 nie znalazł sympatji we Francji. Szczególnie zaś ostro był sądzony przez umiarkowaną opinję i przez centrowo-prawicowe grupy parlamentarne, — a więc przez tę część społeczeństwa francuskiego, z którem potem naszym dyplomatom przyszło współpracować. Sporadyczne zaś wypady przeciw „obcym agenturom" a w gruncie rzeczy przeciw Francji, były w tym odłamie opinji odczuwane szczególnie boleśnie. Ci, którzy w tym czasie czytywali „Journal des Debats", „Echo de Paris" i inne organy umiarkowanej, a dla Polski przyjaźnie usposobionej opinji, musieli już wówczas zaniepokoić się rozwojem stosunków. Najczarniejsze i — powiedzmy to wyraźnie — najgłupsze podejrzenia przeciw rządowi p. marsz. Piłsudskiego znajdowały wówczas wiarę we Francji (przypominamy „rewelacyjne" sensacje dziennika „l'Action Francaise")... Jeszcze, jak długo nasza lewica (zwłaszcza PPS.) trzymała się klamki belwederskiej, przynajmniej jej odpowiednik we Francji zachowywał rezerwę w stosunku do Polski.

Przyszły potem znane pociągnięcia nasze na terenie zagranicznym: flirt z Włochami wówczas, kiedy Mussolini grzmiał przeciw Francji, przeciw traktatom pokojowym, — flirt z Węgrami wówczas, kiedy hr. Bethlen po inspiracje jeździł do Berlina... Tylko szczególna naiwność mogła się łudzić, że się ta polityka nie odbije na losach Polski.

I, wreszcie,—pewne „metody rządzenia" sanacji także zrobiły swoje... Jeśli „l'Echo de Paris" nie mogło w maju 1926 roku zrozumieć, dlaczego trzeba było siłą rozpędzać rząd Witosa, i dlaczego wyswobodziciel Śląska, Korfanty, okazał się nagle złym obywatelem i złym patrjotą, to, czy trzeba się dziwić oburzeniu całej już Francji w roku 1930?

Ale nie same błędy sanacji przyniosły zwrot w opinji francuskiej na naszą niekorzyść. Ich wpływ oddziałał na francuskie centrum i na prawicę. Lewica zaś—co zresztą szczerze p. Pfeiffer przyznaje—działa pod wpływem jeszcze innych motywów.

Są one dość znane... Partja socjalistyczna we Francji jest pod komendą niemieckiej Socjalnej Demokracji. Znakomicie jej to uświadomił p. Tardieu w Izbie posłów replikując p. Blumowi, że—do poparcia jakiegoś państwa przez socjalistów francuskich trzeba koniecznie, by na jego czele stał feldmarszałek... Partja zaś radykalna, zahipnotyzowana „religją" pacyfizmu, patrzy na Polskę jako na przysłowiową „kość niezgody" w Europie; w niej widzi jedyną przyczynę nacjonalistycznego fermentu w Niemczech i dlatego w ofierze bożkowi „pokoju" gotowaby złożyć nawet polskie Pomorze.

Może nie cała lewica francuska tak sądzi. Może są w niej tacy, którzy nie podzielają poglądów p. Pfeiffera. Lecz ich nie widzimy! Dlaczego?... Wyszło to na jaw z okazji debat parlamentarnych w Paryżu nad pożyczkami zagranicznemi. Wyrażono dla Czechosłowacji uznanie za jej „lojalne" stanowisko w stosunku do Francji i za jej „doskonały" zarząd

finansami i przyznano pożyczkę w wysokości 600 miljonow franków. Ci, którzy czytali wczorajsze nasze doniesienie o tym fakcie, musieli pytać się:—dlaczego Polska odeszła z niczem?... Odpowiedź zawarta jest w komunikacie o pożyczce dla Czechosłowacji."

Sojusz z Francją jest kamieniem węgielnym naszej polityki zagranicznej. Utrata, względnie osłabienie tego sojuszu — to byłby jeden z najkapitalniejszych błędów, jedno z tych posunięć, które się mszczą natychmiast na narodzie, który je popełnia.

* * *

Palące zagadnienie kryzysu gospodarczego w dalszym ciągu zajmuje nietylko ekonomistów zawodowych, lecz także publicystów i polityków. Niedawno R. Dmowski napisał na ten temat kilka artykułów na łamach „Gazety Warszawskiej". W jednym z nich, ogłoszonym w numerze z dn. 25 marca snuje bardzo ciekawe poglądy i refleksje na temat hegemonji pośrednictwa nad produkcją w ustroju kapitalistycznym, a w końcu dochodzi do następujących wniosków:

„Odbywa się dziś proces, który można wyrazić w krótkiem zdaniu: Pośrednik zjada wytwórcę, i rolniczego, i przemysłowego, a niszcząc ich sam ginie.

I to jest może główna przyczyna tego, że obecny, nieunikniony kryzys gospodarczy posuwa się naprzód z taką szaloną szybkością i przybiera tak ostry charakter. Szybkość tę jeszcze przyśpieszy państwo przez swoją kosztowną organizację i wynikające z niej ciężary.

Nazwałem chorobę dzisiejszego ustroju gospodarczego śmiertelną. Niech mi kto wskaże środki, któreby mu przywróciły zdolność do życia On sam siebie zabija i dlatego zawalenie się jego jest nieuniknione.

Jaki to ustrój? Kapitalistyczny?... To jest nazwa, dana mu przez tych, którzy przeciwstawili mu program kolektywistyczny, przez socjalistów, tych, którzy, konsekwentnie idąc, reprezentują dziś komunizm, i tych, którzy się w tym ustroju zadomowili i razem z nim upadają.

Ten ustrój, który doprowadził Europę do niebywałego materjalnego rozkwitu, miał w sobie od początku pierwiastki anarchiczne, dezorganizujące naszą cywilizację i prowadzące go do szybkiego zwyrodnienia. Jego głównym rysem nie jest rola kapitału w życiu gospodarczem, lecz anarchja która prędzei czy później musiała wydać społeczeństwa ludzkie na pastwę wytworzonego przezeń typu ludzi, dla których nic poza osobistym ich zyskiem nie istnieje i żadne sposoby osiągania zysku nie są złe, byle nie prowadziły do więzienia.

Marksowski komunizm, który z tego ustroju wyrósł i jego pojęciami zasadniczemi operuje, nietylko nie ma widoków na zajęcie jego miejsca, ale bodaj będzie musiał go wyprzedzić w drodze do grobu.

Trzeba co rychlej zdobyć się na zrozumienie istoty kryzysu, ażeby myśl mogła należycie pracować nad największem zagadnieniem jutra: na jakich podstawach ma się oprzeć materjalny byt społeczeństw i duchowy rozwój naszej cywilizacji?...”

Tak więc wódz ruchu, który był do niedawna w Polsce klasycznym przykładem myślenia kategorjami liberalnych pojęć ekonomicznych, którego program po dziś dzień jeszcze hołduje w zasadzie poglądom liberalnym — dokonywa pewnego rodzaju przełomu w zapatrywaniach swojej grupy. Stwierdzając bowiem bankructwo obecnego ustroju, staje wyraźnie na stanowisku reformy.

I nie dziwimy się zupełnie, że tak nagła zmiana musiała wywołać sprzeciwy we własnym ugrupowaniu. Zaledwie ukazał się artykuł R. Dmowskiego, a już zaraz następnego dnia naczelny publicysta „Kurjera Warszawskiego” p. B. K. ogłosił pod znamiennym tytułem: „Do czego się zmierza?” apoteozę książki prof. Rybarskiego („Przyszłość gospodarcza świata"), który w poglądach swych staje na innym stanowisku. Wyraźnie nie krytykując R. Dmowskiego, p. B. K. między wierszami daje ironicznie do zrozumienia, że nie podziela jego poglądów i wogóle lekceważąco zapatruje się na dyskusję toczącą się na temat bankructwa kapitalizmu.

Stwierdzamy fakt, iż w obozie N. D. rozpoczęła się na ten temat wymiana poglądów. Trudno przewidzieć do czego ona doprowadzi. Jeżeli N. D. zejdzie w ostateczności z dotychczasowej drogi liberalizmu ekonomicznego, to staną przed nią dwie tylko możliwości: socjalizm lub doktryna chrześcijańsko-społeczna.

Nie ulega wątpliwości, że rzeczywista i pełna prawda znajduje się tylko w encyklikach papieskich: Rerum Novarum i Quadragesimo Anno. W obecnym momencie, gdy walą się stare światy i rysują przestarzałe poglądy i programy — tylko gmach programu katolicko-społecznego stoi pewnie i niezachwianie. Katolicy winni go poznać i z zasad jego wyciągnąć wskazówki postępowania.

S. J. K.

DZIAŁ LITERACKO-OPISOWY.

Na marginesie książki O. Marjana Pirożyńskiego „Co czytać?“ *) **)

Jakkolwiek literatura piękna przechodzi obecnie niepokojący kryzys ideowy, drzemiąc zawsze jeszcze w powojennej stagnacji, należy z drugiej strony stwierdzić wzmagającą się coraz bardziej falę piśmiennictwa sensacyjnego, brukowego, częstokroć importowanego z zagranicy. Zalewając krzykliwemi tytułami i pstrokatemi okładkami szeroki rynek księgarski, czyha owa nowa literatura na bezkrytycznego czytelnika, który żądny emocji wyrzuci tak rzadki dzisiaj grosz na kupno godzinnej lektury. Zwłaszcza młodzież, dezorjentowana i pozbawiona odpowiedniej dyrektywy, pada zbyt często ofiarą owych wydawnictw. Ale i starszym osobom, nawet z inteligencji (tej wyższej) nie łatwo dzisiaj o wybór dobrej książki. Poprostu z lękiem biorą do ręki każdą nową publikację powieściową, z lękiem, czy tam aby nie będzie nowej trucizny, nowego jadu na podrażnioną psychikę powojennego człowieka.

I zabrały się co gorętsze osoby, w trosce o zdrowie moralne społeczeństwa, by podać krytyczną ze stanowiska etyki katolickiej ocenę książek tych gatunków literackich, które najwięcej rozchodzą się w obecnym czasie. Ale ta praca cenzorska zamykała się prawie że wyłącznie w ramach perjodycznych czasopism oświatowych lub religijnych, które najprzód nie wszędzie docierały a następnie, właśnie ze względu na swój charakter czasopiśmienniczy, nie dawały ogólnego poglądu na świat wydawniczy, na to, co wolno, a czego nie wolno czytać bez szkody dla własnej duszy.

Stąd też wprost palącą stala się kwestja takiego zbioru wydawnictw, czy katalogu, któryby objął według działów literackich, czy według autorów całokształt piśmionnictwa i oceniał je ze

---

*) O. Marjan Pirożyński, redemptorysta, „Co czytać?". Poradnik dla czytających książki. Beletrystyka. Wydawnictwo Księży Jezuitów Kraków. 1932. Czcionkami Drukarni Toruńskiej S. A. w Toruniu, ul. św. Katarzyny 4. Str. 246.

**) Artykuł dyskusyjny.

stanowiska światopoglądu katolickiego przy zastosowywaniu jednakże wszelkich najnowszych metod krytyki literackiej. Ten sotatni postulat musi być uwzględniony choćby z tego prostego względu, by nie narażać siebie i obóz, w obronie którego się występuje, na niepożądaną kompromitację, zwłaszcza, gdy rościmy sobie pretensje do naukowego traktowania przedmiotu.

Ale jest rzecz inna, bodajże ze stanowiska najnowszych prądów teologji moralnej ważniejsza, mianowicie: żeby zadanie ująć pozytywnie, t. zn., żeby podać katolikom, co czytać należy, jakie książki są polecenia godne, jakie wydawnictwa zasługują na poparcie. Raczej to pozytywne podawanie informacyj może dać pożądany skutek i propagować dobrą książkę, o której napisano dobrą, jak na katolickiego krytyka literackiego przystoi, recenzję. Natomiast wyliczenie utworów złych, niebezpiecznych dla duszy czyni tym wydawnictwom tylko niepotrzebną reklamę a pozatem informuje czytelnika żądnego sensacji o różnych książkach „zakazanych", o których dotąd nie słyszał. A że już człowiek jakoś czuje raczej inklinacje do owego zakazanego owocu, który zawsze lepiej smakuje, więc z takim „poradnikiem" w ręce może sobie wybierać tomiki, które noszą piętno „nie wolno". A biedny ten człeczyna właściwie nigdy się nie dowie, jaki jest stan literatury dobrej, nigdy jasno i wyraźnie nie usłyszy, jakie dzieła inteligentny katolik powinien znać.

Wobec powyższego ze zrozumiałem zadowoleniem i zainteresowaniem przyjąłem wiadomość o ukazaniu się książeczki O. Marjnaa Pirożyńskiego C.S.S R., która ma być właśnie takim pożądanym „poradnikiem dla czytających książki". Jednakże jak wielka byla radość, z którą ów poradnik wziąłem do ręki, tak wielkie, jeśli nie większe, było rozczarowanie po przeczytaniu tych 246 stron druku. Przekonałem się, że rzecz całkowicie jest chybiona, nie tylko to, ale że w pewnej mierze jest kompromitacją i dla Autora i dla nas wszystkich, co walczymy o zwycięstwo idei katolickiej w każdej dziedzinie życia.

Cel, jaki sobie O. Pirożyński wytknął przy układaniu tego „poradnika" ujął sam w słowa: „Dziełko niniejsze jest próbą... dążącą de właściwej oceny ideowej powieści i nowel". „Ocenę beletrystyki dajemy ze stanowiska etyki" (str. 6). A zatem zadanie bardzo wzniosłe, ale niestety zbyt często zbacza Autor z drogi wiodącej do wytkniętego sobie celu tak, że w końcu on

sam i cel stoją gdzieś daleko od siebie, nawet nie na jednej płaszczyźnie. Na str. 12 tłumaczy się Szan. Autor w sposób nie bardzo zadowalający, dlaczego nie wszystkie dzieła mają osobną recenzję. Przeznacza zaś swój poradnik „dla wychowawców, dla kierowników bibljotek, dla ludzi dobrej woli, dla każdego chrześcijanina, bo chrześcijanin to dziecko Boże, to syn królewski" (str. 12). A zatem m. in. także dla inteligencji, co wymagałoby odpowiedniego ujęcia krytyki i charakterystyki poszczególnych dzieł. Tymczasem, jak się na przykładach przekonamy, rzecz przedstawia się wręcz inaczej. Niejednokrotnie w toku czytania tego ciekawego „poradnika" nasuwa się mimowolį myśl: to chyba nie poważny katalog tego, co czytać a czego czytać nie należy; to chyba niepożądane żarty, zredagowane dla pisma humorystycznego, dla bezkrytycznych czytelników z plebsu, których ubawić może lapidarna parodja.

Mówiąc o stronie metodycznej, należy z wielkiem uznaniem podkreślić to, że O. Pirożyński przytoczył odpowiednie rozporządzenia kościelne co do czytania książek zakazanych. Ta pierwsza część „poradnika" jest — bodajże jako jedyna — najcenniejsza. Natomiast zawiódł O. Pir. w całej reszcie, będącej jego własnej kombinacji, do tego stopnia, że nawet tytuł książki „Co czytać?" nie zgadza się prawieże zupełnie z jej treścią, Albowiem zamiast zestawienia tego, „co czytać", robi Szan. Autor niewątpliwie mimowolną propagandę temu, „czego nie czytać". Wszak o autorach i książkach, które słusznie, czy niesłusznie O. Pirożyński potępia, potrafi się rozpisywać poprzez kilkadziesiąt wierszy a nawet półtora i więcej stronicy, natomiast o utworach godnych polecenia i o pisarzach, stojących na gruncie światopoglądu katolickiego, daje niejednokrotnie zbyt naprawdę lakoniczną notatkę. Egz.: O. Spillmann T. J. czy nasza Kossak-Szczucka a taki Margueritte! Takich przykładów jest więcej.

Dalej pod względem metodycznym ściąga praca O. Pir. na siebie zarzut braku konsekwencji. Jeżeli bowiem Autor chciał dać ocenę ze stanowiska etyki, po co puszcza się na tory krytyki estetyczno-literackiej, zdradzając przytem nie zbyt gruntowne wyszkolenie fachowe. Dygresje na temat wartości estetycznej czy stylistycznej danego utworu są w tym wypadku nie tylko niepożądane, ale świadczą o prostem dyletantyzmie, co w książce,

przeznaczonej dla inteligencji, razi i ściąga na nas uszczypliwą krytykę ze strony naszych przeciwników ideowych.

Pozatem nie trzyma się Szan. Autor wytkniętej sobie drogi omawiania baletrystyki, a więc powieści i nowel, gdyż wjeżdża także np. na dramaty Żeromskiego, Galsworthy'ego, Goetta czy Szubińskiego, lub też uważa za potrzebne zaznaczyć, że „Zofja Kowerska jest oprócz tego autorką cennej pracy: O wychowaniu macierzyńskiem". Z drugiej zaś strony bibljografja sama pozostawia nie jedno do życzenia, choćby np. z tego względu, że brak szeregu autorów bardzo znanych, którzy prócz dzieł poetycznych pisali także prozą (np. Krasiński, Goszczyński, Niemcewicz, Krasicki, Berwiński, Ks. M. Wirtemberska etc.); brak także niejednokrotnie tytułów takich utworów, o których zapominać nie wolno (np. Prusa „Anielki", „Powracającej fali", „Omyłki"; Łady „Antychrysta".

Dla scharakteryzowania meritum pracy O. Pirożyńskiego omówię kilka przykładów, podkreślając, co, zdaniem mojem, w jego książce dobre i co niewystarczająee. Charakter tego poradnika wymaga przytem, że niejednokrotnie w toku poruszania spraw merytorycznych będzie trzeba uciekać się do pomocy kwestyj ze strony metodycznej.

Jeżeli powyżej powiedziałem, że niejednokrotnie O. Pir. czyni niepotrzebną reklamę literaturze deprawującej, to odnosi się to do tych wszystkich autorów sprzecznych, z zadaniami katolickiemi (spis jest ujęty systemem alfabetycznym według autorów), o których Ojciec Pirożyński zbyt rozwlekle się rozpisuje, cytuje większą lub mniejszą porcję ich utworów, dając przy niektórych niepotrzebną przydługą charakterystykę. Tak np. oprócz wspomnianego Margueritte'a mamy doskonałą reklamę dla takiego Pitigrilli'ego, którego—jak świadczą sądy nawet niekatolików — naprawdę rynsztokową twórczość powieściową Szan. Autor przytacza zdaje się in extenso. Muszę się przyznać że dopiero O. Pir. odsłonił mi ilościowe bogactwo twórczości (jeśli to tak nazwać można) tego pisarza. Podobnych nieostrożnych reklam jest więcej (np. Dostojewski, Dumas etc.), oprócz, co z uznaniem podkreślić należy, niejednokrotnie bardzo udatnych ocen. Najlepszą bodajże jest notatka o Maurycym Barres'ie, w której O. Pir. daje ocenę jego twórczości, poczem wymienia tylko jeden utwór, który jego zdaniem można czytać

bez kolizji z sumieniem. W ten sposób należało potraktować wszystkich pisarzy, których dzieła dla duszy czytelnika zawierają niebezpieczny jad. Także charakterystyka samego pisarza wypada czasami wcale dobrze, przez co Sz. Autor daje dowód, że przy nieco gruntowniejszem opracowaniu „poradnika" oraz pogłębieniu studjum nauki o literaturze z katechizmem psychologji (zwłaszcza twórczości), w ręce mógłby dać społeczeństwu katolickiemu naprawdę cenny katalog książek dobrych (i notb. autorów niepożądanych). Tak np. doskonała jest jak na tę publikację, charakterystyka (jako człowieka i pisarza) Tadeusza Boya-Żeleńskiego czy Wiktora Hugo czy Huysmans'a (chociaż ocenę książki „En route"—„W drodze" uważam za daleko niewystarczającą), Kellera, czy Przybyszewskiego, gdzie jednakże ocena jego książek wypada znowu bardzo blado. Doskonała i trafna (acz ze stan. metodycznego niekonsekwentna) jest także ocena Flauberta „Madame Bovarg", jeżeli O. Pir. pisze: „Pod względem literackim powieść jest arcydziełem, pod względem moralnym — arcyniebezpieczna". Natomiast niepotrzebną wydaje mi się uwaga, jakby samopas chodząca, że Bałucki „zginął śmiercią samobójczą". Zdanie to, nie mające właściwie żadnego związku z tem, co Autor przy nazwisku Bałuckiego notuje, zdradza pewną — według mego zdania — wyraźną tendencyjność, od której wolną być musi książka, roszcząca sobie pretensje do naukowego traktowania rzeczy. To samo należy powiedzieć o niepoważnej uwadze (ze stanow. kontekstu), że Wacław Grubiński pisał: „... 3° *nawet* (podkreśl. moje) artykuły krytyczne."

O Wacławie Berencie czytamy w „Poradniku" O. Pirożyńskiego tak: „Mimo wielu sympatycznych stron w twórczości Berenta, należy go uznać za pisarza niezdrowego już to wskutek tak często się trafiających scen nieodpowiednich, jużto wskutek niechęci do nauki Kościoła, czem dał niezbity dowód, tłumacząc na język polski kilka tomów Nitzschego". Co do pierwszej części umotywowania niezdrowotności pisarskiej autora „Oziminy" zgadzam się w zupełności, o ile chodzi o czytelników niedorosłych. Drugi motyw zaś niechęci B. do Kościoła, czego „niezbitym dowodem" według O. Pir. ma być to, że Berent przełożył na polskie Nitzschego, — wydaje mi się conajmniej dziwnym. Chyba nie pragnie O. Pirożyński—mówiąc ze stano-

wiska naukowego — odgraniczać chińskim murem polską naukę i studjum filozoficzne od zagranicy, jeśli chodzi o myślicieli niekatolickich. W całej zupełności pisałbym się pod tę ocenę Berenta, gdyby ten był *popularyzował* dzieła Nitzschego w tej myśli, żeby każda pensjonarka i każdy piątoklasista nosił w kieszeni Nitzschego „Jenseits von Gut und Böse" czy innego „Antychrysta". Coś mniejwięcej w tym guście, jak to robi Boy z literaturą zmysłową francuską we własnem wydawnictwie, lub inna „Bibljoteka groszowa".

Natomiast w książce o tytule „Co czytać?" stanowczo niewystarczającą jest notatka o „Żywych kamieniach": „Średniowieczne legendy o ludziach dążących do ideału, piękne i dobre". Zbyt, naprawdę zbyt lapidarne!!

Ciekawa jest charakterystyka książki Henryka Bordeaux „A ślad przyprószył śnieg". Pisze O. Pir.: „Cudzołóstwo i jego przebaczenie, urok życia rodzinnego; powieść zawiera zbawienne nauki dla osób zbłąkanych, ale dla dusz naprawdę katolickich nauki te są zbyteczne i niebezpieczne (aż tak!? — przyp. mój); są też i sceny brutalne". Pierwsza myśl, która mi się przy czytaniu tych słów nasunęła, była: Jakżeż właściwie będą wyglądały co do treści i ujęcia kazania Czcigod. O. Pirożyńskiego na nabożeństwie, gdzie pod jedną amboną siedzą i pobożne siostrzyczki i grzeszne Magdaleny?.. Jeżeli będziemy się uporczywie trzymali tezy, że skądinąd zbawienne nauki dla osób zbłąkanych są niebezpieczne dla dusz naprawdę katolickich, to należy spalić przedewszystkiem książki O. Pir., a dalej przynajmniej 75% naszych ludowych książeczek do nabożeństwa, wydawanych przez różne zakony i zgromadzenia, należy gruntownie zrewidować naszą literaturę mistyczną (dla ćwiczeń duchownych) a nawet pewną część literatury z teologji moralnej przeznaczonej dla młodych kleryków. A to byłaby przecież generalna rewolucja. Co do powieści zaś Bordeaux'a, to mimo, że ją kilkakrotnie czytałem w różnych odstępach czasu, nie znalazłem nic takiego, co będąc „zbawienne dla osób zbłąkanych", byłoby „zbyteczne i niebezpieczne dla dusz naprawdę katolickich".

Nierówny styl Autora „Poradnika", który raz pisze (czasami zbyt rozwlekle) całemi zdaniami, nawet złożonemi, a kiedyindziej znowu posługuje się stylem telegraficznym, wywołuje sy-

tuacje na pierwszy rzut oka komiczne, a co najmniej dwuznaczne. Oto exemplum: pod H. Bordeaux na st. 50 czytamy: „Gry niebezpieczne", sporty zimowe w Alpach—dla czytelników dojrzałych". A więc co jest dla dojrzałych czytelników? Sporty zimowe w Alpach, Gry niebezpieczne, czy książka?...

Tutaj przypomina mi się inny lapsus językowy pod: Grabowski Zbigniew. Pisze O. Pir.: „...Oprócz tego zapoznaje (podkreśl. moje) (Grabowski) podstawową prawdę, że aby móc wierzyć, trzeba zacząć dobrze żyć". Poprawnie należałoby napisać: że Gr. „nie uznaje podstawowej prawdy". Zapoznać natomiast znaczy tyle, co: zaznajomić.

O dobrych książkach pisze O. Pir. najczęściej bardzo mało (mimo że pragnie służyć poradnikiem—„Co czytać?"), nierówno mniej jak o złych i niebezpiecznych, w których—jakby złośliwi mogli wywnioskować — lepiej się orjentuje. Jakżeż blada — niczem anemiczna suchotniczka — wypadła np. ocena Bourga du Dom „Z pola bitwy do Trapistów". O tem potrafił Czcig. Autor tylko tyle napisać, ile każdy prosty czytelnik, który tę książkę poraz pierwszy bierze do ręki, zdoła wywnioskować ze samego tytułu. A gdzie krótka jędrna charakterystyka idei przewodniej i przeżyć bohatera?, o czem w pierwszym rzędzie krytyka, jaką pragnie uprawiać Autor „Poradnika", pamiętać powinna. Coś podobnego dzieje się także ze Szczucką, o której „Pożodze" i „Legnickich polach" wypisuje O. Pir. coś razem kilkanaście słów, podczas gdy te dwie powieści robią obecnie wielką furorę w literackim świecie katolickim Niemiec, do tego stopnia, że odzywają się tam poważne głosy, domagające się dla p. Kossak-Szczuckiej nagrody Nobla!

Albo O. Wilde'a „Dorian Grey". Czy o tej powieści naprawdę nie warto więcej napisać, jak bezpretensjonalne słówko: „romans". Czyż O. Pir. nie wyczytał w tym „Portrecie" żadnych pożytecznych nauk?.. Gdy jeszcze byłem w gimnazjum, w klasie ósmej, nasz ks. katecheta, człowiek bardzo zacny i szlachetny, poświęcił kiedyś całą godzinę tej powieści, wydobywając z niej walory etyczne.

A na przykład Wybranowskiego (pseudonim!) „Dziedzictwo" zasługuje zdaniem O. Pirożyńskiego na taką tylko notatkę: „Powieść współczesna, demaskująca przewrotną działalność masonerji; przyzwoita" — podczas gdy młodzież akademicka, katolic-

ka i narodowa, poprostu porywa ją sobie z ręki do ręki, mimo zastrzeżeń, wyłuszczonych przez p. Zofję Morstinową w marcowym „Przeglądzie Powszechnym".

Bardzo upośledzony jest także jezuita O. J. Spillmann, którego doskonałe powieści historyczne, oparte na gruntownych studjach wprost krzyczą o jaknajwiększą propagandę. Katolicka Polska powinna mieć wszystkie powieści tego pisarza-zakonnika. Wszak o poczytności i znaczeniu jego utworów świadczyć może choćby fakt, że sporo z nich przełożono na kilkanaście czy nawet więcej języków!

Również po macoszemu potraktowani zostali pisarze polscy, poruszający zagadnienia regjonalistyczne i narodowe. Wymienię tylko „charakterystykę" (w cudzysłowie!) „Odlotów" Szpotańskiego i jego „Bez ziemi i słońca" (o pierwszej powieści dwa słowa, o drugiej pięć!), — oraz naprawdę biednego ks. Henryka Rzewuskiego. Warto rzeczywiście przytoczyć tę sumę wiadomości literacko-krytycznych, jaką zdradza Autor poradnika „Co czytać?" w stosunku do takiego Rzewuskiego. „Niezrównany gawędziarz, przytem sarmata z krwi i kości, przywiązany do wiary i ojczyzny: Pamiątki Pana Seweryna Soplicy; Listopad; Rycerz Lizdejko, Zaporożec". Ot i wszystko. O pisarzach niemoralnych i niebezpiecznych cało- czy półstronicowe reklamy, a o przywiązanym do wiary i ojczyzny Rzewuskim raptem 13 (trzynaście) słów plus cztery tytuły dzieł! Trudno się oprzeć pewnemu, delikatnie mówiąc, głębokiemu żalowi.

Charakterystycznym dla literacko-krytycznego sposobu myślenia O. Pir. jest także ów sui generis kwiatuszek, który Czcig. Autor w swoim „Poradniku" złożył na stuletnim grobie jubilata—twórcy „Fausta". Na str. 99 czytamy: „Goethe Jan Wolfgang (1749—1832). Poeta niemiecki. Za młodu prowadził życie hulaszcze i rozpustne. Na kanwie tych przeżyć napisał w r. 1774: *Cierpienia młodego Wertera*, on się w niej zakochał ona wychodzi za mąż, on się nadal w niej kocha i kończy życie samobójstwem. Romans ten był w stylu epoki—rozczulanie się, płakanie, analizowanie siebie—opanował więc współczesne umysły i narobił wiele złego". Koniec! Niewątpliwie był „w stylu epoki" i „narobił wiele złego" (jedna ze znajomych Goethego, dama dworu weimarskiego, Christel von Lassberg, popełniła samobójstwo w pobliżu domu Goethego z „Werterem"

w torebce). Ale trudno znaleźć słów na ocenę Goethego i jego „Cierpień” w stylu O. Pirożyńskiego! („Mucha” za ten kawał dałaby napewno sute honorarjum!).

Dostało się także takiemu potentowi pióra katolickiego, jakim jest S. K. Chesterton, któremu – zdaniem O. Pirożyńskiego — „ze stanowiska estetycznego (a gdzie konsekwencja? Wszak celem „Poradnika” ma być „właściwa ocena ideowa” „ze stanowiska etyki”!) można wytknąć, że przeładowanie dzieł śmiałemi paradoksami i ekscentrycznemi porównaniami prędko nuży czytelnika, a niekiedy nudzi”. Może być w tym odrobina racji, ale jest to do pewnego stopnia kwestją indywidualnego zapatrywania. Muszę przyznać, że mnie osobiście, jeszcze żadna powieść Chestertona nie nudziła.

Bürgera, poetę niemieckiego mianuje O. Pir. „pierwszym romantykiem”. Chyba dla tego samego, że wśród poetów okresu „Sturm und Drang” wylicza go się zazwyczaj na pierwszym miejscu i dlatego, że wprowadził do literatury niemieckiej balladę. Ale gdzie w takim razie umieścić Jean Paula i Hoelderlina, lub Ticka, Wackenrodera czy Hardenberga. Czy Bürger jest pierwszym romantykiem niemieckiem, czy Jean Paul, Hölderlin lub Tick, sąd taki może zależeć od tego, ile ktoś wynajdzie momentów wspólnych (i sprzecznych) między właściwym romantyzmem niem. a poprzedzającym go okresem Sturm und Drang. Najnowsze studja i badania w tej materji dokonywane przedewszystkiem przez Oskara Walzla, rzecz już rozwiązały.

Przytacza O. Pirożyński także Remarque'a „Na zachodzie bez zmian" i daje dość obszerną ocenę (w zestawieniu ze Szczucką, Rzewuskim czy Spillmannem stanowczo za obszerne!). Pisze m. i. że „życie żołnierskie przedstawione bez osłon, a więc bardzo ordynarnie”. Zgoda! Ale uwagę o „nierozwiązalnych dla czytelnika trudnościach w zakresie etyki i patrjotyzmu” należało umotywować właśnie brakiem w powieści elementu nadprzyrodzonego w obrazowaniu życia żołnierskiego. A że ono było, nawet a może właśnie na froncie w obliczu śmierci, o tem świadectwo dają liczni uczestnicy walk na froncie francuskim. Swoją drogą, sam słyszałem różne sądy z ust byłych frontowców z pod Verdun, z nad Marną czy z nad Somme'ą. Jedni, z których niektórzy poświęcili się stanowi kapłańskiemu czy zakonnemu, twierdzili, że książka Remarque'a daleko nie oddaje całej grozy

piekła wojennego. Że jeszcze daleko, daleko więcej było ordynarności i bestjalstwa. Inni natomiast podkreślali pewną rażącą jednostronność Remarque'a, który nie widział, czy nie chciał widzieć wspomnianych wyżej elementów nadprzyrodzonych, duchowych, które niejednokrotnie wyciskały przedśmiertne „Ojcze nasz" czy szczere „O mój Boże, pomóż!" z ust, które już od długich, długich lat nie modliły się. Jeżeli Remarque te rzeczy pominął, powinien krytyk powieści (zwłaszcza jeśli nim jest kapłan kat.) zwrócić na to uwagę. Wszak krytyk, recenzent, musi się wynieść ponad zwykłego czytelnika, dla którego powieść stawia różne „nierozwiązalne trudności w zakresie etyki i patrjotyzmu. W łączności z dziełem „Na zachodzie bez zmian" wcale nie trafną jest uwaga: „Książka tylko dla dojrzałych, inteligentnych czytelników rodzaju (!) męskiego". Paradnie! Doskonały miód dla ciekawej płci pięknej, dla podlotków i pensjonarek!

Nie bardzo zgodziłbym się także na porządek oceny, jaką O. Pir. daje dla „Chłopów" Reymonta i jego noweli „Zabiłem".

Nazwany przez O. P. „niepotrzebny wstręt zbyt swobodny" w nowelce „Zabiłem" określiłbym raczej mianem „bardzo drastycznego opisu" z charakterystyki „Chłopów" i na odwrot (w liczbie mnogiej).

O powieściach Perzyńskiego czytamy w „Poradniku", że są niezdrowe. Najzupełniejsza zgoda. Ale czy naprawdę wszystkie? Przypominają mi się właśnie „Uczniaki". Czy one także są niezdrowe? Nie sądziłbym. Starszej dojrzałej intelektualnie i duchowo młodzieży dałbym tę powieść do ręki, mierząc nawet miarą Noldina czy Prümmera. Zupełnie tak, jak „Chłopów", „Na zachodzie bez zmian" czy niektóre rzeczy Makuszyńskiego.

Wspomina O. P. także autorkę niemiecką Vicki Baum i wymienia dwie z jej powieści: „Ludzie w hotelu" (rzecz przerobiona na utwór sceniczny, przewędrowała różne deski teatralne Polski) i „Studentka". Ani jednej ani drugiej książki coprawda nie czytałem, wiem natomiast, że katolicka krytyka fachowa niemiecka wydała nieco ostrzejszy sąd o „Ludziach w hotelu", niż to czyni O. Pirożyński. O „Studentce" zaś, poza gołym tytułem, niczego więcej z „Poradnika" nie dowiadujemy się!

Wprost uderzająca, jak na krytyka katolickiego, o sposobie myślenia europejskim, jest ocena Ossendowskiego „Przez kraj, bogów, ludzi i zwierząt" i „Cienie ponurego wschodu". Mniejsza o to, że w pierwszej powieści dał nam Ossendowski „opis walk przeciwbolszewickich na Syberji i w krajach przyległych" i że „znawcy ówczesnych stosunków zakwestjonowali prawdziwość niektórych szczegółów". Daleko ważniejszą chyba jest idea przewodnia tego utworu i tendencja, jaka z niej przebija. Czy np. O. Pirożyńskiego nie uderzyła wzmagająca się coraz bardziej ku końcowi powieści apoteoza Sternberga owego „budziciela uciemiężonych Mongołów"?... Czy nie wyczuł O. Pir. tego wszystkiego nihilizmu ideowego, wyzierającego z postaci takich, jak Ungern-Sternberg czy Siemionów, nihilizmu, który potrafi tylko konspirować i wiecznie rewolucjonizować?... Czy O. Pir. nie zauważył owej wprost uderzającej sympatji Ossendowskiego do buddyzmu, do „budzącej się Azji"?... Czy dla O. Pirożyńskiego niczem jest owa rosyjska inklinacja Ossendowskiego ku wschodowi z negacją kultury europejskiej?...

A „Cień ponurego wschodu", czy to *tylko* psychologja narodu rosyjskiego?... Jakżeż zapatruje się O. Pirożyński na postulat Ossendowskiego, by „krzyżem nauką i wolą" pójść do narodu rosyjskiego, który stracił „rozum, honor i ojczyznę".

Nieco szerzej rozwodziłem się nad powieściami Ossendowskiego, a to dlatego, że jestem przekonany, iż dokładna analiza ideowa tych wymienionych książek, rzucałaby nieco światła na pewne objawy w dzisiejszem życiu kulturalnem i politycznem Polski.

Jeżeli Czcigodny Autor nie dojrzał niebezpieczeństwa „ideologji wschodu", przezierającej zwłaszcza z powieści „Przez kraj bogów, ludzi i zwierząt", to z drugiej strony nie mogę się zgodzić na taki potępiający sąd, jaki spotkał „Przedwiośnie" Żeromskiego. Ocena O. Pirożyńskiego w poradniku „Co czytać?" przypomina żywo owe anathemata, które się zsypały na Żeromskiego w pierwszej chwili po ukazaniu się „Przedwiośnia". Obie strony wówczas przeholowały, i ci, co książkę i autora potępiali i górnolotni adoratorzy. Dzisiaj krytyka już inaczej tę rzecz ocenia. Bardziej spokojnie i rzeczowo, mniej namiętnie. Wszak pamiętać trzeba o tem, że to jest powieść ideowo niedokończona, że miała się ukazać „Przedwiośnia" część dru-

ga. A kto wie, czy wówczas, przy dalszem rozprowadzeniu myślowem, nie byłby się okazał fatalny błąd Baryki i komunistycznych demagogów. W każdym razie, to, co mamy, jako rzecz niedokończona nie może zasłużyć na bezwzględną i bezapelacyjną ocenę, taką czy owaką. A zresztą, zdaje mi się, że Żeromski w niejednem, jeśli chodzi o stosunki polskie, miał rację. Dzisiejsza nasza „rzeczywista rzeczywistość" zdaje się to potwierdzać (ob. artykuł na ten temat w „Pro Christo", wrzesień 1931).

Dalej w „Międzymorzu" naprzykład widzi O. Pir. tylko nagi „opis Helu", a o samym autorze „Syzyfowych prac" twierdzi, że pragnął „odegrać rolę nauczyciela narodu — rolę, do której nie dorósł". Mimo całego szeregu cech ujemnych (ze stanowiska etyki) w utworach Żeromskiego, taki sąd wydaje się zbyt skrajnym i jednostronnym wobec licznych niewątpliwych zalet w jego twórczości.

Na tem skończę medytację o niezwykłej książeczce O. Pirożyńskiego. Poruszyłem tylko część narzucających się kwestyj, bo jest ich jeszcze daleko więcej. Ale i tak rozrosły się znacznie ramy artykułu.

Reasumując jeszcze raz to, co powiedziałem o książce O. Pir., stwierdzić wypada, że mimo niektórych stron dodatnich (zresztą nielicznych!) „Poradnika" , i mimo niewątpliwie dobrej intencji Autora, cel książki jest stanowczo chybiony. Do tego stopnia, że pożytku (stosując postulaty teologji moralnej pozytywnej) przynosi nie dużo, natomiast może niestety narobić dużo złego podkreślanem przeze mnie kilkakrotnie niepotrzebnem afiszowaniem literatury złej.

Z wielkiem zdziwieniem czytałem panegiryczną wprost recenzję w tak poważnym organie, jakim jest „Przegląd Powszechny" (luty 1932). Mogę ją sobie wytłumaczyć tylko tem, że „Poradnik" O. Pirożyńskiego nosi firmę... Wydawnictwa Księży Jezuitów. Uderzyło mnie m. i. zwłaszcza to, że Czcigodny Recenzent uważa za podkreślenia godny objektywizm w książce „Co czytać?", że Autor „gdzie tylko można, każe drugim mówić za siebie, przedewszystkiem Feldmanowi, którego — jak się wyraża — nikt o pruderję posądzać nie będzie". Argument mało przekonywujący, gdy się pamięta o tem, że różni krytycy do różnych autorów różnie się odnosili. Nie tylko

ze stanowiska estetycznego, ale także ideowego (co jest przecież celem książki O. Pirożyńskiego — cf. str. 6). Ex gr. stosunek do Sienkiewicza — Świętochowskiego w „Prawdzie" a Spasowicza. Albo coby Sz. Recenzent powiedział, gdyby ktoś dzisiaj, po Kleinerze, ocenił Słowackiego tak, jak to czynił Małecki, zwłaszcza w ostatnim okresie swego życia. A sądy Feldmana także są jego indywidualną własnością i nie każdemu przemawiają do przekonania.

Zgadzam się natomiast na wyrażone pod koniec recenzji życzenie, „by autor nie zaniechał rozpoczętej pracy, ale dzieło swoje kontynuował w następnych wydaniach, rozszerzał i udoskonalał". Dodam tylko jeszcze jedno szczere, naprawdę szczere życzenie, moje osobiste: by obecny nakład jak najprędzej wycofać z rynku księgarskiego, a do nowego zabrać się po uprzedniem należytem przemyśleniu tematu i gruntownem przestudjowaniu najnowszych metod krytyki literackiej. Dopiero nowy „Poradnik" z gruntu przerobiony, nastawiony przedewszystkiem *pozytywnie*,—będzie ową „nieodzowną pomocą dla Akcji Katolickiej w Polsce", będzie „wypełniał dotkliwą lukę w piśmiennictwie polskiem".

Wybaczy mi O. Pirożyński, że tak surowo oceniłem Jego pracę. Czyniłem to tylko i jedynie w trosce o pomyślność Akcji Katolickiej, w trosce o propagandę dobrej książki. Nie godzę się pod żadnym warunkiem na zasady t. zw. „Towarzystwa wzajemnej adoracji"; jako człowiek dążący do bezwzględnej szczerości, powiem, co mi serce i rozum każą. Za jedną z największych przeszkód w należytem rozwoju idei katolickiej uważam brak w obozie katolików, dostatecznej wzajemnej krytyki, a istnienie zbyt dużo wzajemnego kadzenia sobie. Mniej byłoby kompromitacji siebie i własnego obozu. Gdzie niema szczerej krytyki, tej czuwającej stale nad poprawnością myśli i czynu, następuje jeśli nie zastój (coby się równało cofaniu się wstecz), to w każdym razie spaczenie i wykoszlawienie rozumu i serca.

Na tej podstawie oddaję niniejsze uwagi krytyczne do druku w imię hasła „Pro Christo".

Ks. A. F. Kowalkowski.

Wieczory w teatrze.

Bez sceny i bez kurtyny.

Opowiadał kiedyś Jaracz, jak to w 1920 r. aktorzy jeździli na front w postaci t. zw. „czołówek" teatralnych i jak to wtedy grało się ku rozrywce żołnierzy. Bywało rozmaicie. Czasami zajmowało się rzeczywistą scenę, jeżeli wogóle istniała; czasami kontentowano się jakąś salką bądź izbą szkolną, a nieraz przybytkiem Melpomeny stawała się zwykła stodoła. Brać żołnierska wypełniała ją szczelnie na stojący (ławki—to luksus!), w środku zostawiono nieco miejsca i w tym zamkniętym pierścieniu rozpoczynało się przedstawienie. Nie było sceny, nie było kurtyny, za wszystkie rekwizyty, mające według scenarjusza imitować wnętrze dworku, służył koszlawy stołek i butelka, a jednak widzowie z takiem zainteresowaniem śledzili akcję sztuki, jakby te dwa graty istotnie były eleganckiem wnętrzem, jakby niecharakteryzowani i nieubrani odpowiednio aktorzy istotnie byli osobistościami z saloniku. Jaracz nazwał to magją teatru.

Przed dwunastu laty brak sceny i kurtyny był wynikiem konieczności, ale wykazał ten przykład i wielu jemu podobnych, że owe — zdawałoby się — nieodzowne utensylja teatralne można usunąć z całą świadomością i jednak teatr zostanie teatrem. W Warszawie ostatnio eksperyment taki zastosował Instytut Reduty, który w pomieszczeniach swoich wystawił w ten sposób trzyaktową sztukę Marji Morozowicz-Szczepkowskiej p. t. „Sprawa Moniki".

Osobliwy to doprawdy teatr, choć oficjalnie nazywa się instytetem. Przedewszystkiem wstęp do niego jest tylko za zaproszeniami. Druga nowość — to dowolność opłaty. Przy drzwiach wejściowych niczem w kościele stół, na nim taca na pieniądze; składa się, ile kto ma życzenie i może, poczem pióro do ręki i podpis na ozdobnym arkuszu. Sala osobliwego kształtu, półokrągła, szereg wnęk. Półkolem stoją krzesła. Parę rzędów. Pod ścianami nawet kanapy. W pierwszej chwili nastrój salonu. Miejsca nienumerowane. Siada się, gdzie chce. Oczywiście byle by nie w części przeznaczonej dla aktorów. Miejscem akcji będzie zakątek pod jedną ze ścian, gdzie utworzone zostało wnętrze nowoczesnego mieszkania. Wszystko widzi się odrazu. Nie będzie niespodzianki w postaci dekoracji.

Sala wypełnia się powoli. Wszystkie miejsca zajęte. Ci, co przyszli najpóźniej, stoją pod ścianami. Godzina rozpoczęcia dochodzi. Rozlega się uderzenie gongu. Wszystkie światła gasną. Salę zalega ciemność. Przez sekundę szemrze szept zdumionych głosów. Stopniowo przycicha, milknie. Jest cicho. Nastrój robi się tajemniczy. Co to będzie? Nagle z nienacka błyska z boku małe światło za szklanemi drzwiami. Zaczyna się cóś rozróżniać. W tem nowy błysk! Reflektory sypnęły wiązki promieni na „scenę". Aktorki były już na miejscu. Przedstawienie rozpoczęte.

Sztuka, którą Instytut Reduty grał przez długi szereg wieczorów przy zapełnionej widowni, jest sztuką typowo kobiecą. I modną. Autorka pokusiła się o zrobienie czegoś podobnego jak Nałkowska w swym „Domu Ko-

biet". Występuje tylko trzy kobiety. Ani jednego mężczyzny. A właściwie ten mężczyzna jest, bo bohaterki ciągle mówią z nim, lub o nim.

Jeśli chodzi o zrobienie tego, co się w szkole nazywa opowiedzeniem treści własnemi słowami, to jest to rzecz trudna, bo takie obdarcie sztuki z założeń ideowych, z wartości wnoszonych przez grę aktorską, pozostawi z niej tyle właściwie, co obdarcie bibułek z kunsztownego abażura. Ale taki to już los recenzenta teatralnego, że, choć to niezbyt słuszne, musi jednak pokazywać druty abażura, by uświadomić czytelnika przynajmniej co do zarysu ogólnego. Otóż „Sprawa Moniki" wygląda tak:

Akt I. U swej przyjaciółki architektki zamieszkuje lekarka, żona powieściopisarza, żyjąca z nim w separacji. Za kilkanaście dni mają połączyć się znowu. Ona oczekuje tej chwili z upragnieniem, z oszczędności własanych urządza miłe, przytulne mieszkanie, a ponieważ mąż pragnął posiadać dziecko, ma się poddać zabiegowi, któryby jej to umożliwił (świadome macierzyństwo!).

— Kocham życie i chcę żyć. Dlatego chcę mieć dziecko — argumentuje swoje pragnienia — Dziecko koronuje miłość.

Architektka wykpiwa macierzyńskie dążenia lekarki, ta jednak nie zraża się. Jeszcze dziś podda się operacji. Ale zupełnie niespodzianie zjawia się trzecia kobieta, dziewczyna-służąca. Dowiedziawszy się, że w tejże kamienicy zamieszkuje dobra pani lekarka, przychodzi z prośbą o pomoc· Nie wie, jak się wyjęzyczyć, żenuje się, aż wreszcie wyjawia swą tajemnicę: ma zostać matką, więc prosi o uwolnieniu od płodu. Lekarka staje w obliczu konfliktu wewnętrznego. Przed chwilą przecie mówiła takie piękne słowa o macierzyństwie, o wartości dziecka i teraz ma czynem zaprzeczyć temu? Odmawia kategorycznie. Dziewczyna grozi samobójstwem. Wtedy staje między obu kobietami układ: lekarka zaopiekuje się dziewczyną do chwili połogu, potem zaś dziecko weźmie za swoje.

Akt II. Już po operacji. Wywiązuje się gorączka. Architektka zaniepokojona, śpieszy po operatora i po męża. Chora chce telefonicznie uprzedzić męża, że nic jej nie grozi, niestety nie zastaje go w domu przy pracy nad powieścią, aczkolwiek w tym czasie winien być obecny. Przeczuwa coś złego. I rzeczywiście cios wisi w powietrzu. Między architektką a hardą dziewczyną, opuszczającą jej dom, wynika sprzeczka, w rezultacie której lekarka dowiaduje się, że ojcem dziecka dziewczyny jest jej własny mąż.

Akt III. Lekarka rekonwalescentką. Po silnym wstrząsie psychicznym powraca do siebie. Architektka stara się wzbudzić w niej ochotę do życia· Przychodzi dziewczyna dowiedzieć się o zdrowie niedoszłej dobrodziejki. Paple parę komplementów o delikatności jej męża i żegna się, gdyż za parę dni wyjeżdża „na panią" do bogatego pana. Na zapytanie o dziecko, odpowiada pogardliwie, że już nawet śladu po niem niema i, dawszy swobodę wymowie, zdradza się, że odtąd będzie mężczyzn traktować jako źródło korzyści przedewszystkiem. Architektka stawia dziewczynę za wzór lekarce, że trzeba brać życie bez ckliwego marzycielstwa, a przy okazji wyznaje, że i ona jest ofiarą tegoż, co obie poprzednie, mężczyzny.. Piękne zdania lekarki o macierzyństwie z woli autorki biorą w łeb i sztuka koń-

czy się ckliwą apostrofą do pracy kobiet nad nową przyszłością, sformułowana ustami lekarki w akcie I temi słowy:

— Kobiety są siłą, która tworzy nowe prawa, nową moralność.

Samo pobieżne streszczenie świadczy, że autorka właściwie naśladuje Nałkowską, ale żeby chociaż była to dobra kopja. Tymczasem to coś takiego jak kopja „Ostatniej Wieczerzy" Leonarda da Vinci, wykonana przez austryjackiego kryptomelancholika z tysięcy marek pocztowych. Już samo chociażby imię bohaterki przywodzi na myśl „Dzień jego powrotu", zato moment jego wyjaśnienia, kto był ojcem nieurodzonego dziecka, jaskrawo przypomina analogiczne anagnorisis z „Domu kobiet". Tam jest to środkiem do rozwiązania akcji dramatu, tu przeniesione, do drugiego aktu, czyni zbędnym akt trzeci, który nie wiąże się organicznie z całością. Poprzestanie na dwuch aktach wcaleby sztuce nie zaszkodziło i wcaleby nie pomogło, taka to bowiem osobliwa sztuka, że co akt, to większy zawód. Pierwszy akt zarysowany jest śmiało i interesująco, węzeł dramatyczny zadzierzgnięty silnie, lecz akty następne sprawiają niespodziankę. Tak samo osoby dramatu. Brak im zwartości charakteru, są niejednolite w każdym akcie inne. Jednolity jedynie jest sposób mówienia bohaterek, które wzorem Nałkowskiej mówią rzeczy głęboko filozoficzne, o ile jednak u Nałkowskiej jest jakiś swoisty światopogląd, z którym widzowi wolno się zgodzić czy nie zgodzić, o tyle u Morozowicz-Szczepkowskiaj raz po raz padają frazesy, ogólniki, banały, wywołujące uśmiech... politowania.

Nie jest „Sprawa Moniki" nadzwyczajną, jeżeli rozpatruje się ją ze strony formalnej. Zwrócić na nią uwagę warto było z tego tylko względu, że autorka rzuciła w niej kobietom hasło do pracy nad zmianą dzisiejszego porządku rzeczy. Nie wyszczególnia, na czem polegać mają nowe prawa i nowa moralność, którą mują dać światu kobiety bez udziału mężczyzn, jest to wszakże nowe sformułowanie feminizmu, który zdawał się bvć pogrzebanym. Kobietom niedość widać zrównania z mężczyznami. Śni im się teraz kobieca supremacja nad światem.

Instytut Reduty dał sztuce oprawę reżyserską i aktorską pierwszorzędną, wskutek czego usterki nie narzucały się z taką siłą, jakby to było przy reżyserji i grze słabszej. Sposób inscenizacji chwilami dawał złudzenie, że się jest u kogoś w pokoju i patrzy się na rzeczywisty wycinek z życia. *Józef Marjan Chudek.*

SPRAWOZDANIA I RECENZJE.

Bibljografja pedagogiczna. Nie ulega wątpliwości, że pedagogiem trzeba się urodzić. Jednak ex libro doctus. Czytając książki pedagogiczne, pedagog z urodzenia stanie się wybitnym kierownikiem młodzieży, ten zaś, kto jest pozbawiony zdolności pedagogicznych, uzupełni dotkliwy brak tej potrzebnej każdemu w życiu łatwości wywierania wpływu na młodych.

Chwila obecna przyniosła nam istną powódź dobrej pedagogicznej literatury. Podaję niektóre publikacje z tego zakresu, nie sądząc bynajmniej, że podaję wszystko, ani nawet, że podaję najlepsze rzeczy. Porządkuję je według zagadnień, które w pewnych książkach przeważają.

Zagadnienie harcerstwa omawiają:

Woroniecki, Gawęda o gawędzeniu; Giertych, My młode pokolenie; Lutosławski, Czuj duch; Sedlaczek, Wskazówki dla harcmistrzów; Pawełek, Gawędy instruktorskie; Bogdański, Podstawy harcerstwa; Longin, Katehizm harcerski; Sedlaczek, Podstawy etyczne skautingu; Bogdański, Harcerstwo jako czynnik odrodzenia katolickiego i narodowego.

Zaognioną kwestję seksualną omawia:

Schilgen, Ty i ona; Mazurkiewicz, Pedagogika seksualna.

Okres dojrzewania młodzieży starają się wyświetlić:

Baley, Psychologja wieku dojrzewania; Kreuz, Rozwój psychiczny młodzieży.

Materjału do egzort dostarczają:

Doss, Myśli i wskazania (ks. Dr. Thullie); Młynarczyk, Kształcenie serca.

Solidne podstawy wiedzy pedagogicznej dadzą:

Woroniecki, Katolicka etyka wychowawcza; Hessen, Podstawy pedagogiki; Jeleńska, Sztuka wychowania i Metodyka pierwszych lat nauczania; Nawroczyński, Swoboda i przymus w wychowaniu i Zasady nauczania.

(Uczeń i klasa).

Danysz, O wychowaniu; Torres, Poprzez niwę pedagogiczną; Podoleński, Podręcznik wychowawczy; Kosiński, Pedagogika.

Marzenia młodzieży o osobistej przyszłości skieruje na realną drogę:

Gutsche, Czem być możemy.

Pierwiastkowi religijnemu i wychowaniu charakterów wyznaczają należyte miejsce.

Posadzy, Odrodzić Polskę w Chrystusie; Ciemniewski, Kształcenie charakteru; Sroka, O człowieku z pięknym charakterem; Bilczewski, Charakter; Förster, Religja a kształcenie charakteru. Przykłady cnoty i dzielności dają poszczególne biografje oraz Holle-Kabe, ścieżkami dróg wielkich mężów.

Dobry pedagog nie pominie sztuki w swoim arsenale środków pedagogicznych, pouczy go o niej:

Fałat, Sztuka i życie; Petrażycka-Tomicka, Rozmyślania o sztuce; Niedziałkowski, Studja estetyczne.

Jak włączyć młodzież w całokształt wysiłków kapłańskich, podaje:

Adamski, Zasady duszpasterstwa szkolnego; Winkowski, Praktyczny podręcznik duszpasterstwa w szkole średniej.

Z obcych autorów warto wymienić:

Foerstera i Dossa, którzy są tłumaczeni, oraz takich jak Dunin-Borkowski, Linus Bopp, praca zbiorowa „Der Fährmann". Z francuskich autorów Doncoeur, Lacordaire, Beaupin, Gillet, Ribot, Gratry, Dupauloup, Chabot;

Materjału do gawęd w drużynach żeńskich dostarczą:

Jan Urban, Na wejście w świat; Plater-Zyberkówna, Na progu małżeństwa, Kobieta ogniskiem w rodzinie; Klementyna Tańska, Listy Elżbiety Rzeczyckiej, Dziennik Franciszki Krasińskiej; Schilgen, On i Ty; Barbara Zulińska, Obowiązki Polki; Doss, Na drogę życia; Paciorkiewicz, Wybór listów francuskich, Pisma św. Franciszka Salezego, św. Heronima i św. Ambrożego.

Z literatury pięknej poleca się w tym zakresie:

Balzac, Ludwik Lambert; Kaden Bandrowski Juljusz, Miasto mojej matki; Bandrowski Jerzy, Wieś mojej matki; Dąbrowska Marja, Uśmiech dzieciństwa; Gomulicki Wiktor, Wspomnienia niebieskiego mundurka; Keller Fottfryd, Pankracy Dąsacz; Konopnicka Marja, Nasza szkapa; Korczak Janusz, Józki, Jaśki, Franki; Nowakowski Zygmunt, Przylądek dobrej nadziei; Miłaszewska Wanda, Zatrzymany zegar; Boleslaw Prus, Katarynka, Omyłka, Grzechy dzieciństwa, Antek; Sienkiewicza, W pustyni i puszczy; Skiba Wołody, Nad poziomy; Żeromski Stefan, Ludzie bezdomni, Syzyfowe prace.

X. Dr. Sz. A.

„Ostatni śpiew" Powieść Misyjna. Nakładem wydawnictwa „Młodzieży Misyjnej" Warszawa, ul. Ks. Siemca 6.

„Ostatni Śpiew" czyta się jednym tchem. Dlaczego? Bo nietylko ciekawie napisana, lecz doskonale oddany jest duch ofiary misjonarza, tak, że w czytającym nieci ducha poświęcenią się sprawom misji...

Czytelnik widzi misjonarza w dziewiczych lasach Boliwji, jak zwabia dzikich grą na skrzypcach i jak przychodzą doń mali dzicy przyglądać się grającemu, uczą go swego języka, poczem słuchają „dobrej nowiny". Z czasem powiększa się grono słuchających. Nauka początkowo posuwa się powoli, ale przy dobrej woli słuchających robi postępy; buduje się domy, wprawdzie nie tak okazałe, ale schludnie utrzymane, uprawia się pola i ogrody, choduje się bydło i inne zwierzęta. Widzi czytelnik, jak się raduje serce misjonarza na widok cnót dzikich niegdyś ludzi, żyjących w leśnych norach i ciemnocie ducha, a dziś cieszących sie światłem ewangelji.

„Palec Boży w nowożytnych katastrofach żywiołowych" X. Charszewski. Wydanie drugie, znacznie pomnożone. Nakładem Księgarni i Drukarni Katolickiej w Katowicach.

Książka ta, starannie opracowana, przykuwa czytelnika swą treścią ciekawą, zwłaszcza, że wypadki omawiane dzieją się w czasie, w którym czytelnik żyje, a może był świadkiem tychże.

Autorowi chodziło o uprzystępnienie książki „Palec Boży” dla wszystkich; napisał więc językiem popularnym.

Na czasy obecne książkę tę warto szerzyć; czyniąc to, spełniamy miły obowiązek miłości bliźniego. Oby „Palec Boży” znany był w jaknajszerszem otoczeniu. *H. Br.*

Stefan Kreuz: Rozwój psychiczny młodzieży. (Współpraca domu i szkoły, № 6).

Obie książki ukazały się nakł. Książnicy Atlas. Lwów 1931.

W przeciągu kilku miesięcy obdarzono nas na jeden temat dwoma książkami niesłychanie ważnemi. Pierwsza książka jest obszerniejsza trzykrotnie od drugiej, bardziej naukowa, bardziej też problematyczna, przeznaczona dla zawodowych pedagogów.

Druga jest zwięzła, przystępna, podaje pewniejsze wyniki wiedzy i doświadczenia, przeczytać powinni ją wszyscy rodzice i wychowawcy. Obie książki dlatego są tak pożyteczne, iż z pewnego punktu widzenia, mianowicie dojrzewania płciowego, omawiają cały okres młodości człowieka od dziecięctwa aż po ukończenie wyższych studjów. Obie książki pomijają przebieg myślenia i uczucia religijnego. Ufamy, że znajdzie się niebawem pedagog, który na tym punkcie uzupełni obu powyższych autorów.

Książka polecona dla inteligencji.

Adamczewski: Sympozjon. Książnica-Atlas. Lwów 1928, str. 400.

Trafny wybór najlepszych wyjątków polskich prozaików dziewiętnastego wieku sprawia, że każdy inteligent z rozkoszą i pożytkiem przeczyta tę świetną kartę naszych najwytrawniejszych piór. Oto ich nazwiska: Śniadecki, Mochnacki, Lelewel, Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Szujski, Chmielowski, Ochorowicz, Prus, Sienkiewicz, Świętochowski, Szczepanowski, Dmowski, Witkiewicz, Morawski, Brückner, Balzer, Chrzanowski, Gostomski, Matuszewski, Przybyszewski, Brzozowski, Żeromski, Twardowski, Boy-Żeleński. Napróżno szuka się autorów takich jak Pawlicki, Marjan i Zdzisław Morawski, Semeneńko, Kajsiewicz i Koźmian.

(Ks. Dr. Stefan Abt).

Ks. Władysław Wojtoń T. J. „Boskiemu Sercu w dani”. Wiązanka wierszy na cześć Serca Zbawiciela. Kraków 132. Wydawnictwo Księży Jezuitów.

Religijna poezja polska wzbogaciła się w sporą wiązankę wierszy przepięknych, dyktowanych przez gorącą miłość autora, poświęconych wyłącznie Boskiemu Sercu Jezusowemu.

Można słusznie się spodziewać, że natchnione te wiersze często będą brane do okolicznościowych deklamacji na akademjach religijnych,

szczególniej takich, jak Chrystusa Króla, i nie jednemu z tych wierszy dadzą wyraz w śpiewie przez dobranie czy ułożenie odpowiedniej melodji, czego gorąco im życzyć należy.

Ks. Al. Bołtuć. M.I.C.

Ks. A. Bessiere T. J. „Wiara". Z przedsłowiem Jerzego Gocau, Członka Akademji Paryskiej. Przełożył z francuskiego Wł. Nachman T. J. Kraków 1932 r.

Rzecz nowa nie tyle ze względu na 1932 rok wydania, ile ze względu na oryginalne ujęcie przez autora doniosłych religijnych zagadnień, które traktuje on w łatwej, a dającej do myślenia formie szczególniej ludziom oświeconym mało jednak zastanawiającym się nad tematami religijnemi.

Porównania, czerpane z historji czy z przyrody, tak wymowne a tak często naiwne w swej prostocie, nie mogą nie zmusić inteligentnego czytelnika dobrej woli do rozważenia zagadnień porządku nadprzyrodzonego i nie wpłynąć kojąco, pogodnie na szamotanie się wielu dusz we własnych mrokach wewnętrznych lub — tęsknotach wyższych.

Omawiana książeczka zasługuje na wytworniejszą formę jej wydania, by każdy rozdziałek miał osobną kartkę a całość w mniejszym formacie i ozdobnej oprawie mogła się znaleść obok rozmaitych „Wyborów poezji" lub „Złotych myśli".

Ks. Al. Bołtuć. M. I. C.

Lutowy zeszyt miesięcznika naukowego **„Ateneum Kapłańskie"** (Włocławek, Sem. Duch.) zawiera dalszy ciąg rozprawy J. E. Ks. Arcbp. Teodorowicza „Zjawiska mistyczne i ich tłumaczenie" będącej odpowiedzią na dzieło Ks. Siwka o Teresie Neumann, stygmatyczce z Konnersreuth.

Ks. A. Bukowski, ogłasza artykuł p. t. „Najbardziej aktualny dogmat eschatologiczny" (Śmierć kresem pielgrzymstwa człowieka); Br. Nowicka omawia „Kościelne stanowisko arcybiskupów Gnieźnieńskich w wieku XIV". W dziale spraw pasterskich poruszono ciekawe zagadnienie dotyczące pracy duszpasterskiej w dobie kryzysu. (X. Dr. Bobicz); „Kuźnia Akcji Katolickiej" — rekolekcje zamknięte (Ks. S. W.); Duszpasterstwo a bezrobotni (S) i wiele innych. W przeglądzie życia religijno - kościelnego jest dokończenie rozprawy Ks. Dr. K. Wilka. Hagiografja metodycznie ujęta, omówienie enc. „Lux veritatis" na zakończenie jubileuszu Soboru Efes. (Ks. E. Grzymała). Z powodu 50-lecia Międzynarodowych Kongresów Eucharyst. (1881—1931) kilka danych historycznych podał Ks. S. W. Nadto znajdujemy to porównawcze omówienie pracy stowarzyszeń młodzieży katolickiej w Polsce i we Francji (W. S.). W przeglądzie naukowym O. Dr. Hoemdeker omawia Konstytucję Ap. o wyższych studjach kościelnych. Wśród recenzyj ważniejsze dotyczą prac Ks Siwka, Żychlińskiego, J. Mirskiego, Kłosa, Sobalkowskiego. Pokłosie literackie (Kisielewski, Muron, F. Goetel, Fl. Barclay, Wybranowski, Przyborowski, Jeleńska i i.) W opracowaniu Ks. Dr. W. Miemca, i dodatek bibljograficzny kończy bogatą treść.

„Młodzież Katolicka" № 1 Warszawa-Lwów 1932. Kwartalnik pod powyższym tytułem jest organem organizacyj katolickich polskiej młodzieży akademickiej. Znajdujemy w nim więc artykuły członków „Juventus Christiana", Sodalicji Akademików, Katolickiej Młodzieży Narodowej, Stowarzyszenia charytatywnego akademików—„Pomoc Bliźniemu", Akademickiej Ligi Katolickiej we Lwowie, Akademickiego Koła Misyjnego i t. d.

Treść pierwszego numeru bardzo bogata i różnorodna — stanowi dowód, jak wszechstronnie katolicka młodzież akademicka wraz ze swemi dążeniami przenika do życia społecznego, jak w każdej jego dziedzienie stara się wszczepić zasady nauki Chrystusowej.

Jeśli idzie o ciekawsze punkty numeru to w pierwszym rzędzie wymienić tu należy gorący, przepojony wiarą w naszą pracę i jej wyniki artykuł ks. rektora Szwejnica p. t. „Więcej optymizmu". — Dalej znajdujemy nadesłany przez prezesa związków młodzieży katolickiej włoskiej, p. Aldo Sburlatie—artykuł o ruchu katolickim wśród akademickiej młodzieży w jego kraju. Szersze omówienie znajduje rocznica pontyfikatu Ojca św. Piusa XI —w pracy inż. Tadeusza Mickiewicza... Niepodobna wyliczać całego, zebranego w pierwszym numerze kwartalnika materjału. Każdy, kto się tem inuteresje — a wyraz życia potężnego odłamu młodzieży akademickiej winien zainteresować wszystkich—z łatwością znajdzie drogę do poznania numeru.

Tu na tem miejscu podkreślić tylko trzeba z radością, że znajdujemy oto nowy dowód, że nasza młodzież akademicka pielęgnuje w duszach swoich zasady katolickie, że je chce wpajać w życie polskie.

Strona zewnętrzna numeru jest wysoce estetyczna, z przyjemnością bierze się kwartalnik do ręki, a wreszcie i cena (1 zł. numer) jest ceną dla każdego przystępną. Adres redakcji i administracji: Warszawa, Wspólna 35 m. 10, tel. 9-29-96, Lwów Na Bajkach 16. *M. J.*

Redaktor odpowiedzialny: HIERONIM SAMULSKI.

PRO CHRISTO
WIARA I CZYN
ORGAN MŁODYCH KATOLIKÓW — MIESIĘCZNIK
Wydawca: Stowarzyszenie Społecznego Panowania Najświętszego Serca Jezusa w Rodzinach Chrześcijańskich.
Redakcja i Administracja: Warszawa, ul. Moniuszki 3a.
P. K. O. 10.115 Telefon 763-44

NACZELNY REDAKTOR
przyjmuje interesantów w środy i piątki między 18.30 a 19.
Biuro i telefon czynne w dni powszednie od g. 11 do 12 i od 15.30 do 17
Redakcja rękopisów nie zwraca

Pro Christo.

Prymas Polski o zasadach życia publicznego.

Wydany pod datą 23 kwietnia 1932 roku List Pasterski ks. Prymasa Kardynała A. Hlonda jest zjawiskiem niecodziennym— zarówno ze względu na temat, który omawia, tak ważny i aktualny w czasach dzisiejszych, jak i dlatego, iż w treści swojej oddaje nie fragmenty tylko, lecz całokształt omawianego zagadnienia, a forma jego i rozmaite okoliczności wskazują wyraźnie na oficjalny, uroczysty charakter tego wystąpienia.

Wprawdzie nieraz już stosunek Kościoła do Państwa omawiany był u nas w oficjalnych enuncjacjach episkopatu. Chodziło jednak zawsze o poszczególne tylko, mniej lub więcej ograniczone zagadnienia. Tym razem natomiast mamy do czynienia z ujęciem filozoficznym, z enuncjacją zasadniczą i wszechstronną, która, być może, w przyszłości stanie się podstawą, na której mają się opierać dalsze wystąpienia i oświadczenia.

Wydany w 13 lat po odzyskaniu niepodległości List ten jest dla nas, Polaków bardzo ważnym przypomnieniem, a nawet ostrzeżeniem. Dostojny Autor zastrzega się, że obca mu jest myśl krytykowania kogokolwiek i wzywa, aby nikt nie nadużywał jego słów do szerzenia nieporozumień i sporów. Nie za-

mierzamy więc wskazywać palcem na nikogo. Obowiązani jednak jesteśmy podkreślić, że porównanie wzniosłych zasad zawartych w Liście z naszą dzisiejszą polską rzeczywistością, daje, zaiste, obraz smutny i tragiczny! Przypuszczamy, iż odczuwał to boleśnie ks. Prymas i uważał, iż jednym z bardzo ważnych zadań Listu jest wskazać Narodowi właściwą drogę postępowania, aby, wydobywszy się długim i wytrwałym wysiłkiem z dotychczasowych błędów, poszedł drogą sprawiedliwości i prawdziwego postępu.

Nie zamierzamy Listu streszczać, gdyż uważamy, że każdy katolik powinien przeczytać go w całości. Ograniczymy się więc do zacytowania kilku myśli, tych, które bardziej nas uderzyły. Nie dlatego, aby inne myśli były mniej ważne... List stanowi jedną, konsekwentną, związaną w każdym fragmencie, całość i niema w niem poprostu ani jednego zbędnego zdania, ani jednego słowa, któreby nie było godne wyuczenia się na pamięć...

Oto np., w czem widzi ks. Prymas istotną przyczynę upadku autorytetu Państwa w czasach dzisiejszych:

„Państwo nie może nie uznawać w swem życiu Stwórcy, z którego woli i prawa się wywodzi, a który jest panem zarówno jednostki jak i społeczności, czyli państwo nie może być ateistyczne, nie może się rządzić, jak gdyby Boga nie było, lecz powinno Boga czcić i religję szanować...

Czy dzisiejszy światowy kryzys polityczny i to groźne załamywanie się podstaw państwowych nie są przedewszystkiem kryzysem autorytetów politycznych, którym brakło wyższej treści? Zachwiały się, bo się same poniżyły, gdy w obliczu ludów wyjałowiały z wszelkiej myśli bożej. Odbudowa autorytetów i powrót od nieładu do zdrowej państwowości zacząć się musi od uznania autorytetu bożego nad narodami i państwami."

Bardzo twardo i wyraźnie rozprawia się List Pasterski z modną obecnie i rozpowszechnioną teorją pogańską, wywodzącą się jeszcze z czasów starożytnych, a spopularyzowaną później w ujęciu Machiavella, według której t. zw. racja stanu uprawnia do popełniania czynów nieetycznych. Powiedzmy sobie szczerze: niema w chwili obecnej w Europie rządu, czy stronnictwa politycznego, któreby w pewnej mierze nie znajdowało się pod sugestją tych zasad pogańskich. Całe życie publiczne przesiąknięte jak miazmatami neopoganizmu, który roz-

winąwszy się w podatnym dla siebie okresie humanizmu i reformacji, a potem nacjonalizmu i liberalizmu, sięgnął zuchwale po władztwo nad całym światem cywilizowanym. Tym bardziej przeto zwrócić się nam trzeba do źródeł żywej prawdy, której piastunem jest Kościół. Czytamy w Liście Pasterskim:

„Państwo jest od Boga, ale nie jest Bogiem, a więc nie jest źródłem prawa obyczajowego, nie stwarza moralności ani nie ustanawia jej normy, lecz czerpie przepisy etyczne i odpowiedzialność moralną z tego samego zakonu, z którego płyną jego władza i uprawnienia. Przyrodzone prawo moralne i dekalog obowiązuje państwo w tej samej mierze, co jednostkę i rodzinę.

Państwo nie ma więc mocy uprawniania nieetycznych czynów, czyli zło nie staje się moralne i dozwolone przez to, że się go dopuszcza państwo, albo że się je popełnia z ramienia lub na rzecz państwa. Dlatego też racja stanu i dobro państwa są najwyższem prawem państwowem nie bezwzględnie, lecz w granicach i przy zachowaniu prawa Bozego. To, co w stosunku do dziesięciorga przykazań jest złem, bo niesprawiedliwością, kłamstwem, gwałtem, to pozostaje grzechem także w życiu publicznem, w monarchji, w republice, w czasie wojny i rewolucji, w okresie wyborczym, w stosunkach partyjnych. Niema pod słońcem władzy, którejby wolno było nakazywać podwładnym czyny przeciwne dekalogowi. Moralność katolicka nakazuje bronić państwa przed podstępem, intrygą, bezprawiem, ale nigdy nie uzna zbrodni za konieczność polityczną i nie uświęci żadnego nakazu niemoralnego.

Najbardziej stanowczo odrzuca też Kościół zasadę, że polityka wogóle stoi poza dziedziną praw moralnych. To niczem nieuzasadnione uroszczenie jest sprzeczne z podstawowem pojęciem o państwie, wprowadza samowolę do życia publicznego i zamienia w piekło wzniosłą instytucję państwa, stworzoną dla dobra i pomyślności ludzi.

Bo jakiemże udręczeniem stałoby się życie ludów, gdyby prawo moralne przestało obowiązywać w dziedzinie państwowej! Czy rządy, hołdujące takiej teorji, mogłyby się odwoływać do sumienia obywateli w imię jakiegoś autorytetu moralnego? Prawem stałaby się siła, bo moralna pustka w polityce prowadzi zawsze do polityki gwałtu. Dowodem tego są programy niektórych ruchów politycznych w Europie, które twierdzą, że

o prawie stanowi siła i powodzenie, że siła kwalifikuje tego, kto ma rządzić, że polityka jest walką i że do walki należy wychowywać narody. To się skończyć musi katastrofą państwowości."

Czy może dlatego, że politycy dzisiejsi tak często hołdują zasadom pogańskim, że polityka jest uważana powszechnie za zajęcie niebezpieczne i śliskie dla dobrego chrześcijanina—mamyż stronić od polityki? Nie, bynajmniej... Na końcu Listu znajdujemy wyjaśnienie:

„Kościół nie uprawia polityki, bo niej est to jego zadaniem. Ale Kościół nie zakazuje katolikom udziału w polityce, owszem, zachęca ich i wzywa do czynnego udziału w życiu państwowem. Wszak nie jest do pomyślenia, aby zwłaszcza w krajach katolickich życie publiczne miało się stać wyłączną lub niemal wyłączną dziedziną kół liberalnych i wolnomyślnych i aby ta mniejszość miała stale rządzić katolikami w duchu im obcym i przeciwnym ich najgłębszym przekonaniom. Powinni więc katolicy nietylko iść do urny, aby do ciał ustawodawczych wybierać ludzi uczciwych i o duchu katolickim, lecz powinni wchodzić do rządów, do sejmów i senatów, do administracji politycznej i samorządowej. Nie będą oni tam urzędowymi przedstawicielami Kościoła, lecz obywatelami i politykami o zasadach katolickich. Stanowczo powinien atoli katolik odmówić udziału w życiu politycznem i ustąpić ze stanowiska publicznego, gdyby jego współpraca równała się przyzwoleniu na czyny wyraźnie nieetyczne".

Zadaniem więc katolików nie jest absencja od życia publicznego. Przeciwnie, musimy pracować nad tem, aby w naszem społeczeństwie powstał i wyrobił się typ katolika społecznego, pracującego politycznie w myśl zasad katolickich, nie obawiającego się rozwiązywania w myśl tych zasad trudnych i drażliwych zagadnień życia bieżącego.

Nie można zaprzeczyć, że zadania polityka katolickiego w czasach dzisiejszych są bardzo trudne, wymagające wielkiego hartu ducha i poświęcenia. Z jednej strony pracować on musi na własną odpowiedzialność, w taki sposób, aby jego działalność, ani działalność jego stronnictwa nie angażowała Kościoła, nie wciągała autorytetu Kościoła do walk partyjnych. Pracuje więc on dla Kościoła, nie ma jednak prawa powoływać

się na oficjalnych przedstawicieli Kościoła, Kościół bowiem, jako instytucja boska jest stróżem moralności życia publicznego, jest ostoją instytucji państwa, lecz nie sprawuje władzy politycznej ani administracyjnej i nie może za akty i posunięcia tej władzy brać na siebie odpowiedzialności. Z drugiej zaś strony polityk katolicki, pracując w zgiełku i targowisku życia, nie może ani na chwilę zapominać o zasadach, ani ułatwiać sobie pracy przez przysłowiowe wypędzanie djabła przy pomocy Belzebuba.

Obowiązkiem katolika jest zwalczać wszelkie prawa niesprawiedliwe, sprzeczne z zasadami wiary i moralności. Co więcej:

„To samo tyczy się wszelkich rozporządzeń i rozkazów, zkądkolwiek pochodzą. Jeżeli nakazują zło, należy się od ich pełnienia bezwarunkowo uchylać, zgodnie z oświadczeniem św. Piotra Apostoła: „więcej trzeba słuchać Boga, aniżeli ludzi". Katolik nie powinien pod żadnym warunkiem być narzędziem grzechu i krzywdy. Prawo Boże i moralność muszą dla katolika zawsze i wszędzie być święte, nawet, gdyby je w życiu publicznem bezkarnie deptano."

Twarde warunki życia mogą wymagać czasami od katolików, zwłaszcza tych, którzy pracują w życiu publicznym — samozaparcia i poświęcenia, dochodzącego do bohaterstwa. Jak pisze ks. Prymas: *„Nie zawsze... Kościół zabiera publicznie głos, gdy się źle dzieje, bo nie zawsze zachodzi potrzeba jawnego wystąpienia, zwłaszcza, gdy stanowisko Kościoła do bieżących wypadków jest z natury rzeczy jasne. Nigdy więc nie można uważać milczenia Kościoła za przyzwolenie na niemoralne czyny".*

Katolicy jednak, jako obywatele, wyborcy i płatnicy, posiadający prawo głosu i krytyki, obowiązani są wystąpić w odpowiedni sposób wówczas, gdy jaskrawie gwałcona jest sprawiedliwość i moralność w życiu publicznym, gdy pogwałcenie to nie jest tylko wyjątkowym wypadkiem, lecz powtarzane jest stale, jako coś integralnie tkwiącego w systemie rządzenia. Oczywiście takim rządom organizacje składające się z konsekwentnych katolików poparcia swojego udzielić nie mogą!

Na zakończenie podajemy piękne słowa, w których Dostojny Autor przedstawił wspaniałą koncepcję rządów silnych i sprawiedliwych zarazem:

Władze państwowe mają obowiązek żądać poszanowania dla sprawiedliwych praw i popierać to żądanie przewidzianemi w ustawodawstwie środkami przymusowemi. Tak zwane silne rządy są uzasadnione i dobre, o ile są sprawiedliwe. Każdy rząd bowiem powinien być sprawiedliwy i pierwszy powinien szanować słuszne prawa, nawet celować w ich przestrzeganiu. Jakaż powaga i jaka moc urasta władzy państwowej, gdy jest nie zawodzącą ostoją ładu i gdy etykę swą opiera na wiecznych podstawach moralnych, założonych pod szczęście ludzkości przez samego Stwórcę. W takiem państwie sprawdzają się słowa psalmisty: „Sprawiedliwość i pokój ucałowały się".

Zaiste, do takich rządów tęsknimy, o takie rządy modlimy się do Boga... Oprócz modlitwy, musimy jednak ofiarować także Ojczyźnie swoją pracę. Bowiem—według woli Stwórcy —jednakże swoją pracą i własnymi rękoma „snują sobie narody przędzę dziejowego żywota".

Zmierzch ustroju kapitalistycznego.

(Na marginesie współczesnego przesilenia).

II.

Ustrój kapitalistyczny jest bardzo nieharmonijnym i—jeżeli się tak można wyrazić—kryzysowym. Najskrajniejsi jego krytycy twierdzą, że właściwie ustrój ten jest dwoma po sobie następującemi kryzysami: ledwie zakończył się jeden, rozpoczął się drugi, który obecnie przeżywamy.

Pierwszy kryzys rozpoczął się równocześnie z powstaniem ustroju, gdy warsztat kapitalistyczny rozpowszechnił się—najpierw w Anglji, a potem w Niemczech, we Francji i w innych krajach Europy, gdy z chaosu okresu przejściowego wyłoniła się nowa klasa ludności: proletarjat fabryczny.

Jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że same przeobrażenia handlowe i techniczne (odkrycia nowych lądów, rozpowszechnienie handlu i wynalazek maszyny) nie doprowadziłyby do tego kryzysu. Przyczyna jego głębsza tkwiła w dziedzinie filozoficznej i moralnej. Jak już wykazywaliśmy powyżej, od końca średniowiecza do wieku XIX dokonała się olbrzymia zmiana poglądów w dziedzinie religijnej i filozoficznej, a potem także—spole-

cznej, gospodarczej i politycznej. Zapanowała w ekonomji szkoła liberalna, oparta na założeniach materjalistycznych, wyzuta z wszelkich pojęć sprawiedliwości chrześcijańskiej, redukująca pracę ludzką do roli czynnika martwego, towaru na rynku handlowym.

Następstwem nowych poglądów na istotę i cele produkcji był niesłychany wyzysk proletarjatu fabrycznego, potworny wprost ucisk szerokich mas proletarjatu, który pozbawiony wszelkich środków obrony ze strony państwa, ciemny i rozproszkowany, nie mający prawa się organizować oddany został na łup niewoli, przypominającej czasy faraonów. Tego rodzaju ucisk musiał—rzecz oczywista — wywołać reakcję w postaci ruchów rewolucyjnych i na tem właśnie polega istota pierwszego kryzysu.

Punktem jego kulminacyjnym był t. zw. rewolucyjny rok 1848. Raz po raz zrywały się odruchy buntu przeciwko barbarzyńskim ciemięzcom kapitalistycznym. Ciemny, zrozpaczony tłum dostawał się pod wpływ najbardziej radykalnych i anarchistycznych haseł. Bardzo często robotnicy palili warsztaty i burzyli maszyny, widząc w nich rzekomą przyczynę swojej nędzy i upośledzenia. Wojsko i policja krwawo tłumiły rozruchy.

Cała Europa rozbrzmiewała odgłosem tego kryzysu gospodarczego i społecznego. Sumienie świata cywilizowanego zaczęło się budzić. Powoli zaczyna tworzyć się prąd rewizjonistyczny przeciwko panującemu wszechwładnie liberalizmowi materjalistycznemu.

Już w połowie XIX wieku zarysowywują się dwie szkoły ekonomiczno-społeczne, które przechodzą do porządku dziennego nad teorją lesseferyzmu i anarchicznej wolności, prowadzącej do wyzysku i wstrząsów rewolucyjnych i na jej miejscu próbują wznieść nowe założenia i poglądy. Pierwsza z tych szkół— to socjalizm, druga—to doktryna chrześcijańsko-społeczna.

Powstały one prawie równocześnie, obydwie były reakcją idei i nauki przeciwko wyzyskowi kapitalistycznemu, obydwie dążyły do znalezienia dróg, prowadzących do wybrnięcia z kryzysu—a jednak tak różne były ich założenia i wnioski! I nic dziwnego: socjalizm był reakcją idących przez ludzkość w pełnym natężeniu i energji prądów pogańskich, idea zaś chrześcijańsko-społeczna była reakcją katolicyzmu, wyrazem zewnętrznym potężnych i niezłamanych sił żywotnych, tkwiących w Kościele katolickim.

Socjalizm opierał się na tych samych założeniach filozoficznych, co liberalizm. Usuwał on Boga z życia społeczeństwa, a na Jego miejsce wznosił ołtarze bożkom pogańskim, tylko innymi niż liberalizm. Liberalizm wznosił tron dla wolności, pojętej w sposób pogański, materjalistyczny. Wolność ta była prawem użycia i nadużycia, prawem pochłaniania słabszych przez silniejszych, prawem anarchji dla jednostki i dążenia jej do bezwzględnego zysku kosztem całego społeczeństwa. Socjalizm przeciwstawił mu **równość.** Teorja Marxowska nie uznaje żadnych czynników moralnych, transcedentalnych, w życiu widzi również tylko walkę o byt, nawet tworzy teorję walki klas i materjalistycznego poglądu na dzieje. Tylko wnioski wysnuwa inne. Liberaliści są optymistami, przypuszczają, że przy pozostawieniu jednostce całkowitej swobody w dziedzinie gospodarczej -- stosunki ułożą się harmonijnie. Socjaliści natomiast, reagując przeciwko wyzyskowi wolnych ludzi „ekonomicznych", przerzucają się na przeciwny biegun i głoszą, że należy jednostkom odebrać wogóle jakąkolwiek swobodę gospodarczą, odebrać prawo własności, oddając je państwu. Tylko bowiem zapomocą wszechwładzy ekonomicznej państwa zrealizowana być może sprawiedliwość w dziedzinie ekonomiczno-społecznej.

Jesteśmy w tym szczęśliwym położeniu, że mamy już za sobą doświadczenie blisko 100-letnie, od chwili powstania pierwszych teorji socjalistycznych. Możemy stąd wyciągnąć pewne wnioski na podstawie wynikłych faktów i doświadczeń.

Na szczęście teorja socjalistyczna nigdzie nie została zrealizowana. Jeden tylko kraj usiłował od r. 1917 wrowadzić ją w życie, jak dotychczas jednakże usiłowania te doprowadziły do fatalnych rezultatów. Okazało się na przykładzie Rosji Sowieckiej, że wszechwładza państwa w dziedzinie ekonomicznej i społecznej prowadzi do jeszcze gorszego ucisku, niż potęga ekonomiczna przedsiębiorców kapitalistycznych. Sowiecka socjalistyczna republika rad jest czemś w rodzaju wielkiego więzienia, odgrodzonego chińskim murem od reszty świata, strzeżonego pilnie przez oligarchję czerwonych potentatów, panów życia i śmierci, wszechwładnych i przez nikogo niekontrolowanych depozytarjuszy majątku narodowego. Jest przytem bardzo charakterystyczne, że tego rodzaju system mógł być zaprowadzony tylko w kraju o kulturze i cywilizacji w połowie azjatyckiej, natomiast

żaden z gabinetów socjalistycznych, rządzących w Anglji, Szwecji czy innym jakimś państwie europejskim, nie próbował nawet wprowadzać w czyn zasad socjalistycznych, gdyż byłoby to widocznie fizycznem niepodobieństwem, a z punktu widzenia potrzeb ekonomicznych—nonsensem Życie przechodzi do porządku dziennego nad teorją Marxa, sami socjaliści zrewidowali już ją w bardzo szerokim zakresie.

Przechodzimy do szkoły chrześcijańsko-społecznej. Filozoficznie oparta jest ona na założeniach transcedentalnych, w produkcji widzi nietylko cele utylitarne i materjalne, lecz uznaje w życiu człowieka pewne cele i zadania wyższe, tkwiące w dziedzinie życia duchowego i moralnego, które winien realizować także na terenie życia gospodarczego. Tak więc całe życie gospodarcze i społeczne winno być podporządkowane zasadom sprawiedliwości chrześcijańskiej. Podstawy nauki te same, co w średniowieczu, tylko wnioski praktyczne dostosowane do nowych warunków życia.

Od socjalizmu i liberalizmu szkoła chrześcijańsko-społeczna różni się zasadniczo nietylko hołdowaniem Bogu i ustanowionej przez Niego moralności w życiu ekonomiczno-społecznym, lecz także innymi, bardzo charakterystycznymi znamionami. Szkoła chrz.-społeczna w tezach swoich niema niczego abstrakcyjnego, oderwanego od życia, przeciwnie czerpie wiele swoich tez z życia realnego i jego potrzeb. Zarówno socjalizm, jak i liberalizm są w założeniach swoich abstrakcyjne, nic wspólnego nie mające z wymaganiami życia praktycznego. Każdy człowiek rozsądny łatwo zrozumie, że zarówno bezwzględna wolność, jak i równość są przeciwstawnymi abstrakcjami, które w życiu gospodarczo-społecznym nie dadzą się zrealizować. Bezwzględna wolność prowadzi do anarchji i walki wszystkich przeciwko wszystkim, równość zaś może być wprowadzona tylko gwałtem, trwałe jej utrzymanie byłoby teoretycznie możliwe tylko za pomocą wszechwładzy państwa i niewoli obywateli. Widzimy więc, że na wolności ani równości nie może być oparty żaden życiowy ustrój ekonomiczny, zapewniający światu prawdziwy rozwój. Nic bardziej nie dyskredytuje liberalizmu i socjalizmu, jak ich biegunowa abstrakcyjność. Na zimnych biegunach, pełnych lodu i śniegu, nigdy życie nie zakwitnie... Powstanie takich teorji, a co najważniejsze zuchwałe i tragiczne próby ich realizo-

wania można wytłumaczyć tylko pewną aberracją umysłową owczesnego społeczeństwa, które odwróciło się od Boga i Jego praw, a na opustoszałych ołtarzach umieściło abstrakcyjną formułkę...

Cechą szkoły chrześcijańsko-społecznej jest jej życiowość i konkretność. Podstawą jej są niewzruszone zasady, hodowane w Kościele od początku Jego założenia, praktyczne zaś tezy tworzą się przez zastosowanie tych zasad w konkretnych warunkach życia. Dwie główne tezy chrześcijańsko-społeczne, głoszone od początku przez pisarzy tego kierunku, mówią:

1) Prawo własności winno być utrzymane, natomiast prawo to nie jest prawem nadużycia, musi być ograniczone dobrem społeczeństwa. Dlatego też państwo ma nietylko prawo, ale i obowiązek interwenjować na terenie życia gospodarczego. Ponieważ przeobrażenia ustrojowe wyłoniły nową klasę proletarjatu fabrycznego i dały nad nią bezwzględną przewagę właścicielom wielkich warsztatów, przeto obowiązkiem państwa jest ustanowić prawa ochronne, broniące robotników przed wyzyskiem. Jednem słowem—**ustawodawstwo socjalne.**

2) Robotnicy sami również mają prawo bronić się przed wyzyskiem zapomocą wolnej assocjacji, prawa koalicji przysługującego obywatelowi. Związki zawodowe robotnicze kierowane w myśl zasad chrześcijańskich przyczynią się walnie do usunięcia kryzysu, tworząc siłę zorganizowanych robotników, osłabiając przez to nieusprawiedliwioną przewagę ekonomiczną przedsiębiorców i wyrabiając społecznie klasę pracującą. Pojedyncze umowy pracy zawierane między słabym ekonomicznie robotnikiem, a silnym kapitalistą należy zastąpić przez umowy zbiorowe między jednostką silną wprawdzie i potężną, mającą jednak naprzeciwko siebie kontrahenta również niesłabego, bo reprezentującego organizację złożoną z setek lub tysięcy ludzi...

* * *

Życie poszło w kierunku doktryny chrześcijańsko-społecznej.

Wiek XIX jest widownią uchwalaniu przez parlamenty ustaw socjalnych. Polityka lesseferyzmu kończy się w dziedzinie socjalnej. Państwo wydaje szereg ustaw, określających długość dnia pracy, ochraniających pracę kobiet i macierzyń-

stwo, pracę dzieci, ustanawiających ubezpieczenia od choroby, wypadków i starości. Tworzy się nowy nieznany dotychczas kodeks pracy. Równocześnie po cofnięciu zakazu tworzenia związków zawodowych, związki te tworzą się szybko, rozwijają i dochodzą z czasem do wielkiej potęgi i znaczenia.

I nietylko zwolennicy poglądów chrześcijańsko-społecznych, lecz bardzo często liberałowie i socjaliści popierają w parlamentach i w gabinetach ministerjalnych prawa i zarządzenia wypływające z tez chrześcijańsko-społecznych. Życie bowiem wymaga tych reform, a ono jest najsilniejszym superarbitrem.

Twórca socjalizmu Marx był przeciwnikiem tworzenia związków zawodowych, koncepcja bowiem ta psuła jemu prosty zarys jego planów. Robotnik — rozumował Marx — zorganizowany w zw. zawodowych polepszać będzie warunki pracy, skutkiem tego osłabną w nim tendencje rewolucyjne. Dlatego w myśl hasła: „im gorzej, tem lepiej!" przeciwstawiał się związkom. Poglądy jednak jego były nie do przyjęcia wobec żelaznych konieczności życia. Sami towarzysze jego pracy wystąpili przeciwko niemu i zaczęli tworzyć socjalistyczne związki zawodowe wbrew pierwotnej doktrynie socjalizmu.

* * *

Nastąpiło przeobrażenie pierwotnego kapitalizmu. Wszechwładny początkowo przedsiębiorca został ograniczony w swej władzy przez kodeks socjalny i związki robotnicze. Sytuacja warstw pracujących zaczęła się poprawiać. Z jednej strony ustawy socjalne, ubezpieczenia i akcja związków zawodowych dawały im, przynajmniej w niektórych krajach, coraz lepsze warunki pracy i warunki życia. Z drugiej zaś strony wzrost techniki, coraz bardziej skomplikowane maszyny wymagały od robotnika coraz większej fachowości, wyrabiając w nim równocześnie łącznie ze wzrostem oświaty i szkołą ludową — wyższy poziom kultury. Klasa proletarjatu fabrycznego zaczęła się nieco podnosić zarówno pod względem materjalnym, jak i kulturalnym. Działo się to nie we wszystkich krajach. Musimy jednak przyznać, że w niektórych, jak np. Anglja, Niemcy, Ameryka klasa robotnicza doszła na przełomie w. XIX i XX do pewnego dobrobytu i sięgała po coraz to nowe zdobycze.

Tak więc ostry kryzys społeczny, który ujawnił się od samego początku powstania ustroju kapitalistycznego, został pod

koniec XIX stulecia do pewnego stopnia zażegnany. Przyczyniła się do tego doktryna chrześcijańsko społeczna, która wskazała światu kierunki reformy, a także zdrowy rozsądek i poczucie rzeczywistości, które ujawniły się u wielu nawet niekatolickich mężów stanu. Gotowi oni byli poświęcić głoszone przez siebie teorje materjalistyczne na ołtarzu dobra społecznego i pójść w kierunku wymagań życia.

Musimy jednak podkreślić, iż mimo tych reform tak wspaniałych i godnych podziwu — główne zręby ustroju, a co zatem idzie — główne jego wady pozostały nadal. Reformy dotyczyły bowiem stosunków między pracą a kapitałem, były one zażegnaniem doraźnego niebezpieczeństwa, wywołanego straszliwą falą wyzysku, nienawiści i rewolucji, ustępstwem na rzecz konieczności życiowych tylko w tej dziedzinie. Natomiast cały pozostały mechanizm ustroju kapitalistyczno-indywidualistycznego działał nadal, zbliżając ludzkość krok za krokiem do drugiego kryzysu.

Stefan Kaczorowski.

W okresie przygotowania do małżeństwa.

„Wszystko przez ducha i dla ducha stworzone jest i nic dla cielesnego celu nie istnieje" pisał Słowacki w „Genezis z ducha". Pęd do wyżyn, uduchownienie życia staje się dziś coraz bardziej obowiązkiem zdrowej moralnie części społeczeństw europejskich a więc i społeczeństwa naszego.

Na łamach pism codziennych i miesięczników toczy się prawdziwa Krucjata o obronę świętości małżeństwa, jego charakteru sakramentalnego, nierozerwalności i obowiązków wobec mającego przyjść na świat potomstwa. Jeżeli mimo to tyle jednostek wykracza przeciw tym prawom, jeżeli ogół społeczeństwa wykazuje wciąż jeszcze taki brak uświadomienia i zrozumienia ważności poruszanych kwestyj, to dlatego w przeważnej części, że wobec zagrożonej nierozerwalności związku i sprawy potomstwa na plan drugi schodzi równorzędny cel małżeństwa: wzajemna pomoc duchowa i współpraca w celu dostąpienia wiecznego zbawienia. Kto, nawet wśród t. zw. praktykują-

cych katolików, zwraca przy zaręczynach poważnie na ten moment uwagę? Kto myśli o dalszem przygotowaniu do małżeństwa, niezbędnem w każdym zawodzie i poczynaniu, zbytecznem na oko tylko przy zawieraniu małżeństw?

Praktykę odbyć trzeba w zawodzie nauczycielskim, przy studjach agronomicznych, lekarskich, prawniczych—praktykę ćwiczenia, i jakże uciążliwe, przy zawodach sportowych i doskonaleniu się w dziedzinie sztuki---do małżeństwa przystępuje się bez przygotowania, bez tego podkładu przemyślenia towarzyszącego każdemu innemu przedsięwzięciu o poważniejszym charakterze. A przecież lata młodzieńcze chłopców i dziewcząt owiane być powinny tą atmosferą dostojności związku, który ich czeka w przyszłości; pewne wytyczne w kształceniu charakteru, w urabianiu umysłu późniejsze obowiązki małżeńskie mieć winny na celu. Ślicznie ujmuje ten obowiązek przygotowania się do małżeństwa O. Plus E. J. w dwa postulaty: 1) ustrzec się 2) szlachetnieć. Zachowanie czystości i skarbu wiary świętej stanowi fundament przygotowania do stanu małżeńskiego dla młodzieńca. Tego samego żąda się naturalnie od jego przyszłej towarzyszki wraz z położeniem dużego nacisku na urobienie pewnej giętkości i podatności charakteru. Narazie, w czarownym śnie miłości odwzajemnionej przechodzi się do porządku dziennego nad temi sprawami, lecz niebawem dojdą one do głosu a dojdą tem prędzej, im poważniej choć jeden z małżonków zapatruje się na zawarty związek.

Rozbieżność, lub sprzeczność w światopoglądzie i ustosunkowaniu się do religji zmarnowały już niejednokrotnie najpiękniejsze zadatki szczęśliwego pożycia. W powieści p.t. „La barrière" (Przeszkoda") każe Renë Bazin tak przemawiać Marji Simerel do narzeczonego: „Czego pragnę przedewszystkiem, to, ażeby między nim a mną nie było dzielących nas poglądów — trzeba byśmy mieli jedną duszę.... Czy jesteś jeszcze chrześcijaninem? Czy mamy jedną i tę samą wiarę?... Wiem, że chodzisz na Mszę św. i towarzyszyłbyś do Kościoła swojej żonie.... ale, czy masz życie z wiary, tak jak ja je rozumiem?.... Byłby to dla mnie zawód nie do zniesienia, gdyby mąż mój nie umiał modlić się ze mną .... nie szukał natchnienia i podniety do najmniejszego ze swoich czynów w tej wierze, dla której cała żyję...." Wspólnota życia z wiary oto najważniejszy atut szczęśli-

wego małżeństwa, lecz tego nie nabywa się w przeddzień ani w chwili ślubu—potrzeba na to lat przygotowawczej pracy nad sobą. Amiel, poeta-moralista, powiada: „oddać najgłębsze uwarstwienia istoty własnej za mniejszą cenę niż zupełne odwzajemnienie się, czyż to nie zbeszczeszczenie"? Żąda on czystości od obojga małżonków, aby nie było między niemi niedomówień i tajemnic nietylko w chwili obecnej ale i w przeszłości. Zachowanie czystości i skarbu wiary świętej nie stanowi jednak pełni przygotowania do stanu małżeńskiego. Z myślą o przyszłym towarzyszu życia trzeba się starać o coraz większe uszlachetnienie, o coraz wyższy poziom moralny, intelektualny i duchowy. Praca ustrzeżenia się jest robotą negatywną, pierwiastek pozytywny wnosi dopiero świadome dążenie ku wyżynom. I tu znajdziemy przepiękne przykłady bardzo wysokich ideałów wśród katolickiej młodzieży francuskiej. Jan du Plessis, bohater z Dixmunde tak odpisuje rodzicom, którzy namawiają go do szukania dozgonnej towarzyszki: „..... jedyna kobieta, z którą chciałbym się ożenić, to ta, która małżeństwo ze mną będzie uważała za swój obowiązek... zdaje mi się, że jestto zaszczytem dla kobiety, gdy wznieść się może *ponad* siebie. A trzeba tego, by zostać żoną marynarza. Trzeba odwagi na to, by z góry sobie powiedzieć: będę często samotną, skazaną na różne trudności materjalne i moralne... Moim marzeniem jest, aby, żona moja każdą chwilę musiała przeżyć w obecności Bożej, wespół ze mną; pragnę by dla niej życie trudniejsze i uciążliwsze, niż dla innych kobiet, było zaszczytem".

Tego rodzaju poglądy nie należą wcale do wyjątkowych wśród młodzieży francuskiej powojennej i u nas elita młodych tak się zapatruje, tylko kadry jej jeszcze są nieliczne.

Intelektualnie dziewczęta nasze dociągają się do najśmieszniejszych żądań przyszłych towarzyszy życia i odwrotnie, moralnie młodzież męska i żeńska hołduje bardzo wzniosłym i wysokim ideałom. Brak może najwięcej duchowego pogłębienia wskutek niedostatecznego przygotowania, wyszkolenia. W kierunku tym najwięcej zdziałać mogą Sodalicje, jako ogniska życia wewnętrznego i kuźnie nadprzyrodzonego na świat i ludzi spojrzenia. Nie zastąpią jednak pracy indywidualnej, wytężonej i wytrwałej, bo rozciągającej się na lata. Wiedział o tej konieczności współpracy naszej w wielkiem dziele udoskonalenia

jednostkowego i odrodzenia zbiorowości Zygmunt Krasiński, gdy wołał w Psalmie dobrej woli do Boga: „Ty bez nas samych nie możesz nas zbawić” a kiedy w „Resurrecturis” daje wskazania proste a piękne odrodzenia moralnego, zakreśla warunkującą je pracę na długie lata:

„Bądź arcydziełem nieugiętej woli
Bądź cierpliwością—tą panią niedoli
Co gmach swój stwarza z niczego—powoli!
Bądź tą przegraną, której cel daleki
A która *w końcu* wygrywa na wieki”.

Pisząc te słowa, nie miał Krasiński na myśli związków małżeńskich a jednak mieści się w nich, jako w przebogatej kopalni głębokiej myśli i dla małżonków dyrektywa. Jeśli przygotowanie do wspólnego życia było niedostatecznem, jeśli słabą jest ideowość u jednego z małżonków, cóż uczyni drugi? Przy nieugiętej woli w sprawach zasadniczych będzie wcieleniem cierpliwości i cichego wyczekiwania. Będzie niejednokrotnie, na oko „przegraną", czyli ofiarą, stroną zwyciężoną, lecz wpatrzony w cel daleki a święty, wygra ostatecznie swoją młodą na Bogu opartą, niezmożoną trudnościami—siłą!

Celina Stoińska.

SPOŁECZENSTWO I WYCHOWANIE.

Bolszewizm w Chinach.

Czy Kwieciste Państwo Środkowe (Dżung-Chua-Guo) rzeczywiście poznało już najświeższy kwiat społecznej mądrości Europy—bolszewizm? Niestety, tak.

Po załamaniu się rewolucyjnego ruchu w Europie, szczególniej w Niemczech, roku 1923, i po nieudanym strajku powszechnym w Anglji, w 1926, utraciwszy widoki na bezpośrednie powodzenie na Zachodzie, czerwoni politycy rosyjscy zwrócili pilną uwagę na ląd azjatycki. Gdyby im się udało pozyskać dla swych idei 400-miljonową ludność Chin, i z nią wystąpić przeciwko angielskiemu imperjalizmowi oraz misjom duchownym, i konsekwentnie przeprowadzić swój plan rewolucji agrarnej, cios dla przeciwnika byłby zabójczy. Przenieśli też walkę

z imperjalizmem na grunt chiński. Jeszcze Lenin oznajmił: „Zwrócimy się do Azji, wiemy bowiem, że jedynie przez Wschód osiągniemy nasz cel na Zachodzie". Gdyby kolos chiński pewnego dnia poczuł się bolszewikiem, to skutki tego stałyby się dla całego świata nieobliczalne. Chiny składają się wszak z 28-iu prowincji, a większość ich liczniejszą ma ludność, niż takie np. Niemcy. Z tych 28 prowincji da się utworzyć 28 państw według wzoru sowieckiego, złączonych w jeden związek; jakaż to będzie potęga bolszewicka! 450 miljonów mieszkańców—to ledwie o 40 miljonów mniej, niż cała Europa!

Aby tylko chińczycy zechcieli przyjąć bolszewizm. Chińczycy właśnie oglądali się wówczas za czemś, coby im przyniosło możność wyzwolenia się z pod przemocy państw białych. Widząc, jak Rosja zrzuciła z siebie długowieczny ucisk władzy carskiej, chętnie zwrócili się do niej po środki przeciw obcemu imperjalizmowi. Słynny Sun-jat-sen, inaczej Sun-Wen (1866—1925) wychowaniec uniwersytetów angielskich w Chinach, wódz rewolucji chińskiej w r. 1911, tak wielce zainteresował się rewolucją w Rosji, że w roku 1918 przesłał Leninowi telegram z powinszowaniem powodzenia. Tylko, że Sun-jat-sen i chińczycy wzięli bolszewizm od innej strony: z narodowej raczej, niż społecznej. Traktat Wersalski sprawił wkrótce Sun Wenowi wielkie rozczarowanie.

Bolszewicy natychmiast skorzystali z okazywanej im sympatji, i przez Karachana z Malinem, w roku 1920, zręcznie wcisnęli się do Chin. Wspaniałomyślnym giestem — który obiecywali sobie w przyszłości suto powetować — unieważnili dawne nierówne traktaty z Chinami i zrzekli się koncesji na ziemi chińskiej i odszkodowań za powstanie bokserskie, co wywołało zachwyt u przywódców chińskich. Lenin posłał do Chin sekretarza swego, Malina, i nawiązał ścisły kontakt z głowami żółtej republiki, Wu-pej-fu i Sun-jat-senem.

Pierwszą sprawą Malina było zawiązać w Chinach tajemnie partję komunistyczną, i dokonał tego.

Czerwona choroba dokumentnie zaszczepiona została organizmowi chińskiemu.

Już z wielką radością trzecia międzynarodówka witała przyłączenie się Chin, gdy z dwu wielkich mężów chińskich jeden zerwał jaskrawo z zasadami komunizmu: kiedy w roku 1923

przy budowie kolei Pekin-Chankou robotnicy odmówili pracy, Wu-pej-fu przedsięwziął przeciw nim najsurowsze środki—mnóstwo ich kazał uśmiercić. Odtąd Moskwa dokładać poczęła starań, żeby drugiego, Sun-Wena, z rąk swych nie wypuścić.

Ale i Sun-Wen szedł nieco inną drogą, niż tego pragnęli bolszewicy. Rozbudził on w Chinach ruch narodowy. Wstąpili wtedy i komuniści do partji narodowej. Sun-Wen, gdy to się wykryło, nie sprzeciwiał się. Wreszcie dokonał dzieła niezmiernej dla nowych Chin doniosłości: założył w roku 1923 wielką radę narodową, słynny Guomindan (Kuomin-tang). Stało się to nieinaczej, jak pod auspicjami Bolszewji, po naradach z Joffem, w Szanchaju, na warunkach przymierza z Sowietami. Bolszewicy doraźny z tego zaraz zysk wyciągnęli, przyznano im bowiem, jako sprzymierzeńcom, kolej Wschodnio-chińską (mandżurską), ważną dla nich ze strategicznych powodów i dlatego, że mogli jej przez to nie oddać w ręce władców Mandżurji, pozostających pod wpływami Japonji.

Ponieważ chińskim przywódcom chodziło nie o przewrót społeczny, lecz o cele narodowe, o wyzwolenie Chin, musiał przeto komunizm w Chinach stanąć pod parasolem narodowym. Sun-Wen zamierzał w przyszłości, gdy cel zostanie osiągnięty, wyłączyć komunistów, a narazie obecność ich uważał za pożyteczną dla sprawy, wnosili bowiem wypróbowane, skuteczne metody walki. Czy nie znał duszy bolszewickiej, czy też tak wielce był naiwny, dość że miał nadzieję zwrócić kiedyś komunistów na drogę narodową.

Wysłał do Moskwy Dżan-kaj-szy (Czan-kai szek) dla studjowania bolszewickich urządzeń. Ten wrócił zachwycony. Wespół z Borodinem zabrali się, w roku 1923 do przekształcania Guomindanu na modłę rosyjską: wypadło przedewszystkiem usunąć niekarność, biurokratyzm, awanturniczość, i wyrobić sobie wpływ na lud. W Moskwie założono szkołę agitatorską dla chińczyków. Wszystkie poselstwa sowieckie w Chinach służyły dla prowadzenia propagandy. Ludowi kładziono w głowę przedewszystkiem, że idea narodowa wymaga uwolnienia się od kapitalizmu i militaryzmu państw obcych.

W roku 1924 zawarł Sun-Wen formalny sojusz z Sowietami. Na kongresie Guomindanu, w tymże roku, pomimo sprzeciwu członków starszych, przyjął do narodowego związku wielu

komunistów, z warunkiem, że powstrzymają się od machinacji komunistycznych i pracować będą jedynie dla narodowej rewolucji.

Jednocześnie organizował chińską siłę zbrojną. W latach 1922-3 posłał po instruktorów do Kanady, Stanów Zjednoczonych, Anglji i Niemiec. Okazało się to bezskutecznem, i w końcu założona przez niego w Wanpoa akademja wojskowa otrzymała kierownictwo rosyjskie. Dyrektorem jej został Dżan-wajszy, z doradcami rosyjskimi i zasiłkami materjalnymi z Bolszewji. Studentów chińskich słano do Moskwy, a prócz tego dawano im przeszkolenie rewolucyjne u bolszewików w stronach bliższych: we Władywostoku, Chabarowsku i w Chinach. Wychodzili stamtąd agitatorzy krajowi.

Pod sztandarem narodowym bolszewizm coraz dalej rozciągał swe panowanie w Chinach. Do szczytu doszedł w latach 1924-5. Guomindang wówczas kierował się jego wskazówkami, a imię Lenina głośnem się stało na Wschodzie.

Lecz zaraz po tym rozkwicie odwraca się dla bolszewizmu w Chinach karta. Uświadomieni członkowie związku narodowego, niezadowoleni z obecności wśród nich komunistów, uchwalili na kongresie w Pekinie usunąć ich ze związku. Umarł w roku 1925 Sun-jat-sen. Przywódcą młodych Chin został po nim Dżan-kaj-szek. Usiłował on bronić komunistów, przypominając, że wyzwolenie Chin wiąże się z rewolucją światową; z Borodinem nadto łączyły go związki osobistej przyjaźni, zresztą partję komunistyczną uważał za organizację pomocniczą, i ważniejszych urzędów nie powierzał komunistom.

Na drugim kongresie narodowym, w roku 1926, postanowiono, że komuniści nie będą kierowali w związku, że w komitetach i radach nie będzie zasiadać ich więcej nad 1/3. Jeszcze tegoż roku w wojnach z północą rosyjski doradca, Galens, występował w sztabie. Ale już dawni przyjaciele sowieccy zaczęli przeciwdziałać Dżan-kaj-szekowi, i Borodin przestał bronić go wobec Moskwy. Wreszcie nastąpiło zerwanie. Po rozruchach, z udziałem komunistów, po telegraficznej instrukcji Stalina do Borodina, Guomindan zerwał z komunizmem. Akt ten przypieczętowany został krwawą rzezią tysięcy strajkujących robotników w Szanchaju, w kwietniu roku 1927, z użyciem środków najbrutalniejszych.

Trudno o bardziej bezprzykładną niewierność, niż ta zmiana przywódcy Chin w stosunku do bolszewickich przyjaciół, ale bo Dżan-kaj-szy zrozumiał widocznie, iż uzyskawszy od Sowietów środki do walki z imperjalizmem Zachodu, czas było zrzucić ze siebie gorsze jeszcze, nieograniczone jarzmo imperjalizmu sowieckiego, zanim zależność od Bolszewji zaszła za daleko i nim stało się zapóźno. Szybko potem potoczyły się wypadki ku coraz głębszemu rozdziałowi. Komunizm został oficjalnie zabroniony w Chinach, i do dziś azjatyckiem okrucieństwem jest ścigany. Niema prawie dnia, żeby gazety chińskie nie donosiły o straceniu komunistów, tak mężczyzn, jak kobiet, zwłaszcza po zwycięstwie wojskowem nad jaką hordą komunistyczną.

W grudniu roku 1927 Chiny urzędowo zerwały stosunki dyplomatyczne z Sowietami. Ambasada bolszewicka w Szanchaju została, po zaszłych wypadkach, zamknięta, dokumenty kompromitujące Bolszewję wystawione do oglądania, Borodin i jego żona wypędzeni z granic państwa Środkowego.

Wrogi stosunek do sowieckiej Rosji pogłębił się jeszcze przez to, że Dżan-kaj-szy, w roku 1930, przyjął Chrzest (u metodystów). Zresztą i Sun-Wen był chrześcijanem, i w ostatnich dniach życia za chrześcijana się uznawał.

Tak tedy bolszewizm w Chinach poniósł zupełne fiasco. Stalin zamierzał oszukać chińczyków, a sam się na nich srodze oszukał. Można z całą prawdą mówić o „krachu polityki Stalina w Chinach", o Dżan-kaj-szeku, jako zwycięscy Stalina. Odtąd tłumienie komunizmu stało się pierwszorzędnem zadaniem rządów w Chinach powojennych.

Poniósłszy porażkę na polu politycznem bolszewizm nie zrzekł się przecież pretensji do zdobycia tego wielkiego kraju. Została mu robota podziemna. Trudności przy niej są niemałe.

Przedewszystkiem brak w Chinach należytego ośrodka do działania — brak proletarjatu przemysłowego; klasa robotnicza jest tam bardzo jeszcze słaba. Trzebaby pierwej sztucznie uprzemysłowić masy i wnieść walkę klas. Bolszewicy sądzą wszelako, że obecna tworząca się klasa robotnicza da im wystarczającą platformę, a reszta proletarjatu kraju pomoże do zaprowadzenia proletarjackiej dyktatury.

Następnie, znany wszystkim konserwatywny duch narodu chińskiego, przywiązanie do prastarych tradycyj, niezmiernie

utrudniają bolszewikom działanie; próby ich kolektywistycznego gospodarstwa ogniem i mieczem zniweczone zostały przez ludność.

Przeszkadza im również pewien rodzinny komunizm chińczyków, jej odwieczny ustrój patryarchalny. Posiadłość w Chinach należy do całej rodziny, głowa jej odpowiada za nią, a członkowie spojeni są wewnętrzną solidarnością, zarówno należący do rodziny jak robotnicy najemni; czują się oni jako jedno, i na starość mają niejakie zabezpieczenie. Społeczeństwo chińskie związuje swojego rodzaju ustrój feudalny. Nawet Borodin musiał czasowo głosić, że: „kapitaliści i komuniści w Chinach służą jednemu ideałowi, jednemu stanowi rzeczy".

Chińczyk lęka się, że w zetknięciu z bolszewizmem rodzina znajdzie się w niebezpieczeństwie, lęka się też zdziczenia w dziedzinie płciowej.

Wszelako, wraz z postępem industrjalizacji na sposób europejski i amerykański dokonywa się proces przemiany w tych stosunkach. Gdyby chińczycy potrafili w fabrykach również zaprowadzić pewien patryarchalizm na swój sposób, stworzyliby potężny mur obronny przeciw bolszewizmowi.

Bolszewizm jest zwalczany przez rząd chiński, a jak gwałtownie, dowodzą tego cyfry straconych komunistów: w roku 1927 ukarano śmiercią 37.981; gdy cała gmina bolszewicka wpadnie w ręce wojsk rządowych, giną wtedy wszyscy od dziecka do starca. Nieszczęściem jednak jenerałowie chińscy są, jak zawsze, przekupni i taki Teng-in w Kiansi sprzedał broń czerwonym; a nieraz całe oddziały wojskowe przechodzą na ich stronę.

Wreszcie szerzeniu się bolszewizmu na przeszkodzie stoją misje katolickie. Każda stacja misyjna — to twierdza przeciw czerwonej zarazie. Dlatego to placówki katolickie najpierw padają ofiarą bolszewickiej nienawiści.

Bolszewicy zabrali się do „pracy" nad ludem chińskim z całą właściwą sobie, szatańską, metodycznością i wytrwałością. Dobierają zręcznych agitatorów, rozpoczynają od utworzenia z najpewniejszych swych zwolenników jaczejek, organizując stopniowo coraz szersze kręgi. Ośrodkami ich roboty są wielkie miasta: Kanton i Szanchaj oraz Chankou. Od Kantonu się rozpoczęło. Tu postanowiono w roku 1927 bojkotować towary an-

gielskie, co kosztowało Anglję 400 miljonów złotych, i na co musiała reagować nadesłaniem swych wojsk. Tu również kształci się jądro bolszewickiej armji pod kierunkiem rosyjskich instruktorów i czerwonych studentów chińskich. Szanchaj nadaje się do agitacji ze względu na licznych tam obcych pracodawców fabrycznych lub duchem kapitalizmu przejętych chińskich przemysłowców. Tu w roku 1925 urządzono strajk i demonstracje, przyczem padł oficer angielski. Do Pekinu, poprzednio zbiegały się nici działań bolszewickich, mianowicie do poselstwa sowieckiego. Tam niby chrześcijański jenerał Fyng-juj-sjan otrzymywał od bolszewików posiłki za usługi, aż go, w roku 1926 postarali się usunąć Dżan-kaj-szy i Wu-pej-fu z Japonią.

Bolszewicy oddziaływują na lud pod osłoną poczucia narodowego. Zakładają związki zawodowe, niby dla obrony przed cudzoziemcami. W roku 1927 liczono ich w Chinach 77%. Czerwoni studenci występują w roli aktywistów, nieraz pracują z robotnikami, żeby ich łatwiej pociągnąć. Do wykładów w szkołach wyższych wprowadza się umiejętności społeczne metodą Marxa i Engla, z kierunkiem wrogim dla chrześcijaństwa i Kościoła. Kobiety wciąga się do udziału w akcji tak dalece, że w armji powstają z nich formacje. Przywódczynią takich kadr kobiecych w Chinach była niejaka Chu-in, która po zabiciu własnego męża poszła na służbę komunistyczną, zabita w roku 1930. Zaprowadza się takie czysto w duchu bolszewickim utrzymane „dobrodziejstwa“ nowej kultury, jak np. w Tung-tang-si, gdzie „ażeby dać możność dziewczętom wyjść zamąż“, urządzono popisy i zapasy synów włościańskich; przeznaczone panny, wśród nich 10 córek zamordowanych większych posiadaczów, musiały sobie wybrać z pośród nich mężów, potem ująć się za rękę, złożyć pokłon wizerunkom Marksa i Lenina, i iść do zapisu; tak się zawiera małżeństwa.

Na kongres partji komunistycznej w Szanchaju, w czerwcu roku 1930, zjechało 47 delegatów od radzieckich okolic ośmiu chińskich prowincji. Postanowiono wtedy: znieść własność prywatną, odebrać kościołom i klasztorom posiadłosci i podzielić między nic lub mało posiadających, zabronić sprzedaży ziemi, znieść podatek od gruntu, zaprowadzić ośmiogodzinny dzień pracy dla dorosłych, sześciogodzinny dla nieletnich, ustalić minimum płacy. Słowem, zupełnie jak w bolszewickiej Rosji, bo

miało to być przygotowanie do I wszechświatowego zjazdu sowieckiego, który odbył się w roku 1930 11 grudnia. Rzucono wezwanie: „Robotnicy, włościanie, ludu uciskany! Nadszedł czas rewolucji. Chwieje się władza nankińska! Przeprowadzimy rewolucję agrarną, zaprowadzimy ośmiogodzinny dzień pracy, płacę wyższą, nauczanie dzieci. Przyczynimy się do wszechświatowej rewolucji!

Prasa komunistyczna, inspirowana z Moskwy, działa usilnie. Dla przywódców ruchu wydaje się kilka pism po angielsku, wydawanych w kraju i w różnych miejscach za granicą (The Pacific Worker, Australja; The far eastern monthly, Szanchaj i tp.). Później, po zdobyciu przez komunistów Czang-sza i otoczeniu Chankou, założyli komuniści własny „Czerwony sztandar". Studenci usilnie rozpowszechniają komunistyczne pisma i ulotki, nieraz całe wyprawy do wsi w tym celu urządzają.

Powstały nawet komunistyczne związki literatów, takie jak np. „Towarzystwo twórcze", oparte na psychoanalizie Freuda.

Są to wszystko rzeczy przez rząd zabronione i okrutnie ścigane, niemniej jednak istnieją i rozwijają się. Plany działania nadchodzą z Moskwy, z nawoływaniem do zrzucenia rządu, konfiskaty imperjalistycznego mienia, deportowania Dżan-kaj-szeka i t. p., i z zapewnieniem, że armja sowiecka pod dowództwem Bluchera gotowa jest wspomóc rewolucję (Izwiestja 1931, wrzesień).

Poświęcenie bolszewików przy tej robocie, osobiste i materjalne, jest nieraz godne podziwu.

Na jakiż grunt w Chinach natrafiają te wysiłki bolszewickie? W braku silnej klasy robotniczej zwrócone są do ludu włościańskiego. Ten nie różni się wiele od ludu rosyjskiego, podobnie albo jeszcze więcej wyciskany i ubogi; czem się jednak odznacza korzystnie, to większą inteligencją, dokładnością, ruchliwością i sceptycyzmem, a ustroju rodzinnego mocno się trzyma. Żeby mogły istnieć lepsze warunki bytu, nawet sobie wyobrazić nie zdoła. Obciążeni podatkami nie do zniesienia ogałacani ze zbiorów przez nieposkromione żołdactwo w ciągłych wojnach domowych, nauczyli się włościanie chińscy od wieków sami sobie radzić: organizują własną obronę, policję prywatną. Gdy która z armji chińskich, walczących na ich ziemi, zostanie przez przeciwnika rozbita, mszczą się na rozbitkach

za doznane krzywdy, za spustoszone pola i ograbione gumna, i w broń im odebraną sami się zaopatrują. Zato później wojsko krwawo im odpłaca. W ten sposób stan wojny wewnętrznej ustalił się oddawna. W środkowych i północnych Chinach utworzyły się tajne towarzystwa zbrojne, pod nazwami: Żółtej czapki, Białego lotosu, Czerwonych rzęs, Czerwonych włóczni w Honanie, Wielkiej szabli w Hupej. Składają się one z wszelkiej zbieraniny wraz z resztkami pobitych wojsk. A nie jest to zjawisko nowożytne: odkąd Chiny istnieją, istnieją takie pokątne oddziały, a więc od czterech tysięcy lat przynajmniej; do takich należą chunchuzi (Czerwone wąsy) z północnych prowincji, takie oddziały pozostały obecnie w Mandżurji po rozbiciu przez japończyków dawnej armji giryńskiej i muszą być przez nich zlikwidowane. Bolszewicy, pilnie obserwujący życie w Chinach, pokusili się chińskie towarzystwa zbrojne połączyć ze sobą i do swoich celów użyć, i częściowo im się to powiodło: takie np. Czerwone włócznie działają w Kiansi, jako armja bolszewicka.

Z nich ma bolszewizm zawiązek czerwonej armji w ludzie chińskim. Rozkazem zaś dla tej armji jest: zabijać reakcjonistów, to znaczy — właścicieli ziemskich, kupców, urzędników; wielkich posiadaczów na miejscu na śmierć się skazuje; zgóry także wyrok śmierci wydany jest na bonzów, wróżbiarzy, nierządnice, nieuleczalnych, ludzi zbytecznych (starych ponad lat 55). Bywało miejscami, że zabijano dzieci i starców jako istoty niepotrzebne a uciążliwe, jak np. w krótkotrwałej republice komunistycznej w Fukien. W mieście Tsien w Kiansi zamordowali komuniści odrazu przeszło 3000 ludzi.

Z czegóż się utrzymują bolszewickie rządy w Chinach? Czerpią dochód sowiety z konfiskowanych dóbr i z podatków od zamożnych włościan. Część zabranej ziemi zatrzymuje sobie komuna, włościanie zaś obowiązani są je obrabiać; lasy idą na własność sowietów. Podatki, ściągane z zamożnych wynoszą od 5 do 30% ich dochodu.

Chwalą się chińscy bolszewicy podniesieniem oświaty wśród ludu; we wsiach otwierają ludowe szkoły imienia Lenina, czytających liczą podobno do 50%, a z niepiśmiennych wielu wyćwiczono o tyle, że potrafią przynajmniej wypisać na ścianach propagandowe hasła.

Tępi się dawny buddyzm i zabobony, zato wszędzie roztacza się doktryny Marxa. Obrazy Marxa i Lenina wszędzie są rozwieszane. „Precz z buddyzmem—głosi bolszewickie hasło—niech żyje Marx i Lenin!“ Nowe luźne ustawy małżeńskie znalazły chętnie poparcie u młodych kobiet chińskich.

Wszystkich starają się bolszewicy organizować w związki: mężczyzn, kobiety i dzieci. Przedewszystkiem chodzi im o wytworzenie dla siebie armji. „Rewolucjonista—głoszą—musi zdobyć wyćwiczenie wojskowe, jest to bowiem bardzo ważny czynnik w zdobywaniu świata". A więc wszyscy dorośli, poniżej lat 55 muszą wstępować w szeregi czerwonej armji. Z dzieci od lat 6 do 15 tworzy się straż młodociana. Posiadają już komuniści 14 armji po 6 do 8 tysięcy ludzi w każdej. W listodadzie roku 1930 liczebność ich oceniano na przeszło 300.000, z czego 140.000 było dobrze uzbrojonych.

Do tych groźnych cyfr dołączmy jeszcze obszar terytorjów chińskich po sowiecku zorganizowanych: było ich 200 okręgów z 30 miljonami ludności. Według podanych w wiedeńskiem Rothe Fahne wiadomości z 1 stycznia roku 1931, komunistyczna część Chin obejmuje 60 miljonów ludzi.

Czerwona organizacja choć wolno lecz stale rośnie w moc. Utrzymują misjonarze z Kiansi, że wkrótce przyjdzie u nich zapewne do tego, iż cała ludność, choćby dla jakiego takiego spokoju, podda się rządom komunistycznym. Nawet nowi chrześcijanie ze strachu nieraz przystępują do nich. Szczególnie silni są komuniści na 9 terytorjach, w prowincjach Fukien, Kiansi i Hunan.

Tak tedy stary pogański smok chiński przeszkształca się w nowoczesnego czerwonego potwora bolszewickiego. Walka o Chrystusa na ziemiach Dalekiego Wschodu staje się coraz uporczywsza, już nie pogaństwo bowiem, ale zdecydowany Antychryst wystąpił i zażarcie rzucił się na ludzkość. Walczy z nim rząd chiński, walczą misjonarze. Lecz wojskowa i policyjna moc rządu nie zwalczy wroga moralnego. Duchową broń przeciw duchowi zła podnieść należy. Propagandę przewrotnych zasad bolszewickich zwalczać musimy usilniejszem nauczaniem chrześcijańskiej prawdy, chrześcijańskiej ekonomji społecznej, wyświetlaniem przewrotności bolszewickiej, pozyskiwaniem sobie ludu chińskiego przez zaspokojenie ich słusznych wyma-

gań, przez zadośćuczynienie sprawiedliwości. Bolszewicy przypuścili chińczyków do równości ze sobą i odrazu ich przez to pozyskali; że nieszczerze—to rzecz inna. Wymagania postawione przez Sun-Wena w znanych jego zasadach „potrójnego demizmu", mianowicie: rozbudzenie poczucia narodowego, ogólna władza ludu (ze swobodą wszakże osobistą każdego) i podniesienie poziomu życia w ludzie, bynajmniej nie są sprzeczne z nauką chrześcijańską. Tak je ocenił Delegat Apostolski w Chinach, mgr. Costantini. Należy tylko poprawić niektóre ich błędy poboczne, jak teorję ewolucyjną, a dadzą się przyjąć. Bolszewicy potrafią nakręcać je do swoich zasad dla swoich przewrotnych celów. Nie pozwólmy, żeby oni więcej zdziałali dla złego, niż my dla dobrego. Umieją oni ponosić nakłady i ofiary dla sprawy piekielnej, miałażby reszta świata, chrześcijańska lub choćby tylko na chrześcijańskiem podłożu wychowana, gonić za osobistym zyskiem, jak to dziś czynią kupczący z komunistami przemysłowcy, nie chcąc wiedzieć o tem, że sami na siebie ściągają zagładę?

Z zadziwiającą znajomością rzeczy, opierając się na licznych a jaknajpewniejszych źródłach opracował kwestję bolszewizmu w Chinach o. Piotr Schmitz S.V.D., w broszurze p. t. Der Bolschewismus in China, 1931, w wydaniu Akademische Missionsverein w Wiedniu. Do niej też odsyłamy pragnących poznać szczegóły czytelników. Sprawa, zaiste, godna jest zastanowienia.

15/III 1932. *X. R. W.*

Tyniec.

Po prawym brzegu Wisły, o jakie 12 km. w górę od Krakowa, wznoszą się na 40-to metrowej skale wapiennej, wystającej jakby ściance z koryta rzeki, wspaniałe jeszcze w swojem opuszczeniu zwaliska: to Tyniec „ów gród i klasztor, o którym słyszymy od chwili, gdy Chrobry granice swego państwa rozszerzył na dziedziny Chrobacji, jedno z pierwszych ognisk oświaty i wiary chrześcijańskiej w Polsce, warownia około której toczyły się nieraz doniosłe w dziejach kraju boje, i z której jeszcze Konfederaci Barscy uczynili słynną wycieczkę na zdobycie zamku krakowskiego. Miejsce historyczne, wywołujące dalekie, chwa-

lebne wspomnienia, a samem już swem położeniem pełne romantycznego uroku i powabu*).

Starożytności Tyńca i jego dawnego znaczenia dowodzi już sama nazwa tej miejscowości. Filologowie wywodzą ją od słowa skandynawskiego *tun*, z którem spokrewnione jest angielskie *town* i czeskie *tyn*; we wszystkich tych językach ma ono pokrewne znaczenie: zamek, gród, — a podobno w Krakowskiem lud po dziś dzień nazywa *tynem* albo *tyniną* ogrodzenie domu sporządzone z sosnowych lub jodłowych gałęzi. Tyniec był zatem grodem, a należał on do możnego rodu Starżów, praojców późniejszych Toporczyków, którzy władali większą częścią dzisiejszego powiatu krakowskiego.

Z Tyńcem łączy się jedno z najstarszych i najdramatyczniejszych naszych podań o Walgierzu Wdałym i o pięknej Heligundzie. Możny ów hrabia na Tyńcu, przebywając na dworze dalekiego króla frankońskiego, potrafił tak rozmiłować w sobie piękną królewnę Heligundę, że ta porzuciła narzeczonego swego, królewicza niemieckiego, i z Walgierzem aż z Renu nad Wisłę przybyła, po podróży pełnej romantycznych przygód. Ale podczas jakiejś wyprawy wojennej, w nieobecności pana na Tyńcu, Wisław, książe na Wiślicy, porwał Heligundę. Walgierz się zemścił, przebijając oboje mieczem, jak Lanciotto Malatesta piękną Francuzkę i brata Teola w „Boskiej Komedji" Dantego. Baszko, kronikarz polski z pierwszej połowy XIII-go wieku, opowiada tę historję i dodaje, iż za jego czasów widzieć można było na zamku wiślickim grób niewiernej żony wykuty w skale.

Dzisiejsza nauka widzi w tej całej opowieści przeróbkę średniowiecznego poematu niemieckiego *„Walther von Aquitanien"*. Być może; niemniej ta legenda ma dla nas znaczenie dokumentu, dowodzi bowiem, że istniała tradycja o jakichś książętach na Wiślicy i hrabiach na Tyńcu, o ich rywalizacjach, zatargach i zdradach już w tych odległych czasach.

Starżowie na Tyńcu przetrwali różne przewroty IX-go i X-go wieku, wojny z państwem Wielkomorawskiem i z Czechami. Bolesław Chrobry, pod sam koniec X-go wieku, odebrał Cze-

*) Dr. Stanisław Tomkowicz: *„Tyniec"*; na pracy tej opieramy głównie artykuł niniejszy.

chom ziemię krakowską, a możny ród Starżów wydał mu się snać niebezpiecznym, gdyż przy urządzeniu nowozajętej ziemi Wiślan wyzuł ich z gniazda rodowego i z połowy dóbr. Lecz nie wydało mu się przystojnem majątek, odebrany rywalom, konfiskować na rzecz własną; przeto postanowił oddać go na podniesienie chwały Bożej, i osadził tam mnichów, Benedyktynów, wyposażając ich dobrami odjętemi Starżom.

Rok założenia klasztoru tynieckiego jest niepewny. Dawniejsi historycy zgodnie uważają za fundatora Kazimierza Odnowiciela czyli „Mnicha"; Długosz w *Liber beneficiorum* podaje rok 1041. Dopiero nowi badacze cofnęli tę datę w tył, przypisując założenie klasztoru Bolesławowi Chrobremu, a nawet Mieczysławowi I; lecz te teorje nie wytrzymują krytyki. Tradycja miejscowa zawsze przypisywała Kazimierzowi założenie Tyńca i twierdziła, że pierwszych zakonników sprowadził z Cluny, pomny, że sam w tem słynnem opactwie nosił przez pewien czas suknię zakonną. Przyświadcza temu Długosz, mówiąc, że za jego czasów jeszcze przechowywano w klasztorze tynieckim, książki przywiezione z Kluniaku. Pierwszym opatem był Aaron z Leodjum cz. Liege w Belgji (+ 1059), który został potem arcybiskupem krakowskim. Odtąd przez długie wieki, aż do kasaty klasztoru, każdorazowy opat tyniecki miał prawo do miejsca w stallach katedry krakowskiej jako jej kanonik urodzony: *canonicus natus (vel perpetuus) cracoviensis.*

Klasztor na Tyńcu posiadał jeszcze inny zaszczytny przywilej: oto uzyskał od królów polskich tytuł metropolji klasztorów benedyktyńskich w Polsce, był *archi-abbatia*—arcy-opactwem. Tylko św. Krzyż na Łysej Górze i Sieciechów nie były mu podległe, prawdopodobnie bo były fundacją starsze.

Opactwo tynieckie było najbogatsze w kraju; należało do niego 5 miast i zgórą 100 wsi; to też opata jego nazywano *quinque civitatum et centum villarum abbas.* O olbrzymiem jego wyposażeniu daje wyobrażenie *Liber beneficiorum* Długosza, (1475 r.) w którym samo wyliczenie miejscowości, albo należących do klasztoru, albo zobowiązanych do dziesięcin i danin, z krótkiem przy każdej nazwie wyjaśnieniem, zajmuje przeszło 40 stron druku w wielkiem wydaniu dzieł Długosza.

Pierwsze budynki klasztorne były zapewne drewniane; lecz niebawem Tyniec, dzięki swemu z natury obronnemu położeniu,

został inkastellowany, czyli umocniony według ówczesnej sztuki wojennej*): musiał być już wtedy murowany. Kronikarze ówcześni zwą go *castrum Tinecz.* W 1260 r. Tatarzy wpadli do Małopolski, łupiąc i plądrując ziemię krakowską; klasztor i kościół tyniecki uległ wtedy doszczętnemu zniszczeniu przez ogień i rabunek. Zakonnicy uciekając przed nawałą tatarską, nie zdołali nawet zabrać kosztowności i sprzętów. Straty były olbrzymie.

Szczygielski pisze w żywocie ówczesnego opata Modlibosiusa, że najeźdzcy gmachy klasztorne zrównali z ziemią, a kościół z kamienia, fundowany przez Piotra Własta cz. Dunina pod wezwaniem św. Piotra i Pawła, który musiał być w stylu romańskim, tak jak wszystkie „duninowskie” budowy, zniknął bez śladu. Następca Modlibosiusa, opat Cosmas (1271—1287), umiał uzyskać przychylność i pomoc Leszka Czarnego, tak że klasztor tyniecki nietylko odbudował, ale i rozprzestrzenił; a starając się o pomnożenie braci i o podniesienie życia duchownego, znowu Tyniec otoczył czcią i sławą. Dzieło rozpoczęte dalej prowadził następny opat, Daniel, a w XIV już wieku Czyżyk i Dersław.

Lecz główną zasługą około budowy kościoła przyznaje historyk tyniecki Maciejowi Skawince, który był opatem w latach 1450—1477. Cieszył się on szczególną życzliwością króla Kazimierza Jagiellończyka. Jednym z objawów tego stosunku było, że gdy w roku 1467 w Krakowie wybuchła morowa zaraza, a król dla ważnych spraw państwowych musiał wyjechać na Litwę, dla królewiczów obrano na miejsce pobytu Tyniec; bawili oni tam przez jesień i większą część zimy, pod opieką magistra swego, Jana Długosza. Jako wyborny administrator, Skawinka nietylko powiększył dochody z majątków klasztoru, ale przebudował całkowicie kościół tyniecki i nadał mu wytworną gotycką formę.

Wiek XV szczęśliwą był epoką dla Tyńca, który trzech po sobie następujących dzielnych posiadał opatów. Po utalentowanym plebejuszu Skawince, przyszedł do rządow szlachcic, Andrzej Ożga. Ten dopełnił dzieła rozpoczętego przez poprzednika, dobudowując do kościoła piękne krużganki ostrołukowe.

*) Przez Konrada Mazowieckiego w 1246 r.

Był on herbu Jelita, stąd dziś jeszcze można widzieć ten klejnot rzeźbiony na zwornikach owych krużganków.

Następca Ożgi, Andrzej Nosek, zwany też Noscovius (1482--1488), wyposażył skarbiec kościelny wspaniałemi naczyniami liturgicznemi; kroniki opowiadają o „monstrancji wielkiej i ciężkiej ze srebra, kilku drogocennych kielichach i ozdobach zakrystji ze złota i srebra, przepięknej roboty (praenobiles)".

Jak wyglądał Tyniec pod koniec XV-go wieku, o tem daje nam wyobrażenie „*Liber beneficiorum*" Długosza. Czytamy tam:

„Klasztor tyniecki, stojący na wyniosłości skalistej i nieprzystępnej, którą obmywa rzeka Wisła, ma kościół klasztorny i cele oraz oficyny murowane. Góra zaś zamkowa sama znakomicie umocniona murami, wieżami, tudzież innemi środkami obronnemi, i straż tak w dzień jak w nocy ustawicznie służbę tam pełni. Piękny to klejnot ojczyzny, a przeciw zasadzkom nieprzyjacielskim silna warownia..." Dalej opowiada o ogrodach i sadach, o „dwóch ogrodach warzywnych, winnicy i sadzie wiśniowym, gdzie dużo jest ulów", itd.

Nie dziw, że przełożeni takiego opactwa mieli się poniekąd za równych biskupom w powadze, a jakby jacyś panujący czy książęta datowali swe rozporządzenia „ze zamku klasztoru tynieckiego".

Hieronim Krzyżanowski, obrany opatem w 1568 r. postanowił odrestaurować dłuższy czas nie naprawiane klasztorne budynki. Ale że w epoce Renesansu nie zadawalniała już średniowieczna gotycka ich struktura, zwłaszcza raziły wąskie okna, wpuszczające do wnętrza izb mało światła, zaczął wszystko przebudowywać. Mury obronne zamku tudzież sale klasztoru kazał w znacznej części rozebrać i odbudował na nowo „o wiele okazalej, przestronniej i wytworniej", jak pisze Szczygielski. Postanowił także kościół przerobić; nagromadził nawet materjał, ale gwałtowna choroba i śmierć przeszkodziła wykonaniu tego zamiaru.

Pod koniec wieku XVI-go został opatem Mikołaj Mielecki, który zwrócił główną uwagę na stronę intelektualną i obowiązki cywilizacyjne, które są głównem zadaniem Benedyktynów, tych „wychowawców Europy", jak ich słusznie nazwał protestancki historyk Guizot. Mielecki otworzył w Tyńcu szkołę, zwaną przez historyków „gimnazjum tynieckiem", a dobrawszy dla niej,

zapewnie wśród braci zakonnej, profesorów, przeznaczył ją w pierwszym rzędzie do kształcenia młodych zakonników, oraz przyszłych księży i nauczycieli, przez co ogromnie podniósł splendor i znaczenie klasztoru. Zaopatrzył też bibljotekę klasztorną w cenne księgi, i za znaczne sumy zakupił we Włoszech i gdzieindziej zagranicą instrumenty matematyczne.

Mielecki był ostatnim rzeczywistym opatem. Po jego śmierci (1604 r.), rozpoczyna się szereg t. zw. opatów komendatarjuszów, z pomiędzy świeckich księży i prałatów, narzucanych przez władzę królewską. Nagromadzone przy starych opactwach bogactwa, olbrzymie dochody z ich majątków, nęciły chciwość panujących; to też wydało im się rzeczą pożądaną i wygodną zużytkować te dochody na wynagrodzenie księży rządowi lub dworowi zasłużonych i usłużnych. „W tym celu,— pisze Tomkowicz — wynaleziono formułkę, mocą której dochody opactwa oddawano w dożywotnie używanie komuś zupełnie poza klasztorem stojącemu, który za to obowiązywał się utrzymywać swoim kosztem zakonników i mieć pieczę o najpilniejszych potrzebach kościoła i klasztoru”. Jak na tem wychodziła sprawa służby Bożej—łatwo sobie wyobrazić. To też od chwili wprowadzenia komendatarjuszów datuje się epoka upadku klasztorów.

Słuszność jednak każe przyznać, że od tej smutnej reguły dwaj pierwsi komendatarjusze tynieccy stanowią zaszczytny wyjątek. Stanisław Sułowski, wykwintnie wychowany i wykształcony na dworze kardynała Radziwiłła, a potem na królewskim „nie mógł patrzeć na kościół tyniecki, staroświeckiej struktury (śliczny gotyk z XV wieku!). Zwłaszcza raziła go nawa główna, starością zapleśniała, brudna i przyciemna. Postanowił zatem wybudować kościół na nowo. Przygotował, jak niegdyś Krzyżanowski, wielką ilość materjałów budowlanych — i umarł.

Ale dzieło podjął następca jego, Stanisław Łubieński, biskup łucki a potem płocki, i w ciągu trzech czy czterech lat go dokonał. Postarał się pilnie o to, aby z dawnej ostrołukowej budowy nic nie pozostało; zatarł wszelkie ślady „barbarzyńskiej” średniowiecznej architektury, ze sklepień gotyckich zrobił beczkowe, dodał modną fasadę, i takież hełmy na wieżach, dobudował różne boczne kaplice, sprawił nowe stalle i ławki, — słowem pozostawił nam niezbyt zajmujący, a nawet

wprost banalny barak, źle zastosowany do starego, średniowiecznego planu budowy*).

Łubieński nietylko przebudował kościół, ale powiększył klasztor: zniósłszy bowiem szereg budynków drewnianych, mieszczących stajnie, składy i liczny personel służbowy, wymurował z fundamentu cały drugi kwadrat piętrowych budynków, które choć dziś przeważnie rozsypane w gruzy, wyglądają jeszcze imponująco, stercząc na krawędzi skały nad Wisłą. Jego też dziełem jest słynna studnia w środku dziedzińca frontowego przed kościołem, wykuta w skale na znaczną głębokość.

Wiek XVII, który w całej Polsce zaznaczył się klęskami wojennemi, nie oszczędził i Tyńca. W 1655 r. Szwedzi, nie poprzestając na rabunku, ogniem zniszczyli gmachy klasztorne, a zakonnicy musieli przed nimi uchodzić do Węgier; lecz powrócili po ustąpieniu nieprzyjaciela i zajęli się naprawą murów i dachów.

Dalsze sto lat nie zaznaczyły się w historji Tyńca niczem ważniejszem. Chylił się do upadku kraj, chylił się i klasztor tyniecki, dzieląc w niejednem smutne losy Rzeczpospolitej. Przyszły czasy ostatnich konwulsyj przedrozbiorowych. Konfederaci Barscy w r. 1771 zajęli Tyniec, dający im, jako stara twierdza, niejakie schronienie, a sam Pułaski kierował jego ufortyfikowaniem. Stąd to w lutym 1772 r. przedsięwzięto wycieczkę pod dowództwem Choisiego, Viomesnila i Saillenta, która zakończyła się zdobyciem zamku krakowskiego z rąk rosyjskiej załogi. Wśród rozruchów wojennych mnisi się rozpierzchli. Gdy później powrócili na skałę tyniecką, zastali wszystko zniszczone i ogołocone, klasztor i kościół bez dachu. Z niemałym wysiłkiem opat Amand Jaworski zdołał załatać to spustoszenie. Ale losy opactwa były już zdecydowane. Przez pierwszy rozbiór kraju, Tyniec przypadł w udziale Austrji; dobra klasztoru dekretem cesarza Józefa II skonfiskowano na rzecz t. zw. „funduszu religijnego". Utworzono nowe biskupstwo w Tarnowie, a ostatni opat tyniecki Jaworski został

---

*) Tak więc dwom Łubieńskim zawdzięczamy „zbarokizowanie" dwóch najszanowniejszych w Krakowie kościołów: Stanisław zmodernizował Tyniec, a w 100 lat potem Kazimierz, biskup krakowski, zepsuł tym samym systemem katedrę Wawelską, którą dziś z takim trudem staramy się przywrócić do pierwotnego stanu.

w 1786 r. pierwszym biskupem tarnowskim. Wtedy to uległy rozproszeniu tynieckie księgozbiory, skarbiec kościelny i dzieła sztuki. Wspaniałe monstrancje, kielichy i ornaty przeniesiono razem z biskupstwem, i stanowią one dzisiaj jeszcze bogactwo katedry tarnowskiej, budząc podziw znawców; znać w nich bogactwo niezwykłe i wysoką kulturę odwiecznej benedyktyńskiej siedziby. Bibljoteka i archiwum, liczące przeszło 4.000 dyplomów pergaminowych i papierowych z przywilejami, bullami papieskiemi, darowiznami itp. przewieziono w r. 1819 do Lwowa, do bibljoteki uniwersyteckiej. W r. 1848, w czasie bombardowania miasta, bezcenne te zbiory stały się pastwą płomieni. Część zaledwie ocalała, i znajduje się w zbiorach prywatnych, np. u hr. Berezowskich, albo u spadkobierców hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego we Lwowie. Z dzieł sztuki, jak obrazów i rzeźb, przedstawiających jakąś wartość artystyczną, nie posiadamy nic.

W r. 1805 nowy cios spotkał klasztor tyniecki. Benedyktyni z opactwa Wiblingen w Bawarji, rozproszeni zwycięskim pochodem Napoleona, za wolą rządu austrjackiego znaleźli przytułek w Tyńcu. Klasztor uległ wynarodowieniu; Niemcy ujęli w ręce ster jego; szkołę, do tego czasu utrzymywaną przez Benedyktynów, zamknięto, konwikt dla chłopców, opłacających utrzymanie, również; powoli starano się różnemi sposobami usunąć dawnych polskich zakonników, aby przybyszom z Niemiec nie zabierali miejsca.

W r. 1809 wojska X. Józefa Poniatowskiego zwróciły Kraków Księstwu Warszawskiemu. Niemieccy Benedyktyni wynieśli się cichaczem z Tyńca. Lecz kongres Wiedeński wcielił go napowrót do Austrji. Wtedy zabrano ostatnie pozostałości majątku Benedyktynów tynieckich, a zakonnikom „pozwolono" rozejść się po świecie. Stało się to w r. 1817. Równocześnie założono nową a krótkotrwałą diecezję tyniecką, której pierwszym biskupem był X. Ziegler, przeor klasztoru. Jako biskup zamieszkał w budynku opackim. Ale niebawem musiał tę siedzibę zmienić na Bochnię, a opuszczony klasztor zajęli w 1826 r. Jezuici i otworzyli tu konwikt. Dnia 2 maja 1831 r. piorun uderzył w Tyniec i obrócił w perzynę klasztor. Zgorzały dachy kościoła, stopniała miedź i pokrycia, spadły barokowe hełmy wież; od tego czasu wieże, prowizorycznie pokryte, przybrały dzisiejszą przysadkowatą postać*).

*) Por. X. Chotkowskiego „Ostatnie lata Benedyktynów w Tyńcu".

Odtąd klasztor nie dźwignął się z ruin; jedynie kościół został odrestaurowany staraniem sąsiedniego obywatela, hr. Romera, i służy dziś za kościół parafjalny dla ludu okolicznego. Mury klasztoru zaś zbliżają się szybkim krokiem do całkowitego zniszczenia. Przed laty rozebrane zostało południowe ramię krużganku; na trzech pozostałych już niema piętra. Podłogi, sklepienia, schody niegdyś okazałe, zapadły się. Zaledwie kilka izb parterowych ma jeszcze cztery ściany i sklepienie. Powyrywane są posadzki, kraty w oknach, obramienia kamienne; wielki mur obwodowy częściowo rozebrany, nawet dom opacki, brama wjazdowa i mur obronny łukiem między niemi zatoczony, zaczynały się wysuwać i rozsypywać, choć tam pomieszczony był zarząd dawnych dóbr tynieckich, zabranych na rzecz funduszu religijnego. Dopiero w 1901 roku nabył te ruiny, kościół i kawałek ziemi doń należącej J. E. kardynał Puzyna, biskup krakowski, jako letnią rezydencję dla seminarjum diecezjalnego, i odtąd ta cząstka ogromnego gmachu jest przez kilka miesięcy w roku zamieszkała.

Smutny jest zatem stan dzisiejszy tego możnego niegdyś opactwa, liczącego dawniej po 90-ciu i więcej zakonników. „Brzydkość spustoszenia" zamieszkała na miejscu świętem, tak ściśle związanem z dziejami Kościoła i narodu. Z siedziby możnych dynastów stało się ono „szkołą służby Bożej" — *„schola Dominici servitii"*, jak św Benedykt nazywa swe domy zakonne. Klasztor, powstały w zaraniu dziejowem Polski, przestał istnieć razem z niepodległością Ojczyzny. A kiedy w r. 1831 burza polityczna przeszła ponad polską ziemicą i klęski jej dokonała, piorun uderzył w opuszczone od mnichów lecz całe jeszcze tynieckie gmachy, i pożar pogrążył je w ruinę, której święte te mury do dziś dnia się nie podźwignęły.

Czyż opustoszały klasztor nie powróci do rąk tych, z którymi zrosły się 900-letnie niemal jego dzieje, i którzy przez tyle wieków szerzyli ze szczytu tej skały błogie światło wiary i cywilizacji, a i dziś jeszcze w innych krajach tak skutecznie pracują na polu nauki, sztuki i prawdziwej oświaty?

S. M. R.

Pesymizm a wiara w ideały.

Często słyszy się teraz zdanie, że... ideały się przeżyły. W jednej z rozmów z pewnym kolegą-akademikiem, usłyszałam takie twierdzenie: „Ależ koleżanko, dziś wszelkie ideały się przeżyły, tak, jak przeżył się ustrój kapitalistyczny, jak przeżył się romantyzm. Ludzie nie potrafią już się zachwycać pięknem ani dobrem, gdyż pierwiastki te spowszedniały i nikt już na nie nie zwraca uwagi. A zresztą pojęcie piękna i dobra jest przecież takie względne...” A nieraz wypadnie usłyszeć i takie zdanie, że i religja się przeżyła.

W odpowiedzi na te twierdzenia ośmielę się twierdzić, że gdyby tak było istotnie, jak twierdzą owi pesymiści, istotnie nie wartoby było żyć. Bo życie bez ideałów — to piekło ohydne, gdzie w brudzie i nędzy szaleje rozpasane zwierzę ludzkiego egoizmu! Ale na szczęście tak nie jest. Ideały nie przeżyły się i nigdy nie przeżyją, jak przeżyć się nie może Piękno i Prawda, których źródłem jest sam Bóg. I jeśli komu, to nam młodym przedewszystkiem wierzyć się w to godzi, bo życie nie zdążyło jeszcze nas do siebie rozgoryczyć.

Cechą młodości jest ufność i entuzjazm. Nie był więc nigdy młodym ten, kto nie odczuwał w sobie szczytnych zapałów do prac ofiarnych na ołtarzu dobra i piękna, kto nie wierzył w ich ucieleśnienie!

To też ci, którzy wiarę tę utracili, a są jeszcze wiekiem młodzi — godni są głębokiego współczucia. To są ludzie chorzy — to bankruci duchowi, gdyż zgubili oni własną duszę.

Winni oni coprędzej zacząć pracę nad jej odszukaniem, póki nie jest jeszcze zapóźno. Póki jad zwątpienia nie przeniknął do serca i nie zatruł tam wszystkiego, co boże w nich pozostało. A gdzie znajdą oni tę duszę i jaka droga prowadzi do jej odnalezienia? Tylko droga boża. — Bo tylko Bóg jest źródłem i dawcą piękna i radosnej weń wiary; bez Niego wszystko jest blade, smutne i, jak słusznie twierdzą indyferenci religijni—względne.

Tylko nauka Chrystusa zdolna jest i może opromienić cudownemi blaski smutki i cierpienia człowieka, tylko ona może ubrać ohydnego nędzarza w szatę Miłości, tylko ona sprawia

to, że dobrzy kochają złych, a skrzywdzeni nie szukają zemsty na swych wrogach.

Słyszy się też często, że etyka Chrystusowa jest za surową dla dzisiejszego, przesubtelnionego człowieka.

Jeśli istotnie człowiek współczesny jest tak wrażliwym, to czemuż do wrażliwości jego nie zdoła przemówić ta Miłość żywa, taka prosta i wzruszająca w swej bezmiernej ofierze, jakiej przykład dał nam Zbawiciel na krzyżu?

A jeśli tak nie jest—to pocóż mamy się okłamywać?

Miejmy odwagę wyznać, że jesteśmy nie wrażliwi, ale słabi i gnuśni.

Słabość i bierność—to są choroby naszego wieku. Wkorzeniły się one do naszej jaźni tak głęboko, że uleczyć je może tylko bardzo radykalne lekarstwo — operacja. Tą operacją jest zerwanie wszelkich kompromisów z tak modną dziś teorją „względności", pod płaszczykiem której kryje się lęk przed odpowiedzialnością za swe czyny i wygoda własna — i zwrócenie się do Boga, poddanie się Jego prawom. Kto tego nie uczyni, kto nie zwycięży sam siebie i swej leniwej gnuśności — ten niech nie spodziewa się wyzdrowienia. Początkowo może to przychodzić z trudem—ten powrót, ze wstrętem nawet dla własnej nędzy i słabości. Ale pokora i poznanie swej niemocy jest pierwszym właśnie szczeblem na tej drodze.

Potem pójdzie to już nam łatwiej; i ani spostrzec się zdołamy, jak ścieżki życia poczną się wyprostowywać i rozsłoneczniać, jak miejsce pesymizmu zajmie optymizm, zjawią się entuzjazm i wiara w ideały. A wtedy życie stanie się dla nas bogatem i pełnem treści; odnajdzie się utracony sens jego celowości. Zakipi radosna, twórcza praca dla Boga i ludzi, radość zapanuje w duszy, znikną chorobliwe skrupuły i wątpliwości, niezadowolenie z siebie i świata.

Cud życia w całej swej pełni i głębokiej treści, stanie przed nami otworem! A choć nieraz pogodne te horyzonty zasłoni chmura smutku — słońce Prawdy i świadomości jej odnalezienia wkrótce je rozpędzi.

I pójdziemy walczyć, drużyna Chrystusowa, ze złem i budować na ziemi, cegiełka po cegiełce—Królestwo Jego na ziemi, którego moce piekielne nie zwyciężą!

Ale nawrócić się i wstąpić na ścieżki Pańskie bez współudziału łaski Jego—niepodobna.

A łaska ta w różny sposób się przejawia, nie trzeba tylko zamykać przed nią serca. Czasem okazuje się w sytuacjach prostych napozór, zwykłych, których nie spostrzegamy, mimo, że często w nich się znajdujemy.

Mam tu przedewszystkiem na myśli naturę. Rzadko znajdzie się człowiek, do którego piękno natury nie potrafiłoby przemówić, a przez nie, przemawia do duszy ludzkiej — dawca Piękna—Bóg. Obcowanie z nią jest lekarstwem najlepszem na wszelkie apatje i pesymizmy. Jakże często, przemęczona gorączkowem tempem pracy, jakie mnie zwykle pochłania, czułam się dziwnie zniechęconą i przygasłą — Wszystkie wysiłki najlepsze nawet, wydawały się iść na marne — Czułam wprost fizycznie, jak pochłaniać mię zaczyna demon wielkiego miasta i pchać w kierunku wręcz przeciwnym mym ideałom, a co gorsze, że czułam, że nie mam sił się przed nim bronić...

Uciekałam wtedy z miasta daleko — w góry. Tam odnajdywałam swoje ja. Wierne przyjaciółki mych samotnych dumań — nie zawodziły mnie nigdy. Brały w ręce zmęczoną duszę—i niosły ją wysoko, hen, aż przed tron samego Boga. Odradzała się nanowo. Wychodziła z tej krynicznej kąpieli zdrowa i harda, pełna dawnej energji i entuzjazmu. A góry uśmiechały się do mnie zdaleka. Księżycową mroźną nocą od ich szczytów szły ku mnie jakieś powiewy tajemne, a mocne, jakieś szepty bratnie, pełne otuchy i wiary w moc wytrwania.

Iskrzył się śnieg, leżący płatami na gałęziach świerków, migotał zagadkowo — a czarne potoki górskie z szumem płynęły w dal, nasuwając myśl, że wszystko przepływa, jak woda—tylko jeden Bóg jest wieczny i niezmienny.

Ale nie każdy może wyjeżdżać gdzieś daleko. A zresztą poco? Natura przecież jest wszędzie. Prawie każdy z nas wyjeżdża na letnie wakacje na wieś. Niechże więc ten okres, spędzony w bliskiem obcowaniu z naturą będzie dla nas okresem uzdrowienia, otrząśnięcia się z tej zgubnej apatji i pesymizmu. A każdy listek, każda trawka, każdy uśmiech słońca więcej nam powiedzą, niewyszukanym prostym językiem radości życia, niż najpiękniejsze przemowy i dawody, bo przemówią

do nas żywemi dowodami dobroci Stwórcy. Bo chyba nie znajdzie się tak zatwardziały i zgorzkniały pesymista, żeby w majowy, mokry od rosy i jasny od uśmiechów słońca ranek, ośmielił się twierdzić, że żyć nie warto, bo życie jest podłe i złe!

Żeby naturę odczuć, żeby z nią obcować — niekoniecznie nawet trzeba wyjeżdzać na wieś. Daleki, samotny spacer za miasto niedzielnym rankiem, będzie doskonałem lekarstwem na spleen i apatję. Rzeźwy powiew czystego powietrza odrazu zabarwi nasz światopogląd na jaśniejszy odcień, a gdy dobrotliwe słonko uśmiechnie się z góry — wydawać się będzie, że ojcowskiem swem okiem Stwórca spojrzał ku nam.

Płyną chmurki wiosenne po niebie — gna je szybko ciepły wiatr.

Człowiek patrzy na nie — i nagle w duszy budzi się jakaś tęsknota, jakiś poryw do czynów śmiałych a pięknych, tętniących życiem i rozmachem!

Zaszeleszczą przydrożne wierzby—zda się, że w duszy coś tam szepce, że gra na jej strunach Anioł boży...

O, bo świat jest piękny i pięknem jest życie — trzeba tylko spojrzeć na nie okiem młodości, pełnem wiary w jego sens, przez pryzmat czystego sumienia i poczucia dobroci Stwórcy!

I w tym roku doczekaliśmy się obudzenia natury ze snu— wiosny. Już w powietrzu czuć ciepłe podmuchy, już ptactwo zaczyna prowadzić po ogrodach swe świergotliwe koncerty, a słońce wszystkim jednakowo przyświeca.

Powitajmy więc Ją godnie. Otrząśnijmy się z pesymizmu! Otwórzmy oczy duszy na piękno natury, a przekonamy się, że ono namacalnie istnieje. Nie zamykajmy serc na szepty boże, ukryte w niej, a odnajdziemy w sobie napewno dawne ideały, dawny entuzjazm i zapał, oraz wiarę w Dobro i Prawdę.

A wiosnę powitamy tak, jak witać się ją powinno w niepodległej Ojczyźnie—uśmiechem!. .

Halina Litwinowówna.

Na froncie walki.

Głosy prasy o liście pasterskim ks. Prymasa Hlonda. — Trzy zalety potrzebne dla rządu: siła, uczciwość i mądrość. — „Gazeta Polska" w obronie godności ludzkiej! ?— Odezwa organizacyj bezbożniczych — Co wyrabia Polskie Radjo — Nędza naszej wsi—Motywy wyroku wileńskiego—Pogrom Polaków w Wilnie— „Vox Universitatis".

Że list pasterski J. Em. ks. Prymasa kardynała Hlonda był zjawiskiem bardzo ważnym, jednym z tych enuncjacyj Episkopatu, które trafiło w setno otaczających nas zagadnień — o tem przekonują głosy prasy polskiej i zagranicznej. Niektóre z tych głosów podajemy:

„Kurjer Warszawski" widzi w liście ks. kard. Hlonda protest przeciw zakorzeniającemu się przekonaniu, że

„państwo jest absolutnie wszechmocne; że nie jest krępowane żadnemi względami prócz nigdy nieokreślonej bliżej „racji stanu"; że jednostka jest wobec zbiorowości niczem; że prawem jest siła",

poczem nazywa list prymasowski „dokumentem o doniosłości niepospolitej, który powinien przekroczyć swem echem granice Polski".

Katowicka „Polonia" pisze:

„List pasterki ks. Prymasa w sprawie przesilenia państwowego i chrześcijańskich zasad życia państwowego nazwać trzeba jednym z najważniejszych i najdonioślejszych czynów, dokonanych w niepodległej Polsce. Powiedzmy, że ma on epokowe wprost znaczenie dla życia wskrzeszonej po wiekowej niewoli Ojczyzny naszej. Jeżeli katolicy polscy wskazania, zawarte w tym liście spełniać będą w życiu codziennem, będzie on jednym z najważniejszych, a kto wie, czy nie najważniejszym wypadkiem dziejowym Polski współczesnej".

Konserwatywny „Czas" krakowski, przechylający się silnie w stronę rządzącego dziś obozu, podkreśla:

„Listy pasterskie ks. Prymasa Dr. Hlonda mają to do siebi, że, choć wzlatują w górę jak orły, nie pozostają w krainie teoryj i ideałów, ale w przedziwny sposób „łączą wieczność z teraźniejszością". W przewdziwny sposób, gdyż są jakby balsamem na krwawiące rany polskiej duszy, odświeżającym zdrojem dla cnót publicznych, kamieniem probierczym dla tzw. nowoczesnych ideałów i metod życia zbiorowego. Słowa Prymasa Polski łagodzą spory, oświetlając je blaskiem prawd wieczystych, wobec których topnieje powłoka zepsucia i na powierzchnię wydobywa się szlachetna i rycerska dusza polska. Do takich listów należy i ostatni „O chrześcijańskich zasadach życia państwowego" z 23 kwietnia br. List ten jest praw-

dziwym posiewem wiosennym na dziedzinę zagadnień długo w Polsce stojącą ugorem, jest prawdziwym deszczem majowym na rolę spękaną od żaru partyjnictwa i stratowaną pociskami pomieszanych pojęć".

„Gazeta Warszawska" pisze o liście:

„W okresie rosnącego zamętu pojęć, często celowo i nieuczciwie zwiększanego, list pasterski Prymasa Polski jest dla najszerszych rzesz katolików w państwie drogowskazem niezawodnym, nauką, pokrzepieniem. Od grobu św. Wojciecha, u którego trumny modlił się Chrobry, raz jeszcze rozległy się słuchane w Polsce całej słowa wskazówki i przestrogi. Jak przed laty sześciuset za Jakóba Świnki, stolica arcybiskupia gnieźnieńska i dziś staje się ogniskiem, skąd na Polskę, zatracającą jakby chwilami swą świadomość dziejową wśród powszechnego kryzysu, promienieje myśl, jednocząca naród w imię wieczystych, niewzruszalnych zasad, na których od tysiąclecia cywilizacja nasza, jako narodu katolickiego, jest oparta. Droga przed katolikami polskimi została wyraźnie wytknięta".

„Dzień", organ ziemian, grupujących się w Warszawie, również stronników pomajowych prądów tak sławi list:

„Ozwał się głos, który rzuca przed społeczeństwem katolickiem jasny promień światła, dokąd iść należy. Kto wie, czy, gdyby list pasterki taki, jaki ogłosił po powrocie z Rzymu ks. kardynał Prymas Polski, był ogłoszony w dniach, czy choćby miesiącach pierwszych po odzyskaniu niepodległości, nie zaoszczędziłoby to nam wielu chwil bolesnych, ciężkich, zbytecznych, czy nie przyśpieszyłoby wzmocnienia państwowości naszej i ogólnej konsolidacji narodowej państwowo-twórczej".

„Gazeta Lwowska", rezerwujący się organ rządowy, zaznacza:

„List ks. Prymas jest czemś, co wysoko wznosi się ponad rozbrzmiewający dokoła rozgłos namiętnych sporów. Wymowa jego jest pełna spokoju, a treść sięga we wszystkie prawie dziedziny politycznego bytu i bardziej jeszcze politycznego obyczaju. Upadek tego ostatniego skłonić musiał przedewszystkiem ks. Prymasa do interwencji moralnej, której doniosłość jest ogromna. Zareagował on na zło, będące największą trucizną naszych czasów: na roznamiętnienie i wzajemną nienawiść, na to wszystko, co „rozwichrzyło polityczne sumienie". Rozwichrzyło go przeciwko inaczej myślącym i rozwichrzyło przeciwko Rzeczypospolitej".

W „Gazette de Lausanne" ukazał się artykuł wybitnego publicysty Mureta, który w ostrych słowach potępia procedery senatu gdańskiego, który jednocześnie hitleryzuje wolne miasto i alarmuje świat przeciwko Polsce.

Uwagi swe jednak Muret uzupełnia krytyką wewnętrznych stosunków politycznych w Polsce, oświadaczając, że wolno chyba wypróbowanym przyjacioiom Polski zabrać głos w sprawach, które ich martwią i niepokoją.

Przyjaciele Polski — pisze — uważają za swój obowiązek

ostrzec ją tembardziej, że jutrzejszy rząd francuski nie wiele uczyni, aby dopomódz jej w razie złego obrotu rzeczy...

Ostatnią część swego artykułu Muret poświęca omówieniu listu pasterskiego ks. kardynała Hlonda:

Prymas Polski, kardynał Hlond — pisze wybitny autor szwajcarski — w orędziu swem, nacechowanem wielką troską patrjotyczną, wykazuje z wymową nadzwyczajną konieczność wzniesienia w Polsce jednolitego frontu moralnego, opartego na uszanowaniu prawa i konstytucji („Demontre eloquement la necessité d'un redressement moral le respect du droit et de la loi").

Nie wymieniając nikogo, nie wskazując na nikogo palcem, kardynał Hlond potrafił przemówić w ten sposób, żeby być zrozumianym przez naród. Ale czy będzie wysłuchany?

Charakterystycznym jest komentarz, jakim zaopatrzył list pasterski urzędowy organ sanacyjny „Gazeta Polska". Na wstępie mamy podkreślenie słów Prymasa, że nie wolno nadużywać listu dla celów partyjnych i wciągać Kościół do sporów na korzyść tego lub owego odłamu politycznego.

„Najważniejszem jest wszakże samo postawienie zagadnienia. Daje się ono ująć tak: niema twórczej i płodnej, ani pożytecznej dla ogółu polityki, jeśli polityka ta nie jest oparta na głęboko w sumieniu tkwiącym systemacie etycznym.

Istotnie, najgłębiej istotnie „polityka nie stoi poza dziedziną praw moralnych". Władza może być sprawowana tylko w imię ideału. Partje polityczne, które z programów czynią jedyne narzędzie do zdobycia władzy nie zaś z władzy narzędzie do wcielania w życie swojej ideologji, obrażają w najdotkliwszy sposób tę moralność, która stanowić musi podstawę życia społecznego.

W dziejach Polski, aż nazbyt często ta zasada posiadania władzy dla realizacji określonych celów idealnych była zapomniana. Aż nazbyt często władza leżała na ulicy, na podłodze, w salach sejmików szlacheckich w izbie poselskiej, zrywanej przez liberum veto. Moralność polityczna była bezustannie deptana przez łatwy, zgniły kompromis, przez rezygnację z ideałów na rzecz wygód, przez ustępstwa z dobra ogółu na rzecz zysków jednostek, przez parcelowanie państwa między możnych, przez wieczystą bezkarność tych, którzy swoje sprawy stawiali wyżej niż sprawy całości, przez wieczystą bezsilę tych, których obowiązkiem było wymusić posłuch. Aby nie rządzić przeciw niczyim interesom—nie rządzono wogóle. Ale nie rządzić wogóle—to jest właśnie rządzić „przeciw interesom państwa". To było przez wieki i do niedawna — największą obrazą moralności w życiu publicznem Rzplitej Polskiej.

Dlatego znaczenie listu pasterskiego, nawołującego, aby nie rozdzielać etyki od polityki, jest tak wielkie, dlatego list ten nie powinien minąć

bez echa i bez skutku. Stanie się wiele, jeśli każdy w swojem sumieniu rozważy odważnie i uczciwie jaki ideał przyświecać musi pracy nad uczynieniem z Polski podmiotu historji i jakie są wymagania urzeczywistnienia tego zadania.

Polityka istotnie nie stoi poza dziedziną praw moralnych. I podobnie jak wiara „bez uczynków—martwa jest".

Łatwość, z jaką organ sanacyjny zgodził się na tezę, że „polityka nie stoi poza dziedziną praw moralnych" jest tembardziej uderzająca, że w tym samym numerze „Gazety Polskiej" znajdujemy artykuł gloryfikujący Brześć i jego metody, jako słuszną karę, wymierzoną bez sądu, która spadła na przeciwników politycznych sanacji.

W komentarzu swoim „Gazeta" powołuje się na smutne przykłady z naszej historji bezsiły rządu i podkreśla, że rząd powinien być silny. Jest to inne zagadnienie i inny temat. Rząd powinien być silnym, ale i uczciwym zarazem.

Rozważmy to zagadnienie teoretycznie, sine ira et studio. Zgadzamy się z „Gazetą Polską", że rząd powinien być nietylko etycznym, ale i silnym. Powiemy więcej: powinien być tak samo mądrym. Rząd bowiem złożony z matołków, choćby był najsilniejszym, nic pożytecznego nie zrobi. Ale powróćmy do zagadnienia siły. Siłę rządzenia nie należy identyfikować z brutalnością i prześladowaniem przeciwników. Fakt, że Henryk VIII kazał zamordować kilkuset swoich przeciwników politycznych, niczem nie powiększył autorytetu władzy królewskiej w Anglji, przeciwnie, historycy widzą w tem zarzewie przyszłych gwałtów i zaburzeń. Tak bowiem zwykle się dzieje, że krew przelana niesprawiedliwie i krzywdy wyrządzone — wołają o pomstę—najpierw do Boga, a następnie do społeczeństwa. Twierdzimy z całą stanowczością, opierając się nietylko na teorji, lecz także na zupełnie konkretnych przykładach, że władza może być silną, nawet surową w przestrzeganiu ustaw, lecz sprawiedliwą i rozsądną zarazem. Szczęśliwe są kraje, których rząd łączy równocześnie te trzy wspaniałe właściwości. Godne zaś pożałowania te, których silni władcy, pozbawieni dwóch pozostałych zalet, prowadzą swoją ojczyznę do upadku.

* * *

Żeby już skończyć przynajmniej na razie z „Gazetą Polską" musimy jeszcze raz podkreślić, że nie jest ona mocna w poglądach filozoficznych i konsekwentna. Będąc heroldem

znanych powszechnie posunięć, gazeta ta od czasu do czasu zdobywa się na dziwny wyczyn sentymentalno-liberalny. Niedawno cytowaliśmy z niej osobliwą filippikę przeciwko tyranji (rozmowa Filipa II z ministrem Posą z Don Carlosie Schillera), obecnie znowu pojawił się artykuł, omawiający psychologiczne przyczyny i skutki zabójstwa dyrektora zakładów żyrardowskich Koehlera. Czytamy w nim:

„Żaden robotnik, żaden urzędnik polski, nie miał pewności, czy jutro nie zostanie wyrzucony na bruk, czy mu nie odbiorą mieszkania. Dyrektor Koehler wyrzucał setki tysięcy na to, aby „nauczyć Żyrardów posłuchu".

„Jeszcze podczas okupacji niemieckiej, gdy panował głód i gdy nie było światła, działały w Żyrardowie różne stowarzyszenia, dzisiaj jest głucho i ponuro w naszem mieście. Poprzedni właściciel wybudował dla robotników Dom ludowy, z którego mógł korzystać każdy, gdy chodziło o odczyty, zebrania, przedstawienia amatorskie. P. Waśkiewicz (zastępca dyr. Koehlera), dom ten zamknął dla publiczności i pozwala zeń korzystać tylko osobom sobie miłym. To samo jest z resursą fabryczną. Dyrekcja stanęła tu na gruncie zasady, że nie ona winna liczyć się ze społeczeństwem, ale społeczeństwo winno trząść się przed nią".

„Koehler każdą drogę uważał za dobrą, jeśli prowadziła do celu, choćby trzeba było iść po trupach".

„Uczucia ludzkie były Koehlerowi czemś zupełnie obcem. Gardził podwładnymi, obrażał ich bez potrzeby, groził im pięścią, grał palcem po nosie. Ludzie zaciskali zęby, płakali czasem i cierpieli, bo i cóż mieli robić w czasach strasznego przesilenia? Bliscy współpracownicy Koehlera opowiadali o nim, że wywierał na nich wrażenia osoby niepoczytalnej.

„Koehler pomiatał ludźmi i gardził nimi. Te sprawy domagają się gruntownego prześwietlenia, bo Żyrardów stał się widownią bezprzykładnego pomiatania człowiekiem i jego godnością.

„Koehler, człowiek bezwględny, brutalny, nadęty pychą, gardził człowiekiem. Co było jego celem —niewiadomo, bo może nawet nie zysk, może poprostu wyładowywanie nienawiści do ludzi".

Sprawozdawca „Gazety Polskiej" p. Hulka-Laskowski utrzymuje, że to systematyczne obrażanie godności ludziej było przyczyną tragicznego zabójstwa. Nie wiemy, czy tak było, skłonni jesteśmy raczej w to wątpić. Charakterystyczne są jednak spostrzeżenia p. Laskowskiego, które poczynił w Żyrardowie bezpośrednio po zabójstwie Koehlera:

„Po raz pierwszy w życiu widziałem zastanawiającą jednomyślność. Starzy emeryci, młodzi chłopcy i dziewczęta nawet dzieci szkolne, jednem słowem wszyscy spoglądali po sobie z radosnem niedowierzaniem, że może zaczyna się nowe życie dla nieszczęśliwego Żyrardowa, że skończy się cyniczny wyzysk i pomiatanie człowiekiem".

Zaiste, dziwne assocjacje myślowe wytwarzają się przy biurkach redakcyjnych organu sanacyjnego. Czyżby „zaraza w Grenadzie". Nie, to inny objaw psychologiczny. Słyszałem, że pewien policmajster rosyjski w chwilach wolnych od badania więźniów (wówczas czyniła to policja) —z rozkoszą oddawał się czytaniu i rozpamiętywaniu dzieł najliberalniejszych pisarzy zachodnio-europejskich. Natura ludzka wymaga czasami płodozmianu, dusza zaś ludzka, wykarmiona na motywach wschodnich, lubuje się w przerzucaniu z jednej ostateczności w drugą...

* * *

Akcja wrogów religji nie ustaje. Przed kilkoma tygodniami czytaliśmy w prasie katolickiej (między innemi w „Robotniku") odezwę całego szeregu organizacyj, nawołującą do wprowadzenia w życie znanego projektu ustawy małżeńskiej. Teraz już częściej będą odzywać się takie głosy, oczy bowiem bezbożników mają konkretny objekt zainteresowań, na który ustawicznie są zwrócone. Odezwę tę przytaczamy, aby czytelnicy uświadomili sobie zręczność i chytrość demagogicznych argumentów, które stanowią jej treść. Oto ona:

„Niżej podpisane instytucje społeczne i kulturalne uważają jaknajszybsze wydanie jednolitego i nowoczesnego prawa małżeńskiego za konieczną potrzebę życiową, dla położenia kresu chaosowi prawnemu, na którym cierpi szczęście rodzin, moralność jednostek i dobro całego społeczeństwa.

Wobec demagogicznej i niezgodnej z prawdą agitacji kleru i prawicy społecznej, uważamy za konieczne wypowiedzenie się za projektem i stwierdzenie prawdy:

1) Projekt jest wielkim krokiem naprzód w stosunku do różnych prawodawstw dziś istniejących na ziemiach polskich; stoi na gruncie tolerancji religijnej, demokratycznej równości wszystkich wobec prawa i nowożytnie ujmuje obowiązki państwa wobec obywateli, liczy się z dzisiejszem stanowiskiem kobiety, prawnem, moralnem i ekonomicznem; wreszcie zajmuje stanowisko zgodne ze współczesną nauką wobec zagadnienia zdrowia rodziny i przyszłości rasy.

2) Dając możność każdemu wzięcia ślubu cywilnego za nikłą opłatą, projekt nie zmusza do ślubu cywilnego ludzi, którzy pragną wziąć ślub kościelny; żąda tylko od księdza obowiązkowego przesłania protokułu ślubu do urzędu stanu cywilnego, gdzie nabiera on znaczenia aktu prawnego.

3) Stojąc zasadniczo na gruncie trwałości małżeństwa, projekt uznaje wypadki, w których rozwód jest konieczny dla fizycznego i moralnego zdrowia małżonków, dba przytem nadewszystko o los dzieci i ich zabezpieczenie materjalne.

4) Bez względu na to, czy ślub był cywilny, czy kościelny, projekt

powierza przeprowadzenie rozwodu sądom państwowym, jako instytucji ponadwyznaniowej, stosującej do wszystkich jednakowe prawo.

Niżej podpisane instutucje społeczne i kulturalne uważają, że żadne protesty ze strony kleru i reakcyjnych odłamów społecznych nie powinny wpływać na opóźnianie przedłożenia ciałom ustawodawczym projektu, który już oddawna leży w Ministerjum Sprawiedliwości.

Instytut Oświaty i Kultury im. Staszica. Liga Praw Człowieka i Obywatela. Polski Związek Myśli Wolnej. Polskie Stowarzyszenie Etyczne. Polskie Towarzystwo Medycyny Społecznej. Robotnicze Towarzystwo Przyjaciół Dzieci. Robotnicze Towarzystwo Służby Społecznej. Towarzystwo Klubów Kobiet Pracujących. Towarzystwo Uniwersytetu Robotniczego. Związek Kół Oświatowych. Akademicki Związek Młodzieży Ludowej. Prezydjum Związku Młodzieży Wiejskiej Rzeczypospolitej Polskiej. Związek Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej."

Argumenty tego rodzaju padają w pierwszym rzędzie do umysłów maluczkich i nieuświadomionych. Musimy pamiętać, że protesty przeciwko projektowi bezbożnej ustawy przeszły szybko, przeważnie po wierzchołkach społeczeństwa. Uświadomienia zależytego i głębokiego w tej sprawie niema w naszem społeczeństwie. Oprócz protestów zdałaby się jakaś broszura popularna, napisana w sposób mądry, trafiający do psychiki współczesnych, wybrana może w drodze konkursu, wydana w kilku miljonach egzemplarzy i odpowiednio rozkolportowana przez parafje. Niestety, propaganda katolicka jest jeszcze niezorganizowana i zbyt słaba. Korzystają z tego wrogowie Kościoła.

Poważne ośrodki propagandowe znajdują się w rękach antykatolickich. Oto co pisze K. A. Prasowa o praktykach naszego radja:

„Od niejakiego czasu wśród radjosłuchaczów polskich rozpoczął się całkiem samorzutnie zbiorowy ruch protestacyjny przeciwko praktykom Polskiego Radja, zmuszającym do wysłuchiwania audycyj, obrażających najgłębsze uczucia zarówno religijne, jak narodowe (np. odczyt p. W. Saczyńskiego o nowej ustawie małżeńskiej, częste audycje żydowskie itd.). Wśród abonentów i słuchaczów zbierane są podpisy osób, które, rozumiejąc jak ważnym czynnikiem kulturalnym i wychowawczym jest radjo, zastrzegają się w sposób stanowczy przeciwko zniekształcaniu jego zadań przez niewłaściwą propagandę. Katolicka Agencja Prasowa, do której z paru stron zwracano się z prośbą o poparcie powyższej akcji, wzywa do nadsyłania wszystkich wspomnianych protestów (z wyszczególnieniem № abonamentu radjowego i podpisami radjosłuchaczy, korzystających z danego odbiornika, pod adresem: Polska Kat. Ag. Prasowa, Warszawa, Miodowa 17) celem rejestrowania ich i publikowania."

Coraz śmielej z każdym rokiem podnosi głowę bezbożnictwo. Laicyzm opanował już rozmaite dziedziny życia, jak np. sport, wdziera się do szkolnictwa, atakuje ustawę małżeńską...

Równocześnie kryzys gospodarczy wzmaga się. Rośnie nędza szerokich mas społecznych, zarówno pracujących fizycznie, jak i inteligencji. Miasto żyje w nędzy z powodu bezrobocia i zastoju gospodarczego. A i wieś ma się nielepiej. Czytamy w „Gazecie Warszawskiej", piśmie, które nigdy nie odznaczało się zbytnią czułością, jeżeli chodzi o niedolę ludu, taki opis nędzy na wsi w okresie „przednówka":

„Przednówek, pora pustych stodół i spiżarni, zaczynał się zwykle dawniej, mniej więcej, koło sianokosów, zależnie od zamożności i zapobiegliwości danego gospodarza. Teraz, w większości gospodarstw zaczął się już—zaraz po Bożem Narodzeniu!...

Ale zbiory tegoroczne, naogół przeciętne, ledwo starczyły chłopu na opłacenie podatków, ktore trzeba było zaraz koło Nowego Roku wnosić. Skarbowe podatki jeszcze mniejsza. Ale te gminne, sejmikowe, drogowe...

Te zjadły większość zbiorów!

Bo, jakkolwiek nie zostały cyfrowo w ostatnim roku podwyższone — to dla rolnika stały się wielokrotnie większym ciężarem, z powodu niskich cen na zboże. W rezultacie, biorąc za podstawę centnar zboża — chłop płaci dziś, w czasie kryzysu najcięższy podatek.

Teraz się za zboże trochę lepiej płaci. Co z tego? nikt go nie ma. Zarobili na tej zwyżce cen chyba bardzo nieliczni wiejscy kapitaliści, no i miejscy spekulanci - - żydzi.

Wieś nie ma co sprzedawać. W nagłej potrzebie gotówki, w razie choroby, śmierci, naprzykład, chłop sprzedaje lub zastawia kożuch, inwentarz. W ostateczności wynosi się do miasteczka pierze z poduszek i pierzyn.

Nawet w zamożniejszych okolicach, w Sieradzkiem, w Kaliskiem są rodziny chłopskie, które już od Wielkiejnocy nie oglądają chleba. Chyba od święta, kupiony za ostatnie grosze w mieście. Chleb z miasta na wieś!

Rodziny takie żywią się kartoflami wyłącznie. Czasem bez soli nawet. Jaja, masło — trzeba sprzedawać. Choć mały na nie popyt i ceny — ale parę groszy przecie trzeba mieć, choćby na zapałki, na naftę, nie na to, aby ją wieczorami wypalać. Chłopi chodzą spać o zmierzchu. Ale tak, od wypadku. Czasem ktoś zachoruje, czasem trzeba w nocy do inwentarza ze światłem zajrzeć..

A jeśli się wieczorem wraca z miasta, musi być uwiązana do wozu latarnia. Inaczej—kara.

W jednem miasteczku sprytny żydek wynajmował latarnie przy wjeździe. Na czas pobytu w mieście i na wyjazd. Na drodze, za miastem stał wspólnik i odbierał latarnie.

Żydki i na przepisach policyjnych umieją zarobić!"

Czy wśród takiej nędzy może odbywać się w sposób normalny proces uświadomienia religijnego, narodowego i państwowego. Pewne minimum dobrobytu jest wszak potrzebne do praktykowania cnoty, a także — do wyrobienia poczucia patryjotyzmu. Parjasi, ani heloci nie są patryjotami! Zdaje się, że z tej prawdy nie zdają sobie sprawy nasi... konsulowie. Caveant consules...

Przejdźmy do innych spraw. Do obfitych archiwów kwestji żydowskiej w Polsce przybył nowy, bardzo ciekawy dokument: motywy wyroku Sądu Okręgowego w Wilnie w sprawie morderstwa ś. p. Wacławskiego dokonanego przez tłum żydów, z pośród których został ujawniony i skazany Samuel Wulfin. Motywy te są tak ciekawe, że przytaczamy je prawie w całości:

„Z zeznań, zbadanych na przewodzie sądowym świadków, tak dowodowych jak i odwodowych, poza wszelką wątpliwością wynika, że w dniu 10 listopada 1931 r. w dwóch punktach miasta Wilna, mianowicie: przy zbiegu ulic Słowackiego i Szeptyckiego, a następnie przy zbiegu ulic Wielkiej Pohulanki, Zawalnej i Trockiej, w krótkim odstępie czasu jedno po drugim miały miejsca dwa zbiegowiska, składające się z osób narodowości żydowskiej, które to zbiegowiska, wspólnemi siłami uczestników, dopuściły się gwałtu na osobie ś. p. Wacławskiego, w pierwszym wypadku przez śmiertelne ugodzenie go kamieniem w głowę, w drugim—przez uderzenie go również w głowę kamieniem już rannego i wiezionego dorożką przez kolegów do pogotowia ratunkowego, tudzież przez obicie laskami 2 przechodzących ulicą Zawalną studentów nie żydów.

Zbiegowiska te były do pewnego stopnia wrażeniem nastrojów, jakie zapanowały wśród przeważnej ilości młodzieży żydowskiej z powodu niewłaściwego i karygodnego zachowania się pewnego odłamu młodzieży polskiej na U. S. B., które tak w dniu, poprzedzającym wyżej wspomniane zajścia, jak w dniu, kiedy to zapanowały zajścia, nie dopuścili studentów żydów do gmachu glównego oraz innych lokali uniwersytetu, a z lokalu w którym się mieści fizycum uniwersytetu, przemocą wydalił zebranych studentów żydów. Te nastroje spowodowały, że zamieszki, rozpoczęte przez wzmiankowy odłam młodzieży polskiej, w obrębie murów uniwersyteckich, które powinny i mogły być zlikwidowane wewnątrz tych murów przez władze akademickie, jak to zresztą potem się stało, wylały się i to z winy młodzieży żydowskiej w formie ekscesów ulicznych tak w dniu 9 listopada, kiedy poszczególne grupy żydowskie zaczęły napadać na ich osobach, jak i w dniu 10 listopada, kiedy na idącą ulicą Słowackiego grupę akademików Polaków, po rozproszeniu przez policję większego ich zbiorowiska, zebranego na ulicy Nowogrodzkiej, z ulicy Szeptyckiego wypadła grupa żydów i obrzucając ich kamieniami, śmiertelnie zraniła ś. p. Wacławskiego, a następnie inna grupa żydowska, przy zbiegu ulic Zawalnej i Trockiej, bez żadnego powodu ze strony napadniętych i nie zważając na

to, iż był wieziony śmiertelnie zraniony Wacławski, co rzucało się w oczy każdemu, tak ze względu na pozycję, jaką zajmował w dorożce, jak i na krew, która sączyła się mu z głowy i którą zbroczona była chustka, zasłaniająca mu twarz, obrzuciła kamieniami tę dorożkę, a jednym z tych kamieni ugodzony został znajdujący się już w agonji Wacławski.

Jeden z obrońców oskarżonych, sam żyd, podkreślał, że w żydach zamieszkałych w Polsce niema i nie powinno być w stosunku do Polaków nietylko nienawiści plemiennej, lecz nawet i jakiejkolwiek bądź nrechęci, ponieważ Polacy w okresie kilkusetletniego współżycia z żydami nic prócz dobrego im nie uczynili, przytoczył przytem szereg faktów historycznych, dosadnie stwierdzających ten właśnie humanitarny stosunek do nich Polaków. A jednak, niestety, ta niechęć, i nie tylko niechęć, lecz i nienawiść istnieje, bo czemże jak nienawiścią do nie żyda wytłumaczyć zachowanie się tłumu żydowskiego, który nie zawahał się przy zbiegu ulic Zawalnej i Trockiej umierającego już Wacławskiego ukamienować. Czem wytłumamaczyć, że na pojedyńczo przechodzących akademików Polaków—nie endeków, nie wszechpolaków w rozmaitych częściach miasta Wilna wypadały grupy żydowskie i ich biły, w tem Wilnie, w którem nigdy pogromów żydowskich nie było, w którem jest ulica Gaona i które jest kolebką ducha Mickiewicza twórcy wyidealizowanej pod wpływem tęsknoty za Ojczyzną, przepięknej postaci żyda-patrjoty — Jankiela Cymbalisty.

Może ta nienawiść do Polaków jest tylko refleksem nienawiści, na wieki całe zapadłej w duszy żydowskiej i do dziś dnia jeszcze nie wygasłej do narodów chrześcijańskich, które ich paliły na stosach, lub w inny sposób uśmiercały, ale ona jest i na to tymczasem lekarstwa jeszcze niema, pomimo, zdawałoby się, tak skutecznego środka, jak kilkusetletni humanitarny stosunek do nich Polaków. Wystąpienie na U. S. B. części młodzieży polskiej przeciwko studentom żydom było li tylko oliwą na ogień tej nienawiści, który płonie w duszach żydowskich i który wybuchnął w ekscesach ulicznych, o których wspomniano wyżej...

Z tych wszystkich danych i wypływających na ich podstawie rozważań, sąd przyszedł do zgodnego przekonania, iż dnia krytycznego we wskazanych wyżej punktach miasta Wilna miały miejsca zbiegowiska publiczne żydów, uczestnicy których-to zbiegowisk z pobudek, wypływających z nienawiści plemiennej dopuścili się gwałtu na osobie ś. p. Wacławskiego, obsypując jego oraz idących, a następnie jadących z nim razem akademików Polaków gradem kamieni, co w zupełności odpowiada dyspozycji art. 122 cz. I, p. I K. K.

Artykuł ten, który w myśl intencji prawodawcy rosyjskiego, miał być gwarancją bezpieczeństwa żydów, lub innych innoplemieńców, zamieszkujących b. imperjum rosyjskie, jak np. Ormian na Kaukazie przed tłumnem wystąpieniem przeciwko nim tej lub innej większości narodowościowej, tu w odrodzonej Polsce, tu w Wilnie, gdzie nie powinno być nienawiści plemiennej, musi być, niestety, zastosowany względem żydów, bo nie ulega wątpliwości, że ich tłumy w dniach krytycznych na ulicach Wilna zapoczątkowały wystąpienia które noszą miano pogromu".

Motywy tego wyroku powinny być wydrukowa w kilkuset tysiącach egzemplarzy i rozesłane po całym świecie, a zwłaszcza tam, gdzie prasa żydowska miotała na Polskę potworne oszczerstwa, oskarżając nas ciągle o pogromy żydów.

Oto okazuje się (i jest to udowodnione sądownie), że w r. 1932 w Wilnie żydzi dokonali pogromu Polaków, kamienując dosłownie jednego z nich i raniąc kilkunastu. Tak, że Sąd Rzeczypospolitej musiał zastosować przeciwko żydom art. kod. karnego, stosowany specjalnie przeciwko pogromów mniejszości narodowych.

Fakt ten ma swoją wymowę paradoksalną, a jednak jest prawdziwy. Byłby on nie do pomyślenia we Francji, Anglji, Niemczech — w tych krajach, gdzie przed kilkoma wiekami odbywały się naprawdę krwawe pogromy ludności żydowskiej, którą potem Polska przyjęła, dając jej ochronę. Niema wdzięczności w stosunkach międzynarodowych — to też żydzi fatalnie odwdzięczyli się Polsce...

Pomyślmy sobie, coby się stało, gdyby żydzi ubrani w swój strój narodowy, dokonali przypuśćmy w Londynie, lub w Liverpolu pogromu kilku Anglików, albo w Marsylji zamordowali Francuza, występując gromadnie, jako żydzi! A tymczasem w Warszawie mieliśmy niedawno drugi pogrom. Oto handlarz ryb, Polak, został otoczony przez tłum swoich konkurentów, żydów, okradziony z pieniędzy, a gdy ścigając złodziaja, wystrzelił i nieostrożnie zranił żydówkę, został przez ten tłum zlinczowany. To się nazywa w języku żydowskim — konkurencja handlowa...

Zaiste, dulcis est sanguinis Polonorum...

* * *

Mamy przed sobą numer kwietniowy miesięcznika „Vox Universitatis", organu Stow. Kat. Młodz. Akad. „Odrodzenie". W artykule wstępnym, zatytułowanym: „Zaniedbana reduta" czytamy, że nie wszędzie akcja katolicka posuwa się naprzód, przeciwnie są odcinki, na których działa milczą i linja bojowa coraz wyraźniej się cofa. Do tych odcinków autor zalicza dział zagadnień społecznych, a ściśle biorąc socjalnych i bardzo mocno występuje przeciwko traktowaniu tych spraw po macoszemu w sferach inteligencji katolickiej. Drugą część artykułu zacytujemy dosłownie:

Krzykną nam, że to polityka. Może, jeżeli polityką nazwiemy każde precyzowanie poglądów i głoszenie ich nietylko na swojem podwórku. Ale nikt nie śmie nam zarzucić polityki partyjnej, lub dążenia do schwycenia władzy w swoje ręce. Pozostawiamy to politykom i stronnictwom. Mamy ważniejsze rzeczy na głowie.

Stoi przed nami przedewszystkiem otwarta rana kwestji socjalnej. Chcemy, i to leży w pierwszej płaszczyźnie naszych zamierzeń, kłaść podwaliny myślowe pod nowocześnie pojętą, katolicką przebudowę socjalną Polski.

Przygłuszona reduta przejdzie do ofensywy.

Wiemy, że same te słowa są dla wielu czerwoną płachtą. Niech ocenią, ile w tem jest troski o dobro społeczne i sprawę katolicką, a ile ekskluzywizmu i egoizmu partyjnego.

Wiemy, że w samym obozie katolickim napotkamy na inne, niż nasze poglądy. Nie zdziwi to nas. Nie rościmy sobie pretensji do „jedynie katolickich" rozwiązań. Nie dążymy do monopolu. W dziedzinie, którą obejmujemy, panuje wolność, obowiązuje jedynie szczere i uczciwe, bez ubocznych, partykularnych celów i intencyj wysnuwanie z katolickich założeń, katolickich konsekwencyj. Różnice zdań być muszą i mogą być tylko twórcze. Żądamy tylko, by ci, co do Kościoła dziś się przyznają mieli zrozumienie dla doniosłości naszego ruchu, nie rzucali nam kłód pod nogi i umieli ustrzec się przed często z zewnątrz płynącemi, obcemi katolicyzmowi podszeptami.

Mamy jeszcze daleką drogę do przebycia, jesteśmy dopiero u jej początku, lecz twardo na niej stoimy. Będziemy musieli często płynąć przeciwko prądowi, łamać zakorzenione przesądy, spotka nas niejeden zarzut, niejedna przeszkoda, niejeden cios. Nie boimy się. Mamy odwagę konsekwentnie myśleć i konsekwentnie chcieć,

Życie polskie czeka na twórców, budowniczych i zdobywców. Mamy wszystko do zdobycia. Katolik musi iść na przodzie i władać życiem. Reduta nie zamilknie.

Był czas (między rokiem 1919 a 1925), kiedy „Odrodzenie akademickie tworzyło w Polsce wielkie rzeczy. Było pionierem wśród młodej inteligencji obecnie już utartych pojęć, wcielanych w życie przez Akcję katolicką. Próbowało również pogodzić z ludem i zainteresować kwestją społeczną młodzież akademicką, myślącą kategorjami katolickimi i narodowymi. Taki bowiem ton odzywał się w duszach tych, którzy „Odrodzenie" wówczas (1919 — 1925) tworzyli i nim kierowali. Była to muzyka przyszłości.

Obecnie, po latach 7, widzimy znowu na łamach organu „Odrodzenia" akademickiego odblask tego tonu społecznego. Oby nie był błędnym ognikiem, lecz prawdziwym ogniem zapału i energji. Jest bodaj ostatni czas na to, aby wśród młodej

inteligencji katolickiej zapanował prąd, zmierzający do szczerej i pełnej poświęcenia pracy dla ludu i wśród ludu w myśl ideałów katolickich. Pierwszym krokiem do tego mogąbyć studja zagadnień społecznych. Ale one nie wystarczą. Obok studjów musi być tak samo praca praktyczna na terenie warsztatów ruchu społecznego i zawodowego. Non scholae, sed vitae discimus...

S. J. K.

DZIAŁ LITERACKO - OPISOWY.

Z powodu książki o. M Pirożyńskiego: „Co czytać?"

Korzystam z tego, że „Pro Christo" artykuł ks. A. F. Kowalkowskiego p. t. „Na marginesie książki o. Marjana Pirożyńskiego: „Co czytać" zamieścił jako dyskusyjny, by wypowiedzieć kilka uwag z powodu ataków, jakich o. Pirożyński stał się celem, od chwili ukazania się na półkach księgarskich wymienionej powyżej książki.

Ks. Kowalkowski wystąpił pod hasłem szczerości; skwapliwie podejmuję to zdrowe hasło i również będę szczerym.

W obszernej krytyce swojej książki o. M. Pirożyńskiego wytknął ks. Kowalkowski autorowi trzydzieści różnych usterek, przypuszczam, że przy „szczerych chęciach" mógłbym ich wyłowić drugie tyle—ale czy nawet cała kopa niedociągnięć, omyłek lub uchybień całkowicie dyskwalifikuje książkę? Czy tutaj czasem ks. Kowalkowski jak i inni krytycy z obozu katolickiego nie ulegli sugestji tych, którym książka „Co czytać?" była bardzo niewygodna i postarali się ją możliwie najgruntowniej zdyskwalifikować?

Jeżeli można jaki zarzut o. M. Pirożyńskiemu postawić, to chyba ten przedewszystkiem, iż zgrzeszył gorącością serca. Widział wielką potrzebę poradnika dla czytających książki powieściowe, bo istniejące dziełka informacyjne zarówno *„Uświadomienie katolickie"* ks. dr. Antoniego Szymańskiego, jak i *„Katalog informacyjny dla maturzystów"* ks. Adama Pyzowskiego, czy *„Przewodnik po literaturze religijnej"* O. Jacka Woronieckiego, beletrystyki nie omawiały, a tymczasem polski rynek

wydawniczy zalany został przez powieścidła różnych Pitigrillich, szerzące spustoszenie moralne w społeczeństwie. Widząc tę gwałtowną potrzebę takiego przewodnika, zakasał rękawy, wziął się do roboty o. Pirożyński i przewodnik potrzebny zrobił; a że w pośpiechu to i owo pominął, niedość przejrzyście pod względem architektoniki pisarskiej rozplanował lub zbyt po gospodarsku potraktował — to są niewątpliwie braki, których lepiej żeby nie było, ale nie są to usterki, pozbawiające wartości całą pracę.

Nie dziwię się, że zręcznie wyzyskali usterki książki o. Pirożyńskiego wszyscy krytycy z obozu przeciwnego, którzy, dla zdyskredytowania niepożądanej dla siebie książki, nie potrzebowali szukać przysłowiowej „dziury w całem", a tylko wyolbrzymić istniejące uchybienia czy braki—natomiast bardzo się dziwię piszącym z naszego obozu, iż tak łatwo dali się opanować panice i na wyprzódki gromy ciskają na o. Pirożyńskiego, by tylko wykazać się wobec panów z przeciwnego obozu, że nie są ignorantami, że widzą wszystkie błędy autora „Co czytać?", że go też potępiają.

Nie piszę tych słów, by bronić o. Pirożyńskiego, bo on sam, jeżeli to uzna za potrzebne dla sprawy, obronić się potrafi — ale mi chodzi o ten błąd taktyczny, jaki w naszym obozie jest często popełniany z powodu nadmiernej wrażliwości na zarzuty ignorancji.

Za przykładem p. Dulskiej strasznie boimy się „skandalu", a już niech w atakach przeciwników znajdzie się choć odrobina słuszności, tracimy z punktu głowy i z jękiem „kompromitacja" pomagamy przeciwnikom dobijać własnych towarzyszów broni.

Ks. Kowalkowski znalazł trzydzieści uchybień w książce O. Pirożyńskiego, — jak powiedziałem powyżej, przy „szczerych chęciach" można ich znaleźć drugie tyle, ale jeżeli na 1000 przeszło omówionych autorów nawet w sześćdziesięciu wypadkach są jakieś usterki, to książka w 6% jedynie jest wadliwa, a 94% spełnia swoie zadanie i chyba nie zasługuje na orzeczenie, by ją „jaknajprędzej wycofać z rynku księgarskiego". Słuszną natomiast rzeczą byłoby podanie rady dodania kartki czy paru kartek uzupełnień, gdzie rzeczywiste usterki czy braki byłyby poprawione i omówione.

Ktokolwiek ma pojęcie o technice wydawniczej, ten nie-

wątpliwie się orjentuje, że wiele usterek książki „Co czytać” powstało z pośpiechu jej opracowywania, a następnie z pośpiechu przy druku. Książka wyszła pod firmą Wydawnictwa X. X. Jezuitów w Krakowie, ale drukowana była w Toruniu. Brak starannej korekty redakcyjnej przed oddaniem książki do druku i brak fachowej korekty w czasie druku—rzuca się w oczy i jest przyczyną połowy uchybień, wytykanych O. Pirożyńskiemu.

Pomimo jednak wszystkich swoich braków książka „Co czytać?” jest pożyteczna i dobrze pełni swoją służbę, co stwierdzam na podstawie rozmów z bibljotekarzami i bibljotekarkami czytelni popularnych, którzy z przewodnika o. Pirożyńskiego korzystali i z uznaniem odzywali się o usługach, jakie im książka „Co czytać?” w pracy oddaje.

I jeszcze słówko. Ks. Kowalkowski zdumiewa się, iż wydawany przez XX. Jezuitów w Krakowie miesięcznik „Przegląd Powszechny” ocenił pochlebnie pracę o. Pirożyńskiego i tłumaczy sobie to tylko tem, że poradnik „Co czytać?” nosi firmę... Wydawnictwa Księży Jezuitów.

Skoro potykamy się pod sztandarem szczerości, to pozwolę sobie szczerze powiedzieć, iż ten ostatni... „kwiatek” nie powinien był znaleźć się w krytyce ks. Kowalkowskiego zwłaszcza— gdy, jak sam pisze, dał swe uwagi krytyczne do druku w imię hasła „Pro Christo”.

Krytykujmy się surowo, ale sprawiedliwie i rzeczowo, wszelkie zaś insynuacje czy złośliwości są w naszych krytykach i polemikach najzupełniej zbyteczne.

Ad. L. Szymański.

Salto mortale Emila Zegadłowicza.

Jak wogóle literatura nasza obecna, tak i polskie czasopiśmiennictwo chodzi jakby poomacku, z zawiązanemi oczyma, szukając drogi nowej epoki literatury. Nie tylko, że nie mamy dzisiaj ośrodków polskiej myśli twórczej na modłę Wilna z okresu filomacji czy Warszawy pozywistycznej, — także istniejące dzisiaj tygodniki i miesięczniki, poświęcone kulturze artystycznej i literackiej, właściwie tylko wegetują, dysząc agonją suchotni-

czą. Gdzież to się podziały owe czasy z przed lat kilkudziesięciu, kiedy to we wzajemnej walce o nowe tory artystyczne i filozoficzne ton nadawały społeczeństwu polskiemu pisma takie, jak „Bibljoteka Warszawska", „Przegląd Tygodniowy", „Niwa", „Prawda", „Ateneum", „Życie", „Świat", czy „Chimera".

Niektóre z tych pism dzisiaj już nie istnieją, inne są jakby parodją swej przeszłości. Nawet taki „Tygodnik Ilustrowany", który przed wojną tak chlubną odgrywał rolę dla polskiej literatury i sztuki, dzisiaj istnieje chyba tylko po to, żeby być. Nowe zaś powojenne pisma, noszące nagłówek „literackie", albo są bez znaczenia, albo traktują de omnibus rebus et quibusdam aliis, najmniej jednak o literaturze i sztuce (egz. „Wiadomości Literackie". Pomijam takie wydawnictwa, jak zasłużony „Pamiętnik Literacki" i „Ruch literacki", które jako ściśle fachowe, ograniczają się właściwie tylko do podawania toku i wyników badań naukowych nad literaturą).

Nic więc dziwnego, że wprost palącą jest kwestja stworzenia takiego organizmu, czy takich organów, które skupiając dokoła siebie literatów i artystów, roztrząsałyby zagadnienia kultury i myśli artystycznej. To też z wielkiem zaciekawieniem przyjęto pod koniec zeszłego roku wiadomość, że w Poznaniu ma się ukazać czasopismo młodych poetów, któreby zapełniło jedną z rażących w dzisiejszem naszem życiu kulturalnem luk. I rzerzywiście 15 grudnia 1931 r. wyszedł pierwszy numer owego pisma, noszącego nazwę „Dwutygodnika Literackiego", wydawanego nakładem „Klubu Poetów" i „Promethidiome", organizacji gromadzącej młodych poetów i artystów z pośród świata akademickiego Uniw. Pozn.

Jednakże, jak wielkie było zainteresowanie się zapowiedzianem (nieoficjalnie dawno naprzód) pismem, również wielkie było rozczarowanie społeczeństwa po ukazaniu się zaraz pierwszego numeru.

Łaknących organu o pewnym poziomie (wyższym nad szarą codziennością) kulturalnym i artystycznym zbił z tropu inauguracyjny „List pasterski" datowany w Klechistanie, 8 decembra, i podpisany przez „Waszą Emilencję". Nie było tajemnicą, że tą Emilencją jest Emil Zegadłowicz.

Jemu, to jako jednemu z doniedawna czołowych poetów (w ostatnich latach mocno się zmanierował) i temu, którego Po-

znań naprawdę szczerze polubił, powierzono słowo wstępne, rzucające hasło, pod którem wychodzić ma „Dwutygodnik Literacki". Ale Zegadłowicz zawiódł Poznaniaków. Zdarł ze swego oblicza maskę i pokazał urbi et orbi, że nie jest już tym, za któregośmy go mieli. Splunął Poznaniowi i Wielkopolsce w twarz, nazywając gród Przemysławski „gnojówką", „strasznemi okopami trójcy obłudy, pychy i zacofańswa". Poznań, który go tyle lat hodował i pieścił, jest dla niego „puszczą przesądów i oćmiewań", „miejscem niemrawem i grząskiem". A mimo, że sam na dobre tu się zagnieździł, nie myśląc chwilowo o emigracji, mimo, że tutaj wyrósł najpiękniejszy kwiat jego poezji, mimo, że tutaj zwłaszcza materjalnie wcale dobrze jest sytuowany, — czuje się Zegadłowicz w Poznaniu jakby w „dusznej stęchliznie", gdzie „brak jakiejkolwiek (nie mówiąc o czystej) atmosfery", obraca się jakby „w ruchliwej zadyszanej, niechrześcijańskiej obłudzie, gdzie świętość stała się kramarstwem, świątynia bankiem a celem syty kałdun". Wogóle nie ma nic dodatniego w tym Poznaniu, gdzie on sam, Emil Zegadłowicz, utrzymuje swój „syty kałdun" „na powierzchni gnojówki" i za serdeczną gościnę odwzajemnia się błotem i plwocinami. Wszystko go tu razi, zwłaszcza religijność poznańskiego społeczeństwa oraz duchowieństwo, ba, nawet pomnik Serca Jezusowego, który w jego oczach jako „straszliwy ideowo i artystycznie złom głazów" jest „symbolem pychy i zimna". Przewraca także w grobie tych, co „pouciekali" z tego „rezerwatu siedemnastowiecznego": Berwińskiego, Przybyszewskiego, Kasprowicza i uważa, że „niewytrzymał tu nikt, nikt ważny, nikt naprawdę ważny". (N. b. jaka rozczulająca skromność co do własnej osoby!).

A jakiż jest program podemilencyjnej braci w poezji, skupiającej się dokoła „Dwutygodnika?" I o tem mówi pasterskim tonem klechistańska Emilencja. Mają oni w nowem piśmie literackiem „dotrzymywać kroku nowym myślom, realizacjom nowych idei". „Dwutygodnik Literacki" ma „dawać wyraz nowym, świeżym, buntowniczym poglądom, idącym gniewną falangą przez cały świat wszerz i wzdłuż, poglądom, pewnikom i wiarom zmieniającym doszczętnie i do niepoznania społeczne, religijne i artystyczne oblicze konfiguracji globu". Skończony rewolucjonizm! A dając swoim „wiernym" na drogę rewolucyjnego boju o przewartościowanie wszelkich wartości ojcowską ra-

dę, „że tylko ten przygotowuje przyszłość, kto rozumie teraźniejszość, kto nią w każdym calu jest" woła pełen mistycznej ekstazy „Fiat Lux!", poczem składa życzenia ukazania się drugiego numeru „Dwutygodnika" i daje emilencyjne błogosławieństwo „w imię ćwierćwiekowej wiernej, jakkolwiek niezawsze zwycięskiej, służby w armji poezji". Skutek tej inauguracyjnej kanonady pasterskiej dawał się we znaki samemu „Dwutygodnikowi", albowiem brać studencka (podobno za interwencją J. W. Pana Rektora Uniw. Pozn.) wycofała się z wydawnictwa tego pisma.

Do obecnej chwili, gdy te słowa piszemy, ukazało się już pięć numerów „Dwutygodnika", czyniąc zadość pobożnemu życzeniu Klechistańskiej Emilencji.

Pierwsze numery świadczą także o realizacji owej w emilencyjnym liście pasterskim zapowiedzianej buntowniczości. Natomiast trudno skonstatować urzeczywistnienia się ekstatycznego wołania „Fiat Lux!" Owa „lux" stoi dotąd jeszcze pod znakiem rebusu. Raczej coraz gęstsze otaczają „Dwutygodnik" ciemności podziemne—tenebrae infernae. (Radziłbym redaktorom „Dwutyg. Lit.", żeby sobie kupili z kilka paczek owego proszku mydlanego „Lux", by przeprać swoją duszę, i pióra!).

W myśl zapowiedzianej walki o nowe poglądy, pewniki i wiary, „zmieniające doszczętnie i niedopoznania społeczne, religijne i artystyczne oblicze konfiguracji globu" rozpoczęto, śladem warszawskich „Wiadomości Literackich", robotę atakiem przeciwko religji katolickiej. Do tej „literackiej" roboty zaprzęgnięto pióra z „Wiadom. Lit." i z „Racjonalisty", by nadrobić powagą i starszeństwem niektórych współpracowników, to, na co nie stać młodzieniaszków w typie Stanisława Balickiego. Każdy prawie numer „Dwutygodniczka" zawiera mniej lub więcej ohydne napaści na katolicyzm, propagując z drugiej strony myśl „postępową", zasady racjonalistyczne. Metody, któremi się ci „literaccy" puryfikatorzy katolicyzmu (wszak oni występują niby do walki o „czystą" i „prawdziwą" religję Chrystusową, przeciw tej spaczonej przez duchowieństwo katolickie!...) są zawsza te same, od czasów jerozolimskich faryzeuszów A często nawet, właśnie jako „postępowcy", prześcigają swoich pra-praszczurów w podłem kłamstwie i fałszerstwie, jak np. p. Wulka-Laikowski w nr. 5-tym „Dwutygodn.", gdy w napastli-

wym artykule o zjeździe pisarzy katol. dopuścił się obrzydliwej nieuczciwości w stosunku do Stan. Szczepanowskiego i jego postulatu, że „Polska nadal będzie katolicką, albo jej nie będzie". (Zwrócił na to uwagę poznański „Głos Akademicki" № 7 z 10 marca b. r.).

I takiemu pismu patronuje Emil Zegadłowicz! Ten Zegadłowicz, który tak serdecznego doznał przyjęcia w grodzie Przemysława, wogóle na ziemi Wielkopolskiej, ten, który duchem swej poezji najbliżej stoi autorowi „Księgi Ubogich".

Ot! salto mortale p. Emila!*)

A. F. Kowalkowski.

Produkcia literacka Francji katolickiej w ubiegłym roku.

II.

Un animateur de la jeunesse au XIII siecle par Marguerite Aron Paris, Descleé de Brouver et Cie 1930. 391 stron.

Pod tym tytułem daje nam p. Małgorzata Aron, nauczycielka gimn. im. Wiktora Duruy w Paryżu, biografję Jordana Saksończyka, pierwszego następcy św. Dominika na stanowisku generalnego mistrza zakonu OO. Dominikanów. Słowo „biografja" jest za suche dla tej pięknej książki: cała epoka jest tu odmalowana około żywota jednej osoby. Autorka przygotowała się do studjum swego przedmiotu ogłaszając listy do Djany d'Andolo, które pozostają najlepszym źródłem do poznania go.

Młodość Jozdana Saksończyka jest nieznana aż do jego wstąpienia do zakonu w r. 1220, niewiadomy jest nawet rok urodzenia. W dwa lata po złożeniu ślubów już obejmuje stanowisko po św. Dominiku w Bolonji, gdzie został wybrany prowincjałem prowincji Lombardzkiej. Jest to osobistość potężna,

*) W tej chwili dowiaduję się, że podobno na terenie poznańskim nastąpiła generalna klapa w „Dwutygodniku Literackim" tak, że wydawnictwo to zwinie tutaj swój stragan i myśli zaszczycić swoim kratorem stolicę wawelską. Rzeczywiście nie wytrzymuje w Poznaniu nikt ważny!...

niestety zbyt mało znana; czyżby był owym sławnym matematykiem, który pod pseudonimem Jordana Gajewskiego (Giordanus Nemorarius) pozostawił spuściznę naukową pokaźną, a imię o znanym dźwięku? O. Denifle swego czasu oświadczył się przecząco, panna małgorzata Aron wznowiła dyskusję na ten temat i odpowiada twierdząco. Czytając jednak o różnorodnej działalności Jordana chciałoby się wątpić o tem, czy można jednocześnie pisać dzieła naukowe nieprzerywając tysiącznych zabiegów wpływowego stanowiska, chyba że okres twórczości naukowej poprzedził czynności administracyjno apostolskie. Zostawszy prowincjałem, a później generałem, Jordan pozostawia ślady swej gorliwości we wszystkich uniwersytetach ówczesnej Europy, i to jest najciekawsza partja książki, wędrujemy z nim z Paryża do Bolonji, następnie do Montpellier, do Tuluzy i Oksfordu, a wszędzie przypatrujemy się ożywionemu ruchowi życia uniwersyteckiego, który nam przedstawia panna Aron. Ale także inne strony życia ukazuje nam z równem znawstwem np. rozwój zakonu Dominikańskiego: przeszło 200 klasztorów powstało w 15 latach, rekrutacja cudownie szybka. Na dalszem tle widzimy Rzym, cesarstwo, miasta Lombardzkie, czyli całą scenę na której Jordan i jego konfraternja odgrywają swą rolę.

Jest to więc książka niezwykle urozmaicona, obejmuje kilka zagadnień doniosłych, dotąd nigdy nie złączonych. Piękna figura góruje nad całą treścią, szlachetna dusza ujmuje wszystko skrzydlatym duchem, którego wyrazem są prześliczne listy, pisane przez Djanę d'Andolo do Jordana, jako jej powiernika i kierownika duchownego. Jordan miał życie wypełnione obficie, to też książka, która je przedstawia, przelewa się bogactwem wiadomości, uczy rozumieć ruchliwość tej średniowiecznej postaci i naśladować ogniste serce i płomiennego ducha, który w niem gorzał.

Les plus belles pages de Fénélon par Henri Bremond, de l'Académie Francaise. Paris, Flammarion, 1930 str. 279.

Autor „Obrony Fénélona" (Apologie pour Fénélon) był szczególnie powołany, by z bogatej spuścizny literackiej czołowego pisarza francuskiego wybrać kartki najbardziej znamienne dla jego ideologji i stylu. Oryginalność książki jest w tem, że

autor towarzyszy Fénélonowi w każdej rezydencji i z każdego dzieła stwarza epizod życia. Co więcej, z kunsztem sobie tylko właściwym naśladuje styl arcybiskupa kambrezyjskiego, a pomosty między jednym urywkiem a drugim są tak naturalne, iż robią wrażenie jednej całości, rzekłbym zwartej powieści.

Nietylko młodzież studjująca, ale wszyscy humaniści i literaci, czy z powołania, czy z upodobania z rozkoszą przeczytają to dziełko.

Saint-Augustin (Cahiers de la Nouvelle Journée 17). Raris, Blond 1930.

Jubileusz augustjański pobudził tysiące piór katolickich wszystkich krajów z pod których wyrosły studja, hołdy, tłumaczenia, rozprawy i artykuły w ilości nieoczekiwanej. Niezwykła ochota, z jaką wznowiono dyskusje, wszczęte przez Luminarza z Hippony w porównaniu do innych rocznic, które minęły bez echa, świadczą o płodności ustawicznie świeżej i niewyczerpanej, zamkniętej w dziełach augustjańskich. Rozwija tę uwagę świetny filozof Maurycy Blonedl. Zastanawia się poważnie nad tem, czy obok neotomizmu nie przyjmie się neoaugustynizm, wskrzeszony przez obchody i pisma jubileuszowe, życzy sobie tego i światu i wskazuje drogi nowemu prądowi, jak to uczynił przed nim historyk filozofji, très en vogue, Gilson. Inna rozprawka, pióra panny Comeau odtwarza z niewieścią subtelnością uczuciowość św. Augustyna, jej opóźnienie w porównaniu do nawrócenia umysłowego i stopniowe ujarzmienie niełatwego temperamentu pod brzemię powszechnej miłości. Inny współpracownik, Ch. Boyer, analizuje medytację nad brzegiem morza w Ostji i odkrywa w niej pierwiastki kontemplacji augustjańskiej. Dalsze wartościowe rozprawy napisali autorzy tacy jak J. Rimaud, J. Chaiks-Ruy, Henrico Castelli, J. Pange o Mistrzu życia wewnętrznego, o Czasie, o Zagadnieniu zła, o Państwie Bożem.

Une époque par Marcel Arland. Paris, Corréa 1930 st. 100.

Współczesnych pisarzy nęci ujęcie ducha czasu: w Polsce wyraził to w formie filozoficznej ksiądz Sawicki, we formie powieściowej Kossak-Szczucka. We Francji pisał na ten temat

Lucjan Romier p. t. „Explication de notre temps", ostatnio zabrał się do tego zagadnienia Marcel Arland. Autor znanej książki „L'Ordre" bada, analizuje, rozdziera duszę swego wieku. Nie jest to zadanie łatwe: tyle przeciwnych sobie prądów krzyżuje się, tyle brzydoty i tyle wielkości, tyle niewiary i tyle czystych przekonań religijnych. Te nierówności i sprzeczności czyż nie świadczą dobitnie o zasadniczym braku równowagi człowieka? To wydaje się myślą przewodnią Marcela Arlanda. Załamanie się równowagi w człowieku pochodzi stąd, że istota ludzka miłując życie bez Boga, sama siebie już odnaleźć nie może. „Duch, w którym dokonano usunięcia Boga, pisze autor, gdzie zagadnienie Boga nie zajmuje żadnej czynności umysłowej, czemże zapełni próżnię powstałą w nim i którą utrzymuje zionącą potęga wieków oraz instynktów"? Dalej czytamy: „Nieobecność Boga jest Nonsensem wszelkiej moralności". Niemniej odnosi się ta prawda do sztuki... To też może się człowiek rzucać, może się zająć czemkolwiek, wokół niego pozostanie tylko posmak nicości i tylko nicość będzie go otaczać. W sposób trochę schematyczny ale bardzo znamienny stwierdza Marcel Arland bankrunctwo prób literackich: Po tylu płochych żenglerstwach, chcemy też starać się o nasze przeznaczenie celem zdobycia oryginalności, po okresie ogzotytyzmu i literatury kinematograficznej, czyż nie nadeszła wreszcie chwila nowej prostoty i szczerości, która panowała w epokach, gdzie człowiek zastanawiał się nad własnym dramatem, nad pięcioraką niedolą swych pięciu zmysłów, z upajającą nędzą myśli i wzruszeń. Nie pragnę powrotu klasycyzmu, ale tęsknię pośród nieładu i zgiełku duchowego za nową harmonją". Oto życzenie wyjęte z serca współczesnego pokolenia, co tęskni za prawdziwą istotą bytu i rozumu. Dość mamy już życia przed ekranem, na którym magicy przedstawiają grę niezrozumiałych i niemądrych cieni upiorzystych. My chcemy widzieć człowieka bez amputacji, w chwilach wielkości i w nędzy upadku, chcemy też starać się o nasze przeznaczenie.

Otóż, aby położyć kres temu szalonemu kultowi wszystkiego, co przypadkowe, przypadłościowe, znikome, jednostkowe, wyjątkowe, skandaliczne a co przepełnia naszą literaturę trzeba podnieść stanowisko rozumu, przywrócić mu utracone panowanie. Marcel Arland pisze w mocnych słowach „Rozum jest wa-

runkiem koniecznym dzieła sztuki; wszelka sztuka, która nim gardzi, minie bezpowrotnie". Tak, jak w dziele poprzedniem p. t. „L'Ordre" chwalono sens nawskroś ludzki autora i jego tężyżnę duchową, tak oba walory w nowem dziele doznały jeszcze większego rozwoju.

Ks. Dr. Stefan Abt.

SPRAWOZDANIA I RECENZJE.

Żywy Różaniec ożywi życie duchowe. W czasach dzisiejszych nowoczesne pogaństwo zaczyna zuchwale głowę podnosić i wprost zagrażać Chrześcijaństwu.

Bolszewizm, socjalizm, komunizm, masonerja—są to tylko różne nazwy różnych organizacyj, ale wszystkie one mają jeden cel, jeden jakby sztandar, na którym niejako widnieje napis, który jest hasłem ich działalności: „Nie chcemy, by Ten nad nami królował"!

Pogaństwo czasów dzisiejszych nie chce, aby Chrystus królował w sercach ludzkich, w rodzinach i w społeczeństwach.

Przeciwko Chrystusowi, przeciwko zasadom Chrystusowym jawnie lub ukrycie występuje. Wobec tej walki pogaństwa z Chrześcijaństwem Ojciec św. podnosi głos swój ze Stolicy Piotrowej i wzywa cały świat chrześcijański do walki z pogaństwem, zachęca serdecznie do tworzenia jakby armji Chrystusowej—do Akcji Katolickiej.

Walka dopiero się zaczyna. Z pewnością rozgorzeje ona jeszcze więcej i dlatego to katolicy dobrzy i uświadomieni nie powinni obojętnie na to patrzeć.

Katolicy wszyscy powinni się organizować w różnych Stowarzyszeniach, które chcą pracować i walczyć pod sztandarami Chrystusowemi.

Z pośród wielu dobrych organizacyj jest jedną taka, która w Polsce obecnie wszędzie się rozwija i jeśli się tak rozszerzy, że większość ludzi dobrej woli będzie do niej należć, to możemy mieć nadzieję, że w tej walce pogaństwa z Chrześcijaństwem zwycięstwo będzie po naszej stronie.

Organizacją tą jest znane wszystkim Stowarzyszenie Żywego Różańca.

Tak, jak niegdyś, przed wiekami, św. Dominik przez Różaniec świat odnowił, tak i w czasach dzisiejszych przez ten Żywy Różaniec świat odrodzi się i ożywi na duchu.

Trzeba tylko wszędzie, gdzie można, zaprowadzać to piękne i pożyteczne Stowarzyszenie Żywego Różańca.

Ponieważ żadne ze Stowarzyszeń nie jest tak łatwe do założenia i prowadzenia, jak Żywy Różaniec, przeto Stowarzyszenie Żywego Różańca powinno być wprowadzone nie tylko wśród starszych, ale i wśród młodzieży szkolnej, zarówno w szkołach powszechnych, jak i w gimnazjach, a nawet i wśród dzieci w ochronkach.

Forma zaś książeczkowa podług ks. Fr. Nowakowskiego *) sympatycznie i wdzięcznie jest przyjęta wszędzie nie tylko przez lud wiejski, ale i przez, inteligencję miejską, która dotąd nieco stroniła od Żywego Różańca właśnie z powodu dotychczasowych niepraktycznych, luźnych kartek zwykle wybrudzonych, podartych i tak jakoś niepoważnie wyglądających.

Obecny estetyczny wygląd i bardzo praktyczny format tych książeczek jako też i nowy uproszczony system zmiany Tajemnic każdego miesiąca—wiele się przyczyni do rozwinięcia Żywego Różańca.

Odtąd Żywy Różaniec może i powinien być rozszerzany nie tylko przez księży Proboszczów w parafjach, ale i przez księży Prefektów, Katechetów i Katechetki w szkołach i na różnych kursach.

---

*) „Żywy Różaniec"—ks. Fr. Nowakowskiego. Karnkowo, p. Lipno-Warszawskie.

Przy małym wysiłku pracy wszędzie można wprowadzić to wielkie i sympatyczne dzieło Boże, które pozornie jest małe w założeniu, a tak wielkie i owocne w skutkach.

Żywy Różaniec jest to wdzięczne pole pracy nie tylko dla księży, ale i dla Siόstr, Braci i Ojców różnych Zgromadzeń Zakonnych, którzy poświęcają się szczególniejszej czci Marji.

Właśnie przez Żywy Różaniec można się przyczynić tak wielce do rozszerzenia czci Marji.

Wszystkie dusze, prawdziwie Boga kochające, które chciałyby się przyczynić do ożywienia wśród ludzi życia duchowego zmartwoty duchowej, wszyscy, którzy nie chcą pozostać głuchymi na gorące werwanie Pasterzy do Akcji Katolickiej, do Apostolstwa świeckich — wszyscy mogą i powinni to uczynić, właśnie rozpoczynając od Żywego Różańca.

Jeśli źli ludzie—całe pogaństwo—tak pilnie organizują się w złych organizacjach, to dobrzy—całe Chrześcijaństwo—powinni łączyć się w dobrych organizacjach.

Przez Marję—Chrystus przyszedł na ten świat.

Przez Żywy Różaniec, przez to Stowarzyszenie Marji—przyjdzie i rozwinie się Akcja Katolicka.

Przez Akcję Katolicką zaś — życie Chrystusowe! *X. J. S.*

Dla dusz dążących do doskonałnści wydana została przez OO. Jezuitów w Krakowie książeczka **„U stóp ołtarza" sto nawiedzeń Najśw. Sakramentu.**

Pobożny ich autor tchnął w te króciutkie rozmowy duszy z Panem utajonym dużo szczerego uczucia. Dusza czytelnika z łatwością odrywa się od tego, co ją otacza i staje przed Panem upokorzona; wyznawa swoje przewinienia, prosi o oczyszczenie serca, by stać się mogła miłą przed oczyma Jego.

Z takich to nawiedzin wiele korzyści dla duszy płynie, Dusze czyste i gorąco miłujące Pana Jezusa przez swoje modlitwy i ofiary, za grzeszną ludzkość składane Panu, stają się jej obrońcami.

Rozpowszechniajmy wśród naszego otoczenia tak pożyteczne dziełka, za pomocą których urabiają się piękne dusze. *H. Br.*

Ks. Dr. Józef Umiński, Profesor Uniwersytetu Jana Kazimierza: Opinje o cnotach, świątobliwości i zasługach Stanisława Hozjusza. Str. VIII+24o in 8-vo. Z sześciu rycinami. Cena zł. 8.50.

Jest to praca ściśle naukowa, dzieło historyka-fachowca, może jednak zainteresować każdego, kochającego przeszłość naszą, inteligenta. Autor podaje w niej opinje świętych, papieży, kardynałów i innych znakomitości świeckich i kościelnych, polskich i obcych o Hozjuszu, wypowiedziane już to za życia, już po śmierci wielkiego kardynała. W świetle tych opinij występuje bardzo wydatnie ogrom duchowy Hozjusza, świątobliwość jego niezwykła i wpływy, które zarówno w kraju jak i zagranicą, czy to w dziedzinie naukowej, czy kościelnej wywierał. Poznajemy tu, że był Hozjusz postacią wyjątkową, dla Kościoła i kraju wprost opatrznościową, cenioną jednakowo wielce przez wszystkie narody, roznoszącą sławę imienia polskiego, po wszystkich krańcach Europy. Dlatego właśnie winien przestudjować książkę tę każdy nietylko duchowny, ale i laik, któremu sprawy wiary i polskości są drogie. Kończy dzieło sześć ciekawych rycin, ilustrujących życie Hozjusza, a będących reprodukcją sztychów, dokonanych wkrótce zaraz po jego śmierci.

Napoleon III. Pod wieczór życia wydał wileński pisarz z dziedziny historji i literatury, profesor Marjan Zdziechowski, monografję o Napoleonie III.

Autor chciał niejako sięgnąć do wspomnień młodości, która przypadała na czas panowania Napoleona III i dać współczesnym obraz nastrojów i uczuć, które ożywiały pokolenie, którego uczony profesor jest może ostatnim heroldem. Stąd ta sympatja do przedmiotu rozprawy, stąd ten polot niezwykły języka, stąd też może niejedna ocena zbyt korzystna, bo zabarwiona osobistem upodobaniem do nieszczęśliwego cesarza, stąd też

tak zajmująca a pouczająca lektura tego dzieła, które zawiera serdeczny testament pisarza, złożony w ręce wdzięcznych czytelników.

Katolikom przypomina smutne dni (1860 r.) zajęcia Rzymu przez Piemontczyków, które nawet wśród liberałów nazywano aktem zbójeckim. Triumwiratowi — Wiktor Emanuel, Cavour, Garibaldi — przeciwstawił się był Napoleon III, który proponował konfederację państw włoskich pod honorowem przewodnictwem papieża.

Cesarz nie dokonał decydującego kroku, stal się więc przedmiotem nienawiści wszystkich nawet katolików. Zasmucony pisał więc w liście do Piusa IX z dn. 8 stycznia 1861 r. te słowa:[1]) „Przedstawiają mnie jako wroga Stolicy Świętej, podszczuwają przeciw osobie mojej duchowieństwo francuskie, żądano nawet od arcybiskupa paryskiego, aby zrzekł się godności naczelnego kapelana cesarskiego (grand aumonier)". Zapewniał dalej, że zawsze pozostanie niezłomnie oddanym papieżowi, zostawi swe wojsko dla obrony papieża, ale prosi o zrozumienie jego nieszczęsnego położenia politycznego wobec trwającego sojuszu z Włochami.

Podczas, gdy cesarz usprawiedliwiał się wobec papieża listownie, książę Napoleon kreślił na mapie projekt podziału Rzymu na dzielnicę papieską i dzielnicę królewską. Tybr miał atanowić granicę, prawy brzeg oczywiście, przypaść miał Następcy św. Piotra. Był to projekt, który naówczas wyśmiano, dziś zgodzono się na mniejszy skrawek pod nazwą Cità del Vaticano, w dodatku uważano to jeszcze za niemały sukces dyplomacji papieskiej.

Pozostawienie załogi ochronnej w Rzymie—Francja ostatecznie okupiła Alzacją i Lotaryną, gdyż otoczenie Wiktora Emanuela parło Prusy do wojny z Francją. Dziś znowu Alzacja i Lotaryngja w nagrodę za to, że za wierność dla papieża odcięta została przez pięćdziesiąt lat od.macierzy, cieszy się dobrodziejstwami konkordatu, państwowym wydziałem teologicznym w Strasburgu i jest tą dzielnicą Francji, która najczystszy wyznaje katolicyzm.

Warto jeszcze zapamiętać szlachetne zainteresowanie losami Polski około r. 1861 wśród katolików francuskich, których rzecznikiem był hr. Montalembert,[2]) uczucia te wyrażone zostały w pełnej serca książce jego. Inaczej ustosunkowali się do cierpiącej Polski radykałowie. Historja się powtarza: i dziś sympatje mamy we Francji wśród katolików, a zaciekłych wrogów wśród stronnictw liberalnych. Poprzednio już Voltaire winszował Katarzynie rozbioru Polski, to też wolterjanie zawsze zwalczali Polskę, podczas gdy stronnictwa katolickie zawsze popierały naszą sprawę. Znowu uczą nas wypadki. jak przyjemnem jest oparcie, o Kościół Katolicki, tę potężną, zwartą organizację, opartą na wspólnych, wiecznych interesach.

Czasy Napoleona były świadkiem nowej fali walki z Bogiem. Republikanie zrozumieli, że nie na Kościół iść należy, nie na to lub owo wyznanie, ale na samą ideę Boga. Myśl ta, do urzeczywistnienia której zabrał się z krwiożerczą energją rosyjski bolszewizm, powstała na podłożu rosyjskiej prostolinijności; pierwszy, czy jeden z pierwszych, począł ją z niesłychanym zapałem apostołować Bakunin: zacznijmy od wyplenienia Boga z serca człowieka, a wszystko inne przyjdzie z łatwością. „Bądźcie wpierw ateuszami, a potem stańcie się rewolucjonistami" — nauczał w r. 1868 niejaki Jaclard, przyszły członek komuny. „W słowach tych — pisze de la Gorce — zawi rał się program: przez wyłom radykalizmu antyreligijnego wkraczał radykalizm polityczny" (str. 142 i 143).

Reformy liberalne Napoleona III z r. 1868 ułatwiły rozwój organizacyj o niszczycielskich skutkach w dziedzinie religji i moralności. Poprzednio powstały były w 1865 — Międzynarodowe stowarzyszenie wolnomyślicieli, rok później — 1866 — Liga wychowania i Nauczania, założona przez Jana Macé. Z tych dwóch zatrutych źródeł sączył się jad zabójczy na całą Fran-

[1]) Zdziechowski — Napoleon III. str. 57.

cję. Duchownymi przywódcami tego ruchu byli Renan i Taine. Po stronie katolickiej bronił tradycji chrześcijańskiej gorąco biskup Dupanloup z Orleanu, który przeciw wspomnianym pisarzom ogłosił pismo p. t. Ateizm i niebezpieczeństwo społeczne. Nawet niekatolicy jak Guizot i Cousin z przerażeniem patrzeli na potęgujący się ruch wywrotowy, zagrażający Kościołowi i państwu.

Biografja jest rehabilitacją Napoleona III, którego przedstawia się najczęściej w sensie ujemnym. Był to tymczasem mąż, który wyprzedzał umysłowość spółczesnych sobie o wiele. Dążył do uwolnienia ludzkości od zmory wojny, głosił hasło samostanowienia narodów, przyczynił się do zespolenia Włoch, pragnął niepodległości Polski, ekspedycja meksykańska miała Stanom Zjednoczonym Północnej Ameryki zagrodzić drogę do kultu złotego cielca, który dziś staje się rzeczywistością.

Ostatni rozdział książki poświęcony jest Napoleonidowi, synowi cesarza duszy wzniosłej i rycerskiej. Najlepiej charakteryzuje go chyba modlitwa własnego układu, którą odmawiał codziennie. Prosił w niej o łaskę wiary, która w modlitwę wlewa żar i daje siłę do spełnienia powinności, — o tę mądrość, która zawsze, w chwili każdej, wskazać może, co jest powinnością. Pozatem dla siebie niczego nie żądał. Natomiast błagał o szczęście dla tych, których kocha więcej, dużo więcej, niż samego siebie, a którzy cierpią. „Dla siebie szczęścia nie pragnę: uciekam od niego. Usuń je Boże z drogi mojej, albowiem szczęście i radość znaleźć bym mógł tylko w zapomnieniu przeszłości, a jakże mogę chcieć zapomnieć o tych, których już niema! Wzmocnij, Boże, serce moje przeświadczeniem, że ci, których kocham i którzy już zmarli, są świadkami wszystkich czynów moich; niech życie moje godne będzie tego, aby patrzyli na nie stamtąd“. (str, 238).

Przeczytałem książkę o Napoleonie po nowej książce Foerstera p. t. Religja a kształcenie charakteru. Uderzyło mię odrazu podobieństwo między obu autorami: obaj są miłośnikami pokoju, obaj mają przekonania nawskroś chrześcijańskie, jeżeli nie katolickie, obaj są uczonymi o europejskim pokroju, wnikliwi obserwatorzy życia duchowego z tą tylko odmianą, że jeden więcej skierował swe badania ku przeszłości literacko-politycznej, drugi obraca się raczej w sferze analizy życia współczesnego. Obaj dużo dobrego zdziałali swemi pismami. Niech im Bóg Łaskawy użyczy za to tego przywileju, by długo mogli spoglądać na bogaty plon znojnego żywota.

Ks. Dr. St. A.

Kwietniowy numer miesięcznika „Ateneum Kapłańskie“ (Włocławek, Semin. Duch.) przynosi dokończenie analizy pracy Ks. Siwka o Teresie Neuman p. t. „Zjawiska mistyczne i ich tłumaczenie“; nadto dokończenie artykułu Ks. Dr. Wyrobisza o „Przestępstwach przeciwko prawom familijnym według Kodeksu Prawa Kan”.

Ks. Dr. W. Wicher pisze o „Etycznych granicach sportu”. W dziale spraw pasterskich znajdujemy bardzo ciekawe zestawienie zagadnień poruszanych w ostatnich listach pasterskich Biskupów polskich p. t. „Wskazania biskupów katolickich w Polsce na chwile najbliższe”. Ks. E. Krauze pisze o „Organizacji katechizacji dzieci”. Również kilka uwag na czasie o znaczeniu egzaminu przedślubnego w dobie zamachów na małżeństwo katolickie.

W sprawach z życia religijno-kościelnego Ks. Dr. S. Wyszyński podaje kilka spostrzeżeń o „stosunku katolików włoskich i polskich do swych uniwersytetów katolickich”. O. Pirożyński omawia „Niższe seminarjum diecezjalne i zakonne w Polsce”. Pamięci Ks. Biskupa Bandurskiego kilka uwag poświęca Ks. B. M. W przeglądzie naukowym Ks. Stefan Wilk przypomina działalność naukową zmarłych niedawno uczonych katolickich: O. Gardeil'a i L. Billota. Wśród ocenionych ksiażek znajdujemy prace

---

[2]) On to wyrzekł pamiętne słowa: „Od chwili rozbioru Polski jest Europa w stanie grzechu ciężkiego”.

GIMNAZJUM MĘSKIE ZGROMADZENIA X.X. MARJANÓW NA BIELANACH WARSZAWSKICH

Typ Humanistyczny. Zakład Wychowawczo-Naukowy. Wyłącznie dla internistów.
(Z pełnemi prawami gimnazjów państwowych). (Kategorja A).



Dyrekcja Zakładu komunikuje zainteresowanym rodzicom, którzy niejednokrotnie kierują zapytania do Zakładu, czy zajdą w nim jakie zmiany w programie i organizacji nauczania w związku z uchwaloną ustawą szkolną,—**że w r. szk. 1932/33 żadne zmiany nie będą jeszcze dokonane.**

Nadal pozostaje osiem klas gimnazjalnych o programie jak dotychczasowy program gimnazjum państwowego o kierunku humanistycznym. Obowiązuje jeden język obcy, francuski lub niemiecki do wyboru, od klasy pierwszej, łacina od klasy czwartej. Klasy wstępnej niema.

Gimnazjum korzysta z pełnych praw gimnazjów państwowych (Kategorja A). Kandydaci ze szkół odpowiedniego poziomu naukowego mogą być zgłaszani na podstawie świadectwa promocyjnego, inni na podstawie egzaminu wstępnego.

Zjazd na egzamin wstępny przedwakacyjny dla kandydatów do wszystkich klas dn. 21 czerwca (wtorek) do godz. 18-ej, zaś w terminie powakacyjnym dn. 29 sierpnia (poniedziałek) do godz. 18-ej. W czasie egzaminu kandydaci zamieszkają przez trzy dni w internacie.

Dnia 19 maja o godz. 14-ej m. 30, odbędzie się egzamin tylko do klas I, II i III-ej jedynie dla tych kandydatów, którym zależy na wcześniejszym terminie.

Podania na blankietach zakładowych i wszelkie formalności winny być możliwie jaknajwcześniej dopełnione, a nie później niż na tydzień przed egzaminem.

Opłata za internat została obniżona do 150 zł. miesięcznie we wszystkich klasach, opłata za naukę jak w szkołach warszawskich, według Komisji Norm. T. N. S. W. — Dla młodzieży wartościowej, a niezamożnej, nowy regulamin przewiduje ulgi w opłacie za naukę w miarę możności finansowej Zakładu. — Dla ułatwienia rodzicom regulowania należności przy braku gotówki, Zakład gotów jest w pewnych wypadkach przyjmować wszelkie produkty, materjały czy jakiekolwiek dobra, mogące służyć do zaspokojenia jego różnorodnych potrzeb.

Kancelarja Zakładu wysyła szczegółowe warunki przyjęcia.

Adres dla poczty. Warszawa I, skrzynka pocztowa 250, tel. 11-44-45, telegraf: Gimnazjum Bielany — Warszawa.

Dojazd tramwajem № 15, skąd 2 klm. do Zakładu lub kolejką młocińską z dworca gdańskiego do przystanku Bielany, skąd kilometr do Zakładu.

PRO CHRISTO
WIARA I CZYN
ORGAN MŁODYCH KATOLIKÓW — MIESIĘCZNIK
Wydawca: Stowarzyszenie Społecznego Panowania Najświętszego Serca Jezusa w Rodzinach Chrześcijańskich.
Redakcja i Administracja: Warszawa, ul. Moniuszki 3a.
P. K. O. 10.115 Telefon 763-44

NACZELNY REDAKTOR
przyjmuje interesantów w środy i piątki między 18.30 a 19.
Biuro i telefon czynne w dni powszednie od g. 11 do 12 i od 15.30 do 17
Redakcja rękopisów nie zwraca

Pro Christo.

Czem jest Eucharystja dla człowieka.

Różnorodne są przyrodzone potrzeby ludzkie. Można je streścić w trzech punktach. Człowiekowi potrzeba towarzystwa ludzkiego, potrzeba pewnych zasobów pieniężnych, potrzeba wreszcie pokarmu.

Potrzeba człowiekowi towarzystwa ludzkiego. Filozof starożytny określił człowieka jako istotę społeczną. Pan Bóg stworzywszy pierwszego człowieka orzekł, że nie dobrze być samemu na świecie. Pozbawia się towarzystwa ludzkiego ten, który chce zadać sobie wielką pokutę i zebrać dużo zasług, a więc pustelnik, zakonnik. Unika towarzystwa ludzkiego człowiek chory, zawiedziony, przygnębiony. Sądy wymierzają karę w postaci odłączania człowieka od społeczności ludzkiej, wykluczając przestępców z dotychczasowego otoczenia. Słowem, zdrowy, normalny człowiek potrzebuje towarzystwa ludzkiego, w niem szuka pouczenia, podpory, pociechy, radości, zachęty. W zespołach i skupieniach ludzkich rozwija się cnota, charakter, nauka, bogactwo, budzą się szlachetne porywy—pustynie są jakgdyby królestwem śmierci. Radością człowieka jest przyjaciel i powiernik, który rozumie potrzeby i dążenia. Na cześć przyjaźni ludzkiej pióra poetów oraz innych pisarzy wypowiedziały najgórniejsze

słowa ludzkich języków. Przyjaźń jednej pary ludzkiej przyjęła nawet postać sakramentu.

O ile człowiek jest towarzyszem koniecznym, o tyle jest nie zawsze wiernym, czasem szkodliwym. Do jakiego stopnia człowiek, człowiekowi może być wilkiem, o tem uczą doświadczenia codziennego życia, kroniki przeszłości, historje wojen, różne dramaty i tragedje. Dlatego sam Bóg podjął się tego zadania, by nam towarzyszyć na ziemi. Wymyślił sposób niezrównany, by tego dzieła dokonać. Jest więc wśród nas prawdziwie obecny. Jak ongiś, gdy chodził po Palestynie, ukrywał swoje bóstwo a ukazywał tylko swoją ludzką naturę, tak teraz ukrywa bóstwo i człowieczeństwo. Boskiej pomysłowości musi z naszej strony odpowiedzieć daleko idąca chęć wniknięcia w Bożą dobroć, innemi słowami wielka wiara. Będąc wśród nas obecny, jest Bóg w Eucharystji milczącym nauczycielem. Uczy nas nie potokiem słów, ale wymownem milczeniem, samem istnieniem. Zjawiwszy się wśród nas, przypomina wszystkie drogi, które przebył, zanim stał się naszym towarzyszem. Będąc wśród nas obecny, jest naszym niezawodnym przyjacielem, niezależnym od naszego powodzenia lub niepowodzenia, jest cichym wspólnikiem naszych nędz. Bierze udział we wszystkiem, co nas wzbija w górę, czy strąca w niziny. Jest przyjacielem, co nie zna zazdrości, zdrady, co nie deprawuje, lecz uszlachetnia, co nadaje myśli wzniosłe, co krzepi i leczy, co łączy i gromadzi. Zeń wychodzą fale dobrych natchnień, promienie co tępią raka grzechu, dźwięki, co nastrajają bosko i anielsko.

Powtóre, człowiek nie dorósł do tego, by zadowolić się Bogiem swoim w przestworzach, Bogiem wiecznym, niezmierzonym, duchowym. Dlatego taka trudność istniała w Starym Testamencie utrzymania wiary w Boga duchowego, dlatego tyle razy lano złotych cielców, które miały wyobrażać Boga. Dlatego istnieje ta sama trudność u pogan w postaci fetyszów, bałwanów, czarów. Słowem, człowiek istota napół zmysłowa i napół duchowa, z trudem może się wznieść do pojęcia nawskroś duchowego. Człowiek pragnie nawet Boga dostrzec, objąć jego kształt i t. d. Każde pojęcie duchowe u człowieka musi być obciążone materją. Tej potrzebie ludzkiej istoty, albo tej ułomności, jeżeli tak wolno powiedzieć, zaradził sam Bóg, dając nam siebie w dostrzegalnej postaci. Dziś więc możemy powiedzieć: Bóg jest ode-

mnie o dziesięć metrów oddalony, mogę Go widzieć, smakować; w starożytności chrześcijańskiej wolno Go było nawet dotykać, zabierać do siebie, nosić ze sobą.

Patrzymy wszyscy na klęskę bezrobocia i braku gotówki. Praca jest w stosunkach ziemskich najidealniejszym sposobem zarobkowania, pracą narody się bogacą. Pieniądz jest warunkiem płodności życia; im ktoś jest mniej krępowany finansowo, tem dogodniejszych dobierać może sposobów kształcenia się, tem dla niego życie jest pełniejsze. Nauka, sztuka, podróże otwierają swe rozkosze temu, który złotem brzęczy i złotem otwiera bramy. Żałujemy tego, który pragnie zdobyć głębszą kulturę, a niema środków po temu. Odbije to się stanowczo na szybkości i zupełności rozwoju.

Do życia moralnego potrzeba także niezmierzonych bogactw duchownych. Aby zapełnić przepaść grzesznych dusz, na to potrzeba góry łask, aby zalać żar namiętności, na to potrzeba morza łask, aby ugór duszy spaczonej zamienić w kwitnące pole cnót, na to trzeba całego spichrza Bożych ziaren, aby ciągle słabnącą rolę ludzką podeprzeć, trzeba całego lasu kolumn, aby otchłań ciemnoty ludzkiej rozproszyć, trzeba miljonów słońc, aby gorycz ludzkiej złości osłodzić, trzeba całej rzeki Boskich poświęceń, aby zrównać wyskoki ludzkiej dumy, trzeba poniżeń Boskiej godności. To wszystko dał nam Bóg w ofierze krzyżowej i we Mszy św. Mając Mszę św. czyli Eucharystję w formie ofiary, nie doznamy braku nadprzyrodzonej wartości, potrzebnej do opędzenia potrzeb życia moralnego. Nędza duchowa nam w oczy nie zajrzy, skoro możemy dysponować całem niebem, gdy banki Bożych zasobów otwierają się nam na zawołanie. Z moralnego nędzarza stać się można moralnym magnatem, korzystając ze Mszy św. Takiego obrotu nadprzyrodzonego kapitału nie wykaże nam żaden sakrament jak Eucharystja, bo gdy w innych sakramentach zbieramy tylko drobiny Bożej łaskawości, to w Eucharystji, zwłaszcza we Mszy św., Bóg otwiera cały zapas boskiego bogactwa.

Jednak pieniądz nie wszystkiemu zaradza w życiu i nie wszystkie zaspokaja potrzeby. Mówi podanie o królu Midasie, że rozkochawszy się w złocie, prosił bogów, by wszystko czego się dotknie, przemieniło się w złoto. Pragnienie jego stało się zgubą, bo czego się dotknął istotnie zamieniało się w złoto, a więc i pokarm i tak wśród zwałów złota umierał z głodu za-

chłanny monarcha. Człowiek potrzebuje pokarmu dla ciała roślinnego i zwierzęcego. W Polsce pracują $^3/_4$ ludności w tym kierunku. Część pracy każdej jednostki poświęcona jest także trosce o chleb codzienny. Uczta kończy każde dzieło. Należyty i w dostatecznej ilości spożyty pokarm jest warunkiem sprawności fizycznej, a pośrednio także umysłowej, bo ideałem jest zdrowy duch w zdrowem ciele.

Życie nadprzyrodzone także wymaga wystarczających posiłków. W postaciach eucharystycznych dał nam Bóg pokarm, co zadowoli najwybredniejszy smak i najgłodniejszy apetyt. Katolicka świątynia jest wręcz salą jadalną, gdzie ucztę wydaje sam Bóg i własnem ciałem wypełnia głód strawy nadprzyrodzonej. Codzienna walka ze złem wyczerpuje gwałtownie siły człowieka, wysiłek moralny wymaga większych nakładów, niż wyczyn fizyczny, dlatego nie byle jaka wystarczy odnowa wydatków duchownych, ale samego Boga trzeba, aby móc dalej borykać się z pokusą, ze światem i z własną niemocą. Tylko Eucharystja uzdalnia do bohaterstwa, do znoszenia mąk i poniesienia męczeństwa. Św. Jan Chryzostom donosi, że chrześcijanie, pokrzepieni Eucharystją, czuli w sobie siłę lwów. Inny pisarz starożytności chrześcijańskiej referuje, że chrześcijanie od Stołu Pańskiego wprost szli na tortury. To też zapewnił Pan Jezus w tych słowach: „zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, jeślibyście nie jedli Ciała Syna Człowieczego i nie pili Krwi Jego, nie będziecie mieli żywota w sobie". Przytem każdy pokarm wzbogaca organizm ludzki we właściwe sobie składniki, ten przyspiesza działalność serca, tamten usprawnia trawienie i t. d. Eucharystja jednoczy nas w Komunji św. przynajmniej na chwilę materjalnie z Ciałem Jezusowem, a na dłuższą metę powinna uzgadniać pragnienia i dążenia nasze z pragnieniami i dążeniami Chrystusowemi. Simile simili gaudet. Którzy są Chrystusowi, kochają to, co kocha Chrystus, nienawidzą tego, co nienawidzi Chrystus. Stąd taka sprzeczność między grzechem i tem, co nim trąci, a szczerem przyjmowaniem Eucharystji. Niezgodność między Eucharystją, a pożądliwościami ludzkiemi jest taka, jak między ogniem a wodą. Jedno niszczy drugie, tertium non datur. Kto się brata z Chrystusem, aż do zatarcia różnicy między obiema osobami, ten już nie może kumać się z nieprzyjacielem Chrystusa, bo to prosta zdrada stanu, zdrada

Boga. Kto poważnie pojmuje przyjmowanie Komunji św., ten za to ma pewność żywota wiecznego w wieczności, gdy w doczesności pożywa Ciało Pańskie, bo chociaż przemija postać Sakramentu materjalna, to pozostaje druga połowa, natura Boska, człowiekowi zapożyczona. „Kto pożywa Ciała mego i pije Krew moją, ma żywot wieczny, a ja go wskrzeszę w dzień ostateczny".

Ks. Dr. Stefan Abt.

Zmierzch ustroju kapitalistycznego.

III.

W ustroju kapitalistycznym tkwią integralnie przyczyny, które musiały spowodować upadek i katastrofę. Jest to od samego początku ustrój anarchiczny, nieuporządkowany. Mamy do czynienia przedewszystkiem z anarchją myśli, którą przesiąknięta jest filozofja materjalistyczna 18, a częściowo i 19 wieku, na niej zaś, jak na zgniłych fundamentach wznosi się liberalizm ekonomiczny ze swoim materjalizmem i lesseferyzmem.

W sposób pogański i anarchiczny pojęta wolność cechuje ten ustrój. Każdemu wolno produkować co chce, gdzie chce, w jakiej ilości i w jaki sposób mu się podoba. Wprawdzie w drugiej połowie 19 wieku państwo zaczyna interwenjować, ale interwencja ta dotyczy właściwie stosunków między pracą a kapitałem i w stosunkach tych wywołuje pewne polepszenie. Natomiast o uporządkowaniu, zorganizowaniu, ujęciu w karby przez czynniki objektywne, społeczne produkcji i pośrednictwa niema mowy. Nawet tam, gdzie państwo staje się wytwórcą, musi przesiąknąć metodami stosowanemi przez poszczególnych homines economici.

Wprawdzie powstaje organizacja zawodowa, robotnicza, ale są to dopiero pierwsze próby wskrzeszenia organizmu ekonomicznego społeczeństwa, którego miejsce jest pomiędzy państwem a jednostką, który został tak wspaniale zapoczątkowany w średniowieczu, a tak lekkomyślnie zniszczony w wiekach późniejszych, który przecież w dzisiejszych stosunkach, po dłuższej przerwie musiałby być od początku tworzony i rozbudowywany odpowiednio do potrzeb dzisiejszych.

Następnie weźmy pod uwagę moment spekulacji, który jest tak charakterystyczny dla ustroju kapitalistycznego. Homo

economicus wyzwolony z więzów moralności chrześcijańskiej, niekrępowany przez państwo nie zna żadnych hamulców w dążeniu do nieograniczonego zysku. Celem produkcji staje się nie wytworzenie rzeczy najlepszej, najużyteczniejszej dla społeczeństwa, dla bliźnich, lecz rzeczy najłatwiejszej i najdogodniejszej do szybkiej sprzedaży z dużym zyskiem. Niesumienny pośrednik, handlarz i oszust w jednej osobie zaczyna wypierać coraz bardziej typ uczciwego kupca i solidnego producenta.

Pieniądz zaczyna odgrywać coraz większą rolę i staje się wreszcie fetyszem świata. Zwiększa się coraz bardziej ilość znaków obiegowych, następują jaknajdalej idące ułatwienia obiegowe i kredytowe, aby kapitał, jak ta krew przelewająca się przez żyły i tętnice organizmu, mógł pulsować jaknajszybciej. Sercem organizmu gospodarczego jest bank i giełda, które stają się coraz bardziej narzędziem spekulacji.

Konkurencja i spekulacja — to cechy zasadnicze ustroju. Prowadzą one w wyżej wskazanych warunkach do wzbogacenia niewielu kosztem reszty, do lekkomyślnego tworzenia nowych warsztatów dla doraźnego zysku, do walki o rynki zbytu — bez kontroli jakiegoś objektywnego czynnika społecznego, bez patrzenia w przyszłość.

Prawda, tworzy się coś w rodzaju władzy na terenie życia ekonomicznego. Jest to zakonspirowana oligarchja najbogatszych lichwiarzy, spekulantów i bankierów. Oni reprezentują tresty i kartele, oni toczą z sobą zacięte walki kosztem swoich robotników i zawierają rozejmy również ich kosztem. Oni regulują dopływ ożywczych środków obiegowych. Ludzie ci coraz bardziej oddalają się od produkcji w istotnem tego słowa znaczeniu. Są oni właściwie pośrednikami w rozdzielaniu kredytów. Kapitał, który reprezentują jest kapitałem pur sang finansowym, a nie wytwórczym. Oto dyktatorowie ustroju kapitalistycznego, oto ci, o których pisze Ojciec św. Pius XI w Quadragesimo Anno, że bez ich woli nikt oddychać nie może.

* * *

Już w w. 19 psuło się raz po raz w źle zmontowanym mechaniźmie. Trafiały się kilkakrotnie chwilowe kryzysy konjukturalne na rynku takim, czy innym, a nawet o charakterze szerszym w takiej, czy innej branży. Lecz kryzys trwały nastąpił dopiero po wojnie światowej.

Zasadniczem zjawiskiem współczesnego kryzysu jest ogólna nadprodukcja i bezrobocie, a co zatem idzie, likwidacja przemysłu, zmniejszenie dochodu narodowego i państwowego, redukcja budżetów państwowych, wreszcie t. zw. kryzys zaufania. Do tego dołączył się jeszcze kryzys w rolnictwie.

Teoretycznie biorąc, zjawiska te same mogłyby nastąpić bez wojny światowej. Ustrój kapitalistyczny cechuje, jako jeden z czynników dodatnich, ogromny wzrost nauk przyrodniczych i matematycznych, a w konsekwencji tego — techniki i wynalazków. Przemysł jednak maszynowy poszedł za daleko, wywypierając prawie zupełnie pracę rąk ludzkich. Udostępnił on szerokim masom społeczeństwa możność korzystania z techniki, wynalazków i z rozmaitych udogodnień cywilizacji materjalnej, z drugiej jednak strony zamienił te masy w niewolników maszyny. Pośrednicy, wyszukując gorączkowo odbiorców i konsumentów, starali się udostępnić swój towar szerokim masom społeczeństwa i podnieśli wskutek tego, często nawet sztucznie, poziom jego potrzeb, wytwarzając coraz to nowe potrzeby w znaczeniu ekonomicznem. Wzrost tych potrzeb był jednak niewspółmierny do ogólnego kulturalnego rozwoju ludzkości i prędzej czy później musiał pozostać za produkcją, która rozwijała się w sposób chaotyczny i sztuczny w kierunku zaspokojenia żądzy zysku oligarchji spekulantów. Prędzej, czy później dostępne rynki zbytu okazałyby się za ciasne i nadprodukcja by nastąpiła.

Faktem jest, że wojna światowa wybuchła i wywołała, jak twierdzą jedni, a przyspieszyła, jak utrzymują drudzy — kryzys gospodarczy.

Z chwilą wybuchu wojny państwa wojujące utraciły automatycznie olbrzymią większość swoich rynków zbytu, zarówno wskutek blokady, jak i konieczności skierowania wszystkich wysiłków na zaspokojenie potrzeb wojennych. Równocześnie z powodu wojny nastąpił wzrost maszyny państwowej oraz jej kosztów, szereg działów przemysłu dostał się pod kontrolę państwa, państwo stało się lewjatanem, pochłaniającym nietylko krew, ale i złoto swoich obywateli, używającym wszystkich sił narodu do walki aż do zwycięstwa.

Skończyła się wojna i utracone rynki zbytu w znacznej mierze nie zostały odzyskane, poprostu dlatego, że kraje, które były tymi rynkami, nie obywały się przez 4 lata bez danych

produktów, lecz same rozbudowały swój przemysł, lub nawiązały stosunki handlowe z innymi krajami, które chętnie dostarczały im swoich towarów. Rynek rosyjski został stracony z powodu rewolucji. Ogólnie biorąc, w okresie wojny zwiększyła się ogromnie ilość warsztatów pracy poza Europą, wiele krajów pozaeuropejskich założyło nowe warsztaty i zaczęło konkurować z metropolją. A więc Europa zbiedniała i wyczerpana długą wojną, która pochłonęła olbrzymie sumy i obarczona długami wojennemi — znalazła się bez możności szybkiego powetowania sobie tych strat. Utraciła bowiem swe rynki zbytu. A tu tymczasem trzeba utrzymywać swych bezrobotnych, co zmusza do zwiększenia budżetu. Skąd zaś budżet ma być pokryty, jeżeli społeczeństwo musiało skurczyć swoje warsztaty pracy, lub je wogóle zamknąć.

Nastąpiła trwała, ciągnąca się już lat kilkanaście likwidacja znacznej części warsztatów przemysłowych, ogarniająca coraz to nowe kraje, wyrosła olbrzymia armja bezrobotnych, licząca we wszystkich państwach kilkadziesiąt miljonów ludzi, po pewnym zaś czasie walić się zaczęły bilanse, budżety i waluty najpotężniejszych państw, rządy musiały przystąpić do likwidowania rozrosłych w okresie etatyzmu agend państwowych, zwiększając przez to jeszcze istniejące bezrobocie.

Wszyscy poszukują gorączkowo rynków zbytu i wydzierają je sobie wzajemnie. Barjery ceł protekcyjnych ogrodziły wszystkie państwa od siebie chińskim murem. Stara teorja Lista o samowystarczalności stała się z konieczności bardzo modną. Niestety, całkowita samowystarczalność jest w dzisiejszych warunkach niemożliwością.

Oczywiście tego rodzaju zjawiska, połączone ze wstrząsami na giełdzie, z paniką i pesymizmem na terenie życia ekomicznego, musiały wywołać kryzys zaufania. Kredyt, instytucja, na której opiera się całe współczesne życie gospodarcze, został zredukowany do minimalnych rozmiarów. Pieniądz ucieka, ukrywa się w rozmaite zakamarki, poszukuje gorączkowo miejsc pewniejszych, zmienia je od czasu do czasu.

Stopniowo zanika w społeczeństwie zaufanie do waluty. Wstrząs w tej dziedzinie nastąpił już podczas wojny w okresie inflacji, potem mieliśmy kilka lat większego zaufania, a teraz

znowu nadszedł okres wielkiego pod tym względem pesymizmu. Nawet funt szterling zachwiał się, rozmaicie mówią o dolarze.

Wstrząs ogólny odczuli wkrótce na własnej skórze potentaci kapitału finansowego, wielcy spekulanci doby obecnej. Zawsze byli bezpieczni i pewni siebie, lecz lata ostatnie przyniosły im wiele gorzkich rozczarowań. Niektórzy nawet samobójstwem kończyli swoje operacje. Już się zakończyły piękne dni Aranżuezu... Coś się zaczęło psuć w państwie Duńskiem...

* * *

Kryzys gospodarczy uderzył w pierwszym rzędzie w najbardziej przemysłowe, wielkokapitalistyczne narody. Wielka Brytanja, której wszechświatowa potęga jest tak ściśle związana z ustrojem kapitalistycznym, której rolnictwo zostało całkowicie zabite przez przemysł, Niemcy, konkurujące przed wojną tak skutecznie z Anglją w dziedzinie handlu międzynarodowego, których ludność miejska wynosi około 70%, posiadające olbrzymi przemysł zmechanizowane Stany Zjednoczone — oto kraje liczące najwięcej bezrobotnych, mające olbrzymie deficyty budżetowe.

Stosunkowo lżej odczuwa kryzys Francja. Ma ona większy procent ludności rolniczej. Pozatem jest to kraj średnich i drobnych posiadaczy — rentjerów (bourgois) o ludności bardzo pracowitej i oszczędnej. Zgromadzili więc Francuzi wielkie oszczędności, pieniądz ma wielkie do nich zaufanie, w latach 1931 i 32 ogromne kapitały zostały ulokowane w Banku Francuskim. Ponieważ zaś Republika fukcjonuje względnie zupełnie sprawnie, tworząc zaszczytny wyjątek wśród miotanych wstrząsami politycznymi innych państw Europy — przeto kredyt i zaufanie gości obecnie we Francji. Jest ona bankierem Europy. Dumna Anglja musiała ją prosić o pożyczkę.

Jeżeli teraz przejdziemy do Polski, to przedewszystkiem stwierdzić należy, że objektywne i zasadnicze warunki gospodarcze przemawiają raczej na naszą korzyść.

Jesteśmy krajem po większej części rolniczym (w 70%), nie mamy zbyt wielkiego przemysłu, stosunkowo późno przemysł fabryczny zaczął u nas powstawać. Glebę mamy urodzajną, liczne skarby podziemne, ludność względnie pracowitą i spokojną. W porównaniu z innymi krajami Europy — nie grozi nam przeludnienie. Przeciwnie, rozporządzamy obszarami słabo zaludnionymi, podatnymi do kolonizacji. Jeżeli chodzi o zasadni-

cze warunki na rynku pracy — to można zauważyć, że wiele prac, niecierpiących zwłoki, stoi otworem przed polskim robotnikiem. Gdyby tylko można było przystąpić obecnie do rozbudowy środków komunikacji, regulacji rzek, meljoracji rolnych, osuszenia błot i t. d. — nie byłoby u nas ani jednego bezrobotnego.

Dlaczego więc mimo tak dobrych zasadniczo warunków, odczuwamy kryzys gospodarczy nie lżej od krajów wielkokapitalistycznych, mała produkcja nasza zamiera, rolnictwo cofa się, liczba bezrobotnych jest stosunkowo tak znaczna, deficyt w budżecie państwowym rośnie?!

Trzeba sobie odpowiedzieć wyraźnie: Przyczyna tkwi w złej i błędnej polityce gospodarczej i finansowej, a także w polityce wewnętrznej, która podcina zaufanie do Polski i sprawia, że nie możemy uzyskać nawet tych pożyczek zagranicznych, które w obecnej marnej konjunkturze byłyby jednak możliwe do otrzymania.

W latach 1926—30 budżet nasz był stale zwiększany: od 1 miljarda kilkuset miljonów doszedł do przeszło 3 miljardów. Był to budżet zbyt duży, jak na możliwości ekonomiczne kraju. Pamiętajmy, że doradcy zagraniczni określali normalny nasz budżet na 1.800 miljonów. Polityka etatyzmu i rozszerzania zadań państwa, prowadzona w latach 1926—29 nie brała pod uwagę tej rozsądnej rady, uważając widocznie względnie dobrą konjunkturę w latach 1926—28 za zapowiedź dobrych czasów na długie lata. W ten sposób państwo wydawało całe zasoby kraju, nie zachowując niczego na czarną godzinę. I nietylko zwiększano budżet, lecz także zaczęto wydawać setki miljonów poza budżetem, a kiedy parlament na to zareagował — odmówiono mu faktycznie prawa kontroli. W ten sposób uznana w całej Europie praworządność budżetowa, polegająca na kontroli przedstawicielstwa ludności nad wydatkami państwowymi — została u nas zakwestjonowana i zastąpiona teorją „luzów" budżetowych, t. j. absolutyzmem w tej dziedzinie. Fakt ten zmniejszył w dużej mierze zaufanie zagranicy do Polski.

Wprawdzie, kiedy nastąpiło załamanie konjunktury, i dochody państwa zaczęły się raptownie zmniejszać, rząd zaczął redukować budżet przedewszystkiem kosztem pensji

urzędniczych. Było już jednak zapóźno. Olbrzymie zasoby zjedzono w latach poprzednich, wydając na rzeczy częściowo może nawet i pożyteczne, lecz w każdym razie takie, z którymi mogliśmy zaczekać jeszcze lat kilka lub kilkadziesiąt. Kasy państwowe pozbawione zostały pieniędzy, a państwo skazane na upokarzające i długo daremne zabiegi o pożyczkę zagraniczną.

Pożyczka zagraniczna jest nam potrzebna nietylko z punktu widzenia obecnego momentu (czerwiec 1932 r.), lecz także z punktu widzenia zasadniczego. Polska posiada zamało kapitału wytwórczego i obrotowego i dlatego nie może podjąć szeregu prac, które wykonywane — w ogromnym stopniu polepszyłyby nasze położenie gospodarcze. Ale, chcąc uzyskać pożyczkę, zwłaszcza w dzisiejszych warunkach, trzeba mieć zaufanie. Wierzyciel powinien wiedzieć, że ma do czynienia z krajem, prowadzącym politykę rozsądną, spokojnie pracującym, który gwarantuje przez to zwrot procentów oraz kapitału. Zaufanie do Polski musi być osłabione z przyczyn od nas niezależnych przez złośliwą propagandę odwetową Niemiec, która wywołuje w Europie raz po raz alarmy wojenne. Do tego dochodzi nasza polityka gospodarcza i wewnętrzna. Nie ulega wątpliwości, że eksperymenty sanacyjne, których jesteśmy świadkami podważyły autorytet Polski na terenie międzynarodowym i ośmieliły wrogą nam propagandę. Pozatem musimy pamiętać, że osłabiły one także więź wewnętrzną społeczeństwa, jego tężyznę i energję, a przez to także zmniejszyły możliwości ekonomiczne kraju, jego odporność na straszny kryzys, który przeżywa.

Jednem słowem: kryzys wszechświatowy, który przeżywa także i Polska, został u nas w dużym stopniu pogłębiony z powodu złej polityki gospodarczej i finansowej, prowadzonej przeważnie przez niefachowców, t. zw. luzów budżetowych i fatalnej polityki wewnętrznej, wprowadzającej kryzys moralny w dziedzinie naszego życia zbiorowego.

Obecny system rządzenia niema w kraju zaufania i nie jest zdolny pociągnąć naród do wielkich czynów i poświęceń, niezbędnych w momentach tak wielkich trudności. To też w pierwszym rzędzie powinna nastąpić zmiana systemu. Dopiero potem można myśleć o jakichkolwiek zasadniczych reformach.

* * *

Niezmiernie ciekawa i charakterystyczna jest rola, jaką odegrał i odgrywa w przeobrażeniach ekonomicznych i społecznych kapitalizmu żywioł żydowski.

Naród żydowski *) był i jest niezwykle oryginalnym z pośród innych narodów świata. W czasach starożytnych oryginalność jego polegała na osobliwej misji religijnej. Po narodzeniu Chrystusa misja ta skończyła się, a religja żydowska uległa zniekształceniu i deprawacji. Proces ten odbywał się równocześnie z rozproszeniem narodu żydowskiego po całej ziemi. Od blisko 2000 lat naród ten nie posiada własnego terytorjum, jest rozproszony po całej ziemi, a mimo to nie stracił swojej indywidualności, nie zasymilował się.

Jedną z cech charakterystycznych, cechujących tryb życia, jaki prowadzi Izrael, wśród otaczających go narodów, jest stosunek żydów do życia ekonomicznego. Naród ten niczem nie zaznaczył się w produkcji i brał w niej minimalny udział, natomiast wykazał wybitną inicjatywę i zdolności w dziedzinie pośrednictwa, które stanowi najzyskowniejszy rodzaj zajęcia. To też lwia część złota ziemi znalazła się w rękach jego synów...

W czasach średniowiecznych żydzi, ograniczeni w zakresie swego ghetta zajmowali się handlem i pośrednictwem, a także udzielaniem pożyczek na procent, co wówczas według nauki Kościoała określane bylo mianem lichwy i zabronione dla chrześcijan. Żydzi chętnie zajmowali się tym pogardzonem, lecz zyskownem zajęciem. Wydoskonaleni w operacjach finansowych, wytwarzając bardzo często nowe ich formy, żydzi już wówczas tworzyli w panującym ustroju średniowiecznym (cechowym) pewnego rodzaju oazę tendencyj i form kapitalistycznych.

Czasy nowożytne dały im szereg bezcennych zdobyczy i umożliwiły szerszą działalność. Dotychczas posiadali w swoich rękach olbrzymie kapitały, rewolucja francuska dała im równouprawnienie polityczne, pozwoliła wyjść z ciasnych ram ghetta i w ogromnej mierze rozszerzyć zakres swojej działalności.

Równocześnie prawie nastąpiły przeobrażenia gospodarcze, które doprowadziły do wytworzenia się ustroju kapitalistycznego.

---

*) W nauce istnieje spór na temat, czy żydzi są narodem. Abstrahując od tego sporu, będziemy dla ułatwienia określać ich tym mianem.

Nadejdzie czas, kiedy historycy wyświetlą rolę, jaką odegrał naród żydowski w powstaniu ustroju kapitalistycznego, a w szczególności w ukształtowaniu się poglądów ekonomicznych, które są tak charakterystyczne dla tego ustroju. Nie ulega wątpliwości, że zapanowanie poglądów skrajnie materjalistycznych w ekonomji było w pewnej mierze dziełem żydów, a w olbrzymiej mierze ich zwycięstwem. Ustrój kapitalistyczny, który na szczycie hierarchji ekonomicznej stawiał pośrednictwo, oparte na spekulacji, bogacące nieliczne jednostki kosztem ogółu — był wymarzonym Eldorado dla Izraela. Odtąd złoto daleko szybciej i w większych ilościach mogło wpływać do kas bankierów i handlarzy żydowskich, oczywiście nietylko żydowskich. Nie ulega jednak wątpliwości, że w chwili obecnej olbrzymia większość tego dziwnego żółtego kruszcu, do którego ludzkość przywiązuje tak wielką wagę—znajduje się w rękach żydów. Statystykę oczywiście trudno przeprowadzić. Nie utrzymałby się żaden minister, któryby spróbował takiej statystyki...

Obserwujemy jednak objaw drugi, napozór sprzeczny z pierwszym. Oto żydzi i to w olbrzymiej większości żydzi, są teoretykami, wyznawcami i propagatorami skrajnych teoryj ekonomicznych, idących w kierunku socjalistycznym i komunistycznym. Przykładem kierownicy i przywódcy socjalizmu i komunizmu we wszystkich krajach oraz twórcy rewolucji komunistycznej w Rosji. Nie chcemy bynajmniej kwestjonować szczerości poglądów wszystkich komunistów żydowskich, ani też przypisywać narodowi temu nieprawdopodobnej jakiejś wszechobecności i wszechmocy. Jest jednak faktem, że niektórzy wielcy kapitaliści żydowscy (np. Jakób Schiff) finansowali rewolucję komunistyczną w Rosji. Jeżeli zaś zastanowimy się nad istotą zagadnienia, to można je określić w ten sposób, że nawet przy zniesieniu prywatnej własności środków produkcji i zaprowadzeniu kolektywizmu żydzi będą mogli odgrywać rolę nadrzędną w życiu gospodarczem przez sprawowanie władzy politycznej, a przez to i wszechwładzy ekonomicznej, gdyż te dwie rzeczy w ustroju takim, jak Rosja sowiecka są z sobą połączone. Jeżeli chodzi o wszechwładzę ekonomiczną, o sprawowanie ius utendi et abutendi — to, zaiste, mała jest różnica między multimiljarderem amerykańskim, a komisarzem ludowym w Rosji Sowieckiej. Jeżeliby przy okazji takiego przewrotu udało się narodowi żydowskiemu zniweczyć

i wyeliminować religję, Kościół, ustrój rodzinny i inne instytucje życia zbiorowego narodów, w łonie których mieszka Izrael, a przez to zlikwidować całe ich dotychczasowe podstawy kultury i cywilizacji — cóż stałoby na przeszkodzie do panowania jego nad światem?

Widzimy więc, że specyficzny imperjalizm tego dziwnego narodu, żądza jego do panowania nad innemi narodami—odegrały wcale nie drugorzędną rolę w kształtowaniu się licznych przemian ekonomicznych i w dalszym ciągu jeszcze rolę swoją odgrywać będą. Z tego musi sobie zdawać sprawę dzisiejszy społecznik, ekonomista i polityk, gdyż w przeciwnym razie pomijałby jeden z czynników dzisiejszego układu sił.

* * *

Przechodzimy wreszcie do najważniejszego zagadnienia: jakie skutki pociągnie za sobą kryzys gospodarczy i w jakim kierunku iść winny przeobrażenia ustrojowe. Są to pytania bardzo trudne, gdyż dotyczą wydarzeń przyszłych. Wiemy zaś z doświadczenia, jak trudno przepowiedzieć przyszłość, np. co stało się po kilkudziesięciu latach z błyskotliwą i napozór tak logiczną teorją Adama Smitha, lub Karola Marxa....

Wielu ekonomistów i publicystów przepowiada upadek państw i narodów najbardziej uprzemysłowionych, wielkokapitalistycznych i wogóle pewien zastój w rozwoju techniki i przemysłu. W związku z tem ma nastąpić ogólne zbiednienie, powstrzymanie powstawania nowych potrzeb i wogóle zachwianie się podstaw dzisiejszej cywilizacji materjalnej. Może to i lepiej... Może w ten sposób Bóg zamierza skierować umysły ludzi ku dobrom wiecznym, ku zasadom moralności, a odwrócić ich uwagę od rozpanoszonego w ustroju kapitalistycznym złotego cielca.

Z drugiej strony wiemy, że dalszemu likwidowaniu przemysłu i redukowaniu funkcyj państwa towarzyszyć mogą objawy, które są zwykle połączone z nędzą szerokich mas, jak przewroty i rewolucje społeczne, gospodarcze i polityczne. Zwłaszcza, że do kryzysu ekonomicznego przyłączył się, jak wiemy, w wielu państwach ostry kryzys polityczny. Ustrój parlamentarny, który w normalnych warunkach okazywał się formą wystarczającą nie wszędzie dzisiaj potrafił spełnić swoje zadania. W wielu krajach zmieniony został przez dyktaturę, forma zaś taka odznacza się tem, że jest środkiem nadzwyczajnym i wymaga

koniecznie... bardzo zdolnego i wybitnego dyktatora. Tacy zaś nie wszędzie się trafiają... Zła dyktatura jest lekarstwem, jeszcze gorszem od choroby. Sytuację komplikują jeszcze konflikty międzynarodowe, które niestety, od niepamiętnych czasów zawsze towarzyszą ludzkości. Wojna zaś pogłębia trudności ekonomiczne i przynosi za sobą upadek obyczajów. Pomyślmy, coby się stać mogło, gdyby wybuchła nowa wojna światowa. Jak wielkie możliwości działania stanęłyby przed propagatorami komunizmu! Zaiste, czasy dzisiejsze należą do bardzo niespokojnych i brzemiennych w następstwa.

W tych ciężkich i trudnych warunkach narody mają przeprowadzić zasadniczą reformę ustroju gospodarczego. Zadanie olbrzymie, przekraczające siły jednego pokolenia. Niewątpliwie rozłożone zostanie na kilka pokoleń, nasze jednak musi je rozpocząć, musi zdecydować się zasadniczo na kierunek reformy.

Reforma iść powinna w kierunku zasad zawierających odwieczną prawdę, które już nieraz uratowały kulturę i cywilizację przed zagładą, które w okresie średniowiecznym, kiedy nauki przyrodnicze i matematyczne były jeszcze w powijakach i nie posiadano dzisiejszych wspaniałych wynalazków i dzisiejszej techniki—zapewniły jednak społeczeństwu ustrój gospodarczy względnie dość harmonijny i uporządkowany. Z niesłychaną lekkomyślnością zburzono później zręby tego ustroju, aby dojść do dziesiejszej katastofy. Dawne czasy już nie wrócą, ale wrócić muszą zasady odwieczne, na których winien się wspierać każdy ustrój społeczny. Zasady te w formie nowej, dostosowanej do potrzeb dzisiejszych wskazane są w encyklikach społecznych Stolicy Apostolskiej, a w szczególności w Rerum Novarum i Quadragesimo Anno.

Nowy ustrój winien się opierać na zasadach miłości i sprawiedliwości chrześcijańskiej t. j. zbudowany być powinien w ten sposób, aby jaknajbardziej utrudniał silniejszym wyzysk słabszych, a następnie, aby zapewniony był porządek i ład w stosunkach gospodarczych przez umiejętne regulowanie produkcji i ograniczenie pośrednictwa do roli niezbędnej funkcji w życiu gospodarczem.

I. Przewaga kapitału nad pracą, tak charakterystyczna dla kończącego się ustroju, winna być usunięta przez ograniczenie prywatnej własności i nadanie pewnych praw zorganizowanym

w korporacje producentom. Prywatna własność jest w dzisiejszym społeczeństwie pojmowana przeważnie w sposób pogański, według wzorów dawnego prawa rzymskiego. Należy ścieśnić to pojęcie potrzebami społeczeństwa w myśl zasad chrześcijańskich. Nie wolno natomiast naruszać istoty prawa własności. Ścieśnienie to właściwie już się rozpoczęło przez powstanie ustawodawstwa społecznego. Należy w dalszym ciągu ją kontynuować zapomocą poddania w pewnej mierze przemysłu pod nadzór korporacji oraz przez prawo spadkowe, które naszem zdaniem winno oddawać część spadku nietylko w ręce państwa, lecz także w ręce zorganizowanego gospodarczo społeczeństwa. Prócz tego można wypróbować i wprowadzać w czyn koncepcję udziału w zyskach. Poszanowanie i cześć dla pracy winno być wpojone w umysły społeczeństwa. W myśl Rerum Novarum i Quadragesimo Anno dobro powszechne społeczeństwa winno być zasadą regulującą równowagę między pracą a kapitałem.

II. Równocześnie z ograniczeniem indywidualistycznie potraktowanych przez liberalizm i zbyt daleko posuniętych praw jednostki produkującej muszą powstać między nią a państwem organizacje społeczne, będące emanacją samorządu gospodarczego społeczeństwa, wyposażone w pewnym zakresie w prawa dotychczas przysługujące państwu: wydawania ustaw i przepisów, regulujących produkcję. Korporacje te, złożone z przedstawicieli pracy i kapitału i zorganizowane w ten sposób, aby wychowywały obydwa te czynniki w kierunku wzajemnej współpracy będą z jednej strony narzędziem zlikwidowania przewagi kapitału (przynajmniej w pierwszym okresie swego istnienia), z drugiej zaś strony—zaprowadzenia ładu i porządku w produkcji, aby rozwój jej nie odbywał się w sposób chaotyczny, a celem było dobro społeczeństwa, nietylko wzbogacenie jednostek. Oczywiście nad całokształtem gospodarstwa narodowego musi czuwać państwo, które jest w ostatniej instancji regulatorem najważniejszych problemów życia gospodarczego. Nie uważamy również bynajmniej za wykluczoną współpracę wszystkich państw i ich współdziałanie w kierunku zaprowadzenia jakiegoś ładu i porządku w stosunkach gospodarczych, oczywiście w pewnym tylko zakresie.

Konieczność założenia korporacji podkreśla bardzo silnie Quadragesimo Anno, zaznaczając, że w interesie samego państwa leży, aby sprawy mniejszej wagi i zabiegi drobiazgowe po-

zostawić „niższym zespołom", zachowując dla państwa prawo ogólnej kontroli.

Jesteśmy zwolennikami zbudowania korporacyj w ten sposób i nadania im takich kompentencji, aby mogły mieć w ręku inicjatywę stopniowego przeobrażania ustroju przez ograniczanie wielkich, indywidualistycznych przedsiębiorstw, a popieranie małego i średniego stanu posiadania. Oczywiście na początku powstaną liczne konflikty, lecz konflikty te będzie rozstrzygać w ostatniej instancji państwo, mając na uwadze konieczność ewolucyjnego przeobrażenia ustroju. Gdy korporacje posiadać będą daleko idące uprawnienia, wówczas nastąpi także nie przymusowe, lecz dobrowolne przywiązanie jednostki do jej warsztatu pracy i stosunek między pracodawcą i pracobiorcą przestanie być często dorywczym („gotówkowym"), lecz będzie opartym także na wspólnej przynależności do jednej organizacji korporacyjnej.

Koniecznością wreszcie jest ograniczenie pośrednictwa, którego rola w ustroju kapitalistycznym stała się nieproporcjalnie wielka, co przyczyniło się w dużej mierze do przeżywanego obecnie kryzysu. Jak podkreśla Quadragesimo Anno, obecnie dyktatura ekonomiczna zastąpiła wolność gospodarczą, proklamowaną przez liberalizm. Dyktatura ta znajduje się w ręku nielicznych jednostek, bądź właścicieli, bądź zarządców powierzonego im kapitału, które „uzależniają od siebie kredyt i przydzielają go według własnej woli" — „tak, że przeciw ich woli nikt oddychać nie może". Chodzi więc już nietylko o pośrednictwo w dziedzinie handlowej, lecz w dziedzinie kredytowej, nietylko w stosunkach indywidualistycznych, lecz w stosunkach międzynarodowych o ten t. zw. kapitał finansowy, który uważa się za władcę całego świata, którego celem jest nie produkcja, lecz spekulacja.

Ten niesłychany rozrost spekulacji, który stanowi cechę zasadniczą kończącego się ustroju powinien zostać ukrócony odpowiednimi przepisami prawa zarówno wewnątrz państw, jak i prawa międzynarodowego. Chodzi tu o reformę prawa bankowego i walutowego. Są to, niestety, posunięcia bardzo trudne, wymagające współdziałania wielu państw.

IV. Najważniejsza jednak reforma, bez której niczego się nie przeprowadzi, leży w dziedzinie wewnętrznej, wewnątrz du-

szy ludzkiej i sumienia. Chodzi o reformę obyczajów, żadne bowiem zmiany ustawodawcze, czy gospodarcze nic nie pomogą, gdy dusza ludzka pozostanie wewnątrz pogańską i materjalistyczną, gdy ludzie nadal, jak drapieżne zwierzęta z niepohamowaną chciwością wydzierać sobie będą dobra tego świata, gdy nadal panować będą materjalistyczne poglądy w dziedzinie ekonomji.

Całe ustosunkowanie współczesnego człowieka do zjawisk ekonomicznych musi uledz gruntownemu przeoraniu i przeobrażeniu. Celem produkcji nie może być nadal żądza nieograniczonego wzbogacenia się, nadużycia dóbr ekonomicznych dla swoich wyłącznie egoistycznych celów. Celem produkcji winno być wytworzenie dobrego wytworu uczciwie i solidnie i zaspokojenie w ten sposób potrzeb swoich i potrzeb społeczeństwa. Dużo jeszcze wody upłynie zanim zniepRawiona w okresie pogańskiego ustroju gospodarczego, psychika współczesnego człowieka — nagnie się do tego rodzaju pojmowania swych ekonomicznych zadań.

* * *

Kto ma przeprowadzić tę reformę?

Oczywiście mogą ją przeprowadzić — i to nie od razu — długą i uciążliwą pracą całych pokoleń — tylko katolicy — uświadomieni i zorganizowani.

Stolica Apostolska zwracała się niejednokrotnie do katolików w tej sprawie, nawołując do pracy w myśl zasad wskazanych w encyklikach społecznych. W wielu dziedzinach działać może Kościół bezpośrednio zapomocą duchowieństwa. Są jednak sprawy czysto gospodarcze i polityczne, w których Kościół ma ręce mniej lub więcej związane. Tam działać mogą i powinni katolicy świeccy.

Wszystkie prawie kraje w całości lub częściowo katolickie odpowiedziały pozytywnie na szczytne i wielkoduszne wezwanie Stolicy Apostolskiej, tworząc u siebie ruch chrześcijańsko-społeczny: organizacje kulturalno-oświatowe, zawodowe i polityczne, działające w myśl zasad encylik społecznych. Organizacje te odegrały na zachodzie poważną rolę w likwidowaniu pierwszej fazy kryzysu, w II połowie 19 wieku przez tworzenie ruchu zawodowego i forsowanie ustaw społecznych. Obecnie w momencie krytycznym II-iej fazy kryzysu jeszcze cięższe i trudniejsze zadania i obowiązki stoją przed nimi.

W Polsce rozwój ruchu chrześcijańsko-społecznego opóźniony jest przez konserwatyzm pojęć i niezrozumienie współczesnych zjawisk ekonomicznych które znajdujemy, niestety, tak często wśród inteligencji katolickiej.

Odrodzenie idei katolickiej, które na zachodzie powstało już przed kilkudziesięcioma laty, doszło do nas dopiero przed 10 laty i na razie odzwierciedliło się tylko wśród inteligencji i tylko w dziedzinie życia indywidualnego. Natomiast, jeżeli chodzi o odrodzenie katolickiej idei społecznej i ekonomicznej, to starsze pokolenie inteligencji jest przeważnie głuche na te zagadnienia, a w młodym — zaobserwować można dopiero słabe początki.

To zjawisko tłumaczy, dlaczego u nas wśród mas ludowych, przywiązanych tradycyjnie do wiary i Kościoła, uczęszczających do kościoła i przyjmujących Sakramenta św. tak wielki wpływ uzyskały kierunki radykalne i antykatolickie w dziedzinie politycznej i gospodarczej. To bardzo proste. Inteligencja radykalna bierze czynny udział w pracy wśród ludu i dla ludu, pracując po swojemu, w myśl programu socjalistyczno-radykalnego nad polepszeniem jego bytu. W ten sposób zdobywa ona bardzo łatwo placówki, na których katolicy wogóle się nie pojawiają, albo też pracuje mała tylko ich garstka, nie mogąca sprostać naporowi radykałów. A wśród ludu wytwarza się koncepcja, że można być katolikiem w kościele, a socjalistą, lub radykalnym ludowcem przy wyborach.

Aby sprawę postawić zupełnie jasno, musimy stwierdzić, że zagadnienie utrzymania praw Kościoła jest w Polsce do pewnego stopnia związane z zagadnieniem społeczno-gospodarczym. Nie utrzymamy bowiem w życiu zbiorowym zasad katolickich i praw Kościoła, jeżeli lud będzie znajdował się w dalszym ciągu w tak znacznej mierze pod wpływem inteligencji radykalnej. Musimy więc lud zorganizować w myśl zasad katolickich pod kierunkiem i przy pomocy inteligencji katolickiej. Takie zaś zorganizowanie jest niemożliwe bez równoczesnego opracowania i propagowania praktycznego programu reformy stosunków społeczno-gospodarczych. To zagadnienie bowiem jest najbardziej żywotnym dla warstw ludowych. Bez postawienia go na właściwej płaszczyźnie wszelka praca wśród ludu byłaby daremna. Tak więc reforma socjalna wiąże się integralnie z całokształtem zagad-

nień katolickich w Polsce, nietylko w znaczeniu teoretycznym (co jest poza dyskusją), lecz także praktycznym.

Istnieje w Polsce ruch chrześcijańsko-społeczny, do którego garną się chętnie masy robotnicze. Mimo obojętności i bierności inteligencji, wśród mas ludowych nie wygasło przywiązado wiary i idei katolickiej. Ręka robotnika i chłopa polskiego jest wyciągnięta do innych warstw społecznych. Można się jeszcze kusić o rząd dusz nad polskim ludem. Lecz czy długo będzie trwała ta sprzyjająca konjunktura psychiczna? Czy nędza wywołana kryzysem gospodarczym i nasz wewnętrzny kryzys polityczny nie zniechęci mas ludowych i nie pchnie ich w odmęty prądów radykalnych? Oto pytania, które zadaje sobie garść inteligencji chrześcijańsko-społecznej, pracująca z wielkim trudem i poświęceniem, a pozbawiona pomocy i zrozumienia ze strony ogółu inteligencji katotolickiej.

Główną przyczyną słabości ruchu chrześcijańsko-społecznego w Polsce jest zbyt mała ilość inteligencji katolickiej w tym ruchu. Masy bowiem ludowe musi organizować inteligencja. Z niej tylko rekrutować się mogą oficerowie i sztaby ruchu. Bez niej masy ludowe nie potrafią zorganizować się w kadrach wymagających uświadomienia katolickiego i wyrobienia metod katolickich. Aby organizacja posiadała siłę wewnętrzną, potrzebny jej jest intellekt katolicki, reprezentowany przez ludzi posiadających naukę i wykształcenie. Z drugiej strony zagadnienie społeczno-gospodarcze nie da się rozwiązać przy zielonym stoliku przez snucie abstrakcyjnych formułek. Nauka jest niezbędna, lecz musimy pamiętać. że „non scholae sed vitae discimus. Oprócz nauki ekonomicznej katolickiej musi być akcja organizacyjna i uświadamiająca, a potem muszą przyjść posunięcia na terenie życia gospodarczego i politycznego.

Stoimy więc przed bardzo ważnym problematem, od którego rozwiązania będzie zależała przyszłość Polski i katolicyzmu w Polsce. Chodzi o to, w jaki sposób zainteresować naszą inteligencję, a w pierwszym rzędzie młodą inteligencję katolicką zagadnieniem społeczno-gospodarczem, reformą stosunków ekonomicznych, w jaki sposób skłonić ją zarówno do studjów w tym kierunku, jak i do pracy praktycznej w organizacjach chrześcijańsko-społecznych....

Stefan Kaczorowski.

Święty Piotr Damiani na tle swojej epoki.

Zależność wyższego duchowieństwa od władzy świeckiej rozpoczyna się w wieku IX i X-tym.

W czasie zaburzeń królowie niemieccy nadawać zaczęli biskupom i opatom dobra koronne, a począwszy od Ottona I, nawet całe hrabstwa, aby wzamian znaleść w nich oparcie przeciwko nieprzyjaznym, a możnym książętom cesarstwa. Wytworzyły się w ten sposób stosunki lenne, zagrażające wolności Kościoła, gdyż królowie uważali, że rozdając dobra, mają przez to prawo wpływania na obiór dostojników Kościoła i udzielania im godności, przyczem, rzecz oczywista — dawali często pierwszeństwo swoim krewnym, lub takim kandydatom, o których wiedzieli, iż w zupełności na nich polegać będą mogli. Pozatem obdarzając ich inwestyturami, wręczali także biskupom i opatom oznaki ich godności — pierścień i pastorał, co wywoływało wrażenie, jakoby władza kościelna zależała od świeckiej. Do tego przyłączyła się jeszcze symonia, czyli występek polegający na kupczeniu rzeczami świętemi i godnościami kościelnemi.

Stosunki te mimo usiłowań papieży, którzy pragnęli je zmienić, trwały jeszcze w wieku XI-tym i dopiero po długiej i uciążliwej walce zakończyły się ugodą zawartą w Worms w r. 1122 pomiędzy cesarzem Henrykiem V a papieżem Kalikstem II. W ugodzie tej, zwanej Konkordatem Wormskim, cesarz w swojem i swych następców imieniu zrzekł się uzurpowanych praw, godzących w wolność Kościoła.

Ta czasowa zależność od władzy świeckiej wydała gorzkie owoce w wielkim upadku życia religijno-moralnego i początkiem w. XI-go Kościół znalazł się w pożałowania godnym stanie. Światowość i różne występki rozpanoszyły się wśród duchowieństwa, budząc wśród wiernych zniechęcenie a nawet tu i owdzie czynną reakcję. Lecz Opatrzność Boża czuwa zawsze i kiedy zachodzi potrzeba, zsyła mężów obdarzonych tak wysokiemi zaletami umysłu i hartem ducha, że od nich, jak od pochodni, tryska żywe światło, rozpalające w duszach przygasającą pod popiołami ułomności ludzkich i występków, wiarę i żarliwość religijną.

Do mężów takich należał św. Piotr Damiani, teolog, asceta, dyplomata, nieustraszony bojownik i obrońca czystości życia

duchownego. Był on jednym z najmędrszych i najświętszych ludzi XI-go wieku, współczesnym i przyjacielem innego wielkiego męża tej pamiętnej epoki — mnicha Hildebranda, archidyakona Kościoła rzymskiego, późniejszego wielkiego i świętego papieża, Grzegorza VII.

Tak samo jak Hildebrend, był Piotr synem ubogich rodziców. Urodził się w Ravennie, starej stolicy egzarchatu bizantyńskiego w r. 1007, jako najmłodszy z nader licznego rodzeństwa. Podobno z powodu żalu jednego ze starszych braci, z przyczyny niedostatku niechętnie patrzącego na przyrost rodziny, matka pozostawiła niemowlę samemu sobie. Dziecię bliskie już było śmierci, gdy użaliła się nad niem poczciwa sąsiadka, odchuchała, przywróciła do życia i surowem upomnieniem skłoniła matkę do spełniania macierzyńskich obowiązków. Jednakże rodzice małego Piotra bardzo rychło go odumarli. Wziął go do swego domu żonaty brat, lecz i on był bardzo biedny, niezadowolony więc z ciężaru, jaki spadł na niego, obchodził się z chłopcem bardzo źle i nawet często bił go. Biedny sierota głodny i obdarty, za nędzny kawałek chleba wysługiwał się rodzinie, pełniąc najniższe posługi. Zamiast się uczyć, paść musiał świnie.

Jednakże takie postępowanie nie zabiło w chłopcu uczuć rodzinnych. Nigdy nie wymieniał imienia owego brata, który się z nim tak nieludzko obchodził. Z biografji Piotra poznajemy inny jeszcze, dodatnio o jego przywiązaniu do rodziny i dobrem sercu świadczący szczegół. Oto razu pewnego znalazł monetę i długo namyślając się, co począć z tak wielkim na jego stosunki skarbem, w końcu zdecydował się złożyć ów pieniądz jako ofiarę na mszę za zmarłych rodziców.

Przyszedł jednak kres jego cierpieniom. Pewnego dnia zjawił się w Ravennie inny brat Piotra, Damian, który wstąpiwszy do stanu duchownego kształcił się w naukach zdala od rodzinnego miasta. Ów brat, zajmujący później wysokie stanowisko w kapitule, zmartwił się zaniedbaniem, w jakiem znalazł dorastającego już chłopca. Wziął go do siebie, zajął się wychowaniem i wykształceniem a poznawszy wielkie jego zdolności, wybrał dla Piotra karjerę naukową. Piotr pokochał bardzo Damiana, który był dla niego prawdziwym ojcem i z wdzięcz-

ności przyjął jego imię, zowiąc się odtąd Piotr Damian, lub jak inni piszą — Damiani, co znaczy: brat Damiana.

Zdolność i pilność pozwoliły Piotrowi odzyskać czas utracony przez zaniedbanie w chłopięcym wieku i przeszedłszy w słynnej podówczas szkole w Parmie kompletny kurs nauki w trivium i quadrivium — wykształciwszy się w gramatyce, retoryce i dyalektyce, arytmetyce, geometrji, muzyce i astronomji, z kolei sam został profesorem. Niezwykła uczoność przy żywości fantazji, ruchliwości umysłu, trafnym i bystrym dowcipie, pozyskała mu wśród licznych uczniów i wielką sławę.

Liczył wtedy lat 25. Patrzał już na wszystko krytycznem okiem i smutne przykłady, jakie widywał dokoła siebie, prędko obrzydziły mu świat i jego marności. Rozumiał, że sława, pieniądze i używanie, to nie były dobra, o jakie warto było się ubiegać. Już wówczas nosił pod ubraniem włosiennicę, dużo pościł, umartwiał się i modlił, nie opuszczając nigdy codziennej mszy świętej. Aby w sobie wyrobić pokorę, zapraszał do swego stołu ubogich i chorych, którym sam usługiwał.

Urok samotności, którąby pozwoliła mu w zupełności oddać się modlitwie i rozmyślaniom, pociągał Piotra coraz więcej. We Włoszech było wówczas wiele klasztorów nie odpowiadał mu jednak ówczesny wygodny i często światowy tryb życia jego mieszkańców. Pewnego dnia, nie uprzedziwszy rodziny, ze strony której obawiał się sprzeciwu, wybrał się do Fonte-Avellana koło Gubbio, w Apeninach, gdzie była pustelnia założona około r. 1000 przez biskupa z Gubbio — Ludolfa, towarzysza św. Romualda.

Piotr Damiani znalazł to, czego szukał.

Bracia z Fonte-Avellana zajmowali się naukami, ale tylko o tyle, o ile było to potrzebne dla zgromadzenia, częściowo zaś pracą ręczną i rolnictwem. Panował w pustelni duch surowej pokuty i umartwienia. Mnisi spędzali czas przeważnie na modlitwie, pościli i biczowali się. Nowy pustelnik z zapałem oddał się pobożnym ćwiczeniom a że umysłem i duchem wyrastał ponad swoje otoczenie, stał się swoim towarzyszom zwierzchnikiem, prawodawcą i wzorem świętości. Gdy jeszcze dał się poznać jako świetny mówca, sława jego rozeszła się daleko i na prośbę opatów sąsiednich klasztorów, spędzał w nich czas dłuższy jako kaznodzieja. Przeor w Fonte - Avellana po-

znawszy się na jego zdolnościach i cnotach, przeznaczył młodego mnicha jako następcę po sobie. Rzeczywiście po jego śmierci, około r. 1043, pomimo wzdragań, Piotr Damiani przyjąć musiał tę godność.

Liczba pustelników wzrastała tak szybko, że tworzyć musiano nowe osiedla pustelnicze i klasztory pod kierownictwem miejscowych przeorów, którzy jednak znajdowali się pod dyrektywą Piotra Damiani. Sam on spisał im szczegółowo pobożne praktyki, jakie musieli obserwować a które oparte były na regule św. Benedykta, z pewnemi jednak zmianami. M. in. klasztory Benedyktynów miewały przeora i opata, a w Fonte-Avellana jedynym zwierzchnikiem był przeor. W zespole zakonnym mimo przepisanej ostrej reguły we wzajemnych stosunkach panowała harmonja i miłość braterska.

Sława świętości przeora Piotra Damiani szerzyła się coraz dalej i rosła jego popularność wśród ludu. Wkrótce też nadszedł czas, kiedy stosunki w Kościele zmusiły go do wyjścia z ograniczonej sfery działalności na szerszą arenę doniosłych wypadków.

Była to owa epoka pierwszej połowy XI-go stulecia, kiedy Kościół przechodził ogniową próbę. Wśród wyższego i niższego duchowieństwa panowało rozprzężenie moralne i symonja a nakazany przez papieży celibat księży, trudno było przeprowadzić. Do tego jeszcze ubiegali się o tron św. Piotra papieże samozwańcy, ze swymi stronnikami nieraz gwałtem opanowując stolicę.

Wobec trudności, jakie się nastręczały, obrońcy Kościoła zwrócili się o pomoc do cesarza Niemiec, Henryka III Czarnego, monarchy znanego z pobożności i gorliwości religijnej. Henryk odpowiedział na to wezwanie przybyciem do Włoch i swoją interwencją położył koniec schizmie. Samozwańczy papieże ustąpili i nastał pokój. Cesarz osadził na stolicy Piotrowej pobożnego biskupa bamberskiego, Snidgera, który przybrał imię Klemensa II. Wiedząc, jak wielkie znaczenie ma we Włoszech Piotr Damiani i że bez jego rady i pomocy obcy na ziemi włoskiej papież nie będzie mógł przeprowadzić reformy Kościoła, prosił go Henryk III, aby stanął u boku Klemensa II-go. Piotr jednak odmówił, ale słusznie spodziewając się, że pod

nowym papieżem nastąpić może gruntowna naprawa stosunków, pospieszył z listownemi radami.

Niedługo jednak panował Klemens II, a jeszcze krócej od niego, bo zaledwie 23 dni, jego następca Damazy II-gi, wybrany również przez Henryka III-go. Obiór biskupa Brunona z Toul, (krewnego cesarza niemieckiego Konrada II), który przyjął jako papież imie Leona IX, nastąpił także z poręki cesarza, lecz za zgodą biskupów. Jednakże przy boku nowego papieża stanął już ten, który inne żywił plany — nietylko podniesienia i odnowienia Kościoła, ale również usunięcia nadzorczej, narzucającej się opieki monarchy świeckiego, trzymającej kościół w zależności. Był to skromnego pochodzenia mnich benedyktyński, rodem z Sienny, kształcony w słynnym klasztorze kluniackim, Hildebrand, późniejszy wielki reformator Kościoła i święty—papież Grzegorz VII. Bowiem pierwszem posunięciem Leona IX-go, któremu wielkie cnoty przyniosły także tytuł świętego — było mianowanie Hildebranda kardynałem i powierzenie mu nadzoru nad skarbem papieskim.

Piotr Damiani odgadł zaraz w Leonie IX człowieka o podobnych sobie dążeniach i, napisawszy księgę, w której zwalczał panujące wówczas zepsucie, dedykował ją papieżowi. Książka ta wywołała wielką burzę i niechęć ku jej autorowi. Jak się zdaje, Piotr Damian dając się unieść gorliwości i imaginacji, przejaskrawił w niej i uogólnił sporadyczne fakty, dając obraz stosunków obyczajowych czarniejszy, niżeli był istotnie.

Wśród ludu obudził się także domagający się reformy ruch, ochrzczony przez niechętnych mu pogardliwem mianem „Pataria”, oznaczającem mniejwięcej to samo co „obszarpańcy”. „Pataria” popierała wydane już dawniej zarządzenia papieskie o bezżeństwie duchowieństwa i przeciwko symonji, domagając się nadto, aby osoby świeckie nie przyjmowały sakramentów św. z rąk duchownych, którzy te prawa przestępują i aby nie uczestniczyły w odprawianej przez nich mszy św.

Z ruchem patarzystów spokrewnieni byli ideowo eremici, którzy w pustelniach swych pielęgnowali prawdziwego ducha Bożego i byli ludu trybunami i przywódcami, zwłaszcza benedyktyńscy mnisi, na których zwrócił oczy przyszły wielki reformator, Hildebrand, upatrzywszy sobie ich „stolicę", Monte-Cassino, na rodzaj seminarjum dla przyszłych biskupów rzymskich.

Rzecz zrozumiała, że pomiędzy nim a Piotrem Damiani nastąpiła ścisła współpraca, ci dwaj bowiem walczyli o te same ideały i niejako się uzupełniali. Piotr gorzał ogniem etycznej energji, podczas gdy Hildebrand porywał siłą zimnej rozwagi, nieustraszonego, wszystko zwalczającego młodego ducha, wobec którego pierwszy buntował się nieraz, by zaraz potem kornie chylić przed nim czoło. Zresztą za życia Henryka III-go, z którym przeora z Fonte-Avellana łączyły przyjazne stosunki, nowa, wielka polityka kościelna nie miała jeszcze wyraźnego oblicza. Nastąpiło to z chwilą śmierci cesarza.

Uważano teraz, że czas wyzwolić się z pod hegemonji świeckiej i po śmierci Wiktora II-go wybór nowego papieża w r. 1057 odbył się bez odwoływania do młodego następcy, syna Henryka III, który zresztą był jeszcze niepełnoletni i regencję sprawowała za niego matka, cesarzowa Agnieszka.

Papież Stefan X nie zawiódł pokładanych w nim nadziei i energicznie zabrał się do reformy. Pragnąc pozyskać sobie bliższą współpracę przeora z Fonte-Avellana, mianował Piotra Damiana kardynałem - biskupem Ostji, przez co uczynił go po sobie pierwszym dostojnikiem Kościoła. Nie bez trudu zdołał go jednak nakłonić do opuszczenia pustelni, a nawet wprost zmusił w imię posłuszeństwa. Zlecił mu także administrację osieroconej dyecezji Gubbio. Nowy kardynał krótko potem zwrócił się do swych kolegów kardynałów - biskupów kościoła laterańskiego, najwyższych dygnitarzy Kościoła, z prośbą, aby w epoce wielkiego zepsucia, starali się świecić wszystkim jaknajlepszym przykładem.

Nie otrzymawszy, mimo usilnych próśb, zwolnienia ze swej godności — gorliwy w wypełnianiu nałożonych na siebie obowiązków, Piotr Damiani załatwił pomyślnie sprawy powierzone mu przez następców Stefana X-go — papieży Mikołaja II i Aleksandra II. Zaprowadził porządek w prowincjach i miastach, w których rozwielmożnili się odszczepieńcy Nikolaici i gdzie hulała symonja a zbuntowanych Medjolańczyków śmiałem wystąpieniem znowu dla Stolicy Apostolskiej pozyskał. Stawił skuteczny opór papieżom-samozwańcom — Benedyktowi i Kadaleuszowi, jeździł do Francji jako legat papieża, „jego oko i Stolicy Apostolskiej niewzruszona podwalina". Zwiedził wtedy metropolję mnichów w Cluny, gdzie opatem był św. Hugo i przy-

jęty z wielkiemi honorami, budował się pobożnością znakomitych i uczonych braci, niemniej jednak swoje Fonte-Avellana uważał jako niedościgły wzór ascezy. Na prośbę św. Hugona odprawił ceremonję podniesienia szczątków dawniejszego opata w Cluny, św. Odilona, co się wówczas równało kanonizacji.

Przyciśnięty wiekiem i niedomaganiem fizycznem, Piotr Damiani raz jeszcze prosił papieża o zwolnienie z odpowiedzialnych obowiązków i godności. Papież gotów już był udzielić mu zasłużonego odpoczynku, lecz na wniosek nieugiętego Hildebranda, który uważał, że na tym świecie odpoczywać nie należy, Aleksander II odmówił, godząc się tylko na to, aby w czasie, kiedy kardynał nie będzie potrzebny, usuwać się mógł w swoje zacisze.

Jednakże i po powrocie do Fonte-Avellana Piotrowi Damiani nie pozwolono na to, aby w ciszy ulubionej pustelni oddawać się mógł spokojnie modlitwie i ascezie. Zewsząd spieszono do niego po radę w najróżniejszych sprawach. Sam papież żałując, że zgodził się na rozłąkę, żądał, aby kardynał często do niego pisywał. Wysyła zatem listy z radami.

Omylił się także pustelnik z Fonte-Avellana sądząc, że przynajmniej nie będzie potrzebował już troszczyć się o sprawy publiczne. Aleksander II wysyła go w r. 1060 do Florencji, dla załatwienia powstałego tam konfliktu pomiędzy biskupem a mnichami z klasztoru Settimo. Jego wreszcie, jako biegłego w prawie kanonicznem, wypróbowanej cnoty i roztropności męża, a pozatem przyjaciela domu cesarskiego—śle do Niemiec w pewnej drażliwej misji. Chodziło mianowicie o to, aby skłonił króla Henryka IV, który zamierzał się rozwieść z poślubioną niedawno małżonką Bertą, córką turyngskiego margrafa Odona, do porzucenia tego zamiaru.

Rzym nie mógł obrać lepszego w tej sprawie rzecznika. Niewzruszony, gdy chodziło o zasady, święty mąż, którego rodzice króla bardzo czcili i poważali, błagalną prośbą i groźbą potrafił skłonić Henryka IV do uznania nierozerwalności związku uświęconego przez Kościół.

Przy tej sposobności lud zrozumiał, że Namiestnik Chrystusowy w Rzymie jest najwyższym sędzią na ziemi w sprawach religji i moralności, stróżem obyczaju i prawa boskiego i że w sprawach tych nie czyni ustępstw nawet dla najpotężniejszych monar-

chów świata. Przekonał się także o tem w kilkaset lat później król angielski, Henryk VIII, którego małżeństwa z Katarzyną Aragońską ówczesny papież również nie unieważnił, chociaż doprowadziło to do oderwania się Anglji od Kościoła Rzymskiego.

Powróciwszy do swej pustelni, Piotr Damiani wziął znów pióro do ręki, w listach i traktatach udzielając rad i pouczeń papieżowi, kardynałom, biskupom, mnichom a nawet ludziom świeckim. Poświęcał się też poezji, napisawszy m. in. kilka dużej wartości pieśni religijnych. Czasami dawał upust swojej skłonności do satyry, w pełnych dowcipu epigramatach.

Znowu jednak przerwał się jego odpoczynek. Po śmierci odszczepieńczego i ekskomunikowanego biskupa Ravenny, potrzeba było przywrócić na łono Kościoła jego zbłąkane owieczki. Aleksander II i jego archidyakon Hildebrand powierzyli znów tę misję pustelnikowi z Fonte-Avellana. Piotr Damiani pospieszył więc do rodzinnego miasta. Przyjęty z entuzjazmem i ze skruchą, nałożył na miasto pokutę i zdjął z niego ekskomunikę.

Było to już ostatnie jego dzieło. W drodze do Rzymu, gdzie chciał zdać papieżowi sprawę ze swojej misji zatrzymał się w Fawencji, w klasztorze Santa Maria dei Angeli (dzisiaj Santa Maria Vecchia) i tutaj zmarł na febrę w wigilję święta katedry św. Piotra, d. 23 lutego r. 1072, licząc 66 lat wieku.

Zaraz po śmierci św. Piotra Damiani, nie czekając na oficjalną kanonizację oddawali wierni cześć jego zwłokom i wzywali skutecznej pomocy. Po pierwszem podniesieniu ciała d. 13 kwietnia 1354 r., kilkakrotnie jeszcze otwierano trumnę i przenoszono relikwje, aż ostatecznie d. 26 września r. 1898 złożono je z wielką uroczystością w poświęconej Świętemu kaplicy. Kult św. Piotra Damiani szerzył się najpierw wśród mnichów, zwłaszcza w Monte-Cassino i Cluny, a za tym przykładem poszła rodzinna Ravenna, oraz inne dyecezje tej metropolji. W r. 1823 papież Leon XII zaprowadził oficyum św. Piotra Damiana w całym Kościele, przydając świętemu tytuł doktora.

Najświetniejszy umysł XI w., pustelnik, ambasador papieski, trybun ludu, poeta — św. Piotr Damiani był przedewszystkiem teologiem. Jego znajomość Pisma św., umiejętność trafnego przy każdej sposobności cytowania słów i faktów, była

wprost zdumiewająca. Jako hagiograf pozostawił liczne życiorysy świętych, dla mnichów streścił swą naukę o kontemplacji i życiu doskonałem w dziełku, które dzisiaj jeszcze kapłani i wierni czytać mogą z wielkim pożytkiem. Wreszcie jako bojownik i reformator, niestrudzenie i odważnie zwalczał wszelkie zło zagrażające Kościołowi, nieraz jednak nie żałując zbyt czarnych kolorów, aby błądzących przywieść do opamiętania. Duchowe jego oblicze odzwierciedla się przecież najlepiej w jego listach, których pozostało 158 i które same już świadczą o tem, jak wybitne zajmował wśród swoich współczesnych stanowisko. Cechuje je niezwykła w owej epoce łatwość pióra i erudycja, choć bronią ironji i szyderstwa posługuje się w nich czasemi zbyt bezwzględnie. Wiele tych listów stanowi skarb prawdziwy jako dokumenty historyczne.

W rok po śmierci św. Piotra Damiana zasiadł na tronie papieskim jego przyjaciel, Hildebrand. Rozpoczęła się pamiętna w dziejach Kościoła i rozstrzygająca walka papiestwa z supremacją władzy świeckiej, walka, w której prologu Piotr Damian odegrał jedną z ról najgłówniejszych. Słusznie nazwano go sercem Kościoła XI w., tak jak Hildebrand był jego duszą.

W mrocznej i krwawej epoce w. XI-go, kiedy nawą Piotrową wstrząsały wichry i nawałnice, uderzały o nią mętne fale zepsucia, schizmy i symonji, zesłał Pan Bóg mężów, którzy umocnili rozluźnione wiązania, dźwignęli znów pochylone maszty. I tak „Bazylika Piotrowa panuje wciąż z wyżyn watykańskich miastu i światu!" [1])

Wtedy, kiedy nie zanosiło się jeszcze na taką walkę ze światopoglądem katolickim, jakiej obecnie jesteśmy świadkami— jeden z biografów św. Piotra Damiani, jakby w przeczuciu czasów teraźniejszych, takie w usta świętego znamienne kładzie słowa:

„Ludzie małej wiary, czegoż się obawiacie? Bóg, który obiecał być ze swoimi aż do dopełnienia wieków, nie opuści was w walkach, jakie teraz toczycie z obłędem i grzechem. Tak jak w najmroczniejszych i najburzliwszych epokach historji, tak jak w tym smutnym wieku XI-tym, w którym ja żyłem,

---

[1]) „Quo Vadis" — Henryka Sienkiewicza.

wznieci wśród was świętych i doktorów, aby bronili Kościoła, pocieszali go i głosili jego chwałę." [2]) [3])

Stella Kozłowska.

SPOŁECZENSTWO I WYCHOWANIE.

Wobec niebezpieczeństwa niemieckiego.

Ewolucja, którą przeżywa naród niemiecki, wkracza w fazę coraz bardziej krytyczną i niebezpieczną dla pokoju w Europie.

Rozbójnicze państwo pruskie, wyrosłe na ziemi, zrabowanej plemionom słowiańskim, stało się pod koniec XVIII w. mocarstwem głównie kosztem rozbiorów Polski, a w w. XIX sięgnęło po hegemonję nad całym związkiem plemion niemieckich, cementując go w jedno państwo krwią przelaną na polach bitew.

Od dwustu przeszło lat sroży się militaryzm pruski w Europie, prowokując konflikty zbrojne ze wszystkimi sąsiadami: na północy, południu, wschodzie i zachodzie. Cechą charakterystyczną polityki pruskiej jest nietylko brutalność i zamiłowanie do gwałtu fizycznego, lecz także niezwykła bezczelność i cynizm w stosunkach dyplomatycznych. Naród ten celuje w zuchwałym okłamywaniu całej Europy. Przed pięciuset kilkudziesięciu laty Krzyżacy potrafili przekonać wszystkie dworcy zagraniczne, że Jagiełło pozostał nadal poganinem, a Litwa nie została nawrócona na wiarę chrześcijańską, tak, że wielu Francuzów, Anglików i Włochów walczyło przeciwko nam, myśląc, iż broni wiary Chrystusowej i dopiero trzeba było zwycięstwa pod Grunwaldem i Soboru konstancjeńskiego, aby ówczesny świat cywilizowany zrozumiał, że został oszukany, że krzyżakom chodziło nie o religję, lecz o Litwę, którą uważali już za swoją zdobycz, gdy Polska wyrwała ją z ich krwawych rąk i nawróciła w drodze pokojowej.

---

[2]) „St. Pierre Damian" —per Dom Réginald Biron O. S. B.

[3]) ŹRÓDŁA: 1) St. Pierre Damien—Par Dom Réginald Biron, O. S. B. Paris, 1908. — 2) Peter Damiani — Ein Vortrag von Albrecht Vogel, Jena, 1855. — 3) Der heilige Petrus Damiani, Mönch, Boschof, Cardinal, Kirchen lehrer — Von Dr. theol. Joseph Kleinermanns. Steyl (Rheinprov) 1882. — 4) Historja Kościoła Katolickiego — przez ks. Antoniego Wapplera. (Przekład Ks. Wład. Jakubowicza. Sch. Piar. — Warszawa, 1884.

Obecnie w kilka lat po przegranej wojnie światowej powtórzyło się coś podobnego. Europa czuje widocznie jakąś słabość do kłamstw niemieckich i od czasu do czasu daje się nimi powodować. Nam Polakom, znającym bliżej Niemców i ich metody, wydaje się to nieprawdopodobnym. A jednak fakt. Streseman potrafił przekonać Anglików, Amerykan, ba nawet wielu Francuzów, że cele Reichu są istotnie pokojowe, że zmierza on do lojalnego wykonania przepisów traktatu wersalskiego. Co najciekawsze--podobno Briand wierzył naprawdę w realizację swojej teorji pokojowej. Czyżby rzeczywiście ten w stosunkach wewętrznych zupełnie realny polityk, a w stosunkach zagranicznych taki idealista—przypuszczał, że zbiorowa psyche narodu niemieckiego pod wpływem krwawej wojny, narzuconej światu — złagodniała i oddała się pokojowym refleksjom!

My Polacy wiemy, co się w psychice Niemców działo i dzieje, zbyt bowiem jesteśmy w tem zainteresowani bezpośrednio. W sam dzień klęski i pogromu przyszedł na nich moment przerażenia i upadku ducha. Zdawało im się bowiem, że zwycięzcy postąpią z nimi tak samo, jakby oni postąpili z Europą, gdyby wojnę wygrali. Wówczas może był jedyny moment odpowiedni do zastosowania wobec Niemiec twardej szkoły pedagogicznej, uczącej je współżyć spokojnie z innymi narodami rasy białej w Europie. Można było bardziej okroić terytorjalnie państwo pruskie i odebrać im przez to hegemonję w Rzeszy, można było ściągnąć odrazu w naturze odszkodowania wojenne, przewidując z góry, że naród niemiecki nigdy z zasady nie płaci stypulowanych odszkodowań. Zaniedbano tego. W części przez nieznajomość, lub powierzchowną tylko znajomość metod niemieckich, w części zaś wskutek tego, że z przyczyn, których bliżej omawiać nie będziemy, pewne potęgi międzynarodowe stanęły w obronie Niemiec, a nawet niektórzy sprzymierzeńcy (np. Anglja), uważając, że osiągnęli już cele wojny — usiłowali przeszkodzić zbytniemu w ich mniemaniu osłabieniu Niemiec, aby nie dopuścić do hegemonji francuskiej w Europie.

Dzięki tym, a może innym jeszcze czynnikom Niemcom podyktowano względnie łagodne warunki pokojowe, a w szczególności żadna prowincja zamieszkała w większości przez Niemców, nie została od Niemiec odłączona. Po raz pierwszy w dziejach została zastosowana wobec zwyciężonych tak łagodna meto-

da. Przecież zawsze dotychczas państwo zwyciężone oddawało właśnie prowincje, zamieszkałe przez rdzenną ludność. Niemcy unikły tych normalnych skutków klęski wojennej prawdopodobnie z powodu hasła wysuniętego przez zwycięzców: prawa o samostanowieniu, które zostało zastosowane w formie plebiscytów, przeważnie na korzyść Niemiec, a także i dlatego, że, posiadając tyle zrabowanych prowincyj, zamieszkałych przez obcą ludność—miały z czego oddawać.

Rozpatrując sprawę zupełnie objektywnie z punktu widzenia zasady sprawiedliwości chrześcijańskiej, stwierdzić należy, że traktat wersalski nie był bynajmniej krzywdą Niemiec, przeciwnie—był on tylko aktem wymiaru sprawiedliwości i to jeszcze bardzo łagodnym, a nawet miejscami krzywdzącym dla przeciwników Niemiec. Np. pozostawienie Warmji i szeregu powiatów na kresach zachodnich w rękach Prus należy uznać za stanowczo krzywdzące Polskę posunięcie, urządzenie zaś plebiscytu na Mazurach w krytycznym momencie wojny polsko-sowieckiej było parodją zastosowania prawa o samostanowieniu.

Mimo to, a może właśnie dlatego, społeczeństwo niemieckie nigdy nie pogodziło się z Traktatem Wersalskim. Nie żądamy od nich, by Traktat ten, będący rezultatem ich klęski wojennej, przyjęły z radością, ba nawet z całkowitą rezygnacją. Sądzimy jednak, że każdy inny naród, który został zmuszony do zwrotu zabranych sąsiadom prowincji—pogodziłby się z tym faktem przynajmniej na pierwsze lat kilkadziesiąt, redukując swoje aspiracje do pracy pokojowej. Tymczasem w Niemczech widzimy objaw zupełnie inny. Oto zaledwie po 10 latach już przypuścili zdecydowany atak przeciwko zasadniczym przepisom tego traktatu: finansowym i terytorjalnym i grożą nową wojną Europie.

W psychice pruskiej nie może się poprostu pomieścić, że odebrano im prowincje polskie, które uważali już za pewny swój łup. Samo wspomnienie o tym fakcie budzi dziką wściekłość i nienawiść w sercach dziesiątków miljonów Niemców.

I nie jest dla nas faktem wcale obojętnym, że nienawiść ta wzrasta na sile z każdym rokiem w miarę oddalania się od bezpośrednich wspomnień poniesionej klęski wojennej. Dokładnym bardzo barometrem tego nastroju, w którym żyje olbrzymia większość tego 70 miljonowego narodu, są rezultaty wyborów do

parlamentu, a w szczególności głosy, które pddają na partję Hitlerowców.

W ostatnim roku nastrój ten doszedł już do stanu wrzenia i zaczął zagrażać bezpośrednio pokojowi. Równocześnie mnożą się fakty, świadczące, że akcja odbywająca się w łonie społeczeństwa jest tylko zewnętrznym i czasami może zbyt jaskrawym wyrazem planów, które są rozpatrywane na zimno i konsekwentnie w łonie rządów Rzeszy. Pamiętniki Stressemana i ostatnie zmiany w sferach rządowych nie pozostawiają pod tym względem żadnych wątpliwości. Hitler ma w Niemczech do odegrania pewną rolę, gen. Schleicher także--każdy w swoim zakresie, ten, jako awanturnik i demagog polityczny, tamten jako dowódca Reichswehry. Hindenburg zna te plany i popiera je. Wszyscy, którzy nie chcą, czy nie mogą do nich się dostosować, lub też w następnych etapach są już niepotrzebni, są odrzucani z całą bezwzględnością (gen. Graener, Bruening). Mózgiem i głową Niemiec jest, jak przed wojną światową, sztab generalny.

Na tle zarysowującego się konfliktu polsko-niemieckiego ciekawą rolę zaczyna odgrywać Gdańsk. Zmiana jego ustosunkowania się do Polski odbywała się stopniowo od r. 1919 do 1932 i dlatego może tego nie dostrzegamy tak jaskrawo, że w Gdańsku Traktat Wersalski jest już potargany w strzępy. Gdyby 7000 hitlerowców okupujących „wolne miasto" proklamowało dzisiaj przyłączenie Gdańska do Niemiec, byłby to, formalnie biorąc, gwałt przeciwko traktatom, Lidze Narodów i Polsce oraz casus belli. Z drugiej jednak strony faktycznie mało co by się zmieniło w porównaniu ze stanem dotychczasowym. Zamiast „obrotu uszlachetniającego" miałby Gdańsk wyraźną unję celną z Niemcami, pozatem nadal hitlerowcy poszukiwaliby Polaków po ulicach, sędziowie skazywaliby ich na więzienie, a dzieci polskie byłyby karane przez sprawiedliwych pedagogów za wycieczki do Gdyni. — Tylko towarów mniej przechodziłoby przez port, bo prawdopodobnie Polska skierowałaby wówczas wszystko na Gdynie (oczywiście, gdyby wojna z tego powodu nie wybuchła). Sądzimy, że ta ostatnia okoliczność bardziej powstrzymuje Niemców od zdecydowanego kroku, aniżeli cała Liga Narodów wraz z „wysokim komisarzem" p. Grawiną. Społeczeństwo polskie musi zdać sobie sprawę z faktu, że Gdańsk nie jest żadnym portem ułatwiającym Polsce dostęp do morza. Jest to taka sama

prowincja pruska, jak i każda inna, rządzona przez urzędników pruskich, prześladująca z wściekłością mniejszość narodową polską—prawdopodobnie upatrzona przez Berlin, jako pierwszy etap wypadu zbrojnego przeciwko Rzeczypospolitej.

Kiedy wybuchnie wojna polsko-niemiecka, trudno przewidzieć dokładnie. Stwierdzić możemy stanowczo, że ostatni rok przybliżył znacznie możliwość tej wojny. Stało się dobrze, że Niemcy nie zdołali ukryć swych przygotowań i do pewnego stopnia zdekonspirowali swoje posunięcia. Fakt ten może nawet opóźnić termin rozprawy, w tym wypadku, gdyby skłonił Francję do energicznego wystąpienia przeciwko planom zaborczym niemieckim. Zobaczymy, jaka będzie polityka nowego rządu francuskiego.

Naród niemiecki jest dziki, barbarzyński, okrutny i wojowniczy. Mało się zmienił od czasów Caesara... Czuje się on głęboko oburzonym i dotkniętym w swej ambicji, że łupy rozbiorów Polski zostały mu nagle i niespodziewanie odebrane. Tempo wzburzenia Niemców przeciwko Polsce wzrasta stale z każdym rokiem i prędzej, czy później doprowadzi nieuchronnie do takiego napięcia, przy którym powstrzymanie konfliktu będzie niepodobieństwem.

Musimy więc sobie uświadomić fakt, że w tym stanie rzeczy, jaki trwa obecnie, grozi nam nieuchronnie wojna z Niemcami. My tej wojny nie chcemy i do niej nie dążymy. Nic to jednak nie zmieni układu stosunków. O ile do zawarcia pokoju potrzebna jest wola obydwu stron, o tyle do wojny wystarczy wola jednej strony, mianowicie—napastnika.

Musimy się więc przygotować do obrony. Techniczna strona tej kwestji należy do władz państwowych. Ale istnieje jeszcze strona moralna zagadnienia. Chodzi o psychiczne przygotowanie społeczeństwa. Stwierdzić należy ze smutkiem, że w tej dziedzinie zrobiliśmy bardzo mało, za mało, niż potrzeba. Społeczeństwo jest zdemobilizowane psychicznie i trudno je poruszyć żywiej i mocniej. Są przyczyny tego zjawiska, których na razie nie usuniemy, bo one nie zależą od naszej woli.

Co jednak zrobić możemy i powinniśmy — to postawić zagadnienie niemieckie stale na porządku dziennym naszych stałych rozważań. Nie chodzi tutaj tylko o dorywcze manifestacje, lecz raczej o stałą propagandę, mającą na celu podtrzymanie w społeczeństwie zupełnie uzasadnionego przekonania, że nie-

bezpieczeństwo niemieckie grozi nam coraz bliżej i nieuchronniej. Niech nikt nie ośmiela się o nim zapominać. Niech wszystkie nasze czyny i posunięcia będą przeniknięte grozą tego niebezpieczeństwa. Niech młode pokolenie zwłaszcza nie pozwoli sobie na zbyt pobieżne potraktowanie tego zagadnienia. Jak przed wiekami, tak i teraz—wróg stoi pod bronią i czeka tylko na chwilę sposobną, aby nam wydrzeć w pierwszym etapie ziemię pomorską wraz z dostępem do morza, a potem sięgnąć po inne dzierżawy Rzeczypospolitej.

Aby społeczeństwu ciągle przypominać o niebezpieczeństwie i budzić w nim ducha—zorganizujmy w tym roku i w następnych wszędzie, gdzie można około 15 lipca obchody wiekopomnej bitwy pod Grunwaldem, uczcijmy wielki, bohaterski wysiłek pokolenia Jagiełłowych rycerzy, które potężnym błyskiem zwycięskiego miecza cofnęło wstecz fale germańskiej nawały i wspomnijmy na wielkie obwiązki, które spoczywają na barkach współczesnego pokolenia.

Musimy zastanowić się nad tem, czy współczesne pokolenie jest psychicznie przygotowane do wojny. Niewątpliwie, w razie niebezpieczeństwa znajdzie się u nas zapał do obrony granic. Wojna obronna przeciwko Niemcom byłaby jedną z najpopularniejszych wojen w Polsce. Chodzi jednak o to, aby ten zapał był powszechny, jednakowy u inteligenta, u chłopa i robotnika, aby umysłowość wszystkich warstw społecznych została z tym zagadnieniem gruntownie zapoznana i nim niejako przesiąkła. Pod tym względem jest jeszcze dużo do zrobienia. Są pisma i wydawnictwa, które szerzą ckliwi i sentymentalny pacyfizm. Np. prasa socjalistyczna ciągle manifestuje za pokojem i mydli oczy ludowi, że za pomocą manifastacyj pokojowych będzie można uniknąć wojny. Podobne przeświadczenie, bardzo nierealne i niebezpieczne pokutuje w niektórych sferach inteligencji. Pomyślmy, coby stało się z naszą Ojczyzną, gdybyśmy zajmowali się propagandą pacyfistyczną wówczas, gdy żelazne zastępy pruskie gotują się do napadu na Pomorze. Nie znamy dnia ani godziny!.....

Powtarzamy jeszcze raz: z punktu widzenia zasad katolickich i z punktu widzenia interesów Polski i Europy, a nawet dobrze pojętych interesów Niemców — wojna byłaby katastrofą. A jednak tyle wojen już było i tyle jeszcze będzie.

Bylibyśmy skończonymi głupcami i niedołęgami, gdybyśmy nie gotowali się dniem i nocą do odparcia grożącego nam napadu nieprzyjaciół.

Nie wolno nam ani na chwilę zapominać o tym niebezpieczeństwie. Niech mądra i konsekwentna propaganda uświadomi je tym, którzy o nim chwilowo zapomnieli w rozgwarze i targowisku dnia codziennego. Niech całe wychowanie młodego pokolenia nastawione zostanie także i w tym kierunku, aby wychować młodzież na dzielnych obrońców Ojczyzny.

St. K-ski.

Kryzys w łunie wschodu.

„Kogo Pan Bóg chce ukarać, temu rozum odbierze". Przypomniawszy sobie w obecnej chwili to nasze stare przysłowie, do smutnej można dojść konkluzji. Widocznie ciężko Bóg pokarał nasz świat, kiedy tak mało na nim rozumu. A ludziska sami wypleniają z siebie kwiat zdrowego rozsądku, dokładając wszelkich starań, aby bliźnich swoich ogłupić. Żywią oni nadzieję, że zamydliwszy sobie nawzajem oczy, łatwiej przełkną śmiercionośne pigułki, które im życie szykuje; zapomnieli tylko, iż głupota jest grzechem śmiertelnym.

Doprawdy śmiać i płakać się chce razem, widząc, jak dziecinnie naiwne są pomysły możnych dziś na tym globie polityków, których poczynania osnute są tajemniczą mgłą dyplomatycznych szarad, tych misternych kombinacyj, z których tak niezgrabnie wyłazi ciągle to samo szydło z worka: całość swej własnej skóry, na najkrótszą metę obliczona! A ludziom się zdaje, że słyszą nowe hasła, doślepiają się rozpiętej nad światem pajęczej sieci ukrytych potęg, porywających niewiadomo dokąd strumień życia. Owszem, są potęgi, ale z nich największa: żołądek nie znoszący próżni. I wiadomo dokąd dąży: do jaknajobfitszego zapełnienia kosztem innych.

Od lat kilku na ustach wszystkich jedno tylko słowo: kryzys. Przeżywamy wielki kryzys. Kryzys moralny, kryzys zaufania, kryzys polityczny, a przedewszystkiem kryzys ekonomiczny. Primum vivere, deinde philosophare. Mamy wspaniałe wyna-

lazki, maszyny, produkujące tonny towaru dziennie, chemję, popędzającą ziemię do maximum wydajności, mamy nadmiar ubrań, butów, kawy i cukru. Mamy też 25 miljonów bezrobotnych i 70 miljonów ludzi, pozbawionych środków utrzymania. Cywilizacja nasza, nad którą zawisł koszmar powszechnej nędzy, drży w podstawach.

Roman Dmowski w swoich trzeźwych rozważaniach nauczył nas głębiej rozumieć kryzys. Jest to likwidacja. Tragiczna likwidacja wielkiego przemysłu, machin państwowych, kredytu. Wiemy już, że przyczyn tej likwidacji należy szukać w wadliwym ustroju, w braku szacunku dla pracy (tej twórczej i świętej pokuty adamowej), w ubóstwieniu zysku, czyli w upadku kultury duchowej i przerostu materjalnej naszej ery. Stąd prosto się wywodzi, że kryzys musiał nastąpić prędzej, czy później, niezależnie od koniunktur politycznych i społecznych.

Ale dlaczegóż, jeśli wielu to rozumie i pracuje nad poprawą sytuacji na drodze roztropnej ewolucji, kryzys objawia się w tak katastrofalnej formie, zagrażając gwałtownemi wstrząsami całemu światu? Otóż jest w Europie ktoś, komu bardzo na tem zależy, żeby klęskę ekonomiczną pogłębić, rozszerzyć, uczynić z niej taran dla rozbicia murów naszej kultury, kto usilnie nad tem pracuje od lat czternastu, i komu to się udaje. To Rosja bolszewicka. Banda ludzi, w części obłąkanych, w części łotrów bez skrupułów, dzierżących w krwawych łapach kraj, o obszarze siódmej części świata.

Kryzys ekonomiczny, to przedewszystkiem nadprodukcja dóbr. Czyż jednak można dotąd mówić o nadprodukcji, gdy 100 miljonów ludzi chodzi bez butów, nie używa mydła i niema co włożyć do ust? Czyż można się dziwić złowrogiemu spadkowi cen na rynkach, gdy dumping sowiecki kosztem niewolniczego potu wywołuje panikę na giełdach i niepokój w obrotach pieniężnych? Czyż samo istnienie ogromnego, bogatego państwa, opartego na utopijnych zasadach ekonomicznych, zamkniętego pod szklannym kloszem przed normalną wymianą produktów, niezużywającego prawie wcale dóbr kilkunastu państw, z któremi sąsiaduje i przeszkadzającego im w tej wymianie — nie przyczynia się także do zaostrzenia kryzysu, do zamienienia go w katastrofę?

Ale to nie wszystko. Bolszewja bezpośrednio pracuje nad tem, aby mętną falę kryzysu przelać na swój młyn, wywołać rewolucję światową. III-a Międzynarodówka nie śpi. Jaczejki komunistyczne we wszystkich państwach świata wyzyskują każdy krok w zubożeniu powszechnem, aby go przekuć na niezadowolenie moralne, na objaw buntu przeciw porządkowi obecnemu. Dość spojrzeć na ferment w dominjach angielskich, w Indjach, w Afryce, w krajach Ameryki Południowej, w Chinach, rozdartych walką wewnętrzną. Dość wspomnieć na Belę Kun w Węgrzech, którego 100 dni dyktatury więcej je kosztowały, niż wielka wojna.

A teraz, jak Europa się zachowuje wobec tego kryzysu, który pod łuną wschodu pcha świat do jakiejś niebywałej w dziejach klęski? Europa chrześcijańska, obojętna na względy moralne, których podeptanie zawsze drogo kosztuje nawet politykę — podtrzymuje i finansuje regime, który ją dorzyna. Jest to nie do wiary, ale jest.

Anglja, która za cenę paktu nieagresji w 1921 kupiła sobie tegoż roku 30 instytutów w Moskwie dla wyszkolenia agentów do akcji antyangielskiej w koloniach, strajki górników, marynarzy i wynikłe stąd trudności socjalne, kupuje od Bolszewji rocznie za 30 miljonów dolarów, a sprzedaje *na kredyt* za 6 miljonów. Niemcy, tak zagrożone przez komunizm wewnętrzny, Ameryka realizują piatiletkę swojemi maszynami, pieniędzmi, pietnastotysięczną falangą inżynierów. Rosja jest już Niemcom winna przeszło miljard marek.

Francja, której posiadłości w Indochinach są podminowane przez agitatorów bolszewickich, wwozi rocznie do Moskwy 800 miljonów franków. Wszystkie prawie zresztą narody, pod pozorem konieczności i „mądrej polityki" handlują z Sowietami własną skórą. Starają się o jaknajlepsze z niemi stosunki, urządzają im w ładnych pałacykach miłe gniazdka—poselstwa i konsulaty, te placówki akcji wywrotowej w kraju. Od czasu do czasu tylko, gdy bomby zaczynają pękać, zdenerwowany naród zrzuca ze schodów niebezpiecznych gości, jak to miało niedawno miejsce w Argentynie, która wygnała ze swego terytorjum sowiecką Agencję Handlową.

Jednak na międzynarodowych konferencjach ekonomistów mówi się o tem wszystkiem jeszcze przyciszonym głosem. Niech

się dzieje, co chce, aby handel szedł. I za jaką cenę to się dzieje? Za cenę wątpliwych, na krótką metę obliczonych, mizernych, niepewnych i niemoralnych zysków nielicznych grup finansowych?

Czy to nie jest: „pure folie", jak powiedział p. Aubert w swoim ostatnim nawoływaniu do kontrofenzywy przeciwsowieckiej?

Tadeusz Kordyasz.

Na froncie walki.

Wzrastająca nienawiść narodu niemieckiego. — Podłoże psychologiczne idei odwetowej w Niemczech. — Stan pogotowia moralnego w Polsce. — Co mówi statystyka? — Wzrost nastrojów antypolskich wśród mniejszości ukraińskiej i żydowskiej. — Żydzi przeciw katolicyzmowi.

Koniec maja i pierwsze dni czerwca były dla nas bardzo ciężkie na terenie międzynarodowym. Prowadzona oddawna przez Niemców kampanja, polegająca na szkalowaniu Polski i wulkanizowaniu naszych granic zachodnich celem wywołania wrażenia niepewności oraz alarmów wojennych—przybrała w tym okresie na napięciu i doprowadziła miejscami do poważnych zaognień, które zaniepokoiły istotnie opinję publiczną całego świata, a oczywiście w pierwszym rzędzie opinją polską. Zagadnienie jest zbyt ważne, aby nasza prasa miała przejść nad nim do porządku dziennego.

Nie ulega wątpliwości, że napięcie nienawiści i szowinizmu niemieckiego stale wzrasta w miarę upływu czasu i oddalania się od momentu klęski wojennej w r. 1918. Weźmy np. taki Gdańsk. Według Traktatu Wersalskiego miał on być naszym portem. Od samego początku Niemcy postawili sobie za cel utrzymać niemieckość Gdańska. O ile jednak początkowa akcja ich w Gdańsku miała charakter raczej obronny, o tyle w miarę powodzenia przechodzili coraz bardziej do natarcia. Oto np. „Gazeta Polska" podaje niezwykle wymowny zbiór faktów, dotyczących wysokiej sprawiedliwości w wolnym mieście i aktów przez nią stworzonych w ostatnich latach:

„Senator sprawiedliwości Dumont, będąc najwyższym reprezentantem prawa w Gdańsku, prowadził jednocześnie, jako adwokat, proces przeciw stoczni Klawitter. Proces ten prowadził p. senator tak, ażeby osiągnąć z niego maksymum korzyści, dociągając swe honorarjum adwokackie do wcale pokaźnej sumki 40.000 guldenów. Sprawa sen. Dumont znalazła się 25 maja na porządku dziennym posiedzenia Volkstagu. Podczas dyskusji przytoczono szereg faktów, ilustrujących działanie gdańskiej Temidy. Ustalono — ponad wszelką wątpliwość, — że sprawiedliwość w Wolnem Mieście ma dwa oblicza: nieubłaganego sędziego dla niehitlerowców i dobrotliwego i wyrozumiałego przyjaciela dla „Nazi".

Jeden z posłów przytoczył — znany zresztą dobrze w Polsce fakt, że hitlerowiec, zabójca robotnika polskiego Słowika, został uniewinniony, ponieważ sąd przyszedł do przekonania, że działał on w obronie własnej oraz w stanie afektu.

Jaka to była obrona i jaki afekt wykazali świadkowie, zeznając, że hitlerowiec ów wywołał awanturę ze Słowikiem, a po zamordowaniu go kopał trupa, krzycząc: „Czyś jeszcze nie zdechł przeklęty Polaku!".

Jednak wyrok zapadł uniewinniający.

Podobnych wyroków, kiedy oskarżeni hitlerowcy byli albo zwalniani od winy i kary, albo skazywani na niewielkie grzywny można cytować dziesiątki.

Zwłaszcza jeśli poszkodowanym był Polak lub Żyd.

Ale biada podsądnemu w Gdańsku jeśli nie jest hitlerowcem, a w dodatku zostanie przez hitlerowca oskarżony. Wtedy sprawiedliwość gdańska nie zna litości. Niedawno pewien robotnik został skazany na 6 tygodni ciężkiego więzienia za pogróżki skierowane przeciw hitlerowcom.

W lutym tego roku redaktora „Gazety Gdańskiej", Cieszyńskiego, skazano na 2 miesiące więzienia za to, że w redagowanym przez niego piśmie była notatka o szykanowaniu dzieci polskich przez nauczyciela hakatystę, który, jako karę za udział w wycieczce polskiej do Gdyni, kazał uczniom napisać po 400 razy „Danzig bleibt deutsch". Sąd dopatrzył się w notatce „Gazety Gdańskiej" obrazy urzędnika i wydał wyrok skazujący.*)

Przed paru dniami został skazany na 2 miesiące więzienia urzędnik policji gdańskiej, Suchecki, za naruszenie tajemnicy listowej. Początkowo Suchecki był oskarżony o zdradę i szpiegostwo, pomimo jednak największych wysiłków oskarżenia tego nie dało się utrzymać i sąd z konieczności musiał się zadowolić „naruszeniem tajemnicy listowej". Przestępstwo Sucheckiego polegało na tem, że otwierał on pocztę nadchodzącą do prezydjum policji, co było właśnie jego obowiązkiem służbowym i co bez żadnego niebezpieczeństwa dla Wolnego Miasta spełnia jego obecny następca.

Znamienne jest, że podając sprawozdanie z przebiegu procesu nacjonalistyczna D.A.Z. p. t. „ein Pole als Spitzel Polizeipräsidium" podnosi jako specjalne obciążające momenty, że Suchecki jest polakiem, członkiem gminy polskiej, a dzieci swe posyła do gimnazjum polskiego.

---

*) W II instancji podwyższono karę do 7 miesięcy więzienia.

Zdaje się, że właśnie te dwa „przestępstwa" były jedynym powodem wytoczenia procesu i skazania Sucheckiego.

Tak się przedstawiają fakty z dziedziny wymiaru sprawiedliwości w Gdańsku.

Moglibyśmy je uzupełnić długim szeregiem innych, nie mniej drastycznych przykładów.

Nie powinny one dziwić, jeśli się zważy, że p. sen. sprawiedliwości traktuje swój urząd jako punkt wyjścia do pobierania wysokich honorarjów adwokackich, a liczni sędziowie i prokuratorowie gdańscy należą do związku prawników hitlerowców.

Zrozumieć jednak, dlaczego tak jest? nie oznacza bynajmniej pogodzić się z tym stanem rzeczy.

Gwarantka statutu Wolnego Miasta, Liga Narodów, musi dopilnować, ażeby ciało, powołane do czuwania nad prawem w Gdańsku nie było skandalicznym przykładem potwornego wprost bezprawia."

A oto drugi zbiór faktów już nietylko sądowych, lecz także pocztowych i pedagogicznych zestawiony przez „Kurjer Poranny":

„W roku ub. w krótkim czasie wybito 10 szyb w ochronce polskiej przy Langgasten oraz rozbito cegłą szybę w kl. 5 gimn. Państwowego w Gdańsku, przyczem cegłą tą ranny został uczeń Wycichowski.

24 stycznia 1931 r. zerwano szyld polskiego Kl. Sp. Gedanja z lokalu klubowego przy Schichaugasse 6. 20 stycznia tegoż roku zalepiono szyld Polskiego Etapu Emigracyjnego w Nowym Porcie ulotkami hitlerowskiemi.

Specjalna akcja skierowana jest przeciwko polskim... skrzynkom pocztowym. Tu jest do odnotowania kilkadziesiąt wypadków dzikich wybryków rozszalałych prusaków.

4 września 1930 r. prawdopodobnie okutą laską rozbito skrzynkę przy Breitgasse, przyczem specjalnie starano się uszkodzić godło państwowe. W dwa dni potem uszkodzono skrzynkę na urzędzie pocztowym przy Hevelius-Platz, zarysowując godło państwowe. 9 września w identyczny sposób zamalowano godła państwowe na skrzynkach przy Breitgasse i przy Reitbahn, gdy zaś przy Breitgasse zawieszono nową skrzynkę—w dwa dni potem godło państwowe zostało przez prusaków zalepione papierem.

2 października tegoż roku uszkodzono skrzynkę przy Reitbahn, trzy tygodnie potem wrzucono bryłę wapna do skrzynki zawieszonej na dworcu głównym, niszcząc w ten sposób korespondencję.

9 listopada oblepiono ulotkami wyborczemi 3 skrzynki — na eksterytorjalnym gmachu Komisarjatu Generalnego przy Neugarten 27, na gmachu Polskiej Kasy Rządowej przy Reitbahn oraz przy Breitgasse. Następnie zalepiono 1 stycznia 1931 r. ulotkami „Wehrwolfu" skrzynkę przy Langenmarkt, 11 lutego ulotkami hitlerowskiemi skrzynkę na gmachu Dyrekcji kolejowej oraz 24 lutego powtórnie ulotkami „Wehrwolfu" skrzynkę przy Langenmarkt. Wyglądało to na to, jakby organizacje prusackie podzieliły się terenem swej nieprzytomnej roboty.

3 grudnia 1930 r. zarysowano ostrym przedmiotem skrzynkę na gmachu Głównego Dworca.

21 marca r. ub. grupa hitlerowców złożona z 6 zbirów usiłowała zerwać skrzynkę wiszącą na Polskim Urzędzie Pocztowym przy Hevelius-Platz oraz na dworcu kolejowym.

Wypadki z ostatnich miesięcy są zbyt dobrze znane by je przypominać.

We wszystkich tych wypadkach Komisarjat Generalny Rzplitej interwenjował w Senacie, zawsze jednak kończyło się na tem, że „dzielna" policja gdańska, która jak to pisaliśmy, potrafiła napadać w Gdańsku na polskich studentów za to, że mówili między sobą po polsku — nie potrafiła wykryć sprawców.

Raz jeden tylko ujęto na gorącym uczynku niszczenia polskiej skrzynki pocztowej kelnera Pawła Slaykowskiego. Pod naciskiem Komisarjatu Generalnego Senat polecił prokuratorowi wystąpić z wnioskiem o ukaranie Slaykowskiego na podstawie art 304 k. k. o uszkodzenie przedmiotu użyteczności publicznej.

Jednak sędzia gdański (Einzelrichter), przed którym Slaykowski stanął w dniu 2 marca 1931 r., uwolnił go od winy i kary, twierdząc, że „poczta polska szkodzi interesom Gdańska, wobec czego polskie skrzynki nie mogą być uważane za przedmioty użyteczności publicznej".

Dodajmy, że w tydzień potem sąd gdański uwolnił od winy i kary Gengerskyego, który zamordował polskiego urzędnika Styrbickiego, zaś w kwietniu tegoż roku skazał na karę aresztu ofiarę hitlerowskiego barbarzyństwa — marynarza Jerzyka za.. upozorowanie napadu i wyrżnięcia na piersiach swastyki hitlerowskiej."

Poprostu wierzyć się nie chce, że tego rodzaju zdarzenia są możliwe w XX w. w środkowej Europie. Gdańsk w chwili obecnej jest twierdzą wojującego prusactwa nad Bałtykiem, prowokującą zuchwale i bezczelnie Rzeczpospolitą Polską. Te same metody, które Prusacy stosowali za czasów Hohenzollernów przeciwko Polakom na ziemiach b. zaboru pruskiego, są stosowane obecnie przez miasto Gdańsk, którego cały rozwój ekonomiczny i handlowy jest uzależniony od Polski. Gdańsk ten właśnie został wybrany przez Niemców, jako punkt, który, gdy będą chcieli rozpocząć wojnę, ma odegrać rolę Serajewa, ma być tą beczką prochu, do której lont najpierw przyłożony zostanie.

Nie wiele lepiej dzieje się mniejszości polskiej w innych prowincjach niemieckich. Oto np. podajemy za „Polonją" notatkę, dotyczącą traktowania polskiego szkolnictwa mniejszościowego przez Niemców:

„Pruska rejencja w Pile zarządziła zamknięcie dwuch prywatnych szkół polskich w Babimoście i Krajance na Pograniczu, odbierając równo-

cześnie nauczycielom prawo kierowania temi szkołami. W niesłychany sposób rejencja domaga się, aby dzieci polskie uczęszczały odtąd do szkoły niemieckiej. Zarządzenie swe tłumaczy tem, że od Wielkiejnocy do szkół tych uczęszczało mniej niż 7-ro dzieci.

Nowy ten zamach władz pruskich na prywatne szkolnictwo polskie jest wyraźnem złamaniem Ordynacji Szkolnej z r. 1928. Ordynacja Szkolna nie przewiduje bowiem żadnych ograniczeń co do minimum dzieci, które mają uczęszczać do szkoły polskiej i nie może ich przewidywać, bo szkoły te są prywatne i utrzymywane przez Związek Polskich Towarzystw Szkolnych w Niemczech.

Wszelkie ograniczanie minimum ilości dzieci jest więc wyraźnem pogwałceniem przepisów Ordynacji Szkolnej i dowodzi, że władze pruskie systematycznie pozbawiają ludność polską nawet tych skromnych praw, które sobie wywalczyła dopiero przed trzema laty. Dowodzi to również, że władze pruskie dążą do uczynienia z pruskiej Ordynacji Szkolnej martwej litery.

W chwili obecnej z prywatnem szkolnictwem polskiem walczy całe społeczeństwo niemieckie, teroryzując, szykanując, wyrzucając z pracy rodziców, posyłających dzieci, grożąc im spaleniem domostw (jak to miało miejsce w Piasutach na Mazurach), walczą instytucje gospodarcze podrywając egzystencję rolników, posyłających dzieci do szkoły polskiej, walczą władze administracyjne i sam rząd pruski. A równocześnie—gdy w Niemczech 140.000 dzieci polskich nie ma własnej szkoły polskiej, kiedy z wielkim wysiłkiem wobec stawianych przeszkód udało się zorganizować dopiero sześćdziesiąt kilka szkół prywatnych, państwo polskie utrzymuje 535 niemieckich szkół mniejszościowych, a ogólna liczba powszechnych szkół niemieckich w Polsce wynosi 813.

Toteż nowy zamach na prywatne szkolnictwo polskie oraz wyraźne łamanie przez władze pruskie Ordynacji Szkolnej musi wywołać zdecydowany protest społeczeństwa polskiego."

Wrogie i coraz bardziej wrogie tendencje Niemców skierowane przeciwko Polsce nie ulegają najmniejszej wątpliwości. Nie może nas dziwić, że naród ten, z którym dzielą nas tak wielkie różnice zasadniczych interesów, nie jest nam życzliwy. Podkreślamy więc tylko stale wzrastające napięcie nienawiści niemieckiej, które na razie wylewa się na zewnątrz w wyżej zacytowanych oraz wiele innych faktach—potem zaś, prędzej, czy później musi doprowadzić do wojny odwetowej, której nadzieją żyje cały 70 miljonowy naród niemiecki

Odwet na Polsce? Za co? Czy Polska wyrządziła Niemcom krzywdę? Czy zagrabiła niemieckie terytorja? Spójrzmy na to zagadnienie z punktu widzenia moralno-psychologicznego.

Berliński korespondent „Gazety Warszawskiej" Jerzy Drobnik wygłosił niedawno ciekawy odczyt p.t. „Niemcy pod znakiem Hitlera", którego streszczenie zamieściła „Gazeta Warszawska". Nie będziemy się zajmowali tą częścią odczytu, w której mówca, idealizuje nieco i przedstawia w zbyt jasnych kolorach genezę i niektore poglądy Hitlerowców. Chodzi nam raczej o stosunek Niemiec do Polski, który autor charakteryzuje w następujący sposób:

„Wogóle klęska nie wywołała w Niemczech żadnej rewizji pojęć i zastanowienia się głębszego nad własnemi błędami. Jest to niebezpieczeństwo, które może mieć dla nich poważne konsekwencje.

Należy podkreślić, że hitleryzm i zwyciężające dzisiaj prądy prawicowe niemieckie stawiają zasadniczą tezę, iż Niemcy potrzebują ziemi. Hasło „Volk ohne Raum" brzmi wszędzie, i stąd wniosek prosty, że ten „Raum" (przestrzeń), muszą sobie zabrać. Oczywiście, mają oni na myśli wschód, a krócej — Polskę. Sytuacja jest dzisiaj taka, że wobec rozumowania niemieckiego, poprostu przez mikroskop nawet nie widać możliwości ułożenia z niemi normalnych stosunków. Dochodzi do tego fakt, że według ich zapatrywania, Polacy poprostu skorzystali z niemocy niemieckiej, żeby im odebrać prowincje wschodnie. Tak rozumując, twierdzą oni, że prowincje polskie nie zostały im odebrane w walce, tylko poprostu ukradzione. To, że należały one do Polski, nic ich nie wzrusza. Polski nie było 150 lat w ich mniemaniu i dzisiaj wydaje im się że Polacy poprostu bezprawnie zajęli miejsce w rodzinie narodów. Mówca obawia się, że dopiero bolesne doświadczenia będą mogły pouczyć Niemców, że Polska ma prawo do istnienia i umie miejsce swoje wypełnić i bronić."

Widzimy, że podłoże tej strasznej, wzrastającej z każdym dniem nienawiści, jaką żyją Niemcy przeciwko Polsce, leży w pewnych właściwościach psychiki niemieckiej. W pojęciu tego narodu wszelkie prawo do posiadania swej ziemi opiera się jedynie i wyłącznie na sile militarnej. Niemcy zdobyły w w. XVIII wielkie połacie polskiego terytorjum narodowego manu militari. Tymczasem Polska odzyskała je raczej w drodze szczęśliwego zbiegu okoliczności, nie prowadziła wojny przeciwko Niemcom, gdyż nie istniała, jako państwo. Innymi słowy według pojęć niemieckich, niewolnik polski zbiegł od swojego pana niemieckiego, należy go znowu schwytać i zakuć w kajdany. Ale oddajmy znowu głos „Gazecie Warszawskiej" streszczającej odczyt p. Drobnika:

„Za Hitlerem idą masy nowe, idą ci ludzie, których wydobyło na wierzch zawalenie się starego systemu, a którzy mają zbyt wiele instynktu

narodowego, żeby się poddać komendzie międzynarodówek. Idą jednak za nim również wszyscy ci, których wstrząs pozbawił stanowiska uprzywilejowanego, i którzy namiętnie dążą do odegrania się. Tem tłumaczy się prężność tego ruchu, na który składają się ludzie świeży, nie zużyci, nie mający wiele do stracenia, a mający ambicję wyprowadzenia narodu niemieckiego na nowe drogi.

Coprawda, te nowe drogi rozumie się w sposób całkiem specyficzny. W hitleryźmie niema zrozumienia, że dzisiejsza bieda jest kryzysem ogólnym. Rozumuje on bardzo poprostu. Jeżeli narodowi niemieckiemu jest źle, to powinien zdobyć sobie to, co mu potrzeba. Prawa innych dla niego wogóle nie istnieją. Stąd rodzi się imperjalizm niebezpieczny, który w zarodku swojem zawiera duże niebezpieczeństwo dla pokoju. Nie widać też u Niemców zupełnie próby przystosowania się do zmienionych warunków światowych.

Dochodzi do tego fakt, że Niemcy przekonane są, że militarnie — wojny nie przegrały. Tak zwana „Dolchstosslegende" tłumaczy im, że gdyby nie rewolucja wewnętrzna, byliby w końcu jednak dopięli swego. Gdyby więc nie było socjalistów i rewolucjonistów listopadowych, nie byłoby klęski. Rozumują oni tedy, że należy wytępić te szkodliwe pierwiastki, a wtedy druga próba się uda.

I to jest właściwy sens dzisiejszej walki o władzę w Niemczech. Zniszczenie marksizmu, wytępienie żydów, ma usprawnić naród niemiecki do walki, ma uchronić go w przyszłości od takich niespodzianek jak rewolucja listopadowa, i doprowadzić do zwycięstwa.

Mówca zwraca uwagę na niebezpieczeństwa, któremi tak uproszczone rozumowanie grozi samym Niemcom. Bo co będzie, gdy przegrają poraz drugi? Wtedy otworzy się przed niemi nicość duchowa, mogąca podciąć wogóle byt narodu niemieckiego na długi czas. Fakt, że od czasu wojen napoleońskich Niemcom, a zwłaszcza Prusom, bez przerwy się powodziło, nie stwarza jeszcze prawa, że ich nic przykrego nie może spotkać."

Co za dziwny naród zamieszkuje środkową Europę. Przecież naród ten poprostu jest chory na wściekliznę! Możemy ubolewać nad tą przypadłością Niemiec, nie wolno nam jednak zapominać, że jest ona dla nas bardzo niebezpieczna, grozi nam bowiem zaciętą i uciążliwą wojną. Przeciwko tego rodzaju rozumowaniu, jakiemu hołduje olbrzymia większość narodu niemieckiego, niema żadnych argumentów! Poprostu trzeba będzie wziąć miecz nagi do ręki i ciąć. Może już nasze pokolenie spotka się z tą twardą, nieuniknioną koniecznością. A może dopiero następnemu, dorastającemu pokoleniu Polaków zaproponują dyplomaci tego osobliwego społeczeństwa, aby powróciło pod jarzmo Prus. Mamy wrażenie, że odpowiedź naszej młodzieży będzie bardzo

głośna i przez długi czas komentowana na całym świecie, a później w podręcznikach historji...

Każdy naród ma prawo się bronić przed napadem. Każdy obywatel ma obowiązek bronić swojej Ojczyzny w razie napaści nieprzyjaciół.

Osoba prywatna, napadnięta przez złoczyńcę ma prawo się bronić, może jednak również zrezygnować z obrony. W ten sposób Święci Pańscy rezygnowali z obrony i oddawali swoje życie w ręce zbrodniarzy, modląc się jeszcze przed śmiercią za prześladowców. Był to heroizm miłości chrześcijańskiej.

Ale zupełnie inaczej przedstawia się sytuacja, gdy np. ojciec rodziny widzi swoją żonę i dzieci napadnięte, ma on nietylko prawo, ale i obowiązek bronić ich przed niebezpieczeństwem. Niewykonanie tego obowiązku, mimo możności wykonania, byłoby zbrodnią, lub występkiem. W podobnej sytuacji znajduje się obywatel państwa. Obowiązek jego do obrony Ojczyzny oparty jest na zasadach etyki chrześcijańskiej. Niewykonanie tego obowiązku nie byłoby żadną cnotą heroiczną, lecz poprostu tchórzostwem, opartem na niechęci poświęcenia swojego życia lub zdrowia dla obrony setek tysięcy lub miljonów braci i sióstr, matek, ojców i dzieci — tych wszystkich bliźnich, którzy są nam najbliżsi, związani z nami wspólnej wiary, języka, obyczajów i wspólnymi przeżyciami historycznymi.

Nie ulega wątpliwości, że wszystkie warstwy narodu polskiego w razie potrzeby spełnią swój obowiązek. To też nie pisaliśmy tego dla uzasadnienia tez, które uzasadnienia w naszych stosunkach nie wymagają, lecz raczej dla przeciwstawienia się niektórym koncepcjom pacyfistycznym, mdłym i niezgodnym z filozofją chrześcijańską. Co innego mdły pacyfizm, oparty na skrajnym indywidualizmie, a zupełnie co innego—chrześcijańska idea pokoju.

* * *

Naród niemiecki odznacza się najskrajniejszym nacjonalizmem. Trzeba jednak przyznać, że zoologiczny szowinizm olbrzymiej większości tego narodu, hodowany i podsycany przez warstwy kulturalne i przodujące spotkał się z pewną reakcją małowpływowych i drobnych wprawdzie, lecz pod względem ideo-

wym zupełnie zdeklarowanych grup pacyfistycznych. Oto np. szlachetny prof. Foerster, autor wielu dzieł, którego pacyfizm ma w sobie niewątpliwie dużo pierwiastków czysto chrześcijańskich — przyznaje słuszność Polsce. W związku ze znanym atakiem Niemców, dokonanym za pośrednictwem prasy angielskiej, a oskarżającym Polskę o rzekome zamiary agresywne, prof. Foerster, w czasopiśmie „Die Zeit", ostro krytykuje politykę niemiecką wobec Polski.

Zdaniem prof. Foerstera, rządowi Rzeszy dobrze jest znana podstawowa zasada polityki polskiej o nienaruszalności granic. Jeśli więc nie Polska, ale Niemcy, są z obecnej granicy niezadowolone, to wszelkie alarmy, przypisujące Polsce zamiary zaborcze, są zbrodniczym humbugiem. Dla Prus Wschodnich, które stały się punktem wyjścia odwetowej propagandy niemieckiej, zdaniem prof. Foerstera ważniejsza jest praca przy pługu, niż pobrzękiwanie szablą.

Żeby więcej było takich ludzi w Niemczech i żeby mieli większy wpływ na to społeczeństwo—ile łez, krwi i nieszczęść ominęłoby w przyszłości Polskę, Niemcy i Europę. Niestety, nie możemy się łudzić. Ludzi o typie myślenia prof. Foerstera jest w Niemczech znikoma garstka. Są oni pogardzani i prześladowani przez ogół. I pisma ich, ich mądre ostrzeżenia według wszelkiego prawdopodobieństwa nie wpłyną, lub wpłyną w stopniu minimalnym na bieg wydarzeń.

* * *

W związku z możliwością najazdu niemieckiego pisze katowicka „Polonja":

„Na wypadek bezpośredniego niebezpieczeństwa z zachodu, nie o koncentracji i porozumieniu powinna być mowa. Wtedy istnieć powinna zgoda wszystkich — union sacree, jak mówią Francuzi, — jeden naród, jedna myśl, wtedy może być tylko hasłem naszem. To uświadamiać sobie powinni nietylko wszyscy Polacy, ale o tem powinien wiedzieć także ten, który żywi wrogie do naszego państwa zamiary. Przeświadczenie o tem każe mu się głębiej zastanowić, zanim zdecyduje się na kroki ryzykowne.

Rosnące niebezpieczeństwo z zachodu nakazuje nam być stale w pogotowiu moralnem, politycznem, gospodarczem i wojskowem. Celowo wysuwamy pogotowie moralne na pierwsze miejsce i to zarówno ze względu na nasze wewnętrzne stosunki, jak na opinję zagraniczną. Siły moralne i wartości moralne, jak uczą dzieje ludzkości, zawsze ostatecznie decydu-

ją o przyszłości narodów i państw. I nasza własna historja dowodzi, że mimo wiekowej niewoli, mimo ograbienia nas z samodzielności państwowej przetrwaliśmy chwile największych niebezpieczeństw, bo naród nie utracił gotowości do ponoszenia ofiar dla swej przyszłości, a w chwilach groźnych objawiał zwartość i jedność. Przysparzało nam to sił do przetrwania aż do zwycięstwa, a równocześnie zyskiwało nam sympatję świata, które w decydujących chwilach poparły nasze dążenia do niepodległości.

Wobec grożącego nam niebezpieczeństwa trzeba prosto prawdzie spojrzeć w oczy i śmiało dać jej wyraz, chociażby monopoliści na patrjotyzm i państwowość bluznęli nam w twarz zarzutem, że jesteśmy „złymi patrjotami". Trzeba więc powiedzieć, że potrzebnego pogotowia moralnego w Polsce niema. Nawet w tych zbliżających się ciężkich chwilach nie brak ludzi w Polsce, którzy dzielą naród nasz na rządzących, na państwowców, na prawdziwych patrjotów i na rządzonych, którym odmawia się zmysłu państwowego i zrozumienia interesów państwowych. Jeśli pojęcia o istocie państwa, jego zadaniach i obowiązkach, o znaczeniu prawa w życiu państwowem tych dwóch obozów nie zbliżą się, nie może powstać pożądane pogotowie moralne, a wraz z niem ta union sacree ta święta jedność, — od której zależy przyszłość narodu".

Wiemy dobrze, dlaczego niema w Polsce dostatecznie silnego pogotowia moralnego. Ci, których obowiązkiem w pierwszym rzędzie byłoby o nie się starać, czynią wszystko, aby osłabić więź moralną łączącą rozmaite czynniki i warstwy naszego narodu. Wobec tego samo społeczeństwo, swobodne, niezależne organizacje, które są jego emanacją, muszą z własnej inicjatywy dążyć do podniesienia ducha w narodzie zapomocą organizowania i uświadamiania mas. Społeczeństwo zorganizowane i uświadomione będzie reprezentowało dostateczną siłę i energję do odparcia zamachu nieprzyjaciół nawet w tym wypadku, gdyby miało zły rząd, co przecież zdarza się nieraz w historji....

* * *

Bardzo charakterystyczne są wyniki ostatniego spisu ludności. Podajemy niektóre dane za „Kurjerem Warszawskim":

„Według tymczasowych danych przez główny Urząd statystyczny, na podstawie wyników z drugiego powszechnego spisu ludności z dnia 9 grudnia r. z. na terenie Rzeczypospolitej Polskiej zamieszkuje 32,132,936 osób, z czego 22,208,076 czyli 69,1% z językiem ojczystym polskim i 9,924,860 czyli 30,9% z językami ojczystemi innemi. Opracowanie obecne obejmuje tylko te dwie grupy, t. j. język ojczysty polski oraz język ojczysty inny, ponieważ robione były one na podstawie formularzy zbiorowych, na których uwidocznione są tylko te dwie grupy. Dokładne stosunki językowe Rze-

czypospolitej Polskiej otrzyma się dopiero po opracowaniu stosownych arkuszy (formularza A), co potrwa 2 do 3 lat.

Rozłożenie ludności obcojęzycznej na terenie państwa jest bardzo niejednolite. Najmniej ludności niepolskiej wykazują województwa zachodnie — 9,1%. W wojowództwie Śląskiem ludności niepolskiej jest 7,7%. Są to bezsprzecznie w ogromnej większości Niemcy, nie licząc minimalnego odsetka Żydów. Na G. Śląsku język nie polski zadeklarowało 6,6%, na Śląsku Cieszyńskim — 15,3%, wyższy odsetek na Śląsku Cieszyńskim tłumaczy się skupieniem Niemców w Bielsku, wynoszącem 56,5%. W wojew. Pomorskiem ludności nie polskiej jest 10,1%. Poza Sempolnem, gdzie jest 40,6% ludności obcojęzycznej, w pozostałych powiatach tego województwa cyfry te wynoszą od 2,9 do 17,6 . Województwo poznańskie ludności z językiem niepolskim posiada 9,5%, są to też przeważnie Niemcy.

W województwach centralnych żywiołu niepolskiego jest więcej znacznie niż w województwach zachodnich. Odsetek osób z językiem niepolskim wynosi tu 17,1%. W skład tej liczby wchodzą przedewszystkiem żydzi dalej zaś Niemcy w niewielkim procencie (w województwie łódzkiem), białorusini w części wschodniej województwa białostockiego oraz ukraińcy w województwie lubelskiem.

Na terenie województw południowych ludności z językiem ojczystym nie polskim jest ogółem 40.8%. W woj. Stanisławowskiem nasilenie pod tym względem jest największe, wyraża się cyfrą 77,5%, w Tarnopolskiem 50,5%, w Lwowskiem 42,1%. Na liczby te poza językiem ukraińskim (ruskim) składa się również język żydowski (hebrajski) i w minimalnym procencie niemiecki. Woj. Krakowskie natomiast posiada jedynie 8,6% ludności o języku ojczystym niepolskim. Największy odsetek ludności obcojęzycznej posiadają województwa wschodnie: 67,1%, w tem woj. Poleskie 85,5%, Wołyńskie 83,5%, Nowogródzkie 47,7%. Wileńskie 40,1%. Skład ludności obcojęzycznej województw wschodnich jest bardzo różnolity. Poza ukraińcami i bialorusinami wchodzą tu Żydzi, Litwini, Czesi, Rosjanie i Niemcy".

Z jednej strony pocieszającą dla nas jest polskość ziem zachodnich. Taka statystyka Pomorza wskazująca około 10% Niemców, czyż nie jest silnym i przekonywującym argumentem w walce z propagandą niemiecką?

Gorzej przedstawia się sytuacja na kresach wschodnich. Zwłaszcza ta nieszczęsna Białoruś, która mogła być polska, a, niestety, coraz mniej jest polska. Wina to nas samych, naszej niekonsekwentnej, chwiejnej i słabej polityki na wschodzie.

Pozatem występuje u nas dziwne zjawisko, niespotykane zupełnie na zachodzie. Oto w województwach centralnych, w samym sercu państwa, ludzi mówiących językiem niepolskim mamy 17,1%. Poprostu Polska cała jest naszpikowana mniejszoś-

ciami narodowymi. Jesteśmy narodowo roztworem rozcieńczonym, nie stężonym. Do tego przyczynia się w pierwszym rzędzie nienormalnie wielka ilość żydów, a następnie nasza słabość wewnętrzna, brak energji i konsekwentnej narodowej polityki. Kryzys i nienormalne stosunki gospodarcze nie pozwalają nam wyeliminować $^{9}/_{10}$ żywiołu żydowskiego, co jest przecież na dalszą metę koniecznością, słabość zaś nasza zmniejsza do minimum naszą zdolność asymilowania mniejszości słowiańskich.

Pozatem system polityczny, panujący od 7 lat w ogromnym stopniu przyczynił się do osłabienia państwa i narodu.

To osłabienie, którego jesteśmy smutnymi świadkami sprawia, że żywioły skrajne i polakożercze w łonie mniejszości narodowych podnoszą głowę i działają jawnie i zuchwale na szkodę państwa, zwiększając konflikty narodowościowe i utrudniając konsolidację i zgodę na terenach mieszanych narodowościowo. Przykładem jaskrawym—podsycana i kierowana przez Berlin irrydenta ukraińska w Małopolsce wschodniej.

Przykładem również jaskrawym jest wzmożona w ostatnich latach akcja wojującego semityzmu. Żydzi są obecnie w Polsce Benjaminkiem znanych sfer. Za mało im jednak tych koncesyj, które otrzymali, żądają coraz więcej. Dopiero, gdyby przeprowadzono reformy à la Calles, lub Konstytucja Hiszpańska, Izrael uczułby się zadowolonym, gruzy bowiem kultury chrześcijańskiej w Polsce stanowiłyby dla niego wspaniałe żerowisko. Spokojny w tonie, ale jak charakterystyczny w treści artykuł napisał niedawno organ „cywilizowanych" nacjonalistów żydowskich „Nasz Przegląd" p.t. Demokratyzm w szponach klerykalizmu. Czytamy w nim streszczenie książki Boya o okupacji klerykalnej:

„Pod nazwą „okupantów" Boy piętnuje klerykałów, którzy wnoszą pojęcia religijne do dziedziny spraw świeckich, a religji nadają tendencyjnie charakter wsteczny, jakiego w rzeczywistości wcale nie posiada. Trzymając się zasady, że w dziedzinie walki z klerykalizmem każdy powinien „zamiatać na własnem podwórku", nie chcemy się wtrącać do merytorycznej strony sporu Boya-Żeleńskiego z klerem. Ale sprawa ta interesuje nas pod innym kątem widzenia. Klerykalizm żydowski czerpie soki żywotne z klerykalizmu polskiego.

Również antysemityzm polski jest bardziej natury klerykalnej niż nacjonalistycznej. Wreszcie prawdziwy demokratyzm nastanie w Polsce po uwolnieniu się jej od jarzma klerykalizmu.

Z tego stanowiska ciekawą jest rzeczą, jak tak bystry obserwator, jakim jest znakomity pisarz Boy-Żeleński, przedstawia genezę klerykali-

zmu polskiego, nastroje śród których może on rozkwitać, sposoby walki z nim i widoki pokonania go. „Okupację” klerykalną autor maluje na tle dwóch spraw aktualnych i wielce żywotnych: nowej ustawy małżeńskiej i reformy kodeksu karnego w sensie niekaralności abortów oraz założenia nowej poradni do zapobiegania niepożądanej ciąży. Reformatorzy naszego kodeksu w obu wspomnianych kierunkach nie są zgoła wybitnymi postępowcami i wolnomyślicielami, lecz ludźmi bardzo umiarkowanymi oportunistami i religjantami, którzy postawili sobie za skromny cel zbliżenie prawodawstwa polskiego w sprawie seksualnej do pewnego stopnia z prawodawstwem zachodnim. I za tę nieśmiałą próbę klerykalizm ogłosił przeciwko nim formalną krucjatę, przezwał ich masonami, bolszewikami i naturalnie uznał ich większość za... żydów. W rezultacie zanosi się na to, że reformy zostaną pogrzebane.”

W opinji p. Boya-Żeleńskiego i „Naszego Przeglądu” system sanacyjny jest ultraklerykalny, ponieważ dotychczas nie przeprowadził jeszcze odłączenia Kościoła od państwa.

„Dzienniki nasze — powiada Boy – pochłonięte walkami politycznemi, nie zdają sobie sprawy z tego, że sprawy obyczajowe ważniejsze są może nawet od formy rządu i od brzmienia konstytucji.. Milczą wszystkie pisma; albo milczą, albo zachowują wstydliwy „objektywizm”. Nawet nasze dzienniki — Boże zmiłuj się — masońskie. Milczy socjalistyczny „Robotnik”, który odkąd został ciurą klerykalnej Endecji, pilnie się strzeże, aby niczem nie zamącić harmonji „wspólnego frontu”.

A może ktoś pomyśli, że Sanacja jest tak gorliwą orędowniczką reform seksualnych, że można ją obalić zapomocą oponowania przeciwko tym reformom? Byłoby to wprawdzie ze strony opozycyjnej lewicy metodą haniebną, ale bądźcobądź skuteczną w myśl hasła „cel uświęca środki”. Tak jednak wcale nie jest. Już Sanacja doskonale się dostosowała do klerykalizmu:

— Państwowe radjo nadaje obelżywe kazania, wymierzone przeciw projektowi państwowej komisji (kodyfikacyjnej). Rząd najwyraźniej wydaje na łup swoją komisję kodyfikacyjną: „Oni jej nie uważają za swoją, (tak mi tłumaczył ktoś znający stosunki): w tej komisji niema ani jednego pułkownika. Zapewne to jest argument; niemniej ta miękkość rządu, który aż nadto twardą ręką umie swego autorytetu bronić, musi tutaj zastanowić....

— Przed wojną było w Polsce conajmniej kilkanaście dużych dzienników o zabarwieniu antyklerykalnem, dziś niema ani jednego, mimo, że napór kleru jest nieskończenie większy, nastrój zaś inteligencji miejskiej zdecydowanie antyklerykalny. Pod tym względem dzienniki nasze nie są w żadnej mierze odbiciem rzeczywistości. I jestem przekonany, że pismo, które byłoby wyrazem prawdziwej opinji czytelników w tych sprawach, miałoby zapewnione powodzenie.

O tem, że nasze pozory klerykalne mylą, najlepszym dowodem jest, zdaniem Boya, Hiszpanja:

— Klerykalna była do ostatnich czasów i Hiszpanja: pod tą powierzchnią mogą się kryć niespodzianki. Podejrzewam, że i u nas jest pod tym względem wiele fikcji, i ta fikcja ma swoje niebezpieczeństwa. Źle jest, gdy przy machinie parowej brak jest strzałki, która wskazuje ciśnienie.

A może klerykalizm uchroni Polskę przed bolszewizmem? Wręcz przeciwnie:

— Ilekroć chodzi o usprawiedliwienie kleru, zawsze wysuwa się straszaka Bolszewji, od której kler ma być obroną. Ale ten przykład ma dwa oblicza. Przecież właśnie w Rosji było morze ciemnoty i nad niem triumfujący pop. To powinno dać do myślenia.

Istotnie, ciągłe wywodzenie, że najskromniejsze reformy w duchu zachodnim są bolszewizmem, nie uratują wstecznictwa, ale robią bolszewizmowi niezasłużoną reklamę, zgubną właśnie dla ustroju kapitalistycznego."

W ten sposób streszcza i propaguje poglądy polskiego bezbożnika Żeleńskiego publicysta żydowski S. H. A równocześnie młodzi żydzi zakładają organizacje komunistyczne, tworzą już w Polsce kluby bezbożnicze, a w chwili zniecierpliwienia mordują polskiego studenta, rzucają kamienie na procesję Bożego Ciała we Lwowie lub wybijają szyby w kościele w Krakowie. W ten sposób idzie de crescendo. Do czego dojdzie niedługo zobaczymy.... *S. J. K.*

DZIAŁ LITERACKO - OPISOWY.

Rzym.

I. Przegląd historyczny.

I. Rzym pod królami.

Za czasów starożytnych Rzymian Środkowa Italja dzieliła się na sześć oddzielnych państw, trzech na zachodzie, graniczących ze Śródziemnem Morzem, mianowicie Etrurję, odpowiadającą prawie dzisiejszej Toskanji; Lacjum ze swą stolicą Rzymem; i Kampanją, nadmorską prowincję, sięgającą na północ aż do Neapolu. Z trzech wschodnich, przylegających do morza Adrjackiego, Umbrja na północy, Samnum na południu, a w środku nich Picenum. Wszystkie te krainy z wyjątkiem Etrurji zamieszkiwały szczepy poniekąd zbliżone do rasy Teutońskiej; lecz kiedy one tu przywędrowały, jest kwestją tylko domysłu. Podanie twierdzi, że Latynowie, mieszkańcy Lacium,

byli pierwotnymi osadnikami środkowej Italji. Imię ich w ciągu wielu wieków było ściśle związane z losami i historją Italji; kraj ich był sercem półwyspu, stąd właściwem sobie, cywilnem i społecznem, życiem wpływał na wszystkie kraje, wchłaniając w siebie siły żywotne nietylko samej Italji, lecz i całego świata. Granice Lacjum początkowo obejmowały terytorjum jakichś czterech mil kwadratowych; później zaś w czasach historycznych objętość jego została rozszerzona. I tak, na zachód, graniczyło z morzem, na południe z żyzną nadmorską krainą, Kampanją; na wschód najdalsze jego słupy graniczne sięgały do połowy półwyspu; na północ na znacznej przestrzeni Tyber odgraniczał od Etrurji. Północno-zachodnia część stanowi płaską równinę, po której przebiega linja wzgórz falistych; w innych częściach są liczne wzniesienia i pasma gór, stanowiących odgałęzienia Apeninów; z tych najwięcej znane są góry Albańskie i Sabińskie, których odnogi kończą się o kilka mil od Rzymu.

W mrocznych początkach historycznych napotykamy Latynów osiadłych w górzystej Albanji, gdzie pozakładali liczne miasta. Tam też nad jeziorem Albańskiem, utworzonem w kraterze wygasłego wulkanu, było położone sławne miasto Alba, zwana Longa — Długa, z powodu obszernej jej rozległości. Alba Longa więc była macierzystem miastem Rzymu.

Legenda o założeniu Rzymu tak opiewa:

Numitor, król Alby, został pozbawionym tronu przez swego młodszego brata, Amuljusza; syn jego został zamordowany podczas polowania, a córka zmuszona do wstąpienia do grona dziewiczych kapłanek bogini Westy. Tymczasem z przyczyny Marsa została ona matką bliźniąt, Romulusa i Remusa. Amuljusz, nienawistny potomstwu swego brata, polecił niemowlęta wrzucić do Tybru; lecz cudownie zostały one ocalone w ten sposób, że prąd rzeki je uniósł i wyrzucił na brzeg u stóp Palatynu, gdzie je naprzód mlekiem karmiła wilczyca, a potem zaopiekował się niemi pasterz. Prawie zanim dosięgli jeszcze wieku zdolności noszenia broni, dowiedzieli się o prawdziwem swem pochodzeniu ci synowie Marsa, zaatakowali i zamordowali Amuljusza i przywrócili Numitora do tronu praojców jego. Sami zaś, odszedłszy, na miejscu, na którem zostali ocaleni, założyli miasto nad brzegami Tybru, gdzie po obu stronach

rzeki wznosi się jedenaście pagórków. Przeorana pługiem brózda wyznaczyła przyszłą ich siedzibę, stanowiąc pierwszą jej fossę i wały. Bracia, pociągnąwszy losy, zdecydowali, że Romulus miał nadać miastu swe imię; i od tego czasu stosownie do przyjętego zwyczaju zostało nazwane Rzymem i od jego założenia, 753 roku przed Narodzeniem Chrystusa, następcy tych braci liczyli swą chronologję. Ale okrucieństwo wilczycy, jakie ona swym wychowankom ze swem mlekiem przekazała, wkrótce znalazło swój upust w krwi przelaniu. Kiedy bowiem Romulus około brózdy, jaką był wyznaczył, wznosił wał niewysoki, Remus przezeń ze wzgardą przeskoczył, za co Romulus rozgniewany go zabił i w ten sposób kamienie fundamentu Rzymu krwią zostały spojone. Celem zaludnienia powstającego miasta Romulus udzielał przytułku i schronienia wszelakim bezdomnym i uciekinierom. Lecz ci urwipołcie napróżno umizgali się do cór okolicznych plemion; wszędzie dostawali odkosza. Wreszcie dla zdobycia sobie żon napadli na Sabińskie niewiasty i siłą je uprowadzili. Akron, król Sabinów, celem pomszczenia zniewagi chwycił za oręż, lecz Romulus w pojedynku go zabił, a zdjęty z niego oręż jako zdobycz złożył w ofierze Jowiszowi Feretrjuszowi. Nielepiej się powiodło też i innym przeciwnikom i Romulus panował jako król Rzymu, którego poważano i bano się, aż wreszcie podczas zaćmienia słońca znikł nagle i ustaliła się o nim opinja, że został wzięty wpośród nieśmiertelnych bogów.

W ciągu długich wieków Rzymianie w tę legendę wierzyli; została ona wyrzeźbiona i unieśmiertelniona w kamieniu i bronzie, lecz nie posiada żadnej historycznej podstawy i nie może uchodzić za autentyczną. Została ona prawdopodobnie wymyślona w późniejszym czasie dla wytłumaczenia założenia Rzymu na płaskiej i jałowej równinie, wystawionej na częste szkodliwe wyziewy. Romulus nie nadał Rzymowi swego imienia, a raczej sam je od niego zapożyczył: przytaczane pochodzenie od Marsa i karmienie bliźniąt przez wilczycę miało na celu symboliczne wykazanie charakterystycznych cech starożytnych Rzymian, którym zmysł ich praktyczny dyktował władać mieczem i pługiem, gdyż wojna daje zdobycz, a rolnictwo zysk. Rzym w swych początkach nie był wolnem miastem. Tego dowodzi charakter ludności, jej jedność i nieugięta przed-

siębiorczość, jakoż rok 753 jako data jego założenia jest tylko dowolnem twierdzeniem, niepopartem żadnemi danemi historycznemi.

Rzym jest położony nad Tybrem w miejscu, gdzie rzeka przestaje być spławną dla niewielkich statków. Początkowo więc miasto nie było niczem innem jak wewnętrznym rynkiem zbytu dla Lacjum. Podanie głosi, że Romulus obrał sobie siedzibę na Palatyńskim pagórku, gdzie w obrębie brózdy, którą początkową wyznaczył, pobudował tak zwane miasteczko kwadratowe, Roma quadrata; w nowszych czasach zostały odkryte na tym pagórku murowane fundamenty szczególniejszej konstrukcji, którą zaliczają do czasów przedhistorycznych. I w najodleglejszej starożytności Rzym stał na tym Palatynie; małe miasto otoczone wieżami i basztami na podobieństwo tych, jakie teraz jeszcze można widzieć w Italji na szczytach licznych gór i pagórków, a które niezrównanemu temu krajowi dodają piękna i malowniczego uroku. Stopniowo osiedlano się i na innych pagórkach i je zaludniano; naprzód Kapitol, następnie gdy ustalił się pokój między Latynami a Sabinami, Kwirynał, Celjan, Awentyn, z których każdy miał swe wały i fortyfikacje. Tarkwinjusz Starszy, piąty król Rzymu, sporządził plan włączenia wszystkich pagórków do pierwotnego miasta i opasania jednym murem; następca jego, Serwjusz Tullus plan ten wykonał, ujmując wszystkie pagórki łącznie z Eskwilinem i Wyminalem w silną linję fortyfikacyjną. Stąd to miasto otrzymało swą nazwę „urbs septemcollis-siedmiupagórkowego miasta". Podczas przeprowadzania robót budowlanych na Awentynie i Kwirynale natrafiono na ślady obwałowań Serwjusza. Powiększanie stacji drogi żelaznej w nowszych jeszcze czasach doprowadziło do podobnych odkryć.

W ciągu ośmiuset lat Rzymianie nie budowali żadnego muru około miasta, chociaż przestrzeń, jaką opasał Serwjusz Tulljusz, już dawno okazała się za ciasną, iż za murami musiały powstawać przedmieścia. Cesarz Aureljan rozpoczął pierwszy budowę pięknego, malowniczego muru około miasta celem zabezpieczenia od grożącego wtargnięcia północnych Teutońskich szczepów. Cesarz Honorjusz i Arkadjusz go poprawili; niektóre jego części dotąd istnieją.

Po Romulusie według opowiadań legendarnych kolejno

miało panować sześciu królów: Numa, który miał ułożyć przepisy czci bogów i ustaw religijnych; następnie Tullus Hostyljusz, za którego rządów antagonizm między Alba Longa a Rzymem doszedł do otwartej wojny. Późniejszych czasów poezja opiewa, że w obu armjach było po trzech braci względnie jednakowego imienia: w Rzymskiej trzech Horacjuszów, w Albańskiej trzech Kuracjuszów, razem sześciu walecznych młodzieńców, jednakowej siły i odwagi. Tych wybrano na szermierzy, których wynik walki miał spór zdecydować: które miasto miało być ogłoszonem za zwycięskie i nadal rządzić, a które się poddać. Surmy bojowe dały sygnał do walki; długo i dzielnie szermierze walczyli; wreszcie dwóch Horacjuszów legło na placu; trzeci rzucił się do ucieczki. Albańczycy ucieszyli się, pewni zwycięstwa. Wszyscy Kuracjusze, jak tylko zadane im rany na to pozwalały, puścili się za uciekającym w pogoń, lecz nie w jednakowej odległości, najsilniejszy był na przodzie. Gdy Rzymianin spostrzegł, że przeciwnicy jego zostali rozdzieleni, nagle się zwrócił, zabił najbliższego ze swych przeciwników, następnie drugiego, wreszcie trzeciego. Rzym zwyciężył, Alba została zburzona.

Po Tulluszu panowali: Ankus Marcjusz, Tarkwinjusz Pryskus, Serwjusz Tulljusz i wreszcie Tarkwinjusz II, Pysznym przezwany. Podanie go opisuje jako dumnego i despotycznego monarchę. Sekstus, jeden z jego synów, siłą uwiódł żonę znakomitego Rzymianina, gdy ten był w polu. Lukrecja (takie było uwiedzionej imię) natychmiast posłała po swego ojca i męża, by zaraz przyszli. Ci pośpieszyli w towarzystwie Publjusza Walerjusza i Junjusza Brutusa. Lukrecja opowiedziała im swój smutek i hańbę, a prosząc o pomszczenie wyrządzonej sobie zniewagi, wyciągniętym z zanadrza nożem przebiła sobie serce. Zdarzenie to dało powód do skasowania monarchji. Brutus ze swymi przyjaciółmi poprzysięgli pomścić się na Tarkwiniuszu i zrzucić z siebie jarzmo rozwiązłych tyranów. Na pogrzebie Lukrecji Brutus, ukazując miecz zebranemu ludowi, opowiedział o zniewadze wyrządzonej nieboszczce. Naród chwycił za broń; Tarkwinjusz z całą rodziną został wypędzony; resztę swego życia spędził na wygnaniu w Etrurji. Rzym został republiką około r. 510.

W całem tem opowiadaniu legenda jest pomieszana z hi-

storją. Imion liczby królów i głównych wydarzeń nie potwierdzają fakta; lecz zburzenie Alby, siłą wypędzenie ostatniego króla i wzniesienie niektórych godnych uwagi zabudowań (o których później będzie mowa) około tego czasu można przyjąć za historję prawdziwą.

Pierwsi królowie Rzymscy bez wątpienia byli łagodnymi i patrjarchalnymi królami. Senat, Rada Starszych (Seniores albo Senatores) byli doradcami królewskimi. Chociaż wybierani przez króla, członkowie ci byli to wszyscy przedstawiciele znakomitych domów, Gentes. Historja rzymska od samego początku wykazuje znaczną różnicę klas, ostry kontrast między patrycjuszami a plebejuszami. Pierwsi byli to potomkowie dawnych założycieli, kolonistów i zwycięzców i dlatego oni tylko posiadali wszystkie cywilne i polityczne prawa. Dzieci zaś zrodzone z mięszanych małżeństw otrzymywały pełne prawa obywatelskie, stan patrycjuszowski. Wszyscy inni mieszkańcy Rzymu tworzyli olbrzymią masę ludu, plebs, dlaczego też i nazywali się plebejuszami. Nie posiadali oni żadnych praw politycznych, jak również początkowo żadnych politycznych ciężarów. W ostatnich czasach rządów królewskich wydane zostały nowe przepisy, dotyczące służby wojskowej i to był pierwszy krok w kierunku równości politycznej, w kierunku dopuszczenia plebejuszów do całkowitych praw obywatelskich.

Wszyscy obywatele i mieszkańcy, zarówno patrycjusze jak i plebejusze, na przyszłość byli obowiązani służyć w armji od siedemnastego aż do sześćdziesiątego roku życia. O przydzieleniu do rozmaitych wydziałów służby wojennej, jako też o orężu, jaki każdy żołnierz miał dostawić, decydował wykaz posiadłości ziemskiej. Synowie zamożniejszych patrycjuszowskich rodzin służyli w kawalerji, inni w piechocie, dzielącej się na pięć klas, stosownie do swego mienia.

2. Początek republiki.

510 (?) — 264.

Okres ten jest jednym ciągiem ościennych wojen i wzajemnych walk morderczych. Dla zrozumienia w całej pełni doniosłości tego okresu przebiegniemy go pokrótce, dając zarys konstytucji republiki.

Patrycjusze i plebejusze stali się obywatelami państwa

z równemi prawami i równemi obowiązkami. Zamiast króla, wybranego na całe życie, zostawali wybierani przez naród dwaj urzędnicy z tytułem konsulów; w ciągu swych rządów, które trwały rok tylko jeden, sprawowali oni najwyższą władzę. Rządzili oni w czasie pokoju, dowodzili armją w czasie wojny, zwoływali zgromadzenie narodowe i naznaczali zebrania senatu. Na znak zewnętrzny swej godności mieli przydzielonych sobie dwunastu liktorów, noszących „fasces", wiązki rózeg brzozowych lub wiązowych, z których wystawał topór. Urzędnikom innym przysługiwało podobneż wyróżnienie z mniejszą tylko liczbą liktorów. Senet był siedzibą władzy, która Rzymowi dała siłę do stopniowego opanowania całego świata. Ani urodzenie, ani głos ludu nie dawał prawa do dostania się do tej rady państwa; prawo spoczywało w rękach konsulów, później dwóch cenzorów, których obowiązkiem było oszacowanie i rozłożenie podatków na majątki oraz nadzór nad administracją publicznemi funduszami i czuwanie nad publiczną moralnością. Oni uzupełniali liczbę senatorów obywatelami, którzy piastowali wysokie państwowe urzędy. Senatorowie byli wyznaczani na całe życie, wszakże co cztery lub pięć lat odbywał się rodzaj balotowania czyli wybierano nowych członków na miejsce tych, co okazali się niegodnymi tego przywileju, co było uważane za hańbę, której naprawić już nie było można. Senator był niezależny od kaprysu narodu, od nacisku najwyższych funkcjonarjuszów państwowych.

W czasie wielkiego niebezpieczeństwa, kiedy okazała się potrzeba, by zarząd sprawami spoczywał w jednych rękach, konsulowie składali swe urzędowanie, a ich miejsce zajmował dyktator z władzą prawie nieograniczoną; wybierali go konsulowie, naród zaś nie miał tu nic do mówienia. Do nadzwyczajnego tego środka uciekano się tylko w wyjątkowych razach, z ustąpieniem zaś niebezpieczeństwa dyktator składał swój urząd. W każdym jednak razie mógł on ten rząd piastować najwyżej sześć miesięcy, gdyż mogło to być niebezpiecznem dla państwa i swobód narodu, kiedyby obywatel za długo sprawował i przyzwyczaił się do najwyższej władzy.

Wykonywanie sprawiedliwości spoczywało w rękach pretorów, którzy zastępowali konsulów w czasie ich nieobecności. Jak wielkość i potęga Rzymu zawdzięczała swój rozwój sena-

towi, tak znowu do pretorów należał obowiązek łagodzenia stosunków z ościennemi ludami i stopniowego usuwania wiekowych uraz i uprzedzeń. Inny jeszcze urząd został utworzony, mianowicie edylów, do których należały sprawy policyjne, czuwania nad targami i urządzanie wielkich publicznych zabaw.

Faktycznie najwyższe prerogatywy państwa sprawował samorządem obdarzony naród w komicjach czyli zgromadzeniu narodowem, na którem każdy obywatel, patrycjusz czy plebejusz, mógł sobie rościć prawo do krzesła i głosu. Najwyższe to zgromadzenie narodowe było dwojakiego rodzaju. Dawniejsze miało charakter bardziej arystokratyczny, nazywało się Comitia centuriata, gdyż członkowie jego głosowali według podziału na klasy, o których decydowała wysokość własności. Powiedzieliśmy już, że podział ten początkowo miał na widoku służbę wojskową, lecz później nabrał politycznego znaczenia. Comitia centuriata wybierały najwyższych urzędników, decydowały o prawach, czy miały one przejść lub być odrzucone, czy miał być pokój lub wojna i rozstrzygały trudne prawne zagadnienia. Z początku głosy dawano ustnie, później pisano na tabliczkach. Comitia tributa, na których dawano głosy według przynależności do miejskiego lub wiejskiego obwodu, były więcej demokratycznej natury. Na nich obierano mniejszych urzędników, proponowano prawa i sprawowano ograniczoną władzę sędziowską. Do trybuna należał obowiązek na nich przewodniczenia; wskutek zabarwienia demokratycznego zgromadzenie to było bardzo niebezpieczne dla pokoju Rzymu. Kiedy bowiem w roku 494 plebejusze, którzy nie mieli prawa głosu, powstali przeciw uciskowi patrycjuszów i konsulów, a opuściwszy Rzym, zajęli nieopodal miasta pagórek tak zwany „Mons sacer—Górę świętą", przyjąwszy groźną postawę otrzymali instytucję trybunatu. Początkowo do tego urzędu mogli być wybierani tylko plebejusze, albowiem zadaniem tego była obrona ich przeciw niesprawiedliwym zarządzeniom; „veto" ich albo zawieszało ich użycie, albo całkiem kasowało. Z biegiem czasu utrwaliło się prawo opozycji przeciw wszelakim zarządzeniom administracji i postępowaniu wyższych urzędników państwowych lub nawet samego senatu, co więcej prawo wykonywania jurysdykcji kryminalnej nad władzami municypalnemi, nie wyłączając nawet konsulów, którzy zaznaczyli się

swym uporem. Rządy trybunów były często samowolne, tyrańskie i niesprawiedliwe; cała ta instytucja, zrodzona z rewolucji, zachowała charakter nawskroś rewolucyjny. Gorsze jeszcze nieporządki i wykroczenia publiczne powstały w późniejszym czasie, kiedy trybuni dali się wziąć na żołd rozmaitych stronnictw. Władza ich na czas niejaki została ukrócona, ale z niewielkim skutkiem; za cesarzów władza trybunów utonęła we władzy monarszej.

Konstytucja więc rzymska zachowała złoty środek między usiłowaniami monarchicznemi a demokratycznemi. Prawa i obowiązki tak rządzących jak i rządzonych jednakowo było wielkie. Lud, który niedawniej jak wczoraj sprawował najwyższe prerogatywy w komicjach, dzisiaj tem ściślejszej poddaje się uległości, a urzędnicy, co dzisiaj zostali wyniesieni na zaszczytne stanowiska głosem ludu — wysocy urzędnicy nie popobierali zapłaty — jutro pełnić będą rozległą i donośną władzę nad swymi wyborcami. Respubliki z tej konstytucji mogą dla siebie wyciągnąć ważną naukę i przestrogę.

Do roku — 451 Rzym nie miał żadnego pisanego kodeksu prawnego. Takiego wielce pożytecznego, niezbędnego hamulca na dowolne sprawowanie władzy zwłaszcza sędziowskiej, brak było. W roku tym została wybrana świeża rada, składająca się z dziesięciu mężów — decem viri — która w ciągu dwóch lat zastępowała zwykłych publicznych funkcjonarjuszów. Im to zostało powierzone spisanie ogólnie aż do tego czasu używanych praw, a zwłaszcza określenie praw publicznych, osobistych i religijnych. Pierwszego zaraz roku kodeks prawny został przyjęty, wyryty na miedzianych tablicach i wystawiony na Forum na widok publiczny. Przed końcem następnego roku dodano do nich jeszcze dwie dodatkowe tablice. Dwanaście tych tablic zawierało cały kodeks cywilnych i ogólnych praw Rzymu, które były podstawą wszelkiego postępowania sądowego; dodatki i uzupełnienia późniejsze były zgodne z ich ustawami.

(C. d. n.)

SPRAWOZDANIA i RECENZJE.

Ks. L. Baron—Jeden z bohaterów ostatniej doby (Maurycy Retour) — tłumaczenie z francuskiego. Księgarnia św. Wojciecha Warszawa—Poznań 1932.

Książka ta, opracowana na podstawie opowiadań znajomych o Maurycym Retour, oraz na podstawie korespondencji jego z narzeczoną, a później żoną, jest obrazem życia katolika—katolika w czynie. Maurycy Retour, ginący jako dwudziestokilkuletni kapitan wojsk francuskich w 1915 roku na froncie zachodnim, daje nam jeden z tych przykładów życia chrześcijańskiego, w którym próżnoby szukać ascezy i surowości i przykładów cnót średniowiecznych świętych. Życie tego nawskroś nowoczesnego człowieka jest spełnianiem ze spokojem, radością i prostotą codziennych swych obowiązków, jest niesieniem sztandaru obowiązku ponad wszystkiem, co chciałoby złamać i zniszczyć nakazy najwyższe chrześcijanina—Boże przykazania.

Jako młody szef fabryki tkackiej, jako żołnierz — podwładny i dowódca—jako mąż, syn ojciec, wszędzie i zawsze Maurycy Retour jest chrześcijaninem, jest sługą i żołnierzem Bożym, ujmującym prostotą i pogodą a obok tego hartem ducha wśród przeciwności.

Na największą jednak uwagę zasługuje w całym życiu Maurycego jego stosunek do narzeczonej i żony, zasługuje tembardziej, gdy się go rozpatruje na tle dzisiejszych stosunków. Zawiera się on w jednem zdaniu — oto ten chrześcijanin umie, a przedewszystkiem chce i tu, być prawdziwym chrześcijaninem, świadomym nakazów i głębokiej treści wiary, którą wyznaje, wolnym od wszelkiego liberalizmu, tak powszechnego dziś w poglądach na małżeństwo.

Tam, gdzie inni ludzie potrafią tyle dyskutować, tyle przytaczać zdań różnych i dowodów, on nie ma zwątpień, nie zna walk. Przecież jest chrześcijaninem, przecież miłości jego jasnej i pełnej prostoty Bóg błogosławić chce i błogosławi.

Doprawdy, jeśli się dziś cytuje przykładów tyle—to jednym z pierwszych wzorów dla młodych powinien być Maurycy Retour — ten prawdziwy żołnierz Chrystusowy, którego życie całe było służbą Bożą, służbą pokorną, prostoty pełną, pełną pogody i radości ze spełnionego obowiązku.

Marjan Jan.

„Juventus Christiana" — miesięcznik. Organ Stowarzyszenia Młodzieży katolickiej akademickiej.

Wraz z rozrostem organizacji, tak w samej Warszawie, jak i w innych miastach uniwersyteckich coraz wyraźniej zaznaczać się zaczęła potrzeba głośnego wyrażania swoich myśli na forum szerszego społeczeństwa. Zrazu wydano w związku z rocznicami organizacji parę jednodniówek (ostatnia w grudniu 1931 r. — w dzień dziesięciolecia) — od niedawna (w marcu 1932 r.) przystąpiono do wydawnictwa perjodycznego.

Na treść numerów składa się plan dyskusji i przemyśliwań zaczerpnięty z zebrań. A plon ten tak dużo mówi — w swej prostej i jasnej treści — o pracy nad ukształtowaniem dusz, która zawsze była i jest najważniejszym celem organizacji.

Obok referatów dyskusyjnych i programowych znajdujemy w miesięczniku obfitą kronikę życia stowarzyszenia.

Pismo jest do nabycia u członków „Juventus Christiana". (Cena 30 gr.).

* * *

W maju opuścił prasę drukarską drugi numer **„Młodzieży katolickiej"** (Warszawa — Lwów) — miesięcznik o którym pisaliśmy w majowym numerze „Pro Christo".

W treści numeru z ciekawszych artykułów znajdujemy następujące:

Ks. Prof. P. Chojnacki — „Uwagi na temat wiary i nauki" — Red. Jan Rembieliński — „Katolik jako polityk" — Dr. M. Śliwińska — „Drogi nawrócenia J. K. Huysmansa" — i. m. — Sprawy katolickie na ostatniej sesji sejmowej — i inne.

Pozatem numer zawiera obfitą kronikę, życia organizacyj katolickich młodzieży akademickiej, wiadomości ze świata, dział „Wśród książek" itd.

Nowym działem jest „Skrzynka zapytań" gdzie każdy czytelnik może znaleźć odpowiedź na swe wątpliwości i wyjaśnić interesujące go zagadnienia.

Adres redakcji i administracji: Warszawa Szara 14 m. 23. Lwów — Na Bajkach 16. *M. J.*

Nötzel. Menschen der Liebe — Harder. Wornigerode. Harz. Niemcy. — 287 str.

Rzadka książka i taka społeczna. Znamy filozofów, literatów, uczonych. Co wiemy jednak o — ludziach miłości, o ludziach, co życie swe poświęcili dobru nieszczęśliwych bliźnich? Nieraz znachodzi mnie pokusa, że właściwie wpływ ich działa krótko, zbyt krótko. Za życia niejednokrotnie jest niewygodny, a po śmierci blednie aż do niepamięci, wbrew utartym komunałom o „promieniowaniu" ich z za grobu. Otóż znaczenie ich późniejsze trwa tylko w tych wypadkach, kiedy ktoś robi propagandę dla idei i dla pracy danych osobistości. W przeciwnym razie najwspanialsza praca rozpada się w pył. Notzel wykopuje swem dobrem sercem, swem własnem umiłowaniem społecznem, z pod pyłków zapomnienia działaczy społecznych szerokiego świata, różnych wyznań i różnych narodowości, o których i przyznam się, nie miałem pojęcia. Nieraz stwierdzałem, że znam tylko świętych (już kanonizowanych) tylko swej własnej religji. Czy nie mają ludzi zacnych także inne wyznania? Czy poznanie tych jednostek nie zbliżyłoby ludzi do siebie dla wspólnej pracy? Dlaczego nie zajmujemy się również dzielnymi działaczami, którzy nie dostali się a może i nie dostaną się na ołtarze? Jest ich z pewnością — legjon. Jakże ucieszyłam się książką Nötzla, w której spotkałam się właśnie z społecznikami na szerszą miarę, ideowcami, którzy miłość pełnią.

Lebte der Mensch auch tausend Jahre,
Er konnte immer noch zunehmen an Liebe.

W podanych życiorysach przebija duch miłości społecznej, o jakiej mówi św. Paweł. Oto bohaterzy miłości m. in. Elżbieta Fry (Angielka), Matylda Wrede (Finka), opiekunki więzień; Aleksandra Ravigga-Mansoni, „matka" lazzaronów młodocianych; Bodelschwingh, ojciec rzeszy wydziedziczonych — idjotów itd. (13 życiorysów całości). Są w nich inicjatywy, zachęta do wytrwania. Książka Nötzla buduje, a nie rujnuje i dlatego tak cenna i zawsze na czasie.

Kaźmira Berkanówna.

Fabbro. Róża wśród cierni. — Księgarnia św. Wojciecha. — 1932. —

Wreszcie, wreszcie zaczynamy ruszać z własną literaturą hagjograficzną. Nowoczesny ten ruch zagranicą zalicza do swego zakresu także osoby umierające w opinji świętości. Zofja Róża B., zmarła 1926 w Egipcie, podczas pobytu kuracyjnego, należy do rzędu tych ostatnich.

Ks. de Ville, dodając do notatek ks. Fabbro swoje własne materjały, przedstawia nam swą bohaterkę ze strony jej cierpień. Oczekiwać pragniemy profilu życia wewnętrznego i pracy społecznej dzielnej, polskiej dziewczyny, jaką była Zofja Róża.

Księgarnia św. Wojciecha dobrze robi, że wydaje serję życiorysów jednostek zacnych, społecznych, świętobliwych, interesujących.

Szukać więcej takich typów, także mężczyzn, jak Zofja-Róża, pielęgniarka chorych, człowiek wewnętrzny, szlachetny na wskroś.

Niech nam świecą w pomroce zniechęceń, zwątpień, przeciwności na drogę wzwyż! *K. Berk.*

„Mały Serafin". Wiadomem nam jest, jak ważną rzeczą jest dobrze wychować dziatki, że od dobrego wychowania zależy szczęście dzieci i rodziców, ba nawet całego narodu.

„Młodzież jest przyszłością narodu". Naszym obowiązkiem jest współpracować nad dziełem wychowania młodzieży.

Jednym ze środków współpracy nad wychowaniem młodzieży jest propagowanie książek podających życiorysy dzieci, panien i młodzieńców, którzy świętobliwie pielgrzymkę swego życia przebyli i mogą służyć innym za wzór.

Do takich książek należy w ostatnim czasie wydany „Mały Serafin" przez X.X. Salezjanów w Warszawie ul. ks. Siemca 6. *Br. H.*

A. Auffray. Pedagogja Świętego

Wydawnictwo X.X. Salezjanów w Warszawie.

„Pedagogja Świętego" podaje wiele cennych wskazówek oddającym się wychowaniu młodzieży, a i rodzice mogą wyciągnąć dla siebie wiele praktycznych wskazań do dobrego wychowania swych dzieci.

Praca ta jest oparta na życiu błogosławionego ks. Bosko, który był wielkim wychowawcą młodzieży i wiele uczynił z pomocą bożą dla niej przez założenie Zgromadzenia, mającego za zadanie wychowanie młodzieży, zwłaszcza biednej. *Br. H.*

Zeszyt majowy miesięcznika Ateneum Kapłańskie (Włocławek, Sem. Duch.) zawiera rozprawy: Ks. Dr. A. Tymczaka, O sakramencie małżeństwa; Ks. Dr. J. Młodochowskiego: O Mannie i Ks. Br. Ussasa, niezmiernie ciekawe wspomnienie o Wywiezieniu B-pa Rzewuskiego z Warszawy do Astrachania. Wśród spraw pasterskich zamieszczono artykuły: O sprawie duchownej dla naszej młodzieży (Ks. I. M.), Wykorzystanie Stow. Żywego Różańca dla ożywienia pracy duszpasterskiej (Ks. J. R.), Pokłosie enc. „Quadragesimo Anno" (Ks. S. Wyszyński). Uwagi o adnotacjach w księgach Stanu Cywilnego (X.), Rażący błąd w popularnej pieśni eucharystycznej (X. Charszewski).

W dziale z życia religijno-kościelnego kilka uwag: O Zjednoczeniu pisarzy katolickich w Polsce poświęca Ks. S. Wyszyński. Tamże znajdujemy wspomnienie o ś. p. Ks. B-pie Łozińskim. W przeglądzie naukowym m, i. omówienie książek: Ks. Węglewicza, J. Zielewicza, Ks. Krynickiego, Chaszewskiego, Biskupskiego, B. Nawroczyńskiego, Poszwy i w. i. w obcych językach. Omówienie książek misyjnych. Bibljografja w zakończeniu.

Teresa Neumann stygmatyczka z Konnersreuth. Ks. Stanisław Szpetnar.

Cały świat katolicki zajmuje się dziś Teresą Neumann, stygmatyczką z Konnersreuth, osobą obdarzoną mnóstwem łask Bożych. Przez nią przypomina się Pan Jezus dzisiejszemu światu.

Książka ta oparta na przestudjowaniu najlepszych dzieł niemieckich i na własnych spostrzeżeniach autora.

Czysty dochód przeznaczony na Zakłady Zgromadzenia św. Michała Archanioła.

Nabożeństwo do czternastu świętych wspomożycieli. Kraków 1932. Podał do druku ks. Stanisław Szpetnar.

Na czasy wyjątkowe trzeba szczególniejszej pomocy Niebios. Książeczka wymieniona jest potrzebna dla czasów dzisiejszych.—Nabożeństwo do Czternastu św. Wspomożycieli jest bardzo rozszerzone zagranicą. W Polsce istniała książeczka z tytułem Nabożeństwo do Czternastu św. Przyczyńców, wydana w Mikołowie w r. 1894; książęczka ta mało była znana w Polsce. W świeżo wydanej książeczce użyto wyrazu Wspomożycieli zamiast Przyczyńców, gdyż wyraz Wspomożyciele zdaje się lepiej myśl wyraża. W książeczce wymienionej znajduje się także Nabożeństwo do św. Ryty i do św. Ekspedyta. Św. Ekspedyt i św. Ryta należą także do „św. skutecznej pomocy". Część pierwsza książeczki ma być jakby czytaniem duchownem, część druga ma służyć do nabożeństwa. Książeczka ta okazuje się w druku w tej samej myśli, w jakiej zostało wydane Nabożeństwo do św. Tadeusza. Pisał kiedyś Ernest Hello: Czasem się nam zdaje, że „wszystkie placówki stracone, wszystkie bitwy przegrane, wszystkie wysiłki rozpaczliwe i nadaremne. Konieczność Bożej pomocy okazuje się teraz z podniesioną przyłbicą. I oto nowa gwiazda wschodzi. Zjawia się św. Tadeusz, jako patron straconych placówek, rozpaczliwych wysiłków i to w chwili, gdy wszystkie sprawy ludzkie wschodzą i mdleją pod znakiem rozpaczy".

Książeczkę można nabyć w biurach Sodalicji św. Piotra Klawera,

PRO CHRISTO

WIARA I CZYN

ORGAN MŁODYCH KATOLIKÓW — MIESIĘCZNIK

Wydawca: Stowarzyszenie Społecznego Panowania Najświętszego Serca Jezusa w Rodzinach Chrześcijańskich.

Redakcja i Administracja: Warszawa, ul. Moniuszki 3a.

P. K. O. 10.115 Telefon 763-44

NACZELNY REDAKTOR: STEFAN KACZOROWSKI

przyjmuje interesantów w środy i piątki między 18.30 a 19.

Biuro i telefon czynne w dni powszednie od g. 11 do 12 i od 15.30 do 17:

Redakcja rękopisów nie zwraca

Pro Christo.

„Miłością Chrystusa pobudzeni...".

Kulturze i cywilizacji współczesnej zagrażają liczne i poważne niebezpieczeństwa.

Przedewszystkiem kryzys gospodarczy jest potężną katastrofą, która niesie w sobie zarodki licznych konfliktów i przeobrażeń. W łonie samej rasy białej kilkadziesiąt miljonów ludzi bądź cierpi nędzę i przymiera głodem, bądź też pobiera wprawdzie zasiłki od państwa, znajduje się jednak równocześnie w nienormalnym i demoralizującym stanie przymusowego bezrobocia. Zarówno głód, jak i bezrobocie są złymi doradcami dla mas ludowych i stanowią szeroką i potężną podstawę dla rozwoju prądów wywrotowych w społeczeństwie.

Prądy zaś te rozwielmożniły się ogromnie w ostatnich latach. Tak, jak organizm ludzki, osłabiony trawiącą go chorobą, staje się bardziej podatnym żerowiskiem dla mikrobów — tak i narody rasy białej są obecnie terenem działania licznych czynników destrukcyjnych. Najjaskrawszym ich wyrazem jest potworne państwo Sowietów, którego instytucje są rozbudowane w kierunku konsekwentnego, systematycznego, obliczanego na lata zniszczenia podstaw cywilizacji współczesnej. Nie chodzi nam tylko o system kollektywizmu. Są tam rzeczy daleko gorsze,

jak np. brutalne prześladowanie nietylko religji objawianej i kościołów, lecz już samej wiary w Boga, zniszczenie instytucji rodziny i wreszcie—wychowanie młodego pokolenia w pojęciach czystego materjalizmu w sposób burzący w jego psychice wszelkie podstawy, na jakich opierały się pojęcia osobnika rasy białej w ciągu tysięcy lat.

Sowiety jednak nie są jedynym czynnikiem destrukcyjnym, burzącym podstawy współczesnej cywilizacji. Mają one licznych sprzymierzeńców. A więc międzynarodówka socjalistyczna i masonerja, których cele, chociaż realizowane w łagodniejszych formach, w gruncie rzeczy pokrywają się w konsekwencjach praktycznych z celami wojującego komunizmu. Do tego dochodzi bezecna i nie licząca się zupełnie z interesami ludzkości polityka poszczególnych narodów. Mamy tu na myśli w pierwszym rzędzie naród żydowski, który dążąc do hegemonji gospodarczej, politycznej, a nawet i kulturalnej nad całym światem, pragnąłby pogrzebać w gruzach całą cywilizację i kulturę współczesną, aby Izrael mógł wygodniej posożytować na tym pobojowisku upadłych narodów.

Do żadnej solidarności z żywotnymi interesami rasy białej nie poczuwa się również naród niemiecki, którego imperjalizm staje się znowu groźbą dla Europy. Faktycznie istniejący sojusz niemiecko-bolszewicki, mający na celu zniszczenie Polski i zrabowanie dla Niemiec nowych prowincji na wschodzie—obliczony jest ze strony Sowietów na możliwość rozprzestrzenienia bolszewizmu w środkowej Europie i stanowi groźbę nietylko dla Polski, lecz dla całej cywilizacji. Tak więc do przyczyn gospodarczych i kulturalnych dołączają się jeszcze przyczyny polityczne i pchają razem ludzkość ku przepaści. Europa zbiedniała i wynędzniała wskutek kryzysu, miotana licznymi namiętnościami, zwulkanizowana kryzysami wewnętrznymi poszczególnych państw i groźbą wojen zewnętrznych, osłabiana przez pasożyta żydowskiego i kierowane przez niego konspiracyjne spiski — z trudnością wielką będzie mógła przeciwstawić się grożącym niebezpieczeństwom.

* * *

W tym tak trudnym dziejowym momencie odezwał się głos Namiestnika Chrystusowego w encyklice **„Miłością Chrystusa pobudzeni...“**.

Na Stolicy Apostolskiej zasiada wybitny Mąż, który głębokim swym wejrzeniem obejmuje wszystkie bóle i troski dzisiejszego pokolenia, trzyma rekę na pulsie wszystkich ważnych zagadnień, patrząc na nie od wewnątrz, badając ich ukryte głęboko przyczyny, leżące w dziedzinie moralnej i psychicznej.

W ostatniej encyklice, którą kapłani odczytali z ambon ludowi, mamy właśnie to jasne spojrzenie od wewnątrz na zjawiska nurtujące w dzisiejszem społeczeństwie. Oto źródło zła w dziedzinie ekonomicznej widzi Ojciec św. w rozkiełznanym samolubstwie i nienasyconej chciwości, które sprawiły, że „bogactwa narodów są zgromadzone w rękach kilku jednostek, które rządzą według swego upodobania... z niezmierną szkodą ogółu ludności". To samolubstwo i dążenie bezwzględne do zysku za wszelką cenę stało się również przyczyną nieszczęsnego nieładu w stosunkach społeczno-gospodarczych.

Wiele miejsca poświęca encyklika analizie metod akcji komunistycznej i bezbożniczej, podkreślając jak nowoczesnymi środkami i z jaką energją walczą czynniki destrukcyjne przeciwko Bogu i społeczeństwu ludzkiemu. Zapobiegliwość ich i energja mogłaby się stać, zaiste, przykładem dla nas katolików.

Jeśli chodzi o środki przeciwdziałania, to zwraca przedewszystkiem Namiestnik Chrystusowy uwagę na modlitwę, pokutę i czyny miłosierdzia. Dopiero wówczas ludzkość podniesie się z upadku, który jest przedewszystkiem upadkiem moralnym, gdy zdobędzie się na wielki akt ekspjacji i przez modlitwę i skruchę odrodzi się w Chrystusie. Skuteczność wszelkich reform gospodarczych, społecznych i politycznych uzależniona jest od wewnętrznego odrodzenia moralnego ludzkości. Instytucje bowiem i ustawy życia publicznego—to tylko ramy zęwnętrzne, którym treść nadaje wartość wewnętrzna człowieka.

Ojciec św. patrzy z wiarą w przyszłość. Opierając się na słowach Chrystusa: „Ufajcie, jam zwyciężył świat"! Namiestnik Chrystusowy czuje zbliżające się zwycięstwo Chrystjanizmu. Odblaski jego widać w rozszerzaniu się zasad katolickich w szeregach młodego pokolenia, w budzeniu się energji i szlachetnej ambicji katolików, zgrupowanych zarówno w Akcji Katolickiej, jak i w innych organizacjach, rozszerzających nasze zasady zarówno w życiu prywatnem jak i publicznem.

Czytając natchnione słowa Encykliki, czujemy się umocnieni na duchu. Niewątpliwie, czekają nas jeszcze liczne walki i próby. Wielkie bowiem siły zła sprzymierzyły się przeciwko podstawom chrześcijańskim dzisiejszej cywilizacji. Wiele instytucji i urządzeń ulegnie zmianom i przeobrażeniom, przyczem dbać o to musimy, aby zachowały przytem, lub odzyskały charakter chrześcijański.

Muszą przeto katolicy jednoczyć się i organizować, gdyż tylko społeczeństwo zorganizowane potrafi się obronić przed potężnymi organizacjami zła i przewrotu. Specjalny obowiązek organizowania się i uświadamiania zarówno inteligencji, jak i mas ciąży na katolikach polskich. Ojczyzna nasza niedarmo nazwana została przedmurzem chrześcijaństwa. I charakter ten zachowała po dziś dzień, zmieniły się tylko metody i tereny walki, istota jej zaś pozostała ta sama...

O zadaniach pisarza katolickiego.

W ostatnim czasie zastanawiano się kilkakrotnie nad zadaniem i pobudkami etycznemi pisarza katolickiego. Pisał o tem także papież Pius XI w encyklice „Rerum omnium" z 26. I. 1923 r., obierając św. Franciszka Salezego Patronem pisarzy katolickich.

Zanim jednakże rozpatrzy się dostojeństwo i posłannictwo pisarza chrześcijańskiego i katolickiego warto się wprzód zastanowić nad obowiązkami pisarza w ogólności. Nie znaleźlibyśmy lepszego przewodnika w tej dziedzinie nad platoński traktat „Rzeczpospolita". [1]) Jeżeli Platon głównie ma na myśli młodzież, to jednakże bez zastrzeżeń da się zakres jego uwag rozszerzyć także na starsze społeczeństwo.

„Więc nasamprzód oczywiście na twórców baśni trzeba nam zwrócić uwagę, i, o ile piękną podają rzecz, możemy się na nią zgodzić, w przeciwnym razie ją odrzucimy. Co się zaś tyczy tych, któreśmy wybrali to namawiać będziemy piastunki i matki, aby je dzieciom opowiadały, i aby daleko więcej kształtowały ich dusze powiastkami, niż ciała rękoma;

---

[1]) W tłumaczeniu Stanisława Lisieckiego. Kraków 1928, nakł. Polskiej Akad. Umiejętn.

z pomiędzy zaś tych, które teraz opowiadają, największą część odrzucić trzeba" (2, 16).

„Również nie trzeba młodemu słuchaczowi powiadać, że kto największych dopuszcza się niesprawiedliwości, mszcząc się haniebnie nawet na ojcu, który go obraził, nic nadzwyczajnego nie czyni, ani też, że on, tak postępując, z grona bogów naśladuje najznakomitszych i najpotężniejszych. A już wcale nie o tem, że bogowie bogom wypowiadają wojnę, że podstępni względem siebie i walki z sobą staczają; bo takie wyobrażenia nawet nie polegają na prawdzie, przynajmniej z tego punktu widzenia, że ci, którzy powołani są do czuwania nad państwem w wybuchu wzajemnej nienawiści największą powinni upatrywać sromotę... za to, o ile byśmy wogóle chcieli dzieci o tem przekonać, że istotnie nigdy żaden obywatel nie pałał nienawiścią względem drugiego, nadto, że, takie uczucie jest wyrazem bezbożności, to podobne uczucie wyobrażenia niechaj i starcy i staruszki i młodzież podrastająca już małym dzieciom podsuwają w powiastkach; poetów zaś trzeba zniewolić, aby swe baśnie do tychże dostosowali wyobrażeń... więc pewnie przedewszystkiem dbać o to winniśmy, aby młodzież wśród tego co najprzód słyszy, słuchała powiastek, wiodących do cnoty drogą najpiękniejszą" (2, 18).

„...niech powie, że Bóg zdziałał rzeczy sprawiedliwe i dobre, że zaś tamci przez ukaranie odnieśli korzyść. A że oni nieszczęśliwymi się stali z powodu ukarania, oraz, że tym, który to sprawił, jest Bóg, to nie pozwolimy wyrazić poetom. Za to, gdyby powiedzieli, że oni wręcz prosili o karę, ponieważ czuli się nieszczęśliwymi w tym stanie złości, a teraz, czyniąc pokutę, błogości doznają od Boga, w takim razie niech im to ujdzie. Jednakże wobec twierdzenia, że Bóg, który jest istotą dobrą, nieszczęść przyczyną staje się dla kogoś, winniśmy opór stawić silny i stanowczy, a to w tym celu, aby w państwie, o ile ono na dobrych ma się opierać prawach, nikt młodszy, czy starszy, nie głosił zasad podobnych, ani ich nie słuchał, niezależnie od tego, czy będą rozpowiadane w formie poezji czy prozy, ponieważ takie rozpowiadanie ani Bogu nie będzie miłe, ani nam pożyteczne ani zgodne samo z sobą" (2, 19).

„Ale przecież i prawdę wysoko trzeba cenić" (3, 3).

„Co dalej? Czy umiarkowania nie będzie potrzeba młodzieży naszej?...

Czy ono nie w tem się zwłaszcza objawia, że ktoś jest posłuszny wobec rządców, że zaś w stosunku do siebie samego jest rządcą względem pożądliwości picia, miłostek, jedzenia? (3, 3)"... Raczej, gdy znakomici mężowie w każdem przedsięwzięciu wytrwałość objawiają i słowem i uczynkiem, to na takie przykłady młodzi owszem powinni patrzeć i w nie się wsłuchiwać: np. „Pierś uderzając, z tem do swej duszy odezwał się upomnieniem: przecież chciej cierpieć, duszo, toć gorsze już rzeczy cierpiałaś"... (3, 4).

„Ani nie dopuścimy, by sobie drugich datkami zjednywali nasi mężowie, ani by pieniędzy byli chciwi" (3, 4). „...Takie wyobrażenia zły wpływ wywierają na słuchaczy. Każdy bowiem sam względem swoich występków będzie pobłażliwy w przeświadczeniu, że tych samych rzeczy dopuszczają się i dopuszczali najbliżsi Bogu potomkowie, Zeusa krewni, „ku których czci na szczycie Jdy ołtarz ojczystego Zeusa ku obłokom się wznosi, a w których jeszcze nie przestała płynąć krew istot boskich'. Dlatego trzeba raz koniec zrobić z temi powieściami, aby w młodzieży naszej nie wyrodziły wielkiej skłonności do złego" (3, 5).

„Myślę, że powiemy, iż oto poeci, jak i twórcy powieści, w zagadnieniu najważniejszem źle orzekli o ludziach, twierdząc, że są wprawdzie niesprawiedliwi, lecz, że wśród nich jest wielu szczęśliwych, oraz że są sprawiedliwi, jednak pożałowania godni; nadto, że korzyść przynosi dopuścić się krzywdy, o ile ukryć się można, że zaś sprawiedliwość dobro przedstawia dla innych, a szkodę wyrządza temu, kto ją spełnia; więc takich zasad głoszenia będziemy zakazywali, a co temu przeciwne, niech przybierają w szatę pieśni i powieści" (3, 5).

„Zatem... istnieje pewien rodzaj wysłowienia i opowiadania, którym posługiwać się będzie człowiek piękny i dobry, ilekroć wypadnie mu o czemś mówić — a znowu inny, niepodobny temu, którego zawsze trzymać się i którego w opowiadaniu używać będzie ten, co z powodu przyrodzonych skłonności oraz wychowania przeciwny tamtemu posiada charakter" (3, 8)".

Kiedy więc pełni, według Platona, pisarz swoje zadanie bez zastrzeżeń?

Gdy sam będzie osobą budzącą zaufanie, gdy nie będzie przedstawiał występków najwyżej postawionych jednostek, a tembardziej nie bez sądu, gdy będzie głosił zasadę miłości bliźniego, gdy będzie należycie przedstawiał Boga i sprawy boskie, że mianowicie dla Boga jest niepodobieństwem, iżby pragnął się zmienić; raczej ponieważ jest istotą najpiękniejszą i najlepszą, więc zawsze trwa w swej pierwotnej doskonałości" (2, 20). Że dalej Bóg jest uosobieniem sprawiedliwości, że jest przyczyną wydarzeń dobrych, a złe sprawia sam człowiek. Wywiąże się dalej wzorowy autor wtedy z zadań, na nim ciążących, gdy będzie rzecznikiem prawdy, gdy będzie głosił zasady życiowe twarde, pobudzające do wysiłków, gdy ganić będzie łapownictwo i popieranie swoich kreatur, gdy wykaże zgubność nadużyć i niesprawiedliwości, a blask cnoty, zwłaszcza sprawiedliwości, gdy obierze formę, licującą z człowiekiem dobrym i pięknym.

Takie nam przedstawia warunki dobrego dzieła literackiego „czysty" rozum Platona, który nie dożył czasów, gdy „Nauczyciel z Nazaretu" ostatnie powiedział słowo o godności przodownika umysłowego w narodzie.

A tych pisarzy dobrych potrzeba nam legjon. Potrzeba wprzód literatury pięknej, a później poważniejszej prozy filozoficznej. Schlegiel, Brentano, Owerbeck przygotowali w Niemczech myślicieli takich jak Moehler, Goerres, Doellinger. Piękno jest bowinm uwieńczeniem prawdy, dobra, pożytku. „Co nie jest piękne, nie jest zgodne z prawdą", powiedział Musset. Im więcej będzie tych władców pióra, którzy narzucą swe idee zbożne, podniecą, ośmielą, wzbogacą, opromienią, uporządkują wartości w zrozumieniu naszem, tem pewniejsza wygrana. Plejada wywrze zawsze więcej wpływu niż jeden meteor.

Mówi się, że dużo jest dzieł mistrzowskich, że tylu mamy pisarzy. Do jednych i do drugich zastosować można adagium: Bonum ex integra causa, malum ex quocumque defectu. A tych defektów tak dużo. Niechże się przeto kuszą, młode talenty, żeby stwarzać dzieła Bona ex integra causa.

Cały naród czeka ich z upragnieniem, by móc oprzeć skołataną głowę na utworze bez skazy.

Niema jednak zgoła pięknego powołania literackiego bez idei przewodniej, która niem kieruje. W działalności każdego rodzaju ideał, gdy jest słuszny i mądry, spełnia czynność podniecającą, zapładniającą, strzegącą od zboczenia. Będzie on rzucał światło na wybór środków, bogacił nasze motywy działania, zasilał naszą odwagę, doprowadzał nowe zasoby. Zabierając się do szczytnego powołania pisarza katolickiego będzie młodzieniec po ukończeniu studjów, kreśląc plany na przyszłość, używał światła Ducha św. i Matki Boskiej Dobrej Rady, będzie się radził weteranów pióra, będzie sam zgłębiał siebie, upatrzy sobie placówkę, którą będzie chciał zająć wśród apostołów pióra, będzie badał najsłabszą stronę literatury chrześcijańskiej, by jej podążyć w sukurs. Jeżeli prawdą jest, powie sobie, że Bóg woła mnie, bym zapalił wobec współbraci pochodnię prawdy, mężnym ruchem rozdzielił gęstwinę ciemności, hasłom katolickim, co jak kosodrzewina czołgają się poziomo, nadał wyniosły kształt dębu, bym sztuce wskazał właściwe miejsce w przodownictwie narodu, bym wyzwolił tyle piękna moralnego, co skulone drzemie w zakamarkach zapomnienia, lub niewiadomości, to wskazuje mi miejsce obok sług ołtarza, rządców narodu, wychowawców nowego pokolenia i z całą pewnością nie mógłbym pragnąć większego dostojeństwa. Jeżeli w dodatku młodzieniec mógł wygrzewać się w słońcu chrześcijańskich cnót rodzinnych, w domu o wypróbowanej, roztropnej kulturze, wtedy niechybnie zew Boży nie odbije się daremnie o głowę szlachetnego zapaleńca.

„Scribo generi humano, oświadczyła braterska i apostolska dusza Augustyna, biskupa Hippony, ut cogitemus quam de profundo clamandum sit ad Te".

Młodzieńcy więc, którzy marzycie o sławie i o zawarciu z nią przymierza wiecznego, wszedłszy do niej przez bramę literacką do samolubnego chóru der oberen Zehntausend, zachowajcie czyste ręce, rozbijcie fałszywy ideał. Nie tam bowiem jest prawdziwe życie literackie. Miljony biednych kreatur ludzkich znoją się wokół was, cierpią i za chwilę skonają niczem bydlęta, nie podniósłszy nigdy czoła. Wśród nich są tacy, którzy tęsknili za pięknem słowem, żywem czy pisanem.

Et non erat qui frangeret eis, podczas gdy wystarczyło wydać ze siebie pięć chlebów jęczmiennych, a wszechmoc Boża byłaby niemi nakarmiła pięć tysięcy ludzi. Gdy właśnie pomyśli się, czego rzesze od was żądają prośbą wypowiedzianą, a nieraz niemą, gdy się zważy środki, które znalazłyby się na ich pomoc, gdyby się ktoś na tę pomoc zdobył, to chciałoby się nieraz krzyczeć z gniewu, gdyby pokorna nadzieja nie była bardziej na miejscu tam, gdzie tak dużo zależy od Boga.

Zależy jednak bardzo wiele na poparciu materjalnem i moralnem kiełkujących zdolności pisarskich młodych katolików. Dziś, gdy trudno o Mecenasa, którýby nie szczędził tysięcy na korzyść zdrowej literatury, rolę jego objęła rzesza, która dziesięciogroszówkami, przeznaczonemi wyłącznie na produkty katolickiej myśli, umożliwi życie zastępom tworzących się potentatów umysłowych.

Nie mniej złego wyrządza aspirantom po laury literata katolickiego zdeprawowane w wielkiej części otoczenie towarzyszów po piórze, którzy tkwią głękoko w sidłach tego co popłaca, powieści i dramatów i to takich, jakich żąda rozkapryszona, swawolna publiczność. Wielkiej zaiste potrzeba stałości przekonań i żelbetonowego charakteru, żeby móc oprzeć się pokusom łatwiejszego chleba, krótszej drogi do sławy.

Pośredniem rozwiązaniem byłoby może, gdyby literaci chrześcijańscy mieli zawody, które pozwalają żyć i zajmować odpowiednią pozycję społeczną, a na drugiem miejscu poświęcali czas i refleksje na wytwory pióra. Sądzę, że trzebaby z pośród księży, lekarzy, prawników, ekonomistów, profesorów gimnazjalnych i uniwersyteckich, a może i z pośród nauczycieli szkół powszechnych, wyłowić jednostki, obdarzone zdolnościami pisarskiemi, ugruntowane w wierze, skupić je, zbierać kilka razy w roku, dzielić się spostrzeżeniami, omówić zadania na przyszłość, wskazać słabe strony frontu katolickiego, wspólne odprawiać rekolekcje. Wszystko trzebaby robić planowo, celowo, systematycznie bo ars longa, vita brevis. Dużo zależałoby na tym, którýby potrafił objąć umysłem to, co zrobione i to, co pozostaje do zrobienia.

Pierwszym warunkiem stania się dobrym pisarzem katolickim, to gruntowne studjum religji i zagadnień z nią zwią-

zanych, będących na pograniczu zawodu swego i nauki kościelnej. Słuchając tylko bicia własnego serca albo powiewu powietrza, niczego się nauczyć nie można. Jeżeli artyzm jest dźwignią, którą podnieść meżna rodzaj ludzki, to nauka jest dla niej punktem oparcia. Nie to jest utworem literackim, co jest wyrażone w formie pogodnej, poprawnej, eleganckiej, może nawet wspaniałej, lecz to co jest zwarte w treści, sprawne w rozumowaniu, przemawiające w opisie, a razem tworzy jedno ciało czerstwe, zdolne do życia trwałego. W naszych czasach, objaw to szczęśliwy, coraz bardziej płynne stają się granice między nauką a utworem literackim. Każde zdanie winno świadczyć o sporym zasobie wiedzy, a jednak być pozbawione balastu wiedzy i ujawniać się tak skrzydlate, jakgdyby co dopiero z podróży napowietrznej osiadło na ziemi. Mamy takie dzieła dzięki Bogu w literaturze polskiej, że wspomnę tylko sławne „Quo Vadis" Sienkiewicza. Dużo więc trzeba kontaktu z uczonymi żywymi, albo streszczonymi w książkach, dużo doświadczenia, bogatej wiedzy, długiej refleksji, podniecanej zdrową ambicją, trzymanej w ryzach męskiej roztropności. Praca magazynowania wiadomości powinna być dokonana do 35 roku życia, bo później prężność i giętkość duszy nie pozwala na większe zdobycze naukowe. Czego się za młodu nie skosztowało, to nigdy nie będzie smakowało w późniejszych latach. Trzeba nasamprzód stać się mędrcem, potem uczonym, a w końcu dopiero artystą.

Groźnym nieprzyjacielem pisarza chrześcijańskiego są jego zmysły. Im doskonalej wyzwoli się z pod ich supremacji, tem wyżej wzleci. Hołdując im, niebawem straci z oczu szczytne owe powołanie. Péguy wyrzekł kiedyś o swych kolegach te ostre słowa: „potrzeba im złego i grzechu, aby stworzyć rzeczy ciekawe. Sam jestem grzesznikiem, ale niema jednego grzechu w mojem dziele". Praca literacka ma jak każdy zawód swoje niebezpieczeństwa. Mając subtelniejsze uczucie i poczucie piękna, tembardziej grozi artyście pójście za popędami, które w nim działają silniej niż u innych i zasłaniają ideę, która się kryje za łupiną zmysłowości.

Gdy te i tym podobne refleksje snuły się po mojej głowie w czacie wywczasów na polskiem Podhalu, wpadła mi do

ręki książka Ludwika Ganghofera: Der Dorfapostel, której akcja odgrywa się na Podhalu niemieckiem.

Wszystkie prawidła dobrego utworu literackiego znajdują zastosowanie świetne w tej powieści, jak i we wszystkich powieściach autora. Nasamprzód zło nie odgrywa w niej roli przodującej, nie występuje więc jako istota o własnem istnieniu, jest tylko jakby cieniem, wlokącym się za ludźmi, którym *brak kultury ducha i serca.* Głównej osobie powieści, Janowi Piotrowi Zdazilkowi, brak tylko kultury ducha, co już powoduje katastrofę jego życia. Autor głosi nakaz pracy nad sobą, nad swem wykształceniem i uszlachetnieniem.

Osią, około której krąży wątek akcji jest zasada miłości bliźniego, jej ścieranie się z głupotą ludzką, z przesądami, które, nie będąc złością bezwzględną, w skutkach są gorsze od niej.

Nadewszystko jednak podnieść należy katolickość utworu, czyli tę pełnię życia katolickiego, która bije z każdej stronicy żywym pulsem, ten udział ludności w roku kościelnym, w łaskach sakramentalnych, tę postać wiejskiego duszpasterza, pełnego ducha kapłańskiego, a jednak człowieka z krwi i kości, staczającego ustawiczne utarczki ze swoją gospodynią, z rogatą ludnością góralską, niekiedy zaś z sobą samym, lubiącego wygodne życie, nie mniej zawsze gotowego pośpieszyć za głosem obowiązku.

Szczególnie zaciekawia główna osnowa książki, którą jest akcja katolicka. Ukazuje ona nam w postaci Jana Piotra Zdazilka, znajdy wiejskiego, olbrzymiego wzrostu, który widzi powołanie swoje w szerzeniu „pokoju Chrystusowego w Królestwie Chrystusowem". Oto typ apostoła wiejskiego, jakiego znajdzie się w jednym lub kilku egzemplarzach w każdej parafji. Najczęściej proboszcz nie zna działalności tych jednostek o gołębiem sercu, ale gołębim też mózgu. Dlatego na chwilę obecną lektura tej powieści Ganghofera stanie się ilustracją, jeżeli nie komentarzem nawoływań papieskich i biskupich do akcji katolickiej.

Działalność duchownego i świeckiego apostoła krzyżowała się niekiedy. Nic więc dziwnego, że doszło do ustnej rozprawy między oboma, w której proboszcz daje apostołowi świeckiemu prześliczną lekcję akcji katolickiej na wsi. Nawiązu-

jąc do słów swej gospodyni twierdzi on, że jest w tem coś prawdy, by tego, co należy do Kościoła, nie roznosić po ulicy i po karczmach. Traci ono wtedy na wartości, chociażby najlepsze były zamiary. Wszystko powinno odbywać się na właściwem miejscu i we właściwym czasie. Inaczej można sprawie tylko zaszkodzić. Do akcji katolickiej nadają się ludzie o szlachetnem sercu, ale przedewszystkiem o wielkiej roztropności i dużej kulturze ducha.

Powieść Ganghofera „Der Dorfapostel" jest najlepszym okazem katolickiej powieści. Kapłanów, trudzących się na skalistym gruncie duszpasterstwa, pocieszy; świeckich pouczy w sprawach kościelnych i zachęci do czynnej pomocy w szerzeniu haseł i czynów katolickich; wszystkich przekona o prawdziwości słów, wyrzeczonych przez proboszcza do gospodyni: „Mówię ci, droga Katarzyno, trudna rzecz być człowiekiem, ale być człowiekiem i proboszczem, to o wiele trudniejsze".

Ks. Dr. Stefan Abt.

Wiadomość o Zgromadzeniu Księży Marjanów w Polsce.

Zgromadzenie Księży Marjanów (Congregatio Clericorum Marianorum Regularium sub titulo Immaculatae Conceptionis B. V. Mariae) o ślubach uroczystych, założone w roku 1673, przez Czcigodnego Sługę Bożego Ojca Stanisława od Jezusa Maryi Papczyńskiego, w roku 1909 posiadało ostatniego Generała O. Wincentego Sękowskiego w Marjampolu i w rozproszeniu poza klasztorem O. Kolesińskiego w Chicago, gdzie umarł w r. 1913 i O. Bernarda Pielasińskiego w Górze Kalwarji pod Warszawą, jako kapelana w schronisku dla starców, który też umarł w r. 1913.

Ksiądz Jerzy Matulewicz, podówczas Inspektor Akademji duchownej w Petersburgu, wraz z kilku kapłanami, pragnąc prowadzić życie zakonne a ponadto uratować Zakon Niepokalanej od zaguby, za zgodą Arcypasterzy Warszawskiego, Mohylowskiego i Biskupa Sejneńskiego, zostali przyjęci na członków Zgromadzenia Księży Marjanów przez O. Wincentego Sękowskiego.

Ten ostatni, jako Generał Zgromadzenia, wystąpił do Stolicy Świętej z prośbą o zmianę Konstytucji wedle Norm Kongregacji Zakonników, z zachowaniem jednak dawnych szczególnych celów Marjanów: pouczania maluczkich, modlitwy za zmarłych i rozszerzania czci Niepokalanej. Dekret Piusa X, ratujący od zagłady Zgromadzenie Ks. Marjanów brzmi następująco:

DEKRET (№ 3544—09). „Zgromadzenie Kleryków Regularnych Marjanów pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny, założone w XVII wieku, zostało potwierdzone przez Papieży Innocentego XI i Innocentego XIII. Pius VI zezwolił, aby członkowie jego mogli składać śluby uroczyste. Celem Zgromadzenia było czcić ze szczególną pobożnością Niepokalane Poczęcie Najświętszej Maryi Panny, pracować dla zbawienia bliźnich, nauczać prawd wiary szczególniej prostaczków i wspomagać miłosiernymi uczynkami dusze wiernych zmarłych w ogniu czyśćcowym zatrzymane. Zgromadzenie rozgałęziło się szeroko w Polsce, gdzie wzięło początek i w Portugalji, a wszędzie dla wiary świętej dobrze się zasłużyło. Lecz w wieku XIX w czasie srożącego się prześladowania tak stopniowo podupadło, że jeden tylko obecnie pozostał zakonnik, który był przełożonym generalnym.

Niektórzy kapłani świeccy, patrząc z przykrością, jak kwitnące w swoim czasie dzieło zanika, za zgodą i zachętą Najczcigodniejszych Pasterzy Mohylowskiego, Warszawskiego i Sejneńskiego, jak niemniej pozostałego przy życiu Przełożonego Generalnego, poświęcili się wskrzeszeniu dzieła i dokonali tego według norm i przepisów tej świętej Kongregacji Zakonników. Uważali tylko za konieczne, aby Konstytucje Zgromadzenia były nieco przekształcone, aby ze względu na warunki składano na przyszłość śluby proste, nie uroczyste i żeby Officium za dusze zmarłych które według dawnych konstytucji odmawiało się codziennie, łaskawie zamienione zostało na szczególne nabożeństwo za dusze w czyścu, bez nakładania na członków stałego i określonego ciężaru.

Podpisany niżej Kardynał Prefekt świętej Kongregacji Zakonników to wszystko, wraz z poprawionemi Konstytucjami, załączonemi do niniejszego dekretu, przedstawił panującemu nam Papieżowi Piusowi X na audjencji 15 września 1910 r.

JEGO ŚWIĄTOBLIWOŚĆ raczył najmiłościwiej udzielić swego potwierdzenia w ten sposób zreformowanemu Zgromadzeniu i jego Konstytucjom, jak również zezwolił na zamianę Officium za dusze zmarłych, zastrzegając tylko należne poszanowanie dla Konstytucji Apostolskich i jurysdykcji biskupów.

Dekret ten ma znaczenie bez względu na jakiekolwiek inne rozporzadzenia. (Contrariis non obstantibus quibuscumque).

Dan w Rzymie dnia 28 listopada 1910 r.

L. S. Card. *Vives* Praef. Donatus Arcyb. *Efeski*, Sekretarz."

Nowi czlonkowie Zgromadzenia odbyli Nowicjat w Petersburgu, skąd po śmierci O. W. Sękowskiego, Ks. Matulewicz jedzie do Fryburga w Szwajcarji, by tam w otworzonym Domu zakonnym i Nowicjacie rozwijać ducha zakonnego w przybywających z Polski i Litwy kandydatach. W roku 1913 kilku kapłanów litwinów jedzie do Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki i zakładają Prowincję amerykańską; w r. 1914 przed wojną przybywa ks. Matulewicz do Polski i po otrzymaniu Bielan pod Warszawą zakłada Prowincję Polską, wreszcie i na Litwie tworzą Marjanie domy zakonne, obejmując w posiadanie dawną siedzibę Marjanów — Marjampol. W roku 1926 tworzy się główny Dom Marjanów w Rzymie, mający być siedzibą Generała Zgromadzenia.

26 kwietnia roku 1929, został potwierdzony dawny przywilej Marjanów tak zwany „exemptio" następującym dekretem:

„DEKRET (№ 8290—27). Ponieważ dzisiejszy Generał Zgromadzenia Ks.Ks. Marjanów pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia N. M. P. zwrócił się obecnie z pokorną prośbą, w tym celu, ażeby dla usunięcia wszelkiej wątpliwości w rzeczy tak ważnej zostało wydane wyraźne wyjaśnienie co do egzempcji już niegdyś udzielonej wyżej wymienionemu Zgromadzeniu przez św. pamięci Papieża Piusa VI przez brewe „Iniuncti nobis" z dn. 27 marca 1787 r. a o czem nie było żadnej wzmianki w Dekrecie tej świętej Kongregacji Zakonników z dn. 28 listopada 1910 r. № 3544—09; w którym to dekrecie zostały zamienione śluby uroczyste na proste i zostały wprowadzone do Konstytucji Zgromadzenia Ks.Ks. Marjanów niektóre zmiany bardziej odpowiadające warunkom dzisiejszych czasów i miejsc, taż święta Kongregacja Zakonników wszystko starannie rozważywszy według brzmienia i treści niniejszego dekretu postanawia i wy-

jaśnia, że przywilej egzempcji, o którym mowa wyżej pomimo przekształcenia Zgromadzenia przez wymieniony Dekret z dnia 28 listopada 1910 roku w swojej mocy nadal pozostaje, z zachowaniem pozostałych rzeczy, które zachować należy, (servatis caeteris servandis), bez względu na jakiekolwiek inne rozporządzenia (contrariis non obstantibus quibuscumque).

Dan w Rzymie, Sekretarjatu Świętej Kongregacji Zakonników dnia 26 kwietnia 1929.

M. P. *Aleksy Henryk M.* Kard. *Lepicier OSM.* Prefekt
Vinc. La Puma Sekretarz".

20 stycznia 1930 roku Stolica Apostolska zatwierdziła ostatecznie podział naszego Zgromadzenia na Prowincje, a Przełożony Generalny listem z dn. 23 kwietnia dokonał podziału w następujący sposób: Pierwsza Prowincja Amerykańska posiada 3 domy; druga — Polska posiada domy: w Warszawie przy ulicy Moniuszki 3 a i na Bielanach, tel. 11.44.45, gdzie istnieje Gimnazjum z internatem, w Skórcu, adres Siedlce skrz. poczt. 79, gdzie istnieje Małe Seminarjum ks. Marjanów, i w Raśnie, adres Wysokie-Litewskie skrz. poczt. 32, gdzie znajduje się Nowicjat Prowincji polskiej. Trzecia Prowincja—Litewska posiada 5 domów. Ponadto bezpośrednio poddane władzy Przełożonego Generalnego są domy: w Vilanach na Łotwie, w Drui i w Rzymie.

27 stycznia tegoż 1930 roku zostały ostatecznie zatwierdzone Konstytucje Zgromadzenia przez szczęśliwie nam panującego Ojca Świętego Piusa XI. Odpowiedni Dekret brzmi:

„DEKRET (№ 7497—29). Ojciec święty PIUS z Opatrzności Bożej XI mając na audjencji niżej podpisanego Sekretarza świętej Kongregacji Zakonników dnia 27 Stycznia 1930, raczył łaskawie zaaprobować i potwierdzić, według brzmienia i treści niniejszego Dekretu, Konstytucje Ks. Ks. Marjanów pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia N. M. P. czyli Marjanów, już dawniej zatwierdzone przez św. pamięci Piusa X Dekretem tejże Kongregacji z dnia 28 listopada 1910, teraz zaś po uzgodnieniu z Kodeksem Prawa Kanonicznego i wprowadzeniu wielu zmian i dodatków, na prośbę Kapituły Generalnej wymienionego Zgromadzenia przez tąż świętą Kongregację przejrzane, tak jak się zawierają w tym egzemplarzu, którego rękopis znajduje się w archiwum

św. Kongregacji; z zachowaniem zawsze powagi miejscowych Ordynarjuszów wedle normy św. Kanonów i Apostolskich Konstytucji. Bez względu na jakiekolwiek inne rozporządzenia (Contrariis quibuscumque minime obstantibus).

Dan w Rzymie z Sekretarjatu Św. Kongregacji Zakonników, dnia, miesiąca i roku jak powyżej.

M. P. *Aleksy Henryk Marja* Kard. *Lepicier OSM.* Prefekt.
Vinc. La Puma Sekretarz".

Zgromadzenie Księży Marjanów podjęło starania o przypomnienie rodakom świetlanej postaci swego Założyciela Czcigodnego Sługi Bożego Ojca Stanisława od Jezusa Maryi Papczyńskiego, którego ciało złożone w Sarkofagu w kościółku, tak zwanym „Wieczerniku" w Górze Kalwarji pod Warszawą; urządzono Akademję, ponadto pielgrzymki raz poraz udają się z Warszawy i z innych miejscowości do grobu Sługi Bożego. Cześć ku O. Papczyńskiemu rozszerzają również członkowie Stow. Stanisławitów, czem jednak są ci ostatni, dokładnie określa Oświadczenie Kurji Podlaskiej, umieszczone w piśmie „Wiadomości Diecezji Podlaskiej":

„Od czasu do czasu zjawiają się w prasie katolickiej, a ostatnio w Nr. 3 tygodnika Wileńskiego „Nasz Przyjaciel" (z dnia 19 z. m.) błędne informacje o Stowarzyszeniu Diecezjalnym Stanisławitów, założonym w roku 1928 w diecezji Podlaskiej z siedzibą w Janowie Podlaskim.

Wobec tego Kurja wyjaśnia:

1. Stowarzyszenie Stanisławitów niema łączności z dawnym Zakonem, a obecnie istniejącą Kongregacją Ks.Ks. Marjanów, którzy są prawymi spadkobiercami dawnego zakonu O.O. Marjanów.

2. Stowarzyszenie Stanisławitów nie jest ani Zakonem, ani Kongregacją zakonną, lecz zwykłą assocjacją, jak bractwa, sodalicje, bez żadnych ślubów, nawet prostych, lub urządzeń zakonnych (nowicjatu i t. p.).

3. P. Stanisław P. jest członkiem Stowarzyszenia, jako członek świecki (laicus), a jeżeli składał kiedy jakieś śluby, rzekomo zakonne, to Stolica Apostolska orzekła nieważność, a nawet nieistnienie takich ślubów.

4. Ks. Janowicz jest kapłanem arch. Wileńskiej, żadnych ślubów ważnych wobec Kościoła nie składał, i jako kapłan—

rektor kościoła św. Jana w Janowie Podlaskim, stoi na czele Stowarzyszenia „Stanisławitów".

Św. Franciszek z Assyżu stał się Ojcem wielu Zgromadzeń zakonnych, które zgodnie za ideał mają wspólnego Ojca; daj Boże, aby i pierwszy Założyciel Zgromadzenia na ziemiach Polski mógł wzbudzić kilka rodzin zakonnych, wzorujących się na Jego życiu. Niech wszyscy czciciela czcigodnego Sługi Bożego O. Stanisława Papczyńskiego rozszerzają wieści o świątobliwem Jego życiu, a prędzej doczekamy się chwili wyniesienia Go na Ołtarze ku naszej radości, zbudowaniu Ojczyzny i chwale Bożej.

Ks. Wł. Jakowski M. J. C.
Prowincjał Ks. Marjanów w Polsce.

SPOŁECZENSTWO I WYCHOWANIE.

Ruch misyjny wśród młodzieży angielskiej.

W państwach katolickich, w których sprawy religijne normalnym idą trybem, społeczeństwo zazwyczaj niewiele wie o trudnościach, z jakiemi walczyć muszą katolicy w krajach niekatolickich, nawet w takim wypadku, kiedy rząd nie jest dla katolicyzmu wrogo usposobiony. Brak dostatecznej ilości szkół katolickich, kościołów i duchowieństwa, bywa dużą przeszkodą do wychowania młodzieży w zasadach prawdziwej wiary, z tego powstaje też często zobojętnienie religijne wśród rodzin, tak że dzieci w początkowym okresie swego życia, który stanowić ma o ich przyszłym rozwoju duchowym, nieraz nic o Bogu nie słyszą.

To też wezwanie, jakie Ojciec Święty, Pius XI, wobec wzmagającego się w całym świecie kryzysu moralnego skierował do całego katolickiego społeczeństwa w sprawie współpracy świeckich z duchowieństwem, w Akcji Katolickiej, w krajach niekatolickich tem większe jeszcze posiada znaczenie.

Anglja — w wieku XVI tym rzucona w objęcia reformacji przez Henryka VIII, który początkowo zwany „obrońcą wiary", później, gdy papież nie chciał unieważnić jego małżeństwa z Katarzyną Aragońską, stał się zaciętym przeciwnikiem Kościoła — stała się prawdziwym krajem misyjnym. Mieczem, stosem i szu-

bienicą starano się złamać stałość tych katolików, którzy wytrwali przy Prawdzie, lecz okazali się oni godnymi naśladowcami pierwszych męczenników chrześcijańskich i historja prześladowań religijnych w Anglji podaje liczne przykłady prawdziwego bohaterstwa.

Ten posiew krwi wydał już owoce. Powszechną uwagę zwracają liczne nawrócenia w kołach wyższego duchowieństwa anglikańskiego, ogółem zaś liczą rocznie do 12.000 konwertytów i śmiało chyba zabawić się można w proroctwo, że niewiele upłynie czasu, a Anglja powróci znów na łono Kościoła.

Duża w tem zasługa katolików świeckich, którzy zdawna już stanęli do pomocy nielicznemu duchowieństwu i z pełną zapału ofiarnością pracują nad utrzymaniem ducha katolickiego na zagrożonych placówkach oraz nad zdobywaniem nowych owieczek dla Kościoła. Niewiele dotąd wiemy o tej cichej pracy w oddalonym od nas kraju, a jednak warto zaznajomić się z tym ruchem, o którym nieco szczegółów podaje w miesięczniku „The Catholic Wooman's Qutlook", jedna z przodowniczek działalności misyjnej wśród młodzieży.

W wielu miasteczkach i wsiach, gdzie niema szkół katolickich a często nawet kościoła i księdza—dzieci zwłaszcza ze sfer uboższych, muszą uczęszczać do szkół sekularyzowanych. Skutkiem tego pozbawione nauki religji i przygotowania do Sakramentów św., wychowywane są często w nieznajomości zasad wiary, jeśli nie w nienawiści do niej.

Aby zapobiedź temu spoganizowaniu sfer katolickich i udostępnić wszystkim dzieciom naukę religji, przed blisko ośmiu laty na życzenie kardynała Bourne „Związek Kobiet Katolickich" zorganizował wzorem Francji „Stowarzyszenie Katechistek Najśw. Marji Panny", w którem wielki udział biorą młode panny. Zadaniem tego stowarzyszenia jest udzielanie dzieciom nauki katolickiej religji a także szkolenie osób, które w tem zbożnem dziele udział wziąć pragną. Świeżo powstał podobny męski związek katechistów pod wezwaniem św. Józefa; współpracują z nim z zapałem starsi katoliccy skauci, „The Rover Scouts". Ci ostatni wywierają duży wpływ na młodzież, która przekonuje się o fałszu wpajanych nieraz zasad, iż religja jest wyłączną sprawą kobiet.

Młodzi entuzjaści tego ruchu żywią przekonanie, że gdyby objął on całą opuszczającą szkołę młodzież katolicką, w wieku

lat 14 wzgl. 18-tu, to zanim przeminęłaby jedna generacja, Anglja znalazłaby się znów na łonie Kościoła. Dla samych młodych katechistów praca ta niesłychane ma znaczenie, bowiem wysokie ideały, jakie wpajane są młodzieży w czasie, kiedy uczęszcza do szkół, potrzebują do zrealizowania czynnej pracy, jeśli nie mają rozpłynąc się w jałowym sentymentalizmie.

Praca młodych katechistek angielskich tak się w ogólnym zarysie przedstawia:

W okolicach, w których niema szkół katolickich ani nawet kościoła, lub tam, gdzie duchowny przeciążony jest pracą i nie może podołać zadaniu, wyręczają go katechistki. W niektórych nawet parafjach obchodzą domy, lub też zbierają po kilkoro dzieci na naukę w jednej z chat. Czasami i matka, oderwawszy się na chwilę od pracy, z zajęciem przysłuchuje się lekcji, odświeżając sobie w pamięci zapomniane nauki katechizmowe. Nieraz młode apostołki spotykają przy tej okazji katolików, którzy oddawna już przestali praktykować i całe rodziny sprowadzają z powrotem na łono Kościoła; zdarza się także, że przyczyniają się do uregulowania nieprawidłowych związków. Jeśli która jest tak szczęśliwa, że posiada auto, wtedy dotrzeć może do najdalej położonych domostw. W ten sposób pracują także O.O. Jezuici z Heythrop, w Oxfordzie.

Z zebranych przy takiej pracy doświadczeń okazało się, że jedynym prawie powodem oddalenia prostego ludu od Kościoła, bywa nie odstępstwo od wiary, tylko brak pomocy religijnej i moralnego oparcia.

W samym nawet Londynie istnieją parafje, w których niema szkół katolickich i gdzie 13 i 14 letnie dzieci nie były jesze u spowiedzi.

Na udzielaną przez katechistki naukę religji dzieci uczęszczają bardzo chętnie. Nieraz uczniowie przyprowadzają do klasy swoich starszych przyjaciół, którzy chodzą tak długo, dopóki nie zostaną przyjęci do bierzmowania. Zdarzały się wypadki, że mali heretycy za zgodą rodziców prosili o przygotowanie ich do przyjęcia religji katolickiej, czasami przychodziły dzieci niechrzczone jeszcze. W ten sposób szerzy się apostolstwo wśród dzieci.

Aby klasy katechizacyjne funkcjonowały prawidłowo, na każdą wyznaczone są trzy lub cztery katechistki, tak, że gdy jedna

przyjść nie może, inna ją w lekcji zastępuje. Dla ułatwienia sobie pracy, przybierają katechistki do pomocy starsze dzieci, należycie przygotowane i pozwalają im uczyć młodsze. O honor ten dzieci bardzo się ubiegają i z tej emulacji same korzystają, pogłębiając własne wiadomości i przekonania religijne. Członkowie „Stow. N. M. Panny" nauczają także w szkołach dla dzieci nienormalnych, których to szkół w samym Londynie jest 116, w nich zaś aż 10% dzieci katolickich. Zdawałoby się, że nauczanie takich dzieci na szczególne natrafia trudności, jednakże pod pewnym względem dla ich prostoty ducha, łatwiej sobie z niemi radzić. Jedna z małych, milczących zazwyczaj dziewczynek, na zapytanie, dlaczego ją Pan Bóg stworzył — wzruszającą dała odpowiedź: „Bóg jest taki bardzo dobry..."!

Katechiści starają się także o utrzymanie kontaktu z uczniami, którzy już szkoły ukończyli i zachęcają ich do wstąpienia do klubów, o ile takie w parafji istnieją lub do katolickich skautów. Odwiedzanie dawnych pupilek, zdobyte u nich zaufanie, pomaga często zawrócić zbłąkane z fałszywej drogi. Podkreślić tu trzeba wielkie znaczenie tej okoliczności, że katechistkami są młoda dziewczęta, gdyż łatwiej im, niżeli starszym osobom, zyskać zaufanie swoich rówieśnic.

Stowarzyszenie posiada już około 300 wykwalifikowanych katechistek, ma nadzieję, że liczba ta wzrośnie do 3.000 i wtedy każde miasto w Anglji będzie ich miało tyle, ile potrzeba. Spodziewa się także, że wszystkie ożywione będą tym szczerym i gorącym duchem wiary, jaki udziela się innym, zwłaszcza dzieciom, które szczególnie są wrażliwe i intuicyjnie wyczuwają, czy mówi się do nich z głębokiego przekonania.

Katolicyzm angielski zyska także mocne oparcie w „Katolickim Instytucie dla nauk wyższych", jaki otwarty został niedawno z inicjatywy Kardynała Bourne. W instytucie tym wykładane będą specjalnie dla wyszkolenia katolików świeckich: teologja, filozofja i Pismo św., albo historja Kościoła. *St. Kozłowska.*

Najsilniejszy argument.

Jesteśmy przyjaciółmi niemal od kołyski, prawie bliźnięta, bo jestem tylko kwandrans starszy od niego. Razem spędzi-

liśmy dzieciństwo, a dole i niedole szkoły złączyły nas w nierozdzielną parę „braci sjamskich", taki bowiem tytuł nadano nam już w pierwszej klasie. Słonko czy zabawa, radość czy smutki—wszystko dzieliliśmy ze sobą. Tak więc w przyjaźni „sielskiej, anielskiej" płynęły lata,—„ramię przy ramieniu" idąc, przeszliśmy szkoły, otrzymaliśmy matury. Wtedy musieli się rozstać „bracia sjamscy". On rzucił się do handlu z zapałem i werwą młodzieńczą, chciał mieć pieniądze i robił je, cały im oddany. Ja wstąpiłem do Seminarjum duchownego.

* * *

— Co się z nim działo przez te kilka lat rozłąki? Jak ten człowiek spędził swój czas? Czem karmił swój umysł, co czytał, jaki „brukowiec" kształcił jego poglądy na wiarę i etykę życia?—nie wiem, ale kiedy spotkaliśmy się znowu w parę lat po moich ostatnich święceniach kapłańskich, z trudem go poznałem.

Żegnałem po maturze młodego, wesołego chłopca, dobrego katolika, ujmującego wszystkich swem ułożeniem i dobrocią,—dziś spotykałem dojrzałego już mężczyznę, zgorzkniałego, sybarytę, całkiem bezbożnego, a ta bezbożność bojowa i zażarta zdawała się w nim kipieć, gotowa na podbój całego świata i wszystkich ludzi. Jeśli brał udział w świeckich dysputach i rozmowach, był opanowany i spokojny, jak dawniej, lecz skoro przechodziliśmy na temat religji, ożywiał się błyskawicznie: rysy twarzy zaostrzały się, oczy biegały nerwowo, a usta, z podrażnienia zacięte wyrzucały jeden po drugim „potężne" argumenty:

— Dusza! Czy widział ją kto kiedy? Jakżeż ona wygląda? Gdzie ona w człowieku siedzi? — A czy z zaświatów powrócił kto na ziemię, więc skąd wiesz, że one wogóle istnieją? — A gdzie Chrystus spowiadał Apostołów? Czy przy konfesjonale? — przecież o tem Ewangelja nic nie mówi.

* * *

Raz wieczorem wychodził odemnie po parogodzinnej „swoistej" dyspucie i już we drzwiach stojąc rzucił mi swój ostatni pocisk: „Jakto? I ty, znając konieczne warunki istnienie człowieka, wierzysz, że Jonasz był w paszczy wieloryba? Spróbuj nie oddychać przez 3 minuty i pomyśl o 3 dniach. To jest oczywiście fizyczne niepodobieństwo!" Wyrazisty ruch ramion oznaj-

miał, że temu wykształconemu człowiekowi w głowie się nie mieści, aby kto mógł tak bluźnić przeciw zdrowemu rozumowi.

Byłem zmęczony, podniecony i wyczerpałem cały zapas cierpliwości, rozmawiając z nim przez tyle czasu.

— „Tu niema nic dziwnego,—zakończyłem — on trzy dni w „otchłaniach morza,—a ty blisko już dziesięć lat żyjesz, jak zwierzę"!

Czy się obraził? Tak, ale na krótko, potrzebując mojej pomocy, zjawił się znowu i zapanował status quo.

* * *

Często zachodził do mnie do zakrystji, ale czuł się tam ogromnie onieśmielony i kręcił się ciągle, jakby go ziemia piekła pod stopami. Nie miał już odwagi zaczepiać kwestji wiary. Coś uniemożliwiało mu mędrkowanie o Bogu w bliskości Najświętszego Sakramentu. Zaczynał więc robić uwagi o ludziach, krytykował staruszka zakrystjana, a już najwięcej denerwowali go wierni, modlący się gorliwie na różańcu.

— „Sto razy byłoby lepiej, gdyby te twoje owieczki mniej klepały pacierzy, a zato za progiem kościelnym nie stawały się znowu wilkami i lepiej postępowały w domu i rodzinie".

— „Ale co ty,—wtrącam — ateuszu, masz tu do powiedzenia? co ty o tem możesz wiedzieć?"

— „O! ja o tem wiem bardzo dużo!"

— „No, jeśli tak już bardzo dużo wiesz" ...kończyłem pokornie.

* * *

Jestem człowiekiem i potrzebują chwili spokoju przy jedzeniu. Żeby to sobie zapewnić, musiałem go zobowiązać, że przy stole nie poruszy żadnej kwestji, czemkolwiek związanej z religją. A on tymczasem zawsze był gotów rozprawiać o tym, tak przezeń bardzo znienawidzonym przedmiocie. Coś go poprostu pchało, żeby ciągle mówić i dysputować o religji. Kiedyś zwróciłem mu na to uwagę:

— „Mój Józku, muszę stwierdzić, że ty masz więcej wiary i gorliwości odemnie, tylko, że u ciebie jest ona mocno nadpsuta i jakby skwaśniała".

— ....?

— „No tak! przecież dobre wino i skwaśniałe na ocet są

zarówno dowodem istnienia winnego szczepu, bo oba gatunki od jednego pnia pochodzą".

— „Nie rozumiem"!

— „Zastanów się, o czem ty ciągle mówisz".

* * *

Jakiemi sposobami nie usiłowałem go nawrócić!

Raz przypomniałem mu nasze piękne lata dziecinne, naszą czystą i jasną młodość, starałem się delikatnie przywołać mu do serca uczucia, jakie ongiś żywił dla wiary i Kościoła; to znów musiałem mu wykładać podstawowe prawdy wiary, nieraz przez całe godziny, zbijając jeden po drugim jego zarzuty, rozpraszając jego wątpliwości. Ale gdy mu tłumaczyłem, nie starał się pojąć, czy to prawda czy nie, lecz myślą pracował gorączkowo nad wyszukaniem argumentu zbijającego. A miał głowę tak niemi naładowaną, że w każdej chwili i o każdej porze bez względu na sytuację gotów był wyrzucać je bez przerwy i wyboru. Prymat papieża i jego nieomylność, prawdziwość Ewangelji, przeistoczenie, rola wody święconej, nierozerwalność małżeństwa, celowość zakonów, różaniec — wszystko miał na pogotowiu i gdy jedną broń wytrącałem mu z ręki, zaraz chwytał za następną, przechodząc momentalnie od teologji do liturgji, od dni stworzenia do historji templarjuszów, od inkwizycji do ślubów i pogrzebów.

* * *

W tych dniach, po kilku tygodniach niewidzenia go, dostałem krótką, ale ważną wiadomość: „Przyjeżdżaj koniecznie, jutro operacja kiszek". Operacja kiszek, pomyślałem sobie, to rzecz ciężka i poważna nawet dla sławnych i wielkich chirurgów. To też bez zwłoki udałem się w podróż, postanawiając sobie, że nie odstąpię od tego nieszczęśliwca, dopóki go z Bogiem nie pojednam.

W głowie miałem pustkę prawdziwą. Wszystko, co mogłem powiedzieć mu w takiej chwili, słyszał już nie raz jeden. Nic dla niego nie mogło być nowem i uderzającem. — „Nie traćmy nadziei", powtarzałem, wzywając Ucieczki Grzeszników i św. Józefa, patrona umierających, jak również św. Ekspedyta, gdyż sprawa była nagła i beznadziejna.

* * *

W białym pokoju kliniki czekała mnie wielka niespodzianka. Na stoliku u wezgłowia duży krucyfiks, tuż pod nim obraz Matki Bożej, Niepokalanie Poczętej, a obok żywot św. Teresy od Dzieciątka Jezus, najobszerniejszy w pięknem wydaniu. Chory puścił z ręki wielki czarny różaniec i, usiłując się unieść, wyciągnął ku mnie ramiona.

— „Jakże ci serdecznie dziękuję, żeś przyjechał; ciągle o tobie myślałem. Mam skręt kiszek i męczę się strasznie. To bardzo niebezpieczna przeprawa, więc choć wziąłem najlepszego lekarza, wolę się udać pod opiekę Niebieskiej Lekarki, — więcej Jej ufam, niż chirurgicznemu skalpelowi".

— Hm.....!

— „Cóżeś taki zmarszczony?

— ....?

— Co ci jest?

— „Mój drogi Józku, rzekłem po chwili, w ciągu tych paru lat, ty, sam jeden, potrafiłeś wyczerpać mnie zupełnie swoim oporem dla światła wiary. Dawałem ci wszystkie uzasadnienia teologiczne, przytaczałem ci setki przykładów, rozwijałem przed tobą najpiękniejsze obrazy z życia etycznego, czytałeś całą moją bibljotekę — wszystko, co budujące i wyjaśniające, — rozmawialiśmy całemi dniami, — a jednak nie chciałeś uwierzyć. Nie przemawiało ci to ani do serca ani do rozumu. A dziś, gdy za chwilę mają cię operować, gdy strach o życie zajrzał w oczy — raptem uwierzyłeś. Ba! nie tylko już jesteś wierzącym, ale gorliwie praktykującym. To jest co najmniej niesmaczne".

— „Jakto? i ty się z tego nie cieszysz"?

— „Co znowu! Cieszę się i to bardzo, gdyż po pierwsze nawróciłeś się, a po wtóre dałeś mi jeszcze jeden powód do utwierdzenia się w pokorze. Skręt kiszek jest silniejszym argumentem i bardziej przekonywującym, niż wszystkie moje dowody apologetyczne".

— „Ależ, człowieku, zrozumiej, że to jest mizerera! Mi-ze-re-ra"!!!

* * *

Dziś mój przyjaciel jest już po operacji. Udała się, i dziś szczęśliwy „katolik" wraca do zdrowia, czuje się dobrze, jest

pełen ożywienia i radości życia. Kroi szerokie plany na przyszłość.

I oto siedzę sobie i niepokój ogarnia mnie, gdy myślę, o tem nieoczekiwanem a tak prędkiem nawróceniu, co tak dziwnego miało apostoła.

Trwałe, czy nietrwałe? Trwałe, czy nietrwałe....

Napewno prawdziwe!

Z francuskiego spolszczył
O. *Aleksander*, Paulin.

Dziś i jutro bolszewizmu.

Tak się złożyło, iż w ostatnich tygodniach miałem sposobność przeprowadzenia ciekawych rozmów z paru osobami, które dłuższy czas przebywały w sowieckiej Rosji. Informacje, otrzymane od tych rozmówców, przyniosły sporo nowych szczegółów o stosunkach, panujących w Sowietach, rzucając nieco odmienne od dotychczas spotykanych relacyj światło na całe zagadnienie bolszewizmu.

Jeden z moich informatorów bawił w Sowietach jako tak zwany „spec" (skrót wyrazu „specjalista") to jest fachowiec-instruktor, zakontraktowany na dwadzieścia miesięcy, a delegowany na stanowisko przez jedną z poważniejszych firm amerykańskich.

Z racji swoich obowiązków przejeździł Sowiety wzdłuż i wpoprzek — i pomimo stałej opieki agentów G. P. U. miał jednak możność widzenia czegoś więcej, niż same urządzenia propagandowe, przeznaczone dla pokazywania cudzoziemcom i tumanienia naiwnych obcokrajowców.

— Jak jest właściwie z tą „piatiletką"? — rzucam pytanie.

— Na ten temat możnaby powiedzieć bardzo wiele — słyszę odpowiedź: — pierwsza „piatiletka" już się skończyła, teraz idzie druga. Jak jest wykonywana, to służyć mogę paru obrazkami. Oto naprzykład zwiedzałem wzorową fermę, urządzoną w dawnym majątku wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza, głównodowodzącego armją rosyjską z czasów wielkiej wojny.

Pokazywano mi z dumą oborę świeżo wystawioną na 200 sztuk bydła. Cementowe poidła, cementowe ścieki, specjalna wieża do przygotowywania paszy według najnowszych zasad hodowli...

— A gdzie krowy? — zapytuję.

— Już część bydła zarodowego posiadamy..

I pokazano mi w jednym końcu olbrzymiego budynku kilkadziesiąt, może koło stu, mizernych krowin i cieląt, zbieranina— jak to się mówi — każda z innej wsi. Wymowny dowód niesłychanego wprost wyniszczenia żywego inwentarza na wsi rosyjskiej naskutek kolektywizacji roli i gospodarki rolnej. Chłop rosyjski wobec grożącego zabrania mu na rzecz „kołhozu" posiadanego dobytku, wolał krowę czy świnię zabić i sprzedać na mięso lub zjeść samemu z rodziną. W ten sposób stan inwentarza żywego w Rosji sowieckiej uległ katastrofalnemu wprost zmniejszeniu i dlatego zgromadzenie większej ilości bydła w fermie wzorowej, bez importu z zagranicy, przedstawia ogromne trudności i nie jeden jeszcze rok minie, nim ta ferma „wzorowa" posiądzie naprawdę oborę zarodową w rzeczywistem tego słowa znaczeniu.

Inny fakt. Znacznym nakładem pieniędzy z pomocą amerykańskich „speców" wystawiona została wielka wytwórnia traktorów. Według zapowiedzi władz miało być w niej wytwarzanych 25.000 traktorów rocznie. W rzeczywistości w pierwszym roku wykonano tylko 3000 sztuk, a z tych 2900 było niezdatnych do użytku. Wynik tedy dość mizerny, bardzo a bardzo daleko odbiegający od szumnych zamierzeń i zapowiedzi

Albo taka historja. Od czasu zamordowania na terytorjum szwajcarskiem Worowskiego, przedstawiciela Sowietów, — i nieudzielenia satysfakcji w żądanej przez władze bolszewickie formie, bojkotuje się na terenie Sowietów zegarki szwajcarskie. Wynik taki, że nawet w miastach obywatel sowiecki, posiadający zegarek, nie jest zjawiskiem częstem. By temu stanowi rzeczy położyć kres, postanowiono założyć na południu Rosji fabrykę zegarków. Znów z pomocą zagranicznych „speców" wystawiono obszerne gmachy, sprowadzono najnowsze maszyny amerykańskie do wyrobu części mechanizmów zegarowych i zegarkowych, zakontraktowano zagranicą 80 majstrów zegarmistrzowskich i znów *fiasco.* Okazało się, że stal rosyjska nie jest odpowiednia na wyroby tak precyzyjne jak części zegarków, a zagranica stali potrzebnej na kredyt dać nie chce. Po półrocznych korowodach kontrakty z majstrami zerwano i odstawiono ich do granicy, a wspaniała fabryka zegarków stoi bezczynnie.

Takich nieudanych poczynań z zakresu programu piatiletki możnaby przytoczyć sporo, co zresztą nieraz już prasa notowała, więc rzeczy znanych powtarzać nie będę.

— Czyja wina w tych niepowodzeniach programu obu „piatiletek"?

— Z jednej strony nadmiernego optymizmu władz sowieckich, a z drugiej — małego przejmowania się robotnika sowieckiego planami swoich władców. Plany wszelkich przedsięwzięć są przygotowywane albo prawie wyłącznie przez obcych „speców" albo przy ich przeważającym udziale — rola wykonawcza należy do robotnika rosyjskiego, a kierownik „spec" nie może być zbyt wymagającym, gdyż łatwo może go spotkać oskarżenie o wrogość względem proletarjatu i gdy się jest „specem" niezbyt wybitnym z wielką łatwością można „zniknąć bez śladu", co jest specjalnością stosunków sowieckich.

Robotnik w Rosji sowieckiej pracuje tyle tylko i tak tylko, aby dostać odpowiednie kartki do spółdzielni. Jak tam wyszedł przedmiot jego pracy? zdatny do użytku czy nie?—tem się nie martwi, natomiast znaczną część dnia zajmuje go troska o najlepsze zrealizowanie otrzymanych kartek, bo zazwyczaj rzeczy najpotrzebniejsze najrzadziej są na składzie w kooperatywach sowieckich i trzeba brać co bądź, a dopiero później drogą kłopotliwego handlu zamiennego dochodzić do rzeczy potrzebnych.

Widząc, że równością płacy nikogo nie zachęcą do lepszej i wydajniejszej pracy — władze sowieckie wprowadziły różne nagrody i odznaczenia dla „bohaterów pracy", a również płacą dodatkowo robotnikom za chodzenie na kursy dokształcające i zawodowe.

Niedość na tem, słuchacze kursów uważali, że płacenie za uczęszczanie na wykłady nie obejmuje wynagrodzenia za ćwiczenia, przerabianie zadań i wypracowania piśmienne. I ten punkt widzenia został uwzględniony. A gdy za to wszystko zostało wprowadzone płacenie od strony, to na porządku dziennym są takie zjawiska, że zadanie, które mogłoby być zrobione na jednej stronie, zajmuje dziesięć kartek, bo dla każdej użytej do rozwiązania zadania formuły przepisuje się żywcem z podręcznika całe jej wyprowadzenie, a czy to było potrzebne, czy zbyteczne, to ów przedstawiciel władzy, który te obliczenia wynagrodzenia dodatkowego za naukę czyni, zazwyczaj mało się orjentuje. Przy

takiem nastawieniu robotnika rosyjskiego wiele „piatiletek„ przejdzie, zanim on tak się wyrobi i uspołeczni, jakby władze sowieckie chciały i jak to dla utrzymania ich regimu jest konieczne.

— Czy wogóle jest to możliwe?

— Teoretycznie tak, ale nawet w Sowietach człowiek nie stał się całkowicie bezdusznym manekinem, a tego nie biorą pod uwagę sternicy sowieccy, wierząc, iż rozbiciem rodziny i propagandą antyreligijną, wypiorą z obywateli swoich ideę Boga i wszystko to, co z ducha jest.

Rozbicie rodziny prowadzone jest trzema drogami: 1) wielkiem ułatwieniem rozwodów, przyczem ślub jest aktem cywilnym, 2) odpowiednią polityką mieszkaniową, utrudniającą rodzinom życie razem, 3) buntowaniem starszych dzieci przeciw rodzicom.

O ślubach i rozwodach bolszewickich nie będę szerzej opowiadał, bo to sprawy dość wyczerpująco były już przedstawione w prasie polskiej.

Polityka mieszkaniowa na tem polega, że wszystkie domy są upaństwowione i na rodzinę przeznacza się, za pewną opłatą, przestrzeń 3×4 metry; jeżeli pokój jest większy, to się w nim lokuje dwie czy więcej rodzin—a takie przymusowe współżycie w jednej izbie do sielanek życiowych nie należy. Komu rodzina się powiększy i chciałby zająć podwójną przestrzeń już za tę część donajętą musi płacić 50%drożej, dalsza część ponad normę już kosztuje o 100% drożej — słowem przeciętny obywatel sowiecki nie ma czem opłacić tak wysokiego komornego i zmuszony jest w ten sposób do oddawania swych dzieci do przytułku na wychowanie, o co właśnie chodziło władzom sowieckim, ustanawiającym te przepisy. Jeżeli jednak tą drogą nie uda się oderwać dzieci od rodziców w pierwszych zaraz latach życia, to czynione to jest w inny sposób nieco później gdy podrosną. Ot, poprostu, wyrostków buntuje się przeciw rodzicom: co masz słuchać starych? co oni ci mają do rozkazywania? wyprowadź się od nich, zamieszkaj w domu komsomolskim (komunistyczna sowiecka młodzież) — będziesz miał swobodę!..

Mało który chłopiec czy dziewczyna oprze się takiej pokusie i koszarowe domy młodzieży są pełne. Jaka w nich moralność panuje — objaśniać zbyteczne. Rozhukanie i rozwydrzenie tej koszarowej młodzieży do tego dochodzi, że nawet bar-

dzo swobodnego regulaminu, w tych koszarach obowiązującego, znieść nie może i ucieka w świat, tworząc bandy bezdomnych dzieci, włóczących się po zaułkach wielkich miast, lub nawet od miasta do miasta. Z tą dorastającą a wykolejoną młodzieżą władze sowieckie mają wiele kłopotu, bo okazuje się, że usilnie propagowane zasady komunistyczne prowadzą do tego, że młodzież ta nie uznaje żadnego autorytetu nawet władz komunistycznych.

— Wśród takich okolicznościach, czem pan objaśni utrzymywanie się bolszewików przy władzy?

— Składają się na to niewątpliwie duże zdolności organizacyjne głównych wodzów bolszewizmu i ofiarna praca kierowników G. P. U. Trzeba przyznać, że są tam wśród nich ludzie ideowi, zwarjowani na punkcie komunizmu, ludzie, którzy częstokroć dosłownie nie dosypiają, aby tylko utrzymać wszystko w garści, bo gdyby nie czujność agentów G. P. U., to kto wie, coby się stało z państwem sowieckiem. Nadto, prowadzona jest nieustanna propaganda, propaganda aż do ogłupienia. Szkoła powszechna, kursy dokształcające, kursy zawodowe, kino, teatr, radjo — wszystko to razem wzięte to nieustająca propaganda komunizmu.

Przeciętny obywatel sowiecki przekonany jest święcie, że jego nędza jest rajem w porównaniu z bytem proletarjuszy krajów kapitalistycznych, że na Sowiety wszyscy czyhają i w każdej chwili można się spodziewać nagłego ataku lotniczo-gazowego na wsie i miasta sowieckie ze strony innych państw europejskich z Polską i Francją na czele (lotnictwo sowieckie opanowali Niemcy), że ustrój sowiecki jest najlepszy na świecie, którego też powinno się bronić ze wszystkich sił przed wrogami wewnętrznemi i zewnętrznemi. Starsi, pamiętający czasy przedwojenne, nie zawsze dowierzają wywodom propagandy sowieckiej ale steroryzowani, obawiając się o swe życie, wolą milczeć i nie ujawniać swych wątpliwości. Młodzi są prawie całkowicie ogłupieni przez propagandę bolszewicką i w rozmowie operują wyłącznie narzuconemi im przez propagandę urzędową frazesami.

Gdy dziewczynę kilkunastoletnią, uczenicę szkoły powszechnej, zapytałem: wierzysz w Boga? odpowiedziała mi bez namysłu: a czyś ty widział gdzie Boga?

Czy przyszłość Sowietów będzie miała pociechę z tych obywateli, wychowanych bez Boga, a przyzwyczajonych do folgowania swoim zmysłom i popędom, czas niezbyt odległy pokaże.

Kierownicy Sowietów łudzą się w dalszym ciągu wiarą w powodzenie swego eksperymentu, tylko uważają, iż do tego potrzebują pokoju. Dlatego też wstrzemięźliwie zachowywał się rząd sowiecki wobec poczynań japońskich na terenie Mandżurji i wolał pomagać Chińczykom do robienia dywersji wojskom japońskim, niż wdawać się w otwarty zatarg zbrojny, który mógłby mieć bardzo zgubny wpływ na położenie i sprawy wewnętrzne Sowietów. Mimo buńczucznych oświadczeń rząd sowiecki niezbyt jest pewny siły bojowej swej armji, a to, co widziałem na własne oczy, niezbyt dodatnio świadczy o wyćwiczeniu tej armji. Lepsze jest lotnictwo wojskowe Sowietów ale kierownictwo jego spoczywa w rękach niemieckich i na ten temat byłoby bardzo wiele do powiedzenia.

Więcej, niż na swą armję, kierownicy Sowietów liczą na powodzenie swej propągandy zagranicznej, prowadzonej we wszystkich krajach intensywnie i zręcznie, a obecny kryzys światowy dodaje im otuchy i wiary w skuteczność podejmowanych zabiegów.

— Czy bolszewizm w Rosji utrzyma się dłużej?

Rozmówca mój na to pytanie nie daje odpowiedzi stanowczej. Byłem w Sowietach prawie dwa lata — podkreśla — ale kategorycznie na to pytanie odpowiedzieć nie mogę, bo ta sprawa od zbyt wielu zależy czynników: 1) czy Sowietom uda się uniknąć wciągnięcia w jakąkolwiek wojnę — 2) czy kierownicy Sowietów zdecydują się w porę na odpowiednie przystosowanie swych teoretycznych postulatów do wymagań życia — 3) co wyrośnie z najmłodszego pokolenia, wychowanego na zasadach bolszewizmu — 4) czy bolszewizm w Rosji będzie miał w dalszym ciągu tak utalentowanych kierowników jak Lenin czy Stalin, co wobec pogłosek o chorobie tego ostatniego jest kwestją dość aktualną.

Tych czynników jest więcej; wymieniłem tylko najważniejsze, ale już one wyjaśniają, dlaczego trudno jest dać odpowiedź stanowczą na pytanie, dotyczące przyszłości ustroju sowieckiego w Rosji.

Z innej strony ujął tę samą kwestję drugi mój rozmówca:

Znałem dobrze Rosję przedwojenną i poznałem obecnie Rosję sowiecką. Mojem zdaniem bolszewizm, nie zdając sobie z tego sprawy, spełnił poważną misję dziejową: oto zmiótł i usunął na terenie całego państwa to wszystko, co było przeszkodą do przyjęcia przez naród rosyjski prawdziwej idei Chrystusowej. Bolszewizm w swej obecnej formie długo się nie utrzyma; niewątpliwie pewne ramy organizacyjne, które wytrzymują próbę życia, pozostaną — ale propaganda bezbożnictwa ten tylko będzie miała wynik, iż umęczone i sponiewierane dusze tem więcej będą spragnione dobrej nowiny, którą im może zanieść tylko powszechny Kościół Chrystusowy. Rosja posowiecka zakwitnie bujnem życiem religijnem, oczyszczonem od skostniałych form wschodniego prawosławia.

Oczywiście ludy świata, a mam na myśli katolickie ludy świata nie mogą i nie powinny biernie czekać na tę chwilę, ale dla jej przyspieszenia podjąć żywą krucjatę modlitwy.

Państwa Europy i Ameryki oraz Azji bronią się przeciw propagandzie bolszewickiej prawie wyłącznie środkami policyjnemi. To nie jest droga dość skuteczna. Właściwą drogę wskazał papież Pius XI, zalecając wszystkim krajom energiczne prowadzenie akcji katolickiej.

Nie wszędzie doceniono należycie to niezwykle doniosłe dla całej ludzkości na czasy obecne zalecenie Ojca św., bo nie wszędzie sobie zdano sprawę, że tylko dzielne i całkowite przeprowadzenie tej akcji zbawiennej może uchronić świat przed wstrząsami propagandy bolszewickiej.

Bolszewizm ma podłoże antychrystusowe i tylko prawdziwa religja Chrystusowa może mu się skutecznie przeciwstawić i świat przed zalewem szatańskim ocalić.

Nie dajmy się złudzić hasłom ustrojowym (częściowo ten błąd popełnił faszyzm), — nie dajmy się uwieść wysuwanym zagadnieniom gospodarczym (na tym odcinku dał się podejść światowy kapitalizm), — nie dajmy się obałamucić podniosłym problematom narodowościowym (tu został wyzyskany sromotnie nacjonalizm ludów Wschodu)—bo to dla bolszewizmu są wszystko jedynie środki do osiągnięcia głównego celu. Przeszkodzić temu mocen jest tylko Kościół katolicki.

Dlatego też tego Kościoła słuchać i w myśl Jego zaleceń działać jest naszym obowiązkiem, jako dobrych katolików i największą mądrością jako wiernych synów Polski.

Ad. L. Szymański.

Na froncie walki.

Upadek poziomu etycznego prasy codziennej — „Illustrowany Kurjer Codzienny" i jego metody.—Są jeszcze sędziowie w Polsce.—Zdrowy odruch opinji publicznej przeciwko zatruwaczom studzien.—Dziwne metody „Myśli Narodowej".—Dlaczego prasa narodowo-demokratyczna zwalcza „Odrodzenie"?—Konserwatyzm i liberalizm społeczny w Polsce.

Wraz z całą prasą katolicką cieszyć się nam wypada, że w ostatnich miesiącach rozpoczęła się energiczniejsza akcja przeciwko depprawacji i demoralizowaniu naszego piśmiennictwa, a w szczególności prasy. Już od dłuższego czasu zauważyć można było upadek poziomu etycznego naszej prasy codziennej. Rozmaite brukowce zalewają rynek, karmiąc tłumy zatrutą strawą sensacji, pornografji i kłamstwa. Przypominamy sobie wszyscy osławiony „Glos Prawdy" wydawany przez Stpiczyńskiego, który walnie przyczynił się do obniżenia poziomu. Można powiedzieć, iż piractwo polityczne, który dziennik ten stale i systematycznie uprawiał i propagował uzyskało z czasem w Polsce prawo obywatelstwa wśród naszej prasy z małymi poprostu wyjątkami. Rozwydrzenie tego pisma i jego kompromitacja w społeczeństwie doszły do tego, że czynniki kierujące sanacją musiały temu kres położyć i pismo zamknąć.*)

Pozostał jednak niestety, starszy braciszek tego organu, wychodzący oddawna w Krakowie — „Illustrowany Kurjer Codzienny", wydawany przez p. Marjana Dąbrowskiego, posła B.B.W.R. Obecnie w braku „Głosu Prawdy" — „Illustrowany Kurjer Codzienny" zdobył naprawdę rekord na polu demoralizowania społeczeństwa. Od młodszego swego brata różni się tem, że niema żadnych trwałych przesądów politycznych, lecz

*) W ostatnich czasach nazwisko p. Stpiczyńskiego pojawiło się znowu na łamach „Gazety Polskiej", która widocznie chce w ten sposób zamanifestować swoją solidarność z b. p. „Głosem Prawdy".

gotów jest wyznawać takie lub inne poglądy zależnie od konjunktury. Pozatem, jak zauważyliśmy dotychczas, brzydzi się roboty gwałtownej, „na mokro", prowadzi natomiast tryb życia bardziej praktyczny, spokojny i lukratywny.

Wytropieniem tego oryginała chodzącego własnymi drogami i posiadającego znane tylko sobie zakamarki w dżungli naszego piśmiennictwa — zajęło się kilku publicystów, których należy wymienić, gdyż zasłużyli się przez to rzetelnie społeczeństwu. Są to: Kazimierz Marjan Morawski, Adolf Nowaczyński i redaktorzy „Polonji". Oczywiście przyszła im w sukurs cała prasa katolicka i chrześcijańsko-społeczna.

Ale przejdźmy do faktów. Pierwszy proces został wytoczony przez p. Dąbrowskiego—K. M. Morawskiemu i zakończył się motywami, które podajemy w streszczeniu „Polonji":

„W Warszawskim Sądzie Okręgowym ogłoszone zostały 2 czerwca motywy wyroku, wydanego w dniu 17-go maja w sprawie między p. Marjanem Kazimierzem Morawskim i redakcją „Gazety Warszawskiej" z jednej, a p. Marjanem Dąbrowskim i redakcją „I K. C." z drugiej strony. Jak wiadomo, przedmiotem tej sprawy była obraza, jakiej dopatrywał się p. Dąbrowski w nazwaniu go przez p. Morawskiego dziennikarzem „smutnej zażywającym reputacji", a wyrok uniewinnił p. Morawskiego i „Gazetę Warszawską" od wszelkich zarzutów.

W motywach wyroku sąd stwierdza, że na przewodzie sądowym ustalone zostało zeznaniami świadków Przybylskiego, Chmielewskiego i Korfantego, że gdy w roku 1929 wszczęte w imieniu „I. K. C." pertraktacje o subwencję niechętnie były prowadzone przez przedstawicieli ciężkiego przemysłu na Śląsku i nie dawały żadnego rezultatu, „I. K. C.", który dotychczas tego nie ujawniał, począł występować przeciwko temu przemysłowi z artykułami, noszącemi zdaniem świadków charakter ataków i nawet szantażu.

Zeznaniem św. prof. Stefana Dąbrowskiego — głoszą dalej motywy— stwierdzone zostało, że 9-go sierpnia 1925-go w „I. K. C." ukazało się „facsimile" listu prezydenta Milleranda do świadka Stefana Dąbrowskiego, który to list niewyjaśnioną jakąś drogą dostał się do redakcji „I. K. C.". I pomimo, że pismo to było wysłane do świadka prof. Stefana Dąbrowskiego, który z „I. K. C." nie miał nic wspólnego i było odpowiedzią na list tegoż prof. Dąbrowskiego do prezydenta Milleranda, ukazał się on w „I.K.C." nietylko bez zgody autora i adresata, ale w dodatku pod tytułem „Sensacyjny list wodza Bloku Narodowego do naczelnego redaktora „I. K. C.".

Zainterpelowany wówczas w tym względzie oskarżyciel prywatny Marjan Dąbrowski, jako naczelny redaktor, zobowiązał się dać poszkodowanemu Stefanowi Dąbrowskiemu zadośćuczynienie w postaci pisemnego

wytłumaczenia się ze swego postępku i zwrotu oryginału listu. W rezultacie jednakże ani jedno ani drugie nie zostało spełnione i list, stanowiący bezwzględnie cenny i pamiątkowy dla jego właściciela prof. Stefana Dąbrowskiego dokument, zwrócony mu nie został.

Św. Adolf Nowaczyński — czytamy dalej w motywach — w zeznaniu swojem określił czasopismo „I. K. C." jako organ niemoralny ze względu:

1) na łatwość z jaką zmienia on swoje przekonania,

2) na umieszczanie ogłoszeń o charakterze „kuplerskim", i wreszcie

3) ze względu na wydawanie przez naczelnego redaktora i wydawcę „I. K. C." jednocześnie także i czasopisma „Tajny Detektyw", mającego bezwarunkowo fatalny wpływ na wzrost przestępczości w kraju, przy jednoczesnem reklamowaniu tegoż pisma przez zamieszczanie w „I. K. C." odpowiednich ogłoszeń.

Powyższe zeznanie świadka Nowaczyńskiego znajduje najzupełniejsze potwierdzenie w przedrukach z „I. K. C.", zamieszczonych w załączonym do sprawy numerze 12-tym czasopisma „Myśl Narodowa" z roku 1932, oraz w odbitce artykułu z „I. K. C". Powyższe dowody uwidaczniają, że „I. K. C.", który w pierwszych zaraz dniach wielkiej wojny zwraca się z napastliwemi artykułami przeciwko państwom Ententy, nazywając w nich Francję „degeneratką", „złajdaczoną kurtyzaną", „narodem przeżartym fizyczną i moralną zarazą", zwąc żołnierza angielskiego „lichym", a Włochy - „głupim szantażystą", w roku 1925 nie waha się, oczywista wbrew prawdzie, ale za to z emfazą — głosić, że „I. K. C." był jedynym pismem w zaborze austrjackim, które od samego początku wielkiej wojny miało odwagę „przeciwstawiania się wielkim mocarstwom centralnym i opowiedzenia się za państwami Ententy".

W związku z powyższem i na mocy dwu nawet tylko zamieszczonych w piśmie przedruków ogłoszeń w „I. K. C.", a mianowicie jednem o „100-procentowej dziewicy poszukującej absztyfikanta", a drugim o „pechowcu z dobrego towarzystwa, poszukującym wygodnego życia u boku pań bez różnicy wieku", można dojść do wniosku, że zeznania i opinja świadka Nowaczyńskiego o redagowanem przez oskarżyciela prywatnego Marjana Dąbrowskiego piśmie oparte są na konkretnych danych.

Oskarżyciel prywatny przez usta swego przedstawiciela w związku z powyższem ustaleniem wyjaśnia:

1) że jakoby we wszystkich europejskich pismach znajdują się podobne do powyższych „inseraty",

2) że pismo nie mogło występować przeciwko okupantom ze względu na grożącą za to wysoką odpowiedzialność, i wreszcie

3) że list prezydenta Milleranda doszedł redakcję I. K. C. podczas nieobecności jego mocodawcy.

Nie ulega jednakże wątpliwości:

1) że fakt przyjmowania podobnych „inseratów" przez inne dzienniki może jedynie spowodować postawienie I. K. C. na tym samym, co te dzienniki poziomie, w żadnej jednak mierze nie zdołał przyczynić się do traktowania jawnego pośredniczenia w dziedzinie nierządu, jako godną uznania działalność dziennikarską,

2) że o ile zrozumiałem, jest unikanie przez pisma narażanie się okupantom ze względu na grożące redaktorom groźne represje, o tyle w żadnej mierze nie jest uzasadnione poniżanie i szykanowanie ich przeciwników, a własnych aljantów. (Tu motywy sądowe powołują się na przedruk z I. K. C. z 19 października 1925 roku.)

Podobnego rodzaju działalność „dziennikarska" nosi charakter zabiegania o względy za pomocą zaprzedawania gwoli potrzebom chwili, własnych przekonań.

A wreszcie

3) że, jak wynika ze zeznań świadka Stefana Dąbrowskiego w kwestji opublikowania przez I. K. C. cudzego listu, wersja o rzekomej ówczesnej nieobecności naczelnego redaktora wpłynęła dopiero później. Narazie zaś zainterpelowany oskarżyciel prywatny Marjan Dąbrowski odrazu uznał siebie za odpowiedzialnego za opublikowanie listu i zobowiązał się do zadośćuczynienia. Nie ulega przytem wątpliwości, że uczynił on to zupełnie słusznie (dodaje od siebie sąd), ile że redaktor pisma jest jego przedstawicielem, on nadaje mu charakter, barwę, ton, on stawia je na takim poziomie, jaki uznaje za wskazany, lub też na jaki go stać i ze względu na to on też przed społeczeństwem pełną ponosi odpowiedzialność.

Opierając się na powyżej przytoczonych ustaleniach — kończy się motywacja wyroku—oskarżony Morawski, pisząc o oskarżycielu prywatnym dziennikarzu — redaktorze I. K. C., miał podstawę do wyrażenia ujemnej opinji, przyczem oczywiście nie mógł użyć innego wyrażenia aniżeli ujemne, użył zaś zwrotu: — „dziennikarz smutnej zażywający reputacji" na podstawie faktów zaczerpniętych z działalności I. K. C. i jego naczelnego redaktora i wydawcy Marjana Dąbrowskiego."

Tak więc p. Marjan Dąbrowski doczekał się oficjalnego stwierdzenia przez sąd Rzeczypospolitej Polskiej, że jest dziennikarzem smutnej zażywającym reputacji. Wyrok ten ucieszyć musi każdego uczciwego człowieka. Głośne jego echa rozeszły się po całej Polsce i wzbudziły żywy a zdrowy odruch społeczeństwa, zarówno przeciwko „I.K C.", jak i wydawanemu przez tegoż p. Marjana Dąbrowskiego—gorszemu jeszcze piśmidłu „Tajnemu Detektywowi", którego działalność poprostu woła głosem wielkim o .... prokuratora!

Posypały się rezolucje protestujące przeciwko demoralizowaniu mas, przeciwko zatruwaniu studzien. Oto niektóre z nich:

Literaci krakowscy pp. Kwerkowski i Polewka stwierdzają, że na walnem zebraniu „Zw. Zawodowego Literatów" w Krakowie postawili:

„wniosek potępiający „Tajnego Detektywa", a w szczególności współpracę w tym tygodniku kilku literatów, którzy należeli przed rozłamem do Związku Zaw. Literatów Polskich w Krakowie, który został uchwalony przez

walne zgromadzenie i przyjęto go oklaskami. Zarządowi Związku poruczono jedynie pewne uzupełnienia formalne w ostatecznem zredagowaniu uchwały i jej opublikowanie".

Okrąg pomorski „Chrz. Narodowego Stowarzyszenia Nauczycieli" na zjeździe w Bydgoszczy uchwalił następującą rezolucję:

„Wobec wzrastającego z dniem każdym zainteresowania się młodzieży tygodnikiem „Tajny Detektyw" zwracamy się do zarządu głównego z usilną prośbą o podjęcie akcji zwalczania powyższego tygodnika. Nauczycielstwo uważa „Detektywa", opisującego jaskrawo najohydniejsze zbrodnie, za pismo nawskroś demoralizujące, obracające w niwecz wszelkie wysiłki około wychowania naszej młodzieży. Nie posiadając dość skutecznych środków do zwalczania tego zła, prosimy zarząd główny o otwarte i bezwzględne wystąpienie, któreby położyło kres popieraniu pisma pełnego objawów zwyrodnienia".

Na XII zaś zjeździe katolickim w Kępnie uchwalono następującą rezolucję:

„Zebrani potępiają wpływ demoralizacji, przejawiający się w publicznym bezwstydzie i atakach na moralność katolicką przez pisarzy tego pokroju, co Boy-Żeleński i autorów jak Kostek-Biernacki, oraz szerzenia przestępczości i demoralizacji wśród młodzieży przez piśmidła tej wartości co „Tajny Detektyw".

Zebrani uchwalają nie brać nigdy udziału w jakiejkolwiek imprezie sportowej i podobnej, któraby gwałciła świętość dnia świętego i niepozwalała na udział we Mszy św.

Zjazd zwraca się imieniem Młodzieży Polskiej i Katolickiej do miarodajnych czynników duchowych i świeckich, by natychmiast i bezwzględnie wystąpiły przeciw demoralizacji szerzonej wśród młodzieży przez „Tajnego Detektywa", który jest szkodnikiem dla zdrowia moralnego dusz młodych, rozsadnikiem zarazy moralnej w społeczeństwie, a zatem wrogiem i szkodnikiem Państwa Polskiego".

Ta odruchowa i spontaniczna akcja społeczeństwa przeciwko ohydnym metodom pracy p Marjana Dąbrowskiego wywarła pewne wrażenie nawet wśród uczciwszych sfer sanacyjnych. Oto podajemy głos pewnej grupy sanacyjnej, pracującej w piśmie „Przełom", która odznacza się większą prawdomównością i szczerością od innych grup tego obozu. Oto kilka określeń „Przełomu", dotyczących p. Dąbrowskiego:

„Cham w awangardzie",
„rajfur z przedniej straży czarnej sotni",
„rozsadnik zgnilizny i degeneracji".
„Przełom stwierdza, że: —

„rycerskość... przemysłowa p. Marjana Dąbrowskiego" nie cofnęła się dla dobra kieszeni przed zmontowaniem rozgłośni, z której na całą Polskę

wylewa się cuchnącą ciecz kryminału, mordu, domu publicznego, handlu żywym towarem, przemytu, zboczeń seksualnych, narkomanji... brudną plugawą szmatę kupują za parę groszy piętnastoletni chłopcy i piętnastoletnie podlotki... tej nikczemnej metodzie plugawienia fantazji, „Młodego lasu" i również... starszego społeczeństwa) przeciwstawia się, — jak dotąd, — tylko prasa. W oficjalnych gabinetach głucho jeszcze o planach ukrócenia demoralizacji".

„Nie chce się wierzyć", — pisze „Przełom", — „że człowiek żyjący z takiego procederu piastuje dotąd mandat poselski. P. Dąbrowskemu nie wolno zasiadać między działaczami politycznymi! P. Dąbrowski powinien być usunięty z kręgu działania politycznego".

Nawet więc pewna część obozu sanacyjnego potępia i to ostro p. Dąbrowskiego. Dlaczego stąd nie zostały wyciągnięte konsekwencje? Z jakiego tytułu moralnego pan ten może sprawować mandat poselski w klubie B. B. W. R.?

Nie powinniśmy ustawać; niech społeczeństwo daje w dalszym ciągu wyraz swemu oburzeniu. Niech głos jego rozlega sie stale. Może w ten sposób oczyści się trochę zatęchła, zgniła atmosfera, która roztoczyła się nad naszym życiem politycznym.

* * *

Trzeba przyznać, że i niektóre organy t. zw. „narodowe" hołdują dziwnym metodom publicystycznym. W Nr. 28 „Myśli Narodowej", poważnego miesięcznika narodowo-demokratycznego, w drugiej części artykułu „Głosy" znajdujemy niezwykły atak na „Odrodzenie" akademickie (Stow. Katolickiej Młodzieży akademickiej „Odrodzenie") z powodu przynależności do „Odrodzenia" p. Henryka Dembińskiego z Wilna.

P. Henryk Dembiński stał się ostatnio znanym w Polsce z powodu swoich poglądów ekonomiczno-społecznych, które aczkolwiek wyprowadzone przez autora z zasad katolickich, idą przecież bardzo w kierunku skrajnym. Fakt ten został rozgłoszony szeroko przez prasę narodowo-demokratyczną i częściowo — socjalistyczną. „Myśl Narodowa" nie cytuje tych poglądów, powołuje się tylko na zdanie p. Cat-Mackiewicza, redaktora „Słowa" wileńskiego, który zarzuca p. Dembińskiemu „kumanie katolicyzmu z bolszewizmem". Na tej podstawie „Myśl Narodowa" zarzuca p. Dembińskiemu bolszewizm i w wywodach nacechowanych

dużą złośliwością stara się ten zarzut przenieść na „Odrodzenie".

W interesie prawdy i sprawiedliwości musimy pewne rzeczy ustalić, aby obłuda i kłamstwo zostały zdemaskowane. Nic bowiem tak nie demoralizuje społeczeństwa, jak karmienie go kłamstwem i zasłanianie przed nim istoty rzeczy.

Zarówno przedwojenna grupa „Prądu", jak i powojenne „Odrodzenie" są ruchem niezmiernie zasłużonym sprawie katolickiej w Polsce. "Prąd" był jedynym poważnym miesięcznikiem katolickim w czasie, gdy w Polsce w najlepsze hulał pozytywizm, a „Odrodzenie" było pionierem zasad katolickich na terenie akademickim wówczas, gdy Narodowa Demokracja zarówno młoda, jak i stara hołdowała filozofji materjalistyczno-nacjonalistycznej.

Jeżeli chodzi o bolszewizm, to „Odrodzenie" stoi ponad wszelkimi zarzutami i stawianie mu ich jest tylko dowodem nieokiełznanej nienawiści, o podkładzie polityczno-partyjnym.

Prasa narodowo-demokratyczna zwalcza ruch odrodzeniowy od samego początku jego istnienia. Opinja publiczna była szereg razy świadkiem systematycznego zohydzania i obrzucania błotem tego Ruchu Katolickiego, narodowego i społecznego przez obóz, który powołuje się zawsze na dobro narodu, a od kilku lat zarzucił swoje poglądy materjalistyczne i — jeżeli się tak można wyrazić — nawrócił się na katolicyzm (za wyjątkiem zresztą dziedziny poglądów społeczno - gospodarczych). Mamy więc widowisko naprawdę oryginalne i niesamowite. Oto świeżo nawrócony neofita zaczyna zwalczać z największą zaciętościa starych wyznawców i propagatorów kultu. Czy zapał ten jest dowodem przywiązania do katolicyzmu, czy też zdrożną chęcią ubicia niewygodnego konkurenta?

Znane są metody prasy narodowo - demokratycznej. Podobna jest ona do strzelnicy zręcznie zamaskowanej wśród drzew i krzewów dżungli, w której ukryci strzelcy czatują stale na przechodzącą zwierzynę...

Nie zamierzamy brać w obronę p. H. Dembińskiego. Jeżeli poglądy jego nie odpowiadają programowi „Odrodzenia", to niewątpliwie, albo je zmieni i odwoła, albo z „Odrodzenia"

wystąpi. Pozostawmy to władzom „Odrodzenia", katolicka opinja publiczna może mieć do nich zaufanie.

Musimy natomiast zaprotestować przeciwko terrorystycznemu nadużywaniu słowa „bolszewizm". Zdarzały się w Polsce wypadki, że nieuczciwi pracodawcy, nazywali bolszewikami przedstawicieli chrześcijańskich związków zawodowych, gdy ci domagali się ludzkich praw dla robotnika. W tej dziedzinie zdanie p. Cata-Mackiewicza, znanego ze swych poglądów konserwatywnych i liberalnych pod względem społecznym — nie jest dla nas miarodajne. W całym świecie cywilizowanym toczy się obecnie dyskusja nad przekształceniem form gospodarczo-społecznych świata. Quadragesimo Anno i inne enuncjacje Kościoła idą bardzo daleko w kierunku reform społeczno-gospodarczych. W ostatnich czasach następuje także znamienna zmiana poglądów na „piatiletkę" sowiecką. Np. artykuły inż. Tedeusza Błeszyńskiego zamieszczane od szeregu tygodni w „Gazecie Warszawskiej" na każdej prawie stronicy obalają utarte u nas poglądy na Rosję Sowiecką i idąc według nas zbyt daleko, wybielają gruntownie w opinji publicznej Sowiety. Dlaczego „Myśl Narodowa" tak czuła na niebezpieczeństwo komunistyczne nie zagrzmi na „Gazetę Warszawską"?

Powtarzamy: Być może, że p. Dembiński w enuuncjacjach swoich posunął się zbyt daleko i niektóre jego poglądy będzie trzeba sprostować. Czy jednak upoważnia to „Myśl Narodową" do szafowanta zarzutem komunizmu?
Cel tego jest widoczny. Chodzi o ubicie przeeiwnika politycznego i o zaszkodzenie organizacji konkurencyjnej... Czy to metoda dżentelmeńska?...

* * *

Jedno pytanie pod adresem prasy narodowo-demokratycznej. W jaki sposób obóz narodowy ustosunkowuje się do zagadnienia reform społeczno-gospodarczych? Dlaczego dotychczas tych zagadnień w swoim łonie nie rozwiązał? Dlaczego toleruje, że większość jego członków i to bardzo wybitnych hołduje nadal poglądom liberalnym w dziedzinie ekonomicznej? Dlaczego Narodowa Demokracja, obnosząc tak wszędzie swój katolicyzm — bardzo zresztą intratny podczas wyborów — nie uznała dotychczas oficjalnie Rerum Novarum i Quadragesimo

Anno, lecz przyjęła je raczej, jako dopust Boży, jako jeszcze jedną trudność na firmamencie życia politycznego....

Zaiste, ciśnie się na usta przysłowie: Medice, cura te ipsum. Obłudniku! Usuń najpierw belkę liberalizmu z oka twego, a później dopiero oskarżaj bliźnich twoich o komunizm. Zarówno bowiem poglądy socjalistyczno-komunistyczne, jak i liberalizm sprzeciwiają się nauce Kościoła oraz dobrze pojętemu interesowi narodu, nie mówiąc już o prawach i interesach szerokich mas społecznych.

Na zakończenie cytujemy wyjątek z artykułu, zamieszczonego w „Vox Universitatis", wspaniale redagowanym katolickim miesięczniku akademickim, który w ten sposób charakteryzuje obóz liberalizmu i konserwatyzmu społecznego:

„Konserwatyzm społeczny, dziś w Polsce licznych jeszcze posiadający sympatyków, zwłaszcza wśród sfer ziemiańskich, nie przedstawia w sobie siły ani materjalnej, ani moralnej. Rozbity i rozproszkowany, skłócony między sobą, podzielony pomiędzy różne stronnictwa polityczne, stoi poza życiem konkretnem Polski. Bez siły, programu i możności jakiegokolwiekbądź działania, wlecze się przeważnie w ogonie liberalizmu coraz bardziej, przyjmując jego tak dawniej zwalczane zasady. Dziś prawdziwych konserwatystów, takich jakimi byli Demaistre, Bonald, czy u nas Paweł Popiel prawie że niema. Większość z pośród jego przedstawicieli mniej lub więcej zarażona jest trutkami doktryny liberalnej.

Obóz liberalny w Polsce jest jeszcze bardzo silny. Ma on licznych przedstawicieli nietylko w sferach t. zw. gospodarczych, idących na pasku B. B., ale także jest on dotychczas wiarą społeczno - ekonomiczną całego obozu wszechpolskiego. Jest on ideą ekonomiczną olbrzymiej większości naszej inteligencji, zwłaszcza t. zw. „narodowej". Mimo jednak wielkiej potęgi materjalnej, mimo tego, iż stoją w jego obronie silne organizacje gospodarcze, iż broni go z jednej strony cały obóz narodowo demokratyczny, a z drugiej t. zw. prawica B. B., najduje się on dziś już w bezwzględnym i beznadziejnym odwrocie.

Nie jest zadaniem niniejszego artykułu analizować bankructwa liberalizmu.

Faktem jest, iż zbankrutowawszy zupełnie ideologicznie, doprowadziwszy świat do chaosu stanął on wobec dzisiejszego kryzysu bezradny, ratując się kompromisami przed czekającą go niechybną porażką. Beznadziejne i komiczne próby ratowania go przez przedsięwzięcia w rodzaju ostatniego t. zw. „zjazdu gospodarczego", nie mogą uratować liberalizmu przed ostateczną klęską.

Jeżeli zrozumiałą jest dla nas przyczyna, dlaczego t. zw. sfery gospodarcze tkwią w liberaliźmie, to zupełnie nie możemy sobie wytłómaczyć przyczyn, które powodują, iż obóz wszechpolski tak mocno związał się z tym kierunkiem ekonomicznym. Obóz polityczny tak ambitny z utrzy-

mania swej samodzielności i tak konsekwentny w stosowaniu doktryny nacjonalistycznej, nie zdobył się na pójście ani w kierunku wskazanym mu przez pokrewny faszyzm, ani też w kierunku, będącym właściwą konsekwencją ideologji, mianowicie nacjonalizmu gospodarczego. Jedynie możemy sobie to tłumaczyć związaniem się z warstwami burżuazyjno-kapitalistycznemi, których interesów, mimo zwalczania kapitału międzynarodowego właściwie w całej swej polityce obóz ten broni. Jest dla nas dziwną nieudolność młodej generacji wszechpolskiej w kierunku twórczych wysiłków w dziedzinie myślenia nad zagadnieniami ustrojowemi i społeczno-gospodarczemi. Tem też tłumaczymy sobie strach tego obozu przed konsekwentnem i mocnem przyjęciem zasad społecznych, wskazanych w enuncjacjach Stolicy św., a rozwiniętych przez tak bogatą katolicką naukę społeczną. Ta bezpłodność w dziedzinie ustrojowo - gospodarczej oraz związanie się z liberalistycznemi tendencjami wojującego kapitalizmu jest powodem, iż kierunek wszechpolski zorganizowany dziś w stronnictwie narodowem i Obozie Wielkiej Polski nie będzie miał nic do powiedzenia przy zbliżającej się coraz szybciej rozgrywce o przyszły ustrój społeczny Polski.

Jest dużo słuszności w tej krytyce... *S. J. K.*

Wśród ludzi i zdarzeń.

Kuźnia oszczerstw. Środowisko intelektualistów francuskich nawiedził niedawno wstrząs dyskusyjny. Poszło mianowicie o historję, ściślej się wyrażając, o jej zgodność z rzeczywistością. Paul Valéry, ów subtelny poeta, twórca kunsztownych i głęboko filozoficznych wierszy, które już nawet były przedmiotem rozbiorów profesorskich w Sorbonie, swym dystyngowanym sceptycyzmem zmusił umysły kulturalne do zastanawiania się nad tą kwestją, a że są gusta i guściki, więc oczywiście jedni zgodzili się z jego tezą, drudzy nie; wywiązała się dyskusja, polemiki, repliki, dupliki, słowem pożądany, dobroczynny ruch intelektualny, który przynosi korzyść obu stronom. Teza Valéry'ego— nawiasem mówiąc, bynajmniej nie zupełnie nowa — sprowadzała się do twierdzenia, że właściwie historja jest taka a nie inna, ponieważ zachowały się takie a nie inne dokumenty; tymczasem, gdyby te akurat dokumenty, na których się opierano, zaginęły, a ocalały inne, pogląd na dzieje odnośnej epoki byłby całkiem odmienny lub może wręcz odwrotny.

Nie lubię ja tych rozumowań... żeby... gdyby... Doskonałe to jako gimnastyka czy nawet akrobatyka myślowa, lecz przywiązywać do tego wagę z uroczystą powagą—to rzecz zbędna. Pa-

miętajmy jednak, że z tezą taką wystąpił w odczycie poeta, poetom zaś, wiadomo... Licentia poetica, oczywiście... Co tu wiele gadać... Owszem, licentia, ale jest w jego wywodach i spora doza racji. Dla zilustrowania maleńki przykładzik.

Co człowiek inteligentny wie o papieżu Aleksandrze VI? Chyba nic dobrego. Od czasów szkolnych zwykle tuła się po głowie i ciągle kojarzy z jego imieniem pojęcie jakiegoś potwora, człowieka gorszego od najgorszego czarta, poprostu czegoś, czego nigdy przed nim i po nim nie nosiła ziemia. Rozmaite powieści historyczne, książki, broszury, czasem artykuły publicystyczne—wszystko to składa się na taki wizerunek Aleksandra VI i niby wszystko ma pozory prawdy, bo autorzy zazwyczaj cytują współczesnych owego papieża. Zdaje się, że tak musi być już niezawodnie, są zachowane ramy metody naukowej: opieranie się na źródłach. Jakżeż tu nie dać się zwieść i nie uwierzyć! I dziwić się jeszcze Rosjaninowi Mereżkowskiemu, że w swych powieściach utrwalił obraz papieża-potwora! Tak, trzeba się dziwić, dziwić się temu mianowicie, iż unika się krytyki owych źródeł. Bo i cóż to są za źródła!

Wszystkie najcięższe zarzuty przeciwko Aleksandrowi VI opierają się na pismach t. zw. „bugiami"? A kto to byli „bugiani"? Rodzaj zrzeszenia czy też towarzystwa pisarzy-pamflecistów, którzy za zadanie postawili sobie właśnie oczernianie osoby papieża, świadome kolportowanie potwarzy fałszywych i to nie ze względów na złe postępowanie Aleksandra VI, ale z motywów osobistych.

Nie był Aleksander VI bez winy, daleko mu było do ideału, którego wymagała jego godność, lecz nie był gorszym od tysięcy i dziesiątków tysięcy ludzi, dbających o interesy własne bądź swej rodziny; nie był potworem, jak go chcą przedstawić zoologiczną nienawiścią do katolicyzmu dyszący pseudohistorycy. Mówię: pseudohistorycy, gdyż historyk rzetelny nie może przechodzić nad krytyką źródeł i zawsze będzie starał się poznać pobudki działania badanej osobistości, a nie a priori, bez dokładniejszej analizy psychologicznej, potępić go kategorycznie. Historyk taki powinien nie zapominać o przysłowiu wyrafinowanie trzeźwych Francuzów, głoszącem:

„Nigdy nie masz tyle racji, aby twój przeciwnik nie miał jej choć trochę".

Sumienny badacz, zbrojny w chłodny objektywizm, nie dający się ponosić względom ubocznym, znajdzie słowa usprawiedliwienia i zrozumienia dla tak potępianego złośliwym zbiegiem okoliczności Aleksandra VI. Sam byłem świadkiem, jak ubocznie w obronie tego papieża występował uczony... żydowski. Dosłownie: uczony żydowski.

Kiedy się tak zastanawiać nad wpływem oszczerstwa na kształtowanie się historycznego wizerunku Aleksandra VI, niesposób pominąć nadzwyczaj trafnego sądu Napoleona o oszczerstwie. Napoleon, ten wielki człowiek, najbardziej ludzki z wszystkich ludzi, którego oblicze spoglądało na mnie od najwcześniejszego dzieciństwa ze wszystkich ścian i albumów w mieszkaniach całej naszej rodziny; jest doprawdy nieoceniony jako aforysta. Czyż niema racji, kiedy mówi:

„Oszczerstwo podobne jest do tłustej plamy: zawsze pozostawia ślady".

Jeśli chodzi o Aleksandra VI, to tego tłuszczu oszczerczego nagromadziło się specjalnie dużo.

„Bugiani" Aleksandra VI byli organizacją, kuźnią ich pamfletów i siedzibą był pałac Laterański. Dziś czasy niby inne, lecz czyż i dzisiaj niema takich „bugiani"? Różnią się nazwą, wszakże istota rzeczy pozostała bez zmiany.

Doktorski mętlik. Zapoznano mnie z pewnym doktorem filozofji. Poznaliśmy się wtedy osobiście, ale właściwie znałem już tego człowieka: z jego prac po pismach i z wydawnictw osobistych. Kiedym je czytał, zastanawiałem się głęboko, jak wogóle można było coś podobnego drukować. Chaos, gmatwanina pojęć, niechlujstwo konstruktywne uniemożliwiały zrozumienie założeń autora. Zdaje się, że nie ja jeden zadawałem sobie pytanie, o co chodzi autorowi, bo nawet jeden z bibljografów nie mógł wstrzymać się od wypowiedzenia sądu osobistego, nie wytrzymał i przy pozycji o jakimś artykule doktora filozofji rąbnął w nawiasie dopisek: „Stek nonsensów". I miał rację, bo doprawdy ten doktór filozofji wygaduje głupstwa, którychby napewno nie powiedział człowiek, co niema zielonego pojęcia o filozofji.

Rozmawialiśmy u wspólnego znajomego o fetyszyzmie. Naturalnie na języku przedewszystkiem ludy pierwotne. Wymieniam parę przykładów fetyszyzmu polinezyjskiego, potrącam o fetyszyzm afrykański, lecz, nim skończyłem...

— Właściwie fetyszyzm, względnie bałwochwalstwo, istnieje w katolicyźmie — przerywa mi doktór filozofji.

— W katolicyźmie? — pytam z niedowierzaniem. — Jak to w katolicyźmie? Nie rozumiem, o co panu idzie.

— No, jest bałwochwalstwo, zupełnie takie jak w środku Afryki.

— Ale może pan, panie doktorze, jaśniej sprecyzuje, na czem to polega.

— A więc niech pan powie, czem jest zdejmowanie kapelusza przed kościołem? Czyż to nie jest bałwochwalstwo?

Spojrzałem ze zdumieniem na doktorską łysinę.

— Pan jest katolikiem?

— Katolikiem.

— I zdejmuje pan kapelusz przed kościołem, t. zn. przed gmachem jako takim?

— Oczywiście, przed budynkiem.

— Że też się pan nie dowiedział tego wcześniej! Toć mały skrzat z niższych klas gimnazjum mógłby panu wytłumaczyć, że, przechodząc koło kościoła, zwraca się myśl ku Bogu i wtedy na znak czci uchyla się kapelusza. Kościół przypomina właściwie o Bogu, ale bynajmniej nie przed jego ścianami zdejmuje się kapelusz. Zasadniczym motywem jest tu oddanie czci Bogu. Newton np. genjalny uczony, choć kiepski poseł w Izbie Gmin—w ciągu wielu lat posłowania raz jedyny zabrał głos w parlamencie, powiedział mianowicie: Proszę zamknąć drzwi bo jest przeciąg — otóż Newton uchylał zawsze kapelusza, ilekroć w obecności jego wymieniano imię Boskie. Wie pan, panie doktorze, że ja nie ośmieliłbym się robić tak bezapelacyjnie zarzutu nawet fetyszystom i stawiać go w ten sposób, jak to pan zrobił w stosunku do katolicyzmu. Prosta logika powinna postawić swe veto i nie dopuścić do tak pohopnego wypowiadania nonsensów.

Zanim wysunie się jakiś zarzut, powinno się chociaż zlekka zastanowić nad istotą zagadnienia, a nie powtarzać bezkrytycznie brednie gdzieś zasłyszane czy wyczytane. Znajomość filozofji obowiązuje. Nieco krytycyzmu by się przydało.

Milczący doktór filozofji rzucił w moją stronę bezmyślne spojrzenie. Pożegnaliśmy się chłodno.

Czy moje wywody co poskutkują nie mogę zaręczać; nie

mogę również pojąć, jak ludziom o takim mętliku w głowie można oddawać w opiekę młodzież, czy pozwalać występować w charakterze prelegentów, czy wreszcie wydawać bzdury w broszurach. Czy nie przydałoby się tu jakieś rozwikłanie tej zawiłej kwestji? Bo ostatecznie na innem stanowisku mógłby to być człowiek całkiem możliwy.

Przed stu laty we Lwowie jakiś hreczkosiej i rymarz w jednej osobie, Feliks Boznański, obciążył półki bibljotek i księgarń aż trzema tomami „Pism wierszem i prozą". Choć poczciwina wdzięczy się do „przyszłego łaskawcy", by nie był zjadliwy w krytyce, by pamiętał, że

„Dla uczuciów człowieka, gdy ciąży uraza,
Dotkliwszy jest cios pióra niżeli żelaza,
Ważąc bowiem cierpienie (wszak rozbiór nie wadzi),
Czas zniszczy rany ciała, pióra nic nie zgładzi",

pomimo takich zaklęć wyznam szczerze, że w tym poecie z zaścianka było conajmniej dziewięćdziesiąt procent grafomana. Rymy tam banalne, interpunkcja fantastyczna, ortografja fantastyczniejsza (siedzi wśród kłutni w końcie z cielentami), lecz trafi mu się niekiedy pomysł wcale niezgorszy. Jest wśród jego bajek „bajka oryginalna" (opatruje ją takim napisem niby fabrykant swój fabrykat), „wielu nam arcypotrzebna" (tytuł: „Szewc, poeta"), gdzie takie oto wyrąbał verba veritatis:

„W czasie, kiedy i żaba rada krowie sprostać,
Syn szewca rzucił dratew i chciał wieszczem zostać.
Mówiąc ojcu: „Tatuniu! Dam wam część zalety,
Gdy ujrzycie na synu laur w wieńcu poety".
Poczem usiadł, wziął pióro i, nie tracąc miny,
W godzinie krakowiaków zlepił trzy tuziny.
Martwił się biedny ojciec głupstwem syna skrycie,
Wreszcie temi rzekł słowy, zgięty przy kopycie:
„Napróżno synu prawdę wymową dowodzić,
Że szewcem można zostać, wieszczem trza się rodzić;
Pierwsze daje nauka, drugie niebo tworzy,
Bez tego chęć nad siły głupstwo w ludziach mnoży.
Jeżeli więc nie chcesz splamić rozsądku prawidła,
Porzuć pióro, weź dratew i wróć się do szydła".

Wyjątkowo udała się Boznańskiemu ta bajka.

Taki mądry tatunio jak w niej przydałby się wszystkim indywiduom w rodzaju doktora filozofji. A jeśli już zabrakło tatunia, to niemiły obowiązek perswadowania powinni byli podjąć ludzie, cd których zależała... doktoryzacja.

J. M. Chudek.

AKCJA SPOŁECZNA.

Z działalności Chrześcijańskiego Uniwersytetu Robotniczego.

I-szy Zjazd Delegatów.

I-szy Zjazd Delegatów odbył się w Warszawie w r. 1929 w obecności przedstawicieli: Warszawy, Wilna, Łomży, Otwocka, Lublina, Łodzi i Grodna. Złożone wówczas sprawozdanie pierwszego Tymczasowego Zarządu Głównego, którego prezesem był p. Tadeusz Błażejewicz, a sekretarzem p. Stefan Kaczorowski—obejmowało działalność Centrali od początku założenia instytucji, t. j. od r. 1926 oraz w ogólnych zarysach działalność oddziałów w Warszawie, Łodzi, Lublinie, Włocławku, Łomży, Wilnie, Częstochowie, Grodnie i Otwocku. Oprócz wyżej wymienionych miejscowości istniały jeszcze wówczas koła w Bielsku i Grudziądzu, razem więc 11 kół.

Zjazd Delegatów uchwalił kilka formalnych zmian statutu, przeprowadził gruntowną dyskusję nad metodami pracy organizacyjnej i uchwalił kilka rezolucji w tym zakresie oraz powołał Zarząd Główny w składzie następującym: pp. Tadeusz Błażejewicz, ks. Trzepałko, Kazimierz Koralewski, ks. Jan Szmigielski, Antoni Chaciński, Bogumił Budka, Stefan Kaczorowski, Franciszek Urbański i ks. Franciszek Gąsiorowski z Warszawy, oraz Stanisław Bryła z Lublina, Jan Paprocki z Wilna, Antoni Harasz z Łodzi, Romuald Pułjan z Grodna, ks. Stanisław Wojsa z Włocławka i Aleksander Kurkowski z Otwocka. Do Komisji Rewizyjnej powołano p. Stanisława Janczewskiego, Józefa Kosmaczewskiego i Stefana Smólskiego.

Prace Centrali.

W międzyczasie odbyły się tylko 3 posiedzenia Zarządu Głównego na których byli obecni pp. Błażejewicz, Kaczorowski, Budka, Kurkowski, Chaciński Antoni i przedstawiciel Łodzi p. Dębczyński. Zgodnie z art. 21 statutu powołano Komitet Wykonawczy w składzie: Prezes p. T. Błażejewicz, vice-prezes p. B. Budka, sekretarz Generalny p. S. Kaczorowski. Wyżej wymieniony Komitet Wykonawczy złożony z 3 osób stanowił faktycznie Centralę Ch. U. R.

Sekretarjat Generalny w okresie sprawozdawczym wysłał do środowisk 246 listów (w tem 4 okólniki) a otrzymał od środowisk 87. Z inicjatywy Sekretarjatu 20 razy przedstawiciele Centrali wyjeżdżali do środowisk, w tem 12 razy do Otwocka, 4 razy do Pruszkowa, 2 razy do Włocławka i 2 razy do Łodzi, wygłaszając tam odczyty, lub odbywając zebrania z Zarządem miejscowego Ch. U. R.

Akcja wydawnicza Centrali uwidoczniła się w wydaniu 1000 egz. statutu ze zmianami uchwalonemi na I-szym Zjeździe Delegatów i zarejestrowanemi w Komisarjacie Rządu m. st. Warszawy i 1000 egz. broszury propagandowej p.t. Chrześcijański Uniwersytet Robotniczy i Chrześcijański Związek Młodzieży Pracującej napisanej przez Sekretarza Generalnego i 1000 egz. broszury p.t. Encyklika Rerum Novarum a sprawa robotnicza, napisanej przez p. Stanisława Janczewskiego. Statuty te i broszury rozesłaliśmy do środowisk.

Uchwalony na I-szym Zjeździe dezyderat, idący w kierunku założenia własnego Biuletynu, nie mógł być wykonany z powodu braku funduszów. Natomiast w całej rozciągłości wykonana została uchwała dotycząca obchodu 40-lecia Encykliki „Rerum Novarum". Centrala Ch. U. R-u dała inicjatywę na ziemiach b. zaboru rosyjskiego w kierunku wytworzenia Komitetu Obchodu, złożonego z przedstawicieli wszystkich instytucji chrześcijańsko-społecznych. Komitet ten rozesłał okólniki w sprawie urządzenia obchodu do wszystkich środowisk i przyczynił się w dużej mierze do ujednostajnienia i usprawnienia tej akcji.

Akcja kulturalno oświatowa. Największe wysiłki podjęła Centrala w kierunku urządzania tygodni społecznych i syste-

matycznych kursów oświatowych oraz pobudzania poszczególnych kół, aby takie przedsięwzięcia urządzały.

W marcu 1931 r. centrala zorganizowała w Warszawie 5-cio dniowy kurs instrukcyjny młodych działaczy chrześcijańsko-społecznych, w którym wzięło udział około 130 uczestników z Warszawy, Łodzi, Zawiercia, Mławy, Częstochowy, Zduńskiej-Woli, Otwocka, Garwolina, Ryk, Łomży, Radomska, Grodziska, Skarżyska, Sosnowca, Wierzbnika, Włocławka, Radomia i Augustowa. Wysłuchali oni referatów: 1) Chrystus Pan w życiu organizacyjnem, 2) Obowiązki religijne działaczy chrześcijańsko-społecznych, 3) Kościół katolicki a kwestja robotnicza, 4) Ustrój kapitalistyczny i jego przeobrażenia, 5) Odbudowa Państwa Polskiego i jego położenie polityczne, 6) Interesy mas pracujących a dobro narodu, 7) Sytuacja gospodarcza państwa i jego warstw pracujących, 8) Dobre obyczaje, jako warunek tężyzny duchowej jednostki i narodu, 9) Niebezpieczeństwa grożące religji i kościołowi w Polsce, 10) Polskie ustawodawstwo robotnicze, 11) Ruch chrześcijańsko-społeczny, jego organizacje i metoda pracy, 12) Ruch chrześcijańsko-społeczny za granicą, 13) Znaczenie prasy katolickiej, 14) Zadania i działalność Chrześcijańskich Związków Zawodowych w Polsce, 15) Taktyka Chrześcijańskich Związków Zawodowych, 16) Rola młodzieży w ruchu chrześcijańsko-społecznym, 17) Działacz chrześcijańsko-społeczny a zadania samorządowe, 18) Rola i zadania sekretarza i instruktora chrześcijańsko-społecznego. Wykłady powyższe wygłosili pp. Józef Chaciński, Stanisław Janczewski, ks. prof. Szmigielski, Dr. Zawadzki, ks. Stanisław Wojsa, ks. Z. Kaczyński, Antoni Chaciński, Stefan Kaczorowski, Bogumił Budka, Antoni Ponikowski, Stanisław Spasiński i Kazimierz Szmagier. Dzień pracy rozpoczynał się dla uczestników Zjazdu od Mszy św. i Komunji św., poczem następowały wykłady, wspólne posiłki i zwiedzanie miasta ze specjalnem uwzględnieniem objektów samorządowych. Kurs wywarł na uczestników silne i podniosłe wrażenie i ułatwił ruchowi chrześcijańsko-społecznemu późniejszą działalność na prowincji. Koszta kursu w sumie przeszło 2000 zł. (życie i noclegi uczestników) pokrywała organizacja.

Z inicjatywy i przy pomocy Centrali odbyły się 2 Tygodnie Społeczne zorganizowane przez koła Ch. U. R.-u w Otwocku

i Pruszkowie. Tydzień społeczny w Otwocku obejmował 9 wykładów z dziedziny kryzysu ekonomicznego, „Quadragesimo anno", nauki Kościoła katolickiego o rodzinie i małżeństwie i innych zagadnień gospodarczych i społecznych, aktualnych w czasach dzisiejszych, które wygłosili pp. Błażejewicz, ks. Wolski, ks. Kaczyński, Urbański, Budka, Kaczorowski, L. Gdyk. Kurs zakończył się akademją na cześć encyklik społecznych. Przeciętna frekwencja na wykładach: 100—300 osób.

Podobny program obejmował Tydzień Społeczny w Pruszkowie, który odbył się między 17—24 kwietnia 1932 r., rozpoczął się uroczystym otwarciem, a zakończył się akademją papieską. Wykłady wygłosili pp. Błażejewicz, ks. Choromański, ks. Szmigielski, ks. Malewski, Kaczorowski, J. i F. Kwasiborscy. Przeciętna frekwencja od 50 do 100 osób.

Prócz tego sekretarjat Generalny wziął czynny i bezpośredni udział w organizowaniu 6-cio tygodniowego Kursu Instrukcyjnego, który odbył się w Warszawie od 4 kwietnia do 13 maja rb. i obejmował 53 wykłady. Sekretarjat Generalny wychodził z założenia, że w r. b. z powodu braku funduszu nie można powtórzyć wspaniałego przedsięwzięcia z marca 1921 r. tj. zgromadzić kilkudziesięciu abiturjentów z prowincji na Tygodniu Społecznym w Warszawie. Wobec tego należy pójść w kierunku kursów regjonalnych, miejscowych, które będą taniej kosztowały, gdyż nie trzeba będzie abiturjentów żywić, ani dawać im noclegi, a z drugiej strony będą miały tę zaletę, że będą dłuższe, a więc bardziej wyczerpujące program wiedzy chrześcijańsko-społecznej. Zgodnie z tem sekretarjat przystąpił wspólnie z Organizacją Warszawską Ch.U.R-u i innymi organizacjami chrześcijańsko - społecznemi w Stolicy do zorganizowania takiego kursu w Warszawie, a równocześnie wysłał program Kursu wraz z okólnikiem do szeregu środowisk, zachęcając je do zainicjowania tego przedsięwzięcia.

Podwojenie ilości kół. Dzięki akcji propagandowej Centrali oraz energicznym wysiłkom działaczy miejscowych, liczba ośrodków Ch.U.R. w kraju podwoiła się i z 11 zwiększyła się do liczby 22. Przedewszystkiem wznowiona została działalność Ch.U.R-u we Włocławku, Grudziądzu i Pruszkowie. Następnie powstały nowe koła w Sosnowcu, Radomiu, Lwo-

wie, Zduńskiej Woli, Poznaniu, Chojnicach oraz 5 kół na Górnym Śląsku, a mianowicie: w Katowicach Siemianowicach, Chropaczowie, Kobierzach i Tarnowskich Górach. Niezależnie od tych aktywnych 22 kół Ch.U.R. jest kilka organizacyj tworzących się, a mianowicie w Białymstoku i w pow. Lidzkim.

Sprawozdania poszczególnych kół.

Sekretarjat Generalny rozesłał kwestjonarjusze sprawozdawcze do wszystkich kół. Poniżej podajemy sprawozdanie z działalności tych kół i ośrodków, które udzieliły odpowiedzi. Sprawozdania obejmują okres roczny od 1 czerwca 1931 do 1 czerwca 1932 r.

Warszawa. Odbyły się 2 cykle wieczorów dyskusyjnych: 1-szy w lokalu Ch. Z. Z. przy ul. Rymarskiej 2, 2-gi w Domu Ludowym na Pelcowiźnie — razem 47 wykładów na aktualne tematy religijne, gospodarcze, społeczne i literackie. Przez 8 miesięcy była prowadzona sekcja kulturalno-oświatowa, odbywająca zebrania co tydzień i studjująca Rerum Novarum i Quadragesimo anno. Zorganizowano wyżej wymieniony 6-cio tygodniowy kurs Instrukcyjny, obejmujący 53 wykłady i ćwiczenia na tematy: Ustrój państwa polskiego, Polska i jej znaczenie geograficzne, polityczne i gospodarcze, kryzys gospodarczy, jego przyczyny, przebieg i skutki, ruch chrześcijańsko-społeczny wobec innych organizacyj, metodyka akcji kulturalno-oświatowej i zawodowej, samorząd i jego zadania, czytelnictwo i systematyzowanie materjałów, biurowość i rachunkowość organizacyjna, aktualny program chrześcijańsko-społeczny zagadnienia społeczne na tle programów politycznych, polonistyka. Przeciętna frekwencja wynosiła od 15 do 30 słuchaczy.

W dniu 11 marca odbyło się walne zebranie koła Warszawskiego, które wybrało nowy Zarząd w składzie: pp. Błażejewicz Tadeusz, Kaczorowski Stefan, Budka Bogumił, Chaciński Antoni, Urbański Franciszek i Chełmiński Miłosz. Do koła Warszawskiego Ch U. R-u należą 24 osoby płacące składki.

Podkreślić należy, że jak dotąd, organizacja warszawska Ch. U. R. utrzymywała Sekretarjat Generalny i ponosiła ol-

brzymią większość wydatków związanych z działalnością Centrali. Skutkiem tego wydatki tej organizacji z każdym rokiem wzrastały. I tak: w roku 1930 wynosiły tylko 430 zł, w roku 1931 wynosiły już 1800 zł. 90 gr. a do 1 czerwca 1932 r. doszły już do 2.000 zł. Oczywiście w ten sposób zasoby finansowe organizacji warszawskiej skurczyły się do minimum. To też w przyszłym okresie budżetowym sama organizacja warszawska nie podoła i koszta utrzymania Centrali winny być rozdzielone na inne środowiska.

Górny-Śląsk. Zarząd składa się z pp.: Sosiński Wojciech, Korfantowa Elżbieta, Szulik Jan, Surówczyna Emilja, Hanke Hugon i Klonowski Antoni. W okresie sprawozdawczym odbyło się 64 wieczorów dyskusyjnych prócz tego miały miejsce kilkudniowe wykłady katolicko-społeczne w Katowicach, Rybniku, Królewskiej Hucie, Pszczynie i Tarnowskich Górach, 6-cio dniowy Tydzień Społeczny został zorganizowany w Katowicach między 7 a 13 marca 1932 r. i obejmował tematy ideowo społeczne i polityczne. Wykładali pp.: Wojciech Korfanty, Ks. proboszcz Szymała, ks. prob. Szwajnoch, Paweł Kempka, Władysław Tempka i Wojciech Sosiński.

Ch. U. R. otrzymał subsydjum od województwa w wysokości 2.500 zł., wydatki rzeczowe wynosiły do końca maja 990 zł., bibljoteka znajduje się w trakcie tworzenia. Członkowie stowarzyszenia Ch. U. R. jeszcze nie płacą składek.

Bielsko-Cieszyńskie. Skład Zarządu pp.: Pobożny Jan, Wojciechowski Czesław dyr. Szkoły Powszechnej i ks. Józef Skrudrzyk. Organizacja działa słabo, gdyż na tym terenie pracę oświatową prowadzi bardzo intensywnie Polska Macierz Szkolna. Ch.U.R. urządził razem 15 wykładów i 12 pogadanek wśród młodzieży rzemieślniczej.

Wilno. Prowadziło w ostatnim roku w dalszym ciągu: a) czytelnię-świetlicę która była otwarta codziennie, posiadała 35 czasopism i gry towarzyskie. Frekwencja obecnych przeciętnie 25 — 24 osób dziennie. W roku b. zwiększono inwentarz i liczbę czasopism, b) bibljotekę, która liczy 929 tomów i około 300 broszur, frekwencja wypożyczających 134 osoby, c) urządziło 8 odczytów i 10 wieczorów dyskusyjnych, przeważnie na tematy gospodarczo społeczne oraz z dziedziny higjeny, d) nadal był przeprowadzony bezpłatny kurs dla anal-

fabetów i półanalfabetów, z którego korzystało 19 osób; odbyło się ogółem 111 lekcyj: język polski, matematyka, historja, geografja i nauka o Polsce; e) pozatem wygłoszono szereg pogadanek na zebraniach Chrześcijańskich Związków Zawodowych, wzięto czynny udział w obchodzie 40-lecia Rerum Novarum a na kongresie Eucharystzcznym zainicjowano podsekcję dla spraw socjalnych.

Skład Zarządu: pp. adwokat Józef Zmitrowicz, ks. Jan Kretowicz, Jan Kazimierz Paprocki, Gustaw Malawko, Marja Tomkiewiczowa, Wacław Marciniak, Henryk Pawilonis. Stowarzyszenie Ch.U.R. liczy obecnie 45 członków częściowo płacących składki. Od r. 1929 do 1932 otrzymało ogółem od Magistratu i innych instytucji 5115 zł. subsydjum. Budżet w roku ostatnim wskazuje po stronie wydatków 4.300 zł. 65 gr.

Łódź. Skład Zarządu: pp.: Rajmund Wojakowski, ks. Stanisław Rybus. i Lucjan Dębczyński. Stowarzyszenie Ch.U.R-u składa się z 51 zarejestrowanych członków, posiadających legitymacje i płacących składki. W okresie sprawozdawczym urządzono 35 wieczorów dyskusyjnych, przy przeciętnej frekwencji od 80—130 osób, prócz tego 12 zebrań odbyła sekcja kulturalno-oświatowa. W lipcu r. z. organizacja urządziła publiczną kwestę, która przyniosła czysty dochód w sumie 817 zł. 49 gr.

Lublin. Skład Zarządu: pp. Sędzia Stanisław Bryła, ks. Władysław Krawczyk, Tłuczkiewicz i ks. Dr. Surdacki. Stowarzyszenie liczy około 200 czł, niepłacących składek. W okresie sprawozdawczym odbyło się 26 odczytów i 3-dniowy kurs społeczno-organizacyjny, była też prowadzona świetlica dla młodzieży i urządzono akademję papieską oraz akademję na cześć encyklik społecznych. Związek kapłanów „Unitas" płaci komorne za organizację w sumie 125 zł. miesięcznie.

Zduńska-Wola. Zarząd składa się z pp: prof. gim. Franciszek Gołąb, Franciszek Duszkiewicz i Józef Owczarek. W okresie sprawozdawczym urządzono ogółem 15 odczytów dla członków, młodzieży i Chrześc. Zw. Zaw. na których frekwencja wahała się od 40—50 osób. Organizacja otrzymała dotychczas ogółem 550 zł. subsydjum.

Łomża. Skład Zarządu: pp. adw. Kazimierz Ryntflejsz, dr. Filip Świrski, Prais Józef, Antosiewicz Aleksander, Gawkowski Jan i ks. dr. Jan Czajkowski. Organizacja rozwija się słabo. W ostatnim roku urządzono tylko 9 wieczorów dyskusyjnych, których wysłuchało około 30 członków Ch. Zw. Zaw. Była także prowadzona świetlica dla robotników. Bibljoteka liczy 100 tomów.

Otwock. Zarząd: pp. Aleksander Kurkowski, ławnik, ks. prob. Wolski, Stanisław Maleszewski, Aleksander Woźniak i Juljan Gajger. Stowarzyszenie liczy 83 członków, legitymacje są już wydrukowane. Odbyło się ogółem 17 wieczorów dyskusyjnych przy frekwencji od 100 do 300 i wymieniony w dziale ogólnym tydzień społeczny. Prócz tego urządzono 2 akademje, zabawę i wiec przeciwko ustawie małżeńskiej. Organizacja posiada latarnię projekcyjną, kino i boisko sportowe do dyspozycji.

Włocławek. Zarząd: pp. ks. Stanisław Wojsa, ks. J. Gołębiowski, Kłodawski, A. Radziejowski, i H. Siemiński. Wygłoszono ogółem 30 wykładów przy przeciętnej frekwencji 60 osób, i urządzono jedną wycieczkę do Muzeum.

Grudziądz. Skład Zarządu: pp. Albin Nowicki, Stanisław Wodwud, Stanisław Kunz i W. Gańwa Stow. Ch. U. R. liczy 15 członków, prócz tego założono koło w Chojnicach. Zebrań Zarządu odbyło się 15, a plenarnych zebrań człokowskich 5. W okresie sprawozdawczym urządzono 34 zebr. dyskusyjnych i akademji, w czem 22 odbyły się w Grudziądzu a 12 w innych miejscowościach. Sprawozdania podkreślają wielkie powodzenie wyżej wymienionych zebrań i akademji i obliczają ilość słuchaczy razem na 19.000 na wszystkich zebraniach, prócz tego jest prowadzony kurs języka polskiego, na który uczęszcza 63 słuchaczy.

Akademje i zebrania Ch. U. R-u były przeważnie połączone z produkcjami muzykalno-wokalnemi. Zarząd wziął w ostatnim sezonie bardzo energiczne tempo pracy i poszczycić się może dużym sukcesem. Na zakończenie sezonu odbyła się uroczysta akademja ku uczczeniu bohatera narodowego Pomorza Mikołaja z Ryńska, ściętego przez Krzyżaków.

Poznań. Koło poznańskie Ch. U. R-u powstało w listopadzie 1931 r. Skład Zarządu: pp. dr. A. Niesiołowski, Mgr.

Całka, mgr. Krawiec, dyr. Zbigniew Liepeld. Sprawozdanie za pierwsze 3 miesiące pracy (listopad, grudzień i styczeń) wykazuje: 9 wykładów publicznych, wspólne zwiedzanie zabytków historycznych i bibljotekę złożoną z 64 tomów. Ciekawą metodą pracy Ch. U. R-u poznańskiego jest wytworzenie kilku nielicznych zespołów, zrzeszających ludzi z pewnemi określonemi zainteresowaniami, i studjującemi dane zagadnienia. Coś podobnego jak sekcje kulturalno-oświatowe.

Dotychczas powstały zespoły: a) ustawodawstwo pracy, b) „Quadragesimo anno", c) sekretarzy organizacyjnych, d) hygieniczny, i e) 2 zespoły młodych z „Charitasu".

W stadjum organizacyjnym znajduje się zespół religijno-filozoficzny.

II. Zjazd Delegatów.

W dniu 12 czerwca 1932 r. odbył się w Warszawie II Zjazd Delegatów, który zgromadził kilkudziesięciu delegatów z Warszawy, Katowic, Poznania, Wilna, Włocławka, Grudziądza, Pruszkowa, Otwocka i innych miejscowości.

Na Zjeździe wybrano nowy Zarząd Główny w składzie następującym: Prezes—Tadeusz Błażejewicz, viceprezesi—ks. Zygmunt Kaczyński i Franciszek Urbański, sekretarz generalny—Stefan Kaczorowski, skarbnik—Helena Zaborowska, członkowie—Bogumił Budka i Antoni Chaciński z Warszawy, Wojciech Sosiński i X. proboszcz Szwajnoch ze Śląska, Albin Nowicki z Grudziądza, Andrzej Niesiołowski z Poznania, Lucjan Dębczyński z Łodzi, Aleksander Kurkowski z Otwocka i Józef Kwasiborski z Pruszkowa.

Zjazd wysłuchał dokładnych sprawozdań z działalności i przedyskutował metody pracy organizacyjnej i kulturalno-oświatowej, ustalając wyraźne wskazówki w tej dziedzinie.

Metody pracy.

I. Chrześcijański Uniwersytet Robotniczy jest częścią składową ruchu chrześcijańsko-społecznego. W podziale pracy, który w tym ruchu istnieje, zadaniem Ch. U. R-u jest skupienie inteligencji, a więc prelegentów i organizatorów pracy

kulturalno-oświatowej — w celu szerzenia oświaty chrześcijańsko-społecznej wśród mas.

II. Samo stowarzyszenie Ch. U. R-u nie jest organizacją masową. Członkami jego winni być kierownicy i oświatowcy oraz osoby ułatwiający pracę na danym terenie. Stowarzyszenie to stara się o jaknajwiększą liczbę słuchaczy, którzy nie potrzebują być jego członkami, zwłaszcza gdy należą do innych organizacyj chrześcijańsko-społecznych. Tam gdzie istnieją inne organizacje chrześcijańsko-społeczne np.: Chrześcijańskie Związki Zawodowe, Chrześc. Zw. Mł. Pr. „Odrodzenie", Ch. U. R. daje naukę, a inne organizacje dają lokale i słuchaczy. Tam, gdzie niema innych organizacji chrześcijańsko-społecznych, sytuacja jest trudniejsza: trzeba je wytworzyć, zakładając np. Chrześcijański Związek Młodzieży Pracującej Odrodzenie, lub rekrutować swoich słuchaczy samodzielnie pod egidą Ch. U. R-u.

III. Na działalność oświatową składają się: a) wieczory dyskusyjne i odczyty, b) tygodnie społeczne, które dają większe skondensowanie wiedzy i wytwarzają już pewną więź psychiczną między słuchaczami, c) kilkutygodniowe, dłuższe kursy z ćwiczeniami i egzaminami mogą dać całokształt wiedzy bardziej ścisłej i głębszej i wyłowić z tłumu bardziej wartościowe jednostki, d) krótkie kursy —zjazdy z kilku miejscowości przy odpowiednim programie i wytworzeniu odpowiedniego nastroju mogą się zakończyć założeniem jakiejś organizacji chrześcijańsko-społecznej np. Chrześcijańskiego Związku Młodzieży Pracującej Odrodzenie, lub Stow. Rob. Chrześcijańskich... e) Sekcje kulturalno-oświatowe czyli zespoły, złożone z małej liczby osób 10—15 systematycznie studjujące pewne zagadnienie, lub ćwiczące się w wymowie itd. f) bibljoteka dzieł chrześcijańsko-społecznych, które można nabywać z wydawnictw, znajdujących się przy Uniwersytecie Lubelskim, z bibljoteki chrześcijańsko-społecznej w Krakowie (Potockiego 11), lub z Centrali Ch. U. R-u. Warszawa, Żórawia 9 m. 14.

IV. Treścią wykładów kursów i sekcji winny być tematy związane z ideologją i metodyką ruchu chrześcijańsko-społecznego, a więc w pierwszym rzędzie zagadnienia religijno-moralne, niebezpieczeństwa grożące religji i Kościołowi, kryzys gospodarczy, zagadnienia ekonomiczno-społeczne, z położeniem

nacisku na zapoznanie słuchaczy z nauką ekonomiczną Kościoła: Rerum Novarum i Quadragesimo anno, nauka o Polsce i oświetlenie zjawisk życia publicznego zgodnie z naszą ideologją, niebezpieczeństwa grożące narodowi i warstwom pracującym, a w pierwszym rzędzie metody akcji komunistycznej i walka z niemi, błędy socjalizmu i liberalizmu, kwestja żydowska i niebezpieczeństwo niemieckie. W drugim rzędzie wchodzą w rachubę przedmioty ogólno kształcące, jak matematyka, literatura, historja, hygjena, technika i t. d. (*s. k.*)

Praca młodych ruchu chrzescijańsko-społecznego.

Jedną z organizacji chrześcijańsko-społecznych, która ściśle współpracuje z Chrześcijańskim Uniwersytetem Robotniczym w dziedzinie kulturalno-oświatowej — jest Chrześcijański Związek Młodzieży Pracującej „Odrodzenie".

Organizacja ta (której nie należy identyfikować z „Odrodzeniem" akademickim) powstała w r. 1927 i wciągu kilku lat pracy rozwinęła się dosyć poważnie, zwłaszcza na terenie b. Kongresówki.

W poprzednich latach pisaliśmy na łamach „Pro Christo" o jej celach i metodach pracy, podkreślając zwłaszcza, że zadaniem jej jest skupiać starszą młodzież robotniczą w celu uświadomienia i wyrobienia w dziedzinie religijnej, kulturalno-oświatowej i społeczno-gospodarczej.

Obecnie podamy dokładne sprawozdania z działalności Odrodzenia robotniczego w latach ostatnich.

Działalność Centralnego Komitetu Wykonawczego, wybranego na I Zjeździe delegatów w r. 1929 była dość rozległa i szła w najrozmaitszych kierunkach.

Wyjazdy. Pracy organizacyjnej nie można prowadzić zapomocą samych listów i okólników. Trzeba wyjeżdżać, aby wizytować bezpośrednio koła na prowincji. Wygłaszać tam referaty, udzielać wskazówek ewentualnie zakładać nowe koła. C.K.W. znajdował się w tym trudnem położeniu, że nie miał funduszów na rozjazdy. Mimo to jednak odbyliśmy pewną

liczbę wyjazdów do środowisk, korzystając przeważnie ze sposobności wyjazdów Centrali Ch. D.

Ogółem członkowie C.K.W. przyjeżdżali na zebrania, odczyty i zgromadzenia (nie licząc przyjazdów na zjazdy delegatów i na zebrania C.K.W.): — do Łodzi 6 razy, do Zawiercia — 4, do Pruszkowa 15, do Radomska 1, do Radomia 2, do Skarżyska 1, do Zduńskiej-Woli 2, do Pabjanic 1, do Kalisza 2, do Krakowa 1, do Warszawy 10 razy. Razem było 45 wyjazdów organizacyjnych, przyczem wyjeżdżali: prezes A. Chaciński 2 razy, vice-prezes S. Kaczorowski 30 razy, sekretarz F. Kwasiborski 11 razy, W. Pisarza 1 i red. Sopicki 1.

Podczas powyższych wyjazdów założone zostały nowe koła: w Skarżysku, Radomsku, Pabjanicach, Zduńskiej-Woli i Kaliszu.

Władze Okręgowe. Ponieważ z przyczyn finansowych C.K.W. nie może urządzać wyjazdów tak często, jakby chciał i jakby wymagały potrzeby organizacyjne — przeto trzeba było wyznaczyć w tych powiatach, względnie województwach, gdzie wytworzyło się się pewne skupienie naszych kół — władze okręgowe, względnie wojewódzkie, które sprawowały pieczę nad tymi kołami z ramienia C.K.W. i w jego imieniu.

Statut nasz takich władz pośrednich nie przewiduje, sprawa więc została załatwiona przez wydanie regulaminu władz okręgowych, według którego Okręgowy, względnie Wojewódzki Komitet Wykonawczy jest władzą administracyjną, mianowaną przez C.K.W. i więc jakby jego ramieniem na danym terenie. Dotychczas zostały mianowane: 1) Wojewódzki Komitet Wykonawczy w Łodzi, 2) Okręgowy Komitet Wykonawczy w Warszawie, w Radomiu, istnieje projekt powołania Okręgowego Komitetu Wyk. w Krakowie.

Akcja Wydawnicza. W okresie sprawozdawczym wydane zostały staraniem C.K.W. dwie broszury propagandowe — sprawozdawcze o Ch. Z. M. P. „Odrodzenie".

Od początku także leżała nam na sercu sprawa wydawania stałego miesięcznika będącego organem naszej organizacji. Na przeszkodzie stały przez długi czas trudności finansowe oraz fakt, że pierwsza próba podjęta w r. 1929 spaliła na panewce i zakończyła się wydaniem 1 tylko numeru, gdyż środowiska nie wykonały swoich zobowiązań finansowych i nie opłaciły

prenumeraty. W końcu jednak zdecydowaliśmy się wznowić wydawanie „Młodego Pokolenia" zachęceni licznymi prośbami i namowami płynącemi z poszczególnych kół. Mamy znów swój miesięcznik.

Oświata i propaganda. B. wielki nacisk kładzie C.K.W. na oświatę i propagandę. Z jego inicjatywy pewna ilość członków organizacyj wzięła w r. 1930 udział w Tygodniu Społecznym w Lublinie. W r. 1931 w marcu Ch. Z. M. P. „Odrodzenie" wspólnie z Ch. U. R. i Domem Ludowym im. Leona XIII zorganizowało 5-dniowy kurs instrukcyjny w Warszawie, w którym wzięło udział około 130 osób, w tym 80 osób z prowincji. Wysłuchano kilkanaście wykładów dotyczących ideologji i metod pracy, zwiedzono miasta i objękty samorządowe. Impreza kosztowała przeszło 2.000 zł., które pokrył Ch. U. R. i Dom Ludowy. Wspaniały nastrój i ton ideowy kursu udzielił się słuchaczom i wywarł na nich silne wrażenie. Zaznaczyć należy, iż między słuchaczami było 80% członków z młodzieży naszej organizacji.

W roku bieżącym, niestety, z powodu braku funduszów nie mogliśmy powtórzyć tej wspaniałej imprezy. Poszliśmy jednak w tym samym kierunku, choć inną drogą został urządzony przez Ch. U. R. w Warszawie 6-tygodniowy kurs miejscowy, w którym młodzież wzięła poważny udział. Nakłanialiśmy inne środowiska do urządzenia takich kursów regjonalnych, posyłaliśmy im program kursu warszawskiego, ale zdaje się bez rezultatu. A szkoda!

Na przyszłość trzeba będzie naszą akcję oświatową bardziej zesystematyzować, zorganizować w każdym kole kurs 6-tygodniowy i wprowadzić nawet egzaminy za przykładem organizacji lubelskiej.

Akcja propagandowa nasza uwidoczniła się w wysyłaniu przez C. K. W. do kół broszur o treści dotyczącej ideologji chrześc. społecz. Broszur takich wysłaliśmy i rozdaliśmy kołom w ciągu tych trzech lat razem kilka tysięcy, żądając, aby zamieszczono je w bibljotece i przypilnowano, aby wszyscy członkowie je przeczytali.

Jeśli chodzi o wycieczki — to Ch. U. R. zorganizował jedną tylko wycieczkę krajoznawczą na Pow. Wystawę Krajową do Poznania, w której wzięło udział kilkadziesiąt człon-

ków i członkiń. Pozatem imprezy tego rodzaju organizowały poszczególne koła. W r. b. odbędzie się pielgrzymka do Częstochowy.

Czapki i znaczki organizacyjne. Wzór czapki, która mabyć używana przez członków organizacji podczas wystąpień zewnętrznych i uroczystości odrodzeniowych został ustalony przez C.K.W. po rozpatrzeniu projektów nadesłanych przez środowiska. C.K.W. sporządził kilkanaście wzorów czapek i rozesłał je środowiskom. Dotychczas jednak nie wszędzie zostały wprowadzone.

Rysunek znaczku organizacyjnego został już ustalony. Na przeszkodzie jednak do sporządzenia go i rozsprzedaży stanął brak funduszów. Musimy pamiętać, że wybicie wszystkich znaczków kosztowałoby kilka tysięcy złotych, nawet zaś zrobienie t. zw. sztancy pociągnęłoby za sobą b. poważny wydatek. Wobec tego nie pozostaje nam nic innego, jak zwrócić się w tej sprawie do wszystkich kół, aby nadesłały zamówienia, zgóry przekazały gotówkę. Wówczas w krótkim czasie znaczki zostaną zrobione i rozesłane.

Stan naszych środowisk. Na podstawie nadesłanych sprawozdań oraz innych wiadomości posiadanych przez Centralny Komitet Wykonawczy stan naszych organizacji w poszczególnych ośrodkach przedstawia się następująco:

Warszawa. Istnieją trzy koła, w tem dwa męskie i jedno żeńskie, koło I-sze męskie przy ul. Rymarskiej 2/4 liczy 65 członków czynnych. Koło rozwija się dobrze, o czem świadczą żywo działające sekcje prelegentów, odczytowa, kulturalno-oświatowa, śpiewacza, dramatyczna, ping-pongowa i sportowa. Referaty i odczyty odbywają się systematycznie w każdy piątek z przeciętną frekwencją od 40 do 50 osób. W ostatnim roku sprawozdawczym odbyły się 33 wieczory dyskusyjne. Finansowo organizacja stoi dobrze i zdołała nawet stworzyć fundusz około 500 zł. na kupno sztandaru. Koło posiada bibljotekę zaopatrzoną w 700 tom książek.

Koło męskie na Pelcowiźnie, przy ul. Modlińskiej 17, liczy 28 członków. Referaty i odczyty odbywają systematycznie co dwa tygodnie w piątki; przeciętna frekwencja na nich jest od 20 do 30 osób. Koło posiada też własną scenę, na której sekcja dramatyczna organizuje przedstawienia teatralne,

Koło żeńskie przy ul. Żórawiej 9 m. 14 liczy 15 członkiń i rozwija się aczkolwiek powoli, to jednak systematycznie, trafiając na coraz lepsze metody pracy wśród młodzieży żeńskiej. Koło urządziło rekolekcje, odbywa systematyczne pogadanki, czytania i roboty ręczne.

Czwarte koło na terenie Warszawy jest w stadjum reorganizacji. Z powodu wytworzenia się organizacji konkurencyjnej na Śniadeckich 5, koło to zostanie przeniesione z ulicy Śniadeckich na ul. Szucha.

W Warszawie istnieje także koło sportowe, którego sekcja lekkoatletyczna funkcjonuje stale, sekcja zaś piłki nożnej znajduje się w stadjum organizacji.

Pruszków. Istnieją dwa koła męskie liczące 48 członków, żeńskie liczące 16 członków. Przy kole znajduje się bibljoteka posiadająca 450 tomów. Praca rozwija się w sekcjach prelegentów, sportowej, ping-pongowej, i dramatycznej, pozatem istnieje komisja kulturalno-oświatowa, która ma na celu urządzanie odczytów i kursów oraz komisja rozrywkowa urządzająca zabawy i wieczory towarzyskie. Z ważniejszych imprez wymienić należy: akademja Chrystusa Króla w roku ubiegłym. Tydzień katolicko-społeczny w kwietniu r. b. oraz Akademję Papieską, na zakończenie tegoż tygodnia. Koła posiadają własny sztandar, ufundowany kosztem 1500 zł.

Łódź. Na terenie Łodzi istnieją 4 koła, koło męskie w śródmieściu liczące 29 człon., koło żeńskie w śródmieściu 26 człon., koło męskie na Zarzewiu 20człon. i koło żeńskie na Zarzewiu 22 członkiń. Działalność kulturalno-oświatowa i ideowo-wychowawcza, prowadzona była systematycznie w sekcjach prelegentów i komisjach kulturalno-oświatowych. Pozatem wykazało się tamtejsze środowisko wieloma imprezami i obchodami. W dniu święta Patrona 29. VI. r. ub. wszystkie organizacje Łódzkie odbyły rekolekcje i Komunję św. Ponadto zorganizowano Akademję Papieską, akademję ku czci Rodziny Swiętej, oraz Akademję Marjańską. W święto Pracy 3-go maja uczęszczano w pochodach, oraz przyłączono się do pochodu Encykliki Rerum Novarum.

Odczytów i referatów odbyło się ogółem 44, sekcje wycieczkowe urządziły 14 wycieczek krajoznawczych. Sekcje

rozrywkowe urządziły 17 zabaw tanecznych. Sekcja dramatyczna odegrała 12 razy „Jasełka" oraz inne sztuki.

Koła w Łodzi posiadają własny sztandar, ufundowany w roku 1929.

Na terenie Łodzi pracuje też wojewódzki Komitet Wykonawczy, jako instytucja zwierzchnia dla kół na terenie województwa Łódzkiego, a podległa zarządzeniom władz centralnych w Warszawie.

Zduńska-Wola. W Zduńskiej-Woli istnieją dwa koła męskie liczące 20 członków i żeńskie mające 25 członków. Pracami ideowo-wychowawczymi kieruje ks. patron Juljan Olejnik. Koła urządziły w roku ub. liczną wycieczkę do Częstochowy, oraz wzięto udział w Diecezjalnym Kongresie Eucharystycznym. Koło żeńskie prowadzi bardzo intensywną pracę w sekcji robót ręcznych, stosując przytem czytanki historyczne.

Ruda Pabjanicka. W dniu 1 maja rb. powstało nowe koło w Rudzie-Pabjanickiej, które rokuje nadzieje pomyślnego rozwoju.

Radom. Istnieje Okręgowy Komitet Wykonawczy, który ma pod swoją władzą 3 koła: jedno męskie w Radomiu i 2 żeńskie w Radomiu i Skarżysku Kamiennej:

Koło męskie w Radomiu liczy 24 człon. a żeńskie 12 członkiń. Według posiadanych przez nas sprawozdań w ciągu ostatniego kwartału koło męskie odbyło 15 zebrań organizacyjnych, 10 wieczorów dyskusyjnych, 5 przedstawień teatralnych.

Koło żeńskie miało 4 zebrania organizacyjne, 6 odczytów i jedno przedstawienie teatralne. 9-cio miesięczny budżet tego koła wskazuje sumę obrotu w wysokości 276 zł.

Od koła żeńskiego w Skarżysku-Kamiennej—sprawozdania nie otrzymaliśmy. Wiemy tylko, że 17 kwietnia urządzono tam dzień propagandy organizacyj katolicko-społecznych.

Zawiercie. Posiadamy sprawozdanie za ostatni kw. 1931 r. z którego wynika, że koło męskie liczy 38 członków, liczba członkiń koła żeńskiego nie jest podana, odbyli 16 zebrań organizacyjnych i wysłuchali 6 odczytów, pracuje sekcja teatralna i muzyczna, obrót kasy wyniósł 90 zł., z bibljoteki korzystało 12 osób.

Sosnowiec. Istnieją dwa koła: męskie i żeńskie, posiadające 40 członków i 20 członkiń. Sprawozdanie za rok 1931

wykazuje obrót budżetowy w sysokośai 378 zł. Odbyło się 12 wieczorów dyskusyjnych, funkcjonowała sekcja szachistów i ping-pongowa, członkowie korzystali z bibljoteki Ch. Z. Z. Odbyto 9 wycieczek, z tego 5 krajoznawczych. Ostatnio założono sekcję dramatyczną. Ze sportu istnieje tylko sekcja siatkówki.

Radomsko. W grudniu r. z. powstało koło męskie liczące 25 członków i zawiązek koła żeńskiego. Na zebranie organizacyjne przyjechał przedstawiciel C. K. W. kol. Kaczorowski, który wygłosił referat o celach i zadaniach organizacji, dostarczył statutów, regulaminów, broszur itp. materjałów.

Pabjanice. W lutym 1932 r. zostało założone w obecności przedstawiciela C. K. W. kol. Kaczorowskiego—koło męskie i zawiązek koła żeńskiego w Pabjanicach. Obydwa koła liczą ogółem około 50 członków i znajdują się w kontakcie z istniejącym na terenie Pabjanic chórem śpiewaczym „Dzwon".

Kalisz. W dniu 23 maja w obecności przedstawiciela C.K.W. zostało założone w Kaliszu koło męskie i żeńskie, do których zapisało się około 40 osób.

Lublin. W grudniu 1931 r. powstały dwa koła: męskie i żeńskie w Lublinie. Koła te pracują doskonale i rozwijają dobrze pomyślaną działalność ideowo-wychowawczą.

Kraków. Na początku 1932 r. zostały założone dwa koła: męskie i żeńskie w Krakowie. Organizacja liczy razem 76 członków. Dotychczas zebrań organizacyjnych odbyło się 43 zaś wieczorów dyskusyjnych 18. Powstał klub sportowy „Odrodzenie".

W fazie organizacyjnej znajdują się koła w Tarnowie, Wieliczce, Białej i Wadowicach, na terenie Małopolski Zachodniej.

Oprócz wyżej wymienionych kół, istnieją dane do założenia naszej organizacji na terenie województwa Śląskiego, jak również w Częstochowie, Grodnie, Białymstoku i innych miejscowościach. Zwłaszcza, jeżeli chodzi o założenie naszej organizacji na Śląsku, w Częstochowie i Grodnie — poczynione już zostały w tym kierunku poważne kroki.

Ilość kół.

Miejscowość	Ilość kół męskich.	Ilość kół żeńsk.	Ilość klubów sportowych.	Ilość kół razem
Warszawa	3.	1.	1.	5.
Pruszkow	1.	1.	—	2.
Łódź	3.	2.	—	5.
Zduńska-Wola	1.	1.	—	2.
Ruda Pabjanicka	1.	—	—	1.
Pabjanice	1.	1.	—	2.
Kalisz	1.	1.	1.	3.
Radomsko	1.	1.	—	2.
Radom	1.	1.	—	2.
Skarżysko-Kamienna	—	1.	—	1.
Zawiercie	1.	1.	—	2.
Sosnowiec	1.	1.	1.	3.
Lublin	1.	1.	—	2.
Kraków	1.	1.	1.	3.
	17.	14.	4.	35.

W momencie pierwszego Zjazdu Delegatów w czerwcu 1929 r. mieliśmy 16 kół i 618 członków oraz członkiń. Sprawozdanie na II-gi Zjazd Delegatów w marcu 1931 wykazało już 25 kół i 994 członków. Obecne zestawienie wykazuje 35 kół, licząc w to 4 kluby sportowe i 793 osoby.

Z zestawienia tego wynika, że ilość naszych placówek w kraju wzrasta powoli, ale stale. Wynika to zresztą ze szczegółowego sprawozdania zupełnie jasno i wyraźnie. W ostatnim roku np. powstały nasze organizacje w Lublinie, Radomsku, Pabjanicach, Kaliszu i Krakowie.

SPRAWOZDANIA i RECENZJE.

X. dr. Antoni Szymański. Społeczne znaczenie rozwodów. Lublin 1931.

Broszura ta, napisana bardzo jasno i zwięźle, zasługuje na gorące polecenie czytelnikom. Autor w sposób dobitny wykazuje skutki rozwodów tak dla jednostki, jak i dla społeczeństwa. X. E. K.

Rozbiór krytyczny projektu prawa małżeńskiego uchwalonege przez K. K. Praca zbiorowa pod redakcją X. Dr. Jana Wiślickiego. Lublin 1932.

Jednostki, zwalczające chrześcijańskie małżeństwo, często operują terminami „postęp”, „wiedza”, „indywidualność” i t. p. aby łatwiej zasugestjonować czytelnika. Niniejsze studjum napisane przez profesorów Uniwersytetu Lubelskiego pozwala nam przekonać się jaka jest wartość naukowa „Projektu prawa małżeńskiego”.

Kto poważnie zajmuje się sprawą małżeństwa chrześcijańską, ten koniecznie powinien przeczytać tę cenną pracę. X. E. K.

Czerwcowy zeszyt „Ateneum Kapł.” (Włocławek, Sem. Duch.) przynosi m. i. wśród rozpraw artykuł Ks. Dr. K. Wilka, św. Antoni Padewski jako duszpasterz; początek rozprawy Ks. Dra. R. Dąbrowskiego.

Rozwój dogmatów według prawosławnych teologów rosyjskich; artykuł Ks. A. Hanin'a, Charakterystyczne cechy muzyki kościelnej.

Wśród spraw pasterskich Ks. J. Unszlicht omawia „życie wspólne wśród świeckiego duchowieństwa francuskiego”, Ks. Dr. S. Wyszyński, pisze o ostatnich walkach o religijny charakter szkoły polskiej, oraz o t. zw. kazaniach społecznych.

Ks. Dr. Insadowski omawia przepisy państwowe o chowaniu zmarłych. W dziale z życia religijno-kościelnego kilka uwag poświęcono: jubileuszowi św. Antoniego, św. Albertowi W.—Doktorowi Kościoła, i encyklice „Charitate Christi”, nadto wspomina o śp. Ks. Dr. H. Likowskim (Ks. Dr. Kłapkowski); O. H. Grisarze (Ks. Dr. Wasilkowski).

Wśród recenzyj spotykamy ocenę książek: Rutkiewicza, Cathreina, Tymczaka, Umińskiego, Loreta, Piwowarczyka, Roszkowskiego, Wasilkowskiego i w. i.

Zeszyt poćwięca więcej uwagi kończącemu się jubileuszowi św. Antoniego z Padwy.

Rauschen: Patrologie. XI wyd. Uzupełnienia dodał Altaner. Herder, Freiburg i Br. 1931. — W zbiorze: Herdes Theologische Grundrisse. 441 str.

Do ogólnego wykształcenia religijnego należy z pewnością znajomość historji i dzieł Ojców Kościoła. Rauschen jest doskonałym podręcznikiem na ten cel, dość znany i ceniony, by go osobno zalecać. Pragnę go tylko przypomnieć tym, którzy starają się o zgłębienie swej wiedzy religijnej.

Treść książki podzielona jest na trzy okresy: I 2 pierwsze wieki II 325—461 III szósty i siódmy wiek.

Do pierwszego okresu należą, jak wiadomo, apokryfy Pisma św. i księgi ludowe. Z najbardziej znanych i lubianych Apostolskich Ojców owych czasów wymienię: śś. Ignacego z Antjochji, Polikarpa, z nieco późniejszych: św. Ireneusza, Klemensa z Aleksandrji, Oryginesa i św. Cyprjana.

W drugim okresie występują śś. Bazyli Wielki, Grzegorz z Nazjanzu Grzegorz z Nyszy, Jan Chryzostom, Cyryl Aleksandryjski. Dalej sławni: śś. Ambroży Medjolański, Heronim, Augustyn.

Wreszcie w trzecim okresie figurują m. in. św. Jan Damasceński.

Autor podaje każdorazowo literaturę o danym pisarzu kościelnym, jego krótki życiorys, spis oraz wytyczne i nauki jego spuścizny literackiej.

Nowe wydanie księgi dopisuje m. in. za każdym najświeższą literaturę przedmiotu.

Kto raz zaznajomił się z pismami Ojców Kościoła i wybrał między nimi ulubieńców, ten zawsze do nich wracać będzie, jako do drogich, czcigodnych Przewodników w sprawach katolickich. Nieprzerwanie wracamy do ich nauki i wypowiedzeń i na nich budujmy swą wiarę.

Nie wiem, gdzie nas uczą Patrystyki? Czy mamy to czynić sami, lubo w późniejszym wieku?... *K. Berkanówna.*

PRO CHRISTO

WIARA I CZYN

ORGAN MŁODYCH KATOLIKÓW — MIESIĘCZNIK

Wydawca: Stowarzyszenie Społecznego Panowania Najświętszego Serca Jezusa w Rodzinach Chrześcijańskich.

Redakcja i Administracja: Warszawa, ul. Moniuszki 3a.

P. K. O. 10.115 Telefon 763-44

NACZELNY REDAKTOR: STEFAN KACZOROWSKI

przyjmuje interesantów w środy i piątki między 18.30 a 19.

Biuro i telefon czynne w dni powszednie od g. 11 do 12 i od 15.30 do 17

Redakcja rękopisów nie zwraca

Pro Christo.

Dlaczego przegrywamy?

Jest, niestety, faktem niewątpliwym, że katolicy w Polsce nieraz się cofają i tracą najrozmaitsze pozycje. Trzeba prawdzie spojrzeć w oczy...

Jeżeli spojrzymy z perspektywy 10-lecia na nasze młode ustawodawstwo polskie, to zauważymy, że tendencje wojującego laicyzmu uzyskują w nim coraz bardziej prawo obywatelstwa. Np. przysięga religijna została w dużej mierze wyeliminowana z naszego procesu karnego, nowy zaś kodeks karny — o czem piszemy w innem miejscu — zawiera bardzo niebezpieczne tendencje w dziedzinie obrony religji i moralności. Pozatem jest publiczną tajemnicą, że nad głowami naszymi wisi, jak miecz Damoklesa, projekt prawa małżeńskiego.

Wiadomo również powszechnie, że nawet istniejące przepisy, tak niedostatecznie ochraniające religję i moralność w dzisiejszych czasach rozprzężenia — w praktyce w wielu wypadkach nie są wykorzystane. Bluźnierstwa umieszczane w druku nie są ścigane przez prokuratora (tłumaczenia Pitigrillego), przepisy dotyczące obyczajowości w miejscach publicznych (plaże, dancingi) nie są stosowane w praktyce. I często przedstawiciele władzy w prywatnych rozmowach dają do zrozumienia, że interwencja ich byłaby bezskuteczna wobec

obojętności i pobłażliwości opinji publicznej i ogółu społeczeństwa...

Niewątpliwie obyczajowość cofnęła się u nas od wojny i nie jesteśmy pod tym względem wyjątkiem wśród innych narodów. Niektóre z nich, jak np. Niemcy, Rosja, cofnęły się znacznie bardziej od nas pod względem obyczajowym. Fakt ten jednak jest dla nas, doprawdy, bardzo słabą pociechą...

Faktem jest, że nasza wieś znajduje się w pełnym odwrocie pod względem obyczajowym i religijnym. Przyczyniły się do tego okoliczności od nas niezależne: wojna, kryzys gospodarczy, agitacja komunistyczna, obecny system rządów... Ale nietylko to. Także obojętność inteligencji katolickiej, jej absencja od życia społecznego, jej odseparowanie się całkowite od ludu, pozostawienie tego ludu na łup agitacji i demoralizacji czynników destrukcyjnych... To wszystko sprawiło, że prąd materjalizmu i pozytywizmu, który panował wśród naszej inteligencji przed wojną, przeniósł się potem — wprawdzie w innych formach — w szeregi naszego ludu i zaczął je toczyć wespół z demoralizacją powojenną — jak pasożyt toczy roślinę.

Odrodzenie katolicyzmu rozpoczęło się wprawdzie na zachodzie już w połowie w. XIX. Ożywcza ta fala przybyła do nas jednak dopiero przed niespełna 20 laty. Ruch odrodzeniowy jest u nas w fazie początkowej i tem prawdopodobnie wytłumaczyć można słabą jego intensywność i siłę w porównaniu ze zmobilizowanymi, zorganizowanymi, działającymi planowo i konsekwentnie szeregami laicyzmu, liberalizmu i materjalizmu wojującego.

Nie zamierzamy zaprzeczać, że wśród inteligencji, a zwłaszcza młodej inteligencji odrodzenie życia katolickiego uczyniło wielki krok naprzód. Objaw ten można zaobserwować zwłaszcza wśród polskiej młodzieży akademickiej, gdzie pionierem akcji katolickiej było stow. mł. ak. „Odrodzenie" i miesięcznik „Prąd", a obecnie inicjatywa została wzięta w ręce przez Akcję katolicką. Niewątpliwie wiara żywa i żarliwość religijna wzrasta rok za rokiem wśród akademików. Zauważyć można, że nawet organizacje dotychczas obojętne, lub negatywnie usposobione wobec religji, poczęły zmieniać swoje nastawienie.

Musimy jednak stwierdzić, że błogosławiony ten objaw daje się zauważyć prawie wyłącznie w sferze życia indywidualnego, tak, jakby w pierwszej fazie odrodzenia życia religijnego akademik polski musiał zasklepiać się wyłącznie w głębiach swojej duszy i pielęgnować ją indywidualnie bez żadnych konsekwencyj zewnętrznych, bez wyciągania wniosków i bez poczuwania się do obowiązków społecznych. Pod tym względem panuje wśród młodej inteligencji polskiej całkowita prawie obojętność. Encykliki społeczne Stolicy Apostolskiej spłynęły po niej, jak po szkle, nie zostawiając większego śladu. To jest, niestety, rzeczywistość, z której musimy zdawać sobie sprawę, chcąc znaleźć przeciwko niej środki zaradcze.

Aby wychować właściwy i odpowiadający dzisiejszym warunkom typ młodego inteligenta-katolika — musimy wypracować w nim trzy właściwości: 1) uczciwy i rzetelny stosunek do religji — tj. aby był katolikiem konsekwentnym, praktykującym i czerpał swe siły żywotne ze źródeł Chrystusowych, 2) głęboką i wszechstronną wiedzę katolicką i umiejętność przykładania zasad katolickich do wszystkich zagadnień życia 3) zdolność do akcji, do realizowania swoich zasad we wszystkich dziedzinach życia, aktywność i energję w tej działalności, aby nie dał się pokonać trudnościom, ni wrogom.

Dopiero, posiadając wszystkie 3 właściwości, typ katolika będzie skończony, harmonijny, nowoczesny. Dopiero tacy ludzie będą mogli pokusić się o zwycięstwo, o władanie życiem, o nadawanie wszystkim instytucjom życia prywatnego i publicznego stygmatu zasad katolickich. W ten sposób wychowani młodzi pionierzy nawiązaliby niewątpliwie żywy kontakt z ludem polskim, staliby się prędzej, czy późnjej jego nauczycielami i przywódcami.

Tymczasem widzimy, że tak nie jest. W metodzie wychowywania młodej inteligencji katolickiej musi tkwić jakiś błąd zasadniczy, jakieś niedociągnięcie, które utrudnia pracę i niszczy jej rezultaty. Jest to kierunek z jednej strony zbyt indywidualny, z drugiej strony zbyt abstrakcyjny. Metoda wychowawcza szwankuje.

Z jednej strony zbyt mało zwraca się uwagę na wychowanie społeczne, na zainteresowanie młodego umysłu zagadnieniami wielkiego organizmu społecznego, w łonie którego

żyje, na wprowadzenie go już nietylko w zagadnienia, lecz i także w praktyczne posunięcia na poszczególnych terenach i to wybierając tereny niekoniecznie najłatwiejsze i przynoszące najwięcej zewnętrznego często zadowolenia, lecz sięgając także i do t. zw. czarnej roboty, do pracy wśród ludu i dla ludu — w myśl wzorów Boskiego Mistrza, który przybył na świat dla wszystkich, ale upodobał sobie specjalnie nie możnych tego świata, lecz raczej chętnie przebywał wśród rzesz ludu i je nauczał.

Z drugiej strony metoda rozszerzania i kultywowania przez organizacje społeczne wiedzy katolickiej wydaje nam się dotychczas, zbyt abstrakcyjną, zbyt oderwaną od życia, niedostępną już nawet dla szerszych mas inteligencji, a cóż dopiero dla ludu. Nie występujemy bynajmniej przeciwko pracy czysto naukowej. Jest ona konieczna i oby była jaknajżywiej i jaknajowocniej prowadzona w laboratorjach i gabinetach uczonych. Ale prócz tego musi być inny rodzaj wiedzy już bardziej spopularyzowanej, ujętej w sposób bardziej konkretny, wiążący się z poszczególnemi dziedzinami życia praktycznego, dostępnej dla szerszych sfer inteligencji katolickiej. Sposób ujmowania zagadnienia nie może być tutaj pur sang teoretyczny i abstrakcyjny. Katolik życiowy, praktykujący i pracujący w społeczeństwie nie może ograniczać swojej wiedzy tylko do znajomości zasad, lecz musi umieć ustosunkować się także wobec faktów konkretnych. A są fakty, które wymagają natychmiastowej i trafnej odpowiedzi, grożąc w przeciwnym razie bardzo ciężkimi konsekwencjami. Czyż można dzielić je dopiero na 500 części, brać do próbówki i badać. Przy takich metodach, życie przeszłoby rychło nad nami do porządku dziennego.

Oto uwagi, które nasuwają się, gdy zastanawiamy się, dlaczego w tym lub w innym wypadku inteligencja katolicka w Polsce wykazała tak mało energji, zdolności życiowej i dynamiki w działaniu. Może kto z naszych Czytelników zainteresowałby się także tą sprawą i nadesłał swoje uwagi. Chętnie je zamieścimy, uważając, że zagadnienie warte jest dyskusji i poważnego zastanowienia.

St. K-ski.

Kuturkampf a Zjazdy katolików niemieckich.

Na 60-lecie ustaw majowych.

Każdemu wiadomo, że książę Bismarck wziąwszy w rękę ster rządów pruskich, nie przychylił się na stronę chrześcijańskiej polityki stanu i prawa historycznego, ale na stronę narodowego liberalizmu, który mu schlebiał i poddawał się jego żądzy władczej, nie bacząc na to, że toruje drogę socjalizmowi i komunizmowi. Łatwo było mu jednak iść po linji polityki chrześcijańskiej, zważywszy, że w Izbie Posłów i w Parlamencie Rzeszy powstała była liczebnie pokaźna, przez wytrawnych polityków kierowana frakcja centrowa. Katolicy członkowie tej partji liczyli na to, że także wierzący protestanci oświadczą się za celami chrześcijańskiemi ugrupowania i niezupełnie się mylili. Katolicy uznali konieczność stworzenia partji centrowej w r. 1869, gdy z obozu liberalnego w związku z moabickim napadem na klasztory wymierzono cios na zakony Kościoła katolickiego, stojący w rażącej sprzeczności z pruską ustawą konstytucyjną.

Podobnie skupili się poważni katolicy w partji „patrjotów" w oczekiwaniu burzy, rozpętanej w r. 1868 projektem ustawy szkolnej wysuniętym w bojowym zamiarze przez radykalną lewicę. W wielkiem ks. Badeńskiem oraz w ks. Hessen-Darmstadt powstały podobne „katolickie partje ludowe", we wszystkich wogóle katolickich ziemiach niemieckich zagrzmiało na alarm i przystąpiono do skupienia się w przewidywaniu niebezpieczeństwa liberalnego.

Na półwyspie Apenińskim, wrzało naówczas. Garibaldi jednoczył Włochy, druzgocząc jednocześnie państwo kościelne. Rozumie się, że była to okazja dla katolików zaznaczenia swego protestu przeciwko gwałtowi, uczynionemu na osobie głowy Kościoła, podczas gdy liberałom wydawał się Garibaldi Herosem narodowym. Zwołano więc w październiku 1870 r. z łona centralnego komitetu zjazdów katolickich narodową pielgrzymkę do grobu apostoła Niemiec, św. Bonifacego, we Fuldzie. Ogłoszono protest na zebraniu, wyznaczonym po ceremonji kościelnej, do Rzymu wysłano adres hołdowniczy, postanowiono rozpowszechnić opracowanie kwestji Rzymskiej, Stowarzyszenie św. Michała uchwalono rozszerzyć, wracającym z Rzymu żoł-

nierzom gwardji papieskiej przygotowano gościnne przyjęcie. Dzień 16 czerwca 1871 r., w którym mijało ćwierćwiecze rządów papieskich Piusa IX, dostarczył nowego powodu okazania nieograniczonej czci i wierności katolików niemieckich dla osoby papieża, wyrażonej w postaci olbrzymiej ofiary sprzętów kościelnych i szat liturgicznych dla ubogich kościołów misyjnych. Po zakończeniu wojny francusko-niemieckiej, oświadczył cesarz Wilhelm I, monarcha nowopowstałej Rzeszy Niemieckiej, przedstawicielowi Reńsko-westfalskiego Związku Maltańskiego, że sentyment jego dla Papieża, jako duchownej głowy jego katolickich poddanych, jest zawsze ten sam; w zajęciu Rzymu widzi czyn gwałtu oraz bezprawie ze strony Italji i po zakończeniu wojny podejmie odpowiednie kroki, razem z innymi książętami. Już miesiąc później zmieniono prąd w radzie Wilhelma i Bismarcka, tak iż oświadczenie półurzędowe wykluczyło „wszelkie mieszanie się do życia wewnętrznego innych narodów".

W dniu 8 lipca t. r. zniesiono wydział katolicki w Minister. Kultu, tak że odtąd sprawy wyznaniowe katolików rozstrzygali radcowie protestanccy tejże magistratury.

Podkreślić i wysoko poczytać należy katolikom niemieckim, że mimo to stanowczo wykluczyli politykę z zakresu swych działań, a stanęli na gruncie zupełnej apolityczności. „Im bardziej rozłam polityczny zdaje się zlewać z różnicami politycznemi, im jaśniej wrogie usposobienie wobec Kościoła zdaje się być momentem politycznego wyrachowania, im też wyraźniej katolicy usiłują przeprowadzić obronę swego wyznania zapomocą praw obywatelskich, tem ściślej muszą organizacje katolickie i walne zgromadzenia katolików utrzymać się, w wyznaczonych pierwotnie granicach". Cel zjazdów katolików niemieckich musi pozostać ten sam co w chwili założenia r. 1849, mianowicie „odparcia wszystkich zamachów na wolność życia religijnego i pobudzenie wszystkich źródeł, z których ono wytryska". Tylko środki czysto religijne miały prowadzić do osiągnięcia wspomnianych celów. Jeden z najwybitniejszych kierowników ówczesnego ruchu katolickiego, ks. dr. Heinrich, profesor dogmatyki w Mogunckiem Seminarjum duchownem pisał: „Katolickie zjazdy nie przedstawiają żadnej partji, do żadnej nie należą, nie są do tego powołane, ani też nie po-

wezmą zadania skupienia partji politycznej. Rozumie się, że kierownicy głównych zjazdów katolickich brzydzą się zarówno nierozsądnym i niemęskim, jak niechrześcijańskim i niekatolickim indyferentyzmem politycznym i kwietyzmem. Nie są tego zdania, że dla katolika jest rzeczą obojętną, do której partji politycznej należą, przeniknięci są zawsze przekonaniem, że katolicy mają prawo i obowiązek bronić stanowiska Kościoła i swej rodziny także na terenie politycznym przez wykonywanie uprawnień obywatelskich. Nikt o tem nie wątpi, że katolikom wolno się organizować w zrzeszeniach politycznych dla przeprowadzenia swych postulatów, podobnie jak ludziom przekonań czy innych zamierzeń. Jak jednak życie religijno-kościelne katolika różni się od życia jego politycznego, chociaż i w tej dziedzinie kieruje się zasadami chrześcijańskiemi, tak i katolickie zjazdy powszechne są skupieniem innem, wyższem i szerszem niż zebrania i związki polityczne wszelkiego rodzaju. Ich cel i przedmiot nie jest na polu polityki, lecz na polu religji, prawa kanonicznego i wogóle zainteresowań wyznaniowych. Tego trzymano się od początków zjazdów katolickich. Ostatni zjazd wykazał, że chwiejne pod względem politycznym czasy nie zdołały zachwiać tego charakteru i nie potrafiły wpłynąć na wynikający zeń katolicki takt". Na zebrania wiodły rzesze katolickie ich wiara katolicka, ich serce katolickie.

Katolicy pięknego miasta nadreńskiego, Moguncji, zaprosili swoich współwyznawców Rzeszy na dzień 10 września 1871 — celem odbycia 21 zjazdu plenarnego. To miasto św. Bonifacego gościło już w r. 1848 i 1851 starszą generację katolików niemieckich, częściowo już zeszłą do grobu. Imienne zaproszenia wysłano członkom episkopatu i katolickim posłom w parlamencie. Przypomnieć sobie należy, że miasto Moguncja zostało w owym okresie zamienione na warownię katolicyzmu przez biskupa Kettelera, który potrafił dobrać sobie do boku wspomnianego już Heinricha, redaktora ks. Krzystofa Moufanda, profesorów Riffel'a i Haffnera.

Jako prezes komitetu lokalnego przemawiał ks. rektor Moufand, przeciwstawiając idee wieczne ideom nowoczesnym. Katolik według niego, nie jest zacofańcem, przeciwnie ochoczem sercem wszystko co nowsza doba dostarcza z rzeczywi-

stych zdobyczy — przyjmuje; z równą jednak stanowczością potępia i zwalcza „bezbożny system nowoczesnych idei, które przeczą istnieniu pierwiastka boskiego i nadprzyrodzonego i całe życie ludzkie odchrześcijaniają, człowieka pozbawiają wszelkiej pociechy religijnej, rodzinę jej godności i pomyślności, państwo powagi i stałości".

Malarz Fryderyk Baudr'e z Kolonji, jeden ze współtwórców instytucji zjazdów katolickich z r. 1848, przewodniczył obradom. Sensację dnia obudziło przemówienie pasterza moguncklej diecezji p. t. „Liberalizm, socjalizm i chrześcijaństwo". Na wstępie rozwiał złudzenie niektórych katolików, jakoby wiara dawała nam gotowe wskazówki na każdą chwilę życia. Nie, wiara daje tylko teoretyczne przesłanki, z których ustawicznym a mozolnym wysiłkiem umysłowym wywieźć trzeba wnioski. Liberalizm właściwie zrozumiany oznacza bardzo szlachetny i szczerze chrześcijański ideał, który różni się zasadniczo od tego, co świat nazywa liberalizmem. Ten pseudoliberalizm, uważający się za system, rozumiejący się sam przez się, nie potrzebujący rzekomo udowadniać swego prawa bytu, jest ubóstwieniem państwa, bezwzględną walką i uciskiem wszystkiego co nie liberalne, a zwłaszcza chrześcijańskie; swoboda, której żądało dużo zmaterjalizowanych liberałów, służy przedewszystkiem bezwzględnemu zbijaniu fortuny, nigdy zaś sprawom wyższym. Przerostowi liberalizmu zapobiegnie jego rywal i spadkobierca socjalizm. Liberalizm uznaje bowiem wszechwładne państwo, broni wszakże własności prywatnej, odmawiając jej tylko Kościołowi; socjalizm, wychodząc z ateizmu, odrzuca także własność prywatną. „Ojciec" liberalizm, pogardzając życiem wiecznem, głosi zasadę bezwzględnego używania posiadanych dóbr. „Syn" socjalizm żąda równego udziału w posiadaniu dóbr dla wszystkich. Równość jest hasłem liberałów, zniesienie wszelkich różnic zawołaniem socjalistów. Gdyby założenia liberalizmu były prawdziwe, to nie liberalizm, lecz socjalizm byłby tym, który słusznie rozumuje. Ani jednemu, ani drugiemu nie przypadnie przyszłość w udziale, lecz chrześcijaństwu. Przeciwstawmy dwugłowemu pogaństwu nowoczesnemu, rodzinę chrześcijańską i kulturę na wartościach katolickich opartą.

Kwestja rzymska była stałym punktem obrad zjazdów katolików niemieckich, którzy na tym punkcie wykazali podziwu godny święty upór. W Moguncji w 1871 r. przemawiał na ten temat ks. Molitor z Spiry, poczem powzięto energiczną rezolucję przeciw gwałtowi, uczynionemu na osobie papieża. Dalsza rezolucja wyrażała uległość wobec nowoogłoszonego dogmatu o nie-omylności papieża.

Wczesną wiosną 1872 r. uchwalił parlament niemiecki ustawę banicyjną na Jezuitów, aby katolicyzmowi odebrać najcenniejsze siły pomocnicze, jak wyraził się publicznie jeden z posłów liberalnych dr. Löwe-Calbe. Głównie zarzucano Jezuitom ich bezwzględną karność katolicką. W Niemczech grasował bowiem przesąd, że przymiotnik „protestancki" oznacza tyle co narodowy, a „katolicki" tyle co międzynarodowy, albo bezdomny. R. 1872, czyli dokładnie 60 lat temu, przyniósł dalszy incydent. Ksiądz Namszanowski, biskup polowy armji niemieckiej, nie pisał się na pewne praktyki mgławicowej religji, za co został zawieszony w urzędzie.

Ustawa szkolna z 11 marca r. 1872 pozbawiła Kościół organicznego prawa nadzoru w szkolnictwie powszechnem. Księża byli dotąd inspektorami miejscowymi lub powiatowymi, teraz okazali się „niedość oddani interesom państwa".

Dalsze zarządzenie osławionego ministra dr. Falka z 15-go czerwca tegoż roku wzbraniało nauczania członkom zakonu lub zgromadzeń zakonnych w szkołach państwowych.

Przeciw tym „ukazom" niesprawiedliwym oraz monopolowi państwa w dziedzinie nauczania protestował wrocławski zjazd katolicki z r. 1872 w imieniu prawa rodziców, gmin i Kościoła.

Każdy z mówców wrocławskiego zjazdu napiętnował zamachy na swobody obywatelskie. Biskup Förster mówił o „niekrwawem męczeństwie" Kościoła, kupiec Wilhelm Racke z Moguncji wykazał strony heroiczne tego ścierania się sprawy Bożej z gwałtem i bezprawiem. Niech lud katolicki będzie opiekunem swobody i wolności. Ze słów hr. Feliksa von Loe'go przebijało rozczarowanie starszego społeczeństwa wobec rozwiania się marzeń młodzieńczych o chrześcijańskim ustroju państw. Przedstawi on pogląd dzisiejszych mężów stanu na nowoczesne państwo w całej ohydnej nagości. Ks. Huhn, wy-

bitny kaznodzieja monachijski, wykazał zasadniczy brak nowoczesnego państwa: nie liczenie się ze sumieniem, z prawem Bożem, a jednak sumienie stanowi całą godność człowieka, którą Bóg nawet respektuje. Dla sumienia umierali mężowie jak Sokrates i pierwsi chrześcijanie. „Musimy znowu nauczyć się umierać dla sumienia albo dlań żyć, jeżeli nie umrzemy w pętach i łańcuchach".

Po obradach wrocławskich powierzono kierownictwo stałe spraw zjazdów księciu Karolowi von Loewenstein. Każdego zresztą, który bezstronnie przegląda roczniki zjazdów, uderzy kierowniczy w nich udział starej szlachty niemieckiej. Chlubny tu widać przykład, jak arystokracja szczytnie pojmuje posłannictwo elity narodu. Oto kilka nazwisk wystarczy: Abel, Ah, Altenstein, Andlau, Andlaw, Arco-Zynneberg, Arenberg, Baader, Ballestrem, Bally, Beisler, Benningsen, Besnard, Beust, Bocholz-Asseburg, Bodmann, Brander, Brandis, Brentano, Droste, Goerres, Hertling, Ketteler i tylu, tylu innych.

Następny zjazd odbył się dopiero w roku 1875 we Fryburgu w Brysgowji. Rezolucje oparto na dwóch jędrnie ujętych tezach:

I. „Kościół jest społeczeństwem doskonałem, wyposażonem przez Boga we władzę nauczycielską, kapłańską i jurysdykcyjną. Według Bożego i pozytywnego prawa nie podlega ono w zakresie swej misji władzy państwowej. Należy się mu przeto wolność na całem polu.

II. Państwo zarówno, jak jednostka podlega porządkowi i prawu Bożemu. Posłuszeństwo nieograniczone i nieuwarunkowane wobec ustaw państwowych sprzeciwia się Bożemu prawu moralnemu, które jest ponad ustawamj państwa".

Rząd pruski nie zechciał oczywiście uznać tez katolickich, ale w dalszym ciągu wydawał ustawy, regulujące pożycie państwa i Kościoła po swojemu, tak, że porzuciwszy podstawy państwa chrześcijańskiego, wkzechpotęgę państwa uczynił źródłem wszelkich praw także kościelnych.

W dniach 11, 12, 13 i 14 maja 1873 r. ukazały się następujące, krępujące swobodę religijną ustawy:

1. Przygotowanie księży stwierdza się egzaminem z kultury.

2. Prezes Rejencji (wojewoda) wyraża zgodę na nominacje stanowisk duchownych.

3. Przewinienia duchownych sądzi sąd, złożony z sędziów świeckich.

4. Wyklucza się prawo dyscyplinarne papieża na terenie Prus.

Rząd pruski, rozgoryczony wobec stanowczej, odpornej i zgodnej postawy katolików, wydał wiosną r. 1874 pięć dalszych rozporządzeń swego rodzaju:

1) proskrypcję, 2) banicję księży opornych, 3) wstrzymanie wszelkich świadczeń na rzecz Kościoła i duchowieństwa, 4) rozwiązanie i wydalenie wszystkich zgromadzeń zakonnych, z wyjątkiem tych, które pielęgnują chorych, 5) przyznanie starokatolikom prawa własności do dóbr Kościoła katolickiego.

Rządowi pruskiemu wydawało się, że skazanie duchowieństwa na niedolę i niepewność, a zwłaszcza na niedostatek złamie doszczętnie jego upór. Znamienny to znak pustki ideowej liberalizmu, a zarazem tężyzny duchowej duchowieństwa, o którego niewzruszoną stanowczość rozbiły się rachuby liberałów.

Zjazd Fryburski zaprotestował przeciw zrównaniu sekty staro-katolików z Kościołem katolickim, przeciw rozwiązaniu zgromadzeń zakonnych i mieszaniu się do spraw wewnętrznych, wreszcie przeciw odebraniu prawa nadzoru duchowieństwa nad nauką religji w szkolnictwie powszechnem.

Inne państwa związkowe, jak Hesja i Badenja wyprzedziły i przewyższyły nawet Prusy w prześladowaniu katolicyzmu. Idea egzaminu z kultury wzięta została, jak też niektóre inne, z Badenji.

Położenie kościelno-polityczne referował we Fryburgu historyk Holzwarth, porównywując katolicyzm do fortecy osaczonej przez nieprzyjaciela, którego pierścień stopniowo się zacieśnia. Jeżeli walka jest zacięta, to zwycięstwo jest niemniej pewne.

Biskup Ketteler mówił o prawdziwej wolności, o którą toczył się bój. Wolność, jego zdaniem, to zdolność samostanowienia o sobie na polach dozwolonych, obejmująca z konieczności ograniczenie własnej osoby. Gdzie samostanowienie nie idzie w parze z właściwą powściągliwością, tam prowadzi do nadużycia wolności i do pogwałcenia wolności innych. Pań-

stwo powinno, tak wywodzi, zapobiec nadużyciu wolności na niekorzyść innych, byleby przytem nie ujarzmiać słusznej wolności. Jeżeli nowoczesne teorje ubóstwiają władzę państwową, to z konieczności krępują swobodę jednostki. Pojęcia nowoczesne z dziedziny prawa publicznego o państwie absolutnem wyszły z panteizmu i okazują się wrogie prawdziwej osobistej wolności. Na drugim biegunie znajdują się zwolennicy samostanowienia jednostki z wykluczeniem wielkich ugrupowań społecznych. Taka indywidualizacja, która zna tylko państwo i jednostkę, a nie uznaje ogniw pośrednich, sprowadza najgorsze skutki w gospodarstwie krajowem i w zarządzie państwa. Do wolności jednostki należy także prawo zrzeszania się. Tego prawa odmawia jednostce liberalizm, zwłaszcza w celach religijnych, bo głównie chodzi liberałom o to, żeby rozbić wpływ organizacji religijnej na swoich podwładnych. Pozbawiając człowieka tej możności, dochodzi się do niemoralnej niewoli. Wolności sprzeciwia się także państwowy monopol nauczania, zamykający jednostce drogę do swobodnego kształtowania swej przyszłości, przygotowania się do życia według własnego uznania a raczej uznania rodziców. Pracować trzeba więc w tej myśli, by móc zakładać własne szkoły, by uzyskać wolność uczenia się i nauczania na wszystkich stopniach i na wszystkich działach szkolnictwa. Zwalczać trzeba dalej stan, w którym państwo zależy od interesu partji, a wreszcie szerzący się materjalizm. Wtedy narody poznają, że Chrystus za pomocą Swego Kościoła zachował je od niewoli nowego pogaństwa· tak jak to uczynił w starożytności chrześcijańskiej. Poznają, że także dla pomyślności doczesnej Chrystus jest zbawieniem, Chrystus dostarcza dobrych rządców państwa, wiernych podwładnych, czyni lud szczęśliwy, wolny i uległy. Bez Chrystusa stają się rządy tyranjami, bez Chrystusa oddają się ludy obcym i własnym namiętnościom, które prowadzą raz do niewoli, raz do buntu, w obu zaś wypado srogiej niewoli.

Świetny historyk, późniejszy kardynał, Hergenröther mówił jak zwykle w sposób bardzo głęboki o jedności Kościoła katolickiego. W zakończeniu obrad fryburskich streścił swe wrażenia hr. von Wamboldt trafnem zdaniem: „Przejmuje mnie uczucie żalu wobec teraźniejszości, uczucie tęsknoty za lepszą przeszłością i uczucie pewności w przyszłe zwycięstwo"

Następnego roku 1876 zebrali się katolicy (niemieccy) w Monachjum, które ongiś było stolicą katolicką, dziś robi wrażenie pobojowiska i spustoszenia, spowodowanego prześladowaniem religijnem.

Prof. Hergenreuther porównywał kulturkampf do próby wprowadzenia pogaństwa przez Juljana Apostatę. Wartoby całe przemówienie przytoczyć w całej rozciągłości. Odmawiamy sobie tego z żalem.

Rektor Moufang dał wyraz rozczarowaniom, które przyniosła młoda Rzesza Niemiecka obywatelom katolickim.

Redaktor berlińskiej „Germanji" dr. Paweł Majunke wykazał jak kulturkampf wzmocnił szeregi katolickie, a jak nadwątlił i podminował protestantyzm.

Nie można było myśleć o zwołaniu zjazdu w którem z miast pruskich, dlatego wyznaczono na obrady 1877 r. stolicę Frankońską Würzburg, leżącą na granicach Bawarji. Marszałkował zjazdowi prawdziwy apostoł w ubraniu świeckiem, hr. Feliks von Loewe-Terporten, który w obronie organizacyj katolickich przesiedział 6 miesięcy w twierdzy Weselskiej.

Ks. dr. Schulde rozprawiał o kwestji szkolnej, w którą najzawzięciej biły tarany walki kulturnej.

Jeżeli w obozie rządowym mówi się o wychowaniu narodowem, to jest to frazes, który ma zakryć zamiar wyrwania z młodego pokolenia przywiązanie do Stolicy Apostolskiej, a włożenia wzamian na młode barki chomonta, niewoli państwowej.

Prof. Hergenreuther zanalizował dowcipnie z pewną ironją zamierzenia kół państwowych, przeciwstawiając im całe piękno poglądów katolickich na Kościół.

Przemawiali w dalszym ciągu trzej mogunccy profesorowie: Haffner, Moufang i Heinrich oraz trzej wybitni przywódcy katoliccy: prof. Hettinger z Würzubrga, autor sławnych dzieł apologetycznych i historyczno-kulturalnych, ks. dr. Schmitz, naówczas wikarjusz, później biskup oraz redaktor kolońskiego dziennika ludowego—dr. Herman Cardauns.

Kilka tygodni przed zjazdem würzburskim skonał był biskup Ketteler, następcą jego został jego współpracownik Haffner. Umarł w chwili, gdy prześladowanie doszło do szczytu i gdy po stronie rządowej zatrąbiono na odwrót. Zeszedł

z nim z tego świata mąż tej miary co św. Ambroży lub św. Atanazy. Podobnie jak oni był nieustraszony w walce, nieustępliwy, wódz, jakiego potrzebował znękany katolicyzm niemiecki.

Żelazny kanclerz książę Bismarck, nabawił się rozpętaniem walki kulturnej, wielkich, a nieprzewidzianych przykrości. Poraz pierwszy stanął bezwzględny polityk wobec nierozwiązalnej zagadki: mniejszość wyznaniowa potrafiła mu się skutecznie oprzeć. Będąc charąkteru autorytatywnego i gwałtownego nie widział możności zawrócenia z raz obranej, czekał natomiast na szczęśliwą jaką sposobność. Księciu Hohenlohe-Schillingfürst powiedział: „Cesarz nie może w sprawie kościelnej uczynić żadnego kroku wstecz, następcy tronu nie sprawi to żadnej trudności".

Jeżeli chodzi o ścisłość, to cesarz sam kilkakrotnie przestrzegał swego kanclerza przed zbytniem napięciem kulturkampfu, który bardzo zaszkodził wyznaniu protestanckiemu. Słowa wyrzeczone przez cesarza, po zamachu Hoedla: „Wszystko należy robić, żeby lud nie stracił religji", rozumiał minister dr. Falk jako votum nieufności dla siebie. Stanowisko jego zachwiało się.

Tymczasem zaszły wypadki niecodziennej wagi. Papież Pius IX umarł 7 lutego 1878 r. Leon XIII, wybrany 20 lutego, tegoż dnia jeszcze napisał do Wilhelma I list, pełen myśli ugodowych i pojednawczych.

Passywa na koncie bilansu katolickiego były wielkie: odsunięcie katolików od wszystkich stanowisk, władza wykonawcza i ustawodawcza była w ręku liberałów, liberalizm państwowy i socjalizm wszędzie ramię przy ramieniu ciemiężyli katolicyzm: po ludzku sądząc sprawa była przegrana.

Aktywa na koncie bilansu katolickiego były te: zaciśnienie węzłów między episkopatem a Stolicą Świętą, między biskupami i duchowieństwem, klerem i wiernymi. Był to proces oczyszczający społeczeństwo katolickie, jak gdyby misja powszechna. Katolicy obojętni i niestałych przekonań — pokochali religję bardziej, gdy była gnębiona, niż gdy żyła w pokoju. Księży rządowych nieuznawano, nawet im urągano.

Do pasywa zaliczyć jeszcze należy przerzedzenie się za-

stępów duchowieństwa, wzrost małżeństw mieszanych, diecezje osierocone z pasterzy.

To też z radością powitali katolicy próby zbliżenia się powaśnionych stron, chociaż ono postępowało żółwim krokiem, nieraz nawet wykazało nowe zaognienia się stosunków. Bezowocne były narazie rozmowy Bismarcka z nuncjuszem Mazellą w Kissingen i w roku następnym w Gastein z kardynałem Jacobinim.

Zjazd katolików, zwołany w r. 1879 do Akwizgranu stanął wobec doniosłych zmian politycznych: Bismarck zerwał z partją liberałów, a zaczął kokietować partję centrową celem przeprowadzenia swej polityki celnej i reformy finansów Rzeszy. Dr. Falk, główna sprężyna walki kulturnej, otrzymał dymisję.

W Akwizgranie zjawił się po raz pierwszy na obradach dr. Windthorst Ludwik, „Mała ekscelencja", który odtąd będzie dobrym duchem wszystkich obrad.

Przewodniczył zjazdowi hr. Klemens Droste zu Vischering, składając hołd zmarłemu papieżowi i nowemu sternikowi spraw kościelnych. Biskup Budry, powitał zebranych imieniem wydalonego biskupa-ordynarjusza. Ks. Zehrt wzywał mężczyzn do wytrwałości w wierze, dr. Bachen, świetny prawnik koloński, dał przegląd dóbr kulturalnych, które Nadrenja zawdzięcza Kościołowi, hr. Feliks von Loe referował kwestję szkolną i założony w jej obronie związek pod wezwaniem św. Kanizjusza, politykę szkolną w Holandji przedstawił wymowny prof. Schaepmann z Utrechtu, z pyszną ironją zareferował ks. Schmitz prasę liberalną, ks. Moufang odmalował niedolę duszpasterstwa, wynikłą z niedostatecznej liczby kapłanów, ks. Ibach poświęcił gorące słowa wspomnienia i tęsknoty zakonnym banitom, ks. Haffner zanalizował pierwszą encyklikę Leona XIII, która przynosi lekarstwa na potrójne zło: ropiące rany rewolucji, walkę klas i zdziczenie obyczajów.

Jeden z dni zjazdowych poświęcony był akwizgrańskiemu związkowi imienia Piusa; na zebraniu zjawiło się 4 tysiące robotników, powitanych przez przewodniczącego Leonarda Timmermanns-Arnolt. Pierwszy mówca, hr. Schorlemer-Alst, wykazał, że nie polityka liberalna, ale polityka centrowa podnosi dobrobyt robotnika. Teraz to znaleźli liberałowie drogę do serc robotniczych, gdy przedtem gnębili jego słuszne wy-

mogi duchowne. Po nim przemawiali znani nam już mówcy na tematy interesujące robotników.

Windthorst zakończył zjazd przeglądem prac dokonanych, oddając cześć parlamentarzystom katolickim, zwłaszcza Hermannowi von Mallinckrodt. Nawiązując do przezwiska ultramontanów, któremi zwano uszczypliwie katolików niemieckich twierdzi, że ono znakomicie wyraża istotę katolicyzmu. Każdy katolik jest z natury ultramontanem, bo śmiało i otwarcie wyznaje, że ze wszystkiem co święte i drogie trzymać się będzie Stolicy Świętej. Wspomina ofiarność katolików w Holandji, walkę z masonerją belgów, nową ustawę szkolną Ferrye'go srodze dotkniętych francuzów. Na serce kładzie troskę o religijne wychowanle młodzieży, najlepszym, jego zdaniem, inspektorem szkolnym jest matka chrześcijańska. My nie walczymy dla walki, bo jesteśmy z natury usposobieni pokojowo, ale nie damy się skrzywdzić, bo krzywda nasza jest krzywdą Bożą.

Na zjeździe Akwizgrańskim zapoczątkowano ścisłą współpracę katolickich parlamentarzystów ze zjazdami w roli referentów a conajmniej inspiratorów lub uczestników w dyskusji. Katoliccy posłowie innych czasów czy też innych narodów tu mogą uczyć się służby dla sprawy społeczeństwa i Kościoła.

Rok 1860 ujrzał katolików niemieckich skupionych w Konstancji nad jeziorem Bodeńskiem, w której grasowali rozgłośnie staro-katolicy. Pomni jednak zakończenia schizmy zachodniej na Soborze Konstancjeńskim przez wybór Marcina V w r. 1417, katolicy pomijali milczeniem prowokację starokatolików. Wspomnienie historyczne związane z nazwiskiem miasta ożywił biskup Rottenburski von Hefele, sławny wydawca tekstów Soborowych. Przewodniczył hr. Fryderyk Stolberg. Administrator osieroconej diecezji Fryburskiej, złożył publiczną podziękę panującemu arcyksięciu, któremu Badenja zawdzięcza porzucenie drakońskich praktyk kulturkampfu. Ksiądz Moufang zdał sprawę z polepszenia sytuacji w Prusiech. Naczynie, zawierające jad ustaw majowych, mówił, zostało naruszone i wypuszcza powoli zatrutą zawartość. Zastanawiano się przeto nad odbudową zgliszczy po wielkim pożarze kulturkampfu, w którym spłonęły dzieła kilku pokoleń.

Jak w Konstancji, tak i Bononji, miejscu następnego zjazdu w roku 1881, Kongres katolicki miał wzmocnić pozycję katolików postponowanych przez sektę starokatolików. Bononja była w dodatku siedzibą „Niemieckiego związku", który przy pomocy liberalnych profesorów uniwersytetu propagował ideę kulturkampfu, nie cofając się nawet przed środkami korupcji i donosicielstwa. H. Sybel, profesor historji, zmontował istny aparat urzędowy, minjaturowe państwo w państwie, którego jedynym celem było prześladowanie katolicyzmu. Sławny był incydent burmistrza miasta Bonn, znakomitego katolika Kaufmanna, który po 20-letniem kierowaniu sprawami miasta, został jednogłośnie wybrany na dalsze 12 lat urzędowania, nie uzyskał jednakże potwierdzenia przez prezesa Rejencji (wojewodę) z powodu swych przekonań katolickich.

Marszałkiem zjazdu bonnońskiego był Franciszek von Wamboldt. Były prezydent miasta ze czcią wspomniał usuniętego arcybiskupa Melchersa. Windthorst uderzył w weselszą nutę, wskazując na fakt objęcia rządów diecezji trewirskiej przez nowego biskupa Koruma. Widzieć można w tem wydarzeniu radosny objaw obustronnej dobrej chęci ku usunięciu nieporozumienia. Skrępowane, nieliczne duchowieństwo uzupełnić musi apostolstwo świeckich. Na ten temat wygłosił świetne przemówienie śląski prawnik dr. Feliks Porsch. Urząd kaznodziejski w nieco zmienionej formie zdaniem jego przeszedł w ręce świeckich, przemawiających na trybunie parlamentarnej lub stowarzyszeniowej słowem żywem, a w prasie słowem pisanem. Jeżeli zarządzenia władzy świeckiej dążyły do powiększenia praw laików w Kościele katolickim, to bezwiednie spełniały wolę Opatrzności, by świeckich wciągnąć do czynnej pracy apostolskiej. Świeccy zdają sobie zupełnie sprawę z tego, że ich rola jest tylko pomocnicza, że dalej życie według zasad katolickich znaczy więcej niż głoszenie mów propagandowych. Zadanie świeckich w obecnej chwili zdaje się, zdaniem prelegenta, streścić w tych słowach: „Pokazuj się zawsze i wszędzie katolikiem, nigdy nie natarczywie ani ekskluzywnie, ale zawsze niedwuznacznie, zawsze bez trwogi i zawsze wiernie na wszystkich odcinkach życia. Przeć naprzód w zakresie gospodarczym jak naukowym, ufnie zespolić mężów dobrej woli, ofiarnie wspomagać katolickie dzieła, czuj-

nie, starannie i godnie stać na straży świątyni przy boku powołanych przez Boga sług Bożych.

Ludwik Windthorst zbijał klamliwe twierdzenia liberalnej prasy, że spór nie jest wyrazem całego społeczeństwa katolickiego, ale tylko pomysłem polityków katolickich. Czyżby, pytał, 15 miljonów katolików dało się wodzić na pasku garstki parlamentarzystów? Nie, opór zbiorowy jest wynikiem uświadomienia sobie wśród społeczeństwa katolickiego skarbów zawartych w religji, uświadomienia ich sobie w tej chwili, gdy chciano mu je wyrwać. Katolikom należy obecnie naśladować armję po zawieszeniu broni, co karabin ma przy nodze, a proch w pogotowiu.

Stan kwestji Rzymskiej, którą ożywił incydent z przeniesieniem zwłok Piusa IX do Bazyliki San Lorenzo Fouri le mura, stanowił dalszy punkt obrad bonnońskich. Referował ją ks. dr. Schröder i niestrudzony Windhorst, który przemawiał zawsze z dowcipem zgoła nie niemieckim.

Bismarck jak i opinja sfer półoficjalnych poczęła zajmować stanowisko mniej nie przyjazne wobec Kwirynału niż dotąd, a jest to niewątpliwie zasługa propagandy katolickiej.

Głośny swego czasu incydent Martinuccie'go, służącego, który zaskarżył kardynała Kurji o niewypłacenie poborów przed sądem świeckich, przekonał wszystkich o złudnej wartości ustawy gwarancyjnej i egzempcyjnej. Położenie kościoła w krajach romańskich, Italji i Francji, stawało się coraz ciernistsze. Tem radośniejszy był objaw dla Leona XIII, że właśnie w tej chwili Prusy wysłały do Watykanu stałego posła w osobie K. von Schloezera. Znaczniejsze złagodzenie ustaw prześladowczych nie następowało tymczasem w tempie szybkiem. Nowy minister Gossler, tłumaczył to koniecznością państwową, by w ten sposób stłumić ruch narodowy wśród Polaków.

Zjazd roku 1882 sprowadził katolików niemieckich do Frankfurtu/M, gdzie Windthorst z humorem streścił położenie religijne. Nie jest tak dobrze, jak już było, ale znacznie lepiej niż przypuszczają panowie liberałowie, cofający się nieprzyjaciel raz poraz stanie frontem do ścigających go oddziałów, żeby stłumić natarczywość następujących nań szeregów, ale to nie znaczy, że wstrzymuje całkiem swój odwrót. Słowem, w wojnie odwrotowej zachodzą przeróżne komplikacje. Zwy-

cięstwo jest pewne, a jeżeli jest uciążliwe, tem lepiej dla nas, bo naszą wytrwałość wzmocni, a przeciwników przekona, że nie warto rozpoczynać na nowo. Ordynarjusz diecezji, przebywający na wygnaniu, powitał zjazd listownie. Ksiądz Heinrich odmalował grozę braku duchowieństwa. Hr. Schorlemer-Alst, wykazał łączność kulturkampfu z panującemi zagranicą prądami wywrotowemi antyklerykalizmu, nienawiści do religji, które nietylko chcą wywrócić ołtarze, ale także promy i znieść własność przywatną.

Zjazdowi przewodniczył hr. Franciszek von und zu Bodman. Zjazd ten miał wygląd niezbyt uroczysty, bo miasto jest tylko w części katolickie, kierowano się zasadą omnis gloria ab intus, treść stanowi o godności. Wzrosła ona wskutek gromadnej pielgrzymki do grobu św. Bonifacego we Fuldzie. Windthorst, wiekiem już bardzo zgarbiony, pozbawiony prawie wzroku, opierając się jedynie na młodzieńczej wręcz pamięci dał przyjętym zwyczajem przegląd prac i obrad.

W dniu 11 lipca 1883 r. uchylono ustawę majową, uzależniającą nominacje na posady dnchowne od zgody władzy świeckiej.

W rok jubileuszowy urodzin Lutra (1483—1883), szumnie obchodzony przez niemiecki protestantyzm przypadły obrady poraz drugi w nadreńskiem mieście w Düsseldorfie. Przewodniczył im dostojnik sądowy dr. Franciszek Rosshirt.

Odpierając posądzenie, że katolicy chcą w jakikolwiek sposób konkurować z jubileuszowemi obchodami drugiego wyznania, oświadczył pierwszy z mówców, ks. dr. Schmitz, że katolicyzm jest w założeniach śwych religją pokoju, żąda jedynie swobody działania, które ma nietylko dobro katolickiego odłamu społeczeństwa na oku, ale wogóle całego społeczeństwa.

Nas Polaków, szczególnie mile uderza uroczysty obchód dwusetlecia (1683—1883) zwycięstwa Sobieskiego pod Wiedniem, przy której to okazji sławiono bohaterską odwagę i ofiarne poświęcenie narodu i armji polskiej dla całości europejskiej i katolickiej. Referentem powołanym tego wiekopomnego wydarzenia okazał się dr. Herman Cardauns.

Ks. Ibach rozwodził się nad dobrodziejstwami jedności Kościoła katolickiego; Windthorst przedstawił projekt umiędzynarodowienia zjazdów katolickich w porozumieniu z Kurją Rzym-

ską, dalej rzucił myśl odpłacenia się protestantom, za podżeganie do nienawiści, wielką krucjatą modlitw.

Ostrze kulturkampfu tępiło się stale. Wrócili z wygnania biskupi Limburga i Monasteru, nieugięcie jednak wzbraniano się udzielenia tej łaski arcybiskupom Kolonji i Poznania, Melchersowi i Ledóchowskiemu.

Trzydzieste pierwsze posiedzenie odbyło się w roku 1884 w miasteczku Amberg (Oberpfalst), któremu przewodniczył śląski magnat hr. Karol von Huene-Gross-Malendorf. Roki amberskie miały charakter intymny ze względu na małe znaczenie miejsca zebrań, ale zato szczerość przyjęcia była niezrównana, rodziny gościnnie przyjmowały gości, a Windthorsta uczciło miasto godnością obywatela honorowego. Trzech biskupów uświetniło fioletami narady.

Przemawiał hr. von Gruben na temat niezaradności i nieudolności liberalizmu wobec kwestji robotniczej i gospodarczej; hr. Hertling, znany uczony, pisarz, polityk, późniejszy kanclerz Rzeszy—mówił o skutkach wypędzenia zakonów w akcji charytatywnej, wychowawczej, społecznej i duszpasterskiej. Przegląd dał jak zwykle Windthorst, nazywając prześladowanie Kościoła przez stronnictwa liberalne walką niekultury, barbarzyństwa, bezwzględności. Ustępliwością nie uzyska się nic w tych zapasach, a tylko siłą; nie szanuje się bowiem żebraków, lecz potentatów. Pod koniec napiętnował konfiskatę dóbr Propagandy, której dopuścił się rząd Włoski, szkodząc tem samem rozwojowi misyj.

Trzydzieste drugie zgromadzenie zwołano na dni od 30 sierpnia do 3 września 1886 r. do Monasteru. Witając zebranych imieniem komitetu miejscowego, hr. Schorlemer-Alst wspomniał, że tak, jak zawiodła otwarta walka z katolicyzmem, tak też zawiedzie próba zabagnienia sprawy katolickiej. Rząd chciałby katolickim płucom zaszczepić zarazek gruźliczy, ale i to przetrzymamy.

Przewodniczący tego katolickiego Sejmu dr. Lieber, nazwał zlot sił katolickich przeglądem wojsk, dokonanym po najzacięższych spotkaniach orężnych u grobu niemieckiego Atanazego, Klemensa Augusta.

Dr. Porsch, czołowy mówca, uzasadniał potrzebę organizacji katolickiej po odniesionem zwycięstwie nad kulturkamp-

fem, który nazwać można drobnym epizodem w potężnym dramacie świata, staczanem między wiarą i niewiarą. Towarzysz broni Kettelera, dr. Moufang, który spoglądać mógł na 40 lat wiernej służby dla sprawy Kościoła, dał pogląd na okres od rewolucji francuskiej, aż po zawieszenie broni ostatniej walki.

Drugi nieodstępny towarzysz Kettelera i jego następca na stolicy biskupiej moguckiej, dr. Haffner, wyciągnął z obecnej sytuacji horoskopy na przyszłość, nieszczędząc władzom politycznym przestróg wobec kłębiących się chmur nad budową ustrojów państwowych. Żadnej dynastji nie dano przyrzeczenia, że bramy piekielne nie zwyciężą jej. Jedynie Kościół odczuwał to zapewnienie. Należy przeto Kościołowi dać wolność, chrześcijaństwo wprowadzić do szkolnictwa, zamknąć ateistyczne uniwersytety, a przynajmniej otworzyć uniwersytety katolickie. Najtrwalsze wrażenie wywarło przemówienie świeckiego hr. Ferdynanda von Galen, na temat tak zalecanego przez Leona XIII nabożeństwa Różańcowego.

Całość obrad ujął w wiązkę myśli przyjętym zwyczajem Ludwik Windthorst, puszczając zebranych z otuchą i ufnością w sercu do domów, zapewniając ich o lepszem jutrze.

Istotnie nastąpiły w r. 1886 formalne propozycje Bismarcka, wywołane stanowczemi wystąpieniami, znużeniem walką innych partyj, naciskiem cesarza Wilhelma I, niepokojącemi pomrukami niedalekich zaburzeń wewnętrznych i zewnętrznych. Propozycja Bismarcka zbliżała się bardzo do warunków stawianych przez Leona XIII celem stworzenia modus vivendi. Z obozu kościelnego duże zasługi położył około zbliżenia ks. dr. Kopp, biskup fuldajski, członek Izby Panów, późniejszy biskup wrocławski i kardynał. Bismarck potępił w parlamencie wszelkie poczynania kulturkampfu. Z dniem 21 maja 1886 r. wydano pierwsze zarządzenia wolnościowe dla Kościoła katolickiego w Prusiech.

Po tych wydarzeniach zebrała się elita społeczeństwa katolickiego Niemiec na Kongres Wrocławski, odbywający się w dniach 29 sierpnia do 2 września 1886 r. we Wrocławiu.

W słowie wstępnem wyraził Windhorst ubolewanie, że ostateczna likwidacja ustawodawstwa krzywdzącego Kościół postępuje tak żółwim krokiem. Z drugiej strony osobiste przekonanie mówi mu, tak zapewniał wytrawny parlamentarzysta

i przywódca katolików niemieckich, że wszystko wskazuje na rychłe spełnienie pragnień katolickich.

Przewodniczący plenarnego zebrania, hr. Heeremann-Zuydtwyk, oraz proboszcz Monachijski, monachijski ks. Huhn, wystąpili w interesie katolickich organizacji i w obronie zgromadzeń zakonnych.

Rezolucja końcowa domagała się usunięcia resztek krępujących swobodny rozwój ducha religijnego ustaw kulturkampfu. Windthorst mówił na temat: cesarz lub papież, czy papież i cesarz?—wybierając oczywiście drugą formułę.

Przed samym zawarciem umowy, chciał Bismarck utrącić Windthorsta, zdyskredytować go przed Stolicą Apostolską i przed katolikami niemieckiemi na szczęście niecny zamiar spełzł na niczem. Długo oczekiwany pakt został wreszcie zawarty, choć nie przyniósł Kościołowi swobody status quo. Oto co postanowiono: biskupi Limburga i Osnabruecku mogą założyć seminarja duchowne, — biskup uwiadamia wojewodę (naczelnego prezesa Rejencji) o mianowaniu stałego proboszcza, veto może władza świecka założyć tylko na podstawie konkretnego materjału obciążającego kandydata, przywraca się sądownictwo duchowne, kongregacje zakonne, zajmujące się pielęgnowaniem chorych, misjami zagranicznemi, wychowaniem dziewcząt albo kontemplacją, mogą powrócić do kraju, zwraca się zajęte dobra tychże zalegalizowanych kongregacyj. Rzecz oczywista, że nie był to pokój idealny, ale według wyrażenia Leona XIII „wstęp do pokoju". — Frakcja centrowa tylko na wyraźne życzenie papieża zdecydowała się głosować z uchwaleniem tej drugiej pacyfikacyjnej ustawy, która stała się prawem w dniu 29 kwietnia 1887 r.

Nie dziw zatem, że społeczeństwo katolickie pragnęło się wypowiedzieć na temat zaszłych zmian taktycznych i dlatego Kongres Trewirski (28 sierpnia do 1 września 1887) nabrał niezwykłej doniosłości. Był bowiem echem i komentarzem szerokim tego, co ustalono w ścisłem kółku polityków.

Na pomieszczenie przybyłych tłumów wzniesiono wyłącznie na ten cel olbrzymią budowę drewnianą w kształcie bazyliki. Przywitał zebranych prezydent miasta de Nys, dwaj przewodniczący honorowi: August Reichensberger i Krzysztof Moufang oraz przewodniczący rzeczywisty, hr. Franciszek Ba-

lestrem, określając tak obecną sytuację katolicyzmu w Niemczech: układ preliminaryj pokojowych z zawieszeniem broni i linję demarkacyjną. Następną fazę powinna stworzyć reorganizacja sił katolickich.

Zkolei złożył Windthorst podziękowanie rzeczywistym budowniczym obecnego pokoju, a więc na czele papieżowi i biskupom, ale także duchowieństwu i wiernym, zapominając jedynie o sobie, który wogóle umożliwił rokowania pokojowe. Wdzięczni jednak ziomkowie uchwalili rezolucję, wyrażającą podziękowanie jemu i jego kolegom w Centrum.

Dr. Cardauns święcił w płomiennej wymowie 50 rocznicę wywiezienia arcybiskupa kolońskiego Klemensa Augusta i jemu w znacznej części przypisywał postawę rycerską, którą przybrało społeczeństwo katolickich Niemiec w czasie 15-letniej nieorężnej wojny religijnej. Zachęcał słuchaczy, by przebyty trudy i boje przebaczyli, ale ich nie zapomnieli. „Bądźmy cierpliwi, ale nie uparci, zawzięci i dumni. Praw swoich nie poświęcajmy! nadewszystko i we wszystkiem szukajmy chwały Bożej, bezinteresownie pamiętając, że tylko wtedy będziemy godnem narzędziem tych zamierzeń, które Opatrzność złożyła w ręce Kościoła niemieckiego, gdy odstąpimy od szukania własnej korzyści, a szukać będziemy tylko Bożej chwały w pracy i modlitwie".

Zdobywszy własną swobodę religijną, pamiętali katolicy niemieccy o upokarzającej niewoli Namiestnika Chrystusowego i pod wpływem głębokiej mowy dr. Porscha o kwestji rzymskiej powzięli energiczną rezolucję, domagającą się restytucji zewnętrznej niezawisłości papiestwa.

Niezwykłej świetności imprezy religijne w dawnym rzymskim grodzie trewirskim zakończyły burzliwy, ale chwalebny okres w dziejach Kościoła niemieckiego trzy lustra walki sprawiedliwości z przemocą pięści, której zjazdy niemieckich katolików były zawsze kamieniami milowemi, zbliżającemi do mety na drodze zwycięstwa.

Ks. Dr. Stefan Abt.

SPOŁECZEŃSTWO I WYCHOWANIE.

Nowy Kodeks Karny z punktu widzenia religijnego i moralnego.

Od 1 września r. b. zaczyna obowiązywać w całej Polsce nowy kodeks karny wydany dekretem Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 11 lipca 1932 r. (Dz. U. z dn. 15.VII.1932 r. № 60 pozycja 571). Podstawą kodeksu jest projekt Komisji Kodyfikacyjnej, skorygowany przez Radę Ministrów.

Nowy kodeks, unifikujący prawo karne na terenie całej Rzeczypospolitej i znoszący dawne prawa zaborców, jest ważnym wydarzeniem nad którym opinja publiczna nie powinna przejść do porządku dziennego, tymbardziej, że wydany został w drodze dekretu, nie przechodząc przez korektę parlamentu i łączącą się zwykle z debatami parlamentarnemi — dyskusję publiczną.

Niewątpliwie ukaże się wkrótce szereg monografji, omawiających i rozpatrujących to nowe polskie prawo karne z rozmaitych punktów widzenia. Nie mając pretensji do wszechstronnego omówienia tematu, stawiamy sobie na razie skromne zadanie rozpatrzenia w najogólniejszych zarysach przepisów kodeksu, dotyczących religji i moralności, przyczem porównywać będziemy rezultaty prac polskiego ustawodawcy z przepisami dotychczas obowiązującego na ziemiach b. zaboru rosyjskiego kodeksu Tagancewa i towarzyszy z 1903 r.

I. Na pierwszym planie rozpatrzymy przestępstwa dotyczące religji. K. K. rosyjski poświęca temu działowi przestępstw 14 artykułów, zamieszczonych na samym początku części szczegółowej kodeksu widocznie ze względu na szacunek, jaki ustawodawca żywi dla uczuć religijnych obywateli i wagę, jaką przywiązuje do ochrony tych uczuć przez przepisy prawa. Przepisy te odznaczają się bardzo szczegółowymi dyspozycjami np. karane jest bluźnierstwo nietylko przeciwko Bogu, lecz także przeciwko N. M. Pannie, nie cielesnym mocom niebieskim, świętym pańskim, zelżenie krzyża świętego, relikwi, obrazów świętych, pisma św. lub Kościoła karane jest ostrzej, aniżeli innnych przedmiotów kultu. Ustawodawca rosyjski daje kościołowi pra-

wosławnemu, a w pewnych wypadkach wszystkim kościołom chrześcijańskim miejsce uprzywilejowane przed innymi wyznaniami chrześcijańskiemi lub niechrześcijańskiemi, karając ciężej przestępstwa przeciwko temu kościołowi skierowane, lub też biorąc w obronę wyznawców tego kościoła urzędowego lub wogóle kościołów chrześcijańskich przed propagandą innych wyznań np. w wypadku przeszkadzania służbie w spełnianiu praktyk religijnych, lub przeciąganie chrześcijanina na wiarę niechrześcijańską „zap. nadużycia władzy, przymusu, oszukania, lub uwiedzenia obietnicą korzyści" i t. d.

Nowy K. K. przedewszystkiem zredukował wszystkie przestępstwa powyższe do krótkich trzech artykułów (172, 173, 174). Artykuł 172 obejmuje tylko publiczne bluźnierstwo przeciwko Bogu. Na podstawie jego brzmienia możnaby interpretować, że bluźnierstwo p-ko N. M. Pannie, świętym pańskim i t. d. jest niekaralne, chyba, gdybyśmy takie przestępstwo podciągnęli pod wyszydzanie dogmatów, które jest karane według art. 173 Art. ten mówi o publicznym lżeniu lub wyszydzaniu uznanego prawnie wyznania lub związku religijnego, jego dogmatów, wreszcie obrzędów, przedmiotów, lub miejsc kultu. Art. ostatni karze złośliwe przeszkadzanie w wykonywaniu aktu religijnego. To wszystko. Wszelkie inne przepisy zawarte w poprzednim kodeksie, a ochraniające religję i uczucia religijne obywateli przed coraz częściej i zuchwalej powtarzającymi się atakami bezbożników — zostały wyeliminowane.

Jest jeszcze w nowym kodeksie jedna rzecz, której nie można usprawiedliwić z naszego punktu widzenia. Jest to całkowite zrównanie wszystkich wyznań i jednakowe traktowanie przestępstw przeciwko nim popełnionych. Na pozór wydawałoby się to zupełnie słuszne, wszak wszyscy obywatele są równi wobec prawa. Jest to jednak tylko pozór. Po głębszym namyśle musimy przyznać, że takie postawienie sprawy jest wysoce niesprawiedliwe, niezgodne i nieliczące się zupełnie z sytuacją wyznaniową w Polsce, z uczuciami olbrzymiej większości narodu. Zastanówmy się tylko, jak ta rzecz będzie wyglądała w praktyce. Według nowej ustawy jednakowo traktowane będzie wyszydzenie dogmatu Niepokalanego Poczęcia i... niektórych dogmatów marjawickich, których nie chcemy tutaj wymieniać, które są aż nadto znane polskiej opinji publicznej, których uza-

sadnienie i wywód możemy znaleźć w aktach sprawy Kowalskiego, dotyczących przestępstw popełnionych przeciwko moralności...

Takich przykładów możnaby przytoczyć więcej. Pozatem musimy pamiętać, że istnieje tytuł prawny, na zasadzie którego wiara katolicka powinna mieć zapewnioną przewagę w tej dziedzinie nad innymi wyznaniami. Mianowicie Konstytucja zapewnia jej stanowisko naczelne wśród innych wyznań. Czy autorzy kodeksu pamiętali o tym przepisie konstytucji?

II. Następne zagadnienie, któremu należy poświęcić dużo uwagi — to sprawa spędzania płodu. Sprawa ta, podniesiona publicznie przez sfery bezbożnicze i wolnomyślne, wywołała namiętną dyskusję zarówno wśród prawników, jak i w szerokiej opinji publicznej. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że słuszność jest całkowicie po stronie katolickiej, a także, że w interesie najbardziej żywotnym narodu i państwa leży, aby ustawa karna potępiła bezwzględnie zbrodnicze praktyki mordowania płodu w łonie matki. Praktyki te są wytworem zdziczenia powojennego, bolszewizmu oraz w pewnym stopniu ciężkiego kryzysu gospodarczego. Prawo powinno wydać im walkę bezwzględną i wytrwałą.

K. K. rosyjski karał bezwzględnie zabójstwo płodu, nie przewidując żadnych obecnie propagowanych wyjątków. Projekt Komisji Kodyfikacyjnej odbiegał daleko od tego sprawiedliwego i rozsądnego stanowiska. Został on wprawdzie skorygowany przez Radę Ministrów, która ograniczyła wyjątki dopuszczające spędzenia płódu. Tem nie mniej jednak dostał się do nowego kodeksu przepis, naszem zdaniem niedopuszczalny z punktu widzenia zasad katolickich.

Zagadnieniem tym zajmują się art. art. 231 i 232, które nakładają karę zarówno na występną matkę, jak i na osobę, płód spędzającą. Art. 234 karze oczywiście jeszcze ostrzej osoby spędzające płód bez zgody matki. Natomiast art. 233 zawiera wyjątki, dopuszczające zabicie płodu. Podajemy jego brzmienie w całości:

„Niema przestępstwa z art. 231 i 232, jeżeli zabieg był dokonany przez lekarza i przytem:

a) był konieczny ze względu na zdrowie kobiety ciężarnej, albo

b) ciąża była wynikiem przestępstwa, określonego w art. 203, 204 205 lub 206".

Wypadek przewidziany w punkcie „a" wydaje się nam słuszny i usprawiedliwiony pod warunkiem, iż będą ustalone jakieś normy niepozwalające stosować lekarzom tego zabiegu zbyt pochopnie.

Natomiast musimy się zastrzec z całym naciskiem przeciwko punktowi „b" tegoż artykułu. Przewiduje on i uprawnia zabicie płodu w tym wypadku, gdy kobieta zaszła w ciążę na skutek popełnionego na niej przestępstwa, czyli czynu nierządnego skutkującego przyjście na świat dziecka. (Stosunek z osobą poniżej lat 15, lub powyżej lat 15, lecz w drodze gwałtu, groźby, podstępu, przez nadużycie stosunku zależności, wreszcie kazirodztwo).

Naszem zdaniem może zachodzić kwestja sporna, gdy chodzi o zabicie płodu matki nieletniej, który według orzeczenia lekarzy byłby nieudolny do życia, a narażałby tylko na szwank zdrowie młodocianej matki. Ten wypadek należałoby jeszcze przedyskutować i rozpatrzyć.

Ale w innych wypadkach przepis punktu „b" wydaje nam się niesprawiedliwy i niezgodny z zasadami katolickimi. Prawda. Zdarzyło się nieszczęście. Popełnione zostało ohydne przestępstwo, na skutek którego ma przyjść na świat dziecko. Czyż z powodu winy ojca dziecko to ma być skazane na śmierć. A może urodzi się ono w warunkach normalnych, z czasem wyrośnie na uczciwego człowieka, wybitnego obywatela kraju, który będzie przynosił pożytek i honor swojej Ojczyźnie! Po drugie. Jeżeli Bóg dopuścił do tego wydarzenia i stworzył człowieka, jakim prawem społeczeństwo ma mu życie odbierać? Czy odebranie niewinnemu płodowi ludzkiemu życia nie będzie z punktu widzenia etycznego zbrodnią zabójstwa dodaną do poprzedniej zbrodni nierządu?!

Takie uwagi nasuwają się po przeczytaniu art. 233 K. K. Pozatem musimy pamiętać, że spełnia on jeszcze jedną rolę fatalną. Jest mianowicie pierwszym wyłomem w zasadzie karalności zabójstwa płodu. Wyłom ten z czasem może zostać rozszerzony przez wojujące bezbożnictwo i doprowadzić do całkowitego rozluźnienia w tej dziedzinie z olbrzymią szkodą dla moralności, a także dla narodu i państwa, narażającego niepotrzebnie na szwank życie swych przyszłych obywateli.

III. Pojedynek w nowym kodeksie potraktowany został

zasadniczo, tak jak w poprzednim t. j. uznany za sui generis zabójstwo, za które kara jest złagodzona. Gdy jednak kodeks poprzedni karze sam fakt pojedynku a nawet wyzwania na pojedynek, choćby nie doszło do zabójstwa lub zranienia, a także pociąga bezwzględnie do odpowiedzialności w pewnych wypadkach podżegaczy oraz sekundantów—nowy K. K. zgodny z brzmieniem art. 238, karze tylko zabójstwo, lub uszkodzenie ciała zadane w pojedynku (nie zaś sam pojedynek, jako taki, lub wyzwanie na pojedynek), karanie zaś sekundantów uzależnia od decyzji sądu.

Obydwa więc kodeksy zajmują w tej sprawie stanowisko, krytykowane ostro przez wielu pisarzy katolickich, którzy domagają się, aby pojedynek został potraktowany, jak zwykłe zabójstwo z premedytacją. Kodeks zaś nowy robi jeszcze duży krok naprzód w kierunku uprzywilejowania pojedynku i ograniczenia odpowiedzialności za to przestępstwo.

IV. Prócz tego znajdujemy w nowym kodeksie szereg wypadków bardzo liberalnego potraktowania przestępstw dotyczących moralności. Oto np. art 207 karze za czyn nierządny dokonany z osobnikiem tej samej płci tylko w wypadku, gdy motywem czynu jest chęć zysku, przyczem karze podlega tylko oferujący, a nie korzystający z oferty. Dla porównania stwierdzamy, że przestępstwo to w kodeksie poprzednim było ograniczone tylko do płci męskiej, ale za to karze podlegały obydwie strony bez względu na motywy czynu. Zakaz więc był bardziej bezwzględny i trudniejszy do obejścia przez obronę.

Nie będziemy mnożyć tych wypadków, zaznaczając tylko, że niektóre przestępstwa nie są karane łagodniej, aniżeli w poprzednim kodeksie, lecz wogóle z naszego punktu widzenia zbyt łagodnie, jak np. t. zw. zabójstwo ze współczucia, kazirodztwo, bigamja i t. d.

Natomiast z radością stwierdzamy, że są i takie przestępstwa, których istota ujęta została w sposób szczęśliwszy, niż w poprzednim kodeksie i bardziej odpowiadający wymogom dzisiejszym. Np. taki art. 208: „kto z chęci zysku ułatwia cudzy nierząd, podlega karze więzienia do lat 5. Art. 209: kto czerpie z cudzego nierządu zyski, podlega karze więzienia do lat 5". Przychodzi nam na myśl, że art. 208 mógłby zostać znakomicie zastosowany do wydawców pism, które umieszczają

anonsy, stręczące do nierządu... Oby tylko interpretacja obowiązująca nie stanęła na innym stanowisku, a będzie można ukarać nieuczciwych wydawców i redaktorów, o których machinacjach pisała ostatnio tak szeroko prasa polska...

Poza tymi dwoma artykułami nie znaleźliśmy, niestety, niczego, coby z punktu widzenia religijnego i moralnego można zakwalifikować, jako postęp i krok naprzód.

* * *

Stwierdzić należy, że nowy K. K. w najważniejszych swoich przepisach idzie w kierunku modnego obecnie w sferach urzędowych laicyzmu. Widać to przedewszystkiem w potraktowaniu przestępstw przeciwko uczuciom religijnym, a także w pewnej mierze w sprawie spędzenia płodu, pojedynku i t. d.

Niestety, ustawa karna nie jest wyjątkiem w tej mierze, lecz tylko dalszym staczaniem się po równi pochyłej, które możemy zaobserwować od dawna w naszym ustawodawstwie. Staczanie to na razie odbywa się w wolnym tempie, lecz zachodzi obawa, że w przyszłości może się stać coraz szybsze i doprowadzić z czasem do stopniowego wyeliminowania z naszego ustawodawstwa instytucyj i elementów kultury katolickiej wbrew psychice, potrzebom i zadaniom dziejowym naszego narodu.

Stefan Kaczorowski.

Nieco więcej reklamy.

Pojemność rynku polskiego w dziedzinie kupna—sprzedaży książek i czasopism w ogólności, a specjalnie książek i czasopism katolickich, bywa różna, a to w zależności od ośrodka i jego charakteru, jak również od sposobu propagandy i reklamy.

Naogół pojemność rynku jest mniej więcej wystarczająca, chodzi tylko o to, żeby przy uwzględnieniu szeregu warunków, wytworzyć sytuację możliwie najkorzystniejszą, w celu należytego rozwinięcia sprzedaży.

Sposobów pod tym względem bywa bardzo wiele, trzeba jednak koniecznie zapoznać się z niemi i ustalić w jaki sposób i w jakim stopniu można je stosować. Należy więc najzupełniej szczerze i możliwie jaknajlepiej i najgruntowniej zapoznać się z reklamą i jej charakterem.

Reklamę więc uważać możemy jako umiejętne zwrócenie uwagi szeregu osób w odpowiednim miejscu i odpowiednim czasie. Reklamę należy też uważać jako siłę handlową, która ostatnio stała się potężnym czynnikiem rozwoju i rozrostu poszczególnych przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych.

Sytuacja obecna na rynku sprzedaży jest tego rodzaju, że nie klijent szuka sprzedawcy, a sprzedawca uczynił wszystko, żeby pozyskać klijenta.

To też obserwując istniejącą i kształtującą się w dalszym ciągu sytuację w dziedzinie handlu, należy zauważyć, że niezmiernie liczne wypadki dopełnionych tranzakcji spowodowane zostały umiejętnym zastosowaniem reklamy.

Zapewne reklama wykorzystaną została dla celów dobrych i złych. Ciasnota na rynku na skutek dużego zaofiarowania spowodowała, że wszelkie wysiłki uczyniono, żeby przy wzajemnym współzawodnictwie odebrać sobie klijenta. Nic też dziwnego, że nabywca dziś właśnie jest niejednokrotnie zdezorjętowany i oszołomiony i wybierając się, żeby kupić rzeczy potrzebne, a nawet niezbędne, często kupuje rzeczy najzupełniej niepotrzebne.

O takich nabywcach pisze p. St. Z. Zakrzewski w swym artykule p. t. „Obserwacje" (Reklama № 64 z 1930 r.), że:

> „Nabywca niczem dziecko w składzie zabawek, kupuje perski dywan, zamiast koszuli, lub odkurzacz, zamiast parawanu. Sprzedawca zdołał namówić go do kupna zegarka wtedy, gdy klijent właściwie przyszedł z zamiarem kupna krawatu i t. d.".

A w dalszym ciągu czytamy:

> „Z tej to racji budżety domowe dorosłych ludzi, wykazują krzywizny i odchylenia od wszelkich pojęć o potrzebie istotnej i odbiegają zarówno od równowagi jak i od rzeczywistości".

Podobna sytuacja, a może nawet bardziej jaskrawo, występuje na rynku sprzedaży czasopism i książek.

W tej właśnie dziedzinie zaofiarowanie sprzedaży przewyższa znakomicie zapotrzebowanie. Polowanie więc na nabywcę występuje aż nazbyt widocznie i w takich to warunkach każda niemal recepta reklamy będzie miała zastosowanie, byleby tylko istniała gwarancja korzystnego wyniku.

Jeśli więc stosuje się tak bardzo rozległe zabiegi w dziedzinie kupna-sprzedaży czasopism i książek rozmaitych,—czasopismo i książka katolicka odosobnioną nie może i nie powinna być. Czas najwyższy, żeby społeczeństwo polskie i katolickie było najzupełniej pozyskane dla selów kupna czasopism i książek katolickich, jak również, żeby stale było w tych sprawach najdokładniej informowane.

Sposobów reklamowania jest bardzo wiele, bowiem w tej dziedzinie pomysłów nie brak, nie mniej jednak musimy pamiętać, żeby przed powzięciem decyzji co do zastosowania reklamy i jej wskaźników uprzednio dobrze przemyśleć plan ustalony i starać się możliwie najlepiej przewidzieć, czy spodziewane rezultaty osiągniemy.

Układanie więc dokładnego planu reklamy jest czynnością niezmiernie ważną i nie zawsze w tych wypadkach samodzielność całkowita i własna inicjatywa wystarczają niejednokrotnie, a dobrze byłoby uprzednio zwrócić się do zawodowca, pracującego stale w tej dziedzinie i zasięgnąć porady.

Akcję reklamową cechować winna ciągłość, to też realizacja planu powziętego nie może ulegać przerwom niespodziewanym, a przeciwnie chcąc całkowicie zabezpieczyć się przed takiemi ewentualnościami należałoby uprzednio upewnić się czy fundusze jakie na ten cel pragniemy przeznaczyć będą dostatecznym pokryciem szeregu wydatków, które przecież ponieść musimy.

Wydatki nasze na reklamę powinny posiadać całkowite pokrycie w układanych preliminarzach budżetowych, a więc podstawą działalności w tej dziedzinie będzie opracowanie i uzgodnione najdokładniej zestawienie wpływów i wydatków redakcyjnych.

Układanie i opracowywanie preliminarzy budżetowych nie nie jest czynnością łatwą, chociaż pozornie prostą. Szczególniej redakcyjne preliminarze budżetowe nastręczają pewne trudności, bowiem wpływy notowane nie stanowią tylko równowartości prenumeraty oznaczonej, ale również, i to może w największym stopniu dotyczą wpłat jakie mają być wniesione za ogłoszenia.

Ogólna więc suma wpływów, jakie preliminujemy winna być możliwie najbliższą prawdy, bowiem w dalszym ciągu na podstawie wpływów oznaczonych, preliminowane wydatki będą

fikcją jedynie, gdyż nie mogłyby posiadać pokrycia dostatecznego, a więc dalszy plan akcji naszej stałby się nierealnym.

Mając ustaloną sumę wpływów preliminowanych, która nieraz składać się będzie z wpływów zwyczajnych i nadzwyczajnych (kredyty) przystępujemy do rozplanowania wydatków.

W szeregu oznaczonych rozmaitych wydatkach musi znaleźć się miejsce na umieszczenie pozycji dotyczącej kosztów prowadzonej akcji reklamowej.

Jaki odsetek określimy, który stanowiłby dla nas wskaźnik ile zarezerwować należy na reklamę, narazie ustalić trudno, nie mniej jednak, w preliminarzu budżetowym pozycję taką traktować trzeba niemal tak samo, jak wydatki na opłatę personelu względnie regulację honorarjów poszczególnych autorów prac nadsyłanych.

Najlepiej wyrobić sobie opinję, że reklama to najniezbędniejszy, najstaranniejszy i najzdolniejszy pracownik, którego opłacić koniecznie trzeba, bowiem bez niego nie obejdziemy się.

Tego rodzaju ustosunkowanie się nasze zabezpieczy nam pożądaną ciągłość w wyhatkowaniu sum przeznaczonych, a przez to samo zbliży nas bardzo do granicy prawdopodobieństwa osiągnięcia przewidywanych korzyści.

Akcja reklamowa, do której przystąpimy po ułożeniu preliminarza budżetowego stanowić będzie ważną część pracy, do ktorej zbliżyć się trzeba z możliwie największym zapasem wiadomości teoretycznych i praktycznych.

Akcja reklamowa rozpoczęta i prowadzona bez dostatecznego przygotowania, będzie stanowiła jedynie pozory korzyści upragnionych, pochłaniać będzie wydatki preliminowane, a ponieważ wynik ostateczny kampanji rozpoczętej osiągniemy nieproporcjonalnie mały, dlatego też nic dziwnego, że w wielu wypadkach zrazimy się do reklamy i pozostaniemy wierni zasadzie, że jakoś to będzie, jakoś czytelnicy życzliwi sami zajmą się rozpowszechnieniem pisma, a osiągnięty nakład, w naszym pojęciu dostatecznie liczbowo duży, stanowić będzie również granicę, którą pragnęliśmy osiągnąć i przy której chcemy pozostać.

Tego rodzaju rozumienie sprawy jest niesłuszne, a przekonamy się o tem w krótkim bardzo czasie, wówczas, gdy cy-

frowy nasz nakład zamiast utrzymać się na upragnionym poziomie, znikomo, ale stale maleć będzie i staniemy wobec przykrej nieraz sytuacji powzięcia decyzji, czy w dalszym ciągu zajmować się wydawnictwem, czy też przystąpić do likwidacji.

Jeśli chodzi o sposoby reklamowania, to może ich być bardzo wiele, jak to zresztą już wyżej zaznaczyliśmy.

W tym wypadku ważnym niezmiernie warunkiem będzie, żeby czasopismo wyglądem zewnętrznym samo jaknajlepiej reklamowało się. Wygląd zewnętrzny, format, papier, czcionki, układ treści, okładka, wszystko to bywa pierwszorzędnym, a może jedynym warunkiem czy wprowadzone czasopismo przyjmie się czy też nie.

Zasada: „jak cię widzą, tak cię piszą", miewa tutaj bardzo szerokie zastosowanie i decyduje o ostatecznym powodzeniu. Dlatego też szczególniej czasopisma katolickie powinny być wydawane jaknajbardziej starannie.

Współzawodnictwo na rynku sprzedaży jest olbrzymie, jeśli więc przy ubieganiu się o nabywcę nie będziemy dostatecznie dbali o wygląd zewnętrzny, na rysku wówczas łatwiejszy znajdzie popyt trucizna moralna, bardziej upiększona, a lektura dobra, która może nieraz byłaby jedyną dźwignią i ratunkiem z upadku, pozostanie na uboczu, nawet nie zauważona.

Czynnikiem ważnym bardzo w reklamie jest również lokal, stała siedziba redakcji.

Ogół czytelników względnie osób postronnych, których chcemy zjednać, powinien dokładnie wiedzieć jaki jest adres redakcji, a przed lokalem powinny być umieszczone napisy, pg. których moglibyśmy orjętować się czy trafiliśmy dobrze. Napisy wzmiankowane trzeba też wykonać w taki sposób i podać w takiej formie, by jaknajbardziej zwracały uwagę przechodnia. Często więc napisy małe, niestarannie wykonane, nie tylko nie wzbudzą zainteresowania, ale nawet mogą odstręczyć wiele osób, a może nawet szkodę spowodują.

Wszelkie druki, z których redakcja czasopisma korzysta stanowią również reklamę. Tak więc dla celów reklamy wykorzystać należy jak można najlepiej koperty do listów, papier listowy, pocztówki, ulotki itp.

Stosowany nieraz system dołączania do oddzielnych egzemplarzy czasopisma luźnych kartek reklamowych okazał się

bardzo skuteczny, a jako sprawdzian posłużyć może fakt, że korzystne rozpowszechnienie miesięcznika „Rycerz Niepokalanej” w dużej mierze spowodowane zostało luźnemi kartkami reklamowemi.

Poszczególni czytelnicy, życzliwie ustosunkowani, chętnie nieraz wzmiankowane kartki reklamowe, na koszt własny będą rozsyłali do osób znajomych, jednając w ten sposób nowych prenumeratorów.

Z przyjemnością wielką należy stwierdzić, że O. O. Franciszkanie, bardzo skutecznie reklamują wydawany miesięcznik „Rycerz Niepokalanej" i nic też dziwnego, że w pracy własnej niemal nadążyć nie mogą, tak bardzo muszą zwiększać wciąż nakład wydawnictwa.

Pomocną też dla czasopism oddzielnych będzie reklama prasowa.

Ogłoszenia o wydawanym miesięczniku lub tygodniku możliwie często winny być zamieszczane, gdyż tylko nieraz w ten sposób dotrzeć można do późniejszego stałego czytelnika. Zapewne, tego rodzaju ogłoszenia są bardzo kosztowne, ale w sposób właściwy wydatkowane na ten cel pieniądze nigdy nie bywają zmarnowane.

Odnośnie t. zw. numerów specjalnych, które gratisowo są doręczane pod różnemi adresami, to są one rozsyłane zawsze a wówczas nie tylko trzeba preliminować od czasu do czasu sumę oddzielną na ten cel przeznaczoną, ale od samego początku należałoby tak obliczyć stawkę prenumeraty, żeby już w niej tkwiła cząstka należności, którą przeznaczymy na pokrycie kosztów wysłania wzmiankowanych numerów.

Niewykorzystane są również w sposób dostateczny ogłoszenia podawane za pośrednictwem Polskiego Radja. Wprawdzie co pewien czas poświęca się pół godziny, celem omówienia nowości wydawniczych, ale w tym kąciku nie informuje się o prasie katolickiej i katolicko-narodowej. Nie są też omawiane katolickie wydawnictwa książkowe, chyba, że jest to książka wybitnego pisarza, ogólnie znanego, którego nie sposób byłoby pominąć milczeniem.

Jeśli chodzi o ogłoszenia płatne, podawane przez Polskie Radjo, w t. zw. „Rozmaitościach“, te nie są one tak samo przez katolicką prasę wykorzystane. Wysokości opłat za takie

ogłoszenia nie znam, ale przypuszczam, że nawet przy obliczonych stawkach dosyć wysokich i to zapewne opłaciłoby się ogłaszać, gdyż w momencie nadawania podobnych wiadomości słucha niejednokrotnie wiele bardzo osób. Znane są przecież wypadki, że niemal ostatni grosz asygnowany przez właściciela przedsiębiorstwa na ogłoszenie, spowodował zwiększenie klijenteli, zwiększenie obrotu, a co za tem idzie pojawienie się zarobków, nieraz znaczniejszych, a wszystko dzięki właściwemu i dodatniemu wykorzystaniu ogłoszeń. Czemu prasa katolicka nie mogłaby podobnej taktyki zastosować? Sądzę, że zawdzięczając podobnemu postępowaniu można byłoby doskonale zwiększyć nakład czasopisma, a przez to samo rozsprzedać.

Rozpowszechnienie czasopisma może też być dokonane przez akwizycję.

Akwizycją nazwiemy odpowiednie jednanie klijenteli celem dopełnienia maximum tranzakcji kupna sprzedaży.

Akwizycją zajmują się przeważnie zawodowcy i do nich zaliczymy agenta handlowego i komisjonera.

Przy współudziale więc powyżej podanych pośredników kolportaż czasopism byłby znacznie, a może nawet całkowicie ułatwiony.

Pośrednicy zawodowcy chętnie zawsze zajmą się akwizycją muszą mieć jednak oznaczone wynagrodzenie w formie prowizji, która bywa omawiana i ściśle określana przy wzajemnym porozumieniu.

Agentem względnie komisjonerem, któryby zajął się kolportażem i sprzedażą, mogą być księgarnie, specjalne spółki kolportażowe, a nawet sklepy z materjałami piśmiennemi i inne.

Przy tym systemie kolportaży i akwizycyjnej sprzedaży zazwyczaj nabywca sam zgłasza się z propozycją kupna. Chcąc natomiast w każdym poszczególnym wypadku zjednać nabywcę, a może nawet pozyskać go na stałe jako prenumeratora lepiej byłoby skorzystać z usług osób pojedyńczych, którzy jako agenci, odwiedzaliby różne miejscowości, jednając odbiorców.

Bezwarunkowo wielką bardzo pomoc przy akwizycyjnej sprzedaży czasopism udzielić mogą wszelkie organizacje, których zakresem działania jest praca społeczna, kulturalno-oświatowa, oparta na zasadach katolickich i narodowych.

Organizacje wzmiankowane nawet same powinny zgłosić swój udział w omawianej sprawie, gdyż współpraca podobna im również ułatwiałaby zasadniczą pracę, a nawet byłaby wielką pomocą.

Akcja wzmiankowana, a dotycząca akwizycyjnej sprzedaży czasopism obecnie jest zorganizowana, przeważnie jednak ześrodkowana jest w miastach większych. W zaniedbaniu jest jednak prowincja, a przez to dostęp czasopism katolickich i narodowych jest wielce utrudniony. Z przykrością należy zauważyć, że nie przy każdym kościele parafjalnym na wsi zorganizowana jest akcja dotycząca rozsprzedaży i jednania prenumeratorów czasopism katolickich i narodowych, a szkoda gdyż prowincja specjalnie dobrze zasilona powinna być przez dobrą prasę i dobrą książkę.

Reklama jest więc czynnikiem niezmiernie ważnym i niedocenianą, a może bagatelizowaną nie powinna być nigdy. Kreśląc swe uwagi w sprawie wzmożenia reklamy w dziedzinie kolportażu czasopism katolickich i narodowych, uświadamiałem sobie, że tak obszernego tematu w ramach artykułu nie wyczerpię, chodziło mi jednak o wzmożenie zainteresowania omawianą dziedziną, a przez to samo forsowniejsze rozwinięcie sprzedaży i co zatem idzie zwiększenie nakładu.

Cz. Zbyszyński

I cóż, że modlimy się o dobrą śmierć... dla siebie!

Wszak największem nieszczęściem, umierać niepojednanym z Bogiem, to też niewątpliwie wszyscy modlimy się o dobrą śmierć dla siebie.

Ale cóż, że błagamy Boga o dobrą śmierć dla siebie, gdy tysiące, a nawet miljony bliźnich, tych nam najbliższych bliźnich, bo *rodaków*, umiera bez opieki duchowej, ginie na wieki z powodu spędzenia życia w warunkach nieraz wyłączających wprost myśl o Bogu, pragnienie zbawienia.

Ogółem siedm miljonów Polaków przebywa na obczyźnie, zdala od macierzy, w środowiskach obcych z mowy, obyczajów, a nawet innej rasy.

Liczni podróżnicy polscy przedstawili nam już dolę i niedolę naszych braci na tułaczce wśród obcych w Europie, za morzem i gdziekolwiek dotarli emigranci polscy. Ale najwymowniej już głód duszy polskiej na obczyźnie, niebezpieczeństwo grożące zbawieniu naszych rodaków na emigracji. przedstawiają kapłani polscy, misjonarze i świeccy księża, zwiedzający dalekie osiedla ludu polskiego.

Ksiądz prof. Ignacy Posadzy, który niedawno temu powrócił z Ameryki, w odczytach i łamach prasy podał ogółowi polskiemu garść cennych wiadomości o naszych rodakach żyjących w Południowej Ameryce.

W Argentynie w prowincjach Córdoba i Santa Fé trzydzieści tysięcy Polaków żyje bez księdza.

A pamiętajmy, że te 30 tysięcy Polaków to są ludzie szczerze wierzący, wierni Kościołowi, wychowani w głębokiem przywiązaniu do naszych tradycyj religijnych związanych z uroczystościami Bożego Narodzenia, Zmartwychwstania Pańskiego, Bożego Ciała.

Wszak emigranci nasi wyszli z wiosek i miast polskich, których największą ozdobą bywa kościół, przypominający się codziennie całej ludności, młodym i starym, to sygnaturką swoją na Anioł Pański, w południe i wieczór, to codziennem wzywaniem na mszę św.

Lecz gorsze jeszcze od argentyńskich stosunki zastaje ks. prof. Posadzy w Brazylji, gdzie znajduje osady polskie, które od 40 lat nie widziały kapłana polskiego, gdzie niektóre parafje polskie ciągną się na przestrzeni 200 km., a 80 procent naszych rodaków umiera bez Sakramentów św.

Taki stan rzeczy uzasadnia wołanie Prymasa Polski, J. Em. Księdza Kardynała Dra Hlonda: *Na wychodźtwie giną dusze polskie!*

Najwyższy duszpasterz Polski, Ksiądz Prymas, pierwszy też przystąpił do dzieła ratunku dla tych ginących dusz polskich. Fundusz złożony J. Em. Ks. Kardynałowi z okazji jego srebrnego jubileuszu kapłańskiego, Dostojny Opiekun wychodźtwa polskiego poświęcił na budowę Seminarjum Zagranicznego w Poznaniu. Lecz na razie położone są dopiero tylko fundamenty.

Zgłoszenia kandydatów na duszpasterzy oraz braci zakonnych, mających towarzyszyć polskim kapłanom na obczyznę już

przyjmuje Kancelarja Prymasa Polski w Poznaniu. Otwarcie nowicjatu nastąpić ma już we wześniu b. r. Niepodobna zwlekać z ratunkiem dla ginących na obczyźnie dusz polskich.

Przyspieszyć więc należy budowę tak nagląco potrzebnego Seminarjum Zagranicznego w Poznaniu. Zależy to jednak od funduszów. Składajmy więc jak najgorliwiej na budowę Seminarjum Zagranicznego w Poznaniu.

Każdy grosz ofiarowany na ten cel to datek na najskuteczniejszy środek propagandy polskiej zagranicą, to przyczynek do zażegnania trapiącego nas bezrobocia, to cios zadany wrogom naszego narodu, dybiącym na nasze zatracenie, to broń przeciw bezbożnikom i innym bolszewikom, usiłujących i naszych rodaków zaprząc do niszczycielskiej roboty wymierzonej przeciw etyce i kulturze chrześcijańskiej.

Kapłani polscy, którzy z Seminarjum Zagranicznego w Poznaniu rozjadą się do środowisk polskich zagranicą, staną się Aniołami Stróżami dusz naszych rodaków na obczyźnie.

Chyba dosyć to motywów, by wedle możności, ostatni nawet grosz złożyć w ofierze na budowę Seminarjum Zagranicznego w Poznaniu.

Datki nadsyłać należy do Kancelarji Prymasa Polski w *Poznaniu.*

Na froncie walki.

Brak programu gospodarczego w Polsce — Rozmaite kierunki gospodarcze w sanacji — Przeżytki liberalizmu — Popieranie wielkiego kapitału kosztem całego kraju — Z teki „Illustrowanego Kurjera" i „Detektywa" — Człowiek, który nie może znaleźć swojego prokuratora... — Pedagogja ministerjalna — Tydzień Społeczny w Lille.

Kryzys gospodarczy pogłębiany i zaostrzany przez naszą politykę gospodarczą i wewnętrzną daje się fatalnie we znaki całemu narodowi i wszystkim jego warstwom. To też myśl ludzi inteligentnych, którzy poczuwają się do obowiązków społecznych, pracuje w kierunku znalezienia jakiejś drogi wyjścia

„caveant consules” oczy wszystkich skierowane są na tych, którzy w roku 1926 opanowali władzę, a obecnie przypadł im trudny i odpowiedzialny obecnej fatalnej sytuacji. W myśl zasady obowiązek spożywać także gorzkie i cierpkie owoce tej władzy t. j. pracować nad usunięciem tego kryzysu, który pogłębili własną lekkomyślnością.

Stwierdzić należy z ubolewaniem i oburzeniem, że obóz sanacyjny nie zdobył się nawet w obecnej sytuacji na żaden racjonalny program gospodarczy. Przeciwnie, myśl jego gospodarcza rozproszkowana jest i podzielona na kilka kierunków. Dwa najbardziej jaskrawe, toczące z sobą zacięte polemiki — to z jednej strony grupa „Przełomu” wraz ze zbliżoną do niej secesją socjalistyczną Moraczewskiego, a z drugiej — t. zw. koła gospodarcze, wielkokapitalistyczne. Pierwsi zupełnie wyraźnie grawitują w kierunku socjalizmu, a nawet pewnych koncepcyj kollektywistycznych, drudzy zajmują b. często stanowisko ultraliberalne.

Oto np. poglądy przedstawiciela drugiego kierunku p. Szarskiego, kupca i dyrektora banku, ogłoszone na łamach „Czasu”, które zbija „Polonja” katowicka z punktu widzenia chrześcijańsko-społecznego, charakteryzując je, jak następuje:

Zdaniem p. Szarskiego, przyczyna całego naszego nieszczęścia gospodarczego tkwi w ograniczeniu wolności jednostki w dziedzinie gospodarczej, które przybrało rozmiary prawdziwej niewoli. „Laissez faire, laissez aller” jest, zdaniem p. Szarskiego, najskuteczniejszem lekarstwem na nasze bolączki gospodarcze. Nie wolno ograniczać jednostki gospodarczej, niech się bogaci, a wszystkim będzie dobrze. Niech podwyższa ceny, niech redukuje koszta własne, przedewszystkiem drogą obniżania zarobków, a nastanie znowu raj na ziemi. „W życiu gospodarczem każdy jest twórcą własnego szczęścia”. Państwo niech spełnia najwyżej rolę stróża nocnego, który pilnuje dobytku jednostek gospodarczych, albo strażaka, który gasi wybuchły pożar, np. w postaci strejku...

P. senator Szarski jest przedstawicielem minionego świata. Manczesteryzm bezpowrotnie należy do przeszłości, i nigdy już nie odżyje. Przyznajemy, że w praktyce codziennej wpływ jego jest jeszcze bardzo wielki, a w Polsce sanacyjnej większy niż kiedykolwiek. Ale przeciw indywidualizmowi i liberalizmowi w życiu gospodarczem burzy się dzisiaj większość ludzkości i potępiają je nauka, etyka, a nawet wszystkie wyznania chrześcijańskie, przedewszystkiem Kościół katolicki. Jeno ci, co wychowali się na Starym Testamencie i Nowym zbyt mało się jeszcze przejęli, głoszą liberalizm.

Życie gospodarcze nie jest sprawą prywatną poszczególnego przedsiębiorcy, jak sądzi p. Szarski, ale przedewszystkiem sprawą społeczną. Włas-

ność prywatna jest nietylko sprawą indywidualną danej jednostki, która ją posiada, ale ma do spełnienia także pewne funkcje społeczne, co określił już bardzo jasno przed wiekami św. Tomasz z Akwinu, a przypomnieli światu Leon XIII i Pius XI w swych encyklikach socjalnych. Jedną z głównych przyczyn niepokoju, chaosu, rozprężenia i nędzy, które świat ogarnęły jest bowiem praktykowanie prze przedsiębiorców zasad, proklamowanych przez p. Szarskiego, czyli traktowanie działalności gospodarczej jako rzeczy prywatnej człowieka, a człowiekiem tym dla liberalizmu jest przedsiębiorca. Robotnik dla liberała jest jednym ze środków produkcji. Dowodem tego nietylko dzisiejsza polityka zarobkowa' ale cała polityka przemysłowa i gospodarcza naszych liberałów. Motorem działalności gospodarczej dla nich jest pieniądz, a celem jej, robienie pieniądza. A w czasach ciężkiego kryzysu, jak obecny, przedsiębiorca, rządzący się tylko zasadami liberalizmu gospodarczego, chce za wszelką cenę utrzymać rentowność swego przedsiębiorstwa, i czyni to przedewszystkiem przez obniżanie tej części swoich kosztów własnych, na którą składają się zarobki robotników i pracowników, oraz wydatki, połączone z opieką socjalną. W tej dziedzinie natrafia na najsłabszy opór. Widzimy też dzisiaj, że liberalizm właśnie w tym kierunku objawia największy rozmach.

Podaliśmy w całości obszerne wywody „Polonji", gdyż chwytają one na gorącym uczynku i dyskwalifikują poglądy starej i zgrzybiałej, ginącej już myśli ekonomicznej, która jednak z wytrwałością godną, zaiste, lepszej sprawy — stara się utrzymać jeszcze na powierzchni życia polskiego i pokutuje w umysłach polskiej inteligencji. Poglądy te, wychodzące z założeń teoretycznych, mają także swój odpowiednik praktyczny, który „Polonja" przedstawia w ten sposób:

Robotnicy wprawdzie protestują przeciw obniżaniu zarobków, pogarszaniu warunków pracy, ograniczaniu opieki socjalnej, ale ich opór kończy się niestety tylko na słownych protestach. Rząd ratuje ginące życie gospodarcze, idąc na rękę przedsiębiorcom. W tym ciężkim kryzysie obniża się zarobki robotnicze, usuwa się z procesu produkcyjnego setki tysięcy robotników, wyrzucając ich na bruk. Tymi środkami nie uzdrowi się życia gospodarczego, lecz wytwarza się wiele palnego materjału socjalnego. Celem sanacji życia gospodarczego nie może być ratowanie kosztem społeczeństwa i grosza publicznego przedsiębiorstw nierentownych lub zgoła niezdolnych do życia wskutek fałszywych spekulacyj i kalkulacyj, i zapewnianie ich właścicielom w sposób sztuczny i niesprawiedliwy renty kapitalistycznej. Przedsiębiorstwa takie są pasożytami na ciele gospodarczem. Polityka kartelowa i celna sfer rządowych i gospodarczych, polityka subwencyj, i ulg taryfowych, częstokroć tylko ratowaniem przedsiębiorstw nieżywotnych lub nierentownych z winy ich właścicieli. Społeczeństwo i państwo nie mogą opłacać ryzyka liberalnego przedsiębiorcy.

Gdy mówi się obniżeniu kosztów własnych produkcji, celem przełamania kryzysu, ma się na myśli zawsze obniżanie zarobków i świadczeń

socjalnych. Zapomina się jednak zupełnie na tak zw. kosztach stałych. Nikt nie myśli o tem, aby z bilansów przedsiębiorstw poodpisywać pozycje, powstałe wskutek źle skalkulowanych inwestycyj, poczynionych przeważnie na drogi kredyt, które uniemożliwiają rentowność. A odpisanie tej części kosztów stałych mogłoby się przedewszystkiem przyczynić do uzdrowienia naszego życia gospodarczego. Kto źle spekulował, kto fałszywie kalkulował, powinien ponosić skutki swego niedopatrzenia lub też swej lekkomyślności. Jeśli banki lekkomyślnie dawały kredyty na te inwestycje, to one powinny ponosić konsekwencje. Ciekawem byłoby obliczyć wysokość nieroztropnie albo pod presją niedoświadczonych ministrów poczynionych inwestycyj. Naszem zdaniem wynosić one będą liczne setki miljonów złotych.

Nasz liberalizm gospodarczy żąda, aby skutki jego spekulacyj i fałszywych kalkulacyj uspołeczniano, to zn. spychano koszta utrzymania zredukowanych robotników na barki społeczeństwa i państwa, a wynagradzano straty takich nieżywotnych przedsiębiorstw ich właścicielom kosztem grosza publicznego. Zbieranie zysków liberalizm gospodarczy uważa za rzecz prywatną przedsiębiorców, ponoszenie strat zaś jest, jego zdaniem, rzeczą społeczną.

Liberalizm gospodarczy jest zwolennikiem gorącym socjalizacji, ale nie środków produkcyjnych i zysków, lecz strat swoich przedsiębiorstw. I przeciwko tej socjalizacji skutków spekulacji i fałszywej kalkulacji dziś praktykowanej pod płaszczykiem interesów rzekomo narodowych i państwowych, protestuje ludzkość w całym świecie. U nas zaś tem więcej, że mamy do czynienia z kapitalizmem obcym, któremu obojętne są losy naszego społeczeństwa, i który przyszedł do nas tylko po to, by zbierać rentę. W kapitalistycznym ustroju jednak ryzykuje się nietylko rentę ale i straty, i jedno i drugie trzeba ponosić.

Tak więc polityka gospodarcza „sanacji" idzie po linji najmniejszego oporu, popierając wielki przemysł i handel w sposób nieracjonalny nawet z punktu widzenia ekonomicznego oraz dobrze pojętego dobra całego społeczeństwa, a w sposób niesprawiedliwy z punktu widzenia etycznego. Weźmy np. stosunki panujące na Śląsku. Tam doszło już do tego, że poszczególni przemysłowcy uprawiają poprostu sabotaż w stosunku do społeczeństwa i państwa. Przedsiębiorstwa niemieckie na Śląsku polskim oddają zamówienia swoim filjom po stronie niemieckiej, dyrekcje wypłacają sobie olbrzymie, wprost fantastyczne tantjemy, pensje i odprawy kosztem wyrzucanych na bruk i przymierających głodem robotników. Oto, co pisał niedawno „Kurjer Śląski", domagając się sądów doraźnych na przemysłowców, uprawiających sabotaż:

„Przypomnimy tu te krocie tysięcy złotych, jakie otrzymał p. dyr. Lewalski z huty „Pokój" za doprowadzenie tej huty do takiego „rozkwitu", że musiała ogłosić aż upadłość. Dziś możemy podać, że dyr. Haase, ustą-

piwszy z koncernu „Wspólnoty interesów" otrzymał 30 tysięcy dolarów (około 270.000 złotych) jednorazowego odszkodowania i 2700 franków szwajcarskich mies. emerytury aż do końca swego życia. Dlatego to, robotnicy, nie możecie dostać na czas swych groszowych zarobków, bo pieniądze muszą być dla panów"...

„Wspólnota Interesów" należąca do międzynarodowego kartelu rur miała otrzymać w roku 1931 według ustalonego klucza jeszcze zamówień na 10.000 ton. Zamówień tych nie wykonał nasz przemysł, bo odstąpił je przemysłowi niemieckiemu, a mianowicie firmie Roehren-Verband G. m. b. H. w Düsseldorfie po cenie 60 fr. szw. za tonnę. Koncern „Wspólnoty Interesów" otrzyma za to odstąpienie zamówienia Niemcom 600 tys. frank. szwajc. Tak przemysł okrada robotników i państwo. To postępowanie przemysłowców jest najpospolitszą zdradą stanu i jako za taką powinni ponieść karę".

Takich faktów możnaby przytoczyć więcej w naszym zagłębiu węglowym. Dowodzą one, że przemysł niemiecki na Górnym Śląsku znajduje się nadal pod komendą Berlina i nic sobie nie robi z Rządu Polskiego. „Sanacja" zaś tak jest zajęta walką z Korfantym i z organizacjami chrześcijańsko-społecznemi na Górnym Śląsku, że niema czasu zająć się takiemi drobnostkami, jak wyżej wspomniane.

* * *

Nie ustaje na szczęście w prasie polskiej kampanja podjęta przeciwko drukowanej truciźnie, demoralizującej zwłaszcza młodzież. Tak się złożyło, że w ostatnich czasach kampanja ta zogniskowała się koło wydawnictw posła Marjana Dąbrowskiego z klubu B.B.W.R., wydawcy „Illustrowanego Kurjera Krakowskiego" i „Tajnego Detektywa". W poprzednim numerze podaliśmy protest społeczeństwa w tej palącej sprawie. Obecnie przybyło kilka nowych danych. Organ Związku Nauczycielstwa Polskiego „Nasz Głos" podał wyniki ankiety o wpływach „Tajnego Detektywa" wśród młodzieży szkolnej w Poznaniu. Wyniki są bardzo charakterystyczne. Okazuje się, że:

„Osobniki, zdradzające słabe postępy w nauce... oraz opóźnieni (repetenci) szczególniej interesują się „Detektywem", że „największe nasilenie czytelnictwem „Detektywa" objawia się w latach od 10—12 r., w klasach mniej więcej IV i V szkoły powszechnej i I i II szkoły wydziałowej, większe u chłopców niż u dziewcząt". „Zainteresowanie to u chłopców jest większe dwukrotnie, co się wyraża w danych procentach: chłopcy 21 proc., dziewczynki 10 proc.".

Na czele kroczą szkoły powszechne; „stąd wniosek, że tego rodzaju lektura zdobyła sobie najwyższe zainteresowanie wśród dzieci z proletarjatu".

Cóż w tem piśmidle tak interesuje chłopców? Odpowiedzi ich są bardzo charakterystyczne. „Paczę (patrzę), czy znowu niema jakiegoś wstrętnego zabójstwa". Innego interesują samobójstwa. Jeden z dziesięciolatek pisze: „Najwięcej podobają mi się morderstwa". Starszy o rok pisze: „Najwięcej interesują mnie mordy, kradzież i samobójstwa". Jedenastoletnie dziewczę jest ciekawe, „jak zabijają". Inna, 10-letnia dziewczynka, pisze: „W tej gazecie najciekawsze jest jak jeden pan zabił dwie dziewczynki".

Co najgorsze, to, że rodzice sami niekiedy tresują dzieci swe na zbrodniarzy za pomocą „Tajnego Detektywa", czytając im go w domu.

Jak wiadomo, Związek Nauczycielstwa Polskiego postanowił na swem Zjeździe wystąpić przeciwko wpływom „Tajnego Detektywa" wśród dzieci szkolnych. Ankieta powyższa dowodzi, jak dalece to wystąpienie jest uzasadnione".

W lipcu r. b. powieszony został w Rybniku na zasadzie wyroku sądu doraźnego ohydny zbrodniarz Józef Gawliczek, który dopuścił się gwałtu na 7-letniej dziewczynce, a następnie rozszarpał ją w kawałki, jak dzikie zwierzę. Akt oskarżenia powołuje się na zeznanie zbrodniarza, stwierdzające, że ulubioną jego lekturą był „Tajny Detektyw". Świadkowie w procesie stwierdzili tę samą okoliczność, zaś biegły lekarz Dr. Cyran oświadczył:

„W związku z tą sprawą, jako lekarz, z całą świadomością mojej odpowiedzialności, muszę tutaj powiedzieć, że zboczenie, któremu ulega oskarżony, nie jest wynikiem dziedziczności. Tego rodzaju zboczenia powstają pod wpływem jakiegoś bodźca. Bodźcem tym bardzo często jest tego rodzaju prasa, jak „Tajny Detektyw". Widząc dzieci, czytające „Tajnego Detektywa", nie moge opanować, jako lekarz, przerażenia, jakie mnie ogarnia. Najlepszym dowodem skutków, które tego rodzaju lektura wywiera, jest człowiek, którego oglądamy na ławie oskarżonych".

„Polonja" poświęca temu wydarzeniu dłuższy artykuł, bardzo mocny w tonie i w treści, w którym stwierdzając wielką odpowiedzialność wydawcy „Tajnego Detektywa", podkreśla, iż mimo swojej występnej działalności pan t en jest popierany przez osoby urzędowe, których obowiązkiem jest stać na straży moralności publicznej. Czytamy w artykule:

Ale jak dotychczas, występują bez skutku, a co najciekawsze, że znajdują się wciąż jeszcze ludzie, którzy mając pretensje do zajmowania stanowisk w społeczeństwie, nie wstydzą się współpracować w wydawnictwach tego zatruwacza życia w Polsce. Niedawno czytaliśmy, że prokurator w procesie Gorgonowej zdobył się na napisanie artykułu w tym piśmie, tak samo jak niestety znalazł się ksiądz katolicki, który swoimi elaboratami zasilał zbrodnicze to wydawnictwo. Społeczeństwo nie dowiedziało się dotychczas, aby jednego lub drugiego pociągnięto do odpowie-

działności, natomiast wyczytało, że minister sprawiedliwości niezbyt dawno temu zaszczycił wywiadem drugie, codzienne wydawnictwo tego posła sanacyjnego.

O powszechnym upadku moralności w naszem społeczeństwie świadczą najwymowniej fakty takie, że taki pan, jak p. Dąbrowski może być nadal patronem różnych instytucyj społecznych, a pewne towarzystwa, jak klub motocyklistów w Cieszynie, robią go jeszcze protektorem imprez sportowych, że może rozszerzać wiadomości, iż na wyścigi protegowane przez niego przybędą Prezydent R. P. i inni dostojnicy państwowi, że nadal zdobi on szeregi klubu rządowego BB.

W państwie naszem ściga się i karze surowo handlarzy trucizny, narkotyków, tajną sprzedaż alkoholu, sprzedawania alkoholu nieletnim dzieciom, handel żywym towarem, rajfurstwo i tp. zbrodnie i wykroczenia. „Tajnego Detektywa" jednak, który pod względem moralnym wyrządza zdrowiu moralnemu społeczeństwa szkody większe od najgorszej trucizny, nieomal się proteguje. Na wszystkich dworcach pismo to jest wyłożone, we wszystkich kioskach tytoniowych jest ofiarowane, kupuje go młodzież szkolna, kupują go niedorostki, i nikt przeciw temu nie występuje. Powołani gospodarze tych lokali nie ruszają się, minister policji jakby nie istniał. Czy interes zdrowia moralnego narodu nie wymaga, aby „towar" p. Marjana Dąbrowskiego znikł z dworców i z kiosków? Przecież wystarczyłoby jedno rozporządzenie ministra Kolei. Tak samo po miastach magistraty na koncesjonarjuszy kiosków mogłyby wywrzeć nacisk, aby „Tajnego Detektywa" nie sprzedawały. Musimy zapytać się także towarzystwa „Ruch", które zajmuje się sprzedażą pism na dworcach, czy uważa, że każdy zarobek jest dobry, nawet zarobek na „Tajnym Detektywie?" W towarzystwie „Ruch" wydawca „Tajnego Detektywa" zdołał zdobyć 60 proc. akcji. Czy rząd nie uważa, że wobec propagowania przez „Ruch" trucizny w interesie zdrowia publicznego nie należy zmienić warunków koncesji.

Proces rybnicki odsłonił zbrodniczą działalność „Tajnego Detektywa" i jego wydawcy w całej nagości. Stwierdził ją sąd i napiętnował. Społeczeństwo dalszej działalności krakowskiego sanacyjnego wydawcy tolerować nie może. Jeśli władze nie przeszkodzą jego zgubnej i zbrodniczej działalności, społeczeństwo chwyci się samoobrony. I u nas znajdą się ludzie, jak ów ksiądz francuski, który obchodził kioski w Paryżu i niszczył stale zbrodnicze wydawnictwa, zatruwające serca młodzieży.

„Widząc dzieci czytające „Tajnego Detektywa" nie mogę opanować— jako lekarz — przerażenia, jakie mnie ogarnia", powiedział przed sądem w Rybniku p. dr. Cyran. Każdy uczciwy obywatel zaś powie: „Widząc młodzież czytającą „Tajnego Detektywa", nie mogę opanować swego przerażenia jako Polak, katolik i obywatel". Kiedy przerażą się władze nasze? Kiedy przerażenie ogarnie protegujących króla pałacu prasy dygnitarzy naszych?

Wszak w „I. K. C." ukazywały się i ukazują nadal anonsy i ogłoszenia, które są niczem innem, jak zwykłem rajfurstwem i stręczycielstwem do nierządu. Jeżeli prawo karze czerpanie

zysku z nierządu kobiet ulicznych przez t. zw. sutenerów, to dlaczegóż ta forma zysków nieprawych, otrzymywanych przez nieuczciwego redaktora i wydawcę w drodze ogłoszeń i anonsów stręczycielskich, a przynosząca daleko więcej pieniędzy, niż proceder zwykłemu sutenerowi — ma pozostać bezkarną!? Doprawdy, potrzebny jest specjalny artykuł kodeksu karnego obejmujący to rozwielmożnione we współczesnem dziennikarstwie przestępstwo.

* * *

Specjalnym rodzajem demoralizacji jest wprowadzenie polityki partyjnej, walk i animuzyj politycznych do szkolnictwa i zatruwanie temi miazmatami dusz młodzieży.

Wiemy dobrze, co się dzieje od pewnego czasu w naszem szkolnictwie, jaki powiał tam prąd... Od czasu do czasu przedostają się do wiadomości opinji publicznej poszczególne fakty z radosnej twórczości ministra Jędrzejewicza. Np. drobny, a jak charakterystyczny fakt: niedawno komisja ministerjalna oceny książek dla młodzieży zaleciła do czytania dla młodzieży szkolnej od lat 15 (D. U. M. W. R. i O. P. № 1 str. 53) książkę André L. „Szlakiem niepodległych" 1918—1928. Oto niektóre wyjątki:

(str. 63). „Ha, majstrowie od rządów, oszuści, obwiesie! Dać ich tu! Śmierć złodziejom publicznego grosza!"

(str. 69). „Tak przyszła północ zdarzeń. I na wielkie łowy Wyruszył ośmionogi pająk witosowy. Ziemię oprządł dokoła, opasał, omotał, Pajęczyną przekupstwa i gorączki złota".

(str. 76). „A jeśli i to nie zdoła Z oczu panów i chamów zedrzeć katarakty, Jeśli spojrzawszy na ziemię i niebo, W mgławicy dziejów Polski nie dostrzegą, Jeżeli głąby, cymbały, dębale, Po wielkiej czci utracie Ośmielą się zuchwale Popuszczać pasa w sejmie, bruździć jak trąba (x) w senacie". (Wyjaśnienie (x) Senator Trąmpczyński).

Dla wyjaśnienia zaznaczamy, że autor swoją apostrofę o oszustach, obwiesiach i złodziejach publicznego grosza stosuje nie do znanych i wytykanych palcami rycerzy „radosnej twórczości", lecz do wszystkich organizacyj politycznych i stronnictw polskich poza B.B. W.R.! Zadaniem tej książki dla młodzieży od lat 15 jest zohydzić w jej oczach i pomalować na czarno wszystkie wolne związki i organizacje, będące emanacją swobodnej myśli politycznej narodu polskiego, a natomiast podnieść pod niebiosa i zrównać z bohaterami narodowymi wszystkie sługi dyktatury i jej naczelnego przedstawiciela.

Trzeba dodać, że książeczka ta została wydana z subwencji wydziału sztuki i kultury Ministerstwa W.R. i O.P.

Na tem ma polegać zapoznawanie młodzieży ze współczesną historją narodu. I ci pedagogowie z Kiernozi łudzą się, że zdołają sfałszować w umysłach całego młodego pokolenia i przewrócić do góry podszewką fakty zaszłe przed kilkoma laty, albo dziejące się aktualnie. Nie zaprzeczamy, że szkody wyrządzą duże, spustoszenia olbrzymie, przedewszystkiem rozpolitykują całe szkolnictwo, ale nie zawsze w pożądanym dla siebie kierunku. Znajdą się ludzie, którzy potrafią sprostować i uzupełnić historję stworzoną przez pp. André et tutti quanti...

* * *

Na wstępie omawialiśmy zagadnienia związane ze współczesnym kryzysem gospodarczym w Polsce i na całym świecie. Stwierdziliśmy, że t. zw. obóz sanacyjny, rządzący obecnie Polską, nie ma w tej dziedzinie żadnej określonej polityki. Prowadzi swoje posunięcia od wypadku do wypadku, dla osiągnięcia doraźnej korzyści, bez żadnego poważnego planu reformy, zakreślonego na dalszą metę.

Tem większe obowiązki ciążą wobec tego na inteligencji katolickiej. Inteligencja ta nie jest wprawdzie obowiązana należeć do jednego obozu politycznego. Powinna jednak w myśl wyraźnych zupełnie wskazań Stolicy Apostolskiej, zawartych w encyklikach społecznych — czynić przynajmniej próby i usiłowania w kierunku ustalenia zasad reformy stosunków ekonomicznych i polityki ekonomicznej w Polsce.

Sanacja bowiem nie jest wieczna, kiedyś się skończy. Pan Bóg zsyła karę na narody w różnej postaci, czy to najazdu nieprzyjaciół, czy złych i głupich rządów, czy epidemji, lub klęsk żywiołowych. Kara ta jednak nie trwa wiecznie, ma swój początek, środek i koniec... Miejmy więc nadzieję, że prędzej, czy później zniknie sanacja z naszego życia publicznego. Oczywiście wówczas dojdą do władzy te czynniki, które będą do jej sprawowania przygotowane. Katolicy zaś będą mieli tem większy głos w nowych rządach, im bardziej będą zorganizowani i programowo przygotowani do rozwiązania współczesnych trudności, a w pierwszym rzędzie kryzysu gospodarczego.

Trzeba podkreślić, że katolicy w wielu krajach zrozumieli swoją rolę i zadania w czasach współczesnych. Wyrazem tego

są zjazdy i tygodnie społeczne katolików francuskich w Lille, gdzie myśl zgromadzonych nie błąka się w abstrakcyjnych formułkach i rok rocznie powtarzanych truizmach, lecz idzie śmiało i zdobywczo naprzód, żłobiąc coraz to nowe, konkretnie ujęte zagadnienia. Dla illustracji podajemy za prasą codzienną wiadomości dotyczące ostatniego tygodnia w Lille:

Tematem tygodnia jest „Nieład w gospodarstwie międzynarodowem, a myśl katolicka", w związku z którym będzie poruszona sprawa kryzysu, trapiącego świat i omówione środki, jakie ku jego usunięciu poddaje katolicka nauka społeczna.

Ojciec św. przesłał do przewodniczącego „Tygodnia" pismo o szczególnej wadze.

Po stwierdzeniu zasadniczej jedności wielkiej rodziny ludzkości, Papież wskazuje w nim na obowiązki poszczególnych jej członków, oparte na zasadach miłości, do której zobowiązani są nietylko względem swojej ojczyzny, ale także i w stosunku do innych narodów. Ojciec św. stwierdza, że każdy naród ma obowiązek zdawać sobie sprawę z żywotnych interesów innych krajów, a wszystkie narody mają obowiązok rządzić się we wzajemnych stosunkach sprawiedliwością i miłosierdziem; winne dążyć do służenia dobru wspólnemu, mieć zrozumienie niezależności innych, a odpowiednio do wspólnych interesów winna być i współpraca.

Jeśli, ogólnie biorąc, idzie o uzdrowienie wewnętrznej gospodarki narodowej, nie może to nastąpić przez systematyczne poszukiwanie wyjścia we własnych tylko granicach gospodarczych, które coraz bardziej zamykają się dla innych, lecz należy uwzględniać te donośne wskazania, jakie, są zawarte w encyklikach społecznych „Caritate Christi compulsi" i „Quadragesimo Anno".

W końcu zaleca Papież w swym liście poważne badania naukowe, któreby przyczyniły się do uzdrowienia sytuacji. Wreszcie, wskazując na korzyść pomocy Bożej, wzywa do specjalnych modłów i szczodrze udziela swego apostolskiego błogosławieństwa.

Widzimy więc, że Ojciec Chrześcijaństwa nie opuszcza żadnej sposobności, aby ponawiać swoje wezwania, zachęcające katolików do studjów i akcji w kierunku społeczno-gospodarczym.

Że zaś cele i zadania tygodnia są zupełnie wyraźne i skonkretyzowane—o tem pouczy nas, co następuje:

O godz. 9 w przepełnionej auli uniwersytetu katolickiego (przeszło 2000 osób) przemawiał ogólnie ceniony dziekan wszechnicy prawa w Lille prof. Eugenjusz Duthoit, Kreśląc zarysy programowe Tygodnia społecznego, p. Duthoit wyraził zamiar przestudjowania wraz ze słuchaczami kwestji międzynarodowego porządku ekonomicznego z punktu widzenia katolickiego. Przedewszystkiem — mówił prelegent — daje się wszędzie zauważyć, tak w pojęciach jak i w postępowaniach, dziwny chaos i sprzecz-

ności. Z jednej strony widać starania polepszenia sytuacji. Lecz próbom zniesienia barjer celnych przeciwstawia się konkurencja rynkowa, wojna ekonomiczna, polityka zamkniętych rynków wewnętrznych oraz podniesienie stawek taryfowych.

W dalszym ciągu swego przemówienia p. Duthoit przypomniał nieszczęścia, związane z inflacją i mówił o konieczności zwartego frontu, przeciwstawiającego się amoralności i nieporządkom współczesnym. Na szczęście poszczególnym nacjonalizmom ekonomicznym przeciwdziała dosyć skutecznie doktryna współpracy gospodarczej państw, dająca już pewne rezultaty, tak że istnieją oznaki pomyślne naprawy sytuacji. Kościół przez usta swego Najwyższego Pasterza okazał tym usiłowaniom całkowite swoje poparcie. Poparcie to jest koniecznem, albowiem żadna z instytucyj porządku społecznego nie będzie miała dość siły, jeśli nie ożywi jej duch chrześcijański, duch wyrażający się przedewszystkiem w miłosierdziu chrześcijańskiem, darze iście Boskim, którego nic zastąpić nie jest w stanie.

Konkludując, mówca stwierdza, że w dobie ciężkich doświadczeń dzisiejszych jedno słowo zdolne jest podtrzymywać ludzkość: Zaufanie. Zaufanie to musi posiadać treść nie banalną, a opierać się na przesłankach natury metafizycznej, chrześcijańskiej. Trzeba przedewszystkiem obudzić ufność w Kościół, który nie zapoznając ani nie wykluczając natury, przeciwnie podnosi ją do wyżyn naprzyrodzonych.

Katolicy francuscy odczuwają w sobie odpowiedzialność za wypadki współczesne i mają szlachetną ambicję do czynienia na zajmowanym przez nich odcinku „Deigesta per Francos". Wiedzą oni, że wszystkie najtrudniejsze zagadnienia i problemy rozwiązane być mogą poważnym wysiłkiem intelektualnym, a następnie wolą pchającą do akcji i realizowania zasad w życiu konkretnem.

Kiedyż młode pokolenie inteligencji katolickiej w Polsce wyjdzie z dotychczasowego marazmu i skieruje swoje wysiłki na odcinek życia społeczno-gospodarczego? Kiedyż Rerum Novarum i Quadragesimo Anno doczekają się u nas opracowania i realizacji...

S. J. K.

DZIAŁ LITERACKO - OPISOWY.

Na mazowieckiej równi.

Rok rocznie spotykamy w pismach naszych plany pochwalne na cześć Tatr, Zakopanego, Morskiego Oka, wybrzeży Bałtyku i t. d.

Już mniej licznie jawią się na szpaltach opisy Druskienik

i Podkarpacia, czasem zawiodą nas korespondenci w błotniste okolice Polesia lub nad jeziora augustowskie.

Najmniej dowiaduje się ogół czytelników o połaciach kraju, leżących bliżej wielkich ośrodków a tem samem nadających się do letniego pobytu dla wielkiej rzeszy mniej zamożnych mieszkańców miast, uciekających od t. zw. „letnisk” podmiejskich. A niema zakątka ziemi naszej, na którejby Opatrzność Boża hojną ręką nie rozrzuciła czarów przyrody: jasnych łąk, żniwnych pól i ciemnych lasów, a gdzieby nie witały przybysza zabytki przeszłości, świadczące o zapobiegliwej pracy minionych pokoleń. Przeszłość podaje chwili obecnej dłoń, zjednoczona miłością ojczyzny—Polski i własnego, cichego zakątka.

Krajoznawstwo polega właśnie na poznawaniu mniej przez turystów uczęszczanych szlaków, fizjonomja swoista ziemi naszej występuje na nich dobitniej niż w uzdrojowiskach, miejscach kąpielowych i plażach o charakterze więcej międzynarodowym.

Takim wybitnie polskim jest krajobraz roztaczający się z okien wagonu t. zw. „samowarku” na odcinku wąskotorówki między Sierpcem a Lipnem. Jedziemy prawie na granicy ziemi pomorskiej i mazowieckiej równiny, Widoki mało urozmaicone w swej płaskiej jednostajności, o piaszczystym gruncie, słabo zalesionym. „Trochę wydm... trochę piasku... nieco wody...” jak powiada jeden z regjonalnych autorów. A jednak.... Co krok spotykamy po kościołach i dworach przeszłość, jeśli nie sławną to w każdym razie godną i szlachetną. I to nadaje urok tym zakątkom polskiej ziemi.

Karnkowo od 1270 r. dokumentami stwierdzona własność starego mazowieckiego rodu Karnkowskich. Liczne dostojeństwa kościelne i świeckie, piastowane przez jego właścicieli sprawiały, że Karnkowo tylko czasowo bywało zamieszkanem; wojewodowie i kasztelani Karnkowscy żyli zwykle w Płocku, dopiero od roku 1752 osiedlają się na stałe w rodzinnem gnieździe. Dwór-pałac zniszczony pożarem w końcu 18 w. niczem się nie wyróżnia od innych siedzib ziemiańskich zato historycznym jest kościół, wzniesiony przez prymasa Karnkowskiego za panowania Stefana Batorego w 1580 r. Z budową kościoła łączy się podanie, że król Stefan w drodze do Gdańska, dokąd się wybrał, by uśmierzyć buntowników, wstępował do prymasa, którego duży i bogato urządzony pałac odbijał świetnością od ubogiej i małej kapliczki bi-

skupiej. Batory zwrócił uwagę prymasa na tę nierównomierność a dostojnik Kościoła, zadraśnięty w swej dumie i gorliwości arcypasterskiej, zaręczył królowi, że w drodze powrotnej z Gdańska zastanie już w Karnkowie piękny kościół. Tak też się stało. W cztery miesiące wzniesiono do dziś istniejącą świątynię, w której król Stefan z nabożeństwem pierwszej Mszy św. wysłuchał. Na wieży kościoła widnieje herb Karnkowskich Junosza a wewnątrz znajduje się kilka interesujących nagrobków i płyt. Później dobudowana kaplica rodzinna wprowadza pewną dość miłą dla oka asymetrję w budowę kościoła, mniej przez to szablonowego i banalnego. Brat prymasa, Jan Karnkowski, na którego przechodzi Karnkowo pochowany jest pod ołtarzem. Płyta nagrobna przedstawia go z małżonką z Nadborowskich. Pamięć prymasa uwiecznia zupełnie zwietrzała płyta marmurowa, która przez długie lata umieszczoną była na zewnątrz kościoła, dlatego i napisy dziś odczytać trudno.

Dość oryginalną w układzie jest stela z piaskowca, przedstawiająca wojewodzinę płocką Karnkowską z dzieckiem. Prymitywnie pojęta budzi zainteresowanie zwiedzających.

Z bliższych nam czasów widzimy nagrobek Jana Karnkowskiego, stryja dziada dzisiejszych właścicieli, powstańca z 31 r. człowieka wielkiej zasługi i szerokiego serca, z którym nawet władze rosyjskie się poważnie liczyły. Konstanty Karnkowski, jego siostrzeniec i spadkobierca, zamiłowany numizmatyk zbiory swoje ofiarował Towarzystwu Naukowemu w Płocku, gdzie umieszczono je obok bibljoteki Zielińskich. Karnkowo posiada bardzo piękne i starannie utrzymane archiwa, jedne z najkompletniejszych w kraju według orzeczenia rzeczoznawców. Dzisiejsi właściciele myślą o oddaniu ich po ostatecznem uporządkowaniu bibliotece Krasińskich w Warszawie.

Dwór i plebanja pracują ręka w rękę w Karnkowie, w którym wyczuwa się atmosferę czysto polską poszanowania tradycji i przeszłości połączonej z mądrą troską o chwilę dzisiejszą i o jutro. Niedawno słyszałam nieco odmienny pogląd na życie i przeszłość a to, gdy zapytywałam kogoś w okolicy tutejszej o jeden z zabytków: „niech sobie przeszłość leży w spokoju, trzeba myśleć o teraźniejszości, o dachach, które potrzebują naprawy", dlatego to mile uderza kult tradycji złączony ze skrzętną zapobiegliwością o utrzymanie się i coraz lepsze rozgospoda-

rowanie w tylu posiadłościach na mazowieckiej ziemi. Jedną z nich jest Skępe, duży kompleks dóbr, należących od r. 1690 do rodziny Zielińskich. O 4 km. od Karnkowa odległe obejmuje Skępe trzy odrębne posiadłości: 1) dwór Skępe — stacja, wioska, 2) kościół i miejscowość Wymyślin, 3) Miasto Skępe — stacja: Skępe.

Za czasów Kazimierza Jagiellończyka cały obszar był własnością jednego potężnego władyki Kościeleckiego, poczem drogą pokrewieństwa i kupna przechodzi do rodziny Garwarskich od których nabywają Skępe Zielińscy, utrzymujący się dotąd w jego posiadaniu. Po prawej stronie szosy między Skępem-wioską, a Skępem-miasteczkiem stoi starożytna świątynia skępska z gmachem poklasztornym, zamienionym na seminarjum nauczycielskie po wysiedleniu Bernardynów w 63 r. Dziś mieści się w budynkach poklasztornych proseminarjum dla chłopców. Kościół skępski jest dużą i piękną świątynią wzniesioną częściowo już w XV wieku. Późniejsze ołtarze barokowe utrzymane są w szlachetnej linji, wnętrze krużganków i kościoła ozdobione są malowidłami „al fresco" braciszka Bernardyna Kazimierza Żebrowskiego.

Największą chwałą kościoła i okolicy jest cudowna figura Matki Boskiej, czczona w wielkim ołtarzu. Tradycja niesie, że córka Mikołaja Kościeleckiego Zofja, nawiedziona ciężką niemocą miała we śnie widzenie: w małym kościółku parafjalnym zbliża się do niej piękna Pani, bierze ją za rękę i cudownie uzdrawia. Rodzice jej mieli widzenie podobnej treści. Zarządzono więc pielgrzymkę do kościoła. W połowie drogi zrywa się chora z noszy, biegnie przed ołtarz i rzuca się na kolana przed obrazem Matki Boskiej. Wtedy ma drugie widzenie w którem Najśw. Panna nakazuje jej nabycie obrazu nowego do nowego kościoła. Panna Kościelecka pojechała do Poznania, cudownie natrafia u ubogiego snycerza na statuę Matki Boskiej, o której posiadaniu sam nic nie wiedział i przywozi ją do rodzinnej wioski, gdzie rodzice jej wystawiają wspaniały kościół.

Niebawem zasłynęła Matka Boska skępska cudami w okolicznych ziemiach: mazowieckiej, chełmińskiej, dobrzyńskiej. Pielgrzymki zdążały gęsto do Skępego, obsługa w kościele nadążyć nie mogła zapotrzebowaniom wiernych—zwrócono się więc do brata właściciela Skępego, biskupa chełmińskiego, który kilku bernardynów z miasta Koła w Poznańskiem do klasztoru spro-

wadził. Mówiąc o Skępem, trudno nie wspomnieć o „Borku" skarlałej dziś resztówce pięknego niegdyś boru, prawdziwej puszczy, bogatej w niebotyczne sosny i tysiącletnie dęby, sięgające wiekiem w zamierzchłe czasy pogańskie. Pozostał ostatni jedyny dąb pamiątkowy, obok ogrodu poklasztornego, samotny zabytek pogańskiego uroczyska. Mniej więcej w środku Borku, dziś parku spacerowego mieszkańców miasteczka leży niewielki cmentarz, znany pod nazwą „katakumb". Miano to pochodzi od murowanych pieczar zajmujących północną ścianę. Znajdują się w nich grobowce znakomitych dostojników ziemi płockiej, którzy poczytywali sobie za zaszczyt spocząć na ziemi „świętej" w pobliżu cudami słynącej Matki Boskiej skępskiej. Leżą tu Sumińscy, Chełmiccy, Zboińscy wojewodowie płoccy i wielu innych z wygasłych już dzisiaj rodów. Tu też jest pochowany Gustaw Zieliński 1809—1881 oficer wojsk polskich, poeta i pisarz, a po 63 r. zesłaniec na Sybir. Dość liczne jeszcze niezajęte pieczary zapełniają się od czasu do czasu, ale rzadko, bo koszta spoczywania w „katakumbach" są dość wysokie. Cmentarzyk wnosi w polski krajobraz przypomnienie dalekich włoskich „campi santi" tylko że nie cyprysy stoją na straży umarłych lecz szumią rozłożyste lipy i rosochate kasztany.

Jednym z uroków Skępego, przyciągającego rok rocznie zastępy letników jest duże jezioro, pozostałość najbardziej na poł. wschód wysunięta pojezierza pomorskiego, nazywają je w gwarze ludowej Jeziorem Wielgiem, (t. j. wielkie) ma bowiem 4 km. długości a $1^1/_2$ szerokości. W lecie życie i zabawy ogniskują się na jeziorze. Mnóstwo łódek, kajaków, żaglówek pruje jego fale, letnicy używają rozkosznej choć niezupełnie pewnej kąpieli, amatorzy łowią ryby i raki a najleniwsi wygrzewają się na miniaturowej plaży na słońcu. Nieco dalej leży mniejsze jezioro „Święte", w którem według podania apostołowie Mazowsza chrzcili ludność okoliczną za piastowskich czasów. W tych cichych, jednostajnie równych okolicach wśród falowania dojrzewających zbóż i srebrzystego pogwaru wód jeziora zapomina się na chwilę o gorączkowem tempie życia w stolicy, o jego troskach, i ciągle zmiennej fizjonomji.

Rodzina Zielińskich rozsiadła szeroko w ziemi płockiej, zamieszkuje liczne dwory w okolicy. Jednym z piękniejszych jest Wierzbick niedaleko Lipna, słynący wzorowo prowadzonym ogro-

dem i doskonałemi owocami. Z kościołów zwraca w bok od Sierpca uwagę świątynia w Bożewie. Jest to stary kościół krzyżacki o grubych na 2 m. murach, w których istnieją wnęki więzienne i miejsca na t. zw. „kuny" czyli okowy, któremi skuwano ręce i nogi winowajców i niewinnych ofiar rycerskiego zakonu. Komisja ochrony zabytków w Płocku zaopiekowała się tym kościołem, najbardziej wysuniętym na południe z krzyżackich świątyń.

W Sierpcu trasa szeroko-torowa przejmuje podróżnych z „samowarku", unosząc ich do Warszawy, daleko od żyznych pól i poziomkami a grzybami woniejących lasów tego zakątka polskiej ziemi.

„My pamiątek i tradycji nie mamy" mówiła mi pewna amerykanka—ale ich wam zazdrościmy, one uszlachetniają życie, przepełnione „business'em". *Celina Stoińska.*

Jeszcze z powodu książki „Co czytać"? O. M. Pirożyńskiego*).

Pożytek i wartość pewnej książki w Polsce od pewnego czasu mierzy się skalą gwałtu, jaki z jej powodu wszczyna lewica bezwyznaniowa.

Można to powiedzieć o poradniku dla czytających książki pod powyższym tytułem. Prawdą jest, że ksiądz, który będąc sam wychowawcą, postanowił zwrócić uwagę na trucizny w literaturze, nie jest zawodowym krytykiem, ani wytrawnym literatem. Ale gdzie ludzie milczą, zaczynają wołać kamienie i on nie ma do tego pretensji, o tyle, że wiele ocen, jak sam objaśnia, brał od innych krytyków i historyków literatury. Źródła te sam wskazuje (Przegląd Powszechny, Chlebowski, Bethleem, Lit. Feldmana). Chodziło mu o ocenę książek z punktu widzenia wyłącznie etyki, i to etyki katolickiej.

Książka ta daje przegląd katalogów krytycznych, kierujących czytelnictwem, wyjątki z kodeksu prawa kościelnego dotyczące książek zakazanych i wreszcie wykaz książek i autorów, znajdujących się na indeksie. Z tego punktu widzenia ma znaczenie zapoczątkowujące.

---

[1]) artykuł dyskusyjny.

Odzwyczailiśmy się od kierowania się w życiu kulturalnem wskazaniami kościoła. „Kulturalność" stawiamy ponad czystość atmosfery domowej i zbawienie duszy. Ze zdumieniem dowiaduje się katolik współczesny, że Du nas, Balzac, France, Zala Maeterlinck i tylu innych są na indeksie. Kościół—dobry wychowawca, broni chwiejne dusze współczesne od zmaterjalizowania, ataków na religję, rozkładowego sceptycyzmu, mistycyzmu bez busoli i steru, prowadzącego do herezji, wreszcie od kultu zmysłów i erotomanji. Ile to ostatnie nastawienie, raczej wykolejenie, ludzkie sprawia niewymownego nieszczeńcia i udręki, tego nie widzą upadli czciciele Astarty.

Że prefekt stojący na straży czystości dzieci, najwięcej zwrócił uwagi na erotomanję i pornografję—nic w tem dziwnego, Boyowie produkują O. Pirożyńskich. Gdyby nie szturmowano apologją rozpusty („Polskie giejsze") i erotomanją do wyobraźni dziecinnych, gdyby straszliwego spustoszenia nie czyniło to w duszach młodzieży, to ta bestja apokaliptyczna nie przesłoniłaby wszystkich dziedzin życia.

Działalność ks. ks. prefektów ogranicza się na razie do dziedziny moralności indywidualnej, gdyż udział dzieci w życiu zbiorowem jest jeszcze dość nikły. Ale katolicyzm, jak świadczą o tem encykliki Ojca św., dąży do wprowadzenia swych kryterjów, wziętych z nauki Chrystusa, do życia zbiorowego. Wtedy więcej problematów literatury współczesnej przyjdzie pod rozważanie. Wtedy formy patrjotyzmu, życia gospodarczego, działalności społecznej znajdą oświetlenie w nauczaniu księży. Ta praca opanowania i prześwietlenia *całego* życia ideą chrześcijańską dopiero się zaczyna.

Zło bijące na pierwszem miejscu z książek jest to erotomanja, która w powieści wszystko inne przesłoniła sobą. Akcja wywołuje reakcję. Nadmiar i rozpasanie erotomanji wywołuje obronę przedewszytkiem przeciwko niej Bóg rodzi O. Pirożyńskiego.

Co do książek, które O. Pirożyński sam ocenia, to rąbie prawdę, nazywając rzeczy po imieniu, które krytyk-esteta, nawet wierzący, byłby owinął w definicje bardziej abstrakcyjne lub ozdobne, że straciłyby swoją rubaszną werydyczność. Wygląda tak, jakby cwany sofista piętrzył gmach sylogizmów, usprawiedliwiając defraudanta. A prostak słuchający tego, przerwałby

to konkluzją:—choć i pięknie gadasz, a taki to złodziej!—Albo piękna dama szłaby wśród szmeru komplementów, ażby dziecko krzyknęło:—Ależ ona malowana!

O książkach poczytnych rąbie O. Pirożyński: „Niezdrowa sensacja", współczesny pornograf, polski", „zła książka", niemoralne i nudne", „zaprawiane sosem wstrętnej rozwiązłości". Nie można powiedzieć, żeby to były oceny fachowego krytyka. Są to rąbnięcia moralisty.

Przyjdą inni, wykwalifikowani, siedzący po uszy w bibule, nie w życiu i poprowadzą dalej dzieło O. Pirożyńskiego. Ale jego inicjatywa, jego krzyk, który przerwał oczarowany taniec pod skrzypki Chochoła, jego wstrząśnienie sumieniami wychowawców, dających bezmyślnie do ręki młodzieży złą lekturę, jego przypomnienie o indeksie, prawie kanonicznem i wreszcie o schludności duszy ludzkiej ma swoje znaczenie i należy się O. Pirożyńskiemu uznanie za inicjatywę.

Ale tym, dla których taki poradnik był wysoce niedogodny, było na rękę uczynić z O. Pirożyńskiego krytyka, aby wykazać nicość działalności literackiej katolikkw. Istotnie, krytykom katolickim (a jest ich sporo i to ludzi którym nikt nie odmawia talentu) powinno być wstyd, że wtedy, gdy oni się bawili w estetyczne esy-floresy, wyręczył ich ksiądz nie-fachowiec, wyręczył ich człowiek serca, nie mogący znieść marnowania dusz ludzkich.

Cóż to za niski poziom, cóż to za brak kultury mówić na rozpustę—że to rozpusta, na grzech—że to grzech! Niebywała ciemnogrodztwo, zaściankowość, brak europejskości!

Tylko że w Europie takie indeksy dawno są wydawane i niekoniecznie przez fachowych literatów. Ale to jest dziedzina zamknięta dla propagatorów Boyów, Pitigrillich, Zweigów.

Ze książka O. Pirożyńskiego nie w smak poszła bezbożnikom, nic dziwnego, jeżeli pisze: „Nie warto reklamować efemeryd, które jużto tytułem swym, jużto sposobem reklamy, jużto przez firmę wydawniczą zostały zdyskwalifikowane" (Renaissance, Alfa, Bibljon—wszystkie żydowskie).

Ach, cóz za nizki poziom! W „Dziedzictwie" Wybranowskiego doskonale opisano niedawno sposób robienia reklamy w pewnych sferach.

Jeżeli książeczką „Co czytać?" zajęto się tak czule w „Wia-

domościach Literackich“, znaczy to, że, pomimo swego dyktantyzmu w wielu razach, uderzyła tam, gdzie była potrzeba.

Na razie i tak w wielu razach poradnik ten dopomoże wychowawcom i ks. ks. prefektom. Powinniśmy być wdzięczni za inicjatywę i nie dać jej upaść. Dość kompromisowości. Pisarze katoliccy, do miotły żelaznej, by wymieść z literatury polskiej nieczystość i śmieci. *A. Z.*

SPRAWOZDANIA i RECENZJE.

Maresch. Briefe der Katharina von Siena. Volksverein M. Gladbach. — 153 strony.

Listy (także społeczne) św. Katarzyny Sieneńskiej (14 w.) nie są w naszej literaturze czemś nowem, a jednak są „na czasie” w każdym okresie dziejów ludzkich: bije z nich troska o prawdziwe dobro społeczeństwa i Kościoła. W wydaniu pani dr. Maresch, dobrego psychologa, znajdujemy bardzo trafne uwagi biograficzne o autorce Listów. Pani M. rozumie św. Katarzynę, bo sama jest społeczniczką. (Pracuje w Caritas Sozialis. Wien Pramergasste 9).

Dobór Listów dzieli się na: Listy do Rodziny. Listy do Rajmunda z Capui, O. Pr., spowiednika i historyka Katarzyny. Listy społeczne i Listy polityczno-kościelne. Pisania śmiałe, trafne, wspaniałe. Unosi się, jak orzeł, nad stosunkami w Kościele, państw, miast, rodzin. Dokuczano świętej za jej wybitność i pracę, ale Ona snać działała z mocy Bożej, gdyż inaczej, jakżeby zdzierżyła tylu przeciwnościom? Znakomicie rozumie ducha czasu, mimo, że jest tylko (!) niewykształconem, ubogiem dziewczęciem. Domaga się od dostojników pracowitości, ubóstwa, charakteru. Polecamy te cenne Listy. *K. Berkanówna*

Schneider. Die Strasse der Gottlosen. Ulica Bezbożnych. — Schöningh. Paderborn i. W. — 2 wyd. 146 str.

Nic nowego — przypuszczam — dla społeczników, mających styczność bezpośrednią z nędzą ludzką; nowość jednakże w literaturze, która zagranicą coraz bardziej wprowadza dział pamiętników, biografij ludzi wybitnych i ludzi nieszczęśliwych. Opowiadanie Schneidera jest prawdą. Służąca Marja B. wychodzi za Stanisława Owalskiego (!) ślusarza, i oboje zamieszkują na ulicy bezbożnych, w dzielnicy robotniczej, w której O. wzrósł, gdyż nie mogą otrzymać mieszkania gdzieindziej. Marja jest szlachetna, ufna, ale ginie od przemocy. Stanisław ulega zrazu żonie, ale wkrótce dawne towarzystwo zyskuje przewagę; słabość charakteru pozwala sobą powodować.

Z takich środowisk życia — uciekać. Innej rady niema, a zmiany takie, to nieraz droga bohaterstwa, głód, samotność, ale pozostaje czyste imię, czyste ręce, czyste sumienie, i tylko one przechodzą z nami do wieczności; resztę odrzucamy jak pył z obuwia. *K. Berk.*

Berghoff. Von Stromern und Vagabunden. Herder. Freiburg i. Br. — 155 str.

Kapelan więzienny zebrał życiorys swych klijentów, i wydał je drukiem. Przeważnie więc historję dawnych przestępców, którzy po opuszczeniu więzienia nie znajdują zatrudnienia. Niektórzy z nich są nałogowymi włóczęgami, inni zaś wchodzą na tę drogę, z konieczności, po raz pierwszy. Niemcy liczą pół miljona łazików, a my? Związek św. Jana, Leutesdorf n. Renem, i Tow. Chrystusa Króla, Meitingen n. Augsburgiem, buduje, dla nich przydrożne schroniska.

Opisy są wstrząsające, dowcipne, wesołe, rozpaczliwe — przeróżne. Arcyciekawe. Serdeczne. Ci biedni ludzie cierpią od braku serca od nas. W opuszczeniu swem już nie mają siły powrócenia do społeczeństwa. Żyją poza niem. I dlatego tak im ciężko.

Zbyteczna dodawać, że książki ks. Berghoffa należy polecać dla wszystkich biur Akcji Katol. — dla wszystkich bibljotek parafjalnych. Mówię: książki, bo ks. B. napisał ich więcej. Są to rzeczy par excellence społeczne, a więc jako najpożądańsze na dziś. Czytać to szerzyć. I pisać polskie. *K. Berkanówna.*

Ks. Henryk Morice. „Słodka Opatrzność". Dogmatyczno-moralne studjum. Przekład z francuskiego. I. K. Kraków 1931 r. Nakładem Ks. Ks. Jezuitów. Bóg i ludzkość — wielka rodzina. Wszechmocny Stwórca, najlepszy Ojciec dziatwy, stworzonej na Jego obraz i podobieństwo, Syn Jego, Odkupiciel i Brat według natury ludzkiej, Duch św.: jedyny najwierniejszy Przyjaciel i Oblubieniec dusz.

W Starym Zakonie nie dosyć wyraźnie były podane o tem pojęcia; nic dziwnego, bo jeszcze nie były wypełniły się czasy. Dopiero Pan Jezus objawił Ojca, przekazując Mu wszystkich ludzi, nabytych ceną Najdroższej Krwi swojej i dając im Pocieszyciela, Ducha prawdy.

W nowym przeto Zakonie zadzierzgnęły się na nowo węzły miłości rodzinnej, ludzie bowiem, dotąd synowie gniewu, stali się synami światłości, obywatelami i domownikami bożymi.

Przed odkupioną ludzkością otworzyły się nowe, dotąd niedostępne możliwości porządku nadprzyrodzonego, należenia do wiecznie trwałego dziecięctwa bożego, stosunku do Boga, jako do kochającego i kochanego Ojca, prawa do niebieskiego dziedzictwa, gdzie miejsce zapewnił sam, Boski Przyjaciel.

Chrześcijanie pierwszych wieków doskonale wyczuwali ten nowy powiew religijny, nowy intymny stosunek do Boga, w tem przeświadczeniu wychowywali i uświadamiali jedni drugich i dochodzili z dziwną łatwością do świętej z Ojcem poufałości.

Z biegiem czasu rozmaite, grasujące podówczas błędnowierstwa, spaczyły te pojęcia i nastroje o mistycznem obcowaniu z Bogiem, onieśmieliły do Niego a stosunki nacechowały: oficjalność, napuszoność, sprowadzając je częstokroć do bezdusznej formalistyki. Dziewiczość węzłów z Bogiem zachowali tylko święci, którym dane jest — rozumieć tajemnice królestwa niebieskiego — i którym On siebie zwierzył. Oni przechowali

ten święty depozyt czystości wiary i nauki Kościoła pod tym względem i przekazali go naszym czasom, nie dbając o fałszywe głosy ostrzeżenia przed zbytnią poufałością i przesadną oględność niemal etykietalną w obcowaniu z Bogiem uważali słusznie za niegodną Jego Osoby i siebie.

Świętym tedy zawdzięczamy wznowiony kierunek ascezy katolickiej. Im zawdzięczamy powrót w stosunku do Pana do świętej z Nim poufałości, do rodzinnego z Nim współżycia, śmiałości dzieci bożych, ożywionych ufnością niemal zuchwałą, pogodą ducha w największych próbach, ofiarności wielkodusznej, bo dyktowane przez wdzięczną miłość, zdanie się wreszcie na słodką Opatrzność Ojca, który jest w niebiesiach.

Idąc śladem Ojców Kościoła i świętych, wzorując się na nich współcześni pisarze ascetyczni coraz częściej i śmielej omawiają w swych dziełach tę sprawę w oświetleniu wyżej przytoczonem.

Do takich autorów zaliczyć należy Ks. Henryka Morice, który w dziełku swem pod tytułem „Słodka Opatrzność" po mistrzowsku przedstawia troskliwość i zapobiegliwość - działalność bożą względem ludzi w rozmaitych okolicznościach życia nie zapominając o najdrobniejszych szczegółach ludzkich kłopotów życiowych.

Istotnie, po ludzku mówiąc, tylko Bóg, ten dobrotliwy Ojciec może i pragnie w ten sposób okazywać swą słodką Opatrzność.

Święta Teresa od Dzieciątka Jezus nie czytała omawianej książki, ale miała ona dane sobie z góry to wczucie się w miłość bożą, rozlaną w sercach naszych i dlatego bez trudu doszła do takiej z Bogiem poufałości, że z całą prostotą uważała za rzecz naturalną nazywać Boga „Tatusiem" powołując się na myśl św. Pawła Ap. mówiącego „Abba-Ojcze".

My nie mamy tej łatwości i śmiałości dzieci bożych, może i dlatego, żeśmy mało w tym względzie uświadomieni; czytajmy przeto dziełko Ks. Morice ono nam ułatwi i uczyni milszym nasz do Boga stosunek a co za tem idzie i uszlachetni, bo „z kim przestajesz takim się stajesz".

Ks. Al. Bołtuć M. I. C.

S. Barbara Żulińska C. R. O wychowaniu religijnem dzieci w wieku przedszkolnym. Nakład Księgarni św. Wojciecha. Cena zł. 1.20 R. 1932.

Sporo się pisze o metodzie wychowania najmłodszego pokolenia, które po raz pierwszy wychodzi poza próg domów, zdążając do przedszkoli. Mimo to kwestja wychowania dziatwy poniżej lat siedmiu nie jest wyczerpana.

Uwagi czcigodnej autorki, doświadczonej, długoletniej wychowawczyni, mają wartość wprost wyjątkową ze względu na bardzo subtelne traktowanie dusz dziecięcych, które trzeba urabiać dla Boga i dla życia na ziemi w czynie i cnocie. Z kart jej książeczki niezwykle cennej bije ten umiar, który stosowany w ochronkach, na pewno lepiej oddziała na równowagę duchową i powagę życiową w późniejszym wieku niż przesadna gorliwość.

Rzecz cala ujęta jest tak praktycznie, iż stanowi dziełko, z którem się nie będzie mógł rozstać zespół naszych kierowniczek ochron, a również młodych mateczek.

Kardynał Bourne, Arcybiskup westminsterski. O Wychowaniu duchowem. Cena zł. 2. — Nakład Księgarni św. Wojciecha.

Już z samego tytułu bije powaga zagadnienia: kto, gdzie i w jaki sposób zająć się ma wychowaniem duchowem, tą najwyższą formą wychowania, obarczonego najgroźniejszą odpowiedzialnością przed Bogiem i ludzkością.

Autor przeżył w sobie cały ten problem, i jako kierownik młodzieży, poświęconej służbie Bożej wśród ogółu, wcielił w życie zasady i metody, któremi dzieli się teraz na łamach niewielkiej, ale treściwej książki.

Z głębokiem znawstwem duszy, zwłaszcza duszy młodzieńca, kreśli postulaty dla niego, dla jego poufnych kierowników i dla władzy, pod której pieczą rozwijać się będzie indywidualność przyszłego siewcy prawdy. „Indywidualność" — niepodobna cofnąć tego słowa, gdyż wychowanie duchowe wcale nie ma na celu zabić indywidualności, lecz skierować ją na drogę ciągłego doskonalenia w karności własnej i posłuszeństwie przełożonym.

Słowa kardynała Bourne'a są otuchą przedewszystkiem dla Anglji katolickiej, która dzięki tak znakowitemu kierownictwu duchowemu ma szanse opanowania społeczeństwa, chociażby się to dokonało dopiero po latach wysiłku.

Dla nas zaś mogą być cennym przewodnikiem, gdyż niemasz rzeczy ważniejszej dla narodu jak cieszyć się kierownictwem duchowem takich mężów, którzy najlepszą przeszli szkołę: miłości, posłuszeństwa i hartu; miłości Chrystusa, posłuszeństwa władzy i hartu wobec podszeptów zła. Rzecz tę polecamy gorąco wszystkim wychowawcom młodzieży, zwłaszcza tej, która chce zaprząc się lub zaprzęgła się w służbę dusz.

Dr. Paweł Wilhelm Keppler, biskup rottenburski. Więcej radości. Wyd. trzecie. Przetłumaczył Ks. A. Kuleszo. Str. 228. Cena zł. 4,60. Nakład Księgarni św. Wojciecha. Poznań—Warszawa—Wilno—Lublin.

Na zjeździe węgierskich pisarzy katolickich ktoś z uczestników rzucił hasło walki z pesymizmem. Istotnie, pesymizm wyciska mimo tysiącznych rozrywek coraz głębsze piętno na życiu zwłaszcza inteligencji, a środków przeciwdziałających mu jest niewiele.

Nie powinno jednak zabraknąć wśród nich książki. Niechże ona przynajmniej będzie tą lampką oliwną, z której przebłysku istota cierpiąca czerpie nadzieję, że w duszy jej zapłonie światło ciche, ale trwałe.

Taką książką jest „Więcej radości". Jest to książka ogólnoludzka, a raczej ogólnochrześcijańska, zwracająca się do wszystkich w Chrystusie z dobrem, ukojonem słowem. Książka ta nie puszcza się na autosugestje, na wmawianie w czytelników „mocy ducha" i „wesela" sposobami amerykańskiemi i egzotycznemi Natomiast w samem życiu, w przyrodzie otaczającej, księgach świętych, w pieśni i sztuce ludowej każe szukać kropel ożywczych, które odnawiają radość, zaznaną niegdyś w sielskości dziecięctwa.

W Niemczech poczytność „Więcej radości" dochodzi do cyfr zawrotnych. Ale i my znamy tę książeczkę oddawna. Przed wojną wydała ją

młodzież katolicka, „odrodzeniowa” w Warszawie. Później w całości przetłumaczył i opublikował Ks. A. Kuleszo w Wilnie. Rozeszła się bardzo szybko. I oto teraz w nowem, poprawionem wydaniu ukazuje się, aby służyć pomocą tym, którzy nie wiedzą, gdzie sycić się radością, i tym, co w samej książce odnajdują dziwne ukojenie, harmonję i powagę, albowiem słowa w niej zawarte wyszły z serca mądrego człowieka i prawdziwego chrześcijanina.

Polecamy więc ją młodzieży, rodzicom, wszystkim cierpiącym i smutnym, i wielbicielom piękna życia.

A. Vermeersch. Katechizm małżeństwa chrześcijańskiego. Cena zł. 2. — Nakład Księgarni św. Wojciecha.

Każda encyklika ze względu na swój zasadniczy charakter nie może wdawać się w drobiazgowe szczegóły, pozostawiając je pieczy komentatorów. Encyklika o małżeństwie, która poruszyła cały świat mocą argumentów i jasnością wykładu, wywołała szereg broszur, komentujących jej ustępy celem praktycznego zastosowania.

Znakomity moralista o. Vermeersch był jednym z tych, którzy podjęli się dać komentarz do niej jeśli nie wyczerpujący, to nadzwyczaj przejrzysty, z uwzględnieniem poziomu umysłowego szerokich warstw inteligencji.

Dziełko jego, ujęte w formę katechizmową pytań i odpowiedzi, stanowić będzie niezbędne *vade mecum* dla kapłanów, lekarzy, rodziców i oblubieńców, żłobiąc w ich umysłach to, co się mogło wydać im z encykliki jako niedość jasne, w kształt nieziszczalny. Od dobrej zaś woli ludzkiej zależy wcielenie w życie zasad encykliki, tak świetnie objaśnionej przez o. Vermeerscha.

Książeczkę niniejszą tłumaczył znany z wielu innych przekładów ks. dr. Jan Korzonkiewicz.

S. Jeleński. Hallelu Jah! Opowieść ewangeliczna. Cena zł. 3,50. Nakład Księgarni św. Wojciecha.

Nowa opowieść z cyklu książek ewangelicznych. Dotyka ona końcowego okresu działalności Chrystusa, stawiając czytelnika wobec najwyższych zagadnień życia: ofiary a zbawienia, śmierci a zmartwychwstania, wiary i niewiary w Bóstwo Chrystusowe. Jak odbijały się te problemy w duszach żydów? Jak oddziaływały słowa i czyny Mistrza z Nazaretu na nieuprzedzone umysły? Czy koniecznie trzeba było wierzyć w to, że był Bogiem? To ostatnie zwłaszcza pytanie rozstrzygnięte jest w sensie twierdzącym. Tylko zła wola odrzucić mogła wiarę. Tylko pycha mogła odrzucić cuda. Tylko zazdrość nienawistna — doprowadzić do wyroków haniebnych. Lecz namiętności ludzkie okazują się niczem wobec potęgi Zmartwychwstania, dym się rozprasza, a światło świeci wspanialej. Stąd płynie i radość i moc chrześcijaństwa po wsze wieki. „Hallelu Jah”, tak jak „sursum corda” brzmią najdonośniej w liturgji kościelnej i w sercach chrześcijan utrwalają wiarę, nadzieję, miłość. Książka niniejsza, ogromem wydarzeń przerastająca poprzednio wydane opowieści ewangeliczne, jest przeznaczona nietylko dla młodzieży dojrzalszej, ale i dla osób dorosłych.

H. Brey. Józef Ben Dawid. Opowieści biblijne. Cena zł. 3,50. Nakład Księgarni św. Wojciecha.

Niemałą trudność w odmalowaniu stanowi dla powieściopisarza postać św. Józefa. Jest to wprawdzie bardzo ważna postać, lecz autor musi traktować ją tak, jak to Ewangelja czyni, pobocznie czyli nie w odosobnieniu i nie na czele innych. Umiar więc w kreśleniu indywidualności św. Józefa jest konieczny, a jeszcze konieczniejsze wtłoczenie jego osoby w ramy św. rodziny. Autorka zdała sobie z tego sprawę, mimo to musiała oddać wszystkie przymioty Józefa-opiekuna i Józefa-rzemieślnika, chadzającego zawsze w śnieżnej szacie czystości, górującego nad obywatelami Nazaretu pokorą, wielkiego w wypełnianiu wiernem czynów zleconych z góry, dostojnego w troskach nieosobistych, mężnego w przeciwnościach życiowych. Dodajmy do tego jeszcze umiejętne posługiwanie się Pismem św., dobre odtworzenie nastrojów tłumu, piękny rys pobytu św. Rodziny w Egipcie, język poetycko nastrojony, a otrzymamy powieść popularną, o typie katolickim, która zastąpić musi nieudane powiastki, jakiemi lud się karmi stale.

O. Samuel Fabbro. Róża wśród cierni. (Żywot ś. p. Zofji Róży B.). Nakład Księgarni św. Wojciecha. Dla wszystkich serja D. 312. Cena zł. 3. — R. 1932.

Dobrze znoszone cierpienie jest jedną z odznak świętości. Słowa te zastosować wolno do zmarłej sześć lat temu młodziutkiej Zofji Róży B., rodaczki naszej, pochodzącej z kresów południowo-wschodnich, obdarzonej niepospolitą urodą, mnogiemi talentami, wybitnie indywidualnym charakterem, płonącej chęcią czynu i czynnej nad siły, wiernej Bogu w dostatku i biedzie, w zdrowiu i chorobie.

Mimo iż ś. p. Zofja Róża umarła w kwiecie wieku, przeżycia jej są tak wielostronne, że wspomnienia o jej życiu czytamy z najwyższem zainteresowaniem. Co więcej, żywot jej odsłania postać przyszłej świętej, do której już dzisiaj — cudzoziemcy przedewszystkiem — zasyłają modły o wstawiennictwo przed Bogiem i są wysłuchani. Ta opinja rozszerzy się i w kołach czytelników polskich. A im więcej będzie odznak tej skutecznej łączności, tem prędzej aureolą świętości otoczyć każe Kościół skronie tej, która zaiste była „Różą wśród cierni".

Obraz jej życia, czynów i cierpień składa się z dwu części: pierwsza, oparta na rozmaitym materjale, maluje dzieje Zofji Róży od dzieciństwa do przedostatniego aktu walki z nieustępliwą chorobą. Drugą część stanowi tłumaczenie z włoskiego wspomnień misjonarza o. Fabbro, który poznał Zofję Różę B. w Egipcie i był świadkiem jej świętych cnót i pięknej śmierci.

Książka napisana nastrojowo, zaleca się wykwintną formą literacką i powinna zdobić półki nawet najskromniejszych bibljoteczek w domach katolickich.

Ks. Arcyb. J. Teodorowicz. Od Betleem do Nazaretu. Str. 338. Cena zł. 9. Nakład Księgarni św. Wojciecha. Poznań—Warszawa—Wilno—Lublin.

W piśmiennictwie polskiem zjawia się pierwsza na wielką skalę zakreślona monografja Chrystusa. Autor przygotowywał ją od lat, studjując

na miejscu działalności ziemskiej Chrystusa, jak i wertując olbrzymią literaturę nowoczesną. Owocem tych studjów niemal całego życia jest dwunastotomowa rzecz, której tom — pierwszy w kolei czasu — ukazał się świeżo.

Przedsięwzięcie było niezmiernie trudne, i to raczej ze względu na konstrukcję dzieła. Autor postanowił ukazać postać Jezusa tak, jak się ona przedstawia w Ewangeljach i jak na nią patrzy współczesna nauka chrześcijańska. Pierwszy wzgląd był dlań ważniejszy, gdyż postać Chrystusa chciał koniecznie uczynić wolną od polemiki i brzemienia argumentów i wywodów naukowych. Drugi wzgląd był jednak konieczny, aby nie dać miejsca zarzutowi, że dzieło jest przestarzałe oraz w treść ubogie. Kto zna wnikliwość umysłu Autora, ten nie czytając nawet jego najnowszej pracy, przypuścić może, jak mozolnego dokonał trudu i jak się wywiązał z zadania teologa i historyka, egzegety i apologety, artysty i uczonego.

Rzecz jest pierwszorzędna, i na tym początkowym zrębie znać już silne znamię indywidualności Autora.

Dzieciństwo Jezusowe ukazuje się jako prawda prawd i jako obraz skończonego piękna. Czytać je należy już teraz, gdyż zawiera okres zamknięty w sobie. Da ono też pojęcie o budowie dzieła, o zaletach stylu i głębi myśli, słowem o wartości całej rzeczy.

Marja Czeska - Mączyńska. **„Otworzyło się okno na świat”**. Druk: Księgarnia i Drukarnia Katolicka S. A. Katowice, ul. Marsz. Piłsudskiego 58. rok 1932, str. 154.

W powyższej książce przedstawia autorka biografję poszczególnych członków ubogiej rodziny robotniczej po śmierci ojca. Dążności i aspiracje opisywanych osób są nowoczesne, zapatrywania na świat i życie realne. Motto następujące: zło karze się nawet już tu na ziemi, dobro zostaje zawsze wynagrodzone; podłoże szczęścia nie leży w bogactwie — lecz w pracowitości i uczciwości.

Czyta się z wielkim zainteresowaniem. Zaletą autorki jest zdolność zespolenia i odzwierciedlania licznych potrzeb i niedomagań doby obecnej w bohaterach przez nią opisywanych. Cechą dodatnią jest też to, że mieści w sobie, mimo powieściowego ujęcia treści, dużo momentów pedagogicznych i szkiców psychologji życia.

Juljusz Kaden-Bandrowski, Aciaki z I-ej A. Lwów -Ossolineum—1932 r.

Sceny z życia najmłodszej młodzieży gimnazjalnej niczem się nie wyróżniające ani w kierunku dodatnim, ani też ujemnym. Stąd trudno oznaczyć czy są użyteczne czy zbyteczne. Dozwolone dla młodzieży do lat 14-tu.

Stanisław Podoleński — Podręcznik pedagogiczny. Kraków—1930 II wydawn, ks.ks. Jezuitów, stron 408 in 8⁰.

Jest to w całej pełni podręcznik wychowania chrześcijańskiego. Powinien znaleźć się w ręku każdego, komu Opatrzność powierza szczytne powołanie wychowawcy czy też ojca lub matki. Wielka zaleta książki jest ta, że w sposób niepretensjonalny i prosty podaje wyniki wszystkich dyskusyj pedagogicznych i dydaktycznych. Polecony jaknajgoręcej dla wszystkich.

Piątek i Sośnicki, Wychowanie i nauczanie. (Przewodnik do wydawn. Książnicy Atlas)—Lwów 1932, str. 256.

Książnica Atlas skupiła w swym ręku lwią część polskiej produkcji pedagogicznej: książkowej i czasopiśmiennej. Dziesięć cykli wydawnictw stale wysyła nowe tomy w świat. W interesie wydawnictwa jakoteż pedagogów leżało więc zestawienie bibljograficzne zagadnień dydaktyczno-wychowawczych, omówionych w wydawnictwach Książnicy Atlas. Spodziewać się trzeba skatalogowania twórczości wydawniczej i innych firm z tego zakresu np. „Naszej Księgarni" Związku Polsk. Nauczycielstwa Szkół Powsz. Dla bibljotek miejskich.

Skala inteligencji Bineta — Termana. Tłumaczona pod kierunkiem Stefana Balaya.

— Książnica Atlas. — Lwów — Warszawa. II t. 1932. brosz. Sposób mierzenia inteligencji młodzieży od lat 3—18 testami Nineta-Termana jest bardzo rozpowszechniony. To też ci, co go nie znają mogą się z nim zapoznać, a zwolennicy mogą łatwiej zeń korzystać dzięki obecnemu starannemu wydaniu tekstu i 28 tablic.

Józef Wąsowicz,'Jak powstaje geograficzna mapa szkolna (Bibljoteka-Geograficzno-Dydaktyczna). Książnica Atlas. — Lwów — 1932 str. 35.

Wszystko, co uczy wnikać w trud i znój ludzkiej pracy, poucza i zespala wytwórcę z konsumentem, a zatem spełnia pożyteczną misję. To da się powiedzieć o powyższej broszurce, przedstawiającej wszystkie czynności, konieczne przy tworzeniu mapy szkolnej, tej walnej pomocy w nauczaniu. Polecona dla wszystkich

Stefan Zweig, Fouché. Powieść biograficzna. Tłumaczenie Centnerszwerowej. „Renaissance", Warszawa str. 304 in 8⁰ — 1930 r.

Biografja, opisana na podstawie monografji czołowego historyka francuskiego Ludwika Madelin'a, przedstawia człowieka, co obok genjusza wojny, Napoleona i genjusza dyplomacji, Talleyranda, był genjuszem intrygi. Genjalny ten szuja nie uczy coprawda moralności, ale dzięki mistrzowskiemu przedstawieniu wywołuje to wyznanie, że zło źle się kończy, a dobro zawsze zwycięża. Lektura tej książki jest dla osób dojrzałych i oświeconych, pouczająca a nawet budująca.

Ks. Henryk Morice, Słodka Opatrzność. — Dogmatyczno-moralne studjum. Kraków 1931 wydawn. ks. ks. Jezuitów str. 218 in 8⁰.

Złota ta książeczka, niosąca ukojenie i pokrzepienie, ucząca spokoju i ufności, podnosząca ducha, nastawiająca go ruchem dośrodkowym ku Bogu, przynosząca lekarstwo na rozstrój duchowy naszej doby, na przygnębienie a niekiedy rozpacz, uczy rozumieć plany Boże, słuchać i dziękować za Bożą łaskawość. Powinna przesunąć się przez ręce jaknajwiększej ilości czytelników.

Ks. Józef Kłos, Dwie ofiary. Sześć kazań pasyjnych. Poznań — Księgarnia św. Wojciecha. 1932 str. 111 in 8⁰.

Autor zapytuje się, czy tak cenny klejnot jak Msza św. nie jest nieco przykryty pyłem ludzkiego zaniedbania? Zaniedbują go świeccy, że nie zbliżają się doń, zaniedbują kapłani, że niedość często o nim mówią i nie wystawiają jego blasków na publiczny podziw i widok. Dodajmy znane katolickiemu społeczeństwu całej Polski zalety pióra i myśli ks. Kłosa, a obie pobudki wystarczą, aby książce zapewnić jaknajszersze rozpowszechnienie, gdyż nadaje się do każdej bibljoteki.

Kazimierz Hoffmann, Literatura bułgarska. Poznań — 1931, nakładem autora str. 35 in 8⁰.

Autor sam wysoko swej pracy nie ocenia, przyznając, że literatura bułgarska nie jest przedmiotem jego zainteresowania; zamierzał jedynie zwrócić uwagę społeczeństwa polskiego na płody kultury bułgarskiej. Czy cel swój osiągnie, to rzecz wątpliwa, bo lud broszury do rąk nie weźmie, a inteligenta ona znowu nie zadowoli z powodu zbyt streszczonego ujęcia przedmiotu.

K. H. Roztworowski, Zygzaki. Poznań — Księgarnia św. Wojciecha—1932 str. 65 in 8⁰.

Wiersze te zalecają się raczej tendencją niż poetyckim wyrazem, który jest w nich blady, wyjąwszy wiersz do Boga. W każdej bibljotece można je jednak umieścić, a zwłaszcza w ludowych, gdyż niema w nich tego, co człowiekowi prostemu zamyka wniknięcie w treść wielkich utworów: wieszczej głębi i potężnego natchnienia.

Encyklika o małżenstwie w opracowaniu ks. ks. Brossa i Śpikowskiego.—Poznań św. Wojciech 1932 r. str. 147 in 8⁰.

Wzorowany na najlepszych wzorach francuskich ukazał się komentarz encykliki o małżeństwie w potrójnej formie: wpierw w formie dyspozycji jasnej a przejrzystej, potem w tłumaczeniu z uwagami a wreszcie w postaci pięciu wykładów, omawiających pięć zasadniczych członów Encykliki. Wydanie jest niezrównane pod względem ujęcia i szaty zewnętrznej, powinno oddać sprawie katolickiej nieocenione usługi i figurować w każdej bibljotece conajmniej w jednym egzemplarzu.

Redaktor odpowiedzialny: HERONIM SAMULSKI.

PRO CHRISTO

WIARA I CZYN

ORGAN MŁODYCH KATOLIKÓW — MIESIĘCZNIK

Wydawca: Stowarzyszenie Społecznego Panowania Najświętszego Serca Jezusa w Rodzinach Chrześcijańskich.

Redakcja i Administracja: Warszawa, ul. Moniuszki 3a.

P. K. O. 10.115 Telefon 763-44

NACZELNY REDAKTOR: STEFAN KACZOROWSKI

przyjmuje interesantów w środy i piątki między 18.30 a 19.

Biuro i telefon czynne w dni powszednie od g. 11 do 12 i od 15.30 do 17

Redakcja rękopisów nie zwraca

Pro Christo.

Reforma ustroju gospodarczego.

Przeżywamy okres przełomowy w dziejach myśli ekonomicznej.

W oczach naszych rozpada się w gruzy gmach ekonomji liberalnej, na którego zrębach wznosił się ustrój kapitalistyczny.

Myśl liberalno-ekonomiczna ukształtowała się pod koniec w. 18 t. j. w czasach największego cofnięcia się wpływów katolicyzmu, kiedy materjalizm zapanował wszechwładnie w umysłach i sercach ludzkości, kiedy trzeba było wytworzyć błędną i oderwaną od życia teorję, aby usprawiedliwić pełną niesprawiedliwości i wypaczenia praktykę ówczesnego życia ekonomicznego.

Praktyka ta doprowadziła z czasem do licznych przeobrażeń, których ukoronowaniem jest obecny kryzys gospodarczy, jedna z największych katastrof w dziejach świata.

Nic więc dziwnego, że społeczeństwo w obliczu kryzysu i załamania się systemu, opartego na liberalizmie—uznaje coraz bardziej liberalim za dotkrynę błędną i coraz bardziej od niego się odwraca.

Przeżywamy okres dynamiczny, brzemienny w następstwa. Myśl ludzka pracuje gorączkowo i usilnie nad znalezieniem drogi wyjścia. Kształtują się nowe poglądy ekonomiczne i społeczne. Na gruzach rozpadającego się gmachu pojawiają się nowi bu-

downiczy, zachwalają swoje plany i projekty, a tu i ówdzie usiłują już wznieść fundamenty pod nowe budowle.

Obserwujemy równocześnie pewien objaw bardzo niebezpieczny. Oto coraz mocniej i głośniej rozbrzmiewają w społeczeństwie hasła komunistyczne. Przedewszystkiem propagują je ci, którzy naród rosyjski komunizmem uszczęśliwili i niesłychanie zręczną propagandą, wykorzystując każdy wypadek, każde załamanie, przemycają jad komunistyczny do innych krajów. Pomagają im rodzime organizacje socjalistyczne, które chociaż taktycznie z komunizmem pokłócone, w praktyce jednak propagują te same zasady, marxizmu, przygotowując grunt pod komunizm. Znacznie gorszym objawem jest jednak co innego — oto coraz większe przenikanie w ostatnich dwóch, trzech latach pojęć komunistycznych do zbiorowej psychiki społeczeństwa. Kryzys ekonomiczny odziaływa w swój sposób na ludzi o słabym kośćcu pacierzowym, ludzi bez zasad. Widzimy często, jak największy kapitalista, człowiek, który dotychczas był uosobieniem szkoły manczesterskiej i żył pojęciami z przed 150 lat, nagle przerzuca się na biegun socjalistyczny i zaczyna myśleć i rozumować temi kategorjami. Wiatr ten zaczyna nawet oddziaływać na słabo uświadomionych i niewykształconych inteligentów katolickich. Wytwarza się fałszywa i niebezpieczna sugestja, jakoby istniały tylko dwa kierunki, dwa ustroje: kapitalizm i komunizm, jakoby ludzkość miała do wyboru, albo pozostać w ustroju kapitalistycznym, albo przyjąć ustrój socjalistyczny.

Na szczęście tak nie jest. Istnieje jeszcze kierunek chrześcijańsko-społeczny, zawierający myśl ekonomiczną, opartą na nauce Kościoła. Co więcej. Jest to jedyny kierunek, który jest oparty na prawdzie, nietylko religijnej, lecz także ekonomicznej. Prawda bowiem jest tylko jedna i każdy kierunek społeczny, ekonomiczny i polityczny tylko wówczas będzie jej odpowiadał, gdy będzie spoczywał na podłożu prawdziwej filozofji t. j. filozofji katolickiej, tomistycznej. To też z pośród wszystkich dotychczasowych kierunków ekonomicznych, jedynie tylko ekonomja katolicka wytrzymała zwycięsko próbę życia, życie zawsze potwierdzało jej założenia, podczas, gdy nad innymi doktrynami — zarówno liberalizmem, jak i socjalizmem—przechodziło do porządku dziennego.

Zarówno liberalizm, jak i socjalizm-komunizm opierają się na podłożu materjalistycznym, są więc jednostronne w dziedzinie filozoficznej, za punkt wyjścia biorą tylko materję, pomijając ducha.

Jednostronne są również z punktu widzenia socjologicznego. Liberalizm patrzy na zagadnienia ekonomiczno-społeczne jedynie z punktu widzenia praw jednostki. Praw społeczeństwa, względnie państwa w dziedzinie produkcji i podziału nie uznaje. Socjalizm-komunizm przerzuca się na biegun przeciwny. Wszystkie prawa ekonomiczne przyznaje tylko państwu, odbierając je całkowicie jednostce. Tymczasem zarówno jedno, jak i drugie założenie jest zupełnie jednostronne, niezgodne z rzeczywistością i musi prowadzić do wniosków fałszywych. Każdy bowiem człowiek rozsądny wie, że istnieje jednostka i zbiorowość i że zarówno jedna, jak i druga posiada pewne prawa w dziedzinie ekonomicznej, przyczem między prawami jednostki i zbiorowości winna panować równowaga.

Na tym właśnie stanowisku stoi doktryna chrześcijańsko-społeczna. Uznaje ona prawa gospodarcze jednostki, a więc prawo własności i wolności gospodarczej w pewnym zakresie, stoi jednak równocześnie na stanowisku, że te prawa jednostki muszą być ograniczone przez zbiorowość, że wykonywanie ich musi być kontrolowane w ten sposób, aby używanie dóbr materjalnych przez jednostki nie przeobraziło się w nadużywanie, co miało miejsce w ustroju kapitalistycznym. Organem kontroli i rozstrzygania sporów jest z jednej strony państwo, z drugiej zaś assocjacje społeczne (korporacje), które powinny istnieć między jednostką a państwem, jako sui generis organ kierownictwa i kontroli życia gospodarczego, złożony z przedstawicieli zorganizowanych sił gospodarczych i podległy państwu w ostatniej instancji.

Jest to jedynie racjonalny i sprawiedliwy sposób rozstrzygnięcia trudności, wywołanych zwichnięciem równowagi między prawami gospodarczymi jednostki i państwa — jedyna droga powrotu do zasad sprawiedliwości społecznej, na straży których stał zawsze Kościół Katolicki.

Stolica Apostolska wskazuje tę drogę ludzkości, wstrząsanej konwulsjami współczesnego kryzysu i wzywa katolików, a zwłaszcza katolików myślących, wykształconych, zamożniejszych, tych, którym Bóg więcej dał, a więc i więcej od nich żądać będzie— aby podjęli wielkie dzieło reformy społeczno-gospodarczej świata.

Zamiast więc załamywać ręce w obliczu grożących kataklizmów, lub poddawać się małodusznie nastrojom socjalistyczno-komunistycznym i wskrzeszać z grobu upiory Marxizmu—musimy zabrać się z całą energją do wielkiego dzieła, obliczonego na kilka pokoleń.

Olbrzymi procent inteligencji katolickiej w Polsce nie ma jeszcze wykształcenia katolickiego w dziedzinie społeczno-gospodarczej i dlatego umysły ich biedne tak łatwo poddają się sugestji liberalizmu, lub komunizmu. Przedewszystkiem więc oświećmy tych biedaków, zapoznajmy ich z encyklikami społecznymi Stolicy Apostolskiej z komentarzami i podręcznikami w tej dziedzinie. Niech wytworzy się ruch umysłowy w tym kierunku, konkretyzujący postawione dotychczas ogólnie założenia. Niech zagadnienie reformy stosunków gospodarczych stanie się chlebem codziennym dla naszej inteligencji.

Po drugie: za uświadomieniem musi pójść akcja, wiara bowiem bez uczynków martwa jest. Akcja w dwóch kierunkach: a) organizowanie mas ludowych pod sztandarami chrześcijańsko-społecznymi, aby zasady ekonomji katolickiej przedostały się do ludu, aby masy ludowe stały się siłą w rękach katolicyzmu b) przeprowadzenie reform w życiu społecznym, gospodarczym i państwowym.

Nie zaprzeczamy, że program ten jest koncepcją olbrzymią, zakrojoną na wielką miarę. Musimy jednak zabrać się do jego realizacji, ufając w pomoc Bożą. Stary ustrój gospodarczy upada i musi być zastąpiony przez ustrój chrześcijańsko-społeczny — albo też przyjdzie komunizm i pchnie narody w odmęt większego jeszcze upadku....

St. K-ski.

Znaczenie ruchu rekolekcyjnego.

Nic tak nie zaprząta obecnie myśli ludzi uczonych i prostych jak t. zw. kryzys, który przytłacza cały świat.

Jedni badają, gdzie jego przyczyny, drudzy przemyślają jak go usunąć, lecz obie te prace dają mało wyników raczej łudzą tylko płonnemi nadziejami... a to dlatego, że prace wyszukujące przyczyn kryzysu, jak i wysiłki zmierzające do jego usunięcia są zbyt powierzchowne, zewnętrzne, jednostronne.

Jedni zwalają przyczynę na przerost fabryk nad rękodziełem, inni na brak zaufania wzajemnego, to znowu na niepewne stosunki międzynarodowe, inni wreszcie na zarażenie świata truciznami bolszewickiemi.

We wszystkich tych przyczynach jest częśc racji... ale korzenia zła trzeba szukać gdzieindziej.

Już od 2000 blisko lat wszystkim znana jest decydująca przyczyna wszelakich kryzysów, zapisana jest w najmędrszym dziele, jakie ludzkość posiada, a ujęta w jedno zdanie „cóż pomoże człowiekowi, choćby cały świat zdobył, a na duszy szkodę poniósł?".

Zdanie to wypowiedział nieomylny wszechwiedzący Bóg-Człowiek, Ten, który już raz świat uratował z najstraszniejszych kryzysów. Zdanie to mamy zapisane w ewangelji.

I nasi ojcowie znali je jak i my, ale wpatrzeni w wielki rozmach kultury i wynalazków, olśnieni zdobyczami naukowemi, porwani zawrotnym ruchem maszyn sprawnie działających i dobrze naoliwionych... uwierzyli, że można przy pomocy ich zdobyć na świecie pełne szczęście z pominięciem praw dusz i jej wymogów, czyli bez religji, bez Boga.

Czytano wprawdzie dalej pismo św., ale nie jako księgę życia, czem jest ze swej istoty tylko... jako historję choć bardzo ważną i świętą, ale już nieaktualną.

Świat pokrył się lasem kominów fabrycznych i drżał w posadach pod turkotem maszyn, pracujących dla ciała... a dusza stanęła odłogiem.

Złudzenie, a raczej ogłupienie doszło do tego stopnia, że zaczęło ustawami ograniczać prawa duszy nieśmiertelnej znosząc religję sejmowemi uchwałami, aż doszło do tego, że dusze wogóle zredukowano odmawiając jej istnienia, wbrew namacalnej rzeczywistości (materjalizm).

Zapomiano tylko o tem, że równocześnie ze zredukowaniem duszy, skreślono wszystko to, co się nazywa w życiu codziennem ład, porządek, pokój i szczęście, a co tylko wtedy istnieć może, gdy ludzkość żyje prawami duszy.

Donośny ostrzegawczy głos Kościoła był wyśmiany, jako przestarzały, bo uwierzono tylko fabrykom i giełdom. Zestawiono zyski i dochody, i by te zyski powiększyć zaczęto wołać głośno i natarczywie w stronę Rzymu „poznosić święta, bo mało

czasu na pracę...". Ale fatalne skutki długo nie dały na siebie czekać bo już dziś jesteśmy świadkami, jak się musi robić z dni roboczych przymusowe święta, bo niema pracy.

Tak, kto chce Boga przemądrzyć i poprawić, ten tylko nowe nieszczęście wymyśli.

Ale nietylko Kościół ostrzegał przed gwałceniem praw Bożych, bo czynili to i ci, których imiona są nieśmiertelne, którzy widnieją w historji, jako genjusze myśli.

Oto Dostojewski, choć nie katolik wołał „Zachód utracił Chrystusa i to stanie się przyczyną jego zguby". Nawet przeciwnicy katolicyzmu dawali czasem świadectwo prawdzie.

Tołstoj upominał się o prawa duszy, porównując ją do pisklęcia, które przedwcześnie wypadło z gniazdka i zrywa się do niego kwiląc, ale ją brutalnie odrywają. Zaś Nietzsche ostrzegał głosem niemal Jeremjasza: „Zabiliście Boga (w duszach) a przez to oderwaliście ziemię od słońca, i czyż z tego powodu nie pędzimy w przepaść!?"

Ale świat, kiedyindziej tak nadwrażliwy na mowę wieszczów i uczonych, że głosy ich wyżej ceni od słów pisma świętego, w tym jednak wypadku przeszedł nad temi piorunującemi ostrzeżeniami z lekkomyślnością dziecka upojonego zabawką.

Wysilano się na dżentelmeńskie formy towarzyskie i salonowe, szczycąc się tem, jako kulturą XX wieku i twierdzono, że etykieta może zupełnie zastąpić przykazania Boże. Pokazywano wielu ludzi niereligijnych, a mimo to dobrych i nieraz lepszych niż niejedni z bractw.

Zewnętrzne pozory zdawały się przyznawać im rację... ale ta racja była tylko pozorna... bo to że pewni ludzie mimo niereligijności są dobrzy i porządni to zawdzięczają tylko swym przodkom religijnym, po których odziedziczyli dobre skłonności i nawyki. Że taka dziedziczność istnieje, to tutaj z braku czasu i miejsca nie będę udawadniał, ale odsyłam do prac naukowych takich powag, jak profesorowie un. Malapert, Morel, Wundt, Foerster, Peres i inni. Ci na podstawie gruntownych badań naukowych udawadniają dziedziczność zalet i wad z pokoleń na pokolenia. Że przedwojenne społeczeństwo trzymało się na poziomie moralnym, mimo niereligijności, to właśnie zawdzięczało owej dziedziczności wyżej wspomnianej. Ta dziedziczność tkwi w pokładach duszy, ale niestety i ona wyczerpuje się.

I właśnie obecnie widzimy skutki wyczerpania się tej dziedziczności moralnej, zwłaszcza w polityce, gdzie się Boga i sumienia zupełnie nie uznaje.

I jak wygląda współczesny nam świat, to chyba opisywać zbyteczne, bo sami widzimy go. I co widzimy? Dajmy tu głos wielkiemu myślicielowi, i mężowi nauki, Foersterowi, który przejdzie do historji, jako potężny umysł. Oto słowa Foerstera w krótkim zarysie: „Ze szczytów techniki i wynalazków, któremi opanowaliśmy wody, wnętrza ziemi i powietrze... patrzymy na ruinę i gruzy świata naszej duszy i moralności.

Zdobyliśmy świat zewnętrzny przez wynalazki ale straciliśmy duszę i jej wartości nieśmiertelne, zniżyliśmy się do zwierząt, które o tyle już lepsze są od nas, że nie szkodzą z taką premedytacją, jak my, bo nie mają rozumu.

Prześwietla się ciało promieniami Roentgena dla wynalezienia w zarazku choroby, a duszę stoczoną nałogami, duszę nieśmiertelną zostawia się w zupełnej ciemności. Płaci się ogromne sumy na odkrycie biegunów pólnocy i południa, a nikt nie chce i niema odwagi zrobić najważniejszego odkrycia, odkrycia we własnem sumieniu... tak że chodzimy nieznani wśród nieznanych. By znaleźć ludzi z prawdziwym charakterem, to trzeba ich szukać, jak Sokrates z latarnią w ręce w pełni słońca w południe.

Nie tak dawno jeden Japończyk zapatany co sądzi o dzisiejszej kulturze bez podłoża religijnego powiedział, że dzisiejsza kultura bez religijnej etyki, to bandytyzm dobrze wykształcony w swym zawodzie.

Jak wygląda dzisiejszy człowiek skąpany w kulturze XX wieku, to niech zailustruje fakt, wzięty z życia tak kulturalnego narodu jak francuski. Było to w czasie ostatniej wojny, po długiej morderczej walce w Szampanji nastało kilka dni przerwy od wycia i świstu kul i od jęku rannych. Każdy chętnie wypoczywał. Nagle pada strzał. Kto strzelił? Nim umilknęło pierwsze pytanie słychać drugie, gdzie jast ks. kapelan? Kapelan zrywa się natychmiast i idzie z żołnierzem do pobliskiej stodoły. Tam zastaje 17-letniego żołnierza z przestrzeloną piersią. Żołnierz ów popełnił samobójstwo, ale jeszcze żył. Dlaczego strzeliłeś do siebie, pyta kapelan. Bo mi już brakło sił do znoszenia trudów wojny. Wstąpiłem do wojska jako ochot-

nik, by bronić kochaną ojczyznę, ale jestem już tak słaby, że dziś naprzykład już nie mogłem plecaka podnieść, by więc nie zawadzać innym i nie być ciężarem dla pułku, ukryłem się w tej stodole i palnąłem sobie w serce, niestety, chybiłem.

Właśnie Bogu dzięki, że chybiłeś mówi kapelan, bo możesz jeszcze pojednać się z Bogiem? Z jakiem Bogiem? pyta samobójca? Kapelan wyciąga krzyż i pyta rannego — a wiesz co to jest? Nie — nie wiem. A w kościele byłeś kiedy. O nie nigdy, bo raz jako chłopcu pokazała mi matka kościół i powiedziała nie chodź tam nigdy, bo tam księża dzieci zjadają.

W cywilizowanej Francji takie pojęcie panuje w XX wieku!

Kapelan widząc, że życie samobójcy lada chwila uleci poucza go pospiesznie o zasadniczych prawdach wiary, a żołnierz wprost wchłania te wiadomości. Oczy iskrzą się mu radością wreszcie wyciąga kościste ręce i prosi o chrzest i komunję św. a bladnące wargi mówią coraz ciszej: jakież to śliczne, a ja nic o tem nie wiedziałem, jaka szkoda.

Ksiądz udziela choremu chrztu i daje mu na drogę wieczności Jezusa w komunji św. Gdy na zbielałych wargach młodego samobójcy spoczął Jezus Eucharystyczny, twarz chłopaka nabrała tak nieziemskiego wyglądu, oczy wyrażały tyle szczęścia, że opisać trudno. Chory ciągle dziękował kapelanowi, że mu dał poznać życie duszy, a potem z niebiańskim uśmiechem na ustach skonał i poszedł powitać Boga, którego dotąd nie znał.

A czy to pierwszy lub ostatni wypadek samobójstwa wśród młodzieży z powodu braku uświadomienia religijnego o wartości życia?

Wystarczy przeczytać prasę jednego tygodnia a nawet dnia, by znaleźć w niej kryminalną litanję zbrodni, popełnianych przez nieletnich—bo już w powszechnych szkołach istnieją kluby nietylko komunistyczne, ale samobójcze.

I czyż na tego rodzaju społeczeństwie można budować przyszłość państw? Nigdy! Bo gdzie prawo Boskie wyśmiane i zdeptane, czyż prawa ludzkie będą miały jakąkolwiek wartość? Przenigdy! Bo wtedy wszelki traktat w najsolenniejszej formie układany, najbardziej uroczyście podpisywany, staje się tylko świstkiem papieru dla zamydlenia oczu, a ten świstek kosztuje miljony złota. Pouczyły nas o tem skutki konferencji jeszcze przedwojennych w Hadze, gdzie po to solennie zobowiązywano

się nieużywać w czasie wojny kolczastych zasieków, gazów trujących i innych barbarzyńskich form mordowania, by potem z całą bezczelnością drwić ze wszystkich traktatów i łamać je najbardziej świadomie.

„Bez Boga, bez Syna Bożego powiada Foerster nie ostanie się żadna kultura ludzka — a dusza człowieka i społeczeństwa musi bez ratunku poddać się demonicznym potęgom natury ludzkiej". Prawdę słów Foerstera potwierdza zbyt głośno Rosja, że nie wymienimy innych krajów. Obecnie już cały świat pouczony zbyt bolesną chłostą wszelakich kryzysów przyznaje prawdę w wyżej przytoczonym Dostojewskiemu, Nietzschemu, Tołstojowi i innym.

Wołano przed wojną, że będzie wtedy lepiej na świecie, gdy drogi prowadzące do kościołów zarosną trawą... Dziś przekonano się naocznie, że w miarę, jak wyludniały się kościoły, to zaludniały się kryminały, które trzeba było na gwałt rozbudowywać, a mimo to zbrodniarze będą odsiadywać chyba na raty swe kary, bo miejsca brak. Muszą czekać na wolną celę, jak na kabinę w miejscach kąpielowych.

Tak się mści przemądrzanie i poprawianie Pana Boga.

Czy jest jakiś ratunek?

Jest, ale tylko ten jedyny, który Jezus przed 2 tysiącami lat wypowiedział we formie wielkiego pytania: „Cóż pomoże człowiekowi, choćby cały świat zdobył, a na duszy szkodę poniósł"?

I choćbyśmy niewiem jakie konferencje światowe urządzali, polityczne, rozbrojeniowe, finansowe, rolne i wszelkie inne możliwe, to jednak tak długo ludzkość będzie w beznadziejnem położeniu i bez wyjścia, póki nie sięgniemy do recepty Chrystusa i nie damy duszy naczelnego stanowiska, póki tej duszy pojedyńczej i zbiorowej nie odróżnimy, nie uleczymy. Ta recepta a nie inna, jak wyżej wspomnieliśmy już uratowała raz świat.

„Niczem Sybir, niczem knuty... lecz narodu duch zatruty, to dopiero bólów ból".

Jak nie istnieje na świecie słońce bez światła, rzeka bez wody, matematyka bez liczb, życie organizmu ludzkiego bez serca,.. tak nie może istnieć życie duszy ludzkiej bez religji.

Czy istnieją sanatorja dla duszy?

Tak a na imię im Domy Rekolekcyjne.

Miast teoretycznie wywodzić, jak rekolekcje są potrzebne i skuteczne i czem są wogóle, dajmy lepiej głos tym, którzy ten sposób leczenia sobie przeprowadzili i wyleczyli się, bo to będzie więcej przekonywujące, niż same słowne wywody.

„Właśnie wracam z rekolekcji powiada jeden pan z inteligencji do swego kolegi, jestem tak przejęty, że mam tylko jeden wykrzyknik — to prawdziwa rozkosz. Już nie jednego na świecie zakosztowałem, znane mi wszystkie przyjemności jakie daje sztuka piękna, podróże, sporty, teatry... Ale takiej rozkoszy, takiego szczęścia jak na rekolekcjach nie zażyłem nigdy w życiu. Przekonałem się osobiście i namacalnie, jak fałszywe są uprzedzenia co do rekolokcyj, ze wstydem przyznaje, że sam z nich kiedyś drwiłem... a dziś... dziś gdy je odprawiłem, doszedłem do przekonania, że każdy naród obok innych humanitarnych instytucyj i zakładów powinien mieć na pierwszem miejscu Domy Rekolekcyjne, bo tylko przez nie można świat polepszyć".

Na poparcie słuszności słów owego pana warto zauważyć, jak rekolekcje są wielkim czynnikiem twórczym dla państwa. Oto z historji nowoczesnej Holandji znamy fakt, że królowa, choć sama protestantka, dawała i daje na Dom Rekolekcyjny miljonowe sumy, gdyż jak twierdzi, tylko rekolekcje uratowały jej państwo od bolszewizmu. Węgry, tak szybko zrzuciły z siebie bolszewizm, bo tam odprawiają rekolekcje posłowie, ministrowie i prezydenci miast, dość wspomnieć, że w roku 1930 odprawiło na Węgrzech rekolekcje 78 posłów z prezesem ministrów i najpoważniejszymi urzędnikami państwa na czele.

W Meksyku prześladowca Calles musiał ustąpić w walce z Kościołem, bo miał doczynienia z ludźmi zahartowanymi na rekolekcjach. Nawet w czasie prześladowań katolicy meksykańscy odprawiali rekolekcje i naprzykład murarze schodzili się na ćwiczenia duchowne w nocy, ze świecami w rękach w budynku, który za dnia stawiali.

Teraz posłuchamy co piszą urzędniczki o rekolekcjach: „W rekolekcjach brałam udział poraz pierwszy. Dotąd nie miałam pojęcia o skuteczności tychże a teraz, nie mogę się dość nadziękować Bogu, że miałam szczęście odprawić rekolekcje. Były to chwile naprawdę szczęśliwe w mem życiu, że

ich nigdy nie zapomnę". Inna znowu tak pisze: „Z rekolekcji wróciłam do domu pełna nowych wrażeń wzniosłych, wprost jestem olśniona tem nowem życiem, dotąd dla mnie nieznanem. Dawniej wyobrażałam sobie rekolekcje, jako jakieś dewocyjne i fanatyczne ćwiczenia... temczasem nie było tam żadnego ciężaru, przeciwnie doznałam tam wszystkiego co wnosi w życie beznadziejne ulgę i pociechę". Nie mniej charakterystyczne są słowa innej urzędniczki: „Na tego rodzaju ćwiczenia ducha jak rekolekcje, zapatrywałam się zawsze sceptycznie... jednak już pierwszy wykład, jaki usłyszałam na rekolekcjach wzbudził w wielkim stopniu moje zainteresowanie, które z każdem dalszym wykładem wzrastało. Z entuzjazmem wchłaniałam głoszone słowa o prawdziwem pojmowaniu Boga i chrystjanizmu. Odtąd moje postanowienie, to żyć według hasła „Chrześcijanka to drugi Chrystus".

Warto posłuchać co młodzież dzisiejsza pisze o rekolekcjach:

„Codziennie przypominam sobie te błogie chwile rekolekcyjne, pisze jedna młoda panienka, które były dla mnie najpiękniejszemi dniami mojego życia. Odtąd czuję się szczęśliwą, bo wszystkie przykrości życia mogę łatwo znosić, gdyż zawsze znajduję pociechę w Bogu. Żyję tą nadzieją, że znowu pozwoli mi Bóg pojechać na rekolekcje".

Jedna maturzystka powiada: „Na rekolekcjach ksiądz miał tak śliczne nauki, że nie jestem w stanie ich opisać. Przygotował nas na przyszłe życie i wskazał prostą drogę do doskonałości. Postanowieniem mojem jest iść z nieugiętą mocą i wiarą kochając wszystkich, pomagając wszystkim, przebaczając wszystkim... Z wielkim żalem opuszczałam Dom Rekolekcyjny i teraz stale tam uciekają moje myśli, bo w tej kuźnicy Bożej dusza moja przybrała inne rysy... tam nabrałam sił, że będę pracować na chwałę Boga i ojczyzny".

Niech jeszcze na zakończenie i chłopcy dorzucą swe wrażenia z rekolekcyj. „Gdy przyjechałem do domu po odprawieniu rekolekcji, to wszystko we mnie i koło mnie było pełne blasku słonecznego: stałem się odtąd człowiekiem nowym, ale wesołym człowiekiem". Inny wyznaje: „W tych trzech dniach rekolekcyj nauczyłem się więcej, niż w całem życiu".

Socjalista po odprawieniu rekolekcji woła: „Oby robotnicy wiedzieli co to są te rekolekcje" itd.

Ten rozwijający się coraz bardziej w rozmaitych krajach, wśród rozmaitych warstw ruch rekolekcyjny, znalazł także podatny grunt i w Polsce, czego dowodem jest chociażby odbyte w dn. 4 września wspaniałe uroczystości III Dnia Rekolekcyjnego w Katowicach.

Niech ruch ten rozwija się i rozszerza coraz bardziej, niech świadomość jego konieczności i pożytku zdobywa sobie prawo obywatelstwa we wszystkich warstwach naszego społeczeństwa.

Dyskusja około małżeństwa.

Rozgorzała dyskusja około osi życia ludzkiego, około rodziny. Nic w tem dziwnego. Wszystkie bowiem prądy i poglądy za świat w rodzinie widzą punkt wyjścia swoich doktryn.

Mamy więc z jednej strony naturalizm, co przecząc istnieniu pierwiastka nadprzyrodzonego, ale nawet duchowego, pragnie świat zamknąć w ciasnem kole użycia zmysłowego. Jest to pogląd najbardziej ograniczony, nie widzi dobra wyższego ani szerszego poza cielesną pomyślnością jednostki. Obcy mu jest wzgląd na Boga i Jego prawo, nie zważa na społeczeństwo, nie zajmuje się przyszłością, nie baczy na moralność, na spuściznę narodu, na tradycję. Wszystko to są pojęcia, któremi gardzi człowiek z obozu naturalistów. Dla tego rodzaju ludzi, jeżeli ich ludźmi nazwać można, małżeństwo jest rozkoszą, a traci rację bytu, gdy nią być przestanie.

Z drugiej strony mamy pogląd nadprzyrodzony, który staje na wyniosłej wyżynie planów Bożych i z tej wyżyny, wobec której sprawy praktyczne widzi w miniaturze, układa swoje ludzkie pożycie. Inny więc jest kierunek patrzenia, inny cel, do którego się mierzy, aniżeli u naturalistów. Człowiek z obozu naturalistycznego zatopiony jest w kontemplacji własnego ciała, wzroku odeń oderwać nie potrafi, czuwa nad żołądkiem, by był napełniony, słucha głosu swoich instynktów, by im dać folgę. Ludziom tego rodzaju wskazywać wyższe widnokręgi, to mowić do głuchych. Człowiek natomiast religijny, u którego Bóg i sprawa Boża zajmuje miejsce należne, to znaczy miejsce na-

czelne, czując swoją zależność od Boga, wierząc i wiedząc, że jest stworzeniem Bożem, że jest na ziemi jak w przedpokoju nieba, w przedpokuju, w którym czekać trzeba w niewygodzie, chłodzie i głodzie, potrafi przezwyciężyć to upokorzenie czekania, to dobijanie się o miejsce wstępu, słowem przyjmie wszystko, od czego uwarunkowane jest wpuszczenie do bożych komnat. Człowiek religijny, o poglądzie nadprzyrodzonym na świat dostosuje więc ziemskie stosunki do Bożych zamysłów. Dla człowieka tego pokroju będzie więc małżeństwo sposobem, przez Boga ustanowionym, podtrzymania życia ludzkiego na ziemi, rozwijanie go, udoskonalanie do tego stopnia, iżby zadowolić mogło Bożą wolę. Jeżeli uda mu się to tanim kosztem, bez wielkich ofiar, złoży Bogu dzięki; jeżeli to wykonanie Bożego zlecenia będzie trzeba okupić chorobą, pracą, głodem, zmartwieniem, tem, co w ludzkim języku nazywa się nieszczęściem, to weźmie krzyż swój i pójdzie za tym, który także tą drogą dobijał się nieba, chociaż zeń zstąpił, za Chystusem. W całokształtcie zamysłów Bożych wydadzą mu się te ofiary drobne, bo on patrzy na nie z tej odległości, która dzieli niebo od ziemi, nie będzie on naginał zasad do życia, ale życie do zasad, będzie łamał siebie, żeby nie złamać Bożej linji. Będzie to czynił nieraz sercem krwawiącem, ale spoglądając na Boże Serce, które także krwawiło i potem boleścią ociekało, w niem ujrzy pierwowzór, podany do naśladowania. Z małżeństwem przyjmie człowiek religijny obowiązki może nie ochoczo, ale posłusznie, będzie w nim hodował Boże kwiaty i krzewy, będzie jak ogrodnik uprawiał, uszlachetniał, będzie mnożył owoce dobra, piękna i cnoty, choćby sam tych owoców nie spożywał, boć i ogrodnik nie dla owoców tylko krząta się w ogrodzie, ale dla samej radości współpracy z Bożą przyrodą.

Porozumienie między obu poglądami jest trudne. Są to krańcowe bieguny, których nikt nie uzgodni. Kto ze stanowiska ziemskiego patrzy na małżeństwo, ten znajdzie mało róż, a dużo kolcy, będzie omijał kolce, a sięgał po róże, a ponieważ kolce i róże na jednym rosną krzewie, przeto będzie zrywał róże z różnych krzewów, a zostawi za sobą nagie łodygi. Dzieło jego będzie dziełem zniszczenia, za sobą zostawi ruinę, napawając się samolubnie zapachem, barwą i kształtem kwiatów. Oto historja małżeństwa ludzi obozu naturalistycznego.

Są próby kompromisów. Między Boga a jednostkę wciska się państwo. Pragnąc zadowolić egoistyczne żądania jednostki, usiłuje je ograniczyć w tem, coby groziło ruiną społeczeństwu, Bogu pozostawia jednak najmniej korzyści z małżeństwa. Jednostka naturalistyczna oblicza na dobę, Bóg na wieczność, państwo urywa każdemu potrosze i pragnie uratować społeczeństwo na kilka pokoleń. Państwo, któremby kierowali ludzie religijni, wiedziałoby, że ratując interesy wieczne Boga, uratowałoby swoje w całej pełni, bo okres kilku pokoleń zawarty jest przecież we wieczności. Kto daje więcej, ten też daje mniej, to stara zasada. A przytem pracowałoby państwo na pożytek zbawienia wiecznego swych obywateli. Zadaniem zaś państwa jest właśnie popieranie pomyślności obywateli w ten sposób, iżby na tem nie ucierpiało dobro wieczne, ale owszem w niem znalazło strażnika, przyjaciela i pomocnika. Państwo, kierując się prawem Bożem, ma ponadto tę pewność, że się nie przeliczy, nie omyli, że na jego działalności spocznie błogosławieństwo Boże, że zachowa interesy wyższe, chociażby jednostka niekiedy mozoliła się i trudziła, a nieraz zrezygnowaćby musiała z osobistego zadowolenia. Wtedy zasłużyłyby władze państwowe na szczytne miano Bożych pełnomocników, wtedyby każdy uznał, że prawdziwa władza pochodzi od Boga i do Boga zdąża.

Szukając kompromisowego załatwienia sprawy, zrazi sobie państwo i Boga i jednostkę samolubną. Zrazi sobie Boga, bo zgwałci Boże wskazania, podepcze prawo Boże, ściągnie na siebie gniew Boży, przeliczy się może w swych obliczeniach; bo któż da gwarancję, że ludzkie wymysły potrafią uratować społeczeństwo od rozkładu na kilka pokoleń. A co potem? Raz popuszczonych wodzy nieraz już nigdy nie da się powściągnąć. Dziwna to zarozumiałość, chcieć poprawiać Boga, który wszystko urządził najlepiej.

Kompromisowe załatwienie sprawy małżeństwa zrazi w każdym razie jednostkę samolubną do państwa, bo dla samoluba każda więź jest niewygodna, krępująca, nieznośna. Tak jak samolub sarkał na prawo Boże, tak będzie urągał ustawie państwowej, bo ona nie zostawi mu upragnionej woli, a raczej swawoli.

Rzecznikiem Boga na ziemi jest Kościół. On przechowuje dokumenty, w których mieści się myśl i wola Boża, on ją tłumaczy, on ją od lat dwutysięcy ludzkości w sposób nieomylny wykładał. On prowadził ludzkość z niemowlęctwa do dojrzałości, on był wychowawcą ludzkości z Bożego powołania, on jej wskazywał drogę do cywilizacji prawdziwej, która zbudowana jest na ideałach dobra i piękna. Żaden naród który dał się prowadzić, nie pożałował tego, każdy naród Kościołowi zawdzięcza swe chwile wzlotów, szlachetnych porywów, wiekopomnych dzieł utrwalonych w kamieniu, piśmie, w czynach niezapomnianych. Jeżeli zaś narody przeżywały chwile klęsk i poniżeń, to wtedy, gdy straciwszy łagodną rękę Kościoła, puściły się poomacku na śliską, ciemną drogę swego przeznaczenia.

Kościół jest zatem powiernikiem Bożym, jest nieomylnym nauczycielem, przychylnym zawsze i wypróbowanym przyjacielem, najdoświadczeńszym na świecie społecznikiem i politykiem. A że przytem małżeństwem opiekował się od zarania swego istnienia, to też jemu należy się głos w sprawie małżeństwa, które w dodatku jako sakrament wchodzi w zakres jurysdykcji kościelnej.

Naród polski jest przecież katolicki z tradycji i z przekonań i z praktyk, to też należy mu się prawo małżeńskie zgodne z jego zasadami wiary. Przypuśćmy nawet, że wskutek demoralizacji wojennej, wskutek roboty wywrotowej, wskutek sąsiedztwa z bolszewicką Rosją, osłabłby w wierze, to nie jest zadaniem państwa tę wiarę doszczętnie podkopać, wręcz przeciwnie, koła rządowe, dalej patrzące niż jednostka, powinny czynić wszystko, by wiarę w narodzie utwierdzić, zakorzenić, uświadomić, słowem, ustawodawstwem swem praktykę i obyczaj katolicki zawarować.

Sam rozum polityczny, pominąwszy już pobudki nadprzyrodzone, każe uwzględniać czyją własność, a sakrament jest własnością Kościoła, tembardziej, gdy wiążą państwo układy uroczyste z Kościołem. W miarę wreszcie jak państwa z narodem polskim współzawodniczące starają się pozyskać przyjaźń Stolicy Apostolskiej, nie wypada nam narodowi młodemu, ze-

wsząd oszaconemu pożądliwym uściskiem państw ościennych, zrywać tych więzi przyjaznych, czem byłoby w gruncie rzeczy niekatolickie ustawodawstwo małżeńskie.

Ks. Dr. Stefan Abt.

SPOŁECZEŃSTWO I WYCHOWANIE.

Katastrofa świata.

Zbliżamy się szybkiemi krokami do chwili przełomowej, w której wsteczny prąd kształtowania się nowoczesnej cywilizacji musi się ostatecznie załamać. — I albo nastąpi szybki powrót do podstaw cywilizacji chrześcijańskiej, — świat uchwyci się kotwicy Nawy Piotrowej, — albo z piorunującą szybkością zacznie się pogrążać w odmętach rozprzężenia, — skłócenia wszelkich żywiołów, ścierających się czynników życia, rozkładu, aż do zaguby.

Wszystko co o tem mówią i piszą racjonalistyczni myśliciele, co jest rozgłaszane przez mniej lub więcej poważne rozprawy, ulotne artykuły dziennikarskie, — o czem głosi płynne słowo bieżące i niemniej płynne pióro, o tem rzekomem zmierzchu cywilizacji zachodniej, europejskiej, — o upadku prymatu starej Europy, — a dziś już i młodej córy Ameryki (tej Anglosaskiej), — wszystko to są te przeczucia, wyczucia i odczucia instynktowne, lub półświadome, rodzące się i wzmacniające pod wpływem rzeczywistości bijącej obuchem po głowach współczesności, — wszystko to są próby rozwiązania grozy niebezpieczeństwa, znalezienia przyczyn, rzadziej dróg ratunku dla odchylenia nieuchronnej klęski.

Nieliczni zaczynają powoli ogarniać rozmiary przeczuwanej i przewidywanej klęski „teren jej zasięgu" w znaczeniu geograficznem, — ale i ci nieliczni przeważnie traktują ją porcjalnie, — przedewszystkiem jako krach ekonomiczny, lub polityczny, czasem ustrojowy, — chwytają niejako fragmenty zagad-

nienia, — najmniej liczni zbliżają się bardziej do istoty rzeczy, ogarniają szersze widnokręgi i ci właśnie mówią o załamaniu się cywilizacyjnym, — załamaniu się pewnego typu cywilizacji.

Ale jakiej?

I tu już pozostają tylko katolicy, albo zbliżeni do świata myśli katolickiej, — ci którzy rozumieją że tu nie chodzi o cywilizację zachodnio-europejską, nie o tę wiekową cywilizację wyrosłą pod opiekuńczemi skrzydłami Kościoła Rzymsko-katolickiego, — lecz o skażoną cywilizację, skażony system myśli i życia wyrosły w ciągu ostatnich czterech stuleci właśnie na tle przeciwstawienia się Kościołowi, na tle buntu przeciwko Kościołowi.

Środki zaradcze?

Tu pozostają sami katolicy. — Bo jeżeli nawet znajdują się myśliciele i działacze poza światem katolickim, którzy na mocy rzetelnej obserwacji, głębokiej rozwagi, — znajomości dziejów i znajomości chwili bieżącej dojdą do trafnej oceny środków, to muszą zostać katolikami.

Pozostaje dla nich jedna jedyna droga w woli czynu, — urzeczywistnienia tego co uchwycili odczuciem, i ugruntowali świadomością, — pozostaje przejście na łono Kościoła Katolickiego.

Ratunek świata tylko w cywilizacji chrześcijańskiej, — a zwycięskie zastępy tylko w kadrach Kościoła Katolickiego.

Oto nieuchronna formuła do której muszą dojść.

Ale to dopiero początek drogi, to dopiero wydobycie się na właściwe tory, — dalsza wędrówka zmagania się w pracy i walce, — stanowi dopiero trudów trud.

Tymczasem jednak i do tej początkowej drogi większości dzisiejszych, — ale to ogromnej większości, — obserwatorów, myślicieli działaczy bardzo daleko.

Czasem wprost litość i współczucie się budzi, gdy czytamy te liczne publikacje, te po manowcach błądzące wysiłki, mające na celu wydźwignięcie świata z kryzysu. Te wszystkie konferencje międzynarodowe mniej lub więcej pociągające pomysły, chwilami błyskające i gasnące, lub też z uporem manjaków mimo ich bezważności powtarzane, te majstrowania Ligi Naradów i jej przybudówek, czy też rozbudówek, — za każdym razem zawodne dające najczęściej przykrycie tendencjom i działaniom

wręcz sprzecznym, czasem o celach podstępnych i zasadniczo wrogich idei ratowania świata, — te wszystkie poruszenia przedstawiają widok zaiste żałosny, — a nawet przy pilniejszem wejrzeniu wprost grozą przejmujący.

Są to nieskoordynowane, ślepe, czasem opętnicze odruchy tonącego w bagnie człowieka, który już zupełnie traci przytomność, — i za każdem swem poruszeniem jeszcze głębiej się grąży.

Najbardziej uderzającym i zastanawiającym dla tej dezorjentacji, — dla tego pomięszania języków przy wieży Babel, jest fragmentaryczny sposób patrzenia, — oraz ciągła suggestja ekonomiczna. — Swiat nowoczesnej, zbuntowanej, protestanckiej i zmaterjalizowanej cywilizacji zapatrzony jest w jeden punkt rozwiązania, ekonomiczne. — Wszystko inne wobec niego jest zdegradowane.

Archimedesowym punktem oparcia jest zmaterjalizowana ekonomika duchowość jest nadprodukcją, nadbudową i dodatkiem.

Na skutek tego szuka się rozwiązania nie tam gdzie należy go znaleść, — błąka się na fałszywych tropach grążąc się coraz bardziej w mrokach puszczy u skraju której tylko zatrata.

Nowoczesny duch tak dalece zatopiony w swoich nałogach, w swojej inercji nie może się wyrwać z tego fałszywego toru, który w praktyce przygotowywał sobie od czterech stuleci, — a od dwóch dorabiał do tego filozofję myślowy system suggestywny, — ażeby jeszcze wzmagać pęd na tym fałszywym torze dalszego rozwoju swego życia.

Co więcej, poza tym bezwladem, tą inercją — poza tą masą, która jest pchana i stacza się po równi pochyłej na skutek atmosfery bieżącego czasu i obciążeń czasów minionych są ludzie, są sfery świadomie i uporczywie pchający ludzkość, świat współczesnej cywilizacji torem tego ślepego materjalizmu i racjonalistycznej pychy ludzkiej, — która już ma znamiona aniołów upadłych, znamiona szatańskie.

Jest cały naród nieszczęsny w swojem zaślepieniu, naród osobliwy, nie dający się porównać z innemi, — nie znajdujący analogji ani współczesnej, ani dziejowej, — osobliwy w swej rasie, jeżeli tu wogóle o rasie można mówić, — osobliwy w swej strukturze społecznej i osobliwej w swej strukturze duchowej owo *gens perfida* jak go nazywa Kościół. Jest to istotnie ple-

mię, plemię w najszerszem i najbardziej swoistem tego słowa znaczeniu. Plemię w takiem znaczeniu jak się mówi o plemieniu Kainowem. To znaczy plemię z pewną cechą moralną fatalnie dziedzicznie ciążącą i kształtującą stale duszę zbiorową, — cechą która się nie daje niczem zacierać, — jak tylko znamieniem Chrztu Świętego, — Chrztu z Ducha.

Naród ongi wybrany, równie bezprzykładny jak i dziś, — ale w innym kierunku, bo naznaczony innem znamieniem, znamieniem osobliwej łaski Bożej.

Dziś naród wybrany nie istnieje, ale zato niestety istnieje naród odtrącony, — plemię Bogobójców.

I dziś zdaje się uzasadnieniem istnienia żydów być to, że oni są narzędziami do wykonywania zamysłów zbuntowanego anioła, — przeciwstawienia się Bogu i Jego Kościołowi.

Jeżeli więc znamię żydowskie spoczywa na współczesnej zmaterjalizowanej strukturze cywilizacyjnej, — a pysznej i przewrotnej tam gdzie ona probuje sięgnąć w sfery ducha,— to nic dziwnego, że najpełniejszem wyrazicielem, — wodzem niejako tego prądu zatracenia jest: *gens perfida.*

Ten to przewódca czyni wszelkie usiłowania, ażeby swój system uratować od załamania się, — od zagłady. — Do załamania doprowadzić świat, — ale uratować siebie i swój system,— do dalszego żerowania na ruinie, na rumowisku świata.

Jest to odwieczny system lucyferyzmu: zrujnować i tryumfować na ruinach, — dawać łudzące i złudne światło, — złudę powodzenia, złudę rozwoju, złudę szczęścia choćby w następstwie była tem większa ruina. — Nie, właśnie na kupie tych rozpadających się skisłych złomisk rozsiewać, rozsiewać fosforyczne światło, — schorzale imitujące blask światła prawdziwego słońca prawdy.

Biedne plemię wysługi aniołów upadłych.

Straszne plemię zakażone, kusicielskie, zakażające.

Wszędzie gdzie są potrzeby uratowania systemu materjalistycznej cywilizacji, — kapitalistyczno-pasożytniczego ustroju,— tam czy w liberalizmie, czy w socjalizmie, czy w złotej międzynarodówce, czy w czerwonej międzynarodówce, — w tych dwu skrzydłach jednej i tej samej istoty, — wszędzie tam żydzi z inicjatywą i z czynem są na pierwszem miejscu, — czy jaw-

nie czy skrycie są motorem działania nieustannie, niewyczerpanie, nerwowo czynnym.

Żydzi, ten wieczny niepokój świata, są dziś w okresie powojennym bardziej czynni, niż kiedykolwiek i coraz czynniejsi w miarę zbliżenia się grozy ostatecznego bankructwa tego właśnie czego głównemi inspiratorami i twórcami są oni. Jak rojowisko skłębionego robactwa staje się coraz ruchliwsze w zwijaniu się i rozwijaniu w miarę jak żerany przezeń organizm, chwieje się i upada, tak żydowskie rojowisko konwulsyjne odbywa ruchy.

Jeno że tu upada system przez nich skonstruowany, — system którego główną treścią byli oni, — ale w głębinie podłoża tego życia tężeją zdrowe siły narodów i starają się wyprzeć to co było ich chorobą, pędzą ożywcze soki, — płynie nowego ducha wiew. — W wierze i w duchu katolicyzmu jest ta siła.

Żydzi blizcy swego tryumfu, są w przededniu swojej klęski.

Ale jak się sprawa rozwiąże na najbliższe stulecia i dla wielu narodów, — dla całej grupy cywilizacyjnej zachodniej, — zależeć to będzie od tego o ile i jak te narody zanurzą się w ożywczym i odrodzeńczym prądzie katolicyzmu. — Ile i jak stanie zastępów rycerskich naznaczonych znamieniem krzyża.

Jeżeli bym użył porównania rozświetlającego blaskiem mitu nam aryjczykom blizkiego, tobym sięgnął do prawiecznego mitu, — który jak każdy wielki mit nosi w sobie odległy, ale niemniej wyrazisty odblask prawdy wiecznej, — mitu dawnych arjów Iranu, — stanąłbym w obliczu walki Ormuzda z Arymanem.

Aryman blizkim jest tryumfu, — ale Aryman jest w przededniu swej zaguby.

Lecz Aryman umie się mścić.

Żydzi padając razem ze swoim systemem sprobują pogrzebać nas pod ruinami swojego gmachu.

Więc nie rozpadu czekać, — ale walczyć, zwyciężyć i pełnię zwycięstwa wziąć.

My dzieci Ormuzda powołani jesteśmy do boju i godnie musimy odpowiedzieć wezwaniu, — ażeby Bóg w Trójcy Świętej Jedyny w sprawiedliwym swoim gniewie, gniotąc Arymana, nie zgniótł i Ormuzda.

Nie sądzę wprawdzie, aby nadchodziły czasy Antychrysta.— Znaki na niebie i ziemi jeszcze nie są te, — zapowiedziane.

Aleć walka idzie falami i tak jak runął świat Rzymu dawnego,— tak się ma ku końcowi świata dzisiejszego. — Bożyszcza i ludzie szaleją. — Złote szaleją cielce, czciciele ich szaleją, — Mammon w opętaniu ginie.

Krzyż zatryumfuje.

Ale czy my pod krzyżem staniemy i schron w cieniu ramion Jego znajdziemy?

Katastrofa świata jest niewątpliwą, ona się nie tylko zbliża, ona już jest. W tej katastrofie trud walki i trud tryumfalnego zwycięstwa jest dla tych którzy są. — Nieobecni giną.

Obraz walki jasny.

Żydzi z imienia i z faktu, — ci z pod znaku Arymana i Mammona; — Kościół Katolicki, — Kościół wojujący, — wsparty przez Kościół Tryumfujący; — *tertium non datur.*

Niechże więc ci ani zimni, ani gorący dojdą do przytomności i do świadomości i znajdą wolę swą i swój czyn.

Tu już nie można być półkatolikiem, tolerantem stojącej wody, — nie można zawierać paktu z wojownikami Arymona a choćby i z jego maruderami. Linja graniczna jest ostra, jasna nieubłaganie rzeczywista.

W tej walce Polska ma szczególne położenie i szczególne znaczenie.

A to dla następujących powodów:

1) Polska jest najdalszą redutą katolickiego świata, — „redutą jak głaz morze bodącą". — Wokoło zalew — od Wschodu zalew, — ogromny zalew, już nie schizmy, ale wręcz bezbożnictwa. Pod czyim przewodem? — Żydów. Tryumf socjalistycznej mammonizacji.

Od Zachodu. — Duch protestantyzmu, — duch prusacyzmu w jednym zespole. — Wsparty przez kogo? — Przez Żydów. — Rzecz charakterystyczna, znamienna, uderzająca, żydzi nawet wtedy, kiedy są bici przez hitleryzm, — przyklaskują komu, — bronią kogo? — Pruso-Niemców.

2) Polska jest największym rojowiskiem żydów, — jest rezerwuarem sił żydowskich, — tych najciemniejszych najbardziej fanatycznych, zarazem najbardziej zespolonych, zwartych w sobie, jest to gniazdo chasydów, matecznik, z którego wywodzą się wszyscy dalsi o szerokim zakroju działacze zarówno teoretycy jak i praktycy nowoczesnego ustroju, „ich ustroju".

3) Polska jest młodym narodem i jeszcze młodszem państwem, — a jednak o wielkiej tradycji dziejowej, — przedziwnej tradycji rycerza chrześcijańskiego, jest „przedmurzem chrześcijaństwa" i „chorążym chrześcijaństwa" wedle wielkiego i zaszczytnego świadectwa Namiestników Chrystusowych. — *Polonia semper fidelis.*

Te rzeczy zobowiązują, — obowiązują z wyroku Opatrzności Boskiej, — pod wielkim nieodmiennym przymusem dziejowym.

W wyniku:

Polska musi rozwiązać sprawę żydowską, — sprawę wiekowego wroga chrześcijaństwa.

Polska musi rozwiązać sprawę ratunku świata cywilizacji zachodniej.

Polska musi znaleźć wskazać drogę nawrotu do cywilizacji chrześcijańskiej.

Polska w Kościele musi odegrać rolę wybitną

Do tego Bóg ją przeznaczył.

Polska pełna bujnych, młodych sił podejmie te zadania, bo podjąć musi, *periculum in mora.*

Jak odparła piersiami swemi napór wschodu, — jak stróżuje i stróżować będzie wobec rozpasania protestancko-pruskiego wojującego germanizmu, — ona zgniecie jego zakusy, — tak Polska musi załatwić, rostrzygnąć nieszczęsną, straszną sprawę zakażenia judaistycznego świata. — Polska to zrobi dla Kościoła, dla ludzkości, dla siebie.

Świadomość tych zobowiązań dziejowych musi być wyrytą głęboko, niezatarcie w mózgach, w duszach nas Polaków.

Jak to zrobić?

Odrodzienie katolickie świata, — nad którem nie my jedni pracujemy i nie my jedni pracować będziemy, — ale które szczególnie jest ważne dla nas, szczególnie piekące, szczególnie niecierpiące zwłoki. Boć my reduta, — w razie klęski pierwsza skazana na zagubę. — A więc w tej walce pomiędzy Ormuzdem i Arymanem, Polska z rodu Ormuzda musi zwyciężyć. — W tej walce pomiędzy Krzyżem a gwiazdą szatana, — Polska z pod znaku krzyża musi zwyciężyć.

„Polska albo będzie katolicką, — albo jej wcale nie będzie".

Odrodzenie katolickie świata.

Ale dla nas to przedewszystkiem Odrodzenie Katolickie Polski.

Może jeden, drugi naród popaść w nieszczęsne błędy, nawet na czas jakiś odszczepić się od Kościoła, — i Bóg będzie czekał długie lata na poprawę jego. — Może Anglja, Francja, Niemcy, — mogą zbłądzić poddać się kulturze materjalistycznej, zmamonizować się, — odszczepić się od Kościoła i jeszcze nie zatracą swego bytu doczesnego, jeszcze będą miały czas do poprawy. — Ale jeżeli Polska odszczepi się od Kościoła, sprzeniewierzy się swoim zadaniom, rozedrze się i zatraci wewnętrznie— stracona będzie bez ratunku.—Poprostu zdana i zatopiona będzie z zewnątrz Lutro-prusami i żydo-moskwą, oraz zgnieciona wewnątrz przez żydów. — Nie mamy i nie będziemy mieli czasu.

Polska musi być katolicką, — wytrwale, niezmożenie, — i coraz zwarciej i coraz potężniej.

Dla tego to pierwszem i najważniejszem zadaniem naszem jest Katolickie Odrodzenie Polski.

Żydowsko-kapitalistyczny świat ma się ku końcowi, — rysują się i pękają mury tego gmachu, już trzaskają kolumny, — ciężar kryzysu gospodarczego potężnieje, rozwijają się kryzysy ustrojowe, moralne, obyczajowe, — nawet intelektualne, żadna dziedzina życia nie jest ominięta. — Gmach musi runąć. — I nie jedno istnienie, nie tylko indywidualne, ale i zbiorowe zginie pod jego grozami.

My zginąć nie możemy.

I jakim będzie ten upadek, w jakich warunkach, — i co z niego wyjdzie?

Za siebie za świat swój zwycięzki mogą odpowiedzieć tylko narody katolickie.

Wśród tego bezładu nowy zbudujemy ład.

Jego fundamenty już są, w nas samych te fundamenty założone przez Zbawiciela, rozwijane przez Kościół.

Na tych fundamentach, — ten nowy ład musi być budowany już dziś.

Polska ma szereg danych, żeby w tem budownictwie wydatnie uczestniczyć. Polska społeczność młoda — państwo nowe nie ma tych wielu zastarzałych błędów z okresu materjalistyczno-kapitalistycznego, — które już stężały w społeczeństwach starszych. — Jednostronny rozwój przemysłowy Anglji,

Niemiec i t. p. o błędnej strukturze socjalnej jest jeszcze nam obcym, — duchowe przeżycia i równie jednostronne materjalistyczne wypaczenie jest jeszcze od nas odległe, — kiedy reszta świata pada pod ciężarem wykroczeń mamonizacji, — my dopiero weszliśmy na tę nieszczęsną drogę tylko częścią naszego społeczeństwa. — Kiedy Anglja Francja, Niemcy i t. p. miały zamknięte oczy na podstępne działania nielicznego ale ruchliwego, wpływowego żywiołu żydowskiego, — my, mając jego nadmiar niepomierny, wcześnie ujrzeliśmy to niebezpieczeństwo, — i posiadaliśmy większy instynkt odporu.

Zwróciwszy się całą siłą, zszeregowawszy się w akcji katolickiego odrodzenia naszego narodu, — możemy budować konstrukcję naszej reduty, — wedle planu i ducha katolickiej myśli.

Budując wytrwale, ciągle, szybko, — możemy postawić budowę, która będzie wzorem innym narodom.

Nieraz już wyprzedzaliśmy świat zachodni, — nieraz dawaliśmy w zakresie kultury duchowej i społecznej rzeczy, do których zachód przychodził znacznie później, albo i nie przyszedł do dziś dnia. — Możemy to i powinniśmy uczynić w zakresie odrodzenia katolickiego ludzkości, — my przedmurze chrześcijaństwa i naród misyjny.

Wszelkie inne metody, pomysły najsłuszniejsze i najtrafniejsze nawet t. zw. „praktyczne” posunięcia, konieczne jako dalszy ciąg działań—tylko w łonie tego odrodzenia katolickiego w jego atmosferze będą miały uzasadnienie i znaczenie. Poza niem, mimo niego, pozostałyby one tylko próbami fregmentarycznemi, półśrodkami może i działającemi czasowo na bardzo krótką metę, — ale pozostającemi bez ostatecznego rezultatu.

Wszystko przebudować od podstaw, odnowić od podstaw.

Instaurare amnia in Christo

L. Czerniewski.

Młodzież rosyjska ostoją bolszewizmu.

Ewolucja, jakiej ulega regime bolszewicki, czyni Z.S.S.R. przedmiotem coraz większego zainteresowania świata. Czerwoni władcy w rządach swych dają niemało dowodów zrozumienia istotnych potrzeb, interesów i możliwości swego narodu. Co jest

najbardziej zadziwiające, to ów zmysł praktyczny, zrozumienie psychologji mas rosyjskich i umiejętność rządzenia na przestrzeni 15 już lat, u ludzi stojących na czele ruchu nawskroś doktrynerskiego, jakim jest rosyjski maksymalizm komunistyczny. Przyczyny tego należy szukać w jednem zjawisku. Jak wykazuje doświadczenie tych kilkunastu lat, w rządach bolszewickich biorą udział ludzie dwóch typów: doktrynerzy, fanatycy idei komunistycznej i jej wszechświatowego triumfu — obok ludzi o zmyśle praktycznym, którym służba idei bolszewickiej nie przesłania życia z jego wymogami i prawami. Te dwa ugrupowania ścierają się wzajemnie i regime bolszewicki, na który patrzymy, jest wypadkową tych dwóch kierunków. Stąd ta dwustronność cechująca rządy w Rosji obecnej.

Ludzie tego drugiego pokroju zdają się mieć przedewszystkiem na oku potęgę Rosji, wzrost jej bogactwa, zaprowadzenie ładu i takiego wydobycia na wierzch, skoncentrowania i zorganizowania drzemiących sił narodu, żeby Rosję uczynić pierwszorzędną w świecie potęgą gospodarczą i polityczną. Wyrazem tego są oba głośne plany pięcioletnie, z takim rozmachem nakreślone i z tak żywiołową siłą realizowane.

Aby gigantyczne te plany wykonać trzeba lud rosyjski pobudzać do nieustannego wysiłku, do coraz większego tempa pracy, trzeba jego zdolności wytwórcze podnieść do możliwie najwyższych granic. I oto od trzech lat widzimy Rosję czyniącą nadludzkie wysiłki, aby zbudować nowe i potężne fabryki, pomnożyć linje kolejowe, kanały, środki lokomocji (statki, wagony, wozy) i wyprodukować narzędzia produkcji (traktory, maszyny itp.). Wykonanie pierwszego planu obliczane było na 5 lat; obecne hasło Komitetu centralnego jest wykonać wszystko w cztery lata. Stąd ta gorączkowa działalność, którą podtrzymuje się na wszelki sposób. Niemałą rolę odgrywa tu prasa i suggestja reklamowa. Podróżny zwiedzający Rosję zdziwiony jest widząc wszędzie olbrzymie tablice-reklamy wzywające robotników, by produkcja ich w dniu dzisiejszym przewyższyła produkcję wczorajszą.

Patrząc na to wszystko nie bez podziwu, zapominać wszakże nie należy, że to tylko jedna strona działalności bolszewizmu. Druga dziedzina to propaganda idei. Idea bolszewicka, jak dobrze to wiemy, prócz bezwzględnego materjalizmu zawiera jeszcze

pierwiastek równie absolutnego ateizmu a nawet antyreligijności. Bolszewizm, to nie tylko kollektywizm, to także bezbożność wojująca. Fanatycy bolszewizmu nie tylko postawili sobie za zadanie wytępić zupełnie religijność ludu zamieszkującego obecny Związek Republik sowieckich, zatrzeć wszelki ślad boskiego — postawili sobie za cel ideę bezbożnictwa roznieść po całym świecie. Postanowili sobie, że nie spoczną dopóki komunizm i ateizm nie zatriumfuje na całym „obszarze panowania burżuazji i kapitalizmu".

Dlatego też stosunek nasz Polaków wobec wschodniego sąsiada powinien być dwojaki. Z jednej strony możemy i powinniśmy żywić sympatję do narodu rosyjskiego, jako nam pokrewnego rasowo i posiadającego wiele wspólnych interesów, jako przyszłego sojusznika w naszym wspólnym pochodzie ku potędze mocarstwowej, powinniśmy mu życzyć, żeby ewolucja bolszewizmu idąca coraz bardziej po linji instynktów narodu rosyjskiego doprowadziła rząd Sowietów do wyników i metod zupełnie realnych i życiowych, stwarzając swoiste rządy, odpowiadające psychyce rosyjskiej, ale faktycznie niewiele już mających wspólnego z założeniami pierwotnego komunizmu wojującego.

Z drugiej jednak strony fakt, że regime bolszewicki w swoim elemencie ideowym reprezentuje obecnie jedno z najgroźniejszych niebezpieczeństw już nie tylko dla cywilizacji chrześcijańskiej, ale wprost dla samej religji, dyktuje nam jako katolikom postawę jaknajczujniejszą i jaknajbardziej odporną.

Okoliczność bezpośredniego sąsiedztwa z kuźnią idei bolszewickiej sprawia, że my w pierwszym rzędzie mieć się powinniśmy na baczności. Musimy bacznie obserwować wszystkie ruchy nieprzyjaciela, patrzeć na jego przygotowania bojowe, żeby się nie dać zaskoczyć.

Ludzi, którzy liczą na rychły upadek bolszewizmu jest coraz mniej. I słusznie. Środek bowiem zabezpieczenia sobie trwałości i, co więcej, zagwaratowania sobie na długo wielkiej zdolności bojowej—jakiego chwycili się twórcy bolszewizmu, jest istotnie znakomity" Cóż to za eliksir życia? To młodzież. Bolszewicy całą nadzieję pokładają w młodzieży. Toteż młodzieży poświęcają bardzo wiele uwagi.

Wychowanie w szkołach jest obmyślane bardzo starannie i umiejętnie. Po przejściu kursu nauki początkowej w szkołach

elementarnych młodzież przechodzi do specjalnych szkół przystosowanych do zadania politycznego, jakie ma spełnić. W szkołach tych nauka teoretyczna chemji i fizyki połączona z ćwiczeniami praktycznemi jest szczególnie brana pod uwagę i wysoko ceniona. Jeśli formacja ogólna jest zaniedbana, nie należy się temu dziwić; chodzi przedewszystkiem o przygotowanie wytwórców, których państwo potrzebuje. Wychować ludzi? O tem pomyśli się jutro, gdy regime definitywnie zatriumfuje nad kapitalizmem—i jeśli ich będzie potrzebował. Przez takie wykształcenie władze rosyjskie spodziewają się dostarczyć fabrykom dzięki elementom nabytym w szkole, „brygady czołowe" („brygady bojowe") t. j. oddziały pracowników aktywnych, entuzjastów, którzy pociągną swych kolegów do pracy w tempie przyśpieszonem. Tak więc młodzi ci „pionierzy" odgrywają rolę doppingu podniecającego organizm gospodarczy narodu do wytężonych wysiłków. Ale i ściśle polityczne, a właściwie polityczno-religijne zadania mają również przed sobą. Do tych to zadań przystosowany jest cały program nauczania. Chodzi o zużytkowanie wrodzonej szlachetności młodzieży, jej zapalności i zdolności do poświęceń dla celów Partji. Młodzi chłopcy i dziewczęta, idąc do szkoły, wstępują jednocześnie do „Komsomołu" (Zjednoczenie Młodzieży Komunistycznej).

Zdarzyło mi się rozmawiać z pewnym młodzieńcem polakiem, który przedostał się do Polski a tam był właśnie w „Komsomole". Mówił mi, że był tak święcie przekonany o słuszności wszystkich też bolszewickich, tak przejęty wiarą w niedaleki triumf idei komunistycznej, że z największym zapałem wszędzie dokoła siebie przy każdej okazji uprawiał propagandę bolszewicką. W końcu zaś oświadczył: „Gdybym był jeszcze rok został w Rosji, to nie chciałbym już do Polski wracać, tylko poświęciłbym się agitatorstwu".

Należenie do „Komsomołu" jest niby dobrowolne. Niech się jednak jakiś uczeń, czy uczennica spróbuje nie zapisać — zobaczy wszystkie drzwi przed sobą zamknięte. Pozatem w samej szkole skaże się na drwiny i docinki nauczycieli i kolegów.

Nauczyciel zaś, w istocie jest to wychowawca polityczny, przez uczniów uważany za starszego kolegę i doradcę Młodych: dodać należy mimochodem, że kary naznaczają i nakładają sami uczniowie.

Wielką część życia szkolnego wypełnia, poza programem nauk, redagowanie dziennika, który każdy musi prenumerować. Za prowadzenie dziennika odpowiadają młodzi pionierzy: na treść pisma składają się deklaracje komunistyczne, artykuły o piatiletce, refleksje na tamat fałszywości religji, jak również próbv literackie (poezje, krótkie nowelki).

Gimnastyka i sztuka władania bronią stanowią nie mniej wążną część programu szkolnego. Znaczna ilość godzin jest temu poświęcona. Wszyscy chłopcy zarówno jak i dziewczęta muszą brać udział w tem przysposobieniu wojskowem. Nie trzebaż zdobyć środki, które pozwolą obronić Z.S.S.R. w czasie wojny, którą wydadzą mocarstwa kapitalistyczne?

Sekcje „pionierów" rozwijają również swoją własną działalność polityczną i rozrywkową, prace ręczne wspólne, zebrania, na których uczą się sposobów prowadzenia kampanji antyreligijnej.

Każdy bowiem „pionier" musi się stać bojowcem Ligi bezbożników. Konstytucja Z.S.S.R. stawia jako zasadę wolność wyznaniową, lecz rząd, uznając tę Ligę jako organizację użyteczności publicznej, zasadę tę w praktyce gwałci.

Otóż młodzi są bojowcami tego stowarzyszenia, wśród których owi „pionierzy" okazują się nie znużonymi propagandystami. Oni to ożywiają wszystkie manifestacje antyreligijne, a ponieważ trzeba zetrzeć wszelki ślad nadprzyrodzoności, bezbożnicy organizują muzea, wystawy, na których w sposób najbardziej gruby uprawiana jest walka z religją. Na jednej z takich wystaw można widzieć następujący napis umieszczony u spodu obrazu przedstawiającego Sąd Ostateczny: „Na prawo widać wybranych, tych, którzy zażywać będą szczęśliwości wiecznej — t. j. burżujów, na lewo zaś odrzuconych, tych, którzy skazani są na męki piekielne — t. .j proletarjuszy".

Gdy jeden ze zwiedzających włościan zrobił uwagę, że Chrystus powiedział: „Błogosławieni ubodzy, albowiem ich jest Królestwo Niebieskie" — został zwymyślany po grubijańsku, a oprowadzająca odezwała się tonem usprawiedliwiającym: „To ciemny chłop"...

Bolszewicy nie mogli lepiej dla siebie postąpić, opierając się na młodzieży. Wychowują sobie rzeczywiście kadry stuprocentowych zwolenników i kontynuatorów systemu. Aż żal patrzeć na tę bezkrytyczną a tak płomienną wiarę we wszystko,

co powiedzą czerwoni wychowawcy, na ten entuzjazm, tę szlachetność, tę ofiarność tak przewrotnie zużytkowaną!

Niemniej jednak nie można zaprzeczać rzeczywistości. Fakt jest, że za ścianą wschodnią istnieje i rośnie wróg Boga, Kościoła i religji, wróg nader rozumny rozumem Książęcia Świata, który umacnia się na ziemi rosyjskiej i z umiejętną, staranną, żelazną konsekwencją pomnaża swą potęgę, zwartość i zdolność bojową. Wróg. który za kilka, kilkanaście lat, rozpocznie najazd na świat cywilizacji chrześcijańskiej ze wschodnim impetem, zaciekłością i przebiegłością.

Czy będzie to atak w formie zbrojnego najazdu na sąsiednie przedewszystkiem kraje? Jest to mało prawdopodobne. Prędzej będzie to natarcie na polu ekonomicznem (dziś już wiemy, jakie to może być bolesne), na polu gospodarczem i kulturalnem. Będzie to niesłychanie silna ekspansja wpływów i metod gospodarczych, i huraganowy ogień nowoczesnej, najlepiej pomyślanej i do mistrzostwa w znajomości psychiki ludzkiej doprowadzonej propagandy bezbożnictwa. Będzie to bezwzględny ucisk zwartego organizmu gospodarczego stumiljonowego narodu na zdezorganizowane i wyczerpane ekonomicznie ciało Europy, będzie to niezmiernie silna suggestja i hipnoza ubezwładniająca i odbierająca wszelką zdolność oporu psychicznego przeciw propagandzie rozkładowych, anarchicznych idej bezbożnictwa.

Groza tego niebezpieczeństwa ze względów geograficznych wisi przedewszystkiem nad nami. My, tu z kraju naszego najlepiej widzimy kłębiące się na wschodzie chmury. Kiedy zawieje wicher stamtąd — nie wiemy, to pewna, ze nawałnica naprzód zagrozi naszej ojczyźnie.

Dlatego nasz katolicki instynkt nakazuje nam najwyższą czujność. Obserwować wroga bezustanku! Ani na chwilę nie spuścić z niego oka. Żaden ruch jego nie może ujść naszej uwagi. Szeroko otwartemi oczami patrzeć na broń, którą ostrzy, (Wychowanie młodzieży). Uczyć się jak on tą bronią włada, żeby nie dać się zaskoczyć. Nie dać się ubiec w tempie potęgowania sił narodu, wzmagania jego prężności wewnętrznej, organizowania jego sprawności. On ma swoje metody ideowo-wychowawcze, my mamy stokroć lepszy genjalny pomysł Ojca chrześcijaństwa „Akcję Katolicką", który jest tak doskonałą na dzisiejsze czasy formą umacniania, pogłębiania i rozszerzania wpły-

wów nauki Kościoła w społeczeństwie, że gdy przyjdzie rozgrywka, gdy zderzą się te dwie potencje szatańska i Bosko-ludzka, świat zdumieje się nad siłą i sprawnością odporu danego złu i nad intensywnością, rozmachem i precyzyjnością kontr-ofensywy, która nie tylko powstrzyma nieprzyjaciela, lecz pójdzie wgłąb terytorjum jego władztwa, by rozpocząć podbój ludu rosyjskiego pod nieśmiertelność dające narodom berło Chrystusowe.

Ks. J. Pawski M. I. C.

W odmęcie zbrodni.

Przestępczość znajduje się w odwrotnym stosunku do zainteresowań ideowo-politycznych. Jest to prawda oddawna znana, którą z łatwością można sprawdzić w historji. Parlamentaryzm odgrywa rolę klapy bezpieczeństwa,—skierowuje zainteresowania i dążenia ludzkie w kierunku politycznym Prawda, że doprowadza nieraz do zbytniego zacietrzewienia partyjnego, jednakże jest ono bezwzględnie mniej szkodliwem niż całkowite „desinteressement" sprawami politycznemi. W tym ostatnim bowiem wypadku uwaga ludzka nie mogąc skoncentrować się na życiu parlamentarno-politycznym, zaczyna szukać innych atrakcyjnych momentów, zazwyczaj ogniskuje się dokoła sali sądowej. W miarą jak w cień zapomnienia pogrążają się nazwiska lederów stronnictw, opinja interesuje się bardziej przestępczością. Pod tym względem, aż nadto wymownego materjału dostarczają nam czasy obecne, Jeszcze parę lat temu stosunkowo mało słyszało się o jakichś sensacyjnych, wyrafinowanych zbrodniach. Szpalty gazet były zapełnione sprawą przekroczeń budżetowych, wywiadami politycznemi czy innemi mniej lub bardziej ważnemi ewenementami życia politycznego. Od czasu wyborów 1930 roku widzimy zasadniczy zwrot, zmieniła się rola Sejmu, zmalało znaczenie parlamentaryzmu, wzrosło zainteresowanie sądem. Przecież obecny rok, to rok sensacyjnych procesów i to jakich procesów. Jedne bardziej sensacyjniejsze od drugich. Najbardziej rekordowym pod tym względem był dzień 9 lipca 1932 r. Doprawdy, że wątpliwem jest czy osławione Chicago czemś podobnem mogłoby się „poszczycić", Jednocześnie toczyły się trzy wielkie rozprawy karno-sądowe (w tem dwa sądy doraźne). Każda z nich mo-

gła nasunąć bardzo smutne refleksje na temat poziomu moralnego, bezpieczeństwa i choćby najbardziej minimalnego poszanowania prawa. Mam na myśli sprawę: osławionego Tasiemki, Sobieraja, Szmidta i Kujawskiego. Przyjrzyjmy się im pobieżnie. Tasiemka — w stolicy, pod bokiem najwyższych władz, ministra sprawiedliwości, głównej komendy policji, zorganizowana zostaje banda, która dokonywa przez bardzo długi czas bezkarnie wymuszeń. Operuje prawie publicznie masę ofiar, przez długi czas poszkodowani boją się zrobić doniesienie, niepewni czy władze potrafią ich ochronić przed zemstą zbrodniarzy.

Sobieraj, Szmidt — polują z premedytacją na swą ofiarę, Gettera, ten obznajmiony z meksykańskiemi stosunkami chodzi w pancerzu, mającem go ochronić od kul. Przecież stosunki, panujące w rzeźni warszawskiej dla nikogo nie były tajemnicą, były już krwawe samosądy, padały ofiary i dopiero trzeba śmierci Gettera, aby „miarodajne czynniki" zrobiły porządek. Niestety jednak nieco zapóźno. Do zadań policji wszak należy nie tylko ściganie, lecz i zapobieganie przestępstwom.

Przejdźmy do Kujawskiego. Członek „Legjonu młodych", wypisującego szumne hasła (na papierze), morduje swego b. przełożonego, należącego do tego samego obozu politycznego, Dembińskiego. W dodatku jak wykazał przewód sądowy, ów niczem względem niego nie zawinił. Jeszcze jeden tragiczny przykład rozpasania moralnego. Cóż skłoniło go do zbrodni. Czy nędza? Bynajmniej, należał do obozu, który z pewnością mógł zapewnić mu inną posadę w miejsce utraconej. Gdyby można zajrzeć do prymitywnej duszy przestępcy znaleźlibyśmy spewnością: pogardę dla społeczeństwa, wiarę w jego marazm, w kruczki adwokatów i w to że ujdzie ono bezkarnie. Na szczęście się zawiódł. Bezterminowe więzenie—było epilogiem niesprowokowanego, świadomie popełnionego morderstwa.

Przytoczyłem trzy sprawy toczące się jednego dnia. Ale czytelnik pamięta doskonale, że podobnych procesów w ostatnich paru miesiącach było bardzo wiele. Niesposób ich tu wyliczać, ani omawiać choćby najbardziej pobieżnie, zabrakłoby na to miejsca w „Pro Christo". Jedno pragnę z naciskiem podkreślić: dotychczas klientela sądów karnych, to byli zazwyczaj biedacy zdeprawowani skrajną nędzą, pozbawieni najprymitywniejszych warunków życiowych. Dziś, to już nietylko biedacy.

Już w wyżej wytoczonych procesach, Tasiemka, Sobieraj, Szmidt, Kujawski mieli zabezpieczone egzystencję materjalną. Ich już nie głód pchał do zbrodni, lecz zwyrodnienie. Jeszcze bardziej jaskrawo ta sprawa występuje w procesie Gorgonowej i ks. Woronieckiej. Jakież ohydne szczegóły życia takiego inżyniera Zaremby odsłonił przewód sądowy, a przecież to niby człowiek inteligentny, bogaty, mający pretensję należenia do t. zw. towarzystwa. Teraz ks. Woroniecka zaliczająca się już niby do arystokracji, odebrała staranne wykształcenie przecież od niej chyba ma się prawo czegoś więcej wymagać niż od „Hipka warjata". Tymczasem wystarcza propozycja przygodnie w pociągu spotkanego człowieka, by stała się utrzymanką. Gdy się dowiaduje, że ów kochanek ma stosunki z dziewczynami publicznemi, że tarza się w największych brudach, nie zrywa z nim, lecz jeszcze jest o niego zazdrosna i ta żądza (nie wolno ją nazwać miłością) pcha ją do zbrodni. Jak widać z tego zbrodnia zaczyna grasować wśród wszystkich warstw społecznych, staje się groźnym objawem, z którym należy walczyć. Tu jednak nie wystarczą zwykłe środki policyjno-sądowe. Trzeba leczyć zło u źródła. Przedewszystkiem należy raz skończyć z t. zw. „krwawą prasą". Wszelkiego rodzaju „Tajne detektywy" winny być już oddawna zamknięte. Tego winna zażądać bezwzględnie opinja publiczna. Zupełnie niezrozumiałą jest tolerancja władz w stosunku do wydawnictw p. Dąbrowskiego. Udowodniono przecież niezbicie, iż całe szajki edukowały się na „Detektywie" mimo to dotychczas jeszcze wychodzi i deprawuje szerokie masy.

Niewątpliwie do zwrotu przestępczości przyczynia się panująca nędza i bezrobocie. Jeśli nie chcemy się stoczyć w odmęt rzezi i rabunków nie możemy być biernemi świadkami niedoli ludzkiej. Obecnie wszędzie istnieją organizację „Caritasu", niosące ulgę biedocie. Jeśli już nie dla miłości bliźniego, to dla własnego bezpieczeństwa każdy winien spierać datkami powyższą organizację. Należy pamiętać, że głód jest złym doradcą. Niestety jak dotąd zbyt wielu jest obojętnie patrzących na nędzę. Jesteśmy wrażliwi jeśli idzie o drobiazgi nas dotyczące, a niejednokrotnie przechodzimy spokojnie mimo śmierci głodowej.

Jeśli na wszystkich ludziach ciąży obowiązek wzajemnej pomocy i solidarności, to w szczególności dotyczy to nas wierzących katolików, czerpiących światło wiary z Boskiej Nauki

Chrystusa. Rozumne miłosierdzie, walka z pornografją i deprawacją to przedewszystkiem środki do zniszczenia źródeł zbrodni, reszty winny dokonać władze, nieoglądające się na żadne partyjne względy, kierujące jedynie zasadą: „Salus reipublice suprema lex". *Zygmunt Prószyński.*

Oświata dla mas.

Na marginesie książki dr. Andrzeja Niesiołowskiego*).

Książka dr. Andrzeja Niesiołowskiego pozwala zanurzyć się w szerokie, rozległe wody zagadnień, związanych z oświatą pozaszkolną. Ale na tem nie koniec. Bo usiłuje ona nietylko zainteresować oraz zapoznać z niemi czytelnika, ale w gmatwaninie i chaosie zjawisk tego typu znaleźć jakiś ład przez systematyzację, ocenić poszczególne działy możliwie najobjektywniej i wyciągnąć wnioski, co pracę nad kształceniem dorosłych w Polsce „uchronić... może przed licznemi pomyłkami i rozczarowaniami, oszczędzić zbędnych prób i niepotrzebnych, a nieraz bolesnych lub kosztownych zawodów, ustrzec przed marnowaniem sił i środków", jak pisze w przedmowie prof. dr. Ludwik Jaxa-Bykowski.

Zasadniczy zrąb pracy — to opis instytucyj oświaty pozaszkolnej poza granicami Polski. Przed dwoma laty autor wyjeżdżał w celach badawczych jako stypendysta Funduszu Kultury Narodowej do Szwecji, Danji, Niemiec, Belgji, Szwajcarji, Włoch i Austrji. Zgromadzony wtedy materjał, przeprowadzone rozmowy poczynione obserwacje stały się najpierw przedmiotem wykładów na Uniwersytecie Poznańskim, a następnie doczekały się opracowania książkowego, przyczem zaznaczyć trzeba, że pokaźna rozmiarami praca drukowana była przedtem na łamach „Oświaty Polskiej". Jest to uwaga konieczna, jako odbitka bowiem wymaga książka ta więcej wyrozumiałości. Pomijając pewne niedopatrzenia tekstowe, wybaczyć należy jej zły układ graficzny, użycie złych pism w tytułach, niejednolitość. Razi to

---

*) Dr. Andrzej Niesiołowski: Formy i metody pracy oświatowej. Próba klasyfikacji i analizy socjologicznej. Z przedmową prof. dr. Ludwika Jaxy Bykowskiego. Warszawa, 1932. Str. XII + 272.

przy czytaniu, ale powtórne użycie tego samego składu z czasopisma uniemożliwia ujednostajnienie. Taki jednak sposób drukowania był koniecznością, gdyż inaczej ta cenna ze wszech miar praca z powodu poważnych trudności wydawniczych mogłaby się nieprędko jeszcze ukazać drukiem, choć brak było czegoś takiego w literaturze polskiej.

Rozumie zresztą znaczenie książki i sam autor, gdy mówi, że „jest to właściwie pierwsza próba socjologicznej systematyzacji — narazie ogólnej — zagadnień oświatowych. Spełni ona zupełnie swe zadanie, jeśli pobudzi do dalszych wysiłków w tym kierunku. Dla socjologji samej książka, jak sądzę, będzie przyczynkiem do ujęcia w ramę tej nauki nowego odcinka życia społecznego".

Oświata! Tyle się o niej mówi od tylu już lat. Poczyniła rzeczywiście postępy. Jakżeż teraz inaczej niż przed stu jeszcze laty! Prawo sardyńskie z 1825 r. warunkowało naukę czytania i pisania pewnym stanem majątkowym. Pruski minister oświaty zakazał w szkołach niższych zajmować się klasykami niemieckimi, rezerwując ich jako przedmiot badań przy studjach wyższych, a zatem dla elity. Dziś szkolnictwo powszechne stanowi przedmiot troski państwa i widać tego owoce, bo z roku na rok procent analfabetów maleje. Poprostu starzy wymierają, a młodych uczy się, bodajby nawet w wojsku. Coraz częściej czemś nie do pomyślenia staje się człowiek nie umiejący ni czytać ni pisać. Jednak troska państwa ma w swej głębi ukryte pobudki nawskroś utylitarne: wciągnięcie obywateli do życia politycznego wymaga koniecznie tych prymitywnych umiejętności. Z oświatą we właściwem znaczeniu tego słowa państwo ma niewiele wspólnego. Program szkoły powszechnej przewiduje pewne minimum mniej lub więcej potrzebnych wiadomości, szkoła swoje zrobiła, świadectwo wydała i w statystyce zjawia się cyfra, że wykształcenie takie a takie ma tyle a tyle osób.

Rola państwa tu się kończy, lecz jednostki, czy instytucje o celach prawdziwie oświatowych nie mogą na tem poprzestać. Chcąc rozpowszechnić wiedzę wśród warstw najszerszych, rozpoczynają działalność, która z jednej strony ma na celu pogłębienie i uzupełnienie wiadomości, zdobytych w szkole, z drugiej natomiast nauczanie tych, którzy w szkole nie byli w okresie swej młodości. Zjawisko to nosi nazwę oświaty pozaszkol-

nej czy też, jak chce dr. Niesiołowski, poprostu oświaty (nauczaniu w szkole pozostawia termin: szkolnictwo).

„Przez pracę oświatową — brzmi definicja dr. Niesiołowskiego — rozumiemy wszelką celową działalność jednostek, stowarzyszeń lub instytucyj, mającą na celu rozszerzenie i pogłębienie ogólnej kultury umysłowej i wolicjonalno-emocjonalnej, szczególnie warstw społecznie niższych (z wykluczeniem popierania awansu społecznego poza ramy własnej grupy społecznej) poza ramami szkolnictwa ogólnokształcącego i zawodowego wszelkich stopni". Jak widać z tego, dr. Niesiołowski pragnąłby, by oświata była celem bez jakichkolwiek intencyj. Piękne to pragnienia, w rzeczywistości wszakże daleko do ich realizacji.

Pierwszą klęską, która oświacie odbiera charakter czegoś idealnego—to wiązanie z nią przez osobników warstw niższych społecznie nadziei, że z chwilą zdobycia pewnych wiadomości będą mogli porzucić stanowiska dotychczasowe i zająć wyższe. Oświata staje się w takich warunkach konikiem (by nie powiedzieć osłem) do przesadzania barjer społecznych, a dzieje się tak dlatego, że pewien cenzus naukowy, pomijając istotny zasób posiadanych wiadomości i uogólnień fachowych, uprawnia do objęcia pewnych stanowisk. Przez dziwne przekleństwo oświacie przeciwstawiono pracę fizyczną jako coś niższego i w sumie otrzymuje się w wielu wypadkach niepożądane traktowanie oświaty jako odskoczni od karjery.

We wszelkich poczynaniach oświatowych wiązanie danego zasobu wiedzy z jakiemiś korzyściami, materjalnemi daje się uczuwać bardzo dotkliwie. Łączy się z tem zawsze ochota przejścia z kategorji pracowników fizycznych do kategorji pracowników umysłowych. Jest to po części wina samych jednostek, które są przedmiotami akcji oświatowej, ale nierzadko ponoszą ją i kierownicy takiej akcji, gdy pracę umysłową wynoszą ponad pracę fizyczną, uważającą za coś poniżającego. Taka oświata, która poniża w oczach wychowanków wartość pracy fizycznej, która nie budzi czci dla wysiłku fizycznego, jest z punktu widzenia społecznego zbrodnią. Czasby najwyższy skończyć z bredniami na temat wyższości pracy umysłowej nad pracą fizyczną!

Toć to trąci myszką i piwnicą. Nonsensem jest sprzeczać się na temat wyższości którejś z nich. Byłby to zupełnie taki

sam spór, jak kłótnia członków człowieczych z Ezopowej bajki. Pracę umysłową i pracę fizyczną należy postawić na równorzędnym poziomie. Ze społecznego punktu widzenia równie potrzebny jest szewc, jak jakiś referent ministerjalny. Trudno jest mówić o wyższości któregoś z nich. Obaj są konieczni, aczkolwiek jeden pracuje fizycznie, drugi umysłowo.

Tu granica jest zupełnie wyraźna, lecz ileż to jest zawodów, gdzie zupełnie niemal się zaciera, że niemożliwością jest dokładne określenie typu pracy! Dotyczyłoby to zwłaszcza obobsługi maszyn w niektórych fabrykach czy kopalniach. Teoretycznie określa się robotników takich jako pracowników fizycznych, gdy w istocie większą rolę odgrywają tam czynniki całkiem pozamięśniowe. Napięcie uwagi np. u pracowników takich jest często znaczniejsze aniżeli u jakiegoś załatwiającego automatycznie kawałki urzędniczyny. Stoimy tu wobec zjawiska, które ja osobiście miałbym skłonność nazwać intelektualizacją pracy fizycznej. Jest to wynikiem postępującej mechanizacji i, zdaje mi się, granice między pracą umysłową, a pracą fizyczną będą się zacierać coraz bardziej. Wiedza pozafachowa, to co stanowi zawartość oświaty, jest równie potrzebne, jak niepotrzebne i pracownikowi umysłowemu, i pracownikowi fizycznemu. Cóż pomoże raferentowi ministerjalnemu wiadomość o tem, ile czasu zużywa promień świetlny na odbycie drogi Antares — Ziemia? Cóż pomoże szewcowi wiadomość, kto brał udział w wojnie Dwóch Róż? W ich zawodzie są to wiadomości najzupełniej zbędne, lecz dla nich samych jako ludzi stać się mogą bodźcem do refleksyj i zastanawiania się nad kwestjami natury ogólniejszej.

Oświata nie powinna w żadnym wypadku wiązać się z jakimś zawodem, musi być ponad zawodowa, odbarwiona z wszelkich tendencyj praktycznych, mających na celu przygotowanie zawodowe przedmiotów akcji. Wykształcenie fachowe—to inna dziedzina.

Drugą bolączką pracy oświatowej zarówno na Zachodzie, jak i u nas stanowi traktowanie oświaty jako środka w propagandzie idei politycznych. Ta oświata stosowana stanowi wabik dla przyciągania łaknących wiedzy, ażeby potem werbować sobie pośród nich członków partji, którzy mają dopomóc do opanowania rządów w państwach. Przykładami takich instytu-

cyj mogą być: socjalistyczny Robotniczy Uniwersytet Ludowy w Brunnsvik w środkowei Szwecji; socjalistyczna Wyższa Szkoła Robotnicaz w Uccle, w Belgji, i t. p. Oświata tu jest płaszczykiem do propagandy politycznej, wiedza jest preparatem specjalnym, oddanym na usługi polityki, wskutek czego zatraca się cel oświatowy, ustępujący pierwszeństwa celowi politycznemu. Tu już nie chodzi o wyrobienie zamiłowań kulturalnych w uczniach, które to zadanie stawiają sobie ze wspaniałym wynikiem duńskie uniwersytety ludowe; tu celem jest wyrobienie bojownika o idee, które niezawsze godne są gorliwości i zapału propagandowego. Z oświatowego punktu widzenia taka „stosowaność" jest bardzo niepożądana, gdyż cele oświaty są zupełnie odmienne.

Nie lubię, gdy ktoś mówi, że coś ma cel samo w sobie. Tak można mówić tylko poto, aby uwolnić się od trudu rozumowania o celu danej rzecze. Tak samo oświata nie może być celem sama w sobie. Uczyć się, aby wiedzieć! To mi się wydaje niepojęte. Jeśli ktoś tak postępuje, to łudzi sam siebie. Nie potrafi uświadomić sobie celu, który tkwi w nim podświadomie, i stąd to patetyczne trajlowanie. Bo cele oświaty, jeśli wyeliminujemy całkowicie cele praktyczne, mogą być tylko dwa: jeden. który w liście do rodziny w pierwszym roku studjów uniwersyteckich sformułował młody Józef Ignacy Kraszewski; drugi, sformułowany w paradoksalnej zlekka postaci przez Urbana Le Verrier, powtórzony z takim szacunkiem przez geologa Piotra Termier w jego „Radości poznawania", wspomnianym poemacie prozą na cześć wiedzy.

„Jeżeli kto na świecie się nudzi, niech się uczy, a uzna, że jedna tylko nauka i praca umysłowa może człowieka uszczęśliwić"—oto cel pierwszy, którego osią jest oświata jako rozrywka.

„Poznawać! Poznawać! W tem jest wszystko. Życie jest poto, aby wiedzieć; bez nauki nie byłoby warte przeżycia" — oto cel drugi, którego osią jest oświata jako metafizyczny cel życia na ziemi.

Oba te wypowiedzenia nie są wolne od przejaskrawień, ale w gruncie rzeczy dadzą się doskonale połączyć. Celem oświaty powinno być jednocześnie dostarczenie rozrywki i zmuszenie do zastanowienia się nad zagadnieniami natury metafizycznej.

Oświata jako rozrywka! Tak to brzmi jakoś dziwnie, a może i wręcz śmiesznie. Lecz to pozorne. Czy rozrywka—

to tylko karuzela, sport, taniec, teatr, kino, wycieczka? Są ludzie, którzy powiedzą: tak, tylko to; cóż to jednak za ludzie? Płytkie półgłówki lub bidulinki, co im nikt nie wskazał, że i wiedza może być rozrywką, która dostarcza rozkoszy z każdym rokiem większych. Umieją ją ocenić ci, których porwała. A nauka może być rozrywką wspaniałą! Mógłby o tem powiedzieć podolski urzędnik kolekcjonujący i badający motyle, śląski kominiarz co założył sobie wspaniałe alpinarjum, niemiecki naczelnik poczty badający od dziesiątków lat plamy słoneczne, paryski dozorca kamienicy studjujący gorliwie i gromadzący bibljotekę dzieł dotyczących wielkiej wojny. Powie ktoś: dziwacy. Owszem, ale jedynie dlatego „ktosia". Człowiek rozważny bedzie pełen szacunku dla takich ludzi, którzy naukę traktują jako rozrywkę, bez żadnych celów ubocznych. I właśnie wytworzenie takiego ustosunkowania się do nauki leżeć powinno w zadaniach oświaty. Podkreślam to z całym naciskiem, ponieważ przez ciągłe doskonalenie środków technicznych czas pracy będzie ulegał stopniowej redukcji, więcej będzie czasu wolnego od obowiązków, a trzeba pamiętać, że „losy naszej cywilizacji zależą więcej może od tego co uczynimy z naszym czasem wolnym, niż od tego, co zdziałamy podczas swej pracy". Tak mówi nie byle kto, bo Herbert Hoover.

Praktycznie wagę tego poglądu oceniły należycie dopiero Włochy, gdzie powstało Dzieło Narodowe dla Zużycia Wczasów, niewolne wprawdzie od tendenayj politycznych, lecz zorganizowane pierwszorzędnie. Oświata tu jest jednem z odgałęzień działalności, która polega głównie na dostarczaniu rozrywek w dosłownem słowa tego znaczeniu.

Oświata jako rozrywka jest stadjum wstępnem. Postępując dalej, jednostka oddająca się jej dojdzie do wniosków natury metafizycznej. Wyrażali niektórzy obawy, że nauka „przewraca ludziom w głowie". Nie przeczę, zdarza się i to, wtedy wszakże nie mamy doczynienia z wiedzą czystą, bez naleciałości w postaci oświetleń czy interpretacyj stowarzyszeń o celach pozaoświatowych. To znowu bruździ owa pseudooświata macherów, którzy przez sianie zamętu w pojęciach chcą chwytać zdobycz dla siebie. Taka wiedza jest niebezpieczna, ale nie wiedza prawdziwa.

Czas wyrwać oświatę z rąk kombinatorów! Polski ro-

botnik, polska wieś, polskie miasteczko łakną wiedzy. Materjał to bardzo wdzięczny, praca tam bardzo miła, trzeba tylko iść bez celów, sprzecznych z celami oświaty. Mam dużo listów od moich czytelników z zapadłych kątów, którzy proszą o wskazówki, o informacje, nie zdradzając żadnych celów niepożądanych ze względów oświatowych. Narazie jest to pragnienie zaspokojenia swej ciekawości. Wszystko może rozwinąć się wspaniale, byleby tylko poszli tam odpowiedni ludzie. A o tych tam trudno niestety.

Wielkie jest pole pracy w Polsce. To, co się robi, jest maleńkim fragmentem tego, co się robić powinno. Ale prawie nikt z czystemi intencjami nie bierze się. To doprawdy tragedja. Uniwersytetów ludowych na wzór duńskich parę zaledwie, robotnicze uniwersytety powszechne, poza socjalistycznym TUR'em, wegetują lub egzystują z imienia, a oficjalne biurokratyczne placówki samorządowe wykazują dziwną nonszalancję.

Wiadomo mi z informacji prywatnych, że kierowniczka tego działu w magistracie jednego z wielkich miast drwinkami zbyła podwładną swą, gdy zbyt gorliwie dokonywała zestawień statystycznych.

— Poco pani to robi? Szkoda czasu! Aby tylko napisać jakąbądź cyfrę, mniej więcej... Niema sensu bawić się w drobiazgowość.

Oj, statystyko, statystyko! I powołują się na ciebie w głębokich dziełach naukowych.

Niema rady. Trzeba robić, a nie narzekać jak dotąd! Lamentuje się, że pism nikt nie czyta, że książek nikt nie czyta. Jak ma czytać, kiedy nikt nie nauczył tego. W Danji, gdzie poczęta akurat sto lat temu idea uniwersytetów ludowych doprowadziła do tego, że około dziesięciu procent ludności przechodzi przez te instytucje, jeden egzemplarz gazety przypada na 2,9 mieszkańca, a na dziesięć tysięcy mieszkańców 9,38 książki (w Polsce zaledwie 2,19, w Stanach Zjednoczonych 0,85). Niema w małej Danji rodziny, gdzieby nie abonowano przynajmniej jednej gazety. A u nas? U nas wszystkie dzienniki polskie razem wzięte, brukowców nie wyłączając, mają mniejszy nakład dzienny niż któryś z wielkich dzienników paryskich. Oto jaskrawa przepaść, którą należy zasypać byleby jaknajprędzej.

A cóż dopiero mówić o stanie ekonomicznym? Danja

dzięki podniesieniu poziomu oświaty doszła równocześnie do dobrobytu, u nas tymczasem dobrcduszny, poczciwy, do ziemi przywiązany chłopek, który czytać i pisać nie umie, sieje, sadzi żytko, kartofelki i klepie biedę, póki go za długi nie przepędzą z ojcowskiego zagona. Nie wynika to bezpośrednio z braku oświaty, ale tak to się już łączy, choćby się i nie chciało.

Ileż to lat temu, jak Marja Konopnicka wołała o siewaczy, na których trud „czeka ziemia, czeka lud"! Ludu przybywa siewaczy niebardzo. Jak są, to szukają poomacku drogi. A tak łatwo tego uniknąć. Choćby dzięki pracy doktora Niesiołowskiego. Opis tylu instytucyj zagranicznych umożliwi wybranie odpowiedniego wzoru. Byle go tylko nie przeszczepiać żywcem. Zawsze potrzebne będą madyfikacje w zależności od temperamentu środowiska, jego poziomu intelektualnego i wielu, wielu przyczyn, do rozpoznania których konieczna jest znajomość psychoologji. Innych metod pracy wymaga rzutka, przedsiębiorcza młodzież przedmieść warszawskich, innych bierna młodzież kresów wołyńskich, innych marzycielscy górale z poza Żywca, innych Ślązacy trzeźwi. Metody mogą się różnić zlekka, byleby cel był jeden i prowadził do jednego mniej więcej wyniku.

Całą akcję oświatową dzieli dr. Niesiołowski na trzy wielkie odłamy:

1) opieka kształtująca (uczniowie pozostają w specjalnych szkołach czy na kursach pod czyjemś kierownictwem),

2) ruch samokształtowania,

3) organizacje środków pomocniczych.

Nie wszystko zostało omówienie w równym stopniu. Zależało to od ilości i jakości posiadanego materjału. Z odłamu 3) nie omawiał autor wcale radja i jego roli w akcji oświatowej. Nie można mu z tego robić zarzutu, stwierdzić jednak wypada, że środek ten znakomicie nadaje się do włączenia do akcji oświatowej. Tam, gdzie o prelegentów oświatowych jest niezwykle trudno, głośnik radjowy może oddać nieocenione usługi. Wymagałoby to wszakże pewnych przekształceń ze strony dyrekcyj radjowych, u nas dyrekcji „Polskiego Radja". Ekspansja radjowa do zapadłych kątów prowincji — to jednocześnie wdzieranie się oświaty tam, gdzie nawet o tem nie pomyślano, byleby tylko w programach były odczyty przeznaczone dla słu-

chaczy najmniej przygotowanych. Tego, niestety, nie da się powiedzieć o naszych prelekcjach radjowych. Odczyty są przeznaczone dla wszystkich, chce się niemi zadowolnić wszystkich, skutek zaś jest ten, że zadawalnia się mało kogo. Dla jednych będzie to poziom za wysoki, dla innych zbyt niski. Kompromis do dobrego nie prowadzi, konieczne jest wobec tego stworzenie nowego typu odczytów specjalnie popularnych czy nawet całych cyklów, na wzór kursów rolniczych. Połączenie wspólnych wysiłków placówek oświatowych i radja mogłoby dać wspaniałe rezultaty, ku zadowoleniu obustronnem.

Motywem zasadniczym akcji oświatowej niech będzie wytworzenie nowego stosunku do wiedzy.

Wiedza — to nie klucz do karjery, wiedza — to klucz do zrozumienia wartości życia, sensu istnienia. Świat i wszechświat musi nas obchodzić, bo to najwspanialsza księga rzeczy Boskich. Wiedza jest szyfrem, który uczy z niej czytać[1]).

J. M. Chudek.

Na froncie walki.

Burzliwość i niepewność czasów dzisiejszych. — Wzrost przestępczości w Ameryce. — Konflikty międzynarodowe. — Brak dobrej woli. — Walka z katolicyzmem i objawy wzmagania się prądów religijnych w rozmaitych krajach.—Zrozumienie dla zagadnień socjalnych zagranicą i w Polsce. — „Osservatore Romano” o tygodniu pracy.

Przeżywamy czasy bardzo burzliwe, pełne dramatycznych konfliktów, wstrząsów i przeobrażeń. Wojna światowa rozluźniła w dużej mierze więzy moralności i prawa, krępujące namiętności jednostki w imię zasad moralnych i dobra zbiorowego. To też obserwujemy we wszystkich krajach duży upadek obyczajów. Tam, gdzie w społeczeństwie znalazły się dostateczne siły moralne do opanowania kryzysu, gdzie rząd i społeczeństwo podały sobie ręce dla wytępienia zła—tam życie powoli wraca do normy. W wielu jednak krajach szaleje nadal zdziczenie moralne,

---

[1]) Kwestji tej poświęciłem wydaną niedawno ulotkę popularną p. t. „Trzeba się uczyć!”

a fala jego zwiększona wskutek kryzysu gospodarczego—zalewa społeczeństwo i grozi wprost jego upadkiem. Oto np. obserwujemy przerażający wprost wzrost zbrodniczości w Stanach Zednoczonych, o czem czytamy w „Kurjerze Warszawskim":

Dr. John Grier Hibben, rektor uniwersytetu Princeton, będący jedną z najwybitniejszych osobistości amerykańskiego świata intelektualnego, wygłosił niedawno przez radjo nowojorskie odczyt, w którym zwraca uwagę swych współrodaków na zastraszający wzrost zbrodniczości w Stanach Zjednoczonych i na wszechwładzę, jaką zdobyli tam przestępcy.

Przedtem — mówił — przestępcy amerykańscy operowali pojedyńczo albo małemi grupami. Dzisiaj tworzą prawdziwe syndykaty, stojące pod kierownictwem głów uzdolnionych, obdarzonych inteligencją i zmysłem organizacyjnym, na podobieństwo kierowników wielkich zakładów przemysłowych. Obok włamań, ograbiania banków i kradzieży, uprawianych przez bandytów dawnego stylu, zagarnęli ci rycerze ciemności nowego stylu także organizacje sprzedaży narkotyków, handlu kobietami i wszystkich zbrodni, połączonych z przemytnictwem alkoholu.

Istnicją dane wstrząsające, np., o handlu kobietami, poprzednio uprawianym przez kobiety upadłe. Dzisiaj mężczyźni stoją na czele organizacji tego handlu i kierownictwo jej przechodzi coraz bardziej w ręce zbrodniarzy wytrawnych. Macki tych straszliwych polipów sięgają daleko poza wielkie miasta do okręgów wiejskich, a działalność ich rozluźniła dzisiaj więzy moralności w Ameryce daleko bardziej, niż jakakolwiek inna postać zbrodniczości.

Nie mniej niepokojące rozmiary przybrały też czyny gwałtu. Jak obliczono liczba napadów bandyckich z bronią w ręku zwiększyła się w ciągu ostatnich lat piętnastu tysiąckrotnie!

Wszyscy znawcy tych stosunków — oświadcza dalej dr. Hibben — są przeświadczeni, że zbrodniarze rozporządzają wpływami politycznemi, sięgającemi nawet wysoko postawionych osobistości, które w razie aresztowania zbrodniarza zapewniają mu praktycznie bezkarność. Cała sieć kanałów korupcji umożliwia zbrodniarzom unikanie skazania, a nawet stanięcia przed sądem. Przez te same kanały polityczne kierują organizacje zbrodnicze nominacjami sędziów nie mniej, jak przysięgłych.

Potęga, jaką żywioły zbrodnicze zdołały osiągnąć w Ameryce ostatniemi czasy, polega na sile ich organizacji, siłę zaś tę mogły stworzyć zapomocą wprost fantastycznych kapitałów obrotowych, jakich dostarcza im przemytnictwo napojów alkoholowych. Olbrzymie te sumy, wpływające do centrali organizacji zbrodniczych, pozwalają im kierować sprawami politycznemi, utrzymywać na swym żołdzie całą zgraję adwokatów, którzy tysiącznemi sztuczkami umieją sabotować prawo i sprawiedliwość, doprowadzając do rozstroju całą maszynę sądownictwa.

Jak widać z powyższego, odważny uczony rzuca swemu społeczeństwu w oczy oskarżenie straszliwe. Być jednak może, że odczyt jego jest też jednym z dowodów budzenia się opinji amerykańskiej i jej sumienia wobec stosunków, jakie tam zapanowały.

Jeszcze większy wzrost przestępstw zauważyć można w życiu politycznym i to nie w Ameryce specjalnie, lecz także w Europie. Już sam fakt, że w okresie powojennym powstała w szeregu państwach dyktatura, oparta na brutalnym gwałcie jednostki, względnie oligarchji nad społeczeństwem, legitymująca się wyłącznie siłą zbrojną — mówi bardzo wiele. Dyktatura jest formą rządu, w której bardzo łatwo o nadużycia i, niestety, rządcy wielu krajów, korzystając ze swej władzy niczem nieograniczonej i niekontrolowanej, popełniają liczne nadużycia.

Na tem tle rozwinęła się w niektórych społeczeństach i organizacjach politycznych pewnego rodzaju psychoza zmierzająca już nietylko do popełniania, lecz do apoteozowania i pochwalania, a przynajmiej usprawiedliwiania zbrodni i występków na tle politycznym. Takie zjawisko obserwujemy np. w Niemczech, gdzie ruch hitlerowski w obecnej swojej fazie stał się symbolem całkowitego zdziczenia moralnego. Posłuchajmy, jakie poglądy wygłaszają ci współcześni tryglodyci. Podajemy je według „Polonji":

„Skazani na śmierć mordercy hitlerowcy z Potempy urośli dz ś w podnieceniu walki politycznej w Niemczech, do rzędu symbolu wartości moralnej rasy germańskiej.

Czołowy teoretyk hitleryzmu Rozenberg pisze w „Voelkischer Beobachter":

> „Nie można skazywać na śmierć pięciu Niemców i to b. żołnierzy frontowych za zabicie jakiegoś Polaka, będącego równocześnie komunistą. Tego rodzaju sprawiedliwość zwraca się przeciwko najelementarniejszemu poczuciu instynktu samozachowawczego narodu. Dla ruchu narodowo-socjalistycznego dusza nie jest równa duszy, ani człowiek człowiekowi, ani też niema dla niego t. zw. „prawa jako takiego".

„Hamburger Nachrichten" pisze dosłownie, że w Bytomiu nie był to gwałt wobec niemieckiego współobywatela, ale

> „usunięcie polskiego łajdaka, który przytem był jeszcze komunistą. A więc człowiekiem podwójnie mniej wartościowym (Minus Mensch), który dawno stracił prawo do życia na niemieckiej ziemi".

Jakież wyglądają ci przedstawiciele rasy germańskiej, którzy mają prawo bezkarnie mordować Polaków i komunistów?

Zeznanie rzeczoznawcy w procesie bytomskim dra Weimanna brzmi:

> „Zwłoki wykazywały 29 ran, z których dwie tylko były stosunkowo nieznaczne. Szczególnie ciężkie rany znajdowały się na szyi. Tętnica była kompletnie zerwana, krtań wykazywała wielką dziurę. Śmierć nastąpiła przez uduszenie się, gdyż krew, wypływająca z rozdartej tętnicy, przedostała się przez przedziurawioną krtań do płuc. Śmiertelną ranę musiano zadać Piecuchowi w chwili, gdy leżał na ziemi. Szyja wykazywała też zdarcia skóry, które bezwzględnie musiały pochodzić od kopnięć. Pozatem Piecuch był pobity na całem

ciele. Otrzymał on ciężkie uderzenie tępym toporkiem lub laską w głowę. Inne rany wyglądały jak gdyby zostały zadane pchnięciem kija bilardowego w twarz".

Brat zamordowanego Piecucha zeznał:

„Ludzie ci (bojówkarze Hitlera) wyciągnęli brata za nogi z łóżka. Ja otrzymałem silne uderzenie w głowę. Słyszałem grad uderzeń, które spadły na brata, mnie kazano się odwrócić twarzą do ściany, co też uczyniłem. W międzyczasie brat uciekł do przyległej komory. Jeden z napastników, poświeciwszy sobie latarką elektryczną, strzelił do komory przez napół otwarte drzwi. Przez kilka minut brat dawał jeszcze znaki życia. Słyszałem odjazd z przed domu samochodu. Stwierdzam z całą stanowczością, że znęcanie się nad bratem trwało pół godziny, od 1.30 do godz. 2".

Z tymi to ludźmi Hitler zgłosił swą solidarność, wysyłając do nich telegram:

„Towarzysze moi! W obliczu tego potwornego, krwawego wyroku łączę się z wami w uczuciu bezgranicznego przywiązania. Wolność wasza od tej chwili jest sprawą naszego honoru, zaś walka przeciw rządowi, który dopuścił do tego wyroku — naszym obowiązkiem".

Za ułaskawieniem morderców z Potempy wypowiedzieli się nietylko hitlerowcy. Do protestów przeciwko wyrokowi przyłączył się również szereg związków wojskowych, ze Stahlhelmem na czele.

Ta solidarność z potworną zbrodnią, to podnoszenie jej do rzędu niemal naturalnego prawa rasy germańskiej, wystarczy do oceny wartości moralnej największego „ruchu odrodzeniowego" współczesnych Niemiec".

I pomyśleć, że są w Polsce organizacje i pisma, które ruch hitlerowski, jeżeli nie apoteozują, to w każdym razie starają się doszukać w nim jakichś wartości wewnętrznych, rzekomo głęboko ukrytych. Niewątpliwie, w każdej błędnej teorji znajduje się pewien procent prawdy, każdy ruch zawiera w sobie pewną cząstkę słuszności... Biorąc jednak ruch hitlerowski, jako całość na podstawie dotychczasowych jego wyczynów — musimy go uznać za objaw bezwzględnie ujemny zarówno z punktu widzenia etycznego jak i kulturalnego. Jest on poprostu wyrazem dzikich szowinistyczno-radykalnych tendencyj narodu niemieckiego. Współczesne pokolenie tego narodu nie może poprostu pogodzić się z tem, że Niemcy wojnę przegrały. Namiętności są tak bardzo rozigrane, że prędzej, czy później muszą się wyładować, albo w walkach wewnętrznych, albo w nowej wojnie z Polską, sprowokowanej przez Niemcy.

Znamieniem czasów dzisiejszych są również liczne konflikty międzynarodowe. Powstała wprawdzie w myśl koncepcji Wilsona instytucja, której zadaniem jest łagodzenie konfliktów, załatwianie ich pokojowe i niedopuszczanie do wojny. Zasadni-

czym jej błędem jednak, narazie bardzo trudnym do usunięcia, jest fakt, że nie jest wyposażona w żadną siłę egzekucyjną, tak, że decyzje jej pozostają bardzo często na papierze, lub w powietrzu. Wprawdzie proponowała w swoim czasie Francja, aby poszczególne narody wyposażyły Ligę Narodów w pewnego rodzaju siłę zbrojną, któraby stała na straży jej postanowień, ale propozycja ta nie została wzięta pod uwagę przez inne rządy, które patrzyły się na nią wyłącznie z punktu widzenia swoich egoistycznych interesów. Tak więc majestat prawa międzynarodowego, pozbawiony siły wykonawczej — chwieje się w swoich posadach. Czytamy w „Gazecie Warszawskiej":

„Korespondent londyński „L'Echo de Paris" donosi, że w Anglji krążą uporczywe pogłoski o rychłem wystąpieniu z Ligi Narodów Japonji, Włoch i Niemiec.

Bez względu na to, czy dojdzie do usunięcia się wymienionych państw z Ligi, czy też pogłoski okażą się przedwczesne, samo pojawienie się podobnych wersyj i zupełny spokój, z jakim zostały przez opinię europejską przyjęte, jest zjawiskiem bardzo charakterystycznem. Pisaliśmy wczoraj, w związku z zatargiem Boliwji z Paragwajem, że autorytet moralny Ligi, który chciano zaproponować narodom jako najskuteczniejsze zabezpieczenie niepodległości i całości ich terytorjów, przeżywa nowy etap likwidacji. Dzisiejsze doniesienie prasy francuskiej o zamiarze Japonji, Włoch i Niemiec, w zupełności potwierdza naszą ocenę.

Zdaje się, że najlepszym wyrazem stosunku, jaki żywią poszczególne państwa do uprawnień Ligi Narodów i do wszelkiej dyplomatycznej interwencji z jej strony, są słowa prezydenta Boliwji, zwrócone do parlamentu, w których przestrzega państwa neutralne przed kompromitacją, na jaką się niechybnie narażą, jeśli zechcą wtrącać się w sprawy, „które w niczem nie dotyczą ich interesów".

Wydaje nam się, że nie popełnimy przesady, twierdząc, że podobną odpowiedź udzieli Genewie każde państwo, które zechce wywołać konflikt zbrojny, będzie bowiem zgóry wiedziało, że ta odpowiedź nie pociągnie za sobą żadnych niebezpiecznych skutków. Sankcje karne Ligi istnieją najzupełniej teoretycznie, a procedura określenia napastnika jest tego rodzaju, że można ją dowolnie naginać, stosownie do okoliczności.

Pozostawałby tylko autorytet moralny Ligi, ale wielkie mocarstwa, nawet te z nich, które w Genewie odgrywają rolę dominującą, od dłuższego czasu robią wszystko, aby autorytet ten osłabić i zniszczyć.

Pomijamy istną powódź paktów i konwencyj przeciwwojennych, mających tę właściwość, że w niczem nie przeszkadzają do wywołania zatargów zbrojnych, ale sam fakt ciągłego tworzenia, pomimo Ligi i obok Ligi, nowych ugrupowań, mających w gruncie rzeczy identyczne z nią zadania, sprowadza instytucję genewską do roli międzynarodowego biura regestracyjnego, oraz salonu dorocznych spotkań podróżujących dyplomatów.

Okazuje się, że pomimo anatemy, rzuconej na „tajną dyplomację", każde poważniejsze rozstrzygnięcie, załatwienie każdej istotniejszej kwe-

stji, odbywa się w drodze starych, wypróbowanych metod i ma nie wiele wspólnego z „ideologją“ Ligi Narodów. Z roku na rok Liga traci swój urok w oczach szerokich kół, a jej autorytet moralny szybko maleje.

Kto wie, czy nie stanie się ona w krótkim czasie podrzędnym rekwizytem polityki światowej, lub mniej lub więcej szanownym zabytkiem europejskiego pacyfizmu. Na nic się nie przyda dziwić się temu lub ubolewać nad tem. Należy poprostu wyciągnąć z tego wnioski i kierować się niemi w praktycznej polityce. Los Ligi Narodów obchodzi nas bardzo żywo.

Polska ściślej niż inne państwa, związana jest z tą instytucją postanowieniami traktatu wersalskiego. Wreszcie, znajdując się w sąsiedztwie narodu, który dziś stanowi największe niebezpieczeństwo dla pokoju i mając do czynienia z jego rewizjonistyczną polityką, z natury rzeczy skłonni byliśmy oglądać się na Ligę Narodów i jej statut. To też w miarę likwidacji znaczenia Genewy, powinniśmy wyciągnąć z tego faktu wnioski prędzej, niż inne państwa i szukać zabezpieczenia naszych praw na innej drodze.

Dziś z większą niż poprzednio kategorycznością wysuwa się konieczność silnego systemu własnych sojuszów i gromadzenia środków moralnych i materjalnych wewnątrz państwa celem wzmocnienia bezpieczeństwa zewnętrznego. Nasza polityka zagraniczna powinna poważnie zrewidować swoje dotychczasowe przesłanki i zrobić skuteczny wysiłek celem odnalezienia sposobów przystosowania się do zmienionej sytuacji.

Żyjemy w okresie poważnych i doniosłych przemian. Ewolucja polityki światowej odbywa się kosztem złudzeń pacyfistycznych, a co najważniejsze kosztem traktatu wersalskiego. Zachodzi obawa, aby wynik tej ewolucji nie zastał nas nieprzygotowanych do nowej treści i nowych form współżycia narodów”.

„Gazeta Warszawska” nigdy nie należała do pism entuzjazmujących się ideją Ligi Narodów. To też, być może, krytycyzm jej jest w pewnych fragmentach przejaskrawiony. Nie można jednak odmówić słuszności zasadniczym tezom artykułu.

Czytamy w księgach świętych: „Pokój ludziom dobrej woli”. Pokój bowiem nieodłączny jest od dobrej woli. Zła wola robi szereg konfliktów, coraz bardziej zagmatwanych i ostrych. To też Namiestnik Chrystusowy w wielu Swoich przemówieniach i enuncjacjach wzywał narody i rządy do wyzbycia się dzikiego i bezlitosnego nacjonalizmu, który w konsekwencji nakazuje dybać na posiadłości sąsiada i prowadzi do konfiktów wojennych. Niestety, nie usłuchano mądrych słów Papieża, natchnionych duchem Bożym. W Europie dzisiejszej możemy podzielić narody wyraźnie na 2 grupy: jedne są zadowolone ze swojego terytorjum i pragną na nim spokojnie pracować (Francja, Polska, państwa skandynawskie i t. d.), drugie zaś, jak Niemcy, Włochy, Rosja, z tych, czy innych względów nie chcą zadowolnić się swoim, lecz planują zabór ziemi swoich sąsiadów, przygotowu-

jąc w ten sposób nową wojnę, która może się zakończyć straszną klęską dla całej ludzkości.

* * *

Na tle tych trudności i sporów międzynarodowych, które mogą się przerodzić w wojnę, wśród wzmagającego się kryzysu gospodarczego i nędzy szerokich warstw społecznych, obserwujemy wyraźne i niedwuznaczne tendencje bezbożnictwa zadania decydującego ciosu religji. Między innemi donosiła ostatnio prasa o wzmożeniu kompanji antyreligijnej w Sowietach:

„Władze sowieckie walczą z coraz większemi trudnościami gdy chodzi o realizację ich zarządzeń zwłaszcza w zakresie przymusowej dostawy zboża i mięsa, handlu kolektywnego, oraz t. zw. „jednolitego podatku rolnego". Członkowie gospodarstw kolektywnych coraz mniej okazują ochoty do wypełniania tych zarządzeń, a to grozi poważnemi niebezpieczeństwami dla całego systemu.

Poszukując źródeł niepowodzenia i sposobów zaradczych władze sowieckie mobilizują ponownie „związek wojujących bezbożników" jako organizację, na której najbardziej mogą polegać, wzywając ją do wytężonej walki z religją. Wychodzący w Charkowie organ centralnej rady związku wojujących bezbożników w ostatniem wydaniu (№ 12) ogłasza odezwę „do wszystkich rad okręgowych i dzielnicowych, wszystkich jaczejek związku wojujących bezbożników Ukrainy", w której m. in. pisze:

„Wszystkie organizacje związku wojujących bezbożników winny w najbliższym czasie wypowiedzieć bardziej jeszcze niż dotychczas zdecydowaną walkę przeciw kontrrewolucyjnym usiłowaniom popów, sekciarzy, kułaków i ich agentów, oportunistów wszelkich odcieni. We wszystkich jaczejkach związku wojujących bezbożników przeprowadzić trzeba te uchwały, aby każdy bezbożnik nietylko przez agitację, ale istotnie stawał za przykład mobilizując członków kolektywów do wypełnienia konkretnych zadań, jakie z tych uchwał wypływają. Odpowiedzialni sekretarze rad okręgowych i dzielnicowych związku wojujących bezbożników ponoszą osobistą odpowiedzialność za wypełnienie powyższych zarządzeń" i t. d."

Jednakże ani prześladowanie coraz bardziej okrutne i systematycze, ani organizowanie i zwiększanie specjalnych kadr bezbożników nie zdołały usunąć całkowicie z duszy młodego pokolenia rosyjskiego wiary w Boga. Podobno na Kaukazie odkryli niedawno bolszewicy specjalną gminę religijną, zorganizowaną tajnie na wzór dawnych chrześcijan w katakumbach rzymskich, złożoną przeważnie z młodzieży.

Walka z religją trwa zresztą nietylko w Rosji. Odżywa raz poraz prześladowanie w Meksyku, ostatnio w Hiszpanji stało się ostrzejsze z powodu zamieszek politycznych, a nawet w Irlandzkim Ulsterze grupa fanatycznych protestantów t. zw. „oranży-

stów" napadała na katolików, jadących na kongres Eucharystyczny.

Co do Polski — to mamy do zanotowania przemówienie Ojca Św. wygłoszone do nauczycielek, które, jak podają pisma katolickie dotyczyło pogańskich przepisów prawa, skierowanych przeciwko rodzinie:

„W czasie audjencji nauczycielek polskich w Watykanie w dniu 9 VIII Ojciec św. wygłosił przemówienie, wydrukowane następnie w „Osservatore Romano". Podkreśliwszy znaczenie pracy nauczycielskiej, która może być zestawioną z prawdziwem i istotnem kapłaństwem, Papież zaznaczył, że korzysta z okazji drogiej Mu audjencji, by dać wyraz swemu głębokiemu bólowi z powodu ostatnich poczynań ustawodawczych w Polsce, sprzecznych z istotą małżeństwa chrześcijańskiego i pociągających za sobą następstwa, wrogie moralności i religji. W dalszym ciągu Ojciec św. dodał, iż ból Jego był tem większy, że Polska tak głęboko katolicka doszła aż do tego punktu i to w tak krótkim czasie po ogłoszeniu encykliki papieskiej o małżeństwie chrześcijańskiem. Polskie manifestacje gorącego przywiązania do osoby Namiestnika Chrystusowego i myśl nadania Jego imienia jednej z najpiękniejszych ulic Warszawy były mu bardzo drogie, ale tembardziej zaogniła się w ich świetle nieoczekiwana i bolesna rana Jego ojcowskiego serca. Wyraziwszy następnie radość, że może podziękować najdroższym córkom polskim za ten dar ich wizyty, Pius XI wspomniał, iż zaniosą one do Polski echo Jego ubolewania ojcowskiego i będą wiernemi tłumaczkami uczuć Jego smutku.

Odpowiadając potem na adres hołdowniczy nauczycielek, Papież przypomniał obowiązek pielęgnowania w młodocianych duszach miłości do wiary katolickiej, gruntownie poznanej i całkowicie wcielanej w życie. Nauczyciele winni często mówić młodzieży o pełnej chwały przeszłości Polski, która zasłużyła sobie u Stolicy Apostolskiej na tytuł „Semper fidelis", tytuł, którego Rzeczpospolita powinna tembardziej strzec i bronić, im większe są niebezpieczeństwa, jakie jej zagrażają. Skończywszy przemówienie, Ojciec św. udzielił zebranym błogosławieństwa apostolskiego.

Powyższa mowa Ojca św. dotyczy niedawno ogłoszonego kodeksu karnego, zawierającego przepisy niezgodne z etyką chrześcijańską, oraz usiłowań narzucenia katolikom ustawodawstwa małżeńskiego, pozostającego w sprzeczności z zasadami Kościoła katolickiego".

Jak już wskazywaliśmy w innym miejscu, prawodawca polski hołduje, niestety, w dużej mierze tendencjom laickim i pogańskim. Tak można określić wszystkie prawie projekty, które powychodziły z Komisji Kodyfikacyjnej. Niezmiernie ciekawą byłoby rzeczą stwierdzić, w jaki sposób była w swoim czasie układana lista członków tej komisji, kto projektował personalja...

Mamy jednak również w Polsce i w innych krajach objawy dodatnie, wskazujące na rozwój żarliwości religijnej i rozpo-

wszechnianie praktyk. Tak np. 550-lecie sprowadzenia obrazu Matki Boskiej na Jasną Górę zgromadziło mimo ciężkiego kryzysu olbrzymie masy wiernych i dotychczas bez przestanku ciągną z całego kraju pielgrzymki do Częstochowy. Ta pobożność naszego ludu, która objawia się chociażby w kornej czci, jaką oddaje Najświętszej Marji Pannie—jast olbrzymim kapitałem moralnym, którego zmarnować nam nie wolno!

Na początku września odbyła się w Katowicach uroczystość III-go Dnia rekolekcyjnego. Powtarzamy za „Polonją":

„Już od godz. 8 zaczęły przybywać do Katowic pieszo z bliższych stron, a pociągami -- z dalszych liczne procesje ze sztandarami, chorągwiami i z orkiestrami. Przez udekorowaną ul. Kościuszki, procesje zdążały do Parku Kościuszki — katolicy polscy na boisko „Pogoni" — niemieccy do wielkiej hali wystawowej. Naliczono 43 wielkie procesje i 21 orkiestr, reprezentowane były wszystkie warstwy, wszystkie stany; lud wiejski i roboczy, młodzież: SMP., harcerze, kongregacje, Sokoli, Powstańcy, Hallerczycy, kolejarze, organizacje kobiece i tyle tyle innych. Porządek wszędzie wzorowy, utrzymywany przez policję i meżów katolickich; Sprawnie działały biura informacyjne, wydawania zniżek kolejowych, sprzedaży książeczek rekolekcyjnych i broszur religijnych; Kolumna sanitarna na posterunku... Krótko przed godz. 10-tą prawie cały środek boiska i jego boki zapełniło morze głów. Zaczynają zjeżdżać slę znakomici goście: J. E. Nuncjusz Papieski, ks. Marmaggi, J. E. ks. Metropolita Krakowski Sapieha, J. E. księża Biskupi: Szlagowski z Warszawy, Biskup Sufragan Dembek z Łomży, Tymieniecki z Łodzi i Adamski.

Miejsca przed ołtarzem zajmują liczni goście i wyższe osobistości miejscowe i przyjezdne, duchowne i świeckie. Po obu stronach ołtarza ustawiają się sztandary, które zajmują półkolem przeszło 100 metrów. Chorągwie zostają na boisku. Imponujący i niezapomniany widok przedstawiał piękny ołtarz Pański z wyniosłym białym krzyżem, skąpany w blaskach słońca — na tle wielkiej i różnobarwnej ściany sztandarów a u jego stopni zlpkka rozkołysane morze rozmodlonych rzesz. Punktualnie o godz. 10-ej rozpoczęły się nabożeństwa; cichą mszę św. na boisku odprawił J. E. ks. Nuncjusz Marmaggi; porywające kazanie wygłosił przez megafony J. E. ks. Biskup Dembek; mszę św. w hali odprawił J. E. Ks. Metropolita Sapieha, kazanie piękne i płomienne — w języku niemieckim — wygłosił J. E. Ks. Biskup Adamski. Na zakończenie nabożeństwa wzbiło się w niebo z wielu tysięcy piersi „Boże, coś Polskę". Falujące rzesze rozpłynęły się powoli z boiska i z hali z okazji przerwy obiadowej".

Zebrani uchwalili następującą rezolucję:

I. „Zebrani wzywają społeczeństwo, aby w pełnem zrozumieniu kryzysu gospodarczego, naturalnego następstwa powszechnego kryzysu moralnego, w okresie otwartej walki z Kościołem i szerzącej się niewiary, dążyło wszelkiemi silami do zwycięstwa w walce o zasady katolickie, do ich urzeczywistnienia w życiu rodziny i społeczeństwa.

II. Katolicy zebrani w liczbie przeszło 100 tysięcy na III Dniu Rekolekcyjnym w Katowicach, uznając rekolekcje zamknięte jako jeden z głównych środków odrodzenia moralnego społeczeństwa, zobowiązują się rozszerzać i popierać wszelkiemi sposobami ruch rekolekcyjny w Polsce.

III. W myśl wezwania Ojca św. katolicy, zebrani w liczbie przeszło 100 tysięcy na III Zjeździe Rekolekcyjnym w Katowicach, postanawiamy brać udział w rekolekcjach zamkniętych i zachęcać do ich odprawiania członków naszych rodzin i naszego otoczenia".

W Anglji mimo niechęci społeczeństwa anglikańskiego, katolicyzm rozszerza się i to wśród warstw najbardziej kulturalnych: wśród duchowieństwa, pisarzy, inteligencji zawodowej. Oby potrafili nawiązać kontakt z ludem! Nawiasem mówiąc, niektóre objawy nietolerancji ze strony wyznawców kościoła anglikańskiego są właśnie dowodem, że czują oni zbliżające się zwycięstwo i rozwój katolicyzmu i właśnie to ich drażni.

O przejawach tężyzny katolickiej w Niemczech pisze „Głos Narodu":

„Jakkolwiek najostrzej potępić musimy rewindykacyjne dążności narodu niemieckiego w stosunku do Polski i przeciwstawić się jego zaborczym tendencjom na polu politycznem, tak z drugiej strony podziw u nas budzi ogromna aktywność katolickiego odłamu ludności Rzeszy. W wielu innych społeczeństwach kryzys gospodarczy zahamował, albo i na pewnych odcinkach wręcz zabił, akcję katolicką. W Niemczech mimo szalonego kryzysu, mimo zubożenia społeczeństwa żaden odcinek akcji katolickiej nie popadł w martwotę, wszędzie życie pulsuje i wre praca. Przeprowadzono potrzebne redukcje w budżetach, oszczędności w wydatkach, nastąpiło zwarcie szyków, jeszcze większa, niż dotąd centralizacja i dzięki temu zdołano uratować i szczęśliwie przez okres kryzysu przeprowadzić katolickie organizacje. Początkowe zniechęcenie z powodu trudności finansowych minęło i dziś akcja katolicka w Niemczech stosując się do słów kard. Faulhabera: „im bardziej dokucza kryzys, tem usilniej trzeba pracy katolickiej", — rozwija się pomyślnie i wykazuje dużą żywotność.

Właśnie w dniu dzisiejszym kończy swoje obrady 71. „Katholikentag" (jeneralne zebranie doroczne katolików niemieckich) w przemysłowym ośrodku Essen, w centrali zakładów Kruppa. Nawet więc rok ciężkiego kryzysu, szalonego bezrobocia nie przerwał długoletniej tradycji niemieckiej, rozpoczętej w r. 1848. pierwszym sejmem katolickim we Frankfurcie nad Menem. A dla zadokumentowania, że katolicyzm nie lęka się żadnych „problemów" i że śmiało stawia czoło wszystkim trudnościom, na miejsce kongresu wybrano wynędzniałe skutkiem bezrobocia miasto Essen, a za przedmiot obrad wzięto temat wiele mówiący: „Chrystus w wielkiem mieście" (Christus in der Grosstadt). Trzeba się spodziewać, że kongres w Essen

doprowadzi do postanowień, których realizacja przyczyni sie do jeszcze ściślejszego związania ludzi pracy fizycznej i umysłowej z Chrystusem i z Kościołem.

Nie mniej znamiennym dla aktywności katolików niemieckich był międzynarodowy zjazd katolicki ku czci Chrystusa-Króla, urządzony w tych dniach w Berlinie. Przybyły nań więcej lub mniej liczne delegacje z zagranicy. Jednak niemieccy katolicy stanowili większość uczestników".

Ten temat: „Chrystus w wielkim mieście" wskazuje, że katolicy niemieccy nie obawiają się podchodzić do najtrudniejszych problemów socjalnych. Kiedyż katolicy polscy dojdą do takiego stopnia wyrobienia? Tymczasem możemy zanotować, że bardzo wielu z nich uważa ekonomję katolicką za coś w rodzaju zmodyfikowanego socjalizmu! Co za ignorancja panuje u nas w tej dziedzinie...

A tymczasem życie idzie naprzód. Europa nie czeka aż inteligencja polska się namyśli, czy warto zająć się zagadnieniem społeczno-gospodarczym z punktu widzenia katolickiego. Odbywają się zjazdy międzynarodowe katolików, na których Polska jest nieobecna, albo też słabe posiada wpływy. Oto np. podajemy za „Polonją" sprawozdanie ze zjazdu Federacji Ch. Z. Z.:

„W dniach od 22 do 27 czerwca obradował w Antwerpji piąty z rzęku Kongres Międzynarodowej Federacji Chrześcijańskich Związków Zawodowych, obesłany przez 359 delegatów z Belgji, Niemiec, Francji, Austrji, Holandji, Szwajcarji, Czechosłowacji, Węgier i Luksemburga: — przybyli ponadto jako goście Kongresu przedstawiciele Chrześcijańskiej Międzynarodówki Zawodowej, Międzynarodowego Biura Pracy, Katolickiej Międzynarodówki Robotniczej i Międzynarodowego Związku Robotników-Ewangelików. Obecni byli również na Kongresie przedstawiciele nie należących do Federacji chrześcijańskich związków zawodowych, a między nimi reprezentanci chrześcijańskich związków zawodowych z Polski.

Obradom przewodniczył prezes Federacji p. Bernhard Otto z Berlina.

Jak wynika ze sprawozdania sekretarza generalnego Federacji, w okresie od ostatniego kongresu, który odbył się w 1928 r., a więc w ciągu czterech lat, liczba członków organizacyj zawodowych, należących do Federacji, wzrosła o 13 proc.,—wynosi ona obecnie 2.351.738 osób.

Obrady Kongresu poświęcone były przedewszystkiem dyskusji nad kryzysem światowym. Po wyczerpującej debacie nad tą kwestją Kongres uchwalił rezolucję, w której zwraca uwagę na szereg momentów grających zasadniczą rolę w rozwoju obecnego kryzysu gospodarczego. Przedewszystkiem więc wchodzą tu w rachubę zmiany w strukturze gospodarczej, wywołane naskutek wojny światowej, nacjonalizacji środków produkcji w niektórych krajach, oraz dzięki powstaniu szeregu monopolów gospodarczych, następnie zaś zniszczenie przez wojnę ludzkich sił produkcyjnych i zastąpienie ich przez osoby w nieodpowiednim wieku, co zasadniczo musiało wpłynąć decydująco na szereg współczynników kosztów pro-

dukcji. Do pogłębienia światowego kryzysu gospodarczego przyczyniło się jeszcze przesilenie w rolnictwie wraz ze swemi poważnemi następstwami, a także dysproporcja między zdolnością produkcyjną a zdolnością konsumcyjną, oraz szereg zaburzeń w dziedzinie kredytu, kapitalizacji, zużycia nagromadzonych kapitałów i w dziedzinie walutowej. Dodać do tego wypada jeszcze błędną politykę w dziedzinie płac robotniczych i w dziedzinie procentów od kapitałów, jak również utrzymanie na niezmienionym poziomie długości czasu pracy, podczas gdy rozwój zdolności produkcyjnej przemysłu szedł naprzód, co w następstwie powinno było pociągnąć za sobą skrócenie czasu pracy, by dać zatrudnienie większej ilości robotników.

Rozwój kryzysu wywołanego w dużej mierze właśnie wymienionemi powyżej czynnikami, doznał dalszego zaostrzenia dzięki imperjalistycznym tendencjom szeregu państw, dzięki rosnącym jak na drożdżach murom celnym i mieszaniu się państw do życia gospodarczego naskutek politycznych względów. Wszystko wpłynęło bardzo silnie na wywołanie dalszego wzrostu bezrobocia.

Mówiąc w konkluzji swej rezolucji o możliwościach złagodzenia kryzysu, Kongres stwierdził wyraźnie, że tylko działanie w duchu chrześcijańskim, w duchu miłości bliźniego i społeczności ludzkiej może wyprowadzić ludzkość z szalejącego kryzysu gospodarczego.

W rezolucji Kongresu znajduje się również ustęp poświęcony zagadnieniom reparacyj długów wojennych: — ta część rezolucji została uchwalona pod przemożnym wpływem delegacji niemieckiej i z tej przyczyny nie można uważać jej za głos objektywnej opinji.

Dzień przed otwarciem obrad Kongresu odbyła się również w Antwerpji konferencja poświęcona zagadnieniom ochrony pracy kobiet, która również uchwaliła szereg zasadniczego znaczenia rezolucyj. Rezolucje te domagają się m. in. wprowadzenia w życie zasady równej płacy za równej wartości usługi, oraz zniesienia różnic w wynagrodzeniu, jakie istnieją obecnie między pracą mężczyzn i kobiet. Dalej wysunięto postulat, by pracujący mężczyzna, będący ojcem rodziny, wynagradzany był na odpowiednim do jego obowiązków poziomie, tak, by żona i matka rodziny nie musiała trudnić się pracą zarobkową. Wysunięto dalej postulat gospodarczego wykształcenia młodych dziewcząt, by mogły one później sprostać swym obowiązkom rodzinnym. Następnie w dalszych punktach rezolucji poruszono również sprawę bezwzględnego zakazu pracy nocnej dla kobiet i nieletnich dzieci, jak również zakazu wykonywania przez kobiety i młodzież tego rodzaju prac, które mogą grozić albo szkodą dla zdrowia, albo też spowodowaniem szkód moralnych. Uchwalono również szereg postulatów co do ochrony kobiet pracujących w okresie macierzyństwa".

Gdyby nasze chrześcijańskie związki zawodowe były silniejsze, miałyby stałą reprezentację na terenie międzynarodowym, utrzymywałyby żywy kontakt kulturalny z zachodem, a także nie dopuściłyby do uchwalenia wniosków politycznych na korzyść Niemców, które to wnioski z punktu widzenia objektywnego na zjeździe Federacji Ch. Z. Z. są niedopuszczalne i nie na miejscu.

Obecnie nie mogły się tym wnioskom przeciwstawić, gdyż nawet do Federacji nie należą i w zjeździe brały udział tylko, jako obserwatorzy.

Jeżeli teraz zapytamy się, jaka jest przyczyna tej słabości Ch. Z. Z. w Polsce—to trzeba stwierdzić, że główną przyczyną jest prawie całkowity brak inteligencji w tej pracy. W socjalistycznych zw. zaw. pracuje inteligencja, w chrześcijańskich —inteligenta nie można znaleść na lekarstwo, ogół bowiem inteligencji polskiej boi się posądzenia o partyjność i dlatego woli nie robić nic...

A tymczasem świat idzie naprzód. Kryzys gospodarczy wywołał silny ruch umysłowy wśród ekonomistów, socjologów i polityków. Czynny w nim udział bierze Stolica Apostolska, wydając od czasu do czasu wspaniałe enuncjacje, oświetlające zagadnienia gospodarczo-społeczne z naszego punktu widzenia. Przytaczamy ostatni głos „Osservatore Romano" w sprawie propozycji zmniejszenia tygodnia pracy:

„W związku z włoską propozycją zaprowadzenia 40-godzinnego tygodnia roboczego, która w dniu 21 b. m. poddana zostanie pod dyskusję rady Międzynarodowego Biura pracy w Genewie, ogłasza „Osservatore Romano" znamienny artykuł poświęcony tej sprawie.

Biorąc za punkt wyjścia zasadnicze punkty encykliki „Rerum Novarum" o sprawie ingerencji w kwestjach społecznych dotyczących zagwarantowania każdemu wykonywanie zawodu, dziennik watykański stwierdza słuszność wniosku włoskiego, albowiem w chwili obecnej szczególnie wskazanem jest, zredukowanie smutnej 25-miljonowej armji bezrobotnych całego świata. „Osserwatore Romano" jest zdania, że wniosek powinien być rozpatrzony w formie podanej przez Włochy, t. j. przy zachowaniu uposażeń, przewidzianych dla 48-godzinnego tygodnia roboczego i wypłacanych dotychczas. Kończąc, wspomniany dziennik życzy wnioskowi, by został w całości przyjęty".

Widzimy, że organ Stolicy Apostolskiej wypowiada się bardzo śmiało w aktualnych zagadnieniach polityki społecznej. Oczywiście, stanowisko swoje opiera na encyklikach społecznych i studjach ekonomicznych. Nie mógłby wypowiadać tak zdecydowanych i ważnych poglądów, gdyby nie znajdował się wewnątrz splotu współczesnych zagadnień gospodarczych i socjalnych.

I nam, katolikom polskim, nie pozostaje nic innego, jak zająć się wreszcie temi zagadnieniami, przestudjować je szybko, rozejrzyć się w życiu polskim i zabrać się do pracy w myśl zasad katolickich, ręka w rękę z ludem. *S. J. K.*

Art. 233 nowego kodeksu karnego.

W poprzednim numerze naszego pisma, w artykule zatytułowanym: „Nowy kodeks karny z punktu widzenia religijnego i moralnego" rozważaliśmy między innemi art. 233 tego kodeksu, który zezwala na przerwanie ciąży, jeżeli „zabieg był dokonany przez lekarza i przytem: a) był konieczny ze względu na zdrowie kobiety ciężarnej, albo b. ciąża była wynikiem przestępstwa, określonego w art. 203, 204, 205 lub 206".

Ponieważ doszliśmy do przekonania, że rozważania nasze na ten temat były zbyt pobieżne, a przez to niedokładne, przeto postanowiliśmy je obecnie rozszerzyć i pewne rzeczy wyjaśnić z punktu widzenia zasadniczego.

Druga część art. 233, mn. punkt „b" zasługuje całkowicie na potępienie z naszego punktu widzenia. Nie wolno dziecięciu (postumusowi) odbierać życia z powodu występku popełnionego przez jego ojca z krzywdą matki, lub też wspólnego występku obojga rodziców. Poza wypadkami obrony koniecznej, wojny i kary śmierci —zabójstwo jest zawsze zbrodnią i żadną sofistyką niewolno jego uzasadniać, ani usprawiedliwiać.

Przechodzimy teraz do 1 części art. 233 t. j. do punktu „a".

Już z punktu widzenia wyłącznie prawnego stwierdzić należy, że artykuł ten zredagowany został w ten sposób, że właściwie niema żadnych norm krępujących lekarza, w którego ręku znajduje się faktycznie prawo życia i śmierci nad postumusem. Wystarczy poprostu „dążenie do utrzymania linji ze strony matki" i „uprzejmość" ze strony lekarza, a już niesumienny lekarz, ulegający współczesnym prądom hedonistyczno-liberalnym — może łatwo uznać, że zabieg jest „konieczny ze względu na zdrowie". I kto go będzie kontrolował? Wszak wystarczy, aby zabieg w tych okolicznościach był wykonany przez lekarza i ten właśnie lekarz ma także decydować, czy zabieg był konieczny. Takie postawienie sprawy jest niedopuszczalne!

Następnie rozpatrzmy tę rzecz z punktu widzenia zasadniczego.

Według katolickiej teologji moralnej spędzenie płodu jest zasadniczo niedopuszczalne. Dlatego też wszelka czynność lecznicza może pójść tylko w kierunku ratowania zdrowia pacjentki, względnie jej życia, gdyż z punktu widzenia medycznego te dwa

pojęcia są bardzo często synonimem. Celem i zadaniem zabiegów lekarskich nie może być w żaden sposób spędzenie płodu. Trzeba jednak przewidywać, iż pewne zabiegi skierowane zasadniczo na uratowanie życia, mogą ubocznie obrócić się przeciwko płodowi.

Z tego punktu widzenia nie można usprawiedliwiać, ani części „a", ani „b" art. 233 k k. Obydwie te części są zredagowane w sposób akatolicki, sprzeczny z zasadami teologji moralnej. Ta tylko istnieje między nimi różnica, że o ile punkt „b" zawiera tezę złą stuprocentowo, o tyle punkt „a", chociaż w zasadzie jest zły, to jednak moglibyśmy dojrzeć w nim pewne ziarnko prawdy w postaci słusznej tendencji do ochrony życia matki. Tendencja ta jednak jest zagłuszona przez fatalne ujęcie hedonistyczno-woluntarystyczne, które sprawia, że cały ten punkt należy uznać za ujemny z punktu widzenia katolickiego.

Stefan Kaczorowski.

Z ŻYCIA MŁODYCH KATOLIKÓW.

Drogi rozbrojenia moralnego

Temu zagadnieniu poświęcony był ostatni Kongres „Pax Romana". Na terenie „Pax Romana" istnieje zwyczaj poświęcania każdego corocznego Kongresu jednemu tylko zasadniczemu tematowi. Temat tegoroczny był bliżej, więcej niż w innych latach związany z samą ideą Pax Romana, bo taka, zauważyć to trzeba, wyraźnie istnieje. Temat ten poruszał przytem zagadnienie bardzo aktualne, życiowe. W Europie, nie mówiąc już o Azji i Południowej Ameryce, istniał już nastrój wojny. Obok niego jednak zaznaczały się silne dążności do uniemożliwienia wojny, wielkiem wydarzeniem była, odroczona ostatnio, konferencja rozbrojeniowa, pilnuje uważnie pokoju Liga Narodów. Polska postawiła na porządku dziennym przez swoje memorandum rozbrojenie moralne. W ten sposób była jakby tylko wyrazicielką wielkiej myśli i wielkiej akcji Kościoła.

Omówienie stosunku Kościoła do pokoju miało bezwzględnie najlepszy grunt na terenie „Pax Romana". Przedewszystkiem

dlatego, że „Pax Romana” grupuje młodzież akademicką, a więc ludzi o wyższym poziomie umysłowym i kulturalnym, a powtóre dlatego, że członkowie „Pax Romana” są wszyscy katolikami, nietylko z imienia, lecz żyjącymi katolicyzmem i zorganizowanymi.

Wszyscy, udający się na kongres tegoroczny, znali wagę tematu, przygotowywali się do niego. Nie zapominali jednak i o drugiej: rzeczy o dążeniu do największego zbliżenia narodów, do wzajemnego poznania i wymiany zdań przez osobisty kontakt.

Kongres odbył się, jak już zapewne wiadomo z doniesień pism codziennych, we Francji, w Bordeaux i Lourdes, w połowie sierpnia, zorganizowany przez miejscową federację studentów katolickich i sekretarjat Pax Romana. Przewodnictwo honorowe objął ks. kardynał Audneu, arcybiskup z Bordeaux, który gdy mu przedstawiono przewodn. delegacji polskiej, oświadczył mu, że codziennie się modli za Polskę. Faktycznie przewodniczył kongresowi p. M. Lameigneze, adwokat z Bordeaux przy współpracy prezesa „Pax Romana” D-ra Godard'a, francuza z Algieru i przedstawicieli sekretarjatu generalnego, ks. Gremaud i p. Salat. Nad przebiegiem kongresu czuwał Comité Directeur, władza zarządzająca „Pax Romana”, do którego wchodzi również przewodniczący delegacji polskiej.

Na kongres przybyło 250 przedstawicieli 20 narodowości. Polska reprezentuje w „Pax Romana” Stowarzyszenie katolickiej Młodzieży Akademickiej „Odrodzenie”. Delegacja polska w liczbie dwunastu osób przybyła pod przewodnictwem p. Karola Pieńkowskiego, przewodniczącego komisji spraw zagranicznych „Odrodzenia” i ks. prof. Dr. Kazimierza Kowalskiego z Gniezna, jako kapelana. Pod względem liczebności Polacy byli na trzeciem miejscu, gdyż najliczniej przybyli Anglicy, potem Szwajcarzy a wreszcie Polska, nie mówiąc naturalnie o gospodarzach Francuzach. Jeśli chodzi o ruchliwość, trzeba przyznać, że Polacy byli wszędzie, gdzie mogli dawali inicjatywę, przemawiali, dyskutowali, śpiewali. Słowem Polska była reprezentowana dobrze.

Główna praca kongresu odbywała się na zebraniach ogólnych. Pierwsze inauguracyjne, pod przewodnictwem Gugot z Bordeaux nie zawierało zadnego referatu. Otwierając Kongres, prof. Gugot poświęcił dłuższą chwilę postaci Piotra Frassati'ego

chcąc jakby, aby duch tego znanego już pewno na całym świecie świątobliwego studenta był z uczestnikami kongresu i zapewnił Kongresowi i jego uczestnikom najlepsze owoce. Trzeba wiedzieć, że Piotr Frassati, za życia swego, bywał na kongresach „Pax Romana" i dobrze go tutaj jeszcze pamiętają. Pozatem zebranie inauguracyjne wypełniły przemówienia przedstawicieli delegacyj narodowych. W imieniu Polaków przemówił Dr. Stefan Śnieżawski ze Lwowa, który odczytał również pismo ks. kard. Hlonda. W trakcie przemówień oddano hołd świetlanej pamięci ks. Prałata Seipla, którego łączyły z „Pax Romana" najlepsze stosunki. Dalsze zebrania poświęcone już były referatom: ks. Prof. dr. Steffens z Monachjum przedstawił w świetnym wykładzie „Chrześcijańskie ujęcie porządku międzynarodowego". Psychologiczne i moralne warunki realizacji porządku międzynarodowego przedstawił referat O. Martindale'a, prezesa honorowego katolickich studentów angielskich. Bardziej praktyczne zagadnienia ujmował referat p. Legendre'a prezesa Federacji Francuskiej studentów katolickich, należących do Pax Romana.

Poważna praca odbywała się również w komisjach: współpracy intelektualnej, misyjnej, prasowej. Na posiedzenie komisji koleżanek przybyła specjalnie p. Stenbergh Eungeringh przewodnicząca Międzynarodowej Organizacji Kobiet Katolickich. Najczynniejszy udział wzięli Polacy w komisji „Pro reditu Ecclesia", zwanej poprostu unijną, pozostającej pod protektoratem ks. Kardynała Prymasa Hlonda.

Na zakończenie obrad powzięto szereg rezolucyj, przeważnie natury administracyjnej. Między innemi postanowiono urządzić dla grup po kilka narodów Tygodnie studjów dla omówieni kwestji życia międzynarodowego, jak i społecznego. Dwa tego rodzaju zebrania mają się odbyć w Polsce, jedno w Krakowie drugie na Górnym-Śląsku.

Tyle co do niezmiernie bogatej i obfitej strony programowej i zebraniowej. Koniecznie trzeba wspomnieć i o innych stronach i pracach kongresu. Przedewszystkiem kongres cały jako taki odbył pielgrzymkę do Lourdes, najbardziej napewno znanego na świecie miejsca pielgrzymek. Wrażeniom w Lourdes, niezwykle głębokim i przejmującym, trzebaby poświęcić osobny artykuł. Tutaj wystarczy wspomnieć, że wszyscy uczestnicy

kongresu brali udział w procesjach, nabożeństwach. Przyjmowani przez Biskupa miejscowego J. E. Ks. Gerier i pod jego przewodnictwem korzystaliśmy z licznych łask tego cudownego miejsca. Szczęśliwy był pomysł urządzenia tej wspólnej pielgrzymki. Na wysoki ton nastrojone dusze lepiej i głębiej widzieć mogły znaczenie katolicyzmu i rolę katolików dla dzieła pokoju, a to pomnoży jeszcze i tak już bogate owoce Kongresu. Trzeba i tutaj dodać dla uniknięcia nieporozumień, że w Bordeaux również nie zapomniano o życiu religijnem, że było ono bardzo żywe.

Organizatorzy kongresu z p. Philouze na czele dbali o to by zadowolić dążności turystyczne licznych gości. Byliśmy więc w znanem St. Emillion, gdzie nas przyjmował znany w całej Francji ks. Bergey w Pau, pięknem miejscu klimatycznem, zwiedzaliśmy miasto i port Bordeaux.

W prawdziwej atmosferze pokoju, opartego na miłości chrześcijańskiej dobiegł Kongres końca. Uczestnicy rozjechali się, postanawiając wnieść w życie narodów ten nastrój, który istniał na kongresie i realizować „Pax Romana".

Leon Całka.

SPRAWOZDANIA i RECENZJE.

Rzeczpospolita Akademicka. Szkoły wyższe i życie organizacyjne oraz prądy ideowe polskiej młodzieży akademickiej. Poznań 1932. Nakładem dutygodnika „Głos Akademicki", Poznań, św. Marcin 65. Czcionkami Drukarni Polskiej S. A. w Poznaniu. Str. 24.

Informator w rodzaju „Rzeczpospolitej Akademickiej" był istotnie bardzo potrzebny. Zwięźle ujęty, daje przeciętnemu maturzyście wystarczający, jak na pierwszy początek, pogląd na organizację wyższego szkolnictwa i na życie organizacyjne młodzieży akademickiej. Dobrze się stało, że poświęcono osobno kilka słów każdemu z Wydziałów, chociaż uderza pewna nieproporcja. W stosunku do studjum prawniczego nieco skąpo potraktowano inne Wydziały, nie wyłączając szeroko rozgałęzionej humanistyki. Zdaniem mojem byłoby także dobrze zwrócić nowym obywatelom Rzeczpospolitej Akademickiej uwagę na drukowany program ministerjalny w sprawie egzaminów magisterskich. Wczesna znajomość tego programu ułatwia układ studjów i zapobiega różnym nieporozumieniom w toku nauki

Z uznaniem podkreślić należy notatkę o warunkach materjalnych studjów. Można tylko do pewnego stopnia zakwestjonować (przynajmniej o ile chodzi o Poznań) twierdzenie, że koszta utrzymywania zmniejszą się, gdy student „mieszka w domach akademickich". Autorzy „Rzeczpospolitej" widocznie nie wiedzą, że w Poznaniu można było dostać w ubiegłym roku akadem. wcale dobry pokój jednoosobowy z bardzo wygodnym urządzeniem a nawet z telefonem po cenie niższej wzgl. równej bratniackiej w N. D. A.

Poważniejsze zastrzeżenia budzą niektóre uwagi w rozdziałach o „organizacji życia akademickiego" oraz o „prądach ideowych wśród młodzieży akademickiej". Dziwnie np. brzmi twierdzenie, jakoby do organizacyj apolitycznych należały Bratnie Pomoce i korporacje. Owszem, przyznaję, że nie noszą one wyraźnej firmy stowarzyszeń politycznych, ale trudno przecież zaprzeczyć ich politycznego wysiłku i działania, gdy chodzi np. o sławne walne zebrania. Walka wyborcza w poszczególnych Bratniakach i udział w niej korporacyj ma przecież wyraźny charakter polityczny i jest żywem odbiciem smutnego rozdarcia wewnętrzno-politycznego w łonie państwa polskiego. Słowem walczą ze sobą dwa polityczne obozy: narodowy i „sanacja".

Wracając do omawianej broszury, trzeba zaznaczyć, że wogóle cała jej druga połowa nosi mniej lub więcej wyraźne piętno ciasnego subjektywizmu, nie widzącego prawie nic dodatniego poza tak zwanym kierunkiem narodowym. Ze stanowiska np. katolickiego można mieć pewne zastrzeżenia choćby co do słuszności zdania (na str. 17), że „wszystkie kierunki ideowe poza narodowym wychodzą z jednego punktu patrzenia na społeczeństwo, opierają swój pogląd na szczęściu jednostki wyłącznie". Twierdzenie to jest nowym dowodem, że koła, wśród których powstała broszurka „Rzeczp. Akad." mają np. o istocie katolicyzmu jako kierunku ideowego jeszcze bardzo mętne pojęcie, skoro uważały za potrzebne milcząco zaliczać go do owych „wszystkich kierunków ideowych poza narodowym", co „opierają swój pogląd na szczęściu jednostki wyłącznie".

Nie chcę przypuszczać, żeby tem „sprzysiężonem milczeniem" należało interpretować inne miejsce, na str. 21, gdzie mowa o wrogim stosunku Młodzieży Wszechpolskiej do socjalizmu, do komunizmu, masonerji, żydostwa i *wszelkich sił międzynarodowych* (podkreśl. moje). Jakie to są poza wymienionemi „siły międzynarodowe"? Chyba nie także katolicyzm, będący — jak już nazwa sama o tem mówi — *powszechny*, międzynarodowy, a lepiej ponad narodowy. (Wiem, że niektórym z t. zw. kół narodowych trudno się pogodzić z tą *powszechnością* Kościoła świętego).

Karkołomne wydają mi się takie uwagi o „Odrodzeniu." Przyznaję, że sporo można mieć pewne zastrzeżenia co do działalności poszczególnych środowisk odrodzeniowych. Jednakże twierdzenie jakoby deklaracja ideowa Odrodzenia „bardzo długa i drobiazgowa" (jak skrupulatnie zaznaczają autorzy) była „pełna frazesów chrześcijańskich", wśród których „trudno wyczytać jakąś zdecydowaną linję postępowania" — świadczy albo o płytkości myślenia autorów broszury, albo o ich pewnej niepożądanej złośliwości względem nie — wszechpolskiej organizacji o obliczu wyraźnie katolickiem; (biorę za podstawę właśnie program ideowy a nie postępowanie niektórych jednostek. Wszak tęże miarę należy także stosować w osądzeniu np. Młodzieży Wszechpolskiej). Płytki wzgl. złośliwy sąd o „Odrodzeniu" jest tem bardziej rażący, że jak to sami autorzy broszury podkreślają —

organizacja ta należy do Akcji Katolickiej. A chyba trudno przypuszczać, by przyjmowano tam jakiś klub frazeologów chrześcijańskich, nie mających „zdecydowanej linji postępowania".

Wkońcu pozwolę sobie zaznaczyć, że wogóle zbytecznem mi się wydaje w omawianej broszurze *reklamowanie* jednej wybranej kasty studenckiej. Wszak „Rzeczposp. Akad." ma być informatorem dla *wszystkich*, co mają zamiar poświęcić się wyższym studjom. Zatem powinna być bezwzględnie objektywną (acz krytyczną), ale nie broszurą propagandową na rzecz jednego odłamu młodzieży akadem.

Stąd też mimo wielkich zasadniczych zalet jakie posiada „Rzeczpospolita",—ta jej stronniczość, miejscami aż nadto rażąca, oraz pewne gdzieniegdzie niedostateczne przemyślenie rzuconych uwag, jak również niepotrzebne dosłowne powtarzanie się (np. str. 20 u dołu i 22 u góry)—podkopują jej wartość i każą z niej korzystać z pewną ostrożnością. Należy się spodziewać, że następny nakład będzie wolny od tych niedociągnięć.

Ks. A. F. Kowalkowski.

„Na cztery wiatry". Wielbiciele talentu Wandy Miłaszewskiej z radością powitają nową jej powieść p. t. „Na cztery wiatry". Powyższy utwór pozostaje w bardzo bliskim pokrewieństwie z poprzedniemi pracami autorki, jak: „Cmentarz i sad", „Zatrzymany zegar", „O zloty wlos", „Kaczęta", „ .Stare Kąty".

Twórczość Miłaszewskiej ma cel wybitnie społeczny dać obraz rozstroju moralnego gnębiącego powojenne pokolenia. Świat wyszedł z dawnych, dobrze znanych trybów, a nie wszedł w nowe. Co przyniesie jutro? Czy ludzie, dla których osłabły hamulce wiary i moralności, potrafią uniknąć duchowego rozbicia, czy też pogrąża się w złowrogi wir, ponad krórym ręka Boża pisze grożne: „Mane, tekel, fares"? Na powyższe pytania, Miłaszewska nie daje bezpośredniej, jasnej odpowiedzi. Jej powieści nie dają obrazu całego narodu, nie występują w nich szerokie masy, czy choćby liczniejsze grupy ludzkie, lecz poszczególne rodziny.. Bierze je pod mikroskop, bada metodą indukcvjną, a uogólnienia, wyciąganie szerszych wniosków pozostawia czytelnikom. Niewątpliwie jednak stanowisko autorki jest pesymistyczne. W jej utworach brak postaci, któreby prowadziły na większą skalę walkę ze złem. Są to, albo ludzie ogarnięci współczesną materjalistyczną płycizną, albo przedstawiciele „gasnącego świata", którzy ograniczając się do praktykowania „prywatnej cnoty" i mając wzrok zwrócony ku lepszej przeszłości, smętnie spoglądają na dzień dzisiejszy. Ich wyznaniem wiary, to stara Krasickiego dewiza: „Czyń każdy w swoim kółku co każe duch Boży, a całość... sama się złoży". Krótko mówiąc są to z indywidualnego punktu widzenia, ludzie święci, lecz ze społecznego... niedołęgi. To też w imieniu wielbicieli talentu p. Miłaszewskiej niech mi wolno będzie się do niej zwrócić, aby w następnej powieści, te wszystkie mamy, ciocie poświęcające się siostry i t p. osoby, aby się zrzeszyły, stworzyły silną organizację, ewentualnie założyły pismo katolickie i z rozwiniętemi sztandarami wyruszyły z „okopów św. Trójcy" do walki ze szkodnikami społecznymi.

Obecnie nie wystarczy łzawe rozpamiętywanie przeszłości i ciche... cerowanie skarpetek marnotrawnych synów. Dziś trzeba aktywnej cnoty, spo-

łecznej, nie chcę przez to powiedzieć, że nie cenię bohaterstwa szarego, codziennego życia, tylko, że powinno ono mieć inne nastawienie. Przedewszystkiem więcej wiary w wyznawane ideały i tej radosnej pewności, że te choćby „drobne" wysiłki nie pójdą na marne.

Po omówieniu ogólnych uwag nasuwających się z obserwacyj całości twórczości Miłaszewskiej, przejdźmy do ostatniej jej powieści p. t. „Na cztery wiatry". Na treść jej składają się dzieje rodziny, którą dotknęła katastrofa — śmierć matki. Póki żyła, była ogniskiem dokoła, którego koncentrowało się życie wspólnoty rodzinnej. Gdy odeszła zabrakło łącznika spajającego w jedną całość „dom, który był pełen słońca, w którym było pomimo wszystkich smutków tyle dobroci i ciepła". Śmierć zburzyła nietylko szczęście, ale i spokój rodzinny. Następuje straszliwy rozkład: jeden z synów staje się nałogowym karciarzem, drugi widzi przed sobą tylko machinacje i szacherki giełdowe, córka romansuje z szefem... Zlepek rodzinny, który opierał się nie na wpojonych od dziecka zdrowych zasadach, lecz tylko na uczuciu do matki, gdy jej zabrakło, runął.

Historja jakich w życiu spotyka się wiele, warto też nad nią się głębiej zastanowić i w tym celu przeczytać książkę p. Miłaszewskiej.

Z. Pr.

J. Św. Pius XI. Encyklika o chrześcijańskiem wychowaniu młodzieży z dnia 31-go grudnia 1929 roku. Na nowo z łacińskiego przełożona przez ks. Jana Korzonkiewicza. Książnica Akcji Katolickiej. № 16. Poznań 1932 r.

Polska literatura Akcji Katolickiej wzbogaca się pięknem i starannem wydaniem Encykliki Ojca Św. Piusa XI. O chrześcijańskiem wychowaniu młodzieży.

Wybitną zaletą nowego tłomaczenia tej Encykliki są objaśnienia, dodane przez tłomacza, poprzedzające ustępy samej Encykliki. Te przedwstępne objaśnienia znakomicie ułatwiają zrozumienie samej treści Encykliki umysłom mniej wykształconym.

Natomiast—Słowo wstępne—tłomacza Encykliki, z powodu długich zdań i okresów, przypominających łacińskie lub niemieckie perjody traci na jasności.

Przekład Encykliki dokładny, przejrzysty i zrozumiały, styl i składnia bez zarzutu.

Marja Reutt (Stabrowska) „Legendy o Świętych" 1932 r. Drukiem i nakładem Księgarni Katolickiej w Katowicach.

Jest to wiązanka cudownych wydarzeń z życia świętych, oraz charakterystyka sług bożych.

Dzieci chciwie czytają, lub słuchają do poduszeczki—tych krótkich, żywych opowiadań, chcąc słuchać dłużej, z zaciekawieniem, pytając — co będzie dalej.

Życzyć należy, by Autorka zajęła się dalszem zszeregowaniem legend o innych świętych, nieomawianych w tym zbiorku; materjału wdzięcznego nie zbraknie a młodym czytelnikom i jeszcze młodszym słuchaczom wyświadczy wielką przysługę pedagogiczną.

Ks. Al. Bołtuć. M. I. C.

Becking, Dr. Joseph, prof. Von Glaubensreichtum und Lebensglück. Kleine Kapitel ausdem vesentlichen religiösen Schrifttum ausgewählt. Kl. 12° (48 S.). Freiburg im Breisgau 1932, Herder. Geheftet 15 pf.

Prof. Dr. Józef Beoking, Skarby wiary a życie w szczęściu. Jeden rozdział z pism głębokich pisarzy religijnych. Form. 12°, st. 48 Fryburg w Breisgau. 1932. Herder. Cena w broszurze fen. 15.

Książeczka poświęcona tym, co się zmagają, zwłaszcza młodemu pokoleniu, jako umysłom dążącym do pogłebienia pojęć w dziedzinie religji. Chwalebne i konieczne są te ich wysiłki, zbyt często bowiem ludzie, nawet katolicy, pojmują religję, jako rzecz tradycji, nawyknienia. Pod względem znajomości prawdy religijnej, co do zapatrywań na sprawy wiary, wielu bardzo przez całe może życie pozostają wciąż na poziomie wieku dziecięcego. Autor dziełka, znając liczny szereg współczesnych świeckich pisarzy religijnych, wybrał wziął od nich najwybitniejsze rozdziały i stworzył piękną całość—a to w tym właśnie celu, żeby wykazać całe bogactwo, życiem tętniące, bujne, potężne w nieubłaganą konsekwencję, w całość związane, tego co stanowi religję. W szeregu pisarzy, na których powołuje się autor, czytamy tak wybitne, po całym świecie głośne nazwiska, jak: Faulhaber, Gröber, Scheeben, Keppler, Lippert, Rademacher, Linhardt.

Ażeby ułatwić dalszą drogę do poznania spraw tych najwyższych, i wyrobienia sobie głębszego jeszcze poglądu, do każdego urywku dołączył wydawca wtóry dodatek wyjaśniający.

Dr. Adolf Donders. Lichtstrahlen. Religiöse Gedanken im Werktagsleben. 3 Bände 8° Freiburg im Bresgau 1932. Herder. 3 Bände im einem Leinenband 5.60 M.

Dr. Adolf Donders. Promienie światła. Myśli religijne na dni tygodnia. 3 tomy in 8°. Fryburg w Breisgau. 1932.

Herder. 3 tomy w jednym, w płóciennej oprawie mr. 5.60.

Tom I: Niech się stanie światło (VI i 116 str.) mr. 1.40.

Tom II: Światłość światła (VI i 148 str.), mk. 140, w karton. [opr. 1.80, w tekt. 1.80.

Tom III: Chodźcie w światłości (VI i 118 str.) mr. 1.40, [tekt. 1.80.

Prawdziwą „Księgą pociechy", źródłem pociechy w udręce życiowej staje się dla czytelnika dzieło profesora dra Dondersa. Wystawmy sobie pracownię rzemieślniczą, zawaloną narzędziami i materjałem, pełną stuku, zgiełku, szarości, zaduchu... Otwarto zakopcone okno — jasne promienie słońca wdzierają się do izby, siejąc złocistą jasność po warsztatach, narzędziach i twarzach pracowników...

Dla wielu, którzy w zgiełku i znoju życiowym tracą wzrok ducha i zapadają w przygnębienie, ta księga, jak snop słonecznych promieni, rzuci w duszę światło, rozjaśni, uspokoi i ukaże w oddali promienne widnokręgi: bo słowo Boże przebija pomrok światowej powszedniości i daje odczuć moc swoją ożywczą.

W jaki sposób tu działa? Czy upaja wspaniale brzmiącemi słowy? Czy prowadzi w głębiny myśli teologicznej? Nie. Oto poprostu współczesny nam człowiek-chrześcijanin, świadomy skarbu, z nieba sobie danego, ze serca wydobywa i przedstawia takim jak on, dzieciom dwudziestego

wieku, ile pociechy, pokrzepienia, ile wytycznych na życie znajduje dla siebie i dla współbraci w „słowach żywota wiecznego", w Piśmie Bożem.

„Nie samym chlebem żyje człowiek, ale wszelkiem słowem, wychodzącem z ust Bożych". Niewiele dziś puszcza się w świat książek, któreby to słowo tak żywo, kojąco, przekonywująco przedstawiały, tyle szczęścia wlewały w dusze.

Pierwszy tom mówi o Bogu, o tajemnicach religji, o duszy ludzkiej i jej dążeniu ku zaświatowym wyżynom, ku temu „co wzwyż jest, czerpiąc z Księgi Bożej. Tomy drugi i trzeci roztaczają to, co na ziemi jest nadziemskiego: pełne uroku życie liturgiczne, tak jak je przedziwnie snuje rok kościelny, wdzięcznie a potężnie opanowując duszę ludzką.

A tak, nie dla tych lub tamtych wyłącznie, ale dla wszystkich: dla duchowieństwa i ludzi świeckich, dla młodych i dla starych, wytryśnie stąd źródło pociechy i osłody; ten przypomni sobie rzeczy dawniej poznane, ów pozna, o czem dotąd nie myślał.

X. Antoni Marcinkowski: Walne zebranie. Poznań 1931 Nakład Zjednoczenia Młodzieży Polskiej. Skład główny S. A. „Ostoja", Poznań, Pocztowa 15. Cena 75 gr.

Walne zebranie jest to w każdej organizacji jedno z najważniejszych zebrań w roku. Zarząd składa na niem sprawozdanie, otrzymuje absolutorjum swej pracy oraz następują nowe wybory.

Wobec słabego jeszcze naogół wyrobienia młodzieży, a nawet i starszych w dziedzinie prawniczo-statutowej, obowiązujących form parlamentarnych i tp., książeczka niniejsza jest nadzwyczaj cennym podręcznikiem dla każdego pracownika społecznego Przestudjowanie jej ułatwi ogromnie wzorowe przeprowadzenie walnego zebrania w każdej organizacji, zawiera bowiem podstawowe wskazówki o tem: jak przygotować sprawozdanie roczne, jak zwołać walne zebranie, jak przygotować wybory, jaki powinien być przebieg walnego zebrania (porządek obrad) oraz jak się ma zabrać do pracy nowy zarząd.

Wszystko to ujęte krótko, jasno, praktycznie — to też broszura zasługuje na polecenie jak najgorętsze każdemu społecznikowi — a przedewszystkiem patronowi SMP.

Inż. L. Majewska „Prace rolnicze młodzieży". Akcja przysposobienia rolniczego Stowarzyszeń Młodzieży Polskiej w latach 1928-30. Poznań 1931, str. 80. Ilustracyj, map, wykresów 45. Nakład Zjednoczenia Młodzieży Polskiej. Skład Główny: S. A. „Ostoja", Poznań, Pocztowa 15. Cera 1.30 zł.

Broszura ta daje nam bardzo szczegółowy obraz prac młodzieży z SMP. w dziedzinie konkursów p. r. przez przeciąg 3 lat. Na pierwszy plan wybija się konkurs kukurydziany, który sprawił, że w 1930 r. powierzchnia poletek konkursowych obsianych tą rośliną, zajmowała obszar 20 ha. Ziarna wyprodukowano 1.200 q., a liczba młodzieży biorącej udział w tym konkursie doszła do 4.012 osób.

Pozatem uprawiały jeszcze SMP. 30 innych tematów konkursowych jak: buraki, ziemniaki, warzywa, ogródki kwiatowe, prosięta i kury. Ogółem w 1930 r. brało udział w konkursach p. r. 15.414 uczestników, co sta-

nowi 42,2% ogółu konkursistów p. r. w całej Polsce (w stosunku do innych organizacyj młodzieży). Interesujące są cyfry dotyczące kursów przedkonkursowych, wystaw, pokazów i tp., oraz stopniowego ich przez trzy lata wzrostu.

Wreszcie daje broszura pogląd na wynik ankiety przeprowadzonej przez Zjednoczenie Młodzieży Polskiej wśród konkursistów i instruktorów p. r. na temat korzyści odnoszonych z konkursów. Głosy młodzieży cytowane są obszernie i świadczą o tem, że rozumie ona doniosłość konkursów, potrafiła zwyciężyć liczne trudności, wiele się nauczyła, a ponadto rozbudziła wielkie zainteresowanie wśród starszego społeczeństwa wsi, dając inicjatywę do ulepszania metod pracy rolniczej.

Broszura „Prace rolnicze młodzieży", jako obraz rzeczywistego wysiłku młodzieży SMP, dokonanego, celem zdobycia oświaty rolniczej, jest dokumentem bardzo cennym w historji rozwoju kultury wsi polskiej w odrodzonej ojczyźnie. Powinien ją przeczytać każdy, kto interesuje się tem zagadnieniem.

Ks. Dr. K. Milik, em. Kapelan W. P.: „Życie Żołnierza". Poznań 1921, nakład Zjednoczenia Młodzieży Polskiej. Skład Główny S. A. „Ostoja", Poznań, Pocztowa 15. Cena 2.90 zł.

Książka, która odda wielkie przysługi duszpasterzowi i to zwłaszcza obecnie, kiedy młodzież poborowa wkrótce pójdzie do wojska. Jak ważną bowiem jest rzeczą, by młodzi chłopcy, nieraz bardzo niedoświadczeni, poznali przed pójściem w szeregi wojskowe, jak się w koszarach mają zachowywać, jakie im tam grożą niebezpieczeństwa, jak czas służby wojskowej mają przepędzić, by im przyniósł korzyść duchową! A to zadanie spełni książka Ks. Dr. Milika bardzo dobrze.

W pierwszej części omawia ona najważniejsze ustępy z ustawy o obowiązku służby wojskowej, w drugiej samo życie wojskowe i to w następujących rozdziałach: Pożegnaj się z życiem cywilnem, Pierwsze wrażenia w koszarach, Dzień żołnierza, Uroczyste chwile wojskowego życia, Religijne życie żołnierza, Moralne życie żołnierza, Dbaj o Twe zdrowie, Różności godne pamięci żołnierza, Pożegnanie z wojskiem. W dodatku podano wzory podań o odroczenie służby wojskowej, o przydział do pewnych gatunków broni itp.

Ujęcie jasne i interesujące dla młodych. Duszpasterz powinien postarać się o to, aby żaden chłopak z jego parafji nie poszedł do wojska, nie przeczytawszy omawianej książki, jedynej tego rodzaju w literaturze naszej. Książka ta, z piękną okładką Mackiewicza, będzie stosownym podarkiem dla odchodzących rekrutów. Jeszcze lepiej będzie, jeżeli najważniejsze ustępy przeczyta i omówi się z przyszłymi rekrutami na zebraniu. Wielce pożyteczną rzeczą będzie też wysłanie tej książki chłopakom, którzy już odbywają służbę wojskową.

Felicja Żurowska: Kółko wychowawcze w SMP (cena 50 gr.) przedstawia w zarysie wypróbowaną już metodę pracy nad wyrobieniem przodowników z grona młodzieży.

PRO CHRISTO

WIARA I CZYN

ORGAN MŁODYCH KATOLIKÓW — MIESIĘCZNIK

Wydawca: Stowarzyszenie Społecznego Panowania Najświętszego Serca Jezusa w Rodzinach Chrześcijańskich.

Redakcja i Administracja: Warszawa, ul. Moniuszki 3a.

P. K. O. 10.115 Telefon 763-44

NACZELNY REDAKTOR: STEFAN KACZOROWSKI

przyjmuje interesantów w środy i piątki między 18.30 a 19.

Biuro i telefon czynne w dni powszednie od g. 11 do 12 i od 15.30 do 17

Redakcja rękopisów nie zwraca

Pro Christo.

Sprawa, o której nie wolno zapominać.

W ostatnich latach w społeczeństwie polskiem dał się zauważyć fatalny objaw: ucieczka od spraw i zagadnień życia publicznego, ogólne zniechęcenie i marazm w tej dziedzinie. Przyczyny tego są najrozmaitsze; walnie przyczynił się do tego kryzys gospodarczy, bezrobocie i nędza, jako powód pierwszorzędny należy wymienić również... kryzys moralny, wykwitły na tle współczesnego systemu politycznego... Być może, w rachubę wchodzą jeszcze inne powody.

Dość, że społeczeństwo zobojętniało dla wielu zagadnień pierwszorzędnej wagi, a do ich liczby należy również kwestja żydowska.

Tymczasem problemy życia zbiorowego mają tę właściwość, że od nich nie można uciec, tkwią one bowiem wewnątrz społeczeństwa i tylko planową i mozolną pracą można je rozwiązać. Abstrahowanie zaś od nich jest prostym złudzeniem, takim, jakiemu ulega struś, chowając głowę w piasek...

W łonie narodu polskiego istnieje społeczeństwo obce rasowo, religijnie i kulturalnie — w liczbie nadmiernej, w procencie niespotykanym w żadnym kraju. Jest to społeczeństwo oryginalne, niezdolne do asymilacji, prowadzące specyficzny,

a niebezpieczny dla autochtonów tryb życia, zarówno z punktu widzenia kulturalnego jak i gospodarczego. Naród polski jest organizmem zdrowym, a więc musiał zareagować, siłą faktu między nim, a obcym żywiołem musiały wytworzyć się odcinki starcia, konglomeraty różnych, sprzecznych interesów.

Ograniczymy się na razie do terenu życia kulturalnego. Punktem wyjścia będzie dla nas statystyka, zaczerpnięta z wyższych zakładów naukowych które są przecież wytwórnią młodej inteligencji. Zobaczmy, co mówią nam liczby. Ostatnia statystyka studentów-żydów na naszych wyższych uczelniach jest bardzo pouczająca, podało ją szereg pism polskich, a między innemi „Gazeta Warszawska" i „Polonja", cytując liczby z „Informatora na rok akad. 1932-33".

Według ostatniego spisu ludności, procent żydów w Polsce wynosi 10,5, gdy tymczasem procent żydów na polskich wyższych uczelniach w ubiegłym roku akademickim (1931 32) przedstawiał się następująco:

Uniwersytet warszawski—23,7. Uniwersytet Jagielloński—25,9. Uniwersytet Jana Kazimierza—31,8. Uniwersytet Stefana Batorego—29,7. Uniwersytet poznański—0,6. Politechnika warszawska—10,1. Politechnika lwowska—12,2. Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego—1,3. Akademja Górnicza w Krakowie—0. Akademja Medycyny Weterynaryjnej—5,3. Akademja Sztuk Pięknych w Krakowie—9,5. Akademja Sztuk Pięknych w Warszawie—0. Państwowy Instytut Dentystyczny—19,6.

W roku akad. 1928-29 we wszystkich szkołach akamickich było rzymsko-kat. 67 proc., żydów 19 proc., innych wyznań 14 proc., cz li na 100 rzymsko-kat. przypadało 28,5 proc. żydów. Jeśli chodzi o poszczególne wyższe uczelnie, to stosunek procentowy żydów do rzymsko-katolików przedstawiał się następująco:

W uniwersytecie warszawskim 34,7 proc., w uniwersytecie krakowskim 44, w uniwersytecie lwowskim 70,7, w uniwersytecie wileńskim 50,4, w uniwersytecie poznańskim 0,6, w politechnice warszawskiej 12,7, w politechnice lwowskiej 20,5.

Na uniwersytecie wileńskim, w-g statystyki ogłoszonej przez prof. Karaffę-Korbutta, na 100 studentów wyznania rzymsko-katolickiego przypadało żydów w latach akademickich:

1919-20—18 proc., 1920-21—22, 1921-22—30, 1922-23—26, 1923-24—32, 1924-25—33, 1925-26—36, 1926-27—38, 1927-28—44, 1928-29— 49.

Prof. Karaff-Korbutt pisze:

„Korzystając z tych cyfr, możemy obliczyć, zakładając iż tempo przyrostu pozostanie to samo, że w roku akademickim 1935-36 liczby studentów rzymsko-katolików i izraelitów na uniwersytecie wileńskim zrównają się, w następnym zaś 1936 37 roku akad. izraelici będą już liczebnie przeważali". (str. 586).

Na nieszczęście, nie mamy przed sobą statystyki rok rocznego dopływu żydów—na stanowiska lekarzy, adwokatów, sędziów, profesorów, oficerów itd. Wiemy tylko z doświadczenia życiowego i ze skromnych, od czasu do czasu odzywających się głosów prasy, że ten dopływ z każdym rokiem wzrasta, a w niektórych zawodach, a zwłaszcza w adwokaturze i w zawodzie lekarskim przybiera wprost zastraszające rozmiary. W adwokaturze np, jeśli tempo dopływu żydów się nie zmniejszy, liczba ich przekroczy niedługo znacznie 50 procent.

Jeżeli przetłumaczymy te liczby na język realny, ujmiemy je w odpowiednie równania socjologiczne, to staniemy przed nad wyraz tragicznym zagadnieniem. Oto w społeczeństwie żydowskim w Polsce powstał z tych czy z innych przyczyn niepowstrzymany pęd do tworzenia licznych kadr inteligencji zawodowej. Pęd ten jest wyrazem ekspansji tego społeczeństwa, a przez to i jego konkurencji wobec autochtonów. Żydzi mają już obecnie całkowitą przewagę nad nami w przemyśle i handlu. Kapitał znajduje się w ich rękach. Jeżeli za lat kilkanaście czy kilkadziesiąt olbrzymia większość adwokatów i lekarzy, a znaczny procent sędziów, inżynierów, nauczycieli, urzędników, oficerów itd. — będzie żydami, to jakie z tego powstaną skutki w dziedzinie życia kulturalnego?

Kultura i cywilizacja każdego narodu jest wytworem jego synów i podlega, jak wszystko, ewolucji. Oczywiście, wytwórcami kultury są warstwy oświecone, czyli w obecnym stadjum historycznym t. zw. inteligencja, jako specyficzna warstwa społeczna, wyrosła na tle stosunków nowożytnych.

Inteligencja kieruje życiem wewnętrznem społeczeństwa, ona jest nauczycielką i kierowniczką warstw niższych, ona buduje i burzy, czyli przetwarza. Od jej pojęć religijnych, kulturalnych, społecznych i politycznych zależy przyszłe oblicze nowych pokoleń, wstępujących w szranki życia.

Co się stanie z kulturą i cywilizacją narodu polskiego, jeżeli za lat 50 inteligencja, zamieszkała w Polsce składać się będzie w połowie z ludzi obcych nam rasą, religją, moralnością, cywilizacją i kulturą. Co za dziwny konglomerat sprzecznych pojęć i wpływów stanowić będzie nasza literatura i sztuka, gdy Tuwimy i Rubinsteiny zastąpią ostatecznie Mickiewiczów, Sienkiewiczów, Moniuszków i Paderewskich. Co będzie z naszą etyką i moralnością zbiorową, a szczególnie zawodową, gdy dotychczasowe pojęcia chrześcijańskie, panujące od wieków w naszem społeczeństwie zastąpione zostaną — etyką Talmudu, gdy będziemy świadkami świętokradzkiej próby zrzucenia z ołtarza Chrystusa, aby zrobić miejsce, dla Kajfasza!

Nie łudźmy się bowiem. Żywioł żydowski nie podlega asymilacji, to jest jego zasadniczą cechą. Wyjątki potwierdzają tylko regułę. Jeżeli nie zasymilował się w ciągu 2000 lat, znajdując się w stanie rozproszonym w łonie wszystkich narodów, to na jakiej podstawie możemy przypuszczać, że zasymiluje się obecnie. Przeciwnie, historja ostatnich kilku stuleci wskazuje aż nadto dobitnie, że kultura i cywilizacja żydowska wywarła olbrzymi wpływ na narody europejskie, że młode te narody nie są zdolne strawić kulturalnie starego i zgrzybiałego, a jednak pełnego życia i ekspansji Izraela, lecz same ulegają jego wpływom. Bylibyśmy więc zaślepionymi szowinistami, gdybyśmy przypuszczali, że naród polski lepiej i skuteczniej poradzi sobie z 3½ miljonami żydów, niż naród francuski, niemiecki i angielski — z bardzo małym ich odsetkiem.

Tam, gdzie nie można zasymilować, można odseparować i odrzucić. I to musi być naszym programem na terenie życia kulturalnego. Całkowita separacja narodu polskiego pod względem religijnym, kulturalnym, społecznym, ekonomicznym, politycznym... pod każdym względem od żywiołu żydowskiego. Pokojowe i ewolucyjne wyobcowanie tego żywiołu.—Oto jedy-

ny sposób uratowania naszej kultury przed zagładą, wiary naszych ojców —przed wyziębieniem, etyki naszej—przed spaczeniem, rodziny naszej przed rozbiciem...

Tezę tę trzeba wyraźnie i otwarcie postawić i uzasadnić. Powrócimy jeszcze do niej w następnych numerach.

St. K-ski.

Jeszcze o małżeństwie.

Zdawałoby się, że są kwestje, w których głos już zabierano tylokrotnie, których omówienie padało z ust tak dostojnych, że już nic więcej nie pozostaje do powiedzenia. Ale tak nie jest. Choć zasadnicze normy poglądów czy działania są ustalone, choć jednomyślność w głównych linjach i zarysach sprawy nie ulega kwestji, nie przeniknęła jeszcze spoistość wywodów do wszystkich umysłów ani wyczerpane zostały różne drugorzędnej wagi roztrząsania. Wtedy dopiero zapada pojęcie jakieś w dusze i serca ogółu, gdy wychować się on da największą liczbą jednostek do prawdziwego jego zrozumienia.

W pojęciach o małżeństwie zapanował chaos i chociaż wiele naturalnie jest i złej woli, więcej jednak bez porównania nieświadomości i braku zastanowienia nad skutkami dzisiaj wystawianych postulatów.

Dla prawdziwie wierzącego katolika wystarcza dziś jak i wczoraj nakaz Kościoła i wewnętrzne częściowo lub zupełnie uświadomione przeświadczenie, że Kościół i Jego prawodawca Chrystus dalej i głębiej widzą od nas. Mimo pozornego okrucieństwa w jednostkowem przystosowaniu zasad ogólnych, podstawy prawa kościelnego dla katolickich związków małżeńskich są nienaruszalne, co więcej konieczne i jedynie dobre.

Jak wierzy katolik. Jako te nienaruszalne podstawy uznaje jedyność i nierozerwalność związku i zgodną z prawem natury prokreację.

Katolik, żyjący duchem Kościoła wie także, że dla licznych a ciężkich obowiązków złączonych z istotą małżeństwa potrzeba łaski i pomocy Bożej. Rozumie, że Chrystus dlatego podniósł pożycie małżeńskie do godności Sakramentu, aby poszanowanie wzajemne i miłość uszlachetniały naturalny popęd, dając mu nadprzyrodzoną sankcję i aby wspólne ponoszenie ofiar łagodziło

cierpienia, usuwając niejednokrotnie trudności przez wzajemne ustępstwa. Lecz tych prawdziwych katolików w społeczeństwie jest niewielu. Legjon zato tych, którzy etykietkę katolicyzmu zachowując odstali zupełnie od jego ducha, a najwięcej takich, co wszelkie nakazy Kościoła uważają za przeżytki a znają jedno tylko prawo: „wyżyć się".

Pierwszym obowiązkiem dziś jest oświecanie mas, wśród oświeconych moralnie i religijnie zamach prawny na świętość małżeństwa stanie się niemożliwym. Dzisiejszy „run" na ustalone w chrześcijaństwie prawo małżeńskie nikogo dziwić nie powinien. Przygotowały go podziemne nurtowania i podkopy od kilkudziesięciu lat. Im bardziej rozluźniały się węzły między małżeństwem a religją, tem bezwzględniej słabła odporność małżonków wobec ciężarów i cierpień nieodłącznych od pożycia małżeńskiego. Ze strony duchowej, serdecznego współżycia obojga w szczęściu i niedoli przesuwał się punkt ciężkości coraz bardziej na stronę jedynego zaspokojenia zmysłów. I tak najważniejsza komórka życia społecznego opiera się coraz bardziej na kruchych podstawach ludzkiej namiętności zamiast trwać na opoce błogosławieństwa Bożego i łaski sakramentalnej.

Panoszący się znów zwycięsko indywidualizm przyczynia się do tego stanu rzeczy. Zróżniczkowanie wychowania, kultury, poglądów, dążeń i przyzwyczajeń wpływa na mniejszą zdolność przystosowywania się wzajemnego małżonków a pęd do używania „à tout prix", niczem starożytne „carpe diem" druzgoce wszelkie zapory, miażdży najświętsze obowiązki.

Cały atak koncentruje się na woli do obalenia dwóch pozycyj: nierozerwalności związku małżeńskiego i kwestji ograniczenia potomstwa. O pierwsze wołają nieujarzmione namiętności, drugiego domagają się jakoby względy natury ekonomicznej, szczególniej dojmujące w okresie wszeświatowego kryzysu gospodarczego.

Żądania zrewolucjonizowania norm instytucji małżeństwa są powszechne i powszechność ich właśnie przeraża.

Czem wobec tych przesłanek będzie rodzina w przyszłości? Nie łudźmy się bowiem. Mnóstwo katolików z imienia oburza się na wymagania Kościoła i współpracuje gwałceniem prawa kościelnego z tymi, którzy je chcą obalić. Mądrość wieków nasuwa nam odpowiedź. Rodzina będzie taką, jakiemi będą kobiety.

Papież Pius XI wskazał w encyklice „Casti connubi" kobiecie jej zadania, przypomniał odpowiedzialność, lecz większość dzisiejszych kobiet encyklik nie czyta i przyjęłoby to, co przychodzi z Watykanu z nieufnością i uprzedzeniem... Zanim zrozumienie konieczności wiedzy religijnej zatoczy choć nieco szersze kręgi, zanim ten najwyższy nadprzyrodzony punkt widzenia zwycięży trzeba poruszyć nim sprężyny natury społeczno-moralnej, psychologicznej, nawet życiowo praktycznej byle tylko dźwignąć z wytworzonego odmętu postawę kobiety wobec małżeństwa na wyższe poziomy.

Wykazać można z dziejami ludzkości w ręku, że stanowisko równe mężczyźnie zawdzięcza kobieta chrześcijaństwu. W erze przedchrześcijańskiej była niewiasta sługą i niewolnicą męża, nie równouprawnioną, choć na innej nieco płaszczyźnie działania, towarzyszką i przyjaciółką. Ile razy podnosił się poziom cywilizacyjny jakiegoś ludu czy plemienia, tyle razy poligamia ustępowała miejsca monogamji. Dziś dzieje się odwrotnie. Z wyżyn na jakich postawił kobietę kult Matki Najświętszej i rycerska epopeja średniowiecza strąca się nieopatrznie sama z pomocą i zachętą mężczyzny w zabagnione niże, gdzie staje się igraszką jego kaprysu, namiętności lub interesu. W nią bowiem godzą projekty nowego prawa małżeńskiego, jej fizyczny i moralny dobrostan są w niebezpieczeństwie. Ogołocona z dostojeństwa, macierzyństwa i kapłanki domowego ogniska czemże będzie? Jedna z wielu w haremie, tylko że w haremie sułtan przynajmniej o materjalnym dobrobycie swych kobiet pamięta—a tu po latach nieraz, gdy młodość minęła i siły się stargały czeka poniewierka i nędza. Będą naturalnie i takie kobiety, którym zmiana kodeksu małżeńskiego ułatwi narazie życie wobec legjonu pokrzywdzonych będzie to nikła garstka a i dla nich zaświta dzień porachunku.

Aktualną dziś jest sprawa wychowania dobrych obywateli Państwa. Jednostkowe, przywatne sprawy, zyski, interesa muszą ustąpić na bok i wobec racji stanu, wobec potrzeb wielkiej zbiorowości jaką jest Państwo. Zasadniczo stanowisko słuszne, uznać je trzeba jednak nietylko w odniesieniu do Państwa. I społeczeństwo jest zbiorowością, mającą swoje uzasadnione prawa i wymagania. Małżeństwo jako instytucja społeczna podlega ogólnemu prawu podporządkowania się jednostek dobru ogółu. Przy

stosowaniu każdego prawa spotkać się musimy w jednostkowych wypadkach z bezwzględnością i pozorną niesprawiedliwością. To wzbudza w nas protest i zastrzeżenia co do słuszności obowiązującej normy. A jednak na szali ogólnych praw i zasad wyjątkowe wypadki zaważyć nie mogą, ofiara z jednostki na rzecz społeczeństwa jest starą jak świat. Umierali Horacjusze i Kuracjusze w pojedynkach za wojska swoje, kładli swe młode życie za ideę wolności powstańcy roku 31 i 63, wywalczyli ją legjoniści w okresie wielkiej wojny. Czemu polegli jedni, podczas gdy inni żyją w niepodległej ojczyźnie? Dla zbiorowego wyzwolenia potrzeba było ofiar, i ofiar nie szczędziło społeczeństwo. Dla zbiorowego spokoju w stosunkach obu płci, dla godnego wychowania młodych pokoleń potrzeba też ofiar na ołtarzu pożycia małżeńskiego. Ofiary są. Bezwzględne stosowanie nierozerwalności węzła małżeńskiego pociąga za sobą czasem okrutne sytuacje, bezkrwawe męczarnie jednostek, lecz nieszczęśliwe te wyjątki nie mogą podważać ogólnego prawa tak jak bezmierny ból lub warunki życiowe matki, żony, czy narzeczonej nie mogły osłonić przed śmiercionośną kulą wroga żołnierza w okopie.

Kościół jednak w tych wyjątkowych wypadkach stara się złagodzić beznadziejną sytuację, pozwalając na t. zw. „separację" przy zachowaniu jednakże obustronnej wstrzemięźliwości.

Do tych rozważań dołączyć należy moment o znaczeniu praktycznem, oparty na rozsądku życiowym. Jasnem bowiem jest, że już sama możliwość rozwiązania małżeństwa w sposób legalny wprowadza od pierwszej chwili do stadła niepokój, nieufność i podejrzliwość, konieczność rozdziału majątkowego, dążność do gromadzenia kapitału na własną rękę, aby było za co żyć gdy miecz Damoklesa spadnie na głowę. Jak może wyglądać wychowanie dzieci wobec tej niepewności jutra? A czem będzie pożycie dwóch płci, jeżeli wykluczy ono najważniejszy swój cel: utrzymanie gatunku? Jaką tu znaleść normę, gdzie postawić granice, w których pewne zabiegi byłyby dopuszczalne? Rozpętany egoizm zerwałby rychło te nowe tamy i strach pomyśleć do jakiej doszłoby anarchji. Dlatego też Kościół ze stanowiska swego zasadniczo nigdy nie ustąpi i słowa Chrystusowe: „Co Bóg złączył, tego niech człowiek nie rozłącza" (Mateusz XIX-6) pozostaną najwyższą i jedyną stroną w tej dziedzinie normą. Znamy

zaś także inne orzeczenie Zbawiciela, który powiada: „Niebo i ziemia przeminą, ale słowa moje nie przeminą”.

W chwili obecnej pozostaje najważniejszem zadaniem jednostek i zrzeszeń katolickich oświecanie umysłów, poruszanie serc i modlitwa:

„Domine fac ut videant” i ta druga, która wypłynęła z umęczonych ust Zbawicielowych na krzyżu: „Panie odpuść im, bo nie wiedzą, co czynią”.

Celina Stoińska.

SPOŁECZEŃSTWO I WYCHOWANIE.

Katolicki ruch społeczny, wyrosły na gruncie encykliki Rerum Novarum.

Jedną z bolączek powstałych w ub. stuleciu to „kwestja społeczna”. Wysunęły ją na pierwszy plan warunki gospodarcze, w jakich znajdowała się podówczas Europa. Wyłania się wtedy olbrzymia klasa robotnicza, zależna od potężnych kapitałów, wyzyskiwana przez nie niemiłosiernie. Przeciw temu budzi się reakcja. Z jednej strony idzie ona ze strony Kościoła, który, jak zawsze tak i teraz, występuje w obronie warstw wyzyskiwanych, idzie ona i z obozu przeciwnego, od budzącego się do życia socjalizmu. Kwestję społeczną oba te kierunki chcą rozwiązać, ale w różny sposób. W tych ciężkich czasach zmagania się tych trzech przeciwnych światopoglądów: liberalizmu, socjalizmu i chrześcijańsko-społecznego — wielki papież Leon XIII rzuca w świat zasady katolickiej nauki społecznej, nakreśla jej nowe drogi, wskazuje sposoby rozwiązania kwestji robotniczej. Myśl Leonowa znajduje wszędzie oddźwięk. Ruch chrześcijańsko-społ. zatacza coraz szersze kręgi w Europie.

W Polsce nie przebrzmiał on bez echa. Pomimo trudnych warunków politycznych, w jakich znajdowała się Polska znalazł on grunt podatny.

Położenie, w jakiem się kraj znajdował pod względem gospodarczym wymagało w pierwszym rzędzie zająć się sprawą

robotniczą. Robotnicy bowiem w Polsce zwłaszcza w b. Kongresówce, Galicji i na Śląsku wytworzyli własną klasę społeczną o właściwych sobie cechach. Jej warunki materjalne i moralne wymagały dużej pracy. Szybki rozwój przemysłu fabrycznego potrzebował coraz to więcej ludzi. Szeregi robotnicze powiększały się ustawicznie, ale niestety nie było dla nich odpowiednio zorganizowanego zycia. Nie było szkół, instytucyj społecznych, związków zawodowych, ani żadnych organizacyj, które mogłyby przyjść im z pomocą materjalną i moralną. W takich warunkach rozpoczęła się agitacja socjalistyczna, która w pierwszych latach XX w. opanowała niemal cały ruch robotniczy. Trzeba więc było zająć się warstwami robotniczymi, by je podnieść moralnie i materjalnie i wyrwać ze szpon socjalizmu.

Pierwsze próby zorganizowania ruchu robotniczego powstały w Kongresówce na terenie archidiecezji warszawskiej, gdzie znalazł zwolenników i kierowników wśród duchowieństwa i garstki inteligencji.[1] Praca dla rzesz robotniczych nie mogła się ograniczyć w tych czasach li tylko do działalności duszpasterskiej. Ona już nie wystarczała, zwłaszcza, że brak było kościołów i duchowieństwa. Wielkie dzielnice robotnicze, liczące po kilkadziesiąt tysięcy dusz posiadały zaledwie jeden i to mały kościółek i kilku księży, którzy w żaden sposób nie mogli podołać pracom duszpasterskim. Z drugiej strony znaczna część robotników, będąca pod wpływami socjalizmu zdala trzymała się od kościoła, a nawet wrogo występowała przeciw niemu. Trzeba więc było, jak mówiono wtedy, „wyjść z zakrystji" i iść do ludu, do fabryk i warsztatów. Do pracy tej potrzebni byli ludzie przygotowani—tych jednak było brak. Drugą przeszkodą dla ruchu robotniczego był rząd rosyjski, który z nieufnością patrzał na wszelkie poczynania chrześcijańsko-społeczne, oparte na podłożu narodowem.

Wśród tak ciężkich warunków do pracy nad robotnikami zabrał się ks. dr. Marceli Godlewski, podówczas wikarjusz par. św. Krzyża w Warszawie. Począł on zbierać robotników przy swojej parafji, miewał dla nich pogadanki apologetyczne i społeczne. Z tego powstała półtajna organizacja p. n. „Straż",

[1]) Vide Ks. Prof. dr. A. Woycicki — Chrześ. ruch robotniczy w Polsce — 1921.

która miała na celu zwalczać hasła i teorje niezgodne z duchem chrześcijańskim, zapobiegać i przeciwdziałać strejkom, narzucanym przez obce żywioły przewrotne, przynoszące straty materjalne robotnikom i pracodawcom, popieranie handlu i przemysłu swojskiego, pracę nad podniesieniem poziomu obyczajowego i materjalnego robotników [1]).

Po edykcie tolerancyjnym w r. 1905, organizacja ta została zalegalizowana i zmieniła nazwę na T-wo św. Józefa. W tym samym czasie robotnicy pod wpływem działalności duszpasterskiej, zwłaszcza kazań poczęli odczuwać potrzebę tworzenia własnych stowarzyszeń, opartych na nauce Kościoła. Odtąd rozpoczyna się intensywna praca już nietylko na terenie Warszawy, ale i w innych ośrodkach robotniczych. W Warszawie do tej pracy obok ks. Godlewskiego stanęli: ks. Gąsiorowski, ks. Bliziński, ks. dr. Przeździecki, obecny biskup diecezji podlaskiej, ks. dr. Matulewicz późniejszy biskup wileński i generał Zgromadzenia XX. Marjanów, a ze świeckich: Tadeusz Błażejewicz, Adam Szymański, Ludwik Gdyk; w Łodzi rozpoczął pracę nad robotnikami śp. ks. Albrecht, ks. Rogoziński, Antoni Hawan; w Częstochowie ks. Jakowski, obecny prowincjał XX. Marjanów, który założył tam Kat. Stow. Robotników Polskich; we Włocławku podobne Stowarzyszenia założył ks. Mańkiewicz; w Zagłębiu Dąbrowskiem pracował wśród robotników ks. Augustyniak; w Lublinie rozwinęły się Stow. Robotnicze pod kierunkiem X. Samorka, na Kresach Wsch. pod kier. księży Olszańskiego i Kuleszy.

W związku z rozwojem stowarzyszeń robotniczych ks. Godlewski zmienił nazwę T-wa św. Józefa na Stow. Robotników Chrześcijańskich. Ustawę dla tego Stow. napisał ks dr. Matulewicz. Inne stowarzyszenia w Łodzi, Kat. Stow. Robot. Polskich w Częstochowie i Włocławku przyjęły z drobnemi uzupełnieniami ustawę i nazwę warszawskiego Stowarzyszenia Robotników Chrześcijańskich. Było to dziełem zjazdu delegatów tych stowarzyszeń w Częstochowie. II-gi zjazd w Warszawie w r. 1907 ustalił inne kwestje organizacyjne, określił rolę księży Patronów stowarzyszeń, utworzył Główny Sekretarjat Stow. Robotników Chrz. w Warszawie, którego kierow-

---

[1]) Vide ks. Woycicki—Chrz. ruch robotniczy w Polsce.

nictwo objął p. Ludwik Gdyk. Łącznikiem między stowarzyniami było pismo tygodniowe, wychodzące dotychczas w Warszawie, redagowane wtedy przez ks. Godlewskiego p. n. „Pracownik Polski".

Obok Stow. Rob. Chrz. powstało również w r. 1907 Koło XX. Patronów, na którego czele stanęli ks. prał. Chełmicki i ks. Marjan Fulman, obecny biskup lubelski i kanclerz Uniwersytetu Katolickiego w Lublinie.

Działalość Stow. Rob. Chrz. obejmowała trzy dziedziny: religijno-moralną, oświatową i gospodarczą.

Pierwsza dziedzina pracy S. R. Ch. była niezbędną. Poziom moralny warstw robotniczych nie przedstawiał się zadawalająco. Ciężkie warunki materjalne wyrobiły w nich pewne ujemne skłonności. Ponadto alkoholizm powodował zgubne skutki wśród robotników, który podrywał zdrowie moralne i fizyczne robotników i ich rodzin. Wreszcie praca fabryczna kobiet i dziewcząt była powodem wyzysku, ich załamań już nietylko w dziedzinie materjalnej ale i moralnej. W takim stanie nie można było pozostawić mas robotniczych. Trzeba było rozpocząć gruntowną pracę religijno-moralną. Usunąć tych bolączek życia robotniczego nie można było bez wpływu Kościoła, bez wzmożenia życia wewnętrznego wśród robotników. Toteż do życia S. R. Ch. wprowadzono wspólne praktyki religijne (rekolekcje, spowiedzie i Komunje św.), pogadanki z dziedziny religijno-moralnej z zastosowaniem praktycznem tych zasad do życia robotniczego, lekturę książek treści religijnej i t. p. Praca ta wychowawcza i umoralniająca w S. R. Ch. odbywała się poza kościołem. Polegała ona na zorganizowaniu szeregu instytucyj, jak domy ludowe, teatry robotnicze, chóry, orkiestry, zabawy, wycieczki, sporty i t. p.

Działalność oświatowa była nie mniej potrzebną wśród robotników, niż rel.-moralna. Robotnik znajdował się w zupełnem zaniedbaniu pod względem umysłowym. Analfabetów wśród robotników było 60%. W tej dziedzinie przychodzą robotnikom S. R. Ch., które przez swe instytucje oświatowe podnoszą poziom umysłowy robotników Stowarzyszenia, prowadzą szkoły początkowe dla dziewcząt szkoły gospodarstwa domowego, urządzają odczyty, kursy dla analfabetów, prowadzą wreszcie bibljoteki i czytelnie, propagują prasę perjodyczną

i t. p. Tematy pogadanek i odczytów dotyczą spraw społecznych, historji, literatury, geografji, nauk przyrodniczych, higjeny, spraw organizacyj robotniczych i t. p.

Praca ta oświatowo-kulturalna odbywała się również za pomocą organu Stow. R. Chrz. „Pracownik Polski" na terenie Lublina „Robotnika".

„Nędza jest złym doradcą człowieka" — powiada przysłowie. Zgłodniałym i bez dachu nad głową trudno mówić o sprawiedliwości i miłości, gdyż rzeczywistość zda się zadawać kłam ich istnieniu. S. R. Ch. rozwinęło przeto i działalność gospodarczą, by nieść pomoc nietylko moralną ale i materjalną swym członkom. Przy S. R. Ch. powstają kasy zapomogowe dla chorych członków, kasy zapomogowo-pogrzebowe na wypadek śmierci, wreszcie ruch współdzielczy. W szeregu miastach powstają sklepy stowarzyszeń, prowadzone są przedsiębiorstwa, jak np. spółka szewska, kapelusznicza, fabryka makaronów w Warszawie, dzięki działalności ś. p. ks. Albrechta powstała współdzielnia mieszkaniowa dla robotników; w Lublinie powstają kasy pożyczkowe dla robotników, sklepy, przedsiębiorstwa, tanie kuchnie robotnicze, które wydawały obiady dla robotników po bardzo niskich cenach.

Od r. 1911 ruch chrz. społ. zaczyna na terenie b. Kongresówki upadać wskutek braku sił fachowych, poparcia inteligencji, zestarzenia się metod pracy i ciężkich warunków finansowych. Odradza się dopiero po odzyskaniu wolności i rozwija się wolno, ale ustawicznie.

Nieco odmiennie rozwinął się ruch robotniczy w b. zaborze pruskim. Praca nad robotnikami rozpoczęła się tam już w r. 1890. Bliskim przykładem dla tej pracy były Niemcy, które miały dzielnych szermierzy ruchu robotniczego w osobach biskupa Kettelera, Kolpinga i wielu innych.*) Rok po wydaniu enc. Rerum Novarum ks. arcybiskup Stablewski daje impuls do zakładania stowarzyszeń robotniczych. W Dzienniku kościelnym ogłasza dla nich ustawę oraz mianuje prezesem zasłużonego ks. prał. Stychla, który zakłada pierwsze Kat. T-wa Robotników Polskich. Celem tych Towarzystw było szerzenie religijności, uszlachetnienie obyczajów, oświata ogólna i narodowa, współżycie towarzyskie, pomoc materjalna na wy-

*) Vide X. A. Woroniecki – Historja kat. akcji społecznej.

padek śmierci, choroby lub niedołęstwa, pośrednictwo między pracodawcą a robotnikiem i t. p. Do wykonania powyższych celów T-wo zdąża przez wspólne praktyki religijne, zebrania, odczyty, kasy zapomogowe, pogrzebowe, bibljoteki, czytelnie, biura pośrednictwa pracy i t. p.

Kat. T-wa Robotników Polskich różniły się od S. R. Ch. w Królestwie ogólno-ludowym charakterem. Do Towarzystw prócz robotników należeli gospodarze, chałupnicy, rzemieślnicy samodzielni oraz inteligencja w charakterze członków honorowych. Praca Towarzystw rozwijała się ustawicznie przy poparciu księży biskupów i przygotowanego do tej pracy duchowieństwa. Dla poszczególnych Towarzystw utworzona została centrala diecezjalna w Poznaniu. Sekretarzami Generalnymi do spraw robotniczych byli znani działacze: ś. p. ks. Meyer, ks. St. Adamski, ś. p. ks. Lisiecki, późniejsi biskupi śląscy, ks. Kozłowski itp. Towarzystwa Robotnicze posiadały swój organ „Robotnik", który do dziś dnia wychodzi w Poznaniu. Dla urabiania myśli naukowej chrześcijańsko-społecz. założono specjalny organ „Ruch chrz.-społeczny" redagowany przez ks. prof. Zimmermanna.

T-wa te pod opieką godnych następców na stolicy prymasowskiej ks. arcybiskupa Stablewskiego, księży kardynałów Dalbora i Hlonda rozwinęły się w archidiecezjach poznańskiej i gnieźnieńskiej i do dziś dnia wykazują dużo żywotności. Na terenie tych dwóch archidiecezyj są one organizacjami Akcji Katolickiej.

Obok Towarzystw robotniczych powstały jednocześnie i organizacje dla robotnic. W r. 1899 p. Aniela Karłowska założyła w Poznaniu Stow. pracownic fabrycznych p. w. M. B. N. P., stow. czysto religijne, które miało na celu szerzenie moralności i religijności wśród robotnic. Ks. Arcybiskup Stablewski rozszerzył zakres działalności tego stowarzyszenia i zatwierdził jego ustawę. Ruch ten wzrastał b. prędko. Trzeba było pomyśleć o centralizacji. Powstał więc Związek Katolickich Towarzystw Kobiet pracujących, który w ciągu swego 25-letniego istnienia rozwinął b. dużą i owocną działalność.

W Małopolsce ruch chrześcijańsko-społ. nie miał tak jednolitej formy jak w Poznańskiem i Kongresówce. Po r. 1890 księża Badeni i Łabaj na gruncie krakowskim organizowali

robotników dla podniesienia moralnego i materjalnego ich bytu. Powstawały wtedy stowarzyszenia robotnicze kult.-ośw. p. n. „Praca, Gwiazda, Siła" itp. Istniały one i rozwijały się tak długo, jak długo żyli ich założyciele. Po ich śmierci Stow. te zatraciły swój pierwotny charakter i stały się klubami robotniczemi.*) W Krakowie powstał również z inicjatywy i pod kierunkiem ks. Kuznowicza T. J. „Polski Związek Katolickich Uczniów Rękodzielniczych" o charakterze kult. ośw. wychowawczym. Rozwinął on się nietylko w samym Krakowie, ale i w innych miastach Małopolski. We Lwowie powstało podobne stowarzyszenie p. n. Stow. opieki nad terminatorami p.w. św. Stanisława Kostki, które wydawało nawet własne pismo „Terminator Polski". W diecezji przemyskiej ruch robotniczy rozwijał się przy Związku Kat. Społecznym Diecezji Przemyskiej i przy „Bractwie Korony Polskiej". W Małopolsce na szerszą skulę rozwinął przy poparciu Księcia metropolity Sapiedy ks. kan. Kasprzyk oraz działacze świeccy, jak Jan Puchałka, Karol Holeksa i inni. Przygotowawszy sobie przez kursy społeczne grono inteligencji, zabrali się do pracy nad robotnikami. Zajęli się pracą kult.-oświatową i zawodową robotników, robotnic i młodzieży. Dla prowadzenia pracy kult. ośw. wśród robotników wyznaczono sekretarza „oświatowego" przy Sekretarjacie Kat. Stow. Robotników. W r. 1915 powstał dla kobiet i młodzieży żeńskiej „Związek Diecezjalny Kat. Stowarzyszeń kobiet i dziewcząt pracujących". Posiadał on własne pismo „Kobieta Polska". Młodzież posiadała również swoje organizacje, które w r. 1916 utworzyły własny Sekretarjat w Krakowie, wydawały swój organ „Młodzież Polską". Ten ruch młodzieży, który wyrósł na gruncie diecezji krakowskiej, rozrósł się na inne diecezje Małopolski i Śląsk Cieszyński, gdzie organizowaniem młodzieży zajął się obecny Dyrektor Zjednoczenia Młodzieżv Polskiej ks. prał. L. Biłko.

Mówiąc o poczynaniach chrz. społ. w Polsce nie można pominąć chrześcijańskiego ruchu zawodowego.

W b. Kongresówce w miarę rozwoju Stow. Rob. Chrz. odczuwano potrzebę organizowania związków zawodowych, które, grupując robotników jednego zawodu, mogłyby skutecz-

*) Vide ks. Woycicki—Chrześcijański ruch robotniczy w Polsce.

niej bronić ich praw i interesów. Niestety, na tworzenie samodzielnych związków zawodowych nie pozwalało ustawodawstwo rosyjskie.

Stow. Rob. Chrz. rozwinęło w swem życiu wewnętrznem pewną działalność zawodową. W Warszawie w łonie Stowarzyszenia powstaje spółka szewska, dalej oddział murarzy, kapeluszników, koło kwiaciarek itp. Obok S. R. Chrz. powstają organizacje „par excellence" zawodowe jak „Chrześcijański Związek Rękodzielniczek „Dźwignia" do dziś dnia dobrze się rozwijające, Stow. Kat. Służących, które rozwinęło się dzięki pracom ks. kan. Gąsiorowskiego, p. Heleny Zaborowskiej i innych, jeden z najbogatszych dziś związków zawodowych, Stow. Chrz. oficjalistów handlowych i przemysłowych, Związek terminatorów p. w. św. Stanisława Kostki itp. Po odzyskaniu bytu niepodległego powstają chrześcijańskie związki zawodowe, do których weszli członkowie S. R. Chrz. według swoich specjalności.

W Wielkopolsce i na Śląsku rozwój związków zawodowych nie napotykał na większe trudności. Rozwijały się one poza ramami organizacyj katolickich, ale na podłożu chrześcijańskiem i narodowem. W Bytomiu powstał w r. 1889 Związek Wzajemnej Pomocy, który zorganizował górników kopalń śląskich na podstawie chrześcijańskiej bez różnicy narodowościowej. W Bochni powstało Zjednoczenie Zawodowe Polskie, w Wielkopolsce Polski Związek Zawodowy z siedzibą w Poznaniu. Wszystkie te związki w r. 1908 połączyły się w jedną centralę organizacyjną p. n. Zjednoczenie Zawodowe Polskie z siedzibą w Bochum, przyjęły wspólną ustawę i wydawały pismo „Siła". *)

Pomyślnie rozwinęły się związki zawodowe w Małopolsce. Tam obok kult.-oświatowych stowarzyszeń robotniczych organizowano związki zawodowe. W r. 1907 powstał Polski Związek Zawodowy Robotników Chrześcijańskich. Związek ten obejmował robotników chrześcijan Galicji i Śląska Cieszyńskiego. W r. 1909 począł wydawać Związek własne pismo „Myśl Robotnicza". Ks. Kard. Puzyna wyznaczył do tej pracy osobnego kapłana ks. Mytkowicza. Po ustąpieniu ks. Mytkowicza, który

*) Vid. Ks. Woycicki—wyd. art.

wyjechał na studja społeczne, pracą tą zajął się ks. kan. Kasprzyk. Związek przybrał wówczas nazwę Polskiego Zjednoczenia Zawodowego. Wielką zasługą Polskiego Zjednoczenia Zawodowego w Małopolsce było dążenie do scentralizowania chrz. ruchu zawodowego w Polsce. Sam ks. Kasprzyk nawiązywał stosunki z przywódcami ruchu zawodowego w Kongresówce. W r. 1919 odbył się nawet zjazd delegatów P. Zjednoczenia Zawodowego w Krakowie i St. Rob. Chrz. Na zjeździe tym zgodzono się, że S. R. Chrz. w Królestwie przyjmie ustawę Zjednoczenia krakowskiego i w porozumieniu z nim będzie zakładać związki zawodowe na swym terenie. Prezesem Zjednoczenia Zaw. Chrześcijańskiego wybrano p. Ludwika Gdyka z Warszawy.

W miarę rozwoju związków zawodowych sprawa scentralizowania ich w całej Polsce wysuwała się na pierwszy plan. W ciągu ostatnich lat nastąpiła centralizacja związków zawodowych chrz. całej Rzeczypospolitej. Powstało Chrześcijańskie Zjednoczenie zawodowe z siedzibą w Warszawie. Na czele zarządu głównego stoi obecnie b. poseł Franciszek Urbański. Ma ono na celu skupianie wszystkich na obszarze Rzeczypospolitej istniejących chrz. związków zawodowych i dopomaganie im do spełnienia ich statutowych zadań. Cel swój osiąga Zjednoczenie przez wydawanie pism, broszur, urządzanie kursów, udział w instytucjach mających na celu obronę i zabezpieczenie pracownika, opracowywanie projektów do prawodawstwa socjalnego, zakładanie sekretarjatów dla poszczególnych chrz. związków zawodowych. Zjednoczenie posiada obecnie zorganizowanych 26 zawodów w różnych częściach Polski. Liczy ono przeszło 100.000 członków.

Nie skończyły się na tem poczynania chrz.-społ. w Polsce. Dla warstw robotniczych potrzeba było przywódców. Pomyślano i o tem. W Wielkopolsce w Seminarjach Duchownych wprowadzono do programu studjów i nauki społeczne, w Krakowie ks. Kasprzyk dla zapoznania inteligencji z chrz. ruchem społ. urządza specjalny kurs, na który ściąga jako wykładowców wybitnych znawców dziedzin społecznych. W Warszawie po temu służyło Biuro Pracy Społecznej, na którego czele stanęli księża Matulewicz i Przeździecki. Biuro to przez odczyty, bibljoteki zaznajamiało inteligencję z ideologją ruchu. W r. 1907

odbywają się kursa społeczne [1]), których zadaniem było uprzytomić uczestnikom zasadnicze warunki pracy społecznej zgodnie z zaleceniami Ojca św. Wykładowcami byli księża: Wawrzyniak, Adamski, Zimmermann z Poznania, profesorowie: Klecki i Czerkawski z Krakowa, pp. Jaroszyński, Suligowski, Potocki, Godlewski Stefan oraz księża Godlewski i Matulewicz. Kursa te wzbudziły duże zainteresowanie wśród sfer katolickich Warszawy. Liczba uczestników wynosiła 716.

Doktryna chrześcijańsko - społ., zaczynała budzić w tym czasie duże zainteresowanie wśród uczącej się młodzieży. Pod wpływem śp. hr. Cecylji Plater-Zyberkówny powstają organizacje młodzieży szkolnej jako t. zw. „kółka etyczne, rodzinne", na zebraniach których dyskutowano nad sprawami społecznemi, zapoznawano się z całokształtem katolickiej myśli społecznej. Formę prawną i pobudkę do tej pracy dawało założone przez Hr. Plater-Zyberkównę Kat. T-wo Przyjaciół uczącej się młodzieży męskiej. Jego to było zasługą, że cały szereg osób wykazujących zainteresowania i chęć do pracy społecznej otrzymywało stypendja i wyjeżdżało na studja społeczne zagranicę. Z tych kół wyszło cały szereg osób, które w budzącym się ruchu chrz.-społ. — odegrali doniosłą rolę. Wspomnę tu tylko o p. Tadeuszu Błażejewiczu, dyr. B. Załuskim, Józefie Chacińskim, A. Lachu-Szymańskim i t. p. [2])

W r. 1909 powstaje miesięcznik „Prąd", około którego skupia się młodzież. Miesięcznik ten staje się awangardą ruchu chrz.-społecznego. Poruszano na jego łamach najaktualniejsze zagadnienia, szerzono myśli Papieża-Robotnika. Oprócz tego wielu prądowców brało czynny udział w organizacjach robotniczych.

Po wojnie światowej z ruchu prądowego wyłania się młody ruch odrodzeniowy, na którego czele staje p. Władysław Lewandowicz, podówczas dyr. gimn., Antoni Chaciński i kilku młodych studentów. Rozbudowują oni ideowo i organizacyjnie ruch prądowy, tworzą organizację akademicką „Odrodzenie", która za cel swój stawia odrodzenie życia polskiego na zasadach doktryny katolickiej. Dla młodego ruchu odrodzeniowego

---

[1]) Vide -Kursa społeczne, Warszawa 1907.

[2]) Vide -B Załuski Cecylja Rlater-Zyberkówna Życie i dział wychowawczo-społ. W-wa 1930.

kwestja robotnicza i nauki Leona XIII nie były czemś obojętnem. Encyklika Rerum Novarum staje się punktem wyjścia dla jego pracy i ideologji. Już w pierwszej deklaracji ideowej uchwalonej w pierwszych latach istnienia „Odrodzenia" uderzono w silny ton społeczny. Jesteśmy katolikami społecznymi! Chrześcijaninem jestem i nic mi nie obce!—oto charakter ruchu.

„Pierwszym obowiązkiem naszym — krzewić sprawiedliwość. Stać się ona musi podstawą życia publicznego i prywatnego. Przejęci nią potrafimy uporać się z sentymentalizmem etycznym i skutecznie walczyć z egoizmem.

Stoimy na gruncie naturalnych i koniecznych potrzeb i praw życia społecznego.

a) Nie jednostka, lecz rodzina stanowi jego podstawę. Rodzina w sobie nierozerwalna jako komórka społeczna, musi znaleźć należyte uwzględnienie w ustroju prawnym, gospodarczym i kulturalnym Polski. Od zdrowia rodziny zależy zdrowie Narodu.

b) Prawo własności — to druga podstawa normalnego rozwoju socjalnego. Liberalizm, wyzuty z zasad chrześcijańskich, zniekształcił i sponiewierał je zupełnie. Tu ma swe źródło obecna kwestja społeczna. Postulat sprawiedliwości i miłości chrześcijańskiej wymaga nieustępliwej, a nieraz bardzo ostrej walki z wyzyskiem kapitalizmu, wszelako nie przez szerzenie klasowej nienawiści, lecz drogą reform — gdzie zajdzie potrzeba, radykalnych i nieubłaganych, — przywracając Pracy należne jej miejsce w życiu społecznem.

c) Nie potrafimy jednak wzmocnić roli pracy bez zorganizowania zawodów. Społeczeństwo bowiem to nie zbiór jednostek, lecz organizm—oto trzecia podstawa życia społecznego. Rozbudzić musimy w młodem pokoleniu potrzebę przekształcania życia naszego w formy o ganizacyjne, czyniące zadość wymaganiom słusznego i ciągłego rozwoju socjalnego, domagać się dla związków i stowarzyszeń praw i swobody działania, a od nich możliwej samowystarczalności i inicjatywy. Państwo zaś rozciąga kontrolę, a gdzie inicjatywa jednostek czy grup nie sięga, podejmuje ją i żąda posłuchu.

d) Bez przygotowania inteligencji rozwiązać kwestji społecznej nie podobna. Chcemy wychować kadry młodej inteligencji polskiej o żywem i głębokiem poczuciu społecznem, uprawiającej akcję społeczną z zapałem, z wiarą w zwycięstwo chrześcijańskiej koncepcji życia, zbrojnej w potęgę czynu moralnego i gruntowną wiedzę społeczno-ekonomiczną.

„Dziećmi jednego Ojca jesteśmy!" Na fakcie tym opi ramy nasz demokratyzm. Każdy Polak musi mieć prawo i możność wznoszenia się mocą swych wartości moralnych i umysłowych, oraz zasługi osobistej do pierwszych stanowisk w Rzeczypospolitej, biorąc należną sobie część odpowiedzialności wobec Jej przyszłości. Chcemy, aby w Polsce ani wśród rządzących, ani wśród rządzonych nie było „demosu" duchowego i moralnego, chce-

my, aby wszystkie klasy społeczne dźwigały się w uczciwem współzawodnictwie na szczyty duchowe i moralne". [1])

Oto zasady, zaczerpnięte z encykliki Rerum Novarum i kat. nauki społecznej.

Nowa deklaracja ideowa uchwalona na II-gim Kongresie „Odrodzenia" w Warszawie w r. 1929 jeszcze bardziej rozbudowywuje deklarację pod względem katolickiej doktryny społecznej":

„Stoimy na gruncie naturalnych i koniecznych potrzeb i praw życia społecznego.

a) Rodzina a nie jednostka stanowi jego podstawę. Rodzina, oparta na sakramentalnym związku małżeńskim, z istoty swej nierozerwalnym, musi stać się kamieniem węgielnym ustroju prawnego i gospodarczego i odegrać należną sobie rolę w rozwoju kulturalnym Polski. Od zdrowia rodziny zależy zdrowie Narodu i Państwa.

b) Prawo własności prywatnej, lecz nie jej różnorodne formy, — to druga podstawa normalnego rozwoju socjalnego. Prawo to daje właścicielom nietylko uprawnienia, ale zarazem naklada na nich obowiązki, w szczególności takiego zorganizowania, z pomocą państwa, warsztatów pracy, aby każdy z łatwością mógł znaleźć zatrudnienie, dające mu i jego rodzinie należyte utrzymanie. Liberalizm, wyzuty z zasad chrześcijańskich, zwalniając własność od tych obowiązków, zniekształcił ją i sponiewierał. Tu jest jedno ze źródeł obecnej kwestji społecznej. Zasada sprawiedliwości i miłości chrześcijańskiej wymaga nieustępliwej, a nieraz bardzo ostrej walki z wyzyskiem i wadliwością kapitalizmu, wszelako nie przez szerzenie klasowej nienawiści i przewrotu, jak to czyni socjalizm i bolszewizm, lecz drogą rozumnych reform, gdzie zajdzie potrzeba, radykalnych i nieubłaganych.

c) Praca, jako przejaw aktywności natury ludzkiej, podnosi człowieka do godności współuczestnictwa w nieustającym akcie twórczym Boga. To też i praca gospodarcza ma być ustawicznem, radosnem przetwarzaniem materji ku chwale i w służbie Boga. Praca to nietylko czynnik gospodarczy, ale przedewszystkiem wartość moralna, i dlatego jej prawa powinny mieć przewagę nad prawami kapitału.

d) Nie potrafimy jednak wzmocnić roli pracy bez zorganizowania zawodów. Społeczeństwo bowiem to nie zbiór jednostek, lecz organizm — oto dalsza podstawa życia społecznego. Rozbudzić musimy w młodem pokoleniu potrzebę przekształcania życia naszego w formy organizacyjne, czyniące zadość wymaganiom słusznego i ciągłego rozwoju socjalnego, domagać się dla związków i stowarzyszeń praw i swobody działania, od nich zaś w ramach dobra powszechnego możliwej samowystarczalności i inicjatywy. Państwo rozciąga kontrolę, a gdzie inicjatywa jednostek czy grup nie sięga, podejmuje ją i żąda posłuchu, samo zaś spełnia własne swe zadania w zakresie dobra powszechnego.

---

[1]) Deklaracja ideowa Odrodzenia, maj 1923.

e) Jesteśmy katolikami społecznymi. Bez odpowiedniego przygotowania inteligencji rozwiązać kwestji społecznej niepodobna. Chcemy wychować kadry młodej inteligencji polskiej, mającej żywe i głębokie poczucie społeczne, uprawiającej akcję społeczną z zapałem, z wiarą w zwycięstwo chrześcijańskiej koncepcji życia. Z naciskiem jednak podkreślamy, że samo przygotowanie inteligencji nie wystarczy bez jednoczesnego zorganizowania szerokich mas i wychowania ich w społecznej nauce katolickiej.

„Dziećmi jednego ojca jesteśmy". — Stąd płyną nasze przekonania o wolności i równości społecznej. Granice wolności, która jest prawem przyrodzonem człowieka, normowane są dobrem powszechnem. Każdy polak musi mieć prawo i możność wznoszenia się, mocą swych wartości moralnych i umysłowych oraz zasługi osobistej na coraz wyższe szczeble hierarchji społecznej, biorąc zarazem na siebie właściwą część odpowiedzialności za przyszłość Rzeczypospolitej. Chcemy, aby w Polsce ani wśród rządzących, ani wśród rządzonych nie było „demosu" duchowego i moralnego, chcemy, aby wszystkie klasy społeczne dźwigały się w uczciwem współzawodnictwie na szczyty duchowe i moralne

Za teorją szła i praktyka. Odrodzeniowcy obeznani z katol. nauką społeczną szli do pracy społecznej. Wszędzie było ich pełno — wśród robotników, młodzieży pracującej i szkolnej.

Z inicjatywy kilku odrodzeniowców i przy ich poparciu powstają w r. 1926 organizacja młodzieży robotniczej pod nazwą Chrześcijański Związek Młodzieży Pracującej „Odrodzenie", który ma na celu odrodzenie moralne młodzieży polskiej, wykształcenie i wychowanie jej w duchu zasad Chrystusowych i społecznych wskazań Kościoła, braterski związek młodzieży pracującej umysłowo z młodzieżą pracującą fizycznie i t. d. W kołach Chrz. Zw. Młodz. Prac. prowadzili odrodzeniowcy i odrodzenianki pracę kulturalno-oświatową, budząc w duszach młodzieży robotniczej przywiązanie do Kościoła i myśl katolicką społeczną. Związek ten, odpowiadając istotnym potrzebom młodzieży pracującej, rozwinął swą działalność na terenie Warszawy, Łodzi, Włocławka, Zawiercia, Radomia, Sosnowca, Radomska, Kalisza, Wierzbnika, Dąbrowy, Krakowa, Lublina, Górnego Śląska i wielu innych ośrodków robotniczych.[1]) Obecnie organizacja ta liczy do 70 kół.

Myśl chrześcijańsko-społeczna znalazła swój wyraz w organizacji „Chrześcijański Uniwersytet Robotniczy", powstałej również przy współpracy odrodzeniowców.

---

[1]) vide—St. Kaczorowski—Czem jest Chrz. Związek młodzieży pracującej Odrodzenie i do czego dąży—W-wa 1929.

„Podnietą do wytworzenia tej instytucji było zaobserwowane przez nich zjawisko, iż masy ludowe polskie materjalizują się i oddalają od religji i Kościoła pod wpływem zorganizowanej systematycznie działalności radykalnych ugrupowań i organizacyj. Przeciwstawić się temu może tylko również zorganizowana i systematyczna działalność uświadamiająca w duchu katolickim, przez którą inteligencja polska o poglądach katolickich zacznie współpracować i stykać się z szerokimi masami na terenie kulturalno oświatowym.

Według programu chrześcijańsko społecznego istnieją dwa wzajemnie uzupełniające się środki pracy społecznej: a) akcja gospodarcza i zawodowa w celu polepszenia bytu materjalnego, b) uzupełniająca się z nią wzajemnie akcja kulturalno-oświatowa w celu dania strawy duchowej i uświadomienia. Instrumentem tego drugiego powinien się stać Chrześcijański Uniwersytet robotniczy.

W ciągu przeszło 4-letniej swej działalności rozwijał się on powoli wskutek braku funduszów oraz faktu, że bardzo mała tylko cząstka inteligencji katolickiej poczuwa się do wyżej wymienionych obowiązków społecznych. Jednakże i ta mała garstka ludzi, która pracuje w rozmaitych miastach Rzeczypospolitej zdołała wytworzyć dotychczas osiemnaście placówek Ch. U. R-u i niektóre z nich nawet poważnie rozwinąć. Dalszy rozwój zależeć będzie od naszej energji i przedsiębiorczości.

Pierwszy zjazd delegatów Ch. U. R-u, który odbył się w Warszawie w dn. 7 września 1930 r. był jeszcze jednym krokiem naprzód w rozwoju tej instytucji. Ustalił on program działalności na rok następny i dokonał wyboru władz centralnych, których zadaniem jest czuwać nad całością organizacji.

II Zjazd Delegatów miał miejsce w Warszawie w dn. 13.VII.1932 r.

Idea Ch. U. R-u była tak popularną, że pomimo braku większych funduszów dzięki pracom i wysiłkom działaczy miejscowych powstały wkrótce Chrześcijańskie Uniwersytety Robotnicze, oprócz Warszawy: w Wilnie, Łodzi, Pruszkowie, Włocławku, Łomży, Grodnie, Bielsku, Częstochowie, Lublinie, Grudziądzu, Radomiu, Zduńskiej Woli i Otwocku, a niektóre z nich j. np. w Wilnie doszły do poważnego rozwoju. W trak-

cie organizacji znajdują się placówki Uniwersytetu Robotniczego w Katowicach, we Lwowie i Sosnowcu". [1])

Obraz katolickich poczynań społecznych nie byłby pełny, gdyby nie uwzględnić praktycznych konsekwencyj jego założeń w życiu publicznem. Pod wpływem katolickiej myśli społecznej i na jej podstawie wyrosło w Polsce stronnictwo polityczne Chrześcijańskiej Demokracji.

Na terenie Kongresówki powstało ono w latach 1916—1917 pod nazwą Chrześcijańsko-Narodowego Stronnictwa Pracy, z którym to w r. 1919 (7, 8 września) połączyło się Chrześcijańsko Narodowe Stronnictwo Robotnicze powołane do życia w Małopolsce przez ks. kan. L. Kasprzyka, p. Puchałkę i innych.

Od r. 1925 — przybrało nazwę: Polskiego Stronnictwa Chrześcijanskiej Demokracji.

Cały swój program ideowy, zwłaszcza w dziedzinie społecznej oparło stronnictwo na katolickiej doktrynie społecznej i encyklice Rerum Novarum. Programy z lat 1925 i 1931 są tego dowodem.

Stronnictwo Chrześcijańskiej Demokracji, mając w swem łonie wybitnych działaczy, jak St. Nowodworski, T. Błażejewicz, ks. St. Adamski, St. Janczewski, J. Chaciński, Wojciech Korfanty, ks. Z. Kaczyński i tp. — wywarło duży wpływ na przeprowadzenie całego szeregu postulatów katolickich w życiu polskiem (konkordat, walka o szkołę wyznaniową, ustawodawstwo małżeńskie i tp.[2]) — ponadto dużą rolę odegrało w polskiem ustawodawstwie pracy (ustawa o urlopach pracowników, o umowach zbiorowych i tp.), nie mogło jednak w całości przeprowadzić swoich postulatów społecznych z powodu braku poparcia ze strony innych ugrupowań, zbliżonych do zasad katolickich, które w polityce gospodarczej i społecznej hołdowały raczej zasadom liberalnym.

Prócz poczynań organizacyjnych, w związku z enc. Rerum Novarum rozwinęła się w Polsce literatura naukowa i popularna. XX. Biskupi nie szczędzili swych listów pasterskich,

---

[1]) vide — St. Kaczorowski — Chrześcijański Uniwersytet Robotniczy (Ch. U. R.) i Chrześcijański Związek Młodzieży Pracującej— W-wa 1931.

[2]) w tych sprawach vide. Konkordat — wydanie Bibljoteki Religijnej we Lwowie X. St. Adamski—Szkoła wyznaniowa czy mieszana.

by rozpowszechniać zasady nauki kat.-społecznej, nie szczędzili również i zachęty do prac organizacyjnych. Wystarczy tu wspomnieć o listach pasterskich ks. arcybiskupa Stablewskiego, ks. biskupów Redera, Okoniewskiego, Wnukowskiego, ks. kard. Kakowskiego, arcyb. Nowowiejskiego, ks. biskupa Fulmana, orędzia i konferencje księży biskupów Przeździeckiego, Kubiny, Lisieckiego, Łukomskiego, ks. kard. Hlonda, jako adm. diec. śląskiej i wielu innych, aby przekonać się, jak wielką wagę przywiązywali i przywiązują książęta Kościoła w Polsce do kwestji z zagadnień społecznych.[1])

Pracę naukową w Polsce w tej dziedzinie rozpoczął ś. p. Edward Jaroszyński, autor 3-tomowego dzieła p. t. „Katolicyzm socjalny", prowadzili ją prof. Czerkawski, ks. dr. Pawlicki, Romanowski, ks. prof. Wóycicki, wybitny teoretyk ruchu chrz. społ. w Polsce w tym czasie. Przyswojono literaturze polskiej społ. cały szereg dzieł autorów obcych jak Kurs ekon. społ. Antoine'a, kwestja społeczna Biederlacka, socjalizm Cathreina, kwestja robotnicza Hitzego, dzieła Förstera i wiele innych.

Z pośród współczesnych reprezentantów kat. myśli społecznej świata naukowego podkreślić należy prace prof. Kat. Uniwersytetu w Lublinie ks. dr. Szymańskiego, który w swych licznych dziełach dał syntezę katolickiej doktryny społecznej i przez czas swej przeszło ćwierćwiekowej działalności naukowej wychował szeregi katolickich działaczy społecznych.[2])

---

[1]) vide — prof. L. Górski — Kościół polski w sprawie społecznej — Prąd — maj 1931 r.

[2]) Prace ks. prof. Szymańskiego:

Zagadnienia Społeczne — Lublin 1929.
Polityka Społeczna — Lublin 1925.
Mussolini i korporacyjna przebudowa Włoch — Lublin 1927.
Akcja Katolicka a działalność gospodarczo społeczna — Poznań.
Bolszewizm — Poznań 1921.
Zakon Przyrodzony — Lwów 1931.
Społeczne znaczenie rozwodów — Lublin 1931.
Ograniczenie urodzin i karalność przerywania ciąży — Lublin 1930.
Stanowisko pracy w konstytucji polskiej — Lublin 1920.
Religja a polityka — Włocławek 1927.
Stanowisko religji w szkole — Poznań 1921.
Studja i szkice społeczne — Warszawa 1914.
Wpływy rewolucji bolszewickiej — Warszawa 1926.

W obecnych czasach zainteresowanie się kwestją społeczną z punktu widzenia katolickiego wśród społeczeństwa polskiego wzrasta. Literatura ostatnich czasów powiększyła się o szereg dzieł tej dziedziny, m. i prace ks. bp. Kubiny,[2]) ks. dr. Mirka,[3]) ks. dr. Machaya,[4]) ks. prof. Wóycickiego,[5]) Białowąsa[6]), Roszkowskiego,[7]) prof. Czumy,[8]) Ludwika Górskiego,[9]) Caro,[10]) ks. Piwowarczyka[11]) i t. p.

Poglądy Demokracji Chrześcijańskiej we Francji — Poznań 1910.

Uświadomienie Katolickie — Warszawa 1913.

Wszelka moralność jest moralna — Warszawa 1912.

Artykuły w pracach zbiorowych:

Przewodnik po literaturze religijnej.

Małżeństwo w świetle nauki katolickiej — Lublin.

Rozbiór krytyczny projektu prawa małżeńskiego — Lublin 1932.

Kurs Instrukcyjny Akcji Kat. w Warszawie — 1927.

Ojciec św. Pius XI i jego pontyfikat — Lublin 1929.

Tygodnie Społeczne „Odrodzenia" — (VI, VII, VIII) — Lublin.

Ponadto przyswoił literaturze polskiej dzieła:

Biskupa Le Roy — Religja ludów pierwotnych — Warszawa 1912.

G. Kurtha — Kościół w okresach przełomowych historji — Warszawa 1913.

Oraz liczne artykuły w Prądzie, Ateneum Kapłańskiem, pismach ekonomicznych i t. p.

[2]) Akcja kat. a akcja społeczna — Poznań.

[3]) Idea odpowiedzialności w życiu społecznem — Katowice 1926.

[4]) Rozwiązanie sprawy społecznej w ramach Akcji Katolickiej—Poznań.

[5]) cyt. Chrześcijański ruch robotniczy w Polsce — 1921.

Robotnik polski w życiu rodzinnem — Warszawa 1920.

Socjalizm i religja — Poznań 1921.

Socjologja ogólna — Lublin 1920.

Dzieje robotników przemysłowych w Polsce — Warszawa 1929.

[6]) Sprawa Robotnicza—Miejsce Piastowe 1930.

Czas pracy w Polsce ze stanowiska prawa, ekonomji i etyki — Miejsce Piastowe 1931.

[7]) Katolicyzm społeczny — Warszawa 1932.

Korporacjonizm Katolicki — Poznań 1932.

[8]) vide artykuły w Prądzie.

[9]) tłum. Kodeksu Społecznego — Lublin 1928.

[10]) VI—Tydzień Społeczny S. M. A. „Odrodzenie" — Lublin 1928.

Praca, własność i bogactwo w nauce chrześcijańskiej.

Droga do odrodzenia społeczeństwa.

[11]) Wyd. encykliki Rerum Novarum — Kraków 1931.

Kryzys współczesny gospodarczy w świetle nauki katolickiej — Kraków 1932.

Inteligencja a ruch chrz.-społeczny.

Myśl katolickiej nauki społecznej rozpowszechnia wśród inteligencji polskiej „Prąd”, redagowany przez ks. prał. Szymańskiego, Przewodnik Społeczny, Przegląd Katolicki, „Pro Christo” i t. p.

Oto krótki rys tych skromnych jeszcze poczynań, jakie w związku z encykliką Rerum Novarum powstały w Polsce. Nie są one imponujące, ale świadczą, że grunt polski jest podatny na prace kat. społeczne, zwłaszcza na terenach robotniczych, potrzeba tylko gorących serc i światłych umysłów, aby doprowadzić je do rozkwitu.

Władysław Deptuła.

W sprawie współczesnego szkolnictwa

Sprawy oświatowe należą do najdonioślejszych zagadnień w życiu danego narodu. W czasach niewoli rzucano hasło: przez oświatę do wolności. Wypowiedziano nieubłaganą walkę ciemnocie, jej przypisując upadek Polski. Jeśli się zważy ucisk zaborców, to należy przyznać że w tym kierunku robiono bardzo wiele. Przodewszystkiem postawiono szkołę polską na wysokim poziomie etycznym i pedagogicznym, o wiele wyższym niż ten na którym się znajdowały ówczesne szkoły państwowe, wrogo usposobione do polskości. Instytucje społeczne, takie jak „Macierz Szkolna” i „Towarzystwo Uniwersytetów Ludowych“ położyły niespożyte zasługi na polu oświaty pozaszkolnej.

Po odzyskaniu niepodległości sprawy oświatowe spoczywające dotychczas wyłącznie na barkach społeczeństwa, przeszły w ręce rządu polskiego. Szeroki ogół zaczął, niestety, mniej się zagadnieniami szkolnemi interesować. Od szeregu lat odzywały się głosy nawołujące opinję publiczną do ponownego wejrzenia w te sprawy. Przedewszystkiem wysuwano szereg zarzutów przeciwko poziomowi nauczycielstwa w szkołach powszechnych. Marne uposażenie sprawiało, że nie garnęły się do nich siły bardziej wykwalifikowane i wychowawcami młodzieży zostawali ludzie niejednokrotnie nie stojący na wysokości zadania. Szkolnictwo powszechne, rozstrzygające o wykształceniu większości obywateli winno być otoczone szczególną opieką społeczeństwa.

Przypominam słynne powiedzenie Bismarka, iż wojnę prusko-niemiecką wygrał nauczyciel ludowy, wychowując młodzież narodu niemieckiego w duchu patrjotycznym.

Od paru lat przed naszą młodzieżą stanęło widmo braku szkoły. Ilość uczących z roku na rok się zwiększa, tymczasem ilość szkół wystarczająca dla szczupłych liczebnie roczników wojennych, staje się niewystarczającą dla normalnych, powojennych roczników. Budowie nowych szkół stanął na przeszkodzie brak pieniędzy. Tam jednak gdzie idzie o przyszłość narodu, o oświatę, tam brakiem pieniędzy zasłaniać się nie wolno! Na ten cel pieniądze się znaleźć muszą. Jeśli trzeba zaoszczędzić, to należy to zrobić na gmachach reprezentacyjnych, na samochodach luksusowych różnych dygnitarzy, nigdy na szkole! I tak przez sto lat niewoli pozostaliśmy w tyle za innemi narodami. Nasz procent analfabetów jest przeważająco wielki w porównaniu z taką Francją czy Niemcami. Każde dziecko polskie winno mieć zapewnione miejsce w szkole. Obowiązkiem konstytucyjnym rządu jest umożliwienie obywatelom otrzymania wykształcenia w zakresie siedmiu oddziałów szkoły powszechnej. W Polsce oświata ma szczególne znaczenie w związku z sąsiedztwem z Rosją Sowiecką. Agitacji wywrotowej skuteczną tamę może stawić jedynie należycie postawiona szkoła. O tem nie wolno zapominać.

Rok temu przystąpiono do kasowania niższych klas gimnazjum. Akcję tę nazwano „ujednostajnieniem szkolnictwa". Była ona oddawna postulatem sfer radykalnych. Szeroka opinja publiczna była jej przeciwna. Oddziały szkoły powszechnej niedorównywują swym poziomem klasom gimnazjalnym. Reforma ta jest conajmniej przedwczesna. Niestety, sfery rządzące już ją wcielają w czyn. Skutek jest taki, że ludność, nie chcąc posyłać dzieci do szkół powszechnych musi się rujnować na wpis w gimnazjach prywatnych.

W tym roku uderzył cios w szkolnictwo wyższe: podwyższono wpisy. Młodzież akademicka oddawna znajduje się w ciężkich stosunkach materjalnych. Jak wiadomo, naukę i pracę zarobkową trudno, a nie raz jest niemożliwem połączyć. Kryzys tę sytuację finansową jeszcze wielokrotnie pogorszył. Podwyższenie opłat za studja oznacza w takiej chwili poprostu uniemożliwienie w wielu wypadkach kontynuowanie nauki. Liczne

zastępy młodzieży polskiej będą musiały opuścić mury wyższych uczelni.

Cios ten uderzył głównie w młodzież polską, żydowska jest lepiej majątkowo sytuowana i będzie jeszcze mogła liczyć na pomoc żydów zagranicznych. Na jednym z wydziałów uniwersytetu jagiellońskiego w Krakowie nie zapisał się ani jeden syn chłopski. Wieś nie stać na kształcenie młodzieży na wyższych uczelniach. Jest to niezmiernie niebezpieczny objaw dla kultury polskiej. Inteligencja miejska winna mieć dopływ żywotnych sił ze wsi. Synowie chłopscy wnoszą z sobą do miast elementy tężyzny duchowej i cielesnej. Inteligencja—klasa rządząca, winna się rekrutować nie tylko z jednej, ale ze wszystkich warstw narodu. Tylko wówczas stanie na wysokości zadania; w przeciwnym razie zmieni się w jakąś warstwę izolowaną od szerokich mas ludowych i nie zrozumie ich potrzeb.

Znajdujemy się w ciężkim kryzysie ekonomicznym. Uginamy się pod ciężarem kłopotów materjalnych. Panuje ogólna apatja. Tam jednak gdzie idzie o przyszłość narodu, tam społeczeństwo musi zdobyć się na energję. Przedewszystkiem opinja publiczna winna wywrzeć nacisk na rząd, aby sprawy oświatowe były rozstrzygnięte nie tylko pod kątem doraźnej korzyści, ale dobra i przyszłości narodu. Tu niema miejsca na doktrynerstwo, lub zgubne eksperymenty.

Podwyżkę opłat w szkołach akademickich uzasadniono między innemi koniecznością powstrzymania masowej produkcji inteligencji. Otóż należy podkreślić, że tego rodzaju zagadnień nie rozwiązuje się jednym pociągnięciem pióra. Jeśli zbyt wiele młodzieży zapisuje się do wyższych uczelni, to nie należy jej zamykać drogę do uniwersytetów i pozostawiać na bruku, lecz skierować ją do szkół zawodowych. Należy poddać rewizji cały system współczesnego wychowania, uczynić go bardziej praktycznym. Być może, iż jest to praca trudna, ale jedynie na tej drodze można znaleźć właściwe rozwiązanie. Mechaniczna podwyżka czesnego — to wtrącenie w większą jeszcze nędzę masy młodzieży akademickiej. Będzie więcej gruźlików. Jest ona niesprawiedliwą i krzywdzącą. Nikt nie ma prawa utrudniać zdobycia wiedzy młodzieży zdolnej lecz biednej. Czyż oświata ma być tylko monopolem bogatych? Dzieje świadczą, iż z tych biedniejszych wychodzili zdolniejsi i pracowitsi niż z bogatych.

Z tego samego uniwersytetu jagielońskiego, o którym wyżej pisałem, wyszło wielu wybitnych ludzi, kończących studja nieraz o chlebie i wodzie. Czyż teraz jego bramy zamkną się przed żądnymi wiedzy „pauprami“?

Jesteśmy głęboko przekonani, że rząd skoryguje swoją politykę w stosunku do młodzieży. Gdyby się jednak to nie stało, gdyby głos opinji publicznej nie został wzięty pod uwagę, wówczas społeczeństwo musi zorganizować akcję niesienia pomocy młodzieży polskiej. Analogicznie do zbiórek „na wpisy szkolne“ winny być urządzane zbiórki na „wpisy dla niezamożnych akademików“. Muszą być ufundowane stypendja, które umożliwiłyby młodzieży ukończenie studjów. Hasłem dnia musi się stać: „Przez oświatę ku potędze i mocarstwowości państwa“.

Józef Lubicz.

Zapomniany staropolski hymn narodowy.

Z okazji czerwcowych uroczystości jubileuszowych ku czci Moniuszki poruszono na łamach Kurjera Poznańskiego sprawę naszego hymnu narodowego. Krytyk muzyczny Kurjera, prof. Wiechowicz w sprawozdaniu z koncertu pod pomnikiem Moniuszki w Poznaniu zwrócił uwagę (K. P. 250, z 4. VI. 32) na obiegającą opinję publiczną, że wykonana wówczas „Pieśń rycerska" Moniuszki mogłaby być naszym nowym hymnem narodowym, zwłaszcza jej melodja. Uwagę prof. W. podchwycił w dziale Kultury i Sztuki Kurjera Pozn. p. Witold Noskowski, podkreślając konieczność ustanowienia hymnu narodowego Polski odrodzonej, boć mazurek Dąbrowskiego nosi na sobie piętno niewoli. Proponuje jednak p. Noskowski Karpińskiego polonez „Bóg się rodzi" po dorobieniu kilku zwrotek początkowych z pozostawieniem ostatniej, zaczynającej się od słów „Podnieś rękę, Boże Dziecię, błogosław Ojczyznę miłą“. W ciekawym swoim artykuliku (Kurj. Pozn. 258, 9. VI. 32 — Dział Kultury i Sztuki) rzuca autor pozatem taką uwagę: „Wiadomo, że dawna Rzeczpospolita żadnego hymnu nam nie przekazała, bo go nie miała”.

Otóż tutaj zachodzi pewna nieścisłość, wymagająca sprostowania. Dawna Polska za czasów Zugmunta Augusta miała jednak swój hymn państwowy, czy narodowy, który nam także

przekazała. Przynajmniej, o ile chodzi o tekst literacki. Nie umiem natomiast w tej chwili powiedzieć, czy zachowała się melodja tego hymnu lub czy taka wogóle kiedykolwiek istniała.

Sam tekst w oryginale łacińskim i przekładzie polskim Jakóba Lubelczyka przytaczają Chrzanowski i Kot w wyborze źródeł „Humanizm i reformacja" (strona 195). Hymn ten wyjęto z kancjonału Jana Seklucjana p. t. Pieśni Chrześcijańskie dawniejsze i nowe, Królewiec 1559. Pozwolę sobie przytoczyć in extenco oba teksty, łaciński i polski, celem lepszego zaznaomienia się z tym pierwszym naszym hymnem narodowym:

Oratio pro Republica et Rege. A(ndrzej) T(rzycieski).

Assere Sarmatas, gentemque, o Christe Polonam
Perpetua clemens auxiliator ope.

Et Litavos, populumque polo quemcumque sub Ursae
Augustus lata Rex ditione tenet.

Floreat ut placido felixs Respublica Rege
Ut vera instructos in pietate regat.

Ut sit pace bonus sit fortunatus in armis
Ut videat Pylii saecula longa senis.

Persimileumque sibi natum adsua sceptra relinquens,
Sidera tranquillo fine beata petat.

Modlitwa za Rzecz Pospolitą naszą i za Króla z łacińskich wierszów przełożona przez Jakuba Lubelczyka.

Racz Panie Chryste z miłosierdzia twego
Być sprawcą Polski i Księstwa Litewskiego,
Króla Augusta z jego poddanymi
Chowaj w łasce twej miłościwie z nimi.

Aby szczęśliwie ta Rzecz Pospolita
Kwitnęła zawżdy wszem dobrym obfita,
Byśmy w pokoju tu z twej łaski trwali,
Wolą twą świętą prawdziwie poznali.

Raczże przedłużyć panie żywot jego,
Aby doczekał potomstwa godnego,
A iżby zawżdy tu mógł żyć w pokoju,
A był fortunny ustawicznie w boju.

K'temu skończeniu tego tu żywota
Racz dać szczęśliwe beż wszego kłopota,
A potym z tobą, nas miły Panie,
Na wieki wieczne w Niebie przebywanie.

Przytaczając tę staropolską „Modlitwę za Rzecz Pospolitą naszą i za Króla", nie mam bynajmniej zamiaru polecić ją w cytowanem brzmieniu jako hymn narodowy dla odrodzonej Polski. Wszak układ i treść są zbyt związane z ówczesnym stanem państwa. Pragnę jednak sprostować mniemanie, jakoby „dawna Rzeczpospolita żadnego hymnu nam nie przekazała, bo go nie miała."

Pragnę także zwrócić uwagę na głęboką treść owego hymnu-modlitwy, gdzie pierwiastek religijny i patrjotyczny w najściślejszy sposób są ze sobą związane. Jeśliby kogoś nie zadowolił tekst łaciński, jako może mniej zrozumiały — to doskonały przekład Lubelczyka ujmuje nas swą szerokością uczuć religijno-patrjotycznych, swą elastycznością i umiejętnością wypowiadania tego, co leżało na dnie staropolskiej duszy. A przytem pewna prostota i niekłamana szczerość pomnażają wdzięk hymnu.

Kwestja ułożenia i ustanowienia nowego hymnu narodowego, któryby odpowiadał obecnym naszym warunkom, jest rzeczą bardzo ważną. I jakkolwiek z wielkim pietyzmem odnosić się możemy do mazurka Dąbrowskiego, jest on mimo wszystko pieśnią niewoli, głoszącego urbi et orbi, że „Jeszcze Polska nie zginęła" i że to, co zaborca nam zabrał „szablą odbierzemy". Obecnie zaś mamy Ojczyznę wolną, odrodzoną, zatem i nasz hym powinien uderzać w inny ton.

W dzisiejszych czasach widzimy wielki nawrót do dawnej Polski, do okresów naszej narodowej chwały, by stamtąd czerpać moc i tężyznę do akcji narodowej. Zupełnie słusznie. A możeby także w sprawie nowego hymnu narodowego zwrócić się do owych dawnych czasów, do naszego złotego wieku i wziąć sobie jako źródło natchnienia cytowany wyżej pierwszy nasz hymn państwowy. Wzorem niechaj będzie to szczere i głębokie połączenie elementu patrjotycznego z religijnym, wzorem także modlitwa za panującego (t. zn. obecnie za prezydenta i rząd), by Bóg go chował w łasce Swej miłościwie, oraz błaganie, „byśmy w pokoju tu z twej łaski trwali — Wolę twą świętą prawdziwie poznali", i zasłużyli sobie „potym z tobą, nasz miły Panie, — Na wieki wieczne w Niebie przebywanie".

Czyż taki polski hymn narodowy, przepojony jak najszerzej pojętą miłością Boga i Ojczyzny i śpiewany przez cały naród nie byłby naprawdę nietylko chlubą odrodzonej Polski, ale także zadatkiem wdzięczności wobec Tego, który nas wrócił na Ojczyzny łono?

Jeżeli dzisiaj mało jesteśmy zadowoleni z tego, co się w Ojczyźnie naszej dzieje, to ku polepszeniu sprawy nie wystarczają tylko narzekania i słowa krytyki, nie wystarczają organizacje czy wogóle *ludzkie* tylko starania. Konieczną i nieodzowną wprost rzeczą jest przywołanie do pomocy *elementu nadprzyrodzonego.* Trzeba przedewszystkiem modlitwy za Ojczyznę, modlitwy za rządzących, modlitwy za współrodaków, modlitwy za siebie. A hymn narodowy, któryby ten pierwiastek w sobie zawierał, byłby najodpowiedniejszym wyrazem tych naszych uczuć religijno-narodowych. Taka modlitwa patrjotyczna, jako własność całego narodu i w sercu jego dźwięcząca—nie mogłaby być niewysłuchaną przez Pana nad Pany.

A. F. Kowalkowski.

„A bliźniego swego jak siebie samego...".

Chcę tu poruszyć jedną naszą duchową bolączkę, trapiącą współczesne społeczeństwo, a mianowicie egoizm i brak miłości bliźniego. Dużo się mówi dziś o ciężkich czasach, spowodowanych kryzysem ekonomicznym, narzeka się na ustrój, rządy, na to, że życie jest szare i smutne — jednem słowem na wszystko.

Ale dziwnie mało zwraca się uwagi na kryzys psychologiczny, zachodzący w duszy współczesnego człowieka. A jednak w nim właśnie należy przedewszystkiem szukać przyczyny wielu niepożądanych zjawisk dzisiejszych czasów. Materjalizm zapanował we wszelkich dziedzinach życia, a wślad za nim egoizm i sobkostwo krzewią się bujnie w duszach. Każdy idzie własną ścieżką, tak, jak mu wygodniej, obojętny na wszystko, co nie przynosi mu osobistych korzyści, zapatrzony w błyszczącą twarz bożyszcza—Interesu.

Stosunki między ludźmi, jeśli nic ich między sobą nie łączy, stały się chłodne, jeśli nawet nie wrogie. Maxyma, że

„homo homini lupus", coraz bardziej zdaje się być prawdziwą. Źle i smutno zrobiło się na świecie, bo słońce Miłości zaszło.

Ubogiem i bez sensu stało się życie. Bowiem ofiara i poświęcenie, te dwa najcudniejsze owoce Miłości przestały istnieć. Życie straciło swą bujną żywotność i cel. Nikt nie dokonywa czynów górnych w dziedzinie ducha, gdyż zabrakło do nich, bodźca, którym jest ukochanie głębszych idej.

Zabrakło w duszy współczesnego człowieka tego boskiego ognia, który najpospolitsze kamienie zamienia na kwiaty, słabych czyni tytanami, a któremu na imię entuzjazm. Opadły skrzydła ducha. Zamiast szybować orlemi wzlotami w krainy Piękna i Dobra, pełzamy po ziemi, jak płazy. Dzień po dniu spotykamy się z takimi samymi ludźmi jak my i w postępowaniu ich względem nas znajdujemy własne odbicie.

To też złorzeczymy losowi, sobie i ludziom, gdyż nie możemy znaleźć zadowolenia ani wokół siebie, ani też we własnej świadomości.

Ocknijmy się więc co prędzej z tego pełnego goryczy pesymizmu! Pozwólmy aby na jego miejscu, zakwitł w sercach naszych kwiat miłości!

Miłość... Czyż jest coś piękniejszego nad to uczucie?! Pojęta w tem znaczeniu, w jakiem uczył jej Chrystus Pan, jest słońcem wszechświata i solą ziemi. Bez niej życie byłoby jedną beznadziejną pustynią, wśród której serce ludzkie nie zaznałoby nigdy ochłody ani przystani w skwarnej spiekocie bólów i cierpienia. Ona uszlachetnia dusze ludzkie, czyni je podobnemi do tego najdoskonalszego pierwowzoru, jakim jest Bóg, jest światłem w ciemnościach smutku i zła, które nigdy nie gaśnie.

Sam Bóg, Pan wszechświata, zstępuje na ziemię aby cierpieć za nas okrutnie, gdyż nas umiłował swem boskiem sercem. Potęga jej zaiste jest wielka, a zarazem jakże słodka i każdemu sercu ludzkiemu bliska!

Jakże znacznie mniej byłoby ludzi złych na świecie, gdyby więcej miłości w nim było!...

Ludzie źli bowiem i występni nie rodzą się odrazu takimi. Przynoszą ze sobą na świat duszę tę „tabula rasa", jak wyraził się jeden z filozofów, na której dopiero otoczenie rzeźbi swoje wpływy.

Jeśli więc stają się z biegiem czasu złymi, to w dużej mierze winno jest temu społeczeństwo. Kiedy przyszły na nich pokusy i kiedy upadli na drodze dobra, nikt im przyjaznej dłoni nie podał, nikt serdecznem słowem w zwątpieniu nie pokrzepił, nikt się nad nimi nie litował. Nędza była im matką, a zło przyjacielem. Odepchnięci, niezrozumiani przez nikogo, odeszli z ziarnem nienawiści w sercu. I nie mamy ich prawa za to potępiać. Któż bowiem z nas może ręczyć za to, że byłby innym, gdyby się wychowywał i żył w podobnych warunkach? Z pewnością nikt. Jeśli zaś nie jesteśmy takimi, to nie sobie to zawdzięczamy, lecz tylko łasce i dobroci Opatrzności; natura bowiem ludzka słaba jest bardzo, a woła krucha, jako naczynie szklane. To też nie sądzić i potępiać ludzi występnych trzeba, lecz głęboko im współczuć. Są to bowiem dusze chore i głęboko nieszczęśliwe. Już sam fakt, że wszyscy nimi pogardzają i że nikt ich nigdy nie kochał i nie kocha—jakże jest smutnym. Serce bowiem ludzkie nie może być szczęśliwem bez tego ciepła, jakie daje miłość i więdnie bez niej, jak kwiaty bez rosy. Starajmy się więc zbliżyć do tych ludzi serdecznym, braterskim odruchem, pamiętając na to, że wszakże to są nasi bracia w Chrystusie!.. Postępujmy z nimi tak, jakbyśmy chcieli, aby Bóg z nami postępował. Boć wobec Niego i my jesteśmy, niestety, takimi! Znośmy cierpliwie ich przywary i błędy. Nie znaczy to bynajmniej abyśmy mieli im pobłażać i tolerować je, lecz i nie zniechęcajmy tych ludzi surowem mentorstwem, które do serca nigdy nie przenika. A my przecież do serc ich przeniknąć musimy! Niech wiedzą i widzą, że ich kochamy, że nimi nie pogardzamy, lecz skłonni jesteśmy nawet ponieść dla nich ofiary gdy zajdzie tego potrzeba. Pomóżmy im dźwigać ciężar ich win, bądźmy wyrozumiali dla ich słabości i zaślepienia.

Całą potęgą dobroci, na jaką tylko stać nasze serca, dźwignijmy ich z upadku i poniżenia.

A skoro tak postępować będziemy, bądźmy pewni, że naprawimy niejednego. Wyjątki będą stanowić dusze tylko już takie, którym żaden człowiek nie pomoże, gdyż zło w nich poczyniło spustoszenia do gruntu. Za tych więc módlmy się gorąco. Ale to będą bardzo nieliczne wyjątki. Wierzę bowiem głęboko, że każdy człowiek, choćby w oczach świata a i na-

szych był najgorszym, posiada w swej duszy iskierkę dobra. Do nas więc należy te iskierki umiejętnie rozdmuchiwać. Niech każdy z nas uważa odtąd za swój obowiązek wyszukiwanie ich w naszych bliźnich, a przekonamy się, że ludzie nie są tak złymi, za jakich przywykliśmy ich uważać. Nie zrażajmy się przeszkodami. Choćby nas odepchnięto raz i drugi, choćbyśmy usłyszeli przykre słowo—nie dawajmy za wygrane ufni w triumf Miłości, a zwyciężymy!

Lecz nietylko jest zasługą nawracać złych.

Nieraz spotyka się bowiem ludzi i dobrych nawet, którym bądź to nieśmiałość, bądź to brak odwagi przeszkadzają w czynnej dobroci. Pomóżmy więc im wydobyć ją na światło dzienne, zachęćmy ich do niej.

Uczmy się patrzeć do głębi serc. Tyle jest skarbów ukrytych nieraz na dnie duszy, niewidocznych dla oka ludzkiego, którym nieśmiałość tamuje ujście... Tyle uczuć zmrożonych obojętnością czy nieufnością, które nigdy niezabliźnioną raną tkwią w sercu. Na te więc rany kładźmy balsam dobroci. Ślicznie wyraził się o niej L. Rydel temi słowy:

„Tak mało na świecie dobroci
A tyle jej światu potrzeba
Nią życie jak słońcem się złoci
Nią ziemia się zbliża do nieba".

Starajmy się wydobywać z serc naszych bliźnich to, co zostało przytłoczone może jakimś ciężkim bólem czy zawodem. A skoro ukochamy ich tak, że żadna łza, ani żaden ból ludzki i nędza nie będą nam obce, przekonamy się, że właśnie w ocieraniu tych łez i ofierze jest najgłębszy sens życia, a nawet szczęście. Tak to szczęście, za mirażem którego nieraz nadaremnie gonimy, a które spoczywa w nas samych.

Znikną nasze codzienne kłopoty i troski zmaleją na horyzoncie pracy dla innych, a ścieżki życia rozsłonecznią się i wyprostują. A dobrotliwy Chrystus będzie nam z nieba błogosławił widząc, że spełniamy najważniejsze przykazanie Nowego Testamentu—przykazanie Miłości.

„Błogosławionym już za życia jest ten, który najwięcej kocha i wszystko daje ze siebie, który pragnie dobra nietylko dla siebie, lecz dla wszystkiego, co żyje na świecie, dla udręczonego ducha i smutnego serca, dla ptaka wyrzuconego

z gniazda i dla promyka jasności, zabłąkanego w mrokach", mówi angielska literatka, Z. Hartingh.

O, tak—jest on nietylko błogosławionym, lecz i szczęśliwym, gdyż szczęście swe oparł na tem, co nigdy nie zawiedzie — na życiu w Panu! Daj więc nam Boże, abyśmy tymi „błogosławionymi za życia" jaknajprędzej stać się mogli.

Halina Litwinowówna.

Na froncie walki.

Aktualność kwestji żydowskiej w Polsce — Co mówi statystyka — Walka o czystość kultury polskiej — Polityka Anglji wobec odwetowych zamiarów niemieckich — Blasko Ibanez o duszy niemieckiej — Nasze mizerje wewnętrzne — Encyklika Papieska o prześladowaniach w Meksyku — Czyn—najlepszym lekarstwem przeciwko zniechęceniu i marazmowi.

W artykule wstępnym podkreślamy wielkie znaczenie kwestji żydowskiej dla nas, narodu, który w swoim łonie ma największy procent żydostwa. Niezmiernie ciekawą rzeczą będzie zaznajomienie się z danemi statystycznemi, które odzwierciedlają siłę liczebną społeczeństwa żydowskiego, jego rozłożenie, ruch ludnościowy i t. d. Dane takie znajdują się w interesującej książce Arthura Ruppina p. t. „Die Sociologie der Juden", podajemy je, cytując z artykułu, znajdującego się w № 43 „Myśli Narodowej":

„W starożytności żydzi odznaczali się dużym przyrostem naturalnym, co jedynie mogło pozwolić małej Palestynie na wysyłanie we wszystkie strony imperjum rzymskiego fal emigrantów. Według Arthura Ruppina, ilość żydów w pierwszym wieku po Narodzeniu Chrystusa wynosiła 4½ miljona, a więc mniej więcej $^1/_{11}$ ludności Cesarstwa Rzymskiego. Natomiast. w średniowieczu, naskutek prześladowań żydów, a jeszcze bardziej naskutek powszechnej wówczas dużej śmiertelności (w większej jeszcze mierze u żydów, ze względu na to, że byli oni mieszkańcami miast, a z drugiej strony jako mieszkańcy południa byli nieprzyzwyczajeni do klimatu europejskiego) — ilość żydów uległa znacznemu zmniejszeniu, tak że na rok 1500 przypuszczalnie ilość ta wynosiła zaledwie 1½ miljona.

Od połowy XVIII w. rozpoczyna się stały wzrost ilości żydów, a od początku XIX wieku wzrost ten staje się niezwykle szybki. Tak więc, w r. 1800 ilość żydów wynosiła tylko 2 miljony, w r. 1840 — 4½ miljona, w r. 1860—6 miljonów, w r. 1900 - 10½ miljona, a w r. 1930 prawie 16 miljonów

Wzrost ilości żydów w tym okresie był znacznie większy, niż wzrost innych narodów. Ilość bowiem żydów w okresie od 1800 do 1920 r. wzrosła 6,4 razy, gdy ilość mieszkańców Anglji wzrosła tylko 4,3 razy, Norwegji 3 razy, Szwecji 2½ razy, Francji zaś tylko się podwoiła. Tak szybki wzrost żydów tłumaczy się znacznym spadkiem śmiertelności, przy bardzo nieznacznym jedynie spadku ilości urodzeń. Śmiertelność bowiem żydów spadła z 30 na 15 na 1000 osób, gdy ilość urodzeń z 40 do 33 do 1000 osób. Przyrost naturalny wynosił więc:

W latach	1800 — 1900	15%
„ „	1901 — 1905	18%
„ „	1906 — 1910	17%
„ „	1911 — 1914	16%

Spadek śmiertelności tłumaczy się częściowo tem, że w okresie powyższym nastąpił spadek śmiertelności w miastach naskutek poprawienia się warunków zdrowotnych, a więc musiał on nastąpić również wśród żydów, którzy przecież w ogromnej większości są mieszkańcami miast. Najważniejsza przyczyna tkwi jednak w niesłychanie szybkiem wzbogaceniu się żydów, co pozwoliło im na prowadzenie życia w warunkach o wiele bardziej higjenicznych, niż dawniej, i zaspokajanie potrzeb fizycznych w sposób dostateczniejszy, niż mogła to czynić otaczająca ich ludność miejska chrześcijańska...

Obok wielkiego wzrostu ilości żydów, XIX wiek przyniósł również wielkie wędrówki żydów po świecie. Na początku wieku XIX największe skupienie żydów istniało na ziemiach polskich. Jeszcze w r. 1840 na 4½ miljony żydów mieszkało na terytorjum przedrozbiorowem Polski 2,1 miljona żydów, — w roku zaś 1930 zamieszkuje na tem samem terytorjum 3 milj. na ogólną ilość 16 miljonów.

Przyczyną tego jest przedewszystkiem wielka emigracja do Stanów Zjednoczonych, która doprowadziła tam do stworzenia najsilniejszego w świecie ośrodka żydowskiego. Tymczasem jeszcze w r. 1800 ilość żydów wynosiła tam 2 tys. a w r. 1848 tylko 50 tys. Dopiero od tego roku rozpoczyna się wydatniejsza imigracja żydowska do Stanów Zjednoczonych, początkowo tylko z Niemiec, potem również z Polski i Węgier, wreszcie z Rosji. Ogólna ilość imigrantów żydowskich w latach 1881—1914 przekroczyła niechybnie 2 miljony. Imigracja ta osiągnęła swoje maximum w r. 1906, w wysokości 153748 osób. Wynikiem tych wędrówek było skupienie się w Stanach Zjednoczonych 4350000 żydów (1930 r.).

Drugim kierunkiem wędrówek żydowskich w XIX wieku jest wędrówka żydów w Europie ze wschodu na zachód. Charakterystycznym jej wyrazem jest zwiększenie się ilości żydów w Belgji (1900 r.—12000, 1930 r.—60000), w Anglji (1858 r. — 27000, 1900 r. — 110000), we Francji (1900 r. — 120000, 1930 r. — 200000), emigracja żydów z Wielkopolski i Pomorza do Niemiec, najazd t. zw. „litwaków" na Królestwo kongresowe).

Wojna przynosi tu zasadniczą zmianę, przedewszystkiem zmniejsza się tak doniedawna szybki przyrost naturalny żydów. W krajach zachodnio-europejskich przyrost naturalny żydów ustał już zupełnie

Częściowo taki spadek urodzeń u żydów tłumaczy się ogólnym spadkiem urodzeń. Trzeba jednak podkreślić, że spadek ilości urodzeń wśród żydów silniejszy jest, niż wśród narodów ich otaczających, co doprowadziło do znacznie niższej ilości urodzeń wśród żydów, niż wśród otaczających ich chrześcijan...

Istotnem więc źródłem wydaje się uwolnienie się znacznzch mas żydowskich z krępujących przepisów Talmudu i płynące stąd znaczne rozluźnienie obyczajów wśród żydów. Potwierdzeniem tego wydają się nie tylko cyfry, stwierdzajace niższy odsetek urodzeń wśród żydów, zamieszkujących w krajach zachodnio-europejskich, który to odłam żydostwa pozornie żyje według zasad europejskich, a odsetkiem urodzeń wśród żydostwa, w znacznym jeszcze stopniu ortodoksyjnego, zamieszkującego kraje wschodnio-europejskie, ale również cyfry, dotyczące żydów, żyjących według przepisów Talmudu, a tych, którzy ich nie wykonują, zamieszkujących różne dzielnice Berlina."

Liczby te są świetną ilustracją rzeczywistości. Widać z nich, jak na dłoni, że Izrael od czasów średniowiecznych aż do dnia dzisiejszego osiągnął maxymalny wzrost ludnościowy, a następnie — jeżeli się tak można wyrazić — spoczął na laurach. Ekspansja ludnościowa tego narodu doszła do pewnego momentu przesycenia. Ponieważ zaś równocześnie z przyrostem ludnościowym — bogactwa całego świata akomulowały się w rękach jego synów—przeto pewien przesyt i wyrafinowanie kulturalne dziwić nas nie może.

Rozmaite mogą być skutki tego zjawiska, jeden jednak jest dla nas niewątpliwy, gdyż naocznie możemy go zaobserwować. Oto masy żydostwa, przebywające w Polsce, osiągnąwszy przewagę w dziedzinie życia gospodarczego, sięgają obecnie po władztwo w innych dziedzinach życia. Nęci ich opanowanie życia kulturalnego narodu, którego stali się „gośćmi", ekspansja ich idzie w kierunku masowego produkowania inteligencji. Synowie wzbogaconych handlarzy chcą zostać adwokatami, lekarzami, sędziami, urzędnikami, oficerami i t. d. i zostają... masowo. Łatwiej im wybić się, niż autochtonom, nie potrzebują brać zajęć dodatkowych, korepetycji, posad, dzięki pomocy finansowej od rodziców, lub krewnych szybko i składnie składają egzaminy i zdobywają upragnione stanowiska. Niedługo 50 proc. inteligencji na terenie Rzeczypospolitej Polskiej—to będą żydzi. Oni będą nadawać ton naszej kulturze narodowej, tworzyć naukę, literaturę, sztukę, urabiać nam pojęcia religijne, etyczne, filozoficzne, kształtować panujące zasady etyki zawodowej i t. d.

Już dzisiaj cała nasza literatura współczesna jest właściwie polsko-żydowska! A sztuka... Weźmy np. taki jeden, drobny fakt, który podajemy za „Gazetą Warszawską":

„Z okazji niedawno uroczyście obchodzonych „Dni Chopinowskich" zostało utworzone w Żelazowej Woli muzeum pamiątek po Chopinie z czasów jego pobytu w Polsce. W gruntownie odrestaurowanym domu, gdzie urodził się Chopin, komitet „Dni Chopinowskich" obok zbiorów pamiątek urządził też kram, w którym za kilkadziesiąt groszy można nabyć pamiątkowe nalepki, żetony, oraz fotografje odtwórców arcydzieł muzycznych Chopina. Rzecz jednak bardzo charakterystyczna, że kupić tu można tylko fotografje żydów, którzy jedynie zostali uznani przez komitet „Dni Chopinowskich" jako genjalni odtwórcy muzyki Chopina. Dlaczego? Należy to sobie chyba tłumaczyć wpływami żydów w komitecie „Dni Chopinowskich", gdyż przewodniczącym sekcji propagandowo-prasowej jest żyd p. Leopold (?) Binental, a sekretarką żydówka, p. Altberżanka. Apelujemy do członków komitetu — Polaków, o wyjaśnienie i naprawienie istniejącego stanu rzeczy."

Niedługo będziemy musieli zwrócić się do Ligi Narodów z prośbą o równouprawnienie...

W tych warunkach jest rzeczą jasną, że reakcja polskiej młodzieży akademickiej przeciwko żydom jest normalnym odruchem zdrowego organizmu, który usiłuje bronić się przed grożącym mu niebezpieczeństwem. Nie przesądzając słuszności, lub celowości takich, czy innych posunięć, których byliśmy świadkami—musimy podkreślić całkowitą naszą solidarność z walką młodzieży o zasadę numeri clausi. Zasada ta zawiera w sobie przedewszystkiem pierwiastek gospodarczo-społeczny, gdy chodzi o sprawiedliwą obronę żywiołu słabszego gospodarczo przed silniejszym, a następnie także pierwiastek kulturalny, gdyż oparta jest na tezie obrony kultury i cywilizacji polskiej przed inwazją czynników obcych, z czego wynika taktyka separacji kulturalnej Polaków od Żydów—w dzisiejszym momencie zupełnie słuszna i wskazana.

Dlatego też musimy się zastrzec przeciwko próbom z tej, czy z innej strony podejmowanym, a zmierzającym do wywołania w opinji publicznej wrażenia, że walka młodzieży o numerus clausus jest posunięciem, czy taktyką jednej partji. Tak nie jest. Zasada ta wysunięta została przed 10 laty, nie przez jedno, lecz przez szereg ugrupowań akademickich, a z zapałem przyjęta przez olbrzymią większość społeczeństwa. Zasada ta jest zgodna z poczuciem sprawiedliwości,

a tak ściśle związana z żywotnemi interesami naszej kultury chrześcijańskiej, że niewątpliwie przetrwać ona zdoła wszelkie zamachy i eksperymenty ze strony nawet najsilniejszych i najbardziej wpływowych czynników i z czasem—kiedy społeczeństwo polskie znów będzie mogło swobodnie rozporządzać swoimi losami — musi osiągnąć w tej, czy innej formie zwycięstwo.

* * *

Sytuacja międzynarodowa kształtuje się dla nas niepokojąco. Wszelkie tendencje polityki francuskiej, zmierzające do powstrzymania furji germańskiej i odłożenia inwazji niemieckiej na Polskę — są systematycznie paraliżowane przez przez Amerykę, Włochy i Anglję, głównie jednak przez Anglję. Polityka tego państwa jest od wielu wieków najbardziej egoistyczna i materjalistyczna. Podczas wojny światowej narodowi temu — w najmniejszej chyba mierze z pośród wszystkich narodów — przyświecały jakieś cele moralne, wyższe... Z chwilą zatopienia floty wojennej Niemiec główny cel wojny został przez Wielką Brytanję osiągnięty i od tego momentu rozpoczyna się jej akcja wroga przeciwko dotychczasowym sprzymierzeńcom. Ze swej wyspy Anglicy traktują Europę, jako coś w rodzaju kolonji eksploatacyjnej, zamieszkałej przez niesfornych wassali. T. zw. zasada „równowagi europejskiej" jest właściwie koncepcją panowania Anglji nad Europą i czerpania zysków z jej konfliktów i zaburzeń. Zamieszczamy poniżej za „Gazetą Polską" streszczenie poglądów redagowanego przez znakomitych pisarzy angielskiego miesięcznika katolickiego.

Znakomity pisarz angielski G. K. Chesterton wydaje, jak wiadomo, tygodnik polityczny p. t. „G. K.'s Weekly". Aczkolwiek tygodnik ten nie jest bardzo rozpowszechniony, to jednak ze względu na osobę Chestertona oraz stale współpracującego w tym tygodniku znakomitego historyka Hilarego Belloca „G. K's Weekly" jest organem, z którym miarodajne koła polityczne się liczą, tembardziej, że zarówno Chesterton jak i Belloc są najwybitniejszymi w Wielkiej Brytanji reprezentantami politycznego światopoglądu katolickiego, wobec czego pismo to jest jakby oficjalnym organem politycznym liczącej przeszło 3 miljony ludności katolickiej.

W ostatnim numerze „G. K's Weekly" zajmuje się obszernie kwestją żądania Rzeszy równouprawnienia w dziedzinie zbrojeń, rozpatrując tę sprawę z punktu widzenia niemieckich zamiarów agresywnych wobec Polski.

Chesterton w artykule swym stwierdza, że jedynym czynnikiem, który pragnie wojny i otwarcie do niej dąży jest pruski sztab generalny, który

pragnie zaatakować Polskę, zaanektować część terytorjum polskiego i, posiadając taką bazę, ruszyć na podbój innych terytorjów, wreszcie wybudować flotę i żądać zwrotu kolonji. „Jeżeli Wielka Brytanja poprze Berlin w żądaniu równouprawnienia, to będzie wojna, jeżeli nie — będzie pokój. Czy Niemcy uzbroją się do poziomu innych, czy też ci inni, którzy przeciwdziałają agresji niemieckiej, sami rozbroją się do poziomu Niemiec, wychodzi na jedno i to samo. Wojna przyjdzie i to bardzo prędko, o ile Prusy uzbroją się do poziomu tych, których pragną zaatakować". Dalej Chesterton twierdzi, że „Włochy nie pragną wojny, lecz mają dużo do wygrania, a nic do stracenia. O ile rząd angielski zdecydowałby się na kategoryczny sprzeciw wobec ponownych zbrojeń Niemiec, to wszystko byłoby załatwione. Możnaby zawrzeć międzynarodowe porozumienie, przewidujące wspólną siłę zbrojną dla podtrzymania pokoju i wówczas mogłoby nastąpić powszechne rozbrojenie".

Hilary Belloc stwierdza w następnym artykule, że cala Europa jest pełna pogłosek o wojnie, którą niektórzy przepowiadają nawet już za kilka miesięcy. W stosunkach europejskich istnieje czynnik zwany „duchem pruskim". Istotą siły pruskiej był i jest pruski sztab generalny, który wciąż istnieje i jest czynny. Ma on do dyspozycji swojej armję najlepiej wyćwiczoną i najlepiej wyposażoną mechanicznie. Armja ta jest mała, ale może być bardzo szybko powiększona. Gdy pruski sztab generalny będzie się czuł dosyć silnym, aby działać, bądź ponieważ przeciwnicy zostali osłabieni, bądź też ponieważ sam się wzmocnił, przejdzie on do ataku. Jedyne mocarstwo, któreby mogło obecnie interwenjować, abv ubiec niebezpieczeństwo wojny — to Wielka Brytanja.

Niektórzy najlepsi znawcy europejscy ustalają termin wybuchu wojny na wiosnę lub na wczesne lato 1934 r. Gdyby wojna wybuchła w tych warunkach, to Anglja, mając wszystko do stracenia i nic do wygrania, będzie niechybnie najbardziej poszkodowana. Belloc zarzuca prasie angielskiej, że bałamuci opinję publiczną, przemilczając najważniejsze względy i utrzymując czytelników w stanie ignorancji. Belloc twierdzi, że w prasie angielskiej odbywa się kompletne sabotowanie prawdy w przypuszczeniu, że Wielka Brytanja mogłaby na wypadek wojny pozostać neutralną i ciągnąć z tego korzyści".

Jest to bardzo poważne oskarżenie. Należy przypuszczać, że wybitni ci mężowie, którzy są chlubą swojego narodu, nie rzucaliby w świat tego rodzaju słów, nie mając na to dostatecznych dowodów i uzasadnień. Swoją drogą — wolność prasy naprawdę panuje w Anglji, jeżeli wolno publicyście w sposób tak odważny i szczery krytykować swój rząd i opinję swego kraju. Dla nas sprawa ta jest jeszcze z tego powodu ciekawa, że publicyści ci są czołowymi katolikami Anglji i z taką odwagą uderzają w egoistyczną politykę swojej ojczyzny w imię zasad sprawiedliwości i dobrze zrozumianego interesu swego kraju.

Ale wróćmy do naszego zagadnienia. Jak wielkie niebezpieczeństwo grozi naszej Ojczyźnie, jeżeli wybitni publicyści nie wahają się w ten sposób sprawy ujmować! Pisaliśmy już w swoim czasie o nastrojach, panujących w społeczeństwie niemieckiem. I w tym narodzie znalazł się publicysta z wielką odwagą, a choć inaczej napewno zostanie potraktowany przez swych rodaków, niż Chesterton — tem nie mniej uwagi jego winny się stać poważnym ostrzeżeniem dla tych, którzy mają jeszcze na oczach bielmo. Oto pisze „Gazeta Warszawska":

„W znanym dwutygodniku niemieckim „Die Zeit", wydawanym przez znakomitego pedagoga i psychologa W. Foerstera ukazał się (№ 16 z dnia 20.8.32) bardzo ciekawy artykuł, którego autor z właściwą sobie rzetelnością, poczuciem sprawiedliwości oraz odwagą cywilną publicznie zdziera maskę z jednego z wybitniejszych przywódców nacjonalizmu niemieckiego, generała Seldte.

Generał Seldte, pierwszy dowódca „Stahlhelmu", w wywiadzie udzielonym niedawno reporterowi francuskiego dziennika „L'Intransigeant" zamanifestował w bardzo energiczny sposób swoje pacyfistyczne nastawienie oraz swój wstręt do wszelkich wojennych poczynań, mówiąc, iż:

„pomimo całej niesprawiedliwości, wykazanej w stosunku do państwa niemieckiego przez inne mocarstwa w sprawie granic wschodnich, pomimo niesprawiedliwości korytarza polskiego, nigdy nie porwiemy się przeciwko decyzjom pokoju wersalskiego zbroiną ręką".

„Die Zeit", cytując powyższe słowa, pisze:

„Łatwowierni czytelnicy francuscy wezmą deklarację generała Seldte jako rzeczywisty objaw pacyfizmu niemieckiego. Nie powinni tego czynić..."

Zaledwie rok temu (31 maja 1931 r.) ten sam pokojowo uśmiechnięty przywódca Stahlhelmu w otoczeniu świetnego sztabu (w którym notabene znajdował się między innymi i kronprinz) na wielkich manewrach tuż koło granicy polskiej przemawiał do 150.000 uzbrojonych i gotowych do walki ludzi, a przemowa jego była zupełnie jawną odezwą do żołnierzy Stahlhelmu, aby byli każdej chwili gotowi do odebrania „swojej" ziemi od Polski.

Również trzy książki, wydane przez tegoż generała Seldte, a będące jego wspomnieniami z wojny, wykazują jego naturę z jej okrucieństwem, sadyzmem niemal, nienawiścią i bezwzględnością. Nic w jego życiu, w jego czynach lub słowach nie zdradziło nigdy jego uczuć humanitarnych i pacyfistycznych.

„Możnaby było te jego wyczyny przemilczeć — kończy swój artykuł „Die Zeit" — teraz jednakże, gdy się samowolnie ośmielił zaprezentować łatwowiernej publiczności jako „pacyfista" — przemilczenie równałoby się poprostu zbrodni"...

Niestety, duch Niemiec pozostał nadal twardym, barbarzyńskim, militarystycznym. Społeczeństwo to opanowane

jest przez ten sam nastrój dzikości i żądzy walki, co w roku 1914., kiedy wojska niemieckie szły na Paryż. Zacytujemy urywek ze wspaniałej książki utalentowanego pisarza hiszpańskiego W. Blasko Ibanez'a „Czterech jeźdzców Apokalipsy". Oto w sierpniu 1914 r. na dzień przed wypowiedzeniem wojny, w momencie zarządzonej mobilizacji kilka osób spotyka się w Paryżu na polach Elizejskich. Jeden z nich, rosjanin, Czernow, opisując dzieła militaryzmu pruskiego, wygłasza między innemi takie poglądy:

„...Bóg państwa pruskiego jest „starym Bogiem niemieckim", spadkobiercą dzikiej mitologji germańskiej, mieszaniną bóstw łaknących wojny.

I w ciszy alei Rosjanin jął wspominać czerwone postacie nieubłaganych bóstw. Zbudzą się tej nocy, usłyszawszy luby ich uszom szczęk broni i uczuwszy błogi dla ich powonienia, ostry zapach krwi. Ten brutalny bóg o małej główce, pręży muskuły i chwyta za młot, ktorym miażdży miasta. Wotan ostrzy kopję, która ma za grot błyskawicę a za drzewce piorun. Odin, ów jednooki, oblizuje się łakomie na szczycie swojej góry, oczekując zmarłych wojowników, których stosy nagromadzą się dokoła jego tronu...

— Religijność germańska — ciągnął dalej Rosjanin, — jest przeczeniem chrystjanizmu. Dla niej ludzie nie są równi przed obliczem Boga. On uznaje tylko silnych i dopomaga im swoim wpływem, by się ważyli na wszystko. Ci, którzy się urodzą słabymi, muszą poddać się lub zniknąć. Narody również nie są równe: dzielą się na narody przewodniczące i narody upośledzone, których przeznaczeniem jest uledz i dać się zawojować tamtym. Nie potrzeba chyba dodawać, że wielkim, przewodniczącym narodem są Niemcy.

Argensola przerwał mu. Pycha niemiecka nie opierała się wyłącznie na swoim Bogu; odwoływała się również do nauki....

Okrutny uśmiech zaigrał na wargach Rosjanina.

— Ale istnieje die Kultur, którą Germanie chcą nam narzucić i która jest wręcz przeciwieństwem cywilizacji. Cywilizacja, to znaczy wytwórczość umysłowa, poszanowanie bliźniego, tolerancja cudzych poglądów, słodycz obyczajów. Die Kultur to działalność Państwa, które organizuje i przyswaja sobie jednostki i społeczeństwa, aby służyły jego posłannictwu. A to posłannictwo polega głównie na wywyższeniu się nad inne Państwa, by je zgnieść swoją wielkością, albo, co na jedno wychodzi, swoją pychą, zaciekłością i przemocą".

Wiemy do czego dążył naród niemiecki w r. 1914. Upłynęło zaledwie 14 lat od przegranej wojny, a już buta pruska podniosła głowę na nowo. Nikczemna nienawiść przeciwko tym, którzy wyzwolili się z pod ich panowania i przemocy nurtuje w szerokich kołach społeczeństwa niemieckiego. Są wprawdzie i w Niemczech ludzie o wielkiej odwadze, którzy

ośmielają się zwracać uwagę narodu na niebezpieczeństwo jego dążeń odwetowych. Ale to są tylko wyjątki, potwierdzające regułę. Jak zaś są traktowani w Niemczech pacyfiści, dowodzi fakt usunięcia z katedry uniwersyteckiej w Hejdelbergu profesora za poglądy antimilitarystyczne, ujawnione zresztą w formie dość umiarkowanej.

* * *

Ale przejdźmy do naszych kłopotów wewnętrznych. Właśnie 1 listopada upływa 2 miesięcznv okres, w którym nienaruszalność i zakaz przenoszenia sędziów—zostały zawieszone dekretem Prezydenta Rzeczypospolitej. Jak wiemy, rząd zrobił z dekretu tego daleko idący użytek, codziennie prawie czytaliśmy w pismach, że ci i owi sędziowie zostali usunięci lub przeniesieni, gruntowne zmiany personalne nastąpiły w III wydziale karnym Sądu Apelacyjnego w Warszawie, gdzie wkrótce ma być rozpatrywana sprawa brzeska.

A propos sprawy brzeskiej. Ciekawy wyrok został niedawno wydany w związku z tą sprawą. Chcąc podać wiadomość zupełnie ściśle, zacytujemy ją z № 274 Kurjera Warszawskiego, gdzie w dziale: „Z sądów" czytamy artykulik treści następującej:

„Po ogłoszeniu wyroku sądu okręgowego w Warszawie w sprawie b. więźniów brzeskich w styczniu r. b., wychodzący w Łodzi dziennik „Prąd" w № 14 zamieścił artykuł p. t. „Aby nie było więcej nieprawości. Wyrok w sprawie brzeskiej". W artykule tym prokuratura dopatrzyła się przestępstwa obrazy Sądu i wytoczyła redaktorowi odpowiedzialnemu pisma, p. Leonowi Burhardowi, proces. Oskarżony twierdził w obronie swej, iż w artykule tym, w szczególności w ustępie, który stał się przedmiotem aktu oskarżenia, nietylko nie było wystąpienia przeciw sądowi, ale, przeciwnie, jego pochwała. Ustęp ten brzmiał:

„Sąd warszawski, jako część administracji państwowej, spełnił bez zarzutu pokładane na nim zadanie, jakiem niewątpliwie był proces brzeski. Ku pochwale Sądu należy podnieść, że nie trzymał się on niewolniczo litery prawa, lecz ujął kwestję więcej życiowo, idąc mniej więcej po linji, którą nakreślił mu marszałek Piłsudski".

Sąd jednak, zarówno pierwszej, jak drugiej instancji, nie podzielił zdania oskarżonego; Sąd okręgowy w Łodzi uznał mianowicie, iż oskarżony w ustępie tym „dopuścił się nieposzanowania władzy przez znieważenie Sądu Okręgowego w Warszawie". Od wyroku merytorycznego oskarżony odwołał się do Sądu kasacyjnego.

Sąd Najwyższy wyrok Sądu Okręgowego zatwierdził".

Przejdźmy jednak do spraw, wchodzących w kompetencje Ministerstwa Wyznań Rel. i Oświecenia Publicznego. Podajemy notatkę z pisma codziennego, wychodzącego w Warszawie, treści następującej:

„Drukarnia Państwowa w Łodzi rozesłała do szkół w kopertach, opatrzonych stemplem „Sprawa urzędowa, wolna od opłaty pocztowej" druki reklamowe, stwierdzające, że Drukarnia „przejęła na skład w drodze wyjątku i na krótki jedynie okres czasu stosunkowo niewielką partję niezwykle wartościowych książek z dziedziny literatury pięknej. Większość książek jest we wzorowem wykonaniu graficznem Drukarni Państwowej w Łodzi....

Przejdźmy jednak do zacytowania tytułów niektórych tych „niezwykle wartościowych" książek, a więc:

Stefan Zweig: Tragedja kobiety. Powieść z życia Marceliny Valmore, jednej z najwybitniejszych kobiet francuskich. Z kart tego romansu mówi namiętność i żar, płomienna miłość i łzy. Na papierze bezdrzewnym, str. 224, cena zł. 2,10.

W tem miejscu jeszcze raz wracamy do koperty: tak — adres szkoły, liczba dz. 8647/32, stempel—„Sprawa urzędowa, wolna od opłaty pocztowej", koperta ze stemplem pocztowym, ale bez znaczka pocztowego.

Oto jeszcze kilka tytułów z tej „sprawy urzędowej":

Johan Bojer: Matka, która nie rodziła — na papierze bezdrzewnym, str. 376, cena zł. 2,40.

Victor Margueritte: Idealna kochanka, — cena zł. 2.

Josephin Peladan: Serca w udręce. Miłość walczy z nędzą. Dziwna powieść, pisana krwią. Cena zł. 2,20.

Gabriel d'Annunzio: Płomienie miłości, cena zł. 2,40.

Gabriel d'Annunzio: W odmęcie namiętności, cena zł. 2,20.

Michał Rusinek: Półmężczyzna. Fascynująca treść — fascynujące rozwiązanie, cena zł. 8.

Innych tytułów nie przytaczamy, bo brzmią mniej obiecująco".

Notatkę tę podaje socjalistyczny „Robotnik". Pisma to nie odznacza się szczególnym purytanizmem i, jak dotychczas, niezmiernie rzadko piętnowało pornografję i występowało w obronie moralności publicznej. Widocznie jednak poczucie moralne dyrekcji Drukarni Państwowej w Łodzi jest... znacznie mniej czułe i subtelne, niż redakcji „Robotnika"... Ciekawa rzecz, jak na to zareagowały władze szkolne, które otrzymały taki spis literatury „pięknej"?

Szkolnictwo niższe i średnie zostało już w dużej mierze „upaństwowione" przez p. ministra Jędrzejewicza. Czyżby los ten miał spotkać wkrótce i uniwersytety? W ostatnich czasach dużo się pisze o zniesieniu, względnie ograniczeniu autonomji uniwersyteckiej. Czytamy w „Głosie Narodu":

„Jeden z sanacyjnych polityków obnosi po Krakowie następujący komentarz do rozwiązania Obozu Wielkiej Polski na Pomorzu:

— Jest to dopiero początek... Bierzemy się teraz zkolei do młodzieży, szczególnie do młodzieży akademickiej. Musimy zdobyć ostatnią basztę opozycji (?) — uniwersytety.

Trudno powiedzieć, czy ten komentarz do zarządzenia p. woj. Kirtiklisa jest wyrazem poglądów rządu. Raczej może—nie! Niesłuszna bowiem i bezpodstawna jest już sama ocena stosunku uniwersytetów do rządu.

Szkoły wyższe w Polsce nie są basztą opozycji. Nie są wprawdzie basztą sanacji, ale to właśnie, że w rozchwieji ostatnich lat utrzymały się zdala od walk politycznych, że w opinji społeczeństwa zdobyły sobie własne i niezależne od prądów politycznych stanowisko, to właśnie uważamy — przekonani, że w zgodzie z olbrzymią większością społeczeństwa — za zjawisko bardzo pomyślne i bardzo dodatnie. Ani państwo, ani nauka nicby na tem nie zyskały, gdyby się sale wykładowe „Almarum Matrum" pozamieniały na kluby polityczne, gdyby katedry po szkołach wyższych zasiedli urlopowani pułkownicy, gdyby podobizny Koperników i Śniadeckich po naszych aulach uniwersyteckich zastąpiono podobiznami współczesnych polityków, z którejkolwiekby partji pochodzili".

Ale naco to się zda tłumaczyć i wyjaśniać, powoływać się na dobro Uniwersytetów, interes uczącej się młodzieży... Takie względy nie mogą być brane w rachubę przez panów z B.B.W.R. Tu chodzi o co innego, to mianowicie, co ujął tak znakomicie ten polityk sanacyjny, mówiąc, że trzeba zdobyć jeszcze jedną basztę opozycji.

Cel tak wzniosły i ważny, że gdyby nawet przy jego realizacji miały być zamknięte wszystkie wyższe uczelnie na rok, czy choćby na dziesięć—nic to!

Tymczasem możemy już zanotować pewne zjawisko na terenie wyższych uczelni—wcale nie pocieszające. Oto „Czas" krakowski zwraca uwagę na groźne zjawisko: zmniejszanie się liczby „chłopskich synów" w szkołach wyższych, „na jeden z wydziałów Uniwersytetu Jagielońskiego nie wpłynęło (podczas wpisów obecnych) na pierwszy rok studjów, ani jedno podanie syna chłopskiego".

Niewątpliwie przyczyniła się do tego nędza wsi i kryzys. Ale liczba żydów będzie się zwiększała nadal! Mamy również podwyższenie opłat, którą tak uczenie uzasadniał niedawno p. minister Jedrzejewicz, dalej reforma autonomji uniwersyteckiej... To są zagadnienia najważniejsze z punktu widzenia państwowego!...

* * *

Czasy obecne są wyjątkowo ciężkie, przepełnione miażmatami barbarzyńskich namiętności. Można powiedzieć za Blasko Ibanes'em, że czterech ponurych jeźdźców Apokalipsy, którzy według św. Jana poprzedzają pochód „Bestji" przez świat — cwałuje w dalszym ciągu na swych koszmarnych rumakach, tratując wszystko po drodze.

Prześladowania Kościoła katolickiego w Meksyku zostały wznowione z cała bezwzględnością. O ile pierwsza ich faza była dzikim i krwawym zaburzeniem, noszącym cechy wojny domowej, o tyle druga—przypomina dawniejszy austrjacki „józefinizm", polegający na administracyjnej ingerencji państwa w kompetencje Kościoła. Ojciec św. uznał za stosowne wydać specjalną encyklikę w tej sprawie, która w streszczeniu K.A.P-u zawiera treść następującą:

„Pod datą 29 września, w uroczystość św. Michała Archanioła ogłoszona została nowa encyklika Piusa XI „Acerba animi anxitudo", skierowana przedewszystkiem do episkopatu meksykańskiego. Przedstawia ona sytuację Kościoła katolickiego w Męksyku i piętnuje gwałty przeciw duchowieństwu i wiernym, pogwałcenie wolności wyznania i praw Kościoła. Następnie, przypominając encyklikę z 18 listopada 1926 r. „Inignis aflictisque", zwraca uwagę, że modus vivendi ustalony w roku 1929 stale jest gwałcony przez nowe uciski i prześladowania. Wielu biskupów wydalono z kraju, świątynie i seminarja diecezjalne pozamykano, liczbę duchowieństwa zredukowano do nikłej liczby jednego księdza na sto tysięcy wiernych. Pius XI ponawia przeto energiczny protest wobec całego świata cywilizowanego, a jednocześnie podnosi bohaterstwo i karność episkopatu, duchowieństwa i ludu meksykańskiego. Papież potępia dalej prześladowania meksykańskie i prześladowania w Rosji, które stanowią dwa najpoważniejsze niebezpieczeństwa, zagrażające porządkowi społecznemu i wzywa wszystkie narody cywilizowane do położenia kresu temu niszczycielskiemu zalewowi.

Bardzo ważna, ostatnia część encykliki zawiera polecenia w sprawie ustosunkowania się duchowieństwa do władz świeckich w myśl tego artykułu konstytucji, który nakazuje kapłanom żądania od rządu upoważnienia do sprawowania kultu. Papież zwraca uwagę, że takie nieusprawiedliwione wymaganie jest nie do przyjęcia, jednakże poleca duchowieństwu, aby w interesie dusz znosili ten bolesny warunek. Duchowieństwo meksykańskie winno przeto, nie aprobując wspomnianego artykułu konstytucji i protestując przeciw gwałceniu praw hierarchji katolickiej, składać jednakże do władz cywilnych odpowiednie podania o upoważnienie do sprawowania kultu. Ojciec św. pragnie wszelkiemi środkami uniknąć przerwy w kulcie Bożym w Meksyku i wzywa episkopat i duchowieństwo do organizowania

Akcji katolickiej, zwłaszcza wśród młodzieży, aby w ten sposób przygotować w nowem pokoleniu odrodzenie katolicyzmu w tym kraju".

W tych ciężkich czasach prawdziwą otuchą dla nas może być fakt rozwijania się idei szerzonej przez Akcję Katolicką. Wyrazem wzmożonej działalności Kościoła są niewątpliwie chociażby coraz częstsze listy Episkopatu, dotyczące najbardziej aktualnych zagadnień, trapiących dzisiejsze społeczeństwo. Oto np. na początku października J. E. Ks. Biskup Częstochowski T. Kubina ogłosił list pasterski, w którym znajdujemy mądre i owiane duchem Bożym słowa o zdrowiu moralnym narodu, misji dziejowej Polski, chrześcijańskim porządku społecznym i wezwanie do udzielania pomocy cierpiącym nędzę. Na wstępie zaś czytamy:

„Jednem z największych niebezpieczeństw, jakie mogą spowodować dzisiejsze krytyczne czasy, jest niewątpliwie to, że mogą wywołać w duszach naszych zniechęcenie do wszelkiego czynu, ponurą obojętność dla wszelkich spraw".

„Takie fatalistyczne nastawienie duszy byłoby może usprawiedliwione, gdyby rzeczywiście groził nam koniec świata... Załamał się wprawdzie dzisiejszy ludzki świat, ale nie załamał się świat Boski na ziemi. Stoi on mocny i niewzruszony, i dlatego... nie mamy powodu ni prawa do opuszczania rąk w beznadziejnej bezczynności".

„Przedewszystkiem powinniśmy w sobie samych i w społeczeństwie wzbudzić i wzmocnić wiarę w lepszy świat, w nadchodzące Królestwo Chrystusowe".

Słowa te trafiają w jądro zagadnienia. Musimy walczyć z ogarniającym nas zniechęceniem i marazmem. Najlepszym zaś sposobem walki jest zabranie się do czynu, do wykuwania lepszej przyszłości. *S. J. K.*

DZIAŁ LITERACKO-OPISOWY.

Goethe a religja.

W tym roku jubileuszowym, gdy cały świat kulturalny obchodzi 100-letnią rocznicę zgonu „Jowisza Weimarskiego", niech nam będzie wolno przyjrzeć się temu Tytanowi poezji niemieckiej z jednej tylko a bardzo ciekawej strony: mianowi-

cie określić stosunek jego do religji, opierając się na własnych jego słowach.

Spotkać się można z określeniem Goethego jako „wielkiego poganina". Tymczasem on sam protestował przeciwko tej definicji, i w rozmowach z Eckermanem[1]) użala się na tak obcesowy o sobie sąd. I słusznie: osobistość Goethego była bardziej skomplikowana i jednem słowem określić się nie daje; stosunek zaś jego do religji nie był zawsze jednaki, owszem przechodził rozmaite fazy. Wszakże poeta zachował zawsze głębokie uszanowanie dla religji; niestety znał ją tylko przez pryzmat protestantyzmu, i to ówczesnego, racjonalistycznego, wyjałowionego protestantyzmu epoki t. zw. „Aufklärung", możliwie najdalszego od pozytywnego chrześcijaństwa.

Ciekawe jest, co sam o tem pisze do filozofa Jacobi w liście z 6-I 1813 r.: „co do mnie, wobec różnorodnych dążności mojego umysłu, nie mogę się zadowolić jednym tylko sposobem myślenia. Jako poeta i artysta jestem politeistą; panteistą zaś jako przyrodnik, — a jedno równie zdecydowanie jak i drugie. Gdy zaś potrzebuję Boga dla mojej istoty moralnej, — to i o tem już pomyślano („so ist dafur auch schon gesorgt", — zapewnie Goethe ma tu na myśli dekalog). Rzeczy niebieskie i ziemskie są tak obszerną dziedziną, że wszystkie istoty razem wzięte zaledwie ją objąć zdołają".

Goethe otrzymał wychowanie religijne; dość wertować karty jego niezrównanych wspomnień[2]), aby się o tem przekonać. Nie wszystkim może znaną jest następująca śliczna scena z jego dziecinnych lat, opisana szczegółowo w autobiografji, pod koniec księgi I-ej.

Mały Jan Wolfgang mógł mieć około 7-miu lat, gdy już jego dusza *„naturaliter christiana"* odczuwała w luteranizmie wielką lukę: brak ofiary. Pismo święte dobrze mu było znane z obrazków i z opowiadań matki; widywał tam patrjarchów i proroków składających Bogu ofiary z płodów ziemi i z naj-

---

[1]) Eckermann, sekretarz Goethego w ostatnich 10-ciu latach jego życia, wydał po jego śmierci rozmowy swoje z wielkim poetą p. t. „Goethes Gespräche mit Eckermann" — 3 tomy niezmiernie zajmujące.

[2]) „Aus meinem Leben, Dichtung und Wahrheit".

piękniejszych bydląt trzody. I on zapragnął ofiarę złożyć Panu, — ale jak i gdzie?

Był na najwyższem piętrze domu rodzicielskiego odosobniony mansardowy pokój, zwany „das Gartenzimmer", bo stamtąd roztaczał się rozległy widok na sąsiednie ogrody. Tam przydźwignął chłopczyna pulpit muzyczny ojca, staroświecki sprzęt z czerwonej laki w złote kwiaty, w kształcie czworobocznej ściętej piramidy z półeczkami, i porozmieszczał na nim rozmaite okazy ze zbiorów przyrodniczych pana Radcy. Na szczycie piramidy umieścił trociczki, które miały wydawać „wonność wdzięczności", aby ją „zawoniał Pan", jak przy ofierze Noego. Nazajutrz o wschodzie słońca miała się odbyć pierwsza ofiara czci i uwielbienia. Ale czem zapalić trociczki?... Zwykła zapałka wydawała się małemu poecie zbyt prozaiczną; wziął więc ze zbiorów ojca soczewkę, z którą już umiał się obchodzić, i schwycił pierwszy promień słońca, wznoszącego się nad sąsiedzkiemi dachami. Trociczki zajęły się wedle jego życzenia i zaczęły tlić, roztaczając miłą woń, podobną do kościelnego kadzidła. Uszczęśliwiony Wolfgang padł na kolana i wyciągnąwszy ręce na krzyż modlił się do Najwyższego, składając Mu ofiarę ze wszystkich płodów ziemi,—jak to widział na obrazku w matczynej Biblji, u Abla, Noego, Salomona i inych mężów Starego Testamentu.

Naukę katechizmu pobierał później chłopiec u ewangelickiego pastora; ale te suche, bezduszne lekcje nie wywarły na nim głębszego wrażenia: zachował po nich tylko wspomnienia uroczystej nudy.

Państwo Goethe bywali w niedzielę z dziećmi w kościele; ale Wolfgang znikał czasami w godzinach nabożeństwa: uciekał do lasu lub na łąkę za miastem i tam lubił się modlić samotnie do Boga, który przemawiał do Niego w pięknie przyrody. Echo tych jego wewnętrznych przeżyć brzmi w I-ej części „*Fausta*", gdy się rozlegają wielkanocne dzwony:

„Dawniej to słodkie niebios pozdrowienie
W niedzielną ciszę do mnie się zwracało,
Przeczucia pełne dzwonów dźwięczne brzmienie
Modły gorące z duszy wyciskało;
I niepojęta tęsknota rozlewna
Wiodła mnie w pola, łąki, lasów skraje,

I z oczów dziecka łza płynęła rzewna:
Czułem, że dla mnie nowy świat powstaje...[1])
(przekład prof. Wachholza).

Wielki wpływ wywarła na młodociany jego umysł „*Mesjada*" Klopstocka, którą czytywał ukradkiem z siostrą swą Kornelją, gdyż ojciec, jako zapalony zwolennik Gottscheda, był wrogiem tych heksametrów, przezwanych przez dyktatora lipskiego „rasende Prosa"; dzieci zaś umiały na pamięć całe ustępy zakazanego poematu.

Częstym gościem w domu pana Radcy była przyjaciółka jego żony, panna von Klettenberg, osoba wysoce wykształcona, głęboko religijna, o zabarwieniu nieco mistycznem. Goethe czytywał z nią Pismo święte i prowadził poważne rozmowy, zwłaszcza nieco później, gdy już jako student lipskiego uniwersytetu przyjeżdżał do domu na wypoczynek. Własny jej pamiętnik wplótł po jej śmierci w powieść swą „Wilhelm Meister" p. t. „Bekenntnisse einer schönen Seele" (Wyznania pięknej duszy).

Nieskończenie smutnie, a raczej wprost żałośnie, brzmi opowiadanie Goethego o jego pierwszej — i zdaje się jedynej spowiedzi [2]). (Wiadomo bowiem, że w rozmaitych sektach protestanckich, a nawet wśród poszczególnych pastorów, istnieją jaknajsprzeczniejsze zapatrywania na spowiedź: jedni odrzucają ją zupełnie, drudzy zachowują częściowo; ci oskarżają się szczegółowo z grzechów swoich, inni zupełnie ogólnikowo). Tryskający inteligencją 14-letni chłopiec, posiadający doskonale na pamięć cały luterański katechizm i operujący mnóstwem cytat z Pisma świętego, dręczony przytem różnemi wątpliwościami religijnemi, udaje się do starego pastora, przyjaciela „spowiednika" rodziny, w zamiarze wypowiedzenia się całkowitego: „Gdy jednak znalazłem się w tej dziwnej zakrato-

[1]) Da stürzte sich der Himmelsliebe Kuss
Auf mich herab in ernster Sabbathstille,
Da klang so ahnungsvol des Glockentones Fülle,
Und ein Gebet war brünstiger Genuss.
Ein unbegreiflich holdes Sehnen
Trieb mich durch Wald und Wiesen hinzugehn,
Und unter tausend heissen Tränen
Fühlt ich mir eine Welt entstehn.

[2]) Autobiografja ks. VII.

wanej szafie, w chórze dawnego kościoła Franciszkanów, a zacny starzec pozdrowił mnie swym cichym nosowym głosem — zgasło nagle we mnie wszelkie światło umysłu i serca. Nie mogłem słowa wydobyć; otworzyłem więc książkę do nabożeństwa i odczytałem z niej machinalnie pierwszą lepszą formułkę, tak ogólnikową, że każdy mógł ją spokojnie wygłosić. Otrzymałem absolucję (?) i odszedłem, ani zimny, ani gorący. Następnego dnia przystąpiłem z rodzicami do Wieczerzy Pańskiej, i przez kilka dni zachowywałem się, jak po tak świętej czynności zachować się przystało".

Goethe miał lat 17, gdy ojciec wysłał go na uniwersytet lipski na naukę prawa. Tu owiała go atmosfera chłodnego racjonalizmu; tysiączne wątpliwości podkopały jego wiarę, tysiączne pokusy prowadziły do negacji; wreszcie jako młody adwokat w Wetzlarze doszedł do przekonania, że „Bóg i świat nadprzyrodzony rozumem dowieść się nie dają, przeto naukowo poznać ich nie można".

„Lecz taki agnostycyzm — mówi O. Salzer O. S. B. nie mógł go na długo zadowolnić. Z czasem wyrobił sobie własny pogląd religijno-filozoficzny, rodzaj Neoplatonizmu, który łączył prawdę z błędem w zagmatwaną całość. Sam Goethe nazwał ten system dziwacznym" (*seltsam genug*), i widząc jego niewystarczalność, zwrócił się do Spinozy, którego panteizm mocno go pociągał jako przyrodnika i badacza. Nie dał jednak Bogu rozpłynąć się we wszechświecie, jak to widzimy u amsterdamskiego myśliciela, lecz widział w nim Wszechobejmującego, utrzymującego wszystko; *den Allumfasser, den Allerhalter*" (*Faust cz. I*), który działa bezpośrednio w siłach i prawach natury" [1]).

Możnaby wnioskować z wielu ustępów jego dzieł, że Goethe był politeistą: ale fakt, że się posługuje grecką mitologją, nie dowodzi przecież, że on w Jowisza i Wenerę wierzy. Posługuję się niemi jak każdy poeta, jak nasi: Kochanowski, Morsztyn lub Trembecki, jedynie jako akcesorjami poetyckiemi, jako uosobieniem ukrytych sił przyrody, i (jak sam to mó-

[1]) O. Anzelm Salzer OSB, „Historja literatury niemieckiej" wspaniałe 3-tomowe ilustrowane dzieło, w najczystszym katolickim duchu, jako, że pisane przez Benedyktyna.

wi) „dla niewyczerpanego bogactwa symbolów w nich zawartych".

Jako istota moralna — „als moralischer Mensch", — uważa Goethe wiarę za konieczne dopełnienie naszej wiedzy: „Skoro tylko wyjdziemy z tej zasady, że wiedza i wiara nie znoszą się wzajemnie, lecz się dopełniają — mówi do Eckermanna, — dojdziemy zawsze do ładu". Do tego przekonania doprowadziły go rozważania nad historją świata i ludzkości: „Jedyny właściwy i najgłębszy temat historji, któremu wszystkie inne powinny być podporządkowane, — to konflikt między wiarą a niewiarą. Wszystkie epoki, w których panuje wiara pod jakąbądź formą, są świetne, podnoszące ducha, owocne dla współczesnych i potomnych. Przeciwnie: epoki, w których niewiara w jakimbądź kształcie odnosi swe marne zwycięstwa,— nawet gdyby one chwilowo miały pozór świetny,—takie epoki zbledną i zgasną w oczach potomności, bo nikt nie będzie się chciał mozolić nad poznaniem czegoś jałowego i bezowocnego".

W religji widzi Goethe pośredniczkę pokoju pomiędzy zmysłową naturą człowieka a odwiecznemi prawami tego królestwa ducha, którego obywatelami jesteśmy, i do którego kiedyś powrócić mamy". A nietylko dla moralnego życia ludzkości, lecz i dla sztuki, a zwłaszcza dla poezji, głosi Goethe nieodzowną potrzebę religji: „Człowiek jest dopóty produktywny w poezji i sztuce, dopóki jest religijny; z chwilą gdy nim przestaje być spada do rzędu naśladowców i powtarzaczy" (Wiederholer).

Lecz nietylko „Rozmowy z Eckermannem" i obszerna korespondencja Goethego, — zwłaszcza z Schillerem — są pod tym względem rewelacyjne; możnaby przytoczyć niezliczone ustępy z jego poezyj, zwłaszcza zaś z „Fausta", zacząwszy od prześlicznego „Ostergesang" w części pierwszej, a skończywszy na „apoteozie" zamykającej II część tego pomnikowego dzieła. Ale odstrasza nas konieczność przetłomaczenia cudnych wierszy Goethego na obcy im język, a przez to odarcia ich z właściwego im czaru. Ograniczymy się zatem na prozie.

Z tego co się dotąd przytoczyło widać, że Goethe miał

głęboko religijną duszę. Lecz jaki był jego stosunek do chrystjanizmu?

„Ze wszystkich religij monoteistycznych — mówi O. Salzer,—chrześcijańska wydaje się Goethemu najdoskonalszą, niezniszczalną, wszystkie systema filozoficzne przewyższającą, w pewnem znaczeniu jedynie estetyczną. Przed jej Boskim Założycielem skłaniał się zawsze z uszanowaniem; żywił przez całe życie najwyższą cześć dla Pisma świętego, a w starości mienił sam siebie „chrześcijaninem", wbrew tym, co go „poganinem" zwali. Tu należy jednak zrobić pewne zastrzeżenie: Goethe rozróżniał między nauką Chrystusa Pana, a nauką Kościoła i nie uznawał jego utorytetu w rzeczach wiary. Przyznać nawet trzeba, że była epoka w jego życiu, gdy się w rażący sposób o Kościele wyrażał. Nieraz zresztą dawał się unosić chwilowym nastrojom w swych sądach o religji, i zawracał potem do umiarkowania... Urodzony w ewangelicko-luterańskim domu, Goethe pozostał do końca protestantem; lecz im bardziej dojrzewał w swoim rozwoju duchowym, tym bardziej zbliżał się do katolicyzmu, gdyż (jak mówił) „jest on lepiej obmyślony i bardziej obejmujący całość, niż protestantyzm". A już zupełnie jak apologja katolicyzmu brzmi sławny ustęp o 7-miu Sakramentach w VII-ej księdze „Dichtung und Wahrheit".

Umieszczamy go tu prawie w całości, bo niewielu polskim czytelnikom jest on znany, zwłaszcza dziś, gdy znajomość języka naszych najbliższych zachodnich sąsiadów, języka tak wysoce kulturalnego jak niemiecki, zupełnie u nas zanika, i już prawie nikt z młodych go nie rozumie.

„Kultowi protestanckiemu brakuje zupełności: ma on bowiem zamało Sakramentów... Sakramenta są zewnętrznym symbolem nadzwyczajnej łaskawości i łaski Bożej (Gunst und Gnade). W Wieczerzy ziemskie nasze usta przyjmują wcieloną istotę Bożą i pod postacią ziemskiego pokarmu otrzymują niebieski... Taki Sakrament nie powinien stać samotnie. Żaden chrześcijanin nie może go pożywać z prawdziwą radością — na co jest dan — jeżeli zmysł symboliczno-sakramentalny (*der sakramentalische Sinn*) nie był w nim rozwijany i pielęgnowany. Powinien tak być nauczony, żeby wewnętrzna religja serca z nauką Kościoła stanowiła jedno, jako wielki, powszeczny sakrament, który się rozczłonkowuje na szereg

innych, aby przez nie udzielać swej świętej niezniszczalności i wieczności.

„Tu młoda para podaje sobie ręce, nie dla przelotnego pozdrowienia lub do tańca; kapłan wymawia nad nimi słowa błogosławieństwa i związek staje się nierozerwalny. Po niedługim czasie ci małżonkowie przynoszą dziecię do stopni ołtarza; kapłan oczyszcza je wodą poświęconą i tak wciela do Kościoła, że tylko najpotworniejszem odstępstwem mogłoby to dobrodziejstwo utracić.

„Dziecię rośnie, ćwicząc się samo w sprawach ziemskich tego żywota; w sprawach zaś niebieskich potrzebuje pouczenia. Gdy to całkowicie jest dokonane, zostaje pełnym obywatelem, dobrowolnym wyznawcą tego Kościoła; to się odbywa wśród szeregu zewnętrznych obrzędów, podkreślających ważność tej chwili. Wtedy staje się w pełni chrześcijaninem; poznaje wszystkie swe przywileje, lecz także swe obowiązki.

„Tymczasem niejedno dziwne mu się przydarzyło... Lecz w tej gmatwaninie, w którą się—dzięki niezgodności popędów natury i wymagań religji — wplątał dany nam jest wspaniały środek: oto może swe dobre i złe czyny, słabości i wątpliwości powierzyć mężowi godnemu, doświadczonemu i specjalnie na to ustanowionemu. Ten uspokaja go, napomina, usilnia, karci symbolicznemi karami, uszczęśliwia go całkowitem zmazaniem jego win, i zwraca mu na czysto umytą tablicę człowieczeństwa.

„Tak przygotowany rozmaitemi sakramentalnemi czynnościami... oczyszczony i ukojony, klęka dla przyjęcia Hostji. Aby zaś tajemniczość tego dostojnego Aktu powiększyć, ogląda kielich tylko zdaleka: nie jest to bowiem pospolity pokarm napój, który głódnasyca; jast to pokarm niebieski, który budzi pragnienie niebiańskiego napoju...

„A to, co przez całe życie tak zostało wypróbowane, okaże u bram śmierci swą leczącą moc w 10-kroć silniejszym stopniu. Przywykły od dzieciństwa do ufnej wiary w potęgę Sakramentów, chory otrzymuje gwarancję wiecznego żywota, w chwili, gdy wszystkie gwarancje ludzkie ustają. Jest on bowiem głęboko przekonany, że żaden złowrogi żywioł, żaden nieprzyjazny duch nie może mu przeszkodzić w bezpośredniem

połączeniu się z Bogiem i w używaniu niezmiernego szczęścia Błogosławionych, które z oglądania Bóstwa wypływa.

„Nakoniec, aby cały człowiek został uświęcony, namaszczają mu stopy ze słowami błogosławieństwa. Przy możliwem wyzdrowieniu powinny one czuć odrazę do stąpania po naszej twardej i brudnej ziemi. Namaszczenie to ma im nadać cudowną chyżość, ku odpychaniu tej gliny, która je dotąd przyciągała. I tak kolebka i grób—gdyby nawet jak najdalej od siebie leżały—wiążą się temi świętemi czynnościami, któreśmy tylko w krótkości naznączyli, w jedno żywe, nieprzerwane koło.

„Ale te wszystkie duchowe cuda nie wyrastają z naturalnego podłoża... Trzeba je modlitwą ściągnąć z górnej krainy (jak przełożyć śliczne wyrażenie „Herüberflehen"?) — co nie zawsze i nie każdemu udaćby się mogło. Tu napotykamy najwyższy z tych symbolów. Już ze starożytnej, czcigodnej tradycji dowiadujemy się, że człowiek może przez innego człowieka zostać uprzywilejowany, ubłogosławiony i poświęcony. Aby to się jednak nie wydało darem naturalnym, wielka ta laska, z ciężkiemi obowiązkami połączona, musi być przeniesiona przez jednego uprawnionego na drugiego również uprawnionego; i tak największe dobro, jakie człowiek osiągnąć może... musi być przekazane i uwiecznione na ziemi przez rodzaj spadkobierstwa duchowego. Zaiste w święceniach kapłańskich jest streszczone wszystko, co potrzebne, aby te święte czynności skutecznie sprawować... Kapłan wstępuje zatem w szereg swych poprzedników i następców, jako oficjalny przedstawiciel Najwyższego; nie czcimy w nim jego samego, lecz jego urząd; nie na jego skinienie zginamy kolana, lecz dla przyjęcia błogosławieństwa Bożego, którego on udziela. To błogosławieństwo zaś jest tak święte, tak bezpośrednio z nieba zstępujące, iż ziemskie narzędzie swem grzesznem a nawet występnem życiem osłabić go nie zdoła, — tem mniej boskiej jego mocy pozbawić".

Nie wiemy, czy jaki sztandarowy katolicki pisarz świecki napisał kiedy coś równie pięknego o 7-miu sakramentach, „*Das Höchste der Religion*", jak miemany „poganin" Goethe.

S. M. R.

Z ŻYCIA MŁODZIEŻY KATOLICKIEJ.

Na marginesie XI Tygodnia Społecznego w Lublinie.

Instytucja tygodni społecznych w Lublinie jest jednym z najważniejszych przedsięwzięć katolickich w Polsce. Już na pierwszy rzut oka uderza jej ciągłość i systematyczność. Od jedenastu lat rok rocznie w drugiej połowie sierpnia zbiera się w Lublinie około dwustu młodych katolików i katoliczek, przeważnie z pośród członków Stow. kat. młodzieży akademickiej „Odrodzenie"—aby wysłuchać szeregu referatów i przedyskutować zagadnienia naukowe i społeczne z punktu widzenia katolickiego.

Tygodnie społeczne zapoczątkowane zostały w r. 1921 przez St. mł. akademickiej „Odrodzenie", głównie dzięki inicjatywie ks. Władysława Lewandowicza. Początkowo odbywały się w kolegjum duchownym przy ul. Archidjakońskiej, potem zostały przeniesione w gościnne mury Uniwersytetu Katolickiego, którego profesorom, a w pierwszym rzędzie O. Jackowi Woronieckiemu i ks. Dr. Antoniemu Szymańskiemu tygodnie społeczne bardzo wiele zawdzięczają.

Wszystkich, którzy byli na kilku tygodniach społecznych i mają możność porównywania i wyciągania wniosków — uderzy przedewszystkiem potrójne niejako ich zadania.

Przedewszystkiem jest to przedsięwzięcie o charakterze religijnym. Kierownicy tygodni położyli od początku wielki nacisk na stronę religijną, wytworzyli atmosferę skupienia i zapomocą coraz bardziej rozwijających się praktyk religijnych, a przedewszystkiem codziennego przystępowania do Komunji św., nauk, Mszy recytowanych i t. d. doprowadzili do tego, że tygodnie stały się dla młodzieży prawdziwą szkołą życia religijnego, stałego obcowania z Panem Bogiem i wysokiego poczucia moralnego.

Oczywiście strona intellektualna pozostała zawsze głównem zadaniem tygodni. Pierwsze tygodnie społeczne były pod tym względem niezmiernie twórcze nietylko dla słuchaczy, lecz także dla wykładających. Odkrywano poprostu,

odgrzebywano z pyłu zapomnienia, dostosowywano do czasów dzisiejszych, proklamowano uroczyście poglądy i ujęcia, które obecnie są już własnością całego myślącego ogółu, wówczas zaś powstawały wśród żmudnej pracy i dyskusji. Później dopiero przyszła kolej na pewne posegregowanie zagadnień z punktu widzenia naukowego i rozpatrywanie ich w sposób bardziej systematyczny, przyczem, o ile pierwsze kursy poszły w kierunku większej konkretyzacji i wyciągania wniosków praktycznych, o tyle następne były właściwie rozbudowywaniem teorji i powtarzaniem co pewien czas niektórych zagadnień, tymbardziej, że było to potrzebne wobec przypływu coraz to nowego elementu, który w znacznej mierze kształcony być musiał od początku.

Wreszcie podkreślić należy stronę organizacyjną. Gospodarzem tygodni i organizatorem jest st. mł. ak. „Odrodzenie" i trzeba stwierdzić, że w życiu tej organizacji tygodnie społeczne odegrały pierwszorzędną rolę. W pierwszej fazie rozwoju „Odrodzenia" (1919—1925) tygodnie były wyrazem tężyzny i aktywności tego ruchu, głównym jego warsztatem pracy, w którym wykuwał i rozszerzał swoją ideologję, w drugiej fazie (1925—1932) — stały się kręgosłupem organizacji, spajającym i łączącym w jedną całość wszystkie środowiska... W pierwszej swej fazie „Odrodzenie" bez tygodni społecznych nie stałoby się tem, czem było t. j. pionierem zasad katolickich na terenie akademickim, kombatantem, który wywalczył idei katolickiej prawo obywatelstwa wśród rzesz kształcącej się młodzieży i umożliwił później innym organizacjom podjąć i kultywować tę ideję...

Po tym ogólnym wstępie przechodzimy do XI Tygodnia Społecznego. Zgromadził on przeszło 250 uczestniczek i uczestników. Po uroczystem otwarciu, które, jak zwykle zaszczycił swoją obecnością J. E. ks. Biskup Fulman, wielki przyjaciel i protektor młodzieży katolickiej — wstępny wykład: „Chrystus w życiu współczesnego człowieka" wygłosił gospodarz gościnnych murów Uniwersytetu Katolickiego J. M. ks. Rektor Dr. J. Kruszyński, poczem w ciągu 7 dni zebrani wysłuchali i przedyskutowali następujące referaty: 1) Sensus catholicus w chaosie współczesnych prądów umysłowych — Dr. Stefan Świeżawski. 2) Stosunek katolików do Akcji Katolickiej —

Ks. Dr. Władysław Lewandowicz, 3) Istota i drogi sztuki — Dr. Mieczysław Skrudlik, 4) Wpływ światopoglądu człowieka na formy życia gospodarczego — Ks. Dr. Antoni Szymański, 5) Współczesne przemiany życia gospodarczo społecznego — Mr. Stanisław Orlikowski, 6) Ewolucja i rewolucja, jako środki przebudowy ustroju społecznego — ks. Dr. A. Roszkowski, 7) Prawa życia gospodarczego—Podział dochodu społecznego — Mr. Wacław Sobański, 9) Wskazania Quadragesimo Anno w sprawach reformy ustroju społecznego — Mr. Michał K. Sobański, 10) Próba programu przebudowy życia gospodarczo-społecznego—M. K. Sobański.

Prócz tego odbył się szereg konferencyj religijnych na temat: kształtowanie życia religijnego.

Z pośród referatów największe zainteresowanie i największą dyskusję wywołały wykłady na temat: Sensus catholicus w chaosie współczesnych poglądów umysłowych i wpływ światopoglądu człowieka na formy życia gospodarczego. Dyskusja nad wyżej wymienionym referatem była, można powiedzieć, punktem kulminacyjnym Tygodnia Społecznego.

Gdy wczytamy się w tytuły wykładów — to uderzy nas duża stosunkowo ilość tematów gospodarczo - społecznych, świadczących, że organizatorów tygodnia interesował bardzo współczesny kryzys gospodarczy, a nawet więcej: że chcieli podjąć niemałą próbę, jeżeli nie rozwiązania zagadnienia przyszłego ustroju, to w każdym razie—postawienia tego zagadnienia na odpowiedniej płaszczyźnie.

Gdy zaś przyjrzymy się nazwiskom wykładającym — to zobaczymy dużo nazwisk ludzi młodych, którzy niedawno uzyskali tytuł senjora ruchu Odrodzeniowego i których zapał w kierunku studjów ekonomicznych można tylko pochwalić, zachęcając ich do dalszej pracy w tym zaniedbanym przez katolików w Polsce kierunku.

W tych warunkach nie można się dziwić, że raz po raz nad poszczególnymi referatami wywiązywała się długa i ożywiona dyskusja, której poszczególne fragmenty reprezentowały rozmaitą wartość zależnie od trudności rozpatrywanego zagadnienia i przygotowania dyskutujących. Naogół poziom był dosyć wysoki.

Prasa najrozmaitszych kierunków doniosła o incydencie

z Henrykiem Dembińskim z Wilna (należy go odróżnić od Dr. Henryka Dembińskiego z Małopolski Zachodniej). Naogół wiadomości te były nieścisłe. Aby nie rozpowszechniać okoliczności fałszywych i nie dawać broni do ręki potężnym i rozwielmożnionym w Polsce wrogom ruchu Odrodzeniowego — uważam za stosowne, jako uczestnik tygodnia—pewne rzeczy wyjaśnić.

Henryk Dembiński jest bardzo młodym, 24 letnim akademikiem (zdaje się niedawno skończył studja), byłym prezesem koła wileńskiego „Odrodzenia". Studjował przez pewien czas, dość zresztą jednostronnie, dzieła ekonomiczne, głównie pisarzy socjalistyczno-komunistycznych, poczem zaczął publikować poglądy, których główną tezą było: czyby nie można ochrzcić kollektywizmu przez przyjęcie ekonomicznych tez Marxa a nawet Lenina, opierając je równocześnie na podstawie filozofji katolickiej. Tę swoją nieprzemyślaną i bałamutną tezę uważał on za stosowne poruszyć kilkakrotnie podczas dyskusji na Tygodniu Społecznym. W długich swoich, dość chaotycznych przemówieniach H. Dembiński wygłosił szereg sławnych poglądów, jak np. między innemi zwrócił uwagę na brak zainteresowania zagadnieniami ekonomicznemi wśród inteligencji katolickiej i niespełnianie przez nią obowiązków społecznych—zasadnicze więc tezy były oczywiście nie do przyjęcia z punktu widzenia zasad katolickich. To też po kilku jego przemówieniach wywiązała się ożywiona dyskusja, w której szereg mówców, a między innymi starsi senjorowie „Odrodzenia" wystąpili przeciwko tym tezom. Zwłaszcza ks. prof. A. Szymański w dwugodzinnym, świetnym przemówieniu wykazał nieścisłość i niedokładność rozumowania H. Dembińskiego i uzasadnił, że istnieją wyraźnie odcinające się i różne kierunki myśli ekonomicznej, które opierają się na różnych założeniach filozoficznych, a nawet wnioski praktyczne z nich wypływające w dziedzinie ekonomji są tak ściśle związane z podłożem filozoficznym, że żadnych sztucznych kombinacji z odcinaniem i przyklejaniem poszczególnych części czynić nie można. Dlatego myśl katolicko-społeczna zawsze będzie obca socjalizmowi i komunizmowi. Ona reprezentuje prawdę zarówno w dziedzinie filozoficznej, jak i ekonomicznej, dlatego nie może pójść na żadne sztuczne i nierzetelne kompromisy.

Prywatna własność musi być utrzymana. Natomiast w myśl encyklik społecznych należy ją ograniczyć i dostosować do potrzeb społeczeństwa, aby nie była w dalszym ciągu narzędziem wyzysku. W tym celu trzeba przedsięwziąć szereg zasadniczych reform ustrojowych, nic jednak wspólnego z socjalizmem nie mających.

Dalszy stosunek H. Dembińskiego do ruchu odrodzeniowego będzie zależał od tego, czy podda się orzeczeniom Kościoła. Zyczymy mu tego z całego serca i pragniemy, aby ten zdolny i wiele na przyszłość obiecujący akademik stał się z czasem wybitnym działaczem katolicko-społecznym, zapomniawszy oczywiście o dotychczasowych swych błędnych założeniach.

Powracając zaś do XI Tygodnia Społecznego, stwierdzić należy, że kierownicy jego wykazali wielką odwagę, przyjmując na tak dużym terenie dyskusję zasuggerowaną przez H. Dembińskiego. Dyskusja ta, ciekawa zresztą bardzo z punktu widzenia socjologicznego i ekonomicznego, uwydatniła i podkreśliła błędność pewnych założeń, dała sposobność sprostować je w sposób wyraźny i stanowczy i z tego punktu widzenia twierdzimy, że była dyskusją wartościową i pozytywną. Dobrze jest, gdy kilkuset młodych katolików uświadomi sobie dokładnie i ściśle, jakie są granice doktryny chrześcijańsko-społecznej na lewo, jakie są barjery, których dobrze rozumujący katolik przekraczać nie może. Takie uświadomienie ma też swoją wartość.

Wyrażamy więc nadzieję, że XI Tydzień Społeczny będzie dla „Odrodzenia" podnietą do zrobienia nowego kroku naprzód. Wierzymy w żywotność tej organizacji, przed którą w Polsce dzisiejszej, wśród dzisiejszych trudności i problemów ekonomiczno-społecznych—otwiera się pole wydatnego rozwoju ideji i aktywności.

St. K-ski.

SPRAWOZDANIA i RECENZJE.

Wystawa Misyjna w Warszawie. Pięć sal reprezentacyjnego lokalu Urzędników Państwowych zapełnione do cna tysiącami eksponatów. Wykorzystany każdy skrawek i wszędzie pełno. Piętnastu bodaj wystawców — zakony, stowarzyszenia misyjne, osoby prywatne — dostarczyło przedmiotów najrozmaitszych, które na gruncie warszawskim stały się jak-

gdyby reprezentantami dalekich, o tysiące kilometrów i miesiące podróży odległych od nas krain. Ziemie te są terenem ekspansji misyjnej Kościoła katolickiego, obejmującej pracą oddanych misjonarzy wszystkie zakątki kuli ziemskiej, te nawet, gdzie nie wcisnął się jeszcze wszędobylski i wszędowciskalski kupiec białej rasy. By dokładniej zapoznać się z tem mnóstwem eksponatów, w jak najlepszych warunkach — bez przeciskania się przez tysiące zwiedzających, przedewszystkiem młodzieży szkolnej — trzeba było poświęcić conajmniej godzinę czasu, zato godzina taka zbliżała do terenów misyjnych, przybliżała je do nas, pozwalając, przynajmniej w zarysach ogólnych, zapoznać się ze środowiskami, wśród których działają misjonarze.

Choć oficjalna nazwa brzmiała Wystawa Misyjna, to jednak przewagę miał czynnik etnograficzny. Okazało się mianowicie, jak bogate zbiory etnograficzne znajdują się w domach zakonnych, którychby nikt o to nie podejrzewał. Ale to zarazem zaciążyło fatalnie nad układem wystawy. Chęć pokazania zbiorów przez poszczególnych wystawców wzięła górę nad planowością rozkładu i stąd, zamiast dowiedzieć się o wynikach pracy, o warunkach i t. p., zwiedzający poprzestać musiał na owem niewiele znaczącem zbliżeniu do środowiska działalności misyjnej, bez nauki głębszej. Stoiska swoje zakony czy stowarzyszenia misyjne wypełniły obrazami, kolekcjami fetyszów i bóstw, przedmiotami codziennego użytku, wytworami sztuki tubylców, zaś wykresy i mapy obrazujące ich działalność pomieściły gdzieś w przejściach, gdzie nikt nie miał ochoty ich studjować. Rozdzielenie takie — to brak poczucia psychologji zwiedzającego, któremu więcej powie niewiele eksponatów, rozłożonych umiejętnie, niż całe mnóstwo narzucanych bez ładu i składu. A na Wystawie Misyjnej były również takie stoiska. W sumie w głowie przeciętnego zwiedzającego pozostał chaos rzeczy, nie powstał zato zwarty obraz rozmiaru pracy misyjnej.

Pretensją bodaj największą, którą mieć trzeba do organizatorów wystawy, jest zupełne pominięcie zestawienia, co ostatecznie Polska robi w dziale misyjnem, jaki jest jej wkład w pracach, które taką troską otacza obecny Ojciec św. Wciśnięta w niepokaźne miejsce mapa świata z rozmieszczeniem misjonarzy polskich nie odznaczała się ani kompletnością (według niej działa na misjach 189 Polaków i Polek) ani — takie odnosi się wrażenia — nowością (brakowało notabene tablicy z adresami, do której odsyłał przypisek). Nie dowiedziała się publiczność, ilu jest misjonarzy, ile się rocznie zbiera ogółem na misje, jak się przedstawia stan zakonów misyjnych w Polsce. Możeby tak ostatecznie zebrał niektóre dane z poszczególnych stoisk i po długiem, żmudnem dodawaniu otrzymał pożądane wiadomości, ale, doprawdy, nie poto się idzie na wystawę, żeby bawić się w rachmistrza i szperacza. Zwiedzający nie powinien szukać cyfr. Cyfry same w wymownym wykresie, na poczesnem miejscu powinny go osadzić w przechodzie i zmusić do zapoznania się z niemi.

O ile współudział Polski potraktowano po macoszemu, o tyle najogólniejsze dane o pracy Kościoła katolickiego w całości zgromadzono skrzętnie.

Jak wynika z wykresów, w chwili bieżącej stosunek katolików do niekatolików przedstawia się jak 1:5, katolicyzm zatem po dziewiętnastu wiekach wyznaje szósta część świata. W liczbach bezwzględnych wygląda to w ten sposób, że katolików jest 305 miljonów, niekatolików 1421 miljonów, z tego schyzmatyków i protestantów łącznie 375 miljonów, niechrześcijan zaś 1043 miljony.

Cyfra kościołów i kaplic misyjnych nie została w wykresach uwzględniona, podano natomiast ilość szkół misyjnych i kształcącej się w nich młodzieży.

Szkoły w podziale według części świata przedstawiają się następująco: Azja 26540, Afryka 15097, Ameryka 1431, Oceanja 1983.

A tak oto młodzież w podziale według typów szkól: katechetyczne 500983, powszechne 1123397, wyższe 158480, rękodzielnicze 19996.

Ilość dziel charytatywnych wyraża się cyfrą 3946, t. zn. 1465 sierocińców, 630 szpitali, 1851 aptek. Placówki te stanowią punkt zetknięcia się misjonarza z ludnością tubylczą, pozwalając mu obok zaspakajania jej potrzeb cielesnych zaznajamiać ją z katolicyzmem.

Od cyfr pora jednak już przejść do stoisk ważniejszych wystawców. A więc idźmy!

Na wstępie ks. ks. Misjonarze, pod zarządem których pozostaje Papieskie Dzieło św. Dziecięctwa. Bogate wystawili zbiory. Imponują i ilością i jakością. Nic dziwnego—gromadzili to od dziesiątków lat, rozwijają działalność w Polsce oddawna. Esponaty pochodzą z Chin, z Persji, z Madagaskaru, z Tunisu, z Brazylji, bo wszędzie tam są pracownicy misyjni, należący do tego zakonu. Są figurki mędrców i bóstw chińskich, widelki do drapania się po plecach—dowód chińskiej... hygjeny, portmonetka z łapy tygrysiej—dowód chińskiej... praktyczności (pazury, czepiając się materjału wewnątrz kieszeni, utrudniają wypadnięcie), instrument muzyczny „szyn"—grają na nim Chińczycy w czasie nabożeństw kościelnych, pieniądze „Bank of Ming Tung" — wkłada się je nieboszczykowi do frumny na... wydatki za grobem, „srebrne" monety z papieru — pali się je w Chinach bóstwom na ofiarę, by sobie kupić (dosłownie!) ich względy, sceny z życia bł. Lion Wen Yuan (1760—1834), Chińczyka, jest wreszcie Madonna z Dzieciątkiem w chińskiej interpretacji, podobnie jak św. Teresa od Dzieciątka Jezus. Typy kompozycyjne w obu wypadkach są tradycyjne, europejskie: Madonna stoi na kuli ziemskiej, depcze węża o smoczej głowie, z tyłu księżyc skłania swe rogi, Dzieciątko trzyma krzyż, św. Teresa z naręczem róż, wszędzie jednak rysy orjentalne, według kanonów piękności chińskiej, z owym dla europejczyka niepojętym uśmiechem, którego malarz z Dalekiego Wschodu nie zawahał się nadać i twarzy... Chrystusa Ukrzyżowanego.

Dalsze stoisko- to o. o. Franciszkanie z Niepokalanowa — właściwie z dwóch: polski go i japońskiego. Do niedawna zajęci wydawaniem „Rycerza Niepokalanej" po polsku (na październik r. b. drukowali bezmała 600 tysięcy egzemplarzy), od 1930 r. wydają miesięcznik ten po japońsku p. t. „Mugenzai no Seibo no Kishi" (naklad jego osiągnął już 40 tysięcy egzemplarzy). Siedzibą misjonarzy franciszkańskich jest w Mugenzai no Sono, w pobliżu Nagasaki Młoda to placówka i tak już rozwinięta! Dzieło to o. Maksymiljana Kolbe, człowieka płomiennego entuzjazmu, wiary niezachwianej w skuteczność przedsiębranych wysiłków. Choć po przybyciu do Japonji nie znał języka, nie miał stosunków, w krótkim przeciągu czasu zamiar wydawania miesięcznika po japońsku stał się faktem dokonanym.

Zwiedzałem wystawę nieraz. Pewnego poranka przeciskaliśmy się przez zwartą masę młodzieży szkolnej ze zdeklaryzowanym... wolnomyślicielem.

— Nie mogę zgodzić się z tem, co szerzy w Japonji o. Maksymiljan —mówi mi pocichu—ale jestem zdumiony takiem umiłowaniem idei, takim entuzjazmem. Do takich ludzi należy świat.

Na odchodnem dostajemy tekst „Modlitwy Pańskiej". Idziemy dalej, za naszemi plecami na czarnym, wirującym krążku płyty bonza japoński zawodzi przeraźliwie jakąś pieśń religijną. Inna tam gama — defektowa, pięciotonowa. Ni to śpiew, ni to krzyk, a wszystko ma wyrażać uczucie religijne.

Czytam dziwaczne słowa japońskiej „Modlitwy Pańskiej".

„Ten si masu warera no cici jo. Negawakuba mi-na no tootomaren koto o, mikuni no kitaran koto o. Mi-mune no ten ni okonawarura gotoku ci ni mo okonawaren koto o. Warera no nicidzioo no kate o konnici warera ni ataje-tamae. Warara ga hito ni jurusu gotoku warera no tsumi o juzusi-tamae. Warera o kokoromi ni hiki-tamawazare warera o aku jori sukni-tamae. Amen".

Tu gdzieś jest prośba: „Przyjdź Królestwo Twoje", lecz nie mogę zgadnąć gdzie. Ale musi być napewno, tak. Kiedyż to wreszcie przyjdzie

czas, że ludzkość odwróci się od złotem pokrytych balsamów przeróżnego typu i zjednoczy się jedną wiarą, pociechą serc wszystkich, wiarą najczystszą, co życie uszczęści i uszlachetni.

Sąsiedzi o. o. Franciszkanów—ks. ks. Salezjanie dają mozaikę chińsko-indyjską, południowo-amerykańską; ich vis-a-vis—ks. ks. Pallotyni przedewszystkiem wydawnictwa misyjne i oryginalny portret papieża Piusa XI, wylepiony z polskich znaczków pocztowych; oraz obok s.s. Szarytki reklamują swoją misję w Shunfenfu, w Chinach, dokąd niebawem udać się mają dwie nowe siostry z Polski.

W następnej sali s.s. Franciszkanki Misjonarki Marji cieszą oko znawcy kunsztownemi haftami chińskiemi swych dziewcząt zakładowych. Misyjne Dzieło Znaczkowe z Krakowa wykazuje się zebraniem w ciągu lat paru półsiódma miljona znaczków, sprzedanych na korzyść misyj za 8436 zł. 70 gr., ks.ks. Jezuici dają tablice statystyczne Misji Polskiej w Rodezji. Tu właśnie, w postaci samodzielnej prefektury apostolskiej Broken Hill, w Rodezji Północnej, na 750 tysięcy mieszkańców ma 10460 katolików plus 2126 katechumenów. Polacy pracują tam od 1911 r. wespół z Anglikami, dopiero w 1927 r. oddano misję całkowicie w opiekę Jezuitom polskim. Obszar Misji Polskiej w Afryce—to 485 tysięcy kilometrów kwadratowych, a więc o 25 procent (akurat!) większy aniżeli Rzeczpospolita Polska (388 tysięcy kilometrów kwadratowych). Na tej przestrzeni pracuje 18 księży, 17 braci, 26 zakonnic, 81 katechistów i nauczycieli. Szkolnictwo tamtejsze — to 59 szkół katechizmowych, 46 powszechnych, 7 przemysłowych, 4 średnie. Do tego dodać należy jeszcze drukarnię misyjną w Kasisi, drukującą książki dla celów kościelnych i szkolnych, a wśród nich śpiewniki z polskiemi melodjami, które często rozbrzmiewają na terytorjum rodezyjskiem.

Trochę egzotyki z Nowej Gwinei dają ks. ks Werbiści, parę dzieł pomocniczych wystawia dary dla misyj, wreszcie kropką nad i całej wystawy jest pokój Sodalicji św. Piotra Klawera, pracującej dla Afryki.

Przechodząc sale wystawy, różne miało się myśli. Misjonarze polscy nie są związani z jakim bądź imperjalizmem kolonjalnym. Idą z pobudek najszlachetniejszych w służbę ukochanej przez siebie idei. Nie są wywiadem gospodarczym jak niektóre misje metodystyczne. Imię Polski przedstawiają z najlepszej strony i to ludom, któreby skądinąnd może nie dowiedziały się o nas. To znaczna korzyść propagandowa, ale przydałoby się jeszcze coś więcej: współpraca misjonarzy z polskiemi muzeami etnograficznemi. Polska jest jeszcze zbyt biedna, by wysyłać ekspedycje naukowe do krajów egzotycznych, narazie więc mogliby surowy materjał gromadzić polscy misjonarze, poczem w muzeach krajowych byłoby to opracowane naukowo. W ten sposób misjonarze zdobyliby sobie jeszcze jedną zasługę: pomnożyliby polskie zasoby muzealne, przyczyniliby się do postępu nauki polskiej.

Józef Marjan Chudek.

Redaktor odpowiedzialny: HIERONIM SAMULSKI

PRO CHRISTO
WIARA I CZYN
ORGAN MŁODYCH KATOLIKÓW — MIESIĘCZNIK
Wydawca: Stowarzyszenie Społecznego Panowania Najświętszego Serca Jezusa w Rodzinach Chrześcijańskich.
Redakcja i Administracja: Warszawa, ul. Moniuszki 3a.
P. K. O. 10.115 Telefon 763-44

NACZELNY REDAKTOR: STEFAN KACZOROWSKI
przyjmuje interesantów w środy i piątki między 18.30 a 19.
Biuro i telefon czynne w dni powszednie od g. 11 do 12 i od 15.30 do 17
Redakcja rękopisów nie zwraca

Pro Christo.

Idą nowe czasy.

Kończący się rok 1932 nie był dla nas rokiem szczęśliwym. Przeciwnie, można powiedzieć, że czarne i gęste chmury nagromadził on nad skołataną ludzkością. Kryzys gospodarczy doszedł w tym czasie do niebywałego napięcia i pogrążył w rozpaczy nietylko rodziny, lecz całe warstwy i społeczeństwa. Prócz tego obserwowaliśmy raz po raz wybuchy konfliktów wewnętrznych w rozmaitych krajach oraz beznadziejne i daremne usiłowania naprawienia stosunków między narodami i odwrócenia grożącego widma wojny.

To też wszyscy z nadzieją i utęsknieniem myślą o jakiejś zmianie na lepsze, o jakimś wytchnieniu i wyjściu z dusznej i ponurej atmosfery, podobnej do wyziewów wybuchającego w oddali wulkanu. I można powiedzieć, że żaden rok nowy nie dźwiga na to sobie tak wielkiego brzemienia nadziei, oczekiwania, obawy i niepewności, jak zbliżający się do nas, owiany mgłą tajemnicy rok 1933.

Coraz bardziej w świadomości zmęczonego i wynędzniałego społeczeństwa utrwala się przeświadczenie, że znajdujemy się w przededniu wielkich zmian i przeobrażeń, zwłaszcza w dziedzinie ekonomiczno-społecznej. Stan tak głębokiego kryzysu do-

prowadzić musi po kilku latach do zmiany dotychczasowych form struktury gospodarczej. Na miejscu rozpadającego się w gruzy systemu kapitalistyczno-indywidualistycznego zaczną powstawać jakieś nowe budowle, chwilowe, lub trwałe, gorsze, lub lepsze.

Nas katolików kryzys współczesny nie powinien pogrążać w rozpaczy i beznadziejności, my bowiem jesteśmy członkami i wyznawcami społeczeństwa nadprzyrodzonego, a równocześnie opartego na instytucjach życia przyrodzonego, któremu Bóg powierzył prawdę.

Cechą zasadniczą Kościoła Chrystusowego, po której można Go odróżnić od innych partykularnych zrzeszeń religijnych—jest to, że stale walczył o prawdę i sprawiedliwość we wszystkich dziedzinach życia. Jeżeli weźmiemy np. życie gospodarczo-społeczne, to przedewszystkiem stwierdzić należy, że już na samym początku w okresie walki o swoją egzystencję z cesarstwem rzymskim—Kościół katolicki bez żadnej krwawej rewolucji, lecz tylko swoją nauką i wpływem zlikwidował odwieczną instytucję opartą na gwałcie i niesprawiedliwości — mianowicie zniósł niewolnictwo, jako jedyny i panujący system pracy fizycznej. Później za sprawą Kościoła, w oparciu o zasady Jego nauki zaczyna się kształtować w nowopowstających miastach średniowiecznych nowy system rzemieślniczo-cechowy, o wiele lepszy i doskonalszy od starożytnego niewolnictwa.

Na to kapitalne przeobrażenie złożyły się wówczas głównie dwa czynniki: 1) olbrzymie przeobrażenie psychiczne i moralne, ten niezgłębiony przełom, który się dokonał w duszach ludzkich już nawet pod koniec starożytnego państwa Cezarów, a potem wśród barbarzyńskich ludów Europy; 2) fakt, że po upadku państwa rzymskiego młode barbarzyńskie narody poddały się zasadom moralnym i organizacyjnym Kościoła i przez kilka wieków dusza tych narodów rasy białej znalazła się w Jego błogosławionych rękach, a instytucje życia zbiorowego kształtować się mogły w myśl Jego zasad.

* * *

W chwili obecnej jesteśmy świadkami zachwiania się ustroju kapitalistycznego, który powstał w XVIII w., w okresie upadku wpływów katolickich i jest nie mniej pogański od dawnego niewolnictwa. Ustrój ten, rzekomo oparty na zasadzie wolności, a raczej na anarchji i rozpętaniu nieograniczonej żądzy zysku — doprowadził faktycznie do wyzysku i prawie że niewol-

nictwa pracujących. Obecnie ustrój ten chwieje się i pada wśród strasznego kryzysu ekonomicznego, społecznego, politycznego i moralnego, którego skutki mogą być nie mniejsze od upadku starożytnego państwa rzymskiego.

Miejmy nadzieję, że tym razem nie będzie wędrówki ludów z Azji do Europy, ale natomiast obserwujemy objaw bardzo niebezpieczny, mn. propagandę i silny wpływ poglądów i nastrojów azjatyckich na Europę. Mamy tu na myśli z jednej strony dyktaturę i jej nadużycia, prowadzące do wszechwładzy państwa i w formach swoich przypominające system rządzenia państw azjatyckich, z drugiej zaś strony propagandę bolszewizmu, który jest właściwie połączeniem teorji Marxa z gospodarczo-społeczną koncepcją azjatycką. Tylko na równinie euazjatyckiej mogła powstać taka struktura gospodarcza, której epigonowie szturmują obecnie szańce Europy.

W okresie takiego zamętu ludzkość musi znowu zwrócić się o pomoc do Kościoła katolickiego i do posiadanej przez Niego prawdy.

Prawda ta jest naszym udziałem i możemy zrobić z niej pożyteczny użytek dla dobra naszej Ojczyzny i całej ladzkości. Namiestnik Chrystusowy tę prawdę ogłosił i wezwał nas uroczyście i kilkakrotnie do wyciągnięcia z niej wniosków w dziedzinie życia gospodarczego, żądał abyśmy nie chowali jej pod korcem, lecz oświecili jej blaskiem całe społeczeństwo i wszystkie jego warstwy i rozpoczęli propagandę dobra i sprawiedliwości.

I tak, jak w dawniejszych czasach prawda chrześcijańska trudna była do przyjęcia dla panów i możnych tego świata, gdyż wymagała od nich wyrzeczenia się przemocy i gwałtu nad niewolnikiem, tak i obecnie bardzo powoli i trudno zasady Rerum Novarum i Quadragesimo Anno żłobią sobie wpływ i uznanie w wyższych warstwach społeczeństwa, gdyż wymagają i żądają wielkim głosem wyrzeczenia się ducha mammony i niesprawiedliwości, wyrzeczenia się czci złotego cielca, odrzucenia od siebie precz i wydarcia z duszy tych pojęć kapitalistycznych, sprzecznych z duchem i nauką Kościoła, które zagnieździły się od kilku wieków wśród społeczeństwa, a szczególnie wśród jego warstw wykształconych i posiadających.

Musimy jednak dokonać tej duchowej ewolucji, gdyż ona jest niezbędnym warunkiem reformy. Reforma struktury gospo-

darczej nie może się dokonać mechanicznie, musi być oparta na przekonaniu wewnętrznym społeczeństwa, na przeobrażeniu jego pojęć i zapatrywań na to, co wolno i co godziwe w życiu gospodarczo-społecznym. Ustrój chrześcijańsko-korporacyjny, który się zbliża do nas coraz bardziej musi być poprzedzony przez wielki i zasadniczy przełom duchowy.

Jeżeli to nie nastąpi—przyjdzie Azja...

St. K-ski.

U wrót Summy Teologicznej.

„Et antiquum documentum novo cedat ritui".

W Kościołach katolickich, przed błogosławieństwem Najświętszym Sakramentem, śpiewają wierni od siedmiu wieków na całej kuli ziemskiej znany hymn: „Tamtum ergo Sacramentum". Autorem jego jest jeden z największych genjuszów, których ludzkość wydała—Tomasz z Akwinu, potężny filozof średniowiecza. W hymnie owym, znajduje się zwrotka, którą jako motto do artykułu tego użyłem: „i starożytnych praw świadectwo niech ustąpi Nowemu"... Słowa te streszczają myśl, jaką chcę wypowiedzieć. Chcę bowiem wskazać na nowoczesność myśli filozoficznej Tomasza z Akwinu, czyli, co brzmi trochę paradoksalnie na nowoczesność starej, katolickiej doktryny. Nie jest to nic niezwykłego — owszem rzecz ta jest bardzo pospolitą na świecie. Wszak moda — ten oficjalny stempel wszelakiej nowoczesności, tak często, odświeżywszy i odmłodziwszy jakiś stary antyk, ukazuje nam go, jako ostatni krzyk postępu.

Przypomnijmy sobie choćby niedawną szarżę na krótkie suknie, tak przecież blado wyglądającą wobec rekordu, jaki pod tym względem ustanowić musiały tysiąc lat temu kuse panny mykeńskie, które dziś na freskach wykopalisk kreteńskich swobodnie podziwiać możemy. Dziś znowu moda powraca do sukien długich, starego zabytku przedwojennego. Podobnych przykładów dostarczyć nam mogą wiele i poważniejsze przejawy kultury, jak architektura, rzeźba, malarstwo, muzyka, literatura, pismo, wogóle cała dzisiejsza sztuka, tak tęsknie i wyraźnie zapatrująca się na odległe prymitywy.

Z tego widać, że nowoczesnem nie jest bynajmniej to, czego jeszcze nie było, ale to, na co zapotrzebowanie istnieje w nowoczesnem społeczeństwie. To, co zdolne jest zaspokoić rozpiętość aktualnych myśli i pożądań, co ma w sobie cechy, upodobniające się do fizjognomji nowej duszy. Pod tym względem filozofja św. Tomasza z Akwinu jest ultra—nowoczesna, tembardziej, że mimo tych wszystkich cech, jeszcze nie weszła w modę, ale dopiero czeka na swoją kolej w wielkim magazynie nowości na następny wiosenny sezon.

Czekała ona w takim magazynie w odległych czasach już nie raz jeden. Szła poprzez zamierzchłe mgławice szkoły Eleackiej i Jońskiej, cierpliwie się dalej posuwając w wielkich czaszkach Sokratesa i Platona — aż wreszcie wybuchła w pełnym blasku, rozkwitła, jak kwiat najdoskonalszy w niezrównanej filozofji Arystotelesa. Ów godny pedagog greckiego Napoleona nie spodziewał się zapewne, że płód jego ducha, zakopany w ziemi przez wiernego ucznia przetrwa długie wieki zapomnienia, aby po latach tysiącu stać się zrębem nowej kultury. Ciekawy jest moment historyczny, w którym Philosophia Paerennis stała się poraz drugi nowością. Żywiołowy najazd Arabów, którzy, pędzeni ogniem religijnego fanatyzmu przebiegli wzdłuż Europę, nie zatrzymując się, aż na ostatnim jej cyplu—zniszczył równowagę ówczesnej gospodarki śródziemnomorskiej. Handel i rzemiosło się zachwiało, podupadło, pieniądz zaczął odpływać od najbogatszych państw, trzeba było organizm polityczny na nowych oprzeć podstawach. Wtedy to rycerze dostają ziemię, we Francji i Niemczech powstaje feudalizm. W owej chwili zamętu i niepokoju przychodzi św. Tomasz z Akwinu, pokorny mnich dominikański o głowie tytana. I objawia światu Arystotelesa. Wprawdzie już dawno przed nim Arystotelesa wygrzebywali ruchliwi Arabowie, przetłomaczyli na swój dziwny język i wykładali na swojej semickiej, wschodniej uczelni, ale nieszczęśliwie wyglądał ów Arystoteles w ich rękach. O skażonym tekście źle tłomaczony, gorzej jeszcze rozumiany, przyczynił się jeszcze bardziej do zamętu myślowego wczesnego średniowiecza, kiedy to Platon już nie wystarczał i Augustyn również. Kościół nawet zabronił wykładać owego arabskiego perypatetyka. A nikt inny nie kwapił się z oczyszczeniem tekstu.

Nie trzeba się temu dziwić. Żeby zrozumieć ciemne, wprost do osobistych, stenograficznych notatek zredukowane zapiski Arystotelesa, który śpieszył się, żeby zapisać jaknajwięcej — trzeba równego jemu genjusza, o potężnej intuicji. Trzeba było również—ośmielam się to powiedzieć, człowieka nieskazitelnego, świętego, o anielskim umyśle, któryby swą niewinnością dziecka ściągnął z nieba wprost jakby strumień objawienia, jakby słup ognia, mający go łaskawie poprowadzić przez ciemne pustynie myśli. Takim był św. Tomasz z Akwinu, ów biały mnich dominikański, rzucający płonącą głownię w nasłaną ulicznicę. Na tem genjalność jego polegała, że uczynił to, czego nikt przed nim i, co dziwniejsze — nawet po nim uczynić nie mógł. Przeniknął wspaniale, do głębi jego system, zrozumiał go w każdym odłamku, oczyścił, dopełnił i wyłożył.

Przewyższając poganina nadziemskiem światłem wiary, dopełnił go w tem, czego mu niedostawało — rozpiął go na widnokręgu nieskończoności, uniósł się na jego skrzydłach wysoko—odsłaniając zdumionemu światu wspaniałą panoramę w epokowem dziele — Summie Teologicznej. Rzeczywiście, w wieku XIII Summa, która jest niczem innem, jak Arystotelesem, zaprzągniętym do pługu wiary, rozpoczęła nową Epokę. Przeorała chrześcijańską Europę, stała się tworzywem szerokiej kultury średniowiecza. Spięła stalowym systemem belki, łuki i wiązania całej jej skomplikowanej budowy, stała się ostoją społeczną, polityczną i gospodarczą państw na długie wieki. Stworzyła nawet styl średniowiecza—gotyk. *Ostatni* styl, który pozostawił człowiek na ziemi.

Bo Summa właściwie jest jako przeogromna gotycka katedra. Jednolita, z szerokich fundamentów wyrosła sztyletami wyniosłych wieżyc przecinająca obłoki, wykończona w każdej najdrobniejszej cegiełce, barwna, bogata, obfita, zachwycająca koronkową robotą niezliczonych fryzów wieżyczek, figur świętych, onieśmielająca swą ciszą i nadludzkiem skupieniem — wspaniała — niedouwierzenia piękna, zachwyca oczy, przystających na jej progu.

Mimo tej piękności i mocy swojej—obraz jej rozpadł się w oczach pokolenia XV wieku. Na jej gruzach jął harcować rozhukany renesansowy pegaz, który konsekwentnie, acz pra-

wem kontrastu zrodził romantyzm, ten przedśmiertny skurcz zdrowego rozsądku. Potem już nastała ciemna nicość, chaos i próżnia, w której żyjemy. Lecz w próżni, ciemności i na okrągłych zerach daleko zajechać niemożna, przynajmniej nie jest to zupełnie bezpiecznem. Wszyscy odczuwają potrzebę wyjścia z tego niezmiernego bałaganu intellektualnego, który Europa odziedziczyła po XIX wieku i znalezienie duchowych warunków dla uczciwej pracy. Wszyscy oczekujemy, aby św. Tomasz z Akwinu po raz drugi objawił się naszemu światu. Objawi się on napewno, bez najmniejszych wątpliwości, bo czasy już do tego dojrzewają. Znów kultura nasza znajduje się na krytycznym zakręcie, coś wielkiego w historji ziemi się załamuje, coś nowego przechodzi. Trzeszczy wewnętrzna struktura, a zewnętrznym znakiem tego — szalejący kryzys. Zdaje się, że to właśnie załamuje się pseudokultura materjalizmu i głupoty, że to nowemu człowiekowi ustępuje europejski barbarzyńca, przybrany w maskę chrześcijanina.

— Ite ad Thomam!—Rozbrzmiewa okrzyk papieży w nowoczesnym—a starym, jak świat—kościele bożym. Ta gorąca zachęta—ten zbawczy nakaz, jakoby rozkaz dzienny wojskowego dowództwa—roznosi się po świecie. We Francji grzmi Masitain, pierwszorzędny tomista i pierwszy autorytet filozoficzny, rozpędzający ze swej paryskiej katedry duszące, duszne—lecz nie duchowe dymy, powstałe po elukubracjach żydowskiego intuicjonisty—Bergsona. W Niemczech coraz częściej rozbrzmiewa hasło: „Kant oder Thomas”. I odpowiedź pada: Thomas. Wszak Kant tak łudząco przypomina sylwetkę zgrzybiałego Protagorasa z przed tysięcy lat! I my raz powinniśmy skończyć z romantyzmem filozoficznym. Jest to przecież filozofja pychy, krańcowego subjektywizmu, filozofja zamknięta w jaju cierpliwie wysiedzianym przez autora, tak mądra i tyle wiedząca o świecie, co takie niewyklute kurczę. Pytałem raz pewnego profesora katolickiego, słynnego uniwersytetu o Hegla. Odpowiedział mi: „poświęciłem kilka lat drogocennego czasu na sumienne przzstudjowanie kilkunastu tomów Hegla, aby się przekonać, że mam doczynienie z bardzo logicznym idjotą“. — Albo ze sprytnym oszustem, który chciał zrobić interes i zadowolić swoją pychę — pomyślałem. Tak samo sprawa się przedstawia z całą zaberrowaną filozofją ro-

mantyczną. Każdy chciał zaczynać od siebie, chciał być bogiem, odkrywcą Ameryki, prawodawcą, Konfucjuszem. A ludzie się odurzali przez nich preparowanemi coctail'ami.

Dziś jednak czasy się zmieniają. Zainteresowanie filozofją katolicką — wieczną — rośnie. Arcyciekawą jest rzeczą, w jaki dziwny sposób nowocześni u nas do Tomasza się zabierają. Tak naprzykład Żeromski w „Nawracaniu Judasza" cytuje urywek z Summy. Niestety, nie umiał on czytać Summy. Jako zdanie Tomasza przytacza on opinję, którą ów uznaje jako fałszywą i rozpatruje tylko jako zarzut przeciw sobie (Objectio). Nie trzeba go jednak potępiać. W wolnej Polsce istnieją uniwersytety, na których mamy na szczęście, czy nieszczęście — wydział ścisłej filozofji. Profesorowie, wykładający ową filozofję—Arystotelesa i św. Tomasza z Akwinu mają w pogardzie: poświęcają mu drobnym druczkiem jakie pół stroniczki w swoich skryptach. Do niedawna to horrendalne nastawienie nie mogło mi się pomieścić w głowie. Dziś rozumiem, o co chodzi. Ci summi — magistri niestety, trzeba odsłonić fakt—o Arystotelesie nie mają zielonego pojęcia. Nie rozumieją go ani krzyny. Nie mieli go wprost w ręku, a jeśli mieli, to po to tylko, aby go z obrazą odrzucić. Jest on dla nich zatrudny. Przekonałem się o tem osobiście, na rozmowie w cztery oczy, kiedy jedna z owych powag naukowych, najwyższych autorytetów przyznała mi się, że nie rozumie — łaciny scholastycznej! — Czyli tego języka, w którym wszystkie komentarze i źródła naukowe do zrozumienia Arystotelesa konieczne się znajdują!

Ale blaga i wyższe, naukowe nieuctwo ustąpić musi Prawdzie. Św. Tomasz—objawiciel Prawdy, która jest jedna — zwycięży.

Zwycięży jego maksymalna objektywność, równoważne uznanie ducha i materji, zrozumienie życia, niewzruszona siła uczciwego dowodzenia, prosta, ludzka wiara w zmysły i umysł, dająca oparcie czynom i wypędzająca choroby zwątpienia. A przedewszystkiem zwycięży tem, co nam daje największą gwarancję zwycięstwa — swoją nowoczesnością. Jest on bowiem nowoczesny, w swojej klasyczności, jak nowoczesnemi są dziś igrzyska olimpijskie. Na czem ta nowoczesność polega?

— Świat dzisiejszy kocha rekordy. Chce zwyciężać naturę w powietrzu, na lądzie i wodzie. Wszędzie. Wszędzie chce dotrzeć, wszystkie przeszkody złamać, wszystko przemierzyć, przebić, zgłębić, rozkrajać i zobaczyć. Na wszystko chce znaleźć odpowiedź. Nie znosi tajemnic. Chce być uniwersalny i gniewa się, gdy jeszcze jakiś mędrszy atom, jakiś elektron chowa się przed jego rozdzierającym pazurem. Otóż, taka jest Summa Teologiczna. Ma odpowiedź na wszystko. I na to, co będziemy robić po śmierci, i na to, co kąpiel przynosi naszemu ciału. A przedewszystkiem odpowiada na pytanie: poco człowiek żyje?

Jak potrzebną jest dzisiejszemu społeczeństwu filozofja tomistyczna, jak *praktyczną* jest ta teoretyczna wiedza — tłomaczyć już dziś ludziom nie potrzeba. Zbyt wiele o tem pisano od pół wieku i u nas w Polsce. Cała trudność polega na wynalezieniu sposobu podejścia do tej wiecznej filozofji, na uprzystępnieniu jej dzisiejszym, osłabionym przez brak ćwiczeń rozumom, na rzucenie pomostu pomiędzy dwoma bardzo różnemi poziomami. Bo rzeczywiście, gdy współczesny człowiek wejdzie do labiryntu Summy Tomaszowej, czuje się trochę niesamowicie. Zdaje mu się, że wchodzi do jakiegoś podziemnego, starożytnego mauzoleum, gdzie blade światło dzienne ledwie oświeca zakurzone, szare posągi, rzeźby i postacie dawno umarłych istot. Zamrożony jest i przestraszony ciszą i nieludzkim spokojem tu królującym. Po gwarze i huku życia zdaje mu się to nieznośnem. Lecz niech nie zraża się tem wszystkiem, niech rozejrzy się śmielej dokoła: stanie się to samo, co w don Juanie Zorilli. Zakurzone posągi okażą się żywymi ludzmi, zaczną chodzić i mówić. Lecz dla przeciętnego śmiertelnika taka wizyta może być zbyt ryzykowna. Może się nie doczekać, aż posągi zejdą z piedestałów — i zatrzasnąć drzwi od zewnątrz. Dlatego, żeby rozpowszechnić filozofję tomistyczną, trzeba ją przetłumaczyć na język współczesny. Nie mówię tego w znaczeniu literalnem. Chodzi mi o wyłożenie głównych podstaw tej wiedzy w sposób przystępny, żywy, bezpośredni. Na taką zaś pracę nie wystarczy filozofów: potrzeba i literatów. I to dobrych literatów. Dziś, w epoce panowania powieści i noweli właśnie literaci mają wielkie dzieło do spełnienia: poznać i przejąć się wspaniałą,

uspokajającą i uszczęśliwiającą doktryną tomistyczną i przygotować do jej przyjęcia szerokie masy. Obyto jaknajprędzej nastąpiło! *Dr. Tadeusz Kordyasz.*

SPOŁECZEŃSTWO I WYCHOWANIE.

Szkolnictwo w niebezpieczeństwie.

W swoim czasie omawialiśmy już na łamach „Pro Christo" przepisy i zarządzenia wydane dla szkolnictwa, a przy okazji podaliśmy ustęp z przemówienia p. ministra W. R. i O. P. Janusza Jędrzejewicza. W przemówieniu tem, wygłoszonem z trybuny (znajdującej się w gmachu parlamentu przy ul. Wiejskiej), której obecny regime używa raz na rok do komunikowania społeczeństwu swojego „sic volo et sic iubeo" — p. minister obwieścił narodowi polskiemu, że szkolnictwo zostanie zreformowane w duchu ideologji sanacyjnej, a wychowanie i urabianie młodzieży pójdzie w kierunku „państwowym". Jak zaś pojmuje ten kierunek wychowawczy, dał wyraz, podkreślając, że np. w dziedzinie nauki historji, nie można się zadawalniać przeszłością, lecz kształcić trzeba młodzież i urabiać na wielkich wzorach historji dnia dzisiejszego i wskazywać jej za przykład wielkich mężów kierujących obecnie nawą państwową, należących do obozu t. zw. sanacji moralnej. Mówiąc zaś o tych wielkich mężach, których słowa i czyny mają być wzorem dla młodego pokolenia i symbolem moralności życia zbiorowego -- miał p. minister niewątpliwie na myśli, oprócz wodza obecnego regimu, marsz. Piłsudskiego, także jego znaczniejszych współpracowników, a między innemi—wojewodę Kostka-Biernackiego, Jędrzeja Moraczewskiego, Bogusława Miedzińskiego, posła Polakiewicza, mecenasa Wyrostka, ministra Becka i szereg innych, o których czynach i dziełach pisze od kilku lat prasa krajowa i zagraniczna...

Niestety, zamierzenia wybitnego reformatora nie spotkały się narazie z uznaniem i współdziałaniem ani młodzieży szkolnej, ani z małymi wyjątkami ciała nauczycielskiego.

Młodzież nasza szkolna dotychczas nie zajmowała się polityką, jeżeli wyłączymy sporadyczne wypadki, które można uważać tylko za wyjątek potwierdzający regułę. Nie było również ze strony ugrupowań politycznych żadnych planowych i szerszych usiłowań zmierzających do wciągnięcia młodzieży szkolnej w sferę akcji politycznej i związanych z nią konfliktów. Wprawdzie nie można powiedzieć, aby młodzież nie interesowała się tem, co się w państwie dzieje. Młodzi również czują i myślą, interesowanie się w pewnym stopniu sprawami swojej Ojczyzny jest rzeczą zupełnie naturalną i bynajmniej nie zdrożną. Wydarzenia niektóre mają zresztą charakter tak uderzający i emocjonalny, że tylko ślimak w swojej skorupie nie drgnąłby i pozostałby całkowicie obojętny... Dotychczas jednak, biorąc zagadnienie generalnie, stwierdzić należy, że młodzież szkół niższych i średnich nie była u nas specjalnie rozpolitykowana. Wiadomości historyczne czerpała przeważnie z podręczników, nie posiadających specjalnie żadnej marki partyjnej, pogląd zaś na historję czasów dzisiejszych, czyli, inaczej mówiąc—na współczesne wydarzenia polityczne — urabiała sobie samodzielnie, powoli i stopniowo — bez pomocy p. ministra W. R. i O. P.

Zdawał sobie sprawę p. minister Jędrzejewicz z trudności przeprowadzenia swojej „reformy" w szkolnictwie średnim i niższym i dlatego postanowił w pierwszym rzędzie zaapelować do ciała nauczycielskiego.

Rozmaite są sposoby działania i oddziaływania, rozmaitymi metodami można wprowadzić taki, czy inny system do szkolnictwa. Społeczeństwo polskie ma to dokładnie utrwalone w pamięci, gdyż jeszcze nie tak dawno nauczyciel pruski zapomocą brutalnego gwałtu usiłował zmusić młodzież polską do modlenia się po niemiecku, starsze pokolenie w Kongresówce pamięta doskonale czasy Apuchtina i innych zwolenników gwałtownej rusyfikacji szkolnictwa oraz t. zw. strajk szkolny, historja zaś mówi nam, że represje zastosowane wobec młodzieży wileńskiej przez Nowosilcowa były tłem, na którym wykwitł wspaniały, mieniący się tęczowymi barwami kwiat poezji romantycznej i powstały wiekopomne dzieła nowej literatury. Tak to brutalny gwałt wrogów naszego narodu, usiłujący nagiąć sumienia młodzieży do sztucznych czysto

koncepcji, przygotowanych przy zielonych stolikach ministerjalnych — wywołuje żywiołowy bunt wśród młodego pokolenia. Mając takie doświadczenia musimy być specjalnie ostrożni z prowadzaniem reform w szkolnictwie a zwłaszcza z metodami wprowadzania tych reform. Szkolnictwo nasze zaczęło właściwie dopiero powstawać i jest instrumentem niezwykle delikatnym i subtelnym. Łatwo je zepsuć i zniszczyć, trudniej znacznie rozbudować.

Zdaje się, że bardzo mało liczą się z tą prawdą reformatorzy sanacyjni. Wskazuje na to sam sposób zabrania się do rzeczy przez wywarcie nacisku na ciało nauczycielskie i zmuszanie go pod groźbą utraty posady do wywierania wpływu na młodzież w myśl t. zw. ideologji państwowej, co w praktyce polega: na częstym urządzaniu uroczystości na cześć panującego ruchu politycznego i jego przedstawicieli, wprowadzeniu do wykładów i wypracowań piśmiennych aktualnych zagadnień politycznych, oświetlanych z punktu widzenia rządowego, a nawet, jak ostatnio—zupełnej zmianie podręczników szkolnych, które mają być odtąd opracowywane z punktu widzenia potrzeb tej propagandy.

Aby siły nauczycielskie podporządkować całkowicie tym założeniom i zrobić z nich podatne narzędzie do wprowadzenia tego kierunku wychowawczego, trzeba było zmienić ustawę o stosunkach służbowych nauczycieli i wprowadzić do niej przepisy uzależniające ich bardziej, niż do tychczas od władzy przełożonej. Tak się ostatecznie stało.

Podajemy według streszczenia prasy codziennej niektóre zmiany, które nastąpiły w nowym dekrecie Prezydenta Rzeczypospolitej.

Z dniem 1 listopada br. weszło w życie rozporządzenie Prezydenta Rzplitej, zawierające pewne zmiany w ustawie obecnie obowiązującej w stosunkach służbowych nauczycieli.

Dotyczy ona nauczycieli szkół państwowych i publicznych, podległych ministrowi oświaty z wyjątkiem nauczycieli szkól akademickich i równorzędnych.

Władza szkolna prowadzi dla każdego nauczyciela kartę ewidencyjną, która zawiera oceny, sporządzane conajmniej raz na dwa lata. Jeżeli ocena jest niedostateczna, władze winny przesłać nauczycielowi orzeczenie pisemne z podaniem motywów tej oceny. Nauczyciel może w ciągu 14 dni wnieść odwołanie.

Nauczyciel może być w każdej chwili przeniesiony na własną prośbę do innej szkoły. Natomiast jeżeli zdaniem, władzy szkolnej względy organizacyjne tego wymagają, można przenieść nauczyciela na równorzędne stanowisko do innej szkoły. Minister może przenieść nauczyciela do innej szkoły, o ile tego wymaga dobro szkoły, ponadto nauczyciel może być przeniesiony do służby podlegającej innym przepisom w tym samym dziale zarządu państwowego tylko za jego zgodą i bez obniżenia posiadanej grupy uposażeniowej. Nauczyciele religji katolickiej mogą być przeniesieni tylko w porozumieniu z odnośnym biskupem.

Nauczyciel stały może być zwolniony ze służby o ile w bezpośrednio po sobie następujących conajmniej półtorarocznych odstępach czasu otrzymał dwukrotnie niedostateczną ocenę kwalifikacyjną. Każdy przełożony ma prawo zawiesić nauczyciela w pełnieniu służby, gdy nauczyciel odmówi jawnie posłuszeństwa służbowego lub w szczególnie ważnych okolicznościach, albo gdy ze względu na jakość zarzucanego mu uchybienia obowiązków służbowych lub godności stanu nauczycielskiego dalsze jego pozostawanie na służbie przynosiłoby szkodę powadzę szkoły lub groziło jej dobru.

Nie chodzi nam tutaj o same przepisy, gdyż niektóre z nich mogą być w zasadzie nawet słuszne. Chodzi nam raczej o ich zastosowanie. Reformy te zwiększają kompetencje władzy przełożonej w stosunku do nauczycieli, pozwalają one nauczyciela przenosić, zwalniać, stawiać jemu oceny, których kwalifikacja zależy całkowicie do władzy dyskrecjonalnej przełożonych itd. A więc w rękach ludzi, którzy traktują sprawy szkolne z punktu widzenia politycznego przepisy te mogą się stać bronią potężną i bardzo skuteczną, a niszczącą. Jeszcze nie było tego dekretu, a już słyszało się raz poraz o zwalnianiu, czy przenoszeniu nawet w czasie roku szkolnego długoletnich i wykwalifikowanych kierowników szkół państwowych, o odbieraniu gimnazjom prywatnym I kategorji itd.

Oczywiście w ten sposób będzie można zmusić nauczycielstwo do uległości. Ludzie o silnych i zdecydowanych poglądach zostaną z niego wyeliminowani. Pozostanie garstka zwolenników sanacji oraz olbrzymia większość naginająca swoje przekonania do okoliczności—dla chleba. Ale do czego to w ostateczności doprowadzi? Przedewszystkiem do obniżenia poziomu ideowego nauczyciela, który uważał się dotychczas nietylko za urzędnika tej, czy innej kategorji, lecz także za działacza oświatowego, kapłana, stojącego na straży świętego znicza oświaty, a teraz został poniżony do roli narzędzia politycznej propagandy. Następnie doprowadzi to także do

zmniejszenia autorytetu nauczyciela wobec uczniów. Młodzież bowiem zdaje sobie sprawę z sytuacji i wyczuwa instynktownie i intuicyjnie, a w wyższych klasach wie dobrze, w jak upokarzającej i niewyraźnej roli — znalazł się jej pedagog i preceptor.

Kapitalnym i niezwykle ważnym jest zagadnienie, jaki wpływ wywrze ten system na samą młodzież. Niedługo przekonamy się i zobaczymy. W każdym razie — jest możliwość daleko idących niespodzianek. System przymusu ma to do siebie, że jednych teroryzuje i zmusza do uległości, drugich przyciąga widokiem doraźnych korzyści, a wśród innych wreszcie rozbudza odruch protestu i bunt przeciwko niesprawiedliwemu naciskowi. Trudno przewidzieć stosunek liczbowy tych trzech grup. W każdym razie kilka zjawisk można już teraz przewidywać:

1) Pewna część młodzieży (zwłaszcza uczniów o mniejszym temperamencie i słabym zamiłowaniu do życia publicznego) ulegnie zniechęceniu i zobojętnieniu wobec państwa i zagadnień życia zbiorowego, patrząc na nie z punktu widzenia niepożądanych i przykrych dla nich ingerencyj. Stosunek ich do spraw naszego życia zbiorowego stanie się zimniejszym i dalszym niż dotychczas.

2) Na terenie szkolnictwa, gdzie animozje partyjne były dotyczas słabe i odgrywały rolę trzeciorzędną — zaczną się tworzyć zwalczające się grupy o wyraźnych zabarwieniach politycznych, do których będą należeć uczniowie o większych zainteresowaniach publicznych, rozpoczną się tarcia i walki, prowadzące nawet może zbyt daleko. W rezultacie skutek może być zupełnie przeciwny, niż przewidywał minister Jędrzejewicz. Zamiast ujednostajnienia poglądów politycznych całej młodzieży szkolnej, może łatwo nastąpić jeszcze większe zróżniczkowanie tych poglądów i zaognienie różnic.

Rezultatem wszystkich tych fatalnych pomysłów i jeszcze fatalniejszych posunięć będzie niewątpliwie upadek poziomu wiedzy, jaką dać powinna szkoła uczniom. Obniżenie bowiem autorytetu i znaczenia wychowawców i nauczycieli, rozbudzenie w młodzieży namiętności i tarć politycznych, a w końcu możliwe w tych warunkach represje, połączone może z zamykaniem poszczególnych uczelni, czy wydaleniem myślących

antysanacyjnie uczniów — wszystko to wytworzy atmosferę nieodpowiednią do nauki i zada silny cios ogólnemu poziomowi wykształcenia kończących szkoły uczniów.

* * *

Specyficzna twórczość p. ministra Jędrzejewicza nie ogranicza się do szkół średnich i niższych. W wywiadzie udzielonym niedawno przedstawicielowi „Iskry" p. minister zajął się bliżej szkołami akademickiemi, zapowiedział „reformę autonomji uniwersyteckiej". Oto program p. ministra, a zarazem projekt nowej ustawy o szkołach akademickich:

„...niema chyba tak niejasnej i mglistej rzeczy, jak autonomja akademicka. Dlatego też przedewszystkiem należałoby określić na czem właściwie autonomja ta polega. Rozróżniam cztery dziedziny pracy szkoły akademickiej: nauka, nauczanie, czynności wychowawcze, wreszcie czynności administracyjno-gospodarcze.

Otóż jest mojem głębokiem przekonaniem, że praca naukowa i metody nauczania, stanowiące dziedziny najbardziej twórczej pracy ducha ludzkiego, nie mogą być krępowane i w tych dziedzinach szkoły akademickie muszą być całkowicie autonomiczne. Zupełnie inaczej rzecz się ma, gdy chodzi o sprawy wychowawcze i adminisfracyjno-gospodarcze. Wytyczne wychowawcze muszą być ustalone, skoordynowane, ujednolicone, a wykonanie ich kontrolowane przez odpowiedzialny czynnik państwowy. Zbiorowe ciała profesorskie wyższych uczelni, niezależne jedne od drugich nie są w stanie podołać zadaniom wychowawczym. Zwierzchni nadzór i naczelne kierownictwo w tej dziedzinie musi przejąć Państwo. Również gospodarka w szkołach akademickich musi dopuszczać znaczną ingerencję ministra oświaty, a to z tego prostego powodu, że przecież prawie całość wydatków szkół akademickich pokrywana jest z budżetu państwowego, że są to pieniądze publiczne, za które nie kto inny, jak minister oświaty ponosi całkowitą odpowiedzialność...

Projekt ustawy daje ministrowi pewien wpływ na dobór rektora, którego władza będzie znacznie powiększona, a który musi być zarówno mężem zaufania swoich kolegów, jak mężem zaufania Rządu, powierzającego mu poważne sumy budżetowe oraz doniosłe zagadnienia wychowawcze. Dotychczas rektor, posiadający władzę nieznaczną i urzędujący rok zaledwie nie był i nie mógł być faktycznie odpowiedzialny wobec nikogo. Projekt ustawy daje mu dość znaczny zakres władzy oraz przedłuża mu czas urzędowania. W tych warunkach w porozumieniu z ministrem, wobec którego rektor ponosi odpowiedzialność za swą pracę, będzie on mógł istotnie kierować powierzonym sobie zakładem naukowym w sposób przemyślany i planowy. Rola senatu zmniejszy się więc na korzyść rektora, ale również na korzyść wydziału, który stanie się zasadniczą komórką autonomji nauki i nauczania, zgodnie z tem, co wyżej powiedziałem....

— A jak rozwiązuje Pan Minister sprawy młodzieży akademickiej?

— W tym zakresiesie władza ministra zostanie dość znacznie wzmocniona. Obowiązująca dzisiaj ustawa z 1920 r. nie daje ministrowi żadne, ingerencji w te tak z punktu widzenia państwowego zasadnicze sprawy. Ten stan rzeczy tolerowany być dłużej nie może. Zeszłoroczne wydarzenia, świadczące o niesłychanem zdziczeniu części tego środowiska, które ma być naszą elitą kulturalną, świadczą aż nadto wyraźnie, że chodzi tu o obronę wyższych uczelni, poziomu naszej kultury narodowej i obronę tę zdecydowany jestem przeprowadzić w sposób bezwzględny. Minister musi mieć możność ukrócania niepoczytalnych wybryków, którym zbiorowe ciała profesorskie zapobiec nie potrafiły....”

Ostatnie słowa ministra Jędrzejewicza zdradzają, że istotnym celem ustawy są doraźne interesy i zamierzenia polityczne. Pod ich kątem widzenia obecny system czyni w Polsce bodaj wszystko i dla utrzymania się u władzy gotów jest poświęcić najważniejsze instytucje życia zbiorowego.

Chodzi o to, że młodzież akademicka w większości swojej nie jest nastrojona prosanacyjnie i wiele razy manifestowała przeciwne poglądy. Zadaniem więc p. ministra będzie ująć ją w karby i do ideologji sanacyjnej nakłonić. O ile zadanie to w szkołach średnich jest niezmiernie trudne i problematyczne, o tyle na terenie wyższych uczelni wydaje się nam niemożliwem do spełnienia. Usiłowania doprowadzą tylko do wielkich konfliktów, a może i zaburzeń. Walki z młodem pokoleniem żaden rząd jeszcze nie wygrał na dalszą metę, bo przecież czas upływa, pokolenie młode prędzej czy później dojdzie do głosu, wszak za lat nie wiele sam p. Jędrzejewicz przestanie być ministrem, inni dygnitarze również przejdą prędzej, czy później do mniej lub więcej sławnej historji.

Po drugie, trzeba zdawać sobie sprawę, że zimne, lub nawet wrogie ustosunkowanie się młodzieży akademickiej do B. B. W. R. nie jest dziełem intrygi tej, lub innej partji, lecz wyrazem poglądów tej młodzieży, jej zapatrywań na potrzeby i zadania państwa. Niezawsze zgadzamy się z tygodnikiem „Myśl Narodowa”. Trudno jednak odmówić słuszności poglądom, przedstawionym w ostatnim numerze tego pisma:

„Każde pokolenie w narodzie przynosi z sobą pewne usposobienia myślowe i uczuciowe. Rosnąc i rozwijając się, ulega wpływom zewnętrznym, chłonie w siebie oddziaływanie, idące od otoczenia i płynące z przeszłości, wśród wpływów tych jednak wybiera to, co odpowiada jego usposo-

bieniom myślowym i uczuciowym. Tak powstają ruchy i prądy społeczne, które charakteryzują różne epoki.

Jeśli młode pokolenia w Polsce odrodzonej zwracają się przeciw „sanacji", to nie pod wpływem jakichś bliżej nieokreślonych machinacyj lecz dlatego, że są duchowo tej „sanacji" obce. Jest też złudzeniem przypuszczanie, że można zabiegami natury mechanicznej— zakazami, prześladowaniem opornych rozwiązywaniem organizacyj, nadzorem i t. p.—zmienić duszę młodego pokolenia. Wszak mamy w dziejach tyle przykładów, że się to nigdy nie udawało, że prowadziło do zaburzenia normalnego rozwoju, łamało jednostki słabsze, pozostawiało na długie lata następstwa wykoszlawień duchowych, lecz nie dawało pożądanych wyników.

Nikt też nie zdoła zgnieść prądu ideowego młodych pokoleń w Polsce odrodzonej. Conajwyżej można uzewnętrznienie się tych prądów utrudnić, a ich rozwój wypaczyć, nie na pożytek wszakże tych, co nacisk mechaniczny wywrzeć usiłują, lecz na krzywdę narodu".

Widocznie program sanacyjny i metody tego obozu większości młodego pokolenia, kształcącego się na wyższych uczelniach nie zadawalniają. Na to niema rady. Zapomocą represji nie zmieni się sytuacji, przeciwnie, nastroje ulegną jeszcze większemu zaostrzeniu, może dojść do strajku, czy do zamknięcia wyższych uczelni...

Tem mniej jeszcze można zmusić profesorów do wyznawania takich, czy innych poglądów politycznych. Wprawdzie można zamianować na profesorów ludzi według ich zapatrywań, ale taka metoda prędzej czy później musiałaby doprowadzić do upadku wszechnic — do szalonego obniżenia poziomu naukowego...

Względy te jednak zupełnie rzeczowe i objektywne nie odgrywają widocznie odpowiedniej roli w umysłowości obecnych kierowników Ministerstwa Oświaty. Oto ukazał się w Dzienniku Ustaw dekret zmieniający stosunek służbowy profesorów wyższych uczelni, zwiększający nadzór i kontrolę rządu nad profesorami. Między innemi dekret przewiduje, że Minister Oświaty władny jest zawiesić profesora w obowiązkach wrazie wytoczenia mu sprawy dyscyplinarnej. Pomocnicze zaś siły naukowe ujęte są w jeszcze silniejsze karby i podlegają specjalnym ocenom kwalifikacyjnym: dobry, dostateczny i niedostateczny, przyczem dwukrotna ocena niedostateczna powoduje rozwiązanie stosunku służbowego.

Plan zarysowywuje się zupełnie jasno. Z jednej strony chodzi o wzięcie w karby młodzieży akademickiej — z drugiej

zaś strony o wywarcie odpowiedniego wpływa na profesorów. W tym celu znosi się, a przynajmiej znacznie ogranicza — autonomję uniwersytecką, będącą jedną z najtrwalszych i najbardziej wypróbowanych zdobyczy społeczeństwa w dziedzinie życia samorządowego, instytucję, sięgającą jeszcze czasów średniowiecznych, w żadnym wypadku nie mogące szkodzić państwu. Równocześnie zaś usiłuje się ograniczyć autorytet i rolę profesorów, tych przedstawicieli nauki w całym tego słowa znaczeniu—do poziomu urzędników, podległych i zależnych od ministra, lub wykonawców jego woli. Nie twierdzimy, że wszystkie przepisy nowego dekretu są złe, lecz wszak sposób wykonania odgrywa rolę pierwszorzędną. Nie łudźmy się zaś— wiemy, jakie będzie wykonanie. Zbyt dużo przykładów mieliśmy dotychczas...

Tak więc dla doraźnego celu politycznego, który i tak nie zostanie osiągnięty — narażona zostanie na wstrząsy, konflikty i upadek, jedna z najważniejszych instytucji nowego życia polskiego — instrument nauki—Alma Matris Poloniae.

Podziwiać można, zaiste, energję i konsekwencję, godną lepszej sprawy—z jakimi system sanacyjny podważa najważniejsze instytucje naszego życia zbiorowego. U podłoża umysłowości tych dziwnych i ponurych reformatorów tkwią zasadnicze błędy, które kiedyś fatalnie się odbiją na naszem życiu zbiorowem. Jednym z nich — to nienawiść do przeciwników politycznych, zaciemniająca i wypaczającą sąd na potrzeby państwa. Drugim zaś — to fatalny pogląd, podzielany przez wszystkich władców wschodnich, a obcy wielkim politykom zachodnio-europejskim, że siłę państwa należy identyfikować z całkowitem podporządkowaniem się jemu, a przez to i osłabieniem społeczeństwa we wszystkich dziedzinach.

Taki typ państwa jest odpowiedni na równinie euazjatyckiej, wśród szczepów wschodnich, nie przyjmie się jednak i nie rozwinie w narodzie o kulturze i cywilizacji, posiadającej silne pierwiastki chrześcijańskie i zachodnio-europejskie. W takim narodzie społeczeństwo nie może być niewolnikiem, lecz powinno być źródłem siły i energji dla państwa, rezerwuarem jego sił i kontrolerem jego działalności. Niech organa władzy państwowej będą najsilniejsze, ale niech źródłem ich siły będzie energja, jaką potrafią wykrzesać z żywych sił narodu. Bez-

płodne zaś zmaganie się państwa ze społeczeństwem, którego rezultatem może być tylko obustronna utrata sił — doprowadzi w końcu do osłabienia państwa na pobojowisku pokonanego społeczeństwa.

Kto tego nie rozumie i nie uznaje — ten przegrał wobec Boga, wobec Narodu i wobec trybunału historji!

Stefan Kaczorowski.

Prawo do życia.

Kryzys... 20 miljonów pracowników pozbawionych pracy, wyrwanych z trybów normalnego życia. Jeśli weźmiemy, że przeciętnie każdy z nich utrzymywał rodzinę, złożoną z czterech osób—to wypadnie, że 80 miljonom grozi nędza. Prawda, że w niektórych krajach istnieją ubezpieczenia od bezrobocia, lecz one tylko przez krótki stosunkowo czas wypłacają zasiłki. Co dalej? To co dostaną w drodze łaski z instytucji dobroczynnych to tylko okruchy, które może im pozwolą zaspokoić zwierzęcy głód, ale napewno nie zapewnią im, choćby najskromniej pojętych, możliwych warunków życia. Wszak każdy ma prawo do życia, każdy ma prawo założyć ognisko rodzinne i być człowiekiem (nie żebrakiem). Czyż można wyobrazić sobie większą tragedję nad tą, którą muszą przeżywać ludzie pełni sił życiowych, nie mogący zapracować na kawałek chleba, zmuszeni do życia w nędzy i upodleniu. A te szeregi bezrobotnych wciąż jeszcze rosna i rosną... Coraz nowe pokolenia ustępują i wraz nowe warsztaty pracy się zamykają. Najgorzej jest w krajach wysoko uprzemysłowionych t. zn. w Anglji i w Niemczech. Według ostatniej statystyki w Niemczech jest bez pracy 5.261.000 osób, w Anglji i Irlandji 2.946.808. W innych krajach jest nieco lepiej, ale bardzo niewiele. Jeśli dla większej przejrzystości określimy ilość bezrobotnych, w poszczególnych krajach, w procentach to okaże się, iż w Anglji jest 22,9 proc., w Niemczech 28 proc, w Belgji 40,5 proc, w Austrji 21,5 proc, w Holandji 32 proc., w Danji 30 proc, i t. d. W Polsce w kwietniu 1932 r. oficjalnie zarejestrowanych było 369 031. Jednakże jest to cyfra śmiesznie mała. Nie liczy się tu przedewszystkiem ludności wiejskiej, która się nie rejestruje w urzędach. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że Polska

to kraj przedewszystkiem rolniczy, należy uznać, że statystyka, która nie zawiera danych co do większości obywateli nie może dać nam obrazu naszej rzeczywistości. W braku cyfr urzędowych musimy się oprzeć na bezpośredniej obserwacji życia. Informacje nadchodzące ze wszystkich stron kraju stwierdzają wprost katastrofalny stan gospodarczy. Wracamy do archaicznych prymitywów życia ludzkiego. Są wsie, gdzie ludzie oddawna nie oglądają zapałek, powrócili do krzesiwa i krzemienia; zamiast soli t. zw. stołowej używają bydlęcej. Na kresach w pewnych miejscowościach na przednówku pieczono chleb z wrzosu i nim oszukiwano głód. Na szczęście jeszcze wszędzie tak nie jest. Ale sam fakt pojawienia się takich wypadków w XX wieku jest bardzo znamienny i zatrważający. Zresztą gdzieindziej jakkolwiek jeszcze chleba z wrzosu się nie piecze, niemniej nędza i tak jest straszna.

Trzeba pamiętać o jednem: miljony bezrobotnych mogą głodować jeszcze rok lub dwa. Ale co dalej? Głód jest złym doradcą. Czyż można będzie się dziwić, że doprowadzone do ostateczności, masy schwycą się środków rozpaczliwych. Cóż stanie się wówczas z cywilizacją europejską? Czy w morzu krwi nie utonie wszystko to, co przywykliśmy czcić i kochać? Nad tem wszystkiem trzeba się zastanowić i poszukać środków zaradczych zanim nie będzie zapóźno.

Rozwiązują się więzy moralne. Ostatnio zdarzyły się wypadki, iż popełniono mordy dla zdobycia, dosłównie, kilkunastu złotych. Łódzki „Prąd" (№ 28) donosi: „Stwierdzono w ostatnich czasach, iż wśród kobiet uprawiających prostytucję uliczną w Łodzi, zanotowano młode osoby z wykształceniem, z maturą, zanotowano również osoby już starsze, wdowy, których całe życie poprzednie niczem nie wskazywało na tak żałosny upadek. To są fakty",

Jest jednak i odwrotna strona medalu. Kryzys obfituje w paradoksy. Masy staczają się na dno nędzy, ale są i tacy którzy żerują na powszechnej biedzie, robią kokosy. Redukuje się tysiące robotników, obcina się im i tak do niemożliwości małe zarobki, a jednocześnie dyrektorzy fabryk biorą po 100.000 miesięcznie. Podobne fakty wołają o pomstę do nieba.

Rzeczą zrozumiałą jest, iż jednostki wykształcone, bardziej utalentowane pobierają lepsze uposarzenia. Ale musi

być jakaś proporcja zachowana. Nie może jeden człowiek zarabiać tysiąc razy więcej niż drugi. Wyrzuca się jednego na bruk pod pozorem, że nie ma mu się za co płacić 100 zł. miesięcznie, podczas gdy drugi nie wie co z pieniędzmi robić. Młodzi ludzie, ze świetnymi dyplomami napróżno kołaczą choćby o najskromniejszy zarobek. W te sprawy musi wejrzyć władza państwowa. Tego winno zażądać całe społeczeństwo, bez różnicy przekonań politycznych.

Głośną jest od dłuższego czasu sprawa karteli. Niestety dotąd nie znalazła należytego rozwiązania. Dzięki zmowie solidarnie działających przemysłowców ceny fabrykatów są zbyt wygórowane, niejednokrotnie dla szerszych mas niedostępne. Są to artykuły pierwszej potrzeby np. żelazo, węgiel, cukier, nafta itd. Dla lepszego zilustrowania działalności karteli zajmę się bliżej cukrem. Cukrownictwo należy do najlepiej zorganizowanych gałęzi przemysłu. Fabrykacja, ceny, eksport—wszystko to znakomicie jest uregulowane. Wszyscy mogą podziwiać świetnie zorganizowaną propagandę spożycia cukru. Znany napis: „cukier krzepi“ widnieje w najbardziej zapadłych miejscowościach.

Niestety, krzepi, ale cukrowników, nie szeroki ogół. Nie każdy dziś może sobie pozwolić na kilo „krzepiącego” artykułu. Na skutek akcji opinji społecznej cena nieco została obniżona. Jest ona jednak jeszcze zbyt wielka, aby krok ten miał większe znaczenie. Następnie cukrownicy potrafili obniżkę przerzucić na rolników, którzy i tak w bardzo ciężkim znajdują się położeniu. W rezultacie w tych ciężkich czasach stwarza się nieliczna warstwa uprzywilejowanych. Przycichła w ostatnich latach nienawiść klasowa znów wybuchnie. Ci wszyscy, którzy zbijają fortuny powinni pamiętać, iż propaganda komunistyczna nie ustaje w kreciej robocie. Historja jest mistrzynią życia. Niech sobie przypomną dzieje carskiej Rosji.

W połowie XIX wieku sądzono, iż cała Europa pogrąży się w konwulsjach rewolucji socjalnej. Dola ówczesnego robotnika była straszna. Dzięki ideologji chrześcijańsko-społecznej wiele zrobiono dla polepszenia doli proletarjatu i po przez stopniowe reformy płac, warunków pracy, ubezpieczenia społeczne, zażegnano niebezpieczeństwo. Encykliki Ojca Świę-

tego Leona XIII były „magna carta libertatum" ludu pracującego. Dziś znów kopie się przepaść pomiędzy przemysłowcem a robotnikiem. Każdy, komu na sercu leży dobro ludzkości winien się tej nikczemnej robocie przeciwstawić. Przedewszystkiem my katolicy musimy żądać przestrzegania zasad chrześcijańskich w życiu codziennem. Nie wolno nam spokojnie patrzeć na niedolę miljonów. Ojciec Święty Pius XI w encyklice „Quadragesimo Anno" nawiązał do tradycji Leona XIII i jego słynnej „Rerum novarum". Apel najwyższego Pasterza nie może przebrzmieć bez echa. Musimy podjąć wielkie myśli głoszone przez Ojca Świętego i iść z nimi w życie.

Kryzys dzisiejszy to przedewszystkiem kryzys moralny. Chwieje się spoganiały, przeżarty egoizmem ustrój kapitalistyczny. Ręka Boża oddawna już wypisała na nim złowróżbne „Mane, Tekel, Fares". Złoty cielec zbyt wiele pochłonął już ofiar, musi runąć. Materjalizm może przynieść chwilowe korzyści, ale nie może wystarczyć na dłuższą metę. Pieniądz może być środkiem i to potężnym środkiem, ale nie wolno z niego robić celu. Dziś dla wielu jest on religją, nowem objawieniem, bóstwem. Gotowi są do niego iść po przez łzy i niedolę ludzką.

Odzywają się nawet głosy, że cały współczesny kryzys jest machinacją bankierów, którzy spowodowawszy sztucznie drożyznę pieniądza, wielokrotnie pomnożyli wartość swych kapitałów.

Jest to bardzo podobne do prawdy. Wszystkim jest wiadomem, iż w taki sposób sztucznie śrubują cenę kawy plantatorzy południowej Ameryki. W Stanach Zjednoczonych znów projektuje się zniszczenie dużych ilości pszenicy. Dzieje się to w czasach, gdy miljony ludzi cierpi głód. W Chinach i w Indjach Wschodnich tysiące ginie z braku pożywienia. Powyższe fakty świadczą, iż pewne warstwy społeczne są wyzute ze wszelkich „ludzkich" pierwiastków. Człowiek otrzymał od Boga pewne dobra dla korzystania z nich w godziwy sposób i podtrzymania życia. Nie wolno tych darów Bożych dla celów egoistycznych marnować.

Ramy krótkiego artykułu nie pozwalają niestety szerzej rozwinąć paradoksów życia współczesnego. Niejednokrotnie jeszcze do tych zagadnień powrócimy. Czas wreszcie w te

sprawy bliżej wejrzeć i podjąć reformę. Praca nie będzie łatwa. Trzeba zmienić od podstaw duszę człowieka XX wieku. Inne musi być nastawienie jednostki do spraw życiowych. Należy patrzyć na sprawy ziemskie nietylko pod ciasnym kątem doczesnym, ale wziąć pod uwagę pewne wyższe wartości. Człowiek nie jest zwierzęciem, nie może mu wystarczyć tylko „użycie". Czas, aby materjalistyczne teoryjki poszły tam, gdzie jest ich właściwe miejsce — na śmietnik historji. Ich dziełem jest współczesny kryzys. Gdyby nie było tego morza egoizmu i wyzysku, gdyby innemi torami szła gospodarka światowa, nie byłoby bezrobocia i jego straszliwych skutków. Trzeba ludziom przypomnieć altruistyczne zasady religji i moralności Chrystusowej, skoro zostaną wzmocnione podstawy moralne człowieka, cały szereg problematów zostanie rozwiązanych i zniknie wiele bolączek nas gnębiących. Przedewszystkiem należy wywalczyć, aby widzianą w człowieku nietylko siłę roboczą, ale i bliźniego, który ma prawo do życia i szczęścia osobistego. *Zygmunt Prószyński.*

Stróże Jasnej Góry — OO. Paulini.

W związku z jubileuszem sprowadzenia Cudownego obrazu Matki Bożej na Jasną Górę łączy się ściśle jubileusz sprowadzenia na ziemię polską stróżów tego skarbu narodowego białych OO. Paulinów. Władysław książę Opolski, umieszczając obraz Cudowny na Jasnej Górze, oddaje jednocześnie straż nad nim zakonnikom św. Pawła I pustelnika. Dlaczego właśnie im, a nie komu innemu, powierzył książę pieczę nad obrazem, nie jest rzeczą trudną do wytłumaczenia.

Będąc krewnym króla Ludwika Węgierskiego, młody książę otrzymał wychowanie na jego dworze, a potem często odwiedzając w stolicy Węgier swego królewskiego kuzyna, wspólnie odwiedzali klasztory paulińskie, gdyż Ludwik był wielkim przyjacielem Zakonu. Jak kroniki węgierskie podają, król często odwiedzał klasztor św. Wawrzyńca pod miastem Budą, brał udział w ćwiczeniach duchownych, tam oczyszczał swoje sumienie i obdarzał Zakon wielkiem zaufaniem. To za-

ufanie do Paulinów zwiększyło się jeszcze, gdy król uwikłany w wojnę z potężną naówczas Wenecją zaczął stygnąć w zapale na widok niepomyślnych rezultatów i był bliski zwątpienia. Paulini podnosili go na duchu, modlili się i przepowiedzieli, że wojna skończy się dla Węgier pomyślnie. Tak się też stało. W 1381 r. po kilku latach krwawych zmagań stanął zwycięski pokój z Wenecją. To też zapewne pod wpływem króla Ludwika, a także i ogólnej opinji o wielkiej świątobliwości Paulinów, których św. Jan Kapistran nie zawahał się nazwać „aniołami w ludzkiem ciele"—książę Opolski, wybierając zakon na stróżów obrazu Matki Bożej, upatrzył go sobie w Paulinach.

Skąd Zakon OO. Paulinów bierze swój początek?

Ojcem i patryarchą tego zakonu jest św. Paweł I pustelnik, żyjący w IV wieku po Chrystusie. Jako młodzieniec ucieka z domu z powodu prześladowania Decyusza i ukrywa się w pustyniach Tebaidy, w górnym Egipcie, gdzie w surowem życiu i ciągłej modlitwie dożył lat 113. Po jego śmierci znalazło się wielu naśladowców tak, że według współczesnych historyków, a zwłaszcza św. Hieronima, pustynie Tebaidy zaludniły się samotnikami. Z Afryki życie pustelnicze przeniosło się do Europy i w XII wieku południowe części Węgier posiadały już bardzo wielu takich ludzi, którzy w samotności, zdala od świata, w ustroniach, lasach i pieczarach w ciągłej modlitwie naśladowali św. Pawła i nazywali się jego synami. Właściwy początek dał zakonowi bł. Bartłomiej, biskup pięciu kościołów na Węgrzech, w którego diecezji, w samotnych górach i lasach przebywało najwięcej pustelników. On to w roku 1215 zbudował olbrzymi klasztor św. Jakóba w Patalch, umieścił w nim część pustelników, dał im regułę życia i tym sposobem stworzył wielkie ognisko życia zakonnego, skąd przykład świętości i modlitwy rozchodził się po całej djecezji. Około roku 1250 podobny klasztor założył bł. Euzebjusz, kanonik ostrzychomski, który, opierając się na widzeniu, zebrał pustelników w djecezji ostrzychomskiej i umieścił ich w klasztorze św. krzyża w Pilisium. W 1261 r. bł. Euzebjusz udaje się do Rzymu i przy poparciu św. Tomasza z Akwinu otrzymuje od Urbana IV zatwierdzenie zakonu. P. Bóg błogosławił nowemu zakonowi, a sława jego świętości sprawiła, że pod

koniec XIV wieku było na samych Węgrzech przeszło 70 klasztorów dobrze zorganizowanych, pełnych gorliwych zakonników, gdzie dniem i nocą bez przerwy chwalono Boga. Tak np. klasztor św. Wawrzyńca pod Budą miał 500 zakonników. Z Węgier Paulini rozeszli się po Europie, a jednym z pierwszych krajów, dokąd się przenieśli ojcowie była ziemia polska.

* * *

OO. Paulini w liczbie 16, sprowadzeni przez Władysława Opolczyka w 1382 roku na Jasną Górę, byli nasieniem, z którego wyrość miało na polskiej ziemi wspaniałe drzewo, przysparzające Ojczyźnie siły i chwały. Klasztor Jasnogórski był macierzą wszystkich klasztorów tejże reguły: tu rezydował prowincjał, a dzieje tego klasztoru są tak ściśle połączone z dziejami innych klasztorów paulińskich, że jego historja jest historją Paulinów w Polsce. Wszystkich klasztorów w Polsce zakon posiadał 25, z których jedynie Jasnogórski przetrwał przez wszystkie burze i prześladowania. Matka Boża cudownie zachowała go od powszechnej zagłady. Zakon OO. Paulinów tak jest ściśle i wewnętrznie zespolony z Jasną Górą, tyle wieków biały habit strzegł tu narodowych świętości, tyle się przyczynił do podniesienia jej uroku i wielkości, tak wiernie dzielił z nią radości i bóle, że Jasna Góra a Paulini tworzą jedno nierozerwalne pojęcie. Chwała i wielkość Zakonu w Polsce rosła i potężniała z chwałą i wielkością Jasnej Góry, a jej nieszczęścia robiły głębokie rany i wyrwy w Zakonie. Bł. Stanisław Oporowski, Kozbiałowicz, Żywiecki, Kordecki, Czechowicz, Krasuski, Gołdonowski, Muszyński — to kolumny i luminarze Zakonu,—a to światło, którem jaśnieli i siłę, którą w sobie czuli, nie skądinąd, jeno u stóp Matki Bożej na Jasnej Górze czerpali. Na Jasnej Górze wzrósł i spotężniał duch pauliński, a na niego składały się nietylko cnoty ściśle zakonne jak: ubóstwo, czystość i posłuszeństwo ale i pewna rycerskość, zdrowy patryotyzm i szczególniejsze ukochanie polskiej ziemi. Świętości w nim nie brakowało i każde pokolenie wydawało ze swego grona szereg takich, co oderwani od ziemi duchem tylko żyli, i miłością Bożą spaleni, godni są czci na ołtarzach naszych.

Odwieczna jednak tradycja, mająca swoje podłoże w niskim o sobie rozumieniu twórców zakonu nie pozwalała nigdy

wszczynać starań o ich kanonizację. Nauka i oświata kwitnęła w Zakonie, a takie umysły wybitne jak: Gruszkowicz, Staszewski, Czechowicz, Moszyński mogły śmiało stanąć w szeregu największych uczonych ówczesnej Europy. To też Klemens X bullą z dnia 3 kwietnia 1671 r. nadał O. Generałowi Paulinów prawo nadawania dyplomu Doktora św. Teologji i Filozofji swoim zakonnikom. Nie zasklepiają się jednak w swoim własnem kółku, lecz pochodnię oświaty niesiono wszędzie; przy klasztorach paulińskich zwykłe zakładano szkoły, które były wśród ludu rozsadnikami zdrowej wiedzy i gruntownej cnoty.

W Zakonie Paulinów spotykamy potomków prawie wszystkich znakomitych rodów polskich, zarówno jak i przedstawicieli niższych warstw: jest to jeden z dowodów, że Jasna Góra, jako sanktuarjum narodowe, pociągała ku sobie serca wszystkich Polaków.

Pięć i pół wieków łączy Zakon Paulinów z Jasną Górą. Obrani przez Księcia Opolskiego za stróżów tego miejsca świętego, pozostali nimi do dnia dzisiejszego. I choć tyle zakonów, tyle klasztorów moskiewska przemoc usunęła z polskiej ziemi—na Jasną Górę i jej stróżów targnąć się nie śmiała, choć wiedziała, że bez nich łatwiej by jej poszło przeprowadzenie antykatolickich i antypolskich zamiarów.

Snać rozumiano dobrze w Petersburgu, że biali Ojcowie tak się zrośli z Jasną Górą i tak są zespoleni z cudownym Obrazem, że usunąć ich znaczyłoby coś oderwać od całości, która zajmuje najświętsze miejsce w sercu każdego Polaka. Po ostatniem powstaniu w 1864 r. wszystkie klasztory Paulińskie skasowano; pozostawiono tylko Zakon na Jasnej Górze. By jednak zgangrenować ducha zakonnego, ducha miłości Boga i Ojczyzny, Rosja nałożyła kaganiec wyjątkowych praw, pod naciskiem których duch ten miał słabnąć, psuć się, koszlawić.

Coprawda, cały Kościół katolicki w Polsce jęczał pod batem ciemięzcy, lecz skutki tego najwięcej uwydatnić się musiały w Zakonach, według znanej zasady filozoficznej: Corruptio optimi pessima (Najwstrętniejsze jest zepsucie rzeczy najlepszej).

Klasztor Jasnogórski, pozostawiony przez Rosjan, jak oaza na pustyni, pozbawiony możności wszelkich stosunków z Rzymem, ograniczony w przyjmowaniu i wychowaniu swoich nowicjuszy, krępowany samowolą miejscowych władz, których zadaniem było wprowadzenie do klasztoru rozluźnionego życia, a tłumienie wszelkich objawów zasad klasztornych, — był oderwany niejako od swego środowiska, był gałązką, odciętą niejako od pnia, żywą jeszcze, ale tylko wegetującą, wystawioną na wszelkie wpływy ujemne, a nie zasilany sokami pnia, z którego wyrosła.

Każdy, zdaje się, rozumie, że duch zakonny, jako doskonalszy od innych potrzebuje lepszej gleby, odpowiednich warunków i atmosfery Skoro tylko zabraknie jednego z nich, prędzej czy później musi nastąpić jeśli nie zanik, to przynajmniej spaczenie tej idei, której Zakon służy. Dopóki wszystkie warunki były, Zakon rozwijał się, wzrastał i tyle chwały przyniósł Jasnej Górze i całej Ojczyźnie, tłumiony zaś, skuty i demoralizowany — musiał się paczyć i od dawnego pionu w niejednem się odchylił, stąd wytłumaczenie smutnych wypadków z r. 1910. Taką atmosferę wprowadzał rząd rosyjski do klasztoru, niech zaświadcza fakt, że kiedy w 1912 r. kapituła klasztorna wydaliła pięciu kleryków, nieodpowiadających swemu powołaniu, rząd rosyjski wziął ich w obronę, potajemnie z niemi prowadził konszachty przeciw władzy klasztornej, poradził nie usuwać się z klasztoru i przez kilka miesięcy podtrzymywał jawny bunt. Dopiero oburzenie opinji publicznej miejscowej i zagranicznej, zmusiło rząd rosyjski do uznania uchwał Kapituły i do usunięcia wydalonych z klasztoru.

W wolnej Ojczyźnie Zakon OO. Paulinów odzyskuje powoli swą dawną żywotność. Jak wątła roślina wyrosła w cieniu, pod wpływem ciepła i światła nabiera rozpędu siły i życia, tak się też i tu stało. — Gdy z wybuchem wojny pękły pęta niewoli, jakkolwiek ciężkie były warunki okupacji, duch zakonny nie tłumiony świecką przemocą wroga, w krótkim czasie rozwijać się począł. — Od lipca 1910 r. przeorem klasztoru był O Justyn Weloński, człowiek życiowo doświadczony, zahartowany prześladowaniem Rosjan, krzepki duchem, mimo wieku podeszłego. Był on kiedyś sekretarzem Arcybi-

skupa Felińskiego, spędził na zesłaniu w Rosji lat kilka, potem był w Płocku regensem seminarjum i prałatem katedralnym, — i z Płocka wstąpił do klasztoru. Mąż niezłomnych zasad, w przeprowadzeniu postanowień nieugięty, umiał przekonań swych bronić i za nie cierpieć. Zmarł 16 października 1915 r. Od tego czasu aż do połowy października 1931 r. głową na Jasnej Górze, a jednocześnie zwierzchnikiem całego zakonu Ojców Paulinów był Ojciec Piotr Markiewicz, który od 1920 r. na skutek dekretu Rzymskiej Kongregacji nosił tytuł i władzę Generała. Mąż kryształowego charakteru i pełen ducha zakonnego potrafił w ciągu 16-tu lat swego przełożeństwa nietylko przyozdobić Jasną Górę nowemi monumentalnymi budynkami, ale co najgłówniejsze, dla rozwoju życia zakonnego był człowiekiem wprost Opatrznościowym. W 1930 roku jego staraniem zostały zatwierdzone konstytucje zakonne dostosowane do czasów obecnych i opatrzone specjalnem błogosławieństwem Ojca św. Piusa XI-go. Na podstawie tych konstytucyj urząd Generała Zakonu został oddzielony od urzędu Przeora Jasnogórskiego i została zwołana kapituła generalna, na której Generałem Zakonu został Ojciec Pius Przezdziecki, a przeorem został Ojciec Dominik Zienkowski.

W ten sposób, Zakon otrzymawszy należytą organizację, może spokojniej, jaśniej patrzeć w przyszłość. Ojciec zaś Piotr Markiewicz, widząc, że spełnił zadanie jakie na niego Zakon włożył, dobrowolnie usunął się od wszelkich proponowanych mu urzędów i prosił, jako o największą łaskę, by mógł przez kilka lat odpocząć w jakim cichym klasztorze.

Obecnie na Jasnej Górze jest 25 zakonników; w tej liczbie 10 braci. Liczba, jak na Jasną Górę — bardzo skromna i nie byłoby za dużo, gdyby ich było trzy razy tyle. Prócz Jasnej Góry Ojcowie mają klasztor na Skałce w Krakowie, gdzie jest obecnie Juwenat t. j. mniejsze seminarjum dla chłopców, pragnących poświęcić się P. Bogu i Matce Bożej w Zakonie; jest tam również i klerykat, gdzie młodzież zakonna po złożeniu ślubów przygotowuje się do kapłaństwa, uczęszczając na wykłady do Instytutu Teologicznego księży Misjonarzy. Nowicjat zaś od 1928 r. mieści się w Leśnej na Podlasiu.

Paulini posiadają dotychczas trzy klasztory i obecnie są tylko w Polsce, spodziewać się jednak można, że w Odrodzonej i Wolnej Ojczyźnie skoro wzrośnie liczba synów św. Pawła, biały habit zawita i w tych okolicach, skąd go przemoc wygnała. Obecnie Biskupi węgierscy czynią wszelkie usiłowania, ażeby Paulini powrócili znowu na Węgry, gdzie jest ich kolebka i gdzie Józef II-gi cesarz Austrji wszystkie klasztory paulińskie skasował. Ojcowie Paulini wierzą głęboko, że obecny jubileusz sprowadzenia cudownego Obrazu i zarazem jubileusz sprowadzenia ich na polską ziemię, da młodzieży polskiej sposobność do zaznajomienia się z tym Zakonem i przez przyczynę Jasnogórskiej Pani obudzi niejedno dobre powołanie do królewskiej służby Matki Bożej na Jasnej Górze.

W wolnej Polsce, by stała się mocarną, wielką i bogatą, dużo jest do zrobienia; przedewszystkiem jednak potrzeba, by duch Narodu był zdrowy, silny i na wierze katolickiej oparty. W tem urobieniu ducha Narodu, w oczyszczaniu go z wad i przywar, w kształtowaniu wielkich charakterów na wzór naszych praojców — Jasna Góra zajmuje jedno z pierwszych miejsc. Praca więc nad Narodem i jego duszą, nad ugruntowaniem całości duchowej Ojczyzny, nad wyrobieniem w dzisiejszych czasach tężyzny moralnej — to zadanie Zakonu Ojców Paulinów na Jasnej Górze. Czy może być coś wspanialszego, coś bardziej dla szlachetnych, ofiarnych i młodych serc pociągającego? Czy można pożyteczniej życie swoje spędzić, jak ofiarując je Matce Bożej w darze, jako jej sługa, dworzanin czy stróż.

Paulini są obecnie wyłącznie polskim Zakonem, a duch patryotyzmu, jaki nieraz ujawniali w historji polskiej, zrobił z nich Zakon Narodowy; to też w dniu Jubileuszu mają obowiązek i prawo odwołać się do społeczeństwa o ofiarę z tego co ma najszlachetniejszego, tj. ze swych synów.

Im więcej będzie stróżów na Jasnej Górze, tem więcej przez nich czynić będzie Maryja, tem owocniejsza będzie ich praca, tem większa chwała Boża w Ojczyźnie, a gdy z Jasnej Góry pójdą Paulini do innych krajów, zaniosą ze sobą cześć i chwałę dla swej polskiej Ojczyzny.

Wszelkich informacyj w sprawie wstąpienia do Zakonu chętnie udziela Przełożony Generalny na Jasnej Górze.

O. Aleksander, Paulin.

Dziwne drogi..

W „Neue Freie Presse" podniesiono kiedyś wielki alarm z racji stracenia przez powieszenie dwóch trucicielek na Węgrzech. Autor w obszernych wywodach rozdziera szaty, piętnując w ostrych słowach „tak niebywałe okrucieństwo". Stanowisko to skądinąd słuszne nasuwa smutne refleksje. — Oto zatraciliśmy zmysł wielkości i proporcjonalności uczuć. Oburza nas i całą opinję ukaranie zwyrodniałych zbrodniarek, a spokojnie pomijamy milczeniem szereg o wiele gorszych i boleśniejszych krzywd. Przewozimy samolotami do ciepłych krajów kilkadziesiąt tysięcy jaskółek zaskoczonych przez wczesną zimę; a jednocześnie obojętnie słuchamy wieści o głodowej śmierci 10 miljonów Chińczyków i przechodzimy do porządku nad prześladowaniem kościoła w Hiszpanji.

Nikt też nie myśli o ratowaniu tych, którzy życie swe złożyli na ołtarzu miłości bliźniego.

A co się stało z tym wspaniałym humanitaryzmem na przedmieściach i w fabrykach, gdzie robotnik za 70 szylingów miesięcznie ma wyżywić i ubrać liczną rodzinę, podczas gdy jeden z dyrektorów w tej samej fabryce pobiera 40.000 szylingów a więc 571 razy więcej.

Dlaczego o tem się milczy, dlaczego o tem nie piszą w gazetach? Dlaczego godzimy się ze spokojnem sumieniem na 40 gr., jako wystarczający budżet dzienny rodziny bezrobotnej? Dlaczego piszemy o tylu wspaniałych luksusowych uczuciach, a nie mamy czasu na pomyślenie o zwykłej, skromnej kromce chleba, dla wielu, może nawet bardzo wielu ludzi?

Przeraża nas stracenie dwóch zbrodniarek węgierskich, a spójrzmy na własne dłonie. Czy nie plami ich krew, krew niewinnych ofiar naszego samolubstwa, egoizmu i niesprawiedliwości społecznej.

Wczoraj przyszedł do mnie jakiś taki sobie zwyczajny pan z inteligencji. — Dziennikarz. Do niedawna zagraniczny

korespondent pism polskich, obecnie bezrobotny, wyrzucony na bruk rozbitek. Nie ma tu nikogo, nie ma za co rąk zaczepić. Prosił choć o parę złotych, o parę złotych pożyczki.

— Przecież kiedyś musi się to zmienić — tłómaczył, — ja oddam, ja żebrać nie chcę, nie mogę.

— A jeśli nikt mi nie pomoże — kończył z dziwnym błyskiem w oczach, to muszę jakoś skończyć z tą straszną wegetacją.

Ale poco sięgać aż do osobistych wrażeń i rozmów. Wystarczy wziąść pierwszą lepszą gazetę i przejrzeć kronikę:

Oto czytamy sami:

W Rembertowie otruł się nieznaną trucizną 29-letni robotnik Jan K. Nieszczęśliwego w stanie groźnym przewieziono do szpitala. Jak ustaliło dochodzenie policyjne, powodem samobójstwa był głód i brak pracy. K. nie jadł od 8 dni.

A dalej:

Na ul. M. wydarzyła się tragedja, która wstrząsnęła mieszkańcami okolicznych domów. Oto 18-letnia Zofja W. zatrudniona w fabryce puszek a zam. przy matce wdowie została zwolnioną z pracy. W piątek wieczór przyszła do swej przyjaciółki. Pozornie rozmawiała zupełnie spokojnie, aż nagle zbliżywszy się do balustrady balkonu skoczyła na bruk. Zbiegli się natychmiast mieszkańcy domu, aby ratować desperatkę, dającą już tylko słabe oznaki życia. Przybyło również pogotowie, a lekarz stwierdził u nieszczęśliwej złamanie podstawy czaszki, złamanie nogi oraz obrażenia wewnętrzne. W beznadziejnym stanie przewieziono desperatkę do szpitala.

A takich notatek mamy bardzo, bardzo wiele. Tak wiele, że znalazł się nawet przedsiębiorca, który chciał otworzyć w Warszawie specjalny sklep dla samobójców. Miały się tam znaleźć najrozmaitsze sznurki, rewolwery automatyczne, pigułki trujące itp.

Dwie teorje starają się tłómaczyć nasilenie samobójstw. Jedna uzależnia skłonności samobójcze od temperatury, druga t. zw. socjologiczna od sił żywotnych jednostek i warunków społecznych. W odniesieniu do stosunków naszych można mówić przedewszystkiem o tej drugiej koncepcji.

Nędza bierze ludzi w swe okropne szpony, zabija w nich wszelka energję i gasi nawet nadzieję. My przechodzimy koło

tych jednostek obojętnie, tak obojętnie, jakby ci ludzie przestali dla nas istnieć, jakby już ich wogóle nie było. I niepostrzeżenie sączy się do duszy jad rozpaczy.

Odchodzą też ci ludzie od nas z bluźnierstwem na ustach, w nienawiści i żalu. A zresztą czy tylko oni, czy tylko nędzarze i wykolejeńcy? Iluż odchodzi nawet w dostatkach, a jednak bez Boga i bez miłości. Nie znaleźli bowiem na drodze życia serca, nie znaleźli człowieka, któryby im pomógł dźwignąć się ku słońcu. Przypominam sobie taką skromną, zwykłą historję.

— Proszę mi nie przeszkadzać, — chcę mieć spokój przed śmiercią — mruczy wściekle chory gruźlik, — i odwraca się z pogardą od odwiedzającej. — Zdechnę tak samo jak pies, — i zgniję w ziemi jak każde inne zwierzę — dodaje, — i przymyka oczy na znak, że dalsza rozmowa jest wykluczona.

Chory liczy zaledwie lat 25,—ma żonę i kilkomiesięczne dziecko. — Biedy u nich niema.

Gorycz jednak wzbiera w jego sercu na myśl, że wszystko to trzeba będzie opuścić, niedługo, może nawet za kilka dni. —

I za co, za co taki marny los? — Żyją leniuchy, pijaki, złodzieje, nieroby, — a on pilny, zdolny rzemieślnik, uczciwy mąż i ojciec musi odejść! — Niema sprawiedliwości, — bodaj to cholera...

— I jeszcze mówicie, że jest Bóg, — a niech was...

I z ust chorego sypią się znów przekleństwa.

Niema rady, niema sposobu ujęcia go czemkolwiek; ma wszystko, czego choremu potrzeba: czystą pościel, staranną i wierną opiekę, ma wreszcie dobre pożywienie, o ile je przyjąć jeszcze może. Na stoliku przy łóżku stoi nawet butelka wina, sok i owoce.

— Proszę sobie pójść i nie zawracać mi więcej głowy, — decyduje ostatecznie chory. Opiekunka wychodzi cicho. — Nie trzeba drażnić. Lecz w pokoju chorego niema kwiatów.

Nazajutrz opiekunka powraca z bukietem.

— To bławatki już kwitną? — dziwi się chory. Z zainteresowaniem robi przegląd przyniesionych ziół. Potem żąda wazonu i każe przyniesiony bukiet postawić blisko łóżka,

— Bardzo lubię kwiaty, — mówi łaskawie — bardzo za niemi tęsknię — a tak dawno nikt nie pomyślał, aby mi je przynieść.

Odtąd co dnia przynosi opiekunka wiązankę najrozmaitszych kwiatów. Nie rozmawia się o rzeczach poważnych, mówi się ot tak lekko, o wszystkiem,—nowinki dnia, ciekawe rzeczy z gazet, ploteczki. Chory czasem śmieje się, czasem, słucha obojętnie, czasem zaczyna bluźnić, obserwując z pod oka „gościa", czy się gorszy. Ale „gość" przeważnie nie słyszy takich wycieczek, — i chory trafia swojemi zatrutemi strzałami w próżnię.

Pewnego dnia opiekunka przynosi róże, śliczne pachnące, pąsowe róże. Chory unosi się na łóżku rozradowany.

— Ogromnie lubię róże — szepcze, — najwięcej z wszystkich kwiatów, proszę mi je podać. — Chory odbiera kwiaty, przykłada je do ust, do twarzy, tuli do piersi. Coś jest w tem z macierzyństwa i coś z podświadomej tęsknoty za słońcem i życiem.

— Lubi pan róże, to tak samo jak mała Tereska z Lisieux, — ryzykuje pani.

— Słyszałem coś o niej. — Modna święta, — uśmiecha się chory, lecz tym razem bez zwykłej złośliwości.

Pani zaczyna wspominać rozmaite szczegóły z życia małej świętej. I dziwna rzecz, chory zamiast bluźnić, układa się wygodnie z różami przy twarzy i słucha... słucha milcząc...

Tego samego dnia Karmel otrzymuje prośbę o modlitwę i ofiarowuje w zamian relikwie, obrazek i kilka róż z własnego ogrodu.

— Tereska przysyła swój portret i małą pamiątkę, a dzisiejsze różyczki to z jej ogrodu. Czy pan przyjmie, — czy mam zabrać z powrotem? — pyta nazajutrz opiekunka.

— Niech pani da to wszystko, może tu pozostać, — decyduje chory.

Rozmowa płynie tego dnia jakoś swobodniej i weselej. Chory słucha wielu rzeczy, na które poprzednio byłby odpowiedział najszkaradniejszem bluźnierstwem. Jest łagodny, spokojny, prawie radosny.

Lecz czas nagli, — nie można dłużej zwlekać, — następnego ranka przychodzi ksiądz z ostatnią przysługą.

— Cholera, — a niech tą panią piorun strzeli, — klnie po raz ostatni w życiu chory, — W następnej jednak chwili pozwala usiąść księdzu przy łóżku i pozostaje długo... długo — sam na sam...

Twarz umierającego rozjaśnia wewnętrzna pogoda, — oczy są dobre i spokojne.

Ale, gdy kto zbliża się do łóżką, odwraca się do ściany i kryje wstydliwie twarz.

— Namówili go, — ładny kawał. Co powiedzą towarzysze z partji.

A jednak... a jednak tak mu dobrze!

W następnych 24 godzinach chory umiera, spokojny i pojednany z Bogiem.

Dziwnemi zaiste drogami idzie apostolstwo świeckich.

Brat Cezary.

Na froncie walki.

Polski świat naukowy w obronie autonomji uniwersyteckiej — Typ państwa-Molocha — Polityka ministra Jędrzejewicza — P. Rajchman ma też swoją linję — Dwutorowość w polityce religijnej i kościelnej Rządu — Tolerancja wobec sekt — Zuchwałość i pewność siebie wrogów Kościoła — „Bramy piekielne nie zwyciężą Go".

Piszemy już w innym miejscu o grożącym faktycznie zniesieniu autonomji Uniwersytetów. W sprawie tej, niezmiernie ogół interesującej i niepokojącej — przybyły nowe fakty. Oto, jak donosi prasa codzienna — w dniach 6 i 7 listopada „obradowała w Warszawie konferencja rektorów szkół wyższych. Przedmiotem narad był nowy projekt ustawy o organizacji szkół wyższych. Konferencja rektorów podtrzymała jednomyślnie stanowisko, jakie zajęli rektorowie na sesji z ministrem wyznań religijnych i oświecenia publicznego w dniu 23 września 1932 r., iż dla pomyślnej działalności i rozwoju szkół wyższych jest rzeczą konieczną utrzymanie autonomji nietylko nauki i nauczania, ale także w zakresie wychowawczym i ad-

ministracyjno-naukowym. Konferencja wręczyła panu ministrowi memorjał w tej sprawie".

Stanowisko zajęte w tej sprawie przez rektorów wyższych zakładów naukowych omawia w sposób następujący krakowski „Głos Narodu":

Komunikat rektoratu U. J. precyzuje ściśle i jasno stanowisko rektorów wszystkich wyższych szkół akademickich w Polsce wobec projektu ustawy o organizacji szkół wyższych, pod którą to skromną nazwą ukrywa się wyraźne dążenie do ograniczenia autonomji uniwersyteckiej. Stwierdzają oni ponownie, iż „dla pomyślnej działalności i rozwoju szkół wyższych jest rzeczą konieczną utrzymanie autonomji nie tylko dla nauki i nauczania, ale także w zakresie wychowawczym i administracyjno-naukowym".

Komunikat rektoratu U. J., jak również jednobrzmiący komunikat, wydany przez rektoraty innych szkół akademickich w Polsce, ukazał się bardzo na czasie, bo z różnych stron usiłowano celowo zaciemnić istniejący w tej dziedzinie stan rzeczy. Były i są jeszcze robione usiłowania, aby wywołać wrażenie, jakoby stanowisko władz uniwersyteckich wobec projektu p. Jędrzejewicza nie było jednolite, jakoby wsród nich powstała różnica poglądów w tej tak niesłychanie ważnej sprawie. Zbiorowe oświadczenie rektorów kładzie kres tym sugestjom, pochodzącym ze znanych źródeł i rozpowszechnianym dla wiadomych celów. Sytuacja jest jasna: cały polski świat naukowy, cała elita umysłowa w Polsce wypowiada się przeciwko zamachowi na autonomję uniwersytecką.

Wprawdzie p. minister Jędrzejewicz powołał do życia „radę", złożoną przeważnie z urzędników podległych służbowo p. ministrowi i „rada ta w głosowaniu jawnem uchwaliła po dłuższej dyskusji rezolucję, idącą w kierunku koncepcji ministerjalnej. Dla nikogo jednak bezstronnego nie ulega żadnej wątpliwości, że werdykt takiego ciała nie może mieć większego autorytetu od jednomyślnego poglądu rektorów. Zresztą nawet i w tej „radzie" odezwały się głosy krytyczne... Całe to przedsięwzięcie wyglądało na inscenizację zasięgnięcia opinji czynników objektywnych, aby P.A.T. mógł głosić, że zebrała się „rada" i wydała opinję przychylną p. ministrowi...

Na podstawie dotychczasowych faktów można wnosić z dużą dozą prawdopodobieństwa, że rząd przejdzie do porządku dziennego nad opinją rektorów i większości ciała profesorskiego, nad protestami opinji publicznej i zamierzenia swoje doprowadzi do skutków ze szkodą dla nauki i rozwoju wyższych uczelni.

Jesteśmy bowiem w okresie ustawowego wzmacniania

dyktatury. Konstytucji wprawdzie nie zmieniono, natomiast wydano szereg ustaw, które ani z jej duchem, ani nawet z literą nie mają nic pokrewnego.

Słusznie ocenia tę politykę ustawodawczą katolicki publicysta z „Głosu Narodu":

Treść i tendencja tych reform są bardzo jasne. Mają wydać społeczeństwo rządowi w ręce, zatrzeć różnicę między państwową, a społeczną dziedziną życia, — między publicznym a prywatnym porządkiem. Mają zrealizować heglowski typ „państwa - bóstwa", któremu wszystko należy złożyć w ofierze!

Ten typ państwa uważamy za niesprawiedliwy w stosunku do społeczeństwa, a zgubny dla samego państwa...

Katolicka socjologja (list Piusa X o francuskim „Sillon") uczy, że społeczeństwo wyłania z siebie władzę, że więc władza jest tylko jego narzędziem, — że skutkiem tego istnieje naturalne rozgraniczenie dwóch porządków: politycznego i społecznego; pierwszy ma zmierzać ku utrzymaniu państwa, drugi ma gwarantować społeczeństwu swobodny rozwój w granicach dobra wspólnego. Władza więc — według katolickiej socjologji — nie tylko nie ma prawa pochłaniania społeczeństwa i nadawania politycznego charakteru każdej dziedzinie jego życia, ale — co więcej — winne pilnować, żeby społeczeństwo mogło swobodnie iść za swojemi uprawnionemi interesami religijnemi, kulturalnemi, gospodarczemi itp. Państwo zaś, które działa inaczej, godzi samo w siebie.

„Państwo — pisze Leon XIII w enc. „Rerum Novarum" — zakazując prywatnych związków obywateli, podważałoby własne swoje podstawy, skoro tak samo ono, jak i związki prywatne, z jednego pochodzi źródła, ze społecznej natury ludzkiej".

Zdaniem więc Leona XIII państwo, oparte o dyktaturę jest przeciwne prawu natury, więc niesprawiedliwe.

Tendencja do nadania państwu charakteru „państwa-Molocha" jest ponadto zgubną dla samego państwa... Wywołuje poczucie krzywdy w społeczeństwie, prowokuje reakcję w jego łonie.

Oto rozdziały tego dzieła grupy rządzącej: ustrój szkoły powszechnej i średniej, szkolnictwo prywatne, pragmatyka nauczycieli, profesorów i urzędników, czasowe zawieszenie niezawisłości sędziowskiej, dekret o reorganizacji Najw. Trybunału Administracyjnego, upaństwowienie „Strzelca", prawo o zgromadzeniach, a wreszcie prawo o stowarzyszeniach.

O tym ostatnim będziemy pisali szczegółowo w następnym numerze, a na razie zacytujemy zdanie socjalistycznego „Robotnika", który w danym wypadku ma najzupełniejszą rację:

„Prawo zgromadzeń wykonano już w ten sposób, że z wolności zgromadzeń uczyniono udrękę. Teraz przyszła kolej na wolność stowarzyszeń którą dekretem z 29 października poprostu przekreślono. Od 1-go

stycznia 1933 r. wolność stowarzyszeń będzie fikcją, albowiem obywatelskie prawo zawiązywania stowarzyszeń.. przelano na policję.

Nie obywatele decydują, czy stowarzyszenie, które zakładają, odpowiada „względom pożytku społecznego", lecz policja. Jeżeli policja uzna, że stowarzyszenie nie odpowiada tym względom, to może je rozwiązać, Policja awansuje tu do roli trybunału najwyższych wartości społecznych. i kulturalnych. Ona ma rozstrzygać, co jest pożyteczne dla społeczeństwa a co szkodliwe. Rozstrzygać według „racji stanu" B.B. i gnieżdżących się w nim „ciemnych figur" — wedle określenia p. Sławka.

Skoro o założeniu stowarzyszenia rozstrzyga policja, to rzecz jasna— o rozwiązaniu stowarzyszenia temci bardziej rozstrzyga policja".

Nie jesteśmy bynajmniej przeciwnikami silnej władzy państwowej. Przeciwnie uważamy, że tradycja silnej władzy i jej poszanowania winna być u nas zapoczątkowana i jest tymbardziej konieczna, że między wiekami XVI a XVIII wytworzyły się w naszym życiu państwowym najgorsze obyczaje anarchji i osłabienia autorytetu władzy i jej siły wykonawczej, co w głównej mierze przyczyniło się do upadku Polski.

Silnej władzy jednak nie można identyfikować z wszechwładzą nieograniczoną i przez nikogo niekontrolowaną. Władza u nas nie powinna być, tak, jak w państwach azjatyckich tyranem i samodzierżcą wobec społeczeństwa, lecz zdrową i normalną jego emanacją. Kontakt między państwem a społeczeństwem nie powinien opierać się wyłącznie na sile fizycznej, lecz także sięgać głębiej — w sferę zagadnień moralnych.

W przeciwnym bowiem razie prędzej, czy później dojdziemy do katastrofy. Żaden rząd nie może przez dłuższy czas sprawować władzy wbrew społeczeństwu, bez porozumienia z nim, chyba, gdyby w jego programie leżało systematyczne wyniszczenie społeczeństwa i osłabianie go, aż do krańcowego upadku moralnego i ekonomicznego. Gdyby taki eksperyment był możliwy, zakończyłby się niewątpliwie upadkiem państwa.

* * *

Niedawno „Gazeta Warszawska" ogłosiła artykuł wstępny p. t. „Nasze wpływy w świecie katolickim", w której poddaje ostrej krytyce brak aktywności i dostatecznej prężności ze strony „żywiołu katolickiego w Polsce w dobie obecnej". Nie ze wszystkimi twierdzeniami artykułu możemy się zgodzić. Zbyt np. pospieszny i radykalny jest sąd, „że w ruchu umysłowym katolickim, tak żywym i tak twórczym obecnie na Za-

chodzie Europy, myśl polska nie bierze żadnego niemal udziału". Autor artykułu nie zna widocznie polskich neotomistów, ani też dzieł napisanych przez katolickich socjologów w Polsce — nic dziwnego: sfery, które stoją za „Gazetą Warszawską" są bardzo oddalone od katolickiej socjologji i myśli chrześcijańsko-społecznej.

Nie oto jednak nam chodzi. Autor artykułu porusza na końcu pewien fakt mało znany naszej opinji. Czytamy:

„Fakt charakterystyczny, że dr. Rajchman, piastujący z ramienia Polski wysoki i intratny (57.000 franków szwajcarskich rocznie) urząd szefa sekcji higjeny w stałym sekretarjacie Ligi Narodów, wyzyskuje to urzędowe stanowisko dla szerzenia propagandy, sprzecznej z podstawowemi zasadami moralności katolickiej. Zaleca mianowicie, w oficjalnem sprawozdaniu Ligi Narodów, ni mniej ni więcej tylko... t. zw. „świadome macierzyństwo", stosowanie środków przeciwporodowych nietylko ze względów zdrowotnych, ale również „z powodów o charakterze osobistym i ekonomicznym". Przeciw tej urzędowej propagandzie reprezentanta Polski zaprotestowała prasa katolicka francuska, niemiecka, angielska, włoska, z „Osservatore Romano" na czele. Zaprotestował szereg organizacji międzynarodowych katolickich. Na wniosek przedstawiciela Irlandji, popartego przez delegatów Włoch, Belgji, Holandji i Luksemburga, Liga Narodów postanowiła wycofać raport dr. Rajchmana i usunąć zeń zdania, obrażające moralność katolicką. Zaś delegacja Polski w Lidze nietylko nie przyłączyła się do opisanego wyżej protestu państw katolickich, ale czyniła największe (choć bezskuteczne) wysiłki, by po tem wszystkiem dr. Rajchmanowi zapewnić awans na stanowisko jednego z podsekretarzy Ligi.

Trudno o fakt bardziej znamienny. Reprezentant Polski, narodu katolickiego, zaznacza się jako propagator antykatolickich haseł, a katolicy polscy nie potrafią zdobyć się na żadne środki nacisku ze strony opinji, żeby ta paradoksalna sytuacja uległa nareszcie zmianie, zaś katolickie społeczeństwo polskie uzyskało należną mu satysfakcję. Katolicy zagraniczni okazują większą czujność i energję w sprawie, której wygranie dla katolików polskich powinno było stać się poprostu punktem szlachetnej ambicji. A przecież sprawa dr. Rajchmana nie jest jedynem zdarzeniem podobnego rodzaju, jest tylko wyjątkowo jaskrawa..."

Zupełnie słusznie. Sprawa Rajchmana jest tylko jednym ogniwem łańcucha. Faktów tych nie można jednakże rozpatrywać wyłącznie pod kątem widzenia słabości katolików i indolencji katolickiej opinji publicznej. W tem posunięciu jest pewien system. Na naszych placówkach zagranicznych jest zatrudniony nie jeden taki p. Rajchman, który, będąc mile widzianym w obozie rządzącym, mając, jeżeli jest żydem — bogatych i ustosunkowanych współwyznawców, nic sobie nie

robi z uczuć i wierzeń religijnych narodu polskiego. Winę ponoszą przedewszystkiem ci, którzy takich panów robią wysokimi urzędnikami i przedstawicielami Polski zagranicą.

Podobne fakty podwójnej polityki wobec Kościoła i religji katolickiej obserwujemy i w dziedzinie życia wewnętrznego. Spokojnie sobie i bezpiecznie buszuje po Polsce wywrotowa i antyreligijna sekta Mankietników i Badaczy Pisma św. O tej ostatniej — donosi „Dziennik Bydgoski"—napisał niedawno ciekawą książkę sędzia Zygmunt Wolski i ks. Dr. Edward Górski p. t. „Anarchistyczne tendencje Badaczy Pisma Świętego". Czytamy między innemi ciekawe szczegóły:

„Tak zwani „Badacze Pisma Świętego" pochodzą ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Założycielem tej sekty był niejaki Russel, który w roku 1908 na zjeździe w Londynie nadał zrzeszeniu Badaczy formę międzynarodowego związku towarzystw oraz instytutów wydawniczych, powołanych do wykładów i badań Pisma św. Główną centralą sekty jest miasto Brooklyn w Stanach Zjednoczonych. Idee rzucone przez Russela pochwycił jego następca Rutherford, który wszedł w stosunki z finansjerą żydowsko masońską, pozostającą w ścisłym kontakcie i na usługach komunizmu. W roku 1918 Rutherford skazany został za szpiegostwo na 20 lat więzienia. W Polsce a szczególnie w byłej Kongresówce oraz ostatnio również i w naszej dzielnicy nie brak różnych agitatorów, rozjazdowych kaznodziei i prelegentów, którzy podobno zyskują coraz więcej zwolenników. I w Bydgoszczy znajduje się zbór tej sekty, który liczy około 250 osób.

Na podstawie bogatego materjału dowodowego autorzy stwierdzają— uznaną również przez sądy — wysoce szkodliwą i niebezpieczną dla państwa działalność „Badaczy Pisma Świętego". Fanatyzm wyznawców nowej nauki, burzącej wszelkie podstawy prawdziwej religijności, doprowadza często badaczy Biblji na ławę oskarżonych. Bardzo wiele wyroków zapada z racji zgorszenia i bluźnierstw, a nie brak i takich, gdzie z racji szału religijnego staje przed sądem badacz Biblji, oskarżony o zbrodnię zabójstwa. Tak np. przywódca badaczy ze wsi Śmidyń w powiecie kowelskim Juljan Mizowiec zamordował pod wpływem szału religijnego w październiku 1928 r. sześć osób i jedną ciężko ranił

Badacze pod płaszczykiem tłumaczenia Pisma św. przemycają hasła wrogie wszelkiej religji i dążą do wzniecenia w kraju anarchji. Czynią wszystko, ażeby wyrwać z serc ludzkich religję. Wyraźnie zaś akcentują, że nie chodzi im o propagowanie nowego systemu religijnego, czy nowej sekty, ale o zburzenie dotychczasowego porządku społecznego i państwowego. Widzą oni przyszłość ludzkości jedynie w rewolucji, która zgruchocze obecne systemy. Destrukcyjną działalność badaczy, dzieło udowadnia w zupełności. Hasłem więc badaczy to — anarchja i bezład. Zniszczyć olbrzymi aparat kultury chrześcijańskiej przez zepchnięcie mas ludzkości w jedno bagno zepsucia. Obalenie chrześcijaństwa jest zatem najwyższym

ich celem. Dlatego — według badaczy — należy podsycać niezgodę i ferment, ażeby chrześcijanie sami wzajemnie się zwalczali i mordowali".

Dlaczego takie sekty, w sposób oczywisty sprzeciwiające się już nietylko religji, lecz także państwu, naruszające porządek publiczny i moralność — nie są zakazane i rozwiązane Wszak według konstytucji i obowiązujących ustaw państwo posiada uprawnienia, aby ukrócić działalność tak szkodliwą zrzeszeń pseudoreligijnych. Dlaczego więc je toleruje... Oto jeszcze jeden dowód dwutorowości w polityce religijnej obecnych rządów. Rozwiązanie sekty wzmocniłoby Kościół Katolicki....

A projekt ustawy o godzinach w handlu, którego przepisy zostały niedawno opublikowane w prasie. Jest to koncesja zrobiona dla żydów wbrew uczuciom religijnym i interesom handlowym ludności chrześcijańskiej. Cytujemy ocenę tej ustawy z „Pracownika Polskiego":

Z punktu widzenia gospodarczego, bardziej niż wątpliwe jest, czy zamierzona nowela wpłynie korzystnie na polepszenie sytuacji w przemyśle i handlu. Inne państwa europejskie, więcej odczuwające kryzys gospodarczy, aniżeli Polska, jak np. Anglja, Niemcy, nie rozpoczęły walki z kryzysem od wyłomów w świętowaniu niedzieli. W programie walki z kryzysem i bezrobociem święta zostały nienaruszone. Wręcz przeciwnie, na porządku dziennym międzynarodowej konferencji gospodarczej znajduje się wniosek rządu włoskiego o skrócenie tygodnia pracy do 40 godzin t. j. pięciodniowego tygodnia, aby w ten sposób dać możność zatrudnienia większej ilości bezrobotnych.

Z punktu widzenia religijnego i społecznego projekt ustawy zawiera poważne niebezpieczeństwa. Przykazanie Boże wyraźnie nakazuje dzień święty święcić, obowiązkiem każdego katolika jest w dniu tym wysłuchać Mszy św. i powstrzymać się od pracy, niespowodowanej koniecznością życiową.

Projekt noweli, który zezwala pewnej gałęzi handlu na pracę, w czasie od maja do 31 października od godz. 9 do 23 na wszystkie dni tygodnia, a więc w święta i to cały dzień, stawia katolików wobec niebezpieczeństwa niemożności wykonania ich obowiązków religijnych.

Tak samo ma się sprawa ze wszystkiemi sklepami w miejscowościach kuracyjnych, które w dnie świąteczne mogą być otwarte od godz. 9 do 21, oraz wszystkiemi miejscami sprzedaży w obrębie dworców kolejowych. Dla innych gałęzi handlu, jak np. wyrobów tytuniowych, w niedzielę i święta czas sprzedaży wyznacza się od godz. 7 do 10 i od 13 do 19. Jak widać z powyższego, wyłomy w świętowaniu dni świątecznych czyni się dla gałęzi handlu, które nie są związane z koniecznością życiową, a już zniewagą jest dla tradycji chrześcijańskiej zezwalanie na otwarcie sklepów w czasie uroczystych nabożeństw świątecznych w godz. 10—1 pp.

Musimy z całą przykrością i zdziwieniem podkreślić ten fakt — zaznacza Katolicka Agencja Prasowa — *że w sprawie powyższej, tak ważnej dla Kościoła i społeczeństwa katolickiego, czynniki miarodajne nie zechciały się porozumieć i zasięgnąć nawet opinji władz kościelnych. A przecież nowela powyższa wkracza głęboko w życie religijne państwa, którego 90 procent ludności należy do Kościoła chrześcijańskiego.*

Tak to interesy moralne i materjalne ludności katolickiej są brane pod uwagę i szanowane!

Nic dziwnego, że w tych warunkach rozmaici otwarci wrogowie Kościoła, jak schizmatycy, żydzi występują coraz otwarciej i brutalniej, gdyż są przekonani, że ze strony sfer urzędowych nic im za to nie grozi. Podczas niewoli rosyjskiej prawosławie było narzędziem rusyfikacji, Kościół zaś katolicki — jedną z najważniejszych ost i polskości. Wydawałoby się, że z natury rzeczy wskrzeszone z martwych Państwo Polskie winno wziąć w obronę Kościół katolicki przed atakami ze strony prawosławia. Tymczasem patrzemy, jak sobie poczyna, metropolita Djonizy i jego organy prasowe. Powtarzamy za „Polonją katowicką:

Zwracaliśmy już niejednokrotnie uwagę społeczeństwa polskiego na nieprzebierającą w środkach kampanję, jaką prowadzą przeciwko katolicyzmowi w Polsce organy metropolity prawosławnego, Djonizego, „Woskriesnoje cztienje" i „Słowo". Nienawiść do katolicyzmu, jaka przeziera z tych pism, przechodzi wszystko to, co wypisywały przeciwko Kościołowi przed wojną pisma czarnosecinne. Szczególnie nienawistnem nastawieniem do Kościoła katolickiego odznaczają się artykuły, podpisywane pseudonimem „Vox", pod którym kryje się, jak nas informują z kół prawosławnych, sam metropolita Djonizy i sekretarz Synodu, Roszozyski.

Propaganda nienawiści powyższych organów cerkiewnych zwraca się nietylko przeciwko Kościołowi, ale w równej mierze i przeciwko państwu, gdyż u wielu prawosławnych pojęcia „polak" i „katolik" do dziś dnia są nierozłączne, synonimy. Pisma te idą również zagranicę i tam stwarzają fałszywe pojęcia o prześladowaniu religji prawosławnej w Polsce.

Oto co pisze np. „Woskriesnoje cztienje" (№ 40) z racji protestu Ojca św. z powodu prześladowań wiary w Rosji i Meksyku:

„Niestety, w tem wyliczaniu zapomniany jeszcze został kraj, gdzie przy żywem współdziałaniu kleru katolickiego, dla prawosławia stwarza się warunki, nie wiele lepsze od meksykańskich. W kraju tym setki świątyń chrześcijańskich jest zamkniętych, zburzonych, splugawionych, lud prawosławny, jak mówi się w jednej ze skarg, miesi błoto kolanami przed zamkniętemi drzwiami swych świątyń, zmuszony jest w tajemnicy zbierać się na nabożeństwa w szopach albo w prywatnych mieszkaniach, prawosławni zaś kapłani karani są aresztami za urządzanie nabożeństw prawosławnych.

Kraj ten jest bliżej i więcej znany Rzymowi, aniżeli daleki Meksyk i komunistyczna, bezbożna Rosja..."

Oto nagroda dla naszych władz państwowych za podźwignięcie cerkwi z upadku, za organizację hierarchji, za autokefalję, za budowę nowych cerkwi, seminarjów i internatów, za uposażenie i liczne dotacje dla hierarchji prawosławnej, za przygotowanie kosztem państwa soboru Cerkwi, a co najważniejsze za pomoc w zatrzymywaniu w rękach władz cerkiewnych zgórą półtora tysiąca kościołów i objektów katolickich, skonfiskowanych Kościołowi katolickiemu przez rządy carskie za udział duchowieństwa polskiego w powstaniach i w akcji patrjotycznej!

Wystąpienie organu metropolity, pomawiające Polskę o prześladowanie prawosławia na modłę meksykańską, przypomina nam słynny list metropolity Djonizego do metropolitów prawosławnych, w którym porównywa położenie Cerkwi w Polsce do rzeźni niewiniątek betleemskich.

Metropolita Djonizy szkaluje Kościół katolicki, szkaluje Państwo polskie, któremu tyle zawdzięcza, zapominając w tem wszystkiem o podstawowych zasadach miłości Chrystusowej.

Czy nie znalazłby się sposób na to, aby delikatnie, lecz stanowczo przekonać metropolitę i jego sekretarza, że chociaż w Polsce istnieje swoboda wyznaniowa, to jednakże nie wolno jej identyfikować z szerzeniem nienawiści religijnej i ze szkalowaniem państwa. Mamy wrażenie, że nie potrzebaby było tutaj wielu argumentów. Ot poprostu możnaby wskazać metropolicie na stosunki panujące w Rosji w stosunku do cerkwi prawosławnej i zaproponować mu, aby je porównał z polskimi oraz podkreślić, że rząd polski sobie takich wystąpień nie życzy...

Niestety, p. minister Jędrzejewicz tak jest zajęty reformą szkolnictwa, że widocznie nie ma już czasu na takie sprawy.

Innego rodzaju jest wystąpienie „Naszego Przeglądu", który w dniu 14 listopada, w wielkim 4 szpaltowym artykule omawia „proces sądowy Jezusa Chrystusa" (tak!) Jest to znowu dowód oczywisty arogancji i bezczelności oraz braku jakiegokolwiek respektu wobec uczuć religijnych narodu polskiego.

Autor artykułu Dr. med. Henryk Higier należy do tych ciekawych osobników z pośród inteligencji żydowskiej, którzy, będąc lekarzami, zajmują się równocześnie kwestjami prawnemi. W artykule tym stara się zasłużyć na opinję objektywnego nuukowca, używa stale nomenklatury prawniczej np. pisze o aresztowaniu „Chrystusa Pana za rozruchy mesjanistyczne", o „zeznaniu apostała Piotra" o „justyfikacji" Synhedrjonu i t. d. Poglądy jego nie są zresztą oryginalne, lecz

oparte na artykule zamieszczonym w „Miesięczniku Żydowskim” przez D. Matza. Najpoważniejsza część rozumowania jest następująca:

„Czy Jezusa z Galilei, żyda pełnowartościowego, należącego do sekty essejczyków, której się nigdy nie śniło o stworzeniu nowej religji, skazano rzeczywiście za bluźnierstwo?

Gdyby — dodaje Matz — Synhedrjon wyrok śmierci za bluźnierstwo sugestjonował Rzymowi lub istotnie samoistnie wydał na obywatela z Galilei, na mesjasza lub pseudomesjasza, toby się znalazł niewątpliwie jakiś ślad, jakaś wzmianka o tej głośnej justyfikacji w licznych ówczesnych i późniejszych dziełach historycznych, dziełach rzymskich Tacyta i wielotomowych grecko-żydowskich Filona, Józefa Flawjusza, w apokryfach, apokalipsach, w księgach Talmudu jerozolimskiego i babilońskiego, w powodzi komentarzy do nich, gdzie tyle historycznie ciekawego materjału i wartościowych przyczynków do Palestyny ówczesnej zbierano i magazynowano.

Podkreślić w tem miejscu wypada, że ów Trybunał Najwyższy żydów, który miał orzec o karze śmierci, składał się z 70-ciu członków, a wyrok musiał być absolutnie jednomyślny, jeden głos przychylny oznaczał uniewinnienie. Wyroki, skazujące na śmierć, zapadały tam, jak kroniki głoszą, raz na kilkaset lat, tak iż Talmud aprobuje w zupełności poczucie prawne ludu żydowskiego, nazywającego sąd, który kogokolwiek na śmierć zasądził, „Sądem morderców...”

Dalej autor opisuje stosunki polityczne i religijno-obyczajowe, panujące wówczas w Judei i uważa je bałamutnie za dowód, że w warunkach takiego rozkładu religijnego i upadku — proces o bluźnierstwa nie mógł nastąpić, zapominając widocznie, że największy fanatyzm panuje właśnie w okresie upadku prawdziwej religijności. Konkluzja jest następująca:

Był to więc proces prawdopodobnie nie religijny, tylko czysto polityczny a wyrok kondemnacyjny wynikał poniekąd z nadmiaru uczucia ze strony adherentów Jezusa, ze strony tych fanatyków, entuzjastów i pionierów, co głośno szerzyli wśród ludu mocno suggestywny tytuł: „Jezus Nazarenus, Rex Judaeorum” (Jezus z Nazarei, król Żydowski).

Tu wkroczyła już najwyższa władza administracyjna! Tylko imperator bowiem mógł mianować królów, książąt i namiestników. Skoro Jezus ogłosił się sam lub został ogłoszony królem żydowskim, wkraczając w atrybucje suwerennego cesarza, to dopuścił się zbrodni ciężkiej, zdrady wobec panującego, i tylko za to jako buntownika politycznego zasądził Go sąd rzymski na śmierć i wykonał srogi wyrok ukrzyżowania zgodnie z ustawami rzymskiemi. (XV. 2. I pytał go Pilatus: Ty żeś jest król żydowski?). Tei laesio majaestatis nie mógł zasadniczo sądzić żaden hebrajczyk z kodeksem żydowskim lub Biblją w ręku, lecz wyłącznie rdzenny rzymianin czystej krwi według ustawodawstwa rzymskiego, obowiązującego w całem imperjum.

Jaki zaś cel tego bałamutnego, a miejscami bezczelnego i bluźnierczego steku nonsensów? Oto pisze Dr. Higier na początku artykułu:

Wszak przez długie setki lat wielkie mocarstwa, liczni panujący, świeccy i duchowni, nie wpuszczali do swoich państw (Hiszpanja, Rzym, Rosja) żydów jedynie ze względów czysto religijnych, żydów, jako morderców Zbawiciela Chrystusa.

Niejednokrotnie były próby i usiłowania obalenia legendy o Sądzie Żydowskim nad Jezusem.

Niestety, usiłowania daremne. Istnieją niezbite dowody, stwierdzające, że słowa kapłanów żydowskich wyrzeczone do Piłata: „Krew Jego na nas i na syny nasze!" są nietylko zwrotem retorycznym, lecz prawdą dziejową. I nie ujdzie Izrael konsekwencyj tego faktu, choćby nie wiem z jaką energją usiłował uniknąć wymiaru sprawiedliwości za przelaną przed wiekami Przenajświętszą Krew Syna Człowieczego.

Państwo zaś ze swojej strony nie powinno zezwalać na tego rodzaju artykuły, stojące na pograniczu między mistyfikacją pseudonaukową a bluźnierstwem. To wykracza poza ramy wolności prasy i obraża olbrzymią część społeczeństwa, myślącego kategorjami katolickiemi!

* * *

Nie można powiedzieć, aby w naszym kraju trwało otwarte prześladowanie Kościoła. Istnieje wolność religijna. Pozory zewnętrzne dobrych stosunków z Kościołem są zachowane.

Wykazywaliśmy natomiast nieraz w tem miejscu, że polityka rządów sanacyjnych w tej dziedzinie jest dwutorowa i przytoczyliśmy przykłady tej dwutorowości. Wszak ustawy wykonywują ludzie, a znaczna część jednostek stojących na czele urzędów i administracji, to osoby bardzo mało mające wspólnego z katolicyzmem, albo też wprost niechętne i wrogie Kościołowi.

Pozatem ewolucja zdąża w kierunku ujemnym, jeżeli chodzi o nastroje i poglądy grup, znajdujących się u steru. Ludzie są śmiertelni... Przy pewnych zmianach personalnych może dojść do kulturkampfu... Jak wielką radość wywołałoby to u metropolity Dyonizego, Dr. Higiera i wielu innych...

Jak ten kulturkampf wygląda w Meksyku i w Hiszpanji—

przytoczymy kilka charakterystycznych szczegółów za „Nowym Kurjerem".

Organ papieski „Osservatore Romano", omawiając encyklikę papieską, zaznacza, że bohaterstwo kapłanów meksykańskich i krew męczenników, poległych tam za wiarę, są strasznem oskarżeniem nowoczesnej cywilizacji, która zaparła się swych własnych ideałów, są potępieniem i hańbą dla prasy, która dla mało znaczących wypadków i skandalików ma miejsca dużo, ale gdy chodzi o przedstawienie prawdy w Meksyku czy Hiszpanji, prasa ta milczy jak zaklęta. Jedynie Stolica Apostolska jest rzecznikiem wolności ludów. Papiestwo ujmowało się zawsze za pokrzywdzonymi. Tak było dawniej, gdy Papieże Grzegorz XVI i Pius IX napiętnowali rządy carskie za ucisk Polaków, tak jest obecnie, gdy Pius XI podnosi uroczysty głos protestu przeciwko barbarzyństwu meksykańskich katów.

Popatrzmy więc, jak w tym Meksyku rzeczy stoją. Rząd meksykański nie spełnił ani jednego warunku, co do rozejmu w r. 1929. Biskupi są na wygnaniu, kościoły zamknięte. Wszelkie formy nauczania religji, nawet prywatne są zakazane. Liczba kapłanów do obsługi wiernych jest przez rząd niesłychanie ograniczona. W stanie Michoacon może być 1 kapłan na 30.000 wiernych, w Stanie Chihuahua 1 kapłan na 45.000 wiernych, w Chiapas jeden na 60.000 i w Vera Cruz jeden na 100.000 wiernych! I to się nazywa wolnością przekonań i wolnością sumienia!

Encyklika papieska wywołała w meksykańskich kołach rządowych wybuchy wściekłości. Nic nie pomogło milczenie prasy masońsko-żydowskiej, świat się dowiedział z dokumentu papieskiego o niesłychanem barbarzyństwie rządu meksykańskiego. To też prezydent meksykański, Rodriguez, wystąpił z pogróżkami, obiecując wszystkie kościoły i szkoły katolickie zamienić na fabryki i kluby robotnicze—słowem, tak, jak w bolszewickiej Rosji.

I to wszystko może się dziać w osławionym XX wieku, wieku postępu i wysokiej cywilizacji!

W Hiszpanji po nieudałym zamachu stanu gen. San Jurjo rząd republikański wywarł całą zemstę na... katolikach, chociaż osławionego generała z obozem katolickim nic nie łączyło. Posypały się zatem represje. Zawieszono 67 dzienników i 100 tygodników katolickich. Na prowincji burmistrzowie miast i gubernatorowie prowincji wysługują się rządowi gorliwością w gnębieniu wiary. Pousuwano więc ze szkół i szpitali krzyże, procesje religijne i kondukty pogrzebowe uważają za... demonstracje polityczne! w niektórych miejscowościach zakazano nawet dzwonić w kościołach. Zakaz nauczania religji w szkołach, przymusowe śluby cywilne, oczywiście z rozwodami, są owocami „nowego prawodawstwa". Niektórzy kacykowie prowincjonalni urządzają polowania na ozdoby i biżuterję, noszącą cechy religijne; zakazują nosić na szyi krzyżyki lub medaliki; nieposłusznych karzą grzywnami i aresztem.

Taki gubernator Walencji skazał dwie kobiety na karę 25 pesetów grzywny za to, iż w swem mieszkaniu odprawiały nowenną do św. Antoniego.

Okazuje się, że nawet republika liberalna potrafi się zdo-

być na posunięcia iście dyktatorskie, gdy chodzi o walkę z Chrystyjanizmem.

Idea Chrystusowa ma tę charakterystyczną właściwość, że w każdym wieku, w każdym kraju znajdzie zaciętych i nieludzkich przeciwników — dopóki tylko piekło wojować będzie przeciwko Niebu — dopóty znajdą się zawsze i wszędzie wrogowie Chrystusa.

Z drugiej jednak strony idea to niespożyta, oparta na Boskich pierwiastkach. Rośnie ona w siłę i moc, tak jak ten mistyczny olbrzym rzucony o ziemię. Oto smuci nas i męczy prześladowanie w Meksyku i Hiszpanji, niepokoją inne kraje. A tu statystyka donosi nam, że:

Na okres panowania obecnego Papieża Piusa XI przypada imponująca liczba nawróceń. Stosownie do danych statystycznych, przedstawionych na kongresie misyjnym w Padwie, ogółem nawróciło się przez te 10 lat 6 miljonów osób. Podczas tego samego okresu ilość księży-misjonarzy, pochodzenia tubylczego w kolonjach całego świata, wzrosła z 2.670 do 5.000. Utworzono 20 nowych okręgów misyjnych. Przeszło 1.600 kandydatów na kapłanów studjuje w seminarjach kolonjalnych. Naogół przybyło za ten czas 4.000 misjonarzy.

Jak dalece Ojciec św. przejmuje się sprawą misyj, najlepiej wykazuje opowiadanie arcybiskupa Salottiego, sekretarza Kongregacji dla Propagandy Wiary; który pewnego dnia zastał Papieża we łzach nad jakimś listem. Okazało się, że list pochodził od pewnego misjonarza, przebywającego od przeszło 71 lat w Chinach. Misjonarz błagał w swym liście Ojca św. o 200.000 lirów, jako niezbędne dla akcji misyjnej. Mgr. Salotti zaproponował Papieżowi, że odpisze staremu misjonarzowi. Papież jednakże nie zgodził się na to, twierdząc, że staruszek może tymczasem umrzeć i wreszcie stanęło na tem, że Ojciec św. posłał natychmiast potrzebną sumę 200.000 lirów.

Równocześnie wzrasta i rozwija się w rozmaitych krajach katolickich, a nawet w większości protestanckich — Akcja katolicka i działalność organizacyj chrześcijańsko-społecznych. Powoli i stopniowo, ale pewnie i systematycznie wiedza i idea katolicka urabia sobie nowych zwolenników i wyznawców, nietylko w krajach pogańskich, lecz także i chrześcijańskich, w których panowała dotychczas obojętność i oziębłość. Coraz szersze zastępy młodego pokolenia garną się pod sztandar Chrystyjanizmu i zaciągają się do armji Chrystusowej, która toczy wielki bój o przyszłość kultury i cywilizacji, o postęp prawdziwy świata.

S. J. K.

DZIAŁ LITERACKO - OPISOWY.

Goethe a starożytność.

Współcześni nazywali Goethego „Jowiszem Weimarskim", i słusznie; ten niezwykły człowiek był bowiem skrojony na miarę Fidjaszową: umysł szeroki, obejmujący całokształt wiedzy ludzkiej, interesujący się wszystkiem, od cedru na Libanie do niskiego hizopu, — od najgłębszych zagadnień metafizyki („*Faust*"), do nauki o barwach („*Farbenlehre*"). Odkrył on w botanice nieznane dotąd prawo (Goethegesetz) i napisał „*Werthera*". Był największym niemieckim romantykiem („*Götz von Berlichingen*" — „*Werther*" — „*Egmont*" — „*Faust cz. I-a*), a jednocześnie największym niemieckim klasykiem („*Ifigenja*"— „*Herman i Dorota*" — „*Torquato Tasso*" — „*Faust cz. II-a*"). Podobny on jest do tych uniwersalnych ludzi włoskiego Cinquecenta, którzy nas zdumiewają swą genjalną wszechstronnością; i tu się mimowoli nasuwa jedno imię wspaniałe: Leonarda da Vinci, który ma wiele styczności z Goethem: obaj są przepysznemi i rzadkiemi okazami najbujniej rozwiniętego, dostojnego człowieczeństwa: „Ein Meisterstück der Natur, vie es ihr nur selten gehungen ist",—powiedział Wieland o Goethem.

Ponieważ takiego olbrzyma skromnym artykulikiem objąć nie sposób, rzucimy na niego ciekawe spójrzenie pod pewnym tylko kątem widzenia, a mianowicie zastanowimy się nad stosunkiem Goethego do antyku.

Już w dziecinnych latach zetknął się Goethe z tym zaczarowanym światem klasycznej starożytności. Ojciec jego, poważny i uroczysty pan Radca Cesarski Jan Kaspar Goethe, podróżował zamłodu do Włoch, i przywiózł stamtąd cały zbiór cennych bronzów, marmurów, planów i sztychów, które dziś jeszcze widzieć można w sieni Goethehaus'u, w Frankfurcie nad Menem. Wszystkie te cuda przykuwały oczy małego Wolfganga i ryły się w jego pamięci. Sam mówi, że gdy później, już będąc mężem dojrzałym, przybył do Rzymu, poznawła z łatwością wszystkie pomniki i ruiny Wiecznego Miasta, i witał w nich starych znajomych. Wprawdzie Rzym w 1786 roku inaczej wyglądał niż dziś: na Forum Romanum pasły się sreb-

rzyste, długorogie kampańskie woły, a z bujnej trawy gdzieniegdzie tylko wynurzały się głowice zasypanych po szyję kolumn. Bo też to miejsce dostojne, słynne w historji świata, to serce Imperium Romanum, zapomniane i senne, nosiło wówczas charakterystyczną nazwę „pola krowiego" — *Campo vaccino*.

Goethe spędził we Włoszech, a głównie w Rzymie, prawie dwa lata, niezmiernie ważne w dziejach jego rozwoju wewnętrznego, dwa lata pełne i owocne, które jego talent pchnęły na całkiem nowe tory.

Głębokie wrażenie zrobiła na nim plastyka grecka, z którą się spotkał, można powiedzieć, po raz pierwszy w życiu. Dotychczas znał on tylko odlewy gipsowe; marmur zachwycił go: „Czar marmuru, — pisze w „*Italienische Reise*" — polega na półprzezroczystości żółtawego kamienia, który tak bardzo się zbliża do barwy ciała ludzkiego. Jakże martwy, zimny i kredowo-blady jest przy nim odlew gipsowy!... jak trup przy żywej istocie". (Mowa tu naturalnie o starożytnych marmurach, ozłoconych 2000 letniemi promieniami południowego słońca!) Goethe kupił sobie mimo to odlew Junony Ludovisi Praksytelesa i wspaniałą głowę Jowisza z Otricoli.[1]) O Junonie pisze do pani von Stein: „To pierwsza moja miłość w Rzymie; żadne słowo nie da o niej pojęcia; działa ona na mnie jak pieśń Homera". — Popiersie zaś Gromowłodnego umieścił naprzeciw swego łóżka, w odpowiedniem oświetleniu, t. j. tak, aby pierwsze jego spojrzenie przy przebudzeniu spotkało się z arcydziełem Fidjasza. Poczciwa gospodyni Goethego była przekonana, że to wizerunek Boga Ojca, i wchodząc do pokoju poety, aby go sprzątać, żegnała się przed nim pobożnie.[2])

---

[1]) Przypuszczalnie kopja Fidjaszowego Zeusa Olimpijskiego.

[2]) Raz ulubiona jej kotka wśliznęła się za nią do pokoju Goethego, on zaś siedział w sąsiedniej komnacie, pisaniem zajęty. Nagle otwierają się drzwi i staruszka w wielkiej alteracji woła swego lokatora, aby prędko przyszedł oglądać cud! — Co się stało? — pyta Goethe. — „Kotka cześć oddaje Bogu Ojcu (*betet Gottvater an*). Oddawna wiedziałam, że to zwierzę ma rozum jak chrześcijanin"... Goethe wszedł do swej sypialni, i zastał kotkę, która wskoczywszy na stół, położyła łapki na piersiach Zeusa, a wyciągnąwszy swe członki jak struna, dosięgła jego pięknej olimpijskiej brody i lizała ją z wielkiem nabożeństwem.

Tu w Rzymie zabrał się też Goethe do Sofoklesa, i ten dostojny, pogodny Grek dziwnie mu przypadł do serca; bo też niejedno podobieństwo znachodzi pomiędzy poetą z Weimaru a wieszczem z Kolony; o obu można powiedzieć, co L. Rydel napisał o twórcy „*Antygony*": „Wieki miną zanim się znów kiedy może urodzi drugi taki bogów umiłowaniec, piękny i zdrowy na ciele, w sercu dobry i szlachetny, a mądry i natchniony w duchu, istne arcydzieło człowieczeństwa". [3])

Ten więc Sofokles, druh Goethego po lutni, stał mu się teraz „tak bliskim i drogim, jak przedtem Szekspir".

Podróż do Włoch oznacza ważny przełom w życiu i w twórczości Goethego. Jako uosobienie epoki burzy i wrzenia (Sturm und Drangperiode) wybrał się młody Goethe za Alpy; jako skończony, zrównoważony, klasyczny poeta opuścił „kraj, gdzie cytryna dojrzewa". Tu opracował ostatecznie — nie mówiąc o licznych drobniejszych utworach — dwa dzieła już dawniej zaczęte: „*Torquato Tasso*" i „*Egmont*"; tu przyodział w cudną szatę wierszową swoją „*Ifigenję*", już gotową w prozaicznej formie, a nawet graną w Weimarze na dworskim teatrze amatorskim, z Goethem w roli Oresta. Z wycieczki na Sycylję mamy pomysł i początek utworu mniej znanego p. t. „*Nausica*"; upojony pięknością tej klasycznej ziemi, błękitem morza Tyreńskiego i lazurem palermitańskiego nieba, kupił sobie Goethe naprędce Homera, i siedząc w ogrodzie czarownej willi Giulia, odtworzył VII-ą pieśń Odyssei, opowiadającą pobyt Ulissesa u Feaków, — i nakreślił plan przyszłego dramatu.

Jego „*Elegje rzymskie*" mają heksametryczno-pentometryczną formę klasyczną, a duch, co je ożywia, jest staro-helleński, a nie germański; pogański a nie chrzescijański. Mógłby je podpisać Katullus lub Tibullus, a może i Tropercjusz.

Goethe czuł, po dwóch latach pobytu w słonecznej Italji, że czas powracać do Weimaru, gdzie przyszłego ministra czekały liczne i różnorodne obowiązki. Zacny książe Karol-August zgodził się był na ten długi urlop, ale Goethe nie mógł dłużej cierpliwości jego nadużywać. Zatem pod koniec

---

[3]) L. Rydel: „Pejsydoros i Ferenike".

1788 roku wybrał się z powrotem do swej północnej ojczyzny. W przeddzień wyjazdu postanowił pożegnać się uroczyście z Wiecznem Miastem: „Noc była — pisze — księżyc w pełni oświecał ciche ulice srebrną poświatą; przeszedłem samotnie, poraz ostatni, długie, opustoszałe Corso i wszedłem na Kapitol, który stał jak pałac zaczarowany na bezludnej pustyni. Posąg konny Marka Aureljusza przywołał mi na pamięć posąg Komandora z „Don Juana"... Zstąpiłem na puste Forum; łuk Septyma Sewera otwierał przedemną swą ciemną czeluść i rzucał czarny cień na skąpane w księżycu otoczenie; w samotności nocy zwaliska tak dobrze mi znane wzdłuż Via Sacra przybierały jakieś upiorne kształty, a gdy zbliżając się do Colosseum zajrzałem do wnętrza przez puste arkady, przyznam się, że mimowoli przebiegł po mnie dreszcz, i przyśpieszyłem kroku do powrotu..."

Dalej opowiada, że w tej nocnej wędrówce przez cmentarzysko historyczne Rzymu przyszła mu na myśl elegja Owidjusza „Ostatnia noc w Rzymie"[5]), którą z pacholęcych lat umiał na pamięć; wszak starożytny poeta w taką samą noc księżycową musiał opuszczać gród Romulusa, wygnany niełaską cesarską na barbarzyńskie wybrzeża Scytów. „*Cum repeto noctem*", powtarzał Goethe za Neronem, powracając zwolna do domu:

Cum repeto noctem, qua tot mihi cara reliqui,
Labitur ex oculis nunc quoque gutta meis.

* * *

Przez kilka lat po powrocie swoim z Włoch, Goethe nie pisał wiele. Zdawało się, że jest bezpowrotnie stracony dla poezji. Lecz w 1796 r. poznał Schillera, i w zetknięciu z płomienną duszą twórcy „Zbójców" i „Don Carlosa" obudziła się w nim nanowo iskra poetycka i genjusz jego zajaśniał w całej pełni. Najprzód obaj przyjaciele zaczęli wydawać swoje „*Xenie*", dystychy satyryczne, których tytuł wzorowany jest na rzymskim epigrematyku Martialisie; smagają w nich biczem ostrej, dowcipnej krytyki pisarzy współczesnych i ich utwory. Schiller przyrównywa gdzieś owe „*Xenie*" do „lisów

[5]) Trist. I. 3.

Samsona, które pochodniami uwiązanemi u ogona miały podpalać papierowe żniwo ówczesnych Filistynów".

Po „*Xenienjahr*" (1796) nastąpił „*Balladenjahr*" (1797), rok najpłodniejszy w arcydzieła w historji literatury niemieckiej. Wtedy to powstał między innymi poemat Goethego „*Herman i Dorota*", najpopularniejsze z jego dzieł, podzielone na 9 pieśni, z których każda,—na wzór Herodota,—nosi w nagłówku imię jednej z 9-ciu Muz. Zbyt ono jest znane, aby się tu nad niem rozwodzić; wystarczy powiedzieć (co jest głównym celem niniejszej pracy), że tu może najwyraźniej znać wpływ antyku na Goethego, oraz rodzaj tego wpływu: nie jest to bowiem bezduszne naśladownictwo, jak u współczesnych mu pseudo-klasyków francuskich, lecz bujnem życiem tętniący utwór o treści rodzimej, jak trafnie powiedział Schiller: „słońcem Homera oświetlony".[6])

Goethe napisał do „Hermana i Doroty", opuszczoną zwykle w wydaniach szkolnych przedmowę, elegijnemi dystychami. Warto przytoczyć tu początkowe jej wiersze, gdyż rzucają jasne światło na zajmujące nas tu zagadnienie:

Also das wäre Werbrechen, dass einst Properz mich [begeistert,
Dass Martial sich zu mir auch, der verwegne gesellt?
Dass ich die Alten nicht hinter mir liess, die Schule zu hüten,
Dass sie nach Latium gern mir in das Leben gefolgt? [7])

Dalej wspomina o modnej podówczas teorji Wolfa, który w swych „*Prolegomena ad Homerum*" (1794) dowodzi, że Homer to imię zbiorowe, że Iljada i Odyssea nie są dziełami jednego, lecz wielu twórców, i że całe pokolenia helleńskie złożyły się na wydanie tych nieśmiertelnych poematów. Dziś hipoteza Wolfa jest przestarzałą i teorja jego upadła; lecz Goethe wzywa żartobliwie czytelników, aby pili zdrowie tego wielkiego męża „co nas od Homera uwolnił". Bo gdyby jego utwory były dziełem jednego genjalnego poety, niktby nie

---

[6]) „Und die Sonne Homers, siehe sie leuchtet auch uns". („Der Spaziergang"):

[7]) „A więc to zbrodnia, że mnie niegdyś Propercjusz czarował (aluzja do wyżej wymienionych „Elegij rzymskich), że zuchwały Martialis był mi towarzyszem? (aluzja do „Xenij"), że nie zostawiłem za sobą Starożytnych, aby pilnowali szkoły, lecz wziąłem ich chętnie ze soba w życie?"

śmiał z nim się mierzyć; lecz idąc za hipotezą Wolfa, i on — Goethe — pokusi się być Homerydą, chociażby ostatnim.[8])

Pomijamy mniejsze utwory Goethego, tchnące reminiscencjami klasycznemi, jak tytaniczno-zuchwały „*Monolog Prometeusza*" (urywek nigdy nie dokończonego dramatu), „*Elysium*", „*Gaugmed*", „Do konika polnego". („*An die Cicade*", nach Anakreon) i t. p., i zdążamy do II-ej części „*Fausta*", gdzie więcej niż gdziekolwiek uwidocznia się przemożny wpływ antyku. Aby nie zaciężyć czytelnikom, nie obeznanym z niejasną, pełną zawiłych alegoryj II-ą częścią „*Fausta*" (mało u nas znaną, podczas gdy pierwszą spopularyzowała opera Gounod'a), — ograniczymy się do kilku uwag.

Goethe czuł się osamotnionym w Weimarze po powrocie z Włoch, gdzie duch jego rozwinął się i rozszerzył w zetknięciu ze starożytnością klasyczną; w Niemczech zaś zastał dawnych przyjaciół i znajomych, a przedewszystkiem publiczność na tymsamym poziomie co 2 lata temu. Nie dziw, że zamknął się w sobie, tęskniąc za ideałem antycznym, którego piękno było mu się objawiło tam, pod włoskiem niebem. — To wszystko odzwierciedla się w II-ej części „*Fausta*": Mefistofeles wprowadza swego pupila na dwór cesarski; tam, na żądanie władcy, Faust wywołuje sztuką magiczną widmo pięknej Heleny, i tak się w niej rozmiłowuje, że stara się ją pochwycić; ale ona znika. Faust podąża za nią do Grecji, ojczyzny klasycznego piękna, którego Helena jest uosobieniem. Tu następuje ciekawa scena na polach Farsalskich, gdzie niegdyś Pompejusz został pokonany przez Cezara: jest to „*die klassische Walpurgisnacht*", przeciwstawienie do podobnej sceny w I-ej części „*Fausta*", gdzie występowały twory północnej fantazji germańskiej. Tu, w Grecji, czarownice harcujące na miotle, sowy, puhacze i błędne ogniki zastąpione są przez postacie mitologiczne, które symbolizują stopniowy rozwój myśli helleńskiej: ta bowiem stała pierwotnie pod wpływem Wschodu, co się wyraża przez gryfa, zwierzem bajecznym, złożonym z orła

---

[8]) Exrst die Gesundheit des Mannes, der endlich vom Namen Homeros Kühn uns befreiend, uns auch ruft in die vollare Bahn.

Denn wer wagte mit Göttern den Kampf? und wer mit Dem einen? Doch Homeride zu sein, auch nur als letzter ist schön.

i lwa, bez żadnej przymieszki człowieczeństwa; potem następuje sfinks, z popiersiem ludzkiem a ciałem zwierzęcem; dalsze fazy rozwoju oznaczają centaur i syreny; wreszcie już całkiem ludzkie kształty mają Nimfy Penaiosu i bóg rzeczny, w których ewolucja form dosięgła nareszcie kresu. Z pomocą centaura Chirona, który opowiada Faustowi, jak to niegdyś 10-cio letnią Helenę niósł na swoim grzbiecie, — zstępuje Faust do podziemia, i zdobywa z pomocą Perzefony rękę pięknej Heleny.

Akt III-ci był pierwotnie samoistnym utworem i wyszedł osobno w 1827 r., p. t. „Helena, fantasmagorja klasyczno-romantyczna", ze staro-greckiemi chórami; pisana jest czysto-greckim trymestrem jambicznym:

„Bewundert viel und viel gescholten Helena"...

Tu, na klasycznej ziemi Arkadji, Faust poślubia Helenę, co symbolizuje związek antyku z germańskim romantyzmem; z niego się rodzi poezja nowożytna w osobie Euforjana, skrzydlatego syna Fausta i Heleny, któremu Goethe dał rysy Byrona. Pisał on bowiem tę część swego dzieła w 1824 roku, t. j. podczas walk Grecji o niepodległość, i wplótł w nie tę apoteozę bohatera z Missolonghi. Wreszcie Euforjon ginie, a za nim Helena podąża do Orku, pozostawiając Faustowi przy pożegnaniu swą zasłonę: to oznacza, że germańska poezja dziedziczy po antyku klasyczną jego formę.

Lecz na tem nie koniec. W akcie IV-tym Faust powraca do swej północnej ojczyzny, na dwór cesarski, i tu się oddaje działalności cywilizacyjnej; cesarz w nagrodę obdarza go ziemią, na której Faust buduje sobie wspaniałą rezydencję, otoczoną czarownemi ogrodami. Lecz zawsze brakuje mu czegoś do pełnego szczęścia; teraz n. p. uboga chatka dwojga staruszków, Filemona i Baucydy, zawadza mu, psując perspektywę parku[9]); a ponieważ sprzedać ojcowizny nie chcą, choć im Faust lepsze grunta za to obiecuje, Mefistofeles radzi mu poprostu wywłaszczenie. Faust się ociąga przed tym zbyt radykalnym środkiem, ale zawsze usłużny szatan podpala niską strzechę, i staruszkowie giną razem z nią w płomieniach.

Ta reminiscencja z Owidjusza (Metamorphosen VIII, 618)

---

[9]) Tu się mimowoli przypomina młynarz z Sans-Sonci i Fryderyk II.

ma znów allegoryczne znaczenie: Filemon i Baucyda, to żywioł konserwatywny w społeczeństwie, który fakta osądza uczuciem i uporczywie trzyma się dawnego, nie dając się przekonać logice wypadków. Przeszłość, skazana na zniszczenie, zawsze taka piękna najwdzięczniejsze wspomnienia młodości są z nią nierozerwalnie związane, — a to nowe, co chce zająć miejsce starego, takie nieznane i niepewne! Zuchwały nowator, który chce to wszystko obalić, zawsze będzie przez Filemonów i Baucydy uważany za wroga, — a tymczasem nieubłagany czas wymaga tych przewrotów, zachowując sobie prawo wykazania, czy były one potrzebne, czy nie, a zwłaszcza czy przyniosły ludzkości prawdziwy postęp i prawdziwą kulturą, — czy też cofnęły ją wstecz?

Znamiennem jest, że mimo swego kultu dla postępu w najrozmaitszych formach, wielki Goethe czyni z bezprawia, którego ofiarami padli Owidjuszowi staruszkowie, — początek końca Fausta: blisko 100-letni starzec widzi z tarasu swego pałacu, jak smugi szarego dymu powstają z dymiących zgliszcz ubogiej chatki i snują się nakształt fantastycznych widm: są to Brak, Nędza, Wina i Troska; suną one cicho ku bogatej siedzibie Fausta, który przerażony na ich widok, zamyka się w swym pałacu. Trzy pierwsze zatrzymują się na progu bogacza, nie śmiejąc wejść; lecz ostatnia wciska się dziurką od klucza.

Rozmowa Troski z Faustem jest głęboko filozoficzna; przy ostatnich słowach, widmo tchnęło na oczy dumnego starca, który zaniewidział. Niebawem też Faust umiera, a starożytne Lemury, (upiory które, wedle wyobrażeń antycznych, przynosiły ludziom chorobę lub śmierć), kopią mu grób.

Nie wdajemy się tu w szczegóły zakończenia „*Fausta*", zbyt wiele byłoby do powiedzenia, a to nie należy do tematu, któryśmy sobie ściśle zakreślili. Ale co tu — choć z konieczności dość pobieżnie — zostało podane, wystarczy jednak, aby udowodnić, jak bardzo Goethe był zależny od antyku, jak go kochał, rozumiał, i jak umiał przenieść go z ławy szkolnej w życie:

„Dass ich die Alten nicht hinter mir liess, die Schule zu hüten,

Dass sie nach Latium gern mir in das Leben gefolgt".

S. M. R.

Jak umierał Wyspiański *).

28. XI. 1907 — 28. XI. 1932.

Dnia 28 listopada mija ćwierć wieku, kiedy zgasła żrenica wielkiego Mistrza krakowskiego, co „serce miał rycerza i moc bohatera, a był rapsodem narodu".

W słotny dzień jesienny, w wigilję rocznicy Nocy Listopadowej, przytuliła Go do siebie Biała pani, której przez lat kilkanaście patrzał w oczy.

Dawno nosił Wyspiański w sobie żądło choroby, długo cierpiał i ciężko, widząc coraz bardziej postępującą niemoc. Na dwa lata przed śmiercią, w roku 1905 cierpienie wybuchło gwałtownie i tylko niezwykle silny i odporny organizm poety nie dopuścił wowczas do katastrofy. A nawet nastąpiło pewne polepszenie do tego stopnia, że Wyspiański z pełną energją kontynuuje przerwane prace poetyckie. Dyktuje nieodstępnej towarzyszce, ciotce Joannie Stankiewiczowej przekład „Cyda", fragmenty „Zygmunta Augusta", oraz nagli do wydania „Sędziów".

Tymczasem dzięki nadzwyczaj czułej troskliwości ciotki nastąpiło z początkiem roku 1907 takie polepszenie, że Wyspiański mógł wyjechać na niedawno nabyty swój majątek we Węgrzcach, by tam w spokoju i zaciszu pod okiem dobrej ciotki dalej się leczyć, boć przykra choroba dużo wymagała zabiegów i starań, których skrupulatnie należało przestrzegać. Tutaj we Węgrzcach odwiedza chorego jego przyjaciel, Wilhelm Feldman, któremu Wyspiański żali się, iż bardziej od choroby gnębi go niemożność malowania. Boć chora ręka nie pozwala mu ruszyć pendzlem. Wogóle cały był schorzały. A gdy na pewien czas pani Stankiewiczowa wyjechała, stan chorego, na skutek braku należytej opieki, tak się pogorszył, że dr. Rutkowski każe go przewieść do swojej lecznicy do Krakowa. Wyspiański tak czuje się wycieńczony, że w drodze kilkakrotnie omdlewa, opadając na ręce towarzyszącego mu Feldmana.

Kilka dni po przybyciu do Krakowa, nastąpiły u chorego nowe komplikacje wewnętrzne, bardzo niebezpieczne. Boleści

---

*) Na podstawie notatek Konstantego Szokowskiego, druk. w Tygodniku Ilustrowanym, R. 1907, № 49.

się wzmogły. Jednakże silna konstrukcja fizyczna Wyspiańskiego i jego niezłomny hart ducha w toku choroby, sprawiły odwlekanie ostatniej godziny. Niezwykła musiała być energja poety, skoro w czasie tej choroby, w chwilach jakiej takiej ulgi, na łożu leżąc, żarliwie zajmował się literaturą i sztuką.

Tymczasem nad ranem 28-go listopada nastąpiło, prawie że niespodzianie, gwałtowne pogorszenie. Wśród okropnych bólów i mąk około godziny 8-ej rąno rozpoczęła się agonja. Ciotka Joanna, zawiadomiona o katastrofalnym stanie przez dr. Adama Chmiela, który w tę noc czuwał przy chorym, posłała po kapłana. Przybył jezuita O. Pawelski, dobry znajomy poety. Długo przesiedział przy łożu Wyspiańskiego, który początkowo zachowywał się zupełnie biernie i apatycznie. Wkońcu jednakże zgodził się na spowiedź generalną. Pojednał się z Bogiem. Gorącą modlitwą ze łzami w oczach. Po spowiedzi pragnął widzieć się z Feldmanem. Potem z swoim przyjacielem, dr. Skąpskim. Gdy go pytano, czy nie chciałby widzieć żony i dzieci, zaprzeczył i kładąc rękę na sercu powiedział: „Dzieci i żonę mam tu w sercu". Po chwili atoli pytał się o ich zdrowie i dodał: „A jednak chciałbym ujrzeć dzieci, ale boję się!"

W godzinach obiadowych nastąpiło znowu pogorszenie. Wzmogło się rzężenie. Gdy nastała chwila ukojenia, polecił dr. Skąpskiemu opiekować się dziećmi, do Feldmana zaś i Chmiela rzekł: „A wy podajcie sobie ręce i zajmijcie się moją puścizną literacką. Zygmunt August... fragmenty... ostatni akt, tak jak Matejko... Unia... z kartek uporządkujecie...

Ostatnie zaczęły dla autora „Wyzwolenia" bić godziny tego świata. Szybkiemi kroki zdążała dusza Jego ku wyzwoleniu z pęt ciała. Konstanty Srokowski tak opisuje końcowe chwile poety:

„— Więcej... najwięcej światła!... — powtórzył Wyspiański swoje życzenie. A kiedy zapalono drugą lampę, widać było, że mu to sprawiło przyjemność... Już tę ostatnią przyjemność.

— Niech mnie pan trzyma — mówił do Feldmana i przytulił się doń, jak dziecko.

— Boję się nocy — dodał po chwili i znowu umilkł.

Podano mu filiżankę czarnej kawy. Wypił. Oczy znowu nabrały szklistego blasku i stanęły nieruchome w orbitach. Ręce znowu zaczęły się zmagać z niewidzialnym a niezmożonym wrogiem.

— Widzę Stasia!—krzyknął nagle. W przedśmiertnej wizji ojciec ujrzał swoje ukochane, najmłodsze dziecko, milutkiego, bardzo ładnego sześcioletniego Stasia.

Zegar wskazywał wtedy godzinę czwartą.

Dobrą jeszcze chwilę potem trwało rzężenie i jęk, coraz bardziej słabnący. Wreszcie wyprostował się i zaczął oddychać spokojniej.

Myślano, że zasypia. Lecz oczy miał otwarte. Na zbolałą woskową twarz zaczął powracać spokój. Jeszcze kilka razy podniosły się piersi. Usta jeszcze kilka razy chwyciły powietrze. A potem ucichł szum w piersiach. Usta nie domknęły się przy ostatniem westchnieniu. Twarz odzyskała dziwną swą, przedziwną piękność. Pukiel włosów z dawną fantazją najeżył się na białem wysokiem czole, ale Stanisław Wyspiański już nie żył.

Zegar wskazywał wtedy godzinę piątą.

Zamilkł spiżowy dzwon narodowego sumienia. Umarł Mistrz Mocy i Piękna. Ale Duch Jego żyje i dotąd wali w nas Kazimierzowskim Młotem...

A. F. Kowalkowski.

Marynarka polska w 1863-4 r.

Ostatnie powstanie nasze jest do chwili obecnej dość mało zbadane. Składa się na to wiele przyczyn. Przedewszystkiem, zwycięskie państwa zaborcze po ostatecznem stłumieniu powstania pragnęły je wymazać z pamięci ludzkiej, a temsamem zdjąć nareszcie „kwestję polską" z porządku obrad polityków europejskich. Obcy więc mieli dostęp do badań dość utrudniony, a swoi—wręcz zamknięty. Pozatem powstanie było stosunkowo tak niedawno, że częstokroć i swoi dziejopisowie, i obcy, przeważnie rosyjscy, historycy nie umieli pisać o niem spokojnie i bezstronnie. Jednem słowem, prawdziwego obrazu naszych zmagań, można powiedzieć, nie mamy, natomiast luk w istniejących obrazach jest sporo. Najwięcej tych luk się spotyka w pracach, poświęconych wojskowemu opisowi strony powstania. Tu podkreślić należy, że, pisząc o zagadnieniach wojskowych, pisze się jedynie o przygotowaniach do walki i o samej walce wyłącznie na terenie

lądowym, a przemilcza się o przygotowaniach powstańczych do toczenia tej walki na terenie morskim. Tymczasem takie przygotowania istniały i, trzeba przyznać, były obmyślane daleko bardziej realnie i rzeczowo, aniżeli wiele z naszych planów lądowych. Objaśnić to da się w ten sposób, że opracowaniem walki lądowej zajmowali się przywódcy, mający po większej części bardzo powierzchowne wykształcenie fachowe i odpowiednią praktykę (negatywnym przykładem służy tutaj Mierosławski), podczas kiedy sprawami morskiemi zajęli się ludzie odpowiednio przygotowani, jak Zbyszewski, o którym będzie mowa poniżej.

Właściwy asumpt do tworzenia polskiej marynarki wojennej dała odpowiedź, udzielona przez ówczesnego angielskiego ministra spraw zagranicznych, lorda Russela, generałowi hrabiemu Zamoyskiemu, delegowanemu do Londynu przez agenta dyplomatycznego Rządu Narodowego, jakim był w Paryżu książę Władysław Czartoryski, że Wielka Brytanja uzna powstańców polskich za stronę wojującą, o ile do jakiegokolwiekbądź portu angielskiego zawinie polski okręt wojenny. Utworzenie zatem floty było wywołane okolicznościami wyłącznie politycznemi. W tym kierunku zaczął działać Czartoryski, kupując w czerwcu 1863 r. dwa statki handlowe: „Samsona" w Konstantynopolu i „Princess" w Newcastle. Miały być one przerobione na okręty wojenne i został nawet wyznaczony naczelny wódz całej przyszłej floty polskiej w osobie oficera francuskiej marynarki wojennej, Andrzeja Magnan'a. Sprawa posuwała się dość ospale, tembardziej, że między Czartoryskim a Magnan'em powstały spory o kompetencje w tworzeniu tej marynarki powstańczej. Było to jesienią 1863 r. Tymczasem zaszły na horyzoncie insurekcyjnym dwa wypadki, mające zaważyć na losach formowania marynarki polskiej. W kraju objął dyktaturę Romuald Traugutt, jedyny organizator i fachowiec wojskowy na naczelnem stanowisku w powstaniu styczniowem, a do Czartoryskiego zgłosił się w Paryżu były oficer rosyjskiej marynarki wojennej, Władysław Zbyszewski. Był on dowódcą korwety rosyjskiej na Dalekim Wschodzie i na pierwszą wieść o wybuchu powstania rzucił służbę zaborczą, pragnąc służyć ojczyźnie. Zbyszewski nie zadawalniał się politycznem znaczeniem floty, a pragnął ją wyzyskać do

zadań ściśle wojennych. W memorjale, złożonym Czartoryskiemu, wskazywał Zbyszewski na zupełnie realne możliwości, jaka przedstawiała dla floty polskiej walka na morzu Czarnem. Na morzu tem Rosja na zasadzie Traktatu Paryskiego z 1856 r. nie mogła trzymać okrętów wojennych, natomiast miała liczne statki handlowe, zajmujące się ożywionym handlem z Bliskim Wschodem. Pozatem, na Kaukazie wrzała nieustająca wojna między regularną armją rosyjską i bijącymi się rozpaczliwie góralami. Wojsko rosyjskie liczyło tam do 40% Polaków, a góralom stale pomagali Anglicy i Turcy, podsyłając broń, amunicję i instruktorów. Wojna korsarska, prowadzona przez powstańców polskich na morzu Czarnem, mogła narazić Rosję na olbrzymie straty handlowe, a przytem podsycić opór górali i zdezorganizować armję kaukaską feldmarszałka księcia Bariatyńskiego. Plan Zbyszewskiego spotkał się z uznaniem kół fachowych francuskich w Paryżu i zyskał zupełną aprobatę Traugutta. W końcu 1863 r. Zbyszewski wziął się z zapałem do pracy. Otrzymał on stanowisko Organizatora Generalnego Sił Polskich na morzu, podporządkowanego jedynie agentowi wojskowemu przy Czartoryskim, pułkownikowi Eugenjuszowi Dębińskiemu. Zbyszewski uzyskał prawo nominacji na wszystkie stanowiska wojskowe w marynarce polskiej i dysponowanie morskiemi siłami. W poszczególnych portach zostali ustanowieni przezeń agenci morscy, mający zarówno wyszukiwać armatorów, chcących wystawić własnym kosztem statki korsarskie, jak i marynarzy, którzy chcieliby na tych statkach służyć. Agencje takie zostały uruchomione wszędzie, najwięcej uruchomiono ich w Ameryce Płn., gdzie wrzała wojna Secesyjna i gdzie kwitnął w najlepsze ruch korsarski.

Zgodnie z instrukcjami Zbyszewskiego, polskie statki korsarskie, działające na morzu Czarnem, utrzymywały się ze zdobyczy nieprzyjacielskiej, mianowicie 25 proc. oddawano Rządowi Narodowemu, a 75 proc. brała załoga statku polskiego. Regulamin obowiązywał francuski, mundur był granatowy ze srebrnemi guzikami i amarantowemi wypustkami, bandera, proporzec i znak—biało-czerwone, na proporcu było umieszczone stare godło Zygmunta-Augusta: ręka z mieczem. Za bazy wypadowe miały służyć porty tureckie, na co Wysoka Porta chętnie się zgodziła.

W lutym „Princess" wyszła z Newcastle, kierując się przez Maltę w stronę Konstantynopola. Została ona niestety internowana przez władze hiszpańskie w Maladze. Zbyszewski nie zraził się tem początkowem niepowowodzeniem, lecz pracował gorączkowo dalej. W sztabie jego znaleźli się zdolni oficerowie ze służby szwedzkiej i rosyjskiej (kapitan marynarki Kossak). W marcu 1864 r. zawiązany został ożywiony stosunek z Włochami. Praca nad przygotowaniem do walki na morzu Czarnem była na wiosnę w całej pełni. Lecz niestety, w dalekiej ojczyźnie dogasało już powstanie. Traugutt był aresztowany od kwietnia, a z jego odejściem zaczęła się agonja. Skoro już nie walczono w kraju, straciła rację bytu walka na morzu.

Tak rozwiał się sen o polskiej marynarce wojennej w naszem ostatniem powstaniu.

Inż. Witold Hubert.

SPRAWOZDANIA i RECENZJE.

„Tydzień Miłosierdzia". W dniach od 13 do 20 listopada r. b. Katolicki Związek „Caritas" Archidiecezji Warszawskiej zorganizował „Tydzień Miłosierdzia". W związku z tem otrzymaliśmy odezwę treści następującej:

„Zadaniem „Tygodnia" jest zmobilizowanie wszystkich sił katolickich na terenie Archidiecezji dla dzieła miłosierdzia, dla zebrania funduszów na pomoc ubogim i bezrobotnym, a przedewszystkiem na pomoc biednym dzieciom.

Przy Centrali Związku „Caritas" zorganizował się specjalny Komitet pod protektoratem Jego Eminencji Najdostojniejszego Protektora Związku Księdza Kardynała Kakowskiego i Ich Ekscelencyj Ks.Ks. Biskupów, przy udziale najwybitniejszych działaczy katolickich, Oddziałów Parafjalnych Związku „Caritas", przedstawicieli Związków i Stowarzyszeń Akcji Katolickiej, stowarzyszeń Pań Miłosierdzia i konferencyj Panów św. Wincentego a Paulo, organizacyj młodzieży akademickiej i innych związków oraz stowarzyszeń społecznych i religijnych.

Ponieważ zbliżająca się zima spotęguje bez wątpienia napływ biednych, proszących o pomoc, a nędza szerzy się coraz większa, jest rzeczą konieczną, aby wszystkie parafje na terenie całej Archidiecezji wzięły czynny udział w organizacji „Tygodnia Miłosierdzia".

W tym celu zwracamy się z usilną prośbą do wszystkich organizacyj katolickich i ludzi dobrej woli o poparcie „Tygodnia Miłosierdzia" przez

wzmożoną ofiarność w tych dniach, a w szczególności poparcie kwest, organizowanych przez wszystkie oddziały parafjalne „Caritas" i Komitety Parafjalne w całej Archidiecezji.

Mamy przed sobą poważne obowiązki w zakresie ulżenia niedoli dzisiejszych czasów, ufamy też, że „Tydzień Miłosierdzia" będzie dowodem istotnego Miłosierdzia chrześcijańskiego o którem tak wymownie pisze J. Em. Ks. Kardynał Kakowski w swym liście pasterskim „O miłosierdziu chrześcijańskiem w Akcji Katolickiej", jako o najpotężniejszym orężu dla pokonania szerzącego się zła.

Niechaj więc w dniach tych, wielkiej krucjaty miłosierdzia nie zabraknie nikogo, ktoby czynem i ofiarą nie dopomógł do zebrania funduszów na akcję pomocy najbiedniejszym.

Idźmy za głosem Chrystusa w imię Jego miłości, którą tak umiłował biednych i nieszczęśliwych, za obietnicą, że wszyscy, którzy miłosierdzie czynią, miłosierdzia dostąpią.

...„Błogosławieni miłosierni..."

I. Kazimiera Berkanówna. „Tak mi ciężko". Rozmowy na czasie Poznań 1933. Księgarnia św. Wojciecha.

Na treść tej książeczki składa się dwadzieścia ośm rozdziałów w sposób barwny i żywy przedstawiające współczesne bolączki jednostek, rodzin, społeczeństwa. Podają one wskazówki praktyczne, jako środki zaradcze, przedewszystkiem umiejętnie skierowując umysł i wolę do nadprzyrodzonego traktowania przeróżnych bied oraz zachęcając do aktywności ducha i energji życiowej.

Puszczając w świat tę książeczkę Autorka zapowiada wydanie dalszych tomów na aktualne tematy i zapoczątkowuje „Bibljoteczkę Społeczną". Skład główny u Autorki ul. Matejki 53. Poznań.

Ks. Czesław Małysiak T. B. Z. 3 dni Kursu Instrukcyjnego dla rekolekcjonistów. Metodyczny podręcznik rekolekcyjny dla rekolekcji zamkniętych. Trzebinia 1932.

Nakładem Domu Rekolekcyjnego OO. Salwstorjanów.

Myśl Ojca św., wyrażona w Encyklice „Mens Nostra" z dnia 20 grudnia 1929 r.: „Jeśli w ten sposób, Wielebni Bracia, ćwiczenia duchowne we wszystkich sferach społeczeństwa chrześcijańskiego się rozszerzą i starannie będą się odbywały, nastąpi odrodzenie duchowe; ożywi się pobożność, wzmocnią siły religijne, rozwinie się owocna praca apostolska i pokój zapanuje w końcu wśród jednostek i wśród społeczeństwa"... coraz głębsze zapuszcza korzenie, coraz szersze zatacza kręgi w uświadomionem pod względem religijnym społeczeństwie naszej Ojczyzny i istotnie można rokować wielkie nadzieje duchowego odrodzenia narodu.

Przyczynkiem instrukcyjno-metodycznym do tej sprawy jest ułożony przez Ks. Cz. Małysiaka „Podręcznik dla rekolekcjonistów". Podstawowym materjałem nań był trzydniowy kurs w Trzebini, odbyty w b. r. Z czasem zapewne, wydane zostaną inne obszerniejsze i dokładniej opracowane dzieła w tej sprawie narazie należy zadowolić się Podręcznikiem omawianym i wy-

razić wdzięczność Szanownemu Ks. Czesławowi Małysiakowi za pierwszą cegiełkę do przyszłego gmachu rekolekcyjnej literatury.

„Dzwonek rekolekcyjny" z Trzebini. Pisemko Rekolekcyjne. Październik 1932. Rok 5 № 10.

Numer ten specjalnego pisemka zawiera: Sprawozdanie z Trzeciego Dnia Rekolekcyjnego w Katowicach; Kazanie J. E. Ks. Biskupa Dembka i sporo innych wiadomości, zmierzających dla rozpowszechnienia idei rekolekcyjnej, spopularyzowania jej i zachęcenia do zakosztowania słodyczy — samotności duchowej. *Ks. Al. Bołtuć M. I. C.*

Magnin. L'Eglise Enseignée. Bloud-Gay Paris 8 rue Garancière. — 190 str.

Możemy nazwać to dzieło podręcznikiem dla codziennej Akcji Katolickiej. Podręcznikiem prawnym, albowiem opartym na Kodeksie praw kanonicznych. Jestto poprostu rozprowadzenie niektórych punktów zasadniczych w Cod. iur. can. pożytecznych dla pracy w A. K. Z 190 stron cago tekstu 158 stron tyczy się przygotowania, praw, obowiązków, duszpasterstwa kapłanów, a tylko koło 30 stron praw i obowiązków laików. Jest to poważne studjum sprawy katolickiej, jednej z najważniejszych: Kapłan i wierny, czyli inaczej, jeśli chcemy, studjum współpracy dla Kościoła między klerem i laikiem, jednakże (tak mi się zdaje) kwestja niewyczerpana i niedopowiedziana.. bo dlaczegóż tyle koło nas społecznych konfliktów?... *K. Berkanówna.*

Bessières. S. J. Deux grands Méconnus: Gaston de Renty et Henry Buch. — Action Populaire. Editions Spes. 17 rue Soufflot, Paris. — 1931. — 480 str.

Znany francuski pisarz, Jezuita Bessiéres. autor znakomitej rozprawy: L'Evangile du Chef (dla kierowników Akcji Katolickiej), wystąpił z dalszem dziełem w serji swych publikacyj dla Akcji Katolickiej, tym razem dość niezwykłem: Renty, ziemianin, i Buch, szewc, przyjaciele, są bardzo cenionymi świeckimi pracownikami AK. społecznej, każdy w swym kierunku, mimo to idących razem, ręka w rękę.

Obaj żyli w 18. w. za czasów św. Wincentego à Paulo, Renty umarł młodo, Buch — w starszym wieku. R. pomagał Buchowi swymi wpływami i funduszami, a obaj prowadzili na swych stanowiskach życie prawdziwie świętobliwe. Ostatniem polem ich wybitnej pracy spolecznej był Paryż. Buch zakładał organizacje między rzemieślnikami, a Renty gromadził społeczników świeckich w stowarzyszeniach Eucharystycznych.

Spora księga O. Bessiéres jest prawdziwem studjum ludzi i czasów. opracowanem źródłowo i wyczerpująco.

K. Berkanówna.

Duchaussois. Rose du Canada. Editions Spes. Paris 17 rue Soufflot. — 15 frs. — 1932.

Znany D. z polskich tłómaczeń, poczynionych staraniem konfratrów autora, Oblatów N.M.P. Niepokalanej w Krobi Wlk. i wiemy, że D. ślicznie opisał prace misjonarzy i misjonarek w północnej Kanadzie i na Ceylonie,

Matka Marja-Rozalja jest założycielką Zgromadzenia SS. Imion Jezusa i Marji. Żyła tylko 38 lat (ur. 1811), ale w tym krótkim czasie dała podstawy dla wspaniałego dzieła wychowawczego, które do dziś czyni wiele dobrego, nietylko w Kanadzie, ale na całym świecie.

Autor stawia Matkę M. R. obok Róży z Limy i dlatego nazwał ją: Różą Kanadyjską. Chce dać tej tak bardzo katolickiej, a jeszcze dziewiczej ziemi śnieżystej Kanady, nową Patronkę w niebie. *K. Berk.*

Reisch. Die hl. Katharina von Siena. — Herder. Freiburg i Br. — 9 ilustracyj.

Niedawno pisałam o Listach św. Katarzyny Sienieńskiej, tej par excellence społeczniczki, jakiej typ i dziś by nam się przydał, chociaż już nie żyjemy w wiekach średnich, jak święta. (Listy zebrała pani Maresch). Niniejsze dziełko ukazuje się w serji: Obrazy kobiece, w której wyszedł już życiorys Dunki Elizy Hoskier, Amalji Galicyn, malarki Ellenrieder itp. Zastanawia, jak często temat św. Katarzyny jest omawiany w współczesnej literaturze! zwłaszcza może niemieckiej i angielskiej. Zamiast ciszej, to coraz głośniej o tej nadzwyczajnej kobiecie, która odważyła się mówić prawdę dostojnikom kościelnym i cywilnym. Była w swoim czasie sumieniem narodów, zwłaszcza swej włoskiej ojczyzny. Charakter ponad przeciętną miarę, jakich nam teraz potrzeba. Wszelkie pochwały dla świętej, jako dla człowieka, dla społecznika, są dotąd za słabe. Odnosi się wrażenie, iż jakoś nie mamy odwagi przedstawienia jej czasów i jej dla nich zasług, chociaż to już 600 lat temu, kiedy żyła! Życiorys świętej nasuwa myśli wielkie i pożyteczne: „Jest wielką w miłości, bohaterką w umartwieniu, pełna mądrości, energji i zapału do czynu" — dodajmy, do czynu społecznego, którego jest pionierką jako kobieta. *K. Berk.*

Prawo przeciw pornografji. Pod tym tytułem wyszła broszura, wydana przez S. A. Ostoję (Poznań, Pocztowa 15). Cena 45 gr. Autor—p. Władysław Oleksy, zebrał w niej najważniejszę przepisy prawne, zatwierdzone przez konwencje międzynarodowe i polskie ustawodawstwo.

Z obecnego zalewu pornografji widać, że nie wyzyskaliśmy dotychczas, przysługujących nam praw do zabezpieczenia naszego społeczeństwa, a zwłaszcza młodzieży przeciw zgubnym wpływom pornografji.

Broszura ta odda nieocenione usługi naszym pracownikom społecznym i duszpasterzom, przez przypomnienie tych ustępów prawodawstwa, na których oprzeć oni mogą skuteczną akcję zwalczania pornografji na terenie swego działania.

„Ostoja" wydała również cztery wykłady o zwalczaniu pornografji i popieraniu dobrej prasy. Wyszły one w świeżo zapoczątkowanem wydawnictwie „Żywe Słowo", którego pierwsze numery noszą następujące tytuły:

Nr. 1 Felicja Żurowska: O czystość w prasie i widowiskach.
„ 2 „ „ Potęga i znaczenie prasy.
„ 3 Cz. Wolniewiczówna: Walka z demralizacją.
„ 4 X. A. Marcinkowski: 10 przykazań apostoła dobrej prasy.

„Żywe Słowo" wychodzić odtąd będzie stale, przynosząc materjały do wykładów pogadanek i dyskusyj na aktualne tematy. Będzie to więc duża

pomoc dla prelegentów i kierowników organizacyj A. K., z której korzystać będą zapewne skwapliwie. Cena każdego n-ru „Żywego Słowa" 15 gr.

Prawdziwe Nieprawdy. Tadeusz Kordyasz, Warszawa 1933. Skład główny Gebethner i Wolff.

„Gdyby połowa wierzących uwierzyła w Boga, świat cały leżałby pod nogami Chrystusa".

Takie i tem podobne myśli, spotykamy w książce doktora Tadeusza Kordyasza, która świeżo ukazała się na półkach księgarskich. „Prawdziwe Nieprawdy"—to zbiór bardzo głębokich myśli, dotykających tych rzeczywistości wiecznych i dzisiejszych, których istnienia wielu, ach jakże wielu zaprzecza. Piękno rzeczy boskich zwalczane przez przeciwników, a częstokroć zapomniane i niedoceniane przez katolików, oto treść rozważań, aforyzmów, luźnych uwag, spojonych tem, że należą do kart pamiętnika jednej osobistości. Przenikliwe rozeznanie filozoficzne, wyczucie artysty i głęboko refleksyjna wiara chrześcijanina, składa się na tworzywo tego dziełka, które koniecznie przeczytać należy.

Wielu przyjmie je z ostrą krytyką, a jednak uwagi te, ubrane w szatę paradoksu, głęboko zapadną w każdą duszę.

Jan Łukaszewski.

Felicja Żurowska: Metoda pogadanek ankietowych omawia szczegółowo jedną z metod dyskusyjnych, nadającą się specjalnie do zastosowania w kółku wychowawczem

Obie te rozprawki są bardzo na czasie i spotkają się z żywem zainteresowaniem duchowieństwa i pracowników społecznych. Ujmują bowiem zagadnienia rozbudzenia samodzielności i wyrobienia wewnętrznego oraz apostolstwa młodych wśród młodych w sposób nowoczesny, a przytem rokujący rzeczywiste pogłębienie pracy w SMP. i jego wpływu na młodzież i społeczeństwo klas pracujących.

Zofja Rodowicz-Iwanicka — „Zgaszony błękit". Nakładem Kat. Tow. Wydawniczego „Kronika Rodzinna" ukazała się zajmująca powieść p. Zofji Rodowicz-Iwanickiej p. t. „Zgaszony błękit".

Autorka w sposób plastyczny, choć pełen umiaru, przedstawiła obraz klęskowych następstw, wynikających dla dzieci, z faktu rozejścia się rodziców. Tym sposobem dziś szeroko dyskutowana sprawa rozwodowa znalazła w powieści p. Iwanickiej wymowną ilustrację od strony zbył mało może branej pod uwagę, bo od strony interesów moralnych i materjalnych dzieci, dla których rozbicie rodziny przez rozwód staje się zazwyczaj katastrofą życiową.

Aktualna treść i estetyczna szata zewnętrzna — wszystko to razem składa się na interesującą całość, która niewątpliwie znajdzie dobre przyjęcie wśród szerokich kół społeczeństwa.

WARUNKI PRENUMERATY „*PRO CHRISTO*":

Kwartalnie	3.—	Rocznie	12—
Półrocznie	6.—	Cena pojed. numeru .	1.—

Zmiana adresu 50 gr.

WARUNKI PRENUMERATY ZAGRANICĄ.

Kwartalnie	4.50	Rocznie	18.—
Półrocznie	9.—	Cena pojed. numeru .	1.70

CENY OGŁOSZEŃ W „PRO CHRISTO".

Stronica okładki	60 zł.
1/2 stronicy	30 zł.
1/4 stronicy	15 zł.
Stronica poza tekstem.	50 zł.
1/2 stronicy	25 zł.
1/4 stronicy	12 zł.

Redaktor odpowiedzialny: HIERONIM SAMULSKI.

MY MŁODZI KATOLICY CHCEMY:

1. Przyśpieszyć triumf Chrystusa w Polsce na wszystkich polach naszego życia indywidualnego i społecznego;
2. Pomnożyć zastępy kapłanów, którzy w pierwszym rzędzie pracują dla Królestwa Chrystusowego;
3. Budzić powołania zakonne w celu przeciwdziałania potęgą dziewictwa współczesnej demoralizacji społecznej;
4. Przygotować czystych ojców i matki przez pogłębienie w młodzieży życia katolickiego;
5. Oczyścić i uświęcić atmosferę rodzinną przez wprowadzenie do niej kultu Najświętszego Serca Jezusowego i życia eucharystycznego;
6. Demaskować i zwalczać podstępne usiłowania wrogów zmierzające do podkopania dogmatu katolickiego;
7. Zwalczać czynnie wszelkie objawy demoralizacji;
8. Współdziałać ze wszystkiemi szlachetnemi usiłowaniami ku wyzwoleniu Polski z pod tyranji żydowstwa i masonerji;
9. Stawiać przed oczy wzory wybitnych mężów w Narodzie ku pokrzepieniu serc i spotęgowaniu miłości Ojczyzny;
10. Szerzyć wśród inteligencji katolickiej uświadomienie społeczne i zrozumienie konieczności czynnej współpracy z masami ludowemi;
11. Czerpać światło i moc z orzeczeń papieskich oraz wskazań Episkopatu polskiego.

Drukarnia Diecezjalna w Łomży